ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1886.

TOM II.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLII.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 29.

1886.

Дозволено Цензурою
Варшава, 21 Мая 1886 года.

SPIS RZECZY.

I. FILOZOFIA.

2. EKONOMIA POLITYCZNA.

3. NAUKI PRZYRODNICZE.

4. LITERATURA.

5. BELETRYSTYKA.

6. HISTORYA.

7. HYGIENA.

8. SZTUKI PIĘKNE.

9. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



ERNEST RENAN.

I.

Bretania, północno-zachodnia część Francyi, przechowała do dni dzisiejszych liczne, sobie tylko właściwe piętna. Starożytną Armorykę przez kilka celtyckich plemion zamieszkiwaną, zalała w w. V i VI ery naszéj fala przybyszów z Wielkiéj Brytanii, którzy przed najazdem Anglów i Saksonów ojczystą wyspę swą opuszczali. Odtąd kraj ten nosić zaczął imię Bretanii i długo jeszcze niezależny, burzliwy, wojujący, w wieku XVI-m zaledwie nierozerwalnym węzłem połączył się z Francyą.

Z zachodu wodami Atlantyku, a z północy kanałem La Manche oblana, z klimatem wilgotnym i mglistym, z gruntem urodzajnym, lecz na szerokich przestrzeniach pokrytym lasami, bagniskami, sitowiem i jałowemi zaroślami, Bretania jest krajem ubogim, otoczonym grozą i wspaniałością morza, owianym melancholią swéj mglistéj i smętnéj natury. Wśród takiéj natury, z połączenia łagodnéj i marzycielskiéj rasy celtyckiéj, z surowém i twardém plemieniem Bretonów, powstała ludność pracowita, cicha, cierpliwa, nieco ponura. Fizycznie silni i w sąsiedztwie morza do żeglarskich trudów i niebezpieczeństw zahartowani, Bretonowie dostarczają Francyi dzielnych żeglarzy, niestrudzonych rybaków i cierpliwych, pracowitych rolników. Z innéj strony, umysłowo ociężali a zarazem do poetycznych i religijnych marzeń skłonni, odznaczają się oni zachowawczością, rzadko już gdzieindziéj napotykaną, a która kraj ich daleko za współczesną cywilizacyą pozostawia. Niższe warstwy ludowe, dziś jeszcze mówią tam tym samym językiem, jakiego używali Celtowie, którzy na pół wieku przed początkiem ery chrześciańskiéj toczyli wojny z rzymskim Juliuszem Cezarem. Dziś jeszcze idee monarchiczne budzą tam cześć i miłość taką, że napotkać można wieśnia-

ków, wylewających łzy nad męczeńskim zgonem Ludwika XVI-go i śpiewających o nim rzewne ballady; prace zarobkowe, z wyjątkiem żeglarskiéj, rybackiéj i rolniczéj, nietylko za poniżenie, lecz za grzech uchodzą; szlachta otrzymuje od mieszczan i chłopów oznaki i dowody głębokiego uszanowania, bagniska nie wysychają, trzciny i paprocie okrywają szerokie przestrzenie, drogi publiczne pozostają w zaniedbaniu, które przed niedawnym jeszcze czasem, czyniło je dla podróżujących niebezpiecznemi, albo i całkiém niedostępnemi. Lecz najwybitniéj i w najwyższym już stopniu swego natężenia ta zachowawczość Bretonów ukazuje się na punkcie wiary we wszelką nadprzyrodzoność Pod tym względem żyją oni nie już nawet w wieku XIII lub XII-m, ale w IV lub V-m ery naszéj, to jest w wiekach, w których religia jedynobóstwa wielce cienką warstwę swych pojęć kładła na gruby pokład bałwochwalstwa, prowadząc z niém walkę trudną i starym jego przyzwyczajeniom i czciom, czyniąc niejednokrotne ustępstwa. Cała powierzchnia tego kraju usypana jest pomnikami dwóch różnych lecz prastarych okresów jego dziejowego żywota. Z jednéj strony isnieją tam liczne zabytki przedchrześciańskiéj epoki, przedstawiające się pod postacią kamieni w rozmaity sposób układanych, tak zwanych *menhirów*, *dolmenów*, *kromlechów*, *galgalów*, które niegdyś stanowiły pogańskie ołtarze, grobowce, zagrody otaczające miejsca poświęcone. Z innéj strony, na szczytach wszystkich wzgórz i w głębi wszystkich dolin, na zakrętach wszystkich dróg i w cieniu wszystkich gajów, w najbliższych sąsiedztwach wiosek i miast i w najtajniejszych samotniach nieuprawianych pól, wznoszą się kaplice, kapliczki, nisze,— miejsca najrozmaitszych wielkości i kształtów, poświęcone czci najrozmaitszych świętych. Nad Bretanią panuje tłum świętych, z pośród których wielu jest dla ogółu chrześciaństwa całkiem nieznanych. Są to święci miejscowi, patronowie nietylko prowincyi całéj, ale każdéj z jej okolic, każdego ze stanów składających jéj ludność, każdego z gatunków zajęć, którym się ona oddaje. Jest-to w pełném tego słowa znaczeniu kult geniuszów opiekuńczych, bogów-larów i bogów dróg rozstajnych starożytnego pogaństwa, pomnożony tém wszystkiém, co przyniósł z sobą chrześcianizm. Towarzyszy mu rój legend wdzięcznych lub groźnych, naiwnych lub ponurych, które napełniając umysły Bretonów i egzaltując ich wyobraźnię, tłumią w nich chęć i zdolność rozbioru pojęć i krytyki zjawisk. Towarzyszą mu także niezliczone upostaciowania przedmiotów czci powszechnéj, które grubą swą plastycznością wywierają na zmysły prostacze urok upajający. Głębie kaplic, kapliczek, przydrożnych nisz napełnione są posągami, w większéj części wyrzeźbionemi z drzewa, bardzo staremi, niekunsztow-

nemi, lecz którym ręce nieznanych artystów, natchnione wiarą bez granic, nadały przejmujące wyrazy męczeństwa lub grozy. Każde z tych grubych lecz wymownych upostaciowań świętości łączy się z pojęciem cudotwórstwa. Na staropogańskim, a w całéj sile swéj trwającym podkładzie wiary w gusła i czarodziejstwa, legła tu, żadném światłem krytyki nieprzenikniona warstwa wiary w cuda. Do świętych posągów swoich lud bretoński udaje się o ratunek i pomoc we wszelkich cierpieniach swych i potrzebach, a wyrażane przed niemi żądania i prośby posiadają częstokroć treść i przybierają formę, właściwą tylko najpierwotniejszym stanom ludzkości. Jedną z najwybitniejszych postaci mitologii bretońskiéj, jest św. Iwon, patron uciśnionych. Ktokolwiek przed wrogiem swym obronić się nie może, na pomoc sobie przyzywa tego świętego następującemi słowy: „Byłeś sprawiedliwym za życia, złóżże dowód, żeś takim i teraz!“ Jeżeli świętemu podoba się cud uczynić, wróg umrzéć musi przed upływem roku, od dnia wymówienia modlitwy, któréj treścią istotną było żądanie jego śmierci. Kowal, mający dziecię chore na febrę, przynosi je do stóp świętego, którego specyalnością jest leczenie od téj właśnie choroby i ze sztabą żelaza w rękach zbliżając się do posągu, woła rozkazującym głosem: Wylecz mi zaraz dziecię to od febry, bo jeżeli tego nie uczynisz, jak koniowi, podkuję ci obie nogi.“ Manie religijne bywają tam częste. Znano tam ludzi, którzy po całonocnéj nieobecności wracali do domów zniemożeni, potém oblani, z rękami zakrwawionemi w jakiejś ciężkiéj i tajemniczéj pracy. Dowiadywano się potém, że celem ich nocnych wycieczek były przydrożne, albo w samotnych miejscach stojące kapliczki i nisze, w których zdjęci rozdzierającém współczuciem, zdejmowali oni z krzyżów postacie Chrystusa i wyjmowali strzały z piersi męczenników. Tak na całéj przestrzeni kraju dzieje się po wsiach. Miasta i miasteczka pełne są katedr wspaniałych, kościołów, z których każdy posiada swe cudotwórcze ołtarze; klasztorów, których stare i wysokie mury głęboki cień rzucają na mizerne i nieliczne domostwa ubogiego i nieprzemyślnego mieszczaństwa. Koniec ośmnastego wieku na krótko tylko wstrząsnął tym stanem rzeczy, który w całéj swéj dawnéj pełni wrócił i rozkwitł, wnet po przeminięciu rewolucyjnéj burzy. Aż do czasów najświeższych miasta i miasteczka Bretanii zamieszkane były przez ogromną ludność zakonników i zakonnic reguł wszelkich, a wychowanie młodych pokoleń całkowicie spoczywało w rękach świeckiego i klasztornego duchowieństwa.

W jedném z takich bretońskich miasteczek, w malutkiém, zbliska z Atlantykiem sąsiadującém Tréguier, w małomieszczańskiéj, ubogiéj rodzinie, pochodzącéj ze starożytnego i od wieków rybołó-

stwem trudniącego się klanu Renonów czyli Renanów, przed laty kilkudziesięciu (r. 1820 czy 1821) urodziło się dziecię. Przyszło ono na świat tak wątłe i słabe, że zwątpiono o możności zachowania go przy życiu. Na szczęście urodzinom jego obecną była stara bretonka, doświadczona w sztuce czarów i przepowiedni. Schwyciła ona koszulkę nowonarodzonego i pędem strzały puściła się ku pobliskiéj rzece. Niebawem, rozpromieniona radością, wróciła. Koszulka na fale rzeczne rzucona wzdęła się, a wiatr unosił w górę malutkie jéj kończyny: był to nieomylny znak, że dziecię żyć chce i będzie. W niewiele lat późniéj, po zgonie ojca téj rodziny, matka w żałobie wiodła kilkoletniego chłopaczka do kościoła św. Iwona i tam, na klęczkach, osierocone dziecię swe oddawała w opiekę patronowi skrzywdzonych i uciśnionych.

Dzieckiem, które przyszło na świat w kraju religijnych legend i męczeńską krwią ociekających posągów i którego kolebkę ocieniały zczerniałe mury katedry i klasztoru; chłopięciem, któremu życie wywróżyły gusła czarownicy i które matka powierzała opiece cudotwórczego ołtarza — był Ernest Renan.

Poważném i w sobie skupioném, lecz mroczném i ciasném musiało być wszelkie życie w tém miasteczku, którego jądrem był wielki gmach biskupstwa a jedyną ozdobą stara gotycka katedra, którego ulice z obu stron ocieniały wysokie i długie mury klasztorów, a nad niskiemi domostwami garstki mieszkańców świeckich, panowały z wysoka ozdobne domy prałatów. Poważném i czystém, ale mroczném i ciasném było wychowanie, którego w tém miejscu udzielała swym uczniom szkoła duchowna. Pojęcia jéj o naturze świata i człowieka pozostały takiemi, jakie panowały w wiekach V-m i VI-m; nauka i piśmiennictwo zastygły w takich formach, jakie im nadał wiek XVI. Łaciny uczono tam sposobem dawnym, używanym w wieku XV, bez metody, prawie bez gramatyki, a Racina poczytywano za ostatniego francuskiego poetę. Było to rzeczą umówioną i o któréj nikt nie wątpił, że wszystko cokolwiek po tym klasyku napisano we Francyi, nie zasługiwało na nazwę piśmiennictwa. Nawet gorliwi w wierze pisarze wyroku tego nie unikali. Milczano o prawowiernym Chateaubriandzie dla tego, że pisał rzeczy światowe, takie, jak René i Attala, a o pobożnym Lamartinie dla tego, że domyślano się w nim raczéj niż spostrzegano, pewne drobne zboczenia od zupełnie prostéj linii prawowierności. Toż samo z historyą. Nauczano jéj z podręcznika napisanego w wieku XVI, a srogi legitymizm nauczycieli, rozkazywał im nic wcale nie wiedzieć o wszystkiém, cokolwiek działo się i stało od śmierci Ludwika XVI. O wielkiéj rewolucyi i Napoleonie nigdy tam żadnéj wzmianki nie było, a imię tego ostatniego

dochodziło do uszu dorastających już chłopiąt wypadkiem z ust odźwiernego szkoły, starego napoleońskiego żołnierza. O naukach przyrodniczych i filozofii mowy być nie mogło. Co zaś do XIX wieku i wszelkich jego czynów i pojęć, były to już rzeczy nauczycielom obce i nienawistne, a uczniom całkowicie nieznane. Trudnoby spotkać na świecie zjawisko tak zupełnie od współczesności odosobnione i tak szczelnie przed nią zamknięte. Przy schyłku 1-éj połowy bieżącego wieku szkoła ta była taką, jaką przed 200-tu laty znaleść by można za murami najsroższéj klauzury; opuszczając ją młodzież znajdowała się w tym stanie umysłowości, któryby w wieku XVII otrzymał nazwę najbardziéj zacofanego.

Wychowanie to w najwyższym stopniu niebezpieczne dla umysłów, których też wiele zwęzić albo i unicestwić na zawsze musiało, nie było jednak pozbawionėm dobrych i użytecznych wpływów na charaktery. Ograniczeni w wiadomościach swych i wyobrażeniach, skamienieli w przedwiekowych formach bytu i myślenia, księża ci byli ludźmi uczciwymi i działającymi w dobréj wierze, życzliwymi dla uczniów swych, surowymi dla siebie, w obyczajach swych i intencyach bardzo czystymi. Wyższe duchowieństwo zamieszkiwało wspaniały gmach biskupi i piękne domy kanoników i prałatów, ale księża, pod których bezpośrednim wpływem zostawała szkoła, żyli skromnie, prawie ubogo, dając z siebie przykład powściągliwości i powagi życia, bezinteresownego oddawania się zajęciom, których celem nie był obfity zarobek lecz pożytek duchowy taki, jaki poczytywali sami za wzniosły i dla ludzkości dobroczynny. Jednało to im pośród młodzieży szacunek i ufność bez granic. Ufność ta sprawiała, że jak bez cienia wątpliwości wierzono temu, co w ich mniemaniu było jedyną prawdą dla umysłu, tak bez chwili wahania, stosowano się do tego, co przedstawiali oni jako jedyne prawo dla sumienia. „Czystość obyczajów—pisze we wspomnieniach swych Renan—była tą stroną moralności ludzkiéj, na którą ci dobrzy księża nalegali najsilniéj, a dawała im do tego prawo, niepokalaność własnego ich życia. Wrażenie, które sprawiały na mnie nauki ich w tym względzie, było tak silne, że całą młodość moję zachowało w skromności. Miały one w sobie uroczystość wprawiającą w zdumienie naiwny umysł dziecka. Czasem, mowa tam była o Jonatanie, który umarł skosztowawszy miodu. Dawało mi to do myślenia. Czémże mógł być ten miód trujący? Innym razem cytowano tekst Jeremiasza, o śmierci wchodzącéj przez okno.... albo słowa jakiegoś świętego z odległych wieków, który kobietę porównywał do broni palnéj, raniącéj zdaleka .. Mowca wypowiadał to wszystko z czołem zmarszczonėm i wzrokiem wzniesionym ku niebu.... Były to zapewne świętobliwe niedo-

rzeczności, ale w ustach osób, którym ufałem bez granic, nabywały powagi przenikającéj aż do saméj głębi mojéj istoty. Wrażenie to trwa dziś jeszcze, w przekwitłéj duszy mojéj... Pojęcia moje pod tym względem przeżyły me religijne wierzenia... Zresztą, ci pierwsi mistrze moi nauczyli mię szczerości, szacunku dla ducha ludzkiego, powagi życia. I są to rzeczy, które nigdy we mnie nie uległy zmianie. Z rąk ich wyszedłem tak czysty i tak wrogo przeciw niskości wszelkiéj usposobiony, że cała płochość paryskiego życia, depcąc po tym moim klejnocie wewnętrznym, zniszczyć go nie mogła.“

Zobaczymy daléj, jakie starcia i walki sprowadzić miała w przyszłości młodego bretona, ta ciasna ograniczoność, w któréj zamknięto jego umysł i ta prawość i czystość, któremi do głębi zaprawiono jego charakter; zobaczymy także, jak silnie moralne jego przymioty popchnęły go na tę drogę, na któréj ci właśnie, którym je zawdzięczał, najmniéj-by widzieć go chcieli. Tymczasem przedstawia się wyobraźni naszéj wdzięczny, a ze względu na oczekującą go przyszłość, ciekawy obraz podrastającego chłopięcia, rozmarzonego mitologią swego ludu i kraju, przejętego do głębi bezwarunkową religijnością swéj szkoły, w chwilach spoczynku błądzącego pod murami klasztorów lub zapatrzonego w strzeliste linie i cieniste wnętrze gotyckiéj katedry. Blady, wątły, przez matkę i siostrę czule kochany, przez mistrzów swych za chlubę szkoły uważany, skromny i nieśmiały tak, że współtowarzysze nazywali go „panienką“, a on sam najchętniéj przestawać lubił z gronem małych dziewcząt, miewał chwilami przebłysk swych świetnych przeznaczeń, myślał niekiedy, że będzie pisał książki. Najpewniéj książki te miały być podobne do podań o św. Tudwalu, Iltudzie, Kadoku... Niemniéj ogarniały go już przeczucia rzeczy wielkich. Z miłością i entuzyazmem myślał o świętych czynach i męczeńskich bólach; myślał, że gdy zostanie kapłanem téj religii, w któréj nadprzyrodzoność i boskość wierzył całą siłą swéj istoty, wróci do Tréguier i będzie żył tak święcie i tak gorliwie nauczał, jak żyli i nauczali teraz jego mistrze. O tém, że księdzem zostanie, ani matka jego, ani nauczyciele, ani on sam na chwilę nie wątpił. Było to rzeczą prostą, naturalnie wskazaną, prawie nakazaną. Wszyscy młodzi Bretonowie, którzy nie mieli ziemi do uprawiania, a żeglarzami być nie chcieli lub nie mogli, kształcili się dla tego, aby zostać księżmi. Ażeby zdolnego, pobożnego, ubogiego chłopca do celu tego przybliżyć, księża z Tréguier zażądali przyjęcia jego w charakterze stypendysty do paryskiego małego seminaryum św. Mikołaja z Chardonnet.

Z najzapadlejszego miasteczka zapadłéj prowincyi, przeniesienie się do Paryża było tém samém, co przejście z podziemia oświe-

tlonego dymną pochodnią, na przestrzeń kipiącą życiem i oblaną słoneczném światłem. Miał wtedy lat 16-cie i nieprzerwanie żył dotąd w czasach śś. Tudwala, Iltuda, Kadoka, w atmosferze niemniéj przesiąkłéj mitologią, jak ta, która panuje w indyjskich okolicach Benaresu i Jagernautu. „Tak, żaden budyjski lama lub muzułmański fakir, w mgnieniu oka z głębi Azyi na bulwary paryskie przeniesiony, nie doświadczyłby takiego zdziwienia, jakiém było moje zdziwienie, na widok zjawisk tak niezmiernie różnych ze światem moich starych, bretońskich księży, tych głów czcigodnych, całkowicie zdrewniałych czy skamieniałych, podobnych do owych ozirysowych kolosów, które późniéj podziwiać miałem w Egipcie, gdy długiemi szeregi stanęły przedemną, wspaniałe w swym ubłogosławionym spokoju... Mój chrześcianizm bretoński, tak mało był podobnym do religii, która tu panowała, jak mało podobném jest do perkalu, płótno mające twardość i grubość deski... Starzy księża moi, w swych ciężkich kościelnych kapach, wyglądali mi na magów, posiadających słowo zagadki wieczności; to, co podawano mi teraz, było religią z muślinu i perkaliku, pobożnością uperfumowaną, ustrojoną we wstążki, świeczki, dzbaneczki na kwiaty..."

Przewodnikiem małego seminaryum ś-tego Mikołaja był wykwintny, światowy, wysoko w arystokratycznych kołach postawiony, więcéj literacko niż teologicznie wykształcony, sam obdarzony pięknym pisarskim talentem, przyszły Orleański biskup, wówczas młody jeszcze ks. Dupanloup. Z bezwarunkową i żarliwą wiarą religijną, łączył on zręczność w wynajdywaniu narzędzi i sposobów mogących ją uświetnić, przyozdobić i niejako ułatwić dla tych, którzyby już całéj jéj surowości i bezwgzlędności przyjąć nie chcieli, albo nie mogli. Dążnością tą kierowany sposobił on uczniów swych na takich księży, którzyby znając i rozumiejąc świat dzisiejszy, umieli na ruchomym jego gruncie zasadzać i ochraniać drzewo religijności. Sposobił on ich na księży oświeconych i światowych, nie ustępujących światu ani jednego atomu z tego, co stanowi istotę katolicyzmu, lecz pociągających świat wytwornością powierzchni, lekkiem rozluźnieniem form, tym niejako pobłażliwym uśmiechem, który przybiera surowe oblicze cnoty, gdy nie chce na zawsze odstraszyć od siebie grzesznéj lecz wdzięcznéj płochości. Ztąd pochodziły te wstążki, świeczki, dzbaneczki do kwiatów. Panowała tu w gruncie rzeczy i we wszystkich swych szczegółach wiara ta sama, co u owych bretońskich księży w Tréguier, tylko że ostrość jéj kantów była przysłoniętą a kolczaste dla ludzi światowych głębie z lekka wywatowane. U wytwornych kierowników ś-go Mikołaja „słowa zagadki wieczności" były temi samemi, co u „zdrewniałych magów bretońskich,"

tylko tu, wypowiadano je innym dźwiękiem głosu niż tam; skamieniałość, którą tam ukazywano jawnie i nago, tu owijano girlandami ze świeżych kwiatów. Takich kwiatów, dostarczyć miało uczniom ks. Dupanloup, dla przyszłéj ich w świecie działalności, naprzód, niezmiernie staranne literackie wykształcenie, następnie, umiejętność nadawania przedmiotom religijnym w mowie i piśmie formy poetycznéj i ponętnéj, nakoniec, otworzenie na oścież drzwi i okien seminaryum, przed wszystkiemi zjawiskami współczesnego świata, ażeby przebywający w niém młodzieńcy, zaznajamiać się z niemi mogli, lecz zaznajamiać się wtedy jeszcze, gdy zostawali pod bezpośrednim wpływem swych duchownych kierowników, to jest, oglądać je ich oczami i sądzić je ich sumieniem. Ale zacne w swojéj bezwzględnéj szczerości i nieruchome w swym ubłogosławionym spokoju „ozirysowe kolosy“ z Tréguier, ani wyobrażenia mieć nie mogły, ile trudów i jakiéj zręczności używać musieli ci, którzy w tym nowożytnym Babilonie, w tym Paryżu zgorszenia i zepsucia, zmuszeni byli dla pożytku téj saméj idei, twardą ich deskę rozcieńczać na miękki muślin, a z podzwrotnikowéj bujności ich mitologii, wydobywać harmonią barw i delikatność woni. Trzeba było na to dłoni giętkich i delikatnych, z dotknięciem łagodném lecz pewném, z uściskiem miękkim ale silnym. Takie właśnie dłonie posiadał ks. Dupanloup, w giętkie, delikatne, arystokratyczne palce ujmował dusze swych wychowańców i zatapiał je w morzu kipiącéj światowości; lecz kiedy młoda dusza, zachwycona nowemi dla siebie widokami, drgała ruchem zapowiadającym ucieczkę, niemylném dotknięciem przyciskał najczulszą jéj strunę i miękko, ciepło, silnie zatrzymywał ją w swéj dłoni. Zbyt mądrym był i przenikliwym, aby módz nie spostrzegać niebezpieczeństwa swego wychowawczego systemu; ale wiedział, że po młodych sercach umiał grać jak artysta po strunach instrumentu. Wychowańcy seminaryum ś-go Mikołaja przepadali za swym wykwintnym, wymownym, w miarę surowym i w miarę poufałym przewodnikiem. Posiadał on sztukę budzenia w nich ruchów myśli, a następnie, prawie nieznacznego prowadzenia ich po wytkniętych przez siebie samego liniach. Wdzięczni, że przywołał do życia najbardziéj ludzką część ich istoty, nie spostrzegali, że czynił z niéj potém wszystko, czego pragnął. Każdego z 400-set uczniów swoich znał nazwisko i imię; wtajemniczał się w rodzinne uczucia i okoliczności każdego z nich; jakże bystre i głębokie spojrzenia zapuszczać umiał w zdolności ich umysłów, w słabości i siły ich woli i charakterów! Czarującym wpływom tego wytwornego człowieka, utalentowanego mówcy i pisarza i w swoim kierunku genialnego wychowawcy, uległo także smutne i nieśmiałe dziecię z rodzinnego swego podziemia

na świat ruchliwy i jasny, nagle przerzucone. Inny uczeń ks. Dupanloup, który naukom i kierunkowi jego na zawsze pozostał wiernym, utalentowany i wysokie miejsce w kościele dziś zajmujący ks. Cognat, w książce swéj p. t. „Pan Renan w przeszłości i teraźniejszości“ (*M-eur Renan hier et aujourd'hui*), skreślił portret ówczesnego bretońskiego chłopca. „Blady i szczupły, na wątłém swém ciele nosił głowę dużą, ze spuszczonemi prawie zawsze oczami... Nieśmiały aż do niezgrabności, zamyślony aż do niemoty, nie przyjmował udziału w grach rówieśników, rozmawiał mało i tylko z nielicznym kółkiem przyjaciół. Do wszystkich przykrości, które usposobienia takie sprowadzać mu musiały, przyłączyły się wspomnienia o rodzinnéj stronie, tęsknota za matką, niejednokrotne w otoczeniu nowém zranienie miłości własnéj. Popadł on w ciężką nostalgią, z którejby umarł, gdyby go był nie uratował ks. Dupanloup.“

Ks. Dupanloup, oprócz bladéj twarzy i wątłéj, nieśmiałéj postaci, bystrém swém okiem spostrzegł zapewne wielkie zdolności, zamknięte w téj dużéj czaszce i płomienie zapału, kryjące się za temi spuszczonemi powiekami. Ulitował się może nad cierpieniami tego dziecka, lecz wiedział téż zapewne, że takie dusze najtrudniéj zatrzymać w dłoni, bo mają one skrzydła, przycisnął więc najczulszą jéj strunę, mówił z nim o jego matce, wychwalał miłość jego dla niéj... wszakże sam miał matkę, która po Bogu pierwsze miejsce w jego sercu zajmowała. Odtąd, zjednany, wdzięczny i ośmielony miał on dla nowego mistrza swego tak bezwarunkową ufność i tak czułe przywiązanie, jakiemi napełniali go mistrze dawni. Przytém, widoki i pojęcia, z któremi spotykał się tutaj, rozbudzały w nim namiętną ciekawość. Nie przywiózł z sobą z Bretanii najlżejszego wyobrażenia o wielu rzeczach najprostszych. „Przybywając do Paryża, byłem moralnie wykształconym lecz umysłowo ciemnym do ostatnich granic możliwości. Wszystko mi było odkryciem. Ze zdumieniem dowiedziałem się o tém, że są na świecie ludzie świeccy, poważni i uczeni; spostrzegłem, że istnieje coś więcéj nad starożytność i kościół, szczególniéj zaś, że jest godne uwagi piśmiennictwo współczesne. Śmierć Ludwika XIV przestała być dla mnie końcem świata. Zjawiły się pojęcia, uczucia, które ani w starożytności ani w w. XVII-m nie istniały... Niedostateczne z wielu względów nauczanie u ś-go Mikołaja było bardzo wykwintném, bardzo literackiém... Romantyzm napływał do zakładu ze stron wszystkich; o niczém nie rozprawiano tu więcéj, jak o Lamartinie i Wiktorze Hugo. Przełożony nasz mieszał się sam do tych rozpraw i przez rok cały, w godzinach czytań duchownych, o tém tylko nam mówił. Powaga kościelna czyniła tu wprawdzie zastrzeżenia liczne, którym jednak czy-

niono częste ustępstwa. Tym sposobem poznałem walki wieku.. Lekcye historyi sprawiały mi także budzenie się pełne zadziwień... Gdy tylko nauczyciel czytać zaczynał historyą Francyi Michelet'a, stawałem się niezdolnym do robienia notat; harmonia jakaś pochłaniała mię i upajała. Duch wieku przybywał ku mnie przez wszystkie szczeliny źle spojonego cementu... Spoczywające we mnie zarody zostały zapłodnionemi. Z wielu powodów, źle do natury mojéj przypadające, nauczanie u ś-go Mikołaja było przecież siłą, która wszystko we mnie wprawiła w życie i rozkwit. O ile religijna wiara moja nie czuła się zadowoloną, o tyle umysł mój chciwie pochłaniał, podany mu świeży napój. W czasie przechadzek i rekreacyi wieczornych, wiedliśmy między sobą rozprawy nieskończone. Potém, nie podobna mi było usnąć: Lamartine i Hugo napełniali mi głowę. Pojąłem wtedy, czém jest sława. Objawiły mi się rzeczy całkiem nieznane: talent, rozgłos, blaski rzucane przez wielkie imiona... Wpłynąłem na morze, o które uderzały wszystkie burze i prądy wieku... Głębokie wpływy te działały na mnie przez trzy lata i przekształcały do głębi moję wewnętrzną istotę. Ks. Dupanloup dosłownie mię przeistoczył. W biedném dziecku z zakąta, najciaśniéj upowitem w grubą skórę, obudził on rozum otwarty i czynny... Chrześcianizm mój uległ niejakim zmianom; nie było przecież w umyśle moim nic wcale, coby nazwać się mogło chociażby cieniem zwątpienia..."

Że częściowe zapoznanie się z historyą, literaturą i prądami czasu, nie sprowadziło do umysłu młodego bretona najlżejszego jeszcze cienia religijnych wątpliwości, tłómaczy się to jasno trzema przyczynami. Przedewszystkiém, był on bretonem; w plemiennéın więc przyrodzeniu swém posiadał wielką skłonność do wiary w nadprzyrodzoność, skłonność, którą pierwsze otoczenie i wychowanie wzmogły w nim i utrwaliły. Następnie, serdeczne i na wzajemném zaufaniu oparte stosunki z ks. Dupanloup oddziaływały znakomicie przeciw wszelkim zboczeniom od ścisłéj prawowierności, od któréj przełożony szkoły ś-go Mikołaja, pomimo swych oportunistycznych ustępstw dla ducha i potrzeb wieku, na najcieńszą linią nie odstępował. I w tém to właśnie oddziaływaniu, wywieraném przez wpływy mistrza, przeciw umyślnie tu dopuszczonéj światowości, spoczywała wielka kunsztowność tego na pozór ze sprzecznych żywiołów złożonego, lecz w gruncie rzeczy, doskonale dla celów swych zorganizowanego wychowania. Ale daleko głębszą i więcéj stanowczą przyczyną od dwóch pierwszych, była natura umysłu Renana, która nie pozwalała mu wznosić gmachów wielkich, na gruncie lekkim. Ani wielce częściowa i jednostronna nauka historyi, ani uroki poezyi, ani blaski sławy, ani szumy światowych uciech i walk, nie mogły rzucić

cienia na jego dotychczasowy ideał; nie było w nich siły i powagi, któraby wystąpiła do równego boju, z jego powagą i siłą. Co więcéj, po chwilowém olśnieniu i zachwyceniu, po chciwém wchłonięciu w siebie mnóstwa nieznanych przedtém zjawisk i wiadomości, uczuł on płytkość tego nauczania i niejednę próżnię, którą pozostawiało ono w jego umyśle. W kapliczce ubranéj we wstążki, świeczki i dzbaneczki z kwiatami, zatęsknił do poważnéj i wielkiéj świątyni. Uczuł, że tu nie szukają prawdy i nie budują firmamentów dla tego, co poczytywał za rzecz najświętszą. Uczuł tu nieszczerość, naturze swojéj wstrętną. Rozumiał, że ten, któremu przypadnie w udziale piastować śród ludzkości ideał religijnych wierzeń i uczuć, powinien zdobyć dla tego ideału rozumowe i naukowe oręże. Z pierwiastków rozumu i wiedzy, chciał zbudować podstawy dla ideału swego. Nie wiedział i nie myślał, że te właśnie pierwiastki i tylko one, zdolnemi były obudzić śpiącą w nim dotąd zdolność wątpienia. To czego zdziałać nie mogły ani wdzięki poezyi, ani blaski sławy, ani gwary świata, dokonały nauki filozoficzne, znajomość niemczyzny i hebrajszczyzny, studya biblijne, które znalazł w wielkiéj i surowéj Akademii duchownéj ś-go Sulpicyusza.

Uczony i przenikliwy antropolog francuzki, Delaunay, gromadząc dla swych spostrzeżeń znaczne ilości czaszek ludzkich, uczynił spostrzeżenie, że czaszki wychowańców duchownego zakładu ś-go Sulpicyusza posiadają rozmiary znacznie mniejsze, niż te, które należały do uczniów wyższych szkół świeckich. Wiadomo powszechnie, że stosunek rozwoju umysłowego do objętości mózgu i względnie, do wielkości zawierającéj go czaszki, dowiedzionym nie jest i pozostaje dotąd w stanie naukowéj hypotezy. Niemniéj, w tym wypadku, owa czaszkowa niższość, tłómaczoną być może, przez określenie jednego z myślicieli francuzkich (Michelet'a), który zjednoczenie się w jednych celach jezuitów i Sulpicyanów, nazwał: „małżeństwem śmierci z próżnią." Renan dodaje, że zbliska widziana, próżnia ta miała w sobie coś rozrzewniającego, bo była wynikiem umyślnego pognębienia rozumu na rzecz wiary i świadomego siebie zaparcia się własnéj indywidualności, na rzecz uznanych powag. Z mistrzami tego zakładu, działo się wcale inaczéj niż z poczciwymi nauczycielami z Tréguier, albo wykwintnym przełożonym szkoły ś-go Mikołaja. Tamci, nie walczyli z niczém i nie wyrzekali się niczego, bo nigdy nie spoglądali w oblicze wiedzy i wieku, a miara dozwolonego im wzrostu, była ich własną miarą. Ks. Dupanloup, znowu, teolog słaby, lecz znakomity literat, rozwijał do 3możliwych granic świetne talenty swoje i swych uczniów, bez skrupułów, owszem, z silną ufnością w ich pożyteczność dla sprawy religii. Ale sulpicya-

nie stali na gruncie wytworzonym przez dwie zupełnie sprzeczne z sobą konieczności. Z jednéj strony, kształcąc dorosłą już młodzież, musieli być oni biegłymi w naukach teologicznych, o które ocierają się zbliska i w które nawet głęboko czasem wnikają innostronne strumienie myśli i wiedzy ludzkiéj. Chcąc niechcąc więc byli oni ludźmi uczonymi, pełnymi wiadomości nietylko o rzeczach wiary, ale o wszystkiém, cokolwiek z niemi miało najdalszy, choćby przychylny lub nieprzychylny stosunek. Przedstawiało to pole wiedzy i umiejętności bardzo obszerne i nawet różnostronne. Przytém umieszczeni na czele niejako nauki i cywilizacyi kościelnéj, przeznaczeni na duchownych przewodników przyszłych kapłanów religii i sług kościoła, wybieranymi bywali z pomiędzy ludzi obdarzonych najsilniejszemi charakterami i najwybitniejszemi zdolnościami, posiadali częstokroć zarody wielkich talentów naukowych i pisarskich. Tak było z jednéj strony; z drugiéj reguła, któréj zakład ten podlegał, zawierała się w słowach Pawła: „Ten jest chrześcianinem, kto umarł w Chrystusie.“ Założyciel téj instytucyi, Ollier, w śmierci za życia, widział ideał chrześciańskiéj doskonałości. Dzieło napisane przez niego w w. XVII stanowiło najwyższe i nieprzekraczalne prawo sulpicyan. W niém znajdują się następujące określenia idealnego stanu, do którego sulpicyanin dążyć powinien. „Czem jest stan śmierci? (za życia). Jest to stan, który czyni serce niesposobném do wszelkich wzruszeń i odbiera mu wszelką możność ruchu i pragnienia... Umarły może być popychanym z zewnątrz i w ciele swém doświadczać zewnętrznych pobudek do ruchu; ale popchnięcia te nie pochodzą z wnętrza, które pozostaje bez życia, bez ochoty, bez siły. Dusza umarła może otrzymywać ciosy od zewnętrznego świata, ale sama w sobie zostaje umarłą i nieczułą na wszystko, cokolwiek się przed nią zjawia.“

Lecz i téj wewnętrznéj zmartwiałości jeszcze za mało. Dla dosięgnięcia ideału nietylko umrzéć trzeba, ale i być pogrzebionym. „Umarły zachowuje jeszcze pozory świata i ciała; umarły wydaje się jeszcze częścią Adama; czasem jeszcze poruszanym bywa; czasem jeszcze przyjemność jakąś światu sprawić może. Ale o pogrzebanym nikt już nie mówi; wyszedł już on z szeregów ludzkich; śmierdzi, wstręt budzi, nie ma nic z tego, co podobać się może; depcą go na cmentarzu i nikt nie dziwi się temu, bo wszyscy wiedzą, że jest już niczém i że niema go pomiędzy ludźmi.“

Z obowiązku i zadania, które im spełniać wypadło, uczeni, energiczni, częstokroć utalentowani sulpicyanie musieli zarazem umierać za życia, martwieć wewnętrznie, śmierdziéć, wstręt budzić, wychodzić

z szeregów ludzkich, być niczém. Co za sprzeczność dwóch niemożliwych do pogodzenia konieczności! Jaka przerażająca otchłań walk! Walczyli. Usiłowali nie myśléć wcale, dla tego ażeby nie myśleć źle. Jedni z nich, kto wié po jakich trudach i bólach, kamienieli w błogosławionym spokoju i jak monolitowe kolosy stali u wrót swéj świątyni; inni złorzecząc rozumowi i światu zanurzali się namiętnie w upajające nurty mistycyzmu; na innych jeszcze znać było niepokój niedokończonych walk, rozdrażnienie wciąż poskramianych buntów myśli i woli. Tacy w pewnych chwilach jadowicie drwili z nauki i rozumu, a w innych, porwani czarem niezmożonym, stawali się w obec swych uczniów wymownymi ich tłómaczami. Byli tacy, którzy umierali młodo, nie już śmiercią moralną, jak zalecał Ollier, ale fizyczną, przedwczesną, tragiczną w tajemniczości swych przyczyn niewypowiedzianych nigdy. Niektórzy rzucali się ku naukom na pozór suchym, ściśle z teologią związanym hebraizowali i w swych filologicznych badaniach dosięgli wysokiego stopnia biegłości, prowadzącéj ich nieraz ku odkryciom, od których śpiesznie odwracali oczy, ukrywając je o ile było można, ale nie mogąc zupełnie ukryć, ani przed sobą, ani przed najbystrzejszymi ze swych uczni. Niektórzy jeszcze poddając się niezwalczonym pierwiastkom swéj natury chwytali za pióro. Pisali, ale pisząc nie tracili z pamięci rozkazów swéj reguły i wykonywając akt najwyższy, na jaki zdobyć się może życie, t. j. myśląc, usiłowali jeszcze umierać. Usiłowali, posiadając talent, pisać bez talentu, gasić starannie wszelki blask stylu, zacierać pilnie wszelkie piętno indywidualności, aby wydając z siebie to, co wzdymało ich dusze, nie dawać światu ani cząstki swéj duszy i od obowiązującéj ich reguły odstępować jak najmniéj. Ze wszystkich tych sprzeczności i z tych poruszeń ducha, kipiących pod skorupą usilnie wytwarzanéj zmartwiałości, powstawała w seminaryum zatęchłość przenikana świeżemi strugami powietrza, ciemność przerzynana skąpemi smugami światła. Możnaby rzec, że powietrze i światło wnikały tu sposobem kontrabandy, wbrew woli mistrzów i bez wiedzy uczniów. Wnikały jednak i spływając czasem na grunt odpowiedni, zapładniały tajemnie spoczywające w nim ziarna.

W duchowym ustroju Renana ziarnem takiém była tajemna dotąd dla niego i dla wszystkich zdolność do krytycyzmu. Widać, że dusza ludzka nie jest materyałem surowym i giętkim, któremuby wychowanie nadać mogło wszelkie, zamierzone z góry kierunki i kształty. W téj mianowicie duszy wszystko sprzyjało celom, do których zmierzało wychowanie. Była w niéj po przodkach odziedziczona i pierwszém otoczeniem wzmocniona skłonność do nadziemskich wierzeń i marzeń; była miękkość i słodycz charakteru,

chylące się raczéj ku ślepemu posłuszeństwu, niż ku zuchwałym buntom; była wrodzona poetyczność i miłość harmonii i ciszy, dla których życie na łonie religii i kościoła przedstawiało obfite źródło zadowoleń i miejsce bezpiecznéj przystani; było nakoniec zżycie się z myślą o przyszłém kapłaństwie tak ścisłe, że każde inne przeznaczenie nie tylko wydawało się niemożliwém, ale nawet wprost nie nasuwało się wyobraźni. Jednak, w tym niezmiernie skomplikowanym instrumencie, jakim jest duchowa organizacya człowieka wyższego, wystarczyło odezwanie się jednéj struny, ażeby zmienić brzmienie całego akordu. Pod jakim naciskiem budzić się zaczął do życia ten pierwiastek z pomiędzy wszystkich innych składników téj organizacyi wyosobniony, jak rósł i potężniał, przedstawia to dla psychologa widok niesłychanie ciekawy i nauczający.

Ze świetnéj, literackiéj szkoły św. Mikołaja przybywał on do wielkiéj akademii duchownéj, spragniony poważnéj, gruntownéj nauki i odrazu, z nieporównaną chciwością pić zaczął z tego jéj źródła, które stanęło przed nim otworem. „Bez cienia skrupułu oddałem się cały memu zamiłowaniu do nauki. Byłem zupełnie samotny. Paryża nie widziałem przez dwa lata, nie bawiłem się nigdy, godziny rekreacyjne spędzałem w oddalonym zakącie parku, z książką w ręku, w postawie siedzącéj, przed chłodem chroniąc się potrójną odzieżą. Czyniono mi uwagi, że taki sposób życia szkodliwym być może memu zdrowiu. Tylko co rość przestałem, a już plecy garbić mi się zaczynały. Ale namiętność moja przezwyciężała wszystkie względy. Oddawałem się jéj z tém większym spokojem, że poczytywałem ją za rzecz dobrą i prawą. Był to zresztą rodzaj szału i mógłżem przypuszczać, ze w zapale do myślenia zawiera się coś nagannego, mogącego sprowadzić dla mnie wyniki, od których broniłbym się wszystkiemi siłami, gdybym je mógł był choć najmniéj przewidziéć?"

Przedewszystkiém studyował filozofią, naturalnie filozofią scholastyczną, z całą drobiazgową subtelnością jéj wywodów i rozumowań i z niéj to najpierw zaczerpnął naukę budowania założeń i ich zbijanie, loicznego wywodzenia konsekwencyi, rozdzielania kategoryi, argumentowania. Odpowiadało to wybornie nieznanéj dotąd jego zdolności do rozbierania i krytykowania przedmiotów myśli, a zarazem budziło w niéj ruchy samodzielne. Samodzielność tę wywoływał szczególniéj pewien proceder filozofii scholastycznéj, na tém polegający, że obok każdéj tezy stawionéj przez prawowierność, mieści się rubryka zawierająca wszystkie zarzuty czynione jéj ze strony inaczéj myślących. Nazywa się to *solvuntur objecta*. Zarzuty owe są z kolei zbijane, lecz nieraz w sposób niedostateczny i pozo-

stawiający im całą ich siłę. Wielu nie spostrzega względnéj słabości tych obron, ale Renan ją spostrzegł i z bezgranicznego zdumienia, którém go zrazu spostrzeżenie to napełniło, wychylać dłań się zaczął pierwszy kolec sceptycyzmu. Dotąd jednak szło tylko o stare walki pierwotnego chrześciaństwa z gnostycyzmem i innemi sektami, które go zaraz, u początku drogi rozłamywać zaczęły; o rozprawy, które przed wiekami z sobą staczali, pierwsi założyciele kościoła z twórcami pierwszych herezyi. Wnet jednak przybyły i spory współczesne. W ścianach św. Sulpicyusza, utwory filozofii nowożytnéj ściśle wzbronionemi były, a jednak wchodziły w nie dwoma drogami. Pierwsza z nich była tém samém, co scholastyczne rubryki *solvuntur objecta*. Niedawano wychowańcom akademii pism nowożytnych filozofów, ale dawano książki, za pomocą których obrońcy kościoła zwalczali ich myśli i zdania. Wszelka obrona obejść się nie może bez przedstawienia planu i argumentów, bez dosłownego nieraz powtarzania słów przeciwnika. Jak starych sekciarzy uczniowie sulpicyanów poznawali przez pisma współczesnych im ojców kościoła, tak nowożytnych myślicieli przedstawiały im dzieła dzisiejszych stróżów prawowierności. Ale współcześni filozofowie, dla współczesnéj młodzieży posiadali czasem wymowę nieprzezwyciężoną. Mistrze imiona ich okrywali hańbą, a myśli piętnowali bezwarunkowém potępieniem; uczniowie wyjątków z ich dzieł, z przeciwnych im książek zaczerpniętych, uczyli się na pamięć. Polemika z heterodoksyą, którą sama ortodoksya wkładała w ręce swych uczniów, zaciekawiała młode umysły, pobudzała je do rozmów i rozpraw nieskończonych, namiętnych, kołyszących myśl w strony różne wtedy, gdy celem wychowania było zwracać ją wyłącznie i bezwarunkowo w stronę jedną. Drugą drogę dla przybywania nowych prądów myśli tworzyli ci z pomiędzy wychowańców św. Sulpicyusza, którzy przybywali tu w wieku nieco późniejszym, po odbyciu jakichś innostronnych studyów, po pewnym już czasie przebywania wśród świata, w charakterze ludzi świeckich. Rozpowiadali oni o tém, co kędyś słyszeli i czego się nauczyli. Jeden z takich, po ukończeniu filozoficznego kursu w uniwersytecie, powtarzał w ścianach św. Sulpicyusza treść lekcyi wymownego eklektyka Cousin'a; inny, historyk, zapoznawał współtowarzyszy swych z Augustynem Thierry, historyografem pierwszych wewnętrznych rozdarć i walk kościoła; inny jeszcze przyniósł z sobą odblask wymowny Montalambert'a i Lacordair'a i zarazem tchnienie neo-katolicyzmu, czyli katolicyzmu poprawionego, o którym marzyli ci więcéj szlachetni, aniżeli konsekwentni, lecz zawsze duchem nowatorstwa zarażeni ludzie. Wszystko to sprawiało wrażenie wielkie, ale nierówne sprowadzało następstwa. Większość,

po chwilowém zwróceniu oblicza w inną stronę, korniéj jeszcze niż wprzódy, bo ze skruchą i trwogą, na zawsze już pochylała je przed nieomylnością swych powag; inni, daleko mniéj liczni, nigdy więcéj odzyskać nie mieli swéj pierwotnéj, nieskazitelnéj wiary. Zależało to od mniejszych lub większych zdolności krytycznych, od większéj lub mniejszéj szczerości charakteru, téj szczerości, która człowiekowi czyni niepodobném wkładanie na własną, wewnętrzną istotę ochrończych i uspakajających masek. Był w zakładzie nauczyciel, który daremnie walczył z samym sobą i posiadaną przez się nauką, orężem mistycyzmu i zaparcia się samych nawet pozorów ludzkiéj dostojności. Wierzył we wszystkie wizye, mniemał że sam ich doświadcza; gromił uczniów za zbyteczny zapał do nauki; usiłował być wstrętnym; oburkliwy, szorstki, zaniedbujący najprostszą czystość ciała, nosił odzież podartą i brudną, połom swej sukni nadawał czynności ścierki. I gdyby zadaniem jego nie było kształcenie młodzieży, najpewniéj stałby się nietylko umarłym, ale i pogrzebanym za życia ascetą. Lecz właśnie przypadło mu w udziale nauczać matematyki i nauk przyrodniczych, a wszelkie usiłowania zabicia własnych zdolności sprawić nie mogły, aby nie widział więcéj, niż widziéć mu było wolno. Z siebie samego i z posiadanych przez się wiadomości ukrywał wiele; wszystkiego przed umysłami bystremi i chciwemi wiedzy ukryć nie mógł. „To, czego Pinault nauczył mię o historyi naturalnéj i fizyologii, wtajemniczyło mię w prawa rządzące życiem. Byłby on moim prawdziwym mistrzem, gdyby najdziwniejszym z procesów ludzkiego ducha, nie dążył z rodzajem wściekłości do ukrycia i wykrzywienia najpiękniejszych stron swego geniuszu. Jednak rozumiałem go lepiéj i więcéj niż tego domyślał się i niżby tego żądał. Zacząłem spostrzegać niedostateczność tego, co nazywa się spirytualizmem; kartezyuszowskie dowody istnienia duszy oddzielnéj od ciała wydawały mi się niedostatecznemi, traciłem ufność w abstrakcyjną metafizykę, która rości pretensye do stanowienia nauki po za granicami wszystkich nauk i sama jedna podejmuje się rozwiązywać wszystkie najwyższe zagadki ludzkości.... Wieczne *fieri*, czyli stawanie się, przemiana bez końca, zamajaczyła przedemną w postaci prawa rządzącego światem. Przyroda objawiła mi się jako wielka całość, bez oddzielnych aktów stwarzania i w któréj wszystko ulega prawu przemiany...“ Tak... Budowa przez lat tyle na przyjaznym gruncie wznoszona zachwiała się w swych najtajniejszych podstawach; ale ten, który na poły z rozkoszą, na poły z męczarnią chwianie się to czuł w sobie, jeszcze nie wiedział czego właściwie było ono początkiem i zapowiedzią. Wyjaśnił mu to jeden z najprzenikliwszych, a zarazem najsurowszych przewodników zakładu. „P. Got-

tofrey rozmawiał zemną bardzo rzadko, ale przypatrywał mi się widocznie z wielką ciekawością. Łacińskie argumentacye moje, a szczególniéj stanowczość i przejęcie się, z jakiemi je czyniłem, zadziwiały go i niepokoiły. Raz, gdy z większą niż kiedykolwiek mocą stawiałem zarzuty, a słabość udzielanych mi odpowiedzi wywołała kilka uśmiechów na twarze mych współtowarzyszy, Gottofrey przerwał lekcyą, a wieczorem wziął mię na stronę i długo, wymownie mówił mi o tém, jak bardzo ufność pokładana w rozumie przeciwną jest chrześcianizmowi i jakie krzywdy racyonalizm wyrządza wierze. Uniósł się i ostro wyrzucać mi zaczął zamiłowanie moje do nauki. Na co się zdało badanie? Rzeczy najważniejsze są już poznane. Nie przez naukę wcale dusza zbawioną być może. Nakoniec, unosząc się coraz bardziéj, rzekł mi namiętnie: „Nie jesteś chrześcianinem.“

W głowę i serce młodzieńca słowa te wpadły gromem i napełniły go takim przestrachem, że opuszczając celę nauczyciela swego, chwiał się na nogach. Noc całą spędził w dręczącym niepokoju, a nazajutrz z rana trwogę swą i żałość powierzył spowiednikowi swemu, będącemu także jednym z przewodników zakładu. Ten był człowiekiem łagodnym, gładkim, pobłażliwszym od innych, a zarazem niezachwianie ufającym w potęgę węzłów, wiążących z wiarą te serca ludzkie, które ją raz poznały. Mniemał, że węzłów tych rozluźnić ani tembardziéj zerwać nie mogą drobne i jak mniemał przemijające wątpliwości. Pocieszył on i uspokoił swego ucznia i penitenta, nie taił przed nim nawet, że postępek Gottofreya wydał mu się niewłaściwym i nieostrożnym, doradził nie zastanawiać się wcale nad niektóremi ruchami myśli, których przyczyną była młodość, a które najpewniéj znikną bez śladu w wieku dojrzalszym, wśród powagi i zajęć kapłańskiego życia. Znacznie pocieszony Renan rozmawiał jeszcze o tym przedmiocie z innym swym nauczycielem, który także żywo zalecił mu nie myśléć o tém, co się przytrafiło i prawdziwości swéj wiary nie mierzyć drobnemi i cząstkowemi zarzutami. To go już uspokoiło tém łatwiéj, że we własném swém wnętrzu czuł niezmierną miłość dla idei, na któréj łonie spłynęły mu dzieciństwo i młodość i niezmierne pragnienie pozostania jéj wiernym. „Jakim sposobem scholastyka i chrześcianizm nie ustępowały z mego umysłu, w obec dość już jasnych pojęć o filozofii pozytywnéj? Młody byłem, niekonsekwentny i nie posiadałem jeszcze najważniejszych narzędzi krytyki. Uspakajał mię także przykład wielu wielkich umysłów, które, głęboko patrząc w naturę, nie przestawały być chrześciańskiemi. Myślałem szczególniéj o Malebranche'u, który przez całe swe życie odprawiał msze, mając o ogólnym porządku wszechświata wyobrażenia nie wiele różniące się z temi, do których ja te-

raz dochodzić zacząłem... Istotnie też twierdzić mogę, że chrześciańska wiara moja nie była nadwerężoną... Nie stawiałem przed sobą nigdy zasadniczéj kwestyi o prawdziwości dogmatów chrześciańskich i Biblii. Jak Leibnitz i Malebranche wierzyłem w objawienie, w znaczeniu jego ogólnikowém. Wprawdzie moja filozofia *stawania się* była najczystszą herezyą, lecz strzegłem się jeszcze wyprowadzania z niéj wniosków... Oprócz wszystkiego innego, powściągało mię na téj drodze uczucie skromności..." Spokojnie więc znowu i bez wahania, po dwóch latach filozoficznych studyów, przeszedł na wyższy wydział akademii, w którym wykładano właściwą teologią. Tu nauka hebrajszczyzny i rozbiór Biblii, oko w oko już postawiły go z objawieniem, a badania samych źródeł chrześcianizmu podały mu te najważniejsze narzędzia krytyki, o których braku wprzódy wspominał. Krytyka historyczna dokonała dzieła, przygotowanego przez literaturę, a rozpoczętego przez filozofią. „W księdze boskiéj wszystko ma być prawdziwém, a ponieważ dwie sprzeczności nie mogą być zarazem prawdziwemi, nie powinna ona zawierać żadnéj sprzeczności. Otóż uważne badanie Biblii, odkrywając przedemną historyczne i estetyczne skarby, przekonywało mię, że księga ta, na równi ze wszystkiemi księgami starożytności, nie jest wolną od przeciwieństw, wypadkowości, błędów. Są tam bajki, legendy i wyraźne ślady ludzkiéj kompozycyi. Niepodobném stało się utrzymywać, że druga część Izajasza pochodzi od Izajasza. Księga Daniela, którą prawowierność przypisuje epoce niewoli babilońskiéj, jest fałszywoimiennym utworem z 169 czy 170 roku przed nar. Chr. Księga Judyty przedstawia historyczną niemożliwość. Poczytywać Pięcioksiąg za dzieło Mojżesza jest niepodobieństwem, a wobec zaprzeczenia temu, że pewne części Genezy mają charakter mitów, za prawdziwe uważać należy, opowiadanie takie, jak o raju, jabłku i arce Noego. Zaś, ktokolwiek zbacza od jednego chociażby z tych punktów, przestaje być katolikiem.... Prawowierność rozkazuje wierzyć, że wszystkie biblijne księgi są utworami tych, którym przypisują je ich tytuły. Najumiarkowańsze doktryny katolickie nie pozwalają przypuszczać znajdowania się w księdze świętéj jakiegokolwiek błędu, jakiejkolwiek sprzeczności, nawet w tych jéj ustępach, które nie mają związku z wiarą lub moralnością. Otóż, przypuszczając nawet, że wśród tysięcy sporów, które na różnych punktach mniemanego świętego pisma staczają się pomiędzy krytyką a prawowiernością, znajdują się takie, w których wbrew pozorom prawowierność ma za sobą słuszność, niepodobném jest przecież, aby miała ona słuszność po wiele tysięcy razy; zaś jeżeli raz jeden tylko nie ma słuszności, cała teza natchnienia z góry upada.... W kategoryi sprzeczności naprzy-

kład, każdy umysł wolny od teologicznych uprzedzeń przyznać musi, że sprzeczności niepodobne do pogodzenia zachodzą pomiędzy trzema pierwszemi Ewangeliami a Ewangelią czwartą, jako też w porównaniu pomiędzy trzema pierwszemi. Dla racyonalistów nie posiada to wielkiego znaczenia, ale prawowiernego obowiązek dowodzenia, że księga jego nie może zawierać błędu, oplątuje siecią nieskończonych subtelności. Sylwester de Saçy zajmował się specyalnie cytatami ze Starego Testamentu, znajdującemi się w Nowym i tak mu było trudno usprawiedliwić ich skrzywienia, że skończył na przyjęciu zasady następującéj: oba testamenty są nieomylne, ale Nowy Testament przestaje być nieomylnym wtedy, gdy czyni przytoczenia ze Starego. Podobnie rozpaczliwym pomysłom ten tylko dziwić się może, kto zbliska nie zna spraw religii. Lecz ktokolwiek doświadczył rozbicia wiary, téj wiary, z któréj uczynił ognisko i moc swego życia, wié dobrze, iż tonący, chwyta się najniemożliwszych środków ratunkowych, byle tylko nie stracić wszystkiego, co kocha i czci...."

Jego rozbicie było historyą długą, bolesną, pełną nieposkromionych buntów myśli i pokornych skruszonych powrotów. Krwawemi łzami opłakiwał to, co tracił i rozżalone swe serce rzucał do stóp Jezusa, wołając: „Przyjm mię takim, jakim jestem, opuszczać cię nie chcę!" Jezus, który przepowiadał, że przyjdzie czas, gdy ludzie nie będą czcić Boga w żadnéj świątyni i na żadném wzgórzu, ale w sercach swoich, ujrzałby pewno w tém sercu szczerém i w ideałach rozkochaném swoję świątynię. Ale sam nawet kościół, pomimo kwestyi o drugiéj części Izajasza, księdze Judyty, raju, jabłku, arce i t. p. zwątpień duszę tę dręczących, a wcale przed nim nie ukrywanych, przyjąć go pragnął takim, jakim był. Naturalnie, postradanie téj wielkiéj zdolności albo zachowanie jéj w łonie kościoła, było rzeczą nie małéj wagi. Przytém charakter buntownika, surowy dla siebie, a miękki i słodki dla innych, zapowiadał jednego z tych kapłanów, którzy w nieskazitelnych i dobroczynnych dłoniach wysoko wznoszą sztandar swéj religii. Więc spowiednik Renana, nie ten już co pierwéj, lecz równie ujmujący i pobłażliwy, usilnie go pociągał, ku przyjęciu pierwszych święceń kapłańskich. „Co? — mówił — pokusy przeciw wierze! Ależ nie zważaj na to! Idź prosto przed siebie. To przeminie. Pokusy te poczytuj za umartwienie takie jak wszelkie inne. Wiedz, że nie znałem nikogo, ktoby ich nie doświadczał. Trzeba tylko mieć cierpliwość. Trzeba tylko tym podszeptom nie odpowiadać, udawać nawet, że się nie słyszy głosu nieprzyjaciela. Niech sobie, ile chce, puka do drzwi, nie trzeba nawet zapytywać: kto tam?"

Późniéj, ludzie przeciwnych przekonań krwawy zarzut czynili mu z tego, że uległ tym ujmującym i pobłażliwym namowom. Jak



śmiał przestąpić pierwszy próg kościoła, wiedząc już o tém, że jest wyrodnym jego synem? Dla czego, nie wierząc już, dokonał najwyższego aktu wiary? Niejednokrotnie powiedziano mu potém, że w owéj chwili był on oszustem i złodziejem rzeczy świętych. Jednak ci, którzy go przez próg ten przeprowadzili i owego aktu na nim dokonali, wiedzieli jakim był nietylko na równi z nim, ale zapewne lepiéj od niego samego; bo najtrudniejszym jest do spełnienia w całéj swéj rozciągłości, filozoficzny przepis: znaj samego siebie! Ale znać go musieli ludzie doświadczeni i biegli, którzy przez lat kilka trzymali pod swém okiem i roztrząsali w konfesyonale jego sumienie. Ufali oni w przyszłość, w dojrzałość, we wpływy czynnego i od książek oderwanego życia, - może téż w siłę korporacyi, w uczucie obowiązku, we względy na dostojność kapłańskiéj szaty i srogość ludzkich opinii. Ale i on także posiadał wyobrażenia, które go od wszelkiéj obłudy broniły. Kiedy wkładając kapłańską suknię, wymawiał przepisane słowa: „Cząstką dziedzictwa mego i kielicha mego jest Pan. Ty jesteś, który mi powrócisz dziedzictwo moje!“ myślał o poświęceniu swego życia sprawom ludzkiego ducha, myśli, wiedzy, pracy, i o zasłużeniu sobie tym sposobem na część dziedzictwa i część kielicha w krainie ideału. W myśli jego brzmiało gorące *Ascendam*! *Ascendam*! wyżéj i wyżéj! Przyszłość okazać miała, czy i jak spełnił tę swoję wewnętrzną przysięgę.

Tymczasem, było to już ostatnie zawahanie się jego na drżącym mu pod stopami gruncie. W ojczystéj swéj Bretanii, do któréj przybył na wakacyjne miesiące, sam na sam znalazł się ze swém sumieniem i do reszty siebie samego zrozumiał. Zrozumiał, że z sieci jego dawnéj wiary, ani jedne oko całém nie pozostało i że uległa ona nie przed jedném rozumowaniem, któreby można było wyrzucić z mózgu, lecz przed tysiącem rozumowań, które się stały samą istotą jego umysłu. Wtedy rozegrał się w jego wnętrzu dramat rozdzierający. Wszystkie jego przyzwyczajenia, uczucia, interesy własne i rodzinne wystąpiły w nim do walki z jedną tylko uczciwością. Żadna inna pobudka nie popychała go do uczynienia strasznego kroku i dla tego właśnie był on dlań strasznym. Z utratą wiary religijnéj dzieje się rozmaicie; w różnych ustrojach ludzkich dokonywa się ona wskutek wpływów różnych i różne po sobie w sumieniu i życiu pozostawia ślady. Są ludzie, którzy rodzą się niezdolnymi do zrozumienia i umiłowania wszelkiéj abstrakcyi i wszelkiego ideału; ci, narzuconą im w dzieciństwie wiarę tracą niepostrzeżenie, bezwiednie, jak coś sztucznie w naturę ich wstawionego i obchodzą się bez niéj potém z łatwością, jak bez czegoś, co im zupełnie było niepotrzebném. Inni, najniżsi, umyślnie wiarę tę usuwając z swéj drogi, goto-

wi są nawet deptać ją ze wściekłością, dla tego, aby moralne jéj przepisy nie przeszkadzały im czynić zadość własnym ich interesom lub namiętnościom. Inni jeszcze, najwyżsi i najszczęśliwsi posiadają już w chwili jéj utracenia w zastępstwie życiowych podstaw, których ona udzielić może, inne podstawy, w zastępstwie dróg, które ona wskazuje, drogi równie dostojne i pewne, którym przewodniczy inna, już przez nich poznana i ukochana idea. Do żadnéj z tych kategoryi nie należał Renan. Natura jego do najwyższego stopnia religijną była w têm znaczeniu, że niby ptak w czystém powietrzu, mogła żyć i oddychać tylko w świecie abstrakcyi i ideałów; z pomiędzy zaś tych ostatnich, ten, który mu od dzieciństwa przyświecał, odpowiadał wybornie uczuciowéj stronie jego charakteru. Żadna namiętność i żaden interes, nie skłaniały go w stronę przeciwną. Ci nawet, którzy potém żywili względem niego najżarliwszą nienawiść, nie zdołali odkryć, wśród rządzących nim wtedy pobudek, téj pospolitéj w takich razach sprężyny, którą Francuzi określają słowami: *cherchez la femme*; co zaś do interesów, nic bardziéj obrażać ich nie mogło, jak rozstanie się z przyszłością, już dlań utorowaną przez długoletnie nauki, któréj nad wszystko pragnęła, gorąco przezeń ukochana matka, w któréj, oczekiwały go cisza i spokój, tak ponętne dla jego skromności i nieśmiałości, zajęcia, tak stosowne dla jego chęci oddania się sprawom ducha, pewność materyalnego bytu tymczasem, a potém zapewne, należne wyższym jego zdolnościom zaszczyty i dostojeństwa. Nic jeszcze nie posiadał, coby zastąpić mu mogło to, co tracił. Ubogi, nieznający świata i ludzi, bez stosunków i poparcia, bez wszelkiego określonego zawodu, bo jakkolwiek był uczonym, do wstąpienia na jakąkolwiek drogę publicznych czynności stosownych praw nie posiadał; w 24-m roku życia miał zaczynać życie tak zupełnie, jakby dotąd wcale jeszcze nie żył. W dodatku, wiedział, że jednêm słowem swém trwogą i rozpaczą napełni serce nad wszystko mu drogie, serce matki... słowo to, zerwać też miało stosunki jego z nauczycielami i współtowarzyszami, zgruchotać wszystkie dotychczasowe przywiązania, pozrywać przyjaźni, wytrącić go z atmosfery rodzinnéj w świat zupełnie obcy, który zrazu przynajmniéj, powitać go musiał podejrzeniami, przyganami i pośmiewiskiem, ścigającemi zawsze podobnych mu dezerterów...

Ażeby tych wszystkich wstrząśnień, boleści i trosk uniknąć, co należało mu uczynić? Nic, tylko na duchowe oblicze swoje włożyć maskę, nawet pół maski, bo dla instytucyi kościoła zachowywał jeszcze głęboki szacunek, a samo źródło chrześciańskiéj religii, Jezusa, tak czcił i kochał, że teraz, gdy na pozór miał go opuścić, cześć ta i miłość stanowiły najsroższą z mnóstwa jego męczarni... Więc, tyl-

ko pół maski, tylko o tém i owém przemilczéć, tylko to i owo w głębinach ducha przed wszelkim wzrokiem zamknąć, dalszy rozwój swéj myśli silną wolą wstrzymać, a z tém. coby tam jeszcze gwałtem wdzierało się do rozumu, przyjazne i tajemne kompromisy zawrzéć. Nic, tylko to. Trochę obłudy i trochę dobrowolnéj ślepoty i głuchoty, trochę oszustwa i trochę samobójstwa...

Ale on tego nie chciał. Ani oszukiwać innych, ani w samym sobie najwyższego wykwitu człowieczéj istoty zabijać nie chciał. Kochał prawdę i miał cześć dla powszechnéj myśli ludzkiéj, któréj myśl jego była objawem i cząstką. Zasiew uczciwości i surowego zapatrywania się na życie, rzucony w jego duszę, przez uczciwych i surowych księży w Tréguier, miał teraz wydać plony i—zwrócić ich wychowańca przeciw temu, co oni poczytywali za jedyne źródło uczciwości i cnoty... Tak wiatry polne odnoszą w przeciwną stronę ziarno rzucone ręką rolnika; lecz tu lub gdzieindziéj wydaje ono kłos żywiący i zdrowy. Ironia, śmiejąca się na dnie wszelkich spraw ludzkich, nie jest czém inném, jak niepodobieństwem, w jakiém znajdują się ludzie, przewidzenia i rozpoznania wszystkich wyników, które kiedyś skrzyżują się z ich zamiarami i łańcuch przyczyn i następstw ułożą w sposób dla nich niespodziany.

Są ludzie, którzy umieją płakać tylko nad mogiłami drogich im ludzi; czém zaś jest składać do grobu uczucia albo idee, nie wiedzą. Lecz dla organizacyi innych, to w co wierzyli i to co wielbili staje się samém jądrem ich istoty, którego zamieranie wstrząsa do głębi ich życiem. Takiemu wstrząśnieniu uległ Renan, gdy jasno i ostatecznie ujrzał w sobie umieranie dotychczasowych uczuć swych i wierzeń. Wraz z tém jasném spojrzeniem w siebie, powziął postanowienie stanowcze. Doskonała uczciwość nie może długo walczyć z pokusami. Tu zaś, głos wewnętrzny rozkazująco mu powtarzał: „Nie jesteś już katolikiem. Suknia twoja jest kłamstwem. Zrzuć ją co prędzéj.“ Katolikiem już nie był, ale czyż przez to wszystko już było straconém? Jak tonący kruchą gałęź, tak on chwytał myśl, że przecież chrześcianinem pozostał. Czyliż nie kochał Jezusa i nie pragnął w swém życiu iść za naukami tego, którego dotąd za mistrza mistrzów uważał? „Gdybym był skłonnym do wierzenia w wizye, ujrzałbym pewno Jezusa, przemawiającego do mnie: „Opuść mię, aby pozostać moim uczniem!“ Bo on przecież niezmiennie pozostał dla mnie mistrzem, a gdy kosztem wszelkich ofiar chciałem trwać przy tém, co miałem za prawdę, byłem przekonany, że postępuję za nim i pełnię najważniejsze jego przykazanie.“ Lecz i ten punkt oparcia, wkrótce skruszył się w jego dłoni.

Jeden ze szkolnych współtowarzyszy jego, najczulszą przyjaźnią od dzieciństwa z nim związany, ks. Cognat, niedawno ogłosił drukiem listy, które podówczas od niego otrzymywał i przyznać trzeba, że jakkolwiek to uczynił w celu zupełnie przeciwnym, oddał tém dawnemu przyjacielowi swemu przysługę znakomitą. W listach tych, przedstawia się jeden z najwspanialszych obrazów téj ziemi: dusza ludzka wśród niewymownych cierpień, ważąca się na krok, mający uratować jéj dostojność i prawość. „Wybór, który mam do zrobienia, przedstawił mi się bardzo jasno; nie mogę wrócić do katolicyzmu inaczéj, jak przez amputacyą dokonaną na jednéj z władz mego umysłu, przez ostateczne przytłumienie mego rozumu i rozkazanie mu, aby milczał pokornie, aby milczał zupełnie i zawsze. Tak, gdybym wrócił, musiałbym wyrzec się życia nauki i rozbioru, a żyć życiem mistyczném... bo co do życia płochego i nizkiego, od tego, mniemam, że Bóg mię zawsze chronić będzie. Katolicyzm zadawalnia we mnie wszystko, prócz méj zdolności krytycznéj; trzeba więc wyrzec się jednego, lub amputować drugą. Ostatnia ta operacya byłaby trudną i boleśną, ale wierz mi, że dokonałbym jéj bez wahania, gdyby mi tego sumienie moje nie wzbraniało, gdybym mógł wierzyć, że jest to rozkazem Boga. Wierzaj mi także, iż musiałem strasznie cierpiéć, jeżeli mogłem nawet rzecz taką przypuścić, bo wydaje mi się ona sroższą od śmierci.“

W innéin miejscu pisze.

„Szczęśliwe dzieci, które śpią i marzą i nie myślą wchodzić w tę walkę z Bogiem! Widzę dokoła siebie ludzi czystych i cnotliwych, którym chrześcianizm wystarcza do szczęścia i cnoty. O! niechże Bóg ich broni od przebudzenia się téj bolesnéj zdolności, téj krytyki niezmożonéj, która tak nieprzezwyciężenie upomina się o swe prawa! Nie wahałbym się wykroić ją z siebie, gdybym to uważał za możebne i godziwe. Wiem, że prawowierny powinien ten stan mój przypisywać méj własnéj winie. Nie będę się o to sprzeczał; nikt nie wie, czy zasługuję na miłość albo nienawiść. Lecz możnaż czynić lepiéj, jak złożyć się w ofierze temu, co się poczytuje za prawdę?“

„Wzgardzić opinią ludzką, która mi będzie bardzo surową, przebyć długie lata ciężkiego życia i kto wie, nigdy może żadnego celu nie osięgnąć, to jeszcze za mało cierpienia. Zmuszony jestem własną ręką przebić to serce, na które spłynęła cała tkliwość mego. Miłość synowska zastępowała mi dotąd wszystkie miłości inne, a pomiędzy mną i moją matką zadzierzgnęło się tysiąc węzłów, z okoliczności naszego życia powstałych. Otóż, tu jest moja najcięższa ofiara. Boże mój! co to będzie? co to będzie? Pieszczoty jéj mię dręczą, od marzeń jéj, o których mi mówi ciągle, serce me łzami na-

brzmiewa. Ach, gdyby ona wiedziała! poświęciłbym dla niéj wszystko, oprócz obowiązku i sumienia mego.“ ... „A w życiu praktycznéin cóż będę czynił? Z niewymowną trwogą widzę zbliżający się koniec wakacyi a wraz z nim, chwilę, w któréj będę musiał stan mojéj duszy wyrazić czynami. Troski powszednie życia męczą mię i nudzą... Nie jestem stworzonym na rycerza przemysłu. Wiem, że; ludzie śmiać się będą z méj prostoty i wezmą mię za głupca. Gdybym jeszcze był pewnym samego siebie! Lecz, jeżeli w zetknięciu z powszedniością utracę czystość mojego serca i moje pojęcia o życiu! A któż znając siebie, może nie lękać się słabości własnéj?.. Często myślę o tobie, dobry mój przyjacielu, jak bardzo jesteś szczęśliwy. Przyszłość pomyślna i stale określona otwiera się przed tobą; widzisz dobrze swój cel i masz wszystkie sposoby dążenia ku niemu. Posiadasz potężne oparcie: ściśle zamknięty dogmat. Wprawdzie zachowasz pewno na zawsze swoję szerokość myśli i uczuć; obyś nigdy nie odkrył żadnéj niezgody, pomiędzy potrzebami serca i pragnieniami umysłu swego... Jakiekolwiek wyobrażenie poweźmiesz o mém położeniu obecném i stanie méj duszy, nie odbieraj mi swéj przyjaźni. Omyłki i nawet błędy, zerwać jéj przecież nie powinny. Zresztą, powtarzam, ufam w szerokość twéj duszy i niech mię Bóg broni, abym ci miał dowodzić, że nie jest ona prawowierną, bo pragnę, abyś ją zachował i zarazem, abyś prawowiernym pozostał. Tobie jednemu powierzam najtajniejsze myśli moje. Na Boga! bądź mi pobłażliwym i nie przestawaj nazywać mię swym bratem.“

W październiku 1845-go roku ze schodów seminaryum ś-go Sulpicyusza, zstępował młody człowiek w sukni kapłańskiéj, którą zdjąć miał za chwilę. Po długich rozmowach, stoczonych z tymi, których dotąd był uczniem, na zawsze opuszczał on te ściany i smutny, nieśmiały, samotny, wchodził w hałaśliwy, świetny i tłumny świat Paryża.

Zrazu napastowały go nędze życia srogie i pospolite. Siostra, o któréj tyle tylko wiemy, że „rozumem swym przyświecała mu w najtrudniejszych chwilach, nakształt płomienistego drogoskazu,“ przybiegała mu i z materyalną pomocą. Z głębi Polski, któréj przez czas jakiś była mieszkanką, przysłała mu 1200 franków, które musiały wystarczyć mu na długo, bo jakkolwiek wtedy już był najbieglejszym we Francyi hebraistą, stopnia naukowego nie posiadał i ograniczać się musiał, niezmiernie skromną i wcale prawie nie opłacaną czynnością korepetytora niższych klas w jedném z najmniejszych liceów paryskich. Czynność ta pogrążając go w materyalnym niedostatku, pozostawiała mu wiele wolnego czasu. Spędzał go w samotności i nad nauką. Sposobił się do zdania egzaminów w uniwersytecie

i zarazem wstąpił na drogę piśmiennictwa kilku małemi rozprawami, drukowanemi w dziennikach paryskich, za które zrazu żadnych honoraryów nie otrzymywał dla tego, że nie przyszło mu nawet na myśl dopominać się za pracę umysłową o jakąkolwiek zapłatę. Ale przyniosły mu one korzyść nieocenioną, bo zwróciły na niego uwagę ludzi stojących na czele francuskiéj nauki. Wkrótce wielcy i słynni uczeni, tacy jak Eugeniusz Burnouf, oryentalista, i Augustyn Thierry, historyk pierwszych wieków po Chr. gorąco zajęli się tak umysłem jego jak losem. W zastępstwie ks. Cognat, który wnet po ostateczném rozstaniu się jego z kościołem, w sposób gwałtowny i boleśny zerwał z nim stosunki, zdobył sobie najserdeczniejszego przyjaciela, w osobie słynnego potém naturalisty Berthelot'a. Jeden z najmożniejszych wydawców paryskich, niewzywany i całkiem mu nawet nieznany, zjawił się dnia pewnego w ubogiéj jego izdebce i w zamian prawa drukowania wszystkiego, co kiedy napisze, ofiarował mu sumę, mającą go już na zawsze ochronić przed niedostatkiem. Potém suma ta wzrastać miała, w miarę wzrastania jego pisarskiéj sławy. Nakoniec, tę rozwijającą się coraz pomyślność uwieńczyło przywrócenie spokoju i szczęścia zranionemu a tak bardzo drogiemu dlań sercu matki. Widząc, że syn jéj pozostaje dla niéj takim, jakim był wprzódy i że ze zmianą stanu, uczuciowa i moralna jego istota zmianie nie uległa, zrozumiała: „że na sposób różny kapłanem być można.“ Dach jego chronił ostatnie jéj lata od wszelkich smutków i niedostatków, a kiedy zbliżający się koniec życia obarczył ją fizycznemi cierpieniami, syn jéj dojrzały już wtedy, sławny, wzięty, poszukiwany, długie godziny odrywał od prac swych i towarzyskich stosunków, aby obecnością swą i rozmową kołysać jéj bóle i rozpromieniać ostatnie dni życia. W cichym pokoju, do którego wnikało tylko czerwonawe światło ulicznéj latarni, gdy za oknami Paryż wrzał, huczał i wzywał ku sobie tego, który dziś już był jedną z chwał jego, oni, we dwoje, przez długie wieczory rozmawiali z sobą o smętnéj Bretanii, o morzu, które z łoskotem oblewa jéj brzegi, o prastarych jéj patronach, o dawnych jéj mieszkańcach, o ciężkich przebytych chwilach i téj niezmiernéj dobroci, któréj pełnym jest wszechświat, a która sprawia, że ci co szukają prawdy, z łona burz i poróżnień wchodzą w atmosferę pokoju i zgody. Potém, gdy ta szanowna i ukochana postać z pomiędzy ścian jego zniknęła, dom jego nie pozostał już pustym. Augustyn Thierry, który wprowadził go był w świat towarzyski Paryża, zapoznał go téż z rodziną Szefferów, z pośród któréj wziął sobie żonę. Wkrótce téż miał córkę, którą nazwał biblijném imieniem Noemi. Odbywał liczne podróże po Europie, na wschód i do Grecyi; otrzymał od swéj ojczyzny wszystkie możliwe

zaszczyty; został członkiem akademii i mnóstwa uczonych towarzystw, dyrektorem instytutu nauk, najbliższym przyjacielem ludzi najsłynniejszych. Miał także i nieprzyjaciół licznych i żarliwych. Jednym z nich był dawny przełożony małego seminaryum św. Mikołaja, ks. Dupanloup. Zrazu, wnet po zdjęciu z siebie przez Renana sukni księżéj, ufny zapewne w swą umiejętność jednania, okazywał mu on wiele słodyczy i wspaniałomyślności; potém przecież, gdy stało się niewątpliwém że rzecz była nieodwołalną, okazywał mu jawnie swe wrogie usposobienie. Do jednego z poufnych swoich pisał: „Istnieje na świecie człowiek, który nie ośmieli się spojrzéć mi w oczy. Jest nim Ernest Renan!“ Kiedy potém autora *Historyi języków semickich* i *Historyi początków chrześciaństwa*, przedstawiono jako kandydata na wakujące krzesło w akademii 40-stu nieśmiertelnych, biskup orleański oświadczył, że opuści zgromadzenie to w chwili, w któréj Renan wejdzie doń w charakterze jednego z jego członków. O kilka lat przez to spóźniona, kandydatura ta została jednak przyjętą. Renan wszedł do akademii, ks. Dupanloup jéj nie opuścił; spojrzeli sobie w oczy. Najmilszego przyjaciela swéj młodości, księdza Cognat, nie widział przez lat 30. Po upływie dopiero czasu tego, obaj już siwiejący, ujrzeli się poraz pierwszy od burzliwego swego rozstania, na pogrzebie Littré'go. W pogrzebowym orszaku tego wielkiego myśliciela, którego ostatnie chwile są i na zawsze może pozostaną boleśną tajemnicą, szli obaj w doktorskich biretach: Renan w charakterze dyrektora Instytutu nauk, Cognat, proboszcza jednéj z największych parafii Paryża. Szli zdala od siebie, rozdzieleni przepaścią pojęć i spełnionych na świecie czynności. „Nie mogliśmy z sobą rozmawiać!“ — krótko i ze smutkiem o chwili téj pisze Renan. Jakaś ręka nieprzyjazna i dziwnie wytrwała, od lat wielu i każdego prawie miesiąca przysyła mu list, w którym te tylko i zawsze te same znajdują się wyrazy: „A jeżeli jest piekło?“ U końca swych *Wspomnień z dziecińtwa i młodości*, Renan na pytanie to odpowiada w sposób następujący:

„Zapewne osoba pobożna, która mi wciąż tę jednę myśl nasuwa, dba o zbawienie méj duszy. Wdzięczny jéj za to jestem. Ale naprzód, piekło jest hipotezą, nie zgadzającą się wcale z pojęciem o dobroci Boga, a potém, gdyby i istniało, z ręką na sumieniu wyznaję, że nie myślę, abym sobie na nie zasłużył... Nieskończona dobroć, którą znalazłem na tym świecie, upewnia mię niejako, że wiekuistość napełnioną być musi dobrocią jeszcze większą...“

Ta nieskończona dobroć działała w całém jego życiu.

„Życie mi było bardzo słodkiem i nie myślę, aby w tym stanie samowiedzy, jakiego dosięgła planeta nasza, istnieć mogło wiele istot

szczęśliwszych nademnie.... Pokój umysłu mego jest zupełny. Od natury i społeczeństwa doświadczyłem wielkiéj dobroci. Szczególnym trafem, który rozciągnął się na całe życie moje, w każdéj trudnéj chwili spotykałem ludzi wybornych. Dobry humor, do zmącenia trudny, będący wynikiem moralnego zdrowia, które znowu pochodzi z równowagi duchowéj i znośnego stanu ciała, utrzymywał mię zawsze na łonie filozofii spokojnéj, tłómaczącéj się bądź pełnym wdzięczności optymizmem, bądź wesołą ironią.... Przypuszczać mógł bym, że los zaściełał nieraz przedemną poduszki, aby mi oszczędzić zbyt boleśnych uderzeń.... A teraz dobrego geniusza, który tyle razy prowadził mię, pocieszał i wspierał, proszę już tylko, aby mi dał w dalszéj lub bliższéj przyszłości śmierć łagodną i prędką. Cierpienia zniżają poziom człowieka, osłabiają go, czynią skłonnym do zapierania się samego siebie.. Nie chciałbym przebywać tego okresu niedołężności, w którym człowiek energiczny i prawy staje się cieniem samego siebie i często, ku wielkiéj radości głupców. obala budowę, którą przez całe życie pracowicie był wznosił. Jeżeli jednak los taki mię spotka, z góry zaprzeczam słabościom, których słowami lub podpisem dopuścić się kiedyś może mózg mój rozmiękły i nieudolny. Niechaj ludzie słuchają tego i wierzą temu, co mówi im teraz Renan na ciele i umyśle zdrowy, a nie ufają temu, co powie on wtedy, gdy do połowy zostanie przez śmierć nadchodzącą zniszczonym i rozłożonym.....“

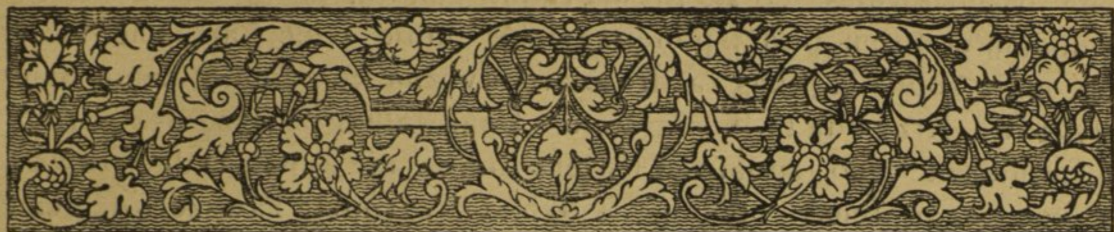
„...Istnienie, które otrzymałem nie prosząc o nie, uważam za wyświadczone mi dobrodziejstwo. Wiek, w którym żyłem, nie jest zapewne największym z wieków; ale uchodzić nigdy nie przestanie za wielce zajmujący. Jeżeli w ostatnich mych latach nie zaznam zbyt srogich cierpień, to, żegnając życie, będę mógł tylko dziękować przyczynie wszelkiego dobra za śliczną przechadzkę, którą pozwoliła mi ona uczynić śród świata rzeczywistości.“

Najpewniéj człowiek ten posiadał w samym sobie wiele przyczyn, które istnienie jego napełniły słodyczą i pokojem. Wielkie jego zdolności potężnie przed nim torowały drogę, a charakter dopomagał zdolnościom. Ujrzał on tę wielką prawdę, że kędy wiara znika, pozostaje moralność i do niéj stosował swe życie. Zrozumiał także zasadę, która kierować winna wszystkiemi podobnemi mu istnieniami, że „na dwie zarazem wolności pozwalać sobie nie można i wolnomyśliciel nie powinien miéć wolnych obyczajów.“ Czystość życia, surowość przyzwyczajeń, powaga zajęć stawały się dlań źródłem mnóstwa uciech i korzyści. Lecz w dorośnięciu tego umysłu do właściwéj mu miary i w pomyślnym biegu tego istnienia, wielki

udział przypada na chwałę społeczeństwa, w którém się one rozwijały. Na chwałę i na szczęście: bo obfitą w nadzieje przyszłość mają przed sobą te kraje, które jak Francya, rozumieją dostojność myśli ludzkiéj i nie pozwalają wielkim zdolnościom swych synów maleć i marnieć w więzach i przeciwnościach. Gdzieindziéj Renan nie znalazłby zapewne ani opiekuńczych geniuszów, ani ochrończych poduszek i może nie domyśliłby się nawet, że świat jest pełen nieskończonéj dobroci....

Eliza Orzeszkowa.





TERESA MANFREDI,

NOWELA

JULIUSZA ZEYERA.

L'étranger, te voyant mourante, échevelée,
Demande: „Quas-tu donc, o femme désolée!"
A. Chénier.

O drogi mistrzu i przyjacielu, z jak rozżaloném sercem pisze dzisiaj do ciebie. Pióro wypada mi z ręki, lecz muszę powiedziéć wszystko. Obiecałem to tobie i Benedyktowi i obietnicę winienem spełnić. Wiadomości twoje o tryumfach obrazu Benedykta w salonie paryzkim ranią mnie, jakby uderzenia sztyletu. Kto wie, czy nie będzie to ostatnie jego dzieło? Kto nam da pewność, że wyzdrowieje z ciężkiéj choroby duchowéj, w którą wtrąciły go wypadki, ściśle z tym obrazem związane? Jeżeli umrze, lub zwaryuje na dobre, jakże prędko przeminie młoda jego sława!... Dziesięć, dwanaście lat dalszéj działalności, a imię Benedykta zapisało by się może na wieki w dziejach sztuki—jeśli nie wyzdrowieje, za lat kilka zapomną o nim. Choć zresztą cóż mu z tego? Czyliż mniéj boli człowieka serce, gdy sobie zapewni tę odrobinę sławy pogrobowéj? O drogi mój mistrzu, jakżeś dobry, że dom swój i objęcia otwierasz nieszczęsnemu Benedyktowi, nie dbając o to, że spokój i cisza twéj pustelni w Passy przerwane zostaną westchnieniami i wykrzyknikami jego strapionego serca. Daruj, że mówię o dobroci twojéj, nie chcesz nigdy słuchać pochwał dla siebie, milczę już, toć i tak zabrakło by mi wymowy, gdybym słowami chciał ją ocenić. To, co ci dzisiaj piszę o Benedykcie, nie jest ani skargą, ani obroną, lecz prostem opowiadaniem faktów, o tyle przedmiotowém, o ile będę w stanie. Wymawiałeś mi ostatnim razem, że się niekiedy zbyt cierpko o przyjacielu wyrażam.

Nie przeczuwałeś, co się tu w Pradze działo, ja nie mogłem i nie śmiałem ci o tém pisać, podejrzewałeś mnie więc nareszcie, że się we mnie zbudziła jakaś zazdrość artystyczna ku zdolniejszemu Benedyktowi. Krzywda ta bolała mnie. Uznawałem zawsze bez goryczy świetniejsze jego zdolności i wierz mi, że nie żywię żadnéj zawiści. Robię bez pretensyi, co mogę, i byłem przyrodzie zawsze wdzięczny za ten mały dar talentu, którym mnie za mą, poprostu odrażającą twarz wynagrodziła. Dziękuję Bogu i za tę brzydotę, byłbym może mniéj zadowolony z miejsca, które jako artysta zajmuję, gdyby mnie szkarada moja już dawno rezygnacyi nie była nauczyła. Lecz pozwól, że już zacznę me opowiadanie.

Gdym roku zeszłego ze Skandynawii do Pragi powrócił, pierwsza przechadzka moja była, jak się łatwo domyślisz, na Hradczany do Benedykta. Tęskniłem za nim z całego serca, a byłem też ciekawy obejrzéć nową jego pracownię, o któréj mi w listach cuda opowiadał. Zaiste, miejscowość zasługiwała na jego natchnione pochwały. Pracownia znajdowała się w dawnym, dziś opuszczonym pałacu. Przez długą, ciemną bramę wjazdową wszedłem na podwórzec malowany sgrafito, który teraźniejszy właściciel w filisterskiéj swojéj głupocie „czysto“ pobielić kazał, tak, że tylko miejscami dawna arystokratyczna sława z pod mieszczańskiéj banalności ku słońcu się wydobywała, a na środku w bujnéj trawie płakała rozbita fontanna kroplistemi łzami na upokorzoną pychę czasów minionych. Przez piękny portyk kamienny dostałem się na wązkie schody, których wysokie stopnie z tak twardego kamienia wyciosane były, że wandalizm kilku stuleci zdrowo przetrwały. Może krew się po nich kiedyś potokami lała, może w ciemnéj téj klatce grzmiał dziki ryk boju? Kto wie? Cyniczny brud ich nie opowiadał o niczém. Wiodły mnie strasznie wysoko, wysoko, aż do samych drzwi drogiego przyjaciela. Miejscowość, którą sobie Benedykt na pracownię przetworzył, miała cechy o wiele późniejszych czasów. Cała ta masa maskaronów, girland i festonów z owoców i kwiatów, wszystkie te muszle, amory i biusty cezarów i bogiń świadczyły jasno w malowniczości swéj o dobie Ludwika XV. Ogromne okno, wybite w zupełnie zniszczonéj malaturze stropu, wpuszczało do pracowni łunę północnego światła, a ciężka opona naprzeciw wejścia zdawała się zakrywać drugie okno. Po pierwszém przywitaniu obejrzałem wszystko dokładnie, a podczas gdy Benedykt udzielał mi spostrzeżenia, że jego pracownia najprędzéj służyła kiedyś za teatr domowy, odsunąłem oponę. Zgadłem. Stałem przed oknem sięgającém do saméj podłogi, a trudno sobie wyobrazić piękniejszy widok nad ten, jaki otwierał się tu na labirynt zczerniałych dachów, pysznych wież i majestatycznych kopuł, z dziw-

nie powabném tłem porosłego drzewami Petrzyna i dyamentowym połyskiem rzeki w oddali. Spojrzenie na Pragę budzi zawsze we mnie natchnienie, a czarowny ten obraz nie traci nigdy nic ze swéj nowości. Chciałem stanąć na szerokim gzymsie przed oknem, aby użyć jeszcze szerszego widoku, Benedykt z przerażeniem w tył mnie pociągnął.

— Jesteś nienasycony! powiedział mi.

— Człowiek włóczy się w pocie czoła po fiordach—zadeklamowałem—wytrząsa niemiłosiernie ubogie swe ciało na tych strasznych wózkach, które dobrzy Norwegowie (niepiękną rzecz niepięknem słowem) stolkärren nazywają, a coś takiego jak ten obraz nie zwraca niczyjéj uwagi!

— Czy nie myślisz śpiewać tu u mnie swéj niemożliwéj pieśni o tematach obcych!—przestraszył się Benedykt a ja waryat jeszcze wstrzymuję cię, byś z okna nie wyleciał, zamiast po przyjacielsku pomódz ci dostać się na dół. Schowaj sobie, mój drogi, to przyjemne kazanie na jaką herbatkę estetycką, a opowiedz lepiéj o swoich podróżach, przygodach...

Teraz ja śmiać się zacząłem.

— Więc ty wierzysz jeszcze w tę fantastyczną rzecz, która się nazywa przygodą? To może wierzysz także w istnienie jednorożca, co?

Tymczasem Benedykt rozwinął mój karton, który przyniosłem z sobą i rzuciłem gdzieś, na jakieś krzesło, które się pod rękę nawinęło.

— Mój ty Boże!—zawołał z rzeczywistym zapałem—zkąd wziąłeś to studyum?

Spojrzałem. Był to naprędce naszkicowany widok miejscowości, oddalonéj o kilka mil od Jönköpingu; miał prawdziwy szwedzki charakter: wielkie torfowisko gdzieniegdzie porośnięte jałowcem, po niem rozrzucone łomy siwego granitu, w głębi las brzozowy, a nad całym krajobrazem niezmierzony widnokrąg, rozciągający się w dal bezgraniczną. Wieczór się zbliżał, torfowisko parowało i modre dymy pełzały po niem ku lasowi, jak cienie ossyaniczne. W mgnieniu oka zapomniałem o Pradze jaśniejącéj przedemną w blaskach słońca i zatęskniłem znów całą duszą do szwedzkiéj pustyni; westchnąłem głęboko.

— Aha, zdaje się, żeś miał jednak jakąś przygodę—drażnił mnie Benedykt—ta miejscowość była niewątpliwie sceną najdziwniejszego w świecie wypadku...

— Doprawdy, byłbym zapomniał—odrzekłem—istotnie, stało się coś, gdym ten szkic malował.

— Opowiedz!—nalegał Benedykt.

— Łudzisz się, mój drogi, nie była to żadna przygoda, jeno zwykłe spotkanie, ale i ty masz w tém pewien udział. Poznajomiłem się bardzo blizko i dobrze tu, właśnie naprzeciw tego lasu, z zapalonym dyletantem. Malujący i rysujący dyletanci są, obok gromad podróżników angielskich—najcięższą klęską wieku naszego. Mój dyletant był hrabią i rodakiem, nie znał niewątpliwie „drugiego języka krajowego,“ wogóle wszakże porządny to chłopak. Oto masz jego bilet. Szliśmy razem z Jönköpingu do Habo piechotą; trwało to dzień cały, ponieważ robiliśmy po drodze szkice niektórych grup drzewnych. Hrabia podziwiał mię naiwnie i szczerze, choć przyznał mi się, że nie rozumie dobrze, na co podróżuję po Szwecyi. Jego ściągnęły tutaj stosunki rodzinne, lecz zawiódł się, wyobrażał sobie Szwecyą zupełnie inaczéj, nie znalazł tam jak mówił—ani jednego motywu do porządnego obrazu. Pokazał mi swą tekę, same studya ze Szwajcaryi, same Alpy w różanych świtach z modremi, jak śliwy cieniami. Lodowce jego wyglądały jak puddyngi migdałowe, polane sokiem poziomkowym. Zresztą, jak ci mówię, dobry, tęgi chłopiec. Ma tu w Pradze narzeczoną, która mieszka z ojcem swym w jego pałacu. Przyszły teść jego, szlachcic czeski z nazwiskiem włoskiém, nie ma podobno żadnego majątku, matka narzeczonéj była córką jakiegoś mieszczanina. Hrabia nie mieszka nigdy w Pradze i wynajął księciu, przyszłemu teściowi, swój pałac. Jeśli chcesz, pójdziemy jutro do księcia.“

— My?—zadziwił się Benedykt—a to na co?

— Hrabia powiedział mi, że są podobno w jego pałacu jakieś stare, uszkodzone freski. Życzy sobie, abyśmy je obejrzeli, a ty—bo mówiłem mu o tobie—masz je podobno restaurować. Hrabia tak cię—tymczasem tylko na wiarę słów moich, nieograniczenie uwielbia, że pragnie, abyś mu robił portret jego narzeczonéj. Pisał już do księcia, który nas oczekuje; wyprawiałem sam list do niego w Chrystianii, gdzieśmy się z hrabią rozstali. Dałem mu też słowo, że zaraz po przyjeździe księżniczkę, jego narzeczoną, odwiedzę i pokażę jéj swoje studya. Podobno tak samo zapalona do sztuki, jak on. Szczerze mówiąc, obietnica ta wcale nie robi mi przyjemności. Nie jestem nieprzyjacielem arystokracyi rodowéj, przeciwnie, uważam ją za prawdziwy ideał w porównaniu z naszą głupio nadętą burżuazyą i ze śmieszną zarozumiałością naszych mniemanych wielkości, ale nie czuję się jednak swobodnym w jéj towarzystwie. Nasza szlachta nie ma polotu ani poczucia piękna, nie rozumie sztuki, jednėm słowem, nie jest arystokracyą z epoki odrodzenia. Niewątpliwie, nam także daleko do artystów owoczesnych, to też—mówiąc bezstronnie

upadły obie arystokracye: i rodu i ducha równie nizko. *A propos*, znasz pałac hrabiego?

— Znam—odrzekł Benedykt i przystąpił do wielkiego okna.— Widzisz tam tę wysoką fasadę? Jest to tylko o kilka domów ztąd, człowiek mógłby po tych śpiczastych, krętych szczytach dachów dostać się aż do pałacu, gdyby naturalnie był tak lekki, jak gołąb, lub przynajmniéj tak zgrabny, jak kot. Widzisz, jak się ta droga zawraca, jak robi zakręty aż tam do tarasu za klasztorem Barnabitek, potém biegnie prosto do pałacu. Nieraz myślałem o tém, że narażając życie, może udałoby się dopełznąć aż na ten taras w przybytku świętych dziewic.

Benedykt zaśmiał się na całe gardło; w téj chwili zadzwonił ktoś, naprzód nieśmiało, a zaraz potém bardzo gwałtownie. Otworzyłem—i wysoka, smukła dziewczyna w prostéj, lecz gustownéj odzieży jak cień wsunęła się do pracowni. Piękność jéj nie miała nic wspólnego z ideałem greckim, ale przypominała mocno egipskie boginie, tak misternemi konturami rysowane na murach świątyń i grobowców. Profil jéj z tém nizkiem, spokojném czołem, z delikatnym, na końcu nieco zagiętym nosem, z pełnemi ustami i krótką, silną, pięknie zaokrągloną brodą, był tak czysty, jakby go rysował najlepszy artysta z najświetniejszéj epoki tebańskiéj. W wyrazie szczególnéj jéj twarzy było coś dziecinnego a przecież poważnego, uderzała na pierwszy rzut oka, ale olśniewająca piękność jéj wtedy dopiero w pełném okazała się świetle, gdy podniosła spuszczone źrenice. Pod czarnemi, nad nosem prawie zbiegającemi się brwiami świeciły namiętnie ciemnosiwe oczy podłużnego kształtu i szczególnego, zagadkowego czaru. Były głębokie jak niebo. W całéj postaci jéj przebijała się spokojna jakaś dystynkcya, a ruchy jéj były pełne wdzięku, jak kwiaty chwiejące się pod tchnieniem wiatru.

— Czego pani sobie życzy?—spytał Benedykt z owym trochę cynicznym uśmiechem, który tak często szpecił piękną twarz jego.

— Dowiedziałam się, że potrzebujesz pan modelu, myślałam tedy... jąkała się, blada twarz jéj stała się jeszcze bledszą, a uśmiech jego jeszcze obelżywszym.

Była to dla mnie scena tak niemiła, żem porwał za kapelusz.

— Benedykcie,—rzekłem—zdaje mi się, że panienka mnie się żenuje, pójdę do kawiarni, nie jadłem jeszcze śniadania, tam będę czekał na ciebie.

Zdawało mi się, że jéj ulżyło. Skłoniłem jéj się, podziękowała mi wdzięczném nieledwie spojrzeniem ciemnosiwych oczu. Zbiegałem ze spadzistych schodów tak szybko, jak na to moje długie, niezgrabne nogi pozwalały, i nie wiem, czemu westchnąłem wspomniaw-

szy mimowolnie o brzydocie mego oblicza; było to coś niezgodnego z moją zwykłą niedbałością o swoję piękność. Znalazłszy się na podwórzu, przypomniałem sobie, że nie powiedziałem Benedyktowi, do której pójdę kawiarni. Wracać nie chciałem, oparłem się tedy o wpółrozwaloną fontannę, zamierzając poczekać tu na przyjaciela. W głębi serca przyznałem sobie, że poczekam chętnie—wabiła mię pewność, że zobaczę znowu te szczególne, namiętne, poważne a jednak tak dziecięce oczy. Zacząłem o ich siwym blasku rozmyśląć, marzyć... I zdało mi się naraz, że zniszczone sgrafito w całéj harmonii pięknych linii na ścianach wystąpiło, że srebrny strumień fontanny wzbił się wysoko między szeleszczące korony nieobecnych już drzew, z okien domu wyjrzał rój paziów złotowłosych, dawno zamarłe dźwięki mandolin zabrzmiały słodko z wysoko sklepionych sal i galeryi, a z pod wysmukłéj kolumnady wyszła z cichą powagą wysoka postać... Jedwabny tren jéj szumiał po gładkich płytach kamiennych, miękkie jéj włosy połyskiwały w słońcu, na łabędziéj, białéj szyi wisiały drogocenne perły, a pod czarnemi, nad zgrabnym nosem prawie schodzącemi się brwiami świeciły jasno a głęboko siwe jéj oczy...

Nie wiem, jak długo trwał mój sen, wyrwały mię z niego pośpieszne, lekkie kroki, które ozwały się za mną na spadzistych schodach, i w chwilę potém przebiegło koło mnie dziewczę, o którém marzyłem. Była zmięszana i nie widziała mnie. Śpieszyła się. Przebiegła szybko podwórze, zatonęła w mroku ciemnego przejazdu, potém raz jeszcze kontur wysmukłéj jéj postaci z przedziwną czystością zarysował się na złotem tle blasków słonecznych przed domem—i znikła. Miałże-m biedz za nią? I po co? Zanim zdążyłem odpowiedzieć sobie na te pytania, usłyszałem i ujrzałem już Benedykta na schodach. Był wesół jak zwykle i pogwizdywał sobie.

— Co się stało? Co jest temu dziewczęciu? —spytałem szybko.

— Nic się nie stało—uśmiechnął się Benedykt pokręcając spokojnie wąsa.—Młoda ta dama ofiarowała mi swoję miłość, a ja ją odrzuciłem.

— Ofiarowała ci swoję miłość—powtórzyłem za nim powoli, zdumiony i z ciężarem jakimś na sercu, potém dodałem nieco ostrym tonem:—A tyś ją odrzucił! Nie bywałeś przecie nigdy nieczułym, o, chyba przeciwnie.

— Prawda—zaśmiał się Benedykt,—i nie jestem nim dotąd. Poczekaj, aż zobaczysz piękną Wiolantę. Od chwili, gdy ją kocham, żadna inna kobieta nie wydaje mi się piękną. Rubens nie namalował nigdy tak pełnych kształtów, tak różanéj płci, tak złotych włosów, nie namalował nigdy piersi...

— Dość, dość już tych hymnów pochwalnych, wiesz, że mnie Rubensowskie piękności nigdy rozgrzać nie mogły.

— Tak, przypominam sobie, dla ciebie istnieją tylko święte dziewice Fiezolego z białemi prawie całkiem oczyma, w których maleńkie źrenice jakby z obowiązku tylko są zaznaczone, lub almee, z oczyma pełnemi mistycznéj rozkoszy wschodu lub namiętnego żaru Hiszpanii. Podziwiam tylko, jak te ostateczności zarówno kochać potrafisz.

— Kocham takie oczy, jak te, co świeciły pod ciemnemi brwiami dziewczyny, która ci *podobno* ofiarowała swoję miłość—rzekłem więcéj do siebie niż do Benedykta.

Ten klasnął w ręce.

— Zazdrościsz!—zaśmiał się głośno.—Jak szczególny nacisk kładziesz na swe powątpiewające *podobno*! Oczarowała cię ta dziewczyna? Rzecz doprawdy nie warta gniewu, będzie ci bardzo łatwo pozyskać jéj miłość. Posłuchaj, jakem się z nią zapoznał. Nie wiem już, jak dawno, poszedłem na Petrzyn na przechadzkę. Było tam pusto i cicho, jak zazwyczaj, a ja szedłem w złym humorze, ponieważ Wiolanta na dwa dni wyjechała z Pragi; podejrzewałem, że pojechała nie sama. Zabawiłem się nieco w nieszczęśliwego kochanka, wzdychałem, spoglądałem sentymentalnie na ozłocone słońcem obłoczki, przysłuchiwałem się szelestom drzew, jedném słowem z rozwiniętemi wszystkiemi żaglami płynąłem po morzu liryzmu. W tém słyszę ciche westchnienie i spostrzegam dziewczę siedzące pod drzewem na nizkiéj ławeczce. Nie mogłem rozpoznać dokładnie rysów jéj twarzy, ale wydała mi się młodą i piękną... Zemścić się nad Wiolantą za jéj niewierność, sprzeniewierzając się jéj znowu, zdało mi się pomysłem równie szczęśliwym, jak logicznym. Dziewczyna była sama, przystępuję do niéj i głosem tak głębokim i drżącym, jak ja to tylko potrafię, wołam: „Nakoniec, ach, nakoniec znalazłem cię! Darmo szukałem, nikt mi nie mógł powiedziéć, kto jesteś! Jak długo wzdychałem do téj chwili, w któréj wolno mi będzie wykrzyknąć—kocham cię, kocham niezłomną siłą młodzieńczéj swéj duszy, kocham...“ Tu o mało-m nie wybuchnął śmiechem; jeżeli dziewczyna ta—pomyślałem, choć raz w życiu była w teatrze, jestem zgubiony, rozśmieje mi się w oczy. W téj chwili głos jakiś ozwał się od blizkiego kościołka, pod wezwaniem nie wiem jakiego świętego. Zapomniałem, jakie imię kobiece głos ten wymówił, ale dziewczyna zerwała się jak ze snu zbudzona. Usunąłem się prędko w cień, a stary jakiś pan przystąpił do ławeczki. „Już otwarty,“ rzekł i dziewczyna milcząc, wsparła się na jego ramieniu. Poprowadził ją do kościoła, którego drzwi ktoś właśnie otwierał. Dziewczyna już mnie daléj nie

zajmowała, choć obejście jéj uderzyło mię trochę, było coś niezwykłego w jéj ruchu. Odszedłem i po półgodzinie zapomniałem o całéj téj śmiesznéj scenie. Dopiero dziś przypomniałem sobie znowu tę małą komedyą, podczas odwiedzin téj dziewczyny, która mnie nudzi, a ciebie zajmuje. Nie poznałem jéj w pierwszéj chwili, choć wydała mi się nieco znajomą, ale gdy zaczęła: „Oto, ja byłam szczęśliwszą, niż pan, znalazłam pana,“ wiedziałem już o co idzie. „Chciałam pisać do pana,“ ciągnęła daléj dziewczyna, ale wolałam przyjść sama, chciałam widziéć zdumienie pana!“ Usiłowałem tedy otworzeniem ust zaznaczyć to oczekiwane zdumienie, ale najprędzéj wyglądało to bardzo głupio. Dziewczyna jednak nie zauważyła tego. „Powtórz, powtórz te słowa,“ szeptała i znów na wpół zamknęła oczy, jak wtedy na Petrzynie. Nie mogłem dłużéj wstrzymać się od śmiechu. „Te słowa zapomniałem już dawno, szalona główko,“ rzekłem biorąc ją trochę po ojcowsku za brodę. „Więc panienka wzięła to za prawdę! Szkoda, że kocham inną. Naiwność taka, jak panienki, zasługiwałaby na szacunek i na nagrodę. Zresztą moja kochanka miewa kaprysy, gniewa się czasem na mnie, a wtedy nie mam nic przeciwko temu, żeby kochać inną. Ale nie radziłbym panience spotkać się z nią tutaj. Proszę mi dać swój adres, jesteś panienka—na mój honor—pięknie zbudowana...“ Wziąłem ją za rękę...

— Co za brutalność!—zawołałem rozgniewany.

— Ależ jak się jéj pozbyć, jeżeli nie w ten sposób!—śmiał się Benedykt.—Zresztą myślę, żem się jéj jeszcze na dobre nie pozbył. Nie jest wcale tak naiwna, jak udaje. Przyjdzie z pewnością znowu jutro, a wtedy poślę ją do ciebie. Wiolanta jest zazdrosna, nie pozwala mi miéć innego modelu oprócz własnéj pięknéj osoby. Zresztą nie mógłbym do swéj „Bachantki“ znaleść piękniejszego od niéj modelu. Ach, jak ją zobaczysz!

— Któż, u wszystkich djabłów, jest ta Wiolanta?

— Nie wiesz tego?—zadziwił się.—Jest to obraz Rubensa obdarzony życiem. Wiolanta będzie śpiewaczką. Ma głos szkaradny i wie to sama, ale wydziera się mimo to do teatru, najlepsza to droga do zostania znaną i poszukiwaną. Być znaną i poszukiwaną to wszystko, czego chce Wiolanta. Znalazła już niezmiernie bogatego mecenasa, tak głupiego, że wierzy w jéj powołanie artystyczne i zdolności, i że jéj miłość dla artystów jako miłość dla sztuki sobie tłómaczy. Mecenas ma zazdrosną żonę i nie może Wiolanty strzedz dostatecznie, jest sam strzeżony nazbyt dobrze. Możesz sobie wyobrazić, jak się zeń z Wiolantą wyśmiewamy. Jestem tak szczęśliwy, że mnie kocha namiętnie. Imię „Wiolanta“ wyszukałem dla niéj ja, teraz jest powszechnie przyjęte, nawet przez mecenasa. Nie powiem ci nad to

nic więcéj. Przyjdź dziś do mnie na wieczór, a zobaczysz ją, zaprosiła kilku z naszych przyjaciół na małą zabawę do méj pracowni, a jako mego przyjaciela z pewnością radośnie cię powita.

Obiecałem mu, że przyjdę, i rozeszliśmy się.

Znienawidziłem tę Wiolantę zanim jeszcze ją zobaczyłem, znienawidziłem ją za wpływ, który wywierała na Benedykta. Nie powiedziałem ci jeszcze, drogi mistrzu, ani słowa o pracy, którą dzisiaj rano w pracowni Benedykta widziałem; malował bachantkę, a Wiolanta była mu nie tylko modelem, lecz i natchnieniem do całego tego obrazu. Zląkłem się tego malowidła. Gdzie się podziała elegancya kształtów, gdzie polot, który zawsze podziwiałem u Benedykta? Benedykt nie pojmował już nagiego ciała, nie umiał go malować, nie był już nawet w stanie należycie na nie patrzéć; nagość nie była dlań już cudnym i wzniosłym hymnem piękna, nie mówiła nawet do zmysłów, nagość téj bachantki była wcieloną pospolitością!

To ciało jędrne a miękkie, bez harmonii, bez gracyi, pełne a różowe, bez ducha, bez duszy, było wstrętne w swoim bezwstydzie, przypominało ów muł wilgotny, z którego podług tradycyi biblijnéj Bóg stworzył człowieka, — i ta kobieta była podług słów jego tą sławną Wiolantą, o któréj marzył stale!

Postanowiłem na wieczór do Benedykta nie pójść, potém wszakże przypomniałem sobie, że to by go obraziło — i poszedłem.

Było już koło jedenastéj, gdym się znalazł przy rozwalonéj fontannie naprzeciw spadzistych schodów; śmiech i krzyki biesiadników dochodziły słabo aż na pusty, światłem księżyca zalany podwórzec. Wszedłszy powoli na górę, zatrzymałem się niepostrzeżony w cieniu, obok drzwi, zkąd obejrzéć mogłem całą, dziś w salę godową zamienioną pracownię. W pośrodku stał niski, długi stół, na którym gorzało kilka mosiężnych rzymskich lamp trójpłomiennych; światło ich padało na biały obrus, igrało w błyszczących puharach i konwiach i oświecało resztki uczty, stosy owoców, wielkie bukiety w wazonach kryształowych, pozostawiając resztę wielkiéj sali w mroku głębokim. Nad stołem unosiła się lekka, szara chmurka od dymiących się lamp, przetkana błękitnemi dymami cygaret. Od stropu zwisały piękne festony ze świeżych, różnobarwnych kwiatów, sięgające od filaru do filaru, a suche palmy i osty, rozwieszone po ścianach, wydawały się wspaniałemi ornamentami bronzowemi; blade maskarony potwornie wykrzywiały się w cieniu, tu i owdzie rozstawione, malowane studya naturalnéj wielkości, tajemniczo wynurzały z ciemni zmysłową swą nagość, a przez otworzone wielkie okno błękitniała noc księżycowa, rozpościerając srebrną swoję oponę nad masą szczytów, dachów, załomów i wież. W sali panował hałas. Wiolanta le-

żała na improwizowanym tronie, okrytym kawałem starego gobelinu odziana w bogate, lecz niegustowne szaty. Była pełna, różowa, bezwstydna, bez gracyi, jak bachantka Benedykta. Miała piękne złote włosy, były rozpuszczone i przeplecione wieńcem z bluszczu. Piła wino z wielkiéj szklanicy, śmiała się jak mężczyzna i paliła nie cygaretę, lecz papieros. Była wstrętna. Goście bawili się właśnie tém, że rzucali w nią cukierkami i migdałami z deseru, a Wiolanta odpłacała im się grubszą kanonadą z całych pomarańcz i pluskała na najbliższych napastników winem.

— Wymyślcie sobie coś nowego, to mnie już nie bawi! — krzyczała chrapliwym głosem.

— Tak, coś pięknego! — zawołał Benedykt.

— Mam coś pięknego, przyszło to z daleka — powiedział ze śmiechem młody jeden rzeźbiarz i wskazał na mnie, dojrzał mnie koło drzwi. Wszyscy zwrócili się ku mnie—i na widok méj szkaradnéj twarzy śmiech powstał homeryczny.

— Ach, ach!—wołała Wiolanta—to się udało, umrę od śmiechu! Śmiałem się ze wszystkimi. Powitali mię i przedstawili Wiolancie. Na pierwszy rzut oka poznała Wiolanta, jak mało ją podziwiam i przestała się śmiać.

— Opowiadaj coś widział, jak ci się powodziło, ileś razy się zakochał! — wołano ze wszystkich stron.

— Wymyślcie dla niego jaką karę — proponował ktoś — za to, że tak późno przyszedł!

— Niech trzy razy pocałuje Wiolantę— projektował ktoś drugi, zauważywszy naszę wzajemną antypatyą.

— Oho!— broniła się Wiolanta z ironicznym uśmiechem i groźnie podniosła pomarańczę.

— Ja wiem co! — zaproponował młody rzeźbiarz, który przedtém rozśmieszył całe towarzystwo. —Nasz późno przychodzący przyjaciel narysuje naprędce, zanim my jaką pieśń prześpiewamy, wizerunek téj, o któréj zamyślił się tak mocno, że o nas zapomniał. Jeżeli nie będzie dość piękna, wtedy dopiero wymyślimy niesłychane jakie męki.

Projekt został przyjęty jednogłośnie. Napięto trzy wielkie arkusze papieru na próżny blejtram, podano mi węgiel i zaczęto śpiewać. Wzdragałem się, ale musiałem w końcu uledz. Nie wiem, jak się to stało, dość że przypomniałem sobie pewną rycinę, którą zapewne także znasz; zdjęta jest z wypukłorzeźby, znajdującéj się na murze jakiejś ruiny w Gebel-Silsileh i przedstawia piękną grupę, pełną gracyi i słodyczy: bogini Hathor, karmiąca młodego króla Horusa, nie wiem z któréj dynastyi. Dałem bogini czysty młodociany profil owéj

młodéj dziewczyny, którą rano widziałem w pracowni i starałem się, o ile możności gibkie, dziewicze, wysmukłe jéj ciało w konturze odwzorować. Zdaje mi się, że mi się to udało, bo rozpustna pieśń umilkła i pojedyncze wykrzyki zadziwienia zabrzmiały za mną. Zapatrzyłem się sam w twarz swego obrazu, wtém zaszumiało mi coś koło głowy, uderzyło w sam środek twarzy Hathory i rozdarło mój obraz. Wiolanta rzuciła weń pomarańczą. Ogłosiła kobietę karmiącą za szczyt nieprzyzwoitości. Powstał niezmierny krzyk i śmiech.

— To było zabójstwo! — wołano — Wiolanta zamordowała egipską madonnę!

— Krwią swoją to zapłaci!

— Śmierć, śmierć Wiolancie!

— Tak, Wiolanta będzie ścięta — krzyczał na całe gardło mój młody rzeźbiarz — a ty będziesz jéj katem, zwrócił się do mnie.

Wiolanta zatykała uszy, nie chciała o tém slyszéć, ale ściągnięto ją z tronu i mocno zawiązano oczy.

— Połóż głowę na tę poduszkę, piękna grzesznico — rozkazał Benedykt, a sam ci przeczytam wyrok, potém damy ci pięć minut czasu na krótką modlitwę i głowa twoja spadnie!

Podczas jego mowy poczęły już lampy na dany znak gasnąć, Wiolanta — szeptali mi — była nadzwyczaj bojaźliwa; jeden po drugim miał szybko wynieść się z ciemnego pokoju; gdy Wiolanta zerwie chustkę, zobaczy, że jest sama w ciemności.

— Teraz cicho — rozkazał Benedykt.

Wszyscy zamilkli, a Benedykt improwizował wyrok; podczas jego mowy wyszli wszyscy po cichu z pokoju, paliła się jeszcze tylko jedna lampa, a tę ja miałem wynieść, jako ostatni. Benedykt zawołał teraz głuchym głosem:

— Jeszcze pięć minut i cios padnie — poczem wyszedł także.

Wziąłem lampę, pragnąłem skończyć tę niezgrabną komedyą. Stałem właśnie naprzeciw otworzonego okna i wzrok mój padł tam mimowolnie .. Zachwiałem się tak, że o mało nie upuściłem lampy: tam w łunie zielonawego światła stał gibki cień dziewczyny, o któréj myślałem dzień cały. Lekka, biała szata otulała wysoką jéj postać, ciemnoblond włosy przytrzymywała czarna wstążka, aby nie rozsypały się, białe, niskie czoło świeciło jak marmur, a siwe, szczególne jéj oczy były na wpół zamknięte. Ręce miała na krzyż na piersiach złożone, a delikatne zgięcia ich obejmowały złote naramienniki. Unosiła się jak biały obłok, stała na gzymsie przed oknem i wznosiła blade, smutne oblicze ku niebu, właśnie tak, jak wówczas na Petrzynie pod drzewami, gdy jéj Benedykt tak nierozważnie miłość wyznał. Tu, gdzie hałas orgii umilkł na chwilę, w dymach cygaret

i lamp kopcących stała szlachetna, jak uosobiona poezya nocy księżycowéj. Było to przecież niemożliwe, musiałem się mylić! Jakże by tu przyszła, jakże by mogła stać na tym gzymsie nad przepaścią bez zawrotu głowy! Zamknąłem oczy—gdy je otwarłem, widmo było tam jeszcze!

— To niepodobna!—szepnąłem znowu, ale w tejże chwili padła Wiolanta, jak śmierć blada, u stóp moich; zdjęła chustkę z oczów, wzrok jéj padł na okno, widziała tam też blade widmo. Podniosłem ją i położyłem cicho na gobelin, pokrywający jéj tron; jednocześnie otworzyły się drzwi i towarzystwo, żdziwione długiém milczeniem, wróciło do sali. Szybko spojrzałem na okno—widmo znikło.

— Precz ztąd, precz! — krzyczała Wiolanta, opamiętawszy się.

— Na Boga, mów, co się stało? — pytał Benedykt, widząc jéj bladość.

— Zasłońcie to okno! To było straszne!—lamentowała.— Widziałam ducha. Tak, tam coś stało, była to kobieta blada jak śmierć i miała szklane oczy!

Śmiech powstał bez końca, ja tymczasem przemknąłem się do okna. Patrzałem na dwór, w świętą, uroczystą ciszę nocy, w powietrzu było tak sennie, tak cicho! A w dali, za wysokim szczytem sąsiedniego domu, unosiło się coś jak biały, przezroczysty cień i znikło wkrótce. Zasunąłem okno kotarą i wróciłem do stołu. Wiolanta płakała, że jéj nikt nie chciał wierzyć.

— Widziałam to zupełnie dokładnie—zapewniała—idźmy ztąd, idźmy! Umarłabym ze strachu.

Schwyciła bogate swe włosy i pchała je pod śmiesznie maleńki kapelusik, potém wsparła się na ramieniu Benedykta, który ją odprowadzał. Zostałem jeszcze chwilę z resztą towarzystwa.

— Co mówisz o Wiolancie? — pytali mnie.

Ruszyłem ramionami

— Myślę, że ją twoja piękność przy świetle księżycowém tak przestraszyła — zaśmiał się ktoś.

Potém zaczęto mówić o czém inném. Wyszedłem. Było to coś dziwnego, musiało tam jednak coś być w oknie, skoro i Wiolanta to widziała...... W zamyśleniu zstępowałem ze spadzistych schodów. Śmiech biesiadników brzmiał za mną aż do oblanego miesięczném światłem podwórza i nie wiem, czemu przyszła mi tym razem na myśl koło rozwalonéj fontanny owa przerażająca, niezapomniana scena z „Lukrecyi Borgii“ Wiktora Hugo, gdzie straszne „de profundis“ mnichów miesza się z wesołym śmiechem skazanych na śmierć kawalerów. Jakie to dziwne myśli!...

Upłynęło dni kilka, nie miałem czasu do odwiedzin i nie widziałem Benedykta. Wyjeżdżając do Skandynawii, opuściłem swoję pracownię i szukałem teraz innéj. Znaleść odpowiednią miejscowość na *atelier* malarskie jest w Pradze rzeczą dość trudną. Udało mi się nakoniec po długiém szukaniu, ale powiedziano mi, że mogę się tam przenieść dopiero za dwa lub trzy tygodnie. Benedykt zaproponował mi, abym tymczasem pracował u niego; jego pracownia była tak wielka, żeśmy w niéj jeden drugiemu przeszkadzać nie potrzebowali; przyjąłem propozycyą z wdzięcznością. Przyprowadziliśmy w pracowni wszystko do porządku, wyszukałem sobie kąt, który mi dogadzał, i postanowiłem, że nazajutrz zacznę pracować.

— Dziś odbędziemy jeszcze wizytę u księcia Manfredi — rzekłem do Benedykta — a potém już sobie pracy przerywać nie będziemy.

— Co to za książę?

— Zapomniałeś już? Jest to przyszły teść hrabiego-dyletanta, z którym zaznajomiłem się w Szwecyi.

— Ach, przypominam sobie. Pójdźmy więc. Niedaleko to.

Wziąłem swój karton i poszliśmy.

Książę Manfredi przyjął nas bardzo gorąco, dostał — jak mówił — wczoraj znowu list od hrabiego, chciał mnie dziś sam wyszukać i dziękował mi, żem przyszedł i drogi mu oszczędził. Narzekał, że mu nogi już nie służą. Starał się nastroić do jakiegoś zapału dla sztuki, ale to mu się nie udawało, za to jednak mówił z wielką i prawdziwą miłością o swoich kwiatach. Pokój, w którym nas przyjął, sąsiadował z ogrodem zimowym, drzwi były otwarte i wilgotne powietrze oraz ciepłe jakieś wonie płynęły ku nam ztamtąd. Noce były już bardzo zimne i palmy, drzewa kameliowe, oraz wszelkie inne kwiaty, których nazwisk nie znam, stały już na swych miejscach w zimowym ogrodzie. Książę wprowadził nas do tego sztucznego gaju zwrotnikowego, dla którego widne przez ścianę szklaną dziwaczne załomy hradczańskie i małostrańskie szczególne tło tworzyły. W masie szpiczastych dachów poznałem w dali i barokowo przystrojoną mansardę naszéj pracowni.

— Poproś księżniczkę Teresę — rzekł książę do starego sługi, zajętego w oranżeryi, poczém ciągnął daléj wykład o właściwościach swoich mimoz, begonii i paproci. Mówił jeszcze, gdy usłyszałem za nami lekki szmer sukni Książę obejrzał się.

— Moja córka — rzekł i przedstawił nas księżniczce.

Była-ż to halucynacya? Przed nami stało blade dziewczę w jasnéj, lekkiéj odzieży, bogate, ciemno-kasztanowate włosy podtrzymywała nad niskiem czołem czarna wstążka, aby się nie rozsypały, a si-

we oczy smutne i zadziwione patrzały na nas z pod ciemnych, prawie zrosłych brwi. To była dziewczyna, która przed kilku dniami ofiarowała Benedyktowi swą miłość, to było blade zjawisko, które przestraszyło Wiolantę. Niepodobna wątpić.

Benedykt zrobił, jakby strwożony, dwa kroki w tył i mimowoli chwycił mię za ramię. Byliśmy obaj niemi, zdawało mi się, że śnię, a głos księcia, który opowiadał córce, że jestem owym malarzem, z którym się narzeczony jéj zaznajomił w Norwegii, brzmiał mi, jakby przychodził zkądciś z daleka, z pod ziemi. Wszystko dokoła przybierało jakiś charakter fantastyczny. Nakoniec wspomniał książę także i o tém, że Benedykt na wyraźne życzenie narzeczonego, co najprędzéj zacznie malować portret księżniczki, i zaproponował jéj, aby się z Benedyktem co do kostiumu i wszelkich szczegółów porozumiała.

Księżniczka Teresa Manfredi nie przemówiła jeszcze ani słowa, utkwiła swoje szczególne, wpół-dziecinne oczy w Benedykcie, podniosła powoli rękę, na któréj zgięciu błyszczał ten sam złoty naramiennik, który wówczas w pracowni dostrzegłem przy księżycu, chwyciła się długiéj gałęzi bliskiéj palmy i przyciągnęła ją ku sobie. Trzymała się gałęzi, a ta w ręce księżniczki ani zadrgnęła. Cała postać młodéj dziewczyny miała cechę dziwnéj energii. Zwróciła się na wpół do ojca i na chwilę lekki rumieniec przebiegł twarz jéj marmurową.

— Mówisz ciągle o moim narzeczonym—rzekła do ojca z lodowatym spokojem — a ja nie mam żadnego narzeczonego.

Książę patrzał na nią wielce zdumiony.

— Aleksander.... — począł z zadziwieniem.

Księżniczka wzruszyła ramionami. Potém obróciła się do Benedykta, puściła gałąź palmy, która teraz chwiała się nad jéj głową, podniosła powoli rękę i wskazała na niego palcem.

— Tu stoi mąż, którego jedynie kochałam — mówiła jak przez sen bezdźwięcznym głosem. — Miłość moja była religią; przyznałam się temu mężowi, ale on odrzucił moję miłość. Wygnał mię od siebie obelżywie. Nie mogę już nigdy do innego należéć. Dziś rano oznajmiłam Aleksandrowi, że idę do klasztoru.

Książę zbladł jak ściana i zatoczył się ku bliskiemu fotelowi, w który padł, nie będąc w stanie słowa jednego przemówić. Księżniczka Teresa stała chwilkę ze spuszczonemi oczami, założyła ręce na krzyż na piersiach, jako wówczas, gdy mi się w nocy ukazała. Było tyle bolesnéj rezygnacyi w tym prostym ruchu, że mnie to głęboko wzruszyło. Za chwilę obróciła się do wyjścia. Benedykt padł przed nią na kolana. — „Przebaczenia!“ szeptał. Nie zważała nań

i szła daléj, schwycił za lekką, jasną jéj suknię, nie dbał, że książe był obecny. Zresztą zdawało się, że książę nie widzi, nie słyszy, pił wodę ze szklanki, którą podałem mu ze stołu, gdzie stała przypadkiem.

— Czemu wszedłeś mi pan w drogę — ozwała się księżniczka Teresa cichym, drżącym teraz głosem. — Byłabym bez pana szczęśliwie żyła i szczęśliwie umarła. Nie, nie byłabym nigdy wiedziala, co jest szczęście! Tak, raniłeś mię pan głęboko, tak głęboko, że nawet nie wyobrażasz sobie, jednak dziękuję panu za jedyną chwilę prawdziwego, nieskończonego szczęścia.... Wiesz pan, wtedy na Petrzynie?... Żyłam spokojnie w starym naszym domu, myślałam, że żyć to znaczy haftować i czytać poezye, czasami tylko odzywało się we mnie coś zagadkowego, jakby wątpliwość i wtedy wzrok mój odbiegał od książki i haftu za kraty małego okna w pawilonie ogrodowym, gdziem tak chętnie siadywała. Kochałam tę wąską, cichą uliczkę pod oknem, niema tam domów, a nad niskiemi murami przeciwległych ogrodów widnokrąg rozpływa się w niedojrzanéj dali.... Dal, nieskończoność! Jak niejasne marzenia budzą pojęcia te w drzemiącéj duszy, jaki zawrót głowy sprowadzają! Nieskończoność, dal— to coś pokrewnego z miłością, która także sprawia zawrót głowy....

Umilkła na krótką chwilę, poczém mówiła daléj:

— Pewnego razu, gdy dusza moja z krainy widzeń ku książce, a wzrok z bezgranicznego niebios sklepienia do murawy uliczki wąskiéj wróciły, ujrzałam pana przed oknem. Słońce świeciło i w ciepłem powietrzu migały setki białych motyli. Stałeś pan naprzeciwko okna, i zdawało mi się, że patrzysz na mnie z wyrazem uwielbienia. Było mi tak dziwnie. Szalona! Pan najprędzéj nie widziałeś mnie nawet za gęstą kratą i zachwycałeś się w artystycznym zapale staremi rzeźbami pawilonu. Byłam szczęśliwa. Zaręczono mnie już dawniéj i kochałam hrabiego tak, jak swe książki i hafty. Od owego dnia wszakże myślałam już tylko o panu. Nie widziałam pana potém długo, chyba we śnie, myślałam o panu jak o cudnym kwiecie lub gwieździe. Jednego razu zdarzyło się, że ojciec poprowadził mnie wieczorem na Petrzyn. Przyszła mi chęć obejrzéć tam mały kościołek, którego nie znałam, i ojciec poszedł gdzieś po klucze. Nie wiem, dla czego wówczas o zmroku więcéj i żywiéj rozmyślałam o panu niż kiedykolwiek—nagle stanąłeś pan przedemną.... Mówiłeś mi o miłości i długo tłumiona namiętność wybuchła we mnie jak wulkan..... Płakałam wtedy w kościołku ze zbytku szczęścia... upadłam na twarz i długo leżałam przed ołtarzem ... ach, co za boleść....

Księżniczka Teresa przestała mówić, zakryła twarz obiema rękami, a cale ciało jéj drżało konwulsyjnie. Benedykt podniósł ku niéj ręce, wołając:

— Łaski, łaski! O ja cię kocham niewymownie! Dusza twoja rozwarła się przedemną, jako kwiat mistyczny, upajam się niebiańską jego wonią! O przeklęta ślepoto moja!

Książę, który słuchając, szlochał głośno, zerwał się teraz gwałtownie: — Pan śmiesz! krzyknął, lecz księżniczka Teresa skinieniem prosiła go, aby przestał; gdy ręce odjęła od twarzy, widziałem, że oczy jéj były suche, nieszczęśliwa nie mogła płakać, czułem ciężar jéj bólu tak żywo, żem się o ścianę oprzeć musiał. Teraz otworzyła usta i straszliwy, gorzki, chociaż słaby i cichy śmiech zabrzmiał z drżących jéj warg.

— Pan *mnie* teraz kochasz? — spytała z dumnym uśmiechem— nie, dźwięk tylko mego znakomitego nazwiska łechce pańską zarozumiałość, to pana miłość. Co za przygoda miłosna, być kochanym przez księżniczkę, co za tryumf, widziéć ją u nóg swoich żebrzącą o miłość, dla miłości téj zapominającą o wszystkiém, nawet o godności kobiecéj! Ale mylisz się pan, nie kocham już pana, ja pana nienawidzę! Wszystko, com panu powiedziała, powiedziałam tylko przez szacunek dla własnéj swojéj osoby. Nie byłbyś się pan nigdy dowiedział, kim jestem i jak pana kochałam, chciałam cicho, bez ostentacyi, bez objaśnień zniknąć z pańskiego widnokręgu. Los pana tu sprowadził. Nie mogłam postąpić inaczéj, jak postąpiłam. Zbłądziłam, ale nie wstydzę się błędu swego. Nie moja wina, że nie jesteś pan tém, czém mi się wydawałeś i nie pańska — żeś mię pan nie mógł kochać. Zwiodłeś mię pan dla żartu wówczas na Petrzynie, ale usprawiedliwiam pana, bo nie byłbyś sobie téj zabawki pozwolił, gdybyś wiedział, że jestem księżniczką. Kara moja zresztą jest zasłużona—nie można bożyszczom się kłaniać!

Benedykt chciał mówić, nie słuchała go, zimno i dumnie, jak była przyszła, wyszła teraz z zimowego ogrodu. Za to wszakże odzyskał książę dar słowa. Chciałem skończyć przykrą tę scenę, zadzwoniłem prędko i oddałem księcia, który się na mnie wspierał, staremu słudze, śpieszącemu na moje dzwonienie, poczém porwałem szybko karton i wziąwszy za ramię opierającego się Benedykta, wyprowadziłem go bez dalszych przygód na ulicę.

Przez drogę nie przemówiliśmy ani słowa, a w pracowni siedliśmy każdy przed swoją pracą, ale żaden z nas nie ruszył pędzla. Naraz porwał Benedykt swoję paletę i w mgnieniu oka bachantka jego była pokryta wszystkiemi barwami tęczy; praca kilku miesięcy została w jednéj minucie zniszczona.

— Przeklęta Wiolanta! — krzyknął Benedykt— patrzy na mnie z każdego rysu twarzy, z każdéj cząsteczki tego bezwstydnego ciała! Gdyby nie ta kobieta, nie byłbym nigdy tak ślepy; to wstrętne jéj mięso stłumiło we mnie każdą iskrę ducha, uczucia, rozumu....

Rzucił się na sofę, a po chwili chodził znowu wielkiemi krokami po pokoju.

— I księżniczkę Teresę nienawidzę także! — zawołał — nie zapomnę jéj nigdy tego pogardliwego tonu, spojrzenia i słów obrażających....

I zaczął płakać i przysięgać, że ją kocha. Pod koniec tak był zmęczony wzruszeniem, że poradziłem mu, aby się położył; odprowadziłem go do jego mieszkania; posłuchał méj rady. Siedziałem u niego, dopóki nie wpadł w jakiś pół-sen niespokojny. Potém chodziłem po ulicach jak bez duszy, a gdy mnie jeden znajomy spotkał i począł namawiać, abym z nim szedł do teatru, dałem się prowadzić bez oporu. Nie wiedziałem, co grają, nie spostrzegłem, jak skończyli; gdy teatr był już prawie pusty, wyszedłem także. Chodziłem znowu po pustych ulicach niespokojny, nie wiedząc sam co z sobą począć. Naraz słyszę głośny śmiech kobiecy nieprzyjemnego brzmienia, spotkałem Wiolantę — z Benedyktem.

— Wstałeś? — pytam się zadziwiony.

— Jak widzisz! — odpowiedział bełkocząc językiem, i dostrzegłem, że się zataczał. — Nie potrafię być długo sentymentalnym, ale za to potrafię wynagrodzić sobie jedno szczęście drugiem.... Niech żyje rozkosz!

Poszli daléj, a wspólny ich śmiech brzmiał za mną przez całą ciemną ulicę.

Na drugi dzień zjawił się Benedykt późno w pracowni, był blady, oczy miał zaczerwienione. Siadł na ziemi na kawale perskiego kobierca i nie zapalił nawet jak zwykle cygarety. Milczeliśmy. Patrzał na to, jakem pracował i wzdychał głęboko. Żal mi go było. Rozmyślałem, o czém by tu zawiązać jaką rozmowę. Nim mi co przyszło na myśl, sam zaczął.

— To próżna rzecz — rzekł, patrząc uparcie przed siebie.

— Co jest próżna rzecz? — spytałem, odkładając pędzel.

— No, chcieć zgłuszyć w sobie boleść — odpowiedział. — Przepędziłem dziś noc tak szaloną, jak nigdy jeszcze w życiu.... Nie mogę ci powiedziéć, com wyprawiał, a rezultatu żadnego.... chyba ten jedyny....

— No, jakiż?

— Żem sobie na dobre i na zawsze obrzydził Wiolantę i wszystkie tego rodzaju kobiety.

Patrzyłem nań pytająco. Słaby rumieniec wstydu przebiegł mu twarz, patrzał uparcie na mój zaczęty krajobraz, unikając mego wzroku.

— Postąpiłem wczoraj strasznie brutalnie — przyznał się po chwili cichym głosem. — Wiolanta po wczorajszéj nocy stała mi się tak wstrętną, uczułem taki wstyd, taką rozpacz zbudziwszy się w objęciach tego stworzenia... żem... żem ją niemiłosiernie —zbił!

— Fi! — wyrwało mi się z ust.

Benedykt nie obraził się, kiwnął tylko głową i milczał.

Od tego dnia Benedykt zmienił się zupełnie. Zawładnęła nim głęboka melancholia, czuł niezapełnioną próżnię w sercu. Nie pracował i mówił mało. Pisywał długie listy do księżniczki i darł je znowu; jeżeli który posłał, na drugi dzień zwracano mu go przez pocztę, a gdy już znano w pałacu jego rękę, listy przychodziły nazad nierozpieczętowane. Chodził koło pałacu, stawał całemi godzinami przed pawilonem ogrodowym w cichéj, trawą zarosłéj ulicy, ale księżniczka nie ukazywała się w żadném oknie i nie wychodziła nigdzie. Wkrótce zauważyłem, że i wyraz jego twarzy się zmienił. Był blady, a oczy jego niegdyś tak wesołe świeciły gorączkowym niepokojem; przy najmniejszém poruszeniu, od najbłahszéj przyczyny drgały mu muskuły twarzy, a nozdrza rozdymały mu się bezustannie. Benedykt wyglądał teraz daleko bardziéj interesująco niż dawniéj, twarz jego była znacznie więcéj uduchowiona niż przedtem. Gdyby był pracował, miałyby z pewnością jego dzieła tę samę cechę podniosłego polotu duchowego, ale Benedykt siedział wciąż z założonemi rękami i sto razy na dzień szeptał do siebie: „Kocham ją! Musi być moją!“ Nie czuł tego, że myśli na głos. Zdawało mi się czasem, że nawet nie myślał, iż usta jego mechanicznie te słowa powtarzały. Miłość jego dla księżniczki przeszła w jakąś *idée fixe*, w jakieś uporczywe zaślepienie.

Jednego dnia rzekł do mnie: „Czuję bezustannie, jakby mię ktoś kluł rozpalonym nożem, i nie prędzéj będę spokojny, aż znużę się całowaniem siwych oczu.... Kocham ją całą duszą, ale téż całym ogniem zmysłów. Nie rozumiem innéj miłości. Pragnę téj dziewczyny z tak gwałtowną namiętnością, że umrę, jeżeli jéj nie zaspokoję..... Może księżniczka Teresa obrzydnie mi potém, jak Wiolanta, może ją potém jak tamtą—odepchnę!“— Nie miał odwagi powiedziéć „zbiję.“

Zerwałem się na te słowa, drżąc z gniewu całem ciałem i zaciskając pięści. Przemówiliśmy się i tego samego jeszcze dnia wyprowadziłem się z jego pracowni.

Nie wychodziłem z domu cały tydzień, pracowałem usilnie, a pracując wyrzucałem sobie ciągle, żem się uniósł w rozmowie z Benedyktem. Czyż miałem prawo tak wielką wagę przykładać do słów, które wymówił w rodrażnieniu? Cóż mię właściwie obchodziła ta dziewczyna? Żałowałem jéj, ale koniec końców nie była ona dla mnie

niczem, niczem. Na tę myśl, że nie była dla mnie niczem, czułem mróz w sercu. Nie mogłem wytrzymać dłużéj w spokoju i wybiegłem na ulicę. Nogi zaniosły mię do Benedykta, zanim ostatecznie postanowiłem, że go odwiedzę. Znalazłem go u otwartego okna „nad przepaścią“, jakeśmy je kiedyś nazywali. Uśmiech przebiegł mu twarz, gdy mnie zobaczył, podał mi rękę.

— Gdzie tak uparcie patrzysz?—spytałem go po prostu, aby coś powiedzieć.

Wskazał na dach z wieżyczką.

— To jest klasztor Barnabitek, jeżeli się nie mylę.

Skinął głową i podał mi gazetę, którą trzymał w ręku. Przeczytałem w niéj wiadomość, że księżniczka Teresa Manfredi, posłuszna swemu powołaniu, wstąpiła do nowicyatu u Barnabitek. Choć wiadomości téj oczekiwałem już dawno, zgnębiła mnie przecież tak, jak i Benedykta. Mimo to starałem się go pocieszać. Benedykt wszakże gorliwiéj niż przedtém zajmował się układaniem najszaleńszych planów. Był przekonany, że będzie mógł dostać się do klasztoru i porwać Teresę. Nie chciałem się z nim znowu pogniewać, nie przeczyłem mu tedy. Benedykt opowiadał mi, że nie wychodzi już wcale ze swéj pracowni; w wielkiéj framudze miał stare łóżko z epoki odrodzenia, kupił je kiedyś —jak mi się zdaje— w Paryżu i sypiał teraz na tym drogocennym meblu. Rozsunąwszy w nocy pięknie tkaną kotarę, która z wykładanego cyną gzymsu między toczonemi zwisała filarami, widział z łóżka swego przez niezasłonięte okno klasztor i mógł — jak mówił — aż do zaśnięcia marzyć o Teresie i wyobrażać sobie, że ją widzi za którém z zakratowanych okien cel klasztornych.

Obawiałem się teraz już naprawdę, żeby miłość Benedykta nie stała się zupełną monomanią, i postanowiłem naradzić się co do tego z jakim rozumnym lekarzem.

W tym czasie przyjechał do Pragi były narzeczony księżniczki Teresy i odwiedził mnie. Nie zauważyłem na nim żadnego głębszego wrażenia, powiedział mi, że już dawno spostrzegł u swéj narzeczonéj jakąś skłonność do mistycyzmu i że go jéj postępek wcale tak bardzo nie zadziwił. Przekonałem się wkrótce, że nie przeczuwał nawet najmniejszego szczegółu z naszego dramatu. Pytał zupełnie obojętnym głosem o Benedykta i chciał go też odwiedzić w jego pracowni. Lękałem się tego spotkania i odpowiadałem wymijająco, a gdy mi hrabia mimochodem zaproponował, abym z nim na wieś pojechał dla stanowczego określenia, czyjego pędzla być może jakiś stary obraz, znaleziony w małym kościołku w jego dobrach, zgodziłem się natychmiast i udając wielką ciekawość względem owego za-

gadkowego malowidła, nalegałem na prędki wyjazd. Wiedziałem, że hrabia ma manię przeczuwania w każdéj staréj mazaninie jakiegoś nieznanego Pawła Veronese, powiedziałem mu tedy, że—według jego opisu—obraz ów prawie napewno uznać można za wyszły z pod pędzla sławnego tego mistrza. Tego było dość dla hrabiego — i odjechaliśmy pierwszym pociągiem, który nam się nadarzył.

Po kilku dniach wróciłem sam do Pragi; krótki pobyt na wsi dobroczynnie na mnie wpłynął, trochę téj jesiennéj jasności powietrza przeszło w pierś moję, chorobliwe myśli, które trapiły mnie w ostatnich czasach, rozwiały się jak mgły pod uśmiechem słońca, oświecającego szerokie rozorane pola i prawie bezlistne już lasy. Nie znam lepszego lekarstwa na swoje nerwy nad silną woń ziemi, a żadna poezya nie przemawia tak potężnie do duszy méj, jak poezya jesieni.

Jak tylko wszakże wjechałem do miasta, powrócił i stary niepokój. Zdawało mi się, że się z pewnością coś strasznego stało z Benedyktem lub z księżniczką Teresą.

Popędziłem do pracowni na Hradczany. Znalazłem Benedykta z paletą w ręce, pracującego. Byłem mile ździwiony, przystąpiłem szybko do sztalug—i zadziwienie moje zmieniło się w uwielbienie. Ujrzałem przed sobą wielki obraz, w głównych zarysach już całkiem podmalowany, a w niektórych szczegółach już zupełnie gotowy. Obraz przedstawiał celę pogrążoną w Rembrandtowskim cieniu, tu i owdzie odznaczały się wyraźniéj ciężkie meble renesansowe, stosownie do tego jak padał na nie prąd zielonawego światła księżycowego, wdzierającego się silnie przez wielkie otwarte okno do celi. Za oknem błękitniała i zieleniała jasna noc pełna świtów srebrnych; niejasne zarysy starych dachów gotyckich i wieżyc półmaurytańskich tworzyły w dalekiéj perspektywie tło czarujące, a w pobliżu okna w falach jasności księżycowéj wznosiła się na wpół blada mniszka. Twarz jéj uderzała swym wyrazem głębokiego mistycyzmu, rysy oblicza jéj były wiernym portretem księżniczki Teresy. Był to ten sam obraz w zaczątkach, który teraz w salonie paryzkim pod nazwiskiem „Ekstazy św. Teresy“ według doniesień twych, drogi mistrzu— tak wielkie odnosi tryumfy.

Uścisnąłem gorąco Benedykta, nigdy jeszcze nie namalował tak uduchowionéj twarzy. Byłem głęboko wzruszony, bo właśnie w takiéj postaci, jak teraz św. Teresę, widziałem księżniczkę Manfredi wówczas, gdy Wiolanta zemdlała u nóg mych, wołając, że duch jéj się ukazał. Czyżby Benedykt także widział to zjawisko?

— Co za prawda w twym ideale? rzekłem do niego.—Doprawdy tak, jakbyś zjawisko to nie tylko duchowym, lecz i cielesnym wzrokiem widział!“

Obserwowałem go bacznie przy tych słowach, wyraz jego twarzy stał się tajemniczym.

— Tobie mogę się zwierzyć—rzekł po chwili w zamyśleniu. Ty mnie z pewnością nie wyśmiejesz. Przypominasz sobie może miejsce w Pliniuszu, gdzie ten autor mówi o jakimś Hermotymie z Klazomeny? Podobno ten Hermotym umiał tak robić, żeby dusza jego—kiedy mu się spodobało—wychodziła z ciała i po świecie błądziła, a potém znowu wracała. I Apolloniusz z Tyany miał podobno moc taką. Dotychczas uważałem podobne opowiadania za bajki; toć my spółcześni w swéj nieskończonéj zarozumiałości uważamy połowę przynajmniéj starożytnych pisarzy za naiwnych i niezręcznych bajarzy. No, teraz widzę, że Pliniusz i Filostrat mieli słuszność. Księżniczka Teresa ma także owę moc tajemniczą: dusza jéj mnie nawiedziła.

Nie kryłem swego zdziwienia, zdawało mi się, że Benedykt majaczy w gorączce, ale on ciągnął daléj zupełnie spokojnie:

— Tegoż wieczora, gdyś odjechał z hrabią, siedziałem ot tam na łożu, zasłony były rozsunięte i okno otwarte. Nie spałem, jak zwykle, ale nie myślałem o Teresie, myślałem zupełnie spokojnie o tobie i o tém, czém się teraz właśnie zajmujesz. Nagle zaciemniło się w otwartém oknie i—o dziwo! —stało tam smukłe zjawisko ubóstwianéj dziewicy. Na wpół przymknięte oczy zwracały się ku niebu, jak wówczas na Petrzynie, ręce były naprzód wyciągnięte, jakby widmo w ciemnościach drogi szukało, żaden muskuł marmurowego oblicza ani drgnął, a wietrzyk wiejący nie igrał z czarną szatą, ani z przejrzystym welonem. Powstałem cicho z łoża, włosy mi się jeżyły, kląkłem na ziemi, gdzie drzemał blask księżycowy i spuściwszy głowę na piersi wyciągnąłem do widziadła złożone ręce, jak do świętéj. Chwilę pozostałem tak pogrążony w nieméj boleści; gdy podniosłem oczy, Teresa znikła. Przystąpiłem do okna, nie było jéj nigdzie ani śladu, na dworze panowała cisza uroczysta, tylko wietrzyk szeptał coś daléj nad uśpioną Pragą... Nie zasnąłem już. Byłem pewny, że Teresa umarła, i byłem jak zgruchotany. Rano śpieszę do klasztoru, pytam się o nią pod jakimś pozorem i odchodzę z zapewnieniem, że żyje i że zdrowa... No, cóż powiesz o téj powiastce? Spałem i wszystko mi się tylko zdawało? Halucynacya? No zacznij-że raz swój wykład trzeźwo-naukowy! Powiedz-że mi, że to było tylko złudzenie podrażnionéj wyobraźni!

— Myślę, że to nie było ani złudzenie, ani sen, odrzekłem.—Nie umiem sobie tego wytłómaczyć, ale i ja widziałem księżniczkę Teresę, czy jéj cień, właśnie na tém samém miejscu przed oknem. Było

to podczas uczty, kiedy to Wiolanta omdlała ze strachu i krzyczała, że widziała ducha. Wiolanta widziała ją także.

Benedykt pobladł cały, przysiadł się do mnie bliżéj.

— Więc i ty także?—spytał, biorąc mnie za rękę.

— Tak, unosiła się w modrozielonéj jasności księżyca piękna, blada, szlachetna jak twoja święta, a za nią rysowały się niejasno wieże i kopuły miasta w srebrnéj mgle nocy księżycowéj...

Zamilkłem nagle i przystąpiłem do okna. myśl błysła mi w duszy.

— Dla czego milczysz, gdzie patrzysz? pytał Benedykt.

— Patrz, zacząłem z tryumfującą dumą filozofa, który znalazł długo ukrytą prawdę,—patrz, Benedykcie mój, na gmatwaninę tych dachów. Ztąd od szerokiego gzymsu przed oknem rozbiegają się połamane szczyty dachów, jak sto krętych strumieni aż ku klasztorowi, i daléj jeszcze, ku pałacowi, gdzie księżniczka dawniéj mieszkała. Jest to zupełną niemożebnością dla człowieka normalnego zrobić choć trzy kroki po spadzistéj téj drodze—dla człowieka normalnego, powtarzam—cóż wszakże, gdyby księżniczka Manfredi była lunatyczką?... Przypomnij sobie, że i ty, i ja widzieliśmy jéj widmo, jéj cień w morzu intensywnego światła księżycowego...

Odblask tryumfu na twarzy méj zgasł nagle, bo na twarzy przyjaciela zabłysnął teraz uśmiech zwycięski, ale tak zagadkowy, tak szkaradny, żem się zląkł, nie wiedząc sam, dla czego. Byłbym w téj chwili nie wiem co za to dał, żebym był tego słowa „lunatyczka“ nie wymówił. Uczułem ulgę, gdy Benedykt po chwili niedowierzająco głową pokręcił. Był—jak mówił—zupełnie przekonany, że po tych dachach nawet lunatyk chodzić by nie potrafił, a zresztą—dodał—niepodobném było do uwierzenia, aby Teresa z klasztoru na dach dostać się mogła. Był pewny, że to była jéj dusza, i powoływał się znów na Pliniusza. Wypisał mi potém nazwiska niektórych autorów, którzy pisali o magii i spirytyzmie, i prosił, żebym w jakiéj księgarni o dzieła ich zapytał, kwestya ta, jak mówił—zajęła go nagle i chciał ją bliżéj wystudyować.

Odszedłem prawie zapełnie uspokojony, lecz w domu znowu napadły mię dzikie jakieś myśli. Czułem strach jakiś nieokreślony, coś popychało mnie, aby pójść do klasztoru i poprosić o chwilę rozmowy z księżniczką. Potém wydało mi się to szaleństwem. Cóż bym jéj powiedział? Potém znowu zacząłem rozmyślać o Apolloniuszu z Tyany i jego cudach, to miałem go za wielkiego maga, to za szarlatana,— i znowu wspomniałem o księżniczce Teresie. Tak przepędziłem dzień, pod wieczór pobiegłem do Benedykta, ale nie znalazłem go ani w domu, ani w pracowni. Długo stukałem i dzwoniłem napróż-

no i chodziłem potém w złym humorze po ulicach. Przechodziłem koło jednéj winiarni—i tam nareszcie spotrzegłem Benedykta.

Był dość wesół, ale ci, z którymi tam siedział, byli dla mnie tak wstrętni, że nie wszedłem. Wróciłem do domu i znużony położyłem się wcześnie. Wkrótce jednak zbudziłem się z pierwszego snu i nie zasnąłem już noc całą.

Księżyc świecił jak rybie oko, zasłony były spuszczone, ale przez rozdarcie w jednéj z nich wdzierały się do pokoju promienie księżycowe i tworzyły na podłodze okrągłą, srebrną plamę, jakby kałużę po deszczu. Nie mogłem oczu odwrócić od téj kałuży światła, i wkrótce wydała mi się ona jeziorem, przejrzystą, głęboką, bezdenną wodą, w któréj topiła się księżniczka Teresa. Rozpaczne spojrzenie jéj oczu zbudziło mnie ze snu, w który zapadłem na chwilę. Siadłem na łóżku, serce biło mi z niepokoju, trzymałem głowę obiema rękami, jakby mi opadała pod ciężkim ciosem.

Gdy rozedniało, narzuciłem pośpiesznie odzież na siebie i nie zważając na to, że Benedykt najpewniéj jeszcze śpi, udałem się do niego. Dom był już otwarty, znalazłem przyjaciela siedzącego na schodach przed samym progiem pracowni. Miał kapelusz na głowie i twarz w dłoniach ukrytą. Usłyszawszy kroki moje po schodach, podniósł głowę—i przestraszyłem się go. Był cały siny. Podał mi drżącą rękę—była skrwawiona.

Coś mnie w gardle ścisnęło.

— Chciałem iść właśnie do ciebie—po radę szepnął Benedykt. Przeląkłem się i uczułem, że blednę.

— Na Boga, tyś spełnił morderstwo? wyrzekłem z wysileniem. Skinął głową, a potém dodał cicho: „Gorzéj jeszcze.“ Położył palec na ustach na znak, abym milczał, potém wciągnął mnie ostrożnie za sobą do pracowni i zamknął drzwi na dwa spusty. Pracownia wyglądała jak po walce niedawnéj, poprzewracane stołki leżały na podłodze, długa zasłona renesansowego łoża była w połowie zdarta, a sztylet z mosiężną rękojeścią, wykładaną masą perłową, który kiedyś przywiozłem Benedyktowi z Wenecyi, błyszczał bez pochwy, jak gad, niedaleko okna na ziemi.

Na łożu leżał ktoś bez ruchu. Odsunąłem kotarę i krew zastygła mi w lód, serce bić przestało i mgła jakaś zasłoniła mi oczy:— księżniczka Teresa Manfredi w czarnym habicie mniszki leżała na łożu z oczami słupem stojącemi, otwartemi ustami, zerwaną zasłoną i dziko rozrzuconemi włosami. Ręce i nogi jéj były mocno związane. Skoczyłem do okna, chwyciłem sztylet wenecki, jednéj cięciem przerznąłem więzy nieszczęśliwéj dziewczyny—potém chwilę myślałem, czy by nie wbić sztyletu we własne serce lub w piersi Benedyk-

ta. Westchnienie z bladych, drżących ust zwróciło nagle uwagę moją na księżniczkę. Nie poruszyła się, ale ręce jéj, uwolnione z więzów, opadły jakby same przez się na oba boki. Wziąłem ją za rękę, była jak lód. Nogi zadrżały pode mną, zabrakło mi siły i padłem przy łóżku na kolana, zanurzywszy twarz w fałdy kobierca, pokrywające go łoże. Tak zostałem bez ruchu, długo, długo. Głos Benedykta szeptem ozwał się koło mojego ucha.

— Zgadłeś, jest lunatyczką... Wczoraj w nocy przyszła znowu do okna... Czyhałem na nią w cieniu, jak morderca, jak dziki zwierz... Miłość taka, jaką czułem, równa się nienawiści... Padałem z otchłani w otchłań i w kilka chwil znalazłem się na dnie piekła... Nie byłem zwierzem, byłem diabłem... Schwyciłem za jéj wyciągniętą rękę, nie rozumiem, że się nie przebudziła, słyszałem chrapliwy swój oddech... Uśmiechała się i szeptała moje imię... To mnie nie wzruszyło! Widzisz więc, żem potępiony na wieki... Zbudziła się w mych objęciach...

Zamilkł, a zęby mu szczękały.

— Nędzniku! zgrzytnąłem zębami i podniosłem sztylet.

Benedykt schylił głowę przed obelgą, ale nie cofnął się przed sztyletem. Teresa poruszyła się na łożu i nóż mój opadł. Szept Benedykta znowu ozwał się za mną.

— Tym nożem chciała się przebić, gdym jéj go wyrwał, chciała z okna się rzucić... Walczyliśmy z sobą, raniła mnie, a ja ją związałem, aby ją uratować...

— Uratować! zaśmiałem się gorzko.

— Co teraz począć? co począć? wyrzekał cicho Benedykt.

— Tak, co począć? powtórzyłem z rozpaczą; byliśmy obaj przygnębieni i bezradni.

Nagle księżniczka Teresa siadła na łóżku—i niezapomnę nigdy jéj pół-obłąkanego, rozpaczliwego wzroku, którym błądziła po pracowni. Na dworze było jasno, słońce się śmiało, a powietrze pełne było wesołego szczebiotania wróbli. Jak nieprawdziwém, bajecznem wydało mi się to nasze położenie, oczekiwałem co chwila, że przebudzę się z ciężkiego snu do rzeczywistości..

Księżniczka Manfredi zakryła sobie twarz obiema rękami i pozostała tak długą chwilę bez ruchu, naraz zwróciła bladą twarz swoję ku mnie i wlepiła oczy w próżnię. Zaczęła mówić cichym głosem, jakby sama do siebie.

„Za lat dziecięcych byłam lunatyczką... Myślałam, żem już dawno wyleczona, wszyscy w domu to myśleli. Widzę teraz, jak-eśmy się mylili. Teraz jasném mi jest wszystko, co się ze mną stało... Panie, połóż pan ten sztylet... Jestem także winna... Gdybym nie by-

ła ciągle o nim myślała... „Podniosła palec i wskazała w stronę, gdzie stał Benedykt, „gdyby dusza moja nie była tak przepełniona jego obrazem, gdybym nie marzyła o nim daléj w klasztorze tak, jak poprzednio w domu ojca swego, nie byłyby mnie we śnie nogi do niego niosły... Wszystko jest mi teraz jasném... wszystko, wszystko, wszystko..."

Głowa jéj opadła, ale przez twarz Benedykta przeleciał jak błyskawica wyraz błogiéj nadziei, przystąpił do niej bliżéj.

— O gdyby to było możliwe, gdybyś mi przebaczyła, dziewczyno... zawołał.

Teresa zadrżała.

— Nigdy! a kiedy się jeszcze przybliżał, zeskoczyła z łoża, chwyciła się mego ramienia i całym ciężarem zawisła na moich piersiach. Serce zabiło mi gwałtownie, szukała u mnie schronienia, jak ptaszę strwożone. Zgroza, która dotąd jakby kamiennemi rękami serce me ściskała, znikła, głębokie wzruszenie zajęło jéj miejsce, łzy gorące kapały mi z oczu na białe, zhańbione, a przecież czyste jéj czoło. Czuła je i zwróciła ku mnie swój boski, nawpół dziecięcy wzrok, coś jak uśmiech wdzięczności zaigrało na jéj ustach, jeszcze mocniéj przytuliła się do mnie.

— Wyprowadź mnie pan, wyprowadź,—prosiła słodkim dziecięcym głosem.

— Ale dokąd, dokąd? wykrzyknął Benedykt z niepokojem.

— Do klasztoru! odpowiedziała z prostotą, i dziwna energia odbiła się w całéj jéj postaci. Zdawała się prawie spokojną, a głos jéj brzmiał jasno, lecz jakoś nienaturalnie i obco, gdy dodała: „Wyznam wszystko, co mi się przytrafiło. Może mnie poprostu przywiążą w nocy do łóżka, lub zamkną w celi. Może mnie zabiją, a może wypędzą haniebnie. Ich rzeczą—działać, moją przyjmować wszystko, co Bóg na mnie ześle. Jestem rzeczą, nie jestem już człowiekiem. Wszystko mi obojętne. Proszę, wyprowadź mnie pan!

Miała słuszność, cóż jéj pozostawało innego, jak wrócić do klasztoru. Obejrzałem się po pracowni, szukając czegoś, czem by nieszczęśliwa klasztorny swój habit osłonić mogła, aby na ulicy nie zwracać na siebie uwagi. W kącie pracowni wisiał jakiś rodzaj płaszczyka z kapturem. Wiolanta przyniosła go tu raz i zapomniała. Benedykt odgadł, czego szukam, i przyniósł płaszcz. Chciał go podać księżniczce. Krzyknęła głucho, gdy się zbliżył, i uciekła do mnie. Narzuciłem na nią płaszcz. Czułem, jakiéj profanacyi dopuszczam się, odziewając nieszczęśliwą dziewczynę w jedwabny, kokieteryjnie strojny łachman bezwstydnéj zalotnicy. Podałem jéj ramię, aby się wesprzéć mogła, nie chciała; trzymała się ściany i tak zataczając się

szła przez pracownię, ze schodów i przez trawą zarosłe podwórze. Benedykt ze schodów patrzał za nami.

Teresa nie przemówiła ani słowa podczas krótkiéj drogi, dopiero pod samym klasztorem spytała nagle drżącym głosem: „Panie, gdybym wyznała wszystko, rozumiesz pan, wszystko... czy miałoby to złe skutki dla... dla... — nie mogła mówić daléj.

— Miałoby,—odrzekłem krótko i w tejże chwili podeszliśmy do furty. Zadzwoniłem.

— Dziękuję—rzekła dziewczyna i padła bez zmysłów na progu. Usłyszałem krzyk przestrachu w korytarzu klasztornym, otworzyła się furta i w mroku ciemna jakaś postać kobieca pochyliła się nad omdlałą Teresą. Nie czekałem dłużéj i rzuciwszy pożegnalne spojrzenie na marmurową jéj twarz, uciekłem z klasztoru.

Minęło trzy miesiące. Nie pytaj, drogi mistrzu, jak przez ten czas żyłem, co cierpiał Benedykt. Co księżniczka powiedziała w klasztorze, jak daleko posunęła swoje wyznanie, co się z nią działo, to pozostanie na zawsze tajemnicą. Jednego rana wszakże, niespodzianie uderzyła nas wiadomość w jakimś dzienniku klerykalnym, że dla księżniczki Teresy Manfredi termin nowicyatu został skrócony, że na przyszły tydzień złoży ostateczne śluby zakonne, że tęskni za spokojem, poznawszy nicość świata i jego rozkoszy itd. Te frazesy gazeciarskie wzruszyły mnie bardziéj, niż którabądź z tragedyi Ajschila. Wyszukałem Benedykta, z którym przez cały ten czas mało-m się widywał. Nie mówiliśmy nigdy o straszliwéj nocnéj przygodzie, a imię księżniczki Manfredi podczas krótkich naszych rozmów nigdy nie przeszło przez nasze usta. Benedykt wykończał obraz św. Teresy, zawsze ze łzami w oczach, ale czy to że rozpacz go przemogła,—malował obraz drugi, straszny, nigdy nieukończony... Przedstawiał mniszkę, rozpaczającą na łożu w swéj celi, z któréj barbarzyński jakiś żołdak uciekał właśnie ze śmiechem. Przez okno celi, wzdzierał się dym płonącego klasztoru; żołnierz miał twarz Benedykta, a mniszka wpół-obłąkane, rozpaczliwe spojrzenie nieszczęsnéj księżniczki Manfredi, powracającéj po swém nieszczęściu do zmysłów...

Benedykt siedział przy oknie, oczekiwał moich odwiedzin. Pierwszy raz po strasznym tym wypadku mówiliśmy o księżniczce. Płakaliśmy obaj i umówiliśmy się, że pójdziemy na ceremonię do kościoła. Widziéć ją raz jeszcze, raz ostatni, było dla nas taką samą potrzebą, jak słońce, powietrze.

Fatalny dzień nadszedł. Wstęp do kościoła był za biletami. Nie wiem, zkąd Benedykt je wydostał. W kościołku była zgromadzona cała tak zwana śmietanka towarzystwa praskiego, ja i Benedykt byliśmy jedynymi intruzami z klasy plebejuszów. Staliśmy z boku i myśleliśmy, że nas od ołtarza widać nie będzie.

Nie żądaj, drogi mistrzu mój, abym ci to opisywał szczegółowo. Nic nie wiem na pewno, co się działo, wszystko to było jak sen przelotny. Widziałem księżniczkę Teresę Manfredi w białéj, długiéj, jedwabnéj szacie, w blasku złota i drogich kamieni, widziałem blade, marmurowe jéj oblicze, siwe jéj oczy, takie marzące, że z niczém pod słońcem porównać ich niepodobna, widziałem wszystko, ale wszystko przez mgłę łez swoich. Patrzałem na nią, jak ją tu i owdzie prowadzali, mówili coś, ale co—nie wiem. Teresa nie rzuciła ani jednego spojrzenia na publiczność. Gdy mówiła, słyszałem tylko słodką muzykę jéj głosu, nie będąc w stanie zrozumiéć słów wymawianych. Czasami wydawał mi się jasny, energiczny głos ten tak nienaturalnym, jak wówczas w pracowni Benedykta. Nieszczęsny Benedykt trzymał mnie za ramię, czułem, jak ściskał mi je coraz to silniéj i silniéj, a oddech jego był tak ciężki i głośny, że musiano go słyszéć w całym kościołku. Teraz przyszła chwila, gdy Teresa według przepisanego obrzędu na ziemię legła, a zakonnice przystąpiły do niéj z całunem, aby ją przykryć... Szeptały jéj coś, postąpiła wbrew przepisom, mianowicie podniosła nagle głowę i po raz pierwszy przez cały czas ceremonii wlepiła spokojnie oczy w otaczającą ją publiczność. Spostrzegła natychmiast Benedykta, jakby poprzednio wiedziała, gdzie go szukać. Oczy jéj były nadnaturalnie wielkie i zatapiały się w twarzy Benedykta, opierającego się prawie bez zmysłów o ścianę. Napominano księżniczkę Teresę już głośniéj, i śród publiczności ozwał się szept. Teresa nie zważała na to, piersi jéj wznosiły się, w siwém oku zabłysła wielka łza—jedyna, którą widziałem u téj nieszczęśliwéj dziewczyny... Przy ołtarzu zniecierpliwiono się, całun padł na nią. Powinna była pod nim cicho leżéć, tak chciały przepisy obrzędu, ale całun zadrżał dwa razy i dwa razy wznosiły się pod nim słabo ramiona dziewczęcia... Potém ciężka materya została bez ruchu, lecz z pod czarnych fałdów ozwało się słabe charczenie. W kościele powstał hałas, kobiety bladły, mężczyzni stawali się niespokojnymi, tylko przed ołtarzem szło wszystko według przepisów... Teresa leżała cicho, a Benedykt, jak dziecko, oparł twarz o moje ramię. Teraz podniesiono całun, Teresa powinna była wstać—nie poruszyła się. W kościele zabrzmiały krzyki, jedna z dam podawała swój flakon. Podniesiono Teresę, i zrobił się hałas jeszcze większy. Pewien lekarz „fashionable“ był obecny, przystąpił do niéj i wziął ją za rękę.

— Nie żyje... rzekł po chwili.

A łza błyszczała dotąd w zagasłém siwém oku...

Jakeśmy się z Benedyktem do domu dostali, nie wiem. Benedykt chorował długo. Myślałem, że oszaleje. Rozpaczliwy wzrok

mniszki, który zaczął malować, prześladował go we dnie i w nocy. Nie umiał sobie Teresy inaczéj wyobrazić, jak związaną, leżącą z wpół-obłąkaném okiem za ciemną kotarą renesansowego łoża. Siła jego na długo znękana. Lekarz radzi zmianę miejsca pobytu. Nikt nie wywiera tak dobroczynnego wpływu na Benedykta, jak ty, drogi nasz mistrzu. Ty jeden zdołasz odegrać eumenidy, potrząsające żmijami swych warkoczy nad głową rozpaczającego nieszczęśnika. Zgodził się wreszcie, że pojedzie do ciebie do Passy. Długiego czasu potrzebowałem, aby go zbudzić ze strasznego letargu.

— Skądże ja wezmę sił—rzekł do mnie,—aby opowiedziéć historyą swą naszemu drogiemu mistrzowi? Opisz ty mu wszystko, wszystko. Nie szczędź mnie. Napisz mu całą prawdę.

Zrobiłem, o co mnie prosił.. Nigdy i nikomu więcéj nie będę opowiadał o księżniczce Manfredi. Pojadę na Wschód, bo i ja potrzebuję odpoczynku, i ja potrzebuję zmiany powietrza i zapomnienia. Zapomnienia! Jak próżne to słowo... O mistrzu, drogi mistrzu mój, czemuż nie mam ci tego wyznać, toć sam już pewnie to zgadłeś... I ja kochałem tę kobietę...

Z czeskiego przełożył *Miriam.*





KOTLINA PRYPECI I BŁOTA PIŃSKIE

POD WZGLĘDEM PRZYRODNICZYM.

Słynne błota pińskie, zalegające ogromne obszary ziem, po obu brzegach rzeki Prypeci położonych i wypełniające większą prawie część wołyńskiego i litewskiego Polesia zwróciły już oddawna na siebie uwagę zarówno badaczów rzeczy ojczystych, jak i zagranicznych uczonych. Ale nie tylko z powodu zjawiska, nazwą błot pińskich oznaczonego, zasługuje ta kraina na uwagę; położona prawie w samym środku Europy, na granicach dwóch odmiennych światów, polarnego i stepowego, obfituje ona w szczegóły po części dotąd nieznane, po części niedostatecznie ocenione, które pozwalają wejrzéć w fizyczne dzieje naszéj ziemi i mogą przyczynić się do rozwiązania wielu najciekawszych zagadnień z dziedziny przyrodoznawstwa. Jest to nadto ziemia dziewicza, w któréj przyroda, gwałcona w krajach ościennych bezustannie postępami cywilizacyi, przechowała po dziś dzień swój pierwotny charakter, a dokładniejsze jéj poznanie i rozbiór jéj właściwości, oparty na samodzielném badaniu, powinien by być w téj chwili tém więcéj na czasie, ile że prace, podjęte od niewielu lat w celach ekonomicznych, nagłe czynią postępy, a zmieniając przyrodnicze warunki miejscowości, zmienią niebawem nie tylko jéj powierzchowność, lecz wpłyną także niezawodnie na zatracenie wielu ciekawych szczegółów przyrodniczych, których napróżno szukalibyśmy w innych krajach Europy, a które przechowały się tutaj po dziś-dzień, dzięki niedostępności téj krainy.

Ażeby ocenić dostatecznie powody, które wpłynęły na zabagnienie naszego Polesia i nadały mu piętno tak odrębnéj samodzielności, musimy poznać wpierw własności jego gleby i stosunek jego

do innych krajów ościennych, musimy poznać choćby w grubszych zarysach ogólną budowę lądu europejskiego.

Powierzchnia Europy odznacza się pod względem postaci wielką rozmaitością, bo gdy jedne jéj części obniżyły się pod poziom oceanów, to drugie wzniosły się na wiele tysięcy metrów w górę i tworzą niebotyczne wierzchołki, wiecznemi lodami pokryte. Wogóle trzeba powiedziéć, że wzniesienia na nazwę gór zasługujące, czyli tak zwany wyż europejski, zajmują zachodnią, zaś niziny, czyli niż europejski, wschodnią połowę téj części ziemi. Rozmiary i wzajemny stosunek tych dwóch formacyi uwidoczniłyby się nam, gdyby wody oceanów, okalających Europę, podniosły się przynajmniéj na 400 metrów w górę, bo wówczas część Europy wschodnia, zamknięta między Uralem i Karpatami w jednym, a górami Skandynawii i Kaukazem w drugim kierunku, zamieniłaby się w dno morskie, a na ogromnym tym obszarze, zajmującym prawie dwie trzecie części dzisiejszéj Europy, nie byłoby ani piędzi ziemi, którąby nad powierzchnię wody sterczała. To morze, pokrywające niż europejski, byłoby od strony zachodniéj zamknięte pięcioma wyniosłemi wyspami, odpowiadającemi pięciu górskim krainom, a mianowicie: krainie alpejskiéj, z gałęziami półwyspów bałkańskiego i apenińskiego, wyżynie iberyjskiéj z Pirenejami, wyżynie środkowéj Francyi, grupie wysp Wielkiéj Brytanii i wyżynie skandynawskiéj. Wyspa alpejska i skandynawska przewyższyłyby wszystkie inne swemi rozmiarami, ale rozdzielałoby je ramie morskie, co najmniéj na 1000 kilometrów szerokie, odpowiadające nizinie północnych Niemiec i mórz ościennych, które z tego powodu za przedłużenie wschodnio-europejskiego niżu uważane być muszą.

Obecnie zajmuje nas przedewszystkiém ten wschodnio-europejski niż, nazywany także niżem sarmackim, prawie wyłączna siedziba plemion słowiańskich. Na nazwę niżu zasługuje on jedynie, gdy go uważamy jako przeciwstawienie górzystéj Europy, ale nie jest on równiną, bo powierzchnia jego obejmująca 90 tysięcy mil kwadratowych czyli sześć milionów takichże kilometrów, wznosi się nad poziom morza do przeszło 300 metrów wysokości i budzi potrzebę dalszego rozróżnienia wzniesień i zapadłości, czyli grzbietów i nizin właściwych.

Zoryentowanie się w krainie niskiéj jest wogóle trudniejsze, niż w krainie górzystéj (1). Geografowie dawniejsi łączyli nabrzmiałości,

---

(1) Bardzo dobre wyobrażenie o budowie zachodniéj części europejskiego niżu, a zatém obszaru między Karpatami i Baltykiem położonego, daje hypsometryczna mapa środkowéj Europy Steinhausera, wydana u Artarii w Wiedniu w 1877 r. Dla wschodniéj

wznoszące się na niżu europejskim, w dwa systemy, jakoż rozróżniano do niedawna jeszcze grzbiet baltycko-uralski, który biegnąc od brzegów morza baltyckiego, dochodził pod góry uralskie i przecinał w poprzek północną Rosyą, a następnie grzbiet karpacko-uralski prawie równoległy od pierwszego, który przecinał południową Rosyą i łączył Karpaty z Uralem. Oba te grzbiety miały się obniżać dość nagle ku północy i ku południowi, a w pośrodku pomiędzy niemi miała się znajdować jednostajna wielka zapadłość, odpowiadająca kotlinie Dniepru, Donu i Wołgi (1). W ten sposób przedstawiano sobie w grubszych zarysach budowę wschodnio-europejskiego niżu. Ale nowsze badania geograficzne dostarczyły materyałów, w obec których pogląd ten ostać się nie może. Rozróżnienie dwóch samodzielnych grzbietów okazało się bezzasadném, bo łączą się one z sobą w wieloraki sposób. Bezpośredni związek między niemi istnieje przedewszystkiém na całym obszarze ziem między Dnieprem i Wołgą położonych; środkowa Rosya nie jest zapadłością, lecz wyżyną, która wzniesieniem swém stoi na równi z owemi wrzekomemi grzbietami i spada dość nagle ku Wołdze i Dnieprowi. Kulminacya téj wyżyny przypada na okolicę, pomiędzy miastami Orłem i Kurskiem położoną, skąd dopływy rzek Dniepru, Donu i Wołgi w kierunku promieni na wszystkie rozchodzą się strony. Środkiem téj wyżyny spływają ku południowi wody Donu, którego koryto jest znacznie wyżéj od koryta Dniepru i Wołgi położoném, który nie posiada własnéj kotliny i z tego powodu za rzekę wyżynową uważanym być musi. Daléj na zachodzie istnieje inne połączenie owych grzbietów, tworzące dział wodny między Prypecią i Wisłą, a jeszcze daléj inne dzieli dorzecze Wisły od dorzecza Odry.

W obec tego wszystkiego niż wschodniéj Europy przedstawia nam się jako obszerna wyżyna, wznosząca się miejscami do 300 metrów nad poziom mórz ościennych, a kotliny rzek Wołgi, Dniepru i Wisły są miejscowemi zagłębieniami tejże wyżyny. Zagłębienia

części niżu możemy polecić jedynie mapę Rosyi Iljina, wydaną w języku niemieckim, bez daty, w Petersburgu. Obie są opatrzone liniami równych wzniesień (isohypsy), pierwsza w odstępach 33, 100, 200, 300, 400, 500, 700 i t. d. metrów, druga w odstępach 100, 300, 500, 700, 1000, 2000, 4000 stóp, i nadają się doskonale do studyowania terenu. Mapa Steinhausera jest najlepszą pracą kartograficzną, jaka się w tym rodzaju dotąd ukazała. Mapa Iljina, również bardzo starannie opracowana, ma tę wadę, że granice powiatów i rzeki zostały zbyt szeroko naznaczone, wskutek czego linie równosiężne straciły wiele na wyrazistości, a związek pomiędzy niemi jest w niektórych razach trudny do odgadnienia.

(1) W. Pol: Północny wschód Europy pod względem natury. (Lwów, 1875), str. 14 i nast.

te rozwinęły się o wiele silniéj na wschodzie i są tam daleko obszerniejsze, co jest prostem następstwem większego rozpościerania się niżu we wschodnim kierunku. Ten pogląd zmienia i pojęcie o rozwoju europejskiego niżu. Kotliny rzek tutejszych, uważane przez dawniejszych geografów za zapadłości, są dziełem erozyi, powstały przez działanie wody, przez wymulenie i uniesienie cząsteczek ziemnych do morza, są dziełem rzek tutejszych; przeciwnie wyniosłości, dzielące te rzeki od siebie, o których dawniejsi geografowie przypuszczali, iż powstały przez pofałdowanie powierzchni ziemi, są w rzeczywistości resztkami wyżyny, które wskutek położenia swego mniéj były na działanie wody narażone i wskutek tego mało co dotąd ze swéj pierwotnéj utraciły wysokości.

Przemawia zatém najsilniéj geologiczna budowa gleby téj części Europy. Nierówności na powierzchni ziemi, nazwą gór oznaczane, powstały wogóle wskutek kurczenia się ziemi, powodowanego jéj bezustannném stygnięciem. Ponieważ stwardniała skorupa ziemska utraciła już zupełnie swoję podajność, przeto skutki kurczenia się ziemi objawiają się na niéj w ten sposób, że ulega bezustannemu pofałdowaniu, wskutek czego jedne jéj części wznoszą się w górę, inne obniżają się, poziomy układ warstw przechodzi w ukośny, warstwy ulegają pogięciu, przyczém powstają nierzadko szczeliny, przez które wydobywa się na zewnątrz lawa, wypełniająca wnętrze ziemi, a stygnąc na jéj powierzchni, daje początek skałom krystalicznym, które potrzeba dobrze odróżnić od skał powstałych jako osad ziemny na dnie wód oceanicznych. W górzystych częściach Europy na każdym kroku można widzieć ślady przewrotów, jakie odbywały się w różnych czasach na powierzchni ziemi. Ale niż wschodniéj Europy pozostał dotąd prawie przez nie nietknięty. Jest to olbrzymia kotlina, prawdziwa zapadłość, wypełniona skałami osadowemi różnego wieku i różnéj przyrody, których pokłady leżą po dziś-dzień w kierunku poziomym tak, jak osiadły na dnie morza, jakie do niedawna jeszcze tę kotlinę wypełniało. Mało jest miejscowości na powierzchni ziemi, gdzieby skały osadowe, odpowiadające różnym epokom w rozwoju ziemi, od najstarszych do najmłodszych spoczywały jedne na drugich w takim porządku i tworzyły tak jednostajny łańcuch, jak w wielkiéj kotlinie rosyjskiéj. Podstawę tych utworów daje granit (skała pierwotna, krystaliczna), który przegląda w wielu miejscach na jéj obwodzie, szczególniéj na północy, gdzie tworzy olbrzymią płytę, odpowiadającą całéj Finlandyi i przechodzącą w wyżynę półwyspu skandynawskiego i na południu, gdzie przykryty niezbyt grubym pokładem skał osadowych młodszego wieku, wystąpił na jaw w dolinach rzek na całym obszarze między Dniestrem i Bo-

hem i po wzniesieniach czarnomorskich, a zatém tam, gdzie miękkie skały młodszych osadów przez wodę zniszczone i uniesione zostały. Granit tworzy bezwątpienia i rdzeń gór uralskich, bo po wschodnich ich stokach, od strony Syberyi, wystąpił na znacznych obszarach, w czystéj typowéj postaci (1).

Na tym granicie leżą mniéj albo więcéj rozwinięte pokłady skał wszystkich formacyi osadowych, od sylurskiéj do trzeciorzędnych. W środkowéj i południowéj części kotliny skały najmłodsze, trzeciorzędne, tworzą wszędzie powierzchnię ziemi; ale na północy, od strony Finlandyi a po części i od strony Uralu wyszły na jaw skały starszych formacyi, a mianowicie: sylurskiéj, dewońskiéj, permskiéj, triasowéj i jurajskiéj, postępując od obwodu kotliny ku jéj środkowi w naturalnym porządku i zajmują tam tak znaczne obszary na powierzchni ziemi, iż wypada przypuścić, że dno starego morza podnosiło się tutaj stopniowo, w różnych epokach geologicznych, wskutek czego i rozwój młodszych formacyi do skutku nie przyszedł.

Nie trudno po tém wszystkiém zrozumieć geologiczny rozwój wschodnio-europejskiego niżu. Jest to prastare zagłębienie na powierzchni ziemi, które jeszcze w najmłodszych epokach geologicznych było zalane wodą, a powstało wskutek stopniowego podnoszenia się gleby na jego obwodzie. To podnoszenie się rozpoczęło się najprzód na północy, od strony wschodniéj i zachodniéj: tam wyszło ono od gór uralskich, tu od półwyspu skandynawskiego i posuwało się ku południowi, gdzie spotkało się ze wzniesieniami Karpat i krymsko-kaukaskiego wału. Zakłócenie pierwotnego układu warstw nastąpiło tylko tam, gdzie wzniesienie odbywało się nagléj. Na całéj linii Uralu od strony Syberyi, po obu stronach Karpat, w Krymie i na półwyspie tamańskim, nie tylko warstwy nowszych pokładów uległy pogięciu, lecz powstały nadto liczne, głębokie szczeliny w skorupie ziemskiéj, przez które wydobyła się płynna lawa różnéj gęstości, a zastygłszy, dała początek młodszym skałom wybuchowym t. zw. trachytom, bazaltom, diorytom i t. d. Sam środek kotliny pozostał wolnym od takich zaburzeń; wody oceaniczne ustąpiły z niego stosunkowo najpóźniéj, a skały osadowe przechowały do dziś-dnia pierwotny poziomy układ warstw (2).

Dopiero po ustąpieniu wód téj kotliny rozpoczęło się właściwe modelowanie powierzchni ziemi, a zostało dokonane wyłącznie przez

---

(1) Porównaj mapę geologiczną Rosyi Helmersena: Geołogiczeskaja karta Rossii sostawlena 1845 godu Murszisonom, Wernelem i Kejserlingom, isprawlena i dopołniena w Fiebrale 1870 goda Gr. Gelmersenom.

(2) Skała wybuchowa młodszego pochodzenia, t. z. anamerit, została na właściwym niżu tylko w jedném miejscu, nad Horyniem około Berestowca odkrytą, o czém niżéj.

wody atmosferyczne, spadające bezpośrednio z powietrza na obnażoną jéj powierzchnię i spływające po niéj w postaci rzek i potoków. Kierunek głównych rzek i ich dopływów był z góry wyznaczony nierównościami dna morskiego. Bo chociaż w oceanach dno jest prawie zupełnie równe, a powierzchnia jego zachowuje z podziwienia godną stałością kierunek zupełnie poziomy, to w morzach zamkniętych, mniejszych rozmiarów, otoczonych wyniosłościami, dno przedstawia zawsze płaszczyznę falistą, pogiętą. Chociażby spadek tych nierówności był jak najmniejszy, to wody deszczowe korzystają z nich bezwarunkowo, spływają po pochyłościach a gromadzą się po zagłębieniach, skąd siłą torują sobie drogi ku morzu. Wody deszczowe spływając po glebie nagiéj, niepokrytéj roślinnością, zabierają cząstki ziemi i unoszą je do rzek, a z niemi do morza; wskutek ubytku gleby, spowodowanego bezustanném jéj opłukiwaniem, ulegają pierwotne niziny pogłębieniu, powstają kotliny i doliny rzek, których rozwój i postać zależy wyłącznie od ilości opadu wodnego i od twardości skał glebę tworzących. Jeżeli boki dolin i kotlin mają spadek znaczny, to wody deszczowe, ściekające po nich, poruszają się ze znaczną siłą, rozrywają glebę, tworzą jary i zagłębienia, kótre okolicy pierwotnie równéj, o układzie warstw poziomym mogą nadać charakter górski. W ten sposób powstały wszystkie nierówności na niżu wschodniéj Europy i z tego powodu do szeregu utworów erozyjnych zaliczane być muszą. Obnażenie gleby (denudacya) może zajść tak daleko, że pokłady młodsze ulegną zupełnemu zniszczeniu i znikną, a ich miejsce zajmą utwory spodnie, a zatém do starszych formacyi geologicznych należące.

Rzeka Prypeć, która przy pomocy licznych dopływów odwadnia błota pińskie, wpada do Dniepru a z nim do morza Czarnego. Dolina Prypeci przedstawia obszerną kotlinę, któréj środek jest prawie zupełnie równy i z lekka tylko, jednostajnie ku wschodowi pochylony, bo spadek Prypeci między Pińskiem (140^{m}) a jéj ujściem do Dniepru (103^{m}) (1), to jest na przestrzeni w prostéj linii prawie 400 kilometrów długiéj, wynosi tylko 37 metrów; kotlina ta podnosi się dopiero na swym obwodzie ku otaczającym ją wyżynom, a jeśli średni jéj poziom przyjmiemy na 120 metrów, to najwyższe wierzchołki na północy i na południu przewyższają ją jeszcze 200 do 250 metrów.

Od północy zamyka kotlinę Prypeci system wzniesień, obecnie nazwą grzbietu baltyckiego, albo z powodu wielkiéj ilości jezior, ja-

(1) W. Choroszewski: Poszukiwania geologiczne, dokonane w ostatnich latach na Polesiu, w „Pamiętniku Fizyograficznym“, Tom. I, str. 128.

kiemi jest pokryta, pojezierzem baltyckiém nazywany. To pojezierze bierze początek na południu od jeziora Ładogi, we wzniesieniu wałdajskiém, skąd źródła Dźwiny, Wołgi i Wołchowa w różne rozchodzą się strony, a gdzie Popowa góra, 351 metrów wysoka, jest najwyższém wzniesieniem w całym systemie. Od Wałdaju biegnie ten grzbiet ku zachodowi, a trzymając się bezustannie brzegów morza baltyckiego, dochodzi przez Litwę, Prusy królewskie, Pomorze, Meklemburg do południowéj Danii, gdzie obniża się prawie do poziomu morza. Rzeki Dźwina, Niemen, Wisła i Odra, które mają swe źródła na południu a uchodzą do Baltyku, przerywają ten grzbiet w poprzek i dzielą go na kilka naturalnych całości. Część jego przecięta Niemnem a zamykająca naszą kotlinę od północy, bywa nazywana grzbietem litewskim, a Święta góra nad Mińskiem, na której Niemen bierze początek, wznosi się na 341 metrów nad poziom morza i jest najwyższym punktem na północ od Prypeci.

Od strony południowéj podnosi się kotlina Prypeci ku owéj wielkiéj wyżynie, która od stóp Karpat galicyjsko-węgierskich rozpościera się ku północy i ku południowemu wschodowi, tworząc glebę Podola, Wołynia i przed dnieprowéj Ukrainy, a za Dnieprem łączy się z nabrzmieniem środkowéj Rosyi. Najwyżéj wzniósł się na téj wyżynie grzbiet biegnący od Lwowa na Krzemieniec do Ostroga i rozdzielający dopływy Prypeci, a zatem Dniepru od dopływów Dniestru i Bohu, a najwyższe miejsca na tym grzbiecie dochodzą do 400 metrów nad poziom morza (wzniesienia na zachód od Dubna 324 m., Krzemieniec 400 m.). Od strony wschodniéj tworzy granicę naszéj kotliny rzeka Dniepr, bo po lewéj, wschodniéj jego stronie podnosi się gleba dość nagle ku wyżynie środkowéj Rosyi, jakoż już między Dnieprem i Desną, uchodzącą do niego pod Kijowem, mamy wzniesienia dosięgające do 165 metrów, a zatém przewyższające poziom téj rzeki o całe 60 metrów. Wyżyna środkowéj Rosyi jest wogóle o wiele niższą od nabrzmiałości, tworzących południową i północną granicę kotliny Prypeci, bo w miejscach najbardziéj nad poziom morza wzniesionych, w gubernii Kurskiéj, dochodzi zaledwie do 270 metrów, ale łączy się ona ściśle z systemem południowym i zamyka kotlinę górnego Dniepru w ten sposób, że dolina jego nagle się zwęża, przybiera miejscami charakter jaru, który powstał wskutek działania wody i jeszcze bezustannie się pogłębia. Za początek tego przełomu dnieprowego wypada uważać okolicę Kijowa, bo gdy wody Dniepru poruszają się tutaj w poziomie 90 metrów, to wzniesienia już w najbliższéj okolicy miasta, od zachodu, ku Irpieniowi położone, dochodzą do 170 metrów.

Tak tedy od północy, wschodu i południa kotlina Prypeci jest zamknięta znacznemi wyniosłościami a granice jéj z téj strony są wyraźne, nawet w naturze nie trudne do wyśledzenia. Inaczéj ma się rzecz z granicą zachodnią; istnieje i tutaj lekkie wzniesienie, dzielące dopływy Prypeci od dopływów Wisły, ale ten pomost, łączący bezpośrednio grzbiet baltycki z wyżyną podkarpacką jest tak niski i płaski, ze wyznaczenie działu wodnego między Wislą a Prypecią, linii nader ważnéj, bo oddzielającéj dorzecze Baltyku od dorzecza morza Czarnego, pozostawia zawsze pewne wątpliwości. W skutek tego i połączenie obu rzek w celach ekonomicznych za pomocą kanału, nazwanego obecnie Dnieprowsko-Bugskim (1) zostało tu z łatwością dokonane; łączy on Pinę, źródłową rzekę Prypeci, z Muchawcem, uchodzącym pod Brześciem litewskim do Bugu a z nim do Wisły a spadek gleby, po któréj ten kanał został poprowadzonym, jest na obie strony tak łagodnym, iż wzniesienie jego nad poziom morza w miejscu najwyższém, gdzie jego wody na dwie rozchodzą się strony, wynosi tylko 147 (2) metrów, co znaczy, że jest zaledwie na 7 metrów nad poziom Prypeci pod Pińskiem wzniesiony (3). Z téj téż przyczyny i wody Puszczy Białowieskiéj, zajmującéj sam środek tego wzniesienia, rozchodzą się w trzy strony świata i płyną po części do Wisły i Niemna a z niemi do Baltyku, po części zaś do Prypeci, z którą uchodzą do morza Czarnego. Puszcza Bialowieska ma niepospolite znaczenie geograficzne, bo łączy kotlinę Wisły z kotliną Prypeci, jakoż równiny mazowieckie przechodzą tu bezpośrednio w równiny Polesia i pod orograficznym względem jedną nierozdzielną z niemi tworzą całość.

Nie trudno zrozumiéć, że wyniosłości, zamykające kotlinę Prypeci od północy i od południa a przewyższające glebę Polesia o 200 do 250 metrów, muszą się pod względem krajobrazowym odznaczać sobie właściwym charakterem i muszą na umyśle mieszkańca równéj, zapadłéj, moczarowatéj krainy, jaką jest całe Polesie, szczególne robić wrażenie. Ale wyniosłe okolice Litwy i Wołynia mają nie tylko dla polesiuka wiele uroku; są tam miejscowości, mogące zająć i doświadczonego turystę. Pierwszeństwo pod tym względem należy się wołyńskim stronom, bo tu i wzniesienia wyższe i rozmaitość skał

(1) Myśl połączenia Baltyku z morzem Czarném za pośrednictwem Wisły i Dniepru powstała jeszcze za czasów Władysława IV-go. Kanał wykończony i otwarty w 1775 r. nosił z początku nazwę „kanału Rzeczypospolitéj“ późniéj „Królewskiego“ albo „Muchawieckiego.“

(2) Atlas Stielera, tab. 52.

(3) Wysokość Pińska jest na tej saméj mapie na 144 metrów podana, ale miasto leży na pagórku, co najmniéj na 3 albo 4 metry nad poziom Prypeci wzniesionym.

w skład gleby wchodzących większa. Sam grzbiet wołyński przedstawia od Brodów, gdzie przekracza granicę galicyjską, aż po Ostróg nad Horyniem, gdzie ginie w nizinie poleskiéj, wzniesienie silnie pogięte, tu i owdzie zaokrąglonymi, nad całą okolicą panującym pagórkiem przerwane, a gdzie spadek jego jest naglejszy, jak np. między Lwowem a Brodami a ztąd ku Krzemieńcowi, tam widziany zdali robi nawet wrażenie miernie rozwiniętego pasma górskiego. Najważniejsze z południowych dopływów Prypeci mają swe źródła na tym grzbiecie, Styr w Galicyi, po jego północnéj stronie, Horyń zaś i Słucz na Wołyniu, po południowéj i płyną zrazu ku wschodowi, ale zbaczają Horyń od Sławuty a Słucz od Lubaru dość nagle ku północy i dążą prosto ku Prypeci. Płyną one z początku zwolna po pochyłościach wołyńskiego wzniesienia, w lekkich zagłębieniach w postaci strug, łączących niezliczone prawie stawy, które przyczyniają się nie mało do urozmaicenia okolicy. Powoli jednakże poziom ich wód się obniża, doliny pogłębiają a zamknięte wyniosłemi spadzistemi wzgórzami, zasiane wioskami i sadami, w pośród których prześwieca tu i owdzie powierzchnia stawów, przedstawiają nader miły widok. Tym samym charakterem odznaczają się i dopływy tych rzek, ale doliny ich są węższe i głębsze a po bokach dolin sterczą nieraz lite skały, lub tworzą malownicze grupy po wierzchołkach wzniesień nad doliną panujących. Mniejsze potoki płyną tu nieraz głębokiemi, wąskiemi jarami, których ściany bezustannie się obsuwają, pozostawiając na dnie potoku zwały olbrzymich głazów, których rozmycie i usunięcie przez wodę dłuższego wymaga czasu.

Kto przywykł patrzéć na okolicę badawczém okiem i zastanawiać się nad jéj rozwojem i nad przeobrażeniem, jakiemu z biegiem czasu uledz może, ten z łatwością przychodzi do tego przekonania, że wszyskie te doliny, jary, wąwozy i strome uskoki powstały przez działanie wód po powierzchni ziemi ściekających, że zostały przez wodę wyżłobione, są dziełem tak zwanéj erozyi. Postać wołyńskiego grzbietu była w chwili, gdy on się wyłonił nad powierzchnię wód oceanicznych, zupełnie odmienną od dzisiejszéj. Wysokość jego była o wiele większą a powierzchnia jego, słabo tylko nachylona, była zupełnie jednostajną. Wszystkie nierówności, jakie na nim dziś widzimy, są dziełem wód atmosferycznych. Wody te nie tylko poszarpały i rozryły jego boki i odsłoniły w głębi jarów skały starszych formacyi, lecz zniweczyły na jego powierzchni całe pokłady osadów młodszych, obniżyły jego wysokość a materyał ze zniszczenia skał pochodzący uniosły w odległe strony; jakoż znaczną jego ilość spotkamy jeszcze na nizinach Polesia, w postaci piasków i żwirów, niziny te pokrywających.

Badanie rozwoju powierzchni ziemi czyli morfologii gleby, na podstawie geologicznéj, jest zasługą najnowszych czasów. Ożywiło ono i urozmaiciło nieco suchy i nużący temat umiejętności i połączyło nierozerwalnym węzłem geologią z geografią. Grzbiet wołyński nadaje się szczególniéj do takich studyów, bo ziemia tutejsza nie tylko na swéj powierzchni przedstawia wielką rozmaitość form, lecz i we wnętrzu swém kryje nie mniejsze bogactwo utworów z różnych epok geologicznych i ułatwia ocenienie związku, jaki zachodzi między zewnętrzną postacią gleby a jéj budową geologiczną.

Podstawę całego wołyńskiego wzniesienia tworzy granit (1), z którym łączy się najściśléj gneis, skała krystaliczna, różniąca się od granitu nie tyle częściami składowemi, ile układem warstwowym i odłamem łupkowym. Granity i gneisy występują obficie na jaw we wschodniéj części Wołynia, gdzie zajmują najniższy poziom, tworząc malownicze grupy skał nad rzekami, szczególniéj nad Bohem, Teterowem, Kamionką, Słuczą i Uszą, a ciągnąc się ztąd w południowo-wschodnim kierunku, zachodzą aż po morze Azowskie i tworzą pas przeszło na 800 wiorst długi. W północnéj stronie można je widziéc jeszcze na samym brzegu błot Polesia, w okolicach Rokitna (Kręta Słobudka) i Owrucza, gdzie tworzą skały nad rzeką Norynieın; podchodzą one pod wielkie błota pińskie i tworzą we wschodniéj stronie ich naturalną podłogę. W kilku miejscach został granit przebity przez syenit, w innych przez porfir, skałę wybuchową, tworzącą w nim żyły i pokłady i sterczącą nad powierzchnią ziemi w postaci odosobnionych kopuł. Za utwór wybuchowy uważa Osowski także labradoryt, skałę ciemnéj barwy, towarzyszącą w wielu miejscach granitowi, która po wygładzeniu i wypolerowaniu odznacza się niezwykłą żywością barw, w tęczowych odcieniach, i z tego powodu nie jest obojętną dla przemysłu. Z innych minerałów, złączonych ściśle z formacyą tutejszych granitów, zasługuje na wzmiankę grafit, opale, zbliżone niekiedy własnościami do szlachetnych, daléj granaty i ziemia porcelanowa, która powstała przez rozkład feldspatowych części granitu i dała początek słynnym swego czasu fabrykom porcelany w Korcu i Baranówce.

Bezpośrednio na granitach leżą utwory azoiczne, stare, twarde łupki, w różnych odmianach, w których nie znaleziono dotąd żadnych skamieniałości i które osiadły na dnie starego morza, zanim

---

(1) Wyborny przegląd geologicznych stosunków całéj téj krainy daje „Mapa geologiczna Wołynia G. Ossowskiego“ wydana w Paryżu w 1882 r. nakładem Działowskiego. Uwagi nad tą mapą St. Kontkiewicza znajdzie czytelnik w 1-szym tomie „Pamiętnika fizyograficznego“ str. 173 i n.

życie organiczne obudziło się na ziemi. Łupki te zajmują cały obszar formacyi granitowéj od linii idącéj na Ostropol i Ludwipol aż po Dniepr i pokrywają ją tak, że granit tylko w najbliższém sąsiedztwie rzek, po jarach i dolinach przez wodę wymulonych, na jaw wystąpił. Do formacyi azoicznéj zaliczył Ossowski i kwarcyty na południowych brzegach błot pińskich, około Owrucza i Rokitna napotykane; lecz w kwarcytach tych znaleziono w ostatnich czasach odciski roślin trzeciorzędnych, w skutek czego skały te do formacyi trzeciorzędnych zaliczone być muszą (1).

Na łupkach azoicznych leżą utwory prastarych formacyi osadowych sylurskiéj i dewońskiéj, ale przykryte wszędzie grubemi pokładami nowszego wieku, wystąpiły na jaw tylko tam, gdzie rzeki wryły się głębiéj w ziemię i odsłoniły jéj wnętrze, jak to widzimy nad Dniestrem i jego dopływami. Tutaj należy skała szarą waką nazywana, twardy zlepieniec, z tych samych co i granit minerałów złożony i z postaci bardzo niekiedy do niego zbliżony, daléj łupki iłowe i ciemne twarde, zbite wapienie; te ostatnie tworzą strome skały, zamykające malowniczy jar Smotrycza pod Kamieńcem Podolskim i dostarczają bardzo pięknych odmian marmuru. Utwory tych formacyi obfitują w charakterystyczne skamieniałości, między innemi znane powszechnie trylobity, należące do typu raków, oddawna zaginionego. Pozostałości tych zwierząt można widziéć często w wyrobach marmurowych, z okolicy Kamieńca Podolskiego pochodzących. Ale dalszy rozwój starszych formacyi został tutaj nagle i na długo przerwanym, bo z tego wszystkiego, co następuje po dewonie (formacya węglowa, permska, tryjas i jura) na wołyńsko-podolskiém wzniesieniu zaledwie w nielicznych i odosobnionych przypadkach słabe odkryć zdołano ślady. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że już w owych czasach, pod koniec syulrskiéj epoki, gdy jeszcze ani Karpat ani Alp nie było, wyłonił się tutaj z głębi morza ląd stały, który przetrwał długie wieki; przedstawienie jego rozwoju byłoby jednakże w téj chwili, dla braku materyałów i przedwczesném i chybioném. Szereg utworów nowszego wieku rozpoczyna dopiero formacya kredowa, która rozwinęła się potężnie na całym środkowym obszarze wschodnio-europejskiego niżu. Kréda w postaci białych albo szarawych margli, obfitujących w buły krzemienne a odznaczających się bogactwem nader charakterystycznych skamieniałości, otacza ze wszech stron kotlinę Dniepru; tworzy ona glebę na wyżynie środkowéj Rosyi i na Wołyniu, zkąd przechodzi w Lubelskie, a lokalnie na dziale wodnym między Wisłą i Prype-

(1) Według Kontkiewicza, Pamiętnik fizyogr. Tom I.

cią oraz na Litwie. W południowéj części Wołynia jest ona w zasadzie pokrytą utworami trzeciorzędnemi, ale przegląda w wielu miejscach nad brzegami rzek, w głębi jarów i po obrywach. Na północ jednak od linii przecinającéj Krzemieniec, Klewań i Międzyrzecz-Korecki jest ona formacyą panującą, chociaż gleba w téj części kraju jest wszędzie pokryta utworami aluwialnemi, które krédę tutejszą czynią niewidzialną.

Nie mniéj potężnie rozwinęły się na Wołyniu utwory formacyi trzeciorzędnych w postaci zbitych, plastycznych, różnobarwnych iłów, twardych gruboziarnistych piaskowców i kwarcytów, w postaci wapieni, luźnych piasków i gipsu. Wszystkie te utwory odznaczają się bogactwem skamieniałości, których morski charakter pozwala wnosić, że wymienione skały osadzały się na dnie wód słonych, oceanicznych. Ale znaleziono tu także utwory słodkowodne, wapienie ze skorupami muszli i resztkami roślin, których żywot jest przywiązany do wody słodkiéj; z czego można wnosić, że podnoszenie się gleby tutejszéj rozpoczęło się ponownie w epoce trzeciorzędnéj i odbywało się powoli, stopniowo; ląd ukazywał się zrazu w postaci wysp, na których wody atmosferyczne gromadziły się po zagłębieniach i tworzyły jeziora, na dnie których osadziły się owe słodkowodne wapienie. Przemawia zatém najsilniéj i istnienie węgla brunatnego, którego mniéj albo więcéj bogate pokłady zostały wykryte w kilku miejscach na Wołyniu, a który z przeobrażenia roślin lądowych powstał (1). Znajdują się w trzeciorzędnych piaskach tutejszéj okolicy i liczne, zupełnie skrzemieniałe pnie drzew z owéj pochodzących epoki i bryły bursztynu, który jest stwardniałą żywicą drzew szyszkowych i razem z piaskami trzeciorzędnemi przez wody na niziny Polesia uniesionym został.

Skały formacyi trzeciorzędnych przechodzą z Galicyi na Wołyń i zajmują tylko wschodnio-południową część téj prowincyi. Ale i tutaj nie tworzą jednostajnéj podłogi geologicznéj, lecz występują w postaci licznych wysp, spoczywających na krédzie. Ponieważ granice tych wysp odpowiadają kierunkowi wód bieżących, przeto widoczną jest rzeczą, że utwory formacyi trzeciorzędnych zostały na Wołyniu przez wody poszarpane i porozrywane. Można uważać za rzecz pewną, że sięgały one znacznie daléj ku północy, że kréda, leżąca pod aluwiami w północnéj części Wołynia, była niemi pokryta lecz że i tutaj przez wody zniszczone zostały, a zniszczenie to było w téj części kraju, na nizinach, o wiele silniejsze skoro roztarte i roz-

---

(1) Porównaj J. Trejdosiewicza „Kilka słów o budowie geologicznéj i pokładach węgla brunatnego najbliższéj okolicy Krzemieńca.“ „Pamiętnik fizyograficzny“, tom V.

myte skały formacyi trzeciorzędnych znikły zupełnie z powierzchni ziemi. Kwarcyty stron wschodnich, z okolicy Owrucza i Rokitna, oparły się temu zniszczeniu jedynie wskutek swéj większéj twardości.

Na utworach trzeciorzędnych leżą na Wołyniu po części ruchome piaski, które powstały z rozmycia pokładów trzeciorzędnych, a po części glina, obfitująca w skorupki ślimaków lądowych i w kości zaginionych zwierząt lądowych. Glina taka, obecnie powszechnie gliną mamutową albo loessem nazywana, pokrywa prawie bez wyjątku kredę i starsze formacye, gdzie te na powierzchnię ziemi się wydostały, i leży nie tylko po bokach wzgórz, lecz pokrywa w wielu miejscach najwyższe wzniesienia wołyńsko-podolskiéj wyniosłości. Różni się ona lekkością i właściwą budową od glin, jakie zdarzają się tu miejscami po dolinach i nizinach, a jeszcze donioślejsza różnica leży w rozwoju tych utworów, bo gdy gliny po dolinach są osadem wodnym, to loess jest utworem powietrznym, osiadł na powierzchni ziemi z pyłu gliniastego, przyniesionego za pośrednictwem wiatrów z odległości. Dawniejsze przypuszczenie, jakoby wszystkie gliny były osadem wodnym, okazało się bezzasadném, bo w loessie ani budowy właściwéj utworom wodnym ani pozostałości po zwierzętach wodnych dotąd nie znaleziono.

Grzbiet baltycki, zamykający kotlinę Prypeci od północy, nie może ani pod krajobrazowym ani pod geologicznym względem iść w porównanie z jéj południową granicą. Różnica w wysokości nie jest tak wielka, bo jak widzieliśmy, góry około Mińska dochodzą do 340 metrów, ale nierówności gleby, nadające okolicy jéj właściwy charakter, są tutaj o wiele słabsze, całe wzniesienie porusza się w jednostajniejszym poziomie i robi raczéj wrażenie z lekka pofałdowanéj płaszczyzny. Doliny rzek w ogóle szersze i otwartsze, a wskutek tego miejscami silnie zabagnione, rzadko tylko ulegają zwężeniu a jeszcze rzadziéj tworzą naglejsze skręty, na których brzegi nieco strome i więcéj do siebie zbliżone zdolają zająć widza swemi kształtami. Głębokich jarów, wązkich parowów, zawalonych odłamami skał rozmytych przez wody i stromych uskoków, jakich pełno na południu, nie masz tu prawie nigdzie. Miękkie skały formacyi kredowéj, wydobywające się tu i owdzie po stromszych pochyłościach, ulegają łatwo zwietrzeniu, tracą pod wpływem opadów atmosferycznych swoję wyrazistość i nikną w krótkim przeciągu czasu z powierzchni ziemi.

Dlatego téż wędrowiec przebywa nieraz na litewskim grzbiecie znaczne przestrzenie, nie domyślając się bynajmniéj wysokości w jakiéj się znajduje, a jeżeli przybywa z południa, z Wołynia albo Po-

dola i porównywa z sobą te odległe strony, to grzbiet litewski robi na nim wrażenie jednostajności. Ale jednostajność ta jest względną, bo dla mieszkańca równin ma i ta okolica wiele uroku, a Litwini zachwycają się niektóremi miejscowościami nad Niemnem i Wilią.

Przyczyniają się do urozmaicenia krajobrazu litewskiego liczne jeziora, nadające baltyckiemu grzbietowi szczególną cechę, ale jeziora te, pokrywające w niezliczonéj prawie ilości wzniesienia Pomorza, Prus królewskich i Inflant, na Litwie trzymają się strony morza i zaczynają się dopiero na północ od Narwi i Wilii, po za linią Grodno-Wilno. Charakter i powstanie tych jezior są zupełnie odmienne od stawów Wołynia i Podola. Tam trzymają się stawy rzek i potoków i ciągną się na dnie dolin, tworząc pojedyncze szeregi, gdy tymczasem jeziora grzbietu baltyckiego leżą na wierzchowinie i tworzą grupy, w których pojedyncze zwierciadła wody są połączone z sobą ruchomemi strugami. Stawy wołyńskie osiadły w zagłębieniach wymulonych przez wody płynące, zaś jeziora nadbaltyckie powstały na grzbiecie wzniesienia, a byt swój zawdzięczają zupełnie innym czynnikom.

Nie mniéj monotonną jest gleba na północy i pod geologicznym względem. Z owych starych formacyi, które dostarczyły niespożytych granitów i gneisów, twardych kwarcytów, wapieni i piaskowców i których trwałości okolice Wołynia zawdzięczają swój urok krajobrazowy, nie ma tu ani śladu. Najstarszą formacyą na Litwie jest kréda; tworzy ona podłogę geologiczną całego kraju, lecz schowana pod innemi utworami, prześwieca zaledwie w kilku nielicznych miejscowościach. Trzeciorzędne formacye grzbietu baltyckiego składają się ze znacznych pokładów piasku obfitującego w bursztyn, na których leżą warstwy iłów, poprzegradzane miejscami warstwami węgla brunatnego. Bursztyn, który, jak wiadomo, jest żywicą drzew szyszkowych, zawiera w swém wnętrzu znakomicie przechowane okazy much, chrząszczy, pająków i stonogów z owéj epoki. Węgiel brunatny, którego ślady u nas już wykryto, bywa w Niemczech od wielu lat wydobywany. Tak skały krédowe jak i trzeciorzędne są tu pokryte utworami najmłodszemi, dyluwialnemi, które zajmują całą północno-zachodnią część europejskiego niżu i tworzą w wielu miejscach pokłady na kilkadziesiąt metrów grube. Dyluwium po dolinach i nizinach składa się z ułożonych na przemian pokładów różnobarwnych glin i piasków, które nie zawierają śladów jestestw organicznych, lecz za to liczne odłamy skał, należących do formacyi, na Litwie zupełnie nie napotykanych. Dyluwium po wyniosłościach tworzą prawie wyłącznie piaski. Tych postać może być różna. Na powierzchni ziemi leży zazwyczaj piasek czysty o drobném zaokrąglo-

ném ziarnie, biały, ruchomy, lekki, pochwycony wiatrem przenosi on się z miejsca na miejsce, tworząc ruchome pagórki, nazwą wydm oznaczane. Piasek wydobyty z głębin ziemi odznacza się nierównem ziarném, ciemniejszém zabarwieniem i pewnym stopniem spoistości, ale szczególną jego cechę tworzy wielka ilość obcych kamieni i łodyg zwierzokrzewów morskich. Piaski te leżą przeważnie na glinach różnobarwnych obfitujących również w gruzy skał egzotycznych. Rozmiary kamieni mogą być rozmaite, bo gdy w jednych miejscowościach przeważają kamienie drobne, a piasek przepełniony niemi przybiera postać zwiru czyli szutru, to gdzieindziéj dochodzą one do rozmiarów kilku metrów kubicznych. Eichwald wspomina o głazie granitowym, wydobytym z piasku w Popielanach, objętości 6 sążni sześciennych (1). Większe głazy mają kanty zaokrąglone, a boki ich są niekiedy porysowane albo wygładzone. Wszystkie te kamienie należą przeważnie do gatunków skał, które dla formacyi geologicznych Litwy są zupełnie obce. Przeważają w nich skały krystaliczne, a zatém granity, trachyty, porfiry, dyoryty, dyabasy i inne (2), ale zdarzają się nie rzadko i okruchy skał formacyi sylurskiéj i dewońskiéj z bardzo pięknie przechowanemi skamieniałościami. Ponieważ formacye te nie znajdują się nigdzie na Litwie, przeto można uważać za rzecz pewną, że skały, o których mowa, przybyłe skąd inąd, pochodzą z północy, ze Skandynawii, gdzie jest najbliższe ich sąsiedztwo i gdzie się w wielkiéj znajdują obfitości i z tego powodu cała ta formacya obecnie nazwą dyluwium północnego oznaczaną bywa.

Jaka siła ruszyła te głazy z miejsca i rozniosła je po całéj północnéj Europie, w jaki sposób osiadły one na grzbiecie baltyckim, w kotlinach Wisły i Prypeci i u podnóża Karpat — oto pytanie, które widok tych utworów obudził odrazu i którém obecnie bardzo skrzętnie zajmują się badacze przyrody. Widok gór lodowych, które odrywają się każdego lata od lodowców Szpicbergów, Nowéj Ziemi i Laponii, ujęte prądami morskiemi zapuszczają się daleko, bo aż po 40-ty stopień szerokości geograficznéj na Atlantyk, a topniejąc, osadzają na dnie morskiém skały i zwir z tamtych stron przyniesiony, wprowadził na domysł, że i nasze głazy narzutowe w ten sam sposób, a zatém przy pomocy lodów pływających, z dalekiéj do nas przybyły północy. Ale dokładniejsze badanie powierzchni naszego kraju obaliło wkrótce to przypuszczenie, bo zupełny brak u nas najnow-

---

(1) Eichwald: Naturhistorische Skizze von Lithauen, Wolhynien u. Podolien. Wilno 1830, str. 98.

(2) Dokładną wiadomość o tym przedmiocie znajdzie czytelnik w cennéj pracy J. Siemiradzkiego: „Nasze głazy narzutowe“ w Pam. fizyogr. T. II.

szych utworów morskich, a jeszcze więcéj ta okoliczność, iż dyluwium północne spoczywa na zniszczonéj powierzchni starszych formacyi, trzeciorzędnéj albo krédowéj, wykazał, że utwory dyluwialne nie osiadły na dnie morza, lecz na suchéj glebie, że w epoce, w któréj do nas przybyły, gleba kraju naszego była już przeważnie lądem stałym.

Równocześnie porównanie żwirów i glin dyluwialnych z materyałem osadzającym się w Alpach po brzegach lodowców, z tak zwanemi morenami, wykazało, że istnieje między temi utworami wielkie podobieństwo, że głazy dyluwium naszego porywane i wygładzone, mogły otrzymać swą postać jedynie w ten sposób, iż odbyły daleką drogę pod silném ciśnieniem. Gdy nadto najsumienniejsze badania nad budową gór środkowéj Europy dokonane przez Heima, Pencka i innych wykazały, iż była w rozwoju téj części ziemi chwila, w któréj lodowce górskie były o wiele potężniéj rozwinięte, niż to ma miejsce dzisiaj, bo nie tylko wypełniały doliny, lecz i na wyżyny u stóp gór leżące daleko zachodziły, pozostawiając wszędzie materyał morenowy, do dyluwium północnego postacią bardzo zbliżony, teorya lodów przybywających z prądami morskiemi z północy, i tak już silnie zachwiana, straciła zupełnie wiarę, a na jéj miejsce ustaliło się przekonanie, że klimat północnéj półkuli uległ pod koniec epok trzeciorzędnych silnemu oziębieniu, wskutek czego lodowce w górach środkowéj Europy i na wyżynie Skandynawskiéj doszły do niezwykłéj grubości, a obsuwając się po pochyłościach ówczesnego lądu oddalały się daleko od swego źródła, zabierając z sobą skały i kamienie. Przedewszystkiém lody na półwyspie skandynawskim, wraz z Laponią i Finlandyą musiały dojść do olbrzymich rozmiarów, bo rozwojowi ich sprzyjało tu północne położenie kraju i jego wyniosłość; sunąc bezustannie ku południowi pokryły one cały obszar północnych Niemiec i Polski i zatrzymały się dopiero u stóp Karpat, Sudetów i innych średnich gór niemieckich. Znikły one dopiero, gdy po długim przeciągu czasu klimat Europy znowu się ocieplił; woda ze stopionych lodów spłynęła do morza baltyckiego i północnego, ale skały i żwiry, piaski i gliny, które spoczywały na powierzchni lodowca i wypełniały jego wnętrze osiadły po zniknięciu lodów na powierzchni ziemi i wytworzyły osady dziś, i to słusznie, nazwą północnego dyluwium oznaczane. Pogląd ten tłómaczy nam zarazem zniszczenie i usunięcie starszych warstw formacyi trzeciorzędnych i krédowéj, po których lody się posuwały, a geologowie odnoszą początek jezior na grzbiecie litewskim do owéj epoki, przypuszczając, że zagłębienia, zalane dziś wodą, przez wody z bezustannego topnienia lodowca północnego pochodzące wyżłobione zostały.

Jest jeszcze jedna i to nader doniosła różnica między wzniesieniami, zamykającemi kotlinę Prypeci od południa i od północy. Wzniesienie południowe, t. z. grzbiet wołyński, tworzy dział wodny między dopływami Prypeci z jednéj a Dniestru i Bohu z drugiéj strony, a granica ta jest tak silnie rozwiniętą, że połączenie Prypeci z którąkolwiek z rzek południowych znalazłoby w postaci gleby prawie nieprzezwyciężone przeszkody. Tymczasem grzbiet litewski działu takiego nie tworzy, bo rzeka Niemen, powstająca na północnéj krawędzi Polesia, przerywa go na całéj jego szerokości. Dział wodny leży tu na błotach litewskiego Polesia. Obszar błot nazwą Pogoni oznaczony, okalający ze wszech stron jeziora Bobrowieckie i Wygonoszcz, pochyla się po części ku południowi, a wody jego spływające w tym kierunku dostają się z Jasiołdą i Bobrykiem do Prypeci, po części zaś ku północy zlewając część swych wód do Hrywdy i Szczary, które po swém połączeniu przedzierają się przez znaczną część litewskiego grzbietu i uchodzą do Niemna. Z tego téż powodu i połączenie Prypeci z Niemnem przy pomocy kanału Ogińskiego, łączącego Jasiołdę ze Szczarą, zostało tu z łatwością dokonane. Podobny związek między Niemnem i Prypecią istnieje i daléj na wschodzie, na błotach aleksińskich, na północ od Słucka położonych, których wody spływają po części ku północnemu zachodowi do Łoszy, a z nią do Niemna, po części zaś ku południowemu wschodowi do Słuczy (północnéj) i Ptyczy, a z niemi do Prypeci.

Wskutek tego wielki dział wodny europejski, granica między dopływami Baltyku i morza Czarnego, zamiast biedz po wierzchowinie baltyckiego grzbietu, zbacza z puszczy Białowieskiéj ku wschodowi i przecina błota litewskiego Polesia. Fakt ten, że wody naturalnéj zapadłości, zamiast iść za spadkiem gleby i spływać ku południowi, zbaczają ku północy i przerywają wzniesienie, które z natury rzeczy granicę ich biegu tworzyć powinno, jest dziwnym i trudnym do wytłómaczenia, a dla rozwoju téj części Europy nabiera tém większego znaczenia, że nie jest odosobnionym; bo i Wisła i Odra zamiast korzystać z zapadłości północnych Niemiec i zmierzać prosto ku nizinom Holandyi, zbaczają całkiem nagle ku północy i przerywają również w nienaturalny prawie sposób grzbiet baltycki. Dziwne to zjawisko jest od kilku lat przedmiotem skrzętnych badań ze strony geografów niemieckich, którzy wykazali, że rzeki północnych Niemiec i Polski zmieniały niejednokrotnie swój kierunek i tworzyly sobie nowe łożyska, że był rzeczywiście czas, w którym wody Wisły i Odry nie uchodziły do Baltyku, lecz zmierzały w prostym kierunku ku zachodowi, łączyły się z Elbą i uchodziły do morza Niemieckiego, jak niemniéj, że zmiany kierunku tych rzek przypadają na epokę

lodową i w ścisłym związku z jéj przebiegiem pozostają. Ponieważ rozbiór tego tematu odwiódłby nas zbyt daleko od naszego celu, przeto ograniczamy się tym razem do zaznaczenia jego ważności, odséłając ciekawych do prac geografów niemieckich, przedewszystkiém do Delitscha (1), Berendta (2), Hellanda (3), Berghausa (4), Girarda (5) i Löwla (6).

---

(1) Deutschlands Oberflächenform str. 14 i n.

(2) Gletschertheorie oder Drift-theorie in Norddeutschland, Zeitschr. d. deutsch. geol. Ges. 1879.

(3) Über die glacialen Bildungen d. nordeuropaischen Ebene. Tamże, str. 1 — 5.

(4) Die frühere Oberflächengestaltung d. Mark Brandenburg. Gaea 1877. str. 289.

(5) Die norddeutsche Ebene, str. 15.

(6) Über Thalbildung, str. 109.

(*d. n.*) *Dr. Antoni Rehman.*





PSYCHOLOGIA DOŚWIADCZALNA.

III. WOLA.

Wola do niedawna jeszcze należała do najtrudniejszych zagadnień psychologicznych. Napotykane w jéj badaniu trudności wypływały nie z natury jéj objawów, ale stąd, że psychologia spirytualistyczna, podsuwając pod dane wewnętrznéj obserwacyi podkład metafizyczny, zasnuła wszystkie objawy życia umysłowego w taką siatkę subtelności scholastycznych, że prosta logika nie posiadała środków do wywikłania ich z niéj i ukazania prawdziwéj ich natury. Powstałe skutkiem tego zagadnienia rozstrzygano za pomocą najdowolniejszych przypuszczeń, które ze swéj strony stwarzały nowe kwestye, trudniejsze nieraz do rozwiązania od zagadnień głównych.

Jedném z takich zagadnień czysto sztucznych, pochodzących z fałszywego stanowiska, na jakiem oparła się dawniejsza psychologia, było zagadnienie o wolnéj woli. Chodziło tu mianowicie o to, czy wola ludzka w swym wyborze i postanowieniu zależy od bodźców i pobudek, czy téż jest całkiem od nich wolną? Spirytualiści, powołując się na świadectwo indywidualnéj świadomości, utrzymywali, że wola posiada moc wyzwolenia się z pod wpływu pragnień i zapanowania nad niemi, że od niéj zależy działać w kierunku pragnień, albo téż im się oprzeć i powziąć postanowienia, od nich niezależne. Podług tego poglądu, wola jest pierwszą i ostateczną przyczyną wszelkich czynności, jest władzą w swém ognisku niezależną, w sobie saméj czerpiącą wskazówki do działania, jest samorzutnym ruchem duszy, nadającym kierunek wszystkim jéj czynnościom. Pojęta w ten sposób wola przestaje być oddzielną władzą duszy, lecz staje się jéj istotą. Jakoż do takiego wniosku musieli przyjść niektórzy filozofowie, konsekwentnie myślący. Nasuwało się przytém pytanie: czemże są wobec niéj myślenie i uczucie? Jeżeli myślenie i uczucie należą również do istoty duszy, to muszą one przecież od-

działywać o tyleż na współrzędną sobie wolę, o ile ta na nie oddziaływa, jeżeli zaś do istoty duszy nie należą, zatém są tylko jéj przypadłościami. Ale w takim razie tak istota duszy, jak i wola, która ją wyraża, stają się głuchemi abstrakcyami, trudnemi do pojęcia. Czém jest ta wola, a względnie dusza, która niezależnie od uczuć i poznania wie, co ma w danym razie począć i jaki kierunek nadać swemu postępowaniu? Na to pytanie nie masz innéj odpowiedzi, jak ta, którą daje mistycyzm. Podług niego dusza posiada władzę bezpośredniego oglądania prawdy bezwzględnéj. Jest-to intuicya, natchnienie, będące źródłem poznania, niezależném od myślenia, będące stanem duszy, niezależnym od uczuć. Na nieszczęście, chociaż mistycyzm rozwiązywał pozornie powyższe trudności, o tyle przynajmniéj, że godził sprzeczności, za to sam stwarzał nowe, wywołując pytania, na które nie dawał odpowiedzi.

Kant, który wziął sobie za zadanie zburzyć dogmatyzm filozoficzny i zastąpić go krytycyzmem, uznał świadectwo obserwacyi wewnętrznéj za złudzenie i oparł swe badania nad umysłem ludzkim na faktach obserwacyi zewnętrznéj. Fakty te dowodzą niezaprzeczenie, że wola, o ile o niéj można wnosić z jéj objawów, działa pod wpływem pobudek, że zatém zależna jest od pragnień, chęci, skłonności i popędów. Wola więc w swych objawach nie jest wolną. Nie przeszkadza to jednakże do przyznania jéj wolności w téj sferze jéj istnienia, która leży poza objawami jéj, która jest niedostępna ludzkiemu poznaniu, ale którą bez dowodu potrzeba przyjąć, jako postulat moralnego postępowania. Że ten czysto formalny sposób załatwienia kwestyi nie rozwiązuje zagadnienia, każdy się zgodzi, kto zważy, że ów cień wolnéj woli, zawieszony nad ludzkiem postępowaniem, jest czczym wyrazem, pazbawionym wszelkiego znaczenia, jest zbytecznym dodatkiem, mogącym służyć ku ozdobie, ale nie dającym się użyć do zadań praktycznych.

Psychologia empiryczna, nie wdając się w rozstrzyganie zawiłości, w jakie metafizyka wplątała zagadnienia woli, unikając wszelkiéj z nią polemiki co do tego, że wola czém innéın jest w swych objawach, a czém innéın w istocie swojéj—przystąpiła do ścisłego zbadania wszystkich jéj objawów, tak tych, które są dostępne obserwacyi zewnętrznéj, jak i tych, o których wiemy za pomocą obserwacyi wewnętrznéj. Usunąwszy na bok metafizykę, ograniczyła się w swém badaniu do tego tylko, co jest dostępném doświadczeniu i opartemu na niem rozumowaniu, wychodząc z tego założenia, że istota rzeczy nie dostępna ludzkiemu poznaniu, że zatém cokolwiek byśmy o niéj twierdzili, będzie tylko domysłem, przypuszczeniem do sprawdzenia którego nie posiadamy żadnych środków.

Do jakich wyników doszła psychologia doświadczalna w swych badaniach nad wolą, obznajamia dokładnie Sully w swém dziele, z którego właśnie zdaję sprawę.

W trzeciéj części swego dzieła, poświęconéj woli, autor zaczynając od najprostszych jéj form i przechodząc pokolei do coraz wyższych i bardziéj złożonych, wykazuje, że wola w swych objawach najwyższych, jakiemi są wybór i postanowienie, składa się z tych samych czynników, co i niższe jéj objawy, tylko że te czynniki w wyższych objawach występują w formie bardziéj zawiłéj i niezawsze dostępnéj dla analizy, gdy tymczasem w niższych są one proste i łatwe do wykrycia.

Zagadnieniem wolnéj woli autor wcale nie zajmuje się. Analiza bowiem składowych jéj pierwiastków czyni to zagadnienie zbyteczném.

Wyraz wola oznacza czynne sprawy umysłu. Przez czynne zaś sprawy rozumiemy nie tylko działania zewnętrzne, czyli ruchy, lecz także działania wewnętrzne takie, jak: skupienie myśli, pragnienie, namysł i postanowienie.

Z pomiędzy wszystkich tych objawów woli najważniejszemi bez wątpienia są ruchy zewnętrzne. W ten sposób wola zostaje w ścisłym związku z czynną stroną układu nerwowego. Głos, członki ciała itd. są narzędziami woli.

Z tém wszystkiém, chociaż ruchy należą do zakresu woli, nie wszystkie jednakże są dowolnemi. Zmrużenie oczu, gdy im coś zagraża, jest przykładem ruchu mimowolnego. Niektóre z nich zaledwie można zaliczyć do spraw umysłowych, gdyż towarzyszy im bardzo słaba świadomość. Innym znowu, jakkolwiek dokonywają się z całą świadomością, brakuje świadomości celu, do którego są skierowane. Dla tego téż dowolną czynnością nazywamy taką, która świadomie jest skierowaną ku pewnemu celowi.

Stosunek woli do poznania i uczucia przedstawia się dwojako: z jednéj strony wszelka czynność dowolna musi zawierać w sobie pierwiastki poznania i uczucia; pobudką bowiem téj czynności, celem jéj, jest zadośćuczynienie pewnemu uczuciu, które to zadośćuczynienie wymaga znajomości stosunku, jaki zachodzi między czynnością a celem. Z drugiéj jednakże strony uzewnętrznianie się umysłu w czynności, wymagające pobudzenia, inerwacyi nerwów ruchowych, jest wręcz przeciwném stosunkowo biernemu stanowi umysłu, oraz spokojnemu zachowaniu się ciała, które są koniecznym warunkiem obserwacyi i myślenia. Stąd człowiek energiczny niezdolnym jest zbyt długo namyślać się i rozważać. Podobnyż stosunek zachodzi między uczuciem a działaniem. Człowiekiem silnéj woli na-

zy amy tego, który umie panować nad sobą i zawładnąć najgwałtowniejszém wzruszeniem.

Dowolną czynnością nazwaliśmy działanie świadome, skierowane ku pewnemu celowi. Cóż stanowi istotę tego działania? Co jest zasadniczym pierwiastkiem woli? Zasadniczym pierwiastkiem dowolnego działania, czyli woli, jest chęć, pragnienie, pożądanie bądź w formie dodatniéj, jako pragnienie tego, co jest przyjemném, bądź w formie ujemnéj, jak wstręt od tego, co jest przykrem. Doświadczenie uczy człowieka, co dlań jest przyjemném, a co przykrém, oraz jakie to są czynności, które mogą zapewnić jedne, a zabezpieczyć lub usunąć drugie. Co się tyczy popędu, skłaniającego do szukania rzeczy przyjemnych, a unikania przykrych, jest on wrodzonym, czyli instynktowym.

Gdy więc pragnienie jest zasadniczym czynnikiem woli, musimy przedewszystkiém zająć się jego zbadaniem.

Rozebrawszy stan umysłu, znany, jako pragnienie, wykrywamy w nim najprzód pierwiastek rozumowy—wyobrażenie. Pragnąc czegośkolwiek, mamy w umyśle dokładne przedstawienie tego, co stanowi przedmiot naszego pragnienia. Stąd pragnienie zostaje w ściśléj zależności od poznania—i, co za tém idzie, od doświadczenia. W miarę, jak doświadczenie wzrasta, poznanie się rozszerza, mnożą się i wzmagają pragnienia. Gdzie nie masz doświadczenia i poznania, tam i pragnień być nie może.

Nie każde wszakże wyobrażenie zdolne jest rozbudzić pragnienie. Liczne wyobrażenia i pojęcia powstają w umyśle, nie pociągając za sobą odpowiednich pragnień. Ażeby te mogły się obudzić, potrzeba, żeby wyobrażenie lub pojęcie odnosiło się do czegoś, co jest przyjemném.

Nie dość tego, potrzeba, żeby samo już wyobrażenie zawierało w sobie pewną przyjemność. W wyobrażeniu np. pięknego widoku lub melodyi musi zawierać się idealny przedsmak, że tak powiem, rzeczywistéj przyjemności. Zwykle idealny pierwiastek bywa niższym od rzeczywistego i jest uznawanym za taki. I właśnie z tą świadomością jego niższości łączy się bezpośrednio pragnienie. Świadomość braku, powstająca wraz z wyobrażeniem czegoś przyjemnego, co w danéj chwili nie jest rzeczywistém, stanowi całą siłę pragnienia. Gdy poczucie różnicy między stanem obecnym, a nieobecnym, między idealném, a rzeczywistém zniknie, pragnienie ustaje. Dzieje się tak mianowicie w ekstazie, w marzeniu, w przejęciu się głębokiém treścią czytanych utworów poetycznych. Pragnienie ustępuje tu miejsca chwilowemu zadowoleniu, poczuciu rzeczywistości.

Pragnienie urzeczywistnione, czyli doznana przyjemność budzi nowe pragnienie—przedłużenia i wzmożenia doznawanéj przyjemności. To samo ma się rozumiéć i o przykrości tak rzeczywistéj, jako też wyobrażanéj. Ponieważ istotę każdego pragnienia stanowi poczucie braku, jest ono więc przykrém. Dla tego pragnienie musimy uważać, jako stan umysłu mieszany, w którym pierwiastek przyjemny, towarzyszący wyobrażeniu, uciera się ciągle z pierwiastkiem przykrym—z uczuciem braku.

Pomimo ścisłego związku z poznaniem i uczuciem, pragnienie różni się od nich tém, że jest objawem umysłu czynnym. Umysł pragnąc, znajduje się w stanie czynnego napięcia, czynnéj dążności ku urzeczywistnieniu uczucia, które w danéj chwili jest tylko wyobrażaném. Ten czynny pierwiastek działa w pragnieniu w dwóch kierunkach: jako czynność czysto umysłowa objawia się on w uwadze, w skupieniu myśli. Wyobrażenie rzeczy upragnionéj pochłania naszą uwagę. Jako czynność cielesna, objawia się w ruchach mięśniowych. Jak wiemy, każde uczucie oddziaływa na nerwy ruchowe. Oddziaływanie to staje się tém dzielniejszém w pragnieniu, szczególniéj, gdy doświadczenie nauczyło, jakiego rodzaju ruchy wiodą do zaspokojenia pragnienia. W każdym razie trzeba przypuścić, że między pragnieniem, a ruchami mięśniowemi zachodzi stosunek ściślejszy, polegający na wrodzonéj ich współzależności. Ta to właśnie pierwotna, poprzedzająca doświadczenie, czynna strona pragnienia stanowi to, co nazywamy popędem.

Zaznaczyć jeszcze potrzeba stosunek pragnienia do wiary. Chodzi tu o to, czy wiara w osiągnięcie pożądanego przedmiotu towarzyszy zawsze pragnieniu? Na to wystarczy odpowiedź, że jakkolwiek nie we wszystkich wypadkach występuje ona wyraźnie i z zupełną świadomością, brak jéj całkowity, przekonanie o tém, że rzecz pożądana nie da się osiągnąć, paraliżuje i tłumi pragnienie.

Kontrast, jaki zachodzi w sferze uczuć między przyjemnością, a przykrością powtarza się i w zakresie działania. Wyobrażenie rzeczy przyjemnych budzi pragnienie, rzeczy zaś przykrych—wstręt. Dążymy do tego, co nam przyjemność zapewnia, unikamy zaś tego, co nam przykrość przynosi. Pragnienie zwraca się zawsze do tego, co jest nieobecném, nieurzeczywistnioném—tymczasem wstręt może miéć za przedmiot tak rzecz obecną, istniejącą, jako też samo tylko wyobrażenie rzeczy przykréj.

Pragnienie, a wraz z niém czynny popęd, mają różne stopnie natężenia. Różnice pod tym względem objawiają się w różny sposób. Silne pragnienie odznacza się zwykle czynnością wytrwałą i ener-

giczną. Świadczyć o niéj może także suma przykrości doznawanéj wskutek niezaspokojonego pragnienia.

Głównym warunkiem, od którego zależy natężenie pragnienia, jest wielkość przyjemności wyobrażanéj. Należy wszakże pamiętać, że przyjemność wyobrażana nie zawsze odpowiada przyjemności rzeczywistéj. Przyjemność zbyt oddalona mniéj posiada siły przyciągającéj niż bliska. Nadto umysł niezawsze jest usposobionym w jednakim stopniu do działania. Zależy to od sumy energii, posiadanéj w pewnéj chwili przez organy ruchowe. Ważną także rolę odgrywa przyzwyczajenie. Gdy pewne wyobrażenie lub pojęcie stawszy się przedmiotem pragnienia, zbyt często powtarza się, wytwarza się wtedy skłonność do pragnienia i działania w tym kierunku, która to skłonność przemienia się z czasem w nałóg.

3. Taka jest natura pragnienia, będącego głównym czynnikiem woli. Pragnienie atoli i dążność do jego zaspokojenia nie stanowią jeszcze woli. Potrzebnym jest dla jéj ustanowienia inny prócz tego czynnik. Jest nim mianowicie wyobrażenie o czynności, jaka jest w danym wypadku niezbędna dla zaspokojenia pragnienia. Rzecz naturalna, że wyobrażenie to urabia się powoli drogą doświadczenia i kojarzenia. Uznaniu przyczynowego stosunku między czynnością, a jéj wynikiem musi towarzyszyć wiara w skuteczność działania. Działanie skierowane ku osiągnięciu przedmiotu pragnienia stanowi ostatni moment woli—i jest *czynem*; pragnienie zaś, które go poprzedza, jest *pobudką*, oraz ostatecznym *celem* działania. Samo zaś działanie jest tylko *środkiem* do osiągnięcia celu.

Wola w ostatniém swém stadyum, jako działanie, przedstawia dwie strony: zewnętrzną—ruch mięśniowy, i wewnętrzną—skupienie uwagi. Obie te strony zostają w ścisłéj od siebie zależności. Jak uwaga potrzebuje pewnéj sumy inerwacyi ruchowéj i mięśniowéj czynności, tak znowu żadne działanie czyli ruch dowolny nie może obejść się bez uwagi.

Poznawszy wszystkie czynniki woli i proces jéj działania, możemy teraz zastanowić się nad jéj rozwojem. Ograniczamy się tym razem do zewnętrznéj tylko strony woli. O skupienie uwagi w odniesieniu do działania będzie mowa późniéj.

Wola, podobnie jak poznanie i uczucie, wzrasta i rozwija się, zaczynając od form prostych i przechodząc do bardziéj złożonych. W miarę zaś, jak wzrasta jéj złożoność, staje się też bardziéj umysłową, t. j. zdolną do działania pod wpływem pobudek więcéj oddalonych i umysłowych. W najniższém stadyum swego rozwoju kieruje się ona pobudkami zmysłowemi, w dalszych—wyobrażeniami, pojęciami i t. d. Wyższe stopnie rozwoju woli odznaczają się jeszcze tém, że proces psychiczny, poprzedzający działanie, jest skom-

plikowany. Objawia się on, jako namysł, wybór i postanowienie. Nareszcie na najwyższym stopniu objawia się wola, jako działanie czysto wewnętrzne, jako kontrola nad ruchami, uczuciami i myślami. Rozwój woli dokonywa się pod wpływem instynktowych usposobień, oraz doświadczenia i kojarzenia. Pierwotne popędy woli dopiero przez doświadczenie nabierają określony kierunek i ustalają się.

4. Wola na najniższym stopniu swego rozwoju nie jest niczém więcéj, jak ruchem cielesnym. Pierwszém więc pytaniem, jakie się nastręcza w naszych badaniach nad wolą, jest: w jaki sposób człowiek przychodzi do władzy nad swemi mięśniami i organami i czyni z nich narzędzie swych pragnień i zamiarów?

Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, potrzeba nam wprzód poznać wszystkie rodzaje ruchów.

Do ruchów najwcześniejszych, poprzedzających dowolne, należą ruchy samorzutne, automatyczne, będące objawem wewnętrznéj energii ośrodków ruchowych, ich zdrowia i dzielnego odżywiania się. Nie są one następstwem ani wrażeń zewnętrznych, ani uczuć—i są bezcelowemi. Świadome one są o tyle tylko, o ile wiemy o nich za pośrednictwem czucia mięśniowego.

Od nich różnią się odruchy tém, że będąc odpowiedzią na zewnętrzne bodźce, mają charakter mniéj lub więcéj celowy, jakkolwiek celowość ich nie zawsze wyraźnie występuje.

Ruchy instynktowe, które, podobnie jak i odruchy, są odpowiedzią na bodźce, mają tę właściwość, że są bardzo złożone i że towarzyszy im zawsze pewne uczucie. Przedewszystkiém zaś odznaczają się tém, że celowość ich jest wyraźna. Możnaby przypuścić, że obecną w nich jest świadomość celu, świadomość ta atoli musi być bardzo mętna. Instynktowe ruchy są odziedziczoną dążnością do działania w ten sam sposób, w jaki działały w licznych i powtarzających się wydarzeniach życia poprzedzające pokolenia.

Do powyższych rodzajów ruchu należy jeszcze dodać ruchy, służące do wyrażenia uczuć i ruchy naśladowcze. Pierwsze mają to wspólnego z instynktowemi, że są odziedziczone i towarzyszy im uczucie; różnią się od nich atoli pod tym względem, że są bezcelowe. Co się tyczy ruchów naśladowczych, to jakkolwiek pozbawione są celu, towarzyszy im przecież wyraźne wyobrażenie samego ruchu.

Któryż z wyliczonych powyżéj ruchów służy za punkt wyjścia dla woli?

Bain przypuszcza, że ruchy samorzutne natrafiając przypadkowo na przedmioty, które sprawiają wrażenie przyjemne, po kilkakrotném powtórzeniu stają się celowemi i świadomemi, czyli dowolnemi. Jakkolwiek w tém przypuszczeniu jest cząstka prawdy, nie

wystarcza ono jednakże do wytłómaczenia woli. Ruchy automatyczne są bardzo nieliczne, a tymczasem powstanie ruchów dowolnych wymaga bardzo wielu i bardzo różnych okoliczności.

Tę samę uwagę można zastosować także i do ruchów refleksyjnych czyli odruchów.

Nie pozostaje więc jak zgodzić się, że zawiązkiem ruchów dowolnych są ruchy instynktowe, a to témbardziéj, że między niemi zachodzi pewne podobieństwo. Za przykład tego mogą służyć ruchy, jakie dziecko wykonywa pod wpływem głodu. Ruchy te, w których pierwiastek pragnienia zdaje się być obecnym, jakkolwiek w sposób bardzo niewyraźny, odbywają się tak długo, jak długo trwa samo uczucie głodu — i z tych-to ruchów wyłania się nareszcie ruch potrzebny na to, ażeby usta dziecka zbliżyły się do piersi matczynéj. Ruchy te, powstające pod wpływem popędów, mają w danych wypadkach oznaczony kierunek dzięki odziedziczonym związkom, połączeniom nerwowym.

Tym sposobem w zarodzie ruchów dowolnych dają się wykryć czynniki następujące: najprzód uczucie, np. głodu, budzi czynny popęd; pod wpływem tego popędu powstają ruchy, które w miarę, jak świadomość rozwija się, jak staje się możliwém wyobrażenie przyszłości podobnéj, lub różnéj od obecności, przybierają charakter ruchów dowolnych, t. j. świadomie skierowanych do pewnego celu. Ruchy samorzutne, oraz odruchy dostarczają ze swéj strony doświadczenia, pouczającego, jakie ruchy w danym razie są użyteczne. W końcu ściśle oznaczone instynktowe dążności do wykonywania pewnego rodzaju ruchów w szczególnych okolicznościach i pod naciskiem szczególnych uczuć, przechodzą, bardzo często w sposób dość zagadkowy, w ruchy dowolne.

Instynktowy zawiązek woli urabia się i kształci pod wpływem doświadczenia. Dzięki jemu ruchy stają się wyraźniéj celowemi: nabierają większéj dokładności, wykonywają się łatwiéj i szybciéj. Jednocześnie urabia się w umyśle jasne wyobrażenie o ruchach, potrzebnych w danéj okoliczności. Nie dość na tém. Za pomocą doświadczenia utrwalają się skojarzenia między pewnym celem a odpowiadającemi mu ruchami, tak, że samo postrzeżenie pewnego przedmiotu wystarcza do wywołania wyobrażenia zarazem celu i potrzebnych do jego osiągnięcia ruchów.

Nabyte i ustalone pewne ruchy wiodą do nowych, zastosowanych do nowych okoliczności—i w ten sposób zakres dowolnych ruchów coraz bardziéj rozszerza się. Ruchy w miarę wzrastającego doświadczenia stają się coraz więcéj złożonemi. Złożoność ta nie powstaje przez same tylko łączenie starych pierwiastków z nowemi,

ale i przez ich rozłączanie. Uczący się pisać pomaga sobie ruchami głowy i języka, które w tym razie są zbyteczne i muszą być z czasem usunięte.

Ważną rolę odgrywa w rozwoju woli naśladownictwo. Ruchem naśladowczym nazywamy taki, który wywołanym jest bezpośrednio widokiem ruchu innych osób. Wymaga on pewnego związku między widokiem ruchu a jego wykonaniem za pośrednictwem doświadczenia mięśniowego. Związek ten zdaje się być instynktowym i dziedzicznym, opiera się zaś na nerwowém połączeniu ośrodków wzrokowych z ośrodkami ruchowemi. W każdym razie, naśladownictwo wymaga już pewnego doświadczenia w wykonywaniu ruchów — jakoż objawia się ono nie wcześniéj, jak w drugim roku życia. Pod względem psychicznym wymaga ono silnego skojarzenia wyobrażeń ruchowych ze szczególnemi wrażeniami wzrokowemi, stanowiącemi właśnie widok ruchu, jego wygląd. Czynność ta, ściśle biorąc, nie jest dowolną. Jeżeli kieruje nią jakieś pragnienie, to chyba pragnienie przyjemności, jakiéj się doznaje z samego ruchu; chociaż w wielu wypadkach i tego trudno w niéj dostrzedz. Wykonywa się ona po większéj części natychmiast i bezpośrednio pod wpływem wrażeń wzrokowych bez żadnego udziału rozwagi i pragnienia skutku. Staje się zaś świadomą i dowolną dopiero w późniejszym wieku, kiedy dzieckiem kieruje chęć robienia tego, co inni robią.

Dążność do naśladowania tych, co nas otaczają, przyczynia się do rozwoju woli pod tym względem, że skraca proces nabywania użytecznych ruchów, które inaczéj, drogą osobistego i długiego doświadczenia mogłyby być nabyte.

Pod względem naśladowczych popędów dzieci znacznie się różnią. Zależy to od różnego stopnia siły organów czynnych, od mniejszéj lub większéj uwagi, oraz od temperamentu uczuciowego, który skłonniejszym jest do naśladowania niż temperament czynny.

Z ruchem naśladowczym łączy się ściśle ruch, wywoływany przez wyraz lub inny jakiś znak, z którym został dowolnie skojarzony. Przykładem takiego ruchu jest wszelka czynność wykonywana na rozkaz.

Za pośrednictwem mowy można w ten sposób na szeroką skalę kierować ruchami dziecka i dopomagać mu w nabywaniu coraz większego zarodu ruchów użytecznych.

Wyższy stopień rozwoju osiąga wola, gdy ruchy wykonywają się nie wskutek zewnętrznych bodźców, jakiemi są: wrażenia, postrzeżenia (przedmiotu, ruchu, wyrazu i t. d.), ale pod wpływem wewnętrznéj czynności wyobraźni. Ta władza wewnętrznego wyobrażania ruchu niezależnie od zewnętrznych wrażeń wymaga wielkiéj

łatwości i gotowości w wykonywaniu ruchów. Najsłabsze pragnienie poruszenia jakimś organem powinno tu wystarczyć do wywołania pożądanego ruchu. Za pomocą to właśnie owego wewnętrznego nakazu, wprawiającego w ruch organy czynne, nadają się nowe formy ruchom przedtém nabytym tak pod względem kierunku, jako też ich złożoności.

5. Wszelka czynność przez częste powtarzanie staje się łatwiejsza. Wytwarza się w ten sposób usposobienie do wykonywania owéj czynności za najlżejszém potrąceniem, nastręczeniem. Ta ustalona przez praktykę skłonność do działania w pewien sposób pod wpływem najsłabszego bodźca, stanowi podstawę nawyknienia, przyzwyczajenia. Nawyknienie zbliża się do ruchów instynktowych, mając z nimi to wspólnego, że jest jednostajném i zbywa mu na wyraźnéj celowości. Opiera się ono na ścisłém skojarzeniu pewnego ruchu z pewném zewnętrzném wrażeniem.

Częste powtarzanie ruchów licznych i połączonych z sobą, jak np. w chodzeniu, tańczeniu, pływaniu i t. d. wzmacnia i utrwala oddzielne ogniwa i ich węzły do tego stopnia, że wykonanie jednego pociąga za sobą następne bez wyraźnego udziału świadomości. Stają się one tym sposobem na wpół świadomemi — i wola występuje w nich wyraźnie tylko na początku, jako postanowienie, zdecydowanie się na pewną czynność. Taki właśnie charakter ma rutyna codziennych naszych zajęć. Że siła przyzwyczajenia opiera się na doskonałéj koordynacyi ośrodków nerwowych, dowodzi tego fakt, że każda przerwa w zwykłém następstwie sprawia przykrość, podobną do téj, jaka towarzyszy wszelkiemu powściągnięciu naturalnych instynktów.

Przyzwyczajenie może miéć różne stopnie natężenia, którego miarą może być szybkość i jednostajność ruchów, oraz siła z jaką ustalone ich następstwo opiera się wszelkiéj zmianie. Warunkami zaś natężenia są: suma użytéj na początku energii czynnéj i uwagi w celu dokładnego wykonania czynności; częste powtarzanie téj czynności, jednostajne jéj wykonywanie w podobnych okolicznościach, a w końcu plastyczność organiczna, która w młodym wieku jest znacznie większą niż w późniejszym. Ten ostatni warunek tłómaczy nam, dla czego w wieku dojrzałym z taką trudnością nabywają się nowe nałogi i przyzwyczajenia. Trudność ta o tyle jest większą, że wytwarzanie się nowego nawyknienia wymaga oduczenia się starego, co bez pewnéj walki dokonać się nie może.

Większa część naszych codziennych zajęć i czynności należy do zakresu nawyknienia i ma charakter na wpół-automatyczny. Wykonywają się one bez czynnego udziału świadomości, która wyraźną

jest tylko na początku. Fakt ten jest wielkiéj doniosłości w życiu ludzkiém, przez to bowiem zaoszczędza się znaczna suma energii nerwowéj, która zatém z tém większą korzyścią może być użyta wtedy, gdy chodzi o przystosowanie się do nowych okoliczności, gdy potrzeba w czynnościach zwyczajnych zaprowadzić pewne zmiany.

6. Zanalizowawszy w powyższy sposób wszystkie rodzaje ruchów, jakiemi wola posługuje się, wykazawszy warunki ich powstawania, przystępuje Sully do rozbioru właściwych objawów woli, jakiemi są działanie, postępowanie. Objawy te tém się różnią od ruchów, chociażby najbardziéj złożonych, że poprzedza je zwykle namysł, zastanowienie, tudzież uczucia nieraz bardzo złożone i skomplikowane, jako pobudki.

Przeobrażanie się czynności popędowéj, nawpół świadoméj w czynność rozumną, jaką jest postępowanie, dokonywa się powoli w miarę, jak się rozszerza zakres doświadczenia i wzrasta władza wyobrażenia. Warunkiem postępowania jest przedewszystkiém zdolność przewidywania. Zrazu wszelka nasza czynność skierowuje się do celów bezpośrednich, a dopiero późniéj, gdy władze rozumowe nabiorą pewnéj siły przez doświadczenie, zmierza ona do celów dalszych, bardziéj odległych w przyszłości. Przez doświadczenie bowiem tylko dowiadujemy się, że czynności nasze mają następstwa bliższe i dalsze, sięgające nieraz w bardzo odległą przyszłość. Rozwój władz rozumowych nie tylko rozszerza zakres naszego działania, wskazując mu coraz to nowe cele, ale jednocześnie wzmacnia wiarę w siebie samych.

Nie mniéj wpływa na ukształtowanie się woli i rozwój uczuć. Jak wiemy, uczucia, w formie pragnień, stanowią poruszającą siłę woli, są że tak powiem, sprężyną wszelkiego działania. W pierwszych, najwcześniejszych objawach woli czynnemi są wyłącznie czucia zmysłowe, jako bodźce, oraz najprostsze uczucia takie, jak ciekawość, upodobanie w ruchu, popęd naśladowczy itd. Z rozwojem uczuć zwiększa się suma pragnień, a wraz z niemi i pobudek do działania. Ponieważ wyższe uczucia różnią się tém od niższych, że są bardziéj złożone i skojarzone z wyższemi formami myślenia, czyli wyobrażalne, dla tego też i czynności przez nie spowodowane odznaczają się tém, że zawierają w sobie nowy pierwiastek—rozwagę, namysł, za pomocą którego człowiek uregulowuje swe stosunki z ludźmi.

Ostateczném następstwem rozwoju rozumu i uczuć jest rozszerzenie zakresu działania przez to, że człowiek, poznając stałe warunki szczęścia, jakiemi są: zdrowie, wiedza, szacunek itd. działa nie w widokach doraźnéj i chwilowéj przyjemności, ale w celu zapewnienia

sobie stałego dobra. Zarazem dowiaduje się, że są jeszcze inne dobra, oprócz własnego jego szczęścia -interesy rodziny, kraju i całéj ludzkości, i bierze je za cel swych usiłowań. W ten sposób czynności jego stają się ściśle rozumnemi i przybierają charakter jednolitości, jaką się odznacza postępowanie.

Zaznaczyć tu potrzeba, że w tém dążeniu do dobra stałego czynną pobudką jest nie tyle przyjemność, jakiéj spodziewamy się po osiągnięciu tego dobra, ile przyjemność samego działania. Pożądanie rzeczy ustępuje powoli miejsca pożądaniu środków, wiodących do jéj osiągnięcia.

Przykładem tego jest skąpiec, gromadzący pieniądze, które są tylko środkiem, myśliwy, któremu nie chodzi o zwierzynę, ale o wrażenia, jakich doznaje podczas łowów.

7. W miarę, jak człowiek zaczyna ogarniać myślą coraz dalsze następstwa swych czynności, działanie jego staje się bardziéj wyobrażalném i coraz więcéj złożoném. Ulega ono nie pojedyńczéj jakiejś pobudce, skierowującéj ją ku celom najbliższym, ale licznym pobudkom, przedstawieniu umysłowemu wielu rzeczy, które są przedmiotem pragnienia albo też wstrętu. Pobudki w tym wypadku mogą oddziaływać w dwóch kierunkach: zbieżnym, gdy popychają do jednéj czynności, i rozbieżnym, gdy wymagają kilku czynności niezgodnych, albo nawet wręcz przeciwnych sobie.

Większa część naszych czynności, chociaż na pozór zdaje się słuchać jednéj tylko pobudki, ulega wielom naraz. Pobudki te współczynne i łączące się w widoku jednego celu, nie tylko nie osłabiają działania, ale przeciwnie użyczają mu większéj energii.

Przykładem najciekawszym takiego współdziałania pobudek jest wypadek, kiedy do pierwotnéj pobudki, jaką jest przyjemność, do któréj osiągnienia zmierzamy, przyłącza się pobudka wtórna— przyjemność, jakiéj doznajemy w skutek samego działania.

Antagonizm pobudek, ważny pod względem psychologicznym, nabiera szczególnego interesu z punktu widzenia etycznego. Daje on początek moralnemu postępowaniu, posłuszeństwu prawom.

Charakterystyczną cechę przeciwieństwa pobudek stanowi powstrzymanie działania. Dwie (lub więcéj) pobudki, współcześnie lub w bezpośredniém następstwie występujące i mające przeciwne kierunki, wzajemnie osłabiają się i paraliżują. Skutkiem tego następuje albo chwilowe powstrzymanie działania, czyli odroczenie, albo też zupełne jego zaniechanie.

O fizyologicznych warunkach powstrzymania czynności pisano wiele ostatniemi czasy. Zagadnienie dotąd nie jest rozwiązaném. Najprawdopodobniéj mamy w tym wypadku ten sam fakt, jaki się do-

strzega w świadomości. Wyraźna świadomość zależy odześrodkowania nerwowéj energii w pewnych ośrodkach, przy czém musi nastąpić zmniejszenie się jéj w innych. Tak samo pobudzenie jednych ośrodków ruchowych musi oddziaływać w sposób przytłumiający na inne.

Najprostszym przykładem powstrzymanéj czynności jest ten, w którym wiara w skuteczność działania jest zachwianą i na jéj miejsce występuje zwątpienie. Powstrzymanie czynności w tym razie może być albo chwilowém albo zupełném. Zależy to od stopnia natężenia pobudki, od chwilowego usposobienia do działania i od indywidualnego temperamentu. Temperament czynny, posiadający wielką odporność nerwowego systemu i znaczną energią mięśni, mniéj poddaje się zwątpieniu, niż powolny, który działa ostrożnie. Odznacza się on przytém pamięcią przyjemności większą od pamięci przykrości.

Drugim przykładem powstrzymania ruchu jest wypadek, w którym pożądana przyjemność popycha człowieka do działania, ale z drugiéj strony powstrzymuje go od niego wyobrażenie sobie w umyśle przykrości, jakie temu działaniu towarzyszą lub w jego następstwie wynikną. W obu tych razach powstrzymanie ruchu zależném jest od tego, która z tych pobudek—dodatnia, czy ujemna—jest silniejszą. O przewadze zaś jednéj lub drugiéj pobudki stanowi chwilowy stan nerwowego systemu oraz indywidualny temperament.

Trzecim nareszcie przykładem jest współzawodnictwo wielu pobudek. Człowiek może doznawać jednocześnie wielu pragnień. W tym wypadku różnorodne pragnienia, targając umysł w różnych kierunkach, wyczerpują właściwą sobie energią, osłabiają się i tém samém powstrzymują działanie.

Współzawodnictwo pragnień objawia się w wielu formach. Może ono zachodzić między uczuciami rzeczywistemi albo tylko wyobrażanemi, między celem stałym a chwilowym lub też między celami stałemi.

We wszystkich wypadkach współzawodnictwa pobudek następuje zwykle bądź odroczenie czynności, bądź przychylenie się do jednéj z walczących pobudek. W każdym razie ta targanina pragnień w przeciwnych kierunkach zradza w umyśle stan przykry. I właśnie ta przykrość przyśpiesza rozwiązanie wewnętrznego zatargu. Człowiek, chcąc się uwolnić od owéj przykrości, wybiera jednę z czynnych pobudek i nią się powoduje. Silna skłonność do działania również wpływa na bierne decydowanie się. Ten bierny proces decydowania się ma wiele wspólnego z działaniem kilku sił mechanicznych na jedno i te same ciało.

W dalszym rozwoju woli ten względnie bierny proces decydowania się przeobraża się w czynność, w której występuje nowy pierwiastek—usiłowanie woli, polegające na powściągnięciu i kontroli pobudek. Charakterystycznėm znamieniem tėj czynności jest namysł, rozwaga (deliberation). Wola na tėm stanowisku objawia się nie jako dążność do działania, ale jako powstrzymanie go, odroczenie w celu zastanowienia się nad wszystkiemi okolicznościami. Ten rodzaj czynności jest bardzo trudnym. Wymaga on niejednokrotnego doświadczenia złych skutków pośpiesznego działania i ustalonego tą drogą wstrętu do niego; nadto bacznéj uwagi na następstwa działania najmniéj widoczne i odległe, tudzież pewnéj biegłości w porównywaniu i odrywaniu (abstrahowaniu). A jeżeli powstawanie pobudki, powstrzymującéj od działania, połączone jest z wielu trudnościami, to daleko ich więcéj ma do zwalczenia sam proces powstrzymania. Dla tego, żeby się powstrzymać od działania, do którego prze nas pewne pragnienie, potrzeba umiéć silnie natężyć uwagę i zatrzymać ją przez czas dłuższy na wyobrażeniu, które zdolném jest przeciwważyć pobudkę. Niezbędną jest przytém energia ośrodków mózgowych, a szczególniéj ruchowych, tych mianowicie, które są czynnemi w dowolnéj uwadze.

Przedmiotem namysłu, rozwagi bywają tak okoliczności, dotyczące celu działania i jego skutki, jako też środki do tego celu wiodące. Wynikiem zaś namysłu jest wybór, zdecydowanie się. Po pilném zastanowieniu się nad przyjemnościami i przykrościami, jakie pewne działanie za sobą pociąga, człowiek wybiera z całą świadomością i decyduje się działać albo też nie działać. Wybór ten, szczególniéj w wieku młodym, nie zawsze bywa wolnym od nacisku, jaki wywiera na umysł pragnienie uwolnienia się od przykrości, towarzyszącéj kolizyi pobudek.

Wyższa forma wyboru, wolna od przymusu i—co za tém idzie, od pośpiechu jest przymiotem woli silnéj, która tém głównie odznacza się, że się zastanawia i rozważa spokojnie i wytrwale. Cech tych nabywa ona w długiém doświadczeniu życia. Koniecznemi zaś warunkami téj formy wyboru jest żywa pamięć uczuć, a szczególniéj doświadczonych przykrości, oraz silna skłonność do działania. Samo przez się rozumie się, że niezbędnym jest także w tym wypadku rozsądek, zdolny ocenić praktyczne następstwa działania.

Różni się od wyboru, czyli decydowania się postanowienie, które odnosi się nie do czynności natychmiastowéj, ale późniejszéj, gdy nadarzą się odpowiednie temu okoliczności. Składowemi czynnikami postanowienia są: wyraźna wiara w możność nadarzenia się pożąda-

nych okoliczności, wyczekująca uwaga, będąca przedwstępnym aktem dowolnéj czynności i gotowość do działania w pewnym kierunku, gdy czas nadejdzie. Postanowienie, jako najbardziéj rozwinięta forma psychicznéj sprawy chcenia, należy uważać za typowy objaw woli.

Postanowienie leży w podstawie wszelkiéj dłuższéj czynności, mającéj na widoku odleglejsze cele. I w niém to dopiero ujawnia się siła i stałość woli. Wytrwałość w postanowieniu polega na ciągłém uprzytomnieniu w umyśle ostatecznego wyniku działania i na odsuwaniu wszystkiego, coby mogło wolę sprowadzić z obranéj drogi. Wymaga ono więc ciągłości interesu i stałego utrzymywania uwagi w jednym kierunku.

Że stałość woli, czyli wytrwałość w postępowaniu nie jest tém samém, co decydowanie się, dowodzi tego fakt, że wiele jest osób, którym z trudnością przychodzi zdecydować się na coś, ale które, gdy raz wybór zrobią, zdecydują się, nie cofają się już i trwają stale i niezachwianie w postanowieniu. Stałość, wytrwałość w postanowieniu posunięta do ostateczności staje się uporem, który tém głównie odznacza się, że, zamykając oczy na bezskuteczność swych usiłowań, nie słucha cudzych przestróg i nie korzysta z nowych doświadczeń.

8. Do dalszych objawów rozwiniętéj woli, współrzędnych postanowieniu, należy panowanie nad sobą, nadzór, kontrola nad własnemi czynami, uczuciami i myślami. Panowanie nad sobą polega głównie na dowolném powstrzymaniu się od działania, na powściągnięciu pobudek czynnych. Istotę jego pod względem psychologicznym stanowi wysiłek woli w formie uwagi dowolnéj i przewaga pobudek rozumowych, czyli wyobrażalnych nad zmysłowemi, czyli obecnemi.

Chociaż panowanie nad własnemi czynnościami oznacza przedewszystkiém władzę powściągania dążności do ruchu, wywołanéj przez bodźce zewnętrzne, nie ogranicza się ono przecież na téj ujemnéj formie działania. Ma ono jeszcze stronę dodatnią, która stanowi gotowość do działania, pomimo, że działanie to bądź samo przez się jest nieprzyjemném, bądź nieprzyjemność sprowadza w bezpośredniém następstwie. Najwyższym stopniem panowania nad sobą jest nakaz wewnętrzny, zniewalający do działania wtedy, gdy zewnętrzne okoliczności od niego odstręczają.

Uczucie, jak wiadomo, przechodzi samo przez się w ruch. Panowanie więc nad uczuciami wykonywa się za pośrednictwem panowania nad ruchami, a mianowicie przez powstrzymywanie się od ze-

wnętrznych objawów wzruszeń i namiętności. Jest ono więc późniejszém od panowania nad ruchami i czynnościami i wymaga znacznego doświadczenia, któreby dało poznać smutne następstwa niepowściągnionych namiętności. W czynnéj swéj formie objawia się ono jako zdolność wywoływania w sobie pożądanych wzruszeń Przykład téj zdolności widzimy w grzeczności, obyczajności, wymagających samodzielnéj uprawy towarzyskich i moralnych uczuć.

Co się tyczy panowania nad myślami wywiera się ono za pomocą dowolnéj uwagi. Jak wiadomo, każde wyobrażenie i pojęcie w chwili swego pojawienia się w umyśle z jednéj strony pociąga ku sobie uwagę, z drugiéj wywołuje inne wyobrażenia i pojęcia, które z niemi w jakikolwiek bądź sposób były skojarzone. Powściągająca czynność woli polega tu na zobojętnieniu owych dwóch dążności, na zwracaniu uwagi dowolnéj na wyobrażenia i pojęcia, które są na razie potrzebne, a usuwaniu innych, na przywoływaniu do pamięci pojęć zapomnianych, a w końcu na odrywaniu się od wrażeń zewnętrznych. Najwyższym objawem panowania nad myślami są: czynność twórczéj wyobraźni i rozumowanie.

Trzy te oddzielne formy panowania nad sobą zostają w ścisłym do siebie stosunku, wynikającym jużto z przeciwieństwa, jakie zachodzi między działaniem, uczuciem i myśleniem, już to ze związku istniejącego między trzema stronami życia umysłowego. Wiadomo, że uczucie, myślenie i działanie są stanami umysłu do pewnego stopnia przeciwnemi sobie i wzajemnie wykluczającemi się, dla tego też czynność umysłowa, rozpoczęta pod wpływem woli w jednym kierunku, musi paraliżować przeciwne sobie siły. Myśléć z całą swobodą i spokojem może tylko ten, kto ma władzę nad swemi uczuciami; dla zdobycia zaś téj władzy potrzeba wprzód nauczyć się panować nad własnemi czynnościami.

Co się tyczy stosunku, opierającego się na związku trzech stanów umysłu, to ten przedstawia się dwojako: jako zależność uczuć od poznania i jako zależność działania od uczucia i poznania.

Ponieważ każde wzruszenie powstaje w związku z pewną czynnością rozumową, stąd zdolność władania, swemi myślami jest oraz zdolnością panowania nad uczuciami. Jakoż nie inaczéj możemy zapanować nad jakiémś wzruszeniem, jak odwracając myśl od tego, co je wywołało i zwracając na rzeczy wręcz mu przeciwne.

Pobudką wszelkiéj czynności nie jest samo uczucie, ale uczucie skojarzone z myśleniem. Żeby więc można było kierować własnemi czynami, potrzeba wprzód nauczyć się panować nad swemi uczuciami i myślami. Namysł, rozwaga nie na czém innem polega, jak na

nabytéj własną pracą nad sobą zdolności władania swemi myślami i zależnemi od nich wzruszeniami.

Panowanie nad sobą ma pewne granice. Są silne popędy, gwałtowne namiętności, których żadnym wysiłkiem woli przemódz nie można; są pewne skojarzenia pojęć, które dowolnie nie dadzą się rozerwać.

W panowaniu nad sobą biorą udział ośrodki ruchowe, te mianowicie, które są czynne w dowolnéj uwadze. Ponieważ te ośrodki są najpóźniejszéj formacyi, dla tego są one najsłabsze i najwcześniéj podlegają zaburzeniom we wszystkich zboczeniach umysłowych. Każde osłabienie umysłu, pochodzące bądź z nadzwyczajnéj pracy umysłowéj, bądź z pijaństwa albo téż w skutek patologicznych zmian w mózgu, objawia się przedewszystkiém utratą władzy nad uczuciami, myślami i działaniem.

9. Namysł, rozwaga, zarówno jak i panowanie nad sobą wyrabiają się i utrwalają powoli, drogą wprawy, częstego powtarzania. Stają się one wtedy przyzwyczajeniem. Podobnie jak ruchy ciała, zrazu niepewne i wymagające wysiłku, przez powtarzanie stają się pewnemi i łatwemi; powściąganie bodźców i pobudek oraz zastanawianie się nad niemi, przez doświadczenie stają się pewnemi, dokładnemi i łatwemi, wymagającemi jak najmniéj czasu. W ten sposób pewne pobudki stają się w umyśle panującemi, przeciwne zaś im tracą wszelką siłę. Wypadkiem ustalonéj przewagi wyższych pobudek nad niższemi są zwyczaje moralne.

Z moralnemi zwyczajami łączy się ściśle pojęcie charakteru. W zwykłém znaczeniu przez charakter rozumiemy pewne indywidualne różnice pod względem umysłowym, o ile one objawiają się w postępowaniu, w działaniu. W znaczeniu zaś etycznéem rozumiemy przez charakter człowieka zacnego, uczciwego, którego wola, uczucia i myśli kierują się zasadami moralnemi i od nich nigdy nie zbaczają. Możnaby więc pojmować charakter moralny, jako sumę nabytych skłonności, czyli przyzwyczajeń, które stanowią to, co nazywami cnotami tak prywatnemi, jak i publicznemi.

Człowiek z charakterem, tj. z ugruntowanemi zwyczajami moralnemi w zwykłych wydarzeniach życia nie potrzebuje długo namyślać się nad tém, co ma począć na razie. Wybór bowiem między pobudkami wyższemi a niższemi, dobremi a złemi dokonywa się w jego umyśle prawie automatycznie, siłą saméj przewagi pobudek dobrych nad złemi. Postanowienie bywa u niego natychmiastowém bez poprzedniéj walki wewnętrznéj, bez żadnego wysilenia. Życie jednakże nie składa się z samych wydarzeń codziennych; z różnorodnych stosunków ludzkich wytwarzają się często sytuacye trudne, okoliczno-

ści nader złożone i zawiłe, w obec których umysł nie może od razu zdać sobie sprawy i nie wie, jak ma wyjść z kolizyi obowiązków. Wtedy to człowiek nawet z najbardziéj ugruntowanemi cnotami musi zastanowić się głęboko nad sprzecznemi pobudkami, musi z wielką rozwagą i namysłem przystępować do postanowienia, ażeby działając pośpiesznie, nie uwłóczyć wyznawanym przez się zasadom. A jakkolwiek w tym razie postąpi, postąpi zawsze w kierunku najmocniejszéj w danéj chwili pobudki.

Władysław Kozłowski.





SIŁY OBECNE I PRZEWIDYWANA PRZYSZŁOŚĆ

ZAMORSKIÉJ KONKURENCYI ZBOŻOWÉJ.

Odpowiedź na punkt 2-gi, 3-ci i 4-ty kwestonaryusza hr. L. Krasińskiego (*), opracowana na żądanie warszawskiego Towarzystwa popierania handlu i przemysłu.

Praktyczne cele, jakie sobie inicyatorowie „Kwestyonaryusza“ w spożytkowaniu zbieranych materyałów zakładają, jak niemniéj nadzwyczaj doniosła dla całego kraju naszego ważność podjętéj sprawy, nakazuje mi w odpowiedzi trzymać się ściśle gruntu faktów i każde swoje zdanie uzasadniać, o ile możności, argumentami, opierającemi się na podstawach zupełnie pewnych, a więc przedewszystkiém na danych liczbowych. Okoliczność ta musi wywołać do pewnego stopnia *przeładowanie* referatu tablicami statystycznemi. Niepodobna jednakże tego uniknąć, raz — z powodu, że tylko ta droga może nas doprowadzić do wyników zgodnych z prawdą, powtóre— że wobec rozpowszechnienia u nas o sprawie, w mowie będącéj, wielu mniemań błędnych, nie jedno zdanie piszącego, nie poparte niezbitemi danemi faktycznemi, mogłoby się spotkać z silném, choć nieusprawiedliwioném zaprzeczeniem.

Przystępując do rozbioru zagadnień, objętych pierwszym z zajmujących nas punktów kwestyonaryusza: „O ile współzawodnictwo Ameryki oddziaływa na targi europejskie i do jakiego minimum obniżyć ona może cenę wywozowych swoich produktów?“ — musimy przedewszystkiém dowiedzieć się, które mianowicie ze swych pro-

---

(*) *Punkt II.* O ile współzawodnictwo Ameryki oddziaływa na targi europejskie i do jakiego minimum obniżyć ona może cenę wywozowych swoich produktów ?

Punkt III. Kanał Suezki czy wpłynął na ułatwienie Azyi południowéj i Australii współzawodnictwa na targach europejskich i o ile ono może rozwinąć się w przyszłości ?

Punkt IV. Przekopanie międzymorza Panama jaki prawdopodobnie będzie miało wpływ na targi europejskie i na produkcyą wywozową Ameryki północnéj.

duktów rolnych Stany Zjednoczone najszerzéj uprawiają, oraz które w największych masach wywożą? Ponieważ przytém chodzi nam tutaj wyłącznie tylko o cele praktyczne, a mianowicie o zbadanie szans powodzenia naszego handlu wywozowego na rynku międzynarodowym, więc, naturalnie, w badaniach naszych pominiemy zupełnie te artykuły produkcyi i wywozu amerykańskiego, których nasza gleba nie wytwarza, jak np. bawełna, ryż, tytoń i t. p., największą zaś uwagę poświęcimy produkcyi i wywozowi zboża, które stanowi najważniejszy przedmiot naszego handlu eksportowego.

Produkcya i wywóz zboża amerykańskiego poczęły stale wzrastać z niesłychaną szybkością już od roku 1869, w którym to czasie ukończona została budowa głównych linii dróg żelaznych, łączących urodzajne ziemie zachodnie ze wschodnimi portami Stanów Zjednoczonych. Następująca tablica wykaże nam dokładnie całą potęgę tego wzrostu, a zarazem pouczy nas, które mianowicie rodzaje zboża w Stanach Zjednoczonych głównie są uprawiane.

TABLICA I. (*)

Produkcya i wywóz zboża i mąki ze Stanów Zjednocz. w tysiącach buszli.

W roku skarbowym	Pszenica		Żyto		Jęczmień		Owies		Kukurydza		Mąka
	Produkcya	Wywóz	Produkcya	Wywóz	Produkcya	Wywóz	Produkcya	Wywóz	Produkcya	Wywóz	Wywóz w tysiąc. beczek
1868—69	—	17907	—	96	—	59	—	541	—	7049	2764
1869—70	—	36997	—	496	—	255	—	200	—	1392	3677
1870—71	235885	34791	15474	204	26295	365	247277	153	1094255	9826	3873
1871—72	230722	27000	15365	923	26718	98	255743	263	991898	34492	2915
1872—73	249997	39592	14889	840	26846	501	271747	714	1092719	38542	3002
1873—74	281255	71834	15142	1782	32044	320	270340	813	932274	34435	4588
1874—75	309103	53327	14991	463	32552	91	240369	505	850148	28858	4279
1875—76	292136	55073	17722	544	36909	318	354317	1466	1321069	49494	4297
1876—77	289356	40325	20375	2189	38710	1186	320884	2854	1283827	70861	3799
1877—78	364194	72405	21170	4208	34441	3921	406394	3715	1342558	85461	4387
1878—79	420122	122354	25843	4852	42246	716	413579	5452	1388219	86296	6031
1879—80	448757	153253	23639	2913	40283	1129	363761	766	1547902	98170	6367
1880—81	498550	150565	24541	1928	45165	885	417885	403	1717435	91908	8385
1881—82 (nieurodzaj)	383280	95272	20705	974	41161	206	416481	626	1194916	43185	6210
1882—83	504185	147811	29960	2197	48954	433	488251	461	1617025	41656	—
1883—84	421086	111534	28058	6241	50136	725	571302	1760	1551067	46259	—
1884	512763	—	—	—	—	—	—	—	1795527	—	—

(*) Dane téj tablicy do roku 1881/2 włącznie zaczerpnięte są z Neumanna-Spallarta *Uebersichten über Production, Verkehr und Handel in der Weltwirthschaft.* (Stuttgart 1878 1880, 1881 i 1884); następne 2 daty pochodzą z raportu pisanego, dostarczonego przez biuro statystyczne departamentu rolnictwa Stanów Zjednoczonych konsulatowi warszaw-

Już przy pierwszym rzucie oka na tablicę powyższą uderza nas nadzwyczajna nierównomierność tak w produkcyi, jak zwłaszcza w wywozie rozmaitych gatunków zboża amerykańskiego. Pod względem ilości wytworu pierwsze miejsce zajmuje kukurydza, któréj zbiór w roku 1884 dosięgnął olbrzymiéj cyfry 1,800,000,000 buszli, czyli około 500,000,000 korcy polskich. Daléj idzie pszenica w liczbie przeszlo 500,000,000 buszli (140,000,000 korcy) i owies z przybliżenie równą ostatniéj ilością zbioru. Produkcya jęczmienia w liczbie 45,000,000 buszli (12½ mil. korcy) i 20 milionów buszli (5½ mil. korcy) żyta w porównaniu z kolosalnemi cyframi zbioru trzech ziarn poprzednich traci prawie wszelkie znaczenie.

Cyfry wywozu w innym szeregują się porządku. Tu już na pierwszy plan występuje pszenica w ilości 150 milionów buszli (41½ mil. korcy), po niéj dopiero idzie kukurydza, z cyfrą 90 mil. buszli (25 mil. korcy), a następnie owies, żyto i jęczmień w ilościach bardzo zmiennych i stosunkowo nieznacznych.

Dane powyższe wskazują nam, że dowóz zboża amerykańskiego do Europy może wywierać wpływ bezpośredni jedynie na handel pszenicą i kukurydzą. Wynik ten potwierdzają też ceny zboża z lat ostatnich na rynku międzynarodowym, jak wiadomo bowiem z pomiędzy wszystkich gatunków ziarna najgwałtowniejszy spadek w cenie przedstawia pszenica. Że i ceny innych gatunków zboża podległy również w tym czasie mniéj więcéj znacznéj zniżce, objaśnia się to już oddziaływaniem pośredniém dowozu pszenicy i kukurydzy. Wysokość cen zależy od stosunku podaży do popytu; w miarę więc jak cena pszenicy, skutkiem wzrostu podaży, coraz bardziéj spada, staje się ona dostępną dla wielu ludzi, dla których dawniéj była za wysoką; dzięki téj okoliczności konsumcya tego ziarna wzrasta kosztem zmniejszenia się spożycia innych, gorszych gatunków zboża, tym sposobem zaś popyt na te ostatnie słabnie i cena ich podlega zniżce. Podobny wpływ wywiera również taniość kukurydzy na ceny tych rodzajów ziarna, które ona w spożyciu zastąpić może. Wyjaśniwszy sobie w ten sposób kwestyą spadku cen tych gatunków zboża, których Stany Zjednoczone do Europy nie dowożą, lub do-

skiemu, wreszcie cyfry produkcyi pszenicy i kukurydzy w r. 1884 wzięte są z raportu drukowanego wspomnianego biura statystycznego z miesiąca marca r. b. „*Report on the Distribution and consumption of Corn and Wheat, on consumption of cereals in Europe and on freight rates of transportation companies.* (Report N. 16). Cyfry wywozu pszenicy, żyta i kukurydzy za rok 1882/3 i 1883/4 obejmują już w sobie wywóz mąki, zredukowanéj na ziarno; poprzednie zaś przedstawiają jedynie eksport ziarna nieprzerobionego. Wywóz mąki za te lata podany jest osobno.

wożą w małych ilościach, łatwo zrozumiemy, że ceny tych gatunków ziarna nie zależą od kosztów ich produkcyi w Ameryce, lecz od cen pszenicy i kukurydzy (1). Wobec tego więc warunki produkcyi innych ziarn w Ameryce nie przedstawiają dla nas bliższego interesu; pominiemy je też milczeniem, poprzestając jedynie na podaniu tabelki przeciętnych zbiorów żyta, jęczmienia i owsa z akra ziemi w całych Stanych Zjednoczonych za czas od r. 1875 do 1881:

TABLICA II. (*)

Przeciętny zbiór z 1 akra ziemi	1875	1876	1877	1878	1879	1880	1881 nieurodzaj
Żyta . . . . buszli	13,0	13,8	14,9	15,9	14,5	13,9	11,6
Jęczmienia. . . „	20,6	21,9	21,3	23,6	24,0	24,5	20,9
Owsa . . . . „	29,7	24,0	31,6	31,4	28,7	25,8	24,7

Wziąwszy z tych cyfr przeciętne i zamieniwszy je na miary polskie (2), otrzymamy, że średni zbiór z 1 morga ziemi wynosi w Stanach Zjednoczonych: dla żyta—korcy 5,3, dla jęczmienia—8,5, dla owsa—10,6.

Uprawa kukurydzy w Ameryce koncentruje się głównie w siedmiu stanach środkowych: Ohio, Indiana, Illinois, Jowa, Missouri, Kansas i Nebraska. Stany te wytwarzają tego ziarna blizko dwa razy tyle, ile wszystkie pozostałe razem wzięte. Następujące cyfry zbiorów z ostatnich trzech lat rzecz tę dokładnie nam uwidocznią:

TABLICA III. (**)

Zebrano kukurydzy	w r. 1882 w 1000 buszli	w r. 1883 w 1000 buszli	w r. 1884 w 1000 buszli
W 7-miu wymienionych stanach . . .	955596	978330	1175744
W pozostałych stanach.	661429	572737	619784
Ogółem. . .	1617025	1551067	1795528

(1) Naturalnie, że w całem rozumowaniu powyższém abstrahujemy zupełnie od wszystkich czynników miejscowych, oddziaływających na ceny, i bierzemy pod uwagę jedynie wpływ współzawodnictwa amerykańskiego.

(*) Cyfry wzięte z „Uebersichten“ Neumanna-Spallarta, rocznik za 1880 i 1881/2.

(2) 1 akr = 0,724 morga; 1 buszel = 0,275 korca.

(**) Zaczerpnięta z „*Report on the distribution and consumption of Corn and Wheat.*“ March 1885.

Ziarno to zużywa się w Stanach Zjednoczonych głównie na karm' dla inwentarza. Ten to właśnie fakt wyjaśnia nam tajemnicę tak olbrzymiéj konsumcyi kukurydzy w tym kraju, jaką musieliśmy zauważyć z różnicy pomiędzy produkcyą, a wywozem w tablicy I-széj. Podczas gdy zbiory tego ziarna przewyższają przeszło 3 razy produkcyą pszenicy, wywóz wynosi zaledwie 3/5 do 2/3 cyfry jéj eksportu. Podług najnowszych obliczeń, z miejscowéj konsumcyi kukurydzy przypadało około 800 milionów buszli na karm' dla inwentarza opasowego, przeszło 500 mil. dla roboczego, a zaledwie 150 mil. na pokarm dla ludzi. Przeciętne zbiory i ceny tego ziarna w ostatnich latach wynosiły:

TABLICA IV. (*)

	1877	1878	1879	1880	1881
Z 1 akra — buszli ziarna	26,6	26,9	29,2	27.6	18,6
Za 1 buszel (loco ferma) dolarów	0,36	0,32	0,37	0,40	0,64

Obliczony w miarach polskich na podstawie czterech pierwszych cyfr powyższych, gdyż ostatnie zbyt są wyjątkowe, zbiór średni da nam 10,5 korcy z morga, cena zaś jednego korca 3 ruble 63 kopiejki waluty papierowéj (1). Cena ta dzisiaj jest znacznie niższa. Koszta uprawy kukurydzy podaje Rudolf Meyer (2) na 6—8 czyli średnio 7 dolarów na akr ziemi. Przy średnim więc urodzaju 26 buszli z akra otrzymamy jako koszta produkcyi 1 buszla ziarna 27 centów, czyli 1 korca naszego rs. 1,96 kop.

Ponieważ w kraju naszym kukurydza uprawia się w bardzo nieznacznych ilościach, przeto dowóz amerykański tego ziarna do Europy może wywierać wpływ na nasz handel zbożem zaledwie pośrednio, a mianowicie o tyle tylko, o ile wzrost spożycia kukurydzy zmniejszy konsumcyą tych gatunków zboża, które my wywozimy.

Najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla wszystkich europejskich wytwórców zboża, a szczególniéj dla polskich i rosyjskich, przedsta-

(*) Zapożyczona u Neumanna Spallarta z rocznika za rok 1881/2.

(1) Za 1 dolar płaci się średnio 4,25 marek, co przy obecnym kursie waluty niemieckiéj czyni nieco więcéj nad 2 rs. Będziemy więc wszędzie przyjmowali, iż 1 dol.= 2 rub. papierowym.

(2) *Ursachen der amerikanischen Concurrenz*, Berlin, 1883.

wia dowóz pszenicy amerykańskiéj na rynek międzynarodowy, nietylko bowiem zniża on cenę samego tego ziarna, lecz oddziaływa zarazem pośrednio na deprecyacyą innego, mniéj cennego zboża, a nadewszystko mianowicie—żyta, którego kraje, granicami państwa Rosyjskiego objęte, produkują i wywożą najwięcéj ze wszystkich państw świata całego. Rozmiary i szybkość rozwoju produkcyi pszenicy w Stanach Zjednoczonych przechodzą wszystko, co dotąd w tym względzie kiedykolwiek na świecie widziano. Podług tablicy I-wszéj zbiór tego ziarna w roku 1871 wynosił 235 milionów, w 1880 blizko 500 milionów, w ciągu więc lat 10 ilość wytworu wzrosła przeszło wdwójnasób, sam zaś jego przyrost w ciągu tego czasu (biorąc okrągło—265 milionów buszli) dorównywa mniéj więcéj średniéj cyfrze ogólnego zbioru pszenicy w całéj Rosyi.

Jeżeli ludność Stanów Zjednoczonych z roku 1870-go i 1880-go zestawimy z produkcyą pszenicy w tych latach i obliczymy przyrost odsetny jednéj i drugiéj, to otrzymamy wyniki następujące:

TABLICA V. (*)

	1870	1880	Przyrost odsetny
Ludność	38558371	50155783	30%
Zbiór pszenicy w buszlach . .	235885000	498550000	111%

Tak więc podczas gdy ludność w ciągu lat dziesięciu wzrosła tylko o 30%, produkcya pszenicy w tymże czasie zwiększyła się o 111%, czyli wykazała przyrost blizko 4 razy szybszy. Wobec tych cyfr łatwo zrozumiéć dlaczego Ameryka zalewa swém zbożem rynki europejskie i każe drżeć o przyszłość rolnikom naszego lądu. Już z tablicy I-wszéj mogliśmy powziąć niejakie pojęcie o olbrzymich rozmiarach tego zalewu. Cyfry wywozu pszenicy jednakże przedstawiały nam się tam nie dość dokładnie skutkiem tego, że nie obejmowały wywozu mąki pszennéj, któréj eksport podany był w cyfrach ogólnych, zawierających w sobie zarazem mąkę z innych gatunków zboża.

Ażeby sobie dokładnie uzmysłowić całą potęgę handlu pszenicą amerykańską przyjrzyjmy się teraz cyfrom wywozu tego zboża, dopełnionym w ten sposób, iż będą one już zawierały w sobie zara-

(*) Cyfry ludności zaczerpnięte z *„Annuaire de l'Economie politique et de la Statistique* par Maurice Block, 1884.

zem i wywóz mąki pszennéj, zredukowanéj odpowiednio na ziarno (1). Obok tych cyfr, dla zupełności obrazu, podajemy jednocześnie ilość akrów obsianych pszenicą, przeciętną wydajność 1-go akra ziemi w każdym danym roku, ogólny zbiór, oraz przeciętną cenę 1-go buszla ziarna na fermie, czyli cenę *netto* pobieraną przez producenta, i przeciętną cenę eksportową, czyli cenę, po jakiéj kupcy sprzedawali w portach buszel pszenicy na wywóz.

TABLICA VI.

Lata skarbowe od 1 Lipca do 3o Czerwca	Ilość ziemi obsianéj pszenicą, podana w tysiącach akrów	Przeciętny zbiór z 1 akra w buszlach	Zbiór ogólny w tysiącach buszli	Wywóz ogólny pszenicy i mąki zredukowanéj na ziarno w 1000 buszli	Przeciętna cena na fermie w dolar.	Przeciętna cena wywozowa
1871—72	19944	11,5	230722	38996	1,26	—
1872—73	20838	11,9	249997	52015	1,24	—
1873—74	22172	12,7	281255	91510	1,15	1,43
1874—75	24967	12,3	309103	72913	0,94	1,12
1875—76	26382	11,0	292136	74751	1,00	1,24
1876—77 (nieurodzaj)	27627	10,4	289356	57150	1,04	1,67
1877—78	26278	13,9	364194	92142	1,08	1,34
1878—79	32109	13,1	420122	150503	0,78	1,07
1879—80	32546	13,7	448757	180304	1,11	1.24
1880—81	38057	13,1	498550	186321	0,95	1, 11
1881—82 (nieurodzaj)	37576	10,2	383280	121892	1,19	1,19
1882—83	—	—	504185	147811	0,79 *	1,13
1883—84	—	—	421086	111534	0,82 *	1,07
1884—85	—	—	512763	—	0,55 *	—

* Ostatnie 3 cyfry cen loco ferma, opatrzone gwiazdką, obliczyliśmy sami na podstawie przeciętnych cen dla ośmiu tylko stanów, zajmujących jedne z pierwszych miejsc w produkcyi i wywozie pszenicy, a mianowicie: Ohio, Illinois, Minnesota, Jowa, Missouri, Kansas, Nebraska i Dakota. Tabelkę, na podstawie któréj dokonaliśmy tego obliczenia, podamy późniéj. Tym sposobem jednak cyfry powyższe nie odpowiadają ściśle poprzedzającym, gdyż nie przedstawiają zupełnie dokładnych przeciętnych dla całych Stanów Zjednoczonych. O ile sądzić możemy z porównania lat poprzednich, są one prawdopodobnie cokolwiek za nizkie. Dane pierwszych czterech rubryk za pierwsze 9 lat wziąłem z R. Meyera „Ursachen...“; wszystkie cyfry pozostałe, z wyjątkiem cen zaznaczonych gwiazdką, wybrałem z czterech roczników „Uebersichten ..“ Neumanna-Spallarta.

Rozpatrzywszy się uważnie w tablicy powyższéj, spostrzegamy, że podczas gdy w ciągu całego zeszłego lat dziesiątka zarówno produkcya, jak i wywóz, wzrastały z każdym rokiem w olbrzymich rozmiarach, od r. 1880 rzeczy radykalnie się zmieniają. Z tablicy V-téj widzieliśmy, że ludność Stanów Zjednoczonych w r. 1880 wynosiła

(1) Beczka mąki przyjmuje się średnio za 196 ℔ angielskich; 1 cetnar mąki uważa się za równy 1¼ cetn. ziarna, a 1 buszel pszenicy w ziarnie=60 ℔ amer.

biorąc okrągło, 50 milionów głów i że w ostatnich czasach wzrastała mniéj więcéj o 3% rocznie, dla bieżącego więc dziesiątka lat możemy przyjąć około $1\frac{1}{2}$ miliona głów przyrostu na rok. Otóż ponieważ spożycie pszenicy w Stanach Zjednoczonych w końcu lat 70-tych wynosiło rocznie około 270 milionów buszli, czyli $5\frac{1}{2}$ buszla na głowę, przeto wzrost obecny konsumcyi miejscowéj tego kraju możemy oznaczyć w przybliżeniu na 8 do $8\frac{1}{2}$ milionów buszli na rok ($1.500.000 \times 5\frac{1}{2} = 8.250.000$). Tym sposobem zapotrzebowanie miejscowe na pszenicę w ciągu ostatnich lat czterech zwiększyło się przypuszczalnie o jakie 32 do 35 milionów buszli, ponieważ zaś produkcya utrzymała się mniéj więcéj na tym samym poziomie (w r. 82 i 84-tym cokolwiek wzrosła, lecz za to w 81 i 83-cim znacznie była mniejsza niż w 79 i 80-tym), więc zdolność eksportu tego ziarna ze Stanów Zjednoczonych osłabła. Obliczenie to potwierdzają wymownie cyfry wywozu, które po roku 1880-tym poczęły gwałtownie spadać. Nie biorąc nawet na uwagę roku 1881, jako wyjątkowo nieurodzajnego, widzimy, że podczas gdy w r. 1880 wywóz pszenicy wynosił 186 milionów buszli, w 1882/83 spadł do 147 mil. a w 1883/84 do 111 milionów zaledwie! Wyżéj ze stosunku pomiędzy wzrostem ludności, a produkcyą wypadło nam, że zdolność wywozu pszenicy amerykańskiéj zmniejszyła się o trzydzieści kilka milionów buszli, obecnie zaś widzimy, że wywów rzeczywisty w ciągu ostatnich czterech lat spadł daleko znaczniéj jeszcze: w r. 1882/3 o 40 milionów, w następnym—o 85 milionów buszli. Z porównania tych cyfr jasno wypływa wniosek, że nie osłabnięcie rozwoju produkcyi było przyczyną zmniejszenia się wywozu, lecz odwrotnie—zmniejszone zapotrzebowanie pszenicy na wywóz spowodowało ograniczenie produkcyi tego ziarna. I wreszcie, inaczéj być nie mogło. Wiemy wszakże dobrze o tém, że w Ameryce nie brak dzisiaj jeszcze, ani ziemi zdatnéj do uprawy, ani kapitałów, ani ludzi przedsiębiorczych. Gdyby tylko zaszła tego potrzeba, Stany Zjednoczone mogłyby w bardzo niedługim czasie produkcyą swoję tak znacznie rozszerzyć, żeby mieć do zbycia za granicę dwa razy większą ilość pszenicy, niż mają dzisiaj.

To gwałtowne zmniejszenie się zapotrzebowania zagranicznego na pszenicę amerykańską, o którém mówiliśmy wyżéj, uwidocznia się wybornie w rubryce cen tablicy ostatniéj. Ceny płacone producentom utrzymywały się ciągle, aż do roku 1881-go na dość wysokim poziomie i zachwiały się znaczniéj raz tylko jeden w r. 1878, gdy nadmiar produkcyi krajowéj po nad potrzebę miejscową wzrósł nagle przeszło $1\frac{1}{2}$ raza (z 92 mil. do 150 mil. buszli), a jednocześnie w Anglii zdarzył się wyjątkowo dobry urodzaj. Gdy jednakże skut-

kiem szczęśliwych pod innymi względami konjunktur na rynku międzynarodowym, cały ten przyrost przez zagranicę pochłonięty został, ośmieleni tém i zachęceni do ryzyka kupcy płacili wciąż przez następne 3 lata ceny dobre, pomimo że zyski ich ciągle się zmniejszały. Dopiero gdy w r. 1881 nieurodzaj w Ameryce podniósł znacznie ceny miejscowe, a przewidywania ich zwyżki na rynkach europejskich fatalnie zawiedzione zostały, zrażeni dotkliwemi stratami pośrednicy poczęli gwałtownie zniżać ceny kupna tak, że w r. 1884 zredukowali je do połowy téj wysokości (55 centów), jaką płacili dawniéj (w r. 1879 dol. 1,11, w 80-tym, 95, w 81-wszym 1,19). Naturalnie, że takie położenie rzeczy nie mogło zachęcać wytwórców do rozszerzania produkcyi, i widzieliśmy też, że rzeczywiście rozwój jéj po roku 1880-tym uderzająco osłabł, a nawet w stosunku do wzrostu konsumcyi miejscowéj przyrost zbiorów wykazał dość znaczny *minus*.

Ażeby dokładnie poznać ten wpływ potężny, jaki współzawodnictwo Stanów Zjednoczonych wywiera na targi europejskie, musimy teraz obeznać się bliżéj ze stosunkami handlu zbożowego za czas ostatnich lat kilkunastu na tych rynkach, na których wywóz amerykański znajduje główne ujście.

Jeżeli cały eksport wszelkiego zboża i mąki amerykańskiéj w roku 1877/8, 1878/9 i 1879/80, na podstawie panujących w tych latach cen, wyrazimy w dolarach, to otrzymamy następujący obraz jego podziału pomiędzy rozmaite kraje:

TABLICA VII. (*)

	1877/78	1878/79	1879/80
Wielka Brytania i Irlandya dolarów . .	125819463	107092081	154537944
Francya . . . . „ . .	7657563	48701907	60509589
Niemcy . . . . „ . .	1764517	2845123	5828824
Belgia i Holandya . . . „ . .	9362071	15692750	24364046
Inne kraje europejskie . „ . .	5671707	8596700	13225098
Posiadłości angielskie w Ameryce półn.	14675341	11176492	13158210
Meksyk, Ameryka środkowa i połudn.	7996210	7217984	7337616
Indye Zachodnie	6216317	6273253	6813970
Inne kraje	2648515	2794776	2194985
Ogółem .	181811704	210391066	287970282

Tablica powyższa przekonywa nas, że najważniejszym rynkiem zbytu dla zboża amerykańskiego jest—tak samo jak dla rosyjskie-

(*) Wzięta z „Uebersichten...“ Neumanna-Spallarta, rocznik za rok 1881/2.

go—Anglia. W roku 1877/78 pochłonęła ona 69% ogólnéj sumy wywozu ze Stanów Zjednoczonych, w r. 1878/9—51%, w następnym 54%. Jeżeli stosunek wzajemny cyfr absolutnych z r. 1877/8 i 1879/80 porównamy ze stosunkiem odpowiednich cyfr procentowych, musi nas uderzyć okolicznosć, że podczas gdy w ostatniem z dwu powyższych lat cyfra absolutna znacznie wzrosła,—procentowa pomimo to w większym jeszcze stosunku spadła. Przełożona z języka liczb na język praktyki życiowéj, okoliczność ta znaczy, że pomimo iż zapotrzebowanie Anglii na zboże amerykańskie w r. 1879/80 w stosunku do roku 1877/8 znacznie wzrosło, zaofiarowanie—daleko bardziéj je jeszcze przewyższyło. Zupełnie analogiczny fakt obserwowaliśmy w zeszłym lat dziesiątku i w samych Stanach Zjednoczonych. To nam też wyjaśnia gwałtowny spadek cen w latach ostatnich i osłabnięcie rozwoju produkcyi w Ameryce.

Przyjrzyjmy się teraz bliżéj stosunkowi sił głównych współzawodników na angielskim rynku zbożowym, oraz kolejnym zmianom, jakim ten stosunek podlegał w ciągu ostatniego 18-tolecia. Weźmiemy na uwagę pszenicę, ponieważ wywóz jéj ma największe znaczenie dla wszystkich prawie krajów rolniczych, a przytém znajduje ona największy i najlepszy odbyt w Anglii. Najważniejszymi jéj dostawcami są obecnie: Stany Zjednoczone, Rosya, Indye Wschodnie i Australia. Jako pośrednik pomiędzy Austro-Węgrami i Polską grają również jeszcze jednę ze znaczniejszych ról Niemcy, których własna produkcya wszakże nie wystarcza już dzisiaj nawet na pokrycie potrzeby miejscowéj. Obok cyfr wwozu, absolutnych i procentowych, z tych 5-ciu krajów podajemy jeszcze przeciętne ceny pszenicy dla każdego roku, licząc w tym razie rok nie kalendarzowy, lecz gospodarczy: od jednego żniwa do następnego.

(*Patrz tablicę VIII na stronnicy następnéj*).

W zestawionych powyżéj cyfrach uderza nas przedewszystkiém upadek dowozu pszenicy z Niemiec. Źródłem tego zjawiska jest w części ograniczenie produkcyi zboża w tym kraju na korzyść uprawy roślin przemysłowych, głównie buraków cukrowych i kartofli na potrzeby przemysłu gorzelnianego, w części zaś niemożność wytrzymania konkurencyi z współzawodnikami. Do roku 1869 Niemcy produkowały jeszcze ogólnie więcéj zboża, niż go same spotrzebowywały, dopiero od r. 1872 począł w nich stale import przeważać nad eksportem. Przeciętna wartość téj przewyżki pomiędzy r. 1872 a 1881 wynosiła rocznie 235 milionów marek (1), jakkolwiek jeszcze do r.

---

(1) Według Neumanna-Spallarta „Uebersichten d. W."

TABLICA VIII. (*)

Dowóz pszenicy do Anglii z najważniejszych źródeł.

	Cena quartera w szylingach i pensach	W liczbie ton (po 1016 kilogramów)					W procentach ogólnego wwozu				
		Ze Stanów Zjednoczonych	Z Rosyi	Z Niemiec	Z Indyj Wschodnich	Z Australii	Ze Stanów Zjednoczon.	Z Rosyi	Z Niemiec	Z Indyj Wschodnich	Z Australii
1866—1870 przeciętnie.	55.8	362850	524440	289050	5000	11730	22,8	33,0	18,2	0,0	0,7
1871—1875 przeciętnie.	53.3	885160	588360	177720	41500	46840	40,9	27,1	8,2	1,9	2,1
1876	1876/7 55.3	966150	438450	116200	164000	130300	43,5	19,7	5,2	7,4	6,0
1877	1877/8 53.10	1069300	541900	272800	305250	21300	39,3	20,0	10,7	11,3	0,8
1878	1878/9 41.7	1448200	451650	255900	90950	73000	58,2	18,1	10,3	3,6	2,9
1879	1879/80 46.1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
1880	44.4	1839940	146433	80400	164164	215885	65,5	5,2	2,9	5,8	7,6
1881	1/I. 43.4 1/VII 45.4	1834484	205731	68050	372739	150929	63,3	7,0	2,4	12,8	5,1
1882	1/I 44.3 1/VII 46.11	1782417	486588	—	430992	126165	54,8	14,9	—	13,1	3,8
1883	1/I 40.11	1325185	675827	—	571605	136841	40,5	20,7	—	17,6	4,3
1884	32 do 38	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—

1875 wywóz jednéj pszenicy przewyższał czasem nieznacznie jéj dowóz. Od r. 1878 położenie rolnictwa niemieckiego o tyle się jeszcze pogorszyło, że w zbiorach przejawił się uderzający ruch wsteczny. Podług danych urzędowych, przytoczonych przez Rudolfa Meyera (1), zebrano w Niemczech wszelkich gatunków zboża ogółem w roku 1878—17,5 milionów ton, w 1879—14,7 m. t., w 1880—14,3, a w 1881

(*) Dane téj tablicy do r. 1878 włącznie wzięte są z pracy d-ra Hermanna Paasche'go „*Ueber die wachsende Konkurrenz Nord-Amerikas für die Produkte der mitteleuropäischen Landwirthschaft*“ zamieszczonéj w *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik* Conrada (tom 33). Cyfry późniejsze dla Niemiec, pochodzą od Neumanna Spallarta („*Uebersichten...*“ z r. 1884), dla innych krajów—z *Zeitung des Vereins Deutscher Eisenbahn-Verwaltungen* (N. 19 z r. 1885). Rubrykę cen ułożyliśmy do roku 1877 włącznie z danych d-ra Paaschego, dla lat późniejszych z „*Uebersichten der Weltwirthschaft*“ za wyjątkiem roku 1880 i 1884, które zaczerpnęliśmy z broszury „*Ein Beitrag zur Beurtheilung der österr. Agrarfrage*“ von Alfred Skene jun. II vermehrte Auflage, Wien, 1885. (Dane za dwa pierwsze pięciolecia przedstawiają cyfry przeciętne, roczne).

(1) P. „Der Emancipationskampf des vierten Standes,“ tom I. str. 465, wyd. II.

już tylko 13,9 mil. ton. Upadek ten rolnictwa niemieckiego po r. 1878 przejawia się wyraźnie i na naszéj tablicy.

Dowóz pszenicy australskiéj do Anglii nie przedstawia się dotąd zbyt groźnie i ciągłym podlega wahaniom. Natomiast niesłychanie szybki i stały wzrost cyfr dowozu z Indyj Wschodnich musi już dziś budzić poważne obawy w krajach współzawodniczących z niemi. Podczas gdy jeszcze pomiędzy rokiem 1871 a 1875 import angielski pszenicy indyjskiéj wynosił zaledwie 1/14 część ilości dowiezionéj z Rosyi, a mniéj niż 1/20 wwozu ze Stanów Zjednoczonych, już w r. 1883, a więc w ciągu 8 lat zrównał się prawie z cyfrą pszenicy rosyjskiéj i dosięgnął blizko połowy ilości dowozu ziarna amerykańskiego. Najpotężniejszym jednak dotąd ze wszystkich współzawodników są jeszcze ciągle Stany Zjednoczone. One to głównie dyktują ceny na międzynarodowym rynku zbożowym. Nadmierny dowóz z tego kraju sprawił, iż cena pszenicy w Anglii z 55 szylingów za quarter w r. 1876 spadła do 32 sz. w końcu r. 1884 i dopiero znaczne ograniczenie importu amerykańskiego w ciągu ostatnich lat kilku zdołało cenę tę w roku zeszłym cokolwiek podnieść.

Francya do r. 1875 tylko w lata nieurodzajne importowała większe ilości zboża głównie z Rosyi, zazwyczaj zaś wywóz z niéj przewyższał mniéj więcéj wwóz, niekiedy nawet dość znacznie. Dopiero od r. 1876 i ten kraj stał się stale importującym, a Rosya na rynku jego widoczniéj jeszcze, niż na angielskim pobita została przez Stany Zjednoczone i Indye Wschodnie. Dowóz pszenicy do Francyi wynosił:

TABLICA IX (*)

	Z Rosyi	Ze Stanów Zjednoczonych	Z Indyj Wschodnich
w r. 1878 centn. metr. . . .	4789392	5735538	—
„ 1879 „ „ . . .	4900000	13205436	13000
„ 1880 „ „ . . .	3300000	12439501	359764
„ 1881 „ „ . . .	1800000	6330307	1400000
„ 1882 „ „ . . .	—	3359476	2269716
„ 1883 „ „ . . .	—	3627305	3567712

Wróćmy teraz znowu do Ameryki i rozejrzyjmy się, które to mianowicie stany produkują głównie pszenicę na wywóz:

(*) Tablicę tę zestawiłem z pojedynczych cyfr, znalezionych w pracach: D-ra H. Paasche. „*Ueber die wachsende Konkurrenz Nord-Amerikas für die Produkte der mitteleuropäischen Landwirthschaft*“ w „*Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik*“ Conrada 1879, tom 33; Maryusza Morand „*La crise agricole*“, Lyon, 1885; J. Paul Fabre. „*Les blés de l'Inde anglaise*“ w *Revue-Gazette maritime et commerciale* N. 8 z r. 1884, oraz „Uebersichten d. W“. Neumanna-Spallarta za r. 1881/2.

TABLICA X. (*)

STANY	Terytoryum w kilometr. kwadratow.	Ludność w roku 1880	Ilość głów na 10 kilometr. kwadratow.	Zbiór pszenicy w r. 1880	Zbiór pszenicy w r. 1884	Zatrzymano na potrzebę miejsc. w r. 1884	Przeznaczono na wywóz za granice stanu w roku 1884	
				w tysiącach buszli				w proc. zbioru
Nowa Anglia.								
Maine	85570	648936	76	383	629	629	—	—
New Hampshire . .	24099	346991	144	204	171	171	—	—
Vermont	24772	332286	134	520	364	364	—	—
Massachussets . .	21535	1783085	828	15	19	19	—	—
Rhode Island . . .	3237	276531	85	—	—	—	—	—
Connecticut . . .	12924	622700	482	43	36	36	—	—
Stany środkowe.								
New York	127345	5082871	399	12931	12720	7383	5346	42
New Jersey . . .	20240	1131116	559	2473	2022	1516	505	25
Pennsylwania . . .	117103	4282891	366	22299	20820	12284	8536	41
Delaware	5309	146608	276	1369	1007	403	604	60
Stany południowe.								
Maryland	31623	934943	296	7485	8260	2148	6112	74
Virginia.	109942	1512565	138	9322	7455	3131	4324	58
Carolina północna .	135322	1399750	103	3478	4650	3720	930	20
„ południowa	79173	995557	126	690	1410	1382	28	2
Georgia	154034	1542180	100	2582	3130	2916	219	7
Florida	151975	264493	17	—	—	—	—	—
Alabama	135322	1262505	94	946	1675	1591	84	5
Mississipi	121232	1131597	94	374	238	235	2	1
Louisiana	126180	939946	75	—	—	—	—	—
Texas	688343	1591749	23	3901	5561	4004	1557	28
Arkansas	139466	802525	58	1167	1885	1796	94	5
Tenessee	108905	1542359	142	9309	9320	4846	4474	48
Stany zachodnie.								
Virginia zachodnia .	64178	618457	97	4651	3318	2256	1062	32
Kentucky	104632	1648690	158	5347	13425	6310	7115	53
Ohio	106341	3198062	301	37792	41186	17760	23476	57
Michigan	152584	1636937	107	30705	29772	12802	16970	57
Indiana	941143	1978301	21	38341	33745	11816	21934	65
Illinois	146717	3077871	278	53767	32374	14892	17482	54
Wisconsin	145137	1315497	91	16464	20083	7632	12451	62
Minnesota	215907	780773	36	40752	41307	10740	30567	74
Jowa	145099	1624615	112	36098	31270	22514	8756	28
Missouri.	179778	2168380	121	30688	27500	11275	16225	59
Kansas	212578	996096	47	19850	34990	15046	19944	57
Nebraska	199046	452402	23	10208	28324	12463	15862	56
Stany Oceanu spok.								
California	410135	864694	21	} 36500	44320	8864	35456	80
Oregon	248707	174768	7		15462	4175	11287	73
Terytorya.								
Nevada	286701	62266	2 1/5	—	104	83	26	20
Colorado	269154	194327	7 1/5	—	2348	986	1362	58
Arizona	292709	40440	1 2/5	—	275	234	41	15
Dakota	386153	135177	3 1/2	2800	22330	4466	17864	80
Idaho	219623	32610	1 1/2	—	1120	728	392	35
Montana.	378331	39159	1	—	1372	823	549	40
New Mexico . . .	317469	119565	3 4/5	—	930	744	186	20
Utah	220063	143963	6 1/2	—	1675	988	687	41
Washington . . .	179169	75116	4 1/5	—	4118	1112	3066	73
Wyoming	253525	20789	2/5	—	34	21	13	38
Ogółem Stany Zjed.	7651710	50155783	66	498550	512763	—	—	—

(*) Pierwsze dwie rubryki tėj tablicy zaczerpnąłem z „Annuaire de l'écon. pol." Maurycego Blocka z r. 1884. i na ich podstawie obliczyłem gęstość zaludnienia stanów. Rubrykę zbioru w r. 1880 wziąłem z R. Meyera „Ursachen der Amer. Konkurrenz." Wreszcie 4 ostatnie rubryki z „Report on the distribution and consumption of Corn and Wheat...." March, 1885.

Już pobieżny rzut oka na tablicę powyższą wskazuje nam, że dominujące znaczenie tak w produkcyi, jak w wywozie pszenicy amerykańskiéj mają stany „zachodnie," bezpośrednio zaś po nich idą 2 stany oceanu Spokojnego, Kalifornia i Oregon, oraz terytoryum Dakota. Dla lepszego jeszcze uzmysłowienia przewagi tych stanów podajemy poniżéj produkcyą i wywóz pszenicy w r. 1884 według grup stanów:

TABLICA XI.

STANY	Wyprodukowały	Zatrzymały na potrzebę miejscową	Przeznaczyły na wywóz
	buszli	buszli	buszli
Nowéj Anglii	1220000	1220000	—
Środkowe	36578000	21586000	14992000
Południowe	43583000	25759000	17825000
Zachodnie	337295000	145450000	191845000
Oceanu Spokojnego	59782000	13039000	46743000
Terytorya.	34306000	10164000	24108000

Winniśmy dodać, że cyfry rubryki „zatrzymano na potrzebę miejscową" nie zawsze odpowiadają rzeczywistéj konsumcyi miejscowéj, a mianowicie dla stanów środkowych i południowych są za nizkie. Produkcya pszenicy w tych stanach, za wyjątkiem może jednéj Pensylwanii, nie czyni wcale zadość potrzebie miejscowéj. Tém nie mniéj jednak część swego wytworu wysełają one za granicę, a niedobór na potrzeby własnéj ludności sprowadzają z innych stanów. Tak samo postępują niektóre ze stanów „zachodnich," leżące bliżéj głównych dróg zbytu zagranicznego, jak np. Wisconsin i Illinois. Właściwie więc wytwarzają pszenicę w nadmiarze i tym sposobem stanowią o jéj cenach tylko stany „zachodnie" i oceanu Spokojnego. Do pierwszych doliczyć jeszcze należy terytoryum Dakota, które dziś już, jak to wnosić należy z nadzwyczajnego wzrostu jego produkcyi w ciągu ostatnich lat pięciu, dosięgło zapewne potrzebnéj liczby ludności, by zostało uznane za stan. Jak widzimy z tablicy X-téj stany „zachodnie" pod względem gęstości zaludnienia stoją niżéj od stanów środkowych i Nowéj Anglii, gdzie usadowił się głównie przemysł, lecz często przewyższają już obecnie znacznie starsze od nich stany południowe. Główną przyczyną tego jest zapewne ten fakt, iż, jak się o tém wkrótce przekonamy, przeważa w nich własność drobna, gdy tymczasem w stanach południowych dominuje dotąd wielka.

Kalifornia i Oregon zaludnione są dotąd bardzo słabo. Pierwsza też jest głównem siedliskiem wielkich ferm pszenicznych, owych

głośnych w Europie „Bonanza farms,“ które w stanach „zachodnich“ spotykają się stosunkowo rzadko, głównie w terytoryum Dakota w urodzajnéj dolinie rzeki Czerwonéj (*Red River of the North*).

TABLICA XII. (*)

	Przeciętna wielkość fermy	LICZBA FERM						
		wielkości do 10 akrów	od 10 do 20 akrów	od 20 do 50 akrów	od 50 do 100 akrów	od 100 do 500 akrów	od 500 do 1000 akrów	nad 1000 akrów
Virginia Zachodnia .	163	2861	3463	8488	14461	30301	2255	845
Kentucky	129	7000	13700	30600	40500	69400	3800	1100
Ohio.	99	11100	14100	49300	78200	92600	1300	200
Michigan	90	2805	4514	45029	55777	45391	408	84
Indiana	105	4800	8000	43400	64000	72100	1300	200
Illinois	124	4208	8299	46594	76080	116562	3249	649
Wisconsin	114	2614	3200	22718	44719	60296	666	109
Minnesota	145	640	952	8003	25530	56375	741	145
Jowa	134	2185	3343	23488	58519	95163	2298	364
Missouri	129	3582	8647	43736	58030	97359	3536	685
Kansas	155	1059	1658	9539	31078	93823	1169	235
Nebraska	157	460	708	3301	16652	41542	666	118
Kalifornia	462	1207	1430	3475	3969	20214	3108	2531
Oregon	—	185	207	679	1723	11791	1280	352

Podane powyższe cyfry ilości ferm rozmaitéj wielkości i przeciętnego ich obszaru w roku 1880 w stanach „zachodnich,“ oraz w Kalifornii i Oregonie uwidocznią nam najlepiéj różnicę, jaka panuje w podziale gruntów pomiędzy pierwszą z tych grup, a drugą. Kiedy przeciętna wielkość fermy w stanach „zachodnich“ wahała się pomiędzy 90 a 150 akrami, w Kalifornii wynosiła 462 akry. Kiedy liczba ferm wielkości od 50 do 100 i od 100 do 500 akrów, czyli liczba dostatnich posiadłości chłopskich jest w Kalifornii znacznie mniejsza, niż we wszystkich poszczególnych stanach „zachodnich,“ liczba ferm większych nad 1000 akrów w pierwszéj jeszcze znaczniéj przewyższa odpowiednie cyfry w ostatnich. Ostatecznie winniśmy tutaj skonstatować fakt ważny dla późniejszych naszych obliczeń, że w Kalifornii przeważają latifundia, w stanach „zachodnich“ zaś posiadłości chłopskie od 20 do 500 akrów, a głównie, jak to wskazują liczby przeciętne, od 100 do 150. Fermy téj wielkości w Ameryce odpowiadają europejskim posiadłościom chłopskim, gdyż właściciele ich uprawiają je sami, donajmując tylko w czasie siewu jednego robotni-

(*) Tablicę tę zestawiłem z cyfr rozrzuconych w rozmaitych miejscach w „Ursachen der Amer. Concurrenz“ R. Meyera. Dla stanów Kentucky, Ohio i Indiana znalazłem tylko cyfry dokładne do setek, dlatego na miejscu odrzuconych dziesiątek i jedności są w nich wszędzie zera.

ka na kilkanaście dni i w czasie żniwa kilkunastu robotników na 3 do 4 dni.

Wreszcie stany oceanu Spokojnego różnią się od „zachodnich“ nietylko pod względem podziału gruntów. Nie mniéj głębokie rożnice dzielą te dwa regiony tak pod względem kosztów produkcyi, jak kosztów transportu, ceny robocizny, dróg wywozu do Europy itp. W dalszych obliczeniach będziemy musieli ciągle rachować się z tą okolicznością.

Przystąpmy teraz do szczegółowego rozpatrzenia pojedynczych czynników, składających się na oznaczenie wysokości kosztów produkcyi pszenicy amerykańskiéj, a mianowicie: ceny ziemi, urodzajności gruntu, stopy procentowéj, opłacanéj przez rolników wierzycielom, ceny robocizny, kosztów kupna i naprawy maszyn itp.

Bardzo rozpowszechnione jest u nas mniemanie, jakoby cena ziemi w Ameryce była tak niska, że w porównaniu z cenami europejskiemi można jéj wcale nie brać w rachubę. Jest to gruby błąd, a źródło jego tkwi głównie w wiadomości o istnieniu w Stanach Zjednoczonych t. zw. prawa siedziby (*homestead act*), na zasadzie którego każdy bez wyjątku pełnoletni mieszkaniec kraju może objąć w prawne posiadane 160, lub — w pewnych warunkach — tylko 80 akrów ziemi rządowéj, t. j. przez żadną osobę prywatną nie zajętéj. W tym celu potrzebuje tylko zawiadomić o swojém życzeniu odpowiednią władzę i wnieść 18 dolarów wpisowego. Jeżeli zaś w przeciągu 6 miesięcy przestrzeń tę ogrodzi i pocznie ją uprawiać, to po pięciu latach pracy na niéj staje się jéj zupełnym właścicielem. Wobec takiéj łatwości nabywania gruntu zdawałoby się, że dopóki wszystka ziemia nie zostanie zajęta, cena jéj nie może pójść bardzo w górę, tymczasem faktem jest, że trzeba za nią w Ameryce płacić nieraz bardzo drogo. Skąd to pochodzi? Oto stąd, że nie wszystka ziemia w Stanach Zjednoczonych jest jednakowéj dobroci i niejednakowo łatwo daje się wziąć pod uprawę, *a wszystkie grunta, przedstawiające dogodniejsze warunki pod obydwoma temi względami, są już zajęte.* Wreszcie we wszystkich prawie stanach istnieje bardzo wiele ziemi zupełnie niezdatnéj pod pług, przedstawiającéj częścią niezmierzone bagna i trzęsawiska, częścią bezpłodny grunt kamienisty. Z pomiędzy rolniczych stanów „zachodnich“ jest np. w Michiganie takich bezpożytecznych gruntów 1,000,000 akrów, w Minnesocie 8 do 10 milionów, w Jowie 500,000, w terytoryum Washingtona 1,000,000 akrów itd.

Uczony krajoznawca amerykański, major Povel, dzieli cały obszar Stanów Zjednoczonych na dwie części: wilgotną i suchą, zaliczając do pierwszéj te ziemie, w których ilość spadających deszczów

wystarcza na potrzeby rolnictwa, do drugiéj zaś te, które dla uprawy rolnéj wymagają koniecznie sztucznego nawodnienia. Jeżeli przez środek stanów Texas i Kansas, oraz terytoryum Indyjskiego przeprowadzimy w myśli linią, to na wschód od niéj znajdzie się cała część wilgotna, na zachód—za wyjątkiem wąskiego pasa ziemi na brzegu oceanu Spokojnego—sucha. Otóż z téj ostatniéj, przy przyjętym dziś w Ameryce sposobie nawodniania, może, zdaniem majora Povela, zaledwie 3% jéj obszaru być wzięte pod uprawę rolną. Dotąd téż rozwija się tu głównie hodowla bydła na niezmierzonych pastwiskach.

Koszta pierwotnéj uprawy pustek są bardzo rozmaite, zależnie od rodzaju ziemi, jaki one przedstawiają. Wyborny znawca stosunków rolnych w Ameryce, Henryk Semler (1), który pracował sam przez lat kilkanaście w rozmaitych okolicach Stanów Zjednoczonych, już to jako rządca majątków, już jako samodzielny fermer, dzieli pustki na cztery rodzaje: las, zagajone polanki leśne, łąki i pustynie. Najdrożéj wypada, skutkiem trudności karczowania, doprowadzenie do stanu kultury gruntów pokrytych lasem, zwłaszcza iglastym, który właśnie panuje w stanach wziętych ostatniemi czasy pod uprawę, a mianowicie w Michiganie, Wisconsinie, Minnesocie, Kalifornii i Oregonie. Koszta te oblicza Semler na 60 dolarów za akr. Wydatki na oczyszczenie polanek leśnych wynoszą od 20 do 30 dolarów na akr. Uprawa „pustyń", przez które rozumie autor ziemie bezdrzewne, skąpo porosłe trawą, istniejące w Kalifornii południowéj, Utah etc., oraz łąk, zajmujących wielkie przestrzenie w Nebrasce, Dakocie, Kansas, Arkansas i Texas, wymaga sztucznego nawodnienia, a więc kopania kanałów, niwelacyi gruntów, wiercenia studni artezyjskich, budowy wiatraków do podnoszenia wody i t. p. Wszelkie budowle przytém i opał w czasie surowych zim kosztują tutaj bardzo drogo z powodu zupełnego braku drzewa, które często sprowadzać trzeba z odległości setek mil. Wymagane prawem w Stanach Zjednoczonych ogrodzenie fermy parkanem przyczynia w takich okolicach ogromnych wydatków. Koszt uzdatnienia pod uprawę akra „pustyni" podaje Semler średnio na 15 do 20 dolarów. Na akr łąki przypadają często jeszcze większe wydatki. Widzimy więc z tego, że opowiadania podróżników europejskich o niesłychanéj taniości ziemi i łatwości jéj uprawy w Ameryce są bardzo przesadzone i dowodzą zupełnéj nieznajomości rzeczy.

---

(1) „Die wahre Bedeutung und die wirklichen Ursachen der nord-amerikanischen Concurrenz in der landwirthschaftlichen Production." Wismar, 1881, str. 206 i następne.

A teraz postaramy się odpowiedzieć na pytanie, jaka jest rzeczywiście w Stanach Zjednoczonych przeciętna cena akra ziemi, zdatnéj pod uprawę pszenicy? Semler oznacza ją wraz z wartością budynków i inwentarza na 50 dolarów, czyli na 138 rs. za 1 morg polski (1). Cyfra ta jednakże, wobec podanych powyżéj kosztów uprawy pustek, oraz téj okoliczności, że tak mieszkalne, jak gospodarcze budowle na fermach amerykańskich są zazwyczaj bardzo skromne, wydaje mi się cokolwiek zbyt wysoką dla całego kraju. Jest ona jednak bezwątpienia odpowiednią, jeżeli nie za niską, dla Kalifornii, oraz tych starszych stanów „zachodnich," w których już wszystka ziemia zdatna do uprawy przeszła na własność prywatną. W Kalifornii skutkiem takiego właśnie stanu rzeczy akr ziemi zupełnie jeszcze nieuprawnéj sprzedaje się, według świadectwa Rudolfa Meyera, po 15 do 50, średnio po 35 dolarów, lecz w bliskości dróg żelaznych trzeba płacić po 40 do 50 dolarów, a za grunta najlepsze, zdatne do uprawy wina, nawet po 100 do 150 dolarów! Gdy więc do tych cyfr dodamy koszta pierwotnéj uprawy i postawienia jakich takich budynków, cyfra średnia 50 dolarów za akr okaże się raczéj za niską, niż za wysoką, ale należy dodać, że wysoką tę cenę gruntów kalifornijskich hojnie wynagradzają za to przymioty gleby i klimatu, pozwalające produkować taniéj.

Co do stanów „zachodnich" podaje Meyer, że w r 1880 oceniano przeciętną wartość akra ziemi uprawnéj (*geklärten Bodens*): w Nebrasce na 8,93 dol., w Kansas na 11,82 dol., w Minnesocie na 14,45 dol., w Jowie na 27,36 dol., w Illinois na 33,03 dol., w Indianie na 30,46 dol., w Ohio na 47,53 dol. Widzimy z tego, że w miarę posuwania się ku zachodowi, gdzie już ziemi wolnéj pozostało nie wiele, lub wcale jéj niema, ceny wzrastają nadzwyczaj gwałtownie. Meyer nie wymienia źródła, z jakiego te cyfry pochodzą. Sądząc jednak z ich dokładności, należy przypuszczać, że wzięte są zapewne z szacunku urzędowego do podatków, a więc muszą być znacznie niższe, od rzeczywistych, gdyż sam Meyer mówiąc o wysokości podatków rolnych, zwraca na to uwagę, że przy ocenianiu wartości ferm ku temu celowi przyjmują się cyfry nadzwyczaj nizkie. Wreszcie, że przytoczone powyżéj ceny muszą być skromniejsze od rzeczywistych, dowodzą również faktyczne dane zaczerpnięte przez autora bezpośrednio z życia. Ilekolwiek razy zapytywał się on fermerów, po czemu by żądali za swą ziemię, gdyby im wypadło ją sprzedać, zawsze otrzymywał w odpowiedzi cyfry *znacznie* wyższe od podawanych przez niego przeciętnych. Tak np. z podróży swojéj po Kan-

---

(1) 1 akr = 0,724 morga polskiego, czyli 1 morg polski = 1,382 akra.

sas opowiada on, że pewien anglik, nazwiskiem Harrison, kupił od towarzystwa drogi żelaznéj 7000 akrów stepu (preryi) po 4,44 dolary i urządził na niéj kilkadziesiąt ferm po 160 akrów każda, które puszcza w dzierżawę połownikom, pobierając od nich trzecią część całego zbioru zboża. Zbudowanie domu i stajni, oraz wykopanie studni na każdéj fermie miało go kosztować przeciętnie tylko 420 dolarów; pierwsza orka 2 dolary, tak, że razem koszt kupna gruntu i urządzenia fermy ze 120 akrami ziemi uprawnéj miał wynosić 1340 dolarów, czyli po 8,38 dol. za akr. Pan Harrison odzywał się, że po 5 lub 10 latach dzierżawy chętnieby się zgodził odprzedać fermy swym dzierżawcom, lecz, jak mówi Meyer, „żądałby *naturalnie* po 25, *lub więcéj* dolarów za akr.“ Tymczasem autor za przeciętną cenę akra ziemi uprawnéj w Kansas podał tylko 11,82 dol, a w innéin miejscu (przy porównaniu z cenami kalifornijskiemi) obniża ją nawet do 7 dolarów, dodać zaś wypada, że fermy p. Harrisona wyróżniać się mają tylko lepszemi od zwykłych w Ameryce budynkami. „Lepszość“ ta jednak wydaje mi się bardzo podejrzaną wobec nadzwyczaj niskich kosztów budowy: 420 dol. za dom, stajnię i studnię, kiedy Semler zapewnia, że drzewo w Kansas jest bardzo drogie i że samo wykopanie studni na preryach wynosi średnio około 400 dolarów.

W urodzajnéj dolinie rzeki Czerwonéj, obejmującéj część Dakoty i Minnesoty, wszystka ziemia jest już rozkupiona przez spekulantów i nieuprawna kosztowała w r. 1881, według Meyera, po 10 do 15 dol. akr, uprawna zaś z lichemi budowlami po 40 do 50 dol. I ta cyfra jednak okazuje się znowu znacznie niższą od przytoczonéj ze stosunków faktycznych. Z okolicy téj opisuje autor gospodarstwo pewnego mennonity, który nabył w r. 1875-tym 385 akrów ziemi za 5000 dolarów, czyli po 13 dol. akr. Z obszaru tego tylko 46 akrów było uprawnych i budowle zupełnie nie do użycia. W r. 1881 proponowano właścicielowi, żeby odstąpił całą swą posiadłość i ofiarowano mu po 40 dolarów za akr, czyli 15400 dol. za całość, chociaż dopiero 182 akry były pod pługiem. Jeżeli więc od ofiarowanéj ogółem sumy odtrącimy za nieuprawne jeszcze 203 akry już nawet nie po 15, ale choćby po 20 dol. za akr, to i tak na cenę akra uprawnego wypadnie nam (15400—4060): 182 = 11340 : 182 = 62 dolary z górą, a ziemia ta nie należała widocznie do najurodzajniejszych w dolinie rzeki Czerwonéj, kiedy przy starannéj uprawie i zupełnéj swéj świeżości przynosiła plon zaledwie po 18 do 20 buszli pszenicy z akra. Dodajmy jeszcze, że podczas gdy Meyer za cenę przeciętną akra *ziemi uprawnéj* w Minnesocie w r. 1880 podał dol. 14,45, p. Bruwaert, konsul francuski w Chicago, pisze na początku roku 1884-go (w *Bulletin du Ministère de l'agriculture* N. 1 z tegoż roku), że w da-

léj na zachód leżącéj Dakocie płacono już w owym czasie po 16 do do 23 dol. za akr *ziemi surowéj* (1).

Sądzę, że na podstawie wszystkich powyższych danych za przeciętną cenę akra ziemi uprawnéj w stanach „zachodnich“ nie można obecnie wziąć cyfry niższéj nad jakieś 30 do 40—średnio: *35 dolarów* (96 rs. za 1 morg polski). Tę téż cyfrę przyjmę w obliczeniu kosztów produkcyi pszenicy.

Trudniéj jeszcze, niż cenę ziemi, jest obliczyć wysokość kapitału obrotowego ferm amerykańskich. Semler przyjmuje ją na 2 dolary na akr, lecz nie rozbiera jéj wcale bliżéj i sam robi uwagę, że jest ona o wiele za niską. Trzeba się na to koniecznie zgodzić już wobec tego tylko, że cena ziarna używanego na zasiew prawie że dorównywa téj sumie. Chociażbyśmy nawet przypuścili, że przyjęta przez nas cena ziemi zawiera już w sobie wartość większych i trwalszych maszyn rolniczych i inwentarza żywego, to jeszcze w każdym razie do kapitału obrotowego wypadnie nam wliczyć koszt prędzéj zużywających się narzędzi, utrzymania inwentarza żywego, naprawy maszyn i budowli, płace robotników, wartość ziarna na zasiew i t. p. Ażeby nie wpaść w przesadę, ani w jednym, ani w drugim kierunku, przypuśćmy, że wszystkie te wydatki odpowiadają tylko *5 dolarom* (13,80 rs. na 1 morg polski), uwięzionym w produkcyi całorocznie.

Stopa procentu płaconego przez rolników amerykańskich jest wogóle dość wysoka i tém wyższa, im daléj na zachód się posuwamy. Podług Semlera, wynosi ona we wschodniéj części Stanów Zjedn. zazwyczaj 7%, w dolinie Mississipi 8 do 10%, w stanach oceanu Spokojnego 10 do 12½, lecz w miejscowościach bardziéj odległych od większych miast bywa znacznie wyższa. Meyer podaje tę samę wysokość. Ponieważ jednak w miarę wzrostu zaludnienia i napływu kapitałów wysokość pobieranego procentu zmniejsza się, przeto za średnią stopę odsetek od kapitału zakładowego i obrotowego przy obliczaniu kosztów produkcyi przyjmiemy, zgodnie z Semlerem, tylko 8%.

Pod względem urodzajności ziemi panuje w Stanach Zjednoczonych taka sama rozmaitość, jak i w Europie. Cała różnica polega na tém, że rozmaite te grunta daleko większe, niż w naszéj części świata, zajmują obszary. Dzięki temu na jednéj i téj saméj fermie ma się ziemię mniéj więcéj jednostajną, co znacznie ułatwia gospodarkę, pozwala przy robotach zastosować maszyny na wielką skalę i dopuszcza wiele innych uproszczeń i ułatwień, zmniejszających znacznie koszta produkcyi? W pierwszym rzędzie pomiędzy temi uproszczeniami należy postawić możność obsiewania jednem ziar-

---

(1) Cytowane w *La crise agricole* par Marius Morand. Lyon. 1885.

nem wielkich przestrzeni, nierzadko obejmujących po kilka, a nawet kilkanaście tysięcy akrów. To téż po większéj części fermerowie amerykańscy zajmują się uprawą jednego wyłącznie produktu, wytwarzając innych zazwyczaj tylko tyle, ile potrzebują na własną konsumcyą, a często nawet nie robią i tego, uważając za korzystniejsze zaspakajanie domowych potrzeb przy pomocy zakupu u wytwórców specyalnych, tak, że naprzykład fermer, produkujący pszenicę, nie uprawia ani jednego zagona kartofli, żyta, kukurydzy i t. p., zakupując te produkty od innych, którzy znów oddają się jedynie wytwarzaniu np. kartofli, lub kukurydzy, nie produkując wcale, albo bardzo mało pszenicy, żyta etc. Naturalnie, że tak daleko doprowadzony podział pracy w rolnictwie jest możliwy tylko przy gospodarce czysto drapieżnéj, która wiecznie trwać nie może, bo wyniszczona ziemia upomni się w końcu o swoje prawa. Jak dotąd jednak taki system produkcyi okazywał się w Ameryce najkorzystniejszym, gdyż drożyzna i brak robotnika nie pozwalały na prowadzenie gospodarstwa racyonalnego. Gdy grunt zaczyna się wyczerpywać i plon zmniejszać widocznie, radzą sobie początkowo Amerykanie głębszą orką. Tak np. kiedy w Kalifornii jeszcze w końcu siódmego lat dziesiątka orano ogólnie zaledwie na trzy cale głęboko, już około r. 1880 musiano, według Semlera, w większości wypadków zapuszczać pług na 10 cali w ziemię. Z czasem, gdy już i ten środek nie przynosi skutku, uciekają się fermerowie do ugorowania i płodozmianu, co już znacznie powiększa koszta produkcyi.

Najurodzajniejsze ziemie w Stanach Zjednoczonych leżą na błotnistych brzegach rzek Sacramento i Ś-go Joachima w Kalifornii, oraz w dolnéj części biegu Mississipi. Przy pomyślnych okolicznościach wydawały one w pierwszych latach uprawy po 60 do 80 buszli pszenicy z akra, przeciętny zaś plon z nich w ciągu pierwszych lat 10-ciu podaje Semler na 40 buszli z akra (15,2 korcy z morga pol.). Przy nadzwyczaj niedbałéj uprawie, jaka się na tych ziemiach prowadzi, jest to plon bajecznie bogaty, lecz przestrzeń tych wyjątkowo urodzajnych gruntów, wzięta ogółem, jest w stosunku do całego obszaru ziemi uprawnéj w Stanach Zjednoczonych tak drobna, że na układanie się cen zboża amerykańskiego nie mogą one wywierać znacznego wpływu. Należy przytém jeszcze dodać, że ziemie te mogły zostać wzięte pod uprawę jedynie przy pomocy pobudowania kosztownych grobli, oraz że pomimo to dość często podlegają one powodziom, które nietylko niszczą plon, lecz uszkadzają zarazem tamy. Ponieważ zaś tak budowa, jak i reparacye grobli dokonywane są nie kosztem publicznym, lecz prywatnemi środkami właścicieli gruntów nadbrzeżnych, przeto znaczne i częste te wydatki zmniej-

szają bardzo dotkliwie osiągane z bogatego plonu dochody, czyli podnoszą koszta produkcyi.

Drugie miejsce pod względem urodzajności zajmują czarnoziemne brzegi innych rzek, po za wymienionemi wyżéj, oraz prerye; nadewszystko zaś dolina rzeki Czerwonéj. Ziemie te jednak dają już plon znacznie niższy, gdyż przeciętny zbiór 20 buszli z akra (7½ korcy z morga) w ciągu pierwszych 10-ciu lat uprawy, przy gospodarce drapieżnéj nosi na nich nazwę *dobrego*. Doświadczenie wykazało, że na wszystkich tych dziewiczych gruntach można przez 25 lat bez przerwy uprawiać pszenicę bez nawożenia pola, lecz że już po 10-ciu latach ilość, a więcéj jeszcze jakość plonu coraz niżéj spada—tak, że w ostatnich pięciu latach tylko przy szczególnie pomyślnych okolicznościach opłaca się zwieść zboże do stodoły.

O jednostajnych urodzajach na tak wielkim obszarze ziemi, jaki zajmują Stany Zjednoczone, nie może naturalnie być mowy. Gdy w jednych okolicach cieszą się zbiorem znacznie wyższym nad przeciętny, w innych często trafia się po prostu *głód*. Tak np. zdarzyło się w r. 1880 ogólnie bardzo urodzajnym, w Kansas, gdzie w roku tym żniwo tak zawiodło, że 20000 ludzi musiało się uciec do pomocy państwa, by uniknąć śmierci głodowéj. Takie wypadki jednakże, jak twierdzi Semler, starają w Ameryce wszelkiemi sposobami zachowywać w tajemnicy, ażeby nie zrażać immigrantów.

Jakkolwiek na starszych fermach, za wyłączeniem tych stosunkowo nielicznych, gdzie właściciele przeszli do racyonalnego gospodarstwa, plon się zmniejsza, to jednakże dzięki wzięciu pod uprawę nowych ziem w ciągu ostatnich lat piętnastu, za wyjątkiem paru nieurodzajnych, przeciętny zbiór pszenicy z akra w całych Stanach Zjednoczonych ogółem prawie stale się podnosił. Od roku 1871 do 1880 wynosił on kolejno buszli: 11,5—11,9—12,7—12,3—11—10,4—13,9—13,1—13,7—13,1. W roku 1881 spadł skutkiem nieurodzaju do 10,2 buszli z akra, lecz w 1883 podniósł się znowu do 13, a w 1884 według Maryusza Morand dosięgnąć miał nawet niebywałéj dotąd cyfry 15 buszli z akra. Licząc się z tym wzrostem, jakotéż ze względu na to, że na obniżenie ogólnéj przeciętnéj cyfry wpływają głównie uprawiający ziemię najniedbaléj skutkiem braku kapitału fermerowie najubożsi, zmuszeni bądź-co-bądź godzić się z cenami, ustanowionemi przez zamożniejszych, za średnią cyfrę zbioru pszenicy *z akra* przyjmiemy *16 buszli* (6 korcy z morga).

O wysokości podatków, płaconych przez fermerów amerykańskich, krążą nietylko w Europie, lecz nawet w saméj Ameryce najrozmaitsze mniemania. Kiedy jedni, jak np. znakomity teoretyk ekonomista, Lorenz von Stein, traktujący jednak sprawę kosztów pro-

dukcyi zboża amerykańskiego bardzo powierzchownie, twierdzą, iż podatki rolne w Stanach Zjednoczonych są niknąco małe (1) i nie biorą ich wcale w rachubę, inni, jak Semler, utrzymują, iż są one wyższe nawet, niż w wielu państwach Europy, a mianowicie między innemi w wysoko opodatkowanéj Saksonii. Błąd pierwszych pochodzi stąd, że biorą oni pod uwagę jedynie te podatki bezpośrednie, które pobiera centralny rząd państwowy, a są one rzeczywiście stosunkowo niskie, dzięki temu, że główne źródło dochodu kasy Związku stanowią właśnie podatki pośrednie — cło i akcyza. Główny jednak ciężar dla właścicieli rolnych w Stanach Zjednoczonych przedstawiają podatki, płacone na korzyść własnego stanu, okręgu (*county*), gminy miejskiéj (*Township*), oraz drogowe i szkolne. Wysokość wszystkich tych opłat i składek, razem wziętych, przenosi kilkakrotnie normę podatków ogólno-państwowych.

Błąd Semlera i innych pesymistów w tym względzie tkwi, zdaje się w tém, iż obliczywszy procentowo średnią wysokość wszystkich ciężarów, opłacanych bezpośrednio od *wartości szacunkowéj* ferm, stosują następnie znalezioną w ten sposób stopę do *wartości rzeczywistéj* ziemi, gdy tymczasem pierwsza, jak już wzmiankowaliśmy wyżéj, bywa zazwyczaj znacznie niższa od drugiéj.

Semler oznaczył przeciętną wysokość podatków, opłacanych ogółem z akra ziemi, na 1 dolar, czyli na 2% od przyjętéj przez siebie wartości gruntu. Podług danych przytoczonych przez Meyera, wynosiła w r. 1880 cała wartość szacunkowa majątku Stanów Zjednoczonych 16,902,993,000 dolarów, wartość zaś rzeczywista oceniana była na 42 miliardy dolarów. Wszelkie podatki razem wzięte w całém państwie czyniły 673,450,000 dol., czyli 4% od wartości szacunkowéj, a 1,6% od rzeczywistéj. Same podatki miejscowe, pobierane na korzyść stanu, okręgu, gminy, szkoły i drogowe dosięgły w całém państwie ogółem sumy 312,750,000 dol., czyli 1,85% od wartości szacunkowéj i 0,74% od rzeczywistéj. Z uwagi, że podatki ogólno-państwowe, jak to powiedzieliśmy wyżéj, w części tylko pobierane są bezpośrednio z własności nieruchoméj, na podstawie cyfr powyższych za średnią normę opodatkowania nieruchomości wogóle moglibyśmy przyjąć 1% od wartości rzeczywistéj. Ponieważ jednakże własność miejska w Stanach Zjednoczonych opodatkowana jest daleko ciężéj aniżeli wiejska, przeto normę tę dla roli należy jeszcze obniżyć. Ze szczegółowych danych, przytoczonych przez Meyera z kilku zwiedzanych przez niego ferm w stanie Michigan i w dolinie rzeki Czer-

---

(1) Lorenz von Stein. *Die drei Fragen des Grundbesitzes und seiner Zukunft.* Stuttgart, 1881.

wonéj, wypada mu procent opodatkowania na 0,35% do 0,4%. Autor ten jednak patrzy na wszystko w Ameryce bardzo optymistycznie i przy obrachowywaniu powyższéj normy szacuje ziemię bardzo wysoko, gdy tymczasem przy obliczaniu kosztów produkcyi ziarna postępuje wprost przeciwnie. Przytém we wszystkich tych kilku gospodarstwach, które posłużyły mu za podstawę do obrachunku, tylko część ziemi była uprawna, a na nią wszakże spada podatek w całości, bo ona tylko przynosi dochód, a więc ona musi pokryć wszelkie wydatki. Uwzględniwszy wszystkie powyższe okoliczności, sądzę, że za średnią normę opodatkowania ziemi musimy przyjąć przynajmniéj 0,6%, co od przeciętnéj wartości akra 35 dolarów da *21 centów.*

(*d. n.*) *Władysław Wścieklica.*





KSIĄDZ MAREK,

CUDOTWÓRCA I PROROK KONFEDERACYI BARSKIÉJ.

SZKIC HISTORYCZNY.

> Gdybym dziś go widział, szanowałbym go jako dobrego Polaka i gorliwego obywatela; jeżeli wówczas równie z drugimi czciłem w nim kandydata do kanonizacyi,—było winą czasów.
>
> *Wybicki.*

Legendowa w epizodach szczególnych konfederacya barska wydała bohatera, który w postaci swojéj ogniskuje treść pamiętnych szlachty polskiéj porywów i dokładny ówczesnych jéj usposobień stanowi wyraz. Przejęty aspiracyami działaczów z r. 1768 i czynny w ich pracy biorący udział, był ów bohater osobistością konkretną; tyle jednak fantazya i uczucia narodu narzuciły na niego tajemniczych osłon i barw cudownych, że już w oczach współczesnych stał się niemal legendą. Idealizowanie osobistości konkretnych lub nawet stwarzanie reprezentujących panujący kierunek mytów podczas uniesień gorętszych stanowi fakt zwykły; nie innego też procesu psychicznego szlachty polskiéj wytworem jest cudotwórca ksiądz Marek, jak greccy i rzymscy heroje, jak z doby nowszéj Arnold Winkelried, Joanna d'Arc itp. Postaci takie są krystalizacyą panujących w danéj chwili kierunków moralnych i rzetelny ducha czasu stanowią pomnik; wyczynienie zaś z fantastycznych akcesoryi konkretu i wyjaśnienie genezy bohatera do oświetlenia wieku, twórczości i charakteru narodu pożytecznym być powinno przyczynkiem.

Fundament legendy o księdzu Marku stanowi wyrażone w przytoczonych obficie faktach przeświadczenie narodu, że był cudotwórcą-prorokiem. Nie zdobyła się fantazya ojców z ośmnastego wieku na skończoną, kwiatami cudowności wonną o bohaterze opowieść;

nie wysilała się nad wcieleniem panujących wyobrażeń w organicznie stworzony pomysł poetyczny, lecz poprzestała na samém podaniu pozbawionych twórczéj kompozycyi, uszczkniętych z wiary w cudotwórstwo wydarzeń. Cykl ich otwiera przypisywana księdzu Markowi przepowiednia koliszczyzny i oblężenia Częstochowy za konfederacyi barskiéj; za przepowiednią zaś ową snuje się szereg cudów i proroctw.

Profecie pobożnego Marka karmelity, które *spiritu divino* zamiast kazania napisał, a potym za radą starszych, zaprzysiągłszy, *in publicum* wydał *tenoris sequentis.*

Dotąd jest berło polskie niekwitnące,
Dotąd nie będzie wstępne, władające;
Ale jak tylko na wstępnym zostanie,
Drgną strachem syzma, lutry i poganie.
Pierwsi dwaj swojéj krnąbrności przypłacą,
A drudzy prawo wraz z państwem utracą;
Kościół na skale stanie się wspaniały,
Dwój głowny kolos zamieni się w biały,
Natenczas, pielgrzym, wielkie swoje śluby
Złożę przy grobie, trybut sobie luby,
Niewolnik wolny ujdzie bez okupu,
Strzelec pozbędzie łakomego łupu,
Rosa naturę chłód w ciepło zamieni,
Kogut z chytrości jak wąż się wyleni,
Tak nasze runą znowu swoje wieki (?)
Wieść opowiada czas już niedaleki,
Ale ty Polska po czasu niewiele
Miecz krwie niewinnéj obficie wyleje;
Wiele niewinnych marnie zginie braci,
Wstyd poświęcony Bogu panna straci,
Kapłan z ofiarą przy ołtarzu lęże,
W toż licho mnicha z zakonnikiem sprzęże,
Cna góra, złotym otoczona kołem,
Niech ufa w Bogu, nisko bije czołem,
Bo, wiem, najbliższą będzie strasznéj burzy,
Dym ją zarównie z innemi okurzy.
Kościoły z ozdób swych zdarte zostaną.
Dni zgoła wszystkie płaczliwością staną;
Lecz się Najwyższy swéj krzywdy użali,
Na nich się samych to nieszczęście zwali.
Lecz czyń twojemu wczesne dzięki Bogu,
Bo on im przytrze wyniosłego rogu;
A ty jak Phoenix z popiołu powstaniesz
I cnéj Europy ozdobą się staniesz (1).

---

(1) Z księgi rękopiśmiennéj w posiadaniu adwokata L. Mèyeta. Treść *Wieszczby*, pochodzącéj według jednych rękopisów z r. 1763, według innych z r. 1765, a przypominającéj *Profecie*, podaje Wojcicki (*Cmentarz powązkowski.* III, dodatków str. IV).

Obiecywał ksiądz Marek konfederacyi—powiada Kitowicz (1), pomyślny skutek i rzetelność przepowiedni swoich stwierdzał cudami; „na dowód... pioruny i grzmoty, jako niegdyś Samuel prorok, z nieba sprowadzał.“ Podczas oblężenia Baru, gdy puszkarz pierwszéj bateryi rosyjskiéj lont do zapału przyłożył, patrzący na to z wału ksiądz Marek krzyż zrobił w powietrzu i armata rozerwaną została od wystrzału na sztuki (2). Cudotwórstwo księdza i w Rosyanach budziło wrażenie. Gdy wziętego do niewoli kazali jenerałowie rosyjscy zabić,—uderzeni świętobliwością postawy karmelity żołnierze nie posłuchali rozkazów, lecz, do nóg mu padłszy, o błogosławieństwo prosili i proroctw słuchali (3). Działał cuda ksiądz Marek nietylko śród zdarzeń natury publicznéj, lecz i w życiu potoczném. Odgaduje treść rozmowy grzesznéj, prowadzonéj przez panienki na odległéj przechadzce; niemocą rąk dotyka mężczyzn, którzy powątpiewali o świątobliwości jego i wziąć go chcieli za przedmiot żartu; śród uczty wywołuje pioruny i grzmoty (4). Poczytywano też karmelitę za świętego i nie wierzono w jego śmiertelność. Gdy panna Agata Ciecka oznajmiła ojcu o skonie księdza,—stary szlachcic, przeświadczony o nieśmiertelności cudotwórcy, w uniesieniu córkę strofował: „Bredzisz waść, moje dziecię, święci nie umierają,—ksiądz Marek nie mógł umrzéć“ (5).

Czas zacierał pamięć o szczegółach życia i rodowém nazwisku zakonnika, lecz do legendy coraz więcéj dorzucał kwiatów. Wzięła w opiekę księdza Marka poezya i wątek opowieści cudownéj dosnuła do końca.



Do literatury wprowadził cudotwórcę autor ogłoszonych w roku 1838 *Pamiątek JMPana Seweryna Soplicy* w dwóch krótkich opowiadaniach: „Ksiądz Marek“ i „Kazanie konfederackie“ przedstawił bohatera w świetle żywéj jeszcze tradycyi. „Co natrą (Kozacy pod Rzeszowem) na księdza, by go na spisy porwać, to spisy powietrze kolą mimo habitu, a ksiądz się tylko uśmiecha... Widząc, że lubo bezbronny, ani żelazo, ani ołów jemu nie szkodzi... dawaj probować rękoma go porwać... Ale co który się przybliży, to jak go swoim krzyżem przeżegna, kozak na ziemię bęc, jak długi, a koń jego

---

(1) Pamiętniki do pan. Augusta III i pierwszych lat St. Aug. Poznań, 1840. II, str. 9 i 10.

(2) Rulhière. Histoire de l'anarchie de Pologne. Paris, 1807. III, 90.

(3) Rulhière *l. c.* III. 91. — (4) Wójcicki *l. c.* str. V. — (5) Przegląd poznański z r. 1856, t. XXII, str. 526.

w czwał, nie nazad, ale do naszych,—i tak kilkunastu położył, że każdy, lubo bez szwanku został, ale utracił konia.“ Mając po stoczonéj bitwie objawienie, że pułkownik w wojsku rosyjskiem, katolik, ranny śmiertelnie pragnie spowiedzi,—udaje się do obozu nieprzyjacielskiego i, po oddaniu choremu posługi, dostaje się, poznany, w ręce żołnierzy. W towarzystwie dwóch najdoświadczeńszych setników, pod eskortą 50 kozaków odesłany do Lwowa,—wjechał z całą tą strażą do obozu polskiego.

Ksiądz Marek Rzewuskiego nie ma w sobie potęgi cudotwórczéj, ani namaszczenia i surowéj powagi proroka. Cuda jego nie przerażają i nie wstrząsają nadzwyczajnością i siłą, lecz robią wrażenie niewinnego żartu lub zręcznie wykonanéj sztuki kuglarskiéj; nie mają właściwego celu, skoro po za odpowiednim nastrojem chwili i po za potrzebą dokonywane są jedynie w zamiarze wywołania podziwu. Ni stąd ni zowąd zaprasza siedzących przy obiedzie na ganek; wychyliwszy kielich, żegna nim chmurę i wywołuje błyskawice, grzmoty i siedm piorunów. „Aż wszyscy zaczęli tulić się do księdza, prosząc go, aby dał pokój, a wyznając, iż się mocno przelękli. Ksiądz Marek na to: „Nie bójcie się, moje dzieci, Pan Bóg błogosławi zabawy nasze i, przeżegnawszy chmurę drewnianym krzyżem, co go z paciorkami nosił u boku wedle karmelitańskiego obyczaju, ona wnet się rozeszła i najpiękniejsza wróciła pogoda.“

Metodą działania cudów robi wrażenie kuglarza, w przemówieniach zaś zdradza facecyonistę i rubasznego gadułę. Zgromiwszy szorstkimi wyrazami obecnych panów, schodzi z ambony, nuci pieśni i znowu na kazalnicę powraca, by napominać i zapalać do miłości ojczyzny. Chociaż ksiądz Marek nie natchnionym Skargą, lecz dość nieokrzesanym był mnichem, pomimo tego „najdumniejszych panów i najburzliwszą szlachtę tak radą swoją shołdował, taką ufność ku sobie zyskał, że chyba gdzie go nie było, tam się jedność przerywała, a co dziwniejsza, że wszystkich w wytrwałości utrzymywał, bynajmniéj płonnych nadziei nie robiąc.“ Dowodem wpływu zniewolenie do spowiedzi wychowanego na wzorach francuskich deisty i budzenie szacunku w gromionych magnatach, którzy w pokorze całowali go w rękę. Dobrego mniemania o sobie nie taił: „Pożegnam was—mówił w kazaniu,—powrócę do klasztoru... a tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą: tak! za sobą; bo samo patrzanie na wasze grzechy zmazało duszę moją... A więcéj nie powiem wam, bo nareszcie i duch boży znużył się w piersiach moich.“

Nasłuchał się Rzewuski o cudotwórcy-proroku podczas pobytu swego w konwikcie karmelitów berdyczowskich i przedstawił go zgodnie z tradycyą; Słowacki znowu w ogłoszonym w r. 1841 *Be-*

niowskim mniéj ku charakterystyce księdza Marka pierwiastku podaniowego, więcéj użył fantazyi. W kreacyi Słowackiego przeważa rycerz, z obojętnością pewną patrzący na śmierć przeciwników, z pobłażaniem na ekscesa konfederatów. Gdy umierał z ran jeden z najbardziéj zaciętych wrogów konfederacyi,—

Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył;
Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami
A potém ręką odepchnął i zbroczył...
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palce i karty przewracał z pokorą
Wiedząc, że duszę tę—już diabli biorą.

Nie myśli nawoływać do zgody rąbiących się w sprawie błahéj: Sawy z Beniowskim

. . . . . . Nie pójdę godzić:
Niechajże sobie trochę krwi utoczą;
To może nadto gorących ochłodzić,
Potém z rozwagą większą w ogień skoczą...

Konfederatów bez ogródki gromi, takimi ich zarzucając listami:

Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z nami. W nawiasie: Niech was powystrzela
. . . . . . i diabeł, że się tak kłócicie
I zostawiacie Bar Moskali pastwą!
A choć szlachetne imiona nosicie,
Jest z was ohyda boska i plugastwo.
Pan regimentarz zaś sam mianowicie,
Który obiecał karmić nas jak ptastwo
Indyjskie, imbier przysyłać, muszkatel,
Cierpi, że buty dziś je obywatel.
Venit judicium! Nie odemnie sługi
Usłyszy wtenczas sąd, lecz przed Chrystusem
Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
Tożsamo pan Rożański (1), co Fabiusem
Jest w naszéj partyi, także i ten drugi
Niech wie, że sądu dzień nadchodzi kłusem
I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci,—
Pisze to zgłębi żalu do Waszeci.

Zresztą, ten zawadyacki nieco zakonnik umie użyć w potrzebie reklamy i straszyć mocą nadludzką:

Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę
I na tém miejscu krwi popłynie rzeka
Gdzie stoję, a te góry palcem ruszę
I na... (wrogów)... pójdą!..

---

(1) Zapewne marszałek lubelski Rożewski.

Złamany na duchu, nie rozpacza przecież o sprawie i zachęca do czynu:

Patrz na mnie! jestem także zmordowany,
A kto wie, co tam w mojem sercu płacze?
A jednak wziąłem w ręce krzyż drewniany
I chodzę—tuląc do głębi rozpacze.
Wolałbym może już w grób, jak złamany
Dąb i bez liści, lecz mi serce skacze,
Kiedy na działo wstąpi moja noga,
A działo ogniem śpiewa—imię Boga,

Z kreacyą Słowackiego nie mogli się pogodzić znający księdza Marka z żywéj tradycyi lub też z *Pamiątek JMPana Seweryna Soplicy*; raziło ich realistyczne traktowanie przedmiotu, gniewała rycerska w mnichu brawura. „Ksiądz Marek—pisali—mąż prawdziwie katolicki, zakonnik przepełniony miłością ojczyzny, osoba takim blaskiem w dziejach otoczona, jakże tu (w *Beniowskim*) nikczemną odgrywa rolę bandyty włoskiego lub hiszpańskiego!... Ten duch pobożny ale żołnierski, ten człowiek pół-mnich, a pół-kapłan regimentowy, podobny do owych plebanów wandejskich, mógłże np. patrzéć, jak się konfederat Sawa z Beniowskim bez najmniejszéj przyczyny dla nieporozumienia, które ksiądz Marek mógł jedném słowem wyjaśnić, pałaszami rąbali, bez wyrzeczenia, jednego słowa na ich pojednanie, ale owszem z najzimniejszą krwią sam do siebie mówić: niepójdę ich godzić! Byłże to ksiądz Marek, albo może raczéj jakiś Gasperoni, albo poprostu któryś z krwi łaknących rzeźników rewolucyi francuskiéj!“ (1).

Właściwie—zamiast wmawiania tendencyi, o któréj autor nie myślał—wypadałoby zarzucić Słowackiemu pobieżność charakterystyki, w całym poemacie rażącą; pogodzić się zresztą musieli przeciwnicy poety, gdy w r. 1843 ogłosił pod wpływem towianizmu skreślony trzyaktowy dramat p. t. *Ksiądz Marek.*

Gromi z kazalnicy ksiądz Marek panów za nielitość dla chłopstwa, za prywatę i obojętność na klęski narodu: „obrażony pan marszałek, szlachta cała tém urąganiem z magnatów, tą obelgą antenatów, zamyśla porzucić sprawę.“ Gdy zresztą, zwątpiwszy w możność utrzymania się w Barze, chce starszyzna konfederacka miasto opuścić,—ksiądz Marek usiłuje ją na stanowisku zatrzymać, oświadcza, że nikt w boju nie zginie. Dla obudzenia w zwątpiałych otuchy zapewnia w uniesieniu o władzy swojéj, równéj potędze proroków i świętych.

Więc się niedziw, że tak błyskam,
Jak Mojżesz duchem natchnięty,

---

(1) Przyjaciel ludu. Leszno, 1843, t. II, str. 235.

Żem jest jak ów Jan święty,
Widzący to, co ja widzę;
Bo zaprawdę jestem w lidze
Z duchami i ze świętymi!
A chociaż niski na ziemi,
To duchy okryte zbroją
Na ramionach moich stoją
I kończą się gdzieś w bezkońcach,
W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,
W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
Za słońcami w słońcu ducha.

Na zapytanie marszałka, kto ręczy, że żaden z konfederatów nie zginie?—odpowiada ksiądz Marek: „Pan“ i danym znakiem wywołuje grzmot działa. Pomimo tego starszyzna, z przypadkowego pęknięcia armaty niedobre wywodząc wróżby, miasto opuszcza, Marek zaś, przypasawszy szablę, ze szczupłą garstką szlachty postanawia się bronić. „Oto idę—mówi—do kościoła, sakramenta porwę w dłonie i pójdę i śród kul stanę.“ Przeświadczony, że ku obronie miasta „Bóg tylko potrzebny“ i że w walce nie straci nikogo, w ubiorze mszalnym, z monstrancyą staje na wałach. Miasteczko musiało się poddać, a ksiądz Marek, pod klasztornym murem ranny, z szablą w ręku wzięty został w niewolę. Siepacze, którym kazał Branicki ćwiczyć zakonnika rózgami,—zwrócili razy na siebie; konie, któremi miano go wywieść, pozabijały strażników. Po stu ludzi z armii Kreczetnikowa codziennie w Barze umiera, w końcu pełne zarazy szpitale stanęły w ogniu. Krocie żołdactwa dobijają się do lochu, w którym zamknięto księdza i „przed białym karmelitą we krwi i w czarnych kajdanach popadały na kolanach.“

Kto duch—

przemawia uwolniony z więzienia ksiądz Marek:

niech duchowi memu,
Jak księżyc złotemu,
Będzie blaskiem i ogonem;
Bo ja ojczyzny być muszę
Duchem stróżem i patronem
I wyżéj porywać dusze,
A żadnéj ziemią nieskalać,
Ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny.
A teraz zdjąć z téj mieściny,
Gdzie włada dżuma i trwoga,
Zarazę, jak sztandar siny
I z chorągwią tą odejść do Boga,
Do którego mnie boleść porywa.

Rozerwał motłoch habit zmarłego księdza i trupie całował ręce, a „jego duch i chwała przelana w polskie pałasze i serca."

W duchu Słowackiego (1) przedstawił księdza Marka Mickiewicz w dramacie *Konfederaci barscy* i ks. Chołoniewski w opowiadaniu *Magnificat* (2). Mickiewicz charakterystykę zakonnika wkłada w usta lekarza rosyjskiego, który takie robi uwagi:

Mnich to szczególny: Egzaminowałem,
Znalazłem rękę prawą o dwa cale
Dłuższą od lewéj i mięsistszą: dowód,
Że szabla dobrze ręce tej znajoma.
Szabla to rękę tak hypertroficznie
U szlachty polskiéj wzmacnia i przedłuża.
Jest więc szlachcicem i żołnierzem starym.
Do tego blizny pewne ma na czole,
Które niecałkiem są serafícznemi:
Od cięcia szabli zdają się pochodzić
I widać na nich świeżość zagojenia.

„Nieseraficzny" z powierzchowności, zawsze przecież używa ksiądz Marek opinii proroka, prowadzi życie ascety i surowości do tego posuwa stopnia, że gdy chciano wypić za jego zdrowie,—kubek odepchnął, a nawoływał do modłów. Różni się jednak od kreacyi Słowackiego zwątpieniem, jakie ujawnia z okazyi projektu Pułaskiego uderzenia na Kraków, chociaż w końcu na przedsiewzięcie przyzwala. W opowiadaniu ks. Chołoniewskiego niknie zupełnie rycerz, a występuje kaznodzieja-asceta. Mniema, że klęski konfederacyi barskiéj wynikły z upadku pobożności i wiary, — z jednem

---

(1) Śród pism pośmiertnych poety znalazł się urywek *Beniowskiego*, opiewający dalsze dzieje księdza Marka,—powrót do celi i tłómaczenie się przed zwierzchnością klasztorną. W urywku owym—z późniejszéj doby twórczości poety—pełen jest ksiądz Marek mesyanistycznego namaszczenia i, przeświadczony o roli swojéj w konfederacyi, błaga o pozwolenie opuszczenia klasztoru:

Ojcze przeorze! teraz ojczyzna kochana
Serce moje zabrała i z tego rubachy,
Któregoś ty znał, ojcze, apostół dziś boży,
A na śmierć przeznaczony, jak owca śnieżysta,
Na któréj pasterz kredą czerwoną położy
Krzyż śmiertelny. Więc nędza mię dzisiaj ojczysta
Na to wiedzie, że krzyż ten przyjąłem i krzyże
Piszę na sercach ludzi... A często je zliże
Matka u owcy białéj, gdy dziecko całuje
I nie wie, że zliżawszy od śmierci uwalnia;
Ale mój krzyż jest wieczny i nikt nie ratuje
Moich biednych rycerzy... i zacznie się szczwalnia...

(2) Pisma pośmiertne. Lipsk, 1851, t. II.

zawsze wobec rycerstwa staje wezwaniem: *in patientia vestra possidebitis animas vestras.* Wprowadzili księdza Marka do utworów powieściowych: Kaczkowski (*Anuncyata*), Bolesławita (*Tułacze*) i Suffczyński (*Rodzina konfederatów*); nie podejmując jednak dla odtworzenia postaci cudotwórcy szczególnych studyów historycznych, poprzestali na wyzyskanéj już przez Rzewuskiego tradycyi.

Przedstawiają poeci księdza Marka w rozmaitych sytuacyach i w różnych życia momentach. „Kazanie konfederackie" wypowiedziane być miało w kościele bernardynów w Kalwaryi 4 listopada 1769 r., w cztery dni po zwycięstwie Kazimierza Pułaskiego pod Lanckoroną w obecności Karola Radziwiłła, Potockich (podczaszego lit. i wojewody kijowskiego), starosty ziołowskiego Paca, marszałka generalnego konfederacyi i chorążego lit. Rzewuskiego. Cuda działał, według autora *Pamiątek JMPana Seweryna Soplicy*, w obozie pod Jędrychowem w domu kasztelana sandeckiego Ankwicza i pod Rzeszowem, gdzie podczas boju zamiast szabli krzyż dzierżył. W *Beniowskim* zjawia się ksiądz Marek z Sawą w zamku jakiegoś z nad Ladawy starosty, gdzie zastaje wroga konfederacyi, regimentarza podolskiego Dzieduszyckiego. W dramacie Mickiewicza występuje jako siedmdziesięcioletni uwięziony w Krakowie przez Rosyan kapucyn, uwolniony za wpływem kobiet, połączył się w Karpatach z Choisi i Kazimierzem Pułaskim.

Nie wyjmując Rzewuskiego (1), w szczegółach pisarzy panuje— dozwolona zresztą w sztuce—dowolność, do której upoważniała i tajemniczość sytuacyi księdza Marka po wzięciu Baru. Podanie Kitowicza, że „prorok Marek", schwytany od wrogów, „batożkami ocięty i gdzieś do klasztoru wtrącony, z oczu ludzkich zginął", na sprostowanie czekało długo. Dotychczasowe materyały do konfederacyi barskiéj nie odsłaniają dostatecznie całego przebiegu życia księdza Marka, wystarczają przecież do zrozumienia roli, jaką odgrywał w roku 1768 i późniéj.

*
* *

W klasztorze karmelitów bosych w Berdyczowie znalazł ksiądz Marek Jandołowicz (2) atmosferę, w któréj bujnie rozkwitała poboż-

---

(1) Radziwiłł w listopadzie 1769 r. w Kalwaryi być nie mógł, albowiem od lipca bawił w Cieszynie.

(2) Nazywali go pisarze: Obłoczyńskim, Sieleckim, to Odelgiewiczem. Jandołowicza wywiódł *Czas* krakowski, powtórzył go za nim *Przegląd poznański* z r. 1856 (t. XXII, str. 526), autor zaś *Zameczków podolskich* (wyd. 2, t. III, str. 190) prawdziwość nazwiska dokumentami poparł. Według artykułu *Przeglądu* przyjął Jandołowicz śluby zakonne w Horodyszczach; gdy jednak nikt dowodnie podania tego nie stwierdził, idziemy za tradycyą, która wskazuje w klasztorze berdyczowskim celę księdza Marka (Wojcicki *l. c.* str. VI).

ność, a jednocześnie i rycerski się budził animusz. Janusz Tyszkiewicz, wypełniając ślub, zrobiony w niewoli tatarskiéj, ufundował (około r. 1630) w Berdyczowie dla karmelitów klasztor i kościół i ofiarował do świątyni długo przechowywany w rodzinie wizerunek Bogarodzicy. Obraz zasłynął niebawem cudami i podobnie jak Częstochowa, Gidle, Skępe, Studzianna, Antokol, Żyrowice, Sokal, Poczajów, Święta Lipka, Podkamień, Kodeń i t. p. tysiące na odpusty okolicznych ściągał mieszkańców. Nagromadzona w świątyni wielka liczba kosztownych votów dla Tatarów i hajdamaków stanowiła przynętę, a zakonników zmuszała do przedsiębrania środków obronnych. Opasali też gmachy klasztorne murami i wałem, zatoczyli działa i utrzymywali pod rozkazami przeora zostający garnizon. Powstała w ten sposób na pograniczu cywilizacyi twierdza, o którą niejednokrotnie łamali się chciwi łupów najezdzcy. Podniosła się powaga Berdyczowa, gdy Benedykt XIV darował karmelitom zwłoki św. Teodora i część chorągwi św. Jerzego, a w r. 1756 dokonaną została koronacya cudownego obrazu.

W dobie koronacyi owéj był już ksiądz Marek przeorem annopolskim i około wynalezienia nowych w ruskiéj prowincyi fundacyi zakonu karmelitańskiego krzątał się żywo. Na instancyą jego, jako „plenipotenta od prowincyi swojéj“, aktem z 2 czerwca 1759 roku darował karmelitom miecznik w. kor. Lubomirski plac w Barze, pozwolił na nim wielebnemu ojcu Markowi i jego następcom „konwent zakładać, murować i cokolwiek *pro commoditate* tegoż tylko konwentu być może... edifikować.“ Aktem z 10 marca 1763 r. zaakceptował darowiznę brat zmarłego miecznika, Franciszek; zatwierdził ją też niebawem i August III (1). Zaledwie jednak przystąpił ksiądz Marek do dźwigania budowli, uniósł go wir wypadków politycznych i na szerszą rzucił widownię.

Drobny, z błękitnemi oczami ksiądz Marek rozwinął w sobie śród cudownéj atmosfery klasztoru berdyczowskiego egzaltacyą religijną, nie zatracił przecież i fantazyi rycerskiéj. „Nie miał miny surowego proroka, owszem, podług przysłowia ruskiego był cokolwiek hulaka“ (2). Pomimo tego dla pobożności wielkiéj pozyskał na Podolu opinią ulubieńca boskiego i — wrażliwy na nieszczęścia krajowe — umiał popularność swoję śród szlachty i gminu spożytkować w wypadkach r. 1768.

Już w jesieni 1767 r. zjeżdżali niezadowoleni z ówczesnego rzeczy porządku do Michałowic, wioski Rafała Dzierżka, położonéj pod

(1) Dr. Antoni J. Zameczki podolskie. Wyd. 2, III, 163—167.
(2) Wybicki. Pamiętniki. Poznań, 1840, t. I, str. 96.

Barem Brał w naradach udział ksiądz Marek, wielki Dzierżka przyjaciel (1); na organizacyę ruchu musiał wywierać wpływ znaczny, skoro go konfederaci w samym zawiązku działań urzędownie za proroka swego uznali. „Ale jest Bóg w Jeruzalem, jest jeszcze i prorok, który wszystkie wróży pomyślności“ — opiewał akt konfederacyi „prawowiernych chrześcian katolickich rzymskich“, zawiązanéj w Barze 29 lutego (2). Zaopatrywał wchodzących do związku w relikwie, obrazki, piśmienne błogosławieństwa, które konfederaci przy szkaplerzu nosili na piersi, i zapał budził do czynu. Mianowanego konsyliarzem generalnym konfederacyi, Wybickiego, licznymi obdarzył krzyżami, powtarzając: *sit nomen Domini benedictum*, żeś z nami! Wierzono we wpływy zakonnika nadziemskie i szacunkiem otaczano go wielkim. Sam się też za sprzymierzonego uważał z niebem, — rozdawał naczelnym konfederacyi przywódcom piśmienne ordynanse przeciwko nieszczęściom. Marszałkowi Michałowi Krasińskiemu wystawił ordynans taki:

„W imię Jezus!

Pokój Chrystusów, miłość Jego, zdrowie doskonałe, straż aniołów świętych, zachowalność na wojnie, ocalenie w potyczkach, odkrycie w zdradach, dar Ducha świętego w komendach etc., etc., etc.: boskie tobie Michale, rycerstwu, podjazdom, wyprawom, objażczkom, potyczkom, batalionom etc., etc., etc., daję i dawać nie przestanę z ołtarzowych ofiar błogosławieństwo. Wszelkim zaś chorobom, zarazom, powietrzom, impetycyom, zdradom, natarczywościom, niebezpieczeństwom, nieprzyjacielskim odwagom etc. krwią Jezusową surowy ordynans daję: won, precz na ustęp, każę i przymuszam! a to na fundamencie przymierza między mną a obywatelami niebieskimi zawartego i zaprzysiężonego. Bądź zdrów. X. Marek, *mp.*“ (3).

Sprzymierzony z „obywatelami niebieskimi“ zasięgał od nich ksiądz Marek informacyi i o rezultatach porywu najlepsze budził nadzieje. Wyraził je w ekscentrycznym *Responsie do pewnego senatora*, mającym pod względem formy cechy proroctwa.

„W awanturze nie wikłaj się, bo w niebie już po dekrecie, w którym *integritas fidei*, *integritas libertatis et integritas granitierum etiam in avulsis* wygrana i od tronu Trójcy przenajświętszéj podpisana. Siedź cicho do czasu. Co mi z góry powiedziano: *Dabitur vox*, *fugiet nox*, *veniet lux et sic miserabitur Deus super regnum Reginae regni Poloniarum Mariae*, to z ciekawości niebieskich dekretów do-

---

(1) Dr. Antoni J. *l. c.* III, str. 179. — (2) Morawski. Materyały do konf. barskiéj. Lwów, 1851, str. 20. Wątpliwość, czy pod prorokiem owym rozumiano księdza Marka, usuwa Kitowicz (*l. c.* II, str. 9). — (3) Wojcicki *l. c.* III, str. IV.

niósłszy, które żadnym sposobem odmienione być nie mogą ku ocaleniu ojczyzny. Jednak będzie źle ku lepszemu, będę i ja tam, a wy bądźcie zdrowi" (1).

Przeświadczenie, jakie ksiądz Marek posiadał o swoich stosunkach z niebem i ufność, jaką przepowiedniami swojemi w konfederatach budził, na heroiczny opór podczas oblężenia Baru wpływ wywarły stanowczy.

Małą mieścinę żydowską konfederaci za główne stanowisko obrawszy, opalisadowali ją albo raczéj dobrym obwiedli płotem. Gdy Wybicki zapytał, gdzie się znajduje twierdza, — wskazano mu na wzniesiony śród mieściny na kopcu dworeczek, obwiedziony rowem szerokim, zaopatrzony w mostek polski zwiedziony. „Naokół wyniesione brzegi i fosy, niby to szańce, czy chcesz nazwać mury, bodaj nie trzy lub cztery kosze składały całą sztukę inżynierską do obrony." Dla czego lichą mieścinę, zajmującą zdaniem strategików najniefortunniejszą pozycyą, obrano na stanowisko naczelne, kiedy brzegi Dniestru dostarczały niemało obronniejszych i dogodniejszych, odgadnąć trudno. Oprócz niekorzyści naturalnéj i mało użytéj sztuki, uniemożliwiała obronę i szczupłość załogi. Stary Pułaski wyszedł z 1500 ludzi dla dania pomocy rozbitemu pod Podhajcami Joachimowi Potockiemu; Kazimierz, zająwszy Berdyczów, bezskutecznie choć mężnie Kreczetnikowowi się stawiał, w Barze zaś niewięcéj nad 4000 bez wodza i zapasów wojennych pozostało rycerstwa. Na domiar złego zakradła się pomiędzy konfederatów niesubordynacya,— „zamieniła się osada na sejmik niesforny." Podstąpił pod miasteczko od strony Kamieńca Apraksyn, a z drugiéj strony Branicki. Podczas oblężenia niespodziewany spotkali opór i niemałe ponieśli straty. Trapili konfederaci nieprzyjaciela wycieczkami,— w jednéj dowodził przybrany w aparaty kościelne ksiądz Marek. W nocy z 20 na 21 czerwca, przypuściwszy z trzech stron szturm, wziął Apraksyn miasteczko i zamek. Zdobyto 50 dział, wzięto do niewoli 1200 ludzi, pomiędzy nimi i Marka, zapalającego z wałów do boju. Wybicki

---

(1) Rękopis zakładu narod. im. Ossolińskich, N. 1077, str. 12. W zmienionéj nieco formie p. t. *Wyjątek z listu Marka do przyjaciela* podaje ów *Respons Przyjaciel ludu* (z r. 1842, t. II, str. 309): „W awantury nie wdawaj się, bo w niebie już po dekrecie, w którym *integritas libertatis*, *integritas fidei et integritas granitierum in avulsis* wygrana, od Trójcy przenajświętszéj jest podpisana. Siedź cicho do czasu. Co mi powiedziano z góry, piszę: *dabitur vox*, *fugiet nox, veniet lux et sic miserabitur super regnum Poloniarum Maria.* To ci z ciekawości dekretów niebieskich, które żadnym sposobem odmienione być nie mogą, oznajmuję ku ocaleniu ojczyzny i lepiéj ci będzie. Bądź zdrów." W trzeciej odmianie pod tyt. *Kopia listu jm. x. Marka do jw. Branickiego łowczego kor.*, w któréj wyrazy łacińskie zastąpiono polskimi, podaje *Respons* Morawski (*l. c.* str. 159).

obronę Baru uważa za szaleństwo; że zaś „plan téj operacyi militarnéj zdziałało zaślepienie w cudotwórstwie Marka", odpowiedzialność przeto za klęskę zwala na niego.

Według Kitowicza, wziętego w niewolę Marka ocięto batami; według Rulhière'a, generałowie polecili go zabić, ale żołnierze nie posłuchali rozkazów i do nóg mu padli, proroctw świątobliwego zakonnika słuchając. Nie znajdujemy nigdzie potwierdzenia tych podań; naodwrót, fakta poważne wiarogodności ich przeczą stanowczo. Generałowie rosyjscy obchodzili się w początkach ruchu z wziętymi do niewoli konfederatami łaskawie,—berdyczowskich i barskich jeńców puszczano na słowo, że walczyć nadal nie będą. Nie uwolniono wprawdzie karmelity, lecz i nie znęcano się nad nim, skoro względem dalszych losów jego żądano instrukcyi Repnina. 30-go sierpnia 1768 r. w towarzystwie 337 aresztantów (dezerterów rosyjskich, hajdamaków i konfederatów) wysłany został z głównéj kwatery Kreczetnikowa z Tulczyna do Kijowa pod konwojem żołnierzy z pułku bieleckiego, strzeżony pilnie. Kazał Repnin trzymać Marka w więzieniu sekretném, ażeby z nikim widziéć się nie mógł; w sprawie dalszych losów zakonnika czekać miał generał-gubernator kijowski, Wojejkow, na specyalne rozkazy z Petersburga (1).

Mylną jest wersya, że zesłano Marka na Sybir; prawdopodobniejsza Kitowicza, że zamknięty został w jakimś klasztorze (2). Nikną ślady jego aż do roku 1776, w którym odwiedza Warszawę (3). Na wieść o pobycie cudotwórcy w stolicy, dobijały się o jego rady duchowne damy warszawskie, ubiegały się panny dworskie o strzępy habitu lub chustki do nosa. Znużony zgiełkiem wielkiego świata rychło ksiądz Marek miasto opuścił. Piastował wówczas godność przeora karmelitów w Barze, od roku zaś 1783 annopolskiego znowu i definitora prowincyi. Wiódł życie czynne i w nieustannym był ruchu. Przesiadywał w Czarniawce Wielkiéj u stolnikostwa Wróblewskich, pod Kamieńcem u starostwa olsztyńskich, w Łuce Kurowskich, w Białéj Krynicy Salnickich, w Zubowszczyźnie u Dubraw-

---

(1) Kreczetnikow. Dziennik wojennych działań. Poznań, Żupański, 1874, str. 152.

(2) Według Wojcickiego (*l. c.* III, str. VII) „po wydobyciu się z Baru był w oblężeniu Berdyczowa, zagrzewał do dzielnéj obrony i tu zawiązała się ścisła przyjaźń pomiędzy nim a młodym Kazimierzem Pułaskim"; dr. Antoni J. (*l. c.* III, str. 192) powtarza toż samo, dodając, że oblężenie owo miało miejsce w końcu października 1768 roku. Wiadomo, że Kazimierz Pułaski kapitulował 14 czerwca (Kreczetnikow *l. c*, str. 119), to jest o sześć dni wcześniéj od wzięcia Baru, wersya przeto o obecności księdza Marka w Berdyczowie podczas oblężenia okazuje się mylną.

(3) Wojcicki (*l. c.* str. IV) podaje z rękopisu Magiera (*Estetyka*) rok 1786; myśmy w tém samem źródle wyczytali 1776.

skiego, sędziego grodzkiego żytomierskiego, w Czepielówce, Wilsku, Zwiahlu, Zasławiu, Uszomirzu, Werhorodyńcach, Fakowcach, Woronówce, w Dłużku pod Morachwą, w Milatynie, Lisowszczyźnie, Maniowcach. Jeździ na kapitułę do Trębowli i Horodyszcz, z polecenia prowincyała wydobywa zaniedbane dla karmelitów w Uszomirzu fundusze, rozsyła piśmienne błogosławieństwa i ordynanse, święci obrazy i wino, zażegnywa nieszczęścia, pomaga w interesach, ratuje w „alteracyach". Formalnie rozrywany jest po dworach, nie może się zaprosinom opędzić. Pomagał mu w interesach najprzód ksiądz Antoni Marek, synowiec, po śmierci zaś jego zmarły w sierpniu 1783 wikary barski, Hulewicz.

Dzielny w konfederacyi barskiéj, do wzięcia udziału w ruchu Kościuszkowskim sił nie miał, chociaż błogosławił brygadę Kopcia, gdy przedzierając się z części zabranéj w r. 1793, stanęła w Uszomirzu. O drugiéj po północy skropił ją starzec święconą wodą, mówiąc: Idźcie w imię Boga i wynijdzijcie! „To krótkie — powiada Kopeć— wyrażenie cnotliwéj i pobożnéj osoby, jakby w wieszczym duchu ogłoszone, wiele umocniło żołnierza potwierdzeniem niejako wolą nieba naszego zamiaru" (1).

Kilka ostatnich lat życia spędził pobożny zakonnik w charakterze kapelana domowego pod Lubarem, we wsi Berezówce, w domu łowczego bydgoskiego, Tadeusza Cieleckiego. Pomimo późnego wieku ostre prowadził życie: sypiał na podłodze, pokrytéj słomą, poduszki używał z piasku, mało jadał, a nic prócz wody nie pijał. Zwyczajem ówczesnych zakonników zajmował się leczeniem, używając częściéj środków duchowych, niż ziółek i maści, z powodu czego budził niechęć w głównym doktorze lubarskim, Mönichu. Pragnął ksiądz Marek, aby ciało jego złożono w grobach karmelitów w Horodyszczach i życzeniom jego, wbrew staraniom konwentu berdyczowskiego, stało się zadość. Umarł w późnym wieku (2) pomiędzy rokiem 1801 a 1806, zczerniałe zwłoki zachowały się długo w całości. Lud okoliczny składał przy nich ofiarne świeczki i grosze, całował rękę zakonnika i odłamywał odrobiny spruchniałéj trumny (3).

* * *

Otoczenie, śród którego ksiądz Marek działał, znachodziło się w wysokim stopniu egzaltacyi religijnéj, wierzyło w opatrzną potęg nadprzyrodzonych opiekę i do wizyi zdradzało skłonność. Nie do-

(1) Dziennik Józefa Kopcia. Berlin 1863, str. 27.

(2) Podczas konfederacyi barskiéj miał według Rulhière'a (*l. c.* III, str. 14) lat 45.

(3) Przegląd poznański z r. 1856, t. XXII, str. 526.

puszczali sprzysiężeni do siebie lutrów, kalwinów i dyzunitów; ku obronie katolicyzmu pod pobożną stawali chorągwią z wyszytym na boku krzyżem, z hasłem: Jezus, Marya! Stary Pułaski sprawy wszystkie polecał „Bogu, opiece Maryi najświętszéj, królowéj polskiéj i świętych patronów, osobliwie św. Kazimierza, którego sobie wojsko za patrona i wodza obrało.“ Bujający nad konfederatami orzeł biały obwieszczał *auguria bona* i budził pociechę; dużo dawała do myślenia widziana od wszystkich na murach Berdyczowa „osoba białogłowy, ślicznie ustrojonéj, paskiem czarnym opasanéj“ (1). Na gruncie wierzeń w opatrzne wpływy świętych, w prognostyki i duchy cudotwórca-prorok wyrość mógł łatwo.

Do odegrania roli, przy odpowiednich warunkach otoczenia musiał karmelita posiadać i stosowne przymioty moralne. Cnotami towarzyskiemi, pobożnością i patryotyzmém mógłby jedynie zdobyć mniejsze lub większe uznanie; dla pozyskania opinii cudotwórcy musiał mieć jeszcze tę siłę, jaką wytwarza świadomość powołania i wiara w moc własną. Podobnie jak prorocy biblijni ksiądz Marek w posłannictwo swe wierzył i opinią, jaką zyskał w społeczeństwie, podzielał. Nie tail przecież stosunków swoich z obywatelami tamtego świata i niebieskie obwieszczał dekrety; plagom rozkazywał i do łaskawego obchodzenia się z ludźmi przymuszał je, pokrzykując w ordynansach: won, precz, na ustęp! Rzadko zapewnia skromnie, że „ile możności“ wstawiać się będzie za klientem do nieba; najczęściéj z całem przeświadczeniem o potędze swych wpływów obiecuje zdrowie i interesa przyjaciół utrzymywać przed Panem „potężnie.“ Gdy pisze: „niema dnia żebym nie pamiętał o was przed Bogiem...; o duszy matki waszéj nie turbujcie się, bo ta już stoi przed Bogiem i za was i za nas...; o obory swoje i woły skupione nie lękajcie się, Bóg zachowa — to mówię“, zdradza pewność siebie i wiarę w pomyślny skutek. Chociaż Kitowicz zapewnia, że „gdy z naturalnéj przyczyny zburzone powietrze piorunem wystrzelić miało, w tym punkcie mu ordynans swój do wystrzelenia dał i tym sposobem zaufanie swemu proroctwu zjednał“, — do posądzenia jednak księdza Marka o szalbierstwo nie ma zasady żadnéj. Przytoczony przez Kitowicza fakt współczesności pioruna z ordynansem jest bardzo prawdopodobny, nie ma jednak potrzeby wyszukiwania genezy jego i całéj działalności księdza Marka w kuglarstwie. Fakt owéj współczesności mógł się wydarzyć przypadkowo i spotęgować w zakonniku wiarę w zdolność czynienia cudów; źródłem jednak przeświadczenia o bezpośrednich stosunkach z niebem był ten stan psychiczny, który tylu w epo-

(1) Morawski *l. c.* str. 72, 149.

ce wiary wydał czarowników, wróżbitów i t. p. nieobłudnie działających maniaków.

Pomimo przeświadczenia o mocy swojéj, nie miał w sobie ksiądz Marek surowości proroków biblijnych i nie z samém przestawał niebem. Charakterystyczném jest, że osobom, które korzystały z jego protekcyi do Boga, „padał do nóg“, że był dla nich „najniższym sługą.“ Drobiazgami życiowemi własnemi i cudzemi zajmuje się z całym zapałem: równie go interesują woły pp. Wróblewskich, jak dźwiganie w Barze gmachów klasztornych lub półbeczek miodu, obiecany dla konwentu annopolskiego przez pana Sochę. Nieobcą mu była interesowność, lubo uprawiana z oględnością i delikatnością niezwykłą. Dla wydobycia obiecanego przez p. Sochę półbeczka miodu używa przyjaciół, przez których zapewnia, że modlić się będzie „o dobrą dolę dla tego pana“; przyrzeczone przez pp. Wróblewskich zboże przypomina za pośrednictwem synowca. W sposobie pisania zdradza temperament żywy: w szybkiem przerzucaniu się od jednéj materyi do drugiéj i w niedość wykończoném wyrażaniu myśli—niecierpliwość. Gdy przesyła p. Wróblewskiéj w prezencie garnuszki do mleka prawdziwe paryskie, w Barze robione, lub gdy w liście z Maniowiec wzywa bez wstrętu „stu dyabłów“ — ujawnia humor.

Ojcowie nasi, którzy u Pana Boga w niebiesiech dopatrzéć umieli cech własnych, taką tylko osobistość wynieść mogli w mniemaniu swojém na wyżyny cudotwórcy-proroka, która się odznaczała znamionami szlachcica. Ksiądz Marek posiadał właśnie zamaszystość szlachecką, którą tak trafnie pochwycił Rzewuski, łatwość towarzyską, bez której popularności u ojców nikt się nie dobił, imponującą wreszcie hojność, z jaką szafował swoimi wpływami. Z temperamentu, charakteru, wierzeń i patryotycznych zapałów ogniskował w sobie kiądz Marek znamiona i aspiracye ojców i dla tego przy odpowiednich warunkach powstał kult jego i cudowna o nim rozkwitła legenda.

Listy, błogosławieństwa i ordynanse księdza Marka. (1)

I.

Wielmożny Mości Dobrodzieju.

W Podrosz Szczęśliwą, z dobytkiem Swoim, tak fortunie, jako y Osobie WWPana Dobrodzieja, Boskie zasyłam, y zasyłac nieprzestane, z Ołtarzowych Ofiar Błogo-

---

(1) NN. X, XVIII i XXVIII dostał Wojcicki od Szymona Konopackiego i ogłosił w *Cmentarzu Powązkowskim* (t. III, str. V i VI); N. XXIX jest przedrukiem z *Przeglądu*

sławienstwo y wszystkie dawnieysze, w podonychze podruzach ponawiam. Badz zdrow Panie moy. X. Marek mp.

Dt w Czepielowce. 19 Maj. 1777.

II.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

List Wielmoznych WacPanstwa Dobrodzieystwa zastał mie pod Kamiencem u JWielmoznych starostwa Olsztynskich. Bog widzi zem tak cięszko za trudniony iz czasu przysłania po mnie wyznaczyc nie mogę. Ale nim sam przybiegne do Was miłe Panstwo: to przed Bogiem potęznie: Zdrowie y interesa utrzymywac będe, przyrzekam. Badzcie mi zdrowi w Błogosławieństwie Boskim. X. Marek mp. (1).

Dt 23 Mar: 1779.

III.

Wielmozna Moscia Pani y Dobrodzieyko.

Interesa mi polecone, ile moznosci trzymac będę przed Bogiem: Sam w tych tygodniach nigdzie wyjechac niemogę, gdyz mi Xiądz wikary Marek młody umarł (Reszty brak).

IV.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Wina 4 butelki poswięciłem, piątą niepełną. Obraz Najsw. Maryi Panny z wszelkim Błogosławieństwem odsyłam. List Jego Mosci X. Kanonikowi oddałem. Podwody jeszcze nie nadeszły, być mogą dzis: Co doniosłszy, Boskie Wielmoznym Wacpaństwu Dobrodzieystwu zasyłam Błogosławieństwo y naynizszym piszę się sługą. Badzcie zdrowi. X. Marek mp.

X. Hulewicz wikary posyła Wielmozney Pani garnuszków do mleka pięc prawdziwych paryskich, nb. w Barze robionych.

14 Junii, 80, w Barze.

Do rąk Wielmoznych Państwa Dobrodzieystwa Wroblewskich w Czarniawce (2).

---

poznańskiego (z r. 1856, t. XXII, str. 526); N. XXX odpisaliśmy w zakładzie narod. im. Ossolińkich we Lwowie (autografów N. 2660); resztę w liczbie 25 podajemy z autografów, pochodzących od rodziny stolnika inowrocławskiego, Wróblewskiego, a udzielonych nam przez p. Andrzeja Świętochowskiego.

(1) U spodu inna skreśliła ręka: „Przewrócić proszę"; na drugiéj zaś stronie mieści się list następujący:

Ja przy wyznaniu powinnego Respektu WWPanstwu Dobrodzieystwu mam honor Ich mię szacowney polecić Łasce y tey przypomniec się z powodu tego ze dawno Stryl Moy Imci Xiądz Marek oswiadczał mi przysłanie zboza ruznego od WWPPDobr. ktorego teraz jak wielce w konwencie przy rozpoczęciu fabryki jestem potrzebny tak za odebraniem onego (a gdyby jeszcze bydz mogło y z omastą jakową) sam stryja mojego w Dom WWPPDobrodzieystwa zaraz po swiętach przywiezc swoiemi konmi obowiązuję się znając mię bydz z naynalezytszym Uszanowaniem. WWPaństwa Dobrodzieystwa Naygłębszym podnuzkiem X. Antt. Marek Karmelita.

Datt. z Baru d. 25 Martii 1779 Anno.

Adres (ręką starego Marka skreślony): Wielmozney Jey Mosci Pani A: Wroblewskiey Stolnikowej Dobrodzieyce w Czarniawce.

(2) Na kopercie pieczątka z czerwonego laku z literami: M i K.

V.

Wielmozne Państwo Dobrodzieystwo. moje.

Mocno przepraszam zem tak długo nie był u Was Dobrodzieystwo moje. a teraz z pod Krzemienca, musze jechać do Trębowli na Kapitułe naszą. lecz jak powrocę naypierwy do Was Panstwo moje pojadę po świętym Janie.

Interesa Wasze ile mozności przed Bogiem, utrzymywałem, y teraz utrzymywac będę y Boskie zasyłam Błogosławienstwo.

Niech Was Bóg z Świętemi swemi broni, strzeze, y zachowuje na zawsze.

Ludzi po waryowanych nietrzeba się lękac: wszak to nieprzechodząca choroba. ani zarazająca. tylko ześ Pani bojazliwa: to bydz zdaleka od nich. Wielmozney Jey Mosci Matuni Dobrodzieyce do nog upadam. Kochaney dziatwie Błogosławie. Przytym Wielmoznych WacPanstwa Dobrodzieystwa Nayniszczym zostaje sługą X: Marek mp.

Dt: 20 Maja 1781 z Białey Krynicy.

P. S. Imość Pani staroscina Salnicka umarła. w Białey Krynicy: samego tu, ile mozności w alteracyach ratuje. y w tych dniach wyjadę do Trębowli. Umarła 10 Maja.

Wielmozney Jey Mosci Pani Wroblewskiey Stolnikowcy Zytomirskiey Pani Dobrodzieyce w Czarniawce.

VI.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Przepraszam ze listu nie piszę, bom jeszcze nie w Barze, lecz w Łuce u Wielmoznych Panstwa Kurowskich. Kozaka z Baru dopiero jutro X. Hulewicz wyprawi do domu. ktory po drodze wszędzie był ze mno. aż do dzis.

Teraz do nog upadam: y Boskie Wielmoznym WacPańtwu Dobrodzieystwu, Matuni Dobrodzieyce a Naymileyszey Dziatwie zasyłam. Badzcie zdrowi X. Marek mp.

Dt: 19 9bris 81 w Łuce.

VII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje,

List Panski zastał mnie u Wielmoznego Pana Dubrawskiego Sędziego Grodzkiego Zytomirskiego, u którego zostawuje mnie Oyciec Prowincyał dla interesu przyjęcia nowey fundacyi, od naszych dawniey zaniedbaney, w miasteczku Uszomirzu.

Interes Kozanki ku usmierzeniu, y ułatwieniu, mocno trzymac będę: Co to za macierz y corka w: cisnie się w Dom Wasz? tego nie zrozumiałem, ale Bóg przy ołtarzu zrozumi, y mam w Nim nadzieje. ze uchyli Was od kłopotu, zdrowie Wasze y naymileyszey dziatwy, ku uzdrawialnosci. Bogu policam, y policac nieprzestane.

Na kupno, y przedasz szczęśliwą, Boskie zasyłam Błogosławieństwo y straz Aniołow Swiętych upraszac będę.

Sam na Ukrainie wkrótce bydz nie mogę gdyz mnie Oycec Prowincyał zaprzogł w interesa lecz postaram się nie zadługo skonczyc. Co doniosłszy Wielmoznych Wac Panstwa Dobrodzieystwa Nayniszszym, y szczyrym a ustawicznym przed Bogiem piszę się, y zostaje sługą. X. Marek mp.

Dt 31 10bra Ao-82 w Zubowszczyznie.

Wielmoznemu Jego Mosci Panu Wroblewskiemu Stolnikowi W: Panu y Dobrodziejowi w Czarniawce.

VIII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Sposobu niemam porządnie do Was napisac w dzien Zapustny ale koło interesow napasnych kochanego Michała zywo się przed Bogiem wezme, y o kondescensyi pamiętać będę 14 Marca. Częsci Waszey kupioney w Berezowce mocno Błogosławię. Zdrowie kochanego Pana, Jey Mosci. y naymileyszey dziatwy tak Warszawskiey, jako y w Domu będącey utrzymywac przyrzekam szczyrze. ja z Zubowszczyzny jade ku Wilskowi, a ztamtąt do Zytomirza pro 26 Mar: po dekret approbacyjny funduszu Uszomirskiego w Konsystorzu: Bądzcie, Badzcie, Badzcie mi zdrowi. X. Marek mp.

Dt. 4-ta Mar:—83 w Zubowszczyznie.

Do rąk WW. PP. Wroblewskich Stolnikowstwa Dobrodzieystwa w Czarniawce Wielkiey.

IX.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Trafunkiem w Zwiachlu zastałem ludzi Kozanieckich, przez ktorych mam szczęscie upaść do nog Wielmoznych Wac Panstwa Dobrodzieystwa y doniesc o sobie, zimowałem na Podlisiu. Fundusz dawno dla nas uczyniony w Uszomirzu, y przez Naszych więcey dwunastu lat odstąpiony, tak ze tam z naszych ani zaizrzał, po smierci Xiędza tam zmarłego. Więc ja teraz dobyłem, y juz dekret approbacyjny w Konsystorzu Kijowskim odebrałem, sam tylko jeszcze tego funduszu, y Xięży doglądac czasami będę, Baru nie opusciwszy.

Teraz z Uszomirza jadę na Kapitułe do Horodyszcza, zabawie kilka czasow y w Zasławiu. potym muszę bydz w Barze y rozrzędzic klasztorem, dalszych obrotow swoich niewiem.

Wielmoznym WacPanstwu Dobrodzieystwu: Naymileyszey dziatwie domowey: y Warszawskiey zdrowia, y uszczęsliwienia zyczę.

Czarniawce, Kozance, Berczowce, z rosy Niebieskiey, y tłustosci ziemi, szczyrze Błogosławię: y co sie trafi handlow, do zbycia, y nabycia, z Ołtarzowych Ofiar Błogosławieństwo Boskie zasyłam.

Badzcie mi Naymileysze Panstwo zdrowi, weseli y szczęsliwi, kaze. X. Marek mp.

Dt w Zwiachlu na Świętą Troycę. Ao—83 (1).

X.

Wielmożne państwo, dobrodziejstwo moje najlaskawsze i szczególne!

Ręka Boska karząca nad zagranicznym Hersonem, was i waszych dóbr dostać (przez miłosierdzie Bóstwa swego) nie zechce. Owszem obroni od powietrza ich. W Tetyowszczyźnie wiem dawniéj, że nieochronność ludzka przyniosła od tatarszczyzny w jeden tylko dom powietrze, ale ostrożność zamkowa zapobiegła temu, bo się to w rybnych i solnych kupcach stało. Na dobra wasze Kozankę i Berezówkę opatrzność świętą swoją Bóg wyleje, a wy zawsze badźcie mi uśmierzeni.

O obory swoje i woły skupione nie lękajcie się, Bóg zachowa; to mówię. Bez wielkiego zarobku na miejscu przedajcie i siana na miejscu dodajcie w pieniądzach do ruszenia się ich.

(1) Niewyraźna pieczątka herbowa z czerwonego laku. Adres (inną kreślony ręką): Wielmożnemu Imci Panu Wroblewskiemu Stolnikowi Inowroclawskiemu Panu y Dobrodziejowi w Czerniawce Wielkiey.

Donoszę też mój ucisk, że mi w Barze Xiądz Szymon Hulewicz umarł, ja teraz został jak mucha w ukropie, gdyż Annopol upadły ratować, Bar wspierać, Uszomir[z] dźwigać muszę; a najwięcéj mi chodzi, żebym nigdy przed Bogiem o was najmilsze państwo nie zapomniał.

Bądźcie mi zdrowi, szczęśliwi i ubłogosławieni z najmilszą dziatwą waszą i domem. Xiądz Marek przeor annopolski Definitor prowincyi etc, mp.

NB. Posyłam przeciwko powietrzu Ordynans do Czarniawki i blankiet do Kozanki, nie bójcie się.

Z Bochryna 6 Augusta 1783.

Wielmożnemu Jego Mości panu Wróblewskiemu Stolnikowi inowrocławskiemu panu dobrodziejowi w Czarniawce wielkiéj.

XI.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Ja muszę y musiałem tuteysze sąsięctwa Barskie objechać dla drew zimą na cegielnią. Kiedy zas będę w Werhorodyncach lub Fakowcach czasu niewiem koło Baru zas muszę jeszcze jakiey tydzien zabawic. Badzcie zdrowi. X: Marek mp.

2 do 10 bris. 1783.

XII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Zadnym sposobem niemogłem się teraz wypresic z Woronowicy ale w Poniedziałek odeszlo mie do Czarniawki a teraz do nog upadam y Boskie Wielmoznym Panstwu zasyłam na zawsze Błogosławieństwo. Badzcie mi zdrowi, y weseli. X. Marek mp.

Dt 21 Jan: — 84.

Przyrzekam ze ztąt nigdzie niedam się wziąc tylko do Czarniawki o odesłanie prosic będę.

XIII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Kopcami Czarniawki, głoweyki sobie nie zatrudniaycie, gdyz te ktoby chciał ruszyc, czterech scian kopce Dekretem Trybunalskim nakazane, musiałby rozrzucac a tak z wielkimi, y mocnymi ludzmi sprawę zacząc y wielkiey karze prawu, prawu podpaśc czego nie uczyni jak się rozumnych a prawnych ludzi poradzi, gdyz teraznieysze słuchi, z letkich, y z nieznających prawa szumią, y ucichną. Co donioszszy Boskie Wielmoznym Panstwu zasyłam Błogosławienstwo y wraz naymileyszey dziatwie Bądzcie zdrowi, szczęsliwi, y weseli X. Marek mp. (1).

Dt 3 tia 8 bris. — 85 w Werhorodyncach.

Wielmoznemu Jego Mosci Panu Wroblewskiemu Czesnikowi Kijowskiemu Panu, y Dobrodziejowi w Czarniawce Wielkiey.

---

(1) Na marginesie listu dopisek: „Wszelakosz ja przed Panem Bogiem ten interes, y inne ytrzymowac będę."

Na kartce, na któréj umieszczony adres, dopisek następujący:

N.B Pułbeczek miodu obiecany, od Wielmoznego Jego Mosci Pana Sochy do ktorego y list zostawiłem, wyprokurowac do siebie, y suplikuję za lepszą drogą przysłac do Werhorodyniec a ztąt ja odbierę do Annopola y modlic się będę o dobrą dolę dla tego Pana.

XIV.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Jako wszystkie interesa Wasze przed Bogiem trzymam, tak ile moznosci trzymac będę.

A naymileyszey Pannuni Waszey Corce, Boskie zasyłam Błogosławienstwo. Rozum Wasz, y przezornosc, wyda Ją: a Błogosławienstwo Boskie, ktore zasyłam niech będzie uszczęsliwieniem dla niey z Benedyktem, ktorego znacie, gdy zyczycie! Całym sercem Błogosławię Wielmoznym Wac Panstwn Dobrodzieystwu, dobrom, fortunie: dziatwie: Boskie zasyłam Błogosławienstwo.

Bądzcie zdrowi y zawsze szczęsliwi. Wylizcie z biedy kaze: X. Marek mp.

Dt: 4 ta Mar: 1786.

Wielmoznemu Jego Mci Panu Wroblewskiemu Czesnikowi Kijowskiemu Panu Dobrodziejowi w Czarniawce Wielkiey.

XV.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Z naygłębszą submissyą adoruję godnosc Waszą za odesłanie P. Manualisty dziękuję, deklarowany łaski, jaka bydz moze, czekam obligacyą z całym Konwentem zabieram, interesom Waszym, Tekluninym, y wszystkiey, naymileyszey dziatwie y całemu domowi Boskie zasyłam Błogosławienstwa. Badzcie zdrowi, y we wstkim od Boga oszczęsliwieni zyczę X. Marek mp.

Dt: 5ta Mar: 1787. W Dłuzku pod Morachwą.

Wielmoznemu Jego Mosci Panu Wroblewskiemu Czesnikowi Kijowskiemu Panu, y Dobrodziejowi w Czarniawce Wielkiey.

XVI.

Wielmozna Moscia Dobrodzieyko.

Interessom Waszym ktore dobrze y ostroznie Wielmozny Mąz Twoy kieruje obecnie po Błogosławiłem. Wielmozney Pani Nowey konsolacyi a kochaney Cureczk winszuję, y Błogosławie. Wielmozney Jey Mosci Matce Waszey serdecznie dluszszego zycia zyczę, y zdrowia, y Nayniszszym piszę się sługo X: Marek mp.

XVII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Interes wsi Kozanki, bynaymniey Wielmoznych Panstwa nie moze ukrzywdzic, ani poddanstwa, ani inwentarza podanego Jego Mosci Panu possesorowi od Was danego: na ktorego chocby sto diabłow, a nie jeden kaduk wypadł: gdyz kto kaduka wzioł y do dobr zastawnych, lub aręndownych wiechał, musi zaiezdnik, in termino wypłacenia summy, uczynic kalkulacyą, y pretensię, tak zniszczenia gospodarstwa jako, y poddanych zapłacic. Inne interessa w liscie wyrazone przyjmuje pod wszystkie Msze Swięte y Modlitwy.

Bądzcie zdrowi Wielmozne Panstwo y Dobrodzieystwo z Naymileyszą Matką y dziatwo. X. Marek.

Wielmozney Jey Mosci Pani Annie Wroblewskiey Stolnikowey Pani Dobrodzieyce w Czarniawce (1).

---

(1) Na kopercie dopisek ręki Marka: Dt 20 10bris w Maniowcach.

XVIII.

Wielmożne Panstwo i Dobrodziejstwo moje.

Niemam czasu listu pisać, ale najmilejszej matuni waszej, wam, Anusi, Stefusiowi, dzieciom i wszystkim w domu zostającym błogosławię. Bądźcie zdrowi. Xiądz Marek mp.

XIX.

Wielmozne Panstwo, a Nayosobliwsze Dobrodzieystwo moje.

Jako naypokorniey suplikuję wybaczyc mi, ze dotąt nie byłem w Czarniawce. ale coz? kiedy teraznieysze zakręty w naszey Prowincyi, utrzymują mnie. Lecz ja: obecny, lub nieobecny w Domu Waszym, zawsze za Wami, dziatwo, domem, y tortuną Waszą: stoje przed Bogiem. O naymileyszey duszy Matki Waszey nie turbujcie się: bo ta juz stoi przed Bogiem: za Was: y za nas. Badzcie zdrowi, y szczęsliwi, z dziatwą kochaną Waszą. X. Marek mp.

XX.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Interes w Kozance, y Czarniawce, strazy oddałem Aniołow Swiętych, aby Bog wszechmogący, nie dopuscił zguby. Sam dzis jadę do Uszomirza, a po jutrze do Annopola, gdzie będziem mieli Definitoryum. dnia 4 tego Czerwca. Od Annopola nie oddalę się chyba gdzie o mile lnb dwie, więc zyczyłbym przysłac Kozaka, zebym z nim nieodstępnie, az do Was jechał. Wam naymilsze Panstwo, Dzieciom, Domowi, y interesom: Bôskie zasyłam Błogosławienstwo. Badzcie zdrowi X: Marek mp.

Dt 23 Maja w Lisowszczyznie.

Wielmoznym Panstwu Wroblewskim Czesnikowstwu Kijowskim memu dobrodzieystwu w Czarniawce Wielkiey.

XXI.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

1 mo Sam się exkuzuję, zem był całe lato cięzskimi interesami tak Prowincyi jak y domowymi przycisniony zem nie mogł jechac do Czarniawki. Mieycie mie Wielmozne Panstwo za wy exkuzawonego.

2 do Interes J. W. Kasztelania, juz nieraz ku uspokojeniu Was Bogu oddawałem, nawet y ztąt zaczynał, zeby Jego Bog opatrywał: by y Was miał zkąt uspokoic.

3 tio Wołow skupowanie, niech się dopełnia. ale nie w zgon swoy, tylko szukac na mieyscu kupca.

4 to Naymileyszego Xawercia winszuję. Wam: y wszystkim dzieciom Błogosławienstwo Boskie zasyłam.

Wielmozny Jego Mosc Pan Gruszczynski az mi dziwno, ze na krew swoją, tak niecierpliwy, widząc, y wiedząc, swoje bespieczenstwo. Niech Go Bog oswieca y folg ku Wam doda.

Co wyraziwszy Wielmoznych WacPanstwa Dobrodzieystwa do nog upadam

X: Marek mp.

Donoszę koniki Wasze zdrowe, kozak dobrze odziany.

Teraz jadę w Zytomirski powiat, niedługo zabawię, a uspokoiwszy potrochu interesa do Czarniawki przyjadę y co będę mógł zabawię.

O Kozance: niema dnia zebym nie pamiętał przed Bogiem, będzie ona w domu Waszym wolna etc:

Dt. Wielmoznym Ich Mosc Panstwu Wroblewskim Stolnikowstwu Dobrodzieystwu w Czarniawce.

XXII.

Wielmozne Panstwo Czesnikowstwo Kijowscy Dobrodzieystwo moje.

Przy upadnieniu do stop Waszych donoszę iz poroznych mieyscach kozak, szukał mnie y podobno znowu wroci się do Annopola, y ten respons moy do Wielmoznych Panstwa zastanie, y odwiezie. Nie turbuycie się Naymileysze Panstwo. Wielmozny Panie Dobrodzieju, zdrowie Twoje, y gospodarowanie, albo urzędnictwa czyn: mocy Bozey oddałem y oddaję.

Podruzy Wielmozney Jey Mosci, do Warszawy, po naymileyszą dziatwę y powrotowi, z niemi zdrowymi, Błogosławię.

Badzcie mi zdrowi, weseli y zawsze szczęsliwi. X. Marek mp. (1).

Dt. 23 Jul. w Milatynie.

XXIII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Ja z Podlisa pewracając byłem u Waszey Familii do Wielmoznych zas Wac Panstwa Dobrodzieystwa w tych czasach jechac nie mogę gdyz w domu mam wiele do czynienia, y około fabryki staralność muszę czynic.

Boskie Wam zasyłam Błogosławienstwo. Badzcie zdrowi X. Marek mp.

XXIV.

Wielmozne Panstwo nayosobliwsze Dobrodzieystwo moje.

Z naygłębszą submissyą moją, dziękuję za wszystkie mi dobrodzieystwa swiatczone y dozgonną obligacyą przed Bogiem zabieram. przytym Boskie Wam: y naymiley dziatwie zasyłam, y zasyłac nie przestanę.

Badzcie zdrowi, szczęsliwi, y zawsze weseli. X Marek mp. (2).

Do Rąk Wielmoznych Ich Mosciow, Panstwa Wroblewskich Stolnikow stwa Inowrocławskich Dobrodzieystwa w Czarniawce Wielkiey.

XXV.

W Imię Jezus.

Pokoy Chrystusow, Miłosc Jego, zdrowie doskonałe, straz Aniołów Swiętych y Boskie Tobie Anno, Mężowi Stefanowi dzieciom Onufremu, y Tekli, w długoletnie zycie daję, y dawac nieprzestanę z Ołtarzowych Ofiar, Błogosławieństwo.

Badzcie zdrowi X. Marek mp.

Annie

XXVI.

W imię Jezus.

Pokoy Chrystusow, Miłosc Jego, zdrowie doskonałe, straz Aniołow Swiętych, uszczęsliwienie potomstwa, Boskie Wam Stefanowi, y Annie, Handlom, Fortunie, Domowi, Domownikom, Rolom . . . . . (3) daję y dawac nieprzestanę z Ołtarzowych Ofiar Błogosławienstwo. X. Marek mp.

XXVII.

Anioleczku a naymileysza Dziecino Dobrodzieyko.

Juz na wsiadaniu w dalszą drogę zastał mie list WPani Dobrodzieyki, więc listownie Boskie WPani, Mężowi y dziatwie zasyłam Błogosławienstwo.

Bądzcie zdrowi X. Marek mp.

Będę ja u Was pod Krzemiencem ale nie zaraz.

---

(1) Na drugiéj, zniszczonéj kartce tegoż listu, pozostały urywki z dopisku: „Czarniawkę, Kozan... mnie wiadomych... ustawicznie Bogu... kiedyś..." — (2) Na końcu listu dopisek inną ręką: „Ja z żoną moją y dziatwą przy zasłaniu winney attencyi naszey całuję stopy Pańskie. J. K. Grocholski." — (3) Wyraz zatarty.

XXVIII.

W imię Jezus.

Pokoj Chrystusów, miłość Jego, zdrowie doskonałe, straż Aniołów Świętych i Boskie wam Tomaszowi i Bogumile, potomstwu, domowi, domownikom, polom, rolom, stajniom, oborom, gumnom, pasiekom etc. daję i dawać nie przestanę z ołtarzowych ofiar błogosławieństwo. Xiądz Marek mp.

Wszelkim zaś chorobom, defektom, boleściom, nudnościom, alteracyom, zarazom, powietrzom, upadkom, przypadkom, szkodom, szkodliwościom, nieprawościom etc etc krwią Jezusową surowy ordynans daję: won! precz! na ustęp każę i przymuszam! Xiądz Marek mp. (1).

XXIX.

W imię Jezus.

Pokój Chrystusów, Miłość Jego, zdrowie doskonałe, straż Aniołów Świętych i Boskie wam, Tadeuszowi, Lukrecyi (2), najmilszej dziatwy, całemu domowi, dobrom, polom, pasiekom, stajniom, stadom, oborom etc daję i dawać nie przestanę z ołtarzowych ofiar błogosławieństwo. X. Marek mp.

XXX.

W imię Jezus.

Pokoj Chrystusów, miłość jego, zdrowie doskonałe, straz aniołów swiętych i Boskie Tobie Wojciechowi, Agnieszce, potomstwu..... (3), domowi, domownikom, polom rolom, pasiekom, gumnom, stajniom, stadom, oborom etc etc daję i dawać nie przestanę z ołtarzowych ofiar błogosławieństwo. Wszelkim zaś chorobom, defektom, ciężkościom, zarazom, piorunom, gradom, powietrzom, upadkom, przypadkom, szkodom szkodliwościom, mgłościom, opressyom etc etc krwią Chrystusową surowy ordynans daję: won, precz, na ustęp każę i przymuszam. X. Marek mp.

---

(1) Błogosławieństwo to z ordynansem dane było Bogumile i Tomaszowi Peretiatkowiczom, wojskim krzemienieckim. — (2) Łowczemu bydgoskiemu Cieleckiemu i jego żonie. — (3) Wyraz nieczytelny.

Władysław Smoleński.





SPRAWY EKONOMICZNE.

Kredyt państwowy i emisye w r. z.—Stan cukrownictwa w Królestwie i na Rusi. — Podatek od koni i pojazdów. — Piwowarstwo i miodosytnictwo na ziemiach polskich.—Inspekcye fabryczne.—Udział w przemyśle małoletnich i kobiet. — Praca nocna na fabrykach.—Kredyt rolniczy.—Bank dworzański. Banki wiejskie. — Ukaz z dnia 8 stycznia r. z. — Pożyczki na zastaw zboża i frachtów kolejowych.— Prawodawstwo kolejowe. — Stowarzyszenia ekonomiczne. — Ruch założycielski w r. z. w Królestwie i na Rusi. — Ustawa menniczna. — Zakończenie.

Działalność prawodawcza w kierunku *kredytu państwowego* nie była ożywioną w roku zeszłym, nie dlatego żeby finanse państwowe były w tak świetnym stanie, iżby nie potrzebowały nadzwyczajnych emisyi, ale głównie z przyczyny trwałego obniżenia się waluty rosyjskiéj. Owszem spór o granicę afgańską, demonstracyjna polityka gabinetu angielskiego, oraz krwawe zapasy na półwyspie bałkańskim zmuszały skarb państwa do nadzwyczajnych wydatków, które niewątpliwie przyjdzie pokryć środkami nadzwyczajnemi. Jak wiadomo, dług skarbowy Bankowi państwa za bilety czasowo podczas kampanii wschodniéj emitowane spłacany jest rocznemi ratami po 50 mil. rubli. Otóż na pokrycie raty 1884 r. skarb państwa przekazał Bankowi w roku zeszłym 25 mil. w 5% rencie wieczystéj w walucie kredytowéj i 20 mil. rub. w 5% rencie metalicznéj. Co się tyczy raty 1885 r., to w d. 31 grudnia r. z. skarb przelał do Banku państwa 36 mil. rub. w 5% wieczystéj rencie złotéj, któréj realizacya winna dać sumę dostateczną na spłatę 50 mil. rubli kredytowych.

Wiadomo czytelnikom, że w każdym niemal kraju oprócz długu państwowego skonsolidowanego i nieskonsolidowanego istnieje jeszcze szczególna forma długu bieżącego (*dette flottante*), który właściwie jest długiem skarbu — niejako długiem z bieżącego budżetu

wypływającym. Wydatki państwa zwykle nierównolegle z wpływami skarbowemi następują, są epoki w których skarb musi więcéj wydawać niż ma w swoich kasach, zatém rodzi się potrzeba chwilowego zaliczenia na rachunek spodziewanych wpływów. Jest-to więc pożyczka niejako nie państwa, ale skarbu państwowego, czasowa, którą wyobrażają zwykle bony i bilety skarbowe—krótkoterminowe (*bons de trésor*, *sieryi*). W Rosyi ten rodzaj długu nazywa się „biletami skarbu państwa“, albo po prostu seryami, mającemi ośmioletni obieg i przynoszącemi 4,32% dochodu rocznie. Biletów tych znajduje się w obiegu 72 serye po 3 mil. rub. każda, czyli na sumę 216 mil. rub. Jest-to papier ulubiony w Cesarstwie i nadzwyczaj rozpowszechniony, zwłaszcza pomiędzy kupcami rosyjskimi, gdyż on w zupełności a nierównie korzystniéj zastępuje lokacyą gotowizny w instytucyach kredytowych. Z téj-to przyczyny, oraz z powodu uprzywilejowania seryi, gdyż przy opłacie podatków przyjmowane są przez kasy skarbowe po cenie nominalnéj, uważamy, że odsetki 4,32% płacone od seryi są zbyt wysokie i bezwarunkowo winny być obniżone przynajmniéj do 3,60%, czyli do jednéj kopiejki dziennéj, a otrzymaną stąd oszczędnością 72 kop., czyli ogółem 1,555,200 rubli rocznie możnaby i same serye w ciągu 50 lat umorzyć.

W roku zeszłym emitowano serye i w nowéj formie. I tak ukazem z dnia 15-go stycznia r. z. wypuszczono dwie serye (CCLXXXV i CCLXXXVI) na sumę 6 mil. rub. z terminem czteroletnim w biletach 100-rublowych bez kuponów, z odsetkami składanemi w stosunku 4,32% płatnemi w chwili umorzenia seryi, t. j. po upływie czterech lat. W d. 15 czerwca r. z. emitowano cztery dalsze serye na 12 mil. rubli, mianowicie seryę CCLXXXVII w biletach po 100 rubli bez kuponów, serye CCLXXXVIII i CCLXXXIX po 100 rubli z kuponami i seryą CCLXC w dawnéj formie, to jest w biletach 50 rubli z kuponami,— razem więc w roku zeszłym emitowano sześć seryi na sumę 18 mil. rubli.

Serye jednak odnośnie do skarbu państwa utraciły już cechę długu bieżącego krótkoterminowego, a w rzeczywistości zamieniły się w dług stały i za taki zresztą uważa go ministeryum skarbu, które od kilku lat wprowadziło nową formę długu bieżącego. Są to *krótkoterminowe zobowiązania* (kratkosrocznyja obiazatielstwa) *skarbu państwa*, emitowane zwykle z terminem półrocznym i przynoszące dochód w stosunku 4% rocznie. W roku zeszłym wypuszczono dwie serye (razrjada) XIII i XIV po 25 mil. rub. każda, w obligacyach po 500, 1000 i 5000 rubli, umarzalnych po upływie sześciu miesięcy.

Na mocy § 10 ustawy Banku włościańskiego ziemskiego, minister skarbu mocen jest „zezwalać na emisyą“ 5½% świadectw Banku

włościańskiego ziem. na sumę 5 mil. rubli" rocznie, ponieważ jednak w roku zeszłym operacye téj instytucyi silnie się rozwinęły, więc rada państwa w d. 1 czerwca r. z. zezwoliła na dodatkową emisyą tych świadectw w sumie 10 mil. rubli. Papier ten oparty na ziemi kupionéj przez włościan z gwarancyą państwa, emitowany jest w sztukach po 100, 500 i 1000 rubli umarzalnych w ciągu $24\frac{1}{2}$ i $34\frac{1}{2}$ lat, przedstawia zatém lokacyą pewną i korzystną, kurs bowiem tych świadectw obecnie wynosi $102^5/_8$ rubli.

Z powyższego widzimy, że działalność skarbu państwa w roku zeszłym w kierunku emisyjnym była nader ograniczoną, lecz powtarzamy, ta skromność pochodziła głównie z powodu trwałego upadku kursu waluty rosyjskiéj. A że on nie był pocieszającym ani dla państwa, ani téż dla świata przemysłowo-handlowego, przekonywa następująca tabela. I tak płacono na giełdzie warszawskiéj w roku zeszłym:

Rok 1885	za 100 marek (30 rub.)	za 1 funt sterling. (6,30 r.)	za 100 franków (25 rub.)	za 100 florenów (60 rub.)	za korzec pszenicy	za korzec żyta
	rubli i kopiejek					
w dniu 2 stycznia. . . .	47.22½	9.55	38.20	78.35	—	4.87½
„ 3 lutego	46.50	9.45	37.67½	77.15	6.75	5.20
„ 2 marca	46.80	9.52	37.90	77.25	6.60	4.95
„ 2 kwietnia . . .	48.92½	9.76	38.75	79 -	—	5.10
„ 1 maja.	51.50	10.45	41.65	83.—	7.50	5 35
„ 1 czerwca . . .	48.45	9.85	39.25	79.50	7.25	5 05
„ 1 lipca	49.25	9.97	39.85	80.65	7.50	5.10
„ 1 sierpnia . . .	49.82½	10.11	40.30	81.68	8.50	5.25
„ 1 września . . .	49.30	10.01	39 90	80.90	6.60	5.05
„ 1 października . .	50.45	10.23	40.70	81.55	6.60	5.—
„ 2 listopada . . .	49.95	10.13	40.32½	81.35	6.50	4.50
„ 2 grudnia. . . .	50.22	10.15	40.60	81.10	—	4.20
„ 31 grudnia. . . .	50.25	10.14	40.60	81.30	6.22½	—

W tymże samym czasie kurs główniejszych papierów polskich na giełdzie warszawskiéj był następujący:

Rok 1885	LISTY ZASTAWNE					Listy likwidacyjne	Obligi kanalizacyjne
	ziemskie I ser.	ziemskie V ser.	warszawsk. I ser.	warszawsk. IV ser.	miasta Łodzi I ser.		
	rubli i kopiejek						
w dniu 2 stycznia . . .	97.50	—	94.60	91.85	85.—	87.50	91.—
„ 3 lutego . . .	100.—	95.90	95.50	92.60	87.75	88 50	91.—
„ 2 marca . . .	100.—	96.75	95.50	93.30	88.25	87.25	92.15
„ 2 kwietnia. . .	99.65	96.75	95.50	93 65	87.50	89.—	92.15
„ 1 maja . . .	100.—	96.25	95.25	93.30	89.—	89.—	91.75
„ 1 czerwca . . .	99.85	96.35	95.50	93.30	89.—	89.40	92. –
„ 1 lipca	98.50	95.60	95.30	92.—	89.—	89.70	—
„ 1 sierpnia . . .	98.35	94.30	95.50	92.—	88.75	89.50	—
„ 1 września . .	98.25	94.15	95.50	92.45	89.—	—	—
„ 1 października .	97.75	93.70	95.25	92.—	89.—	89.40	90.70
„ 2 listopada . .	97.15	93.75	95.25	91.70	89.—	89.40	—
„ 2 grudnia . . .	97.60	93.60	95.—	91.50	89.75	89.30	89.75
„ 31 grudnia . . .	97.90	94.10	95.—	92 —	90.—	89 25	89.75

Nic nie zwiastuje, aby i w roku bieżącym kursa waluty rosyjskiéj znacznie się poprawiły, owszem, spodziewane emisye tak na rzecz skarbu państwa jak i gwarantowane przez rząd (listy zast. banku dworzańskiego i t. p.) mogą nie być bez wpływu na wartość rubla, tém więcéj, że budżet państwowy na r. b. wykazuje stosunkowo znaczny deficyt.

Jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu ściśle z rolnictwem związanych jest *cukrownictwo*, istniejące w 24 guberniach Cesarstwa i Królestwa Polskiego. W kampanii 1884/5 r. było czynnych 246 cukrowni i rafineryi, z których 209 systemu dyfuzyjnego i 37 prasowych, przerabiających buraki z 297,756 dziesięcin zebrane w ilości 32,636,403 berkowców, przy średnim urodzaju 109 berkowców z dziesięciny. Z téj ilości wyprodukowano:

rafinady	3,966,507	pudów
mączki cukrowéj białéj . .	18,037,863	„
cukru żółtego	160,038	„
patoki	17,513	„
razem .	22,181,921	pudów.

Oto są ogólne dane o stanie cukrownictwa, — z nich przypada:

I. **Na Królestwo Polskie.**

	cukr. i rafiner.		pod burakami dziesięcin		zebrano buraków 10-pudowych berkowców	Średnio z dziesięciny berkowców
	prass.	dyfuz.	przy fabryk.	u plantatorów		
w gub. warszawskiéj. . .	—	19	497	26,348	2,791,750	104
" kaliskiéj	–	5	169	5,188	538,000	100
" płockiéj	—	3	—	3,555	421.825	119
" lubelskiej	1	4	28	2,826	344,550	121
" radomskiéj . . .	—	3	63	2,595	268,000	101
" kieleckiéj	—	2	30	1,880	194,250	102
" łomżyńskiéj . . .	—	2	135	653	162,165	205
" piotrkowskiéj . .	—	2	11	2,366	147,000	62
" siedleckiéj . . .	—	1	4	1,510	135,000	90
razem .	1	41	934	46,921	5,002.540	104

II. **Na Ruś.**

w gub. kijowskiéj. . . .	3	64	38,811	48,017	10,504.127	121
" podolskiéj. . . .	1	50	22,763	40,109	7,000,000	111
" wołyńskiéj . . .	—	11	7,351	7,465	1,514,254	102
razem .	4	125	68,925	95,591	19,018,381	115

zatém w Królestwie Polskiém było czynnych cukrowni w kampanii 1884/5 r. 17%, na Rusi 52%, czyli razem 69% ogólnéj ilości cukrowni i rafineryi w państwie. Co się tyczy wytwórczości, to w tymże czasie wyprodukowano i zważono (przez organa akcyzne):

	w Król. Polsk.	na Rusi	razem
rafinady	2,358,074 pud.	1,505,262 pud.	3,863.336 pud.
mączki cukrowéj.	1,479.291 "	11,819,035 "	13,298,326 "
cukru żółtego . .	95.168 "	62,517 "	157,685 "
patoki.	583 "	16,742 "	17,325 "
ogółem .	3,933,116 pud.	13,403,556 pud.	17,336,672 pud.

czyli rafinady w Królestwie Polskiém wyprodukowano 60%, a na Rusi 37%, oraz mączki cukrowéj w kongresówce 8%, a na Rusi 65% ogólnéj wytwórczości w państwie. Dane powyższe wskazują, że cukrownictwo zajmuje istotnie wydatne miejsce w przemyśle, a jako ściśle związane z rolnictwem zasługuje też i na szczególniejszą opiekę. I tę opiekę cukrownictwo rzeczywiście posiada, będąc prawdziwym benjaminkiem obecnego zarządu ministeryum skarbu; szczególniéj rok zeszły był obfitym w środki prawodawcze zmierzające do utrzymania w stanie kwitnącym téj gałęzi przemysłu. Przesilenie cukrowe spowodowało kilka przyczyn, pomiędzy któremi spekulacya na zwyżkę

cen zajmuje wybitne miejsce. Spekulacya podniosła cenę mączki do 7½ rub. za pud, a polityka celna gorliwie wspierała w tym razie grę cukrową, bo obłożenie cłem w wysokości 2 rub. 20 kop. zł. od puda równa się wprost zakazowi przywozu rafinady z zagranicy. W takich okolicznościach cukrownie dawały olbrzymie dywidendy, które z kolei sprowadziły nadprodukcyą tém znaczniejszą, że w 1884 roku zebrano buraków o 7,640,912 berkowców więcéj niż w peryodzie poprzednim. Ceny w porównaniu z epoką gorączki cukrowéj spadły niemal o połowę i dla akcyonaryuszy po latach tłustych nastąpiły chude. Lecz przemysłowcy i akcyonaryusze przywykli otrzymywać po 15, 20, 30%, a nawet często i daleko więcéj od włożonych kapitałów, dziś dywidendę w ilości np. 5% uważali za ironię losu, podjęli alarm i zabiegi o pomoc państwową, zapomniawszy o niedawno pobranych olbrzymich dywidendach, które nietylko dały odpowiedni dochód, ale i nieraz w całości spłaciły włożone kapitały. Ministeryum skarbu uwzględniło starania cukrowników, my przeciwko temu nicbyśmy miéć nie mogli, gdyby i inne gałęzie przemysłu, a głównie rolnictwo równą cieszyły się opieką; lecz niektóre fakta przeczą o równomiernem rozdziale „faworów państwowych“ jak powiada pan Waldeck-Rousseau.

W celu ułatwienia wywozu cukru za granicę, decyzyą komitetu ministrów z d. 24 lipca r. z. postanowiono: *a*) oprócz dotychczasowego zwrotu akcyzy (w ilości 65 kop. od puda) wydawać wywozowcowi *premię* po rublu od puda cukru wywiezionego za granicę do d. 13 stycznia r. b., a na rynki azyatyckie do d. 13 lipca r. b.; *b*) suma premii będzie zwrócona przez *fabrykantów* przy opłacie akcyzy, sposobem stosunkowego rozdziału do ogólnéj ilości cukru wyprodukowanego w kampanii 1885/6 i 1886/7 r.; *c*) rafinada winna zawierać przynajmniéj 99,5% cukru; *d*) ogólna suma premii ogranicza się do 2 mil. rubli.

Przywileje powyższe nader korzystnie wpłynęły na zwiększenie wywozu cukru za granicę, a że mimo to ceny się nie podniosły, więc komitet ministrów w dalszym ciągu d. 21-go listopada r. z. postanowił premią w wysokości rubla wydawać tylko od cukru wywiezionego do dnia 13 listopada r. z., od téj zaś daty po 13 maja 1886 r. premią obliczać po 80 kop. od puda, bez ograniczenia ilości wywozu, lecz z warunkiem rozłożenia téj premii na cukier wyprodukowany w ciągu czterech kampanii, począwszy od 1885/6 r. Nareszcie d. 23 grudnia r. z. kantory i oddziały Banku państwa upoważnione zostały do udzielania pożyczek na zastaw cukru w wysokości 60% taksy i maximum po 2½ rubla od puda mączki, a 3½ rub. od puda rafinady, oraz minimum pożyczki w ilości 5,000 rubli.

Wypłata premii nie jest nowością w Rosyi, jeszcze w 1876 roku dozwolono zwracać akcyzę od cukru wywożonego za granicę. Nazywało się to wtedy tylko zwrotem akcyzy, lecz ponieważ zwracano ją w ilości 80 kop. od puda, a akcyza w rzeczywistości wynosiła tylko 20—25 kop., to reszta była właściwie premią. W innych państwach, również w celu poparcia téj gałęzi przemysłu skarb wydaje premią, np. w Austro-Węgrzech po 19 kop., w Niemczech 30 kop. od mączki i 40 kop. od puda rafinady, a w Belgii 49 kop. od puda — i to premią bezzwrotną; to też powtarzamy, że i my nie mielibyśmy nic przeciw tak szczodréj zachęcie ze strony państwa, gdybyśmy widzieli, że i inne gałęzie, a głównie rolnictwo równą się cieszy opieką. Wspieranie bowiem jednéj tylko gałęzi przemysłu może łatwo sprowadzić przeniesienie kapitałów z przedsięwzięć mniéj zyskownych, a więcéj koniecznych (np. rolnictwa) i spowodować przesilenie tego właśnie działu pracy ekonomicznéj, którym tak troskliwie ministeryum skarbu się zaopiekowało.

W rzędzie podatków ustanowionych dla specyalnych miejscowości zaznaczamy:

1) Rada państwa d. 26 maja r. z. dozwoliła zarządowi *m. Żytomierza* pobierać na korzyść miasta od każdego konia po 5 rubli i od pojazdu po 6 rubli rocznie.

2) Taż władza d. 9 czerwca r. z. zezwoliła zarządowi *m. Kowna* pobierać na rzecz kasy miejskiéj podatek od konia po 5 rubli i od pojazdu po cztery ruble rocznie.

Podatki tego rodzaju istnieją już w wielu miastach Cesarstwa i często stanowią znaczną pozycyą dochodów miejskich, pożądaném byłoby aby i nasze miasta wyjednały zezwolenie pobierania opłaty od koni i pojazdów, w zasadzie sprawiedliwéj, chociażby w celu poprawy a może i samego zabrukowania ulic.

Działalność prawodawcza w roku zeszłym dotknęła i ważną gałęź przemysłu — *piwowarstwo*, zanim jednak ją przedstawimy, choć w kilku słowach poznajomimy czytelników z obecnym stanem piwowarstwa u nas, oraz z *miodosytnictwem*, jak objaśnimy poniżéj, już tylko z tradycyi zachowującém to miano, dziś nieodpowiednie. Nadmieniamy przytém, że wszelkie dane liczbowe przytaczane gdziekolwiek w obecnéj naszéj pracy są czerpane z najnowszych źródeł urzędowych, albo téż dopełniane własnemi obliczeniami, lecz i w tym razie na ściśléj podstawie danych urzędowych.

Jeżeli o stanie piwowarstwa sądzić z liczby czynnych browarów, to gałęź ta przedstawiałaby się w upadku, gdyż ogólna liczba browarów wynosząca w 1876 roku 2145, zmniejszyła się w 1884 r. do

1592, czyli o 26%. Wprawdzie w ostatnich latach zmalała i ogólna wytwórczość browarów, lecz fakt ten jest chwilowém i naturalném następstwem zastoju w przemyśle i handlu, zmniejszenia zarobków przez ludność fabryczną i miejską, która jest głównym spożywcą piwa. Zmniejszenie liczby browarów także nie może być oznaką upadku piwowarstwa, ale winno być uważane jako skutek zamknięcia małych browarów wiejskich wywarzających piwo niższych gatunków, i z przyczyn technicznych, nie mogących wytrzymać współzawodnictwa z potężnemi przemysłowo-handlowemi zakładami, jakiemi są np. browary warszawskie. Piwowarstwo kwitnie przedewszystkiém w prowincyach polskich, guberniach nadbałtyckich, oraz wielkich miastach Cesarstwa, zwłaszcza w tych, gdzie w większéj liczbie przebywają cudzoziemcy. Rosyanin pije piwo nader rzadko, bo ulubionym narodowym dla niego napojem jest „oczyszczennaja" i wogóle „chliebnoje wino", które przenosi nad wszelkie inne krajowe i „niemieckie" (1) trunki. Z ogólnéj liczby czynnych w 1884 r. 1592 browarów i 596 miodosytni, od których pobrano akcyzy i patentowego 5,224,642 ruble, przypada:

I. **Na Królestwo Polskie.**

	browarów	miodosytni	pobrano akcyzy i patentow. z piwa	pobrano akcyzy i patentow. z miodu
w gub. warszawskiéj . .	51	13	554,994	979
„ piotrkowskiéj . .	49	16	154,184	523
„ lubelskiéj	42	10	94,942	258
„ radomskiéj . . .	29	4	71,680	150
„ płockiéj	25	5	62,936	111
„ siedleckiéj . . .	57	5	54,938	146
„ łomżyńskiéj . . .	32	11	47,948	227
„ kaliskiéj	21	19	44,583	370
„ suwalskiéj . . .	41	4	35,112	76
„ kieleckiéj	18	4	34,247	236
razem .	372	91	1,155,564	3,076

II. **Na Litwę i Ruś.**

	browarów	miodosytni	z piwa	z miodu
w gub. wileńskiéj . . .	61	5	162,217	161
„ kowieńskiéj . . .	99	10	136,112	237
„ grodzieńskiéj . . .	80	25	130,815	1,224
„ witebskiéj	31	1	81,466	10
„ mińskiéj	52	7	37,188	263
„ mohylewskiéj . .	17	—	25,479	—
„ kijowskiéj	26	23	91,410	1,343
„ wołyńskiéj . . .	65	8	66,912	651
„ podolskiéj	23	7	31,111	225
razem .	454	86	762,710	4,114

(1) Objaśniamy czytelnikom, że „Korennoj rassijskij czełowiek" każdego cudzoziemca nazywa „niemcem", bez względu czy on istotnie niemiec, francuz, włoch, anglik, grek i t. p.

Co się tyczy wytwórczości browarów, to niema ścisłych danych urzędowych, gdyż akcyza pobieraną jest nie od ilości piwa, ale od objętości kadzi zacierowych i liczby samych zacierów, ponieważ jednak na mocy dawniejszych obliczeń urzędowych wiadomo, że wiadro piwa obciążone jest średnio akcyzą po 16,7 kop. więc przypuszczalna wytwórczość browarów wynosiła w 1884 r.
w Królestwie Polskim 6,804,901 wiader czyli 0,92 w. na mieszkańca
na Litwie i Rusi . . . 4,481,353 „ „ 0,30 „

Co do miodosytni, to wytwórczość ich nader małoznaczna. Ta gałąź przemysłu niegdyś w Polsce w tak kwitnącym stanie będąca, dziś jest w zupełnym upadku, raz z powodu wycieśniania przez tańszy trunek piwo, a może głównie dlatego, o czém czytelnicy zapewne nie wiedzą, że podług sprawozdań zarządów akcyznych dzisiejszy „*miód*“ wyrabiają miodosytnie *prawie wyłącznie z cukru*, *patoki* z przymieszką materyałów pachnących, a ów miodek tak skrzętnie zbierany przez pszczółki jest zwykle *mytem*, a nader rzadko materyałem używanym do fabrykacyi trunku naszych ojców. Owszem podług relacyi zarządu akcyzy, właściciele miodosytni twierdzą, że nawet napój sycony z miodu jest szkodliwym dla zdrowia.

W 1883 roku pod prezydencyą p. Jermołowa, dyrektora departamentu dochodów niestałych obradowała komisya z przedstawicieli akcyzy i rzeczoznawców w celu częściowéj zmiany przepisów o piwowarstwie, a głównie wynalezienia racyonalnych sposobów zwiększenia dochodu skarbowego z téj gałęzi przemysłu. Rezultatem badań było postanowienie Rady państwa z d. 27 stycznia r. z. aby 1°) objętość kadzi zacierowéj w browarach w miastach wynosiła minimum 100 wiader, a w innych miejscowościach przynajmniéj 35 wiader; 2°) piwo i porter były wywarzane tylko z materyałów zbożowych, drożdży i chmielu; 3°) aby fabrykant zawiadamiał nadzór akcyzy, o czasie rozpoczęcia i ukończenia główniejszych robót w browarze; 4°) w browarach, zacierających najwyżéj dwa razy dziennie, roboty winny się rozpoczynać najwcześniéj o 5 rano i kończyć najpóźniéj o 9 wieczorem; 5°) w każdym browarze winien się znajdować odpowiedzialny piwowar; 6°) w czasie zaprzestania robót w browarze, lub miodosytni, wszelkie aparaty i naczynia winny być opieczętowane; 7°) akcyza od piwa wywożonego zagranicę będzie zwracaną w stosunku istotnego obłożenia każdego wiadra; 8°) przedającym piwo wzbrania się dolewać wody lub innych materyałów, choćby zdrowiu nieszkodliwych, jak również mieszać piwo z rozmaitych browarów; 9°) składy piwa i miodu mogą być otwierane oddzielnie od innych handli trunków; 10°) piwowarom dozwala się przedawać piwo bez oddzielnego patentu z wozów i łódek, w ilości najmniéj

trzech wiader lub 60 butelek, jak również odstawiać do domów zamówione piwo; 11°) w jadłodajniach i handlach trunków dozwala się przedawać piwo dla konsumcyi na miejscu tylko w takich naczyniach, na których kreską (czertoju) oznaczona będzie objętość cząstki wiadra; 12°) za naruszenie przepisów akcyznych piwowar podlega karom przewidzianym dla gorzelnictwa; 13°) patentowe z browarów pobierane będzie w Warszawie w ilości 150 rubli z doliczeniem po 1½ r. za każde wiadro objętości kadzi zacierowéj po nad 100 wiader,—w innych zaś miejscowościach po 50 rubli, jeżeli kadź ma objętość 100 wiader, i 20 rubli przy objętości 35 wiader, z doliczeniem w obu razach po 50 kop. za każde wiadro wyżéj normy.

Przepisy powyższe mają głównie na celu zwiększenie akcyzy od piwa, lubo jednocześnie znacznie ułatwiając zbyt, nie pozostaną bezwarunkowo bez wpływu na zwiększenie produkcyi. Żałować tylko należy, że piwowarstwo nader szybko traci charakter przemysłu gospodarczo-wiejskiego, stając się coraz wybitniéj przemysłem handlowo-miejskim. Również byłoby pożądaném powstrzymanie upadku browarów wiejskich wytwarzających piwo tak zwane zwyczajne, tanie i dostępne dla włościan i w ogóle ludności niezamożnéj, gdyż większe rozpowszechnienie piwa bezwątpienia wpłynęłoby na zmniejszenie użycia alkoholu.

Do końca XVIII wieku *małoletni i kobiety* mały miały udział w przemyśle fabrycznym. Dopiero wynalezienie machin ułatwiających pracę fizyczną spowodowało większy udział nie tylko kobiet dostatecznie rozwiniętych, ale i niedorostków, zwłaszcza na fabrykach przerabiających materyały włókniste. Fabrykanci posiłkowali się chętnie tym elementem jako znacznie tańszym, doszło do tego, że na wielu fabrykach zajmowano pracą dzieci ośmio, a nawet i sześcioletnie i to nietylko we dnie, ale i w nocy. Rzecz naturalna, nieszczęśliwe ofiary nie mogły się dostatecznie rozwinąć fizycznie a o wykształceniu umysłowém w tym stanie rzeczy, mowy być nie mogło. Bezustannie wzrastał stosunek nieletnich na fabrykach jako następstwo chciwości pracodawców, bynajmniéj nietroszczących się o los tych niewolników XIX wieku. Młode dziewczęta niedostatecznie rozwinięte, pracując razem z mężczyznami łatwo przywykały do sposobu życia nieodpowiedniego ich płci i wiekowi. Pijaństwo, nierząd i syfilis pomiędzy małoletniemi na wielu fabrykach stały się objawem chronicznym. Taki stan rzeczy musiał nareszcie zwrócić uwagę właściwych organów, zniewalając prawodawstwo do przedsięwzięcia odpowiednich środków.

W Anglii, téj klasycznéj ziemi przemysłu fabrycznego, najpierw zwrócono uwagę na pracę kobiet i niedorostków. Już w 1802 r. pra-

wo ograniczyło pracę małoletnich na fabrykach przerabiających wełnę i bawełnę; następnie uregulowano udział nieletnich i kobiet w innych gałęziach przemysłu. Inne państwa poszły za przykładem Wielkiéj Brytanii, lubo znacznie późniéj. W Rosyi jeszcze w 1859 r. utworzono przy ministerium skarbu komisyą dla przejrzenia ustawy fabrycznéj i rzemieślniczéj, która po pięciu latach ukończyła pracę, wydając pięciotomowe dzieło p. t. „Trudy komisyi uczreżdiennoj dla pieresmotra ustawow fabrycznago i remieslennago, 1864." Studya te zawierają wiele ciekawych danych, nie przyniosły jednak żadnego rezultatu, boć komisye powstają najczęściéj pod wpływem chwili. Okoliczności lub nowe prądy zmuszają często organa państwowe do przedsięwzięcia reform, ale reformy zwłaszcza w sferze ekonomicznéj muszą być poprzedzone gruntowném przestudyowaniem zjawisk powodujących potrzebę ulepszeń. Organa państwowe zwykle zaskoczone okolicznościami okazują się nie dosyć kompetentnemi, tworzą się zatém specyalne komisye z wysokiém uposażeniem i całym sztabem kancelaryjnym. Studya trwają lata, a często i dziesiątki lat, okoliczności się zmieniają, chwilowa gorączka słabnie i w rezultacie komisye, wygotowawszy grube folianty studyów w danéj materyi, przechodzą w stan spoczynku, a zebrane cenne nieraz materyały i projekta składają się do akt, w oczekiwaniu „lepszych czasów." Taki jest los większości komisyi, a w téj liczbie i komisyi wyżéj zacytowanéj, z tą jednak różnicą, że prace jéj przez wydrukowanie ujrzały światło dzienne.

Dopiero 13 czerwca 1882 r. prawo uregulowało pracę małoletnich na fabrykach przez 1°) niedozwolenie udziału w pracy na fabrykach dzieci, nie mających 12 lat, 2°) ograniczenie pracy do 8 godzin dziennie małoletnich od 12—15 lat, 3°) wzbronienie dzieciom nie mającym lat 15 zajmowania się na fabrykach w porze nocnéj, to jest pomiędzy godziną 9 wieczorem i 5 rano. Ze względu na wielką liczbę małoletnich pracujących na fabrykach prawodawca dozwolił do d. 13 maja 1886 r. pracować dzieciom od 10—12 lat, ale tylko we dnie i nieletnim od 12—15 lat i w nocy, lecz w obu razach tylko tym, którzy w chwili wydania prawa zajęci byli na fabrykach. W rozwinięciu powyższych przepisów minister skarbu wydał w d. 6 maja 1884 r. rozporządzenie wyjaśniające prawo o małoletnich. Pan minister objaśnił, że po dzień 13 maja r. b. małoletni od 10—12 lat mogą być zajęci we dnie na przędzalniach i tkalniach, hutach szklannych, fabrykach luster, tapet, papierniach, oraz fabrykach tabacznych, z wyłączeniem tych wszystkich robót, spełnianie których bezwarunkowo jest wzbronione małoletnim do lat 15. Daléj rozporządzenie dozwala podrostkom od 12—15 lat pracować w nocy niedłu-

żéj czterech godzin na przędzalniach, tkalniach i hutach szklannych. Nakoniec przepisy wzbraniają małoletnim do lat 15 pracować w 36 gałęziach przemysłu całkowicie, lub też w niektórych poszczególnych robotach jak np. w blicharniach, trzepalniach, czesalniach, fabrykach przerabiających szmaty i odpadki włókniste, w garbarniach, fabrykach mączki kostnéj, wojłoku, farb cynkowych, ołowianych, w piekarniach, drukarniach w nocy itp.

W dalszym ciągu Rada państwa 17 czerwca 1884 r. wydała postanowienie o karach za naruszenie przepisów o pracy małoletnich, na mocy którego 1° właściciele lub zarządzający fabrykami rękodzielniami i warsztatami rzemieślniczemi podlegają karze aresztu na przeciąg czasu najwyżéj miesięczny, lub pieniężnéj do 100 rubli, 2° też same osoby karane będą grzywnami do 100 rubli za niedanie małoletnim możności uczęszczania do szkół ludowych jednoklasowych, 3° jeżeli zawiadujący fabryką, rękodzielnią lub warsztatem rzemieślniczym dowiedzie, że naruszenie przepisów nastąpiło bez jego wiedzy przez inną osobę, to powyższym karom podlegnie ta osoba.

Prawodawstwo fabryczne zagroziwszy karami za naruszenie przepisów, określiło zarazem sposób nauczania małoletnich pracujących na fabrykach i rękodzielniach. Rada państwa w d. 24 czerwca 1884 r. postanowiła, aby małoletni nie mający świadectw z ukończonych nauk w jednoklasowéj szkole ludowéj, lub innéj odpowiedniéj uczęszczali do szkół otwieranych przy fabrykach, albo też do pobliskich ludowych. Szkoły przy fabrykach zakładać mogą swoim kosztem właściciele zakładów przemysłowych, przy czém plan nauk, zakres i sposób uczęszczania określa bliżéj inspektor fabryczny w porozumieniu z dyrektorem szkół ludowych. W razie odmowy otwarcia szkoły przy zakładach przemysłowych, inspekcya fabryczna winna przedsięwziąć odpowiednie środki, aby małoletni mogli uczęszczać do pobliskich szkół ludowych, lub też postarać się u ziemstw, miast, gmin, parafii itd. aby podobne zakłady naukowe urządzone zostały.

Celem bliższego nadzoru nad pracą małoletnich, na fabrykach i rękodzielniach, ustanowiono *inspekcyą fabryczną* złożoną z głównego inspektora, oraz dziesięciu inspektorów okręgowych i tyluż pomocników. Całe zatém państwo podzielono na dziesięć okręgów fabrycznych, z których jeden obejmuje Królestwo Polskie z siedzibą inspektora w Warszawie i pomocnika w Łodzi, drugi wileński dla gubernii litewskich białoruskich i kurlandzkiéj z miejscem zamieszkaniu inspektora w Wilnie i pomocnika w Grodnie, trzeci dla gub. kijowskiéj, wołyńskiéj i podolskiéj i chersońskiéj z siedzibą inspek-

tora w Kijowie, a pomocnika w Kamieńcu Podolskim itd. Nadzór inspekcyi nie rozciąga się na warsztaty rzemieślnicze i drobnego przemysłu, na zakłady rządowe, oraz na prywatne zakłady górnicze, mające oddzielną inspekcyą. Co się tyczy przedsiębierstw opłacających akcyzę (cukrowni, gorzelni itp.), to nadzór nad pracą małoletnich w tych zakładach należy do organów akcyznych. Przedstawiciele inspekcyi fabrycznéj obowiązani są o ile możności jak najczęściéj zwiedzać zakłady fabryczne w swoim okręgu, jak również pomieszczenia dla robotników, i pilnować ścisłego wypełnienia przepisów o pracy małoletnich. Po ukończeniu roku inspektorzy okręgowi składają głównemu inspektorowi roczne sprawozdania ze swoich czynności i spostrzeżeń, które następnie mają być podawane do wiadomości publicznéj.

Opinią organów rządowych o szkodliwości pracy w porze nocnéj dla kobiet i małoletnich podzielili przedstawiciele przemysłu okręgu petersburskiego, domagając się wzbronienia fabrykom zajmowania w nocy téj kategoryi robotników. Fabrykanci petersburscy kierowali się tu nietylko humanitarnemi względami, ale i czysto kupieckiemi, chcąc tym środkiem zmniejszyć wytwórczość i oswobodzić rynki od nadprodukcyi przemysłowéj. Zakaz pracowania w nocy kobietom i podrostkom równa się bowiem dla wielu gałęzi przemysłu zamknięciu fabryk w porze nocnéj. Szczególniéj w środkowéj Rosyi procent kobiet i małoletnich na fabrykach jest bardzo znaczny, i tak na przędzalniach wynosi około 45%, tkalniach 63%, a w fabrykach tabacznych dochodzi nawet 82%. Dla bliższego rozpatrzenia podania przemysłowców petersburskich ustanowiono specyalną komisyą, do któréj powołano także i fabrykantów z gubernii moskiewskiéj i włodzimierskiéj, jako najważniejszych w przemyśle bawełnianym i wełnianym, najwięcéj zatrudniającym robotników powyższych kategoryi. Rezultatem badań było postanowienie Rady państwa z 15 czerwca 1885 r., mocą którego z dniem 13 października r. z. wzbroniono pracować w porze nocnéj kobietom i podrostkom do lat 17 na fabrykach przerabiających materyały włókniste tj. w przemyśle bawełnianym, lnianym i wełnianym, z możnością dalszego rozszerzenia tego ograniczenia na inne gałęzie przemysłu, po wzajemném porozumieniu się ministrów skarbu i spraw wewnętrznych.

Podobne przepisy istnieją już w innych państwach np. w Anglii kobiety pod względem pracy na fabrykach zrównano z małoletnimi, w Szwajcaryi nocna praca dla kobiet bezwarunkowo wzbroniona, we Francyi prawodawstwo ogranicza nocną robotę tylko dla niepełnoletnich dziewcząt, w Niemczech upoważniono Radę związkową do wydawania odpowiednich rozporządzeń itp. Tak humani-

tarne przepisy w zastosowaniu do przemysłu w Cesarstwie osiągnęły w pierwszych chwilach skutki zupełnie nieoczekiwane, a to z téj przyczyny. Bardzo znaczny procent, jeżeli nie większość robotników fabrycznych w Cesarstwie, nie są to z krwi i kości robotnicy fabryczni, wyłącznie i stale przemysłem zajęci, oraz przenoszący uzdolnienie i nabyte wiadomości z ojca na syna, ale są to okoliczni, a nawet i z dalszych stron włościanie szukający zarobku w zimie. Ten peryodyczny napływ sił roboczych powoduje obniżkę zarobków podczas zimy, które w niektórych okręgach fabrycznych zeszły do minimum zabezpieczającego zaledwie od głodnéj śmierci. W skutek nowego prawa o pracy nocnéj, fabrykanci zatrudniający wiele podrostków i kobiet zmuszeni zostali do ograniczenia wytwórczości i zamknięcia fabryk w nocy, co miało ten rezultat, że robotnicy mogli teraz przez mniejszą liczbę godzin pracować. Okoliczność ta spowodowała panikę pomiędzy robotnikami, którzy téż zwłaszcza w gubernii włodzimierskiéj tłumnie zaprzestawali roboty, a nawet w niektórych miejscowościach dopuszczali się wykroczeń, które siłą potrzeba było poskramiać. Bądź co bądź, prawodawstwo fabryczne ostatnich trzech lat zawiera wybitne cechy humanitarności i jakkolwiek w pierwszych chwilach wywołuje tu i owdzie niezadowolenie, to jednakże w zupełności zasługuje na uznanie, a czasowe niezadowolenie z ułożeniem się stosunków fabrycznych niewątpliwie zniknie ustępując miejsca zobopólnéj korzyści tak dla przemysłu jak i dla pracowników.

Kredyt rolniczy zawsze był zależnym od stanu rolnictwa, położenia większéj własności ziemskiéj w danėm państwie, jak również i od stosunku pomiędzy rentą otrzymywaną z ziemi a wysokością obciążenia. Stałe zachowywanie równowagi pomiędzy rozchodem i dochodem otrzymywanym z danego szmatu gleby jest nader trudném, trudniejszém niż w każdéj innéj gałęzi pracy ekonomicznéj, gdyż ziemia jest powiększéj części własnością osobistą niezawsze dowolnie dzielić się dającą. Gdy więc np. fabryki na kapitale akcyjnym oparte łatwo mogą zmieniać właścicieli i być rozdrabniane za pomocą prostéj przedaży akcyi lub udziałów, to podział ziemi pomiędzy spadkobiercami najczęściéj dokonywa się przez zaciągnięcie długu hipotecznego na spłatę działów, zwykle na odsetki wyższe od otrzymywanéj renty. Zatém obciążenie ziemi nad możność pokrycia dochodem jest najczęściéj początkiem niedoli rolnika, tém cięższéj im częściéj dołączają się do niéj wypadki losowe, jak nieurodzaj, gradobicie, wylewy itp. lub téż nadprodukcya rolnicza stron żyzniejszych, taniéj wytwarżać mogących. Kryzys rolniczy dotyka obecnie całą niemal Europę, ale najcięższéj te państwa, których wielka rozlę-

głość i rozmaitość gleby przy trudnéj komunikacyi niepozwala równomiernie rozłożyć płodów przyrody pomiędzy poszczególne prowincye. Stąd téż np. w Rosyi spotykamy w niektórych stronach nadzwyczajny upadek cen zboża i zupełny brak zbytu, nawet po cenach niżéj kosztu, gdy jednocześnie na drugim krańcu tego państwa ludność mrze niemal z głodu, z powodu nieurodzaju i fizycznéj prawie niemożności dowozu ze stron dalszych. Jeżeli do tego dodamy brak w Cesarstwie kadastru i hipoteki, to nic dziwnego, że pomimo kilkunastu instytucyi kredytu ziemskiego, kredyt rolniczy jest nader drogim, a sami ziemianie znajdują się często w położeniu bez wyjścia.

Położenie własności ziemskiéj na Litwie i Rusi jest jeszcze trudniejszém, bo tu prócz czynników ekonomicznych, warunki polityczne ważną odgrywają rolę, zwłaszcza od chwili oswobodzenia włościan. Słowem w całém państwie rosyjskiém nad stosunkami rolniczemi zapanowała ciężka—duszna atmosfera i środki prawodawcze mające na celu ulżenie niedoli stały się koniecznością. Pierwszym aktem było utworzenie *Banku włościańskiego ziemskiego*, którego sześć oddziałów operuje na całém terytoryum Litwy i Rusi z wyjątkiem gub. mińskiéj i witebskiéj. W ubiegłym roku otworzono oddział grodzieński i zreformowano kowieński na kowieńsko-wileński z siedzibą w Wilnie. Następnie postanowiono powołać do życia państwową instytucyą kredytową ziemską dla większéj własności. Podług pierwotnego projektu ministeryum skarbu miał to być bank państwowy ziemski, udzielać mający pożyczki właścicielom ziemskim bez różnicy stanu i pochodzenia. Projektu tego w ostatniéj jednak chwili nie uwzględniono i jakby dla stwierdzenia przysłowia, że nic w naturze nie ginie w tymże dniu, w którym podpisano zlikwidowanie Banku polskiego (15 czerwca r. z.) narodził się „*Państwowy bank dworzański ziemski*,“ którego działalność na mocy późniejszéj interpretacyi nie ma się rozciągać na ziemię, własnością osób pochodzenia polskiego będącą. Główniejsze urządzenia téj instytucyi są następujące:

art. 1. Państwowy bank dworzański ziemski ustanawia się celem udzielania pożyczek długoterminowych dworzanom—właścicielom ziemskim na zastaw ich własności ziemskiéj.

art. 2. Operacye banku dworzańskiego obejmować będą Rosyą europejską, za wyłączeniem Finlandyi, gub. Królestwa Polskiego i nadbaltyckich.

art. 25. W razie przejścia zastawionego w banku majątku na osobę stanu niedworzańskiego (za wyłączeniem prawnych spadkobierców) nowonabywca obowiązany będzie wnieść całkowity dług banku w ciągu najdaléj pięciu lat, w przeciwnym razie wierzytelność

bankowa pokryta będzie sumą otrzymaną ze sprzedaży majątku na publicznéj licytacyi.

art. 39. Celem udzielania pożyczek wypuszczane będą papiery procentowe pod nazwą listów zastawnych państwowego banku dworzańskiego ziemskiego.

art. 47. Od pożyczek otrzymanych z banku dłużnicy płacić będą za każde sześć miesięcy: 1°) 2½% na spłatę odsetek, 2°) na umorzenie pożyczki udzielonéj na 48 lat ¼%, a na 36 lat ½%, 3°) na koszta administracyi oraz utworzenie funduszu rezerwowego ⅛%. Prócz tego dłużnik płaci jednorazowo przy zaciąganiu pożyczki ¼% Wszystkie wyżéj wymieniane opłaty obliczane będą od nominalnéj sumy pożyczki.

Z powyższego widzimy, że kredyt mający się udzielać dworzanom będzie nader tani, zwłaszcza w obec niedawnego ogłoszenia banku dworzańskiego, że kurs listów zastawnych przy udzielaniu pożyczek ustanowiony został obecnie na 98. Podobnie jak bank włościański, bank dworzański operować będzie za pośrednictwem oddziałów, z których jeden otwarto w Kijowie dla gubernii wołyńskiéj, kijowskiéj i podolskiéj. Szacunek urzędowy ziemi ustanowiono następujący:

w gub.	wołyńskiéj po	10—85	rubli za dziesięcinę
„	podolskiéj	40—90	„
„	kijowskiéj	15—100	„

O ile działalność banku dworzańskiego będzie pożądaną dla dworzan, o tyle przy nieopatrznym lub stronniczym kierunku może stać się niebezpieczną dla ogółu opodatkowanych. Bank dworzański posiada zbyt wielkie przywileje, zakres jego czynności zbyt rozległy i jednocześnie zbyt kastowy, aby nie mógł wzbudzać nieufności w innych stanach, nieufności spowodowanéj głównie obawą, aby operacye banku dworzańskiego nie obciążyły kieszeni *ogółu* opodatkowanych. Miejmy nadzieję, że złowrogie przewidywania nie ziszczą się, tém większą nadzieję że do przewodniczenia bankowi dworzańskiemu powołany został p. Eugieniusz Kartawcow, znany i uznany kierownik tak donioslej instytucyi—banku włościańskiego.—Co do kredytu dla małéj własności ziemskiéj tj. kmiecéj, ważnym nader aktem jest cyrkularz ministra spraw wewnętrznych z d. 21 stycznia r. z. do gubernatorów wraz 1° z *normalną ustawą banków wiejskich*; 2° instrukcyą zawierającą przepisy na jakich banki wiejskie mogą być otwierane. Urządzenia powyższe są bardzo doniosłe, szkoda tylko że ci, dla których wydane zostały, są mało oświeceni, aby podjąć mogli inicyatywę wprowadzenia ich w życie, a z drugiéj strony żałować trzeba, że prasa, a zwłaszcza organy dla ludu przeznaczone, nie po-

śpieszyły z odpowiedniém szczegółowém rozjaśnieniem istotnego znaczenia banków wiejskich dla ludności włościańskiéj. Na mocy instrukcyi ministeryalnéj banki wiejskie mogą być zakładane przez jedną lub więcéj gmin z funduszów gminnych lub prywatnych, ofiarowanych bądź drogą darowizny, lub téż czasowéj pożyczki.

Podług art. 1. Banki wiejskie mają za cel danie możności włościanom gromad, które bank założyły otrzymywać: *a*) pożyczki dla zaspokojenia niezbędnych potrzeb w gospodarstwie i *b*) dochód od złożonych w banku oszczędności.

art. 2. Kapitał zakładowy banku wiejskiego nie może być mniejszym od 300 rubli.

Bliższy nadzór nad bankami wiejskiemi należy do powiatowych urzędów do spraw włościańskich i gubernatorów, główny zaśześrodkowuje się w ministerium spraw wewnętrznych.

Nadzwyczaj wielką doniosłość dla stosunków rolnych na Litwie i Rusi ma ukaz imienny do rządzącego senatu z d. (27 grudnia 1884) 8 stycznia 1885,—z téj przyczyny podajemy go tu w całkowitéj osnowie.

„Rozkazami w Bogu spoczywającego Rodzica Naszego położono fundament zwiększenia w kraju zachodnim liczby rosyjskich właścicieli ziemskich. Obecnie w celu trwałego urzeczywistnienia tych rozporządzeń i usunięcia przeszkód tamujących pomyślny rozwój i trwałego zaprowadzenia rosyjskiéj własności ziemskiéj w pomienionym kraju, uznaliśmy za dobre jako potwierdzenie i dopełnienie istniejących urządzeń wydać osobne przepisy, których projekt rozpatrzony przez komitet ministrów odpowiada naszym zamiarom. Wskutek tego zatwierdzając pomienione przepisy i komunikując je rządzącemu senatowi, rozkazujemy ogłosić takowe i wprowadzić w wykonanie w dziewięciu guberniach zachodnich porządkiem ustanowionym. Rządzący senat w wykonaniu tego nie zaniedba wydać odpowiednie rozporządzenia.“

Treść przepisów powyżéj wzmiankowanych jest następująca:

1⁰ w zachodnich guberniach (na Litwie i Rusi) wzbroniono zastawiania majątków ziemskich i wchodzących w ich skład przynależytości (ugodij) położonych na zewnątrz miast i miasteczek, u tych osób, którym na mocy ukazu z d. 22 grudnia 1865 r. wzbroniono nabywać własność ziemską;

2⁰ akty zastawnicze (zakładnyja krieposti) zdziałane przed wydaniem niniejszych przepisów na imię osób, którym wzbroniono nabywać ziemię, zachowują moc do upływu terminu, lecz w każdym razie nie dłużéj nad dziesięć lat od daty powyższego ukazu (tj. do 8 stycznia 1895 r.).

3⁰ Kompanie i towarzystwa akcyjne mogą na przyszłość nabywać na Litwie i Rusi własność ziemską maximum 200 dziesięcin.

6⁰ W razie urządzenia fabryki na ziemi oddanéj w dzierżawę osobie podpadającéj pod ukaz z d. 22 grudnia 1865 r. w ciągu pierwszych dwunastu lat od daty zastawu, termin upływu dzierżawy może być odroczony do lat 30.

7⁰ Wszelkie umowy zdziałane w celu naruszenia ukazów z. d. 22 lipca 1864 i 22 grudnia 1865 r. oraz obecnych przepisów uważane będą za niebyłe.

8⁰ Osoby korzystające przy kupnie majętności na Litwie i Rusi z ulg wskazanych postanowieniem z d. 17 marca 1864 r. które zawarły umowy przeciwne niniejszym przepisom, obowiązane są w ciągu roku porozumiéć się ze stroną interesowaną w celu rozwiązania tych umów, w przeciwnym razie majątki ich będą oddane Zarządowi Opieki do czasu ukończenia rachunku pomiędzy stronami.

9⁰ Majątki nabyte na zasadzie przepisów z d. 4 sierpnia 1865 r. i przedane, zastawione, lub oddane w dzierżawę wbrew niniejszym przepisom będą odebrane na rzecz skarbu.

10⁰ Każda ze stron uczestniczących w zawarciu aktu przeciwnego ukazom z d. 22 lipca 1864 r. 22 grudnia 1865 i obecnym przepisom może wszczynać akcyą o rozwiązanie tego aktu.

11⁰ Również dozwala się władzom gubernialnym wytaczać akcyą z urzędu w celu rozwiązania powyższych umów.

12⁰ Jeżeli umowy wymienione w § 10 były zdziałane przed notaryuszem, to gubernator za pośrednictwem prokuratora zawiadamia właściwy sąd okręgowy w celu pociągnięcia notaryusza do odpowiedzialności sądowéj.

Co do handlu zbożowego p. minister skarbu w d. 23 października r. z. zatwierdził przepisy o udzielaniu *pożyczek na zastaw zboża* w ziarnie, przez *kantory* Banku państwa. Przepisy te jednak są tak uciążliwe i drobiazgowe, że nic dziwnego, iż pomimo zastoju w handlu zbożowym zrobiły zupełne fiasco. Prawdopodobnie przepisy te w krótkim czasie będą zmienione, jak również i zatwierdzony projekt ministerium skarbu, aby kantorom i oddziałom Banku państwa dozwolono wydawanie *pożyczek na zastaw kwitów*, wydawanych przez drogi żelazne na przyjęte na skład zboże. Jeżeli ten projekt będzie miał mniéj cech kancelaryzmu, a więcéj uwzględniać będzie potrzeby handlu i rolnictwa, to istotnie może oddać nieocenione usługi, zwłaszcza w obecném przesileniu rolniczém. Zresztą podobne pożyczki udziela od roku zeszłego Towarzystwo kolei południowo-zachodnich w porozumieniu z Bankiem przemysłowym w Kijowie, na zboże wywiezione do Odessy, Królewca i Gdańska. Pożyczki udzie-

lają zawiadowcy stacyi z sum kolejowych na rachunek Banku przemysłowego, na podstawie przepisów wydanych przez tenże Bank i w wysokości odpowiedniéj do cen zboża na rynkach wyżéj wymienionych.

Prawodawstwo kolejowe tworzyło się w Rosyi stopniowo, w miarę rozszerzania sieci kolejowéj. Zwykle po zawiązaniu towarzystwa w celu budowy i wyzysku koncesyonowanéj drogi żelaznéj, rząd wydawał ustawę nadawczą lub zasadniczą dla téjże drogi, w któréj zwykle określano prawa i obowiązki akcyonaryuszy względem rządu i publiczności. Ustawy te jakkolwiek w wielu punktach jednozgodne, różniły się między sobą jednak znacznie, już-to z powodu różnych epok powstania, już z przyczyny różnic geograficznych i ekonomicznych przestrzeni, przez które przebiegały drogi żelazne. Nader ważna część prawodawstwa dotycząca wzajemnych stosunków kolei pomiędzy sobą w przedmiocie przewozu podróżnych, towarów i bezpośredniéj komunikacyi, wyrobiona została praktyką lub téż opierała się na cyrkularzach i rozporządzeniach ministeryum komunikacyi. Najsłabszym punktem w gospodarce kolejowéj było pozostawienie zarządom dróg żelaznych zbyt wielkiéj swobody w przedmiocie ustanawiania i zmian taryf, która wywołała wojny taryfowe pomiędzy kolejami, bardzo kosztowne dla skarbu (z tytułu gwarancyi), a często zgubne dla miejscowego przemysłu i rolnictwa. Po kilkuletnich studyach władz państwowych i specyalnych komisyi, w roku zeszłym nareszcie sankcyonowano przepisy ogólne obowiązujące tak publiczność jak i zarządy wszelkich kolei żelaznych. Przyznajemy, że przepisy te nie odpowiedziały oczekiwaniom, lecz w każdym razie są nader ważnym krokiem w celu uporządkowania i ujednostajnienia prawodawstwa kolejowego. Miejmy nadzieję że organa powołane do życia nowemi przepisami braki uzupełnią i błędy usuną.

Rada państwa na posiedzeniu w d. 24 czerwca r. z. zatwierdziła ostatecznie: *a*) postanowienie o Radzie do sprawaw kolejowych i *b*) ogólną ustawę rosyjskich dróg żelaznych.

Radę do spraw kolejowych ustanowiono przy ministerium komunikacyi dla rozpatrzenia i w pewnych razach wydawania rozporządzeń dotyczących budowy, wyzysku i gospodarstwa dróg żelaznych w Cesarstwie. Rada powyższa pod prezydencyą ministra komunikacyi składa się z jego towarzysza, dyrektora departamentu dróg żelaznych, prezesa czasowego zarządu państwowych kolei, dwóch innych członków ministerium komunikacyi, oraz członków z łona ministeriów: finansów, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, dóbr państwa, wojny i kontroli państwa, po jednym z każdéj z tych władz, jak

również dwóch przedstawicieli prywatnych dróg żelanych, dwóch reprezentantów handlu i rękodzieł i dwóch przedstawicieli przemysłu rolniczego i górniczego.

Rozpatrzeniu Rady podlegają: projekta nowych praw dotyczących budowy, wyzysku i gospodarstwa kolei zanim te projekta zostaną wniesione do Rady państwa; wnioski o uzupełnieniu, zmianie i uchyleniu obowiązujących praw, dotyczących przedmiotów powyżéj wymienionych, zanim one zostaną przedstawione do zatwierdzenia; przepisy i instrukcye wydawane w drodze administracyjnéj w rozwinięciu obowiązujących urządzeń; taryfy i taksy kolejowe; przedmioty i sprawy należące do kompetencyi Rady na zasadzie ogólnéj ustawy dróg żelaznych; wszelkie wogóle kwestye odnoszące się do budowy, wyzysku i gospodarstwa kolejowego, rozpatrzenie których w Radzie za pożyteczne będzie uznane przez ministra komunikacyi, lub innych naczelników głównych zarządów.

Ogólna ustawa rosyjskich dróg żelaznych zawiera 187 paragrafów dotyczących przepisów ogólnych, o przewozie podróżnych i ich bagaży, o przewozie towarów, o odpowiedzialności dróg żelaznych za przewóz, o odpowiedzialności sądowéj, o przedawnieniu, o sposobie otrzymania zasądzonych sum od dróg żelaznych, przepisy dla publiczności, i o nadzorze policyjnym na kolejach.

Podług téj ustawy przewóz podróżnych, bagażu, poczty i towarów jest obowiązkiem każdéj kolei otwartéj dla ruchu pasażerów i towarów. Kolej żelazna ma jednak prawo odmówienia przewozu podróżnych bagaży i towarów, gdy pasażer lub wysyłający towar nie zechce się zastosować do przepisów niniejszéj ustawy, gdy ruch kolejowy wstrzymany będzie z rozporządzenia rządu, wypadków nadzwyczajnych lub siły wyższéj, w razie braku miejsca wolnego, jeżeli podróżny znajduje się w stanie nietrzeźwym, odzieży nieprzyzwoitéj, lub też w takim stanie, który może być niebezpiecznym dla innych podróżnych, w razie przepełnienia składów i miejsc przeznaczonych dla towarów itp.

Droga żelazna odpowiada za szkody i ubytki wynikłe przy spełnianiu czynności przez jéj agentów. Obowiązaną ona jest przyjąć każdy przywieziony na stacyą towar dozwolony do przewozu, chociażby on nie mógł być wysłanym w dniu dostawy. Wysyłający towar odpowiada za prawdziwość deklaracyi i żądanych objaśnień. Drogi żelazne nie mają prawa robić ustępstw z obowiązującéj taryfy, pod warunkiem przewozu przez jedną osobę w oznaczonym terminie pewnéj ilości towarów (refakcya) lub też uprzywilejowywać w jakibądź sposób wysyłających towary jednych przed drugimi. Odprawiający ma prawo wysyłki towaru z żądaniem zapłaty od odbior-

cy przy wydawaniu towaru, za co koléj otrzymuje komisowe ustanowione decyzyą rady kolejowéj. Towary, nieodebrane w ciągu dni 30 od czasu dostawy na miejsce odbioru, uważane będą za nieprzyjęte; po upływie tego terminu zawiadamia się wysyłającego i trzykrotnie ogłasza w dziennikach miejscowych i gubernialnych. Jeżeli zaś po upływie trzech miesięcy od czasu ostatniéj publikacyi nie zgłosi się odbiorca lub wysyłający, to nieodebrany towar przedany będzie na publicznym przetargu.

Droga żelazna obowiązaną jest wynagrodzić każdego poszkodowanego wskutek śmierci, lub uszkodzenia na zdrowiu spowodowanych eksploatacyą drogi. Wynagrodzenie to następuje na zasadzie art. 683 praw cywilnych (Zbiór praw T. X, część I). W razie utraty lub uszkodzenia bagażu, droga żelazna obowiązana jest zapłacić, jeżeli wartość nie była oznaczoną, podróżnemu I klasy po 3 ruble. II kl. po 2 rub. i III kl. po rublu za każdy funt bagażu. Wynagrodzenie za utratę lub uszkodzenie towarów oblicza się po cenach handlowych tychże.

Droga żelazna łącznie z wszelkiemi jéj przynależytościami stanowi niepodzielne mienie nieruchome, z téj przyczyny poszukiwanie sum zasądzonych nie może być skierowane ani do kapitałów kolei, ani téż do jakiejkolwiek innéj części mienia drogi żelaznéj. Jeżeli w ciągu trzech miesięcy od daty doręczenia nakazu zasądzona suma nie będzie zapłaconą, to powód może prosić właściwy sąd, o uznanie towarzystwa eksploatującego daną drogę żelazną za dłużnika niewypłacalnego. Uznanie towarzystwa drogi żelaznéj za dłużnika niewypłacalnego powoduje natychmiastowe objęcie tejże drogi w zarząd skarbowy, oraz likwidacyą jéj czynności.

Bez względu na położenie geograficzne, Królestwo Polskie, Ruś i Litwa, pod względem *rozwoju stowarzyszeń ekonomicznych* przedstawiają się jako rozległa pustynia, po której, czytelniku, długą i męczącą przyjdzie ci odbyć podróż zanim się dostaniesz do jakiéj oazy z żywszym ruchem ekonomicznym w tym kierunku. Zachód i wschód, północ i południe daleko już nas po za sobą pozostawiły, a pod względem stowarzyszeń kredytowych ludowych, to ironicznie nazywaną Belgią północy dawno już prześcignął nawet.... azyatycki obwód Akmoliński. Kto temu winien? Przedewszystkiém my sami, nasza niezaradność, brak inicyatywy, wytrwałości i umiejętności wzięcia się do rzeczy. Dlatego téż przyznajemy wielką doniosłość wnioskom postawionym w Tow. pop. przemysłu i handlu: 1) o podjęcie starań o rozszerzeniu działalności Banku włościańskiego ziemskiego na Królestwo Polskie i 2) o utworzenie komitetu ludowych instytu-

cyi kredytowych, którego główny m zadaniem byłoby dopomaganie ludziom dobréj woli w powoływaniu do życia instytucyi kredytowych i wogóle stowarzyszeń ekonomicznych. Rok ubiegły daje jednak wskazówkę, że i na drodze stowarzyszeń żywszy ruch u nas budzić się poczyna, i tak sankcyonowano w roku zeszłym przez władzę prawodawczą:

a) *w Królestwie Polskiém.*

1) decyzyą ministra skarbu d. 7 lipca r. z. zatwierdzono ustawę *Towarzystwa Kredytowego miasta Lublina*;

2) podobnąż decyzyą z d. 26 lipca r. z. zatwierdzono ustawę *Towarzystwa kredytowego miasta Kalisza*;

3) postanowieniem ministra finansów z d. 23 lipca r. z. zatwierdzono ustawę *Kasy pożyczkowéj przemysłowców kieleckich*, — łącznie więc otrzymaliśmy trzy stowarzyszenia kredytowe. Żywszy ruch był w dziale stowarzyszeń przemysłowych, i tak:

4) decyzyą komitetu ministrów z d. 1 maja r. z. dozwolono domowi handlowemu pod firmą „Hielle i Dietrich" utworzyć „*Towarzystwo akcyjne zakładów Żyrardowskich Hielle i Dietricha*" z kapitałem zakładowym 9 milionów rubli, rozdzielonym na 600 akcyi po 15,000 rubli i siedzibą zarządu w osadzie Żyrardowie.

5) postanowieniem komitetu ministrów z d. 3-go lipca r. z. dozwolono Ryszardowi, Gustawowi, Emilowi, Eugeniuszowi i Cezarowi Geyerom, oraz Juliuszowi Knollowi utworzyć „*Towarzystwo akcyjne zakładów bawełnianych Louis Geyera*". z kapitałem zakładowym 1,500,000 rubli, rozdzielonym na 1,500 akcyi po 1,000 rubli i siedzibą zarządu w Łodzi.

6) postanowieniem komitetu ministrów z d. 27 sierpnia r. z. zezwolono: Leonowi Starczewskiemu, dr. Aleksandrowi Kosińskiemu, dr. Karolowi Benniemu, Michałowi Górskiemu i Piotrowi Samborskiemu utworzyć „*Towarzystwo mineralnych wód i hydroterapii w Nałęczowie*", z kapitałem zakładowym 200,000 rubli, rozdzielonym na 400 akcyi po 500 rubli i siedzibą zarządu w Warszawie.

7) postanowieniem komitetu ministrów z d. 3-go lipca r. z. dozwolono: Ignacemu Bersteinowi, Janowi i Matiasowi Bersonom, Zofii Braunstein, Paulinie Bauman i Maurycemu Rosensztokowi utworzyć „*Towarzystwo akcyjne cukrowni i rafineryi Michałów*", z kapitałem zakładowym 600,000 rubli, rozdzielonym na 1,200 akcyi po 500 rubli i siedzibą zarządu w Warszawie.

b) *na Litwie i Rusi.*

1) decyzyą ministra finansów z d. 9 lutego r. z. zatwierdzono ustawę *Towarzystwa kredytowego m. Kijowa.*

2) postanowieniem komitetu ministrów z d. 8 maja r. z. dozwolono Wilhelmowi i Michałowi Richertom, Fryderykowi Michelsonowi i Fiedorowi Hanemanowi utworzyć towarzystwo akcyjne pod firmą „*Bawarya kijowska*", z kapitałem zakładowym 500,000 rubli, rozdzielonym na 2,000 akcyi po 250 rubli i siedzibą zarządu w Kijowie. W zakres towarzystwa wchodzą browar z miodosytnią i młyn wodny, znajdujące się w Kijowie.

2) decyzyą ministra finansów z d. 13 kwietnia r. z. zatwierdzono ustawę „*Lombardu kijowskiego prywatnego*", z kapitałem zakładowym 500,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcyi po 500 rubli. Założycielami lombardu są: Andrzéj Gorczakow i Mikołaj Blumental. Cel towarzystwa: przyjmowanie do przechowania lub na zastaw wszelkich ruchomości i towarów z wyjątkiem papierów publicznych.

4) postanowieniem komitetu ministrów dozwolono towarzystwu dziciatkowskiéj fabryki przyjąć nazwę „*Dziciatkowskiego towarzystwa fabryk papierniczych*", oraz powiększyć kapitał zakładowy o 500,000 rubli przez emisyą 100 udziałów po 5000 rubli.

5) postanowieniem komitetu ministrów dozwolono „*Towarzystwa cukrowni i rafineryi w Macharzyńcach*" powiększyć kapitał zakładowy o 150,000 rubli przez emisyą 150 udziałów po 1,000 rubli z tém, aby realizacya tych udziałów nastąpiła z kapitału zarezerwowanego z dywidendy lat poprzednich.

Jak wiadomo kompetencya sądów zagranicznych uznawaną jest w Rosyi o tyle, o ile jest opartą na specyalnych umowach, zatém towarzystwa akcyjne i inne stowarzyszenia handlowe w państwach, z któremi nie zawarto specyalnych umów, nie mogą w rosyjskich sądach wytaczać akcyi na podstawie wyroków zagranicznych. Dotąd pomiędzy Rosyą z jednéj, a Francyą, Belgią, Włochami i Austro-Węgrami z drugiéj strony istnieją *konwencye o wzajemném przyznawaniu praw bezimiennych towarzystw akcyjnych*, obecnie zaś podobną umowę zawarto i z Niemcami. W d. 30 lipca r. z. rosyjski minister spraw zagranicznych i poseł niemiecki w Petersburgu podpisali konwencyą pomiędzy Rosyą a Niemcami, na mocy któréj towarzystwa akcyjne bezimienne i inne stowarzyszenia handlowe, przemysłowe i finansowe, mające domicilium w jedném z tych państw, utworzone na mocy obowiązujących tamże przepisów, będą uznawane przez drugie państwo jako prawnie istniejące i mające prawo do opieki sądowéj.

Obowiązująca w Rosyi do ostatnich czasów *ustawa menniczna* zatwierdzoną była jeszcze w 1850 r., od téj pory zaszły tak wielkie zmiany, że większość jéj przepisów nie była już w praktyce stosowaną. Ustawa ta składała się z sześciu działów: *a*) o zarządzie men-

nicznym, *b*) o systemie monetarnym, *c*) o monecie, *d)* o dodatkowéj wytwórczości mennicy, *e*) o obiegu monety i *f*) o prawodawstwie w sprawach o naruszenie przepisów o monecie. Wskutek rozkazu, aby na monecie złotéj i srebrnéj zamiast herbu państwa znajdowało się wyobrażenie panującego, ministeryum skarbu zniewolone zostało do przejrzenia ustawy mennicznéj, zwłaszcza pierwszych dwóch jéj działów.

Zwrócono przedewszystkiém uwagę na niedogodności pochodzące z próby obecnéj monety złotéj i srebrnéj, dotąd bowiem stosowano próbę do podziału funta na 96 części, gdy tymczasem w większości państw cywilizowanych przyjęto system dziesiętny, którego się tamże trzymano przy tranzakcyach nawet z monetą rosyjską. Półimperyały mają próbę $^{88}/_{96}$, co w ułamku dziesiętnym równa się 916,666.... Nie mówiąc już o trudnościach technicznych przy stosowaniu ułamku ciągłego, wspomnimy, że w większości państw, mianowicie: w związku łacińskim, Niemczech, Austryi (8 i 4 złr.), Szwecyi, Danii, Holandyi, Japonii, Stanach Zjednoczonych i większości amerykańskich rzeczpospolitych przyjęto zawartość w monecie czystego złota w ilości $^{900}/_{1000}$, czyli mniejszą od rosyjskiéj. Srebrna moneta bita jest w Rosyi $83^{13}/_{96}$ próby, czyli w systemie dziesiętnym 868,055.... co również z wielu względów jest niedogodném. Obecnie więc dla ułatwienia obliczeń i ujednostajnienia monety rosyjskiéj z monetą większości państw świata cywilizowanego postanowiono, aby tak moneta złota, jak i srebrna bitą była w przyszłości $^{900}/_{1000}$ próby.

Zmiana przepisów dotyczących systemu monetarnego w Rosyi była ostatnim aktem prawodawczym roku zeszłego, mającym ogólniejsze i doniosłe znaczenie. Zdaniem rady państwa z d. 29 grudnia r. z. zmieniono art. 1—162 i 168—173 włącznie ustawy mennicznéj, a między innemi wyraźnie określono, że prawo bicia, wypuszczania w obieg i przerabiania monety, jest prawem koronném. Jednostką monetarną w państwie jest rubel srebrny, podzielony na 100 kopiejek i zawierający 4 zołotniki i 21 doli czystego srebra Dziesięciorublowa moneta złota (imperyał) zawiera w sobie 2 zołotniki i 69,38 doli, a pięciorublowa (półimperyał) 1 zołotnik i 34,68 doli czystego złota. Moneta złota zawiera w sobie 900 części czystego złota i 100 części miedzi, zatém w jednym funcie złota (ligatury) winno się znajdować 63 półimperyały, 2 ruble i $35^{65}/_{121}$ kop.

Srebrna moneta bitą będzie w rublach, półrublach i czwartakach również z mięszaniny zawierającéj 900 części czystego srebra i 100 części miedzi, zatém w jednym funcie srebra (ligatury) winno się znajdować 20 rubli i 48 kop. Bilon srebrny bity będzie w sztukach po 20, 15, 10 i 5 kop. z mieszaniny zawierającéj 500 części czy-

stego srebra i 500 części miedzi, więc z puda srebra téj próby otrzyma się 910 rubli i $22^6/_{27}$ kop.

Moneta miedziana bitą będzie w sztukach po 5, 3, 2, 1, ½ i ¼ kop. w ilości 50 rubli z jednego puda miedzi.

Rzeczywista waga monety złotéj i srebrnéj będzie następująca:

imperyała .	2 zołot.	2,4 doli	z dopuszczeniem różnicy	0,4 doli
półimperyała	1 „	49,2 „	„ „	0,3 „
rubla . . .	4 „	66 „	„ „	1,4 „
półrubla . .	2 „	33 „	„ „	1,2 „
czwartaka .	1 „	16,5 „	„ „	0,6 „
20 kop.		81 „	„ „	3 „
15 „		60,75 „	„ „	2,5 „
10 „		40,5 „	„ „	2 „
5 „		20,25 „	„ „	1,5 „

Różnica powyżéj wykazana może być tak wyżéj, jak i niżéj wagi ustanowionéj dla każdego rodzaju monety złotéj i srebrnéj. Kasy skarbowe przyjmować będą monetę srebrną i miedzianą tylko wtedy, gdy na niéj można rozpoznać stempel, gdy nie będzie oberżniętą i wogóle nieuszkodzoną umyślnie. Co się tyczy monety złotéj dawniejszego stempla (t. j. bitéj do 1885 r. włącznie), to minimalna waga dla półimperyałów ustanawia się na 1 zoł. 50 doli, a dla dukatów rosyjskich 87 doli. W razie mniejszéj wagi moneta złota przyjmową będzie przez kasy skarbowe nie inaczéj, jak z dopłatą po 3½ kop. metal. za każdą brakującą dolę.

Oto jest całkowity obraz prawodawstwa roku zeszłego, dotyczącego finansów, rolnictwa, przemysłu i handlu, słowem, całego gospodarstwa ekonomicznego państwa. Czytelnik może osądzić, jak ono było istotnie rozległém, różnorodném, a zawsze doniosłém dla stosunków ekonomicznych. Większość nowych urządzeń szczególniejszego jest znaczenia dla naszego kraju i wogóle dla ludności polskiéj. Prawda, że w roku zeszłym ponieśliśmy ciężkie, nader ciężkie i niepowetowane straty, lecz mamy nadzieję, że reszta urządzeń prawodawczych, choć w części zabliźni otwarte rany. W każdym razie ubiegły rok 1885 zajmie wybitne, jeżeli nienajwybitniejsze miejsce w dziejach ekonomiki bieżącego stulecia... .

Dnia 11 lutego 1866 r.

Leon Iwanicki.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Z dziedziny teratologii. O sztucznem wywoływaniu potworów o sercu podwójnem, przez Stanisława Waryńskiego.

Stanisław Waryński dał się już poznać naukowemu światu; rezultaty jego samodzielnych badań nad prawidłowym i sztucznym rozwojem zarodka ogłoszone zostały drukiem w „Recueil Zoologique" i w oddzielnych odbitkach. Ciąg dalszy zatém stanowi najnowsza młodego uczonego praca, przedstawiona fakultetowi medycznemu w Genewie w celu otrzymania doktorskiego stopnia. Praca ta obudziła wśród uczonych genewskich prawdziwe zajęcie i dla zdolności autora uznanie wielkie. Nie obojętném też zapewne będzie dla polskiéj publiczności zapoznać się z nią choćby za pomocą pobieżnego streszczenia.

Przez długi czas embryologia zajmowała się jedynie badaniem okresów rozwoju zarodka, zadowalając się szczegółowém opisaniem jego ogólnego kształtu, budowy ciała lub pojedyńczych organów; potrzeba jednakże sprowadzenia poszczególnych faktów do całości, podporządkowania ich w prawo ogólne, wyzwoliła embryologią z ciasnych ram nauki czysto opisowéj. Cóż bowiem może bardziéj uderzać nasz umysł jak stałość i regularność z jaką pewien osobnik przebiega zawsze jedne i téż same okresy rozwoju i zatrzymuje się na pewnéj ostatecznéj formie, stałéj dla danego gatunku.

Chcąc odpowiedzieć na pytanie, jaka siła wywołuje lub warunkuje stałość okresów przejściowych zarodka, odrzucić musimy przestarzałe pojęcia o stworzeniu gotowych typów, jako też i nowszą cokolwiek teoryą o zarodku całkowicie ukształtowanym, który się jedynie rozwinąć potrzebuje; staniemy wtedy wobec dwóch najnowszych teoryi biologicznych, opartych na stałéj podstawie znajomości przyrody.

Pierwsza z nich, teorya o pochodzeniu gatunków przyznaje, iż okresy rozwojowe zarodka odpowiadają stopniowym przejściom od gatunków niższych do wyższych w kierunku postępowym.

Teorya ta nie jest w sprzeczności z teoryą drugą, mechaniczną, którą objaśnimy poniżéj; opierając się jednakże na gruncie metafizycznym odwołuje się do przyczyn pierwotnych, które nie podlegają naszemu badaniu.

Według teoryi mechanicznéj rozwój zarodka zostaje pod wpływem praw fizycznych, których niezmienność pociąga za sobą jednostajność tak okresów przejściowych jako téż i ostatecznéj formy zwierzęcia. Ze zmianą zatém działających na rozwój praw fizycznych nastąpi zboczenie od zwykłego prawidłowego typu i w rezultacie powstaje zniekształcenie, potworność.

Twórcą téj ostatniéj teoryi jest His; rozwinięciu jéj i sprawdzeniu drogą doświadczalną poświęca St. Waryński swoje samodzielne badania.

Wszystkie zmiany w organach zarodka powstają wskutek działania jednych organów na drugie z powodu nierównego ich wzrastania. Odróżniać należy nierówność wzrastania w przestrzeni i w czasie, widzimy zatém różnice szybkości wzrostu *in plus* lub *in minus* dla jednego punktu zarodka w stosunku do innych punktów, które z nim porównywamy. To nierówne zatém rozłożenie szybkości wzrastania zarodka sprowadza przewagę rozwoju jednego organu nad drugim w danym okresie, jako téż warunkuje różnice ostateczne w formie otrzymywanych typów.

Szybkość wzrostu zmniejsza się z czasem dla wszystkich organów i nareszcie wstrzymuje się zupełnie. Zmniejszanie to jednakże nie jest jednakowe dla wszystkich organów: im wzrost dla danego organu jest prędszy, tém wcześniéj się zatrzymuje i *vice versa*. Rozmaite tkanki posiadają zatém różną szybkość wzrastania; własność ta stanowi drugi wyraz prawa Hisa, mianowicie: różnicę wzrastania w czasie.

Posiadamy zatém całkowitą teoryą; czy możemy sprawdzić ją drogą doświadczalną?

Jeżeli pierwszą przyczyną zmian powstających w błonie zarodkowéj jest nierówny rozkład szybkości wzrastania i jeżeli dana szybkość zależy od siły odżywczéj, możliwém jest, zmieniając czynność odżywiania pewnéj części zarodka, zmienić jego ostateczną postać w tym stopniu, w jakim część ulegająca zmianie na ogólną formę wpłynąć miała. W razie przeciwnym, to jest, gdyby zmiana w odżywianiu zarodka a tém samém i w szybkości wzrastania danéj części

ciałka nie wpłynęła na zmianę jego ogólnego kształtu, doświadczenie stanowiłoby dowód przeciwko teoryi mechanicznéj.

Wychodząc z tego punktu, St. Waryński przystępuje do badań, które mają potwierdzić lub obalić wspomnianą teoryą.

Ażeby łatwiéj pojąć zmiany, jakim ulega zarodek pod wpływem sztucznie działających przyczyn mechanicznych, St. Waryński opisuje zarodek kurczęcia prawidłowy pomiędzy 3 a 4 dniem wylęgania, w tym czasie właśnie, gdy główna krzywizna ciała silnie się zaznacza.

Przy końcu trzeciego i na początku czwartego dnia zarodek kurczęcia ulega bardzo ważnym zmianom położenia. Przed czwartym dniem powierzchnią brzuszną ciałą spoczywa on na żółtku, zwróciwszy powierzchnię grzbietową ku skorupie. Na początku czwartego dnia zarodek obraca się wzdłuż długiéj osi ciała w ten sposób, iż kładzie się na żółtku lewym bokiem. Zmianie téj w położeniu towarzyszą inne modyfikacye, mianowicie: znaczny wzrost żyły pępkokrezkowéj lewéj (*omphalomésentérique gauche*), a zanik pępkokrezkowéj prawéj (*veine omphalomésarrhaïque droite*), w tymże czasie zaznaczają się dwa zgięcia ciała, przednie i tylne, jako też zgięcie się w łuk struny grzbietowéj, znane pod nazwą głównéj krzywizny ciała.

Zmiany te spotykane w prawidłowym rozwoju zarodka znajdują wyjaśnienie w teoryi mechanicznéj, ponieważ nierówna szybkość wzrostu w tym czasie właśnie najsilniéj się zaznacza.

Zgięciu się głowy odpowiada szybki wzrost przedniego pęcherzyka mózgowego, który rozwijając się, pochyla się jakby w skutek własnego ciężaru ku piersiom zarodka i ustępuje miejsca pęcherzykowi średniemu nie przedstawiającemu w tym czasie żadnych szczególnych zmian dotyczących wzrostu.

Mamy zatém dwa zjawiska wyrażone we wspomnianém prawie Hisa: po pierwsze, zmianę kształtu wypływającą z powiększenia się szybkości wzrostu różnych części zarodka, powtóre, wpływ tych części jednéj na drugą.

Ponieważ przednia część mózgu najbardziéj się do doświadczeń nadaje, można zatém, zatrzymując sztucznie jéj wzrost, sprowadzić zmiany w ogólnéj budowie zarodka.

W tym celu St. Waryński bierze jajka kury w 4-m dniu wylęgania.

Wyciąwszy okienko w skorupie jajka i zwróciwszy ku sobie cienki jego koniec, widzimy delikatne kontury zarodka, przedstawiającego się pod postacią strzępka. Najważniejszą rzeczą jest dojrzéć kontury przedniéj części mózgu. Rozróżniać części potrafimy tylko

po nabyciu pewnéj wprawy i przy odpowiedniém oświetleniu,ześrodkowując za pomocą dużéj soczewki promienie światła na punkt badany.

Ażeby spowodować zatrzymanie się rozwoju przedniéj części mózgu, należy działać na nią mechanicznie, nacisnąć skalpelem, którego ostrze i koniec zostały umyślnie stępione. Wielkość powierzchni, na którą wywieramy ciśnienie, wpływa na powodzenie doświadczenia; siła i długość trwania ciśnienia powinny być również dokładnie wymierzone. Liczne próby wykazały, że niedostateczne ciśnienie nie sprowadza żadnych zmian, a zbyt silne lub za długo trwające—może zupełnie wstrzymać dalszy rozwój zarodka i być przyczyną jego śmierci.

Pośpiech w wykonaniu samego doświadczenia, zamknięcie hermetyczne okienka wykrojonego w skorupie zapewniają powodzenie doświadczenia. Otrzymany rezultat był następujący: zarodek rozwijał się daléj, objętość jego nie ustępowała objętości normalnéj. Obrót naokoło długiéj osi ciała wykonywał się prawidłowo i zarodek spoczywał na lewym boku; część głowowa jednakże uległa wielkim zmianom. Przednia część mózgu wstrzymana przez ciśnienie w rozwoju równała się pęcherzykowi średniemu, zgięcie głowowe miejsca nie miało. Obie części mózgu znajdowały się w téjże saméj płaszczyznie, ale odchyliły się od kierunku osi podłużnéj ciała w skutek nadmiernego wypuklenia grzbietu.

Na zasadzie powyższego doświadczenia wyprowadzić można wniosek, że dostateczném jest wstrzymać rozwój przedniéj części mózgu, aby przeszkodzić zgięciu głowowemu, co dowodzi, że zgodnie z teoryą mechaniczną zgięcie następuje zwykle pod wpływem większéj szybkości wzrostu przedniego pęcherzyka mózgowego względnie do innych części mózgu.

Jednocześnie z wstrzymaniem rozwoju przedniej części mózgu nastąpił niezwykle szybki wzrost części grzbietowéj i w skutek tego nadmierne skrzywienie osi ciała. W ciągu całego szeregu doświadczeń można było sprawdzić, iż zawsze wstrzymaniu rozwoju pewnéj danéj części zarodka towarzyszyła nadmierna szybkość wzrastania innéj części zarodka.

Dlaczego jednakże wstrzymanie rozwoju przedniéj części mózgu powoduje nadmierne wypuklenie części grzbietowéj? Doświadczenie wskazuje. że skrzywienie to następuje w skutek przyśpieszonego wzrostu odpowiedniéj części ciała zarodka. Co do saméj nierówności wzrastania, zależną ona być musi od siły odżywczéj, niejednostajnie rozłożonéj w różnych częściach materyału twórczego i wyraża się przez czynność komórek, zostającą w prostym do odżywiania sto-

sunku. Rozumie się, pierwotna przyczyna niejednakowéj czynności różnych grup komórek usuwa się z pod naszego badania, ponieważ można jedynie wykazać różnice w sile odżywienia i tych różnic bezpośrednie rezultaty, których wyrazem będą zmiany kształtu zarodka.

Mechaniczne prawo rozwoju znajduje zatém potwierdzenie w samym sposobie, w jaki powstają formy prawidłowe.

Przy pojawianiu się form zniekształconych odróżniać zawsze należy: po pierwsze, przyczynę powodującą zboczenie i po drugie, skutek téj przyczyny, wyrażony w potworności, powstającéj z sumy zmian zaszłych w całości zarodka.

Wstrzymanie rozwoju pewnéj części ciała zarodka może być jedynym rezultatem działającéj przyczyny, naprzykład: można otrzymać podwójność serca przy braku wszelkich innych anatomicznych zboczeń.

Potwory o sercu podwójném otrzymywał St. Waryński przez sztuczne ciśnienie wywierane w wyżéj opisany sposób. Ponieważ jednak ciśnieniu ulega zawsze pewna, stosunkowo dość znaczna powierzchnia, dlatego téż przyczyny działające komplikują się i otrzymane zboczenia są po większéj części złożone.

Uczeni *Panum* i *Dareste* sztucznie otrzymywali potwory, w których podwójność serca łączyła się prawie zawsze z innemi zboczeniami. Zwykle téż różnorodne zboczenia w budowie zarodka sprowadzały jego śmierć przedwczesną. Można jednakże sztucznie otrzymać serce podwójne bez innych anatomicznych nieprawidłowości zarodka; w takim razie dalszy jego rozwój postępować będzie zwykłym biegiem.

Pomiędzy 24 a 36 godziną wylęgania zarodek, rozwijający się prawidłowo, rośnie wzdłuż bardzo szybko, przedstawiając 3 do 4 kręgów pierwotnych; właśnie w tym okresie serce w pierwszych swoich zawiązkach przebiega najważniejsze zmiany w rozwoju. Widzimy wtedy na dwóch brzeżnych fałdach „jamki sercowéj“ dwa zgrubienia, otoczone przez dwie odnogi boczne, położone symetrycznie po obu stronach przewodu pokarmowego, przedstawiającego się w tym czasie pod postacią rozwartéj rynienki. W miarę tego, jak przewód pokarmowy przemienia się w kanał zamknięty, dwie rurki sercowe zbliżają się i tworzą jeden pojedyńczy organ. Połączenie to następuje za pośrednictwem warstwy mięśniowéj tworzącéj się z komórek średniego listka zarodkowego.

W zarodku, będącym w 36 godzinie wylęgania i posiadającym dziesięć kręgów pierwotnych, połączenie rurek sercowych jest już zupełne.

Chcąc sztucznie wstrzymać rozwój serca, bierze St. Waryński zarodek pomiędzy 24 a 36 godziną wylęgania. Chwila ta jest najodpowiedniejszą, ponieważ pojedyncze części już są widoczne i ułatwiają umiejscowienie mechanicznego działania, to jest ciśnienia wzdłuż długiéj osi ciała. Jeżeli przy sztucznem wylęganiu jajek, w skutek wysokiéj temperatury przyrządu ogrzewającego, dwie pierwotne rurki sercowe już się połączyły, wtedy doświadczenie się udać nie może. Jeżeli wszystkie warunki były zachowane, po paru dniach dalszego wylęgania jajek widzimy rezultaty następujące: otrzymujemy rozwinięte należycie potwory kurczęcia o sercu podwójném; potworność polega jedynie na tém, że pierwotne rurki sercowe nie mogły się połączyć, w skutek wstrzymanego rozwoju téj części, w któréj właśnie połączenie miało nastąpić. Serca zostają rozdzielone i rozwijają się niezależnie jedno od drugiego; przedstawiają się one pod postacią dwu rurek zgiętych, których wklęsłość jest zwrócona na zewnątrz. Następnie każde z dwu serc kurczy się i grubieje jednocześnie, bruzdy dzielące je na części stają się wyraźniejsze i pozwalają odróżnić przedsionek i komórkę. Istnienie podwójnego serca nie wpływa na całokształt zarodka, ani na opóźnienie jego rozwoju.

Wychodząc z zasady, że wszystkie potworności, otrzymane sztucznym sposobem, powstają w skutek wywieranego umyślnie ciśnienia i wstrzymanego przez to rozwoju, St. Waryński sądzi, że główną przyczyną potworności kurczęcia spotykanych w naturze, jest ciśnienie skorupki na żółtko.

Za hypotezą tą przemawiają doświadczenia, polegające na oziębianiu jajek w różnych okresach rozwoju.

St. Waryński pierwszy stawia pytanie: jakie zmiany zachodzą w jajku podczas oziębiania go.

Faktem jest, że obniżenie temperatury sprowadza zniekształcenie, sprzyja zatém powstawaniu potworów. Wycinamy okienko w skorupie jajka i wystawiamy je na działanie nizkiéj temperatury. Stopniowo w miarę oziębiania jajka żółtko coraz bardziéj się zbliża do okienka wykrojonego w skorupie. Pokrywająca żółtko warstwa białka staje się coraz cieńszą, nareszcie niknie zupełnie i żółtko wypływa ku powierzchni, czasem zbliża się do okienka w ten sposób, że wystaje poza skorupkę.

Po zamknięciu skorupki i ogrzaniu jajka żółtko powraca na swe dawne miejsce.

Oziębienie jajka, sprowadzając wypływanie żółtka ku powierzchni, staje się powodem ucisku materyi zarodkowéj (blastemu), zajmującéj wierzchołek żółtka, o skorupkę jajka.

Ponieważ kierunek ułożenia zarodka na żółtku bywa rozmaity, przeto skorupka wywiera ciśnienie na różne jego części; wstrzymanie rozwoju dotyka też różnych organów, w skutek czego przy jedném i tém samém oziębianiu jajka otrzymać możemy najróżnorodniejsze potworności. Pozytywne rezultaty sumiennych badań St. Waryńskiego potwierdzają w zupełności mechaniczną teoryą rozwoju, wyrażoną w prawie Hisa, i stanowią znakomity przyczynek do postępu nowéj nauki, traktującéj o prawach powstawania potworów, teratogenii, która jest dopełnieniem nauki czysto opisowéj, teratologii.

Pamiętnik fizyjograficzny. Tom V. Warszawa, 8⁰, 1885. Dział I str. 113; II str. 76; III str. 233; IV str. 74; V str. 111, i 24 tablic rysunków litograficznych.

Smutna ale niestety na niezbitych cyfrach oparta przedmowa do IV tomu tego wydawnictwa nie rokowała mu wcale świetnéj przyszłości, ba nawet mało było nadziei czy przedwczesny zgon na u nas tak panującą chorobę *„obojętność ogółu“*, nie pozbawi nauki naszéj znowu tego nader pożytecznego a tak dzielnie rozwijającego się wydawnictwa. Tém też miléj musieliśmy przyjąć pojawienie się piątego tomu, który formą i treścią nie tylko że wyrównał poprzednim, ale nawet w wielu względach znacznie je wyprzedził. Wydania jednak piątego tomu nie należy przypisywać jakiemuś przesileniu opinii publicznéj, zwiększenia ofiarności ogółu. Warunki się zupełnie nie zmieniły, ofiarność tylko pojedynczych jednostek się zwiększyła. Garstka ludzi poświęcająca osobiste interesa dla dobra ogółu zwalczyła wszelkie przeciwności, aby wnosząc znowu imponujący tom tego wydawnictwa, nie dać upaść tak użytecznemu dla kraju przedsięwzięciu. Czy długo jeszcze podobny stan potrwa, trudno przewidzieć. Rozpatrzmy się tymczasem bliżéj w tomie piątym, najlepiéj bowiem powié nam treść tegoż, czém on jest dla kraju i jak wielkie przynosi korzyści.

Dział I. Meteorologia i Hydrografia obejmuje oprócz licznego wykazu cyfr, wyniku nie tyle mozolnych ile wytrwałych badań meteorologicznych, bardzo interesującą pracę krytyczną p. Apol. Pietkiewicza *„Studyjum nad dziełem akademika p. Wilda: O temperaturze powietrza w cesarstwie Rosyjskiém“* (str. 50—102). Bystre i nader trafne uwagi naszego uczonego, wykazujące błędy lub też rozszerzające znacznie daléj horyzont zapatrywań p. Wilda, są jedną z tych coraz częściéj w nauce pojawiających się prac, które stosując wyniki długoletnich badań meteorologicznych, starają się już tłómaczyć codzienne otaczające nas zjawiska. Z każdym dniem coraz bardziéj

nagromadzający się materyał meteorologiczny, zbierany tak starannie nie tylko w Europie ale i na całéj kuli ziemskiéj, gdzie tylko stopa cywilizowanego człowieka zdobyła sobie punkt oparcia, daje dziś już wiele świetnych wyników, które wywierają dodatni wpływ na rozwój rolnictwa, przemysłu i handlu. Smutno pomyśléć, że przed założeniem „Pamiętnika fizyjograficznego“ kraj nasz na tym szeroko meteorologicznemi stacyami zasianém polu jaśniejąc zagadkową białością, niczém nie przyczyniał się do téj zbiorowéj pracy. Dziś już nie potrzebujemy wstydzić się przed zagranicą, a to dzięki gorliwości garstki ludzi. Tom obecny wzbogacili w tym kierunku spostrzeżeniami meteorologicznemi pp. J. Kowalczyk z Warszawy, J. Jędrzejewicz z Płońska, niewymieniony badacz z Lublina, oraz p. H. Cybulski spostrzeżeniami fitofenologicznemi z Warszawy. Oby ich ta długoletnia i wytrwała praca znalazła jak najwięcéj dla dobra naszego kraju naśladowców.

Dział II. Geologia z chemią. Mała co do objętości, doniosła jest swymi wynikami praca p. D-ra Jana Trejdosiewicza „*Kilka słów o budowie gieologicznéj i pokładach węgla brunatnego najbliższéj okolicy Krzemieńca*“ (z 1-ną tabl.). Autor badając pokłady węgla brunatnego w okolicach Krzemieńca, którego wychodnie zauważył w Kuliczówce, w Podwysokiem i w Żołobach, obliczył tegoż przypuszczalną objętość na 220 milionów korcy, co licząc za korzec węgla po 10 kop., przedstawia ni mniéj ni więcéj jak wartość około 22 milionów rubli. P. Trejdosiewicz zwracając uwagę ogółu na te rodzinne zasoby, pokazał jedno ze źródeł dobrobytu, którego wyzyskanie powinno być zdaniem ludzi praktycznych. Rozprawa p. A. Michalskiego („*Formacya jurajska w Polsce*“ z 1 tabl.), który z polecenia komitetu geologicznego przedsięwziął poszukiwania w okolicy Częstochowy, Wielunia, Przedborza, obejmuje oprócz umiejętnie poprzedzonych badań nad tą formacyą u nas, także i rozszerzenie spostrzeżeń na kraje ościenne, przez co zyskał autor tak ważną w tego rodzaju pracach większą jasność zapatrywań i pewność na szerszych już podstawach postawionych wniosków. „*Nowe przyczynki do geognozyi Polski*“ przez J. B. Puscha, przełożone z rękopismów pozostałych po autorze przez p. Bronisława Rejchmana, są dalszym ciągiem badań, które od czasu założenia „Pamiętnika fizyograficznego“ służą do wzbogacenia tegoż części geologicznéj. Rozprawka D-ra Józefa Siemiradzkiego „*Otwór świdrowy w Wildze nad Wisłą*“, jest jednym z tych drobnych materyałów, których zbieranie jest właśnie głównym celem „Pamiętnika“, a których doniosłość w obec licznych podobnych zapisków niezawodnie oceni przyszłość. Pan Br. Znatowicz w rozprawce swéj „*Rozbiory chemiczne wody*

wiślanéj przez różnych badaczy wykonane", zestawiając dwanaście rozbiorów wody wiślanéj, czerpanéj w różnych czasach, podał materyał, którego zastosowanie tak umiejętne jak i praktyczne może być wszechstronne.

Dział III. Botanika i Zoologia. Niezmordowany na polu fizyografii kraju p. Kazimierz Łapczyński, którego cenne zapiski nagromadzając się z każdym rokiem, dają nam już dziś tak świetny obraz przez tegoż zbadanych okolic, podał w tomie tym „*Trzy notaty*", z których pierwsza, obejmująca „*Wycieczkę na Podole*" jest nietylko doskonałym wykazem tutejszego bogactwa roślinnego, lecz także w krótkich rysach trafnie scharakteryzowanym obrazem fizyognomii kraju oraz rolniczéj jego produkcyjności. „*Rośliny nadkubańskie*" są przedmiotem drugiéj notatki p. Łapczyńskiego, który przeniosłszy swe badanie w okolice Kaukazu, skorzystał z zebranych przez pannę Wandę Pławińską roślin, aby i w tych odległych okolicach dorzucić grudkę wiedzy do téj tak przez siebie umiłowanéj nauki. Notatka trzecia zawierająca „*Słów kilka o Białskiéj puszczy*" jest lekkim odchyleniem zasłony pokrywającéj jeszcze po dziś dzień tamtejsze bogactwo flory — zachętą dla wszystkich tych, których szczęśliwy przypadek w tamte okolice rzuci. Z obudwu sprawozdań p. Karola Drymmera przedewszystkiém muszę podnieść pierwsze: „*Spis roślin zebranych w 1884 roku w powiecie Kutnoskim, w okolicach Żychlina, Kutna, Krośniewic i Orłowa*" (z mapą), dające nam obszerny wykaz roślin jawnokwiatowych z tamtejszych miejscowości. Pracę tę tém wyżéj cenić należy, ponieważ przez nią zdołał wreszcie autor uzupełnić tę dla nas pod względem naukowym tak nieprzyjemną pustkę, okolicy przedtém florystycznie zupełnie nietkniętéj. Rzecz druga, obejmująca „*Spis roślin zebranych na paru ekskursyach w r. 1880 i 1881 w okolicy Hanuszyszek*" jest podobnym do pierwszego materyałem, niedorównywującym mu jednak pod względem bogactwa. Praca p. Wł. Majchrowskiego „*Sprawozdanie z wycieczki botanicznéj do powiatu Ciechanowskiego i Mławskiego w czasie letnich wakacyi w r. 1884*" (z mapą), wyjaśnia znowu jednę z tych najczarniejszych plam, na znanéj polskim florystom, mapce p. Łapczyńskiego. Tu i owdzie rozrzucone po spisie roślin litery *P. D.* są dla nas dowodem tego cichego acz gorącego zamiłowania badań nad roślinnością naszego kraju, jakie obecnie coraz częściéj spotykamy u naszych pań. Piękny bowiem zielnik własnego zbioru panien Drewnowskich ze wsi Grzybowa dozwolił uzupełnić autorowi swój opis roślin formami wiosennemi, które dla przyjezdnych badaczy najczęściéj są nieprzystępne. Rozprawa p. A. Ejsmonda „*Sprawozdanie z wycieczki botanicznéj, odbytéj w Opoczyńskie w lecie*

1884 r." (z mapą), wyczerpujące prawie swój temat, jest bardzo interesującym nabytkiem dla naszéj florystyki, prócz bowiem bogatego opisu roślin dodaje jeszcze autor jako nader korzystne uzupełnienie całości krótką charakterystykę zbadanéj okolicy. Prace p. Maryi Hempel „*Spis roślin jawnokwiatowych dziko rosnących w Słupi nadbrzeżnéj*", oraz „*Spis rzadszych roślin jawnokwiatowych rosnących w Teresinie*", odznaczające się nie tylko nader wielkim bogactwem zebranych roślin, ale podające także dla naszéj flory rośliny zupełnie nowe, są jéj tak świetnym pierwszym występem na tém polu, iż mimowolnie nasuwa nam się myśl, ile zyskać może nasz kraj i nauka, jeżeli i nadal równie gorąco zajmie się ta pani tym przedmiotem. „*Wiadomość o śluzowcach znalezionych w latach 1878—83*" tak bardzo już dla naszéj flory zasłużonéj pani Maryi Twardowskiéj, jest pierwszą pracą w tym kierunku jaka się dotychczas w „Pamiętniku" pojawiła. Śluzowce jak wszystkie najniższe organizmy wymagają, już do ich zbierania i badania więcéj przygotowawczych studyów, niż inne rośliny, przez co téż w ogóle zajęcie się niemi nie tylko u nas ale i w całéj Europie jeszcze jest w dosyć niskim stopniu. „*Dodatek do spisu roślin znalezionych w okolicach Szemetowszczyzny na Litwie*" pióra tejże saméj autorki, jest uzupełnieniem spisu wydanego w IV tomie „Pamiętnika."

Z prac zoologicznych muszę przedewszystkiém podnieść rozprawę Dr. Henryka Dziedzickiego „*Przyczynek do fauny owadów dwuskrzydłych*" (z 6 tablicami), obejmującą wykaz dwóch nowych, przez autora nazwanych rodzajów i 26 nowych gatunków, z których kilka poświęcił autor naszym uczonym ks. Grzegorzkowi, Radoszkowskiemu, Wańkowiczowi i Wrześniowskiemu. Nader dokładne łacińskie i wyczerpujące polskie opisy obok wybornych licznych rysunków stworzyły całość, która nie tylko wzbogaciła znajomość rzeczy fauny krajowéj ale stała się także dla nauki w ogóle cennym nabytkiem. Te same uwagi odnieść mogę i do rozprawy p. Zygmunta Fiszera „*Materyały do fauny krajowych skorupiaków liścionogich*" (z 5 tab.), który opisał i ilustrował 4 nowe gatunki krajowych skorupiaków. Jedynym zarzutem, jaki mogę autorowi zrobić, jest brak przynajmniéj krótkich dyagnoz łacińskich, które przy opisie nowych form uważam za nieodzowne. Rzecz p. Fryderyka Osterloffa „*O chrząszczach krajowych*" jest dalszym ciągiem tego olbrzymiego wykazu, który zacząwszy od drugiego, ciągnie się przez wszystkie tomy „Pamiętnika." Praca p. A. Wałeckiego „*Materyały do zoografii krajowéj. Micromammalia, drobne zwierzątka ssące*" jest jedną z tych nader pouczających rozpraw, tego tak wielce dla naszéj

fauny zasłużonego badacza, które oprócz samego wyliczenia naszych drobnych ssaków, przez dodanie krótkich ale trafnych ich opisów dozwalają i ludziom mniéj fachowym robić daléj spostrzeżenia w tym kierunku. Równie interesującą jest notatka tegoż autora „*Żubr* i *bóbr*", widzimy z niéj bowiem, iż niestety zwierzęta te rzeczywiście zagrożone są zagładą. Żubr żyje obecnie tylko w dwóch miejscowościach na świecie w Puszczy Białowiejskiéj na Litwie i na Kaukazie w Abchazyi. W r. 1815 było wedle urzędowych wykazów u nas tylko około 300 sztuk żubrów, do roku 1857 wskutek troskliwéj opieki ilość ich wzrosła do cyfry 1898 głów, obecnie jednak znacznie się znowu zmniejszyła, tak że w roku 1871 było tylko 528 sztuk a obecnie podobno tylko 500. Z czego widać, że przy zaniedbaniu opieki nadejść mogą groźne dla żubrów czasy. Osuszenie błot poleskich nie rokuje wcale miłéj przyszłości tam mocno zagnieżdżonym bobrom; czy one utrzymają się na tém już jedyném tylko europejskiém stanowisku jest rzeczą wielce niepewną. Dzisiejszy stan ich jednak jest jeszcze bardzo dobry, w samych bowiem dobrach Słuckich mamy przeszło jeszcze 500 sztuk.

O pracach *Działu IV Antropologicznego*, będzie mowa osobno niżéj.

Dział V Miscellanea. Prawdziwą ozdobą tego dodatku jest wyczerpująca rozprawa ks. Władysława Massalskiego „*Szkic klimatu i jawnokwiatowéj flory Druskienik*" (z mapą). Oprócz nader licznych dat metereologicznych oraz bardzo obszernego spisu roślin, podał jeszcze autor studyum porównawcze nad klimatem tamtejszéj okolicy i nader trafną charakterystykę roślinności. Pod wieloma względami wyczerpująca ta praca jako skończona całość może prawdziwie służyć za wzór robot tego rodzaju. Praca p. W. Nałkowskiego „*Jeziora Lepelskie w systemie Berezyńskim*" (z mapą) obejmuje oprócz pomiarów tego jeziora jeszcze i dokładny opis tegoż, Starannie wykonana mapka jest uzupełnieniem tego nader systematycznie i starannie przeprowadzonego badania. P. Józef Rostafiński, który obecnie zajmuje się naszą przeszłością botaniczną przedstawił w tym kierunku „*Spis roślin znalezionych przez prof. St. Cyrynę Dogiela z uczniami szkoły Wojewódzkiéj Sejneńskiéj w okolicach Sejn, od r. 1827—1830*". Obszerny ten spis, przepełniony, wieloma na owe czasy nowymi dla Królestwa gatunkami, jest nie tylko cennym dodatkiem do florystyki krajowéj, lecz także prawdziwém acz późném uznaniem działalności prof. Dogiela. „*Spis paproci krajowych*" Dr. Fr. Kamieńskiego oprócz kilku nowych stanowisk dla dawniéj już znanych paproci, nie przynosi nic nowego dla flory krajowéj.

Tyle o saméj treści tego tomu. Bogactwo materyału zmusiłoby mnie wprawdzie znacznie obszerniéj niektóre z prac jeszcze omówić, podnieść zasługę bardziéj niż to zdołałem; nie robię jednak tego, wiem bowiem, że znajdzie się wielu czytelników, którzy zainteresowani poznaniem własnego kraju, będą się starali sami bliżéj rozejrzéć w tém interesującém wydawnictwie. Pominąwszy już bowiem przyrodników lub wszystkich tych, którzy nauki te tylko z zamiłowania pielęgnują, tak rolnik jak i przemysłowiec znajdzie tam rozsiane dla siebie wiadomości, które mogą znaleść praktyczne zastosowanie. Poznanie fizyografii kraju jest najważniejszą podwaliną dobrobytu. Tam bowiem gdzie klimatolog, geolog i botanik idą ręka w rękę dla poznania składu i urodzajności ziemi, stanu i zmienności powietrza, plenności zwierząt lub roślin, już-to szkodliwych, już-to użytecznych, tam tylko szukać należy tych nieocenionych wyników, dających normalne, niczém niewzruszone, bo naturalne podstawy dobrobytu krajowego. Na wydawnictwo więc „Pamiętnika fizyjogr.“ należy patrzéć i z praktycznéj strony, bo i cel, jaki sobie wydawcy postawili, jest przedewszystkiém przez gruntowne poznanie kraju podniesienie jego dobrobytu. Że i czysta umiejętność przez to skorzysta, samo się przez się rozumie.

Wydawnictwo „Pamiętnika fizyogr.“ podjęła u nas garstka ludzi dobréj woli, którzy najzupełniéj bezinteresownie, ba nawet z wielkiém poświęceniem nieraz, gromadzą tam bogaty materyał, walcząc ustawicznie z deficytem, a co gorsza z obojętnością ogółu. Smutne by mi wypadło oddać świadectwo własnemu krajowi, gdybym w tym razie musiał powoływać się na obcych i ich przykładem pobudzać do większéj ofiarności. Sądzę więc, że przyczyna téj obojętności, z jaką „Pamiętnik“ przyjęły nasze koła wykształcone, leży raczéj w zapomnieniu lub w prostéj niewiadomości o jego istnieniu, niż w tak przykrém a dla nas bardzo upokarzającém niezrozumieniu jego celów lub w braku dobréj woli. Pomińmy jednak stronę praktyczną, oprócz niéj bowiem jest jeszcze inna, która powinna nas już zmusić do poparcia tego wydawnictwa, a tą jest po prostu ambicya narodowa. Fizyografia ma jeszcze szersze znaczenie, pole jéj nie kończy się po za granicami kraju — jest-to bowiem umiejętność międzynarodowa, któréj wysokie cele, jedynie na drodze ogólnego współdziałania mogą być dopięte. W całéj Europie oddawna nie ma kraiku, nie ma prowincyi, gdzieby tego rodzaju materyałów na większą lub mniejszą skalę nie zbierano. Przed laty téż pięciu, gdy nauka ta nie znajdowała uwzględnienia nad brzegami Wisły i Prosny, większa część problemów naukowych rozbijała się o brak materyałów fizyograficznych z Królestwa. Rumieniliśmy się za własne braki, nie mając

ochoty ich naprawić. Czy obojętność ogółu i nadal ma wyróżniać kraj nasz piętném nieuctwa? Mamy dziś „Pamiętnik fizyjogr.“, wydawnictwo tak umiejętnie prowadzone, że i w piśmiennictwach zagranicznych zwróciłoby na się uwagę. Szczupłe grono ludzi dobréj woli uczyniło zadość ambicyi narodowéj, — czy nie byłby już czas wielki zrozumiéć i ocenić to ich poświęcenie i pomódz tam, gdzie pomoc jest wyraźnym obowiązkiem. Smutno bardzo byłoby, gdyby tylko 150 osób znalazło się pomiędzy nami, któreby zrozumiały wysoki cel tego wydawnictwa, a niestety dotychczas taką jest tylko cyfra osób, które wniosły przedpłatę na tom V „Pamiętnika fizyjograficznego“ (1).

Wiedeń, w lutym. *Dr. Ign. Szyszyłowicz.*

Dział IV „Pamiętnika fizyjogr.“ poświęcono Antropologii. Pierwsze tu w kolei miejsce zajmuje króciutka notatka o *Urnie twarzowéj z Sokołowa*, podana przez p. Jana Zawiszę (z 1 tabl.). Znaleziono ją przy oraniu, w grobie z płyt kamiennych, w Sokołowie, ku południowi od Brześcia-Kujawskiego, przy staréj drodze do Łęczycy. Ponieważ ani p. Zawisza, ani nikt inny cmentarzyska tego nie badał, a znalezienie urny twarzowéj w granicach Królestwa jest pierwszym tego rodzaju odkryciem, przeto wszelkie hipotezy w tym razie uważać można za przedwczesne. — Pan Tymoteusz Łuniewski opisał *Starożytne żarna w Polsce*, to jest bryły kamienne, mające po jednéj stronie owalno-kuliste zagłębienie. Mamy tu podane wymiary 32 żarn znalezionych w pow. Mazowieckim, Łomżyńskim, Pułtuskim, Węgrowskim i Sokołowskim, a znajdujących się w zbiorach pp. Glogiera, Jamiołkowskiego, Łuniewskiego i Przyborowskiego. — Dr. J. L. Kozłowski zebrał *Ludowe nazwy niektórych roślin z Prus Królewskich*, rzecz interesująca dla naszych florystów i językoznawców. — Stały współpracownik „Pamięt. fizyjogr.“ p. Jan Karłowicz dostarczył do tomu V-go poważną rozmiarami rzecz *O imionach własnych polskich miejsc i ludzi*. Prace p. Karłowicza odznaczają się zawsze sumiennością, istotném znawstwem rzeczy i trafnością spostrzeżeń. Stosuje się to w zupełności i do obecnéj rozprawy. Nie mogąc jéj tu ani rozbierać ani streszczać, poprzestaniemy na kilku luźnych uwagach. Wśród materyałów, podających nazwy miejscowe, pominięto „Tabellę miast, wsi i osad Król. Pols.“ z r. 1827, „Opisanie historyczno-statystyczne Wielkiego Księztwa Poznańskiego“ (Platera), wyd. Bobrowicza z r. 1846, oraz „Opis

(1) Prenumeratę w ilości rsr. 5 a z przesyłką rsr. 5 kop. 50 można nadsyłać pod adresem: Wydawnictwa Pam. Fiz. Warszawa. Podwale 2.

powiatu Radomskiego przez ks. Franciszka Siarczyńskiego", wyd. Tym. Lipińskiego 1847 r. — gdzie są zebrane nazwy, jak się zdaje, wszystkich miejscowości w odnośnych terytoryach; wreszcie „Rzeki i jeziora. Tekst objaśniający do mapy hydrograficznéj dawnéj Słowiańszczyzny przez W. K." (Warsz. 1883). Sądzę, że Bochnia i Leszczyc nie mają nic wspólnego z osnową *Bol*, pierwszą raczéj by zbliżyć można z wyrazem *bochen*, drugi zaś jest dowodnie synonimem nazwy *Laski*, *Laska*. Wywód nazwy Pieskowéj Skały od imienia ludzkiego Piesko daje się poprzéć tém, że zamek ten posiadali Szafrańcy, używający przeważnie imienia Piotr. Dzisiejsza nazwa Inowrocław jest późném przekręceniem pierwotnéj Juny Włodsław. Oleśnica nie pochodzi od Aleksandra lecz od olchy, olszy, jak Brzeźnica, Dębnica, Wierzbica, Sośnica. Nazwisko Odachowski może zamiast zbliżać z imieniem Adam, wypadało uznać za pochodzące od Ołdakowski lub od wsi Odęchów. Mińsk, Mieńsk, jest zapewne utworzony z nazwy rzeki (Mienia wpada do Swidru, Mień w Dobrzyńskiem). Jeśli Domarad jest pochodzenia niemieckiego, gdzież będziemy szukać kolebki dla Domasława i Domamira. Wątpić wolno, aby imię Giedko było zdrobniałem od Gedeon. Gród wielkopolski Gdecz, Giedcz, widocznie wziął nazwę od imienia Giedki (jak Sądcz od Sądka), Gallus wymienia go między czterma głównemi najludniejszemi grodami Chrobrego, nie mógł więc być świeżéj fundacyi, a pochodząc z czasów pogańskich, nie mógł téż miéć chrześcianina swym założycielem. Do imienia Konrad odnieść należy nazwę wsi Kondrajec, dawniéj Kondradziec. Wbrew wywodowi autora, dajemy pierwszeństwo imieniowi Bezdziad znanemu z aktów, przed Bezdzię-kiem, którego ani razu nie spotkaliśmy; brak śladów brzmienia nosowego ma tu pewną siłę dowodową; inaczéj, formy: Biezdziedza i Przezdziatka trudno byłoby sobie objaśnić. Przy imieniu Teodor dodać można formy Cedro, Czadro i pochodne od nich. Imię Tomisław jest, według mego zdania, zesłowiańszczoną postacią Tomasza, jak Janisław—Jana, Benisław—Benedykta. Imię Skorogost jest prawdopodobnie mylnie odczytane Starogost lub Szarogost. Formy Ziemiomysł, Ziemirad, Ziemowit, w książkach naszych stale powtarzane, należałoby podobno wykreślić z szeregu imion słowiańskich, jako arcywątpliwe, a natomiast wprowadzić formy prawdziwe Siemisław, Siemirad, Siemowit. Od osnowy *ziem* mamy tylko jedno imię udowodnione, Ziemięta, i pochodną od niego nazwę Ziemięcin; osnowę *siem* poprzéć można imionami Siemian, Siemak, oraz licznemi nazwami miejscowości. Siemiaszko, zdrobniałe imię księcia mazowieckiego, nie może przecież pochodzić od Ziemowita. Przy sposobności zaznaczamy, że imię innego księcia mazowieckiego, Wańko, ucho-

dzące za zdrobniałe od Wacław, jest rzeczą niemożliwą: imię to znajdujemy raz w formie Wancko, w téj bezwątpienia postaci znalazł je i Długosz, a odczytawszy z niemiecka Wanko, wprowadził na mylną drogę twórcę Wańka. — W końcu nie możemy zamilczyć tego, że w rozprawie, dotyczącéj nazw miejscowości polskich, obok lingwisty Miklosicza, winno się było znaleść nazwisko jednego z naszych historyków: mówię tu o prof. Tadeuszu Wojciechowskim, autorze „Chrobacyi.“ *St. Ł.*

= Ogłoszone dotychczas „Rozprawy i sprawozdania wydziału filologicznego Akademii Umiejętności“ w Krakowie w 10-ciu tomach zawierają wiele bardzo ważnych i niezbędnych dla każdego badacza języka polskiego rozpraw naukowych. Godném jest zaznaczenia, że wydawnictwo to, ze wszech miar dla filologii polskiéj pożądane, coraz szerzéj i pomyślniéj się rozwija. Obecnie, wskutek nagromadzenia się prac drukują się tomy XI i XII jednocześnie, a niektóre z rozpraw i monografii tam pomieszczonych ukazały się już w osobnych odbitkach. Do takich należą: obszerna praca dyalektologiczna p. *Jana Bystronia* „O mowie polskiéj w dorzeczu Stonawki i Łucyny w księstwie Cieszyńskim“ (w Krakowie, 1885, str. 110, odbicie z XII tomu Rozpraw wydz. fil. Ak. Um.). W pracy téj mamy przedstawione właściwości mowy ludu polskiego tak zwanych *Lachów*, zamieszkujących niegórzysty pas księstwa Cieszyńskiego nad rzekami Stonawką i Łucyną. Po dokładném, systematyczném ugrupowaniu właściwości téj mowy i opatrzeniu ich pouczającemi objaśnieniami, dołącza autor kilka wzorów języka w prozie i pieśni, nieco przysłów i zagadek ludowych; w końcu słownik (85—108) wyrazów miejscowych. Rzecz wykonana umiejętnie, podług metody naukowéj, którą autor zawdzięcza swemu profesorowi dr. L. Malinowskiemu. Jemu też, jako „wdzięczny uczeń“ pracę swą poświęca.— *Dr. Jan Hanusz*, docent uniwersytetu wiedeńskiego, ogłasza rzecz „O książce do nabożeństwa króla Zygmunta I, w rękopisie monachijskim.“ (Odbitka z t. XI Rozpraw wydz. filolog. Akad. Um. str. 103, w 8-ce). Rękopis książki, będącéj przedmiotem niniejszego studyum, nosi tytuł *Szczyt duszny* i jest tłumaczeniem łacińskiego „Clypeus spiritualis“ (którego innym przekładem jest także stary druk krakowski p. t. „Tarcza duchowna“, Ungler 1533 ?), a nie ma nic wspólnego z broszurą teologiczno-polemiczną Grzegorza z Żarnowca p. t. Clypeus albo Tarcz duchowna i t. d. Sam rękopis książki króla Zygmunta I znajduje się w bibliotece uniwersyteckiéj w Monachium. Skopiowanie tego rękopisu w celu ogłoszenia go w całości było celem podróży d-ra Jana

Hanusza w r. 1882, do Monachium odbytéj. Gdy jednak okazało się to na miejscu niemożliwém, wskutek odmowy naczelnego bibliotekarza prof. P. Roth'a. dr. Hanusz, korzystając tylko z pozwolenia obejrzenia rękopisu i robienia pewnych z niego wyciągów, ograniczył się na wynotowaniu tego wszystkiego, co w treści rękopisu znalazł ważnego dla historyi języka polskiego, i na podstawie tych wynotowań podaje: w 1-éj części swéj pracy treść wewnętrzną zabytku monachijskiego w porównaniu z innemi podobnemi przekładami; w części zaś 2-éj przedstawia właściwości staropolszczyzny w tym zabytku przechowanéj, a noszącéj wiele znamion języka z wieku XV-go. Przymiot gruntownéj znajomości rzeczy, charakteryzujący poprzednie prace językowe autora, jest wybitném znamieniem i tego nowego przyczynku do badań nad historyą polszczyzny.

Ad. Ant. K.

= W grudniu z. r. miał w Wrocławiu na posiedzeniu *Towarzystwa starożytności szląskich* profesor dr. Crampe bardzo zajmujący wykład o *zabytkach archeologicznych, w żalnikach kaukaskich znajdowanych*, z czego dla ważności przedmiotu podajemy co następuje. Prelegent podniósł na wstępie ważność Kaukazu jako siedliska kultury w zamierzchłéj, przedhistorycznéj przeszłości i przyznał, że bardzo skąpemi są dotąd wiadomości odnośne, gdyż mało stosunkowo badaczy uczyniło krainy Kaukazu przedmiotem ścisłych badań archeologicznych. Pierwszym i niezawodnie najgłówniejszym i najzasłużeńszym pracownikiem na polu odkryć starożytniczych w téj krainie jest— zdaniem prelegenta, Fryderyk Bayern z siedmiogrodzkiego Hermanstadtu. Z Tyflisu podejmował on zrazu ekskursye przyrodnicze i zupełnie przypadkowo poczynione odkrycia niektórych starożytności wprowadziły go na tory poszukiwań archeologicznych. Zorganizował on tam nieliczne grono osób w towarzystwo, rozbudziwszy poprzednio w nich interes do starożytności tamecznych; osoby te dostarczały środków do szukania i odsłaniania z ziemi zabytków. Bayern systematyzował i gromadził troskliwie znalezione okazy, a następnie (1881) z muzeum kaukaskiém takowe połączył. Już w r. 1872 ogłosił on częściowo wynik usiłowań swoich na Kaukazie w berlińskiéj „*Zeitschrift für Ethnologie*“, potém w „*Mittheilungen der Anthropologischen Gesellschaft in Wien*“ (1874) i znowu w wyżéj wymienioném piśmie berlińskiém (1878). W r. 1881 bawili w Tyflisie, z powodu zebranego tamże kongresu antropologicznego, panowie Virchow z Berlina i Chantre z Lyonu. Obaj skupowali i zbierali gorliwie starożytności miejscowe, a następnie obszerne o nich podawali referaty i uwagi w osobnych drukach. Ze współdziałaniem Virchowa wydał Bayern 1885 r. główne sprawozdanie, tyczące się grobów i za-

bytków kaukaskich („Gräber und Schatzfunde in Kaukazien“). Prelegent wrocławski wziął sobie za zadanie, tylko o jednėm z czterech najważniejszych żalisk kaukaskich podać szczegóły, mianowicie o tak zwaném *obozowisku Redkina*. Znajduje się ono w wyższéj dolinie Akstafy, pobocznéj rzeki Kury, 6 wiorst na północ od miasteczka Delirhan. Nazwę swą zawdzięcza wspomniony żal szefowi komisyi drożnéj, pułkownikowi Redkinowi, który tutaj, nad głównym traktem do sąsiedniéj Armenii obóz swój rozbił. Tu więc rozpoczął p. Bayern (1879) poszukiwania archeologiczne. Przedhistoryczne groby tutejsze leżą rzędami, a są trojakie co do rozmiarów: dla mężczyzn, niewiast i dla dzieci. Każdy grób składa się z 9 grubych płyt kamiennych, z których dwie leżą wierzchem. Odpowiednio do wielkości grobów są rzeczone płyty 2—5 stóp szerokie, a 3—8 stóp długie i stanowią skrzynie. Jednym z wąskich boków, zwykle ku południo-wschodowi położonym, wsuwano trupa do grobu, otwór kamieniami potém zakładając. Każdy skielet spoczywa na środku przestrzeni wewnętrznéj, oparty plecami o pewną ilość naczyń glinianych, niegdyś płynem napełnionych, gdyżby w innym razie przez nacisk opartego nieboszczyka musiały się naczynia owe powywracać. Prócz tego znajduje się w każdym grobie udo bydlęce, często głowa barania lub kozia i rozszczepione drewko. Broń leży po lewéj stronie pochowanego. Z 86 grobów tylko 22 było nietkniętych; wszystkie inne złupione. W bliskości grobów zawsze się znachodzi popiół, kości i skorupy gliniane, z czego można wnioskować, że się i tu przy chowaniu zmarłych odbywały stypy pogrzebowe. Ludzie tu grzebani byli typu dolichokefalnego (długogłowego) o harmonijnym składzie członków, średniego wzrostu i dość dobréj tuszy, jeżeli wolno tak sądzić z jedynego pasa, jaki znaleziono. Ze szczątków zwierzęcych znaleziono rodzaj buławy z rogu jeleniego, resztki skorupiaków i małżowin (konch); z utworów roślinnych: resztki chleba, odciski podbiału (Tussilago), tkanki z roślinnego włókna, drzewo i bursztyn. Z powodu znajdowania bursztynu chciano się dopatrzyć pewnéj styczności pogrzebanych tu mieszkańców doliny nadakstafijskiéj z morzem Baltyckiém. Bayern twierdzi wprawdzie, że się bursztyn, lecz w małych kawałkach tylko na Kaukazie i nad morzem Czarném znachodzi; uderzały więc większe, miano je przecież za masę kalofoniową. Virchow jednak dowiódł, że 6 większych kawałków rzeczywiście są bursztynem i że się od bursztynu nadbaltyckiego nie różnią. Okoliczność więc ta otwiera powyższemu przypuszczeniu dalszą drogę. Z kamieni znaleziono *obsydyan*, a raczéj wyrobione zeń ostrza do strzał (8 sztuk) i coś podobnego do skrobaczek, nadto znaleziono dużo tego minerału w odpadkach; daléj paciorki *karniolo-*

we, w jednym jedynym grobie aż 5000. Karniole znachodzą się zresztą tylko w grobach z czasów Karolingów i w biżuteryach arabskich. A nareszcie znaleziono piłę z felzytu i jakąś felzytową dźwignię (?). Często znachodzą się w kaukaskich grobach przedhistorycznych naczynia gliniane. Materyał, z którego je wyrabiano, znajduje się zwykle w bliskości. Naczynia te, ciemnéj pospolicie barwy, słabo są wypalone, z połyskiem zewnętrznym, z jednostajnemi ozdobami i równego rodzaju i stylu. Jedno lub dwukolorowe *szkiełka* w kształcie pereł, słupeczków, tabliczek i obrączek zachodzą w tamtejszych grobach bardzo licznie. Dotąd znaleziono w żalu na obozozowisku Redkińskiém okazów karniolowych 1536, szklanych 1072. W bardzo wielu razach natrafiono na przedmioty z *bronzu*, a mianowicie znaleziono 3 puginały z tego metalu, 75 rozmaitych obrączek, łańcuch z medalionem, najszyjniki z licznemi wiszącemi u nich ozdóbkami i 3 *żelazne* groty od dzid. Najwięcéj zainteresowały archeologów przedmioty z *antymonu*. Zrazu miano je za ołowiane; dopiero Virchow, któremu zabytki te nie wyglądały na to, poprosił chemika Salkowskiego, aby je naukowo zbadał, co okazało, że rzeczywiście mylnie uchodził tam antymon za ołów. Odkrycie to nie małéj jest wagi, ponieważ ani Grecy, ni Rzymianie kruszcu tego nie znali, a tylko w grobach obozowiska Redkińskiego antymon się znalazł. Z kruszcu tego wyrobione przedmioty są paciorki walcowate słupeczki, tabliczki i naszyjniki. Zkąd przedhistoryczni mieszkańcy Kaukazu antymon mieli, dojść dotąd nie było można. Bayern twierdzi, że kruszcu tego na Kaukazie, nie ma; inni przeciwnego są zdania. W muzeum wrocławskiém starożytności szląskich poddano próbie chemicznéj wszystkie tamtejsze okazy archeologiczne, które za ołowiane dotąd uważano, i pokazało się, że jedna tylko sztuka była z cynku, wszystkie inne z ołowiu. A więc antymonowych zabytków wcale tam nie ma. Trzy rzeczy charakteryzują wykopaliska z obozu Redkińskiego: 1) że pomiędzy niemi znajduje się dużo wyrobów z antymonu; 2) że również tam dużo przedmiotów z bronzu i ze szkła i 3) że absolutnie niema tak zwanych *fibul*. Bardzo wiele kaukaskich zabytków starożytności ma wspólne cechy z okazami archeologicznemi, w ziemi nadodrzańskiéj znalezionemi; widać to mianowicie w dziale pierścieni i obrączek bronzowych. Stwierdzono to przez porównywanie ilustrowanych wyobrażeń wykopalisk kaukaskich z okazami szląskiemi. O rasie pogrzebanych ludzi na żalach, przez Bayerna badanych, nic na razie pewnego powiedzieć nie można. Liczne zabytki resztek naszych zwierząt domowych, w grobach tamtejszych się mieszczące, pozwalają wnosić, że ludzie owi hodowaniem bydła się trudnili i że już konie, owce, kozy i nierogaciznę posiadali; za to

psa i kota nie ma ani śladu. Po wykładzie prelegenta wywiązała się żywa dysputa, podczas której zwracano uwagę na podobieństwo przedhistorycznych grobów kaukaskich do grobów znajdujących się w Prusach. *J.*

Replika E. Swieżawskiego panu Wł. Smoleńskiemu

na jego krytykę „Rozmów o dawnych dziejach.“

Nieprzeczę, że książka moja niejest wolną od błędów, ale i krytyka pana S. takąż niejest. Starając się być najzwięźlejszym, zreasumuję tylko to, co uwagom sz. krytyka odejmuje cechę zupełnego spokoju i bezstronności, istotnie sędziowskiéj.

1° Czemu sz. krytyk tak hojny w wytykaniu błędów, usterek, itd. teł cywilizacyjnych, nie powiadomił autora i czytelnika, czy jest toż samo w opowieści dziejów politycznych, wojennych..... Milczenie jeszcze tu niczego nie dowodzi, i jeżeli jedni będą obie części pracy uważać za równo złe, drudzy mogą inaczéj sądzić. Należało być wymowniejszym, zupełniejszym, *choćby w naganie.*

2° Zarzucając mi *chaos* w układzie, sz. krytyk powinien był koniecznie sam go unikać: *a*) stawiając w krytyce rzeczy różnoczesne tak, jakby do siebie u mnie należały (str. 558—August III, Ciołek za Jagiełły) lub czytając książkę w dziwnym nieładzie np. pyt. 522, pyt. 166, str. 231, 218, 230; pyt. 447, 354, 356, str. 400, 399, 278, 235; i 135, 153, 332. Tak czytając, jak wskazują cytaty, z początku i końca książkę, można splątać się samemu w zdaniu o niéj. *b*) Stawiając mi wręcz przeciwne żądania i zarzuty tak, że mimo najlepszéj chęci niemogę im zadośćuczynić, pan Smoleński udawadnia, że i w jego krytycznych postulatach istnieje chaos jakiś, mogący źle świadczyć o... bezstronności jego. Tak np. oświadcza, że „gotówbym dyplomatami popierać istnienie człowieka“, co wskazuje we mnie nałóg zbytecznych cytat, jednak może usprawiedliwiony w rozprawach specyalnych. Zaraz poniżéj w „Rozmowach,“ w podręczniku, uważa za błędne, że „nie cytuję źródeł,“ co byłoby znowu stanowczo błędem (1). *c*) Sz. krytyk z omyłek druku wyciąga wniosek, że skoro fakty sprawdzone podaję mylnie, to trudno wierzyć „nieumotywowanym poprawkom.“ Pomijając kwestyę motywowania, (jak źródła niemożebną w podręczniku), zaznaczam trzeci dowód chaosu w po-

---

(1) *Ściśle mówiąc*, np. w pyt. 356 cytowani są, Marcin Bielski, Górnicki, Rej i in. jako *źródła* do zwyczajów XVI w., co milcząco protestować miało przeciw opinii Czarnockiego et tutti quanti dowodzących, że łacina i katolicyzm zatarły pogańskość i słowiańskość u nas i że wiek XVI odwrócił się do literatury ludowéj tyłem.

jęciach sz. krytyka, polegający na mięszaniu eraty drukarskiéj z dowodami naukowemi.

Może pan S. nie znać rozprawki ks. Wł. Siarkowskiego (*Ognisko domowe* 1876 N. 13—19) w któréj postawiono hypotezę konia Swantowitowego w dziejach Szczodrego, lub niezgadzać się na jéj wywody, przyjęte przezemnie; co do liberum veto w XIV w. wolno panu S. nie znać lub nie wierzyć opinii Szajnochy lub Szujskiego w tym względzie; ale wówczas nie godzi się téj swojéj umyślnéj lub istotnéj nieświadomości co do źródeł autora, mieszać z omyłką np. grubą, co do paktu 1374, zwanego błędnie przezemnie (str. 192) korczyńskim *nb.* w pytaniu 234, a w *pyt. 235 na téj saméj stronie* z *mylną datą 1371 koszyckim*—Sz. krytyk téj szczególności ani zauważyć chciał, ani podał czytelnikowi jego recenzyi, jako materyału do uniewinniających mnie może z takich omyłek uwag. W żadnym zaś razie panu S. nikt nie przyzna, żeby omyłka w rzeczy znanéj, *eo ipso* przesądzała naturę rzeczy nieznanéj. Budzić podejrzenie powinno, zmusza co najwięcéj do sprawdzenia i krytyk to czynić powinien a rezultat gotowy podać czytelnikowi. Będzie za to chaosem na punkcie pojmowania roli krytyka rzucać oskarżenia, właściwe i czytelnikowi niefachowemu, a świadczące tylko o granicach czy wiedzy czy ochoty krytyka do sprawdzań. Taki wniosek byłby tém możliwszy, że o Ciołku zrobił za mną cytat, a nie widzi, że „osłem“ *Rozmów* jest mylką zam. orłem, a w p. 93 nie domyślił się Gallusa, spolszczonego..... *d*) Pan S. cytuje to strony, to pyt. przez co dwoją się moje złe pytania (p. 447).

3⁰ Szanowny recenzent chcąc wykazać, że moja książka nic nie jest wartą, nie podał nic na jéj korzyść, choćby z usiłowań wyrażonych przez system odsyłaczy (pytań do siebie) i wskazań kierunków w rządach pojedynczych króli i w epokach. Za to był łaskaw, obok błędów znalezionych w méj książce, włożyć na mój karb *własne pomyłki.* Dam tego przykłady bijące.

„Dopełniają chaotyczności (jak mówi pan S.) częste powtarzania się: o Modrzewskim jedno i to samo pisze autor dwa razy (p. 345, 361), podobnież o języku w XVI w. (p. 339, 377),... kształceniu się kobiet (p. 354, 359) itp.“ Przyznaję co do rzeźbiarzy powtórzenie się, ale o Modrzewskim p. 345 donosi, że „podaje wzory do kościoła narodowego opartego na elekcyi, a p. 361 podaje, że M. „prócz reform kościelnych podał wnioski co do zrobienia ulg włościanom.“ Co do języka, p. 339 mówi, z przeproszeniem uważnego krytyka, o *łacinie*, p. 377 o *polskim*; co do kobiet p. 354 zawiera opinie ludzi o ich emancypacyi, p. 359 o szkołach więc i o szkole dla kobiet mówi.

Tu widoczna jest powierzchowność lektury w krytyku, któréj jeszcze lepszy dowód daje w zarzucie, że mieszam sprawy szkolne

z palestrą (p. 360—362), gdzie jest mowa jak najwyraźniéj o *mecenasach* tj. opiekunach literatury i młodzieży, ale *nie* o adwokatach, *jak pan S. domyślił się*, nie czytając odpowiedzi i nawet pytania 362, W pyt. 522 cursive jest drukowano „*autorki*“ (tj. kobiety) i jest ich więcéj, jeden zaś *cudzoziemiec* i jeden chłop (dla charakterystyki ruchu); pan S. czyta „autorów“. Gdybym był złośliwym, powiedziałbym za panem S. *ab uno, disce omnes*; jak te zarzuty, tak i inne.

4[0] Niestety, charakter innych łamań tekstu i myśli moich jest gorszy.

a) Pan S. zarzuca mi pohop „chorobliwy“ do uogólniania, na zasadzie niedostatecznéj ilości faktów niesprawdzonych. By otrzymać dowody téj mojéj wady, pan S. *niezawiadomiwszy* o tém swego czytelnika, z moich tekstów *wyrywa* pojedyncze zdania i fakty, i mówi tak o nich, jakby były jedynemi. Np. w pyt. 447, (str. 315) jest podanych faktów 12—13, pan S. cytuje *jeden*, jako „moją“ ilustracyę stosunków małżeńskich za Wazów. P. 354 zawiera faktów tyleż, może i więcéj; pan S. podaje *jeden*, jakby był jedyny. Pytań charakteryzujących działalność wszechstronną Kazimierza W. jest w Rozmowach 24 (208—231), pan S. cytuje *jedno*, (218) przydatne dla *jego* wniosku; z 14 pytań wszechstronnych o Batorym (386—399), pan S. wyrywa *jedno* (389 nie 289), dobre do *jego* tezy. Z pyt. 448 pan S. *opuszcza* tekst mój, cytujący dobre objawy, a chwyta Warszyckiego i Zielińskiego, jakby jedynych (cytowano pyt. 448 i str. 315 w *dwu* postaciach, jakby z dwu różnych pytań). Zarzuca mi osobistą nienawiść do Chrobrego, za nazywanie go Magnus Wielisław, a nie przeczytał końca pyt. 94 (str. 52), gdzie jest tego usprawiedliwienie jako rys epoki (por. Piekosiński, Mosbach). (Niech by to był dowód *mego* chaosu, ale i *sposobu* czytania pana S.).

b) Pan S. zamiast dowieść, że ja fałszuję źródła, lub ich nie znam, zwraca się do czytelnika, jakby do kompetentnego sędziego, znającego już źródła i moje ich sfałszowanie, co i miesza charakter jego krytyka z rolą czytelnika i przesądza wyrok, bez dowodów, o czém czytelnik, złudzony rolą pana S. jako krytyka, i jego frazeologią, zupełnie nie wie. P. 447 np. o Warszyckim, wzięło ten fakt z *Cudzoziemców* Liskego. Bijanie prokuratorów p. 354 z *Herbów* Paprockiego. P. 71 o Bolesławie I ma fakty z Dytmara, Nestora, Chronicon silesopolonum, powagę Lelewela, Małeckiego. Krytyk najprzód powinien *dowieść*, że zna źródła autora, że są złe lub dobre, że ich źle lub dobrze użył autor, więc że *ma prawo* być sędzią. Pan S. cytuje szczegóły *sobie* nieznane, i to mu wystarcza do negowania ich, ale o swéj nieświadomości nic nie mówi czytelnikowi. Jak poprzednio rwał tekst,

i to ukrywał, tak teraz ułamkową swą wiedzę ukrywa, mnie tego sztucznego dowodu czyniąc ofiarą.

c) „Chorobliwa“ a tajna niechęć pana S. do książki, objawia się w umniejszaniu sztucznèm zasługi lub żądaniu rzeczy niemożebnych od autora, czego jednak *nie wie czytelnik.* Widać to np. w fakcie wyrwania przez p. S. „z“ całéj odpowiedzi (356) rzeczy o talerzach, przyczém nie chciano dopatrzéć się rzeczy widocznéj, że obcieranie talerza odnosi się do czystości talerza i małéj ich ilości (por. 3 ludzi najwięcéj za Kazimierza W. do jednéj miski) a obmywania rąk do braku widelców, a następnie, że 3 sposoby obcierania w jednéj sferze społecznéj nie mogą być praktykowane, więc i *eo ipso* muszą być odpowiednie różnice w obcieraniu i myciu rąk. Zarzuca mi pan S. tajenie czegóś lepszego o Ciołku („str. 166“) jakby nie wiedział, że Prohazka zwie go „karyerowiczem“ w specyalnéj biografii. Wspomina pan S. („chwali się“), że wprowadziłem do dziejów wiadomości „o sztuce“ a zataja takim zwrotem przed czytelnikiem recenzyi, że *i co innego* podałem na tak wielką skalę, co mimowoli w *naganie szyku* 12 pytań cywilizacyjnych za Jagiełłów ujawnił. W sztuce zresztą robi zarzut „niczego nie uczy fakt istnienia w XIV w. kapeli królewskiéj“ a zataja, że podałem nazwy kompozytorów, muzyków, instrumentów rodzaj, wizyty muzyków obcych; brak wprawdzie charakteru owoczesnéj muzyki europejskiéj i samych nut, ale znów pierwsze wymagałoby nowych objaśnień (zarzut *chaos*) a co do drugiego... dawałem, co było w źródłach. Więcéj stworzyć nie mogłem nad to, co znalazłem.

Stosownie do wymagań Sz. Redakcyi, starając się być najtreściwszym w odpowiedzi, muszę na zakończenie wyrazić pewność, że mogłem grubo się mylić, w ocenie faktów, układzie (nawet w faktach) ale że i pan S. nie spełnił w całéj rozciągłości swego zadania jako bezstronny krytyk. Jeśli jedne strony méj pracy drażniły jego uczucie, trzeba było czytać drugie (str. 6—9), aby nabrać właściwego poglądu na dążność autora, i nie stawiać mu stronnych zarzutów, pod wpływem *zapewne* tego tylko uczucia rozdrażnienia. Jako pedagog zresztą, znać był powinien Przegląd Pedagogiczny z 1885 r. i w nim mój pogląd na pracę ogółu i bohaterów wyrażony. Toby mu dużo mylnych twierdzeń oszczędziło.

E. Sulimczyk Swieżawski.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rozwój uczuć w XIX wieku u nas i gdzieindziéj.—Miękkość temperamentu. Narodowość i estetyka. — Piosnka p. Kochańskiéj i takt p. Mierzwińskiego. Istota melomanii warszawskiéj. — Konserwatywna krytyka wobec obrazu Munkaczego. — Trzy szczeble uczuć. —Uprzejmość dla cudzoziemców i żądza pochwał.— Japonia nam imponuje!

Nieprzyjaciele zewnętrzni przez niechęć, a wewnętrzni pesymiści przez zbytek może uczucia zarzucają nam nieraz, żeśmy w ciągu XIX wieku nic się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. To nieprawda. Owszem, świadczyło by o wiele korzystniéj o harcie narodowym i o zmyśle politycznym, gdybyśmy o różnych względach i okolicznościach pamiętali lepiéj, niż pamiętamy, a wobec niektórych rzeczy, pojętych już niestety i przyswojonych, okazali nieprzezwyciężoną tępość umysłową i moralną, Po za tém, gdy się Europa cała odradzała duchowo i myśmy posunęli się naprzód. Dowodzi tego chociażby ta okoliczność, że Poznań przepędził ostatni karnawał jak poważne dni pokuty, a salony grodzieńskie w 1793 roku wyglądały jak scena Małego Teatru w finale Gasparone.

Rozwój nasz jednak moralny, ani co do siły, ani co do kierunku nie jest takim, jakiego się można było spodziewać, jaki by wyprorokował człowiek, stojący na zewnątrz, cudzoziemiec dajmy na to, gdyby się oparł na logice jedynie i na najgłośniejszych faktach. W tym czasie budzi się w Europie całéj poczucie odrębności i godności narodowéj, patryotyzm odradza się, nabiera niewidzianego przedtém blasku i zaczyna odgrywać w życiu społeczeństw pierwszorzędną rolę. Kwestya narodowa, nieznana niemal dotąd, zajmuje w polityce świata stanowisko naczelne, staje się tłem pracy ludów, hasłem zarówno mężów stanu jak i demagogów, wywołuje krwawe wojny, stwarza państwa. Natura ani historya nie okaleczyły tak duszy naszéj, abyśmy miłować nie byli zdolni przeszłości i przyszłości, języka, praw, obyczajów, nadziei; owszem dzieje dowiodły niejednokrotnie, że zarówno jak inne narody czuć umiemy żywo, co nam do-

lega i pożądać gorąco zmiany. A więc zdawałoby się, że uczucia podniecane wciąż napaściami chociażby ks. Bismarcka, rozżarzane krzywdą, jak w Prusach, rozrosną się szybko i potężnie, tłumiąc inne potrzeby i pragnienia ducha, staną się drażliwe, czujne na najlżejszą obrazę, wrzeć będą jak para, zamknięta w wulkanie. Lękać by się nawet należało, że, podsycani wciąż w jednym kierunku, żyjąc jednym jak gdyby nerwem, stracić możemy miarę, wpaść w szowinizm, poświęcać istotę za pozór.

Gdzietam! Nietylko niema obawy co do przekroczenia granicy, ale do granicy téj jest tak daleko, jak gdybyśmy byli jedynym narodem na ziemi, któremu fantazya może tylko stwarzać niebezpieczeństwa, lub jak gdybyśmy byli zupełnie obojętni dla spuścizny, dla obowiązków przekazanych przez przeszłość, dla ideałów! Każdy z nas potrafi w każdéj chwili deklamować na cześć piękności języka, słyszanego na kolanach matki, potrafi uwielbiać cudne dźwięki, zaklęte w rymy przez Adama i Juliusza; a słowa te są tak obce sercu, że imiona ludzi, co odważyli się umiéć tylko po polsku, gdy ich proszono o odpowiedzi w innym języku, zostały zapisane do kronik i przekazane pamięci potomności. Źle się dzieje, gdy spełnienie obowiązku musi być uważane za zasługę nadzwyczajną. Dogmatem obowiązującym w życiu stało się ustępstwo; upór, nawet miłość własna, jak gdyby zniknęły zupełnie z charakteru naszego. Wszelka nowa fantazya napotyka tyle oporności, co drąg stróża warszawskiego w topniejącym śniegu; i znowu przez parę lat dziesiątków we wspomnieniach jaśnieje jedno tylko nazwisko Nostitz-Jackowskiego. Grzeczność gospodarzy tak się w nas rozwinęła, że jesteśmy uprzejmi nawet względem tych, których za gości uważać wcale nie możemy.

Takt nasz i rozsądek powinny wejść w przysłowie, nietylko sami nie puścimy się na bezdroża, ale jak tylko jaki patryota włoski, francuski, niemiecki, uniesiony zapałem, powié cokolwiek zuchwalsze słowo, lub popełni krok ryzykowniejszy, warszawscy publicyści i reporterzy pojąć nie mogą takiego szowinizmu, ruszają litościwie ramionami i drwią. A Brandes jakby przez ironią powiada, że uczuciom narodu polskiego brak balastu, który narody germańskie posiadają we wrodzonéj flegmatyczności, a romańskie w logice rozumującego rozsądku. Widocznie uczucia już same bez balastu taki niski lot mają.

Wspomnienia 1870 i 71 roku nie pozwoliły w Paryżu słyszéć nawet o tém, ażeby Wagner ukazał się w Operze. Saint-Saënsowi na każdym kroku czuć dawano w Niemczech, że wiedzą o jego nieprzychylności dla rasy i muzyki germańskiéj. A jednak nie można powiedzieć, że oba te przodujące światu narody są niezdrowe, że nie mają poczucia artystycznego, że nie umieją cenić i miłować sztuki. U nas

znaleźli by się melomani zdolni do entuzyazmu dla wszystkich po kolei śpiewaczek i fortepianistów berlińskich, chociażby ci koncerty przedtém dawali na korzyść wywłaszczenia poznańczyków. Nie mamy najmniejszego zamiaru powstawać przeciw uczęszczaniu na koncerty, rozumiemy doskonale i uznajemy znaczenie potężne, olbrzymi i dodatni wpływ sztuk pięknych na rozwój narodów, smuciłoby nas, gdyby wystawy obrazów i sale koncertowe stały pustkami, ale przecieć po nad uczuciami estetycznemi powinny stać inne, ważniejsze. Jeżeli z podatków powszechnych otrzymują subsydya teatry, opery, z których korzysta tylko cząstka narodu, to robi się to nie w celu dostarczenia przyjemności wybrańcom, lecz dla tego, że wrażenia estetyczne udoskonalają, robią ludzi wrażliwszymi, zdolniejszymi do uczuć i życia społecznego. Nie można więc dla pierwszych obrażać ostatnich. Tymczasem przyjeżdża pani, która na całym świecie zwie się Sembrich, a nas chce głaskać i wabić mianem Kochańskiéj. Zanim głos jéj rozległ się w sali koncertowéj, już pomiędzy reporterami niepokój, a patentowane melomanki drżą z niecierpliwości. Nareszcie nadeszła chwila oczekiwana, *diva* treluje, publiczność zachowała tyle przytomności, że prosi o polską piosenkę, pani Kochańska śpiewa „Ich liebe dich." Kilku odważniejszych wobec tego zaczyna sykać, doborowa publiczność nie wié, co ją ma zdumiewać bardziéj: głos śpiewaczki, czy zuchwałość profanów? Rzęsiste oklaski stłumiły nieliczne sykania! Taka Patti nauczyła się dla Moskwy i Petersburga „Sołowija", czyż więc nie my sami winni jesteśmy, że nas lekceważą? Proszę sobie wyobrazić, coby zrobili Francuzi, gdyby im w Paryżu kobieta, mieniąca się Francuską, zaśpiewała po niemiecku! A przecie Prusacy zabrali Francuzom tylko prowincye, mówiące po niemiecku i nie zaprzysięgają wytępienia.

Mierzwiński, którego zdolności śpiewackie podniesiono mocno w Warszawie, gdyż ma *rz* w nazwisku i nosi takie imię, jak wielu sławnych królów polskich, śpieszy obecnością swoją w Berlinie uświetnić uroczystość dworską i w ten sposób zrywa wszelką solidarność, wspólność z nami w chwili tak pełnéj grozy jak obecna i jużciż chyba obraża nasze uczucia; czy chociaż jeden z tych wymownych piewców, co tak obrazowo sławili siłę, koloryt i t. d. głosu tenora, zdobył się na ostre potępienie nieobywatelskości i posłał nad Spreę groźbę: nie przyjeżdżaj więcéj, bo spotka cię u nas powszechne oburzenie. Gotowi jesteśmy się zgodzić nawet, a przynajmniéj uważać za możliwą obronę zasady, że nie należy plątać polityki ze sztuką. Ale uczucie łamać powinno zimne rozumowanie, gdy zostało zadraśnięte, jeżeli tylko żyje silne i zdrowe; możność tłumienia uczuć narodowych w jakiejkolwiekbądź chwili i dla jakichkolwiekbądź względów jest fatalném zjawiskiem. Wielki Diderot mówi: „tylko

uczucia, uczucia potężne mogą wznieść duszę do rzeczy wielkich; bez nich niema nic wzniosłego, ani w obyczajach, ani w dziełach; sztuki piękne wracają do dzieciństwa, a cnota staje się drobiazgową.“ Chyba, że wielkiemi uczuciami u nas są zamiłowanie do dźwięków skrzypiec panny Tua i uwielbienia dla trelów pani Sembrich-Kochańskiéj. Gdyby to jeszcze tak było! Naturalnie większość sprawozdawców dziennikarskich idzie na koncert z poczucia obowiązku, zupełnie tak samo, jak biegnie na dziesiątą ulicę, gdy do czujnego ucha ich doleci odgłos jakiejś bójki. Uniesienia poważnéj cyfry melomanów a szczególniéj melomanek i miny ich na koncertach przypominają nieraz malca z niższéj klasy, gdy popisuje się przed starszymi kolegami rozmiłowaniem w paleniu papierosów, albo nieboraka, co dostawszy spadek lub posag, uważa sobie za obowiązek raczyć się ostrygami, które mu przez garło przejść nie chcą. Zapał dla wszystkich pokolei gwiazd i gwiazdek zagranicznych, nieliczący się z ich blaskiem, zawsze jednaki, nosi na sobie tyle cech naiwności, parafiańszczyzny, że nie można go traktować jako wyniku uczuć artystycznych. Noblesse oblige. Stanowisko społeczne, szczególniéj jeżeli je się świeżo zajęło, wymaga znawstwa i miłowania sztuk. Państwo X, Y, Z nie mogą nie słyszéć Lassale'a, chociaż o wiele by woleli inaczéj przepędzić wieczór. Tam tylko, gdzie zachwycanie się wynika z obowiązku, istniéć może obojętność dla donioślejszych względów. Jakże można zdecydować się na wstanie i wyjście z teatru wobec niemieckiéj piosenki Kochańskiéj, gdy ktoś gotów pomówić o prostaczą naturę, nieumiejącą czuć, nieumiejącą doznawać *wyższych* roskoszy. Można być przekonanym, że w ów wieczór w sali redutowéj było tylu ludzi istotnie wrażliwych na piękno melodyi, ilu sykało, i tylu profanów, nudzących się przez próżność, ilu było klaskających.

Rzecz naturalna, że rozpisujemy się tak szeroko, nie dla tego żebyśmy wygwizdaniu p. Kochańskiéj, lub banicyi Mierzwińskiego nadawali jakieś ważne znaczenie społeczne. Nie, sam fakt jest bagatelny. Wolimy nawet, że ktoś siedzi na koncercie, na którym może nie powinien się znajdować, niż by czas ten przepędzić miał w resursie przy karcianym stoliku, chociażby wtedy wymyślał na wszystkich nieprzyjaciół, poczynając od Bismarcka. Chodzi zaś nam o to, że te objawy zdradzają przytępienie uczuć, które jeżeli u nas zanikną, to staniemy się zbyteczni na świecie. Człowiek, gdy zostaje pod wpływem muzyki, jest bardziéj wrażliwy na wszystkie dotknięcia, niż w innéj chwili. W duszy tłoczą się wtedy uczucia najdroższe, najserdeczniejsze. Jest się skłonniejszym niż kiedykolwiek do pójścia za popędem wrażeń. Jeżeli więc wtedy obrażone uczucia milczały, kiedy danie im folgi nie pociągało za sobą innego przykre-

go skutku, jak niedosłuchanie do końca kilkunastu trelów, to bardzo można wątpić, czy przemówią w innéj chwili, wobec niebezpieczeństwa utraty względów czyichś naprzykład. Czyż pomimo całéj drobnostkowości zajścia, nie nasuwa ono podejrzenia, że uczucia poważniejsze chyba nie istnieją ani w melomanach, co klaskali, ani w kierownikach opinii, co całą sprawę potraktowali, jak dziurę w mostku?

Mylił by się jednak, ktoby sądził, że ci kierownicy opinii i sama opinia nie mają nic świętszego i ważniejszego nad sztukę. O, nie. Towarzystwo zachęty sztuk pięknych wystawiło obraz Munkaczego „Chystus przed Piłatem“. Wśród powodzi płócien, mających za cel wywołanie wrażenia przez jaskrawość, poważne traktowanie tematu i sztuki saméj, wyższe zalety techniczne, rozumne pojęcie zadania powinno było podziałać na miłośników piękna przynajmniéj tak jak buziak panny Tua, lub biegłość palców pani Menter-Popper. Tymczasem recenzenci organów najbardziéj łatwych do egzaltacyi postawili sobie pytanie, czy twarz Chrystusa posiada dosyć boskości, czy nie jest zanadto realistyczną, a chodziło wcale nie o kierunek w sztuce, lecz podejrzywano bluźnierstwo. Na szczęście dla Munkaczego, choć krytyka warszawska dopatrzyła winy, znalazła jednak łaskawie okoliczności łagodzące. Można być jednak pewnym, że gdyby świeckie traktowanie rzeczy posunięte zostało na obrazie jeszcze nieco daléj, gdyby Chrystus miał naprz. minę tego gorliwca z tłumu, co wzniósł ręce do góry, to pomimo, iż ten sposób przedstawienia nadałby obrazowi bardzo ciekawy psychicznie, choć niezgodny może z tytułem charakter, zgroza i oburzenie dzienników, byłyby nie puściły publiczności do sali wystawy, a nawet może nie pozwoliłyby tam wejść samemu obrazowi. Zestawiając to wszystko, okazuje się, że najdrażliwsze u nas i uznane za najważniejsze są uczucia religijno-chrześciańskie, późniéj idą estetyczne i nareszcie narodowe, jeżeli naturalnie nie zapomnieliśmy w téj chwili o jakich szczebiach, dzielących dwa ostatnie rodzaje.

Ale nie na tém kończą się ciekawe strony zjawiska. Taż sama część prasy, która głośną reklamą wywojowała powodzenie trupie mejningeńskiéj, domagała się niejednokrotnie od postępowców, ażeby wobec potrzeb kraju poświęcali swoje przekonania filozoficzno-religijne na rzecz panującego wyznania. Wobec tego zdawać by się mogło, że i dla nich uczucia narodowe mają doniosłość pierwszorzędną, a wszystkie inne są im podporządkowane. Tymczasem ulokowanie ich aż w trzecim szeregu zbija to przypuszczenie. Teraz nie wiadomo już o co komu chodzi, gdzie są szczere przekonania, a gdzie pozory. O, smutne to!

Potrąciwszy raz o potulność naszych uczuć narodowych pominąć nie mogę innego szeregu zjawisk z tego samego gatunku. Je-

dnocześnie z zimnemi deklamacyami na temat piękności języka macierzystego i przywiązania doń, można słyszéć u nas gorące obrony legend o moralnéj wyższości naszéj nad różnemi narodami zachodu. Szczególniéj poczciwość i rodzina polska cieszą się dobrą opinią. Naturalnie twierdzenia te mają tęż samą wartość, co przeświadczenie niższych warstw ludności, iż Chrystus, Matka Boska i apostołowie mówili po polsku. Ale jeżeli niema już w nas tyle dumy narodowéj i poczucia godności, ażeby jaki taki chociaż zachować takt wobec cudzoziemców, to niechby przynajmniéj przekonanie o wyższości pod jednym względem nad innymi ludźmi osłabiło kompromitujące zabiegi o względy zagranicy. W téj chwili celem starań inteligencyi stołecznéj jest dogodzenie Brandesowi, zaskarbienie jego łask i pokazanie najlepszych stron naszego życia. Wypadek zdarzył, że Brandes jest człowiekiem wyższéj wartości, że możemy się od niego nauczyć czegoś, a okazany szacunek nie okrywa nas śmiesznością. Ale to zdarzył jedynie wypadek, gdyż podejmowaliśmy tak samo Tissota w Zakopanem, reporterów wiedeńskich i berlińskich we wrześniu 1884 roku, a podobno raz redaktorzy warszawscy wyprawili nawet ucztę redaktorowi polakożerczego *National-Zeitung*; miało się to odbyć zupełnie prywatnie, ale poznańskie dzienniki zdradziły tajemnicę przed światem, „Prawda“ wyśmiała ostro winowajców, a nikt nie zaprzeczył. Przypuszczamy, że Brandesa niekoniecznie budować musi nasza zbytnia uprzejmość i skromność, i pewnie nie podniesie sądu jego o nas, gdy go kiedy otwarcie i publicznie wypowie. Bodaj więc, czy, kaptując zbyt gorliwie względy Duńczyka, nie mijamy się z celem. Pochodzi to stąd, że o zdanie, o rozgłos zagranicą dbamy zawiele, dbamy więcéj aniżeli o to, ażebyśmy na uznanie zasługiwali. I przyjemnie i pożytecznie jest, jeżeli świat cywilizowany może i potrzebuje korzystać z naszego umysłowego dorobku, ale główny zysk przypada w udziale tym, którzy biorą. Tymczasem, ileśmy gotowi poświęcić, aby uzyskać pochwałę... Niegdyś chciano za nasze pieniądze tłómaczyć na język niemiecki powieści Kraszewskiego, późniéj myślano o obdarzeniu w ten sposób Anglików przekładem Mickiewicza i t. d. Gdy cudzoziemiec raczy się poznać z literaturą, historyą, lub zbiorami naszymi, uważamy to sobie za zaszczyt wielki.

Świeżo zdarzył się wypadek bardzo zabawnie charakteryzujący tę naszą słabość. Przyjechał do Warszawy dr. Ogata, Japończyk. Zdawało się, że Japonia jeszcze nam imponować nie może, że za nauczenie się od nas czegoś powinniśmy być doktorowi z Jeddo tyle tylko wdzięczni, co Pasteur warszawiakowi za dowiedzenie się od niego, jak ratować dotkniętych wścieklizną. Tymczasem nie. Miejscowy lekarz namawiał dra Ogatę do zwiedzenia tutejszych klinik

i szpitali, turysta odmówił, zmartwiony tém „Wiek“ pociesza siebie i czytelników, że odmowa stanowczą nie jest, gdyż wschodni medyk przyrzekł w powrotnéj drodze, na jesieni, zatrzymać się kilka dni w Warszawie. Ciekawą jest rzeczą, czy gdyby p. Rogoziński przywiózł z sobą jakiego ambasadora z Afryki, czy byśmy się korzyli przed nimi kaptowali go, czy nie? *Ludwik Straszewicz.*

BIBLIOTEKA MICKIEWICZA.

Trzydzieści lat upłynęło od śmierci Mickiewicza, a grosz zbierany do grosza urósł już w sumę krociową i czas już niedaleki, kiedy złoto zebrane ofiarnością narodu przetopi się w śpiż, mający wieki świadczyć o uwielbieniu dla wieszcza.

Czyśmy już atoli spełnili przez to wszystkie obowiązki, uiścili się z całego długu wdzięczności w obec tego, przy którego Homeryckim stole pokolenia całe karmi ducha i serc karmi będą szukały?

Narodowe Muzeum w Krakowie otrzymało już od Wład. Mickiewicza, który w Adamie czci ojca i wieszcza zarazem, dar wspaniały, a mianowicie te wszystkie zabytki po Mickiewiczu, które się znajdowały w ręku jego syna. Nie wątpimy, że z czasem wzrośnie ten zawiązek we wspaniałe i cenne Muzeum Mickiewicza, gdzie spoczną wszystkie pamiątki po nieśmiertelnym wieszczu rozrzucone dziś po kraju. Mybyśmy jednak poszli o krok daléj i z tém Muzeum pragnęlibyśmy widzieć połączony jeszcze dział inny, nieodłącznie należący do pierwszego, a nim — Biblioteka Adama Mickiewicza.

Każdy, kto się tylko bliżéj zajmował badaniem dzieł wieszcza i jego życia, nie zaprzeczy bezwątpienia, że niezmierne napotykał trudności w gromadzeniu potrzebnych mu źródeł. Nie chcąc się dłużéj rozpisywać nad tém, wspomniemy tylko, że we Lwowie chlubiącym się kilku bibliotekami nie można w żadnéj z nich znaleść wszystkich wydań dzieł poety — objaw smutny zaprawdę. A cóż dopiero mówić o zagranicznych dziennikach rosyjskich, francuskich i innych, o drobnych broszurach odnoszących się pośrednio lub bezpośrednio do Adama, a tak ważnych dla biografa? Mickiewicz spędził tylko lata pierwszéj młodości w ojczyźnie, reszta życia upłynęła mu po za granicami Litwy ukochanéj, po części w służbie u obcych, którzy choćby z tego względu zajmują się osobistością polskiego geniusza, a wiadomo przecież, jak żywo zajmował on się w pewnym okresie życia polityką europejską, jak żywy brał w niéj udział. Poznanie téj właśnie epoki w życiu poety przedstawia dla badaczów w kraju żyjących niepokonane trudności: dzienników francuskich lub włoskich z piątego i szóstego dziesiątka naszego stulecia nie masz w bibliotekach polskich.

Pokolenie współczesne wieszczowi starzeje się, wymiera. Ludzi znających go osobiście, będących z nim w bliższéj lub dalszéj styczności przerzadzają się szeregi, a z nimi zstępuje do grobu tradycya, najwiarogodniejsza, bo z pierwszego płynąca źródła. Póki czas zatém

należy przystąpić do spełnienia obowiązku i zebrać wszystkie, choćby najdrobniejsze szczegóły o wieszczu, przechowywane w ustném podaniu, znane mniejszym lub większym kołom, lecz nieznane ogółowi. Wezwać przeto potrzeba publicznie wszystkich, mających jakiekolwiek wspomnienia o wieszczu drukiem dotąd nieogłoszone, aby je spisali tak, jak każdego stać na to i przesłali do onéj Biblioteki Mickiewicza, któréj myśl rzucamy tą drogą.

Pragnęlibyśmy, aby w Krakowie przy narodowém Muzeum lub też we Lwowie przy zakładzie im. Ossolińskich powstała biblioteka poświęcona wyłącznie autorowi Pana Tadeusza, a obejmująca trzy główne działy.

Pierwsze miejsce zająć winny zapewne w tym zbiorze wydania dzieł poety i to wydania wszystkie, tak zbiorowe, jakoteż pojedynczych utworów i rozmaite przekłady tychże. Pożądaną byłoby rzeczą, gdyby i rękopisy znajdujące się często w rękach niepowołanych ustrzedz można od zagłady, zgromadzając je ile możności, lecz rzecz ta byłaby nader trudną do wykonania, bo wiele z nich znajduje się w publicznych zbiorach, wiele w posiadaniu ludzi prywatnych, którzy za żadną cenę nie rozstaliby się z świętemi pamiątkami. Wierne odpisy atoli możnaby pozyskać bez trudu.

Dział drugi w Bibliotece Mickiewicza zajęłyby wszystkie dzieła, artykuły, wiersze i inne utwory nim samym się zajmujące, daléj dzieła kreślące obraz stosunków współczesnych poecie, wśród których on żył i działał, a wreszcie rzadsze dzieła pisarzów ojczystych i obcych, którzy jakikolwiek wpływ wywarli na jego wykształcenie lub twórczość.

W trzecim oddziele, niemniéj ważnym jak dwa poprzednie, mieściłyby się niewydane dotąd wspomnienia o wieszczu, choćby najdrobniejsze, i rozbiory dzieł jego zalegające w rękopisach, bez względu na wartość skrzętnie gromadzone.

Wiadomo naprzykład, że przedwcześnie w roku zeszłym zmarły w Paryżu krytyk i literat Adam Rzążewski (Aër) lat kilka poświęcił pracowitemu zbieraniu szczegółów tyczących się dzieł wieszcza i jego życia, że chwalebnym wiedziony pietyzmem najmniejszą zapisywał drobnostkę, a tak zebrał istną encyklopedyę Mickiewiczowską. Z pracy téj zaledwie okruchy okazały się w druku, a jakiż los spotka rękopis cały, zawierający, o ile sądzić można po ogłoszonych wyjątkach, źródła wielkiéj wartości? Obecnie spoczywa on w Paryżu, lecz kto wié, czy nie zatraci się tam na wieki, a praca kilkoletnia, cenna i potrzebna pójdzie na marne. Gdyby zaś istniała biblioteka, o któréj mowa, rękopis dostałby się zapewne do jéj zbiorów. O zgromadzeniu wszystkich dzienników zagranicznych a współczesnych Mickiewiczowi i marzyćby nie można, część ich zaledwie zebraćby się udało, lecz o ważniejsze odpisy postaraćby się można z łatwością, wszak nie ma zakątka na ziemi, gdzieby nie było Polaka, któryby choć listkiem drobnym nie chciał się przyczynić do wieńca chwały Adama.

Czy jednak myśl założenia podobnéj biblioteki dałaby się urzeczywistnić, czy stworzenie instytucyi takiéj możliwe? Bez wahania odpowiadamy—tak. Przedewszystkiém funduszów zrazu nie potrzeba żadnych. Chodzi głównie o przyjęcie w zasadzie podanéj tu myśli,

a następnie o rozszerzenie jéj w najrozleglejszych kołach, w takim zaś razie pewni jesteśmy, że naród, choćby tak jak nasz ubogi, że naród, który zebrał przeszło 100,000 złr. na pomnik dla wieszcza, pośpieszy chętnie z ofiarą mniejszą niż ofiara grosza, z ofiarą książek. W iluż to domach marnieją nieraz najcenniejsze dzieła, ile skarbów prawdziwych w książkach rozlicznych leży bez użytku dla tego, że sprzedać je nie zawsze jest sposobność, a nie ma często nikogo, ktoby zachęcił do złożenia ich zakładowi publicznemu w ofierze. Wierzymy też, że wydawcy i autorowie polscy z chęcią przodowaliby w szlachetném spełnieniu obowiązku narodowego i że każdy z chęcią przesłałby do Biblioteki Mickiewicza dzieło wydane przez siebie, jako objaw hołdu i wdzięczności. Wszak tyle zakładów istnieje u nas ofiarnością publiczną, samo nawet Muzeum narodowe w Krakowie zawiązek swój i dalsze istnienie zawdzięcza po większéj części szlachetności naszych artystów, czyżby więc przypuszczać można, że w sprawie, któréj głównym celem hołd dla największego geniusza narodu, publiczność polska pozostanie obojętną, zwłaszcza gdy nie z grosza, o który u nas tak ciężko, lecz z książek żądanoby ofiary,

Zarząd biblioteki téj nie wymagałby też osobnéj władzy, bo jak wspomnieliśmy wyżéj, wcielić ją możnaby do jednego z istniejących zakładów narodowych we Lwowie lub Krakowie, a one z pewnością nie usunęłyby się przed niewielkim trudem zarządzania instytucyą zwolna się rozwijającą i wzrastającą zrazu tylko darami. Z czasem zaś, gdyby się znalazł fundusz potrzebny, a znając ofiarność i szczodrość polskich magnatów, wątpićby o tém nie należało, możnaby przystąpić do sporządzania odpisów z bibliotek zagranicznych i do kupowania dzieł brakujących, nigdy jednak nie wzrosłaby zapewne biblioteka do takich rozmiarów, aby aż wymagała osobnego zarządu.

Powołanie do życia podobnego zakładu jest—powtarzamy z naciskiem — obowiązkiem naszego pokolenia: za lat niewiele zapóźno już być może i spotkać mógłby nas ciężki zarzut następców naszych, że nie uczciliśmy godnie męża, którego dzieła są arką przymierza między przeszłemi a przyszłemi laty....

Myśl naszą polecamy przeto gorąco rozwadze myślącego ogółu, a przedewszystkiém opiece dziennikarstwa polskiego. Nie jest ona, jak to wykazaliśmy powyżéj, mrzonką nie do urzeczywistnienia, nie jest i bez praktycznego celu. Celem jéj oprócz złożenia hołdu wieszczowi i okazania, iż umiemy czcić narodowe wielkości, jest ułatwienie biografom wieszcza wyzyskania materyałów niedostępnych dotychczas dla wielu lub mało znanych. Wówczas zaś znajdzie się bezwątpienia mąż, który umiejętném piórem zdoła odkryć przed narodem tajniki myśli i uczuć największego z wieszczów naszych, który w idealnych rysach odtworzy wiernie nieśmiertelną jego postać, a pomnik taki winien zaprawdę prędzéj pośród nas stanąć niż pomnik spiżowy.

F. K.

OD REDAKCYI.

Dr. Łuk. w Jas. Odpowiedź Sz. Pana redakcya otrzymała.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**



JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

I już ostatni ze świetnego grona romantyków naszych, jakby z poczucia osamotnienia, jakby z żalu i tęsknoty za tymi wielkimi spółcześnikami, z którymi razem niegdyś chórową pieśń poezyi nowéj zanucił,—zstąpił do grobu.

Przez długie, długie lata milczał wprawdzie słowik ukraiński a we wspomnieniu i we czci narodu minioną tylko twórczością swoją nieprzerwane budził zachwyty: ale samém istnieniem swojém był świadkiem żywym wielkiego okresu natchnienia i wielkiéj zmiany w formie wyrażania się ducha na zewnątrz. Teraz nietylko śpiewać, ale i żyć zaprzestał.

Oddziaływanie jego atoli na naród nie przerwało się i przerwać się nie może, gdyż należał on do téj szczupłéj garstki talentów twórczych, co wnoszą do skarbca poezyi ważkie złoto słowa, z gruntu narodowego wydobyte i ze wszystkich przypadkowych naleciałości oczyszczone. Żeniąc nutę ukraińską z polskiém uczuciem, dokonał tego, czego rzeczywistość dziejowa dokonać nie zdołała, spełnił zadanie wajdeloty, o którém mówi Mickiewicz we wstępie do Konrada Walenroda:

> Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
> Wszystko rozerwie nienawiść narodów;
> Wszystko rozerwie.... lecz serca kochanków
> Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

Choćbyśmy wpływ poezyi najniżéj nawet ocenili, zawsze jeszcze—wierzmy—dosyć go pozostanie, by serca zwaśnione i rozjątrzone ułagodzić i spokojniejszemi natchnąć uczuciami. A poeta, co w téj myśli działał, wysłużył sobie niezaprzeczenie zaszczytne miejsce w panteonie wspomnień narodowych.

Józef Bohdan Zaleski urodził się w dzień Najświętszéj Panny Gromnicznéj 2 (14) lutego 1802 roku we wsi Bohaterce nad Sobem na Ukrainie. Matka dając życie synowi, wkrótce własném je przepłaciła. Dziecię powierzone wieśniaczce ukraińskiéj do odkarmienia, od samego zarania życia wchłaniało powietrze stepów, poiło się „mlekiem dum i mleczem kwiecia," przejmowało się usposobieniem, wyobrażeniami i zwyczajami ludu, którego mąż dojrzały miał zostać piewcą.

Oddany do szkół księży bazylianów w Humaniu, cieszących się wówczas na Ukrainie największém uznaniem i największą liczbą uczniów, spotkał się tu w ciągu studyów z rówieśnikami, którzy mieli równie jak on w dziejach piśmiennictwa i oświaty naszéj zasłynąć. Seweryn Goszczyński, Tymko Padura, Michał Grabowski, Józef Mianowski, Aleksander Groza byli kolegami Zaleskiego. Szkoły ówczesne miały ten charakter życia rodzinnego, co je tak głęboko i tak sympatycznie w sercu uczniów zapisywał. Nie tylko podczas lekcyi, ale i w chwilach zabawy nauczyciele łączyli się z uczniami, podzielając z nimi i radosne i smutne przygody. Odbywano tłumne przechadzki do poblizkiéj Zofiówki, śpiewając pieśni ukraińskie; a przytém oddawano się nauce pilnie i gorliwie.

Jeszcze na ławie szkolnéj zyskał Bohdan sławę poety drukowanego. Początkowe jego wiersze pomieszczone r. 1819 w „Dzienniku Wileńskim" były, jak naturalna, podobnie jak pierwsze utwory Mickiewicza, odbiciem tych wyobrażeń literackich, których nabył w szkole, któremi przesiąknięta była ówczesna atmosfera umysłowa na całéj przestrzeni Rzeczypospolitéj. Klasycyzm rzymsko-francuski, retoryczność i sentymentalność cechowały produkcye 17-letniego talentu. Były tam tłómaczenia z Horacego i z poetów francuskich, była „duma o Wacławie" z treści wzięta niby z wypadków życia ludowego, ale wyśpiewana na nutę górnie-sielankową, obfitująca w wyrażenia ówczesnego stylu literackiego. Jedna wszakże okoliczność zasługuje już w téj dumie na baczną uwagę. W pierwszym swoim utworze oryginalnym zaznaczył Zaleski bardzo silnie jednę z najwybitniejszych cech formalnéj strony poezyi swoich, a mianowicie rytmiczność wiersza. Młody autor na czele dumy wypisał wzorzec rytmiczny, według którego całość ułożył, pilnując zachowania go we wszystkich szczegółach jaknajskrupulatniéj. Ze wszystkich poetów biorących się wówczas do pióra on jeden chciał i umiał skorzystać z ożywionych wtedy rozpraw o rytmiczności języka polskiego, prowadzonych w Warszawie przez Królikowskiego, Elsnera i Brodzińskiego; on jeden starał się—i to z dobrym skutkiem—przywrócić liryce pierwotne jéj znamię, od którego bierze nazwę, uczynić ją prawdziwie śpiewną, nagiąć słowa do wymagań muzyki.

W roku 1820 wraz z Sewerynem Goszczyńskim przybył Zaleski do Warszawy, częścią dla słuchania wykładów uniwersyteckich, częścią dla szukania zarobku w zawodzie nauczycielskim. Zaznajomił się z Brodzińskim. Dwie te natury były do siebie wielce podobne; odznaczała je łagodność usposobienia i jakiś cichy, zrezygnowany smutek. Brodziński jako starszy o lat jedenaście wywarł wpływ na młodszym zarówno pod względem wyboru tematów jak i ich obrobienia. Poezye pisane przez Zaleskiego w początkach pobytu w Warszawie i drukowane w „Pamiętniku Warszawskim“, wydawanym od r. 1822 przez Brodzińskiego, Skarbka i Skrodzkiego, są tego rodzaju, że mogą być również przypisane Kazimierzowi z Królówki, śpiewakowi Wiesława, tłómaczowi pieśni ludowych. „Ludmiła“, „Lubor“, „Nieszczęśliwa rodzina“ nie mają ani w dykcyi, ani w sposobie przedstawienia uczuć tych cech znamiennych, jakiemi Bohdan wyróżnił potém od wszystkich innych swoje dumki i opowiadania.

Niebawem atoli przebudził się w Bohdanie duch stepu, pragnienie wyższego lotu i żywszego ruchu. Już w r. 1823 w tymże samym „Pamiętniku Warszawskim“ ukazują się dwa utwory, zwiastujące całkiem samodzielnego piewcę. Wyjątek z rapsodu rycerskiego p. n. „Janusz Bieniawski“ i dumka o hetmanie Kosińskim wprowadzają do poezyi naszéj i wyobrażenia i nutę ludu ukraińskiego oraz rycerski nastrój kozaczyzny; a dykcya poety, lubo w nader skromnéj jeszcze mierze, ma znamię sobie właściwe, odrębne od stylu zarówno Brodzińskiego jak i innych owoczesnych poetów.

Ciekawym jest szczegół wczesnego odczucia i zrozumienia się pomiędzy twórcą szkoły ukraińskiej w poezyi naszéj a przedstawicielami ruchu romantycznego w Wilnie. Zaleski tworząc swój rapsod i dumkę o Kosińskim prawdopodobnie nie znał jeszcze pierwszego tomiku poezyi Mickiewicza wydanych w roku 1822 w Wilnie: był zresztą zbyt samodzielnym na to, ażeby się stać naśladowcą; ale bądź-co-bądź śledził dość pilnie objawy ruchu literackiego w stolicy litewskiéj i sympatyzował z niemi. Jak sam śmiejąc się opowiadał Odyńcowi, przekład z „Myśliwca“ dokonany przez tegoż z Bürgera a drukowany r. 1822 w „Dzienniku Wileńskim“ tak go zajął, że nie mógł wybić sobie z pamięci tych między innemi słów: „I hop, hop, hop, rumak skory hasa, leci...“, aż nakoniec, żeby się „ich pozbyć z myśli, wsadził na owego rumaka swojego hetmana w dumce, zacząwszy ją od wykrzyknika: Hop, hop, cwałem koniu wrony!“ Naturalnie rozumiéć to należy tylko jako potrącenie zewnętrzne do utworzenia dumki, gdyż wewnętrznie, duchowo nie ma ona nic wspólnego z „Myśliwcem“.... Nawzajem ta dumka o hetmanie Kosińskim osłodziła chwile więzienne w początku roku 1824 i Mickiewiczowi

i wśród nich jego kolegom, wywołując „ożywcze wrażenie“ (1). Odtąd i Mickiewicz i Bohdan, lubo nie znali się osobiście, pamiętali o sobie i w listach do spólnych znajomych przypominali się wzajemnie.

Z literatami warszawskimi nie przyjaźnił się Zaleski; na czwartkowych zebraniach Wincentego hr. Krasińskiego nie widywano go wcale. Szczupłe tylko grono wybranych było dla niego najmilszém towarzystwem; do tego grona należeli: Stefan Witwicki, Maurycy Mochnacki, Fryderyk Szopen, a wreszcie Odyniec, gdy się osiedlił w Warszawie. Ze starszych Brodziński i Lelewel z gronem tém się komunikowali serdecznie. Zresztą Zaleski nie był zawsze stałym mieszkańcem miasta. Jako nauczyciel domowy w domu Górskich i Szembeków bardzo często bawił na wsi ze swymi wychowańcami.

Twórczość poetycka Zaleskiego obfitą nie była, ale każda niemal jego dumka czy piosnka znajdowała odgłos w sercach i była śpiewana, a wydrukowane w r. 1829 (w „Meliteli“) *Rusałki* ustaliły sławę Bohdana jako najznakomitszego liryka wśród młodszego pokolenia. W Rusałkach odtworzył prawdziwie po mistrzowsku świat fantastyczny ludowy ze strony powabnéj, uroczéj, nie mającéj w sobie nic z tego ponurego i pełnego grozy kolorytu, jakim przejęte były ballady Bürgera i jego u nas naśladowców; a tym sposobem wprowadził ten świat bez trudności do salonu, tak samo jak wytworne jego dumki wprowadziły tam kozaków. Powtóre Rusałki odmalowały w sposób ponętny i delikatny te marzenia młodociane o miłości, które w każdém sercu oddźwięk znaleść musiały, nie wymagając zbytecznego natężenia, ażeby się do ich tonu dostroić, gdyż nie były egzaltowane; a smutek, którym się kończyły, dalekim był od uczucia namiętnéj rozpaczy. Gdy gieniusz Mickiewicza czarodziejską siłą porywał ku sobie umysły, talent łagodny Bohdana po cichu i spokojnie wkradał się w nie, zagrzewał lub uspokajał; a melancholią powabną dla siebie zjednywał.

W r. 1831 był posłem ze swego województwa, a gdy wypadki owoczesne boleśnie się dla kraju zakończyły, wyjechał za granicę i osiadł w Paryżu. Tu w połowie r. 1832 zapoznał się osobiście z Mickiewiczem i stanął z nim odrazu, dzięki dawniéj już listownie zasnutym sympatycznym niciom, na stopie przyjacielskiéj zażyłości. Niewiadomo nam, o ile wtedy była w duszy Bohdana predyspozycya do nastroju głęboko religijnego, gdyż w poezyach jego przed rokiem 1830

(1) Odyniec opowiada to w swoich „Wspomnieniach z przeszłości“ (1884, str. 194—195); zawiodła go atoli pamięć, gdy twierdził, że zarówno jego „Myśliwiec“ jak i dumka o Kosińskim drukowane były w „Bibliotece polskiéj“ Dmochowskiego; czasopismo to bowiem zaczęło wychodzić dopiero w r. 1825.

pisanych nie mamy wprawdzie śladów zwątpienia w rzeczach wiary lub tytanicznych do nieba szturmowań, ale też nigdzie w nich nuta religijna nie pobrzmiewa. To tylko za fakt niewątpliwy uznać należy, iż od czasu zaznajomienia się z Mickiewiczem nie raziło go w nim owo usposobienie do rozpatrywania wszystkich spraw z religijnego punktu widzenia jakie wyrobiło się u poety „Dziadów" w czasie drugiéj zimy w Rzymie spędzonéj: owszem Zaleski podzielał jego w téj mierze poglądy i należał wraz z nim do założycieli towarzystwa „Braci zjednoczonych" pod koniec r. 1834, towarzystwa mającego na celu budzenie i podtrzymywanie uczuć katolickich wśród wychodzców. Od téj chwili w utworach Zaleskiego nastrój religijny zajmuje bardzo wiele miejsca i to nie tylko w poezyach wyłącznie dogmatom i uczuciom wiary poświęconych, ale i w tych, które ogólny pogląd poety na dzieje świata i losy własnego kraju zawierają. Nastrój religijny opanował wówczas całkowicie duszę poety i nie opuścił jéj aż do końca życia.

Wiara, uczucie, natchnienie stały się wtedy czynnikami najważniejszemi zarówno w jednostkowym jak i w ogólnym, wszechludzkim i narodowym rozwoju; rozum natomiast, myśl badawcza, analiza wydawały się poecie naszemu czemś podrzędném a nawet szkodliwém. Pomijając drobne wiersze gnomiczne, pod wspólnym napisem: „Modlitwy i hymny," znaczącym objawem tak scharakteryzowanego usposobienia Zaleskiego jest poemat „Duch od stepu" napisany w r. 1836 podczas pobytu w Alzacyi, a wydrukowany po raz pierwszy w Paryżu r. 1841. Jest-to ścisłe spojenie wspomnień osobistych ze wspomnieniami życia wszechludzkiego wogóle a polskiego w szczególności z nader charakterystycznem uwydatnieniem roli Ukrainy w dziejach formowania się narodów nowożytnéj Europy,—a to wszystko, na podstawie teoryi Platońskiéj anamnezy. Poeta odczuwa i uznaje całą przeszłość jako widzenie ukazujące się własnemu jego duchowi, jako szczegóły, w których i własne jego życie się odzwierciedliło i odzwierciedla. Otóż w téj panoramie poetycznie odtwarzającéj główne chwile dziejowe, Zaleski całą historyą nowożytną, odkiedy „rozum się wyzwolił" i przyłożył chłodne nożyce rozbioru do złocistéj tkani wiary i natchnienia, przedstawia nam jako czas zwyrodnienia ludzkości, jako okres zanikania ideałów, jako lodową epokę ducha. Niewątpliwie w tém potępieniu dziejów cywilizacyi nowożytnéj i rozumu nadzwyczaj ważną rolę, tak samo jak w niektórych pismach Mickiewicza, odgrywa poczucie niesprawiedliwości popełnionéj na narodzie w tak zwanym „wieku oświecenia", w wieku rozumu; a zaznaczenie téj okoliczności powinno powstrzymać nas od bezwzględnych wyroków co do przyćmienia

umysłowości naszych poetów; ale w każdym razie, niepodobna nie zauważyć, że przekonanie o niższości rozumu od uczucia i natchnienia z biegiem czasu nabierało większéj mocy i prowadziło wprost w mgliste dziedziny mistyki.

Zaleski nie stał się wprawdzie, pomimo wezwania Mickiewicza, zwolennikiem Towiańskiego; uczucie jego bowiem religijne silnie się trzymało dogmatów i form katolickich; ale w zakresie tych dogmatów i form powierzyło się marzeniom mistycznym. Wówczas i praca literacka nie wydała mu się zbyt odpowiedniém dla doskonalącego się ducha zajęciem. Jakoż po napisaniu „Przenajświętszéj Rodziny“ nie utworzył już żadnego większego poematu, a nawet porozpoczynanych rapsodów („Maryan Bukat“, „Trechtymirowski klasztor“) nie pokończył i nie wcielił do zbiorowego wydania pism swoich, pozostawiwszy owe fragmenty w czasopismach, w których były pierwotnie drukowane. Wyśpiewywał tylko od czasu do czasu dumki coraz większą tęsknotą do Ukrainy rozbrzmiewające, oraz odtwarzał pieśni serbskie w przecudnym, ale od wierności dość dalekim przekładzie.

Od r. 1845 aż do 1866 przez lat całych dwadzieścia Zaleski przypomniał się spółziomkom zaledwie wydaniem „Poezyi“ swoich i przekładów (w Petersburgu 1851) oraz kilku pieśniami okolicznościowemi. W tym przeciągu czasu ożenił się z Zofią Rozengartówną, mieszkał w Paryżu i był nauczycielem w szkole polskiéj na Batignolles. Szczegółów życia i działalności jego w tych latach nie znamy dotychczas wcale.

W r. 1866 ukazał się w Poznaniu nowy zbiór poezyi Bohdana p. n. „Wieszcze oratoryum.“ Mało tu już było dumek z dziejów kozaczyzny, tak ulubionéj poprzednio Zaleskiemu, natomiast znalazło się wiele tęsknych wspomnień z Ukrainy spółczesnéj a jeszcze więcéj pieśni mistycyzmem przenikniętych; w kilku wypowiedział swoje uczucia z powodu dopiero co minionych krwawych zdarzeń. Forma ich przypominała kształty dawniejsze, ale brakło jéj już téj świeżości i bezpośredniości, jaka w pierwszych utworach Zaleskiego tak wszystkich silnie czarowała. „Wieszcze oratoryum“ nie rozpowszechniło się już w tym stopniu jak dumki dawne; widocznie już zbrakło poprzedniego sympatycznego łącznika pomiędzy poetą a społeczeństwem; słowa poety brzmiały dziwnie wśród zmieniających się do gruntu wyobrażeń i stosunków. Zabierał wprawdzie Zaleski głos i w sprawach bieżących, jak np. z powodu zjazdu w Moskwie roku 1867, ale słowa jego nie miały potęgi zaklęcia, nie budziły szerszego zainteresowania. Rzadko się więc odzywał. Dopiero gdy druhowi młodości, Sewerynowi Goszczyńskiemu, składano cześć przez wyda-

nie książki zbiorowéj p. n. „Sobótka“ (1875), przesłał do niéj cztery nowe pieśni („Dąb namogilny,“ „Żóraw“, „Niewyśpiewana,“ „W zmierzchu dnia“), malujące stan duszy żyjącéj już tylko wspomnieniami młodości, gdyż obecność jest dla niéj obca, szukającéj pokrzepienia do wytrwania na ciernistéj drodze życia tylko w Wierze i Łasce. Podobneż uczucia i podobne natchnienia znajdujemy i w tych paru pieśniach, jakie sędziwy wieszcz dodał do najnowszego w r. 1877 wydania poezyi swoich we Lwowie.

Uproszony przez p. Władysława Mickiewicza nakreślił z serdeczném uczuciem rozrzewnienia parę wspomnień o Adamie, już to poprzedzając zbiór listów do siebie pisanych wstępem objaśniającym, już-to kreśląc obrazek stosunków codziennych poety naszego podczas pisania Pana Tadeusza.

Opuściwszy posadę nauczyciela, ociemniawszy prawie zupełnie, osiadł w Villepreux pod Paryżem w domu zięcia swego Okińczyca i tu spędził ostatnie lata. Kraj interesował się mocno życiem słowika ukraińskiego, ale że starzec unikał hołdów publicznych, nie miał sposobności okazania mu tego w sposób wymowny. W r. 1882 uczczono go w jego domu za inicyatywą p. Seweryny Duchińskiéj i przy współudziale A. E. Odyńca. P. Duchińska zebrała garstkę dzieci i dorastającéj młodzieży, która jako wyraz pamięci młodego pokolenia dla starego wieszcza otoczyła Bohdana; Ludwik Gorecki, wnuk Mickiewicza, ofiarował mu album, którego pierwsza karta przedstawiała wieniec upleciony z kłosów, paproci, macierzanki, bławatków i stepowych burzanów. Odczytano wiersz Odyńca zaopatrzony podpisami 126 panien, zebranemi przez tegoż. Skromne to uczczenie przyjął Bohdan z rozrzewnieniem wielkiém.

W marcu roku bieżącego zmarł Okińczyc, w kilkanaście dni po nim (31 marca o 7½ zrana) Bohdan Zaleski. Stosunki jego materyalne były podobno w bardzo opłakanym stanie.

Twórca szkoły ukraińskiéj w poezyi naszéj dożył sędziwego wieku lat 84, widział olbrzymie zmiany i na wielkiéj widowni wszechświatowéj i w szczupłéj dziedzinie cywilizacyi polskiéj, słyszał zmieniające się hasła a stąd i sądy surowe o znaczeniu tego przewrotu duchowego, w jakim sam uczestniczył; z nowemi hasłami pogodzić się już nie mógł i cały się pogrążył w dumaniu i tęsknocie. Miał atoli tę pociechę, że pomimo zmiany poglądów, pieśni jego przetrwały na ustach spółziomków.





DYPLOMACYA AUSTRYACKA

WZGLĘDEM POLSKI

POD KONIEC XVIII WIEKU.

Quellen zur Deutschen Kaiser-politik Oesterreichs während der francösischen Revolutions Kriege 1790 — 1801. Herausgegeben von Alfred Ritter von Vivenot, fortgesetzt von der Kaiserlichen Akademie der Wissenschaften durch Dr. Heinrich Ritter von Zeissberg. Tomów cztery. Pierwsze dwa wydane w latach 1873 i 74, drugie dwa w latach 1882 i 1885.

Wyraźną szkodą, odbijającą się na obliczu tyle obfitéj u nas od niejakiego czasu historyografii epoki Stanisława Augusta, była i jest dotąd nie dość dokładna znajomość współczesnéj polityki ościennych z Polską mocarstw. Historyografia nasza owéj epoki posługiwała się i posługuje dotąd przeważnie materyałem domowym, polskim, a z jak świetnym względnie rezultatem—dowodzą dzieła, jak Korzona i ks. Kalinki. Tymczasem nie odpowiada, mimo wszelkiego uznania, jakie pod tym względem dziełu Kalinki oddać winniśmy, obfitość i wartość zagranicznego materyału, jaki tutaj zużyto, zasobom i drogocenności materyału domowego. Przyczyna tego bardzo naturalna. Archiwa ościennych mocarstw nie otwierały się dotąd zbyt gościnnie badaczom polskim, niezbyt zresztą licznym w dziedzinie téj właśnie epoki. Co się zaś tyczy publikacyi zagranicznych, nie przedstawiają one dotąd w ocenieniu i przedstawieniu czasów Poniatowskiego ani wyczerpującego, ani wzbudzającego zaufanie obrazu. W archiwum Drezdeńskiém spoczywają, jak się mieliśmy sposobność przekonać, ogromne materyały do téj epoki, mianowicie w przedmiocie następstwa domu saskiego na tron polski po Stanisławie Aug. w myśl ustawy z 3 maja. Materyał ten jednakże nie tylko nie ogłoszony nigdzie, ale nawet nie napoczęty. Historyografia polska milczy jeszcze na tém polu, nie szczyci się jeszcze wydawnictwami, jakie rozjaśniają czy to epokę panowania elektora Fryderyka

Wilhelma, czy Fryderyka II. Milczenie podobne nie bez powodu zapewnie, bo choćby najświetniejszym sukcesom i najpożądańszym rezultatom nie śpieszno się przyznawać do podejrzanéj wartości początków. Co się tyczy dzieł, czy to jak „Historya Niemiec od zgonu Fryderyka II do r. 18.5“ Ludwika Haussera, czy to „Historya epoki rewolucyjnéj“ Henryka Sybla, noszą oba piętno tak wyraźnéj stronniczości dla swego ideału pruskiego, trudnią się nadto mimochodem tylko postronnemi sprawami polskiemi, że nie mogą rościć pretensyi do jakiéj bądź wyczerpującéj dokładności. Nie wiele inaczéj ma się pod tym względem rzecz z publikacyami historyografii rosyjskiéj. Bez wątpienia zawierają czy to Sołowiewa „Historya upadku Polski“, czy Fryderyka Smitta „Suworow“, czy „Pamiętniki Siewersa“ wiele ciekawych rzeczy. Wszystko-to razem dalekie jednakże od dokładności i zupełności, nie przedstawia w ciągłym i zrozumiałym obrazie przebiego katastrofy, jaka się w tajnikach ościennych gabinetów przeciw istnieniu Polski zwolna przygotowywała. Rzecz zasługująca na uwagę, że najautentyczniejszego i najobfitszego pod tym względem materyału dostarcza historyografia austryacka, skądinąd przecież nie najbogatsza a jeżeliby czemu się dziwić, to chyba pewnéj nieuwadze i obojętności, z jaką jéj pomnikowa do dziejów epoki rewolucyjnéj i upadku Polski publikacya, o któréj mamy tu zamiar pomówić, ze strony naszych historyków była przyjętą. Wydawnictwo rozpoczęte w r. 1873 przez zmarłego przed trzema laty Alfreda Vivenota, dostało się po jego zgonie w ręce nierównie kompetentniejszéj powagi naukowéj, jaką przedstawia znany tak zaszczytnie i w naszéj nauce historycznéj Zeissberg, a składa się razem na cztery obszerne tomy, obejmujące swą treścią czas od r. 1790 do m. października r. 1794. Dostarczyły do tego zbioru swego odpowiedniego kontyngensu najrozmaitsze archiwa austryackie, jak archiwum tajne państwa, cesarskie archiwum domowe, kancelarya dyplomatyczna ministeryum spraw zagr., akta i korespondencya wiedeńskiéj rady wojennéj, wreszcie akta i korespondencya najwyższego zarządu policyjnego w Wiedniu. Cel i charakter wydawnictwa oznacza bardzo trafnie i ściśle jego tytuł, warunkuje równocześnie jego metodę. Wydawcom zależało istotnie w pierwszym rzędzie na zebraniu dokumentów wyświecających stosunek Austryi do katastrofy rozgrywającéj się we Francyi; uwydatniających zarazem stanowisko domu austryackiego do różnych państw niemieckich i mocarstw europejskich ze względu na rewolucyą francuską. Rewolucya francuska jest tu faktem wypełniającym dziejową widownię, warunkującym bieg wszelkich innych wypadków, sprowadzającym pośród nich najniespodziewańsze zwroty i polityczne kombinacye. Polsce i sprawom

jéj dostaje się w tém wydawnictwie drugorzędne, zależne od stosunku wielkich mocarstw do rewolucyi stanowisko, spadają, jeżeli tak wolno powiedziéć, tylko okruchy z tego stołu obfitości. Okruchy te jednakże są tak zasobne i hojne, jakiemi nie były dotąd żadne inne dzieła obcéj historyografii, trudniące się dziejami téj epoki.

Przystąpmy do rzeczy. Zbiór ten dokumentów rozpoczyna się z m. styczniem 1790, czyli z ową tragiczną, zamgloną chwilą, kiedy wśród wojny austryacko-rosyjskiéj przeciw Turcyi, wśród wzrastającego coraz to groźniéj, udzielającego się Niderlandom austryackim nurtu rewolucyjnego, ces. Józef II-gi dogorywa, znękany moralnie, zniszczony i podkopany fizycznie. Nie należy spuszczać z oka, co się równocześnie dzieje na widowni jeszcze bliższéj Austryi. Oparte o przymierze z Anglią Prusy spoglądają zazdrosném, pełném obawy i zaniepokojenia okiem na postępy sprzymierzonéj z Rosyą Austryi. Ztąd to wyradza się owa, reprezentowana na widowni warszawskiéj przez intryganckiego Włocha Lucchesiniego polityka, która dążąc do dalszych zaborów w Polsce, wyciągając rękę po Gdańsk i Toruń, wchodzi w związki ze stronnictwem „patryotyczném“, wieńczy dzieło zaczepném i odporném przymierzem między Prusami a Polską 29 marca 1790, pracuje wreszcie na traktacie Reichenbachskim nad pogodzeniem Austryi z Portą i własnemi korzyściami w Polsce kosztem Austryi. Nie dość na tém, jest to owa tak plastycznie w dziele Kalinki przedstawiona chwila, w któréj nie przebierająca nigdy w środkach polityka pruska usiłuje za inicyatywą obecnego w każdéj intrydze, nazywanego w korespondencyi dyplomatów austryackich „szatanem“, Lucchesiniego, wejść w stosunki z patryotami w Galicyi i Węgrzech, a wywołać ruch przeciw Austryi w obu krajach. Jak inaczéj naturalnie być nie mogło, doszły podobne knowania wiadomości dworu wiedeńskiego, czego dowodem pozostanie późniejszy, datowany 24 lipca 1790 list księcia Kaunitza do barona Rewickiego: „Jego cesarska mość ma dowody, nie mniéj pewne o podobnych knowaniach, praktykowanych przez pana Lucchesiniego pomiędzy Galicyanami. Jest rzeczą nie do wiary, że knowania tak potępienia godne znajdują poparcie i ze strony dworu brytańskiego.“ Te same skargi powtarzają się w listach Kaunitza z pierwszych miesięcy r. 1790 do hr. Mercy d'Argenteau, reprezentującego Austryą na przemian bądź to w Belgii, bądź u nieszczęsnego dworu francuskiego; te same w listach nieco późniejszych hr. Reussa i radcy nadwornego Spielmanna, reprezentujących Austryą na kongresie Reichenbachskim, do Kaunitza. Wszyscy dyplomaci austryaccy skarżą się na intrygi pruskie, na pożądliwość pruską, na roboty pruskie przeciw Austryi czy to w Turcyi, czy w Niderlandach, czy na Wę-

grzech, czy w Galicyi, a co najbardziéj rozdraźnia Kaunitza, jak widzimy z listu jego do hr. Mercy'ego z 17 listopada 1790, to, „że Polacy idą ślepo za stronnictwem dworu berlińskiego."

Otóż to szczegóły te przytaczamy, aby scharakteryzować ogólną sytuacyą, jaka się przedstawia w chwili zgonu Józefa II w m. lutym 1790. Umierając pozostawił cesarz Józef następcy swemu i bratu, mądremu politykowi, znakomitemu administratorowi, życzliwemu nam osobiście Leopoldowi II-mu kłopotliwe na wszystkie strony dziedzictwo, zaburzenia w Belgii i Węgrzech, zatarg z Prusami i Anglią, coraz enigmatyczniejsze zawikłania ze wzrastającym od dnia do dnia nurtem rewolucyi francuskiéj.

Wobec zmiany tronu, jaka się wtedy spełniła, wypadnie nam zatrzymać się na chwilę w naszém opowiadaniu i przypatrzéć się składowi rządu wiedeńskiego i jego dyplomacyi. Na czele państwa widzimy tedy Leopolda II. Naczelném jego, wielkiém zadaniem politycznem jest wycofać, o ile możności, Austryą ze wszystkich kłopotliwych przedsięwzięć zewnętrznych i wewnętrznych, w jakie ją wtrącił świetny i błyskotliwy, ale nie praktyczny umysł Józefa II-go. A więc zgoda, o ile możności, z Turcyą, Anglią i Prusami; uspokojenie Węgrów i Belgów, zlokalizowanie na zewnątrz, uciszenie na wewnątrz rewolucyi francuskiéj przez doradzanie Ludwikowi XVI koniecznych koncesyi i unikanie wszelkich draźnień rewolucyjnego ducha i miłości własnéj francuskiéj. Co się tyczy Polski, okazuje cesarz nietylko chęć utrzymania jéj w ówczesnych granicach, ale gotów nawet — jak zobaczymy—poczynić na rzecz jéj pewne terytoryalne ustępstwa, a spogląda z zadowoleniem na usiłowania około naprawy jéj wewnętrznego organizmu. Kanclerzem państwa jest sędziwy, mogący się coraz mniéj trudom swego stanowiska oddawać książę Kaunitz. Obok niego widzimy dwie osobistości upamiętnione niezatarcie w dziejach téj epoki: Filipa hr. Cobenzla jako wice-kanclerza, następnie barona Antoniego Spielmanna, osobistość zręczną, intrygancką, godnego współzawodnika dwóch przeciwległych, wielce mu podobnych figur pruskich, jakiemi był markiz Lucchesini i pułkownik, późniéj generał Bischoffswerder. Spielmann, na skromném stosunkowo stanowisku, pod niepozorną nazwą radcy nadwornego, jest właściwie pierwszorzędną figurą w składzie zagranicznego wydziału polityki austryackiéj, używanym do najpoufniejszych misyi. Nie należy zapominać daléj, że epoka owa, to koniec XVIII wieku który się w praktyce swéj politycznéj i dyplomatycznéj nie wyemancypował jeszcze zupełnie z pod tradycyi swego początku i wieku poprzedzającego. Cóż nam zaś te tradycye wskazują? Posługiwanie się po za ciężkim, wolno funkcyonującym, urzędowym aparatem

politycznym, najrozmaitszych narodowości, zatrudnień, charakterów i zdolności ochotnikami, wyrastającymi często po nad głowy swoich oficyalnych patronów, niekiedy na to, aby własne tracić. Dowodem Görz, Patkul, Struensee, baron Ripperda, awanturnik węgierski Klement, opat Todesco. Otóż tedy i rząd ówczesny austryacki posługuje się w téj epoce różnemi takiemi osobistościami. W rzędzie ich a w sprawach polskich odgrywa naówczas pewną rolę, jak zobaczymy, kawaler Landriani.

Przypatrzmy się teraz mechanizmowi wewnętrznemu rządu austryackiego. Widzimy więc na czele jego Leopolda II, jako przewodniczącego radzie ministrów i zawiadującego sprawami zagranicznéj polityki księcia Kaunitza, obok niego, jako wice-kanclerza, miernych zdolności, jąkającego się rutynistę Filipa hr. Cobenzla. Jako rada państwa pod ich przewodnictwem przedstawia się grono tak zwanych ministrów konferencyjnych, pomiędzy którymi spotykamy się różnemi czasy z nazwiskami najwyższego nadwornego ochmistrza hr. Starhemberga, feldmarszałka hr. Lascego, najwyższego podkomorzego księcia Rosenberga, ministrów hr. Colloredo, barona Thuguta, referendarza państwowego barona Spielmanna, wreszcie nadwornego radcy barona Collenbacha, jako sekretarza. Otóż grono tych ministrów konferencyjnych pod przewodnictwem Kaunitza lub F. Cobenzla, zarządza sprawami państwa, wydaje rozkazy gubernatorom pojedynczych krajów monarchii, rozséła instrukcye ambasadorom zagranicą, spisawszy poprzednio protokół swych posiedzeń i uchwał, zakomunikowawszy do zatwierdzenia cesarzowi. Zgodnie z dawną tradycyą rządów ces. Karola VI, z tradycyą, która obdarzała ważnym głosem i udziałem w obradach rządowych organów ks. Eugeniusza Sabaudzkiego, jako prezydenta nadwornéj rady wojennéj, miał i obecny prezydent tejże rady, hr. Wallis, swoje nie lekceważenia godne stanowisko w konferencyach ministeryalnych, zwłaszcza, skoro zależało na zasięgnieniu zdania w rzeczach wojskowych.

Poznajmy z kolei skład co ważniejszych reprezentantów dyplomacyi austryackiéj. We Francyi reprezentuje Austryą hr. Mercy d'Argenteau, w Berlinie hr. Reuss, w Petersburgu Ludwik hr. Cobenzl, stryjeczny brat wice-kanclerza; w Londynie hr. Starhemberg, w Warszawie Rewicki, późniéj de Caché, osobistość podrzędnych zdolności i nieszczególnego charakteru, znana nawet w kołach wiedeńskich ze swych nieco zadaleko posuwających się sympatyi dla interesu rosyjskiego w Polsce. Odbywając tę krótką lustracyą ciała dyplomatycznego austryackiego, nie mówimy naturalnie o licznym zastępie różnych owych wojskowych i politycznych agentów, jakich

dwór wiedeński z rozmaitemi instrukcyami, w rozmaitych celach, przy rozmaitych sposobnościach wyprawia czy to do Polski, czy w rozmaite inne strony.

Coby może jeszcze w niniejszym ogólnym wstępie, zasługiwało na uwagę, to stosunek Galicyi do Austryi. Wyświecił go nader trafnie i jasno w chwili przejścia Józefowéj korony na głowę Leopolda II, Kalinka w swoich „Dziejach sejmu czteroletniego". Galicya stanowi nibyto integralną część monarchii austryackiéj, ale mimo to panuje na dworze i w kołach wiedeńskich mimowolne może przeświadczenie luźności nowo-nabytego, polskiego kraju z całością Austryi. Dwór nie uważa jeszcze swéj posiadłości tamże, za trwałą i ustaloną, gotów z niéj, jak zobaczymy, czynić w razie potrzeby poświęcenia terytoryalne; mając w ręku dowody knowań pruskich pomiędzy szlachtą galicyjską, zamyka na nie oczy, nie myśli o jakichbądź karach i prześladowaniach. Czytając późniéj sprawozdania generała d'Harnoncourta o zachowaniu się magnatów galicyjskich, o szorstkościach pani Kossakowskiéj kasztelanowéj Kamińskiéj podczas powstania Kościuszki, odbiera się mimowolnie wrażenie, że rząd austryacki stąpa w Galicyi na niepewnym gruncie, że się nie czuje tam u siebie w domu, że uważa różnych panów galicyjskich nie tyle za swych poddanych, ile raczéj za pośredników między sobą a ich społeczeństwem. Dodajmy jeszcze, że stosunek dworu wiedeńskiego do Prus jest ciągle naprężony, do Rosyi o wiele przyjaźniejszy, kiedy, co się tyczy Polski, jest jego widoczną chęcią utrzymać, co najmniéj, *statum quo*. Otóż to ogólny stan rzeczy w chwili wstąpienia na tron Leopolda II. Przypatrzymy się teraz jego przebiegowi w specyalnym stosunku do Polski.

Nie należy zapominać, że zmiana tronu w Austryi odpowiada równolegle i równocześnie na widowni polskiéj najnatarczywszym staraniom dworu berlińskiego z jednéj strony o przymierze Rzeczypospolitéj, staraniom uwieńczonym istotnie przez słynny traktat 29 marca 1790; z drugiéj strony nie mniéj natarczywym tegoż dworu usiłowaniom około nabytku Gdańska i Torunia. Koszta téj straty miał według intencyi Prus zapłacić Rzeczypospolitéj dwór wiedeński, poświęcając część Galicyi. Czytamy w tym przedmiocie następny list Kaunitza do reprezentanta Austryi w Warszawie Rewickiego ze względu na toczące się konferencye Reichenbachskie, z 27 lipca 1790: „Uznaliśmy nareszcie nieuniknioną konieczność, aby instrukcye naszych pełnomocników w Reichenbachu były zmienione odpowiednio do pretensyi pruskich. Upoważniono ich do zgody na nabytki pruskie w Polsce i na zaofiarowanie ku wynagrodzeniu Rzeczypospolitéj obszaru w Galicyi obejmującego 164 mil kwadrato-

wych i blisko 350000 mieszkańców.“ Równocześnie przedstawiał gabinet berliński Austryi w zamian przyzwolenia na nowe nabytki w Polsce i za ustępstwa terytoryalne na rzecz Polski, widoki rozszerzenia swych posiadłości w stronę turecką. Tak a nie inaczéj odzywali się reprezentanci pruscy w Reichenbachu, tak a nie inaczéj Bischoffswerder podczas swéj późniejszéj misyi do Wiednia. Gotowość, słowem, płacenia własnych korzyści groszem nie własnéj kieszeni, tania wspaniałomyślność praktykowana za pomocą szkody i krzywdy dotychczasowych sprzymierzeńców. Otóż, jak się przedstawia polityka dworu berlińskiego względem Austryi na widowni polskiéj, polityka, o któréj nie można powiedziéć, aby nie miała być zrozumianą w Wiedniu. O ile widzimy, rozwinęli tak Leopold II sam, jak kanclerz Kaunitz przeciw owéj akcyi pruskiéj dążącéj pod zasłoną traktatu przymierza z 29 marca 1790 do nowych nabytków w Polsce, ze swéj strony równoległą akcyą obronną ku ochronie nie mniéj Rzeczypospolitéj, jak interesu własnego. Datą téj akcyi jest koniec r. 1790 i początek r. 1791. O ile dwór wiedeński czy to pośrednio, czy bezpośrednio wpływał na tyle znany i głośny opór sejmu polskiego przeciw jakimbądź ustępstwom terytoryalnym, nie powiadają nam rozpatrywane tu dokumenta. Co natomiast widzimy z nich, to stanowczą, sięgającą aż na dwór petersburski opozycyą przeciw wszelkim zamiarom powiększenia swych posiadłości kosztem Polski. Ostatni szturm do stałości dworu wiedeńskiego pod tym względem przypuścił agent pruski Bischoffswerder w pierwszych miesiącach 1791. Odbywał on w tym przedmiocie częste konferencye bądź to z Kaunitzem, bądź z jego zastępcą F. Cobenzlem. Politykę, jaką wobec pretensyi pruskich w Polsce uznała za rzecz stosowną traktować Austrya, streszcza wyraźnie memoryał Kaunitza do cesarza z 28 marca 1791. Wobec widocznych usiłowań pruskich, by rozerwać dobre porozumienie między dworami wiedeńskim i petersburskim; wobec pretensyi ich powiększenia się kosztem Polski, postanowiła Austrya zamknąć się w zakresie istniejących traktatów. Kładąc z jednéj strony przycisk na fakt przyjaźni z dworem petersburskim, protestował Kaunitz z drugiéj przeciw pretensyom terytoryalnym Prus, jako przeciw zamachowi grożącemu nadwerężeniem traktatów zawartych między Rzecząpospolitą a trzema ościennemi mocarstwami w latach 1773 i 75. Równocześnie nastąpił ze strony samegoż cesarza Leopolda znaczący krok w interesie bezpieczeństwa Rzeczypospolitéj przeciw pretensyom pruskim. Dnia 24 marca 1791 wystosował cesarz do elektora saskiego list, zapewniający go z góry, o wszelkiéj pomocy, na jaką ze strony Austryi w sprawach polskich liczyć może. Ten sam charakter nosiły konferencye między wystę-

pującym pod przybraném nazwiskiem Buschmanna, Bischoffswerderem a obu dyplomatami austryackimi. Wobec podobnéj postawy dworu wiedeńskiego, wobec stanowczego oporu sejmu polskiego, widzimy powoli tak Bischoffswerdera, jak dwór berliński cofających się, odgrywających rolę lisa w znanéj bajce o kwaśnych winogronach. Już 4 marca 1791 pisze Cobenzl do Kaunitza, zdając sprawę z odbytéj z Bischoffswerderem konferencyi: „Zrozumiał (Bischoffswerder) mnie bardzo dobrze i oświadczył zaraz z początku, że widzi dobrze, jako król pruski będzie zmuszony zrzec się wszelkich nabytków w Polsce."

Późniéj wiele, bo 24 maja 1791 pisał Kaunitz w liście do Ludwika Cobenzla, posła w Petersburgu, przeznaczonym dla wiadomości tamtejszego dworu, iż Austrya oświadcza się stanowczo przeciw zaborowi Gdańska i Torunia przez Prusy i że poleca swemu reprezentantowi w Petersburgu stwierdzić to osobną notą. List ten kończył kanclerz następnym, energicznie brzmiącym ustępem: „Dostarczyła nam daléj ta sposobność i tę korzyść, żeśmy mogli podnieść silny i stanowczy głos, przeciw zamiarom pruskim na Gdańsk, a to z tak dobrym skutkiem, że pułkownik Bischoffswerder i hr. Schulenburg odebrali (z Berlina) zaręczenie, że dwór pruski chciał się tych swoich zamiarów wyrzec, nim go jeszcze do tego skłoniła nowa, spełniona zmiana rzeczy w Polsce."

Co najważniejsza wreszcie, stwierdził własnoręczny list Fryderyka Wilhelma II do cesarza Leopolda z 21 maja 1791 fakt owéj abnegacyi pruskiéj wobec chwilowéj niemożności. „Poczyniwszy z méj strony wszelkie ułatwienia," pisze król pruski, „jakie są w mojéj możności, wzywając dwór londyński, aby porzucił zupełnie sprawę gdańską, w którą się wdałem tylko przez usłużność dla niego (*complaisance*), mam powód spodziewać się, że w. c. mość będziesz przekonaną o czystości moich uczuć" (*de la candeur de mes sentiments*).

Otóż pierwszy, jeżeli tak wolno powiedziéć, akt działalności cesarza Leopolda w sprawie polskiéj, akt świadczący o jego żywym interesie dla sąsiedniéj rzeczypospolitéj, uwieńczony daléj pożądanym skutkiem. Postawa nowego monarchy Austryi wpłynęła bez wątpienia na zachowanie Rzeczypospolitéj Gdańska i Torunia, na powstrzymanie pruskiéj zaborczości, na podniesienie ducha tak zwanego stronnictwa patryotycznego przez opiekę zapowiedzianą elektorowi saskiemu w sprawach polskich. Jako drugi, stykający się bezpośrednio z pierwszym akt tejże działalności ukazuje się postawa Austryi w sprawie ustawy 3-go maja Nic, powiedzielibyśmy, ciekawszego nad nią, nic równocześnie mniéj znanego dotąd w dziejach ostatnich lat Stanisława Augusta, nic wreszcie bardziéj zagadkowego, gdyby

zagadki téj nie tłómaczył poniekąd i nie rozwiązywał w sposób cześć polityki austryackiéj ocalający, fakt przedwczesnego zgonu Leopolda II. Fakt ten czyni z téj właśnie fazy polityki austryackiéj fragment na pozór pełen niejasności i niezrozumiałości, nadto, co gorsza nacechowany widoczną niedołężnością i niedostatkiem stanowczości. Spostrzeżenie powyższe będziemy się starali uzasadnić poniższém sprawozdaniem. Stosunek Leopolda II i mężów stanu austryackich do spełnionéj 3 maja zmiany rzeczy w Polsce, był dotąd bardzo mało znany, nie znalazł w dotychczasowéj historyografii, należytego ocenienia. Tymczasem, jak nas niniejszy zbiór dokumentów przekonywa najdowodniéj, staje się owa zmiana z jednéj strony sposobnością nowéj, niewątpliwie sympatycznéj dla Polski akcyi, z drugiéj źródłem i powodem nowych drażliwości z Prusami. Dwór wiedeński przyjmuje wiadomość o tak zwanéj „rewolucyi w Polsce“ z nietajoném zadowolnieniem i współczuciem. Pierwsza zaś daléj, pod świeżém wrażeniem odebranych z Polski wiadomości, do L. Cobenzla w Petersburgu nota (z 24 maja 1791), stwierdza ów stosunek widocznéj względem Prus drażliwości. „Co się tyczy“, pisze Kaunitz „znanéj nowéj zmiany porządku rzeczy w Polsce, mamy do zakomunikowania następne okoliczności: 1) wiemy jak najdokładniéj, że pruski dwór naprzód ani jednego słowa o tém nie wiedział, ani potajemnie w téj sprawie nie uczestniczył, ale, że co ważniejsza, jest bardzo dobrze świadom wewnętrznie sprzeczności dokonanéj przemiany politycznéj ze swemi polskiemi zamiarami, jakkolwiek uważa za rzecz odpowiadającą okolicznościom, tak wobec Polaków, jak wobec pana elektora saskiego udawać z tego powodu na zewnątrz wielkie zadowolnienie. Nie należy też wątpić, że w Berlinie nie będzie zbywało na myślach i planach, jakby i z tego nowego położenia rzeczy, bądź to dla przyszłych zamiarów dworu pruskiego, bądź to ze względu na obecne okoliczności jakąbądź korzyść wyciągnąć.“ Po tym wstępie charakteryzującym aż nazbyt wyraźnie usposobienie gabinetu wiedeńskiego dla Prus, jak i Prus samych dla Polski i nowéj ustawy, określa kanclerz w następny sposób stosunek Austryi a daléj i Rosyi, do „rewolucyi“ dokonanéj w Polsce. „Dla załatwienia tych ostatecznych celów i ze względu na istniejące okoliczności wogóle, jest rzeczą konieczną, aby obadwa cesarskie dwory w Dreznie i Warszawie przynajmniéj równie przyjazną postawę zachowywały, jak dwór berliński. Ponieważ mi nieobecność j. c. mości nie pozwala na formalne, ministeryalne oświadczenia, nie waham się zadosyć uczynić co najgwałtowniejszéj potrzebie przez dołączone w kopii listy a nie wątpię, że zawarta w nich o rosyjskich usposobieniach wzmianka będzie się podobała. Zresztą komunikuję w. ekscelencyi moje tymczasowe

myśli co do wpływu polskiéj zmiany i systemu naszych politycznych stosunków w osobnym dopisku... Główna wreszcie uwaga należy się ważnemu porozumieniu, aby króla pruskiego pozbawić co prędzéj owéj korzystnéj sposobności, jakiéj by mu dostarczył grożący wybuch wojny przeciw Rosyi do pozyskania polskich umysłów i utrwalenia jego polskich planów."

Najciekawszą stroną pono tych uwag Kaunitza pozostanie, iż dwór wiedeński nie przypuszcza, aby dwór petersburski miał być z góry i stanowczo przeciwnym zmianie dokonanéj w Polsce a że zgodę na nią uważa za rzecz interesu Rosyi. Podobne uważanie rzeczy ze strony dworu wiedeńskiego jest tém ciekawsze, że trwa bardzo długo, że zyskuje nawet pewne stwierdzenie przez przeciągające się w nieskończoność mimo interpelacyi austryackich milczenie Rosyi, że wreszcie byłoby może zyskało racyą, gdyby nie późniejszy zgon Leopolda II, gdyby nie daléj nieszczęsne i zdrożne wystąpienie konfederacyi Targowickiéj. Ów dopisek zaś, na który się Kaunitz w liście i instrukcyi do L. Cobenzla powołuje, jest to po prostu obszerny rozumowany memoryał, zakreślający stosunek Austryi do Polski ze względu na dokonaną w niéj zmianę polityczną. Przytaczamy co ważniejsze z nich ustępy ze względu na wysokie ich znaczenie dla Polski i dla ocenienia stanowiska saméjże Austryi,—dodając chyba jeszcze tylko, że datą owego ciekawego „*postscriptum*" jest 25 maja 1791. „W główném piśmie mojém", mówi Kaunitz, „wspominam o konieczności, aby dwory cesarskie okazały się w obecnéj chwili sprzyjającemi ostatniéj zmianie dokonanéj w Polsce. Zresztą nie jest rzeczą trudną z porównania następstw, jakieby utrwalenie dokonanych zmian mieć mogło, wyprowadzić dowód, że na przyszłość również obu dworom pożądaną być może. Najprawdopodobniejszém następstwem pomnożonéj powagi królewskiéj i zaprowadzonéj dziedziczności tronu będzie, że królowie polscy stworzą sobie przemożne stronnictwo a że w swobodniejszym stanie włościańskim i miejskim znajdą jeden środek więcéj do powolnego ograniczenia wielkich rodów. Królowie, którzy dotychczas głównie oko na własny spokój i korzyść rodzinną zwracać byli zmuszeni, takowe zwrócą na dobro swego państwa a w szczególności co się tyczy stosunków zewnętrznych na jego prawdziwy, polityczny interes, który do tego czasu był zawsze poświęcany prywacie. Natomiast dostarczą istniejące ciągle nasiona republikańskich zasad królom zawsze jeszcze na wewnątrz dość zatrudnienia i będą trzymały ich władzę na wodzy (tém więcéj, że postanowiono oddzielić Saksonią od Polski), tak że sąsiedzi polscy nie będą mieli powodu obawiać się z téj strony jakichbądź planów zaczepnych, choćby nawet siła obronna tego państwa do pożą-

dańszego stanu dojść miała.“ Tutaj to zwraca się memoryał wręcz do Rosyi i mówi. „Jakkolwiek wszystkie te następstwa interesowi państwa rosyjskiego jeszcze przed dwudziestu laty byłyby szkodliwemi, tak nie sądzę, aby teraz jeszcze mogły być uważane za niebezpieczne, odkąd wielka Katarzyna swym granicom od Polski nadała *non plus ultra* trwałości i wygody a przez zniszczenie Tatarów i osłabienie Porty powody obawy, które dawniéj były mogły wyniknąć z prawdopodobnego przymierza między sąsiadami Rosyi, na zawsze usunęła. Wobec tego nowego stosunku powinno zależéć państwu rosyjskiemu na zachowaniu i wewnętrznym spokoju Polski właśnie tyle, ile dawniéj na jéj osłabieniu i niezgodzie. Nadto i obecna jéj ustawa zachowa petersburskiemu dworowi cokolwiekbądź zawsze dość wpływu, który wystarczy do odwrócenia jakichbądź szkodliwych przedsięwzięć, a ponieważ w ten sposób nie potrzebuje większego na osiągnienie podobnego celu wpływu, zamieni się dawniejszy wstręt narodu (polskiego) wkrótce w zaufanie a tenże uzna nareszcie prawdziwość pewnika politycznego, że z pomiędzy trzech jego sąsiadów jedyne tylko Prusy mają bliski i trwały interes powiększać się jego kosztem a że dla tego jego prawdziwe bezpieczeństwo i zachowanie od dobréj przyjaźni i pomocy dwóch cesarskich dworów zależy. Gdyby zaś obecna zmiana w ustawie polskiéj nie była nastąpiła, byłoby dla Rosyi rzeczą zaledwie możliwą, przynajmniéj zaś trudném i uciążliwém przedsięwzięciem, takową obalić i dawniejszy stan rzeczy przywrócić bez nader ryzykownego środka porozumienia obu cesarskich dworów z pruskim, ponieważ każda nowa korzyść, jakąby tenże dwór w Polsce zyskał, wtrąciłaby w najwyższe niebezpieczeństwo istnienie Rzeczypospolitéj i samegoż rosyjskiego wpływu. Ale i bez takiego porozumienia byłyby Prusy znalazły aż nazbyt wiele sposobności ciągnąć korzyść z tak zamieszanego i bezsensownego stanu, jakim był stan, w którym się naród od dwóch lat znajdował, aby powoli dobić do urzeczywistnienia swoich daleko sięgających zamiarów. Natomiast wobec przyszłych stosunków będzie tož samo państwo polskie stanowiło nowe, bardzo skuteczne narzędzie ku koniecznemu zapobieżeniu owym zamiarom; na tymczasem posłuży takie porozumienie z Prusami i Anglią może na ten cel, iż ustrzeże Rzeczpospolitą od chciwości i handlowych udręczeń ze strony dworu berlińskiego. Zupełne przeprowadzenie obecnéj rewolucyi nie jest wprawdzie bez wszelkich wątpliwości i trudności. Jeżeli się jednakże rozważy, że takowe dotyczą głównie przedmiotów, których istotne wejście w życie wielu jeszcze lat wymaga, znajduje się zupełne uspokojenie w rozwadze téj okoliczności, iż ze względu na długi czas, jaki dwory cesarskie mają przed sobą do zajęcia odpowie-

dniego stanowiska, nie może zbywać na środkach i drogach, aby przyszłéj decyzyi téj sprawy nadać kierunek ze wszech stron zadowolniający. Zresztą pozostawiam ocenieniu w. ekscelencyi użytek moich obecnych spostrzeżeń najzupełniéj. Byłoby mi jednakże przyjemnie dowiedziéć się o jego w tym względzie zdaniu, jako i o tém, co w téj materyi myślą w Petersburgu.“

Leopold II, jak widzimy, zgodny w téj sprawie ze swym kanclerzem, otaczał Polskę jeżeli nie czém więcéj, to z pewnością nader żywemi sympatyami, starał się zasłonić ją przed zaborczością pruską, wprowadzić w jak najlepsze porozumienie z Rosyą. Stanowisku zakreślonemu w sposób tak wyraźny w powyższéj korespondencyi odpowiada list Kaunitza (z 23 czerwca 1791) do hr. Mercy d'Argenteau: „W znanéj już w. ekscelencyi z publicznych doniesień rewolucyi w Polsce, nie miał dwór berliński, jak to z początku w rozmaitych miejscach rozpowszechniano, najmniejszego udziału. Ponieważ spogląda na nią bardzo krzywém okiem, uznał jednakże za rzecz stosowną przywdziać na zewnątrz pozory, jakoby był z niéj bardzo zadowolnionym. Dla naszego istotnego interesu państwowego może większa trwałość polskiéj ustawy państwowéj wogóle być nam raczéj korzystną, aniżeli szkodliwą. Tymczasem zdaje się, że elektor saski jeszcze nie powziął stanowczéj decyzyi w sprawie ofiarowanéj mu korony, która to zwłoka znajduje prawdopodobnie swoję przyczynę: częścią w obawie narażenia się jakiemu bądź z większych mocarstw sąsiednich, częścią w zamiarze położenia raczéj koronie polskiéj warunków, aniżeli odbierania uciążliwych od takowéj.“

Nie dość jednakże na tych objawach platonicznéj sympatyi dla Polski; nie dość na owém dobrém zrozumieniu roli i stanowiska względem Rzeczypospolitéj i na podjęciu kroków zamierzających ją ubezpieczyć przeciw pożądliwościom apetytu pruskiego, przekonywamy się nadto, że ówczesna polityka a raczéj sam Leopold II pragnął zabezpieczyć trwałość dokonanéj w Polsce przez wypadki dnia 3 maja zmianie drogą usilnych starań w dwóch kierunkach i na dwóch widowniach. Pierwszą było Drezno, drugą Petersburg. Wspomnieliśmy wyżéj, jak jeszcze przed ogłoszeniem ustawy 3 maja Leopold II wiedząc widocznie naprzód o zamiarze stronnictwa patryotycznego, by tron uczynić dziedzicznym, w marcu już r. 1791 pisywał listy do elektora saskiego, jak mu dodawał odwagi, jak mu obiecywał pod tym względem swą pomoc. Po wypadkach 3 maja staje się akcya osobista Leopolda II jeszcze energiczniejszą. Z końcem maja, przez miesiąc czerwiec 1791 znajduje się cesarz w Mediolanie. Przybywają doń równocześnie prawie Bischoffswerder w poufnéj misyi od króla i szambelan dworu saskiego, znany dobrze z dziejów elektora Fry-

deryka Augusta hr. Marcolini. Misya obu dotyczyła w przeważnéj części spraw polskich. Marcolini przywoził do Mediolanu list elektora (dat. z Pilnitz 17 maja 1791), w którym tenże donosił, jako mu szlachetny naród polski (*l'illustre nation polonaise*) ofiaruje koronę, któréj to ofiary przecież nie chce przyjąć przed przyzwoleniem trzech sąsiadów Polski, pomiędzy którymi najwięcéj mu zależy na cesarzu. Odpowiedź cesarza z 11 czerwca wyrażała najwyższą radość z wyboru, jaki Polacy uczynili, obiecywała elektorowi wszelką pomoc i poręką, a równocześnie zwracała się doń z prośbą, aby w przyszłym miesiącu pozwolił na przypadkowe niby to spotkanie się jego, cesarza, z królem pruskim na neutralnym gruncie Saksonii. W ten sposób przychodził do skutku słynny zjazd Pillnitzki. Wkrótce potém został wyprawiony na dwór drezdeński kawaler Landrini, by z polecenia cesarza utrzymać elektora w zamiarze przyjęcia korony polskiéj. Co się zaś tyczy Bischoffswerdera, oświadczał tenże imieniem dworu berlińskiego zgodę na dziedziczność królewską domu saskiego w Polsce pod tém wszakże zastrzeżeniem, aby infantka nie wychodziła za żadnego księcia trzech sąsiednich dworów, co według Bischoffswerdera, miało świadczyć o tém większéj bezinteresowności dworu berlińskiego, że Polacy objawili w Berlinie życzenie, aby księżniczka saska połączyła się węzłem małżeńskim z młodszym synem króla pruskiego. Wobec podobnych doniesień, nadchodzących z Mediolanu, uważał elektor saski skrupuły swe i wahania za zwyciężone, a w liście z Pillnitz 1 lipca 1791 oświadcza stanowczo chęć przyjęcia korony polskiéj, dziękując cesarzowi za zgodę, jaką mu się w téj mierze udało doprowadzić do skutku z Prusami.

Tymczasem, nie zapominajmy, jest-to chwila, w któréj nurt rewolucyi francuskiéj wzrasta ku zaniepokojeniu całéj monarchicznéj Europy coraz wyżéj i wyżéj. Chybiona ucieczka Ludwika XVI do Varennes, krwawe sceny na placu marsowym w Paryżu, ogłoszenie ustawy konstytucyjnéj „z prawami człowieka", zjazd Pillnitzki obmyślający środki ocalenia rodziny królewskiéj we Francyi, powstrzymania katastrofy,—wszystkie te wypadki są równoczesne pierwszym owym wrażeniom i następstwom spełnionéj 3 maja zmiany, działają paraliżująco na jakąbądź korzystną dla Polski akcyą gabinetu cesarskiego. Ztąd to wytłómaczmy sobie długą przerwę, jaką sprawa polska świeci w niniejszym zbiorze dokumentów po zjeździe Pillnitzkim. Jest-to złowroga cisza, jaka panuje i na samejże widowni polskiéj po wypadkach 3 maja, cisza, któréj przyczynę tłómaczył niezawarty jeszcze do m. października między Rosyą a Turcyą pokój, cisza, któréj przerwa znów w naszych dokumentach świadczy wymownie o drugiéj wspomnianéj już stronie politycznéj akcyi Leopolda II-go,

podjętéj na rzecz polską w Petersburgu. Przytoczyliśmy wyżéj list Kaunitza, polecający reprezentantowi Austryi na dworze petersburskim wybadać jego usposobienie w przedmiocie Polski, starać go się o ile możności skłonić do pogodzenia się z nowym stanem rzeczy w Polsce. Tymczasem nie nadchodziła długo odpowiedź na owo zapytanie, tak, że nareszcie d. 12 listopada 1791 Kaunitz uważa za potrzebne powtórzyć swe zapytanie w poufnym do L. Cobenzla liście. W liście tym tłómaczył kanclerz, iż odpowiedź gabinetu petersburskiego, iż zakreślenie jego stanowiska względem zmiany dokonanéj w Polsce jest wyraźną koniecznością wobec postawy Prus, Saksonii, a choćby i saméj Austryi. Starając się zaś raz jeszcze przekonać Rosyą, iż nie ma powodu spoglądać niechętnie na nowy stan rzeczy w Polsce, objaśniał postawę Austryi w taki sposób: „Główny nasz interes względem Polski zależy na tém: 1) aby to państwo było ustrzeżoném na przyszłość od dalszych pretensyi zaborczości i wpływu pruskiego; 2) aby państwo to przez zyskanie wielkiéj, wewnętrznéj konsystencyi nie wyrosło na niebezpiecznego sąsiada, który to interes ostatni od czasu nabycia przez nas Galicyi z powodów łatwych do odgadnienia podwójnéj nabrał wagi.“ Takiż sam interes ma, według Kaunitza i Rosya, która po zyskaniu nowych granic z r. 1772 i upokorzeniu Turcyi, Polski, obawiać się nie ma powodu. Przeciwnie zaś teraz, skoro Prusy stały się panami Szląska i Prus polskich, jest raczéj interesem Rosyi mieć się na baczności przeciw Prusom. Błaga tedy i prosi Kaunitz, aby gabinet petersburski zgodził się na przyjęcie konstytucyi 3 maja i na uznanie praw dziedzicznych elektora saskiego do tronu polskiego, czego Austrya bez przyzwolenia Rosyi otwarcie nie czyni. Nie dopuszczać zbytniego wzrostu potęgi polskiéj, ale równocześnie bronić i zasłaniać Polskę przeciw pożądliwości pruskiéj,—otóż według Konnitza ostateczne zadanie obu cesarstw. „Od tych zgodnych z sobą — mówi nota z 12 listopada — interesów dwóch cesarskich dworów, różnią się natomiast bardzo stanowczo pruskie, ponieważ 1) tym interesom o utrzymanie słabego stanu rzplitéj tylko dla tego chodzi, aby pośpieszać osiągnienie swego głównego celu, który zależy na stopniowém, nieokreśloném powiększaniu swéj potęgi kosztem polskim. Czyhając w tym celu na każdą, korzystną sposobność, usiłuje tymczasem dwór berliński utrzymywać w Polsce silną oddaną sobie partyą i nadużyć jéj, skoro trzeba, do wykonania swych odmiennych zamysłów; 2) pod podwójnym względem winien dwór berliński przeważny wpływ rosyjski w Polsce uważać za przeszkadzający i niekorzystny dla siebie, chyba, jeżeli zamyśla o nowych projektach podziałowych. Jeżeli to, co dotychczas powiedziano, zastosujemy do przyszłych stosunków pol-

skich, zdaje się, że następne stąd konkluzye są słuszne: 1) że wszelkie dalsze podziały polskie, jedynie tylko dworowi pruskiemu ważnych korzyści przysporzą, dla dwóch cesarskich dworów za to z tejże saméj przyczyny daleko szkodliwszemi, aniżeli korzystnemi będą; 2) że wprawdzie jest rzeczą najwyższéj konieczności, aby władza królewska na przyszłość przez władzę stanów dostatecznie ograniczoną była i wogóle duch niezależności pomiędzy szlachtą polską troskliwie był utrzymywany, że 3) jednakże jest rzeczą równéj konieczności, położyć na przyszłość koniec nieprzeliczonym owym sposobnościom do zewnętrznych sporów i zawikłań, do których dotychczasowa organizacya rzeczypospolitéj nieuniknionych dostarczała powodów, z pomiędzy których żaden pruskiemu systemowi zaborczości nie jest pożądańszym od częstych elekcyi nowych królów i owéj łatwości, która sprawiała dotychczas zbyt wielką nieregularność administracyi i sejmów w ciągłém zmienianiu ustawy.“ Słowem, streszczała się nota w żądaniu wspólnéj akcyi cesarskich dworów na rzecz Polski przeciw Prusom. Ostateczne zaś *caeterum censeo* polityki austryackiéj w téj kwestyi brzmiało, jak następuje: „Według tego, co powiedziano wyżéj, zdaje się, że wśród obecnych okoliczności obu dworom cesarskim odpowiada najlepiéj, aby się nowéj polskiéj ustawie nie opierały i zezwoliły z dobréj woli na przyjęcie dziedzicznéj korony ze strony elektora saskiego.“ Cierpkość tego wystąpienia przeciw Prusom podnosiła jeszcze okoliczność, że dwór berliński uznał wówczas za rzecz stosowną starać się w Petersburgu o ustąpienie Kurlandyi dla synowca króla pruskiego i poszukiwał w tym celu pośrednictwa Austryi, która go jednak z pewną zimnotą odmówiła.

Tymczasem już po wyprawieniu owéj noty do Petersburga rozpoczął dwór wiedeński z roku 1791 na 92 nową akcyą w Dreźnie i Berlinie na rzecz Polski. Był to poniekąd dalszy ciąg negocyacyi podjętéj w czerwcu z reprezentantem pruskim Bischoffswerderem. Prusy sterowały wówczas po chwilowym odwrocie w sprawie polskiéj, po zawarciu pokoju między Rosyą a Turcyą w Jassach, wśród niepewnych konstelacyi rewolucyi francuskiéj, ku przystani przymierza austryackiego. Dwór wiedeński nie był podobnéj kombinacyi nieprzychylnym, ale czynił jéj wprowadzenie w życie zależném od postawy, jaką Prusy zajmą w sprawie polskiéj. Austrya domagała się wprost przez Bischoffswerdera, aby Prusy bez żadnych dalszych zwłok uznały zmianę spełnioną w Polsce i zgodziły się na dziedziczność tronu polskiego w rodzinie saskiéj. W pierwszych dniach 1792 wyprawił gabinet wiedeński w tym celu do Drezna i Berlina kawalera Landrianiego. Instrukcya nakazywała mu pracować nad elekto-

rem, aby się na przyjęcie korony polskiéj zgodził,—równocześnie zaś dokładać starań, aby doprowadzić do skutku zgodę i porozumienie między trzema północnemi mocarstwami, ale wyraźnie na podstawie uznania obecnego stanu rzeczy w Polsce. Tak już powiadomiono przeszłego lata Bischoffswerdera, w takim téż sensie wyszła 12 listopada nota do dworu petersburskiego. „Jeżeli—pisał Kaunitz 4 stycznia 1792 do Reussa, reprezentanta Austryi w Berlinie—potrójne przymierze ma być zawarte trwale, jest rzeczą nieuniknioną: 1) aby nareszcie usuniono owo wieczne zarzewie zazdrości i rozdraźnienia, jakie zamieszany i zmienny stan dotychczasowéj ustawy rzeczypospolitéj Polskiéj między jéj sąsiadami żywił, a jakie wybuchało przy każdéj elekcyi, podczas każdego sejmu nawet głośnemi niepokojami i jasnym płomieniem; 2) aby trzy dwory główny interes, jaki względem Polski mają wspólnie, a który na tém zależy, aby państwo to nie osiągnęło nigdy stopnia siły, któryby im mógł być niebezpiecznym, starały się przestrzegać za pomocą wspólnego wpływu i wspólnych środków i takowy zabezpieczyły przeciw wewnętrznym i zewnętrznym wypadkom.“

Co w całéj téj negocyacyi ze strony Austryi rzeczą może najciekawszą, to, że aby niekrępować swobody postanowień interesowanych mocarstw, dwór wiedeński, jak to Landrianiemu wyraźnie oświadczyć kazał w Dreźnie i w Berlinie, nie wszedł nie tylko w jakiebądź stosunki z patryotycznêm stronnictwem polskiém, ale nie zawiadomił nawet o swéj akcyi na korzyść Polski, ani dworu warszawskiego, ani rezydenta swego przy nim de Caché'go. Otóż błąd według nas nie dość pożałowania godny, który nie byłby popełnionym w razie dłuższego życia cesarza Leopolda, a którego popełnienie pozbawiało zwolenników nowéj ustawy i rząd polski tyle ważnéj wśród podobnych okoliczności podstawy i otuchy.

Błąd ten nie przeszkadzał przecież dworowi wiedeńskiemu kołatać coraz to natarczywiéj w Berlinie na rzecz Polski. Dwie datowane 25 stycznia 1792, wystosowane do Reussa noty kazały mu najformalniéj odzywać się do dworu berlińskiego w tym sensie. Druga z tych not przedstawia szczególny interes przez fakt, jaki komunikuje reprezentantowi Austryi w Berlinie, o usposobieniach dworu petersburskiego. Książę Golicyn otóż, poseł rosyjski w Wiedniu, zakomunikował Kaunitzowi ustnie notę kierującego sprawami zagranicznemi Rosyi Ostermanna, który na zapytanie Austryi z d. 12 listopada 1791 co do spraw polskich, prosił o zwłokę, ponieważ okoliczności stanowczéj odpowiedzi jeszcze nie dopuszczają. Nie zbyt przenikliwy Kaunitz pocieszał z powodu téj zwłoki siebie i Reussa następnemi argumentami: „Podobna zwłoka nie zdaje się nietylko nie pocią-

gać za sobą żadnéj niedogodności, ale zdaje się nawet rzeczą konieczną ze względu na zamieszanie i niezaradność, które panują aż do obecnéj chwili w umysłach polskich ze względu na trudne i ważne zmiany, jakie się starano i stara jeszcze wprowadzić w życie"....
„Ostatnie to żądanie, w połączeniu z zupełném milczeniem, które dwór rosyjski co do swych zamiarów względem Polski zachowuje, czyż nie robi wrażenia, że dwór ten tylko czekał, ażby pokój między nim a Portą był zawarty? ażeby Austrya i Prusy były zajęte francuskiemi zamieszkami, aby wszystko, co się w Polsce stało, jakim bądź sposobem obalić?"

Wobec podobnego położenia rzeczy, dostał Reuss od Kaunitza polecenie zbadać stosunki polskie zbliska i przekonać się, kto w nich bruździ i kto staje w sprzeczności z interesem i polityką Austryi, Prusy czy Rosya. W ostatecznym razie, zamiast podnieść przyłbicę, walczyć otwarcie w interesie własnego, przychylnego Polsce systemu politycznego i oprzéć podobną akcyą na przymierzu ze stronnictwem patryotyczném, nie widział Kaunitz w zawikłaniach podobnéj sytuacyi lepszéj rady, jak używać wpływu rosyjskiego w Polsce do zwalczenia tamże wpływu pruskiego, jak posłużyć się wpływem pruskim do obalenia rosyjskiego. Smutna, wykrętna, nieprowadząca do żadnego celu, opłacająca się ostatecznie bankructwem austryackiego interesu na widowni polskiéj taktyka! „Postaramy się — pisze Kaunitz do Reussa — o ile możności o to, a wydobędziemy znów dawną naszą zasadę na wierzch, aby tamtejszemu wpływowi pruskiemu przeciwstawić wpływ rosyjski w tém pewném przypuszczeniu, że interes rosyjski w Polsce wprawdzie chwilowe sprzymierzenie się z pruskim dopuszcza, nie pozwala jednakże nigdy na trwałą jakąś koalicyą i podział władzy tamże."

Nie przeszkadzało jednakże to machiawelskie nieco starego Kaunitza na politycznéj szachownicy posunięcie praktykowaniu dotychczasowego systemu. A więc jak z jednéj strony dwór wiedeński nieprzestaje nalegać na elektora o przyjęcie korony polskiéj, tak z drugiéj strony kołata jeszcze w końcu stycznia przez Ludwika Cobenzla do dworu petersburskiego o wyraźne oświadczenie się w sprawie polskiéj, ponieważ bezeń zgoda między trzema mocarstwami północnemi w akcyi przeciw rewolucyi francuskiéj jest niepodobną. Jeżeli tymczasem przyszedł do skutku między Austryą a Prusami traktat przymierza z 7 lutego 1792, należy to tylko przypisać zaspokajającym zapewnieniom, jakie dwór berliński przez Bischoffswerdera w sprawie polskiéj udzielił.

Zdaje nam się, że się nie mylimy, przypuszczając, że jeżeli dwór wiedeński podjął całą tę akcyą na rzecz Polski bez jéj wiadomości

nawet, nie wchodząc w żadne stosunki ani ze stronnictwem patryotycznėm, ani z rządem polskim, chował sobie wejście w podobne stosunki na chwilę, kiedyby rzecz na drodze negocyacyi z mocarstwami ościennemi była należycie przygotowaną. Nietrudno zaś pojąć, coby za wartość dla Polski było miało podobne, głośne oświadczenie się za nią Austryi, czyby mianowicie w takim razie przeciwnicy ustawy 3 maja byli mieli możność i odwagę wystąpić z aktem Targowickim, czyby Rosya była rozpoczęła wojnę r. 1792, czyby Prusy związane z Austryą traktatem z 7 lutego, były doznawały pokusy szukania sobie urojonéj „indemnizacyi“ na Polsce. Aby jednak podobnie skomplikowany system przeprowadzić zwycięzko we wszystkich szczegółach, trzeba było czuwać nad wykonaniem jego inicyatorowi. Chciało tymczasem nieszczęście Polski, że 1-go marca 1792 umarł nagle prawie, po krótkiéj chorobie Leopold II, a że razem z nim ustąpiła z widowni jedyna głowa, która w téj sprawie chciała i umiała logicznie a życzliwie dla Polski myśléć. Odtąd nie zbywa niekiedy w Wiedniu na dobrych chęciach, ale cechuje politykę austryacką wyraźne niedołęstwo. Dziedzictwo po Leopoldzie obejmuje młody syn jego Franciszek II, człowiek ciasnego, niekiedy zdrowym rozsądkiem i praktycznemi instynktami wynagradzającego się umysłu. Stanowisko Kaunitza stało się prawie niepodobném; miał je też niezadługo opuścić. Kierownictwo spraw zagranicznych dostało się w ręce Filipa Cobenzla, zdolności bardzo miernéj, odznaczającéj się długoletnią rutyną, daléj księcia Rosenberga i hr. Colloredo, dawnego guwernera młodego cesarza. Ustępujący ze sceny Kaunitz pozostawił wszakże pod nazwą memoryału noszącego datę 14-go marca 1792, jakoby testament polityczny w sprawie polskiéj, który nie tylko był przyjęty przez cesarza Franciszka, ale który, co więcéj, zyskał znów przez Bischoffswerdera zupełne uznanie gabinetu berlińskiego. „Dwór królewsko-pruski—pisał Kaunitz w pomienionym memoryale — i dwór wiedeński zdają się ze względu na sprawy polskie być zgodnemi co do następnych, zasadniczéj natury punktów: 1) aby usunąć wszystko, coby mogło wywołać ferment, niepokój i groźne zatargi w Polsce, a trzy wielkie dwory w kolizyą wprowadzić; 2) że z téj saméj przyczyny obojgu swemu interesowi państwowemu uważają za rzecz raczéj sprzyjającą, aniżeli szkodliwą, jeżeli polska elekcyjność będzie zamieniona na dziedziczną koronę; 3) że z pomiędzy wszystkich do niéj pretendentów pana elektora saskiego za najodpowiedniejszego uważają; 4) że się zgadzają na to, aby dziedzictwo korony było rozciągnione na dwóch braci pana elektora, a w razie ich zejścia bez pozostawienia męskich potomków na każdego, panującego właśnie w Saksonii elektora; 5) że im na tém nie

zależy, aby utrzymywać Polskę w stanie absolutnéj słabości i takiéj bezwładności, aby królestwo to zależało od wszechwładnego wpływu którego bądź z trzech wielkich dworów; 6) że jednakowoż nie jest również w ich interesie, aby Polska doszła do takiego stopnia potęgi, któraby jakiemubądź z trzech mocarstw mogła się stać groźną lub niebezpieczną; 7) że tedy uważają za rzecz pożądaną i konieczną przemyśliwać nad wszelkiemi odpowiedniemi środkami i takowe w życie wprowadzić, któreby były niezbędnemi do przeprowadzenia punktu pod numerem 6-tym; 8) że pomiędzy temi środkami najważniejsze zależą na tém, aby siła zbrojna królestwa polskiego raz nazawsze na ściśle oznaczoną i nieprzekraczalną cyfrę 40 do 50 tysięcy ludzi była ograniczona, jako daléj, aby była postanowiona zawsze neutralność polska we wszystkich zatargach, jakieby mogły z powodu Polski powstać między trzema sąsiedniemi dworami; 9) że nic lepiéj interesom państwowym elektora saskiego odpowiadać nie może, aniżeli właśnie ta neutralność i że dla tego właśnie elektor saski jako król polski tenże system neutralności i dla Polski przestrzegać wszelkiemi siłami starać się będzie; 10) że dla tego zmodyfikować należy wszystkie te punkta nowéj polskiéj ustawy, które są niezgodne z dwoma głównemi, powyżéj wyrażonemi zamiarami lub zkądinąd mogłyby się zdawać niebezpieczne lub przeszkadzające; 11) że jeżeli oba dwory pragną tego ostatecznego celu, winny téż pragnąć odpowiednich do tego środków, że więc 12) jeżeli te środki chcą wprowadzić w życie, winny się przedewszystkiém postarać o legalny wpływ ku ich przeprowadzeniu; 13) że pozyskać ten wpływ można tylko w ten sposób, iż się zgodzą na to, aby wziąć na siebie gwarancyą nowéj ustawy polskiéj; 14) że jednakże prostą tą gwarancyą ostatecznego celu swego w pewny i niezmienny sposób nie osiągną, ponieważ jak dotychczasowe przykłady dowodzą, Polacy mogliby twierdzić, iż im nic nie przeszkadza zmieniać to, co zagwarantowano, gdyż każdemu wolno zrzec się korzyści własnych; 15) że więc z udziałem pana elektora saskiego winniby tu wystąpić nietylko jako gwaranci, ale jako *partie contractante*, kiedy w razie przeciwnym pozostawiłoby się Polskę jéj losowi; 16) że oba dwory co do tych zasad z elektorem saskim się porozumieją, w takowe go wciągną, następnie takowe dworowi rosyjskiemu przedłożą i będą go usiłowały skłonić do ich uznania, co się zapewnie powiedzie, częścią, że te zasady przestrzegają interesu rosyjskiego państwowego, jak obu innych mocarstw, częścią dla tego, że w innym razie, zmierzając do zupełnego panowania nad Polską, stanąłby w sprzeczności ze zgodnemi postanowieniami Prus i Austryi, wreszcie rzeczypospolitéj saméj, któréj sejmiki oświadczyły w swéj większości za przyjęciem no-

wéj ustawy; 17) że zasady te są wprawdzie dla Polski ograniczające, ale dobroczynnie ograniczające, ponieważ przez to królestwo owo zyskuje rzadkie szczęście być wolném od wszelkich zawikłań wojennych, a wyjdzie na bezpieczną *puissance intermédiaire et de convenance* pomiędzy wszystkimi swoimi sąsiadami."

Otóż to ów polityczny memoryał Kaunitza, charakteryzujący z jednéj strony w stylistyce ciężkiéj i zawiłéj, ale treści cokolwiek bądź niewątpliwéj, stosunek Austryi do Polski i ustawy 3-go maja, stwierdzający z drugiéj strony ważny fakt, iż gabinet berliński był w owéj chwili całkiém zgodny z wiedeńskim w zapatrywaniu się na sprawy polskie. Dziwny przecież, wydarzający się często w dziejach jakoby ironicznie i ku upokorzeniu obliczeń ludzkich przypadek, iż właśnie pod tą samą datą, którą nosił Kaunitzowy memoryał, 14-go marca 1792, nadeszła do Wiednia, kontrasygnowana przez ministrów Schulenberga i Finkensteina deklaracya króla pruskiego, przekreślająca jednym pociągiem pióra wszystkie te rachuby. Deklaracya ta była istotnie nader ciekawą, a świadczyła wymownie, czém są wszelkie zobowiązania traktatowe i papierowe, choćby najuroczystsze przyrzeczenia wobec natury rzeczy. Król pruski zawiadamiał za pośrednictwem Bischoffswerdera, że według doniesień odebranych od posła pruskiego Goltza z Petersburga, Katarzyna nie myśli się zgodzić ani na uznanie stanu rzeczy stworzonego przez ustawę 3 maja, ani na dziedzictwo tronu w rodzinie saskiéj. Zdawaćby się mogło, że z obu takich wiadomości, królowi pruskiemu nie pozostawało nic innego, jak uznać fakt ewentualności przewidzianéj w traktacie przymierza z 29 marca 1790 i śpieszyć Polsce z przyrzeczoną w takim razie pomocą. Wiadomo, że się dwór warszawski o nią w Berlinie upomniał, wiadomo, jaką Ignacy Potocki odpowiedź na to odebrał. Nie dość na tém jednakże, zawiadamiała deklaracya pruska dwór wiedeński o usposobieniach petersburskich, wzywając go, aby wśród zmienionych okoliczności zarzucił swą dotychczasową politykę, przestał się interesować dla dziedzictwa w Polsce rodziny saskiéj, wszedł z Rosyą i z Prusami w nowe porozumienie co do losu mającego się zgotować Polsce.

Na dopełnienie fatalności nastąpiło wtedy właśnie wypowiedzenie wojny cesarstwu niemieckiemu ze strony Francyi. Nie dziwić się, że wobec tego nowego wypadku sprawa polska zeszła w zajęciach i interesie dworu wiedeńskiego na drugi plan, że na pierwszym stanęła konieczność porozumienia się wspólnego trzech dworów co do wspólnéj akcyi przeciw rewolucyi francuskiéj. Przecież i w téj krytycznéj chwili nie można powiedzieć, aby mający niezadługo ustąpić ze sceny Kaunitz był sprawę polską zupełnie porzucił, aby jéj waż-

ności nie uznawał. W nowéj, z 12 kwietnia 1792, dla Ludwika Cobenzla w Petersburgu przeznaczonéj instrukcyi przedstawiał raz jeszcze Kaunitz zgodę trzech mocarstw w sprawie polskiéj, jako przedwstępny warunek porozumienia ich w akcyi przeciw Francyi, zaręczał stanowczo, że nowy cesarz stoi pod tym względem na tém samém stanowisku, na jakiém stał poprzednio Leopold II, przemawiał ponownie za uznaniem ustawy 3 maja i dziedzictwem korony polskiéj w rodzinie saskiéj. „W tym to zbawiennym celu — pisał Kaunitz — miał zmarły cesarz tak serdeczny zamiar widzieć ową wspólną trzech mocarstw zgodę, opartą równocześnie na ostatecznem uregulowaniu spraw polskich, któreby zaręczało nazawsze pokój téj rzeczypospolitéj i jéj trzem sąsiadom, a usuwało równocześnie powody nieporozumień i nieufności między niemi samemi, którym doświadczenie dowiodło, że stan poprzedni ustawy polskiéj dawał tego częstokrotną sposobność. Cobenzl odebrał nadto wyraźną instrukcyą, aby oświadczył ubolewanie, iż gabinet petersburski na podobne zapatrywanie w sprawie polskiéj zgodzić się nie chce.

Czyn ten przynosi Kaunitzowi tém większy zaszczyt, że polityka jego co do Polski nie zadaje sobie ani na chwilę kłamu już nawet wśród zmienionych okoliczności, już nawet wtedy, kiedy ze wszech stron biją nań przeciwne prądy, kiedy z jednéj strony rozpoczyna się owa nieszczęsna kampania roku 1792, kiedy z drugiéj wypowiedziana przez Francyą wojna odwraca główną uwagę akcyi wojennéj i politycznéj Austryi w strony nad nadreńskie. Ktokolwiek zaś zastanawia się choć pobieżnie nad ówczesnemi wypadkami w Polsce, niechaj nie zapomina, że owo roztargnienie francuskie nie przestaje od pierwszéj chwili odgrywać zgubnéj, fatalnéj w sprawach Polski roli.

(*d. n.*)





SIŁY OBECNE I PRZEWIDYWANA PRZYSZŁOŚĆ
ZAMORSKIÉJ KONKURENCYI ZBOŻOWÉJ.

(Dokończenie).

Płace robotników rolnych w Stanach Zjednoczonych w porównaniu z europejskiemi, a zwłaszcza naszemi, są bardzo wysokie. Fermerowie téż starają się o ile możności ograniczyć liczbę potrzebnych do uprawy rąk przez jak najszersze zastosowanie maszyn, które odznaczają się w Ameryce dobrocią, ale są dość drogie. Wreszcie, drobniejsi właściciele, uprawiający rolę osobiście, mają na widoku w użyciu maszyn nie tyle oszczędność, ile wygodę. Tak np. nie mając nic prawie do roboty przez większą część jesieni i całą zimę, z nader małymi wyjątkami nie młócą oni zboża ręcznie, lecz wynajmują sobie młocarnie parowe. Na pługach, żniwiarkach i wszelkich tym podobnych machinach rolniczych urządzone są zawsze wygodne kozły do siedzenia, a często jeszcze nad nimi daszki w kształcie baldachimu, żeby pan fermer nie zmęczył się przy pracy i nie opalił. Rodowici jankesi lubią robić wszystko o ile możności jak najłatwiéj i jak najszybciéj, dla tego téż nie używają do roboty wołów, ale koni lub mułów, przyczém nie oszczędzają wcale bydła, byleby jak najprędzéj skończyć pracę. Wołami orzą tylko koloniści niemieccy. Wszystko to na drobnych fermach nie tylko nie zmniejsza kosztów produkcyi, ale je owszem podnosi. Skutkiem tego własność wielka, jakkolwiek musi używać wyłącznie drogiéj pracy najemnéj, dzięki przysługującym jéj pod innymi względami naturalnym przywilejom, produkuje w Ameryce wogóle taniéj, niż drobna, a jeżeli pomimo to ta ostatnia coraz bardziéj przeważa w Stanach Zjednoczonych nad pierwszą i znakomicie wzrasta ciągle tak pod względem zajmowanego przez nią ogólnego obszaru, jak i liczby gospodarstw pożąda-

néj wielkości (od 50 do 160 akrów) (1), to pomyślny ten swój rozwój zawdzięcza głównie przezornemu prawodawstwu tego kraju.

Liczba robotników, utrzymywanych stale na fermach za umową roczną, bywa zazwyczaj bardzo ograniczona. Fermerowie drobniejsi starają się najczęściéj obchodzić zupełnie bez stałéj służby folwarcznéj; zamożniejsi i nie posiadający dostatecznéj liczby dorosłych członków w rodzinie trzymają jednego lub dwu parobków. Dopiero w czasie siewu, a zwłaszcza w czasie żniwa wszyscy donajmują sobie mniéj więcéj znaczne siły obce. Skutkiem tego płace robocze w tych dwóch okresach zajęć rolniczych w dwójnasób podskakują w górę. Oto tablica przeciętnych płac *miesięcznych* robotników rolnych, pozostających na własném utrzymaniu, *przy najmie rocznym* w stanach produkujących najwięcéj zboża:

TABLICA XIII. (*)

Nazwa stanu	1865	1868	1874	1878	1881	1884
	w dolarach i centach					
Ohio	28,46	26,35	24,05	20,72	24,55	23,00
Michigan	31,26	31,01	28,22	22,88	25,76	24,00
Indiana	27,71	25,42	24,20	20,20	23,14	22,20
Illinois	28,54	27,32	25,20	20,61	23,91	23,50
Wisconsin	30,84	30,08	25,50	21,07	26,21	23,54
Minnesota	31,65	28,61	26,16	24,55	26,36	25,50
Jowa	28,34	28,39	24,35	22,09	26,21	25,33
Missouri	26,75	24,47	19,40	17,59	22,39	21,35
Kansas	31,03	28,96	23,20	20,67	23,85	24,70
Nebraska	38,37	33,25	24,00	23,04	24,45	25,00
Dakota	30,20	—	32,50	28,56	—	25,55
California	45,71	46,38	44,50	41,00	38.25	38,75
Oregon	35,75	—	38,25	35,45	33,50	34,00

Przeciętne płace dzienne przy najmie czasowym w ciągu całego roku za wyjątkiem czasu żniwa w tych samych stanach i latach dla robotników na własnym stole wynosiły:

(1) Faktu tego dowiodłem liczbami i przytoczyłem w krótkości prawa, popierające ten rozwój w Nr. 70 „Gazety Polskiéj“ z r. z.

(*) Wzięta z „Report of the area of winter grain.“ Washington, April 1885.

TABLICA XIV. (*)

Nazwa stanu	1865	1868	1874	1878	1881	1884
	w dolarach i centach					
Ohio	1,54	1,44	1,35	1,00	1,19	1,11
Michigan	1,78	1,66	1,55	1,16	1,30	1,28
Indiana	1,45	1,36	1,30	0,90	1,08	1,08
Illinois	1,62	1,50	1,37	1,01	1,19	1,14
Wisconsin	1,78	1,56	1,42	1,12	1,33	1,20
Minnesota	1,75	1,64	1,50	1,27	1,37	1,25
Jowa	1,62	1,52	1,38	1,12	1,34	1,31
Missouri	1,44	1,44	1,07	0,67	1,00	0,95
Kansas	1,65	1,56	1,30	1,05	1,12	1,20
Nebraska	1,93	1,62	1,43	1,29	1,21	1,35
Dakota	2,00	—	1,62	1,34	1,50	1,31
California	2,26	2,13	1,84	1,65	1,71	1,57
Oregon	1,75	—	1,47	1,44	1,33	1,30

Przeciętne płace dzienne w czasie żniwa były następujące:

TABLICA XV. (**).

Nazwa stanu	1865	1868	1874	1878	1881	1884
	w dolarach i centach					
Ohio	2,20	2,15	2,05	1,51	1,79	1,75
Michigan	2,62	2,76	2,50	2,02	2,13	1,90
Indiana	2,23	2,16	2,20	1,68	1,89	1,85
Illinois	2,41	2,34	2,20	1,52	1,91	1,80
Wisconsin	2,68	2,45	2,40	2,11	2,50	1,89
Minnesota	2,68	2,90	2,82	2,63	2,61	2,29
Jowa	2,38	2,85	2,57	1,66	2,25	2,00
Missouri	2,15	2,30	1,75	1,47	1,59	1,62
Kansas	2,31	2,08	1,86	1,70	1,70	1,87
Nebraska	2,65	2,41	2,40	2,17	1,95	1,98
Dakota	2,50	—	2,37	—	2,65	1,38
California	2,56	2,82	2,50	2,27	2,30	2,20
Oregon	2,40	—	2,11	2,02	1,92	1,95

Z tablic tych widzimy, że płace pieniężne zarówno parobków, jak najmowanych na dni wyrobników w ciągu ostatnich lat dwudziestu prawie stale się zmniejszają, naśladując w tym względzie mniéj więcéj dokładnie ruch cen zboża. Tak np. wiemy, że w roku

(*) Zapożyczona z tegoż raportu, co poprzednia.
(**) Zaczerpnięta z tego samego źródła.

1878 (1) ceny pszenicy czasowo gwałtownie spadły, otóż we wszystkich tablicach powyższych spostrzegamy, że i płace w tym roku nagłéj uległy zniżce. Gdy w latach następnych ceny zboża napowrót podskoczyły, podniosły się téż i płace, lecz spadły znowu w r. 1884 równolegle z upadkiem cen, chociaż nie tak gwałtownie, jak ostatnie. Jeżeli na podstawie przeciętnych cen pszenicy w r. 1874, 78, 81 i 84 tym, jakie posiadamy dla 7-miu stanów zachodnich i które przytoczymy późniéj, wyrazimy płace miesięczne robotników stałych, wzięte z tablicy XIII. w równoznacznéj im ilości buszli tego ziarna, to otrzymamy cyfry następujące:

TABLICA XVI. (*)

Płace miesięczne robotników rolnych wyrażone w buszlach pszenicy.

Nazwa stanu	1874	1878	1881	1884
Ohio	23,3	24,1	19,0	30,7
Illinois	29,6	27,5	19,6	37,3
Minnesota . . .	32,7	48,1	24,9	51,0
Jowa	37,5	44,2	24,7	46,1
Missouri	21,8	26,3	18,8	34,4
Kansas	28,6	35,0	22,7	54,9
Nebraska. . . .	41,4	47,0	25,2	59,5

Tabelka powyższa przekonywa nas, że jakkolwiek pieniężne płace robotników rolnych, czyli absolutne koszta pracy ludzkiéj w Stanach Zjednoczonych z biegiem czasu zniżają się, to jednakże koszta względne robocizny, rozpatrywane w stosunku do dochodu fermerów, nietylko nie zmniejszają się, lecz owszem wzrastają. Fakt ten potwierdza długim szeregiem cyfr zebranych od r. 1860 do 1884 dla stanu New Jersey, tamtejszy reprezentant waszyngtońskiego biura statystycznego, p. Dawid C. Voerhees (2). Podług jego obliczenia przeciętna płaca roczna robotnika rolnego wyrażona w równoznacznéj ilości pszenicy wynosiła: w r. 1860—93 buszle, w 1870—114 busz., w 1880—134 busz., w 1884—187 buszli; w ilości kukurydzy w tych

(1) Patrz tablicę VI na str. 99 i objaśnienia na str. 100.

(*) Cyfry z roku 1874 w tabelce powyższéj nie są zupełnie pewne, ponieważ cen szczegółowych pszenicy z tego roku nie posiadam. Oznaczyłem je w ten sposób, że ceny z r. 1875 zmniejszyłem o 6 centów, gdyż przeciętna cena pszenicy w całych Stanach Zjednoczonych *loco ferma* była w r. 1874 o tyle niższa, niż w r. 1875. Skutkiem tego jedne z cyfr podanych przezemnie dla tego roku muszą być zapewne niższe od rzeczywistych, inne wyższe, a więc ogółem można je wziąć do porównania.

(2) Ułożoną przez niego tablicę podaje cytowany przezemnie wyżéj *Report of the area of winter grain.*

samych latach płace roczne czyniły: 173, 267, 300 i 350 buszli; w ilości owsa: 433, 400, 600 i 560. W r. 1881 w tabelce naszéj otrzymaliśmy wyjątkowo cyfry bardzo nizkie skutkiem tego, że w roku tym ceny pszenicy, jak się o tém przekonać możemy z tablicy IV, dosięgły w Ameryce na rynkach wewnętrznych niebywałéj nigdy wysokości skutkiem jednoczesnego nieurodzaju w Stanach Zjednoczonych i Indyach Wschodnich (porównać tablicę VIII). Wypadek taki jednakże, jako rzadki wyjątek, nie może być brany w rachubę. Widzimy więc, że wogóle zniżka płac roboczych w Ameryce nie wyrównywa bynajmniéj strat, ponoszonych przez fermerów na upadku cen zboża, lecz przeciwnie upadek ten, wobec niemożności odpowiedniego obniżenia płac, podnosi stosunkowo koszta robocizny i zmusza amerykańskich właścicieli rolnych do ograniczenia produkcyi zboża i wytwarzania innych, lepiéj opłacających się produktów, w celu podniesienia cen ziarna. Wobec takiego położenia rzeczy, gdy jeszcze weźmiemy na uwagę tę okoliczność, że w miarę wyczerpywania się ziemi uprawa jéj musi być coraz staranniejsza, oraz dodamy, że wszystkie korespondencye ze stanów rolniczych, jakieśmy znaleźli w raportach biura statycznego z roku zeszłego, utyskują bardzo na brak rąk najemnych, nie potrzebujemy w obliczeniach na przyszłość obawiać się wcale znacznéj obniżki kosztów robocizny w Ameryce.

Szczegółowe pozycye tych kosztów podają wszyscy autorowie dość zgodnie. I tak, Meyer pisze, że w dolinie rzeki Czerwonéj (gdzie podług Semlera ziemia jest tak lekka, że w czasie pogody wiatr podnosi tumany czarnego pyłu z jéj powierzchni) spekulańci, którzy zakupili wielkie obszary gruntów, w celu sprzedania ich z czasem po wysokiéj cenie, i nie chcą sami prowadzić gospodarstwa, najmują drobnych fermerów do uprawy i płacą im zazwyczaj następujące ceny od akra:

Za pierwszą orkę ziemi nowinnéj	dolarów	3,—
„ drugą orkę	„	1,50
„ bronowanie przed siewem	„	0,50
„ siew	„	0,50
„ bronowanie po siewie.	„	0,50
„ żniwo i związanie w snopki	„	1,50
„ ustawienie w mendle	„	0,40
„ zwózkę	„	0,50
„ młockę 18 buszli	„	1,80
Razem	dolarów	10,20
Po odciągnięciu za pierwszą orkę . . .	dolarów	3,—
otrzymamy jako zwykłe koszta robocizny na akr.	**dolarów**	**7,20**

W tejże dolinie rzeki Czerwonéj na wielkiéj fermie Dalrymple'a, który posiada wszelkie maszyny najlepszéj konstrukcyi i wyborną organizacyą sił roboczych przy pracy, lecz dla ograniczenia kosztów robocizny do możliwego minimum, uprawia ziemię nadzwyczaj powierzchownie i niedbale, koszta te, obliczone na podstawie ścisłéj buchalteryi, wynoszą podług Meyera:

Orka akra ziemi już od kilku lat uprawianéj	dolarów	1,16
Siew i jednorazowe bronowanie	„	0,54
Żniwo, związanie w snopki i ustawienie w mendle . . .	„	1,62
Młocka i zwózka do magazynu	„	1,57
Drobne wydatki	„	0,04
	Razem dolarów	4,93

Ponieważ Dalrymple orze zaledwie na 3 do 4 cali głęboko, posiada maszyny do siewu połączone z bronami tak, że jeden robotnik zarazem sieje i bronuje, używa żniwiarek samowiążących i ma własne młocarnie parowe, więc koszta powyższe nie mogą być brane za miarę dla ferm średnich i małych, które panują w stanach zachodnich. Są one dla nich stanowczo o wiele za nizkie.

Cytowany przez Lorenza von Steina (1) p. Hutchinson z Penrith ocenia koszt orki akra na dol. 1,50, bronowania: dol 1,50, siewu wraz z ziarnem na 1,75 dol., żniwa i młocki na 3,50 dol., ogółem koszt robocizny na akr ziemi wraz z ziarnem do siewu dol. 8,25.

Tenże autor przytacza drugi rachunek innego fermera amerykańskiego, niejakiego p. Peata. Ten liczy orkę akra dol. 1,57½, bronowanie 1,57½, siew 0,54 dol., żniwo, młockę i transport do najbliższéj stacyi 3,39 dol.

Moglibyśmy tutaj przytoczyć jeszcze kilkanaście podobnych obliczeń. Wszystkie one podają koszta uprawy akra, wraz z ziarnem na zasiew, na 7 do 8 dolarów na fermach wielkości 100 do 500 akrów. Szczegółowe pozycye obracają się około cyfr następujących które przyjmiemy za podstawę w naszym rachunku:

Za orkę akra liczą wszyscy zgodnie po **1,50 dol**. Koszta siewu i bronowania oznaczane bywają zazwyczaj razem i rozmaicie: od 50 centów do 1,50 dol. Pochodzi to stąd, że niektórzy niedbali fermerowie, zwłaszcza w okolicach, gdzie dzięki właściwościom gleby niewiele chwastów się pleni, nie bronują roli wcale, inni raz tylko, inni 2 razy, przed i po siewie. Możemy więc za średnią normę kosztów

(1) „Drei Fragen des Grundbesitzes."

siewu i bronowania przyjąć **1 dolar.** Żniwo, związanie w snopki i ustawienie w mendle oceniają rozmaici rolnicy na 1,60 do 1,90 dol. weźmy przeciętnie: **1,75 dol.** Za zwózkę do magazynu (tylko w Kalifornii zboże idzie wprost od żniwa do młocki i od młocki na koléj) rachują ogólnie około 50 centów, przyjmijmy więc **40 centów.** Za wynajęcie młocarni parowéj płaci się zazwyczaj 5 centów od buszla pszenicy. Koszta obsługi podług Meyera wynoszą 3 centy od tejże miary. Razem więc młocka 1 buszla czyni wydatku 8 centów, czyli za przyjęte przez nas 16 buszli z akra wyniesie **1,28 dol.**

Pszenicy na zasiew używa się zazwyczaj w Ameryce 100 funtów ($1^2/_3$ buszla) na akr. Ponieważ ziarno to musi być wyborowego gatunku i bardzo starannie oczyszczone, więc choćbyśmy je liczyli tylko według kosztów produkcyi, musimy wartość buszla oznaczyć przynajmniéj na 70 centów. skąd za $1^2/_3$ buszla wypadnie nam **1,16 dol.**.

Do wszystkich pozycyi powyższych należałoby jeszcze dodać wydatki na restauracyą budowli i ogrodzenia fermy, na naprawę maszyn, koszta administracyi, lub utrzymania fermera z rodziną, gdy ten gospodaruje sam, koszta ubezpieczenia od pożaru (premie bardzo wysokie) itp. Kosztów tych nie można bynajmniéj uważać za nic nie znaczące, bo już sama naprawa maszyn obciąża bardzo dotkliwie budżet fermerów amerykańskich, jak to zgodnie stwierdzają wszyscy znający rzecz sprawozdawcy (między innymi: Semler, Meyer, oraz delegowany do Stanów Zjednoczonych przez rosyjskie ministeryum finansów prof. Orbiński (1)). Według Meyera ogólnie w Ameryce rachują, że naprawa bardziéj skomplikowanych maszyn wynosi w pierwszym roku 5% ich wartości, przez cztery następne lata po 25% co rok, w szóstym zaś roku już co najmniéj 50%, tak, że po pięciu latach już naprawa się nie opłaca i korzystniéj jest starą maszynę zarzucić, a kupić nową. Ponieważ jednak wszystkie te wzmiankowane wyżéj wydatki w rozmaitych gospodarstwach są bardzo zmienne i trudno byłoby oznaczyć przeciętną ich wysokość, przeto, zamiast się kusić o to, przypuścimy zgodnie z Semlerem, że pokrywa je wartość słomy, pośladu i zgonin, którą inaczéj musielibyśmy odjąć od ogólnych kosztów produkcyi ziarna. Wobec tego, że słoma w większości stanów rolniczych nie ma wartości żadnéj, w innych zaś bardzo małą, nie policzymy z pewnością za wiele.

Zestawmy teraz wszystkie znalezione pozycye szczegółowe i obliczmy koszta produkcyi jednego buszla pszenicy:

---

(1) Patrz jego obszerne sprawozdanie „O chlebnoj torgowle sojedinennych sztatow siewiernoj Amieriki". Petersburg, 1880.

Orka 1 akra	*dolarów*	*1,50*
Siew i bronowanie	„	*1,00*
100 funtów pszenicy na zasiew	„	*1,16*
Zżęcie, związanie i ustawienie w mendle	„	*1,75*
Zwózka snopków do śpichrza	„	*0,40*
Młocka 16 buszli	„	*1,28*
Podatki od ziemi	„	*0,21*
Razem	*dolarów*	*7,30*
Procent od 35 dol. kapitału zakład. po 8%	„	*2,80*
„ *od 5 dol.* „ *obrotow.* „	„	*0,40*
Ogółem koszta produkcyi 16 buszli	**dolarów**	**10,50**

Z obliczenia tego przeciętne koszta produkcyi jednego buszla pszenicy *w stanach zachodnich* wypadają—bez uwzględnienia procentu od kapitału na 45,6 centów, (rs. 3, 31 kop. za nasz korzec) z procentem zaś na **65,6 centów** (rs. 4, 77 kop. korzec). O kosztach produkcyi w stanach oceanu Spokojnego pomówimy osobno późniéj, gdy będziemy zastanawiali się nad przewidywanym wpływem przekopania kanału Panama na ceny zboża. Tymczasem zaś sprawdźmy otrzymaną cyfrę przez porównanie jéj z rezultatami, do jakich doszli dawniéj poważniejsi badacze stosunków amerykańskich i inteligentni rolnicy miejscowi.

Delegowani w r. 1879 dla zbadania sił konkurencyi amerykańskiéj członkowie parlamentu angielskiego, Pell i Read, oznaczyli przeciętne koszta produkcyi buszla pszenicy w Stanach Zjednoczonych na 84 centy. Towarzyszący im korespondent *Times'a*, Finlay Dun, redukuje tę sumę w r. 1881 do 74½ centów, licząc przeciętne koszta 10 dol. na akr, a zbiór 13 buszli. P. Hubard, rolnik z Minnesoty, rachował wzmiankowanym delegatom angielskim koszta produkcyi w swoim majątku na 10,17 dol. przy przeciętnym zbiorze 15 buszli, czyli 68 c. za buszel. P. Randolf, sekretarz izby handlowéj w Chicago, obliczał przeciętnie dla stanów, zaopatrujących ten rynek zbożowy, koszta z odstawą do stacyi (0,50 dol.) na 8,75 dol., zbiór na 12 buszli, czyli 73 c. za buszel. Biuro rolnicze dla stanu Illinois oznaczyło w r. 1880 przeciętny zbiór z akra na 17⅓ buszli koszta uprawy i sprzętu na 7,14 dol., procent od kapitału na 3.30 dol., skąd koszta produkcyi buszla wypadają 60 centów. Ponieważ jednak przeciętny zbiór z lat dziesięciu wynosił w tym stanie tylko 13,1 buszli, przeto przeciętne koszta produkcyi 1 buszla równają się tam 80 centów.

Są to wszystko cyfry wyższe od znalezionéj przezemnie. Nie brak wprawdzie z drugiéj strony kalkulatorów, którzy podają koszta produkcyi znacznie niżéj, niż ja: na trzydzieści kilka, czterdzie-

ści kilka i pięćdziesiąt kilka centów za buszel pszenicy, lecz nie liczą oni wcale procentu od kapitału i przyjmują zbiory wyjątkowo wysokie: po 20, 30 i 40 buszli z akra. Naturalnie więc, że cyfry takie nie mogą być brane za normę przeciętną. Rudolfowi Meyerowi wypadają koszta średnie na 54 do 72 centów za buszel i na téj podstawie oznacza je przeciętnie na 60 centów, lecz na procent od kapitału zakładowego i obrotowego na akr, liczy on tylko 1 dolar, co przy 8% odpowiada przeciętnéj wartości akra 12 dol. Wykazaliśmy już w swojem miejscu, że cyfra ta jest stanowczo za nizka. Przyjąć jéj niepodobna w żadnym razie wobec tego, że dziś już za dobrą ziemię surową trzeba płacić po 15 i więcéj dolarów za akr.

Naturalnie, że otrzymana przez nas przeciętna cyfra kosztów produkcyi nie znaczy bynajmniéj, żeby koszta te wynosiły we wszystkich stanach zachodnich 65 centów za buszel. W stanach gęściéj zaludnionych i leżących blizko głównych rynków zbytu, jak Ohio, Michigan, Indiana, Illinois, Missouri, Wisconsin, Jowa, koszta skutkiem wyższéj ceny ziemi muszą być wyższe od przeciętnych i dosięgają w takiém np. Ohio, Indiana i Illinois 70 do 80 centów za buszel, za to znów w Kansas, Nebrasce i Dakocie nie przenoszą zapewne średnio jakich pięćdziesięciu kilku centów, lecz różnice te wyrównywają za to koszta przewozu, wynoszące w Kansas, Nebrasce, Dakocie, a nawet Minnesocie, od fermy do głównych wewnętrznych rynków zbytu, jak Chicago i St. Louis, znacznie więcéj, aniżeli od tych rynków do portów zewnętrznych. Znaczne te różnice kosztów przewozu odbijają się wyraźnie na cenach miejscowych w różnych stanach. Wykaże nam to najlepiéj następująca tabelka przeciętnych cen pszenicy na fermie za ostatnie lat 10 w tych stanach zachodnich, które najwięcéj tego ziarna produkują i wywożą:

TABLICA XVIII. (*)

Przeciętne ceny buszla pszenicy loco ferma w centach.

Nazwa stanu	1875	1876	1877	1878	1879	1880	1881	1882	1883	1884
Ohio . . .	109	114	124	86	120	102	129	95	99	75
Illinois . . .	91	93	104	75	107	95	122	86	92	63
Minnesota. .	86	90	91	51	94	87	106	82	80	50
Jowa . . .	71	90	87	50	92	82	106	70	80	55
Missouri . .	95	89	100	67	101	89	119	85	88	62
Kansas . . .	87	86	82	59	89	70	105	67	78	45
Nebraska . .	64	73	83	49	84	73	97	67	70	42
Dakota . .	—	—	—	—	—	—	—	80	72	46

(*) Zaczerpnięta z *Report on the distribution and consumption of corn and wheat* etc.

Porównawszy te ceny z przeciętnemi kosztami produkcyi w tych stanach łatwo zrozumiemy, dlaczego w przeszłym lat dziesiątku wytwór pszenicy tak kolosalnie wzrastał, oraz dlaczego *powierzchnia ziemi wzięta pod uprawę tego ziarna w roku 1884/5*, jak o tém donoszą ostatnie raporty biura statystycznego, *była o 15% mniejsza, niż w roku 1883/4*. Zagadkę tę wyjaśnia nam fakt zupełnie pewny, że *ceny pszenicy w Ameryce w r. 1884 nie pokryły nawet kosztów produkcyi i naraziły większość fermerów na dotkliwe straty.*

Ponieważ pomimo tak znacznego ograniczenia uprawy pszenicy w Ameryce, połączonego przytém z nieurodzajem, co razem sprawiło, że zbiór w r. 1885 zmniejszył się do 350 milionów buszli, kiedy w r. 1884 wynosił 513 milionów, ceny zeszłoroczne jakkolwiek wykazały pewną tendencyą ku zwyżce w stosunku do roku 1884, to jednakże skutkiem nagromadzenia się wielkich zapasów ziarna dawniejszego (w samych Stanach Zjednoczonych było staréj pszenicy w magazynach w d. 1 lipca r. z. 40 mil. buszli), oraz dobrego plonu w Indyach, nie podniosły się na tyle, ażeby mogły uczynić uprawę pszenicy korzystną, przeto z wielkiém prawdopodobieństwem należy przewidywać dalsze ograniczenie produkcyi tego ziarna w Ameryce, a tém samém w niedalekiéj przyszłości zwyżkę cen na rynku międzynarodowym. W jakich granicach przypuszczalnie wahać się ona będzie, zastanowimy się w zakończeniu niniejszéj pracy.

Przejdźmy teraz do sprawy kosztów transportu zboża amerykańskiego do Europy.

Napomknęliśmy już na początku, że tak świetny swój rozwój produkcyi i wywozu zboża zawdzięczają głównie Stany Zjednoczone szybkiemu postępowi budowy coraz nowych linii dróg żelaznych, który od r. 1869 przybrał prawdziwie kolosalne rozmiary, jak to nam wykażą następujące cyfry (1).

W całych Stanach Zjednoczonych było dróg żelaznych w ruchu z końcem roku:

1868 . . .	42229	mil ang.			
1869 . . .	46844	„	przybyło	4615	mil. ang.
1870 . . .	52914	„	„	6070	„
1871 . . .	60522	„	„	7608	„
1872 . . .	66242	„	„	5720	„
1873 . . .	70311	„	„	4069	„
1874 . . .	72616	„	„	2305	„
1875 . . .	74374	„	„	1758	„
1876 . . .	77031	„	„	2657	„

(1) Wzięte z „Uebersichten der Weltwirthschaft“ Neumanna-Spallarta, rocznik za rok 1881 i 2.

1877 . . .	79208 mil ang.	przybyło	2177	mil ang.
1878 . . .	81841 „	„	2633	„
1879 . . .	84393 „	„	2552	„
1880 . . .	91147 „	„	6754	„
1881 . . .	101949 „	„	10802	„
1882 . . .	113329 „	„	11380	„
1883 . . .	119598 „	„	6269	„

W ciągu *dwóch lat*: 1881 i 1882 pobudowano w Stanach Zjednoczonych tyle nowych linii, ile w całéj Europie w ciągu ostatnich lat *siedmiu*. Kiedy w r. 1883 na 10,000 mieszkańców przypadało w Anglii i Irlandyi 8,5 kilometrów dróg żelaznych, we Francyi i Niemczech po 7,9 kil., w Belgii 7,7, w Austro-Węgrzech 5,4, we Włoszech 3,3, w Rosyi 3 kil., w Stanach Zjednoczonych 36,8 kil.! (1). Naturalnie, że przy tak szybkim wzroście coraz nowych linii, obsługujących często jedne i te same okolice, konkurencya musiała wywołać odpowiednie obniżenie opłat przewozowych. Gdy jednakże skutkiem nadmiernéj spekulacyi w r. 1877 wybuchło przesilenie i papiery wielu dróg spadły w kursie nieledwie do zera, rozmaite towarzystwa, poniósłszy znaczne straty, w końcu bądź porozumiały się pomiędzy sobą, bądź połączyły i poczęły na nowo przywracać wysokie taryfy. Gdzie do porozumienia nie doszło, tam dla tych miejscowości, które miały dwie drogi do wyboru, ustanawiano taryfy nadzwyczaj nizkie, dla tych zaś okolic, które mogły korzystać z jednéj tylko wyłącznie drogi, podnoszono opłaty przewozowe do niesłychanéj wysokości. Nadużycia tego rodzaju dzieją się podobno jeszcze i dzisiaj, lecz w daleko mniejszym stopniu, gdyż wszystkie już prawie stany pooznaczały u siebie taryfy maksymalne, których drogom pod surowemi karami przekraczać nie wolno. Główną jednakże przyczyną, która wywołała nadzwyczaj nizkie opłaty przewozowe dla zboża amerykańskiego, było otwarcie i udogodnienie dróg wodnych.

Głównymi punktami krańcowymi wywozu produktów rolnych ze stanów, leżących na wschód od gór Skalistych, są porty atlantyckie: Quebeck, Portland, Boston, New-York, Baltimora i Filadelfia, oraz port zatoki Meksykańskiéj, Nowy Orlean, który od r. 1879 nabiera coraz większego znaczenia i dąży do odebrania palmy pierwszeństwa New-Yorkowi. Do wymienionych portów atlantyckich zboże początkowo dowożone było przeważnie drogami żelaznemi, po których musiało przebiegać 1000 do 1500 mil angielskich. Wprawdzie New York ma i wodną komunikacyą od Duluth, Milwaukee, Chicago, Detroit i Toledo przez wielkie jeziora, kanał Erie i rzekę

(1) Patrz „Zeit. des Vereins deutscher Eisenbahn-Verwaltungen" N. 16 z r. 1885.

Hudson, lecz najprzód kanał wymieniony przez znaczną część roku zamarza, a następnie jest zaledwie na ośm stóp głęboki, tak, że mogą przezeń przechodzić tylko małe barki, zawierające przeciętnie po ośm tysięcy buszli. Skutkiem tego wodna ta komunikacya nie była dla dróg żelaznych zbyt straszna, zwłaszcza że do roku 1882 pobierano za przewóz zboża po kanale stosunkowo dosyć wysokie opłaty. W czasie zimowych miesięcy, kiedy kanał zamarza, stosunki były jeszcze gorsze, gdyż koleje zmawiały się i znacznie podnosiły taryfę. Ażeby temu zaradzić i wytworzyć kolejom silną konkurencyą, rząd Stanów Zjednoczonych postanowił pogłębić ujście rzeki Mississipi tak, żeby w nie mogły wchodzić okręty morskie i żeby tym sposobem umożliwić spław zboża po téj rzecze w wielkich rozmiarach ze stanów rolniczych, na jéj porzeczu leżących. Roboty w tym celu rozpoczęte zostały w r. 1875-tym pod kierunkiem inżyniera Eadsa, i w roku 1879-tym pożądana głębokość ujścia (30 stóp) została osiągięta. Od tego czasu mogą zazwyczaj wielkie okręty morskie wchodzić w rzekę aż do Nowego Orleanu, który dzięki temu dziś już stał się jednym z najważniejszych portów wywozu zboża, a wzrastający z każdym rokiem jego eksport każe przypuszczać, że w niezbyt dalekiéj przyszłości odniesie on zwycięstwo nad New-Yorkiem.

Drugim niebezpiecznym współzawodnikiem tego ostatniego portu stał się Montreal, położony na rzece ś-go Wawrzyńca, od czasu gdy w roku 1881-wszym otworzony został nowy kanał Welland, łączący jezioro Erie z jeziorem Ontario. Kanał ten jest znacznie krótszy, głębszy i szerszy od kanału Erie, a więc daleko dogodniejszy dla żeglugi. Kiedy drugi z tych kanałów ma 350½ mil angielskich długości i tylko 8 stóp głębokości, pierwszy jest zaledwie 26 mil długi, a za to 13 stóp głęboki; miał zaś być jeszcze pogłębiony do 14½ stóp. Przecięcie prostopadłe kanału Erie przedstawia zaledwie 400 stóp □, nowego kanału Welland—1648 stóp □. Skutkiem tego, podczas gdy przez pierwszy mogą przechodzić tylko barki, zawierające 8,000 buszli, drugi jest już dziś dostępny dla okrętów o objętości 43,000 buszli, gdy zaś zostanie pogłębiony będą mogły po nim kursować okręty, zawierające 100,000 buszli. Opłata za żeglugę po tym kanale wynosiła w pierwszych latach ½ centa od buszla, lecz miała być zniesiona.

Przerażeni wzrastającém stale i groźnie współzawodnictwem dwóch tych nowych dróg wodnych, kupcy nowojorscy poczęli się natarczywie domagać u rządu zniesienia opłat za żeglugę po kanale Erie, oraz pogłębienia i rozszerzenia go. Zadośćuczynieniu tym żądaniom sprzeciwiały się silnie towarzystwa dróg żelaznych, lecz po-

mimo to pierwszy z tych projektów został przeprowadzony i koszta utrzymania kanału rozłożono na mieszkańców stanu New-York. Być może, że dotąd zaspokojone już zostało i drugie z wymienionych wyżéj żądań, a jeżeli nie, to należy przewidywać, że stanie się to zapewne w niedalekiéj przyszłości.

Ponieważ, jak powiedzieliśmy wyżéj, główną przyczyną nizkich opłat przewozowych na kolejach amerykańskich jest współzawodnictwo dróg wodnych, więc też w czasie zimy, kiedy rzeki zamarzają, taryfy stale się podnoszą. Za to jednak w lecie spadają niekiedy do tego stopnia, że czynią przewóz drogami żelaznemi tańszym, niż wodą. Tak np. w r. 1881 od 15 czerwca do 31 października wynosił fracht od 100 funt. pomiędzy Chicago i New-Yorkiem—drogą wodną 13.3 centów, drogami żelaznemi tylko 12½ do 20 centów. W następnych latach opłaty kolejowe podniosły się znowu i czyniły na wzmiankowanéj przestrzeni r. 1882-go 20 do 30 centów, 1883-go w lecie 25, w zimie 30 centów (1). Na liniach nie posiadających komunikacyj wodnych taryfy są wogóle znacznie wyższe, niż na uprzywilejowanych w tym względzie. Okoliczność ta sprawia, że transport zboża z fermy do głównych rynków zbożowych wewnętrznych kosztuje stosunkowo kilka, a niekiedy nawet kilkanaście razy więcéj, niż od tych rynków do portów. Przytém ponieważ prawo nie wymaga uprzedniego ogłaszania o zmianach w taryfie, więc wiele towarzystw podnosi ją często tajemnie i naraża kupców, którzy porobili terminowe zobowiązania dostawy, na wielkie straty, co zmusza ich do liczenia zawsze na wyższe koszta przewozu, niż istniejące w danéj chwili, i obniżania o ile możności cen zakupu. Naturalnie, że najwięcéj na tém tracą producenci.

Po tych uwagach ogólnych przystąpmy do szczegółowego obliczenia przeciętnych kosztów transportu buszla pszenicy ze stanów zachodnich do Europy.

Za przewóz końmi od fermy do najbliższéj stacyi drogi żelaznéj płaci się zazwyczaj, podług Meyera, najętym furom za pierwszą milę angielską (2) 2 centy, za następne kilka po 1 cencie, ale daléj opłata tak się zmniejsza, że już za 7 mil ma wynosić jakoby tylko 5 centów od buszla. Koszt ten przeciętnie trudno jest bardzo obliczyć, ale w każdym razie musi on czynić jakieś kilka centów na buszlu. Wzmiankowany już p. Randolph, sekr. izby handl. w Chicago, obliczał ten wydatek na 50 centów z akra przy 12 buszlach zbioru, a więc

(1) „Zeitung des Ver. deutscher Eis. Verw." N. 9 z r. 1885.

(2) 1 mila angielska—1,5086 wiorsty, czyli okrągło 1 1/2 wiorsty.

na 4 centy od buszla (1). P. Hubard w swojem gospodarstwie rachował tylko 3 centy od téj miary ziarna.

Koszta przewozu drogą żelazną do ważniejszych rynków zbożowych w lecie roku 1881 za 100 funtów ciężaru, podług Meyera (str. 614 i 615), wynosiły: z St. Vincent do Duluth, lub St. Paul (389 mil ang.) 30 centów; z Bismarck do St. Paul (469 mil) 55 centów, z Selkirk do St. Paul (454 mile) 40 c.; z Fargo do St. Paul (275 mil) 25 centów. Zauważmy tutaj, że z St. Paul do głównych rynków centralnych wywozu zboża, Chicago i St. Louis, jest jeszcze po kilkaset mil; do Chicago mianowicie 410 mil, za które fracht w r. 1881 od 100 funt. czynił 20 centów. Do wszystkich więc powyższych kwot trzeba dodać jeszcze te 20 centów, żeby otrzymać koszta frachtu do Chicago. Z bliższych rynków do Chicago za 100 funt. opłacano frachtu w tymże roku: z Florence w stanie Wisconsin (376 mil) 33 centy; z Madison w tymże stanie (139 mil) 16 centów; z Watertown w Dakota (619 mil) 36 centów; z Huron w Dakota (662 mile) 42 centy; z Tracy w Minnesota (526 mil) 29 centów.

Na podstawie frachtów pobieranych w lecie roku 1881 (najniższych, jakie kiedykolwiek istniały do owego czasu) za przewóz pomiędzy ważniejszymi rynkami zbożowymi w stanach zachodnich ułożył Meyer następującą tablicę najniższych i najwyższych taryf od buszla pszenicy (60 funt.) i mili ang:

za 10 do 100 mil	po	0,091	do	0, 36	centa
za 100 do 200	„	„	0,05	do	0,075	„
za 200 do 300	„	„	0,036	do	0,056	„
za 300 do 400	„	„	0,046	do	0,052	„
za 400 do 500	„	„	0,037	do	0,07	„
za 500 do 600	„	„	0,033	do	0,041	„
za 600 do 700	„	„	0,034	do	0.041	„
nad 700 mil		„	0,038	do	0,04	„

Na zasadzie tych cyfr, przyjmując za średnią odległość ważniejszych rynków w stanach zachodnich od Chicago i St. Louis 350 mil ang., a za przeciętną normę taryf 0,044 centa od buszla i mili, otrzymuje Meyer jako przeciętny koszt transportu buszla pszenicy do wymienionych rynków centralnych 16 centów. Ponieważ od roku 1881 frachty na wewnętrznych liniach amerykańskich dróg żelaznych uległy dalszéj jeszcze zniżce, więc powyższa cyfra przeciętna mogłaby się dziś okazać za wysoką. Sprawdźmy ją przy pomocy najnowszych danych.

---

(1) Patrz „Reports of the assistant commissioners." Presented to both Houses of Parliament by Command of Her Majesty. London, 1880.

Na najważniejszéj linii wewnętrznych dróg żelaznych w stanach zachodnich „Chicago, Milwaukee i St-Paul,“ podług sprawozdania z r. z., przedrukowanego w „Zeitung des Vereins deutscher Eisenbahn-Verwaltungen“ (N. 31 z r. 1885), wynosiła przeciętna roczna norma frachtów za tonę krótką (2.000 funt. ang.) i milę angielską:

w r. 1865—4,11	centów	w r. 1881—1,70	centa
„ 1870—2,82	„	„ 1882—1,43	„
„ 1875—2,10	„	„ 1883—1,39	„
„ 1880—1,76	„	„ 1884—1,29	„

Zamieniwszy powyższą przeciętną cyfrę z r. 1884 w ten sposób, żeby znaleść normę frachtu od buszla (60 ℔) i mili ang., otrzymamy 0,0387 centa, czyli za 350 mil 14 centów. Ponieważ ze wszystkich przytoczonych przez Meyera cyfr droga „Chicago-St Paul“ wykazała najniższą normę taryfową, więc dla wszystkich ważniejszych dróg wewnętrznych należałoby oznaczyć cyfrę cokolwiek wyższą. Ze względu jednak na to, że rozpatrywana przez nas droga na wielkich dystansach pobiera normę niższą od przeciętnéj, przyjmiemy znalezione 14 centów za cyfrę średnią dla ogółu dróg dowożących zboże do Chicago, St. Louis itp. rynków centralnych. Tym sposobem na przeciętny koszt dowozu zboża do tych rynków, drogą kołową do najbliższéj stacyi kolejowéj i daléj drogą żelazną, otrzymamy ogółem 14 + 4 = *18 centów*.

Zanim przystąpię do obliczenia kosztów dalszego transportu zboża do Europy, uważam za potrzebne nadmienić tutaj o ile możności jak najkrócéj o tych znakomitych urządzeniach, jakie posiadają Stany Zjednoczone w celu taniego i szybkiego przeładowywania zboża z wagonów i statków rzecznych do magazynów i z pierwszych, lub drugich na okręty, oraz w celu gromadzenia wielkich zapasów zboża w portach i głównych punktach składowych dla tych portów, by mieć możność wyczekiwania stosownéj chwili dla sprzedaży, a gdy ona nadejdzie rzucenia bezzwłocznego żądanéj ilości towaru na rynek. Urządzenia te, znane dzisiaj w całym świecie pod nazwą *elewatorów*, stanowią obok nizkich taryf przewozowych główną przyczynę przewagi Stanów Zjednoczonych w handlu zbożowym nad Rosyą i Polską, w których koszta produkcyi zboża nie są wcale wyższe, niż w Ameryce. Bez elewatorów nie mogła by była nigdy Ameryka tak zawładnąć międzynarodowym rynkiem zbożowym, jak tego w ciągu ostatnich lat kilkunastu dokonała.

Elewatory są to, jak wiadomo, olbrzymie magazyny, w których wszelkie manipulacye, ze zbożem dokonywane, uskuteczniają się przy pomocy motorów parowych. Wysokość tych budowli mierzy zazwyczaj przeszło 100 stóp. Wewnętrzna ich budowa przedstawia

kilka kondygnacyj. Zboże przechowuje się w nich w wielkich skrzyniach drewnianych, mających po 100 stóp kwadratowych w przecięciu poprzecznném i na 70 stóp wysokich. Są one zawieszone nad ziemią i zakończone lejkowato, z dnem ruchomém. Tym sposobem wyładowywanie z nich zboża odbywa się mechanicznie. W największym elewatorze filadelfijskim można z nich w ciągu godziny przeładować na okręt 25,000 buszli (około 6,900 korcy) zboża. W tymże elewatorze wszystkie skrzynie razem mieszczą 900,000 buszli (247,500 korcy). Ogólna objętość skrzyń magazynowych w elewatorach nowojorskich wynosiła już w r. 1881 przeszło 23 miliony buszli (6,325,000 korcy), w chicagoskich 22 mil. buszli (1).

Taki sposób magazynowania zboża, jaki ma miejsce w elewatorach, jest możliwy tylko wtedy, gdy handel odbywa się nie na podstawie próbek, lecz ścisłéj klasyfikacyi ziarna według jego przymiotów. Tak się téż dzieje w Ameryce. We wszystkich ważniejszych punktach wywozu zboża wyznaczają tam giełdy produktowe specyalnych urzędników przysięgłych, którzy obowiązani są każdy przybywający na miejsce jakąkolwiek drogą ładunek ziarna dokładnie zbadać i stosownie do jego przymiotów, a głównie koloru, jakości i wagi, oznaczyć stopień jego dobroci, wyrażający się odpowiednią nazwą jego odmiany i numerem (np. White N. 1, Red N. 2, Spring N. 3 itp.). Kiedy już ziarno zostało w ten sposób określone, może iść na skład do elewatora, a właściciel magazynu wydaje właścicielowi zboża kwit składowy na taką a taką ilość ziarna, téj a téj odmiany i numeru. Tym sposobem rozmaite partye zboża jednego i tego samego gatunku i dobroci, należące do różnych właścicieli, nie potrzebują być przechowywane osobno, co pozwala na wielką oszczędność miejsca w magazynach i zmniejsza koszta składowe.

Znany nasz kupiec zbożowy, p. Bronisław Werner, tak charakteryzuje przymioty elewatorów w marcowym zeszycie „Ateneum“ z r. z.

„Główna zaleta elewatorów polega na szybkości roboty, oraz dokładności i taniości takowéj. Ponieważ budynki stawiane w tym celu mogą być bardzo wysokie, bo koszt podniesienia zboża pod sam dach prawie wcale drożéj nie wypada, niż przeniesienie zboża z jednego punktu na drugi tego samego poziomu, przeto zyskuje się wiele swobodnego miejsca bardzo przydatnego na tory dla wagonów i przystanie okrętowe. Nie mniéj ważną zaletą elewatorów jest taniość przeróbki zboża, gdyż byleby jedna skrzynia była próżna łatwo jest poruszyć wszystko zboże w magazynie będące, przyczem rozpoczyna się robota od warstw najgłębiéj leżących. Łyżki blasza

---

(1) R. Meyer „Ursachen der amer. Concur.“

ne, osadzone na pasach bez końca, czerpią zboże ze spodu, podnosząc je pod dach, a stamtąd, jak deszcz, spada ono do pustéj skrzyni, każde więc ziarno zosobna musi się znaleść w zetknięciu z powietrzem. Niezależnie od przeróbki za pomocą przesypywania zboża ze skrzyni do skrzyni, istnieje stała wentylacya za pomocą kanałów drewnianych, które przebiegają przez całą szerokość i długość magazynu. Kanały te, ułożone w kształcie długich korytek, dnem do góry obróconych, czerpią powietrze bezpośrednio z zewnątrz budynku. Bywają jednak wypadki częściowego zagrzewania się zboża, lecz trafiają się one nieczęsto i zwykle tylko wśród najskwarniejszych letnich miesięcy, gdy szczelnie zapełniono magazyny nie zupełnie suchem zbożem.“

Oprócz magazynów-elewatorów istnieją w Ameryce elawatory pływające. Służą one do przeładowywania zboża z wagonów na statki wodne, oraz ze statków rzecznych na okręty morskie.

Do jakiego stopnia taniości doprowadzili Amerykanie przy pomocy elewatorów koszta przeładowywania zboża, da nam wyobrażenie to, że za wyładowanie z barki lub wagonu, magazynowanie przez dni 10, ważenie, czyszczenie i naładowanie na okręt płaci się tam przeciętnie 1 $^{1}/_{4}$ centa od buszla, czyli zaledwie 9 kopiejek od korca. Koszta te w Rosyi wynoszą podług obliczenia p. Wernera 5 do 10 razy więcéj. Tymczasem przedsiębiorcy amerykańscy przy tak nizkiéj opłacie robią świetne interesa na elewatorach!

W Europie istnieje dotąd bardzo niewiele elewatorów. Największy z nich zbudował przed kilku laty w Peszcie inżynier Miklos Oedön. Koszta budowy tego magazynu wyniosły 2 miliony guldenów czyli rs. 1,600,000, a może on pomieścić 300,000 cetnarów metrycznych zboża (prawie że tyleż korcy).

Z istnieniem opisanych wyżéj śpichrzów łączy się jeszcze jedna ważna dogodność dla fermerów i kupców, a mianowicie kredyt warrantowy. Warrantami, jak wiadomo, nazywają się kwity składowe na złożony w magazynie towar. Otóż pod zastaw takich kwitów na złożone zboże banki depozytowe w Stanach Zjednoczonych wydają pożyczki do wysokości 80 i 90% wartości rynkowéj danego ziarna w danéj chwili. Niedość na tém: kredyt ten można nawet przedłużyć na czas transportu zboża, gdyż i na świadectwa frachtowe, tak zw. *lading bills*, banki amerykańskie równie chętnie udzielają pożyczki, pobierając od nich tak w pierwszym, jak w drugim wypadku zwykłą w danéj miejscowości stopę procentową. Dogodność ta potęguje siły finansowe fermerów i kupców zbożowych i pozwala im w chwilach upadku cen zmniejszać zaofiarowanie i wyczekiwać na poprawę warunków zbytu.

Wróćmy teraz znowu do kosztów przewozu zboża.

Przeciętny fracht od Chicago do New Yorku za buszel pszenicy podług Neumanna-Spallarta wynosił:

	1868	1873	1878	1879	1880	1881
Przez jeziora i kanał Erie .	25,3	19,2	10,1	13,0	13,2	8,6
„ „ i drogą żelazną	29,0	26,9	11,4	13,3	15,7	10,4
Wyłącznie drogą żelazną .	42,6	33,2	17,7	17,3	19,7	14,4

Frachty z r. 1881, skutkiem otwarcia w tym roku kanału Welland, były najniższe, jakie się kiedykolwiek dotąd zdarzyły. W lecie w tym roku kosztował przewóz drogą żelazną, jak już o tém wzmiankowaliśmy, tylko 12½ centów od 100 ℔., czyli 7½ c. od buszla. Od tego czasu koszta przewozu na téj drodze tak wodą, jak koleją cokolwiek się podniosły, a mianowicie w ciągu roku 1881 i 1882 wynosiły koleją przeciętnie 25 centów od 100 ℔., czyli 15 c. od buszla (1) w grudniu zaś 1884 r. dosięgły aż 25 centów od buszla (2); w marcu 1885 spadły znowu do 15 centów (3). Jeżeli więc za przeciętną normę frachtu na téj linii przyjmiemy *10 do 11 centów*, to w żadnym razie nie weźmiemy za wiele, nawet dla saméj drogi wodnéj.

Koszta miejscowe w Chicago, podług Meyera, wynoszą:

1) Inspekcya i klasyfikacya zboża przez przysięgłych inspektorów 25 centów za *car* = 400 do 450 buszli, czyli . 0,06 centa od buszla
2) Wyładowanie i naładowanie w elewatorze, oraz składowe za pierwsze 10 dni . . . . 1,25 „ „ „
Za każde dalsze 10 dni 0,5 centa.
3) Ubezpieczenie od ognia w elewatorze za ½ miesiąca . . 0,25 „ „ „
4) Inspekcya przy wyładowywaniu z elewatora. . . . . 0,05 „ „ „
5) Ubezpieczenie na jeziorach. . . . . 0,20 „ „ „

Razem. . 1,81 centa od buszla

Podług rachunku z r. 1884, przytoczonego przez Maryusza Morand w „La crise agricole", koszta przeładowania w elewatorze, wraz z komisowem od sprzedaży wynoszą 3 centy, składowe zaś i inspekcya liczone są przeciętnie na 5 centów, czyli ogółem 8 centów od buszla. Tém niemniéj do obliczenia naszego weźmiemy normę podaną przez Meyera.

(1) „Zeitung des Vereins Deutscher Eisenbahn-Verw." N. 9 z r. 1885.

(2) Patrz „Erster Versuch einer Lösung der Eisenbahn-Tariffrage in Russland u. s. w." von Fr. Hoch. St. Petersburg, 1885.

(3) „Report on the distribution and consumption of corn and wheat" etc.

Za wyładowanie do elewatora, naładowanie na okręt i 5 do 10 dni magazynowania płaci się w New Yorku, podług Meyera, 1,25 cen. Ogółem więc wszystkie koszta transportu z Chicago do New Yorku wynoszą: przewóz 10 do 11 cen., koszta inne 3 do 4 centów, razem przeciętnie — *14 centów*. Ponieważ linia Chicago - New York dominuje nad wszystkiemi drogami, prowadzącemi z Duluth, Milwaukee, Chicago, St. Louis i t. p. do innych portów atlantyckich i zmusza je ze względu na współzawodnictwo do regulowania taryf podług jéj normy, przeto możemy przyjąć, że oznaczona powyżéj cyfra kosztów transportu jest przeciętną dla wszystkich portów atlantyckich.

Fracht morzem z New Yorku do Londynu ulega bardzo znacznym zmianom w ciągu rozmaitych pór roku. Pomiędzy r. 1875 a 1880 wynosił od 10½ do 24 centów od buszla; w 1880, w styczniu 5¼ do 8 cen., w sierpniu 13½ do 17 c. Wogóle, podług Meyera, może być przyjęty na 8 do 10 centów od buszla. Podług Neumanna-Spallarta w roku 1882 czynił przeciętnie 12 szyl. 2 den. od tony długiéj (2240 ℔. avoirdupoids), czyli 8 centów od buszla. W marcu r. 1885 kosztował do Liverpool 6 c., do Glasgowa 7 c., do Londynu 7½ c. (1). Premia ubezpieczenia na morzu wynosiła w tym samym czasie 5% od wartości, a więc przy dzisiejszych cenach około 5 centów od buszla. Ponieważ jednak nie zawsze bywa ona tak wysoka, więc średnio można ją szacować na 3%. Koszta przeładowania i składowego w Londynie, podług członków komisyi rolnéj parlamentu angielskiego, wynosiły w r. 1880-tym 6¼ centów od buszla. Dzisiaj prawdopopobnie musiały się zniżyć do jakich 3 lub 4 centów. Razem więc koszta transportu z New Jorku do Londynu wynoszą przeciętnie: fracht 8 do 10 c., ubezpieczenie 3 c., wyładowanie w Londynie 3 do 4 c. = minimalnie *15 centów*. Tym sposobem transport buszla pszenicy od miejsca produkcyi w stanach zachodnich przez Chicago, St. Louis etc., a następnie przez porty atlantyckie do Londynu wynosi ogółem przeciętnie 18 + 14 + 15 = **47 centów**.

Koszta transportu z St. Louis w dół Mississipi przez Nowy Orlean do Europy, obliczał Meyer w r. 1881, przyjmując wszędzie nie przeciętne, ale najniższe cyfry, jak następuje:

Przeładowanie i składowe w St. Louis	2,00	centy od buszla
Przewóz wodą z St. Louis do Now. Orleanu.	5,00	„ „ „
Ubezpieczenie na Mississipi	0,45	„ „ „
do przeniesienia	7,45	„ „ „

(1) „Report on the distribution and consumption of Corn“ etc.

z przeniesienia	7,45	cent. od buszla
Przeładowanie przy pomocy pływającego elewatora w Nowym Orleanie	0,75	" " "
Klasyfikacya	0,10	" " "
Przewóz z Nowego Orleanu do Liverpool	12,00	" " "
Ubezpieczenie na oceanie.	1,65	" " "
Przeładowanie w Liverpool, wraz ze stratą w drodze na t. zw. „shortage", „Schwinden" (niknienie, wysychanie ziarna).	6,50	" " "
Razem.	. 28,45	cent. od buszla.

Cyfra ta na przeciętną dla r. 1881 była o wiele za nizka, a i dziś jeszcze przewóz z St. Louis do N. Orleanu i ubezpieczenie na oceanie kosztuje przeciętnie więcéj, niż liczył Meyer. Ponieważ jednak należy przypuszczać, że koszta przeładowania w Anglii przy pomocy zaprowadzonych już i tam elewatorów, a być może, że i koszta przewozu przez ocean zmniejszyły się cokolwiek, przeto możemy przyjąć cyfrę Meyera za przeciętną dla czasów obecnych. W takim razie koszta transportu buszla pszenicy od fermy przez St. Louis i Nowy Orlean do Anglii wyniosą ogółem 18 + 28½ = **46½ centów**, czyli mniéj więcéj tyleż, co przez porty oceanu Atlantyckiego.

Ponieważ przeciętne koszta produkcyi buszla pszenicy w stanach zachodnich obliczyliśmy na 65 centów, koszta transportu na 47 centów, przeto w rezultacie dochodzimy do wniosku, że (abstrahując nawet zupełnie od wynagrodzenia pośredników handlowych, albo przypuściwszy, że ono się już zawiera w otrzymanéj przez nas cyfrze ogólnéj) fermerzy amerykańscy w stanach położonych na wschód od gór Skalistych, *nie mogą bez straty dostarczać swéj pszenicy do Anglii taniéj, jak po 1 dolarze 12 centów za buszel winczesterski*, czyli (licząc średnio 5 dolarów i 10 rs. za 1 funt sterling) około **37 szylingów za quarter,** lub **8 rs. 15 kop. za korzec polski.**

* * *

Ażeby odpowiedziéć na pytanie kwestyonaryusza: „czy kanał Suezki wpłynął na ułatwienie Azyi południowéj i Australii współzawodnictwa na targach europejskich, i o ile ono może rozwinąć się w przyszłości?"—przyjrzyjmy się przedewszystkiém cyfrom ogólnego przewozu towarów przez ten kanał od czasu otwarcia go dla żeglugi do ostatniéj daty, z któréj cyfrę posiadamy (1):

(1) Cyfry do téj tablicy wzięte częścią z „Uebersichten" Neumanna-Spallarta, częścią z „Revue maritime" N. 8 i 18 z r. 1884.

W roku	Przeszło przez kanał okrętów	Przewiezono ton	Opłata od tony	Ogólny dochód z opłat za przejście
			franków	
1870	486	435911	?	5159327
1871	765	761467	?	8993733
1872	1082	1439169	?	16407591
1873	1173	2085073	14,00	22897319
1874	1264	2423672	14,00	24859383
1875	1494	2940709	14,00	28886302
1876	1457	3072107	13,50	29974999
1877	1663	3418950	13,00	32774344
1878	1593	3291535	12,50	31098229
1879	1477	3236942	12,00	29686061
1880	2026	4344519	12,00	39985000
1881	2727	5794401	11,50	51274300
1882	3198	7122126	11,00	60320900
1883	3307	8051307	10,50	65847800
1884 (w pierwszéj połowie)	—	—	10,00	34715442

Wiadomo, że kanał Sueski skrócił bardzo znacznie drogę z Azyi i Australii do Europy. Nowa ta droga wszelako przedstawiała z drugiéj strony dwie ważne niedogodności. Najprzód, jakkolwiek przez kanał przechodzić mogą największe okręty, to jednakże morze Czerwone jest tak trudne i niebezpieczne do przebycia dla okrętów żaglowych, że transport tą drogą odbywać się musi prawie wyłącznie na parostatkach, co kosztuje znacznie drożéj. Następnie, koszt ten powiększa jeszcze opłata za przejście kanału. Skutkiem tego początkowo, dopóki opłata była bardzo wysoka, przez kanał mogły być przewożone te tylko towary, które, nie znosząc długiego transportu, posiadają względnie do swéj wagi dość znaczną wartość, by wygórowany fracht nie podniósł nadmiernie ich ceny. Dla wszystkich towarów względnie małéj wartości, a przytém nie łatwo podlegających zepsuciu, ciągle jeszcze korzystniejszym był przewóz drogą dłuższą, ale tańszą około przylądka Dobréj Nadziei. To też dopóki opłata nie została obniżona, a konkurencya pomiędzy okrętami żaglowemi i parostatkami nie zredukowała znacznéj normy frachtu na tych ostatnich, dotąd wzrost przewozu przez kanał postępował stosunkowo dość wolno. Dopiero pod działaniem obu tych przyczyn, począwszy od roku 1880, cyfry przewiezionych ton poczęły się podnosić z niebywałą dotąd szybkością, tak, że podczas gdy w ciągu czterech lat od r. 1875 (2.940.709 ton) do 1879 (3.236.942 ton) przyrost wynosił zaledwie 10%, od 1879 do 1883 (8.051.307 ton) wzmógł się o 149%, czyli wykazał chyżość 15 razy większą!

Gdybyśmy posiadali za te same lata dokładne liczby ton, przewiezionych około przylądka Dobréj Nadziei, moglibyśmy łatwo obrachować, o ile ruch na kanale Sueskim ożywił się kosztem drogi dawnéj i o ile wzmógł się dzięki bezwzględnemu wzrostowi handlu wymiennego pomiędzy Europą, a Azyą i Australią. W braku tych cyfr cel powyższy możemy osiągnąć częściowo z następującéj tablicy wartości handlu zewnętrznego angielskich Indyj Wschodnich, przytoczonéj przez Neumanna-Spallarta:

	Ogólna wartość handlu zewnętrznego Indyi angielskich w milionach rupii	Z tego przeszło przez kanał Sueski w milionach rupii			
		Wwóz	Wywóz	Razem	W procen. ogólnego handlu
W roku 1878—79 . . .	1097,8	289,4	244,5	533,9	48,64%
„ 1879—80 . .	1220,7	366,8	263,5	630,3	51,64%
„ 1880—81 . . .	1381,3	477,7	334,3	812,0	58,79%
„ 1881—82 . . .	1435,0	448,9	432,0	880,9	61,39%
„ 1882—83 . . .	1500,0	489,5	444,7	934,2	62,28%

Podług cyfr powyższych ogólna wartość zewnętrznego handlu indyjskiego od r. 1879 do 1883 wzrosła o 402,9 milionów rupii, wartość zaś towarów przewiezionych przez kanał Sueski podniosła się o 400,3 mil. rupii. Wynika z tego, że wartość transportu około przylądka Dobréj Nadziei prawie nie uległa zmianie i że cały rozwój swego handlu zewnętrznego w ostatnich latach zawdzięczają Indye udogodnieniu transportu przez kanał Sueski. Porównawszy daléj cyfry wwozu do Indyi z wywozem, przekonywamy się, że pierwsze w ciągu czterolecia wykazały zwyżkę tylko o 69% (1), kiedy drugie o 82% (2), czyli innemi słowy bilans handlowy Indyi dzięki kanałowi Sueskiemu poczyna się układać dla nich korzystniéj.

Jeżeli teraz przyrost procentowy wartości towarów, przewiezionych w jednę i drugą stronę przez kanał w r. 1883 w stosunku do r. 1879, porównamy z przyrostem liczby przewiezionych ton, wykazanym w tablicy poprzedniéj, to dojdziemy do nadzwyczaj ważnego dla naszych celów wyniku. Mianowicie, widzieliśmy poprzednio, że przewóz przez kanał *w liczbie ton* wzrósł w ciągu zaznaczonych lat czterech o 149%, tutaj zaś wypada nam z rachunku, że *wartość* przewiezionych tą drogą towarów podniosła się w tym samym czasie

(1) Przyrost 200,1 w stosunku do liczby 289,4 = 69,1%.

(2) Przyrost 200,2 w stosunku do 244,5 = 81,8%.

tylko o 75% (1). Wypływa stąd wniosek, że droga przez kanał Sueski staje się coraz bardziéj dostępną dla towarów mniejszéj wartości. Ta to właśnie okoliczność, łącznie z pobudowaniem nowych linii dróg żelaznych, które otworzyły ujście na zewnątrz wewnętrznym rynkom kraju, sprawiła, że Indye w ostatnich latach poczęły odgrywać tak ważną rolę w międzynarodowym handlu zbożowym.

Rozwój dróg żelaznych w Indyach, jakkolwiek nie dorównywa niezmiernéj chyżości postępu w tym względzie w Stanach Zjednoczonych, a nawet ustępuje wielu krajom europejskim, to jednakże podąża naprzód z każdym rokiem, a rząd angielski stara się go usilnie przyśpieszyć. Ogólna długość linii w r. 1870 wynosiła 4767 mil ang.; w 1880 podniosła się już do 8993, w 1881 do 9939, w 1882 do 10144, w 1883 do 10341 mil.

Dowóz pszenicy indyjskiéj do Europy rozpoczął się w r. 1873 (gdy obowiązujące do tego czasu cło wywozowe od zboża zostało zniesione) i wzrastając z początku bardzo szybko, upadł nagle w roku 1878 skutkiem nieurodzaju, lecz znów od r. 1880 olbrzymi wykazał postęp. Oto dokładne cyfry ogólnego wywozu pszenicy z Indyi od roku 1871 do 1883:

W r. 1871—72 (*)	wywieziono	centn.	ang.	637039
„ 1872—73	„	„	„	394010
„ 1873—74	„	„	„	1755954
„ 1874—75	„	„	„	1069076
„ 1875—76	„	„	„	2498185
„ 1876—77	„	„	„	5583336
„ 1877—78	„	„	„	6340150
„ 1878—79	„	„	„	1044709
„ 1879—80	„	„	„	2195550
„ 1880—81	„	„	„	7444375
„ 1881—82	„	„	„	19863520
„ 1882—83	„	„	„	14144407

Wywóz z r. 1882/3 rozdzielił się pomiędzy następujące kraje:

Anglia	centnarów	ang.	6575160
Francya	„	„	3567712
Belgia	„	„	1458898
Egipt	„	„	799530
Holandya	„	„	578246
Gibraltar	„	„	494098
Włochy.	„	„	176063
Malta	„	„	163358
Aden	„	„	140132
Inne kraje.	„	„	191210
	Razem cetn.	ang.	14144407

(1) Przyrost 400,3 w stosunku do 533,9 = 75%.

(*) Rok fiskalny od 1 kwietnia do 31 marca. Cyfry wzięte od Maryusza Morand z „La crise agricole.“

Z tablicy VIII i IX widzieliśmy już, jak pszenica indyjska zdobywała sobie w ostatnich latach na rynku angielskim i francuskim coraz poważniejsze stanowisko, ograniczając import amerykańskiéj. Do jakiego stopnia jednak Indye mogą spotęgować dowóz tego ziarna do Europy określić nadzwyczaj trudno wobec zupełnego braku dokładniejszych wiadomości o rozmiarach produkcyi i konsumcyi tego kraju. Dr. Forbes Watson w raporcie złożonym rządowi angielskiemu w r. 1879 oceniał roczną produkcyą pszenicy w Indyach angielskich na 35 milionów quarterów, w niezależnych zaś państwach Pendżabu, pozostających tylko pod opieką Anglii, na 5 mil. quar. (1), czyli ogółem na 40 mil. quar.=330 mil. buszli amer. Stany Zjednoczone w owym czasie produkowały już przeszło 400 milionów buszli. W r. 1883, w nowym raporcie do rządu brytańskiego, major Baring utrzymuje, że przestrzeń ziemi obsiewana pszenicą w całych Indyach może być oszacowana na 21 milionów akrów. Zbiór z akra waha się od 8 do 13½ buszli angielskich (2), przeciętnie zaś ma wynosić 11½ buszli. Opierając się na téj podstawie, cały zbiór przeciętny w Indyach oznacza autor przypuszczalnie na 241½ mil. buszli ang., czyli 249 mil. buszli amer. (3). Cyfra ta jest już o wiele skromniejsza od przyjętéj przez pierwszego sprawozdawcę. Tymczasem produkcya pszenicy w Stanach Zjednoczonych dosięgła już naówczas 500 mil. buszli, a więc ilości dwa razy większéj. Wprawdzie p. Watson twierdził, że Indye mogą w krótkim czasie produkcyą swoją podwoić, ale do tego potrzeba by było jedne okolice osuszyć, w innych zaprowadzić sztuczne nawodnienie, a wszystkim otworzyć zbyt przy pomocy nowych linii dróg żelaznych i kanałów. Wszystkiego zaś tego przytrudno byłoby dokonać w „krótkim czasie.“ Wreszcie, znaczenie zbożowéj konkurencyi indyjskiéj będzie zawsze poniekąd osłabiała okoliczność, że w kraju tym prawie regularnie co lat kilka zdarzają się susze, wywołujące głód i drożyznę. Tak np. w ciągu ostatnich dwu dziesiątków lat miało to miejsce w r. 1861/2, 1865/6, 1868/9, 1873/4 i 1878/9 (4).

O konsumcyi pszenicy w Indyach wiemy bardzo nie wiele. Wiadomo tylko, że ludność ich wynosi dzisiaj co najmniéj 250 milionów (5), a jakkolwiek ogromna jéj większość, złożona z nędzarzy,

(1) Cytowane u Neumanna-Spallarta.

(2) Buszel ang. (imperial bushel) jest cokolwiek większy od amerykańskiego (winchester bushel), tak, że 32 b. ang =33 b. amer.

(3) Patrz „Revue gazette maritime et commerciale“ N. 8 z r. z.

(4) Patrz „Ubersichten...“ Neumanna—Spallarta rocznik za r. 1881 i 2.

(5) Podług „Statistical abstract for India“ z r. 1877/8 wynosiła 240,258,143, z czego na posiadłości angielskie przypadało 191 mil., na państwa niezależne 49 mil. (Rocznik statystyczny Blocka za r. 1883).

zarabiających zaledwie po kilkanaście centymów dziennie, żywi się wyłącznie prosem i ryżem, to jednakże część jéj lepiéj uposażona zdolna jest przy spadających cenach pszenicy powiększyć bardzo znacznie spożycie tego ziarna, zwłaszcza, że z biegiem rozwoju ekonomicznego Indyj, wywołanego ulepszeniem śródków komunikacyi, i dobrobyt rozlewać się musi na szersze warstwy (1). Jedna z poważnych gazet indyjskich, w artykule cytowanym przez *Report of the area of winter grain*, zapewnia, że ceny miejscowe pszenicy w Indyach nie są bynajmniéj wyłącznie zależne od cen europejskich, gdyż jeżeli tylko spadną na głównych rynkach wewnętrznych niżéj 1 rupii za 20 seerów (20½ do 22 szylingów za quarter), znaczny wzrost spożycia miejscowego powstrzymuje dalszy ich upadek. Zdanie to potwierdzają przytoczone przez gazetę ceny z miesiąca stycznia roku 1884 i 1885 r. W styczniu bowiem r. 1885 w głównych portach wywozu zboża pszenica notowana była: w Kalkucie 16 seerów za rupią (czyli, licząc rupię po średnim kursie 20½ pensów (2), *26 szyl. 8 pensów za quarter*), w Kurrachee 15 s. (*27 szyl. 5 p. za qu.*), w Bombay 12 s. (*34 szyl. 3 p. za quarter*). Ponieważ zaś koszta transportu z tych portów do Londynu wynosiły naówczas od 7½ do 10 szyl. od quartera (3), więc żeby dowóz pszenicy do Anglii kupcom indyjskim się opłacił, musiałaby cena w Londynie stać co najmniéj od 36 do 42 szyl., tymczasem w rzeczywistości płacono naówczas na tym rynku przeciętnie tylko po 32½ szyl. za quarter (4). To téż, jak konstatuje gazeta indyjska, upadek cen w Anglii w r. 1884 powstrzymał znacznie dowóz do niéj pszenicy indyjskiéj.

Według wzmiankowanego wyżéj raportu biura statystycznego w Waszyngtonie, „ostatnie urzędowe sprawozdanie roczne o handlu

(1) Porównać zdania w tym względzie członka ostatniéj komisyi głodowéj indyjskiéj, deputowanego Jamesa Cairda, cytow. przez Eug. Risler w „La crise agricole en France et en Angleterre" (Revue des deux mondes, zeszyt z 1 lutego 1885). Caird powątpiewa, żeby pszenica indyjska mogła kiedykolwiek przybywać *stale* na rynki europejskie w ilościach wielkich i po cenie niższéj, niż amerykańska.

(2) Nominalnie 1 rupia=22 pensy.

(3) Mianowicie fracht morski wynosił w pierwszéj połowie r. 1884, (kiedy wszyscy właściciele okrętów żalili się, że ponoszą znaczne straty) 28,75 do 43,75 fr., czyli przeciętnie 36,50 fr., od tony=6½ szyl. od quartera (Revue maritime N. 18 z r. 84). Koszta przeładowania w Kalkucie, według Maryusza Morand, czynią 0.20 fr., ubezpieczenie na morzu 0,30 fr. razem 0,50 fr. od 100 kgr.=około 1 szyl. od quartera. Koszta przeładowania w Londynie oznaczyliśmy poprzednio na 3 centy od buszla, czyli również 1 szyl. od quar. Ogółem więc przeciętny koszt transportu z portów indyjskich do Europy, wynosi co najmniéj 8½ szyl. od quartera.

(4) William Fowler. *The present low prices and their causes*, w zeszycie kwietniowym *The contemporary rewiew* z r. 1885.

indyjskim mówi, że handel pszenicą indyjską musi zawsze miéć charakter bardzo niepewny i zmienny. Prowadzenie go na szeroką skalę zależy od współdziałania czterech następujących warunków: 1) bogatych zbiorów w Indyach, 2) mniéj niż przeciętnych urodzajów w Stanach Zjednoczonych i Europie, 3) nizkich frachtów i 4) nizkich kosztów handlowych (*low rates of exchange*). Gdy wszystkie te warunki razem się zejdą, Indye mogą dostarczyć tak wielką ilość pszenicy na rynki spożywcze, że zadziwią swoją zdolnością produkcyjną wszelkie oczekiwania, lecz gdy którykolwiek z tych warunków zawiedzie, skala zysku—będąca zawsze w najlepszym nawet razie tak małą (*which is so slender at the best*), że kupcy muszą prowadzić interesa bardzo rozległe, żeby wyjść na swoje—upada, i handel może być prowadzony wtedy jedynie tylko dla zadośćuczynienia zobowiązaniom, lub z powodu nieuniknionéj potrzeby monety dla płacenia za towary, wwożone do Indyj.“ W r. 1884, dodaje autor amerykański od siebie, drugi z wymienionych czynników (złe urodzaje w St. Zjed. i Europie) zawiódł, ceny były w Europie niższe, niż przed stoma laty, jednakże w Indyach nie upadły w równym stopniu, chociaż zapewniano na podstawie obliczeń pozytywnych, że Indye mogą produkować pszenicę taniéj, niż Stany Zjednoczone. O prawdzie tego twierdzenia autor stanowczo powątpiewa i ostatecznie przyjmuje za fakt, „że Indye w obecnych okolicznościach nie mogą sprzedawać (w Europie) swéj pszenicy z zyskiem po 37 szylingów za quarter.“ (*The fact remains that India in present circumstances cannot afford to sell her wheat with profit for the price of 37 shillings per quarter* “ Podobnież obliczała w r. 1884 gazeta marsylska *Sémaphore*, że producenci indyjscy mogą dostarczać pszenicę z dostatecznym zyskiem na położone w średniéj odległości od portów wywozu rynki wewnętrzne po 18½ szylingow za quarter, lecz że „transport z tych rynków do Europy kosztuje, *co najmniéj* drugie tyle i *dlatego ceny europejskie regulują wywóz z Indyj angielskich* (1).“

Ze wszystkiego więc, cośmy wyżéj powiedzieli, wnosić należy, że Indye Wschodnie nie są w możności przy obecnych warunkach dostarczać swojéj pszenicy w wielkich ilościach na rynki europejskie, jeżeli cena na nich spada niżéj 37 szylingów za quarter.

Co do Australii, to podług Maryusza Morand koszta robocizny są w niéj co najmniéj równe, jeżeli nie wyższe jeszcze, niż w Stanach Zjednoczonych, koszta transportu również wyższe, nie można więc przypuszczać, żeby ta część świata mogła dostarczać zboże taniéj, niż Ameryka.

---

(1) Cytowane w *Revue-gazette maritime et commerciale* N. 8 z r. 1884.

Ogólna produkcya kolonii angielskich w Australii w r. 1882/3 przedstawiała następujące cyfry:

		Zbiór ogólny.		Zbiór z akra.
Victoria	buszli	8,751,454	przeciętnie buszli	9,03
Nowa Walia południowa . .	„	4,042,395	„	16,35
Queensland	„	145,752	„	13,89
Zachodnia Australia	„	7,356,117	„	4,21
Południowa Australia . . .	„	249,900	„	11,00
Tasmania	„	946,889	„	20,37
Nowa Zelandia	„	10,270,591	„	26,28
Razem	buszli	31,763,098	przeciętnie buszli	9,25

Widzieliśmy już w tablicy VIII, że dowóz pszenicy australskiéj do Anglii jest jeszcze bardzo niestały i stosunkowo szczupły. Cyfry ogólnego wywozu ze wszystkich wymienionych wyżéj kolonii nie mają w sobie dotąd również nic groźnego:

W r.	1873/4	buszli	17,971,921	1877/8	buszli	26,025,360
„	1874/5	„	21,229,806	1878/79	„	26,041,482
„	1875/6	„	21,543,915	1879/80	„	31,568,928
„	1876/7	„	18,654,527	1880/81	„	29,675,899

* * *

Co do prawdopodobnego wpływu przekopania międzymorza Panama na targi europejskie i produkcyą wywozową północnéj Ameryki, to będzie on przedewszystkiém zależał od tego, czy przyszły kanał będzie dostępny dla wielkich okrętów morskich i jak wysokie będą opłaty za przejście. Przeciwnicy amerykańscy tego przedsięwzięcia utrzymywali, że z drogi téj stanowczo nie będą mogły korzystać okręty żaglowe, z powodu zupełnéj ciszy panującéj na morzu Karaibskiem na przestrzeni 1,500 do 1800 mil na wschód od międzymorza. Senator Windom w swojéj mowie na korzyść projektu inżeniera Eads'a zbudowania drogi żelaznéj dla okrętów przez międzymorze Tehuantepec powoływał się na poparcie powyższego zdania na pierwszorzędne powagi w tym względzie (1). Gdyby rzeczywiście tak było i kanał Panama był tylko dostępny dla statków parowych, to zmniejszyłoby to znacznie korzyść ze skrócenia drogi dla towarów małéj wartości gatunkowéj.

Wysokość opłat za przejście przyszłego kanału przewidzieć dziś trudno. Wielkie koszta przekopania (dojdą one zapewne co najmniéj do 700 lub 800 milionów franków, kiedy kanał Sueski do roku przeszłego pochłonął ogółem tylko 500 mil fr.), nakazywałyby przypusz-

(1) Meyer, *Ursachen der amer. Konkurrenz.*

czać, że taksa nie będzie bardzo nizka. Z drugiéj jednakże strony współzawodnictwo z innemi drogami, a zwłaszcza z kanałem Suezkim, nie pozwoli jéj zbyt wygórować. Kanał Panama bowiem skróci dość znacznie dzisiejsze drogi pomiędzy Azyą wschodnią i Australią, a Europą i Ameryką. Tak np. najkrótsza dziś droga przez kanał Sueski pomiędzy New-Yorkiem a Yokohamą zmiejszy się przez kanał Panamski o 6.250 kilometrów, czyli o 29%, pomiędzy New-Yorkiem a Hong-Kong—o 893 km., czyli o 4,9%. Najkrótsza droga około przylądka Horn pomiędzy New-Yorkiem a Melbourne zredukuje się o 4,225 km.=20%, między New-Yorkiem i Auckland o 4,670 km., czyli o 24%. Linia Liverpool-Auckland będzie przez Panamę krótsza o 1,851 km. (9%), niż przez Suez, i o 815 km. (4,2%), niż około przylądka Horn (1). Ażeby okręty z tych linij zwrócić ku kanałowi Panama, akcyonaryusze jego obniżą zapewne opłaty dla nich do możliwego minimum. Należy jednak przypuszczać, że zaprowadzą taksy różnicowe: nizkie dla okrętów, mających wybór pomiędzy kilkoma drogami i wyższe dla nie cieszących się tym przywilejem.

Pierwszym wnioskiem, jaki się wysnuwa z powyższych danych, jest ten, że otwarcie kanału Panama spowoduje przedewszystkiém obniżenie opłaty na kanale Sueskim dla okrętów, płynących z Japonii, Chin i Australii, a jeżeli, jak się spodziewać należy, zarazem i na kanale Panamskim zaprowadzona dla nich zostanie odpowiednio nizka taksa, to koszta transportu z tych ziem znacznie się zmniejszą. Dla rolnictwa europejskiego sprowadzi to przedewszystkiém ten skutek, że Australia rozszerzy zapewne swą produkcyą zboża i, obniżywszy jego ceny, wystąpi jako silny współzawodnik Stanów Zjednoczonych i Indyj Wschodnich.

Ażeby przewidzieć, jaki wpływ kanał Panamski wywrze na produkcyą wywozową zachodniego pobrzeża Ameryki północnéj, musimy poznać dzisiejsze warunki eksportu z tych krajów. Wiemy już, że z pomiędzy nich obecnie wywozi znaczne ilości pszenicy Kalifornia (około 35 milionów buszli) i Oregon (około 11 mil. b.). Koszta produkcyi w Kalifornii są podług Meyera niższe, niż w dolinie rzeki Mississipi, podług Semlera mniéj więcéj takie same. Ponieważ Meyer swego twierdzenia dokładnie nie uzasadnia, więc trudno wiedzieć, kto z tych dwu autorów ma słuszność. Jak już mówiliśmy w swojem miejscu, w Kalifornii przeważają latifundia, produkujące dzięki szerokiemu zastosowaniu maszyn i oszczędności na budowlach, ogrodzeniu itp. taniéj. Ziemia przytém jest tam urodzajniejsza, lecz za to cena jéj znacznie wyższa i robotnik droższy. W każdym razie po-

(1) Neumann-Spallart. *Uebersichten der Weltwirthschaft* za rok 1881/2.

nieważ Oregon, terytoryum Waszyngtona i pobrzeże Kanady, w których otwarcie kanału Panama wywoła zapewne znaczne wzmożenie się produkcyi zbożowéj, nie cieszą się już takimi przywilejami pod względem urodzajności ziemi i przymiotów klimatu, jak Kalifornia, więc sądzę, że na przyszłość przeciętnych kosztów produkcyi dla wszystkich tych ziem nie można liczyć niżéj, niż dla doliny Mississipi. Obecnie jeszcze być może, że są one cokolwiek tańsze. Oznaczmy je mniéj więcéj na 60 centów za buszel ($20\frac{1}{3}$ szyl. za quarter). Koszta transportu buszla pszenicy od fermy do portu, wynoszą, podług Meyera, przeciętnie 9 centów od buszla; koszt worków skórzanych, w które pszenica ze stanów oceanu Spokojnego musi być na wywóz do Europy pakowana, wypada około 4 centów na buszel. Fracht morzem około przylądka Horn do Anglii waha się bardzo znacznie, bo podobno od 27 do 82 szyl. za tonę, przeciętnie liczy Meyer 55 szyl. za tonę. Ubezpieczenie na morzu średnio 2%. Wszystkie więc te koszta razem, po dodaniu do nich 3 centów za przeładowanie w Londynie, dadzą 54 centy od buszla. Tym sposobem w ostatecznym wyniku tego obliczenia, dochodzimy do przekonania, że i Kalifornia dzisiaj nie może bez straty dostarczać swéj pszenicy do Europy taniéj, jak po 1 dol. 14 centów za buszel, czyli około 38 szyl. za quarter. Wobec tego mamy wszelkie prawo przewidywać, że dopóki kanał Panama nie zostanie otwarty (ma to nastąpić z początkiem r. 1889), ceny zboża na rynku międzynarodowym po wyczerpaniu dawnych zapasów muszą się podnieść co najmniéj do jakich 37 szyl. za quarter pszenicy (około rs. 8.15 kop. za korzec). Po nad tę cyfrę jednak na dłuższy czas mogłyby podskoczyć tylko w razie nieurodzaju w Indyach Wschodnich, gdyż inaczéj kraj ten byłby w możności dostarczyć wielkie ilości ziarna na rynek i obniżyć znowu cenę.

Obliczmy teraz w przybliżeniu, o ile taniéj stany oceanu Spokojnego będą mogły dostarczać swoję pszenicę po przekopaniu międzymorza Panama, przypuściwszy, że wszystkie inne koszta za wyjątkiem frachtu morskiego pozostaną bez zmiany, a odpadnie tylko jeszcze koszt worków, gdyż drogą przez kanał prawdopodobnie będzie mogło zboże być przewożone bez upakowania. Wiemy, że fracht morski z New-Yorku wynosi przeciętnie 8 centów, z Nowego Orleanu 12 centów od buszla, z San Francisco więc wypadnie zapewne co najmniéj 18 do 20 centów. Opłata za przejście przez kanał Sueski oznaczona jest obecnie na 10 franków od tony, w pierwszych zaś latach po otwarciu téj drogi wynosiła 15 franków i więcéj, niepodobna więc przypuszczać, żeby na kanale Panama ustanowiono dla krajów Ameryki północnéj opłatę niższą nad 10 do 12 franków od

tony, czyli $3\frac{1}{2}$ do 4 centów od buszla. Ogółem więc przypuszczalne przeciętne koszta produkcyi i dostawy pszenicy ze stanów oceanu Spokojnego do Anglii po otwarciu kanału Panama wynosić będą $60 + 9 + 10 + 2 + 3\frac{1}{2} + 3 = 96\frac{1}{2}$ centów za buszel, czyli **$32\frac{1}{2}$ szyl. za quarter (rs. 7, 15 kop. za korzec).** Zdaje się, że jest to najniższa cyfra, do jakiéj przeciętne ceny pszenicy pod wpływem zmniejszenia kosztów transportu przez przekopanie międzymorza Panama na rynku angielskim na czas długi spaść mogą. Chwilowo naturalnie, dopóki stosunek produkcyi do konsumcyi mniéj więcéj się nie ureguluje, zniżka może być o wiele znaczniejsza.

* *

*

Zastanówmy się teraz, jakich cen, wobec powyższych przewidywań, możemy się spodziewać w przyszłości na rynku naszym i co by należało zrobić z jednéj strony dla ich podniesienia, z drugiéj dla zmniejszenia kosztów produkcyi.

Zboże nasze, podług wiadomości dostarczonych T-stwu pop. przem. i handlu przez p. B. Wernera w odpowiedzi na postawione przezemnie pytania, wywozi się z Królestwa kolejami: na Szląsk pruski i austryacki, do Czech, do Gdańska i Torunia,—wodą: do Gdańska i Berlina. Handel tranzytowy prowadzi się głównie przez Gdańsk, w części przez Królewiec. Bezpośrednich stosunków tutejsi kupcy z krajami zamorskimi nie mają, lecz niejednokrotnie stosunek jest bezpośredni z eksporterami gdańskimi,—w przeważnéj zaś części konsygnują zboże komisyonerom gdańskim i królewieckim.

Koszt przewozu z Warszawy do Gdańska *wodą* wynosi zwykle 6 talarów od łasztu, czyli około 5 kop. od puda,—*koleją* około $11\frac{1}{2}$ kop. od puda.

Koszt przewozu z Gdańska do Londynu wynosi $1\frac{1}{2}$ szylinga od 500 funtów angielskich, co stanowi około 35 kopiejek od naszego korca (koszt ten jest niezwykle nizki obecnie).

Koszt miejscowy w Warszawie, licząc w to najem śpichlerza, przeróbkę, asekuracyą, naładowanie do berlinki, wynosi od 25 do 30 kop. od korca, komisowe bez zaliczenia, przyjąć można przy partyach na 1%; jeśli na zboże dane zaliczenie—$1\frac{1}{2}$% do 2%.

Koszta miejscowe w Gdańsku wynoszą: wynagrodzenie komisyonera 6 marek od tony, czyli 30 kop. od korca; wynagrodzenie eksportera około 4—5 marek od tonny, czyli od 20—25 kop. od korca; najem śpichlerza w Gdańsku 40 fenigów od tonny i miesiąca, czy-

li 2 kop. od korca; przeróbka 2—4 kop. od korca, asekuracya 4—5 per mille.

Przeciętne więc koszta transportu korca zboża z Warszawy do Londynu wypadają, jak następuje:

Przewóz z Warszawy do Gdańska od 30 do 69 kop.	50	kop.
„ z Gdańska do Londynu	35	„
Koszta miejscowe w Warszawie	27½	„
Komisowe 1½% od 6 rs.	9	„
Eksporter w Gdańsku	22½	„
Komisyoner w Gdańsku	30	„
Najem śpichl., przeróbka i asekuracya w Gdańsku . .	8	„
Razem	Rs. 1, 82	kop.

Do sumy téj dodać należy jeszcze, jakeśmy to wszędzie czynili poprzednio, na koszta miejscowe w Londyie 20 kop., a otrzymamy jako przeciętny koszt transportu z Warszawy do Londynu okrągło rs 2.

Koszt ten znacznie by się zmniejszył, gdybyśmy zboże nasze sprzedawali wprost do Anglii, Belgii i Skandynawii, bez pośrednictwa kupców niemieckich. Mogłoby zaś to mieć miejsce jedynie w takim razie, gdybyśmy na dolnym biegu Wisły posiadali magazyny, w których mozna by było gromadzić znaczne partye zboża i sprzedawać je na podstawie próbek kupcom wymienionych krajów „franco bord“ w Gdańsku. Wtedy zamiast płacić za pośrednictwo komisyonerowi i eksporterowi gdańskiemu 50 do 55 kop., ponosilibyśmy tylko około 2 marek kosztów od tony, czyli około 10 kop. od korca za oddanie pszenicy z berlinek, lub wagonów na okręt. Tym sposobem oszczędzilibyśmy na korcu co najmniéj 40 do 45 kop. Zanim jednakże na zbudowanie podobnych magazynów się zdobędziemy. nie możemy oczekiwać na rynku warszawskim cen przeciętnych wyższych nad rs. 6 do 6,50 za korzec pszenicy, a za lat 4, lub 5 i ta niewysoka cyfra może spaść jeszcze niżéj o jakiego rubla. Wobec tego smutnego dla ziemian naszych przewidywania, muszą się oni koniecznie postarać o zmniejszenie kosztów produkcyi zboża. W szczegóły techniczne w tym względzie, jako niespecyalista, wdawać się nie mogę, lecz zwrócę tylko uwagę na nieodzowną potrzebę dostarczenia rolnictwu naszemu taniego kredytu na kapitał obrotowy, gdyż główną przyczyną, wpływającą u nas na nadmiernie wysokie, w stosunku do ceny ziemi i robotnika, koszta produkcyi, są lichwiarskie procenty, płacone przez większość rolników wierzycielom. Zbudowanie wzmiankowanych magazynów zbożowych od-

dałoby i w tym względzie niemałą przysługę, gdyż umożliwiłoby zaprowadzenie kredytu warrantowego (1).

---

(1) Oprócz dzieł wymienionych w dopiskach korzystałem w pracy niniejszéj z następujących źródeł:

H. Gerdolle. *La crise agricole et les sociétés d'agriculture* Leipzig, 1884.

Léon Mauduit. *La crise de l'agriculture et les moyens de l'atténuer.* Paris, 1885.

Droz. *Die landwirthschaftliche Krisis. Ihre natürlichen, legislativen, socialen und individuellen Ursachen und Vorschläge zur Abhülfe.* Aarau, 1884.

Puyer Quertier. *Discours sur la crise agricole*

Alex. Peez. *Die amerikanischke Concurrenz.* Wien, 1881.

Rodolph Meyer. *La crise internationale de l'industrie et de l'agriculture.* Berlin, 1885.

Reports of the assistant commissioners. Presented to both Houses of Parliament by command of her Majesty. London 1880 i 1882.

Re port from her Majesty's commissioners on agriculture Presented to etc. London, 1882.

Władysław Wścieklica.





WANDA.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W I-nym AKCIE.

OSOBY:

WANDA.
HELENA, jéj przyjaciółka.
KAROLEK, jéj syn.
FRYDERYK.
MARYSIA, służąca.
WILHELMINA, piastunka.

Rzecz dzieje się w Poznaniu.

Scena przedstawia pokój bawialny, gustownie umeblowany — fortepian, kwiaty wazonowe i w bukietach, na stołach książki i dzienniki.

SCENA I.

Wanda (*sama, wstaje od fortepianu i przechodzi się parę razy po pokoju, poczém staje, a skłoniwszy głowę na ręku, mówi wzruszonym, przytłumionym głosem*): Boże mój! co się dzieje ze mną?!.. Więc ja kocham go!?... Tak, na cóż się zda ukrywać to dłużéj przed sobą. (*Z rozpaczą*): Biedneż, biedne serce moje!....

SCENA II.

(Taż, MARYSIA, potém HELENA, KAROLEK i WILHELMINA).

Marysia (*wbiega żywo wołając*): Panienko, panienko! jacyś goście (*wybiega*).

Wanda (*podchodząc ku drzwiom, w których spotyka się z Heleną*). Helenka!.... (*rzucają się sobie w objęcia*).

Helena. Wandziu! aniołku mój, jakże mi się miewasz?

Wanda. A ty Helenko.... co się z tobą dzieje, czemu tak dawno nie pisałaś do mnie? — ja dziś więcéj niż kiedy potrzebuję przyjaźni twojéj! (*spostrzegając dziecko*). Cóż za śliczny chłopczyk, to zapewne twój jedynak, — nie spostrzegłam go odrazu (*ściska go*). Ślicznota moja! Ale całkiem niepodobny do ciebie, typ obcy.

Helena. Bo też ojca przypomina zupełnie.... Ale ty mi jakoś mizernie wyglądasz, kochanie, co to się stało?

Wanda. Długo by o tém mówić moja droga.... Bardzoś znużona podróżą?

Helena. Mniejsza o mnie, lecz jeśli masz jaki spokojny kącik dla małego, toby go Wilhelmina uśpiła, bo całą drogę ocząt nie zmrużył.

Wanda. Dobrze moja Heleńciu, rozgość się tu tymczasem—same jesteśmy, bo rodzice wyjechali na kilka godzin do znajomych (*bierze dziecko za rączkę*) Pójdziesz ze mną Karolku? —jakie śpiące biedactwo! (*wskazując wzrokiem Wilhelminę*) Niemka?

Helena. Niemka, nie rozumie nawet po polsku.

Wanda. Fräulein Mina. gehen Sie mit mir. (*Wychodzą, ode- drzwi jeszcze Wanda zwraca się do Heleny*): A może on głodny.

Helena. Nie Wandzieczko, jedliśmy obiad na stacyi.

Wanda. Powrócę za chwilę (*wychodzą*).

SCENA III.

(HELENA sama, potém WANDA).

Helena (*po wyjściu Wandy siada na kanapce i opiera się wygodnie o poduszki*). Co się jéj stało, wygląda tak jakoś niezwyczajnie, niemal tragicznie: pobladła, oczy ma podkrążone, a śliczniejsza jak kiedy. Założyłabym się że zakochana; przyszła kréska na Matyska,— tak, tak.... ciekawam tylko, kto jest ów wybrany.... (*zamyśla się, po chwili wchodzi Wanda*).

Wanda (*z odcieniem łagodnéj wymówki*). Dlaczego, Helenko, Niemce powierzyłaś swego jedynaka?!

Helena (*trochę zmieszana*). Niema lepszych i wierniejszych nianiek jak Niemki, wierz mi, — wreszcie mąż mój życzył sobie tego.... (*chwila milczenia*).

Wanda. Opowiedz-że mi teraz, moja Helenko, co się z tobą działo przez te kilka tygodni, w których zaprzestałaś pisywać do mnie. Przypuszczałam już najokropniejsze rzeczy, a nie miałam sposobu dowiedzenia się o tobie, nie znając adresu.

Helena. Jakto, czyżbyś nie odebrała mego ostatniego listu?

Wanda. Żadnego listu nie odebrałam. Ostatni był ten, gdzie mi donosisz, że zmieniacie mieszkanie i obiecujesz donieść wkrótce o nowém.

Helena. Tak też zrobiłam i nie rozumiem doprawdy, co się stać mogło z moją epistołą.... Chybabym przez roztargnienie położyła niedokładny adres....

Wanda (*z uśmiechem*). Przypuszczenie bardzo prawdopodobne, nie potrafiło mnie jednak zadowolnić.

Helena. Nic zatém nie wiesz o naszéj wielkiéj podróży, w któréj twoja przyjaciółka kąpała się jak rybka w wodzie, w najmilszych dla siebie wrażeniach. Ach mówię ci, niema piękniejszego kraju nad Szwajcaryą, zwłaszcza gdy go możesz podziwiać w towarzystwie ukochanego człowieka Cudna, czarująca przyroda górska silniéj każe uderzać sercu, a w téj rozkosznéj atmosferze piękna, każdy upajający powiew wietrzyka zdaje się szeptać: kochaj... kochaj... kochaj... Żebyś miała dokładne wyobrażenie o téj wycieczce, wystarczy gdy ci powiem, że przypomniały mi się pierwsze miodowe miesiące naszéj miłości, kiedy to czułam owo wielkie, niezrównane szczęście, jakie dać nam może jedynie nieograniczona, nic prócz ukochanego przedmiotu nie widząca miłość. Ach! moja Wandziu, chętniebym ci opowiadała szczegół po szczególe, wszystkie wrażenia, jakich dostarczyć może Szwajcarya, lecz czuję, że za wiele by mi to czasu zabrało.

Wanda. Czy myślisz, że tak prędko puszczę cię od siebie?

Helena. Moja pieszczotko, jutrzejszym rannym pociągiem muszę wracać do domu; inaczéj, (*z rozkosznym uśmiechem*) pan mój na śmierć zatęskni się za mną,—już i tak chmurzył mi się trochę, że go dobrowolnie porzucam na parę dni dla ciebie.

Wanda. Strasznie, jak widzę, rozpieściłaś swego męża.

Helena. Potrafisz i ty to samo! Niech tylko serduszko żywiéj poruszać się zacznie, obaczysz, co to za szczęście! Lecz bodaj czy ty już nie wiesz coś o tém, prawda? (*przytula ją do siebie i patrzy filuternie w oczy*).

Wanda (*z wybuchem*). Moja Helenko, jam bardzo nieszczęśliwa.

Helena. Nieszczęśliwa? jakto, czyżbyś... nie miała wzajemności?... niepodobna!...

Wanda. Och, są rzeczy stokroć nad nią straszniejsze! Lecz jakże ja ci to wytłómaczę? Ty mnie już może zrozumiéć nie jesteś w stanie! obrazić cię nawet może, co ja mówić będę.... A jednak posłuchaj, bo czuję, że oszaleję chyba, jeśli dłużéj tłumić w sobie będę tę walkę sprzecznych uczuć, które mną władną. Wiesz dobrze, że dotąd nie kochałam żadnego mężczyzny....

Helena. Nigdy się temu dość nadziwić nie mogłam, znając usposobienie twoje i serce skłonne do uczuć nadzwyczajnych: przepowiadałam ci też zawsze, jak pewno przypominasz sobie, że równie gorąco jak dziś rodzinę i swoje piękne ideały, pokochasz kiedyś jakiego szczęśliwego wybrańca. I zdaje mi się, że przepowiednie moje iścić się już zaczynają, nie widzę tylko powodu....

Wanda (*przerywając*). A jeśli to nowe uczucie staje w sprzeczności z dawnemi i zmusza do zrobienia wyboru?...

Helena. Pytanie twoje jest dla mnie ogólnikiem, na który również ogólnikiem tylko odpowiedziéć bym ci mogła. Opowiedz mi historyą swéj miłości (bo widzę, że o nią tu chodzi), a jeśli rada starszéj i doświadczeńszéj przyjaciółki przydać się na co może, postaram się dać ci jak najlepszą.— Jakże to zatém było?

Wanda. Przypominasz sobie może, gdyż donosiłam ci o tém, że w zeszłym roku w jesieni poznałam na imieninach u państwa Buchholtz młodego człowieka, doktora filozofii z Berlina.

Helena. Owego pana Fryderyka? Pamiętam, że wyrażałaś się o nim bardzo sympatycznie.

Wanda. O czém jednak nie mówiłam ci nigdy, to, że wspomnienie jego, pomimo a nawet wbrew méj woli, prześladowało mnie odtąd nieustannie we śnie i na jawie. Znasz mnie, egzaltowaną nie jestem i zawsze się staram posiadać świadomość własnych uczuć, to też ta przedłużająca się choć niczém niepodsycana sympatya, zaczęła mnie wkońcu niepokoić i dołożyłam wszelkich starań, by ten natrętny obraz wyrzucić z pamięci. Silna wola dużo może, — życie czynne, któremu się prawie gorączkowo oddałam, dopomogło mi do osiągnięcia celu, a i czas był mi dzielnym sprzymierzeńcem... Ślad jedyny w tém tylko chyba pozostał, że mimo najszczerszéj chęci nie mogłam w sobie obudzić większéj życzliwości dla żadnego z dwóch starających się o mnie panów, którzy w tym właśnie czasie, niezrażeni chłodném obejściem, oświadczyli się o moję rękę. Odmówiłam obu, ku niemałemu zmartwieniu poczciwych rodziców — tego jednak przemódz na sobie nie mogłam. Związek z człowiekiem obojętnym uważam za czyn nieuczciwy i niemoralny, postanowiłam zatém czekać aż moje młode serce znowu się o swoje prawa upomni....

Helena. Tymczasem....

Wanda. Pewnego dnia wstawszy raniéj niż zwykle, prosiłam mamy, abyśmy korzystając z prześlicznéj pogody, poszły do ogrodu odetchnąć nieco chłodném powietrzem poranka. Przeszedłszy kilka ulic, siadłyśmy spocząć na jakiéjś ustronnéj ławeczce... cisza była zupełna, bo miasto spało jeszcze, — mama kończyła pacierz poranny, ja byłam dziwnie czegoś rozrzewniona, lecz spokojna. Zadumałam się, łza nawet jakaś zabłąkała mi się do oka.... ale po chwili podniosłam głowę i chciałam się uśmiechnąć, gdy nagle wzrok mój spotkał się z tém wejrzeniem, którego tak długo zapomniéć nie mogłam; — o kilka kroków przedemną stał on i w téj chwili widząc się spostrzeżonym, zaczął nas witać z tak szczerą radością, jakbyśmy nieraz jeden widzieli się w życiu...

Helena (*żywo*). I cóż ty na to?

Wanda. Ja byłam tak oszołomiona i przerażona niemal tém niespodziewaném spotkaniem, że słowa przemówić nie mogłam; lecz mama za to wypytywała go, co porabia w tych stronach, jak długo będzie bawić i t. p., na co odpowiedział, że ma tu bliskich krewnych, którzy go na całe wakacye zaprosili do siebie. I tak późniéj potrafił ująć mamę miłą rozmową i serdeczném obejściem, że przy pożegnaniu pierwsza zachęciła go do odwiedzenia nas w domu, z czego on tego jeszcze dnia skorzystał. — Miesiąc upłynął od tego czasu a ja....

Helena (*czule*). A ty... pokochałaś pana Fryderyka, nieprawdaż?

Wanda. Ja z początku starałam się walczyć z tém uczuciem, wzrastającém co chwila jak górski potok, dziś widzę, że to napróżno; czuję że kocham go całą siłą serca, wszystkiemi najszlachetniejszemi porywami młodości — nad życie!

Helena. A on? kocha cię również — wszakże tak?

Wanda (*cichutko*). Zdaje mi się....

Helena (*z uśmiechem*). I to już całe twoje nieszczęście, Wandzieczko?

Wanda (*z wybuchem*). Helenko! ale on Niemiec.

Helena. Ach, więc w tém powód zmartwienia!... Moja droga, znam twoje przekonania pod tym względem, sama podobneż miałam kiedyś. Jak widzisz jednak los lubi czasem robić sobie zabawkę z naszych najdroższych wierzeń, a życie druzgocze bez litości jeden po drugim piękne ideały. Moja Wandzieczko, my kobiety—do miłości jesteśmy stworzone, po za nią niema dla nas życia. Na cóż się darmo temu prawu opierać, kiedy w niém spoczywa nasze szczęście. Och i jakie szczęście!

Wanda (*nieśmiało*). Więc ty zupełnie, zupełnie zadowolona jesteś ze swego losu?

Helena. Zupełnie!.. gdzież znajdziesz człowieka, co by ci to mógł powiedziéć? I w mojéj przeto doli znajdują się owe przysłowiowe ciernie, związane z każdą ludzką egzystencyą. Zapewne że chętniejbym na bardziéj swojskim obracała się gruncie, wolałabym wychować syna w wierze i tradycyi ojców moich... I teraz nawet, wiesz, wolałabym, żeby serce twe inny było wybór zrobiło. Lecz czémże jest wola ludzka wobec siły przeznaczenia? A przeznaczeniem naszém—kochać. Wszakże nawet Pismo święte mówi: „opuścisz ojca twego i matkę twoję, a pójdziesz za mężem twoim." Och, nie byłabyś kobietą, gdybyś usłyszawszy wyszeptane namiętnie słowa miłości i znalazłszy ich echo we własnéj piersi, odepchnęła od siebie tego, ku któremu wyrywa się cała istota twoja. Tak, Wandziu droga, opór tu daremny i doprowadzić by cię mógł najwyżéj do moralnego

samobójstwa; bo powiedz, czémby się stało życie twoje! gdybyś je dobrowolnie zepchnęła ze zwykłéj kolei?

Wanda. Zawsze to jednak będzie odstępstwo, odstępstwo niegodne....

Helena. Ach, jakież z ciebie jeszcze dziecko! Chcesz może wzorem twojéj bajecznéj imienniczki poświęcić życie dla ocalenia twego ludu? Nie zapominaj jednak śliczna entuzyastko, że owa bohaterka stała *na czele* narodu, miała zatém dla niego i znaczenie i obowiązki. Twoja ofiara.... nikogo nie podniesie, nie zachęci, wierz mi—nikt może nawet wiedziéć o niéj nie będzie. No i powiédz, wartoż wyrzekać się szczęścia dla jakichś urojonych celów?!

Wanda (*tuląc się do Heleny*). A jednak, ileż ja walk stoczyłam z tém biedném sercem mojém, które jak zbuntowany niewolnik, nie już cicho i pokornie, lecz z całą potęgą młodzieńczéj siły przypominało mi prawa swoje, — ale je dotąd umiałam jeszcze trzymać na wodzy, a dziś (*nieśmiało*) ty mówisz, że ja także mogę być szczęśliwą!?...

Helena (*ściskając ją*). Będziesz nią z pewnością! (*figlarnie*): Tylko wypuść już co prędzéj na wolność biednego więźnia, bo czasy niewoli minęły. Chyba że znowu....

SCENA IV.

(Też i Marysia, potém Karolek).

Marysia. Proszę pani, paniczyk się obudził i płacze, bo ta panna zabrała się i poszła gdzieś (*wychodzi*).

Helena. Ach, ona ma tu jakąś ciotkę, czy coś podobnego,— w drodze jeszcze prosiła mnie, żeby ją mogła odwiedzić (*idzie ku drzwiom, Wanda wstaje także, Helena zatrzymuje ją*). Zaczekaj, zaraz ci go tu przyprowadzę (*wychodzi*).

Wanda (*sama, kryje twarz w dłoniach, cisza, po chwili wchodzi Helena, prowadząc za rączkę Karolka*).

Helena (*wesoło*). Jesteśmy! Cóż kiedy mój synuś z niczém ci się dziś nie popisze, bo biedactwo rozespane jeszcze okropnie.

Wanda. Cóż się stało że się obudził tak prędko?

Helena. Podobno kot wskoczył na łóżko i był tak niedyskretny, że mu przerwał senne marzenie.

Wanda. Nic dobrego! Ale pójdź-że do mnie Karolku, poznajmy się bliżéj. — Idzie, kochana dziecina! kochasz ty mnie z troszkę, co?

Karolek. Kocham!...

Helena. No, kiedyście się już tak pokochali wzajemnie, to was zostawię razem, a sama pójdę się nieco przebrać. Nie chcę ci przecie robić wstydu na wypadek gości.

Wanda (*z uśmiechem*). Obawiasz się stracić opinią piękności? I tak ci ładnie, wierz mi.

Helena (*śmiejąc się*). W téj chwili nie myślałam o tém, ale nawet dla siebie saméj lubię być zawsze odpowiednio ubraną. Jakże tak, kostyum podróżny.... (*ruchem ręki zatrzymuje Wandę, która chciała wstać z miejsca*). Nie wstawaj, widziałam mój kosz w twoim pokoju, dam sobie i sama radę. Adio, carina mia! jak cię mały bardzo znudzi, przyślij go do mnie.

Wanda. O, nie rozstaniemy się tak prędko!

Helena. Do widzenia zatém (*wychodzi*).

SCENA V.

(Wanda i Karolek).

Wanda (*przygarnia dziecko do siebie i całuje je*). Możebyśmy oglądali jakie obrazki, lubisz je pewno?

Karolek. O lubię, mam ich tak dużo, ciągle dostaję nowe.

Wanda. A jakie podobają ci się najwięcéj?

Karolek. Żołnierze, konie; papa mówi, że jak urosnę, także pójdę do wojska i będę jak papa, jenerałem.

Wanda. A tobie się to podoba?

Karolek. O, chciałbym, żeby to już prędko było!

Wanda (*zamyśla się, po chwili przecierając ręką czoło*). A będziesz lubił się uczyć?

Karolek. O, ja się już uczę, umiem przecież czytać i po niemiecku i po polsku,—ale po niemiecku wolę.

Wanda. Dlaczego?

Karolek. Nie wiem... wszyscy w domu tak mówią i papa... z mamą tylko rozmawiam się po polsku, ale papa mówi, że jak będę bardzo grzeczny, to i mama będzie do mnie mówić po niemiecku.

Wanda. Ale mama tego nie robi?!..

Karolek. Czasem, jak papa zacznie mamę po rękach i buzi całować i prosić, to powie do mnie mama kilka słów, a papa tak się cieszy.... Pokaże mi pani jakie obrazki?

Wanda (*z roztargnieniem*). Prawda, mieliśmy obrazki oglądać.... (*bierze dziecko za rękę, prowadzi ku jednéj ze ścian i wskazuje na obraz przedstawiający Kościuszkę*).

Karolek. Jakiś pan, kto to taki?

Wanda. Nie widziałeś go nigdy?—to bohater polski, nazywa się Kościuszko.

Karolek. U nas tego niema.... (*odbiega do stołu, na którym leży album Matejki i uchyla pierwszą kartę*). O, tu są obrazki, można?

Wanda. Można, ale czekaj, pokażę ci najładniejsze (*przerzuca karty*). O, patrz!

Karolek. Jak tu dużo osób, co oni robią? jakiś pan leży na ziemi, taki porozpinany, czy on chory, taki straszny.

Wanda. To, mój Karolku, Polak rozpacza, że mu ojczyznę rozszarpały wrogi.

Karolek. Biedny!.. ja się jego boję.

Wanda. A wiesz ty, co znaczy ojczyzna?

Karolek. Papa często mówi: za króla i ojczyznę.... to pewnie Berlin, bo tam król mieszka. (*Wanda kryje twarz w dłoniach, Karolek przewraca jakiś czas kartki, po chwili*): Ja to mamie pokażę, dobrze? (*Wanda nie odpowiada*). Mogę pójść do mamy?

Wanda (*podnosząc głowę z udanym spokojem*). Idź dziecko, idź...

Karolek (*bierze w obie rączki album i wychodzi*).

SCENA VI.

Wanda (*sama, podnosi się żywo i załamuje ręce*). Jakto, to jéj syn, syn polskiéj matki! Boże! więc i ja kiedyś miałabym mieć *takiego* syna! I takaż by była nieśmiertelność moja na ziemi, taki ślad mego istnienia. Ach, jak mogłam przez jedną chwilę choćby, przez jedną sekundę przypuścić myśl podobną! Oni idą do nas z pogardą i zaborem, miejmyż i my dla nich przekleństwo! (*chwila milczenia*). Przekleństwo.... i dla niego przekleństwo?... za co? on taki zacny, szlachetny, kochający.... och, jakże ja kocham go! (*chwila milczenia*). A obowiązek? wroga rodzić—wroga ojczyźnie, Niemca!... W źródle najwyższego szczęścia znaleść piołun wiekuistéj zgryzoty!.. (*przyciskając czoło ręką*). O Boże, wspomóż biedne dziecię twoje! (*chwila milczenia*).

SCENA VII.

Marysia (*wbiegając*). Panienko, pan Fryderyk!

Wanda (*zrywa się z miejsca z ruchem, jakby broniła wejść, lecz po chwili siada z determinacyą*). Proś. (*do siebie*): Raz to skończyć trzeba.

Marysia (*wybiega*).

SCENA VIII.

(WANDA i FRYDERYK).

Fryderyk (*wchodzi żywo i podaje rękę Wandzie*).

Wanda (*wzruszona lecz spokojna*). Witam pana, nie spodziewałam się go dzisiaj....

Fryderyk. Wiedziałem że zastanę panią samę i dla tego przyszedłem. Niech to pani nie dziwi, dawno już chciałem z nią mówić w pewnéj kwestyi, która czyni obecność świadków zbyteczną.

Wanda. Jakaż to kwestya?

Fryderyk. Pani się jéj nie domyśla? (*chce wziąć jéj rękę*).

Wanda (*cofając rękę*). Nie wiem o co chodzi. . . .

Fryderyk. Panno Wando,. co znaczy ten chłód, dlaczego mnie pani rozumiéć nie chce?

Wanda. Może nie mogę. . . .

Fryderyk. Mamże się wyraźniéj tłómaczyć? Panno Wando, czyż nie widzisz, że ja kocham ciebie! że jedyném marzeniem, jedyném pragnieniem mojém jest, byś podzieliła uczucie moje, byś zechciała podać mi rękę na dolę i niedolę żywota!... Ty milczysz Wando, zbladłaś, więc nie kochasz mnie?!

Wanda (*cicho i z wysiłkiem*). Nie. . . .

Fryderyk. Nie! więc oczy twoje kłamały uczucie?... głos kłamał drżenie?.. więc ty nie aniołem byłaś, lecz — kokietką! (*po chwili, zmieniając ton*): Ach przebacz mi, przebacz te bluźniercze słowa, lecz i swoje cofnij, — o, boś mi zanadto pozwoliła czytać w swém sercu, bym ci mógł dzisiaj uwierzyć; dziś, gdy ja marzę o szczęściu i w szczęście wierzę!

Wanda. Posłuchaj mnie panie Fryderyku. Jakkolwiek poprzednie słowa twoje obraziły mię, nadto cię jednak cenię, abym z jakichbądź powodów taiła przed tobą prawdę. Choć zatém w początku naszéj rozmowy nie miałam tego zamiaru, w téj chwili jednak czuję, że się to panu odemnie należy. Ja ciebie panie Fryderyku kocham— ale twoją nigdy być nie mogę.

Fryderyk. Dlaczego?!

Wanda. Dlatego, że drogi nasze rozchodzą się, a ja bez przeniewierzenia się moim najświętszym przekonaniom, swojéj porzucić nie mogę.

Fryderyk. Ach... więc obawy moje okazać by się miały słusznemi! Czyżby istotnie ten wzgląd, że do obcych należymy narodowości, dostatecznym był do zaważenia na szali przyszłości naszéj?... Pani zdajesz się to potwierdzać?... dlatego zatém, że wieki wytworzyły antagonizm plemienny, my za to cierpiéć mamy, my, cośmy nadeń wyżsi? (*z żalem*): I twojeż to serce taki wyrok wydało?....

Wanda. Nie potępiaj go panie, zanim się dowiesz....

Fryderyk. Wiem wszystko, co mi pani powiedziéć możesz—nie pierwsza to bowiem w tym przedmiocie rozmowa nasza i dlatego mnie musisz wysłuchać pierwéj. Rozumiem dobrze wrogi stosunek do siebie mas i tłómaczę jego pobudki, nie jestem również tak ogra-

niczonym, aby nie brać w rachubę nie już przekonań, bo to się rozumie samo przez się, lecz nawet uprzedzeń pewnych, od których zresztą żaden, nawet oświecony umysł w zupełności wolnym nie jest; lecz my, my, silni miłością naszą i wyższym nad pospolity poziom wzlotem myśli, nie potrafiliżbyśmy zdobyć się na tyle nawet tolerancyi, aby uszanować wzajemnie swą narodową indywidualność? Mówię: wzajemnie, bo wszakże i pani jesteś względem mnie cudzoziemką, a jak wysoko cenię twe przywiązanie do ojczystego kraju i języka, masz chyba najlepszy dowód, że niemało czasu strawiłem na nauczenie się twéj rodzinnéj mowy, chcąc się przez to więcéj zbliżyć do ciebie. Pamiętam, z jak słodkiém wzruszeniem spojrzałaś na mnie, gdym poraz pierwszy przemówił do ciebie po polsku... jam myślał wtedy, że ostatnia zapora znikła między nami — a ty dziś!... oh, pani — Wando! cofnij swój wyrok, bo inaczéj nieszczęście moje jak kamień spadnie ci na serce i ciężyć będzie zgryzotą.

Wanda. Nie mylisz się, panie Fryderyku. Nieszczęście twoje jak kamień grobowy zamknie się nad sercem mojém i pogrzebie w niém na wieki wszystkie promienne o szczęściu marzenia i nigdy już anioł zmartwychwstania nie powie im: wstań! A jednak ty mi tę zbrodnię samobójstwa w twych oczach przebaczyć musisz, przebaczysz z pewnością, tylko chciéj mię zrozumiéć i posłuchać trochę. Widzisz przed sobą nie dziecko, lecz kobietę dwudziestodwuletnią, któréj serce z całą potęgą młodości i niezmarnowanego uczucia— kocha!.... kocha człowieka, który stokroć téj miłości godzien, a jednak wyrzeka się go na zawsze.... o, chybaż nie bez powodu to czyni!

Fryderyk. Ukochana moja! powody stworzyła twoja gorąca, szlachetna, lecz egzaltowana wyobraźnia — o, niech cię nie obrażają te słowa, lecz czy myślisz, że ja potrafię wyrzec się ciebie, teraz, kiedy wiem, że całą duszą do mnie należysz, dlatego, że fanatyzm narodowy stawia przed tobą fantastyczną zaporę! Nam-że to, wrzącym żarem uczucia, stać w obec siebie jak dwie wrogie idee, nam, ludziom z krwią gorącą, z duszą ognistą, młodym? Jest-że jakie prawo, istniałaż-by jaka siła, zdolna zabronić nam kochać, żyć!.. (*chwyta jéj rękę i przyciska do ust i piersi*). Nie, Wando! ty musisz być moją! miłość nasza większe przepaści wypełnić zdoła — ja nie wyrzeknę się ciebie za nic!

Wanda (*słabym głosem*). Nie odbieraj mi odwagi, panie Fryderyku, nie odbieraj mi siły, (*z wybuchem*) och, bo gdybyś wiedział, jak ich potrzebuję!

Fryderyk (*puszczając rękę Wandy*). Słucham pani.

(Wtedy gdy Fryderyk całuje rękę Wandy, we drzwiach ukazuje się Helena i postawszy chwilę, z domyślnym uśmiechem cofa się).

Wanda (*z początku spokojnie, potém z coraz większém ożywieniem*). Może pan, panie Fryderyku, znajdując się w położeniu zupełnie różném, nie potrafisz odczuć w całéj sile, czém jest *dla nas* idea ojczyzny; gdybym téż nie należała do narodu, dla którego jedynym warunkiem istnienia jest osobista moc i działalność jego obywateli, położenie moje nie byłoby równie straszne, bo jakkolwiek nie bez wielkiéj przykrości zdołałabym może jednak wcielić się w obce społeczeństwo, wspierana myślą, że silne i zdrowe państwo, nie potrzebuje zbyt się troszczyć o jednostkę, któréj losy na obcym kazały żyć gruncie. Ale opuścić ten mój biedny kraj, któremu zwolna zaprzeczają wszelkich praw narodowego bytu, wyrzec się go i porzucić upadających na siłach w nierównéj walce braci po to, żeby podzielić szczęśliwą dolę zwycięzcy, a jako jedyną po sobie pamiątkę zostawić kilka młodych latorośli, które może kiedyś do téj nieszczęsnéj braci mojéj poniosą sztandar germanizacyi, nie, do tego nie czuję się zdolną. Była wprawdzie chwila, kiedy na nic nie pomna, chciałam razem z drugimi biedz do źródła rozkoszy, ale chwila ta minęła już. Szczęście... jakże prędko rozwiałoby się ono! Przy każdéj pieszczocie, przy każdym uśmiechu zadowolenia i radości, stawałoby straszne widmo mojego sumienia i krzyczało: zdrada! W powiewie wiatru, coby mi przynosił woń rodzinnéj ziemi, słyszałabym cichą, bolesną skargę: opuściłaś mnie, dziecię moje... Och nie, nie! ja zostanę tu, tu będę żyć i pracować wedle sił i możności mojéj, a choć trud mój jak kropla w morzu zaginie bez wieści, spokojna umierać będę, bom na ołtarzu świętego obowiązku złożyła ciężką, o ciężką serca mojego ofiarę!...

Fryderyk. Starałem się zrozumiéć powody kierujące postanowieniem pani, więcéj powiem, domyślałem się ich trochę oddawna: inaczéj bowiem nie potrafiłbym zrozumiéć tych nagłych, jakby mimowolnych objawów czułości i przymuszonego chłodu, jakie zauważyłem naprzemian w obejściu pani, sądziłem jednak, że owo uczucie potężne, które od wieków bywało rozjemcą narodowych i kastowych nienawiści, zaważy na tyle w oswobodzonym z przesądów umyśle pani, abyś zechciała czegoś się wyrzec i coś poświęcić dla ukochanego człowieka. Myślałem, że w stanowczéj chwili nie oprzesz się méj gorącéj prośbie, nie odważysz potargać zuchwale cudzego i własnego szczęścia, i choć na jedno mgnienie oka zapomniéć potrafisz, że co z takiém poczuciem bohaterstwa depczesz nogami, to nie jakaś martwa, ta, lub owa teorya, lecz krwią i bólem drgające serce ludzkie!... Omyliłem się i (*z bolesną ironią*) zawstydzonym się czuję doprawdy; nie mnie to, lecz pani należy się tytuł doktora filozofii, którym się szczycę; ja bo czułem się wytrąconym z ogólnéj

równowagi, pani, kobieta—potrafiłaś ją zachować.... Tobie téż w nagrodę pozostanie wieniec męczeństwa, którym się dobrowolnie stroisz, mnie na pociechę chyba to jedno, że może gdy po latach wielu mąż pani, jaki *polski szlachcic* sprzeda odłużony majątek któremu z moich ziomków — pożałujesz swojéj ofiary.

Wanda (*z okropnym żalem*). Fryderyku!

Fryderyk. Ha, ha, niepodoba się pani ta przepowiednia? cóż robić! nie stać mnie w téj chwili na słodszą, gorycz duszy nie wypłynie na usta potokiem miodu, ostry sztylet nie wyda się sercu balsamem.... (*po chwili*): Lecz—jakżeś pani zbladła strasznie! Ha i ciebie snać boli serce i ty cierpisz!—a ja, ja szydzę!... O Wando moja! przebacz, przebacz!... i żegnaj—na wieki! (*wybiega*).

Wanda (*chwilę stoi nieruchoma, potém z okrzykiem*). Boże! (*pada zemdlona*).

(Zasłona spada).

Jadwiga L.





ERNEST RENAN.

II.

W nauce francuskiéj, Renan zajmuje wyosobnione prawie we Francyi stanowisko krytyka religijnego. Powszechna krytyka historyczna jest nauką prawie nową, powstałą zaledwie przed stuleciem. Krytyka religijna, będąca jedną z gałęzi krytyki historycznéj istnienie swe rozpoczęła znacznie wcześniéj, w skutek reformy religijnéj zaszłéj w wieku 16-m, która wyznawcom protestantyzmu umożliwiła racyonalne badanie i rozbiór biblii. W Niemczech szczególniéj, które z rąk Lutra otrzymały biblią, przełożoną na język dla wszystkich dostępny, ruch w tym kierunku rozpoczął się wcześnie, w 18-m wieku, płynął już szerokim i śmiałym strumieniem, a w 19-m, korzystając z pomocy nowożytnéj nauki wytworzył liczne grono surowych i przenikliwych badaczy. Inaczéj działo się w ściśle katolickiéj Francyi, która w wiekach ubiegłych, za pomocą prześladowań i wytępień pozbyła się innowierców i tym sposobem zatamowała u źródła rozwój téj nauki. Krańcowy sceptycyzm i ateizm, które w niéj przeto istniały i w pewnych epokach wybuchały nawet z gwałtownością niszczącą i bezwzględną, wynikały z postępów wiedzy o przyrodzie i z filozoficznego ujęcia całokształtu świata i ludzkości: nauki historyczne w ogóle, w szczególności badania nad historyą religii, nie brały w ich powstawaniu żadnego prawie udziału. W połowie b. wieku, kiedy zastosowana do historycznych dokumentów metoda doświadczalna i porównawcza wytworzyła w Niemczech liczny szereg erudytów i myślicieli, zmieniających cały punkt zapatrywania się na początki i rozwój chrześcianizmu, we Francyi ruch myśli na tém polu ograniczał się na szlachetnych, lecz bardzo mało loicznych usiłowaniach, tak zwanych liberalnych katolików. Gorącemi sercami i płomienistą wymową obdarzeni: Lamenais, Lacordaire, Montalambert i inni, dopominali się u kościoła o refomy i ustępstwa, nie naru-

szające w stopniu najmniejszym saméj istoty katolicyzmu, wynoszonego owszem przez nich z zapałem miłości prawdziwie synowskiéj, która pragnie udoskonalenia się matki dla tego właśnie, aby ją na piedestale wyżéj jeszcze wznieść i utrwalić. Była to zapewne niejaka krytyka, ale z nauką w żadnéj styczności nie zostająca i apologetycznemi dążnościami całkiem prawie przyćmiona. Renan, dla téj szkoły reformatorów wyznawał zawsze niechęć i lekceważenie. Nie widział w niéj podstaw wystarczających do stawiania tez tak poważnych, jakiemi dlań były zawsze rzeczy tyczące się religii; przedstawicieli jéj uważał za retorów, którzy kwiecistą deklamacyą walczyć próbowali „ze sztabą żelaza.“ Gdy po opuszczeniu seminaryum ś-go Sulpicyusza, bezpośrednio zapoznał się z krytyką niemiecką, ogarnęło go zachwycenie niemal uroczyste. „Wydało mi się, żem wszedł do świątyni.“ Była to świątynia naukowych badań surowych i bezstronnych, przedsiębranych bez namiętności i uprzedzeń, nawet bez praktycznych przewidywań i dążności, z jedynym celem, znalezienia i wyświetlenia prawdy. Taki kierunek pracy pociągnął ku sobie panującą w nim zdolność krytyczną, a należne przysposobienie znalazł w swym wysoko posuniętém filologicznem wykształceniu, przeważnie w doskonałéj znajomości hebrajszczyzny i w ogóle języków semickich, która pozwalała mu wprost i bezpośrednio przystąpić do literatury biblijnéj i chrześciańskiéj. Po napisaniu dwóch dzieł: *historyi początków mowy* i *historyi języków semickich*, które wchodząc w zakres nauki ścisłéj, postawiły go w rzędzie najuczeńszych filologów europejskich, oddał się przeważnie egzegetyce—czyli krytycznemu badaniu dokumentów religijnych. Z badań tych wyniknąć miały najwięcéj znane z dzieł jego: długi szereg studyów nad historyą religii i siedmiotomowa historya początków chrześcianizmu.

Dzieło krytyki historycznéj, porównaném być może do gmachu wznoszonego z mnóstwa różnéj wielkości cegieł, spajanych filozoficzną myślą autora. Cegieł dostarcza erudycya, czyli, zebrany w umyśle zbiór faktów, odkrytych, rozpoznanych i niewątpliwych. Erudycya zostaje do myślicielstwa w stosunku takim, jak materyał do budownictwa. Materyał może istniéć w stanie nieobrobionym i do żadnego użytku nie zastosowanym, budowa żadna obejść się nie może bez niego i obfitość jego warunkuje obszerność jéj i gruntowność. Nadzwyczajnie zajmującą jest rzeczą, przypatrzenie się procederom, z których pomocą krytycy historyczni zdobywają potrzebną im erudycyą, czyli znajomość faktów. W krytyce religijnéj, procedury te są szczególniéj utrudnione przez to, że dokumenty sięgają niezmiernie odległych czasów i przez to, że długie czasy przyoblekały je w naturę i znaczenie specyalne i wyosobniające je z pomiędzy

wszystkich innych. Ażeby otrząść dokument z przywiązanych do niego mniemań, wyświetlić trzeba pochodzenie jego co do czasu i miejsca, wykazać wpływy pod któremi powstał, wydzielić z niego zawartą w nim część historycznéj prawdy, oznaczyć położenie, które zajmować powinien w dziedzinie twórczości ludzkiéj. Z poddania dokumentu takiéj krytyce, wynika częstokroć, że to, co miano za utwór epoki bardzo dawnéj, jest płodem czasów daleko bliższych, lub naodwrót; że to, co poczytywano za historyą, jest legendą lub bajką; że rzecz przypisywana pewnemu autorowi, należy do wcale innego; że utwór uważany za jednolity posiada w sobie wtręty lub zmiany, poczynione inną ręką i w innych czasach. Zmienia to postać całych epok historycznych i usuwa rozumowe podstawy z pod mnóstwa mniemań, uważanych za prawdziwe. Takie podstawowe i mozolne prace, dokonywane na polu erudycyi, znajdujemy w trzech studyach Renana o biblijnych księgach Hioba, Ekleziasty i Pieśni nad pieśniami. Każdemu z nich, towarzyszy tłómaczenie odpowiedniéj księgi, dokonane w języku francuzkim nowożytnym i pięknością swą czarującym; zdaniem bowiem Renana, w przekładach biblii nie należy kierować się zasadą używania językowych archaizmów, ani obrażania ducha mowy współczesnéj, dla zachowania dosłowności przekładu. Wystarcza tu, według niego, zupełnie wierne oddanie treści i ducha utworu i, o ile być może, najwierniejsze naśladowanie głównych cech jego formy. Tłómaczenia te są dziełem filologa i poety, lecz w obszernych studyach, które je poprzedzają przypatrzyć się możemy sposobom, jakich używają—według wyrażenia Renana,— „szpony nowożytnéj krytyki“ dla zagłębiania się w grunt odległéj w czasie literatury.

Księga Ekleziasty uchodzi powszechnie za utwór Salomona, syna Dawida, trzeciego z rzędu króla izraelskiego, żyjącego na 1,000 około lat przed Chr. Mniemanie to wzięło swe źródło z tego, że autor księgi przedstawia się w niéj królem potężnym, organizatorem państwa, wielkim budowniczym, miłośnikiem zbytku, kobiet, wina i wszystkich w ogóle rozkoszy tego świata. Wszystkie te cechy, historya i legenda przypisują Salomonowi. Imienia tego jednak autor księgi nie wymienia ani razu, zastępując je czterma spółgłoskami K. H. L. T. w których domyślano się samogłosek, tworzących wyraz *Kahelet*, oznaczający po hebrajsku: kaznodzieja. Ekleziasta, jest greckiem tłomaczeniem hebrajskiego *kahelet*, czyli kaznodzieja. Przymiot kaznodziejstwa, suponujący mądrość i zdolność do nauczania innych, stał się jedną więcéj przyczyną do utrwalenia wiary w pochodzenie księgi od Salomona, obdarzonego w podaniach historycznych mądrością, przechodzącą zwykłą miarę rozumów ludzkich.

Treścią księgi jest wykazywanie marności wszystkiego, co pod słońcem istnieje. W słowach: „próżność nad próżnościami i wszystko jest próżnością“ mieści się wniosek, wyprowadzony przez autora z najrozmaitszych doświadczeń życia. Władza, bogactwo, miłość, przyjaźń, nauka, mądrość, cnota, bezżenność i związki rodzinne, społeczeństwo, królowie, sędziowie, lud,—wszystko to nietylko przemijającém jest i podległém zmianom, ale nosi w sobie zarody trucizny, która prędzéj lub późniéj zmienia je w pierwiastki cierpień, upadków i próżni. Świat przedstawia szereg zjawisk zawsze jednostajnych i błędne koła zakreślających. Postępu niema. Przeszłość podobną była do teraźniejszości; przyszłość będzie taka, jaką jest teraźniejszość. Próby ulepszania rzeczy ludzkich są daremnemi, bo człowiek bezzaradnie znajduje się zamkniętym w ciasnym zakresie zdolności swych i możliwości. Niesprawiedliwość będzie wiekuistą; zło, które zdawało się być zniszczoném, zaraz odrasta, jadowitsze jeszcze niż było przedtém, nim sprobowano je wykorzenić. Bóg jest i nieustannie stwarza wszelkie życie; ale cele, dla których dopełnia swe twórcze akty, są dla człowieka nieprzeniknionemi. Należy skłaniać się przed tą wszechpotężną istotą, ale nie mniemać, aby ona bardzo zajmowała się naszym losem. Należy uczęszczać do świątyni, ale w pobożności strzedz się przesady. Nadewszystko zaś, należy unikać zuchwałych określeń rzeczy niepojętych i téj zarozumiałości umysłu, która mniema że czterma słowy zdoła wytłómaczyć wszechświat, błękity niebios zawrzeć w garnku do gotowania i nieskończoność oprawić w trzy calowe ramki.

Taką jest najogólniejsza treść téj księgi, nawskróś przeniknętéj rozpaczliwém zwątpieniem i subtelném odczuciem całéj boleści życia. Stokroć smutniejszą jest ona od księgi Hioba, grzmiącéj wymowną i straszną skargą starożytnego patryarchy. Tu niezgłębiony smutek rezygnacyi kryje się pod osłonę żartobliwéj niedbałości; czuć, że do krzyku i buntu, zmęczonéj piersi brakuje już siły. Widoczną jest rzeczą, że księga ta narówni z przypisywaną także Salomonowi Pieśnią nad pieśniami, posiada charakter zupełnie świecki i co więcéj przedstawia ostatni prawie wyraz sceptycyzmu. W jakiéj epoce powstać ona mogła? Pod jakiemi wpływami zostający duch ludzki wydać mógł z siebie to olbrzymie i cały świat zjawisk ogarniające westchnienie? Jakim sposobem włączoną ona została w poczet pism świętych, których źródłem być miało natchnienie bezpośrednio z góry otrzymane? Przedewszystkiém, podawanie się autora za króla żydowskiego i syna Dawida, traci wiarogodność swą wobec zwyczaju, w ostatnich wiekach przed Chr. i w pierwszych po Chr. powszechnie przez pisarzy żydowskich przyjętego, tytułowania

utworów literatury imionami osobistości starożytnych i budzących u ogółu cześć połączoną z bezgranicznèm zaufaniem. Pisarze żydowscy owych wieków, własne swoje utwory okrywając imionami Mojżesza, Enocha, Barucha, Ezdrasza itp. pewnymi byli, że tym sposobem z łatwością zaszczepią w ogół myśli swe i wyobrażenia. Nie spotykali w tém zawodów. W epoce, nieposiadającéj najlżejszego wyobrażenia o jakiejkolwiek krytyce, z łatwością wierzono we wszystko. Pism zaopatrzonych w fałszywe imiona, czyli, apokryfów, było podówczas mnóstwo. Udziela to pierwszych naukowych podstaw do stawienia hipotezy, że księga Kaheleta, mianującego się Salomonem, jest jednèm z napełniających przez kilka wieków literaturę żydowską pism fałszywo-imiennych.

Piętno epoki? Rozwój literatury żydowskiéj posiadał dwa okresy, różniące się z sobą bardzo odrębnemi cechami twórczości, z których pierwszy rozpościerał się do 500-go roku przed Chrystusem. Po roku 500-nym, pod wpływem klęsk i zaburzeń politycznych, nastąpiło 300 lat milczenia, albo też małéj i zaginionéj dla nas twórczości. Około 200-stu lat przed Chrystusem literatura odradza się znowu i płynie szerokim strumieniem. Okres pierwszy jest momentem najwyższéj wybujałości narodowego ducha; w nim to z siłą nieporównaną grzmią prorocy pełni niezachwianéj wiary religijnéj, płomienistego entuzyazmu, ponuréj lub elegijnéj poezyi, namiętności patryotycznéj, do bohaterstwa i fanatyzmu posuwanéj. Wszystkie te cechy są tak przeciwne tym, które panują w ks. Kaheleta, że niepodobném jest przypuszczać takiego absolutnego odskoku jednostki od całego ducha jéj epoki, bez zapoznania najkonieczniejszych praw, rządzących ludzką twórczością. Kahelet tworzący swą księgę w epoce proroków, byłby mniéj jeszcze zrozumiałym i możliwym, niż ktoś w wieku XIX, piszącym wierszami matematyczne albo chemiczne rozprawy. Wiara religijna bowiem, zapał i poezya były w téj epoce jeszcze powszechniejszemi i niezbędniejszemi niż są w naszéj ścisłość naukowych dowodzeń i potrzeba dla nich mowy nierymowanéj.

Drugi okres piśmiennictwa żydowskiego, zaczynający się w II w. przed Chryst. i napełniony właśnie fałszywo-imiennemi pismami, nosi na sobie piętno mesyanicznych oczekiwań i nadziei, których naturalnie, księga Kaheleta nie zawiera najlżejszego śladu ani objawu. Z drugiéj jednak strony, w téj już epoce, zaszło w społeczeństwie żydowskiém rozdwojenie narodowego ducha. Obok gorliwców narodowéj wiary, zelotów, mesyanistów, faryzeuszów istniał odłam społeczeństwa liczny i możny, złożony z arystokratów, bogaczy i kapłanów wyższych stopni, którzy w ręku swych dzierżąc władzę i boga-

ctwa krajowe, posiadali wszystkie wybredności umysłowe i oddawali się wszystkim uciechom cywilizacyi. Wśród tych to saduceuszów, nawpół zgreczonych, kierujących się w życiu zasadami Epikura, którego zresztą większość ich znała powierzchownie tylko, albo i nie znała wcale, mógł żyć, myśléć, czuć i pisać człowiek, który tak żył, myślał, czuł i pisał jak autor księgi Kaheleta. Możnaby nawet tę hipotezę za zupełnie uzasadnioną uważać, gdyby nie należało usunąć z drogi nasuwającéj się możliwości, że księga ta przedstawia płód owych lat 300-stu pomiędzy 500-m, a 200-m rokiem przed Chryst. przez które piśmiennictwo żydowskie albo całkiem milknie albo też wydaje twory mające uledz zagładzie, która je na zawsze przed światem ukryje. Jest to może jedyny zabytek, uratowany dla potomności, z czasów, napełnionych klęskami politycznemi, ucichnięciem twórczości jednostkowéj pod brzemieniem cierpień ogólnych. Wprawdzie, w czasach wielkich klęsk i cierpień ogólnych, struna patryotyzmu rozbudza się gwałtownie i brzmi we wszystkich tonach narodowego życia; księga zaś Kaheleta nie zawiera nietylko żadnego jéj dźwięku, ale ani najlżejszego drgnienia. Nie jest to przecież argumentem stanowczym, przeciw pochodzeniu jéj z epoki nieszczęść, bo zbyt wytężone i przedłużone nieszczęścia posiadają także tę właściwość, że odbierają ludziom wiarę i nadzieję, niszczą moc woli i ze wszystkiego co ludzkie pozostawiają tylko ręce bezwładne, serca omdlałe i usta szydzące... Może Kahelet był wyrafinowanym i rozmiękłym w zbytkach Saduceuszem z ostatnich dwu wieków przed Chryst. a może osłabłym i do zwątpienia o wszystkiém nieszczęściami swego kraju dowiedzionym mieszkańcem Judei z 5-go albo 6-tego stulecia. Kwestyą tę roztrzygnie język, jakim księga jest napisaną i obraz społeczno politycznych okoliczności kraju, który się w niéj odbija.

Język pierwszego okresu literatury żydowskiéj, rozciągający się i na owe 300 lat jéj zniknięcia, bardzo jest różnym od panującego w okresie drugim. Styl starożytny odznacza się czystością hebrajszczyzny, siłą, jędrnością i zarazem zagadkowością wyrażeń. Styl epoki późniejszéj przedstawia silną przymieszkę jednego z dyalektów semickich, mianowicie aramejskiego, luźnym jest, bez sprężystości i surowéj harmonii brzmienia, Otóż, język Kaheleta należy w zupełności do epoki nowszéj, co więcéj, zdradza nawet pochodzenie bardzo świeże, przez zupełną prawie takożsamość z językiem Miszny, czyli Talmudu, pisanego jak wiadomo w pierwszych wiekach po Chrystusie. Takożsamość ta uwyraźnia się mianowicie, przez oczyszczenie się z arameizmów, panujące zarówno w Kahelecie jak w Misznie. Wyniknąłby ztąd wniosek, że księga pisaną była jedno-

cześnie z Miszną, gdyby nie widniejący w niéj obraz współczesnego stanu społeczno-politycznego. W obrazie tym świątynia Jerozolimska jeszcze istnieje, w Jerozolimie przebywa dwór królewski; dokoła, mnóstwo udzielnych państewek i dynastyi prowadzi z sobą nieustanne wojny, w obyczajach panuje swoboda, rozluźniająca węzły rodzinne, liczne potomstwo nawet, to odwieczne pożądanie Izraela, pociechą być przestaje, bo ulega fizycznym albo moralnym klęskom i zepsuciom czasu. Obraz ten, odpowiada w zupełności wszystkiemu, co zupełnie jasno historya opowiada o wieku I-m po Chrystusie; wyraziście i obszernie skreślonym, znajduje się w dziele o starożytnościach żydowskich, ówczesnego pisarza Józefa Flawiusza. Jest to widocznie koniec II-go, albo początek I-go wieku przed Chrystusem. Zbliżenie tego czasu do pory, w któréj rozpoczęto pisać Misznę, tłómaczy w zupełności takąższamość językową Kaheleta z Miszną.

Wnioski te, wyciągnięte z ducha utworu, języka jego i odbijających się w nim okoliczności współczesnych, wzmacnia wzgląd na późne ukazanie się w świecie księgi Kaheleta. Wszystkie pisma, składające biblię przetłómaczonemi zostały na język grecki w wiekach II i III-m przed Chrystusem. O Kahelecie świat dowiaduje się zaledwie w w. I-m po Chryst... Któryś z przewodników ówczesnych szkół żydowskich, Akwila czy Akiba, tłómaczenia tego dokonał i wtedy też pierwsze wzmianki o niém zjawiły się u autorów chrześciańskich. Żydzi wahali się długo z przyjęciem go do biblii. Hiob, Ezechiel, księga Przysłów a szczególniéj Pieśń nad pieśniami, budziły także podobne wahania. Najdłużéj jednak wątpiono o świętości Kaheleta. Swobodny i sceptyczny ton téj księgi raził bardzo ówczesną, żarliwą i namaszczoną pobożność. Narady były długie, spory żywe; jednak kilka strof z pozorem religijności uratowało resztę; księgę włączono w poczet natchnionych z góry. Postępek ten wytłómaczonym jest w zupełności przez panujący wówczas system interpretacyi pism hebrajskich, czyli, nie brania ich treści w prostém jéj znaczeniu, ale wyszukiwania w niéj przenośni, symbolów, tajemniczych zbiegów liter i słów, tysiąca słowem znaczeń, które w rzeczywistości ani nasuwały się nigdy myśli autora. Takim interpretacyom poddana księga Kaheleta, uznaną została za świętą przez doktorów żydowskich pierwsz. w. ery naszéj. W ten sam sposób interpretacyjny przeczytali i do pism świętych zaliczyli ją w w. III-m ojcowie kościoła. „Taki sposób czytania,—powiada Renan,—polegający na szukaniu przenośni i aluzyi w rzeczach najprostszych, na grach wyrazów i liter i wyciąganiu zeń znaczeń dowolnych i z góry ułożonych, może doprowadzić do poczytania miłośnego poematu za książkę do nabożeństwa i krańcowego sceptycyzmu za religijną filozofią. Zresztą, w ogólności, źle się czyta, kiedy się czyta na klęczkach.“

Słowem, pismo poczytywane za utwór Salomona z r. 1000-go przed Chryst. i uważane za płód bezpośredniego natchnienia z niebios, wychodząc „ze szponów krytyki nowożytnéj“, ukazało się jako utwór jakiegoś Saduceusza, czyli żydowskiego epikurejczyka, żyjącego o 900 lat późniéj, utwór wytworny lecz ostatecznie sceptyczny i pesymistyczny, nie pozbawiony poezyi smutku i powabów zmieszanéj ze łzami ironii, lecz religijnym wiarom i nadziejom zupełnie obcy i nieprzyjazny im raczéj, niż je popierający. W najogólniejszym swym zarysie i z pominięciem mnóstwa naukowych szczegółów przedstawione studyum Renana o księdze Ekleziasty—może dostarczyć niejakiego wyobrażenia, o metodach i środkach, któremi erudycya przygotowuje fundamenty dla wielkich dzieł krytyki historycznéj i religijnéj.

Takiém wielkiém dziełem ze względu na rozległość epoki i na jéj niezmierną w dziejach ludzkości ważność, jest „Historya początków chrześcianizmu.“ Siedém jéj tomów obejmuje zakres czasu blizko 200-stu letni, bo od przypuszczalnéj daty urodzenia Chrystusa, przypadającéj za panowania Augusta, do śmierci Marka Aureliusza zaszłéj w 180 lat późniéj. Zbiorem źródeł dla téj epoki jest naprzód pierwotna literatura chrześciańska, zawierająca Dzieje Apostolskie, listy Apostołów, Apokalipsę ś-tego Jana, cztery Ewangelie kanoniczne, znajdujące się w pismach późniejszych pisarzy kościelnych wyjątki z Ewangelii współczesnych tamtym, lecz zaginionych, nakoniec, liczne pisma apokryficzne z téj epoki, noszące nazwy Ewangelii i Apokalips, które wychodziły z łona tak pierwotnego chrześcianizmu, jak judaizmu, w porze, w któréj stanowcze odłamanie się nowéj religii, od swego starożytnego pnia jeszcze spełnioném nie zostało. Następnie, wszystko, co poprzedziło powstanie nowéj wiary i towarzyszyło jéj rozwojowi, obficie jest oświetloném przez literaturę łacińską, greko-aleksandryjską i judeo-aleksandryjską, jako téż przez obszerne i dość liczne dzieła spółczesnego pisarza żydowskiego Józefa Flawiusza. Dla drugiéj połowy czasu objętego dziełem Renana, to jest dla II-go wieku po Chrystusie, kryterya historyczne stają się węższe i mniéj wyraźne. Zawierają się one w zubożałéj lecz jeszcze istniejącéj literaturze łacińskiéj i aleksandryjskiéj, w Talmudzie, w odnoszących się do tego czasu pismach późniejszych autorów kościelnych, nadewszystko może w bardzo licznych utworach, które wydały z siebie sekty religijne, szczególniéj zaś, najszerzéj podówczas rozpowszechniony i najzacięciéj walczący gnostycyzm.

Cały ten jednak, bardzo obfity na pozór, materyał wymaga od krytyka historycznego ostrożności niezmiernéj i właściwościami swemi czyni mu niezbędném nieustanne posługiwanie się metodą do-

świadczalną i porównawczą. W szczególności dział jego judaistyczny i chrześciański odznacza się trzema cechami, które utrudniają należyte jego wyczytanie: legendowością, apokryfizmem i mistycyzmem. Legendowość okrywa zasłonami ludowéj poezyi, tę część prawdy, którą wynaleść w niéj można; apokryfizm sprowadza zamięszanie dat i osób; mistycyzm przemawia symbolami i zagadkami. To téż najbogatsza, jaką tylko przypuścić można erudycya i zastosowanie najbieglejszéj krytyki do dokumentów pisanych, dla zbadania téj epoki w całéj prawdzie i we wszystkich jéj rozgałęzieniach wystarczyć nie może. Krytyk historyczny władać tu musi, oprócz tych materyalnych niejako instrumentów, tém wewnętrzném i niesłychanie delikatném narzędziem, jakiém jest psychologiczna przenikliwość i czułość, pozwalająca wyrozumiewać i odczuwać stany umysłowe i moralne oddalonych czasów i pokoleń. „Samą istotą krytyki — pisze Renan — jest możność rozumienia stanów zupełnie różnych od tego, w jakim żyjemy sami.“ Twierdzi on daléj, że zrozumienie duchowego stanu, w jakim znajdowali się pierwsi założyciele i wyznawcy chrześcianizmu, ułatwionémi mu zostało przez okoliczność urodzenia się i spędzenia całego dzieciństwa w nieoświeconéj, zabobonnéj, naiwnéj i entuzyastycznéj Bretanii. Widział tam, z różnicami sprawionemi przez klimat i historyczne wpływy, taką samę bezwzględną i bezkrytyczną wiarę, takiż mistyczny i legendowy zwrot wyobraźni, takąż szczerość, czystość i często słodycz uczuć, takąż pierwotność w potrzebach i sposobie życia. Jednak krytyczne zbadanie dokumentów pisanych i intuicyjne przeniknięcie i odczucie epoki, nie zadawalniały jeszcze ani jego sumienności naukowéj, ani tego głębokiego poszanowania, z jakiém przystępował do przedmiotu swych badań. Przed rozpoczęciem dzieła swego udał się na wschód, aby w obliczu tamtejszéj przyrody i ludności wyczytać to, czego nie dopowiedziały mu książki. Przez 2000 lat topograficzna postać krajów owych uległa niejakim zmianom; poznikały dawne miasta i wsie; wyjałowiły się albo inną niż dawniéj roślinnością okryły się przestrzenie; wyschły strumienie niektórych wód. Przecież to samo słońce i to samo niebo, ten sam koloryt przedmiotów i wiele widoków i płodów natury niezmienionych, wszystkie prawie obyczaje ludzkie, takie, jakiemi wówczas były, zobaczył on na tym wschodzie, kędy wszystko trwa dłużéj niż gdziekolwiek indziéj, a ludzie zewnętrznem swém wyglądaniem i wewnętrznemi usposobieniami tworzą wierne prawie wizerunki odległych swych przodków.

Pierwszym tomem tak pracowicie przygotowanego dzieła jest „Życie Jezusa.“ Los, który książkę tę spotkał w świecie, przedstawiać może dla niewtajemniczonych w dzieje twórczości Renana zagadkę

do rozwiązania trudną. Żaden może inny twór literatury nie zdobył sobie tak szybko tak niezmiernego rozgłosu i zarazem nie ściągnął na siebie takiego mnóstwa i tak różnostronnych zarzutów. Właśnie ta różnostronność źródeł, z których płynęły zarzuty, wydaje się z pozoru dziwną i zagadkową. Z jednéj strony duchowieństwo katolickie wydrukowanie téj książki poczytało za największy występek, jakiego dopuściła się prasa francuska przez długie wieki swego istnienia, ta prasa, w któréj przecież z nawskróś przeczącém swém obliczem odbił się jak w nieśmiertelném zwierciedle schyłek XVIII w. Wyklęto ją z kazalnic; autora jéj zarzucono takim gradem potępień, podejrzeń, nawet potwarzy, jaki nie spadł był nawet na najzuchwalszego z buntowników, Woltera, i najlekkomyślniejszego z bluźnierców, autora wierszowanéj i w cynizmie swym ohydnéj „Wojny bogów.“ Z drugiéj strony, w świecie surowéj i ścisłéj nauki, przyjęto ją uśmiechem lekceważenia i usunięciem jéj na ten stopień hierarchii umysłowéj, na którym znajdują się utwory literatury nadobnéj. Do grona europejskich uczonych należący autor historyi mowy i historyi języków semickich, biegły badacz dokumentów biblijnych i profesor hebrajszczyzny w Collége de France, jako twórca książki o życiu Jezusa, z grona tego wyłączonym został. Spostrzegano w książce brak ścisłości i bezstronności naukowéj, nienaukowe lecz beletrystyczne traktowanie przedmiotu, przysłonienie historycznéj prawdy kunsztownością kompozycyi i ozdobami stylu. Wszystko to w obszernéj polemicznéj broszurze ostro mu wyrzucali uczeni bracia Jantet; słynny niemiecki krytyk, Strauss, przyznając swemu francuskiemu koledze wielką dozę nauki i przenikliwości umysłowéj, o téj jego książce wyrażał się z wyniosłém nieco lekceważeniem; znakomity krytyk duński, Brandes, długo zachowywał dla jéj autora niechętne uprzedzenia, z których nieprędko uleczonym został przez zapoznanie się z innemi jego dziełami; dziś jeszcze autor historyi religii, Juliusz Varron, nazywa tę książkę ładnym romansem. Kościół ją potępił i nie przyznała jéj za swoję ścisła nauka. Jednak sława jéj urosła do rozmiarów zupełnie niepospolitych i dając autorowi rozgłos, jakim bardzo niewielu pisarzy poszczycić się może, uczyniła mu zarazem ujmę wielką,— przygniotła sobą niejako inne jego dzieła, przysłoniła ogólny widok szerokiéj jego działalności.

Zagadka ta tłómaczy się jasno przez ten stan psychiczny, z którym autor do tego dzieła swego przystępował. W istocie rzeczy wychodził on w tém dziele z tych samych premis naukowych i używał téj saméj metody badań, które przysługiwały uczonym krytykom niemieckim. Tak jak tamci, z pola widzenia usunął nadprzyrodzoność i stanął na gruncie naturalnéj przyczynowości, która żadnemu

z historycznych zjawisk nie przyznaje nadnaturalnego pochodzenia, lecz wszystkie fakty i pojęcia wyprowadza z grupy faktów i pojęć poprzedzających, widząc w nich ewolucyą dokonywającą się w łonie samej ludzkości, pod wpływem dobrze określonych przyczyn. Z drugiéj przecież strony, daleką odeń była ta chłodna i bezstronna przedmiotowość, z jaką dzieł swoich dokonywa erudycya i krytyka niemiecka. Wychowaniec kościoła i czciciel ideałów, poddawał on krytyce rozumu pojęcia i osoby, które były niedawno przedmiotem bezwarunkowéj jego wiary i czci, a potężnego uroku nie przestały wywierać na poetyczne i entuzyastyczne instynkty jego natury. Z przedmiotu swych naukowych badań zdejmując gloryą nadprzyrodzoności, okryć go w zamian pragnął najwspanialszemi szaty, na jakie ziemia zdobyć się może. Na wykonanie szat takich dozwoliły mu naprzód: luźność tłómaczeń, jakiéj ulegać mogą dokumenty z niezupełnie rozjaśnioném pochodzeniem, pełne sprzeciwieństw i niedokładności; następnie, wielki jego talent pisarski. We wstępie do swéj książki ostrzega czytelników, aby w niéj nie szukali materyalnéj pewności faktów i dat, lecz tylko jak najwierniejszego ujęcia samego ducha Chrystusowego życia i nauczania. Ewangelie zalicza on do szeregu „biografii legendowych“, które wytwarzają się w łonie ludu, ilekroć potężna jakaś osobistość pociągnie ku sobie serca, uderzy wyobraźnię i nowy kierunek nada umysłom. W utworach téj natury legenda jest atmosferą świetlaną i nadziemską, którą uwielbienie otacza postać wielką. Za tą jednak przysłoną kształty i rysy postaci są takiemi, jakiemi były istotnie, i w nich to spoczywa prawda. „Przypuśćmy, że dziesięć lat temu kilku żołnierzy z czasów 1-go cesarstwa, bez porozumienia się z sobą i tylko na podstawie swych wspomnień, skreśliło życie Napoleona. Widocznem jest, że ich opowiadania zawierałyby mnóztwo błędów, niezgodności, fantazyi.... Lecz co najpewniéj i z wysokim stopniem prawdziwości wynikałoby z tych naiwnych opowiadań, to charakter ich bohatera i wrażenie, jakie wywierał on na spółczesnych.“ Niepodobna nie spostrzedz, jak szerokiego pola dla osobistych skłonności autora udzielają materyały téj natury i zarazem jak bogatemi hafty okrywać je może wielki pisarski talent. Dla ideału, w książce swéj opisywanego, do głębi przejęty miłością i czcią, oko w oko z naturą, wśród któréj objawił się on światu, pamięcią i sercem bliski wrażeniom, które mu napełniły dzieciństwo i młodość, Renan stworzył arcydzieło stylu i kompozycyi. Nigdy może jeszcze piękna proza francuska nie brzmiała taką harmonią dźwięków i nie tworzyła takich akordów płomiennych i słodkich. Nigdy może jeszcze postaci, przed wiekami znikłe z téj ziemi, nie zmartwychwstawały pod ludzkiém piórem, z taką plastyką

rysów i kształtów; nigdy może obrazy natury nie były przyobleczone w tak wyrazisty i nazawsze w pamięci pozostający koloryt; nigdy harmonia kompozycyi, ustawienie szczegółów, zaokrąglenie całości, wyższego stopnia doskonałości nie dosięgły. Od niewymównéj słodyczy galilejskiéj sielanki, do wstrząsającego dramatu na Golgocie, od wiecznie błękitnych jezior tyberyadzkich do swarliwych gwarów, napełniających podwórze jerozolimskiéj świątyni; od schylonych nad rybackiemi sieciami dobrych prostaczków, do wyniosłych arcykapłanów i wykwintnych Rzymian, poemat ten przebiega bardzo szeroką skalę uczuć, obrazów i postaci, nad którą, jako punkt ogniskowy i arcywzór niedościgniony, we wszystkie glorye uwielbienia przyodziana, unosi się postać mistrza.

W téj to właśnie literackiéj piękności spoczywa przyczyna niesłychanego rozgłosu książki i srogich sądów, jakie ściągnęła ona na siebie z dwu stron zupełnie różnych. Nie zuchwalstwo postawienia tego przedmiotu na gruncie przyrodzoności, skupiło na niéj ciekawość ogółu. Dopuszczali się go liczni przedstawiciele krytyki niemieckiéj, których jednak imiona znanemi są tylko szczupłéj garstce znawców i nie ono także ściągnęło na nią gromy kościoła tak surowe i głośne, jakim nie ulegali inni badacze na tém polu. Artystyczna jéj piękność i idąca za nią wziętość czyniły ją w znaczeniu praktycznem karygodniejszą, nad ciężkie i nieprzystępne foliały szperaczów....

Czy ta niezmierna dbałość o doskonałość kompozycyi i stylu, czy ten zapał i ta poetyczność, które nawskróś przenikają książkę, nie uszczupliły pola jéj naukowego widzenia i nie oddały niektórych przynajmniéj naukowych wywodów w poddaństwo uczuciu i fantazyi? Na zapytania te nauka odpowiedziała twierdząco i stało się to właśnie przyczyną zarzutów i lekceważenia, które spotkało ją z téj strony. Spostrzeżono w niéj podnoszenie hipotez do stanu pewników, zbytnie ufanie źródłom wątpliwym, skracanie historycznéj perspektywy i nie dość głębokie ujęcie gruntu, współczesnego opisywanemu faktowi. Wszystkie promienie swéj myśli skupiając na uwielbionéj postaci mistrza, Renan zbyt skąpe rzucił światło na poprzedzający rozwój pojęć o oczyszczaniu religii z obarczającéj ją formalistyki kultowéj, o miłości powszechnéj, wynoszeniu ubóstwa, pokory i łagodności. Nie widzimy tu prawie łańcucha tych pojęć, ciągnącego się przez całe dzieje Izraela, od Ozyasza, który zaręczał lud z panem w prawdzie i sprawiedliwości, w miłości i miłosierdziu; od Izajasza, który wołał, że czystych serc żąda pan a nie całopaleń, śnił o wiecznym pokoju, możnym tego świata przepowiadał: „biada tobie, który łupisz, ażali i sam złupionym nie będziesz, i który gardzisz, ażali sam

wzgardzonym nie zostaniesz!“ do Hillela, który o sto lat niespełna poprzedził moment powstania chrześcianizmu, i dwóch Gamaliełów, uczniów jego, z których jeden był współczesnym Jezusa i którzy treść religii zawierając w słowach: „kochaj bliźniego jak siebie samego“, twierdzili, iż człowiek, który unosi się gniewem, nie godzien nauczać innych, a sobkowstwo odpierali pokornemi słowy: „czemże jestem, abym miał myśléć o sobie?“ Pojęcia takie, aczkolwiek nie przyjęte przez ogół, ale w stanie nieśmiertelnego zarodu istniały w demokratycznym ustroju społeczeństwa izraelskiego. Społeczeństwo to nie posiadało nigdy instytucyi dośmiertnego ani témbardziéj dziedzicznego niewolnictwa i podobnie twardego prawa własności jak te, które u siebie stworzyli Rzymianie. Przez dopuszczenie niewolników do święcenia na prawach równości z ich panami wszystkich tak licznych uroczystości i obchodów religijno-obyczajowych, przez prawem nakazane peryodyczne oswabadzanie niewolników, umarzanie długów i powrotu ziemi do wywłaszczonych z niéj przez jakiekolwiek okoliczności posiadaczy, klasy społeczne mieszały się z sobą ustawicznie i nie ulegały takiemu zamknięciu, jak to się działo gdzieindziéj; bogactwo też, poddane peryodycznemu przechodzeniu z rąk do rąk, nie tworzyło kolosalnych skupień w jednych rękach, lub w jednych grupach społecznych. Z takiego stanu rzeczy wynikały opory przeciw teokratycznym ambicyom i przywłaszczeniom, zniechęcenia do wyobrażanego przez teokratyzm kultu, współczucie dla ubóstwa i podejrzliwa niechęć, często nienawiść względem przedstawicieli nadmiernego bogactwa. Opuszczając w swéj książce ten obraz przeszłości, Renan skrócił jéj historyczną perspektywę i zubożył filozoficzne motywy.

Współczesne powstaniu chrześcianizmu, okoliczności społeczne, umysłowe i obyczajowe tworzą w rozd. 4-tym książki obraz może za mało szeroki i pogłębiony, ale dość różnostronny i subtelnemi liniami skreślony. Najszerzéj uwzględnionym tu został motyw niezmiernéj wagi w dziejach Izraela i chrześcianizmu, mianowicie idea mesyaniczna. Według Renana, najpierwotniejszych źródeł idei mesyanicznéj szukać należy w Persyi, która w epoce bardzo dawnéj pojęła historyą świata jako szereg ewolucyi, z których każdéj przewodniczyć miał wielki prorok. Ewolucye te miały posiadać trwanie tysiąca lat, a kolejno po sobie następując, przywieść czasy do ostatecznego ich okresu—do panowania Ormuzda. Po przeminięciu wielu takich tysiącoleci pod panowaniem Ormuzda, świat przemieni się w raj ostateczny, w którym ludzie będą doskonale szczęśliwi, a wszystkie ludy posiądą jeden język, jeden rząd i jedno prawo. Zanim to jednak nastąpi, dziać się będą na świecie rzeczy straszne.

Dahak czyli szatan zerwie swe pęta i zaleje świat nieszczęściami; aż przybędą ludziom na pomoc i pocieszenie dwaj prorocy, którzy zgotują już ostateczne przybycie Ormuzdowego królestwa. Księgi Daniela, Enocha i cała ówczesna literatura apokaliptyczna, przedstawiają żydowski wyraz téj perskiéj teoryi. Zaszczepieniu się jéj i rozwojowi u Żydów sprzyjała — wedle Renana — okoliczność nie istnienia w ich systemacie religijnym, w ścisły dogmat ujętego pojęcia o nieśmiertelności duszy. Gdyby Izrael posiadał doktrynę, rozcinającą człowieka na dwie połowy: ciało i duszę, i każącą wierzyć, że ciało tylko umiera, lecz dusza wiecznie żyje i na innym świecie otrzymuje należną sobie wypłatę, ten energiczny protest przeciw niesprawiedliwości w życiu jednostek i ludów widocznéj, jakim była idea mesyaniczna, nie miałby może przyczyny bytu. Lecz taka doktryna nie istniała w żydowskich tradycyach. Starożytne pisma żydowskie nie zawierają żadnéj wzmianki o nagrodach i karach pośmiertnych. Pojęcie to zastąpioném tam było przez solidarną odpowiedzialność pokoleń. Cierpienia człowieka cnotliwego poczytywano za część kary, wymierzanéj całemu jego pokoleniu. Jednak nie wystarczyło to na długo. Już w księdze Hioba brzmi straszna namiętna skarga na podobny wymiar sprawiedliwości. Cóż kiedy naród cały popadł w morze niedoli i kiedy najsroższe z tych niedoli dotykać go poczęły właśnie wtedy, gdy cześć jedynego Boga w zupełności już zwyciężyła w nim bałwochwalstwo i gdy najgorliwiéj strzedz on zaczął przepisów zakonu? Wtedy powstał w narodzie ruch poszukiwania. Sceptyczni i światowi Saduceusze usiłowali jaknajwiększą sumę uciech posiąść w tém życiu, stanowczo przecząc istnieniu jakiegokolwiek innego. Najwznioślejsi z mędrców zalecali praktykowanie cnoty dla niéj saméj, bez oczekiwania na wzór niewolników za nią zapłaty; inni marzyli o cząstkowéj i idealnéj nieśmiertelności, któréj dostępować mieli tylko najlepsi z ludzi, trwając na wieki w łonie Boga, przed oczami Boga, w pamięci ludzkiéj. Faryzeusze wierzyli w zmartwychpowstanie, lecz wiara ta miała u nich mnóstwo odcieni i niepewności. Tymczasem naród wybrany niósł większe niż kiedykolwiek brzemię nieszczęść i prześladowań, obrońcy jego ginęli męczeńską śmiercią; obce władze, obca mowa, obce pogańska cywilizacya zalewały świętą ziemię przodków i groziły zagładą narodowéj przyszłości. Dlaczego cierpieli sprawiedliwi a tryumfowali źli? Czy całą nagrodą pierwszych będzie zgnicie w ciemnym grobie, a na drugich nigdy nie spadnie pomsta i kara? Wtedy to, krzykiem rozpaczy i nadziei rozległo się wezwanie na pomoc Mesyasza, mściciela i sędzię ludów. Wtedy wzniosło się pragnienie zupełnego odnowienia świata, poprzedzonego przez jakąś straszną katastrofę kosmiczną,

która w samych korzeniach jego wstrząść miała światem i dla sprawiedliwych sprowadzić na ziemię wieczną szczęśliwość „królestwa bożego.“ Nie cały naród przyjął pojęcia te i nadzieje, ale znaczna część jego przejęła się niemi do głębi i żyła w gorączkowém oczekiwaniu koniecznego i już bliskiego przybycia Mesyasza....

Wrzenie namiętności politycznych utrzymywało umysły w stanie nieustannego naprężenia, sprzyjającego wszelkim objawom entuzyazmu. Ciągłe powstawanie i tłumienie cząstkowych buntów oswajało ludzi z myślą i widokiem męczeńskich śmierci. Walczono tam nieustannie i o wszystko. Z murów miejskich zrzucano orły cesarskie, psuto dzieła architektury rzymskiéj, przeszkadzano wznoszeniu posągów, odmawiano cesarzowi tytułu pana, bo Bóg jeden był „panem“ Izraela; wzbraniano się od płacenia podatków; wybuchano zgrozą przeciw różnym czynnościom administracyi rzymskiéj, jak naprzykład spisowi ludności krajowéj. Temu niezmordowanemu opieraniu się żywiołom obcym towarzyszyło wytężone strzeżenie wszystkich cech swojskości. Faryzeusze stanowiący patryotyczną demokracyą narodu i wbrew we wszystkiém przeciwni kosmopolitycznéj arystokracyi saducejskiéj, w skrupulatném, do najdrobiazgowszéj kazuistyki posuniętém spełnieniu przepisów zakonu, widzieli najważniejszy z obowiązków i ratunkowych środków ówczesnego położenia. Dla pociągnięcia ludu swym przykładem, a może i dla zamanifestowania uczuć narodowych przed Rzymianami, pełnili oni ten swój obowiązek ostentacyjnie, z umyślną i przesadną pompą, podnosili do kapitalnego znaczenia każdy suchy i już przeżyty drobiażdżek kultu. Po za tém stronnictwem, więcéj może polityczném niż religijném, istniały jeszcze stronnictwa i sekty inne. Powstawali wtedy właśnie Zelatorowie czyli gorliwcy, z krańcowym fanatyzmem, przez miecz i ogień niszczący każdy objaw przeciwny narodowéj religii lub niepodległości. Byli Esseńczycy, nauczający czystości i wzniosłości życia, a omywający się z grzechów przez symboliczne zanurzanie się w wodzie; Ebionici, stowarzyszenie ubogich, łagodnych, pokornego serca, miłych Panu w swém ziemskiém poniżeniu. Mnóstwo taumaturgów, czyli cudotwórców obiegało ten kraj wzburzony i udręczony i dobre przyjęcie znajdowało u tłumów, spragnionych widoku rzeczy nadziemskich i nadprzyrodzonych. Zepsucie moralne, pycha i zobojętnienie dla spraw narodowych duchowieństwa wyższego, budziło w ludzie wstręt i oburzenie i umniejszało powagę kultu, którego przedstawicielami byli kapłani chciwi, dumni, rozpustni, kupczący rzeczami świętemi.

Wtedy to właśnie, w téj atmosferze burz i udręczeń, suchéj kazuistyki i zarazem żywego ruchu umysłów, rozległ się głos niewy-

mownie słodki i wzniosły, nauczający, że Bóg nie jest srogim i mściwym panem, ale ojcem dobrotliwym, który słońcu wschodzić każe zarówno dla złych, jak dla dobrych i wobec którego wszyscy ludzie, bez różnicy pochodzenia, stanu i wiary są sobie braćmi. Była to nauka doskonałéj dobroci i czystości serca, wyłączająca gniew, zemstę, pychę, ubieganie się za korzyścią i użyciem ziemskiém, a na ich miejsce wynosząca przebaczenie bez warunków i granic, litość powszechną, cierpliwość, wznoszenie uczuć i myśli ku niebieskiemu ojcu. Była to nieprzyjazna bogactwu i wyrafinowanéj mądrości apoteoza ubóstwa i prostoty ducha. Była to nakoniec doktryna idealna, zupełnie oderwana od kultowego formalizmu i drobiazgowéj kazuistyki starego zakonu, zalecająca budowanie świątyń dla niebieskiego ojca nie w żadnych miastach i nie na żadnych wzgórzach, ale w sercach ludzkich.

Pomimo powierzchownego prześlizgiwania się po szeregu moralistów z żydowskiéj przeszłości, Renan uznaje, że oprócz pojęcia Boga jako ojca (bardzo zresztą płodnego w moralne wywody i następstwa) doktryna ta nie zawierała prawd i zaleceń, któreby wprzódy już wypowiadanemi nie były. Ale—dodaje on z zupełną słusznością — przyjęcie przez ogół nauki jakiejś, zależy wielce od przymiotów, cechujących jéj głosiciela. Aforyzmy ewangeliczne sprawiają wcale inne wrażenie niż te, które znajdują się w poprzedzających je pismach. Wieje z nich duch poezyi, entuzyazmu i szerokości uczuć, obejmującéj całą ludzkość. Mało oryginalna w tém znaczeniu, że wszystkie zdania jéj i przepisy były już wprzódy wypowiedzianemi, moralistyka ewangeliczna nie przestaje być przeto najzupełniejszą kodyfikacyą najwyższych pomysłów ludzkiego ducha i najpiękniejszą ustawą dla cnotliwego życia ze wszystkich, które kiedykolwiek kreślili moraliści świata. Oprócz zlania w jedną i zgodną z sobą całość, oderwanych dotąd kwiatów uczuć idealnych, oprócz przenikającéj tę całość poezyi i niezrównanéj dobroci, wrażenie sprawiane przez naukę nowego mistrza potęgował duch chwili ówczesnéj. Była to chwila wytężonego oczekiwania, pod którego wpływem wszystko nabiera niezwykłych znaczeń i ulega subtelnym tłómaczeniom. Jezus w przemówieniach swych nazywał siebie *synem Bożym* i mówił często o *królestwie bożem*. Były to wyrażenia mesyaniczne, znane dobrze ówczesnemu pokoleniu z ksiąg Daniela, Enocha i apokryficznych apokalips, przywodzące koniecznie na pamięć finalne katastrofy tego świata złości i ucisku i przyjście na ziemię ery pokoju i szczęścia.

Liczni i zachwyceni nauką mistrza uczniowie ujrzeli w nim mesyasza, czyli tego proroka nad prorokami, którego przybycie na

świat zwiastowało koniec bieżącéj, a bliskie nadejście nowéj ery świata. Ale oczom Faryzeuszów i Saduceuszów nowa nauka ukazała się we wcale innéj postaci. Ujrzeli w niéj oni pierwiastki wbrew przeciwne własnym zasadom i dążeniom. Umieszczając religią w sferze idealnéj, moralnością uczuć i życia zastępując formalistykę kultową, głośno i energicznie potępiając tych, którzy pobożność i doskonałość widzieli w drobiazgowém pełnieniu materyalnych przepisów zakonu, nowa nauka nie tylko draźniła dumę i raziła prawowierność Faryzeuszów, ale dążyła ku obaleniu tego, co poczytywali oni za ochrończy mur Izraela. Saduceusze znowu, skosmopolityzowani i z władzą rzymską pogodzeni, dbając przedewszystkiém o spokojne i legalne zachowywanie się ludności, drżeli przed każdą nowością, wywołać mogącą żywsze ruchy ludowe. Oświeceni i sceptyczni, nie podzielali oni narodowych wiar i nadziei; w życiu towarzyskiém i umysłowém zbliżeni do Rzymian, widzieli, że walka z tą potęgą byłaby nietylko daremną, lecz w ostatecznych wynikach swych zgubną, i że tylko w przedłużającym się pokoju spoczywała nadzieja przedłużenia bytu ich ojczyzny. Były to najpotężniejsze i najbardziéj wpływowe stronnictwa. Saduceusze dzierżyli wielkie bogactwa i najwyższe godności krajowe, a także wspierali się na powadze i sile władz rzymskich; Faryzeusze poważani i kochani przez naród jako patryoci i skrupulatni zachowywacze Zakonu, byli zarazem w synagogach i szkołach nauczycielami ludu. Walka pomiędzy dwoma temi potęgami, a głosicielem nowéj nauki, zawiązała się wnet po przybyciu Jezusa do Jerozolimy. Śledzono go bacznie i niespokojnie, zastawiano nań sieci z podstępnych zapytań i rozsiewanych pogłosek. Dążono do kompromitowania go w obec sanchedrynu, którego zadaniem było sądzenie przekroczeń religijnych i w obec władz rzymskich, bez których zatwierdzenia żaden wyrok śmierci spełnionym być nie mógł. Jezus na zaczepki i podstępy odpowiadał subtelną ironią, albo coraz otwartszém i bardziéj energicznem gromieniem tych, którzy płacili dziesięcinę od ziarnka mięty, anyżu i kminu, a zaniedbywali sprawiedliwość, litość i uczciwość; którzy szeptali długie modlitwy, a z nad głów wdowich zrywali dachy; którzy filtrowali swe wino, aby nie połknąć z niém owadu a przełykali wielbłądy; którzy doglądali zewnętrznéj czystości półmiska, a wnętrze zanieczyszczali chciwością i zdzierstwem; którzy byli podobni grobom pobielanym, na zewnątrz pięknym lecz w głębi pełnym zgnilizny i trupich kości. Do entuzyastycznych tych potępień, przyłączały się groźby: zniszczenia świątyni wzniesionéj z cegieł a zastąpienia jéj przez inną, któréj ludzka ręka budować nie będzie; odebrania królestwa bożego zepsutemu i proroki swe krzyżującemu lu-

dowi, a obdarzenia niém pogan. W zapale walki, staczanéj przez jednostkę otoczoną nieliczném gronem wiernych, z najsilniejszemi i najwpływowszemi potęgami kraju, przedziwna słodycz i pogoda galilejskiego nauczania ustępuje miejsca wrzącéj potędze i energii słowa. Teraz już Jezus sam nazywał siebie nietylko synem Bożym ale Mesyaszem, czyli Zbawcą świata, a podstępnie zapytany, czyli uznaje się za żydowskiego króla, odpowiedział twierdząco, dodając, że królestwo Jego nie jest z tego świata. Stało się zadość żądaniom Faryzeuszów i Saduceuszów. Sanchedryn ścigać musiał tego, który mianował się „synem Bożym“, przekładał pogan nad Żydów i groził zniszczeniem jerozolimskiéj świątyni; w obec władz rzymskich, oskarżenie o mianowanie się królem żydowskim, posiadało wagę pewną, tém większą, że na cesarskim krześle zasiadał w Rzymie podejrzliwy i prokuratorów swych trwogą napełniający Tyberyusz.

Takie to zawikłania polityczno-społeczne i psychiczne usposobienia różnych odłamów żydowskiego społeczeństwa, sprowadziły dramat uwięzienia, stawiania przed różnorodnemi sądami i nakoniec śmierć Jezusa. Na tym szerokim i do głębi wzruszającym obrazie, mistrzowskie pióro autora kreśli w plastycznych i zarazem subtelnych rysach postaci lub profile działających w nim osób. W różnobarwnéj grupie, złożonéj z Faryzeuszów i poddanego ich wpływom motłochu, z duchownych i świeckich żydowskich dostojników i Jezusowych uczniów, oryginalnością fizyonomii swéj wyróżnia się prokurator cesarski w Palestynie, Pilatus Ponticus. W czasach cesarstwa Rzymianie udzielali podbitym przez się ludom szerokich praw autonomicznych i zupełnéj swobody wyznaniowéj. Wogóle po za pojedynczemi wyskokami tyranii niektórych cezarów, panowała w duchu obyczajów i ustaw rzymskich zupełna wolność słowa; po za wyjątkowém w ich dziejach i specyalnemi przyczynami spowodowaném prześladowaniem chrześcianizmu, nie znali oni wcale religijnéj nietolerancyi. Praktyczne przeważnie cele na oku mając, w wyższych warstwach społecznych przeniknięci światłem nauki i filozofii, trudnili się oni w krajach podbitych budowaniem dróg i gmachów publicznych, odbieraniem podatków państwowych, dokonywaniem w celach wojskowych i administracyjnych dokładnych spisów ludności, wznoszeniem miast, urządzeniem żeglugi, handlu i przemysłu. Dopuszczali się oni częstych i ciężkich nadużyć, lecz tylko na materyalnych dobrach krajów i ich mieszkańców; ducha narodowego bezpośrednio nie dotykali nigdy, żadnych pęt nie wkładając na obyczaje, wiarę, mowę i nauczanie. Teologiczne szczególniéj dociekania i spory całkiem były dla nich obojętne i nawet niezrozumiałe. Znajdowali się względem nich nietylko obojętnie ale nawet wzgar-

dliwie, wszelkie podobne zatargi uważając za piętno cywilizacyjnéj niższości narodu. I tutaj także, wytworny profil patrycyusza rzymskiego przesuwa się przed nami, z uśmiechem ironii na ustach a zarazem, z litością i wzruszeniem w oczach. O co tym ludziom idzie? Co znaczy ten zakon, w którego obronie tak gorliwie stają, i te nadnaturalne wyobrażenia i określenia, przeciw którym tak zażarcie walczą? Cóż występnego popełnił ten, którego śmierci żądają? Głosił nową naukę? W Rzymie wszystkiego nauczać można, co tylko nie godzi na porządek i spokój publiczny. W nauce Chrystusa prokurator rzymski nic karygodnego nie dostrzega. W ojczyźnie jego byłby to poważaniem publicznem otoczony filozof lub moralista. Nauka ta nawet wzrusza go i zdobywa jego szacunek. Czyż nie brzmi w niéj jakby echo tych uczuć i pojęć, które Cyceron ogarnął trzema słowy: *caritas generis humani*, a w niewiele lat późniéj Seneka miał zamknąć w czterech: *homo res sacra homini*? Rzymski prokurator broni oskarżonego wszelkiemi sposoby, jakich dostarcza mu kompetencya jego władzy. Ale Jezus nazwał się królem żydowskim, oskarżenie to stwierdzają świadkowie, w Rzymie panuje podejrzliwy, okrutny Tyberyusz. Po szlachetnym profilu rzymianina, napiętnowanym dotąd ironią i litością przebiega drgnienie trwogi. Lęka się delatorów, drży przed srogą odpowiedzialnością, która go dotknąć może, jeżeli oszczędzi tego, którego poczytano za buntującego przeciw cesarskiéj władzy naród podbity. Po wielu jeszcze wahaniach, próbach ratunku i nawet wybiegach, urzędnik i poddany cezara podpisuje wyrok śmierci, ale uczeń nauki i filozofii greckiéj, ziomek Lukrecyusza, Wirgilego, Cycerona i Seneki, z gniewem i żalem zrzuca odpowiedzialność za krew niewinnego na głowy fanatycznych i zażartych jego oskarżycieli.

W następnym tomie noszącym tytuł: „Apostołowie" Renan używa w najrozleglejszém jéj znaczeniu, téj zdolności, którą uważa za podstawową i niezbędną dla krytyki historycznéj, zdolności rozumienia stanów społecznych i psychicznych, najbardziéj różniących się ze współczesnością pisarza. Stan ludzkości w ogóle, a w szczególności i najbardziéj ludności wschodnich, niesłychanie odrębny do tego, pośród którego dziś żyjemy, tłómaczy najpierwotniejsze powstanie dogmatów chrześciańskich. Chrześcianizm był ewolucyą ducha ludzkiego, która, zanim objęła wszystkie odłamy i warstwy ludzkości, dokonała się w łonie klas ludowych przedewszystkiém, w niższych warstwach ludu Palestyńskiego. Fakt ten pozostałby niewytłómaczonym, gdybyśmy lud ówczesny i tamtejszy wyobrażali sobie na wzór klas niższych w dzisiejszych społeczeństwach europejskich. Takie właśnie zmieszanie pojęć prowadzi do wniosków najbłędniej-

szych; bo zjawiska moralno-umysłowe, które przy dzisiejszym stanie rzeczy powstaćby mogły chyba cudem, w stanie ówczesnym były naturalnym wynikiem zawartéj w nim sumy przyczyn. Prostacy z pierwszego wieku ery naszéj, szczególniéj prostacy greccy albo wschodni, nie byli w najmniejszéj rzeczy podobnymi do dzisiejszych europejskich prostaków. Przedewszystkiém, pochodzili oni z ras obdarzonych temperamentem żywym, wielką siłą uczuć i wyobraźni, któréj nie tłumiły ani surowość klimatu, ani brzemię ciężkich materyalnych potrzeb. Wprawdzie, aby módz żyć, musieli oni pracować fizycznie, ale suma wysileń ich była bardzo małą. Każdy tam wykonywał jakieś rzemiosło, lecz oddawał mu zaledwie drobną część swego czasu, bo potrzeby życia bardzo małe zadawalniały się z wielką łatwością. Warunki klimatyczne upraszczały odzież; pożywienia, w szczupłéj ilości potrzebowanego dostarczały płody, zdobywane bez wielkich, a czasem i żadnych trudów, u bogatéj i żyznéj natury. Wiele więc czasu ludzie ci poświęcać mogli spoczynkowi i wpatrywaniu się tak w samych siebie, jak w otaczającą ich przyrodę, nie chłodną i umiarkowaną jak nasza, lecz pełną ruchu i kolorytu, poezyi lub grozy. Dziś, potrzeby materyalne są tak trudnemi do zadowolenia, że tylko ten, kto nie żyje z pracy rąk swoich, może się zajmować rzeczami oderwanemi od zmysłowego świata. Podówczas, lud, z natury swéj skłonny do marzeń i uniesień, długiemi godzinami i dniami mógł marzyć w cieniach winnic i oliwnych gajów, lub toczyć nieskończone spory w ścianach zborów ludowych, przed bramami i na rynkach miast. Obok rasowych i klimatycznych, ważne też miejsce zajmują edukacyjne warunki, śród których żył lud ówczesny. Nie był on tak grubo nieoświeconym, jakim jest dziś w wielu jeszcze miejscach i zarazem, większa niż dzisiaj przestrzeń dzieliła go ze wszelkim cieniem umysłowego krytycyzmu. Edukacya publiczna była tam w ten sposób urządzoną, że każdy przyjmował w niéj pewien udział. Wynikało to z pobudek religijnych, ale przywodziło z sobą następstwo niejakiego gimnastykowania i udelikatnienia władz umysłowych. Ówczesne szkoły opuszczając, prostak nie miał myśli tak ociężałéj i niemal martwéj, jak ten z dzisiejszych chłopów lub wyrobników, którego chociażby tylko sztuki czytania i pisania nie nauczono. Ale zkądinąd, był on znowu ciemniejszym jeszcze od tego chłopa lub wyrobnika, w którego umysłowy ustrój wnikać muszą choć drobne źdźbła napełniającego świat dzisiejszy, a w nauce źródło swe mającego krytycyzmu. Greko-rzymska nauka, bardzo niedostatecznie wyjaśniająca sprawy natury i ludzkości, zatrzymywała się w wyższych społecznych warstwach, wcale prawie nie przenikając do niższych. I tę przecież naukę z pobudek religij-

nych i politycznych Palestyna z całéj siły wytrącała ze swych granic. Tak zwani helenizujący czyli naukę grecką przyjmujący żydzi znajdowali się w Aleksandryi i pomiędzy żydowską arystokracyą; lud żydowski, nie wiedział o jéj istnieniu i nic wcale z niéj nie przyjmował. Ztąd, najzupełniejszy brak jakiegokolwiek sceptycyzmu, jakiejkolwiek krytyki i dziś już, nigdzie w Europie nie napotykaną bezbrzeżna i bezgraniczna łatwowierność. Wszystko, cokolwiek w chwilach długich spoczynków wyśniła wyobraźnia, wydawało się im prawdą widzianą na jawie; nic z tego, czego zapragnęły uczucia, nie wydawało się niemożliwém. Możliwość nie posiadała dla tych ludzi żadnych granic. Pola jéj, w szczególny sposób rozszerzanego przez ognistą ich wyobraźnię nie zwężały żadne rozumowe względy. W takich warunkach, entuzyazm rodzić się musiał z taką łatwością, z jaką dziś u nas rodzi się zwątpienie, a dosięgał stopnia temperatury tak wysokiego, że o podobnym nie mamy już pojęcia. Cóż, jeźli jakaś specyalna przyczyna, lub témbardziéj zbieg kilku specyalnych przyczyn, wprawiły w ruch i do ostatnich granic wytężenia doprowadziły te wszystkie cechy ówczesnych ustrojów ludzkich! Wtedy entuzyazm stawał się namiętnością tak potężną, że jak siła ślepa i w szalony pęd wprawiona, druzgotał przed sobą wszystkie naturalne i rozumowe zapory; wtedy powstawały wizye i sny, poczytywane najszczerzéj za najrzeczywistszą rzeczywistość, przedmioty ukochań i tęsknot oblekały się widzialnemi i dotykalnemi formami, przepowiednie, przestrogi, rozkazy i groźby przemawiały z każdego zjawiska natury i każdego najprostszego zbiegu okoliczności. Wtedy, to, co dzisiejsza medycyna nazywa histeryą lub halucynacyą, stawało się dla wielu naraz organizmów i przez ciąg całych istnień, stanem ciała i ducha zupełnie normalnym.

Zbiegiem psychicznych motorów, specyalnie działających na uczniów Jezusa, była niezmierna miłość dla mistrza i stosowanie do Jego osoby, przepowiedni i nadziei mesyanicznych. Mesyasz, który zstąpił na świat, aby z gruntu i korzeni przeistoczyć całą jego postać i aby przewodniczyć, mającemu nastąpić po wielkiéj katastrofie „królestwu bożemu“, nie mógł umrzéć wprzód, zanim te wszystkie straszne i wielkie rzeczy dokonanemi nie zostały. Tak utrzymywały przepowiednie ksiąg mesyanicznych. Z drugiéj strony, serca osieroconych po mistrzu uczniów tęskniły zanim rzewnie i pragnęły namiętnie widzieć znowu ubóstwione oblicze, słyszeć głos, który, tak niedawno jeszcze lał w nie potoki słodyczy i ukojenia. Długi szereg objawień, stwierdził przepowiednie mesyanizmu i uczynił zadość płomienistym pragnieniom dusz. Jezus zjawiał się swym wyznawcom i miłośnikom u krawędzi grobu swego, nad brzegami i na falach Ga-

lilejskich jezior, u szczytów wzgórz, w ścianach izb, gdy z rozrzewnionem o Nim wspomnieniem zasiadali do wspólnéj wieczerzy. Tchnienie Jego przynosił im każdy powiew wiatru; przybywanie Jego oznajmiało im każde skrzypnięcie drzwi; linie Jego oblicza i kształty Jego postaci zarysowywały się przed nimi w ruchomych falach wodnych i napowietrznych grach mgieł i świateł; obecność Jego zwiastowało im wzdymanie się własnych ich uczuć, wzbieranie piersi łzami i ogniem. Ewangelie różnią się z sobą w oznaczeniu czasu, przez jaki trwały te objawienia. Jedni oznaczają im trwanie półtora roku, inni kilku miesięcy; ostatecznie, zamkniętemi one zostały w obrębie symbolicznéj na wschodzie cyfry dni 40-stu. Co pewna, to że, gdy Apostołowie, po wycieczce swéj do Galilei, osiedli w Jerozolimie i wraz z garstką współmyślących utworzyli tam pierwszą chrześciańską gminę, dogmaty zmartwychwstania i wniebowstąpienia były już ustanowionemi. Jak niegdyś Mojżesz i Eliasz, z niebieską pompą i wspaniałością, żywcem zostali przeniesionymi z ziemi do nieba, tak Jezus zadaną mu śmierć zwyciężywszy, żywy i w oczach uczniów swych wzniósł się w sfery nadziemskie, gdzie u boku niebieskiego Ojca zasiadać będzie dopóty, dopóki nie przyjdzie blizki, bardzo blizki dzień spełnienia mesyanicznych przepowiedni. Materyalne zagadnienia, o które w tym rzędzie pojęć, co chwilę uderzaliby się ludzie dzisiejsi, nie zajmowały tam nikogo i dla nikogo nie istniały. Było to zwycięztwo zupełne, odniesione przez uczucie i ideę nad materyą i rządzącemi nią prawami. Gdy prawa te były nieznane i wszystkim obojętne, idea i uczucie panowały wszechwładnie. Pierwsze zgromadzenie wyznawców Jezusa prowadziło sposób życia bardzo podobny do późniejszych reguł klasztornych. Ściśle spojeni z sobą jedną miłością i jednemi nadziejami, nie posiadali oni żadnéj osobistéj własności. Ktokolwiek przystawał do gromadki Jezusowych uczniów. pozbywał się majątku swego na rzecz ogólną. Przywódzcy zgromadzenia rozdzielali dobro wspólne, dając każdemu wedle jego potrzeb. Zamieszkiwali wszyscy jednę dzielnicę miasta; jadali razem i do wspólnego spożywania wieczerzy przywiązywali znaczenia mistyczne. Długie godziny upływały im na modlitwach, które czasem bywały głośną improwizacyą, a czasem wewnętrznem, milczącém rozmyślaniem. Ekstazy bywały rzeczą codzienną i uchodziły za dar wysoki i natchnienie Boże. Doskonałéj ich zgody nie zakłócało nic: ani kłótnie dogmatyczne, ani spory o pierwszeństwo. Wszelkie różnice i niechęci topniały w cieple świeżych wspomnień o mistrzu. Nadawali sobie nazwę Ebionitów, czyli ubogich. Wierzyli silnie w blizki koniec świata. Zebrania ich nie posiadały żadnych cech liturgicznych; duchowieństwa nie było. Przywódzcami duchownymi

i administratorami majątku gminy, byli ci, którzy niedawno jeszcze najbliżéj znali i otaczali Jezusa. Kapłanem jedynym był Jezus; w inném znaczeniu, w znaczeniu cnoty i pobożności, wszyscy wyznawcy byli kapłanami. Co do specyalnych, religijnych obrządków, istniało ich jeszcze bardzo niewiele: praktykowane przez Eseńczyków zanurzanie się w wodzie: używane też w niektórych sektach żydowskich, a pochodzące z religii chaldejskiéj i perskiéj, przelewanie Ducha Bożego, przez przykładanie rąk starszego w gminie do głowy świeżo przyjmowanego członka. Chrzest przez wodę i chrzest przez Ducha ś-tego były niezbędnemi dla zostania członkiem gminy. Towarzyszył im znany w starożytności żydowskiéj, akt publicznego wyznawania grzechów. Choroby fizyczne, powszechnie przez żydów uważanemi były jako kary za popełnione przewinienia, albo sprawy złego ducha. Apostołowie leczyli je przez przykładanie rąk swych do głowy chorego i namaszczenie go oliwą. Wyzdrowienie poczytywało się za sprowadzone przez modlitwy i cnoty tych świątobliwych ludzi, odpuszczanie grzechów. W téj pierwszéj chwili chrześcianizmu nie pisano wcale. Pocóż utrwalać cokolwiek, gdy wszystko wnet będzie skończoném? W przeddzień zniszczenia swego świat nie potrzebuje książek, zarówno jak majątków. Śpiewano za to wiele; przy silniejszém wezbraniu natchnienia i ekstazy, wypowiadano proroctwa, nauki, głośne modlitwy. Wskutek nadmiernych wzruszeń język, którym przemawiano stawał się bełkotliwym, dźwięki i wyrazy mięszały się w nim i tworzyły słowa nieznane, pełne tajemniczości, w których słuchacze szukali znaczeń uroczystych i proroczych. Kto nie umiał nauczać, improwizować modlitw, przepowiadać i leczyć, płakał. Łzy, poczytywane były za akt nabożeństwa, płacz wtórzył modlitwom, kazaniom, przestrogom. Był to stan ciągłéj i wytężonéj ekstazy. Wizye wskazywały drogi postępowania; sny i proste zbiegi okoliczności przepowiadały przyszłość. Świat i życie pływały w nadprzyrodzoności.

Dziwnym zbiegiem sprzeczności, który tylko w tego rodzaju umysłach i epokach istniéć może, powyższym usposobieniom, do najwyższego stopnia idealistycznym, towarzyszyło nietylko wierne, ale żarliwe spełnianie wszystkich materyalnych przepisów mojżeszowego prawa. Pod tym względem członkowie pierwszéj gminy chrześciańskiéj nie pozwalali sobie na najdrobniejsze odstępstwa. Szczególniéj Jakób, nazywany „bratem pańskim", który posiadał w gminie powagę równą powadze Piotra albo i jeszcze wyższą, odznaczał się tém namiętném przywiązaniem do rytuału starego zakonu, tą wiarą w jego zbawienność i tém skrupulatném, a zarazem manifestacyjném pełnieniem jego przepisów, które stanowiły wybitne cechy Faryzeu-

szów. Oderwanie się od żydowskich tradycyi i obyczajów nie przychodziło im na myśl. Nowa nauka miała być w ich mniemaniu tylko kontynuacyą i udoskonaleniem staréj. Jezus przyniósł ją żydom i żydów tylko dotyczyły wkrótce spełnić się mające obietnice mesyaniczne. Z pojęć tych jako proste następstwa wynikało naprzód: że wyznawcy nowéj wiary poczytywanymi byli i poczytywali się sami za sektę, powstałą w łonie judaizmu i nierozerwalnie z judaizmem połączoną, następnie, że prozelityzm ich, wyłącznie skierowany ku Palestynie i jéj stolicy, w pewnym stopniu oddziaływał na kraje sąsiednie, jako to: Syryą, Małą Azyą i Egipt, ale szerokich przestrzeni zachodu: Grecyi i krajów rzymskich, wcale na oku nie miał. Owszem w wyobrażeniach tych najpierwszych chrześcian, były to kraje zatracenia, napełnione bałwochwalstwem i nieprawościami. One to właśnie miały być tym probierzem, który wykaże istnienie sprawiedliwości Bożéj, albowiem tuż tuż nadchodzący dzień odnowienia świata, przynosząc dla Izraela tryumf i doskonałą szczęśliwość, stanie się dla nich dniem kary, pomsty i zagłady.

Na szczupłém więc polu działający prozelityzm chrześciański czynił jednak szybkie postępy. Słodycz i poetyczność jego moralnéj doktryny, pocieszająca wiara w blizkie spełnienie się mesyanicznych obietnic i ściśléj niż gdziekolwiek indziéj określone pojęcie zmartwychpowstania, pociągały ku niemu dusze łagodne i kochające, albo strapione i niespokojne. Pociągniętemi ku niemu uczuły się szczególniéj dusze poniżone i trawione poszukiwaniem prawdy. Licznie do nowéj nauki garnęli się judaizujący cudzoziemcy, to jest ludzie pochodzenia nie żydowskiego, lecz którzy przyjęli wiarę żydowską i w społeczeństwie żydowskiém zajmowali miejsce podrzędne. Byli to Syryjczycy, synowie Azyi Mniejszéj, Egiptu, Cyrenaiki. Już w saméni ich przystaniu do Mojżeszowego zakonu tkwił pierwiastek tego szlachetnego niepokoju ducha, który goni za ideałem i który ich skłaniał teraz do postąpienia jeszcze daléj. Opuszczając Jerozolimę, ci nawróceni zanosili do rodzinnych swych krajów to, co napełniało ich umysły i serca. Tym sposobem, bardzo wązkiemi zrazu strumieniami, chrześcianizm wylewać się zaczął z granic Palestyny. Ta okoliczność sprawiła, że zawiązki jego powstały bardzo wcześnie w miastach takich jak Antyochya, Damaszek i Aleksandrya.

Dla téj coraz liczniejszéj gromadki chrześcian, Faryzeusze nie uczuwali takich niechęci i podejrzeń, jakie budził w nich Jezus. Rzecz łatwa do zrozumienia. Rozległe pojęcia religii oczyszczonéj od formalistyki kultu i wspaniałe uczucie miłości, ogarniającéj cały ród ludzki, które stanowiły same jądro nauki mistrza, zanikając w rękach uczniów, przestało razić i trwożyć gorliwców żydowskiéj wia-

ry i odrębności. W zamian, Saduceusze, nienawidzący wszelkich ludowych ruchów, nie mogli obojętnie spoglądać na wzrastającą popularność gromadki prostaków, przepowiadających bliską zagładę możnym tego świata i niezawodny tryumf maluczkich. Ostatni wyraz dumnego, lękliwego o bezpieczeństwo własne arystokratyzmu i demokratyzm, posunięty aż do apoteozy ubóstwa i do wspólności dóbr, starły się i skrzesały iskrę prześladowania. Do kapłanów i bogaczów przyłączyła się zapewne i część jakaś Faryzeuszów, niechętnych, osłabiającemu naród rozłamywaniu się jego na religijne sekty. Apostołowie: Piotr i Jan, jako też niektórzy inni członkowie chrześcijańskiéj starszyzny, po kilkakroć więzieni, skazywani byli na biczowanie, karę, stosowaną do odszczepieńców. Wychodzili z kaźni pełni radości, że daném im zostało cierpiéć za ukochanego mistrza i jego naukę. Wtedy to podniósł się w sanchedrynie głos nie do chrześcianina należący, ale którego słowa „Dzieje Apostolskie“ zapisały ku uwielbieniu potomności. Wnuk Hillela, prawowierny mozaista, Gamaliel, wyrzekł do prześladowców: „Jeżeli sprawa ta jest próżnym wymysłem, nie zważajcie na nią, a upadnie sama przez się; jeżeli zaś tkwi w niéj mądrość i prawda, jakże śmiecie opierać się dziełu Boga? W każdym razie, uciskiem i krzywdami nie stłumicie jéj pewno!“ Przedziwne te słowa były próżną przestrogą i przepowiednią trafną. Prześladowanie, któremu ulegli wyznawcy chrześcianizmu zdwoiło ich zapał; zdwojony zapał popchnął ich do głośniejszego i gorętszego niż wprzódy nawracania. Najśmielszym i najwymowniejszym był Stefan, który do koła siebie, na rynkach stolicy i przed bramami świątyni, zgromadzał tłumy słuchaczów, złożone przeważnie z judaizujących cudzoziemców, pochodzących z Cyrenaiki, Aleksandryi, Antiochii, Efezu. Z namiętną wymową wołał on, że Jezus był Mesyaszem; że zadając mu śmierć, kapłani popełnili zbrodnię; że żydzi byli buntownikami przeciw Bogu, przeczącymi rzeczom jawnym. Groził zniszczeniem świątyni jerozolimskiéj i zastąpieniem praw mojżeszowych przez inne, mocą Jezusa. Wpadając w zwykłą chrześcianom ekstazę, wznosił wzrok ku niebu i twierdził, że otwiera się przed jego oczami i że w niém widzi Syna Bożego, stojącego po prawicy swego Ojca. Dla Żydów wszelkich odcieni, były to straszne bluźnierstwa przeciw Bogu, wierze i narodowi. Na Stefana wydano wyrok śmierci. Niema w historyi śladu, czy zatwierdziła go władza rzymska, czy też, gdy jeden z prokuratorów cesarskich usuniętym został od rządów, a drugi go jeszcze nie zastąpił, w chwilowym roztroju, uniknął on jéj wiadomości. Ale aktowi ukamienowania pierwszego męczenika chrześcianizmu przytomnym był jeden z najgenialniejszych mężów ludzkości, ten, który swe wpływy,

rozciągnąć miał na długi szereg wieków i pokoleń. Wykonawcy wyroku, mający na skazańca rzucać kamienie, zdjęli wpierw odzież swą i w oznakę czci złożyli ją u nóg przewodniczącego im w fanatyzmie i prawowierności, młodego Saula, z łacińska nazywanego Paulusem.

Zjawienie się tego człowieka na arenie świata, stanowi fakt, rozstrzygający losy epok i milionów. Jest-to postać olbrzymia, jedna z tych, które dyktują historyą ludzkości. Gdyby nie on, chrześcianizm ugrzązłby może w ciasnocie odrębności narodowościowéj i usechł w objęciu rytuałowych formuł i przepisów. Gdyby nie jego genialne pomysły i żelazna siła woli, to co stało się religią najoświeceńszéj części ludzkości, skonałoby może na dalekim wschodzie, jako sekta szerokim przestrzeniom nie znana i po krótkiém istnieniu zostawiająca za sobą takie tylko ślady, których odgrzebywaniem z pyłu zapomnienia trudnią się rzadcy szperacze. On to sztandar chrześcianizmu podniósł na tę wysokość, z której go ujrzał cały świat ówczesny; on też w myśl Mistrza wyrwał go z materyalnego gruntu starego Zakonu i rozwinął nad całą ludzkością.

W dziele Renana postać ta zjawia się w połowie 2-go tomu, a znika zaledwie w połowie 4-go i jest to, po Życiu Jezusa, najbardziéj zasadnicza część całego dzieła. Ze szczegółów zaczerpniętych w mnóstwie pism współczesnych i późniejszych, jako też z głębokiego wniknięcia w naturę dusz podobnych, powstaje przed nami plastyczny i subtelnie wycieniowany wizerunek fizycznéj i moralnéj istoty Pawła. Nie był to już prostak, ale człowiek, który otrzymał najwyższy stopień wykształcenia, jakiego sięgała narodowa edukacya w Palestynie. Obok tego umiał on po grecku, a ze zlatynizowanego imienia *Paulus*, które nosił, i z tytułu obywatela rzymskiego, który po ojcu odziedziczył, wnosić należy, że rodzina z której pochodził, nie była bez niejakich stosunków z cywilizacyą łacińską. Temu faktowi przypisać można większą u niego niż u jerozolimskich wyznawców, znajomość ówczesnego świata, wyższą światową ogładę i umiejętność używania w sposób oryginalny lecz pełen siły, wrodzonéj pisarskiéj zdolności. Tę szerokość poglądów na rzeczy ducha i ludzkości, które go uczyniły nieprzyjacielem starego kultu i zawiodły w świat pogan, wyniósł on może ze szkoły Gamaliela, Hilelowego wnuka, w której czas jakiś w pacholęcych swych latach przebywał. Jednak łagodność i tolerancya, odznaczająca hilelistów, nie przeniknęła nigdy w tę organizacyą zapalczywą, energiczną, zdolną zarówno do mistycznych ekstaz i wizyi, jak do praktycznéj i niestrudzonéj czynności. Była to natura tak nadzwyczajnie entuzyastyczna i czynna, że umiarkowanie i spoczynek na zawsze nieznanemi jéj pozostać miały. Był on fanatycznym i najczynniejszym prze-

śladowcą chrześcianizmu, dopóki nie został najgorliwszym i najpraktyczniejszym jego szerzycielem. Nic bardziéj zajmującém i głębiéj pojętém być nie może, jak rozbiór psychicznego procesu, który zmianę tę spowodował. W dziwnéj gmatwaninie rzeczy ludzkich nieraz wykazało się jawnie, że pobudkami do czynów złych i okrutnych bywają uczucia dobre i wspaniałe. Dusze prześladowców, któremi kieruje nie żądza osobistych korzyści, ale namiętne ukochanie idei, posiadają głębie pełne szlachetnych i bezinteresownych, a tylko zbłąkanych zapałów. Paweł prześladował chrześcian nie dla zysków i nie dla własnéj sławy, lecz przez nie znające granic przywiązanie do całości i jedności starodawnych wierzeń, podań i praw swéj ojczyzny. Kiedy sama żarliwość prześladowczych jego czynności wprowadziła go w bliską styczność z wyznawcami chrześcianizmu, wszystko, co w téj nauce wspaniałém było i wzruszającém, dotknęło wzniosłych i wrażliwych skłonności jego duszy. Słodycz i rezygnacya własnych jego ofiar zdumiewały go i napełniały litością; miewał sny, w których słyszał głosy uwięzionych, zapytujące go z łagodnym wyrzutem: za co nas prześladujesz?—Im więcéj przypatrywał się prześladowanym, tém więcéj spostrzegał, że prowadzili oni życie spokojne, nieszkodzące nikomu, oddane sprawom ducha, przeniknięte wzajemną miłością i bezgraniczną wiernością temu, który był już ukrytym przed wszelkiém ziemskiém okiem. Wszystko co słyszał o Jezusie przemawiało żywo do jego wyobraźni. Jak cały prawie świat ówczesny, wierzył w nadprzyrodzoność. Objawień przeto, w których Jezus po śmierci swéj zjawiał się swym uczniom, nie poczytywał za wymysł, albo złudzenie. Czasem zdawało mu się, że widzi sam słodkie oblicze tego mistrza, który uczniów swych natchnął tak wielką i trwałą miłością, spoglądające na niego z wyrzutem i politowaniem. Przychodziły mu na pamięć nauki łagodności i pobłażania, których kiedyś słuchał był w szkole Gamaliela. Umysł jego, ćwiczony w odbytych studyach, zaznajomiony ze zjawiskami szerszego niż Palestyna świata, nie był tak zmartwiałym i ciemnym, aby nie mogły budzić się w nim zwątpienia. Wątpił, czy znajduje się na drodze jedynéj do prawdy i Boga; czy stary Zakon jest najwyższym wyrazem religii; czy w tém, co prześladował, nie mieści się wzniosłość i świętość, wyższa nadto, czego dotąd był tak gorliwym obrońcą; czy mesyaniczna idea nie jest prawdziwą i czy prześladując uczniów Jezusa, nie prześladuje Mesyasza i nie sprzeciwia się zstąpieniu na ziemię „królestwa Bożego.“ Jak w podobnych wypadkach wszędzie i zawsze bywa, pociągom tym i zwątpieniom Paweł bronił się z całych sił swoich. Czuł, że jest bliskim ukochania tego, co budziło w nim dotąd żarliwą nienawiść i chcąc może zagłu-

szyć w sobie ten zaród buntu, więcéj niż kiedy rzucał się w odmęt prześladowczych czynów. Od jerozolimskiego arcykapłana zażądał pozwolenia, ścigania chrześcian po za granicami Jerozolimy i otrzymawszy je, udał się do Damaszku, gdzie, jak usłyszał, formował się właśnie silny zawiązek chrześciańskiéj gminy. Był to moment psychologiczny, w którym lada silniejsze wezbranie uczuć, lada bodziec pochodzący od fizycznego ustroju lub od zewnętrznéj natury, sprowadzić musi stanowczy przełom. Krajobraz, śród którego znalazł się Paweł w pobliżu Damaszku, pełnym był wspaniałości i poezyi. Przed sobą miał on miasto wychylające się z za gęstwiny drzew, za sobą potężną kopułę Hermonu, przerzniętego śnieżnemi bruzdami, na prawo i lewo wznosiły się i wiązały z sobą góry Horanu i Libanu; szumiały więzione w górach strumienie i rzeki. Z kilku towarzyszami swymi postępował on drogą okrążającą góry i wzgórza, ocienioną oliwnemi, orzechowemi, śliwowemi drzewami, które w cienistą ścianę spajała fantastycznemi sploty gęstwina winnych gałęzi. Czego duch Pawła, zmordowany już zwątpieniami i walką, doświadczać musiał pośród tych niebotycznych szczytów, na téj cienistéj drodze, naprzeciw tego miasta, w którego domach mieszkały przyszłe jego ofiary? Fizyczna jego organizacya była nerwową i słabą, chociaż przez siłę ducha, zdolną do olbrzymich trudów i wysileń. Nurtowała ją tajemnicza jakaś choroba, którą on sam w pismach swoich nazywa: „ostrzem, które Bóg zapuszcza mu w ciało.“ Była to zapewne jedna z tych chorób nerwowych, którym częstokroć podlegają ustroje z nadwerężoną przez wielką przewagę mózgu, harmonią całości. Wschodni skwar słońca padał mu na głowę; zmęczenie długiéj podróży osłabiało członki. Okolica, którą przebywał, była podówczas i pozostała dotąd siedliskiem gorączek, przybywających nagle i sprowadzających czasowe olśnienia. Przypuszczenie wybuchającéj burzy nie jest też niemożliwem. W górach Hermońskich grzmoty i błyskawice towarzyszą burzom z gwałtownością niesłychaną. Przedstawiają tu one w całém tego słowa znaczeniu ogniste ulewy. W dodatku, starożytność wogóle przywiązywała do burzy znaczenia tajemnicze i nadprzyrodzone; Żydzi mianowicie poczytywali grzmot za głos Boga, a błyskawicę za ogień boży.

W takim stanie ducha i ciała, śród takich obrazów i pod takiemi wpływami Paweł upadł śród drogi jak spiorunowany, oślepiony ciemnością, która rozpostarła się przed nim i na której tle ujrzał postać Jezusa, wołającego doń po hebrajsku: „Saulu, Saulu, dla czego mię prześladujesz?“ Chwila ta roztrzygnęła jego losy. W życiu człowieka nowożytnego, najmniéj choćby zbliżonego do współczesnéj wiedzy o naturze człowieka i świata, nie rozstrzygnęłaby ona nic. Ludziom

z przewagą refleksyi nad wrażeniami, objektywnego sądu o rzeczach nad subjektywném uczuciem, nie wystarcza widziéć i słyszéć, nie wystarcza nawet pragnąć i kochać, aby wierzyć. Wiedza i zrozumienie niszczy zarówno jak tworzy ich przekonania. Lecz tam i wtedy było wcale inaczéj. Nawet najgenialniejsi, nawet najoświeceńsi, wyłączać się nie mogą ze swoich ras, ze swoich klimatów, ze swoich czasów. Tę prawdę, którą światu przyniosła krytyka historyczna, pilnie miéć trzeba w pamięci, aby uniknąć różnorodnych omyłek w sądzeniu historycznych faktów i postaci. Bez niéj umieszczać je można zbyt wysoko albo zbyt nizko; w naturalnych koniecznościach upatrywać nadziemskość, lub we wczorajszéj wielkości widziéć dzisiejsze szaleństwo.

Z pomocą towarzyszy swych do Damaszku przybywszy, Paweł przez trzy doby pozostawał w stanie gwałtownéj gorączki i zupełnéj ślepoty. Przywiedziono doń chrześcianina Ananiasza, który przykładaniem rąk do jego ciała przywrócił mu wzrok i zdrowie. Paweł został chrześcianinem.

W trzy lata po tym wypadku chrześcianizm nie był już zamkniętym w granicach Palestyny i używanych przez żydów języków: hebrajskiego i syro-chaldejskiego. W krótkim przeciągu tego czasu rozszerzył się on po całéj Syryi, mówić zaczął po grecku i otrzymał tę nazwę, którą miał nosić w przyszłości. Dwa ostatnie fakty stały się w Antyochii, mieście wielkiém, bogatém, zamieszkałém przez syryjczyków i greków. Dotąd palestyńscy wyznawcy Jezusa nazywali siebie Ebionitami czyli ubogimi; ogół palestyński nadawał im nazwę Nazareńczyków, od miejsca urodzenia ich Mistrza. W Antyochii dopiero hebrajską nazwę: Mesyasz, przetłómaczono na grecką: *Christus*; wyznawcom zaś *Christusa* nadano imię, które z łacińską końcówką brzmiało *christiani*. Wszystko to stało się wskutek rozkrzewicielskiéj działalności Pawła, wspomaganéj przez kilka osobistości, które przywiązywały się do niego i pojęły jego myśli, a pomiędzy któremi, najwybitniejsze miejsce zajmował Barnaba.

Osią, około któréj obracały się wypadki lat następnych, były rozkrzewicielskie i ku zachodowi skierowane podróże Pawła, w połączeniu z niezgodami, które wszczęły się i coraz wzmagały pomiędzy Pawłem, a przywódcami jerozoliskiego chrześcianizmu. Przedmiotem niezgód tych było różne pojmowanie czynności, które zakon nowy spełnić miał względem starego. Według jerozolimitan, pierwszy był tylko kontynuacyą i udoskonaleniem drugiego, który ostać się miał w całości zupełnéj, aż do najdrobniejszego ze swych obrządków i przepisów. Według Pawła i jego stronników, nauka Jezusa obalała materyalną część staréj religii: czyniła niepotrzebnemi akt obrze-

zania i przepis rozdzielania przedmiotów żywności na czyste i nieczyste. Szło tu także o narodowy separatyzm Żydów, który nieprzyjaźnie spoglądał na małżeństwa mieszane i nie śpieszył się wcale z niesieniem „dobréj nowiny“ ludom oddanym bałwochwalstwu i bliskiéj pomście Boga. Zawieranie małżeństw pomiędzy żydami a członkami innych narodów, uchodziło w oczach chrześcian jerozolimskich za obrzydliwą i wstrętną rozpustę; nawracania pogan dokonywali wprawdzie niejednokrotnie, ale tylko wypadkowo, dorywczo, bez planu i chęci oddziaływania na szersze przestrzenie świata i ludzkości. Prozelityzm ich skierowany był wyłącznie na żydów lub innokrajowców, wyznających wiarę żydowską. Paweł przeciwnie o tém tylko marzył, aby naukę Mistrza roznieść od krańców do krańców ziemi, aby uczynić ją dostępną dla wszystkich ludów świat zamieszkujących.

W tych wolnomyślnych i kosmopolitycznych pomysłach Pawła, wysoki idealizm łączył się z praktycznością przenikliwą i zręczną. Z jednéj strony głębiéj od jerozolimskich wyznawców wnikając w naukę Jezusa, pragnął on jéj ideę wyrwać z materyi kultowych obrzędów i przepisów, a zarazem w myśl jéj Twórcy przypuścić do niéj cały ród ludzki. Z drugiéj strony rozumiał trafnie, że ród ludzki, że szczególniéj ucywilizowane ludy greckie i łacińskie nie zechcą jéj przyjąć wraz z obarczającém ją brzemieniem specyalnie żydowskich tradycyi i obyczajów. Doktryna jego polegała na wywyższeniu Jezusa nad wszystko, co było przed nim, tak wielkiém, że w obec wiary w niego i pełnienia jego rozkazów, wszystko co przedtém stanowiło religią, stawało się niepotrzebném. Wiara w Jezusa wystarczała do zbawienia: uczynki religijne, jakoto: obrzezanie, zachowywanie czystości jadła, unikanie związków z poganami, spełnienie nakazywanych przez stary kult modlitw i ablucyi były materyą obciążającą ideę i utrudniającą przystęp do niéj innokrajowcom. Pomysły te stanowiły w żydostwie prawdziwą rewolucyą, któréj z całéj siły oparli się jerozolimscy wyznawcy. Zaostrzająca się niezgoda wywołała wkrótce drażliwe kwestye osobiste. Paweł mianował się apostołem, utrzymywał, że w otrzymanych objawieniach widywał Jezusa, znał go więc tak samo jak bezpośredni jego uczniowie i tak jak tamci otrzymywał od niego bezpośrednie zlecenia i rozkazy. Jerozolimitanie z oburzeniem odrzucali te roszczenia niedawnego prześladowcy, dążące do zrównania go z nimi w powadze i dostojeństwie. Ze swéj strony Paweł posiadał zbyt odrębną i energiczną indywidualność, zbyt oryginalne posiadał pomysły, zbyt może był oświeconym, aby mógł pokornie przystać na rolę ucznia uczniów, ograniczać się na czynnościach wyznaczanych mu przez świątobliwą lecz w bardzo

szczupłych granicach pojęć zamykającą się gromadkę. Śmiałość, zuchwalstwo nawet, bywa najczęściéj nieodłączną cechą geniuszów. Te szczególniéj z pomiędzy nich, które mając na celu reformowanie religii ludzkości, miały zarazem niezłomną wiarę, że działały z polecenia i z pomocą nadprzyrodzonéj potęgi, niezłomnemi bywały w dążeniu po raz wytkniętéj drodze. Niechęć, potém nawet nienawiść jerozolimskich wyznawców, czyli judeo-chrześcian, usiewała drogę Pawła przeszkodami, upokorzeniami, wszelkiego rodzaju cierpieniami i walkami. Nie odstąpił jednak nic z tego, co było w nim obmyślaném głęboko i silnie postanowioném; nie przestawał pomysłów i postanowień swych spełniać na drodze czynów. Czynami temi były trwające przez lat blisko 20 rozkrzewicielskie jego podróże po Syryi, Azyi Mniejszéj, po wybrzeżach, wyspach i miastach greckich. Owocem ich stały się liczne i możne zbory, czyli kościoły chrześcijańskie, powstałe w Galacyi, Frygii, Mysyi, w greckich miastach Koryncie, Filippach, Kolossach, Efezie i t. d. W 58-m roku ery naszéj przybywszy do Jerozolimy w celu porozumienia się z przeciwnikami swymi, został zagrożonym utratą życia. Rozsiewane niechętnemi dlań dłońmi ziarna, wydały owoc. Wzburzona przeciw niemu ludność stolicy już zamordować go miała, gdy z rąk jéj wyrwały go władze rzymskie. Nic wcale nie rozumiejąc z metafizycznych zagadnień, o które ta fanatyczna ludność tak zażarte i nieustanne prowadziła spory, prokurator cesarski skazał Pawła, w charakterze burzyciela publicznego pokoju, na karę biczowania. Teraz on, którego dawném marzeniem było dotarcie do stolicy świata, któremu niedawno we śnie objawił się Jezus, mówiący: „Pawle, Pawle, jakoś świadczył o mnie w Jerozolimie, tak w Rzymie świadczyć będziesz“; odwołał się do swego tytułu obywatela rzymskiego i żądał przedstawienia sprawy swéj cesarzowi. Obywatela rzymskiego władze prowincyonalne nie miały prawa skazywać i karać; obywatel rzymski, na jakimkolwiek punkcie olbrzymiego państwa znajdujący się, miał prawo odwołać się do jego centralnych sądów i żądać stawienia go przed sprawiedliwością senatu i cesarza. Żadnemu z rządców Palestyny nie było przyjemném ani dogodném rozstrzygać sprawy, które z powodu różnic rasowych i cywilizacyjnych, osłonięte były przed nimi nieprzeniknioną ciemnością. Paweł otrzymał miejsce na odpływającym od brzegów Azyi okręcie i w charakterze więźnia stanu uwiezionym został do Rzymu.

Na tym wypadku wielkiéj dziejowéj wagi, jakim było udanie się apostoła pogan do stolicy pogańskiego świata, kończy się tom 3-ci historyi początków chrześcianizmu. W 4-m, noszącym tytuł Antychryst, obok ostatniéj fazy działalności Pawła ujrzymy krwawy mo-

ment Neronowego panowania, pierwsze przez państwo rzymskie prześladowanie chrześcian, powstawanie wiary w boskość Jezusa, olbrzymie, apokaliptyczne marzenia pustelnika z Patmos; nakoniec, katastrofę narodowego powstania w Judei i ostatecznego upadku politycznéj odrębności Żydów, wraz ze zburzeniem głównego jéj ogniska: jerozolimskiéj świątyni. Był to rok 70-ty ery naszéj. Wypadki lat najbliżéj go poprzedzających i kończąca je katastrofa, niby świetny i przeraźliwie dramatyczny finał, zamyka ten najpoczątkowszy okres powstawania rozwoju i szerzenia się chrześcianizmu. Cztery opisujace go tomy, stanowią pełną i zamkniętą w sobie całość, którą czytać można w oderwaniu od 3-ch następujących i ostatnich. *Ewangelie*, *Kościól chrześciański* i *Marek Aureliusz*, prowadzą nas po przestrzeni przeszło lat stu, od panowania Wespazyana i jerozolimskiéj katastrofy, do śmierci Marka Aureliusza, czyli do końca epoki noszącéj imię Antoniuszów, epoki która była najwspanialszym wykwitem cywilizacyi i cnoty pogańskiej, a któréj przeminięcie zapewniło w przyszłości powszechny tryumf chrześcianizmu.

Pobieżny rozbiór trzech pierwszych tomów dzieła mógł tylko wskazać używaną przez autora metodę dochodzenia i tłómaczenia historycznych faktów a zarazem dotknąć kilku wytycznych punktów długiéj i mnóstwem szczegółów napełnionéj drogi. Niepodobném tu było wykazanie całéj plątaniny wypadków, pochodzącéj od różnorodności działających ras, cywilizacyi, ścierających się z sobą idei i namiętności; niemożliwém téż należyte przedstawienie artystycznych cech dzieła, które wyróżniają je z pomiędzy wielu dzieł podobnéj treści. Pomimo pilnego i prawie pedantycznego komentowania dokumentów historycznych, pomimo rozwiniętéj na całéj linii wypadków i twierdzeń erudycyi, Renan pozostał w dalszych tomach tego dzieła, tak jak był w pierwszym, artystą i poetą. Nie wszędzie właściwości te towarzyszą mu w jednéj mierze. W *Ewangeliach* i *Kościele chrześciańskim* dochodzenie źródeł i stwierdzanie autentyczności starożytnych dokumentów, opisywanie powstawania organizacyi i hierarchii kościelnéj, rozbiór sekt i odszczepieństw, które od schyłku pierwszego wieku ery, niepokoiły prawowierność i wpływały na kształtowanie się nowéj religii, zbyt suchym i zawiłym były materyałem dla poetycznych i artystycznych skłonności. Jednak, daremnie,—jak opisuje to w swych wspomnieniach,—rok cały spędził na gaszeniu stylowych blasków, na sprowadzaniu do naukowéj prostoty i obiektywności, pierwszego tomu swego dzieła. Życie Jezusa, pomimo tych usiłowań, nie przestało być jednym z najpiękniejszych poematów, na jakie kiedykolwiek zdobyła się prasa francuzka. I w dalszych także tomach, czytelnik przenikliwy i z procesami twór-

czości zaznajomiony, spostrzega pracę pióra, dążącą do szczędzenia wyrazów, do zamykania okresów w najkonieczniejszych ich rozmiarach, do używania w obrazach jak najmniejszéj ilości barw i linii. Usiłowania te przecież nie zdołały przeistoczyć natury pisarza. Pióro powściągane, nie przestało wydawać melodyjnych akordów stylu, albo przemieniać się w pędzel i rylec. Trudno o styl dźwięczniejszy i słodszemi falami melodyi płynący, jak ten, którym opisywane są momenty tworzenia się pierwszych dogmatów chrześcianizmu, uczucia i uniesienia pierwszych chrześcian, walki Pawła z jego przeciwnikami, w epicznym prawie tonie opiewane, apostolskie jego podróże. Trudno o dramatyczniejszy sposób przedstawiania wypadków, jak ten, który użytym został w scenach objawień Jezusa, nawrócenia Pawła, jego ostatniego pobytu w Jerozolimie. Najpodrzędniejsze nawet postacie nabywają pod tém piórem dotykalnéj niemal plastyczności i odróżniających je cech indywidualnych, a cóż z takiemi, które jak Jezus, Paweł, Piotr, Jakób, dostojnicy żydowscy i rzymscy, stanowią osie i jądra opowiadania. Te już stają przed oczami czytelnika z taką wyrazistością rysów, z taką nawet może jaskrawością kolorytu, że raz osiadłe w pamięci, nigdy z niéj umknąć nie mogą. Na Jakóbie „bracie pańskim", najwpływowszym z judeo-chrześcian, widzimy niemal każdą nitkę jego pompatycznéj szaty; w obliczu Pawła, przeliczyć prawie możemy wszystkie zmarszczki, które na nim wyryły cierpienia i energia ducha, wszystkie drgnienia, któremi je wstrząsały ekstatyczne rozkosze i namiętne spory. Opisowość nie ustępuje bynajmniéj w artystycznéj swéj sile plastyce i dramatyczności. Potoki barw tak świeżych i słodkich jak rajska sielanka, zdają się spływać na pióro autora z galilejskiéj przyrody pogodnéj, cichéj i żyznéj. Na drodze do Damaszku widzimy otaczające ją szczyty, słyszymy szmery górskich strumieni, czujemy skwar wschodniego słońca, oślniewa nas hucząca nad nią burza i orzeźwiają cienie jéj winnic i drzew. Szerokie i szczegółowe obrazy miast wielkich, jak np. Antyochia i Ateny, roztaczają przed czytelnikiem wykwintne perspektywy architektoniki klasycznéj i pozwalają mu zapuszczać głębokie wejrzenia w zawiłe ruchy, w fizyczną i psychiczną pstrociznę ich wieloplemiennych i wielojęzycznych ludności.

Nie same jednak te wysokie zalety pióra, które w téj mierze posiadać mogą tylko wielkie twórcze talenty, przeszkadzają autorowi do zupełnie przedmiotowego przedstawienia wyników naukowych swych badań. Rzecz przedstawiona pięknie, nie musi być koniecznie przedstawioną fałszywie a chociaż uroki stylu, siła dramatyzacyi, plastyczność i barwność opisów, przysłaniają czasem suche szkielety faktów, albo łagodzą surowość i śmiałość wniosków, to przecież z za

nich, jak z za kwiecistych girland można dokładnie zobaczyć prawdę. Przedmiotowości naukowéj i chłodnéj, daleko więcéj niż artystyczne jego usposobienia, stają na przeszkodzie niektóre umysłowe cechy i uczuciowe skłonności autora. Przedewszystkiém, jest on sceptykiem spostrzegającym na każdym punkcie umysłowego widnokręgu mnóstwo wątpliwości. Następnie chrześcianizm odpowiada wybornie najgłębszym skłonnościom jego duszy: i nie podobna prawie wątpić, że wychowanie otrzymane na łonie kościoła, wpoiło w niego pewną sumę przyzwyczajeń i zamiłowań sobie właściwych a tak niepozbytych, jak niepozbytemi bywają najczęściéj pierwsze wrażenia i nauki życia. Z tego wszystkiego w traktowaniu przedmiotu dzieła wynikają: ostrożność, miękkość, a nawet czasem chwiejność twierdzeń i takie rozkładanie świateł i cieniów, które uwydatnia i uświetnia tę stronę obrazu, która w autorze budzi sympatyą i poszanowanie, uszczupla zaś i półcieniem okrywa tę, która własnéj jego naturze nie jest pokrewną i miłą. Tym to usposobieniom przypisać należy, że jak w Życiu Jezusa, skrócił perspektywę historyczną przez zbyt lekkie prześliźnięcie się po zjawiskach i ideach, z których jak strumień z głębokiego swego źródła wypłynął chrześcianizm, tak w dalszych tomach swego dzieła, w szczególny sposób zwęził i przyćmił to niezmierne pole pogańskiego świata, na które spadły posiewy chrześcianizmu. Wprawdzie, w tomie drugim, poświęcił on rozdział jeden na obejrzenie stanu cywilizacyi grekorzymskiéj, w pierwszym wieku naszéj ery, rozdział napisany w sposób zwyczajny pióru jego, szeroki i ozdobny lecz pozostawiający w cieniu wiele szczegółów kapitalnych i któreby na tę cywilizacyą rzucały światło przyjazne. Nie dosyć widzimy tutaj, jak pokrewnemi moralnéj doktrynie chrześciańskiéj były niektóre z filozoficznych szkół starożytności i jak bardzo przygotowany grunt znalazła ona dla siebie w złagodzeniu obyczajów, w coraz głębiéj przejmującym umysły szacunku dla każdéj istoty ludzkiéj i coraz więcéj szerzących się uczuciach litości i miłosierdzia. Jakie wpływy łagodzące i doskonalące, obok tych, które psuły i denerwowały, wywarł na społeczeństwa ówczesne tak zwany „pokój rzymski?“ Jakie zmiany już zaszły w położeniu ludności niewolniczéj i jakie przyczyny polityczne i moralne gotowały dla niéj zasadnicze ulepszenia i reformy? Jakie dzieła społecznéj współpomocy i publicznego miłosierdzia istniały już w zawiązku, albo nawet i w pełnym rozwoju? Dla tych i wielu podobnych zapytań, mających ścisły związek z przyczynami i następstwami rozprzestrzenianie się nowéj religii w świecie pogańskim, daremnie szukaćbyśmy chcieli odpowiedzi w dziele Renana. Toż samo z przedstawianiem prześladowań, które ze strony ludu rzymskiego, więcéj

jeszcze aniżeli władz rzymskich, po wielekroć dotykały wyznawców nowéj wiary. Przyczyny politycznéj i społecznéj natury, które je wywołały, w znacznéj swéj części, zostały pominięte, bo przedstawienie ich w całéj pełni, nie pozwoliłoby na zgarnięcie wszystkich świateł ku jednéj, a wszystkich cieni ku drugiéj stronie obrazu. Ujrzawszy je w całéj pełni, ujrzelibyśmy zapewne coś więcéj nad bezględną zwierzęcość prześladującą bezwzględną świętość; uczulibyśmy może konieczność, w jakiéj zostaje każde zorganizowane społeczeństwo, bronienia tego, co stanowiło dotąd jego spójność i wielkość: uczuć patryotycznych, prac obywatelskich, powagi węzłów rodzinnych itp. Ale takie przedmiotowe i wszechstronne opracowanie przedmiotu, którego dokonali Gibbon, Duruy, Friedländer, Denys i inni, nie odpowiadało sybiektywnym wahaniom się, sympatyom i odrazom autora. Możnaby rzec, że posiada on z własnych skłonności i wychowania kościelnego zaczerpniętą odrazę do pogańskiego świata, za to, że prawa ciała zrównał on z prawami ducha, że narodowe jego religie nie zawierały dogmatów, że w świat wystąpił zbrojny i wojujący, że wydał z siebie rozpustników i tyranów. Rozpustnicy i tyrani, na plan pierwszy wysunięci, przysłaniają sobą mędrców i bohaterów zarówno jak ogół doskonalący się i wciąż postępujący naprzód. Nie jest to fałszowanie historyi, ale uderzanie po jéj strunach tu silniejsze, tam słabsze. Nie jest to także zatajanie albo wymyślanie faktów. Niema w dziele Renana nic zupełnie pominiętego, ani tém bardziéj wymyślonego. Bywają tu tylko lekkie i pobieżne napomknięcia o rzeczach jednych, w obec szerokiego i szczegółowego przedstawienia innych.

Nad napisaniem 7-miu tomów historyi początków chrześcianizmu. Renan pracował lat dwadzieścia. W tym samym jednak czasie, wyszedł z pod pióra jego długi szereg studyów z historyi religii, które zawarte potém w dwóch grubych tomach, zdobyły sobie jednomyślne uznanie krytyki naukowéj i gorące zajęcie obudziły w czytającéj publiczności. W pracach tych panuje wielka rozmaitość przedmiotów; studya nad buddyzmem, mahometanizmem, starożytną mitologią perską, mitologią porównawczą, poganizmem greckim, znajdują się tu obok obrazów przedstawiających spory i subtelności średniowiecznéj scholastyki i mistrzowską dłonią malowane profile lub portrety średniowiecznych świętych, mistyków, zakonników i nawet myślicieli takich, którzy, jak Galileusz i Spinoza, myślą swą czy wypadkami swego życia wchodzili w bliskie zetknięcie z kościołem. Jak bardzo prace téj natury mało były rozpowszechnionemi we Francyi i jaką próżnię w umysłowości publicznéj studyami swemi zapełniał Renan, świadczy o tém wypadek charakterystyczny i godzien

aby go wydawcy krajów wszelkich w pamięci swéj zapisali. Przed dwudziestu przeszło laty, po napisaniu obszernéj pracy o buddyzmie, autor zażądał drukowania jéj w „Przeglądzie dwóch światów," którego wydawcą był słynny z wydawniczéj zręczności swéj Buloz. Istniał już i pracował wtedy we Francyi wielki oryentalista Eugeniusz Burnouf, a badania jego nad religiami Indyi wschodnich, jako też przekłady ich ksiąg świętych wychodziły z druku w postaci olbrzymich foliałów. Istniał także i pisał Barthelemy Saint-Hillaire, w obszernych dziełach popularyzujący wiadomości, które nauka zgromadziła o religiach dalekiego wschodu. Jednak Buloz zwrócił Renanowi jego studyum o buddyzmie, z żartobliwym uśmiechem niedowierzania utrzymując, że wymysłów fantazyi za naukowe prawdy podawanych drukować w swém piśmie nie może; wymysłem zaś jest, aby taka religia jak buddyzm gdziekolwiek istniała i aby na świecie istniał człowiek tak głupi, któryby mógł być budystą. Buloz nie był wcale obskurantem, owszem, wykształceniem swém naukowém i literackiém przewyższał wielu współczesnych sobie wydawców francuskich. Ale, widocznie, nie był też nieomylnym, bo za śmieszną i bezpotrzebną poczytał pracę, bardzo poważną, parę nowych świateł na przedmiot swój rzucającą i która w zeszłym roku zaledwie z teki autora na nowo wydobyta, weszła w skład drugiego tomu jego studyów. W wyborze postaci średniowiecznych, mających być przedmiotem jego dochodzeń i opisów, spostrzegać się dają upodobania i skłonności autora. Ludzie czynów gwałtownych i głośnych, fanatycy, reformatorzy, ci którzy odgłosami swych walk i męczeństw świat cały napełniali, nie pociągają go ku sobie. Lubi on przedewszystkiém wpatrywać się w serca przejęte głęboką i łagodną miłością dla natury, ludzkości i Boga, w istnienia poetyczne, jaknajbardziéj od ziemi oderwane, poświęcone całe pracom i sprawom ducha. Studya jego o Franciszku z Asyżu, o stygmatyzowanéj wizyonerce Krystynie Stommeln, o Spinozie, należą do najdoskonalszych dzieł jego pióra. Z życia dwojga pierwszych, usuwa on za pomocą krytyki naukowéj wszelką cudowność; naturalnemi przyczynami tłómaczy wizye ich i stygmaty. Ale natomiast, przez subtelną psychologiczną analizę otwiera głębie ich dusz i istnień, ukazując wszystko, co było w nich czystém, wzniosłém, albo cierpiącém i chorobliwém. Dobrowolne ubóstwo Franciszka z Asyżu, oddalenie w jakiém zostawał od wszelkich zaszczytów kościelnych, wyzwolenie się religijności jego z pod dogmatycznéj zawisłości, nadewszystko jednak, ta miłość powszechna, którą ogarniał on nietylko ludzkość ale i przyrodę, tkliwość serca, przez którę braćmi i siostrami swemi nazywał gwiazdy i kwiaty, zwierzęta i ptaki, okrywają go gloryą ducha, stokroć wyż-

szą niż nadnaturalny blask stygmatów, z których nauka omywa mu ciało. Katarzyna Stommeln, w studyum noszącém tytuł „idylla klasztorna“, jest znowu istotą przedewszystkiém cierpiącą i kochającą. „Kwiaty wykwitające z dziejów religii,—pisze Renan,—są dziwnemi kwiatami, a ich bohaterowie, bywają najczęściéj ludźmi chorymi.“ Chorą była najpewniéj ta kobieta, pędząca życie w ekstazie, umartwieniach i wielkiéj słabości fizycznéj, ale oprócz Boga, który był przedmiotem jéj nieustannéj adoracyi, w skrytości i milczeniu, nigdy może nie dając uczuciu swemu właściwéj mu nazwy, kochała ona człowieka, który był przewodnikiem jéj po idealnych sferach wiary i zachwyceń, który miał dla niéj nieskończoną dobroć, pobłażliwość i także więcéj niż braterską tkliwość. Kochała, cierpiała, nie troszczyła się nigdy o żadną próżność świata, serce miała niewinne jak u dziecięcia, a poranione jak u męczennika, umarła przedwcześnie; potężne ognie ducha spaliły szybko wątłe jéj ciało. Znowu na stygmaty i cuda spada tu zasłona, utkana z naturalnéj poezyi, miłości i cierpień. Historya tego życia przypomina kwiat z barwą ognistą i chorobliwą, z wonią delikatną, denerwującą, brylantowym pyłkiem ulatującą w obłoki.

(*d. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*





STUDYA ROMAŃSKIE.

POCZĄTKI EPOPEI FRANCUSKIÉJ.

(Pio Rajna: Le origini dell' Epopea francese. 1884, str. 550).

Dwie istnieją teorye pochodzenia epopei francuskiéj: jedna wysuwa naprzód pierwiastki germańskie, druga romańskie; trzecia wywodząca ją z elementów celtyckich, o tyle ważnych, że z nich wyszedł cykl Artusa i zapewne forma wiersza ośmiozgłoskowego, była fantasmagoryą i dziś nikt jéj nie porusza. Przy sztandarze pochodzenia romańskiego stoi niezmiennie Fustel de Coulange (1) i Paul Meyer (2), wyrażający się stanowczo a bezzasadnie, że peryod romański, poczynający się już przed wiekiem IX i posiadający pieśni ludowe w formie romańskiéj, nigdy nie pomieszał swojéj epopei z epopeją germańską. Dziwnie ważyła się ta teorya w sądach dwu romanistów, których się do pierwszych powag liczy: Gastona Paris i Leona Gautiera. G. Paris hołdował przed 20 laty teoryi pochodzenia germańskiego. Hołdował jéj równie C. d'Héricault (3) i Léon Gautier w pierwszém wydaniu swoich *Les Épopées françaises* z 1865 r. Cofnąwszy się jeszcze o lat dwadzieścia, nie znajdziemy téj kwestyi na porządku dziennym ledwo co rozpoczętych studyów romańskich. V. le Clerc, Fauriel, Paulin Paris reformują w r. 1841 znane wydawnictwo: „Histoire littéraire de la France", toż nie marzą jeszcze o stawianiu hipotez, zadawalniając się odkrywaniem zapomnianych manuskryptów *Chansons de Geste*; a jeżeli śród chaosu świeżo odko-

---

(1) Histoire des Institutions politiques de l'ancienne France. 1877.
(2) Recherches sur l'origine des Epopées fr.
(3) Essai sur l'origine de l'épopée fr. et sur son hist. au moyen âge. Paris 1859.

panych bogactw zechcą wyrozumować ich źródło, popadają, z braku metody porównawczéj, w jaskrawe błędy, jak Fauriel, szukający początku większéj części *Chansons de Geste*, a nawet powieści bretońskiego cyklu — w Prowancyi.

Otóż kiedy Gaston Paris pisał swą przepyszną *Historyą poetycką Karola W.* (1), zaczął otrząsać z siebie naukowe skrupuły i oświadczył się za teoryą schlebiającą uczuciu narodowemu; dziś znowu w wykładach swoich zaczyna wracać z całém przekonaniem ku teoryi pochodzenia germańskiego i jeżeli ogłosi swoje *Początki epopei francuskiéj* drukiem, przechyli niewątpliwie szalę chwiejnych jeszcze przekonań na korzyść większości. Leon Gautier tymczasem zmodyfikował w drugiém wydaniu swéj książki (2) dawny sąd o pochodzeniu germańskiém, nie o tyle jednak, aby nie mógł zgodzić się na definicyą G. Parisa (3): „*L'épopée française du moyen âge c'est esprit germanique dans une forme romane*", definicyą połowiczną, zbliżoną równie do opinii prof. Bartscha w Heidelbergu, wybitniéj jednak owo germańskie pochodzenie zaznaczających. Połowiczność ta znalazła ostateczną odprawę w głośném dziele Piusa Rajny, profesora uniwersytetu florenckiego (4). Rajna stawia definicyą bardzo prostą i stanowczą: *Epopeja francuska jest córką epopei germańskiéj*, a dowodzi starożytnością epopei francuskiéj, dawniejszą, niż wszyscy dotąd przypuszczali badacze. Gautier nie śmie wysunąć się po za wiek X-ty; najstarsze *kantyleny*, które według jego teoryi były zaczątkiem epopei francuskiéj — teoryi równie zbijanéj przez uczonego włoskiego — nie są starsze od téj daty, ba! twierdzi *à priori*, że istnieć ona nie mogła, gdyż nie posiadała warunków dla istnienia swego koniecznych jedności: państwowéj i religijnéj, wypadków nadzwyczajnych i bolesnych (*sic*), wielkiego bohatera— i wreszcie nie miała języka. To téż uczony francuski, cokolwiek uporny w swoich raz ukutych tezach i definicyach, nie spostrzega nic po za cyklem karolińskim i po za istniejącemi rękopisami kantylen i pieśni bohaterskich, i dzieje francuskiego eposu rozpoczyna od epoki Karola Wielkiego.

J. Darmesteter (5), Gaston Paris mieli jakoby przeczucie istnienia epopei merowińskiéj,—pierwszy zbijał stanowczo teoryą *kantylen*— ale o tak świetnych zdobyczach metody porównawczéj nie śnili.

---

(1) Histoire poétique de Charlemagne. 1865.

(2) Léon Gautier: Les Épopées fr. 3 tomy. 1880—82.

(3) Revue critique d'Histoire et de Littér. Juin 1868.

(4) Pio Rajna: Le Origini dell' Epopea francese, indagate da P. R. Firenze. 1884. Tom w dużéj 8-ce, str. XIII i 550.

(5) De Floovante... et de merovingo cyclo 1877 r.

Dzieło Rajny złożyło się z wykładów na uniwersytecie medyolańskim; ogłaszając je drukiem, uprzedził poniekąd Gastona Paris, który z odczytów swych układa traktat pod tym samym tytułem. Jest ono owocem genialnych pomysłów, śmiałych a niezachwianie pewnych; znaczenie włoskiego profesora w dziejach studyów romańskich we Włoszech poczęło się od zbadania i wydania owéj kompilacyi znanéj pod tytułem *Reali di Francia*, którą nawiązuje się stosunek francuskich i włoskich pieśniarzy w XII i XIII wieku. Ta gruntowna znajomość literatury francuskiéj średnich wieków pozwoliła mu równie wykazać pokrewieństwo między podaniami o *Orlandzie szalonym* a starofrancuskiemi pieśniami o Rolandzie (1). Obecnie jest Rajna głównym współpracownikiem przeglądów: „Nuova Antologia", „Romania", i jedną z pierwszych powag w świecie naukowym, a jak przyznaje Darmesteter (2), ostatnie jego dzieło staje się podstawą nowéj seryi badań: eposu doby merowińskiéj. Równocześnie wyrywa ono monopol stawiania nowych teoryi z rąk uczonych niemieckich.

Książka składa się z 18 rozdziałów. Rozd. I — IX zajmuje Restytucyą epopei merowińskiéj, X—XVIII historyą jéj rozwoju. Restytuuje ją autor: 1) z kronik *Grzegorza z Tours*, *Fredegaryusza*, *Gesta regum francorum*; 2) z poematów XII—XIV w. Odsłaniają się więc z jednéj strony dzieje Merowingów: Childeryka, Klodoweusza, Teodoryka i Teodeberta, Klotaryusza II i Dagoberta, z drugiéj strony wyłuskują się fakta historyczne z poematów: Floovent, Gisbert au fier visage, Sibilla, Mainet, Quatre fils Aymon, Giratz de Roussillon, Hugo d'Auvergne.

W historyi rozwoju epopei merowińskiéj rozstrząsa autor kwestyą języka, w jakim mogła być tworzona, kwestyą pochodzenia germańskiego, rozpostarcia się germanizmu, wreszcie charakteru i formy; w ostatnich dwu rozdziałach polemizuje z Gautierem. We wstępie znajdujemy uwagi ogólne, między niemi definicyą eposu, zdaniem naszém nie zbyt szczęśliwą: *ogni narrazione poetica di cose*. Szczęśliwiéj za to zbija zdanie większości uczonych, że poezya liryczna poprzedziła epiczną, i sądzi, że zrodziły się one równocześnie. Druga wycieczka, skierowana głównie przeciw uczonym niemieckim, rozbija teoryą, że początki epopei są mityczne, t. j. że fakta, na których opiera się najstarszy epos, sprowadzają się w ostatniéj analizie do czystych wyrażeń symbolicznych. Nawet ci, którzy nie dopatrują np. w wojnie trojańskiéj walki słońca z chmurą, ciemności

---

(1) L'Origini dell' Orlando Furioso.

(2) Revue critique d'Histoire et de Littérature. 1884, str. 489.

z światłością, wychodzą na to samo, twierdząc. że bohaterowie—to uczłowieczone bogi, więc uosobienia sił natury; a kto mówi bohater, mówi epopeja. Otóż najprzód, trudno pojąć, jak człowiek pierwotny umiał z sił natury dedukować bohaterów; łatwiéj mu było tworzyć ich z ludzi zwyczajnych, powiększywszy tylko rozmiary. Takie tworzenie odbywa się nawet w czasach historycznych, pod okiem krytyki. Karol W. i Napoleon I nie pomarli jeszcze, a już weszli do epopei. Potém, bogowie stając się bohaterami, przybierali formy ludzkie, abstrakcya bowiem jest z niéj wykluczona. Nie można więc mówić o *epopei mitycznéj*. co najwięcéj o *micie w epopei*. Jeszcze jeden dowód jéj ludzkiego pochodzenia. Treścią eposu jest zawsze walka. Otóż, aby następstwo dnia i nocy, zimy i lata, suszy i deszczu pojąć jako wojnę, trzeba miéć naprzód pojęcie faktu *wojna*, które dobywa się oczywiście ze stosunków ludzkich. Jeżeli zaś powstać ono mogło jedynie w rasie wojennéj, to niepodobna, aby ta rasa miała dość fantazyi na zrozumienie w ten sposób następstwa dnia i nocy, a nie dość, by pamiętała i uwieczniła pieśnią czyny swych znamienitych wojowników.

W dalszym ciągu rekapitulacya świadectw o istnieniu prastaréj epopei germańskiéj i to genealogicznéj, między innemi Tacytowe: „*Celebrant carminibus antiquis* (*quod unum apud illos memoriae et annalium genus est*) *Tuisconem deum terra editum et filium Manuum, originem gentis conditoresque*“ (1); konstruuje bowiem autor zdanie to nie *celebrant Tuisconem*, ale *celebrant originem gentis*. Śpiewy epiczne dadzą się wykazać w różnych szczepach germańskich. Posiadają je Goci za świadectwem Jornandesa; Anglosasi,—dowodem Beowulf z VII w. choć schrystyanizowany i odosobniony. Wspominając Gotów, autor zbija twierdzenie oparte na świadectwie Priscusa, jakoby owe pieśni śpiewane u stołu Atylli, które tak wzruszyły biesiadników, były gockie; nie wielu zapewne między nimi było Gotów: Priscus wspomina jednego: Βέριχος, może Berich (?). Posiada prastarą epopeję literatura irlandzka, skandynawska etc. Najważniejsze dla podjętéj kwestyi byłoby wykazanie epopei u Franków; Frankowie to szczep zarodowy przyszłych Francuzów. Autor podkréśla w cytacie Eginhardta (2): „*Barbara et antiquissima carmina, quibus veterum regum actus et bella canebantur, scripsit memoriaeque mandavit*“, wyrazy: *antiquissima* i *regum*, wnosząc, że mowa o Merowingach. Byłby to pierwszy dowód istnienia cyklu merowińskiego. Drugi dowód, już namacalny, w Poecie Saskim:

---

(1) Tacitus: De moribus Germaniae. C. II.
(2) Vita Caroli Magni.

Laudibus eius (Caroli M.) avos et proavos celebrant:
Pippinos, Carolos. Hludovicos et Theodricos,
Et Carlomanos Hlotariosque canunt.

Nie dziw, że znajdujemy ich między przodkami Karola W. Nawiązanie takiego pokrewieństwa leżało w polityce Karolingów dla uprawnienia władzy, biorącéj początek w uzurpacyi.

Rozpoczyna się mozolna rekonstrukcya cyklu merowińskiego. Autor, jak powiedzieliśmy, naprzód wydziela poezyą ze świadectw rzekomo historycznych, następnie dopytuje się faktów dziejowych w poezyi.

Meroweusz nie wszedł sam do legendy jako bohater; legendowe jest jednak jego pochodzenie; według kroniki Fredegaryusza, ojcem jego miał być Minotaur, a spłodził ojca frankońskiéj dynastyi z żony Klodyona w czasie kąpieli morskiéj. Szereg Merowingów w epopei rozpoczyna syn jego Childeryk. Opowiada o nim *Grzegorz z Tours*, że wstąpiwszy po ojcu na tron, wypędzony uciekł do Turyngii, do króla *Bisino* i królowéj *Basina*, Frankowie zaś powołali tymczasem na tron wodza rzymskiego (!) Egidyusza, wnet jednak prawego króla odwołali, który powraca, uwiózłszy królowę. Na dnie owéj powieści tkwi niezaprzeczenie legenda; sama opowieść Grzegorza musi polegać na pieśni epicznéj, różni się bowiem od reszty jego kroniki krótkością i mglistością tonu. Dowodem wewnętrznym jest naprzód owo wybranie na króla dowódcy rzymskiego, potém awanturnicze wykradzenie królowéj, któréj imię jest może alliterowane jak *Sigmund* i *Sigelind*, *Hettel* i *Hilde* etc. Kompilacya z ostatnich czasów merowińskich: *Gesta Regum Francorum* dają więcéj niż Grzegorz z Tours. Dają nazwisko wysłańca i doradcy Franków: *Guidomado*. Wnet i Egidyusz przedstawia się w gorszém świetle. Guidomado radzi wypędzić „*militem hunc Imperatoris Romanorum crudelem, iratum atque superbum*"; autor przypuszcza nawet, że legenda umieściła Rzymianina na tronie Franków, by go z większą hańbą strącić. O Guidomadonie wiemy zawsze jeszcze za mało. Autor zatacza działo większego kalibru, kompilacyą *Fredegaryusza: Gregorii Turonensis Historia Epitomata*. Tu już Guidomado jest figurą naskróś epiczną; po trzykroć podburza Egidyusza przeciw podwładnym Frankom, a potém uciemiężonych szczwa na króla. Jest więc fortel—motyw epiczny. Poselstwo do Konstantynopola—Childeryk tam właśnie przebywa—wykazuje wspólny wszystkim trzem opracowaniom motyw złamanéj monety, znaku porozumienia. Childeryk powraca i sprawia kilkakrotną wśród Rzymian rzeź, — fakt sprzeczny z historyą, która wymienia Childeryka jako sprzymierzeńca Egidyuszowego w wojnie z Gotami r. 563. Następuje śmiała hypoteza. W *Prologu* do „Lex Sa-

lica“ czytamy: „*Haec est enim gens, quae, fortis dum esset et robore valida, Romanorum iugum durissimum excussit.*“ Byłyżby to fakta identyczne, świadectwo istotnego rokoszu, którego ślad dla historyi zaginął? Czysto germański i epiczny jest w tém opowiadaniu epizod wizyi, które się ukazują Childerykowi w noc ślubną, a z których się wielkość potomków wróży. Czerpać zaś musiał kronikarz nie z Grzegorza jedynie; źródłem jego—zważywszy, że epizod konstantynopolski tak jaskrawo niehistoryczny nie mógł zkąd inąd wyjść, jak z warsztatu legendy ludowéj, — źródłem jego musiał być epiczny poemat ludowy. Idźmy daléj.

Podkład epiczny da się odkryć w weselu *Klodoweusza* z *Klotyldą*. Wysłanie swatów, tajemna rozmowa posłańca z królewną, ucieczka z ojcowskiego domu. Mówią o tym fakcie też same kroniki, tylko w *Gesta Regum Francorum* występuje wyraźnie żywioł chrześciańsko-religijny. „*Erat enim Chrotildis christiana.*“ Klodoweuszowi odpowiada: „*Non licet christianae pagano nubere.... Sed sicut Dominus meus, quem ego coram omnibus confiteor, vult, sic fiat.*“ Ten element chrześciański dowodzi, że wersya w przeciwieństwie do pierwszych dwu nie opiera się bezpośrednio na legendzie ludowéj; znajdują się też w niéj sprzeczności. Chrześcianka nie chce zaślubić poganina, a już przyjęła zaręczynowy pierścień. Żądanie jéj brzmi: „*ut Deum coeli Patrem omnipotentem credas... Dominum Jesum Christum... Spiritum Sanctum; et idola vana derelinque...* etc. *ecclesias quas succendisti restaura.*“ Następuje część najważniejsza: „*Memento quaeso, insuper, ut requirere debeas portionem genitoris mei et genitricis meae, quos avunculus meus Gundebadus malo ordine interfecit*“ etc. Oto prawdziwe historyczne żądanie Klotyldy. stawiające kościelną teoryą jéj poświęcenia w mniéj idealném świetle. Legenda w téj ostatniéj formie musiała miéć autorem duchownego. Że tłem jéj były pieśni epiczne, autor konkluduje z istnienia *epopei godowéj* u Germanów. Formuła jéj jedna: Dziewica strzeżona przez ojca, opiekuna czy zdobywcę, wykradziona czy odbita staje się żoną odważnego. Przykłady liczne: *Rother*, *Ortnit*, *Hugdietrich*, *Gudrun* przedewszystkiém, etc. Na śmieszność narażają się badacze widzący w takich wykradzeniach allegoryą, np. „Bóg słońca uwalnia naturę z więzów zimy“ etc. Nie; młody bohater po prostu pragnie się ożenić i zdobywa sobie pannę, gdzie ją upatrzył. Ten kubeł zimnéj wody wylewa autor na entuzyastów niemieckich zapatrzonych w *Sigfrieda i Brunhildę*— od Grimma aż do Müllenhoffa i Scherera. Podobnie cykl weselnych poematów epicznych: Alboina i Rosmondy, Autarika i Teodolindy, Agilulfa etc. tłómaczy się bez wszelkiéj podstawy, jako przejście z epoki barbarzyńskiéj do cywilizowanéj.

Poemat o weselu Klodoweusza i Klotyldy jest analogiczny, a może identyczny z epizodem w *Vilkina Saga* o *Herbercie* i *Hildzie*; Herbert wysłany do króla Artura z Bretanii, zabiera tu miejsce widocznie nie swoje; w *Biterolfie* (według Grimma) jest na tém miejscu *Ludewig* z *Ormanii*. W tym Ludewigu podejrzywa Rajna *Klodewika*. Ormania czyli Normandya, jest-to Neustrya, według

Verilés est ke en Neustrie
Que nus apelum Normandie.
(Marie de France. Lais des deux Amants)

Rola Klodoweusza w kronice Grzegorza z Tours na tém się nie kończy; jeden epizod opisuje wojnę *Godegisela* i *Gundebada*, drugi ma za treść zabicie trzech braci królewskich, podstępne walki, zdrady i okrucieństwa Klodoweusza. Słowem, musiał on być między Frankami bohaterem ogromnego poetyckiego cyklu. Idźmy daléj. Najstarszym synem Klodoweusza jest Teodoryk, bastard, mieszany często w epopei z Teodorykiem z Verony (Dietrich von Bern). Ślady pieśni ludowéj zdradza u Grzegorza z Tours wojna Turyngska. Teodoryk i Frankowie są tam protagonistami; most z trupów na rzece Unstrudt jest widocznie wymysłem poetyckim. Autor rozbiera dwie późniejsze wersye téj legendy: *Witekinda* i *Chronicon Quedlinburgense*; pierwsza ważniejsza, bo starsza i wolna od wtrętów. Epizod zwłaszcza jest w téj wersyi istotnie dramatyczny. Irving, typ chytrego doradcy, zabija *Irminfreda* i *Teodoryka*, t. j. turyngskiego i frankońskiego króla i z szyderstwa kładzie trupy dawnych wrogów na sobie, „aby zwyciężony choć po śmierci nieprzyjaciela przydusił.“ Różni się także ta opowieść od Gregoryańskiej znaczną rolą przydzieloną Sasom, których Frankowie na pomoc wezwali; uwagi godne jest pomieszanie obu Teodoryków, ile że *Amalaberga*, *casus belli*, jest istotnie siostrą Teodoryka, ale nie Frankońskiego, tylko króla Ostrogotów.

Kronika Quedlinburska nie wykazuje różnic znacznych: w obu zaś ślady poezyi epicznéj są widoczne. Epiczny jest *Hugo-Teodoryk: Hug-Dietrich* w dwu osobach; epiczny jest Iring, widzimy go bowiem w *Nibelungach*, z zatarciem różnic czasu; a oto towarzyszy mu *Infrid*, nasz *Irminfred*:

Irnvrit von Düringen ein kuener jungelinc.
(*Nib. not.* ed. Bartsch, str. 2031.)

Teodoryk, jak się pokazuje, był bohaterem wielu a wielu śpiewów epicznych; sława jego grzmiała nad Galią, Germanią, Italią; umarł za wcześnie r. 547 lub 548. Imię jego *Hugdietrich*, a jego syna *Wolfdietrich*, według domysłu Müllenhoffa; ojciec zaćmił syna i dla

tego Rajna chciałby pod obu nazwiskami widziéć osobę tę samę; zdwojoną tylko przez nazwę. Jako typ epicznego bohatera, powinien mięć za sobą jakiś świetny czyn młodzieńczy w rodzaju *Enfances* Karola W. i oto tradycya czyn taki naznacza na rok 515 lub późniejszy. Jest nim wypędzenie *Chochilaika* i Duńczyków (dokonane w rzeczywistości przez Teodeberta); Chochilaik życiem napaść przypłaca. Warto w tem miejscu przypatrzéć się robocie autora i sposobowi, jakim stawia konjektury. O wypędzeniu Duńczyków majaczą *Gesta Regum fr.* i *Beowulf*; w pierwszych Skandynawowie napadają na kraj Hattuarów; w drugim król Gotów Hygelâk ginie w wyprawie przeciw Fryzom. Fryzowie, czyli Frankowie są tam nazywani *Hetvari*, *Hugas*. Zgodność obu kronik widoczna; Hetvari= Hatuarii; Chochilaik = Hygelâk, a wytłómaczenie nazwy Hugones znajdziemy w *Chronicon Quedlinburgense: Olim omnes Franci Hugones vocabantur a suo quodam duce Hugone.*" W pewnym traktacie, nie późniejszym nad wiek X, czytamy: „*Rex Huiglaucus, qui imperavit Getis et a Francis occisus est; quem equus a duodecimo anno portare non potuit.*" Był więc olbrzymem, a olbrzymami są zawsze w epopejach nieprzyjaciele; rozmiary ich powiększa legenda dla podniesienia zwycięstwa lub zmniejszenia klęski. Beowulf opowiada klęskę swoich; kiedy ją więc opiewali zwyciężeni, niepodobna, aby ją zamilczeli zwycięzcy, lubujący się w śpiewach bohaterskich.

Childeryk — to wiek V; Klodoweusz — początek VI-go; z wiekiem VII wstępujemy w dzieje Klotaryusza II i jego syna Dagoberta. Jeżeli 3 ćwierci ostatnie VI w. nie wykazują w kronikach późniejszych charakteru legendowego, to przeto, że nie było już Grzegorza z Tours, któryby czerpał z niejasnych źródeł poezyi ludowéj; a przecież wiek Brunhildy i Fredegundy, to wiek najwdzięczniejszy dla eposu. Za to z VII w. zostały bogate szczęty. Głównym czynem Klotaryusza, głównym dla epopei, jest wojna saska. Dagobert przechodzi przez Ren, — walka zacięta. Nieprzyjacielski rycerz tnie młodzieńca przez szyszak i ucina mu pukiel włosów; giermek podnosi go i biegnie z tym znakiem groźnego położenia do króla Klotaryusza; ten przybywa z pomocą z lasu ardeńskiego, zabija w pojedynku wodza saskiego Bertolda,—zwycięstwo. W tém opowiadaniu *Gesta R. fr.* widoczna legenda i szkielet starego poematu; dawno téż spostrzegli to Gaston Paris, Darmesteter, Leon Gautier. Bo téż *Vita St. Faronis*, opowiadająca z dziwną zgodnością ten sam fakt była dla uczonych jedynym dowodem istnienia frankońskiéj epopei już w VII wieku i do znudzenia powtarza się jako świadectwo znana cytata: *Ex qua victoria carmen publicum iuxta rusticitatem per omnium paene volitabat ora ita canentium, feminaeque choros inde plaudendo componebant :*

„De Chlotario est canere, rege Francorum
Qui ivit pugnare in gentem Saxonum.“

A jakie zeń wyciągano wnioski, jakie na nim budowano teorye tyczące się formy i języka starej epopei—powiemy na swojém miejscu. Na Dagobercie kończy się cykl merowiński: wypada roztrząsnąć, czy śladów tego cyklu nie ma w późniejszych *Chansons de Geste*. Literatura tego pytania ułożyła się główuie około kompilacyi *Reali di Francia* i téj jéj części, która nosi nazwę *Fioravante*, *Floovent*. Badali je Paulin Paris, Darmesteter, Gaston Paris doszli jednak do mniéj pozytywnych, niż Rajna rezultatów. Przy rozbiorze każdéj części tych *Reali* streścimy dawniejsze sądy uczonych, aby je ostatecznie zestawić z hypotezami Rajny:

I. Legenda o *Fioravante* nie jest odosobniona; mamy przekład norweski z poematu pisanego w *langue d'oïl* z XII w. pod tyt. *Floovent Saga*: mamy francuskie *Floovent* i *Florent et Octavien*; mamy epizody tego podania w *Ciperis de Vignevaux* i *Chansons de Saisnes*. Rozbiór tych francuskich poematów znajdzie czytelnik u Leona Gautiera lub w Histoire lith. de la France. T. XXVI, zredagowany przez P. Parisa.

Poemata francuskie, w których odkrywa się stare postaci Merowingów są przypuszczalnie dwojakie. Jedne świeżéj redakcyi; te dają stare imiona, ale widocznie przejęte z tradycyi pisanéj, nie odpowiadają bowiem naturalnemu rozwojowi dźwięków. *Chilperik* nazwany *Ciperis*, podczas, gdy w tradycyi ludowéj musiałby przejść na *Helpris*, *Heupris*, pargaminem też trąci *Dagoubert*; forma ludowa musiała być *Daibert*, i tak ją czytamy w łacińskich źródłach *Daibertus*. Drugie wypłynęły by z tradycyi ustnéj, poetyckiéj; pytanie zachodzi, czy takie istnieją. Najpoczytniejszą odpowiedź daje Gaston Paris. Imiona Merowingów zaczynają się przeważnie od *Chl.* Chlodovechus, Chlotocharius, Chlodoaldus, etc. Zjawisko fonetyczne przejścia gardłowéj na wargowo-zębową jest powszechne: pozór: Mahomet i Mafomat, Malfumé, Maufumé. Floovent i Flovent odpowiadałyby więc Cloovis, Clovis. G. Paris ustalił genezę Floovent od Hlodoving, gdzie *vent=ving* jest suffixem dla imion rodowych jak *Meroving* od *Merovech*. Forma przyjściowa była by: Flodovinc, tj. syn Klodoweusza. Synem Klodoweusza zaś jest Teodoryk. G. Paris chciał go identyfikować z *Dagobertem*. Z cyklem Merowińskim łączą *Floovenia* naprzód wojny przeciw „Saracenom.“ Saraceni w Floovent są to Sasi, gdzieindziéj jest to imię zbiorowe ludów na wschód Francyi leżących, więc nawet dla Słowian. Analogią znajdujemy w rzymskiem *barbarus*, w germańskiem *walah* dla szczepów obcych. Mimo tę wojnę, mimo inne rysy upodobniające Floovenṭa Dagobertowi, Rajna odrzuca hypotezę G. Parisa z tego względu, iż Dagobert i Floovent czyli Flodo-

ving, syn Klodoweusza przedzieleni są całym wiekiem, i stawia sam hypotezę prostszą i pewniejszą: Floovent jest istotnie synem Klodoweusza, jednym z czterech:

De sa franche moilleir ot IIII fiz gentiz.

Tak mówi poemat w wierszu 15. Ale daléj dziwnym sposobem jest ich już tylko trzech:

Por Floovant son filz ot lon cour mont irlé
Et dolant que il fut fors de France chacié,
Car si *dui autre fil* li avoint boisié.
(v. 2421—23)

więc tylko Floovent i dwaj nieprzyjaźni bracia. Pierwszym synem był *Klodomir*; o tym tradycya zapomniała; drugim *Childibert* (panuje 511—558); długie jego panowanie wdzięcznym było tematem dla epopei, ale sceną jego działania było południe. Burgundya, podczas gdy Floovent działa na wschodzie. Trzecim jest Klotaryusz, czwartym, bastard Teodoryk. Obaj w epopei ważną grają rolę, obaj mogą być podsunięci pod osobę Flooventa, Teodoryk jednak ma większe za sobą prawdopodobieństwo, zwłaszcza że jako bastard jest istotnie narażony na nieprzyjaźń macochy i braci. *Chlodovingiem* mógł być nazywany dla odróżnienia od Teodoryka z rodu Amelungów, mieszanego z nim zbyt często w tradycyach ludowych.

II. *W Reali di Francia* znajduje się historya Drugioliny z dwoma synami: Oktawianem i Gisbertem, któréj odpowiadają dwa francuskie romanse: *Florent et Octavien* oraz *l'Othevien*. Autor odkrywa postać Gisberta w historyi, posiłkując się tą samą metodą: Florent =Chlotaring syn Klotaryusza. Między synami Klotaryusza I posiada bezbożny i okrutny *Karibert* wszelkie cechy *Gisberta z ponurą twarzą* „co powiedział stojąc przed krucyfiksem, że się Boga nie boi, a ledwo wyrzekł, okryty został trądem. Próżno leczyli go doktorzy nie wrócił do zdrowia, aż odbył pokutę na pustyni.“

III. Jeszcze jedna osobistość należąca do cyklu Merowingów, a przeniesiona do epopei karolińskiéj. *Sybilla*, żona Karola W. córka cesarza Konstantynopolskiego, oskarżona o cudzołóztwo a wracająca po wielu latach usprawiedliwiona do domu męża, *Chanson de Geste* o niéj zaginął, pozostała redakcya prozaiczna i z wielu obcych, wersya włoska: *Biancifiore*, któréj naiwny styl świadczy według autora o starszym niż inne wieku, choć nie jest, jak chce Gautier, najstarsza. W wersyi francuskiéj karzeł zakochany w królowéj wkrada się do jéj łoża, ale (powieść jest dziwnie naiwna) zasypia, nie wyrządziwszy jéj krzywdy. Tak znajduje go Karol i żonę wypędza. Towarzyszy jéj Alberych; w lesie napadnięta przez hrabiego Makaryu-

sza, który równie występną ku niéj pała miłością, obroniona przez Alberycha ucieka. Logiczniéj i prościéj przedstawia wypadek ten wersya franko-italska. Makaryusz sam czyha na królowę; karzeł jest tylko jego narzędziem. Logiczność ta daje ostatniéj wersyi pierwotniejsze stanowisko. Są uczeni, którzy historyą Sybilli, Biancifiore, Genoweffy uważają za czysty mit; ale epopeja francuska ma przeważnie charakter historyczny, więc i tu szuka Rajna podkładu historycznego. Karol W. odsunął, jak wiadomo, córkę Dezyderyusza, historya jednak nie mówi nic o jéj powrocie. Autor mniema, że legenda uzupełniła jéj dzieje dziejami *Gundebergi*, żony longobardzkiego króla *Karoalda*, i *Sighildy*, żony Klotaryusza II; imię ostatniéj zwłaszcza stoi z *Sybillą* w widocznym związku.

Rezultatem tych badań jest spostrzeżenie, że *epopeja francuska obok rodzinnych tematów przyjmuje w siebie obce, które przenosi na osobistości rodzime i że temata owe opierają się zawsze na faktach historycznych.*

Porzuciwszy na chwilę Merowingów, autor rozbiera czwartą część *Reali di Francia*: *Mainetta*, które to imię oznacza młodzieńczego Karola W. Gautier przyznaje, że około postaci *Karola Młota* i bitwy pod Poitiers r. 732 ułożyła się epopeja, w formie, jak powiada, „kantylen“; ale mówiąc o przeobrażeniach eposu dziwnym trafem nie spostrzega w cyklu Karolińskim wybitnych rysów z historyi Martela. Spostrzegli je jednak Paulin Paris i Gaston Paris i ich odkryciami posiłkuje się Rajna. Streszczamy je za autorem, choć do przedmiotu ściśle nie należą: Assymilacya dwu tak wybitnie epicznych postaci powstała naprzód w skutek identyczności imion. Przydomki *Wielki* i *Młot*, choć dane były bohaterom już przez spółczesnych, ustaliły się dopiero późniéj, w IX w. i zrosły się z imieniem tak ściśle, że wymawiając Charlemagne, Francuz nie wiedział już, że to dwa wyrazy,— Charl „le Grand“ nigdy do tradycyi nie przeszło. Do tego byli oba synami Pipinów; jeden Pipina z Heristalu czyli Grubego, drugi Pipina Małego czyli Karła, a ich przydomki równie często ulegały konfuzyi. Pomieszanie to datuje się od samego Karola W.: poczęty jest—jak chce legenda, z prawéj małżonki Pipina mimo jego wiedzę i to na ustroniu, w lesie; a oto jedna redakcya genealogii karolińskiéj (1) mówi o Martelu: *Pippinus genuit Karolum ducem. Iste in carro fuit natus*, więc urodzenie równie awanturnicze. Potém prześladowanie przez braci *bastardów*, ucieczka do Hiszpanii, miłość Galieny, powrót i zwycięstwo, wszystko to fakta z historyą autentyczną niezgodne, ale mieszczące się w życiorysie Martela. Jest bastardem; przez ma-

(1) Ed. Pertz. S. S. III.

cochę więziony w Kolonii, późniéj staje na czele austrazyjskiego powstania, walczy z Chilperykiem i Raginfredem i zwycięża. Rzecz jasna, dlaczego epopeja zrobiła bastardami braci Martela; z Karola W. trzeba było zdjąć plamę nieprawego pochodzenia. Zlanie się obu legend nastąpiło, według uczonego włoskiego, jeszcze za życia Karola W. lub zaraz po jego śmierci; dowodzi autor analogią owego Bramanta, którego zwalcza *Mainet*, tj. młodzieńczy Karol (W.) a który jest Abderrahmanem. I inne fakta przeniosła legenda na Karola W. Wypędzenie Saracenów z Prowancyi 737 r. przez Martela; zdobycie Narbony, wszystkie walki z wasalami, czy wypadły za Karola Łysego, czy Grubego, czy Prostaka.

IV. Karol Młot zastąpiony jest równie Karolem W. w poematach *Quatre fils Aimon*, *Giratz de Rossiglion*, *Ugo d'Alvernia*

Konkluzya: Około Karola Młota zebrała się bogata produkcya legendowo-epiczna, mająca za przedmiot „Enfances," walki wewnętrzne i zewnętrzne. Cała ta masa przelała się późniéj do epopei karolińskiego cyklu, któréj środkiem stał się *Charlemagne*.

Historyą rozwoju epopei merowińskiéj rozpoczyna autor nieco bałamutnie, wykazaniem, że epopeja karolińska jest jéj spadkobierczynią, tj. że przejęła z niéj wielką masę poetyckich motywów i wielką liczbę bohaterów; należało raczéj rozpocząć od kwestyi języka i germańskiego pochodzenia; zapewne dla ważności dwu ostatnich zachował je autor na koniec. W roztrząśnieniu niniejszém postępujemy za nim:

Gaston Paris w swojéj *Hist. de Charlemagne* zwraca uwagę na spólność niektórych motywów w licznych Chansons de Geste; Rajna uzupełnia ich liczbę i cytuje w zrestaurowanéj epopei merowińskiéj. Takim tematem wspólnym jest datujący się już od Jozuego i Jerycha upadek nieprzyjacielskich murów na odgłos trąb, za sprawą bożą. Tak według kroniki *Pseudo-Turpina* upadają mury Pampeluny, Grenobli, w *Karlmagnùs Saga* mury Tremogny, w *Chanson de Roland* (kodeks marcyański) mury Narbony; etc. A oto *Grzegórz z Tours* opowiada, że w Wizygockiéj wojnie Klodoweusza runęło w ten sposób Angoulême, u *Fredegaryusza* zaś Metz.

Drugie świadectwo téj opieki boskiéj czuwającéj nad Karolem jest ułatwianie mu przejścia rzek przez przewodnictwo białego jelenia, jak w *Karlomagnùs Saga*, w *Wojnie Saskiéj* itd. Choć w cyklu karolińskim cuda te mają pod sobą grunt chrześciański, odnoszą się jednak do czasów prastarych, do kultu zwierząt. U Germanów jelenia zastępuje niedźwiedź lub wilk. *Priscus* opowiada o przejściu Hunnów przez bagna Meotyjskie do kraju Scytów. Wiedzie ich jeleń; za jego przewodem podbijają Scytyą. Z Hunnami jesteśmy na

gruncie aryjskim i przejście tego zwierzęcego elementu z Azyi do europejskich podań jest prawdopodobne,—dodałbym *pewne*, zważywszy ogromne rozpowszechnienie kultu zwierzęcego w podaniach praaryjskich, i jego charakter wybitnie wschodni. W cyklu merowińskim przechodzi w ten sam sposób Klodoweusz przez rzekę Vingennę (*u Grzegorza z Tours*): „*Cumque illa nocte Dominum deprecatus fuisset*, *ut ei vadum*, *quo transire possit dignaretur ostendere*, *mane facto cerva mirae magnitudinis ante eos motu Dei fluvium ingreditur*, *illaque vadante populus*, *quo transire possit*, *agnovit.*“

Prócz tego da się zaznaczyć wspólność innych rysów: Klotaryusz w Wojnie Saskiéj zabijał—jak opowiada kronikarz, jeńców wyższych nad długość jego miecza, tak czyni Karol W. z podbitymi Słowianami: „*ita omnes humiliavit*, *ut etiam pueros et infantes ad spatas metiri praeciperet*, *et quicumque eandem mensuram excederet*, *capite plectaretur*“.

Podobnie wspólna jest modła poselstw. Zwyczajnie posłowie przybywają na dwór króla saraceńskiego czy francuskiego z butném wyzwaniem. Król rozgniewany chce ich skarać śmiercią; powstrzymują go w porę roztropni doradcy. I tak: *W Chanson de Roland* idzie w poselstwie do Saragossy Ganelon, i jest zagrożony śmiercią; w *Aiol* olbrzym nubijski Turnebeuf naraża się na gniew króla Ludwika; w *Aspremonte* posiadamy typ najpiękniejszy: poseł Balante zdumiony wspaniałością Karola przyrzeka przyjąć chrześciaństwo. Wersya ta najpodobniejsza do poselstwa Bertolda w *Wojnie Saskiéj*. Tam posłowie sascy przyjmują rzeczywiście chrześciaństwo, a zgodność obu poematów przedstawi się wyraźnie, jeżeli zważymy, co mówi Balante zapytany o pochodzenie:

Ballant li Sassne, *ensi me fay nomer.*

Ballant z Saksonii! Widocznie epizod ten, nim wszedł do *Aspremonte*, należał do Klotaryuszowego cyklu. Pomieszanie Saracenów z Sasami na istotę rzeczy nie wpływa; były to synonimy; podobnie w *Romans d'Ogier* władca Afryki, Babilonii i Damaszku *Brahier* jest równocześnie królem Saskim:

Rois fu des Saisnes, *ki tant por sont gran gent.*

Rajna wierzy, że to jest jego właściwa ojczyzna, zwłaszcza, że *Brahier* to imię germańskie: z suffixem *hari*=bitwa. Podobną analogią przedstawia typ owéj królewnéj czy królowéj, która zakochawszy się w wygnanym z ojczyzny przybyszu, ofiaruje mu swą miłość i ucieka z ojczystego domu. Taką jest Basina w cyklu Childerykowym, taką Drugiolina w *Floovent*, taką Galiena, Josiana w cyklu Karolińskim. Wreszcie, na co i Gautier zwraca uwagę, owo:

De Clotario est canere rege Francorum w *Vita St. Faronis*, owa homerycka inwokacya: *Męża opiewaj* Muzo! powraca w *Chansons de Geste*: np.

„Seignur, plait vos oïr gloriose chanson?..
C'est de l'ost Charlemaine, le nobile baron etc.“
(Parise la Duchesse. v. 1)

Tak więc *Wojna Saska*, historya *Childeryka* i *Maineta*, historya *Berty* wiąże z sobą oba cykle. Inwazye Normanów i Skandynawów Sasów, Alemanów i Hunnów z jednéj strony, inwazye Saracenów z drugiéj strony identyfikują się w epopei, a nawet genealogia obu cyklów w osobach królewskich familii, jest nieprzerwana. Oznacza ją piękny epicki ornament: krzyż na piersiach czy barkach, zwłaszcza w redakcyach włoskich, (Reali di Francia), gdzie nazywa się *il niello*. Otóż posiada to znamię krzyża: Karol W. i Orlando, Ludwik, syn Karola, czy się rodzi z Sybilli, czy z Blanchefleur; nawet baronowie karolińskiego cyklu, jak Wilhelm z Oranii i syn *Parise la Duchesse*:

Desor l'epaule destre ot une crois roiel.

A teraz w szczepie Merowingów: Nosi to znamię *Fioravante* w Reali, *Florent* w francuskiéj redakcyi; *Buovo d' Antona*, osobistość nieznanego pochodzenia, ale snać z królewskiego rodu, gdyż

Il a 1 seign ou senestré cousté,
Et sus l'espaule la croiz roiel li piert.

Że znamię owo wyrosło istotnie z epopei merowińskiéj, na to dowód po za granicami Francyi. Krzyż ów nosi na ramieniu *Wolfdietrich*, syn *Hugdietricha*, czyli Teodoryk merowiński.

Auf hueb es dy kuenegin und begunde zu hant spehen,
Ob sy nit abentewre an im moechte sehen:
Da fand sy zwischen Schultern em rotes kreuzelein.
Dabei sy her nach kante ir schoenes Kindelein,
(von der Hagen, Heldenbuch, I. 184)

Ponieważ pogańscy Merowingowie wywodzili się, jak wiemy, od Delfina, nie mogło znamię to pierwotnie mieć formy krzyża. Istotnie: kronikarz bizantyjski Teofanes mówi o Merowingach, że „zwali się κριστᾶται, co na greckie tłómaczy się τριχοραχᾶται, gdyż wzdłuż bark rosły im brodawki jak u wieprza.“ Oto jak artystycznie niepiękny ten dodatek wyzyskała epopeja chrześciańska!

Najciemniejsza jest dotąd kwestya języka, w jakim pieśni o Merowingach, przypuściwszy że istniały, były śpiewane. Gautier, G Paris, Meyer, Rajna twierdzą, iż był romański; jeden Bartsch przeczy.

Opierają się uczeni na *Vita st. Faronis*; Bartsch dosłuchuje się w nim odgłosu germańskiéj rytmiki wiersza o 8 arsach:

„De Chlóthario est cánere | rége Francórum,
Quí ívit púgnáré | in géntem Sáxónúm.“

Uważa więc ten śpiew za oryginalnie frankoński. Romańskiéj natury dowodzą wyrazy: *carmen publicum*, *rustico carmine*, *iuxta rusticitatem*, oraz fakt, że pieśń ta *„per omnium fere volitabat ora“*. Gautier przypuszcza nawet, że nigdy nie mówiono niemiecką gwarą w kraju, gdzie pieśń owa była śpiewana, a ostatecznie, że rozdział germańskiéj i romańskiéj poezyi nastąpił właśnie już w VII w. Gruntowniéj bada kwestyą tę Rajna. Najprzód stwierdza, że Frankowi osiadłszy w Galii, nie mogli odrazu porzucić języka, więc ich śpiewy były germańskie; dowodem *Poeta Saski*, dowodem *Hludovici*, *Theodrici*, *Chlotarii*, ktorzy w poezyi żyją nieustannie. Ale czy język frankoński był jedyny, którego używała epopeja merowińska? W kronice *Fredegaryusza* legenda o Childeryku okazuje charakter romański, mianowicie epizod podróży do Konstantynopola. Także charakter nosi w *Godach weselnych Klodoweusza* romański bez wątpienia *Arydyusz*, najwyraźniéj zaś jeden ustęp *Wojny Saskiéj*: Bertold miota obelgi na Klotaryusza, stojącego nad brzegiem Wezery. „*Tunc hic eras...*“ tu następuje przezwisko czytane przez uczonych w różny sposób: *bile jumentis*, *bale jumenti*, *blare jumentum*. Du Cange w Słowniku rozumie *Bile=vile*, podły; Gaston Paris tłómaczy: „*Es-tu là jument*, *ou cheval bai*?“—według autora niezbyt szczęśliwie; że to jednak frazes romański, nikt nie zaprzeczy. Fragment *Vita St. Faronis*, dokument dla kwestyi niniejszéj najważniejszy, uważa Rajna z Meyerem i Gautierem nie za przykład, lecz za dowolne obrobienie tego, co kronikarz z ust ludu słyszał. Kronikarze oczywiście używali łaciny; analogia znajduje się we wszystkich literaturach. Nie wynika stąd jednak, aby język nie dość wykształcony dla ludzi pióra, był niezdatny dla poezyi. Język nie przechodzi przez jakieś chaotyczne epoki; w każdéj dobie jest organizmem skończonym i do wyrażenia najprostszych epickich opowieści zdolnym; a jak w historyi natury, tak i tu odkrycie jednego osobnika pewnego gatunku dowodzi istnienia większéj ich liczby.

Konkluduje autor: Istniała Wojna Saska Klotaryusza i *Dagoberta* w narzeczu romańskiem, a z nią wiele innych poematów w témże narzeczu.

Jakież więc jest pierwsze ogniwo téj snującéj się nieprzerwanie epopei francuskiéj, jakie w niéj dominują pierwiastki i w jakiéj istnieje formie?

Gautier w drugiém, mocno zmodyfikowaném wydaniu: *Les Epopées françaises* postawił tezę: *Par son origine prochaine et immédiate, l'Epopée française est romane*. Meyer wierzy, że peryod romański sięga jeszcze daleko po za wiek IX, że od wieków istniały śpiewy ludowe romańskie i że epopeja romańska z germańską nigdy się nie zlała. Rajna obalił, zniweczył dotychczasowe teorye. Epopeja karolińska jest *spadkobierczynią* merowińskiéj. Nie można mówić o *początkach blizkich*, skoro są one całością jednolitą; można jedynie mówić o początkach rapsodów śpiewanych *w romańskim języku*, takie bowiem, jak się okazało, istnieją; pierwotniejsze jednak są *germańskie*, zresztą w pewnéj epoce obie żyją równocześnie, np. Klotaryusz w Wojnie Saskiéj, Karol Młot; poemat o Childeryku zostaje *zromanizowany* z końcem VI lub początkiem VII w. tak Weselne Gody Klodoweusza, tak *Floovent*, którego posiadamy już tylko romańskie redakcye, ale który już samém imieniem świadczy o germańskiém pochodzeniu. Jak zaś w przyrodzie, tak i tu *generatio spontanea* wyklucza się. Przyczyną powstania epopei francuskiéj, tj. romańskiéj jest zlanie się obu szczepów. Pytanie, kiedy nastąpiło. Kronikarz grecki Prokop opowiada o zlaniu się Franków z Armorykami, tj. Gallami, które miało przypaść za Klodoweusza. Widoczny anachronizm odbiera temu świadectwu wszelką wartość. Rajna w polemice przeciw Fustel de Coulange'owi wychodzi od znaczenia nazwy Frank. Według F. de C. oznaczało ono w dobie merowińskiéj i Franków z pochodzenia i Gallo-Romanów, co nieprawda. Dokumenta prawne rozróżniają zawsze *Francus,—Romanus*. To zjednoczenie nastąpiło wiele późniéj. Pierwotni Francuzi byli wprawdzie nazywani czasem *Franci*, ale nie *Franchi*; stworzono téż dla nich odrębną nazwę: *Francigenae*. W długiéj zawikłanéj dyskusyi autor stawia hipotezę, że już w najdawniejszych czasach Francuzi tj. Gallo-Romani nazywali się *Franceis*, *François*, i że *Francigena* od tego Franceis pochodzi, w przeciwstawieniu do *Francus*=Frank z germańskiego szczepu. Tak, gdzie się szukało dowodów prędkiego zlania się obu szczepów, znalazło się dowód przeciwny. Tendencya romanizowania wychodziła z Dworu, choć i Chilperyk (561—584), który układał łacińskie wiersze i Klodoweusz, który pochwalnych pieśni romańskich słuchał, za ojczysty język mieli frankoński. Niemieckim czuje się Pipin „niemieckim naskróś Karol W. Eginhardt pisze o nim: „Nec *patrio* tantum sermone contentus, etiam *peregrinis* linguis ediscendis operam impendit, in quibus *latinum* ita didicit, ut aeque illa ac patria lingua orare sit solitus.“ (Orare=mówić, zwłaszcza publicznie). O Ludwiku Pobożnym czytamy „*latinam* vero sicut *naturalem* aequaliter loqui poterat.“ Co to zaś za *lingua naturalis*, daje wskazówkę sam

kronikarz, opowiadając, że słyszano, jak król na łożu śmierci wołał: „*hutz! hutz!* quod significato *foras*“—widocznie niemiecki wykrzyk na odpędzenie złych duchów. Długi zapewne upłynął czas od opuszczenia germańskiéj ojczyzny, nim Frankowie przyjęli obyczaj romański; dłuższy jeszcze nim przyjęli język; kanony kościelne polecają kazać w *romana rustica lingua* albo też *teutisca.* Ten jaskrawy rozdział obiawia się nawet w kontraście nazw: *romanus*, *teutiscus*. We Włoszech język ludu nie nazywał się już *romanus*, bo kontrastu dlań nie było; zwie się *volgare*, w przeciwstawieniu do *illustre=latino*, który Dante jeszcze nazywa: *lingua nostra.* Napływ Franków trwał przez kilka pokoleń; po Frankach przyszli Salijczycy, Ripuarowie. Ku południowi jednak pierwiastek germański tracił siłę i szerokość; równocześnie neutralizowało go parcie elementu romańskiego z południa i naginała cywilizacya romańska, podniesiona jeszcze urokiem starego Rzymu, oraz chrystyanizm. Jędrne jednak były te plemiona i niezbyt podatne, toż wywierają wzajem wpływ na Gallo-Romanów. Naprzód imiona w północnéj Francyi są przeważnie germańskie, czego przyczyną moda poparta siłą liczby; potém przewaga w rządzie i prawodawstwie. Wbrew F. de Coulange'owi dowodzi Rajna, że Galja czuła się istotnie podbitą. W jednym dyplomie Klodoweusza czytamy: „Primo nostro susceptae christianitatis atque *Subiugationis Gallorum* anno. W prawie Ripuarów np. Germanie mają widoczne przywileje: Zabicie Franka kosztuje 200 soldów, Burgundczyka, Allemana, Bawara, Sasa—160, Gallo-Romana tylko 100; a w edykcie Rotara: „Si quis cum ancilla *gentile* fornicatus fuerit, componat domino eius solidos *viginti*; si cum *romana* ancilla, componat solidos *duodecim.*“ Gallo-Romani więc byli pół-wolni jedynie, nakształt rzymskich *libertini.*

Z tem wiąże się etymologia wyrazu Francus, który Rajna wbrew Grimmowi, a z Littre'm (1) uważa za generalizacyą Francus, pojęcia etnograficznego. Przymiotnik *francus* oznacza w przeważnéj ilości wypadków: *liber* przez szczególne zastosowanie do szczepu zwycięskiego. Z téj saméj przyczyny *francus* w prawodawstwie germańskiém jest synonimem: *ingenuus.* Frankowie stanowią rodzaj arystokracyi, zwłaszcza wojennéj, co dla rozwoju epopei, jako kwiatu z rycerskiéj grzędy, jest nader ważne. To też słownik francuski, począwszy już od saméj nazwy *guerre*, wymienia w zakresie wojennym same wyrazy germańskie; nazwy broni, komenda, terminologia łowiecka są germańskie. Epopeja sama przez się nie jest ludowym rodzajem, gdyż opiewa arystokracyą rycerską, klasy ludowe i miesz-

(1) Dictionnaire de la langue française.

czańskie nie mają tam wstępu. Wstaje ona i żyje śród bohaterów; autorowie mogą pochodzić z ludu, słuchacze muszą być rycerzami; zstępując i przystosowując się do klas niższych, epopeja wynaturzona—upada, dowodem *Orlando* przedzierzgniony w rozbójnika Rinaldiniego.

Trudność pewną sprawia przedstawienie sobie tego przejścia epopei germańskiéj w romańską. Zdanie Gautiera, że Frankowie zromanizowani kontynuowali dawne opowieści w nowym języku, przemawia za pochodzeniem germańskiém więcéj, niż uczony ten sam pragnął, a ostateczna definicya dla francuskiego eposu będzie nie *Epos germańskie w formie romańskiéj* (Gautier, G. Paris), ale *Epos Franków zromanizowane* (Rajna).

Przejście owo łatwiejsze do wytłómaczenia, niż się zrazu zdaje. Wystawmy sobie trzy stadya: śpiewak czy żołnierz mówił po frankońsku, a rozumiał język romański; potém mówił równie dobrze oboma językami, wreszcie mówił po romańsku, a zrozumiał język frankoński. Oczywiście szło to zwolna, przez pokolenia. Mówienie biegle dwoma językami zdarzało się pospoliciéj niż dziś, a takie naśladowania pieśni nie były w dzisiejszém znaczeniu przekładami filologicznemi; poetów filologów, o jakich mówi Meyer, z pewnością nie było.

Rajna prostuje drugą opinią (Wilh. Grimma i Simrocka), jakoby epopeja miała charakter raczéj mityczny niż historyczny, który wszedł do niéj rzekomo późniéj dopiero; temu przeczą wszystkie świadectwa, począwszy od Tacyta. Więc w pierwszym wieku sławi Arminiusza, w 4-m Hermanryka, w 5-m Gunthera i braci jego — w Burgundyi, Klodwika we Frankonii; w 6-m obu Teodoryków, Klotaryusza, Alboina; w 7 i 8 Pipinów, Karola Młota, Karola W. — a na królach się nie ogranicza. Podobnie we Francyi od początku aż do XIII wieku, sama nazwa *Chansons de Geste* oznacza poeamata historyczne.

Kwestya rozpostarcia geograficznego epopei fran. zawiera jako punkt ważny pytanie, czy południowa Francya posiadała śpiewy rycerskie. Pominąwszy Fauriela, na czele partyi twierdzącéj stoi G. Paris, Gautier i Paul Mayer przeczą, opierając się na fakcie, że prócz *Giratz de Rossilho* nie posiadamy prowansalskiego bohaterskiego poematu. Badania te jednak dotyczą epopei nowszéj niż wiek X, istnienie w Prowancyi *merowińskego cyklu* zdaje się być — zdaniem Rajny—wykluczone. To prawda; ośmieliłbym się jednak zrobić uwagę, że po za merowińskim i karolińskim cyklem istniał dla Prowancyi bogaty zdrój poetyckich tematów: cykl *Okrągłego stołu.* Wielka

ich część zaginęła; Fauriel przypuszcza (1), że herezya Albigensów zdyskredytowała na południu poezyą ludową, więc stało się z nimi jak z wielu pogańskimi zabytkami; przetrwały jednak tytuły: *Jauffre e Brunnesentz*, *Blandin* etc., a piękne świadectwo składa Dante (Purg. XXVI) o *Arnoldzie Danielu*:

„Versi d'amore e *prose di romanzi*
Soverchiò tutti e lascia dir gli stolti,
Que quel di *Lemosì* credon ch'avanzi."

„*Prosas de roman*" zaś nazywały się zawsze w Prowancyi romanse bohaterskie. Przypuszczalnie jest *Lancelot du Lac* (równie z bretońskiego cyklu) dziełem Arnolda. Sądzę, że jeżeli Normandowie zanieść mogli podania o królu Artusie aż na Sycylią (2), musieli je całą garścią rozsiać w Prowancyi; tak, że je *trubadurowie* nie od *truverów* przejęli, ale od tych rycerzy morza i żelaza.

Jako najżyźniejszy dla epopei grunt wymienia Rajna Pikardyą, Artois, Flandryą, t. j. kraje Salickie, a przedewszystkiém Lotaryngią, która wydała cykl *Lohérains*, z Metzem, siedzibą wielkich rycerskich postaci. *Moguncya*, z której wyszedł *Doon de Mayence*, jest jednym dowodem więcéj téj nierozłączności francuskiéj i germańskiéj epopei; Moguncya bowiem, to miasto niemieckie.

Nakoniec, pochodzenie germańskie francuskiego eposu wykazuje się wspólnością nieskończonéj liczby motywów epickich. Rajna powtarza i uzupełnia szczegóły zebrane troskliwie przez Gautiera, oczywiście na podstawie istniejących poematów z cyklu karolińskiego, od *Ch. de Roland* począwszy. W nich to idea wojenna, pojęcie królewskości, feudalizmu, prawodawstwo, nawet pojęcie kobiety i Boga przedstawiają charakter germański.

I. Władza króla np. w *Chan. de Roland* jest ograniczona wolą ludu i grandów; nie on tam wydaje wyrok:

„Oït l'avez, sur vos le *jugent Franc*"

mówi do zdrajcy Ganelona (v. 282). Właśnie tak przedstawia Tacyt władzę władców germańskich: *auctoritate suadendi magis quam iubendi potestate* rządzą.

II. Analogia zgromadzeń ludowych obu szczepów, od Tacyta począwszy, jest widoczna nawet w drobnych rysach. Zbierają się sub quercu, sub tilia, *bey der tanne*; podobnie, a tém dziwniéj, że dzieje się to w Kordubie, zwołuje Zgromadzenie Karol W.

---

(1) H st lit. de la Fr. T. XXV.

(2) Porów. Giornale Storicc. Vol. V. (fasc. 1—2), 1885. A. Graf. Appunti per la storia del Cidc brettone in Italia.

„Li Emperere s'en vait *desuz un pin;*
Les baruns mandet *pur son conseill* fenir.“ (v. 168).

III. Poselstwa, pojedynki, sądy — jak sąd Ganelona — odbywa się na germańską modłę; przysięgi noszą równie cechę pogańską jeszcze:

„Dist Blancadrins: *Par ceste meie destre*“—

co potwierdza *Lex Salica:* in eorum *dextera et arma* eorum *sacramenta* adfirmant. Ganelo składa swą wiarołomną przysięgę na relikwii miecza—motyw zmieszany już z pierwiastkiem chrześciańskim:

„Sur les reliques *de s'espee* Murglais.“ (v. 607).

IV. Braterstwo rycerskie, ofiarowanie gościowi broni i zawarcie *compagnie* jest zwyczajem germańskim, niemniéj ów wracający ciągle w epopei fr. motyw 12 paladynów; w Ch. de Roland etc. Rajna rozwija ten rozdział bardzo szeroko, objaśniając pięknèm porównaniem: Epopeja francuska składa tkaniny z tych nici, które są farbowane za Renem.

V. Typ rycerza - śpiewaka przedstawia Taillefer w romansie Wace'a: Romans de Rou (v. 8035) śpiewający w bitwie pod Hastings przed szeregami o klęsce Ronsewalskiéj:

De Karlemaigne et de Rollant,
E d'Oliver et des vassals
Ki morurent en Ronsevals.

Podobnie w Nibelungach Volkêr. Bohaterowie wiedzą, że ich sława będzie opiewana, dla tego boją się wszelkiéj skazy:

Or guart cascuns que granz colps i empleit:
Male cançun ja cantee n'en seit. (*Ch. de R.* v. 1013);

a w Heldenbuch I, 316:

Wer ys, das wyr ju bezwongen und worde er dan erslagen,
Von unsern untrüwen müst' man umber singen unde sagen.

VI. Królowie francuscy od Klodoweusza dążą ciągle do absolutnéj władzy, ale epopeja nie uwzględnia tego naturalnego rozwoju królewskości, idąc w trop za germańską tradycyą. Dlatego to Karol W. w Ch. de Roland nie ma charakteru ani króla francuskiego. ani cesarza niemieckiego, ale jest archaicznym typem księcia germańskiego. Zawisłość od zdania ludu przebija się na każdém miejscu:

Seigneurs baruns dist l'emperere Karles.
Kar me jugiez ki iert en rere-guarde? (v. 740);

podobnie Sigfrid:

Sîvrid der vil starke vrâgen des began:
Wer sol des gesindes uns nu hüeten hie?

tam odpowiada Ganelo, tutaj Burgundowie.

VII. Podobnie pojedynki: Klotaryusza z Bertoldem, Karola W. z Almontem etc.

VIII. Owe chełpliwe bajki: *Vanti*, *gabbs*, któremi zabawia się Karol W. w Konstantynopolu, a których pochodzenie dotąd ciemne, znajdują się już między zwyczajami starożytnych Germanów.

IX. Kładzenie miecza w małżeńskiém łożu przy odprawianiu ślubów *przez prokuracyą* było rytuałem do XV w. Porównać wystarczy Sigfrida i Brunhildę, Buovo d'Antona, Amis et Anute etc.

X. Wspólną formułą są przemowy rycerzy przed bitwami; jest to widocznie formuła tylko, boć nie zawsze rycerze się rozumieją. Porów. Fierabras i Ulivieri (v. 368), Uggieri i Brahier (Ogier. 11154); Hildebrand i Hadubrand, Wolfditrich i Ortuit (von der Hagen. Heldenbuch. I, 211) etc etc.

XI. W epizodach poselskich zagrożeni gniewem króla rycerze bronią się na skale, dokazując cudów waleczności, póki im z pomocą wojsko nie przybędzie; tak w Jehan de Lanson, w Fierabras; tak w Vilkina Saga, etc.

XII. Epopeja weselna nosi cechy wspólne, co wykazało się wyżéj; równie XIII: motyw 12 parów. Cyfra ta waha się często między 11 a 12 z tego względu, że dwunastym jest często sam król czy bohater, np. Sigfrid:

Ich wil *selbe zwelfe* in Guntheres lant.

W epopei germańskiéj rys ten częściéj się powtarza niż we francuskiéj: Krymhildy *Rosengarten* strzeżony jest przez 12 rycerzy, przeciw którym walczy Ditrich z Bernu, równie z dwunastoma; na liczbę tę w epopei fr. wpłynęła raczéj analogia 12 apostołów.

XIV. Rajna zwraca szczególną uwagę na onomatologią Saracenów w ep. fr. Są niemi częściéj ludy słowiańskie, „Escler", zjawiające się jako synonimy Saracenów; że słowiańskie, wnioskujemy stąd, iż walczą przeciw nim Pipin i Karolingowie. Słowianie są częścią saskiego szczepu u Poety Saskiego:

....regionem solis ad ortum
Inhabitant Osterlindi, quos nomine quidam
Ostvalos alio vocitant, confinia quorum
Infestant coniuncta suis, gens perfida „*Sclavi*."

Escler czyli Esclaver zaś uważa autor za formę germańską, gdzie suffix *âri* służył do utworzenia *nominis agentis*, w *mittelhochdeutsch* zamieniony na *aere: Feschenaere*, *Burgundaere* etc.

XV. Innymi typami wspólnymi są: Matka żegnająca syna wygnańca, w *Floovent* i *Ruodlieb*; choć ten naturalny motyw mógł powstać i na swojskim gruncie; wybitniejszy już typ ochmistrza towa-

rzyszącego młodym panom, jako to: *Sebald* w *Beuve de Hanstone*, *Hagen* w *Nibelungach*, typ zdrajców, jak *Gano* w *Ch. de Roland*, *Sibich* w Legendzie hermanrykowéj, *Hagen* etc.; typy karłów i olbrzymów: *Alberich* w Nibelungach i *Auberon* w *Huon de Bordeaux*; *Asprian* i *Pusold* w *Rosengarten*; *Heime* i *Ditrich* w *Ditrichsaga*; a w poematach francuskich: *Fierabras* i *Otinel*, *Rainouard*, *Ogier*. (Wszystkie te imiona stoją z sobą w wielokrotnym związku i sądziłbym, że bardzo często identyfikują się, i tak przypuszczam, że Alberich i Hagen z Nibelungów jest identyczny z Auberonem i Huonem francuskim; że *Otinel* nie jest niczem innéni, jak *Rainouardem z maczugą, au tinel*).

XVI. Terminy wojenne, nazwy sprzętów i broni są germańskie: *Durendart* i *Flauberg* są imionami na pół germańskiemi; w pierwszém suffix *hart*, twardy, w drugiém *bercht*, błyszczący. Koń *Baiard* podobny jest do rumaków na Walhalli.

XVII. Wspólnym tematem są walki z potworami, zwłaszcza porywającemi młodych bohaterów. Te potwory są często przedmiotem snów, a wróżą nieszczęście. Porów.: *Aiol*, v. 360; *Ch. de Roland*, v. 2525; *Ogier*, v. 1159 etc.; *Ruodlieb*, v. 89; *Waltharius*, v. 621; *Nibelungen*, str. 921 etc. — W epopei niemieckiéj częściéj śnią kobiety, we francuskiéj mężczyźni. Niezaprzeczenie prześwitają w epopei fr. motywa mitologiczne germańskie, np. owe karły i olbrzymy; ale czy obok osobistości mitycznych dopatrzéć gdzie można akcyi mitycznéj—wątpić należy. Gaston Paris dopatrzył jedynie w *Berte aus grands piés* niemieckiéj mitycznéj tradycyi; dodałbym, że noszą jéj ślady romanse cyklu bretońskiego datujące się wiekiem XIV, ale pochodzące z doby wiele starszéj. Przyczyną tego braku jest charakter francuski, od wieków realistyczny.

Wpływ epopei francuskiéj na niemiecką należy do epoki późniejszéj — *Wolframa von Eschenbach*; to przechodzi po za założenie książki; autor roztrząsa punkt ostatni; charakter i formę zrekonstruowanéj powyżéj epopei merowińskiéj.

Oddawna o ten szkopuł kruszą głowy uczeni francuscy i niemieccy. *Leon Gautier* utrzymywał w I-m wyd. Epopei, że *kantyleny* germańskie były bezpośredniém źródłem *Ch. de Geste*; że od VII w. mogły być śpiewane w języku romańskim, ale nie miały charakteru epickiego. *Paul Meyer* upiera się zawsze, że nawet najstarsze poematy powstały wprost z tradycyi. *Gaston Paris* przypuszcza z Gautierem istnienie kantylen przed *Ch. de Geste*, które dopiero ich miejsce zajęły. — Zapatrywania *Bartscha* są zmienne. Dobitnie i jasno sformułował dopiero w II wydaniu zmodyfikowaną swą teoryą Gautier: „Ch. de geste były poprzedzone śpiewami liryczno-epicznemi, t. j. kantylenami, które w jednéj części Francyi były niemieckie, ale

równocześnie, i to w części większéj francuskie. Autorowie najstarszych epopei czerpali bądź z nich, bądź z tradycyi ustnéj." Taką kantyleną była w VII w. *Vita St. Faronis;* w IX w. kantylena niemiecka o bitwie pod *Sancourt*, a prócz tego istniały od VIII w. kantyleny opiewające *Wilhelma de Gelone* i jego zwycięstwa nad Saracenami. Były to według Gautiera śpiewy ludowe, śpiewane chórem, niekiedy z towarzyszeniem tańca. Krótkość ich jest dla Gautiera dowodem, że niebyły to *Ch. de Geste*, jak chce Meyer. Śpiew z 962 r. na cześć Ottona przedstawia typ takiéj kantyleny:

Age, age, iam Alberte ultra Decium superbe,
Disce miser et miselle, quid fuisti aut quid es. (1)

Podobnie w *Chron. Polonorum* z początku XII w.:

Boleslave, Boleslave, dux gloriosissime,
Tu defendis terram tuam quam studiosissime etc. (2).

Wtrącę tu krótką uwagę. Prócz wyżéj przytoczonéj pieśni mamy w literaturze naszéj inne, między nimi na śmierć Bolesława Wielkiego:

Omnis etas, omnis sexus, omnis ordo currite,
Boleslavi regis funus condolentes cernite,
Eheu, eheu Boleslaue, ubi tua gloria! etc.

Nie chcę upierać się, iżbyśmy mieli już wówczas narodową epopeję; w tych jednak *kantylenach*, że je tak nazwiemy, tkwią bez wątpienia poetyckie pierwiastki i nasuwa się mimowoli przekład: „Hej, hej, *Bolesławie*, gdzie twoja *sława*", na ową prastarą nutę polskiéj pieśni. Czy jest możliwém zrekonstruować choć w przybliżeniu te pieśni? Bezwątpienia, w obec wysokiego stanu badań literatury i gramatyki staropolskiéj: Müllenhoff, Scherer, G. Paris mogą w téj sztuce być przewodnikami.

Z Meyerem przeciw Gautierowi łączy się Rajna. U łacińskich pisarzy średnich wieków *kantylenami* nazywały się wszystkie epickie poematy, wszystkie *Ch. de Geste*, więc tu odrębność się zaciera. Potém istnienie takich kantylen nie wyklucza istnienia równoczesnego poematów epickich, więc metamorfoza niepotrzebna. Rajna spostrzega błąd badaczy w tém, że sądzą epopeję organizmem skończonym, że rozróżniają poczęcie, embryo, narodzenie, dziecięctwo. Różnica polegająca na rozmiarach także niczego nie dowodzi. Tak przed Mahâbhâratą o 200,000 wierszach jest Mahâbhârata o 8000 tylko, tak obok *Otinela* o 2133 wierszach jest *Gaydon* o 10887 wier.; pierwsze zaczątki ich musiały być jeszcze krótsze. Oto jak Rajna przedstawia tworzenie się eposu: Powstaje on przez ekspansyą i agre-

(1) Pertz. S. S. VIII, 54. — (2) Tamże. IX, 470.

gacyą, t. j. przez rozszerzanie się i przyswajanie. W pierwszym wypadku przedmiot, który w poemacie zajmował początkowo kilkadziesiąt wierszy, rozciąga się potém na kilkaset i kilka tysięcy przez dodatki i upiększenia wewnętrzne. W drugim—około faktu głównego grupują się poboczne; bohaterowi dodaje się epokę młodości, stąd *Enfances*; dodaje się historyą przodków i potomków, przenosi się nań sławne dzieje innych osobistości; słowem rozszerzenie powstaje przez dodatki *zewnętrzne*. Najlepszym przykładem takiéj expansyi jest *Chanson de Roland*. Kodeks Oxfordzki liczy 4000 wierszy, kodeks najnowszy już 8000, a idąc w tył, moglibyśmy kształt pierwotny do szczuplejszych jeszcze sprowadzić rozmiarów.

Pozostaje nam zestawić bardzo zawikłane teorye poczęcia się rymu i rytmu we francuskiéj epopei.

Jednę teoryą postawił Leon Gautier (1), drugą G. Paris (2). Dadzą się one streścić w ten sposób. Według G. Paris'a głównym pierwiastkiem rytmicznego wierszowania jest *akcent*. Wiersz rytmiczny łaciński średnich wieków pochodzi z wierszowania rytmicznego ludowego Rzymian; z wiersza metrycznego nie zapożyczył nic. To samo z wierszem francuskim. Polega on na systemie rytmicznym i nie zawdzięcza nic metryce poetów rzymskich. Leon Gautier zmodyfikował swą dawną teoryą i zbliżył się ku Parisowi, przyznając, że akcent jest ważnym rytmicznym czynnikiem. Rezultaty polemicznego dyskursu szerokich rozmiarów w ostatniém wydaniu *Les épopées* (T. I, pag. 281 — 371) przedstawiają się w najkrótszéj formie w czterech zdaniach:

1. Elementami wiersza rytmicznego są: akcent, syllabizm, assonancya.

2. Wiersz rytmiczny łaciński w śred. w. nie pochodzi wprost od wiersza rytmicznego lub ludowego Rzymian, ale od ich wiersza metrycznego, który się zwolna zmodyfikował i przekształcił pod wpływem syllabizmu i akcentu.

3. Wiersz francuski nie pochodzi wprost od wiersza rytmicznego albo ludowego Rzymian, ale od pewnych moduł liturgicznych, które stały się na skróś ludowemi i zwolna zmodyfikowały się i przekształciły pod wpływem poezyi ludowéj.

4. W tém jedynie znaczeniu można mówić, że dwie formy wiersza epopei francuskiéj: dziesięciozgłoskowy i aleksandryjski dadzą się sprowadzić do formy daktylicznego trymetru i wiersza asklepiadejskiego.

---

(1) Léon Gautier: Histoire de la versification latine au moyen age. 1855.

(2) G. Paris: Lettre à M. L. Gautier sur la versification latine rythmique. 1866.

Dwie główne hypotezy Rajny brzmią: Wiersz 10-zgłoskowy jest formą czysto gallicką, przypuszczalnie francuską; rytm francuski jest pochodzenia celtyckiego. Rozwijamy je dokładniéj za autorem.

Nie ma epopei bez muzyki, bez rytmu. Wymagającą ona nie jest, bo jedna forma wystarcza jéj przez wieki, dowodem hexametr poezyi greckiéj. Szukając nowości już się wynaturza.

W epopei franc. znajdujemy 3 rodzaje wiersza: 8-, 10-, 12-zgłoskowy; układa się on w serye rymowane lub assononsowane.

1. Rytm następuje po assonancyi i wypiera ją, co sprawdzić się da w różnych redakcyach *Ch. de Roland*. Ciekawe zjawisko zaznacza się w hiszpańskiéj poezyi. Tam assonancya także zaczęła ustępować rymowi, ale wnet odzyskała przewagę i do dziś dnia się utrzymała. Prowansalska poezya prędko przyjęła rym, dowodem *Boecyusz*.

2. Jednolite stance w epopei fr. wykazać się nie dadzą, składa się ona z seryi nieregularnych. Analogią znajdujemy w najstarszéj epopei germańskiéj: *Beowulf*, *Hildebrand* pisane są wierszem stychicznym.

3. Melodya śpiewanych pieśni i *Lais* jest jaknajprostsza; powtarza się przez szereg seryi, a potém przechodzi w inną.

4. Wiersz 8-zgłoskowy za krótki, aby stać się epicznym, ginie; wiersz 10- i 12-zgłoskowy są równorzędne pod względem rozpowszechnienia; pierwotnie jednak przeważał 10-zgłoskowy i z poematów, które posiadamy w podwójnéj formie, jak *Ogier*, ten jest starszy, który ma formę wiersza 10-zgłoskową. Jedynym bardzo starym dwunastozgłoskowym wierszem jest wiersz poematu *Siege de Barbastre*. W wierszu 12-zgł. t. j. aleksandryjskim Rajna podejrzywa filiacyą z dwu 6-zgłoskowych. Wiersz 10-zgł. odnieść się da w prastare czasy i odpowiada ludowemu włoskiemu wierszowi 11-zgłoskowemu.

5. Rajna przeczy stanowczo, aby na wiersz 10- i 11-zgłoskowy wpłynęła metryka klasyczna. Rytm kościelny mógł wpływać na ludowy, ale by epopeja ludowa miała zeń brać formę—niepodobna.

6. Autor skłoniłby się przyjąć formę wiersza 10-zgłoskowego za *kontynuacyą* rzymskiéj poezyi ludowéj, gdyby pozostały w literaturze lub tradycyi jéj ślady. Ponieważ ich niema, streszcza swą teoryą w ten sposób: wiersz 10-zgłoskowy należy uważać za gallicki, a przypuszczalnie francuski.

7. Autor rozwija niezupełne twierdzenie *Dieza*, obrońcy pochodzenia czysto francuskiego. Hiszpania i Włochy skłaniają się ku wierszowi trochaicznemu; *langue d'oïl* i *langue d'oc* ku jambowi. Ale ten system akcentuacyi jest spadkiem po Gallach celtyckich i Gallach romańskich. *Nigra* (1) sądzi, że ludy celtyckie, przyjąwszy ję-

(1) Nigra: Poesia popolari etaliana.

zyk Rzymu, przystosowały doń rytm swoich dawnych śpiewów. Rytm germański zastosować się do nich nie mógł, jako polegający na innych elementach; łatwiéj było z rytmem romańskim. Teorya ta da się przyjąć i ze względu na rym, który według *Zeussa* oddawna posiadali Celtowie.

8. Celtowie zaś posiadali jeszcze jednę formę, która przeszła do Francyi: formę *romancy*. Jéj strofy składają się zawsze z części rymowanéj lub asonansowanéj i z *ritornello*, czyli *refrenu*,— owa część zaś, rzecz godna uwagi, jest zawsze 10- lub 12-zgłoskowa. Rezultatem więc badań Rajny jest hipoteza, że forma epicka poezyi francuskiéj wzięta była z liryczno-opowiadającéj celtyckiéj *romancy* o wierszu 10- lub 12-zgłoskowym.

Montpellier, w grudniu 1885.

Edward Porębowicz.





Z POEZYI LEOPARDIEGO.

I.

SOBOTA NA WSI.

Z pól oddalonych wracają dziewczęta
Do wsi o słońca skłonie;
Niosą traw wiąskę, a w ręku bukiecik
Polnych róż i fiołków,
By w świeże, wonne kwiatki
Jutro w niedzielę, jak zwyczajnie w święto
Ubrać gorset i skronie.
Na progu siadła staruszka z kądzielą,
Wokoło siadły sąsiadki
Zwrócone wszystkie tam, gdzie dzień zapada.
Więc im o dawnych czasach opowiada:
Jak to stroiła się bożą niedzielą,
Potém żwawa jak łania
W on czas piękny i młody
Tańcem z młodzieżą wodzić korowody.
Już się mrokiem osłania
Dzień, niebo ciemny ma kolor lazuru,
A długi cień rzucają
Pod blask miesięczny dachy i pagórki,
Dzwony na hasło grają
Nadchodzącego święta;
Rzekłbyś, że gwoli wtóru
Każde się serce cieszy.
Tam w uliczce chłopięta
Krzykają w licznéj rzeszy,
Tańczą, śmieją się, skaczą;
Pełno gwaru, hałasu.
A ku domowi gwiżdżąc rybak zmierza,
Gdzie go skromna wieczerza
I folga czeka jutrzejszego wczasu.

A gdy już wszystko utonęło w ciszę
I spoczęła wieś niema,
Krajanie piły długo jeszcze słyszę
I młot cieśli, co czuwa
Przy mdłem światełku w zamkniętym warsztacie
I roboty dokuwa,
Nim świtem rannym zaszarzeje w chacie.

Z dni siedmiu jest to dzień najbardziej ważny,
Pełen uciech, otuchy.
Jutro znów smutek głuchy
Obejmie rządy i uczucie nudy;
I na codzienne myśl się zwróci trudy.

Chłopcze rozweselony!
Wiek twój, kwieciem majony
Jest jak dzień pełen radosnéj ochoty,
Wesoły, jasny, złoty,
Który poprzedza życia późne święto.
Raduj się dzisiaj, jest to czas wesela,
Jest to czas szczęsnéj doli.
Więcéj rzec nie chcę; lecz jeśli niedziela
Dni twych opóźnia się,—niech cię nie boli.

II.

DO SIEBIE.

Spocznij teraz na wieki
Strudzone serce. Zamknąłem powieki
Przed złudą, co trwać miała nieskończenie,
A szczęścia lubéj mary
Już nie nadzieja znikła, lecz pragnienie.
Spocznij teraz na zawsze,
Dosyć bolałoś. Za nic się nie liczą
Wzruszenia twoje, ani westchnień godna
Ziemia. Męką, goryczą
Jest życie, niczém nadto, a świat błotem.
Uspokój się i zrozpacz
Po raz ostatni. Jedna niezawodna
Twemu plemieniu—śmierć. Wzgardę ci sądzi
Brutalna moc, co z cienia
Tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi
I nieskończona nicość wszechstworzenia.



ALBUM GIERYMSKICH.

Album Maxa i Aleksandra Gierymskich. Tekst Antoniego Sygietyńskiego, z 28 rycinami. Warszawa. Nakładem Redakcyi Wędrowca, 1886 r.

Nad naszemi wydawnictwami artystycznemi ciężyła zawsze jakaś zła dola. Jedne, jak „*Zabytki Sztuki średniowiecznéj*“, prowadzone jak na one czasy niezmiernie starannie, upadały skutkiem zupełnego braku poparcia publiczności, inne, jak „*Album wilanowskie*,“ pomimo rzeczywistéj dobréj woli współpracowników, rozbijały się o wydawniczą lekkomyślność, niezdolną udźwignąć przedsięwzięcia wymagającego większych zasobów materyalnych,—inne wreszcie, z wyjątkiem może wybornego „Roku myśliwca“ i niezłéj „Staréj Baśni,“ niezdolne były zadowolnić surowszych wymagań. Tymczasem tygodniki ilustrowane, na które w pierwszym szeregu przypada zasługa popularyzowania sztuki, wystarczając w okresie niemowlęctwa swego niezbyt subtelnym potrzebom artystycznym współczesnego społeczeństwa, rozwijały się coraz pomyślniéj, wytwarzając jednocześnie zastęp miejscowy zdolnych drzeworytników. Podniósł się więc znacznie poziom artystyczny ilustracyi a nawet od czasu do czasu zaczęły się pojawiać rysunki cięte wybornie, świadczące o rzeczywistym talencie drzeworytników, z których paru ujawniwszy piękną technikę i pewną indywidualność, stanęło w swoim zawodzie, jak np. Holewiński, bardzo wysoko. Ruchowi artystyczno-reprodukcyjnemu, opartemu wyłącznie prawie na drzeworytach, zdawało się to rokować świetną przyszłość. Pisma jednak ilustrowane, stanąwszy na raz dościgniętéj wysokości, od pewnego czasu nie postąpiły naprzód, co objaśniano kilku przyczynami: że wskutek otworzenia się w drzeworytnictwie nowego pola zbytu pracy, rzuciło się do téj sztuki za wielu, skąd wypłynęła konkurencya na robotę średnią a tańszą (dobra nie potrzebowała się jéj lękać), ta zaś wprowadziła w świat sporo miernoty, obniżającéj zwykle każdy poziom,—że ani społeczeństwo

nasze nie jest takie bogate, ani potrzeby jego artystyczne tak liczne, iżby mogło dla każdego z pism ilustrowanych, różniących się zresztą od siebie niebardzo, dostarczyć tak znacznéj liczby prenumeratorów, ażeby wydawnictwo prowadzone z wielkim nakładem,—a w ten tylko sposób wyższą artystyczną wartość otrzymać można.—mogło się opłacić. Dowody te, z punktu szczególniéj wydawniczego ryzyka są zupełnie słuszne, trudno bowiem żądać od wydawcy, który nie jest z powołania artystą, ażeby wydawał rzeczy artystyczne, ale za to na nich tracił.

Są jednak ludzie którzy utrzymują, że przy obecnym stanie naszego drzeworytnictwa, za odpowiednią cenę, można mieć zawsze robotę bardzo dobrą, że następnie dając prenumeratorom doborowy materyał artystyczny, w stale określonym kierunku i co najważniejsza, ciągle, można sobie wyrabiać coraz większe koło zwolenników a tém samém, *forsując* jakiś czas, wywalczyć dla wydawnictwa możność istnienia bez straty, utrzymując je jednocześnie na stopie wykluczającéj podporządkowanie strony artystycznéj, stronie wydawniczéj.

Do tego jednak potrzeba warunków bardzo szczęśliwych, zapewniających zupełną swobodę działania i rezygnacyę na czasowy deficyt, przed którym cofnąć się niewolno. Szczęśliwym trafem wydawca „Wędrowca“ dostarczył tych warunków Stanisławowi Witkiewiczowi, w którego ręku spoczywa artystyczne kierownictwo tego pisma. Przytoczony powyżéj pogląd na wydawnictwo artystyczne Witkiewicz podziela i w tym duchu pismo prowadzi. Nie tutaj jednak miejsce do oceny téj jego działalności, jak również wglądanie czy zasada ta przynosi już na każdém polu pożądane owoce, zaznaczymy jednak, że trudności napotykane z saméj jéj natury, pomnożone zostały przez pewną wyłączność kierunku narzucanego w ten sposób za zasadę obowiązującą, jako też i pracę nad popularyzowaniem idei, „niedosyć jeszcze rozpowszechnionych.“ Zaznaczam zaś to, jak i wogóle wszystko co dotąd powiedziałem, dla tego, aby wobec ogólnego ruchu wydawniczego ilustrowanego uwydatnić stanowisko „*Albumu*“, będącego, jak wiadomo, dodatkiem do „Wędrowca“, i wydanego w zupełnéj jednolitości z jego artystycznemi aspiracyami.

Stanowisko to jest wyjątkowe. „*Album braci Gierymskich*“ jest wydawnictwem *czysto artystyczném*, o celu jasno wytkniętym i starannie uwydatnianym. Celem tym było, ugrupowanie i stosowne oświetlenie prac obu braci, Maxa i Aleksandra, z zamiarem oddania im hołdu, a jednocześnie krytyczne objaśnienie znakomitéj działalności tych artystów jako też podniesienie ich zasad artystycznych do

wysokości zasad ogólnie obowiązujących i w naszéj obecnéj sztuce, w przekonaniu autorów „*Albumu*“, jedynie dojrzałych i racyonalnych. Taki bowiem wniosek z ogólnéj zawartości tekstu wypływa. Pracy nad osiągnięciem powyższego celu podjęli się dwaj ludzie, znani już ze swéj działalności: nad wykonaniem rysunków czuwał Witkiewicz, znaczna też część jego uwag przegląda z pod tekstu Antoniego Sygietyńskiego, czego autor wcale nie ukrywa. To zsolidaryzowanie się ich obudwóch, zaprawione poglądami krytycznemi Taine'a i Goncourt'ów, składa się na krytyczny amalgamat, w którym wyraziście odbijają się postaci naszych cennych malarzy: braci Maxa i Aleksandra.

Czuwanie Witkiewicza nad stroną rysunkową „Albumu“ przyniosło zbawienne skutki. Rysunki cięte wogóle dobrze, z zamiłowaniem, niektóre nawet wybornie, uwydatniają zasadnicze cechy dwóch tak różnych talentów: delikatne harmonijne półtony w obrazach Maxa, najdrobniejsze linie przypadkowe w fac-similach z jego notatek, kontrastową grę plam, świateł i cieni u Aleksandra. Nawet tak słabe strony jak rysunek chmur w dwóch wielkich rysunkach Aleksandra, uwydatniły się pod sumiennym rylcem drzeworytnika. Dodać należy do tego wyborne wycięcie obu portretów, bardzo dobrze przez Witkiewicza narysowanych, chociaż pod względem podobieństwa pozostawiających sporo do życzenia, dobre wycięcie widoków miejsca urodzenia i śmierci Maxa, druk niezwykle staranny (jakkolwiek we fragmentach z polowań zopfowych nieco zasilny i zajednostajny). O wyborze rysunków, oprócz żalu że nie więcéj umieszczono *całych* obrazów, wypada się wyrazić z zupełném uznaniem, z pod którego wyłączyć by można chyba ilustracye do „Mazepy“ Byrona. Max Gierymski tak niemiał nic wspólnego z Byronem, że dziwić się należało, co go do wykonania tych szkicowych zresztą ilustracyi skłoniło, i że tak silnie rozwinięty zmysł krytyczny przed tém go nie uchronił. W ilustracyach tych niema nic Byrona, jest *tylko* Gierymski, co w danym razie mogło by przemawiać na niekorzyść malarza, na jego jednostronność, gdyby taki zarzut do Maxa zastosować było można.

Strona więc rysunkowa przy dobrym wyborze pod dobrym dozorem, wykonana przez dobre siły, zrobiła swoje, i przynosi prawdziwy zaszczyt miejscowej sztuce drzeworytniczéj. Do prawdziwego jednak uwydatnienia stanowiska Gierymskich w malarstwie polskiém zabrał się w tekście p. Sygietyński, literat znany z poważnych studyów nad współczesną literaturą francuską a szczególniéj nad jéj odłamem naturalistycznym. Nie potrzeba dodawać że wziął się do tego szeroko i z prawdziwym pisarskim talentem, pozwalającym mu

błyszczéć zaletami stylu tam nawet, gdzie poglądy jego wpadały w sprzeczność z dowodami, które miały je spotęgować. Ta zdolność literacka przebija szczególnie w umiejętności szkicowania rysów głównych, czy to przez wybór odnośnych ustępów z korespondencyi Maxa lub jego dziennika, czy téż przez energiczne rzucenie jasnéj sylwety tego malarza na tło sztuki krajowéj i zagranicznéj, co prawda, zanadto sztucznie przybrudzone. Zdawało by się z tekstu albumu, iż „jeden jest Allah i dwaj jego Mahomeci: Max i Aleksander," po za ich artystycznym koranem wreszcie, można zaledwie pozwolić żyć z tąż samą wspaniałomyślnością, z jaką prawowierni wyznawcy proroka tolerują istnienie „niewiernych."

Nakreślenie jasnéj sylwetki Maxa była rzeczą łatwą, szczególniéj ze względu na istniejącą i oddaną widocznie do zużytkowania krytykowi korespondencyę i dziennik, który Max zaczął prowadzić pod koniec zbyt krótkiego swego żywota. Zużytkowano je doskonale. Z tych ugrupowanych kilkunastu wyjątków bije taka szczerość, tyle uczucia, tyle rozumnéj myśli, że obraz moralny artysty odtworzony z tych pojedynczych zarysów występuje jasno, jednolicie a co ważniejsza niesłychanie sympatycznie i poważnie. Mimowolnie wzbudza to szacunek i upodobanie do téj szlachetnéj moralnéj atmosfery, w któréj niewiadomo co bardziéj cenić, czy dziwną krytyczną przenikliwość, czy łagodną melancholię temperamentu, czy powagę i odwagę sądu, lub téż ten tak wielki sceptycyzm bez poniewierania cudzych ideałów, bez cynizmu i zjadliwéj ironii. Subtelne, harmonijne a prawdziwe obrazy tego malarza tak dobrze pasują do jego moralnéj fizyognomii, że w połączeniu z niemi tworzą dziwnie jednolitą całość człowieka-artysty. A przytém, co za przedziwne zalety téj wzorowéj korespondencyi; prześliczny język z równém posłuszeństwem i szczerością tłómaczy subtelne stany duszy jak i poglądy etyczne lub krytyczne, pozostawiając wszędzie po sobie woń szlachetnéj, szczeréj poezyi.

Pamiętniki więc i korespondencya powiedziały dużo i pokazały charakter umysłu i uczucia Maxa i jego pogląd na własną sztukę. Pozostała do określenia bliższego ta jego sztuka i, jak o tém była mowa, tło ogólne. Pierwszą część zadania, polegającą na zcharakteryzowaniu poglądów malarza na naturę, — ku czemu dobrze usłużył kontrast pojęć z bratem Aleksandrem,—na ocenieniu punktu wyjścia dla sztuki, odrębności w pojmowaniu kompozycyi i techniki, Sygietyński pokonał zwycięsko, dzięki obznajmieniu szerokiemu ze współczesném malarstwem, studyowaném przezeń z zamiłowaniem, jakoteż znajomości pojęć pracowni malarskiéj, jéj specyalnych technicznych wymagań, a nadto, dzięki zapewne pomocy Witkiewicza, przedstawiającego w tym wypadku wiedzę fachową.

Z drugą częścią, z owém tłem, z owym obrazem ruchu artystycznego i działalności przedstawicieli głównych jego prądów w epoce kształtowania się i zdecydowania ostatecznego talentu Maxa Gierymskiego, dać sobie radę krytykowi było nieco trudniéj, nie pod względem wyrobienia literackiego, tego bowiem niejeden pisarz mógłby mu pozazdrościć,—nie wskutek braku wiadomości ogólnych i specyalnych, tych bowiem ujawnił znaczny zapas, czy to się tyczy erudycyi książkowéj (w kierunku co prawda jednostronnym), czy téż wiedzy nabytéj przez obcowanie z arcydziełami sztuki starożytnéj po licznych europejskich galeryach, i dłuższe przebywanie w wielkich ogniskach ruchu artystycznego współczesnego. Przeszkodą tu była pewna zaciekłość artystycznego temperamentu, lubującego się w kontrastach, w określeniach ekscentrycznych, we właściwych współczesnéj szkole krytycznéj francuskiéj, efektach dosadnego i zręcznego słowa, zdolnego nieraz w jednym zwrocie lub nawet wyrazie, okryć śmiesznością, napiętnować lub pogardliwie pominąć. Całym tym arsenałem Sygietyński rozporządza swobodnie, otrzymując przy jego pomocy barwność, męzkość, a czasami paradoksalność stylu. A obok tego posiada on temperament ludzi, którym w teatrze np. niedosyć jest za pomocą oklasków wyrazić uznanie dla dobrego aktora, muszą oni dla zupełnego zadowolenia wysykać jeszcze którego z jego kolegów. Jest-to system wydobywania na wierzch za pomocą *repoussoir*'ów (1), a całe tło współczesne, na którém rysuje się Max Gierymski, jest w przedstawieniu Sygietyńskiego jednym takim wielkim repoussoir'em.

Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić, dla czego autor tekstu, starający się na każdym kroku uwydatnić, że wielki w saméj rzeczy talent Maxa nie został dotąd dostatecznie przez ziomków oceniony, jednocześnie niedocenia wszystkich po za nim pozostałych artystów, w ten bowiem sposób sprawozdanie jego mogło by już dowieść samo przez się, że niedocenienie wogóle jest rzeczą zwykłą. Że Max G. nie był i nie jest dostatecznie oceniony, jest to smutne, ale czyż można robić z tego poważne zarzuty publiczności, która kilka jego prac i to nie najlepszych mogła zaledwie zobaczyć, i nie znała całego tła miejscowego, na którém się talent jego rozwijał. Max rozwijał się wśród społeczeństwa bardziéj ze sztuką zbliżonego niż nasze, mogą-

(1) Przed niedawnym jeszcze czasem malarze francuzcy bardziéj znani i wpływowi, w których ręku było urządzenie paryskiego „Salonu“, wystawiając tam własne obrazy otaczali je dokoła takiemi tylko obrazami, przy których ich własne lepiéj wydawać się musiały. Taki dobór obrazów nazywano repoussoir'ami, i słusznie powstawano na ten porządek rzeczy, któremu téż nowsze rozporządzenia położyły koniec.

cego łatwiéj rozróżnić te subtelności, które artystę postawiły tak wysoko; nasza publiczność, u któréj pojęcie o malarstwie rodzajowém na miejscowych wzorach dopiero się zaczęło wyrabiać, nie mogła się zdobyć na tyle znawstwa i dostatecznie artysty ocenić. Różnice te krytyk sztuki, wprowadzający do badań swoich metodę historyczną, powinien zaznaczyć i uzasadnić — rzucać za nie kamieniem nie ma prawa.

Postawiwszy za zasadę, iż obraz jest to odtworzenie cząstki natury dostrzeżonéj w granicach jednego rzutu oka i granicach temperamentu malarza, co jest wogóle zdobyczą lat niedawnych, a w szczególności prostem przeniesieniem do sfery malarstwa poglądów teoretycznych powieściopisarstwa naturalistycznego francuskiego,—Sygietyński kryteryum to rozciąga wstecz w swoim poglądzie na poprzedzający Maxa G. stan naszéj sztuki. Jest-to, jak widzimy, krytyczny anachronizm, który zmusza krytyka do ustępstw na korzyść dwóch genialnych naszych mistrzów Matejki i Grottgera, ustępstw najzupełniéj słusznych, lecz rozsadzających sobą teoryę główną i stających co chwila w sprzeczności z ciągłymi przekąsami ogólnikowemi do owego „skoncentrowania akcyi", „urządzenia sceny" i t. p., które autor podciąga pod ogólne kompozycyjne niedołęstwo i rutynę, a które w rzeczy saméj były i będą koniecznemi czynnikami sztuki opartéj nie na chwytaniu cech przemijających i przypadkowych, lecz na dążeniu do uwydatnlenia cech głębszych, stalszych i wogóle do osiągnięcia zupełnie innych ideałów. W sztuce odrodzenia włoskiego były to nie warunki spowodowane przez niedołęstwo lub rutynę, lecz warunki nieuniknione, ściśle związane z ogólnym potężnym prądem odnalezienia obok innych rzeczy, ideału ciała ludzkiego naprzykład; cały więc systemat, kryjący się w każdym wielkim ruchu artystycznym, oparty był właśnie na oddzielaniu i wyłączaniu téj przypadkowości, w całéj sferze twórczości, a co zatém idzie i kompozycyjnéj i wykonawczéj techniki. Tém się też tłómaczy w malarstwie włoskiém w jego najświetniejszym rozkwicie brak owych chwilowych motywów oświetlania, które dzisiejszym malarzom rodzajowym dostarczają tyle niespożytego materyału, np. pełnego oświetlenia słonecznego, a zastąpienie go przez strumień zwykłego łagodnego światła powietrznego,—gdyż wprowadzenie tego motywu, mającego wobec ogólnego stanu światła cechy przemijające, a nadto uwydatniającego z cudowną dokładnością najdrobniejsze szczegóły, stało by w sprzeczności z zasadniczemi sztuki téj dążeniami. Są to więc zupełne konsekwencye, nie zaś niedołęztwo, nie rutyna, témbardziéj, że ogólne uświadomienie tych zasad odbywało się dopiero po wykonaniu arcydzieł, które świetnie je potwierdzały, uświęcając *w swoim jedyme kierunku* za zasadę obowiązującą.

„Jestto artysta szczery — mówi p. Sygietyński o Grottgerze — który się wypowiada do głębi. Jestto gieniusz, który razem z Zygmuntem Krasińskim mógł mówić: „Nad wiekami płyniem, i patrzym, i płaczem“—ponieważ wzniósłszy się po nad chwilę, i wyraził ją samą siłą swego uczucia.“ „Nie będąc realistą w przedstawianiu rzeczy, wywoływał wrażenie prawdy.“ Albo daléj: „To co Grottger zostawił jest tylko wyrazem tragicznym ducha, uogólnieniem wrażenia mas, widzeniem oka wyobraźni zbolałéj i bolejącéj za miliony.“ Wszystko to jest nadzwyczaj trafne, ale niema nic wspólnego z owém określeniem obrazu, służącém po za tém za ogólne kryteryum, a które w żaden sposób do Grottgera zastosowane być nie może. Widać więc ztąd, iż może w malarstwie istnieć coś genialnego, co nie jest tylko „rzutem oka na cząstkę natury, zabarwionym przez temperament artysty“,— że za pomocą różnych środków artystycznych, pomiędzy któremi i „urządzenie“ obrazu i „skoncentrowanie akcyi“ i wiele innych czynników, traktowanych przez p. S. z taką pogardą, gra wybitną rolę—można „krwią swoją malować dramat ludzkości.“ A jeżeli tak jest, to należy być szczerym i tych ustępstw od swojéj teoryi, wydartych potęgą rzeczywistych artystycznych wrażeń, nie osłabiać ciągłemi wycieczkami o sztuczności i udawaniu, skierowanemi do wszystkiego, co nie jest sztuką naturalistyczną rodzajową, nie obniżać wartości tych wyznań zarzutami tego rodzaju: „jako sztuka, jako fach, umiał tylko tyle, ile mu potrzeba było, aby nie pokazać się ogólnikowo czułostkowym i t. d.“, Grottger bowiem umiał tyle, iż mógł swoje pomysły wyrażać *znakomicie* i z tą głębokością i siłą, że jak to p. S. sam przyznaje, jego „Wojna“ należy do tych nielicznych arcydzieł, które wielkością swego ducha imponują, a kierunkom, do jakiego należą, przecinają drogę.“ Umiał więc Grottger najzupełniéj dosyć—co więcéj—niesłychanie dużo.

Toż samo z Matejką. Artysta to znakomity, potężny indywidualnością i olbrzymią twórczą energią, dla któréj porównań szukać by można chyba w wieku włoskiego odrodzenia, wieku pokrewnéj krakowskiemu mistrzowi wielkiéj artystycznéj syntezy. Ale punkt wyjścia dla sztuki historycznéj, odziedziczony przez Matejkę po Delaroche'u, stawia go w sprzeciwieństwie z artystycznemi teoryami Sygietyńskiego, w których właśnie wysoko podniesioną jest zasada obiektywna, o ile na to pozwala temperament artysty. Każdy, komu tylko ruch artystyczny współczesny nie jest obcym, wié doskonale, iż poglądy na malarstwo historyczne na zachodzie ulegały po Delaroche'u przeobrażeniom, że Gerôme i Alma Tadema szczególniéj wprowadzili doń żywioł bytowy, codzienny, bardziéj obiektywny, bardziéj epizodyczny. Wytworzyły się ztąd odcienie zgodniejsze

z ruchem chwili, ale zasada główna nie została bynajmniéj naruszoną i w Matejce znalazła swój genialny i wcale jeszcze nie anachroniczny wyraz. Każda bowiem zasada dobra, zdrowa, może nie być chwilowo typową, lecz zawsze uzasadnioną, gdy ktoś z odpowiednim talentem podjąć ją zechce. Wszak portrety Rembrandt'a i Velasquez'a i dzisiaj byłyby równie jak niegdyś znakomite, są bowiem wynikiem zasady zdrowéj i z ruchem artystycznym naszéj epoki spokrewnionéj. Sygietyński przyznaje Matejce, że „wszystko co stworzył Mistrz, żyć będzie jego indywidualnością całe wieki, ponieważ indywidualność nigdy nie ginie", ale też po za tém, wszędzie gdzie tylko mowa o kierunku, którego jest przedstawicielem, nie szczędzi przytyków i aluzyi.

„Bracia Gierymscy.... szybko załatwili się z ideałem *wielkiego malarstwa*. Udawanie, przedrzeźnianie, naśladowanie cudzych form nie leżało w ich temperamencie." Albo: „Żadnego udawania! wyrażać uczucia, którego się nie ma, przedstawiać życie, *którego się nie widziało*, malować dramat, *w którym się nie cierpiało*, *ani jako aktor*, *ani jako świadek naoczny*, to redukować malarstwo religijne do kanonów, a *historyczne do bezdusznego teatru manekinów w kostiumach lub bez kostiumów*, to usuwać uczucia na drugi plan, lub może nawet wyłączać je zupełnie. Bracia Gierymscy przedewszystkiem nic nie udawali." A teraz maleńka uwaga: „Pojedynek Tarły z Poniatowskim", Maxa, jego „Mazepa", są to dramata, „w których się nie cierpiało, ani jako aktor, ani jako świadek", — a „polowania zopfowe" Maxa, „Kupiec wenecki" i „Siesta" Aleksandra, jest-to „życie, którego się nie widziało", a obok tego nie może to wszystko razem być zaliczone do tego życia „swego czasu", w co w inném miejscu Sygietyński tak silnie bije.

Pozwala on jednak istniéć malarstwu historycznemu, ale pod trzema warunkami:

„1) aby ci, którzy malują Cezarów, Cromwellów, Neronów, Kolumbów lub Hussów, nie pokazywali nam licho portretowanych modeli bez wyrazu i nie wmawiali w siebie i w drugich, że te włóczęgi wszystkich akademii i wszystkich pracowni są osobistościami historycznemi na tle historyczném;

„2) aby środki techniczne nie były sztukami lub sztuczkami zapożyczonemi u kogoś trzeciego;

„3) aby uczucie, jakie obraz wyraża, było ich własném uczuciem."

Czytając te warunki uśmiechamy się mimowolnie. Ależ to warunki ogólnie obowiązujące dla każdego obrazu, dla wszystkich „oso-

bistości" i każdego „tła". Jeżeli by należało oddziaływać przeciwko zbytniemu rozwielmożnieniu się malarstwa historycznego (czego zresztą po za Krakowem nie widać), to prędzéj z téj prostéj przyczyny, iż pewien prąd, który znalazł już przedstawicielstwo genialne i obfite, przestaje być dla innych gruntem tak żyznym do uprawy jak inne, mało lub wcale nie dotykane.

Toż samo obniżenie tonu, które odnośnie do Matejki i Grottgera polegało nie na przeczeniu ich genialności, lecz na poświęceniu zbyt małéj uwagi odnośnie do całego malowidła tła współczesnego, ma miejsce przy ocenianiu działalności trzech osobistości w naszéj sztuce wybitnych: Kossaka, Kostrzewskiego i Gersona, a polega na niedocenieniu. Sygietyński akcentując zbyt wydatnie cechy ujemne (co jest u niego chroniczném odnośnie do osób stojących po za postacią główną, cokolwiek apoteozowaną), nie uwydatnił z należytą siłą, iż ruch, którego ci trzéj artyści w różnych zakresach są przedstawicielami, był to (obok Piwarskiego) *pierwszy silny*, *szczery i świadomy* wyraz zwrotu do swojskości, pierwszy prąd w sztuce *rzeczywiście narodowy*, którego doniosłość była niezmierna, podstawowa, a dobre następstwa nieobliczone. Jest-to więc z historycznego na sztukę poglądu ruch najważniejszy, bo zapładniający, a to, obok uznania, winno dlań wzbudzić wysokie poszanowanie.

W ocenie talentu Aleksandra Gierymskiego Sygietyński rozwinął też same, co w charakterystyce Maxa, przymioty literackie, zdolność akcentowania rysów głównych i barwnego przedstawienia różnych stron talentu, i jeżeli postać Aleksandra nie wychodzi tak plastycznie jak zmarłego jego brata, to wynika to z téj szczęśliwéj dla sztuki okoliczności, iż żyje on i znajduje się w piękném stadyum rozwoju niepospolitego swego talentu. Nie mógł więc pisarz skorzystać z materyału biograficznego i autobiograficznego, który w sylwetce Maxa tak wybitną i wdzięczną zajął rolę.

Trudno się jednak zgodzić na określenie, że Aleksander posiada talent zupełnie „równy Maxowi", a tylko „inny temperament." Al. Gierymski jest bez zaprzeczenia artystą bardzo dobrym, utalentowanym i do gruntu poważnym, w poczuciu malowniczości i światła silniejszym od Maxa, ale posiada za to i wielkie niedobory. Talent jego nosi na sobie znamię eklektyzmu, widoczne ślady staréj sztuki holenderskiéj i weneckiéj, często nie dosyć przetopione w ogniu samoistnego dociekania, chociaż zdaje się, że wzrosłe już w artystyczny organizm malarza. A przytém chroma u niego strona ruchu, czy to gwałtowniejszego, czy nawet spokojniejszego, o ile nie przechodzi on w zupełny prawie spokój. „Scena wyraża namiętność dwóch partnerów" — powiada krytyk o „Grze w Mora" — obrazie

o „nadzwyczajnéj energii w ruchach i wyrazach.“ Zdanie to podzielać trudno, przeciwnie, zarówno przed temi dwoma postaciami, których ruchom brak swobody, jak i przed innemi np. dwoma parami ludzi witających się ukłonem na wielkim rysunku z „Łazienek,“ a przedstawianych w ruchu z kamienną martwotą, przed wielu innymi motywami ruchu w obrazach Al. G. żałujemy, że artysta odtwarza motywy, których widocznie dostatecznie nie czuje. Po co więc udawać? jakby powiedział Sygietyński. Rysunek też w obrazach Aleksandra G. jakkolwiek zawsze poważny, nie przedstawia odnośnie do wysokiego stopnia plastyki i malowniczości odpowiedniego równoważnika: jest on raczéj rezultatem wiedzy, rozumu, popartych „zaciekłością temperamentu,“ (co jest dla artysty nieocenionym przymiotem) niż wrodzonéj rysunkowéj zdolności.

Niedosyć silnemi też wydają się argumenta w obronie pewnego wymęczenia w technice, które pochodzi z niezmiernie cennych usiłowań, jest jednak dla oka nieprzyjemném i pociąga za sobą ważne następstwa. Przedewszystkiém z powodu licznych nakładań, wyskrobywań, przemalowań i laserunków, osięgających w rezultacie niepospolitą plastykę, obraz potrzebuje wyłącznie tego światła przy którém był malowany. „Osteria“, która na wystawie Warszawskiéj tak zajmowała prawdą przedstawienia rzeczy, wystawiona w Petersburgu, w sali o zbyt silném i rozproszoném świetle, nie była do siebie podobną i nie wywoływała żadnego wrażenia, tak dalece więcéj widać było szczegółów roboty niż jéj rezultatu. Toż samo „Święto trąbek“, które tak „grało“ na wystawie u Krywulta, straciło połowę swéj siły w Monachijskim Kunstverein'ie. Co więcéj, wystawiony tamże cokolwiek dawniejszy obraz „z nad brzegów Wisły“ i „Owocarka“—raziły spustoszeniem, jakie chemiczne oddziaływanie na siebie niezliczonych warstw farby ujawniło na tych obrazach.

Ustęp o zabłękitnieniu w obrazach Aleksandra, uważamy za zwrot jedynie stylowy, za jaki też poczytywać należy opinię, iż obrazy Gierymskich są właściwie obrazami historycznemi, przedstawia bowiem dla przyszłości dokładnie naszą epokę z całym jéj wyrazem w ludziach i otoczeniu. Jest-to tylko przestawienie i podstawienie pojęć, oparte na czysto dźwiękowéj podobiznie wyrazów. Sztuka Gierymskich będzie historyą samą, dokumentem historycznym, nie zaś historyczném dziełem sztuki. Pogląd, o którym mowa zapożyczony został z odnośnego ustępu Taine'a, w całokształcie jednak poglądów znakomitego pisarza łatwo mu wyznaczyć odpowiednie znaczenie. Powracając na chwilę jeszcze do poglądów Sygietyńskiego, musimy zanotować, iż namiętny krytyczny jego temperament płata czasem niespodziane figle w postaci pewnych niekonsekwencyi. Oto przykład.

„Obraz ten“—mówi Max G. w przytoczonym wyjątku z jego „Dziennika“ o kartonie Kaulbacha „Homer i Grecy“, „zawsze na mnie robi wrażenie powagą swoją, leżącą może w saméj jego treści. Czuć tam jasność myśli, szerokość umysłu, i miejscami, powiedziałbym nawet, prawdziwe natchnienie. Człowiek, który stworzył tego rodzaju obraz, jest godzien szacunku zawsze i wszędzie.“

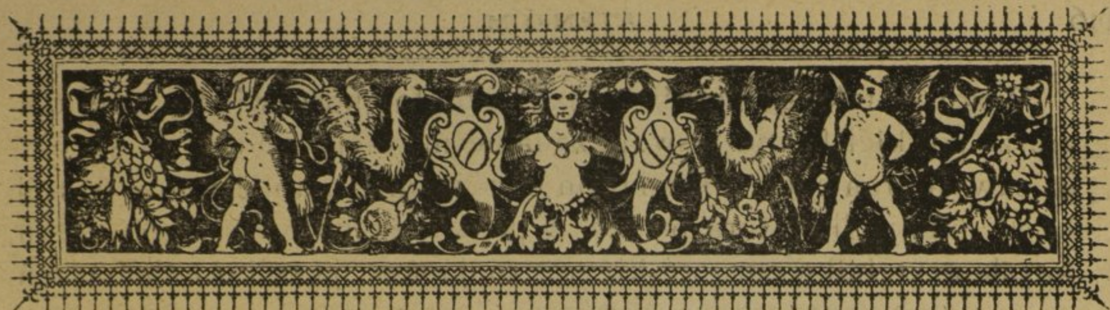
Pomijając już uderzającą z tego ustępu niesolidarność Maxa G. z Sygietyńskim, w pojmowaniu „*wielkiéj sztuki*,“ jakimże dysonansem brzmią te słowa z wyrażeniem krytyka: „Kaulbach kolorował jeszcze swoje filozoficzne rebusy,“ wyrażeniem pełném owéj lekceważącéj pogardy, z którą przechodzi się nad artystą do porządku dziennego. Nie podobna również dobrze pogodzić ze sobą wyrażeń takich jak: „nie było czasów bardziéj sprzyjających rozwojowi indywidualności niż dzisiejsze“—z tém, co się mówi o parę stronic daléj: „Dziś, pod wpływem wystaw międzynarodowych, które na zachowanie w czystości bezwzględnéj jakichś cech odrębnych nie pozwalają wogóle itd.“

Pomimo całego szeregu uwag powyższych, wyznać jednak musimy, iż Album jako całość, jest dziełem niezwykle interesującém, wykonaném pod każdym względem z zamiłowaniem, dobrą wolą i talentem. Zmusza ono czytelnika do zastanowienia się nad wielu rzeczami i jest, jak to już wyżéj powiedziano, wydawnictwem *wyłącznie* artystyczném. I było by doskonale, gdyby wyłączność ta była jedyną—niestety jednak tak nie jest, i główną ujemną, chociaż nie mimowolną jego cechą jest właśnie ta *wyłączność* poglądów artystycznych. Pojęcia o malarstwie rodzajowém są tutaj dobre, zdrowe i uzasadnione, całym błędem jest tylko wysuwanie ich na stanowisko zasad *jedynych i powszechnie obowiązujących*. Do uwydatnienia tego stanowiska przyczynia się usposobienie literackie Sygietyńskiego, usposobienie mocno krańcowe.

„Ludzie krańcowi z usposobienia gaszą pragnienie albo czystą wodą, albo czystym spirytusem; ogół tymczasem, który umie i może iść tylko środkiem, będzie pił zawsze coś pośredniego—wódkę“, mówi Sygietyński, i podaje temu ogółowi—spirytus. Wolelibyśmy czystą wodę.

Ołówek.





ODCZYTY JERZEGO BRANDESA

O ROMANTYZMIE POLSKIM.

Znany z bystrości poglądów i umiejętnego uogólniania faktów literackich i społecznych krytyk duński, autor rozgłośnéj pracy „Główne prądy literatury europejskiéj w wieku XIX“ (*), bawiąc po raz drugi w Warszawie, wygłosił w końcu marca r. b. trzy odczyty, które nosiły wprawdzie tytuł „O poezyi polskiéj w XIX stuleciu“, były jednakże wyłącznie poświęcone tylko romantyzmowi polskiemu. Zdanie takiego krytyka jak Brandes musi być dla nas rzeczą nader zajmującą, choćby nie było trafném; a jeżeli jest takiém, staje się nie tylko ciekawym, ale i ważnym nabytkiem dla rozwoju świadomości naszéj o własnéj literaturze.

Brandes zna i określa bardzo dobrze swoje położenie jako badacza, który nie rozumie języka poezyi, będącéj przedmiotem jego zastanowienia. Wie on, że zaznajomić się mógł z cząstką tylko tego zasobu twórczości, jaką naród polski wydał, z cząstką zapewno najważniejszą, ale bądź-co-bądź nie mogącą w żaden sposób zastąpić całości. Powtóre wie, że zaznajomienie się z arcydziełami języka, stylu i wiersza za pośrednictwem tłómaczeń nie może być dokładném, boć „trudno z mizernych litografii, nie dających żadnego pojęcia o kolorycie, wydawać sąd o obrazach wielkich mistrzów, lub téż z mechanicznych odlewów gipsowych tworzyć sobie pojęcie o marmurowych posągach ciosanych dłutem samego mistrza.“

(*) Dotychczas tomów pięć Wszystkie są już tłómaczone na język polski; pierwsze cztery nakładem redakcyi „Prawdy“, piąty zaś nakładem „Spółki wydawniczéj warszawskiéj.“

Wskutek takiego przeświadczenia o ułomności wiedzy swéj o literaturze polskiéj Brandes swoje zadanie mówienia o niéj w skromnych zawarł granicach. Chciał on dać poznać publiczności naszéj, „jak się odbija literatura polska z pierwszéj połowy tego wieku, w umyśle czytelnika europejskiego, znającego ją tylko z tłómaczeń, jakie wrażenie wywiera na *życzliwym cudzoziemcu* nasze życie umysłowe, które mu odsłoniły tłómaczenia, jak się odsłania cyboryum, uchylając rąbek przykrywającéj go zasłony."

Do powodów tego zupełnie usprawiedliwionego zacieśnienia zadania odczytów możnaby jeszcze dodać rodzaj umysłu cudzoziemca życzliwego, który wrażenia owe przyjmuje: Brandes naturalnie tego nie wypowiedział, uważając niewątpliwie rzecz tę za dobrze znaną. Ale my na nią musimy położyć nacisk, gdyż ona bardziéj niż trudność zrozumienia arcydzieł z nieudolnych kopii oddziałała na charakter odczytów.

Brandes jest postępowcem radykalnym, lubi nadzwyczaj szerokie uogólnienia i kocha się w obrazowém wypowiadaniu swych myśli. Te trzy cechy jego umysłu wpłynęły stanowczo na sposób pojęcia i przedstawienia poezyi naszéj romantycznéj, tak jak wpływały na zrozumienie i odtworzenie ruchów romantyzmu europejskiego wogóle.

Będąc postępowcem radykalnym, patrzy on na romantyzm zgóry, jako na kierunek myśli przebrzmiały, nie posiadający już żywotności, jako na zabytek dążeń, na które dzisiaj spoglądać należy z pobłażaniem wprawdzie, ale z pobłażaniem wynikającém z poczucia zdobytego już nad nim zwycięstwa. W tak sformułowanym sądzie o romantyzmie wytknąć potrzeba dwie usterki, które go czynią jednostronnym a więc niesprawiedliwym. Pierwszą usterką jest brak wyraźnego i stanowczego uznania, że romantyzm jako wyraz myśli i uczuć danego okresu czasu był koniecznością historyczną, był niezbędném w rozwoju cywilizacyi ogniwem. Gdyby Brandes podzielał takie zapatrywanie, nie stawiałby przypuszczeń, nie mogących mieć żadnéj wagi w sądzie o przeszłości i dających się jedynie pojąć jako wskazówka na przyszłość; nie mówiłby, że gdyby Polacy więcéj przejęli się czcią dla Waszyngtona niż dla Napoleona, dla Schelleya niż dla Byrona; toby ich twórczość była o wiele żywotniejszą. Drugą usterką jest ryczałtowe potępienie całego romantyzmu, chociaż z tego, co szczegółowo tu i owdzie wypowiedział w ciągu odczytów, widać, że właściwie dwie tylko cechy romantyzmu miał głównie na względzie: tak zwany przez siebie spirytyzm, t. j. wprowadzenie do dzieł poezyi duchów, upiorów, czarów i t. p., oraz przesadne przeciwstawienie uczucia rozumowi. Zgadzając się w zupełności na po-

tępienie pierwszéj z tych dwu cech romantyzmu, musimy zauważyć, że oprócz przesady w przeciwstawieniu uczucia rozumowi, romantyzm podniósł nastrój uczucia wogóle, zarówno jednostkowego jak narodowego, a powtóre że barwność słowa, tak wielką odgrywająca rolę w literaturze nowożytnéj, wchodziła także do programu romantyków, którzy dla wyobraźni umieli wywalczyć równorzędne z uczuciem miejsce. Jeżeli i pod tym względem dopuszczali się wybujałości i przesady, to w każdym razie, tak samo zresztą jak i co do uczucia, położyli w téj dziedzinie równie wielkie zasługi, jak zwolennicy „wieku oświecenia“ w dziedzinie rozumu i krytyki. Sam Brandes, zostając trochę w niezgodzie z wywodami o przecenianiu uczucia przez romantyków, wyznał przy końcu odczytów, że jest jeden żywioł romantyzmu nieśmiertelny, mogący przeżyć wszystkie formy i wszystkie szkoły w sztuce—to żywioł „zdrowéj *egzaltacyi*, którą się odznacza każde uczucie ludzkie, wyniesione ponad zwykły, ogólny poziom.“ Określając tę „zdrową egzaltacyą“ bliżéj, prelegent mówił: „Zachwyt, jakim nas przejmuje natura, morze, niebo, lasy, kwiaty i gwiazdy, może po wszystkie czasy przybierać tę formę entuzyazmu, również jak przyjaźń, miłość, uczucie solidarności, łączące nas z naszymi współobywatelami, z naszymi ziomkami i z ludzkością.“ Dodał nadto, że w niewielu literaturach „ten nieśmiertelny entuzyazm romantyczny objawił się w tak wzniosłéj i pięknéj formie, jak w literaturze polskiéj.“ Gdyby ta myśl towarzyszyła wywodom poprzednim, mielibyśmy wszechstronniejszy obraz wpływu romantycznego na społeczeństwa; okazałaby się bowiem rzecz sprawdzona wielokrotnie, że żaden prąd cywilizacyjny nie ginie w warstwach bezpłodnych piasków, ale zasila olbrzymi ocean oświaty i postępu, czyli innemi słowy, że z każdego wielkiego ruchu umysłowego pozostają pewne pierwiastki, których obecność w ruchu następnym wykazać się daje bardzo wyraźnie.

Z tą trochę jednostronną oceną romantyzmu łączy się u Brandesa najściśléj potępienie historycznego żywiołu w poezyi. O ile mi wiadomo, po raz pierwszy sprawę tę w sposób poważny i naukowy zagaił H. Taine w swojéj „Historyi literatury angielskiéj“ r. 1863. Odtąd wśród estetyków radykalnych weszło w modę wojowanie z romansem historycznym, któremu odmówiono wszelkiego uprawnienia. U nas znano tę teoryą ze streszczenia i przekładu niektórych części dzieła Taine'a, ale po raz pierwszy głośno i publicznie poruszona została przez Brandesa—i spotkał ją prawie jednomyślny protest. Przyjrzyjmy się dowodzeniu krytyka duńskiego. Przedewszystkiém zestawia on twórczość poetów, obrabiających temata dziejowe, z romantycznem wprowadzeniem duchów do poezyi. „Wywoływa-

nie starożytnych postaci—powiada on—jest tylko trochę mniéj oderwanym rodzajem spirytyzmu, bo i one zwykle bywają podzielone na złe i dobre *duchy*; rzadko bardzo i tylko pod ręką największych mistrzów stają się *ludźmi*... Wszystko to, co w poezyi zamienia charaktery na świetlane zjawiska albo na synów ciemności, pozbawia ich prawdy i zmniejsza ich wartość artystyczną. Żywioł historyczny zaś czyni to wszędzie, gdzie nie służy wyłącznie za pretekst albo zasłonę.“ Argument ten nie jest przekonywającym, mieści bowiem w sobie zarzut zarówno dobrze zastosować się dający do historycznych jak do spółczesnych tematów, jeżeli autorowie będą starali się tworzyć *uosobienia* cnoty lub występku, nie zaś rzeczywiste *osoby*. Ale Brandes ma argument drugi. Opierając się na niezaprzeczonym fakcie, że poeta „opisywać może tylko to, co zna, co czuje w sobie i naokoło siebie“, utrzymuje, że z jakiejkolwiek epoki weźmie przedmiot do opracowania, w epoce téj musi się odbić obraz spółczesnéj poecie chwili, albo téż najbliższéj przeszłości. „Rzecz może się dziać w Abisynii—powiada—i w IV wieku przed Chrystusem; jeżeli poetą będzie Polak, żyjący między rokiem 1820 i 1830, to pod postacią starych Abisyńczyków przedstawi z pewnością współczesnych sobie Polaków.“ Dowodzenie takie dociągnięte do ostatnich wyników znaczyłoby, że poeta każdy daje publiczności przekształcenia jedynie własnéj swéj jaźni, że mężczyzna przedstawiając postać kobiecą tworzy właściwie mężczyznę, a kobieta malując osobistość męską tworzy tylko niewiastę itd. W rzeczywistości wiemy, że tak nie jest i dlatego wyróżniamy twórców subiektywnych, którzy siebie tylko i swe stany odtwarzają, i twórców obiektywnych, którzy na mocy spółczucia psychicznego mogą i umieją zapomnieć o sobie i odtwarzać stan innych, nieraz wprost przeciwnych sobie usposobień i charakterów; kto więcéj takich stanów umie odtworzyć, temu przyznajemy większą siłę twórczą. Na jakiejże podstawie to robią? Niewątpliwie na podstawie obserwacyi, skombinowanéj oczywiście ze znajomością własnych stanów psychicznych. Ponieważ każdy człowiek jest mikrokosmem, ponieważ w nim drzemią wszelkiego rodzaju usposobienia, uczucia, myśli i popędy, lubo tylko pewna ich grupa dochodzi do takiego wybujania, że stanowi jego charakter; stąd istnieje w nim możność odczucia i zrozumienia najróżnorodniejszych stanów duszy u innych ludzi, a jeżeli z tą możnością połączy się talent twórczy, to potrafi on odczute i zrozumiane stany psychiczne w sposób artystyczny przedstawić, tworząc najróżnorodniejsze charaktery męskie czy kobiece. Taż sama podstawa służy i poecie odtwarzającemu postaci z przeszłości. Nie może on ich wprawdzie obserwować bezpośrednio, ale obserwacya pośrednia za pomocą doku-

mentów dziejowych nie jest mu odjętą; może on bądźcobądź zdobyć ten sam stopień prawdopodobieństwa, jaki otrzymuje historyk tęż samę epokę badający. Nie można oczywiście zaprzeczyć, że poeta przedstawiający przeszłość nie zdoła tak dokładnie i szczegółowo zaznajomić się z otoczeniem swoich osób, jak to robi artysta studyujący życie spółczesne; gdyż na przeszkodzie temu staje brak dokumentów; stąd też łatwo rozumiemy, dlaczego epoki bardzo odległe od czasu poety a zatém takie, z których dokumentów mamy bardzo mało, nie udają się, gdy przeciwnie obrazy z niezbyt dawnego okresu, dobrze znanego pod względem obyczajowym, bywają lepiéj malowane. I dlatego, zgadzając się z Brandesem, iż obrabianie spółczesnych tematów jest rzeczą najwłaściwszą i artystycznie najkorzystniejszą, nie możemy przystać na zupełne wykluczenie tematów historycznych z zakresu twórczości poetyckiéj i nie podzielamy jego opinii, jakoby żywioł historyczny w poezyi był równie zbyteczny jak „żywioł spirytystyczny." Staraliśmy się wykazać tu uprawnienie tworzenia postaci z przeszłości tylko z punktu widzenia psychologicznego; względy uboczne, polityczno-społeczne, wzmacniają u nas to uprawnienie potrzebą odtwarzania ideałów, których w życiu obecném nie znajdujemy.

Przejdźmy do drugiéj właściwości umysłu Brandesa do zamiłowania w szerokich uogólnieniach. Łatwo zrozumiéć, jak wielką była zawadą dla takiego umysłu konieczność poprzestania na tak szczupłym zasobie materyału literackiego, jaki przedstawiają tłómaczenia poezyi naszych na język powszechnie w Europie rozumiany oraz opracowania naszego piśmiennictwa w takimże języku. Ażeby módz podać uogólnienie, któreby miało szansę utrzymania się jako prawdziwy nabytek krytyki przedmiotowéj, potrzeba oprócz talentu badawczego posiadać bardzo dokładną i bardzo szczegółową znajomość nie tylko dzieł poetów, nie tylko ich życia, ale nadto całéj atmosfery duchowéj, wśród któréj wychowali się, żyli i działali. Znajomość zaś taka zdobywa się najlepiéj przez samodzielne studya nad ogółem danéj literatury z uwzględnieniem czynników narodowych, politycznych, społecznych i wszelkich innych; a jeżeli już ktoś takiéj pracy podjąć nie może, to musi się oprzéć na całym szeregu studyów specyalnych. Brandes ani jednego ani drugiego sposobu przyswojenia sobie znajomości literatury naszéj zastować nie mógł, bo nie posiada naszego języka, a studyów nad piśmiennictwem naszém w językach obcych jest nadzwyczaj mało, a i te, które istnieją, z małemi wyjątkami, nazwać trzeba lichemi. Mimo to, ulegając naturze swego umysłu, musiał porobić uogólnienia, oparte na tym szczupłym materyale, jaki był w jego rozporządzeniu. Że te uogólnienia nie mogą

być przyjęte w zupełności, dziwić nikogo nie może; raczéj uznać należy siłę jego talentu, iż wypowiedział dużo myśli trafnych, że odczuł i zrozumiał ogół naszego romantyzmu, że określił jego zasadnicze różnice od romantyzmu niemieckiego, angielskiego i francuskiego. Tę część odczytów, gdzie się określenia te znajdują, poczytujemy za najlepsze; w zasadzie nie przedstawia ona rzeczy zupełnie dla nas nowych, ale to co wiedzieliśmy uzupełnia zestawieniami z poezyą innych narodów; żałować tylko wypada, że zestawienia te były, a może i musiały być, tak szczupłe. I wskazanie przyczyn takiego a nie innego charakteru w naszym romantyzmie również za trafne uznać wypada. Istotnie, na urobienie naszéj poezyi wpłynęły: romantyzm europejski, charakter narodowy i wyjątkowe „jedyne w swoim rodzaju“ położenie polityczne.

Atoli zbyt wielki nacisk, jaki Brandes położył na ten ostatni czynnik, nacisk nie dający się usprawiedliwić ani z ogólnych psychologicznych motywów, gdyż charakter narodowy, jako motor zasadniczy życia, zawsze i wszędzie bierze górę nad chwilową sytuacyą polityczno-społeczną, ani też z obserwacyi nad romantyzmem naszym,— nacisk ten spowodował krytyka do postawienia uogólnień albo całkiem fałszywych, albo częściowo jedynie prawdziwych.

Do zupełnie fałszywych uogólnień należy upatrzone przez Brandesa szczególne jakoby u nas zamiłowanie w okrucieństwach. „Skłonność tę—powiada on—łatwo sobie można wytłómaczyć tém, że wszyscy poeci byli świadkami strasznych okrucieństw. Okrucieństwa, których tak wiele spotykamy w dramatach i poematach Słowackiego, dowodzą tylko, jak potężne wrażenie wywarły na nim opowiadania i opisy różnego rodzaju mąk i cierpień. Z całego Szekspira okrucieństwa, mordy i zabójstwa, które spotykamy w niektórych jego historycznych i legendowych tragedyach, najwięcéj znajdują naśladowców pomiędzy poetami polskimi. Wyobraźnia ich zwróconą była na tę stronę jego ducha, która się najjaskrawiéj odbija w młodzieńczym jego dramacie: *Tytus Andronikus*“. Niewątpliwie jest-to rzecz nie do zaprzeczenia, iż w utworach poetów naszych odbijają się cierpienia narodowe (np. w III części „Dziadów“); rzecz-to tak naturalna i konieczna, że mówić dużo na jéj uzasadnienie nie potrzeba. Ale żeby opis mordów i okrucieństw był cechą znamienną naszego wyłącznie romantyzmu, temu zaprzeczyć musimy stanowczo, jako rysowi, który w całkiem fałszywém świetle poezyą naszą przedstawia. Brandes wie bardzo dobrze o tych dramatach, o tych powieściach i balladach niemieckiego i francuskiego romantyzmu, w których okropności były nagromadzone w daleko większéj liczbie aniżeli u Słowackiego; wie także i o tém, że przedstawianie

tych okropności było wynikiem dążenia do siły, do jaskrawéj ekspresyi w sztuce; ale wiedząc o tém, nie chce czy zapomina mówić w odczytach o romantyzmie polskim dlatego, ażeby uwydatnić, lubo w tym razie z ujmą prawdy, wpływ wyjątkowego położenia politycznego na ukształtowanie utworów poetyckich. Te szczegóły, które Brandes przytacza ze Słowackiego, mają źródło zupełnie odmienne, wszystkie prawie są wypływem oddziaływania nań literatury obcéj nie zaś życia. „Arab“ powstał pod działaniem nastroju bajrońskiego, okrucieństwa w dramatach malowane są naśladowaniem Szekspira, „Poemat o Piaście Dantyszku“ jest widocznie natchniony piekłem Dantego. Tylko „Ojciec zadżumionych“ powstał z bezpośredniéj obserwacyi podniesionéj naturalnie bujną wyobraźnią poety; ale obserwacya ta nie miała nic spólnego z położeniem politycznem naszego kraju. Tylko jedna scena w „Kordyanie“ może być przytoczona na dowód wrażenia, jakie na Słowackim wywierały „opowiadania i opisy“ różnego rodzaju okrucieństw.

Do uogólnień częściowo tylko prawdziwych należy twierdzenie Brandesa, iż w poezyach naszych trzech wielkich romantyków, Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, wszechwładnie panują dwa motywy: myśl zemsty i śpiew nadziei. Że nuta nadziei dźwięczy ciągle w ich pieśniach, to nie ulega żadnéj wątpliwości, ale żeby motywem ich utworów była także zemsta, to zaledwie w sposób bardzo naciągany dowieść się daje. Właściwie jeden tylko poemat „Konrad Wallenrod“ przez znaczny przeciąg czasu uważany był powszechnie za apoteozę idei zemsty; a obecnie i co do tego jedynego poematu zachodzą poważne wątpliwości w wyrozumieniu i wykładzie jego treści. Dziś rozważając genezę „Konrada Wallenroda“, wolno utrzymywać, iż może było pierwotną myślą poety nadać mu takie znaczenie, jakie mu późniéj przypisano, ale że w trakcie tworzenia zaszła zmiana w pomyśle twórcy co do myśli zasadniczéj i to w znacznéj części ze względów etycznych, które nakazały ujemne przedstawienie charakteru Konrada właśnie w chwili, kiedy do czynu przystępował, a zarazem wymierzenie kary poetyckiéj na nim, gdy ginie nieuczczony przez nikogo tylko przez siebie. Brandes pojmuje Wallenroda podawnemu, a nadto stara się i czyn Grażyny do tejże kategoryi zdrady zaliczyć. Że jest-to naciąganie zbyt widoczne, dowodzić nie trzeba. Co do Słowackiego, to przytoczone przez Brandesa poemata „Lambro“ i „Kordyan“ należą do dwu różnych dziedzin. „Lambro“, całkowicie bajronizmem przesiąknięty, nie ma, jak to sam Brandes uznaje, znaczenia estetycznego, jest utworem bardzo słabym, nigdy do popularnych a nawet bardziéj znanych nie należał, a zatém nie może uchodzić za utwór znamienny romantyzmu pol-

skiego, ani téż za dowód wpływu wyjątkowego położenia narodu na poezyą. „Kordyan“ zaś należy istotnie do celniejszych dzieł romantyki naszéj, ale przedstawia usiłowanie tylko czynu, podjęte przez młodzieńca nerwowego i fantastyka, a więc niezdolnego do spełnienia tego, co zamierzył. Stąd widzimy, że w utworach poetów naszych niema tych pierwiastków, któreby znaglić mogły do uznania zdrady i zemsty za cechy ich znamienne. Do tego potrzebaby było, ażeby znalazło się choć kilka wybitnych poematów, coby zdrajców i mścicieli zwycięskimi wystawiały.

Do uogólnień również na pół tylko prawdziwych zaliczyć trzeba uwagę Brandesa co do braku komizmu w poezyi naszéj. Fredrę zna on widocznie ze słyszenia tylko i lubo mu oddaje pochwałę, iż zmysł do komizmu posiadał w wysokim stopniu, przechodzi zaraz po téj pochwale do wywodu, iż brak żywiołu komicznego sprawia, iż literatura polska, pomimo swego bogactwa, nie odtwarza całego obszaru i całego natężenia życia ludzkiego. Robi to on z tego powodu, że poeci w rodzaju Fredry „nie zużytkowali nigdy swoich zdolności na korzyść najwyższych idei, a inni, działający w imię idei, jak romantycy nie mieli dość siły na to, aby ze śmiechu uczynić broń albo *wyraz wesołości.*“ Nie podejmując tu niewłaściwości ostatniego wyrażenia, gdyż może być wynikiem złego przekładu, można i potrzeba zauważyć, że służenie najwyższym ideom za pośrednictwem komizmu jest rzeczą, która nie wiem czy się jakiemukolwiek poecie udała; z natury bowiem swojéj komizm dotyka spraw powszednich i praktycznych: w sferze idei gości rzadko; i jeżeli poezya przyczyniła się do zwycięstwa wyższych myśli, to głównie stroną swą poważną, do któréj przecież i satyra należy. Z tego co Brandes daléj mówi o postaciach błaznów u Słowackiego, że oni co najwięcéj wzbudzają uśmiech, nie zaś „śmiech“, widać, że i on tak na seryo o służbie komizmu u idei najwyższych nie myśli. Dodać także należy, że „Niepoprawnych“ Słowackiego, gdzieby znalazł komizm wyższego rodzaju, Brandes nie zna. Zresztą przypomnieć potrzeba, że romantycy nie tylko polscy ale europejscy wogóle nie cierpieli śmiechu, tak samo jak czerstwych, rumianych twarzy, lecz gonili za uśmiechem ironicznym lub sarkastycznym, że zatém ów brak komizmu, o którym mówi krytyk, nie jest właściwością naszą, specyalną, ale romantyczną—europejską.

Do napółprawdziwych należą także spostrzeżenia Brandesa co do charakteru miłości naszych poetów, co do braku indywidualnych rysów w postaciach przez nich stworzonych i t. p. Nie będę już tutaj szczegółowo ich roztrząsał, gdyż nie stanowią one tak wybitnych jak poprzednio rozebrane znamion odczytów i łatwo mogą

być sprostowane przez każdego, kto zna utwory naszych poetów. Nie będę również zastanawiał się nad błędami faktycznemi wynikłemi, z mylnych informacyi, np. policzenie Augusta Becu pomiędzy literackich przeciwników romantyzmu, lub pomieszanie dwu utworów Słowackiego „Wacław“ i „Horsztyński“, gdyż faktycznéj strony nikt z odczytów krytyka duńskiego uczyć się nie będzie (1); szkoda tylko, że „Gazeta Polska“ drukując te odczyty, nie porobiła sprostowań; szkoda, że korektor spłatał jéj dokuczliwego figla, uporczywie nazywając Stefana Garczyńskiego—Parczyńskim...

Pomijając te drobiazgi, słówko jeszcze powiem o trzeciéj zasadniczéj cesze umysłu Brandesa, o zamiłowaniu w porównaniach. Przenośnie i porównania czynią styl obrazowym i ponętnym, ale przeszkadzają nieraz ścisłości i dokładności. W odczytach dla ogółu są one zupełnie uprawnione, gdyż nie idzie tu o wykład ściśle umiejętny. Z tego powodu nie myślę bynajmniéj zbierać i podnosić sprzeczności w twierdzeniach prelegenta, gdy dla większéj ekspresyi potęgował w pewnych miejscach wyrażenia, które następnie modyfikować musiał znacznie (np. *wszechwładnie* panujący w poezyi naszéj idealizm obok wydatnéj roli naznaczonéj w tejże poezyi realizmowi i t. p.). Chciałbym jedynie zwrócić uwagę na porównania, które się podobały ogólnie, a które jednak są dalekie od wyrażenia istoty rzeczy. W porównaniach tych użył prelegent bardzo różnorodnych materyałów i motywów. Najprzód przyrównał Brandes literaturę naszę do obrazu Maxa: Chustka ś. Weroniki: „Na pierwszy rzut oka twarz na obrazie wydaje się twarzą trupa, oczy są szczelnie zamknięte, wyraz pozbawiony życia. Skoro się jednak patrzy na obraz z właściwego punktu, wyraz twarzy nagle się ożywia, oczy się otwierają i zwracają na widza swe smutne i poważne spojrzenie.“ Porównanie to charakteryzuje raczéj położenie narodu aniżeli jego literaturę. Gdzie jest Pan Tadeusz, Ojciec Zadżumionych, Irydyon; gdzie są takie liryki jak nasze, tam z żadnego punktu widzenia o martwocie mowy być nie może. W inném miejscu porównał literaturę naszą do biblii; brzmi to ładnie, ale każdy naród może do pewnego

---

(1) Zestawienie „Pana Tadeusza“ z „Opowiadaniami junkra Stahla“ finlandzko-szwedzkiego poety Runeberga jest zupełnie dowolne. Opowiadania Stala są-to luźne całkiem śpiewy małéj objętości, po większéj części w formie lirycznéj, o walce Finlandczyków z Rosyanami, i nie przedstawiają żadnéj artystycznéj całości; porównać się z „Panem Tadeuszem“ a témbardziéj nazywać się utworem najwięcéj do niego zbliżonym w żaden sposób nie mogą. Miłość gorąca kraju spólna jest obu poematom, tak jak wielu innym. Drobne rysy realistyczne, żywioł komiczny również nie mogą uzasadnić tego zestawienia. Poemat Runeberga znam w tłómaczeniu niemieckiém: „Die Sagen des Fänrich Stahl von Johann Ludwig Runeberg. Aus dem Schwedischen v. C. F. N. Helsingfors. 1882.“

stopnia utwory swojéj poezyi za swój Stary testament poczytywać, lubo rzeczywiście u nas więcéj niż gdzieindziéj znaczenie takie poezyi dla ogółu się uwydatnia. — Daléj mamy jeszcze najszerzéj rozprowadzone porównanie poezyi polskiéj do Hamleta. Słowacki ma przedstawiać typ radykalnego polskiego Hamleta, Krasiński zaś zachowawczego. Zdawałoby się, że Mickiewiczowi przypadnie rola Fortinbrasa. Istotnie przyznaje mu ją Brandes, ale zarazem dodaje, że i Krasiński jest jednym z tych Fortinbrasów, do których przyszłość należy, że i Słowacki posiadał tę namiętność, która wiodąc do czynów Fortinbrasa stwarza. A chociaż w tém przyznawaniu dzielności jest stopniowanie, to jednak w skutek porównania pierwotnego do Hamleta, a następnie upatrzenia cech całkiem odmiennego charakteru w tychże samych osobistościach, rysy znamienne zacierają się i zamiast rozjaśnienia mamy raczéj zamglenie postaci naszych poetów. — Dokonywa wreszcie téj sprawy porównanie Mickiewicza do orła, Krasińskiego do łabędzia, Słowackiego do pawia. Przeciwko orłowi nic mieć nie możemy; czy rzeczywiście „pod względem nieskalanéj białości i szlachetnéj godności ruchów żaden ptak nie może iść w zawody z łabędziem“, pozwalamy sobie wątpić i uważać to za frazes staréj szkoły sentymentalnéj; a dlatego i zestawienia Krasińskiego z łabędziem przyjąć nie możemy; żeby zaś Słowacki miał być podobny do ptaka, który „nie może sam bujać jak orzeł, ani pływać jak łabędź“, a tylko „bogactwem i świetnością piór swoich wyróżnia się wśród wszystkich innych“, zgodzić się nie podobna ze względu na bujność lotu naszego poety, twórcy „Beniowskiego.“

Zamiast tych porównań, które mimo częściowych piękności kuleją pod wielu względami, daleko więcéj cenimy uwagi poprostu wypowiedziane o znaczeniu poezyi romantycznéj dla narodu. Świadczą one o przejęciu się Brandesa duchem naszéj literatury i lubo w części krzyżują się z innemi uwagami, może są ostatecznym wynikiem zastanowienia krytyka duńskiego i zasługują na przywiedzenie. „Egzaltacya tych poetów — mówi on — rozbudzała w czytelnikach zapał potrzebny a nawet niezbędny w tych warunkach politycznych, w jakich się znajdowali; wpajała w nich wytrwałość, zaufanie do samych siebie, niezachwianą wiarę w przyszłość... W książkach swoich złożyli oni wszystkie uczucia, jakie mieli dla swego narodu, zebrali i skoncentrowali w nich, jak tego dotąd nikt nie uczynił, patryotyzm, litość, nadzieję, nienawiść dla zdrady i niesprawiedliwości i wiarę w ostateczne zwycięstwo prawa.“ Żaden z naszych krytyków nie umiał lepiéj i zwięźléj znaczenia romantyki wysłowić.

P. Chmielowski.



KILKA UWAG NAD HISTORYĄ XVI WIEKU.

Janssen: Geschichte des deutschen Volkes seit dem Ausgang des Mittelalters IV. Freiburg i B. 1885.—Gebhardt: Die gravamina der deutschen Nation. Ein Beitrag zur Vorgeschichte der Reformation. Breslau, 1884.—Baumgarten: Geschichte Karls V, I. Stuttgart 1885.—Busch: Drei Jahre englischen Vermittelungspolitik. 1884.

Epoki przejścia i rewolucyi szczególny dla historyka, myśliciela przedstawiają interes, jak dla przyrodnika fenomenalne zjawiska. Głęboką uczuwa się potrzebę, by uprzytomnić sobie i zrozumiéć przedewszystkiém tę chwilę, w której pojęcia o świecie pewnemu ulegały przeobrażeniu, w której zrywała się burza straszna i krwawa, mająca zniszczyć dawne podstawy bytu i ładu lub też nieładu społecznego. Potrzeba ta tém głębszą i żywszą, im więcéj kwestye sporne, o które chodziło, i w dzisiejszéj chwili znajdują zwolenników lub przeciwników, dzieląc społeczeństwo mniéj lub więcéj tak samo, jak ongi, im więcéj się jest zdolnym, odczuć to, co swego czasu taki budziło zapał, tak silne namiętności, co tak potężnie wstrząsało społeczeństwem. Niełatwo o spokojną i ścisłą analizę wypadków, których wyniki i dziś jeszcze uczuć się dają. niełatwo o przedmiotowe całkiem przedstawienie rzeczy i o rozróżnienie dobrego od złego, dodatnich stron od ujemnych. Mimowolnie i bezwiednie ulega się uczuciom, które Tacyt nazywał: *ira et studium*. Po większéj części więc można historyków, zajmujących się wyświeceniem rewolucyjnych objawów, na dwie podzielić główne grupy, z których jedna potępia rewolucyą i jéj dzieło, a druga w niéj wita odrodzenie, zreformowanie ludzkości. Co jedni nazywają reformacyą, reformą, zbawiennym i zdrowym postępem, drudzy uważają za rewolucyjne i zgubne zerwanie z tradycyą, za znieważenie powag powołanych od wieków do rządzenia, za ruinę równowagi społecznéj i zniweczenie, przerwanie pracy wiekowéj.

Wiek XVI nazwano epoką reformacyi, chcąc przez to zaznaczyć, że przez protestantyzm społeczeństwo się odrodziło, zrywając z średniowiecznym ustrojem kościelnym, z powagą Rzymu przez wieki usankcyowaną. Obok Kolumba i Kopernika stawiano tedy reformatorów, którzy rozproszyli niby ciemności, prawdziwe ukazując światła otumanionéj ludzkości, odpowiednie jednostce przyznając stanowisko i prawa. „Instytucya rzymskiego kościoła, powiedziano niedawno. to więzienie ducha ludzkiego, stanie się grobem, w którym pochowają zgasłe pokolenie; zostanie tylko wspomnienie w historyi.“ Co reformacyą poprzedziło było błędem, aberacyą, zepsuciem skoszlawieniem idei chrześciańskiéj, krępowaniem sumienia, uzurpacyą. W XVI w. zaświtała wolność, widnokrąg się rozszerzył i prawdziwa, z wiekowych naleciałości oczyszczona zakwitła nauka chrześciańska.

Podobnie idealnie zapatrywano się i na inny, olbrzymi kataklizm dziejów nowszych, na rewolucyą francuską, widząc w niéj przeważnie jasne barwy i idealne aspiracye. Taine dokonał analizy rewolucyi, dobitnie charakteryzując sytuacyą i ludzi a Sorel wykazał, że w niéj dawne grzechy Francyi w innéj tylko, nowéj objawiły się formie (L'Europe et la Révolution française). Krytyka taka nie przeszkadza bynajmniéj, by nie potępić zepsutéj, zbankrutowanéj Francyi i Europy całéj i nie uznać z drugiéj strony dodatnich stron burzy rewolucyjnéj.

Reformacya wymagała i wymaga jeszcze podobnego studyum krytycznego. Dotąd przeważały optymistyczne poglądy, a to dla tego, że historyografia protestancka, mająca świetnych reprezentantów, tworzyła głównie opinią. Reakcya była naturalną, reakcya, powtarzamy, bo o przedmiotową analizę rewolucyi religijnéj zawsze jeszcze trudno. Janssena: *Geschichte des deutschen Volkes*, któréj czwarty tom niedawno wyszedł, jest rezultatem i to bardzo znacznym tego ruchu reakcyjnego, stającego w obronie kościoła, zaczepiającego na odwrót protestantyzm i to w groźny nawet sposób.

Jakim był stan Europy zachodniéj a zwłaszcza Niemiec w przededniu reformacyi? Pytaniem tem zajmuje się Janssen w pierwszym ciekawym i ważnym tomie swego dzieła a odpowiedział na nie w sposób nowy, niespodziewany, wykazując, że w Niemczech w XV wieku kwitła nauka i sztuka, że przemysł, handel, gospodarstwo w znakomitym były stanie, że żyli wtedy ludzie z szerokim umysłem, którzy nie zrywali jednakże z dawnemi ideami i nie stanowili opozycyi, że był Cusanus. Trithemius, Wimpfeling, *praeceptor Germaniae* i tylu innych promieniejących nauką i cnotą a nie pragnących rewolucyi mężów, słowem, że Niemcy całe przedstawiały się wspaniale.

I gdzież to wobec tego może być mowa o odrodzeniu przez reformacyą! Wprawdzie Janssen uznaje też, że było moralne zachwianie i objawy upadku, ale umie rzecz tak przedstawić, że o tém zupełnie prawie się zapomina i że przeczytawszy jego dzieło, jest się pod wrażeniem świetności i wielkości Niemiec w XV w. a strasznego upadku w XVI w. właśnie z powodu owéj burzy religijnej, która przerwała rozwój prawidłowy kraju, rozdarła go na dwie połowy a wreszcie tyle cennych zabytków na zawsze zniszczyła.

Trudno jednakże wtedy zrozumiéć, jakie były przyczyny ruchu religijnego, który takie przybrał rozmiary gwałtowne. Zresztą nie chodziło bynajmniéj tylko o sprawy religijne i kościelno-polityczne, lubo te z czasem głównym stały się czynnikiem i na całym ruchu właściwe wycisnęły piętno. Wszędzie, gdzie tylko zachodnia cywilizacya się rozkrzewiła, spostrzegamy obok rozkwitu nauk humanistycznych silne dążenie do reformy nie tylko kościelnej, ale politycznéj i społecznéj. Źródłem tych tendencyi świadczących o niezadowoleniu z tego, co było, o pragnieniu czegoś nowego i o nowych potrzebach a w każdym razie o *przeświadczeniu*, że zmiana istniejących stosunków konieczną,—źródłem tych dążeń wszechstronnych to budzący się *duch krytyczny*.

Krytycyzm jest niechybnie niezbędnym warunkiem postępu i reformy, ale zarazem niebezpiecznym czynnikiem, jeżeli zbyt wybuja i nie okiełznany, nic nie umie uszanować i tylko neguje. Tam, gdzie powołani do rządu czynni i bystrzy, myślą i radzą o normalnym, prawidłowym rozwoju społeczeństwa, o wzmocnieniu tego, co w ciągu wieków się zachwiało i uległo zepsuciu, krytyka płytka, bezpodstawna i niedostatecznie umotywowana nie zdobędzie gruntu. Jeżeli więc w XVI w. rewolucya cały ogarnęła zachód, nie było to objawem przypadkowym, który można wytłómaczyć płytkością ducha negacyi, złością ludzką i pychą żywota, a raczéj wypadnie uznać, oddając hołd prawdzie, że reforma była konieczną a skargi na zepsucie i nadużycia słuszne i sprawiedliwe, że wogóle średniowieczny świat się rysował a nowe budziło się życie gorączkowe, nie ujęte w pewne formy, nieświadome siebie, które jednakże, powiedzmy to już tu, nie jest identyczném z tém, co się zowie protestantyzmem, opierającym się na nowéj nauce t. j. czystéj ewangelii; tego życia, które dziś zawsze jeszcze społeczeństwo trawi, protestantyzm jednym tylko jest epizodem, jedną częścią.

Charakteryzując XV w. jako świetną epokę Niemiec, J. niejednokrotnie ma słuszność, zwłaszcza gdy podnosi imponujący rozwój miast niemieckich; niepoślednią to właśnie dzieła jego zasługą, że te jasne strony historyi Niemiec uwydatnił, jak nikt przed nim, ale

też jak nikt przed nim, podniósł grzechy rewolucyi religijnéj, przedstawiając bezwzględnie i to ze wszystkiemi szczegółami chaos i zamieszanie powstałe z powodu różnych doktryn, spory i kłótnie reformatorów, dbałych o „czystość“ ewangelii, a nie mogących się między sobą porozumiéć, na czém ona polega, zmieniających przeto wciąż swą naukę; w ciemnych barwach kreśli autor wandalizm niszczący stosami zabytki sztuki umieszczone w kościołach i zniknięcie równowagi społecznéj. I to wszystko miało się nazywać narodowém odrodzeniem, kiedy właśnie reformacya doprowadziła do rozdarcia kraju i osłabienia jego znaczenia, kiedy właśnie protestanccy książęta wciąż w praktyki z zagranicą się wdawali, z Francyą, pragnącą zguby cesarstwa i korzystającą w każdéj chwili, by zaanektować kawał ziemi obcéj. Karol V jest w oczach Janssena prawdziwym stróżem dobra państwa, chcąc dawny cesarstwu przywrócić blask. Karol V, panujący zarazem nad Hiszpanią, Niderlandami i Włochami, nad drugą półkulą, był więcéj narodowym, niż reprezentanci główni narodowego ruchu. Takie przedstawienie rzeczy uważano za zamachy na protestantyzm, za obrazę wyznawców znieważonéj prawdy. Nie było pisma od najpoważniéjszego i naukowego do codziennych gazet, w któremby o Janssenie nie pisano, zaczepiając go lub broniąc. Wyznaczono nawet wysoką premią dla tego, ktoby zbił wywody historyka katolickiego. Dzieło Janssena stało się tak popularném, że kilka, *kilkanaście* naraz wychodzi wydań, że dwie repliki jego: *ein Wort an meine Kritiker* w tysiącznych rozeszły się egzemplarzach.

To tak żywe zainteresowanie się historyą Niemiec i oburzenie wywołane w kołach protestanckich, tłómaczy się poniekąd dzisiejszym stanem kościelno-politycznym Niemiec i drażliwością wywołaną walką kulturową. Nieustraszony, pisał autor daléj swą Historyą a po wydanych trzech tomach, w których doprowadził rzecz do r. 1555, do pokoju religijnego zawartego w Augsburgu, ukazał się właśnie niedawno czwarty tom, obejmujący wypadki do r. 1580. Trzy w czasie tym wypadło zaznaczyć epizody, pierwszy kończący się konspiracyą Grumpacha, drugi cechuje oddziaływanie francuskiego kalwinizmu na Niemcy i w ogóle dążenie do utworzenia międzynarodowéj partyi religijnéj, w trzecim wreszcie dokonywa się silna reakcya katolicka głównie za przyczyną Jezuitów, przeciw któréj protestanci z swéj strony czynią usiłowania, by poszczególne odcienia pogodzić i wspólnémi walczyć siłami, co poniekąd w r. 1580 przez ogłoszenie tak zw. *Concordienformel* się udaje.

Gorzka to ironia nazwać uchwały, zapadłe na sejmie w r. 1555 wyłącznie za przyczyną Ferdynanda, pokojem religijnym, skoro

obiedwie partye przeciw nim protestowały a mianowicie katolicy przeciw „deklaracyi," która duchownym władzom terytoryalnym nie przyznawała prawa reformowania na podstawie zasady *cuius regio, eius religio*, protestanci zaś przeciw tak zw. „*reservatum ecclesiasticum*", które w razie przejścia duchownego na protestantyzm zmuszało go do zrzeczenia się beneficium. Dziwny to był pokój, skoro naprężenie między obu stronami wciąż się wzmagało i ostatecznie smutna zbliża się katastrofa, przyczyna wiekowéj niemocy Niemiec. Łudzono się przez pewien czas, że na drodze pokojowéj będzie można zapobiedz rozdarciu narodu i przywrócić zgodę, łudził się zwłaszcza sam cesarz Ferdynand, który wszelkie możliwe czynił usiłowania i w kraju i w Rzymie, by upragnioną przywrócić jedność religijnego wyznania, by przez ustępstwa pozyskać nowatorów. Pokładano nadzieję w soborze trydenckim, który po dwukrotnéj przerwie znów zwołano. Ferdynand czuwał nad tém, aby forma zwołania w niczém nie obrażała sumienia protestantów, aby tym sposobem udział ich zapewnić, wymógł nawet na papieżu Piusie IV posłanie dwóch legatów do Niemiec, by protestantów urzędownie zaprosić do Trydentu. Charakterystyczna to była chwila: Commendoni i Delfino, wytrawni politycy, stają w Naumburgu przed protestantami, wręczając list papieski z zaproszeniem na sobór; ci jednakże już *sam fakt*, że papież zaprasza, uważają za uzurpacyą: Rzym, jako *interesowana* strona, nie może bowiem stanąć na czele soboru. Trudno było wobec tego o porozumienie i o zgodę. A przyznać trzeba, że wtedy Pius IV, przychylając się mianowicie do próśb i przedstawień cesarza, a i sam pokojowo usposobiony, czynił, co mógł, by protestantów nakłonić do udziału w soborze. Napróżno! Zresztą nie byłoby to i tak doprowadziło do celu; na taki bowiem wolny sobór, jaki reformatorzy mieli na myśli, Rzym nie byłby się nigdy zgodził. Zgoda stała się niemożliwą, bo różnica zbyt była głęboką, zasadniczą. Odbył się więc sobór bez udziału tych, którzy bezpośrednią zwołania byli przyczyną a nawet bez udziału prałatów niemieckich, którzy zagrożonych przez protestantyzm dyecezyi nie chcieli opuszczać. Bo téż protestantyzm coraz groźniejszą stawał się potęgą. Commendoni ubolewa nad tém, że „liczba heretyków wciąż rośnie." Wreszcie zrozumiał Ferdynand, że przywrócenie jedności religijnéj niemożliwe, a chcąc przynajmniéj w swych dziedzicznych krajach zapobiedz szerzeniu się nowej doktryny, wymógł na papieżu pewne koncesye a mianowicie komunią *sub utraque*, ale i to nie przyczyniło się do wzmocnienia kościoła katolickiego. W rodzinie cesarskiej otwarcie hołdowano protestantyzmowi; Maksymilian z lekceważeniem wyraża się o soborze i o papiestwie. Nie uznawano wogóle żadnéj powagi. Protestanci i kalwini

wciąż z sobą się sprzeczali, protestanci między sobą w rozstroju. Melanchton ubolewa nad ich zaciekłością i nienawiścią a znużony życiem pragnął świat już pożegnać w tym wieku „sofistów.“ Z religijnym rozstrojem łączyły się polityczne aspiracye i osobiste cele; i tak między Drezneni a Weimarem, linią albertyńską a ernestyńską, od czasów bitwy pod Mühlbergiem głęboka panowała nienawiść. Ks. Jan Fryderyk chciał dźwignąć upadły ród, pomścić krzywdę wyrządzoną linii ernestyńskiej, odebranie godności elektorskiéj i zabranie części kraju, ale nie o to tylko chodziło, zanosiło się na zupełny przewrot ustroju państwowego, na obalenie dynastyi Habsburskiéj i wzniesienie cesarstwa protestanckiego. Grumpach, śmiały kondotier, miał plan wykonać za pomocą rycerstwa. Już w zaraniu rewolucyi silne objawiło się dążenie do zreformowania ustroju politycznego Niemiec, a zwłaszcza do złamania dominującéj potęgi terytoryalnych władców. Dzieło się nie udało. Obecnie zanosiło się na podobny zamach. Grumpach zbierał wojska, wydając zarazem do rycerstwa manifest; wszelkie jednakże zamiary nie doprowadziły do pożądanego celu, a Grumpacha i towarzyszy straszna spotkała kara.

Niemcy upadały stanowczo; wewnątrz rozstrój i rozbicie, a na zewnątrz żadnéj powagi; do tego rzecz doszła, że obce mocarstwa w Niemczech werbują żołnierzy. We Francyi od kilku już lat z pewnemi przestankami wrzała wojna religijna, a około roku 1567 zatarg Hiszpanii z Niederlandami stawał się coraz groźniejszym; zanosiło się wtedy na utworzenie dwóch wielkich obozów międzynarodowych, protestanckiego i katolickiego, ale nie zawsze religijne motywa decydowały i szlachetne pobudki; zdarza się bowiem, że protestanckie wojska walczą dla zysku w obronie sprawy katolickiéj. Już to wogóle smutno świadczyło o jedności Niemiec i o znaczeniu cesarstwa, że na swą rękę można było w obcych brać udział wojnach; do tego doprowadziła władza terytoryalnych książąt, do tego ta sławiona „wolność niemiecka“ (*deutsche Libertät*). Niemiecka „*Libertät*“ odrębną nieco była od naszéj złotéj wolności, lubo do niéj podobną a w skutkach równie zgubną; u nas przyjęto zasadę *viritim*, jednostka więc była wolną, w Niemczech zaś terytoryalny władca, a wobec jednostki stosowano zasadę „*cuius regio*.“. Ale z czasem w Polsce, lubo w teoryi indywiduum złotéj zażywało wolności, w rzeczywistości utworzyły się terytoryalne potęgi, które decydowały o losach kraju i na własną rękę prowadziły politykę. I tu i tam dla państwa, dla centralnéj władzy nie było miejsca, a katastrofa stała się nieuniknioną. Po upadku Polski nastąpiło wkrótce rozbicie Niemiec.

Ciekawy napisał memoryał (w roku 1570) zagorzały protestant, Schwendi, charakteryzując trafnie ówczesną sytuacyą: cesarstwo to

tylko tytuł, czczy honor, wyznaniowe różnice pociągają za sobą mieszanie się obcych do spraw niemieckich, siła wojskowa Niemiec w ręku obcych, posłuszeństwo wobec praw, miłość ojczyzny gaśnie, za pieniądze walczą Niemcy przeciw Niemcom. Cesarz przedstawił ten memoryał na sejmie w r. 1570, chcąc przekonać wszystkich o konieczności reformy, jednakże bez skutku; natomiast zapalano się do wojny z papiestwem, z antychrystem, Piusem V i to w chwili, w któréj właśnie z powodu starań Rzymu przychodziła do skutku liga chrześciańska przeciw groźnéj potędze tureckiéj, mającéj niebawem pod Lepanto pamiętną ponieść porażkę. Nie można zaprzeczyć, że te religijne namiętności, te ciągłe medyacye, pertraktacye, kłótnie i spory odrywały umysły od koniecznéj na innych polach reformy.

Wybór Henryka Walezego na króla Polski obudził w Niemczech i we Francyi świetne lubo odmienne nadzieje. Z jednéj strony upatrywano w wyborze Henryka klęskę Habsburgów i zapowiedź dalszych klęsk, śmiałe nawet układano plany, jakby z czasem pozyskać koronę cesarską dla Francyi. Protestanci ze swéj strony marzyli o połączeniu sił protestanckich, o zawiązaniu i utrzymywaniu ścisłych stosunków z Francyą i Polską. Nie ziściły się nadzieje. Trudno było o jednolitą akcyą w obozie nowatorów, niezgodnych między sobą, zaczepiających się namiętnie. Wielu ten rozstrój różnowierczy przestraszał i odstręczał. Tém też między innemi tłómaczą się świetne powodzenia reakcyi katolickiéj. Historya téj reakcyi, ściśle złączonéj z odrodzeniem katolicyzmu i reformą kościoła, osobną w dziejach XVI w. stanowi kartę. Obok rewolucyjnych prądów widoczna w łonie samego kościoła tendencya do usunięcia nadużyć, która wcześniéj bo w XV w. się objawia, mianowicie, nie mówiąc już o wielkich soborach, w Hiszpanii. Niedość dotąd wyświecone to stanowcze i konsekwentne oddziaływanie Hiszpanii na reformę kościoła, a wpływ ten był bardzo znaczny. Duch hiszpański stworzył między innemi owę armię katolicką, która nieobliczone sprawie, któréj służyła, oddała usługi. Jezuici rozwinęli w Niemczech, jak wszędzie, energiczną działalność, niemało też zagrożonych, albo już nawet straconych zdobyli stanowisk; niedziw więc, że przeciw nim głównie zwracają się skargi. Trudno było rozbitym i walczącym między sobą protestantom stawić czoło towarzystwu umiejętnie zorganizowanemu, pałającemu duchem zaparcia się siebie i poświęcenia. Należało więc pomyśléć o skupieniu sił, a sformułowaniu ściślejszém nauki, aby usunąć powód do tworzenia nowych doktryn. Po wielu trudach i bezowocnych usiłowaniach ogłoszono wreszcie w r. 1580 w pięćdziesięcioletnią rocznicę wręczenia augsburskiego wyznania tak zw. *Concordienformel*, w któréj nauka protestancka ostatecznie

się skrystalizowała. Radośnie powitano akt ten, widząc w nim świetne przeciwstawienie: „*des verdammlichen Conciliabulums zu Trient*“ i silną broń przeciw bałwochwalczemu papiestwu i tegoż satelitom, t. j. Jezuitom. Sformułowanie doktryny protestanckiéj nie zwracało się jednakże wyłącznie przeciw Rzymowi, ale równie silnie i przeciw kalwinizmowi; o zgodnéj więc akcyi przeciw odrodzonemu, potężnemu i pełnemu inicyatywy katolicyzmowi nie mogło być mowy.

Ile to przez lat kilkadziesiąt — od chwili wybuchu rewolucyi— czyniono zabiegów, by utrzymać jedność kościoła! Napróżno! Były chwile, w których się zdawało, że nastąpi pewne porozumienie, że można będzie tak sformułować dogmaty, aby zadowolnić wszystkich, ale zabiegi te okazały się mrzonkami, a ci, którzy o ustępstwach myśleli, narazili się tylko na zarzuty odstępstwa lub indyferentyzmu religijnego. Zwykły to los medyatorów, nie zdających sobie często jasno sprawy z zasadniczych różnic, a działających w imię świętej zgody. Ale też wtedy mało kto jasno postawił kwestyą, a nawet w Rzymie samym w pewnych chwilach czyniono możliwe koncesye. Pokojowe załatwienie sprawy, pozyskanie nowatorów na dobréj drodze stało się niemożliwém. Chcąc przywrócić jedność religijną, trzeba się było innego chwycić środka, gwałtownego przytłumienia opozycyi, a zanosiło się nieraz na to; ale opozycya była zbyt silną, zbyt szerokie przybrała rozmiary, a potém potęgi katolickie nie działały zgodnie. Francya walczy z Hiszpanią, papiestwo w zatargach z cesarstwem; król chrześciański, gnębiący u siebie hugonotów, popiera protestantów w Niemczech, papieże tacy, jak Paweł IV, wszczynają wojnę z arcykatolickim Filipem II; Alba pod murami Rzymu, a na początku rewolucyi armia francuska wraz z Szwajcarami burzy świętą Romę, centrum świata katolickiego. W pierwszéj zwłaszcza połowie XVI w. interes religijny na dalszy schodził plan wobec ambicyi politycznych i żądzy zdobyczy terytoryalnych, a tymczasem protestantyzm się wzmagał. Zasada, że państwo przedewszystkiém o własny dbać winno interes, okazała się silniejszą od teoryi średniowiecznych, według których ludzkość, jako taka, ogólne ma cele, którym interesa partykularne należy podporządkować. Wyemancypowało się państwo, zrywając z ideą jedności kościoła. Dobro państwa zdawało się też wymagać tego, by opozycyi religijnéj, uznanéj jako heretycką, zapewnić prawnopolitycznie spokój. Wogóle jednakże o tolerancyi o wolności wyznania nie może być mowy. Przedstawiano i przedstawiają jeszcze protestantyzm jako szermierza idei wolności i tolerancyi w przeciwstawieniu do katolicyzmu walczącemu taką bronią, jak indeks i inkwizycya. Tolerancyi w epoce reformacyi prawie nigdzie nie było! Nie w imieniu swobody sumienia wy-

stąpili protestanci lub kalwini; jedni tylko indepedenci podczas rewolucyi angielskiéj na liberalném pod względem religijnym stanęli stanowisku. Nowatorom chodziło o to, by swéj doktrynie, jedynie „prawdziwéj i czystéj“ zapewnić absolutne zwycięstwo, by zwalczyć „bałwochwalczą, zepsutą“ religią katolicką. To, co się w Anglii, Genewie i w Niemczech działo, nie świadczy bynajmniéj o duchu tolerancyi. Beza powiedział, że *libertas conscientiarum diabolicum dogma.* A i późniéj, w w. XVII tolerancyi religijnéj nie było ani u katolików, ani u protestantów, ani u żydów (Spinoza).

Identyfikują daléj często tę tak zw. kulturę nowoczesną z protestantyzmem. Przedewszystkiém należy przypomniéć, że między epoką odrodzenia a reformacyą znaczna zachodzi różnica. Humanistę, stroniącego od zawiłych kwestyi dogmatycznych, cechowała pewna wyrozumiałość, łącząca się z szerokim umysłem, pewna swoboda, którą możnaby nazwać liberalizmem w najszlachetniejszém tego słowa znaczeniu; przeciw temu zwraca się zapalony reformator, skrupulatny, oddany lekturze pisma św. pragnący siebie i drugich według swéj zbawić formuły. Pojęcie kultury nowoczesnéj daleko szersze od protestantyzmu, który przecież potém wystąpił do walki z nią i ją potępił. Tyle przyznać trzeba, że protestantyzm mimowolnie utorował drogę zasadzie tolerancyi religijnéj, a to dla tego, że ludzie odrębnych wyznań a mimo tu równouprawnieni, żyjąc obok siebie, z czasem nauczyli się być wyrozumiałymi.

O braku ducha tolerancyi u protestantów w XVI w. z dzieła Janssena dokładnie można się poinformować, niemniéj o pewném moralném zachwianiu społeczeństwa i ogólném zamieszaniu, które naturalném było następstwem zakwestyonowania dawnych powag w owéj epoce przejścia. Wypadnie jednakże zaznaczyć, że za wszystko złe, jakie wtedy się objawiało, nie należy wyłącznie protestantyzmu czynić odpowiedzialnym; na to i inne złożyły się czynniki, jak wogóle na osłabienie znaczenia Niemiec. Dawno przed wybuchem rewolucyi religijnéj cesarstwo straciło swój urok i wpływ. Zmiana ekonomicznych stosunków, łącząca się z nowemi odkryciami i nowemi drogami handlowemi nie wypadła na korzyść Niemiec a zwłaszcza kwitnących miast.

Janssen poświęca swe dzieło głównie kościelno-politycznym stosunkom, inne strony życia społecznego szczególnie w dalszych tomach mniéj są uwydatnione; nie dość téż szerokie tło, na którém historya Niemiec osnuta; nie ma tu przedmiotowéj analizy rewolucyi religijnéj, tylko znakomita apologia kościoła katolickiego. Rany protestantyzmu odkrywa Janssen bezwzględnie, popierając swe wywody ciągłemi cytatami, by nie narazić się na zarzuty stron-

niczości; że autorowi o prawdę chodzi, że historyi nie chce fałszować, nie godzi się wątpić, ale zostawiając pewne rzeczy w półcieniu i na dalszym planie, inne wysuwając naprzód, można sytuacyą odpowiednio do swych sympatyi przedstawić. Janssen jest zręcznym kompozytorem. Z tém wszystkiém, trzeba koniecznie się liczyć z jego wywodami i przyznać szanownemu autorowi zasługę niemałą, położoną około wyświecenia historyi Niemiec w XVI w., lubo bynajmniéj ostatniego słowa o niéj nie powiedział, jak to z wielu stron twierdzono. Jeszcze tu pracy bardzo dużo, a zacząć ją trzeba od XV w., od wszechstronnego zbadania społeczeństwa i stanu kościoła, od zestawienia skarg (grawaminów) wymierzonych przeciw prawom i nadużyciom hierarchii kościelnéj. Skargi te różnorodne, o których dobrze z ciekawéj rozprawy dra Gebhardta poinformować się można, zwracały się przeciw jurysdykcyi duchownéj, przeciw annatom, dziesięcinom i wogóle wszelkim opłatom a wreszcie przeciw centralizacyjnéj administracyi kościelnéj i nieuwzględnianiu rzeczywistych potrzeb i stosunków krajowych. Dr. G. zostawił grawamina niemieckie mniéj więcéj od czasu soboru bazylejskiego do owego sejmu w Wormacyi, na którym potępiono Lutra, uwzględniając przeważnie tylko te grawamina, które urzędowy miały charakter, tj. takie, które wyszły ze sfer kompetentnych samejże hierarchii. Podobne grawamina, lubo nie tak liczne, jak w Niemczech, istniały i w innych krajach; zestawieniem ich trzeba się będzie zająć a ciekawa to wtedy będzie praca porównać z sobą poszczególne skargi, zaznaczyć różnice i zbadać, o ile były usprawiedliwione.

Trudne to było zadanie unormować granice między kościołem powszechnym a państwem, pogodzić organizacyą katolicką i obowiązki wobec centralnéj władzy z interesem poszczególnych krajów. Hierarchia kościelna zajęła w ciągu wieków w państwie dominujące niemal stanowisko i ważnym stała się czynnikiem politycznym. W Niemczech było trzech elektorów duchownych, w Francyi obok szlachty i miast osobny prałaci tworzą stan, w Anglii biskupi, należą do izby lordów, w Szwecyi hierarchia kościelna świetne zajmowała pod każdym względem stanowisko, w Polsce biskupi piastują godność senatorską; wszędzie znaczny przyznano im udział w sprawach publicznych, prócz tego rozległą jurysdykcyą, a i materyalne uposażenie było znakomite. Powoli przygotowywała się reakcya przeciw przewadze duchownéj, która ostatecznie nie umiała w legalnych utrzymać się granicach i rewolucyjnym skończyła się wybuchem. Trudno było wtedy o miarę i równowagę.

W podobnych chwilach trzy niemal zawsze będzie można zaznaczyć kierunki: jeden, który bezwzględnie starego trzyma się po-

rządku, w niczém nie chąc ustąpić, inny znów zrywa całkiem z tradycyą a między jednym i drugim—ludzie albo bardzo rozumni i mądrzy, głowy jasne, umiejące rozróżnić, co wymaga zreformowania, a co winno się uszanować, albo też ludzie dobrych chęci, pragnący miłéj zgody. A zdarza się też, że w jednym człowieku reprezentowane dwa kierunki, dwa światy. Ponętne to studyum przenikać takich ludzi, badać potężne indywidualności z epoki przejścia, zwłaszcza jeżeli im losy przeznaczyły tak wybitne i tak powszechne stanowisko, jak w XVI w. Karolowi V. Pod koniec zeszłego stulecia Robertson zainteresował się Karolem V i jak na owe czasy wcale dobre poświęcił jego panowaniu dzieło, przetłómaczone na języki francuski i włoski a pewno i niemiecki. Ranke w historyi epoki reformacyi (*Reformationszeitalter*) często oczywiście zajmuje się działalnością cesarza a zwłaszcza jego stosunkiem do Niemiec, do protestantyzmu, jak to wynikało z zadania. Maurenbrecher osobną poświęcił pracę wyświeceniu stanowiska, jakie Karol w ostatnich dziesięciu latach swego panowania zajął wobec opozycyi religijnéj. Z francuskich historyków Mignet pracował nad historyą Karola V, (*Rivalité de François I et de Charles V*; *Charles V*, *son abdication*, *son séjour et sa mort au monastère de Yuste*), uwzględniając jednakże głównie walkę dwóch potężnych rywali, Karola z Francyą. Wyświeceniem stosunków Karola z Włochami zajmuje się jeden z najpoważniejszych i najznakomitszych włoskich historyków Giuseppe de Leva w swém jędrnie i z szerszym poglądem napisaném dziele: *Storia documentata di Carlo V in correlazione all' Italia*, którego piąty tom niedawno wyszedł. Janssen w swéj historyi niemieckiéj dużo mówi o Karolu, szczególną cesarzowi zawsze okazując sympatyę. Od czasów Robertsona żaden historyk nie zabrał się do napisania historyi Karola, którąby obejmowała całą jego działalność różnorodną, bo też to zadanie arcytrudne, wymagające rozległych studyów nad historyą wszystkich niemal krajów zachodniéj Europy, a mianowicie Niemiec i Hiszpanii, Niederlandów i Włoch, prócz tego nad dziejami Osmanów i nowych odkryć w Ameryce. Praca więc olbrzymia; podjął jéj się obecnie prof. Baumgarten, autor Historyi Hiszpanii i rzeczy o nocy św. Bartłomieja a wreszcie znany z swéj uporczywéj polemiki z Janssenem. Pierwszy tom dzieła Baumgartena, obejmujący wypadki do r. 1523, powitano tu i owdzie jako *standard work*, jako rzecz, która, jeżeli już nie powie ostatniego słowa o rządach Karola i jego czasie, to przynajmniéj podstawową będzie książką do dalszych prac i studyów. Sąd taki jest przesadnym; zasługa autora polega przeważnie na zestawieniu całości rządów Karola i przedstawieniu całéj jego działalności w jednym obrazie; nie ma to jednakże dość głębokiego ujęcia rzeczy.

Karol nie był *esprit brilant*, przeciwnie, bierny, nieodznaczający się niczém, nie zapowiadający nic nadzwyczajnego, ani wielkich zdolności ani wybitnego charakteru; powoli umysł jego się rozwijał i wyrabiał charakter—w twardéj szkole wskutek wczesnego zgonu ojca Filipa i obłąkania nieszczęśliwéj matki, z powodu intryg dziada Ferdynanda, nie pragnącego w Hiszpanii rządów wnuka.

Był-to wtedy czas dla panujących ciężki, czas genezy tak zw. polityki równowagi. Włochy, w których duch nowoczesny najprzód się obudził, padły pierwsze ofiarą nowoczesnéj teoryi politycznéj. Machiavelli, trzeźwy Machiavelli pisze pod koniec swéj historyi florenckiéj, gdy mówi o smutku powszechnym, wywołanym śmiercią Lorenza *del Magnifico*, że na niebie wiele ukazało się znaków, przepowiadających straszne klęski. Ze zgonem Lorenza kończy się téż świetna epoka Włoch. W chwili, w któréj Francya wyparłszy najeźdźców, dzięki szczęśliwym kombinacyom i związkom matrymonialnym jednolitą stała się potęgą a pełną inicyatywy, przekształcając zarazem wewnątrz ustrój feudalny przez nałożenie pewnych obowiązków wobec skarbu państwowego, — w któréj daléj Anglia po długich krwawych wojnach domowych doszła do równowagi pod spokojnymi rządami Henryka VII, a na południu Hiszpania złączona rosła w potęgę, zwłaszcza po upadku Granady,— Włochy rozbite popadały w zależność od obcych mocarstw. Nie miały się ziścić nadzieje Machiavella powstania jednolitego państwa włoskiego; bo téż trudno było wogóle, a wtedy mianowicie o człowieku, któryby do „*Księcia*“ chociaż w części był podobnym. W Sabaudyi wstąpił na tron Carlo II, mający rok dopiero, w Monferrato Francesco II-gi, dziecko, w Medyolanie Gian Galeazzo, młody i niedołężny, był pod nieszczęsnym protektoratem Ludwika Moro, we Florencyi panuje Pietro Medici, człowiek średnich zdolności, w Rzymie Aleksander VI, Wenecya upadała, duch kupiecki brał górę a patryotyzm gasł. Wenecya stawała się podobną do skąpca, który nowych już nie chce czynić zdobyczy, pragnąc tylko utrzymać to, co zyskał, trzymała się więc po większéj części polityki neutralnéj. W Neapolu wreszcie stary okrutnik Ferdynand I dogorywał.

W takiéj to chwili rozpoczęły się na włoskiéj ziemi zapasy obcych mocarstw, najpierw Francyi i Hiszpanii. Walki te były zarazem dobrą szkołą dyplomatyczną; trzeba było dobrze się w niéj wyćwiczyć, by bystrością, giętkością i doświadczeniem sprostać innym. Tworzą się ligi dziś takie, jutro inne, opuszcza się dawnych przyjaciół, a szuka nowych, bo z tém większe łączą się zyski; nie ma zasad, na którychby się oprzéć można, prócz téj jednéj, jakby z okoliczności i ludzi korzystać, jakby drugiemu zaszkodzić, a sobie po-

módz. W takim to czasie obejmuje rządy Karol V najpierw w Hiszpanii, po zgonie Ferdynanda, okazując na samym wstępie niespodziewaną wcale stanowczość, a niebawem równie stanowczo, z pewném nawet namaszczeniem sięga po koronę cesarską. Rozszerzył się znacznie jego widnokrąg, przybyło energii i siły moralnéj, wzrok strzelał w górę, obejmując nie jeden kraj, ale całe chrześciaństwo. Karol orzekł, że w swéj osobie chce połączyć potęgę Hiszpanii i cesarstwa, by tém skuteczniejszą w obronie chrześciaństwa podjąć walkę. A była to chwila krytyczna, w której młody cesarz, pokonawszy w walce wyborczéj swego współzawodnika Franciszka, opuszczał Hiszpanią, by udać się do Niemiec. Karol, otoczony obcymi ministrami, mało kogo w dziedzicznym swym kraju zadowolnił, spotykając wszędzie prawie na mniéj lub więcéj silną opozycyą, świadczącą dobitnie ile tu jeszcze było żywiołów nie zasymilowanych centralizacyjną pracą Izabelli i Ferdynanda. Karol opuszczał kraj nurtowany rewolucyą, a w Niemczech, dokąd dążył, trudniejsze niż kiedykolwiek, czekało cesarza zadanie, nie tylko by wobec wzmagającéj się władzy książąt terytoryalnych utrzymać godność korony cesarskiéj, ale wypadło inną jeszcze rozwiązać kwestyą; kiełkowała bowiem już rewolucya, a wkrótce, bo na sejmie w Wormacyi przekonano się, że opozycya staje się coraz silniejszą i nieugiętą. Luter powiedział: „*hier stehe ich, ich kann nicht anders*“, a książęta, zwłaszcza saski, zasłonili go swém ramieniem. Na zewnątrz sytuacya równie wielkiéj wymagała czujności wobec Francyi. Minister Karola Chièvres pragnął zgody z Francyą i wszelkie w tym kierunku czynił starania, ale zgoda ta była nieszczerą i nietrwałą. Franciszek nie mógł na otaczającą kraj jego z wszech stron potęgę Habsburską spokojnie patrzéć, chcąc przedewszystkiém zapewnić Francyi Medyolan.

Historycy francuscy ubolewają często nad marnowaniem sił Francyi we Włoszech przez więcéj, jak pół wieku; ostatecznie wszelkie usiłowania nie doprowadziły do celu. Neapol, o który najprzód się kuszono, przepadł dla Francyi już za Ludwika XII, Lombardya z Medyolanem za Franciszka I, a wreszcie Piemont za Henryka II, a w końcu Hiszpania opanowała Włochy. Mignet twierdzi, że błędna ambicya (*l'ambition égarée*) królów, gubiących się w usiłowaniach pełnych chwały, ale zawsze bezowocnych po za Alpami odwróciła Francyą od naturalnych dróg do wielkości. Za dalekoby nas zaprowadziło roztrząsanie tych wywodów. Zaznaczamy tylko fakt, że Włochy wtedy nader łatwe nastręczały zdobycze, lubo trudno było przy nich się utrzymać. Włochy nęciły obce potęgi, wzywając prawie do korzystania z rozbicia i niemocy; trudno było takiéj oprzéć się pokusie, trudno mianowicie takiemu Franciszkowi I. Walka z Karolem była więc nieuniknioną.

Przez pewien czas chciała Anglia zapobiedz starciu dwóch rywalizujących z sobą potęg. Ambitny, a w sztukach i sztuczkach dyplomatycznych biegły kardynał Wolsey wszelkie w tym kierunku czynił starania. Już Henryk VII, lubo wewnętrznėm dźwiganiem wojną domową dotkniętego kraju zajęty, okazywał się równie bacznym na stosunki zagraniczne, biorąc udział w wojnach i ligach. Wolsey poszedł daléj, pragnąc Anglią uczynić środowiskiem polityki europejskiéj i wszystkie nici akcyi dyplomatycznéj w swoim skupić ręku. Dzięki swéj biegłości i giętkości, dzięki zwłaszcza sytuacyi ówczesnéj mógł kardynał przez pewien czas z zadowoleniem patrzéć na urzeczywistnianie się swych zamiarów. Głowy koronowane ubiegają się o względy ministra angielskiego. Wolsey umiał swój i kraju interes wspaniałą otoczyć aureolą a chcąc rywalom wspólny wzniosły wskazać cel, staje się w r. 1518 twórcą ligi pokojowéj mającéj wystąpić do walki z półksiężycem. Tytuł ligi od dawna szumnym tylko był frazesem. Ciekawą była rola Anglii w chwili, w któréj ubiegano się o koronę cesarską po zgonie Maksymiliana. Tak Karol V, jak Franciszek I, pragną sobie zapewnić poparcie Anglii; nie szczędzono przyrzeczeń dla obydwóch a tymczasem pokątne czyniono starania, by pozyskać koronę dla Henryka VIII, ale wcześnie, wcześniéj od króla samego, spostrzegł się Wolsey, że o powodzeniu myśléć nie można. Niemałą jednakże dla Henryka i kardynała było satysfakcyą to, że nowoobrany cesarz pośpieszył do Canterbury w celu pozyskania przyjaźni angielskiéj. Ale Anglia nie chciała się wiązać, a raczéj stać ponad rywalami, więc po wizycie cesarskiéj Henryk przybywa do Francyi a po świetnych bankietach i różnorodnych zabawach dąży do Calais, by rewizytować Karola.

Kardynał okazywał się wyższym nad stronnicze interesa a w gruncie rzeczy tu i tam jak największe chciał odnieść korzyści. W końcu jednakże doprowadził do tego, że nikt mu nie wierzył, że jednéj i drugiéj naraził się stronie; medyacye wszelkie chybiły, trzeba było łączyć się albo z Franciszkiem albo z Karolem. Wolsey zdecydował się na to ostatnie, przystąpiwszy w r. 1521 do związku cesarza z papieżem. Zwyciężył więc na razie młody cesarz i to mniéj więcéj w téj saméj chwili, w któréj na południu, w Hiszpanii rewolucyą przytłumiono, w któréj w Niemczech potępiono Lutra. Tak rozpoczęły się rządy Karola V.—Jakie wtedy po głowie jego snuły się myśli i plany, z jaką otuchą patrzał w przyszłość, a jednak ta przyszłość tyle przyniosła zawodów, które w końcu zniechęciły go do świata. Ten potentat nieugięty, co marzył o wielkości Ottonów i Hohenstaufów, kończy w zaciszu klasztornėm i za życia każe sobie odprawiać egzekwie. Karol V nie chciał sankcyonować tego, co raz

potępił, nie chciał uznać opozycyi i ustąpić duchowi czasu, a jednak ten marzyciel nieodrodnym był synem wieku, w którym żył i działał. Trafnie Leva charakteryzuje Karola. mówiąc, „że był zgodnie z duchem czasu na przemian szlachetny i okrutny. wyrozumiały i fanatyk, podejrzliwy i łatwowierny, uległy wobec rad obcych a znów absolutny, nieugięty w nieszczęściu a w szczęściu zaślepiony i butny (*ciecamente baldanzoso*), dziwna mieszanina kontrastów, przekazana w spuściźnie, zimny, jak Ferdynand katolicki, a jednak wrażliwy i uczuciowy jak Izabella, nieustraszony i żądny wielkich czynów a znów bierny i jak matka melancholijny, walczył, zwyciężał, a w końcu musiał ustąpić duchowi czasu, któremu nic się nie oprze.“ Ciekawa indywidualność, a studyum nad nią wielce pouczające.

Dziwnie wtedy złożyły się okoliczności. Karol V, składa koronę, powierzając ją Ferdynandowi, który zaczyna rządy od przyznania politycznych praw protestantom. Karol tego nie chciał uczynić, wierny dawnym zasadom. Wierny dawnym zasadom protestuje Paweł IV przeciw złożeniu korony, stając na stanowisku, że papiestwu przysługuje prawo decydowania o koronie cesarskiéj, że zatém bez Rzymu nie można się jéj zrzekać. Paweł IV nie przyjmuje posła Ferdynandowego, przybywającego z obedyencyą. Dziwny to, wysoce charakterystyczny konflikt tych dwóch średniowiecznych potęg, odmienny całkiem od dawnych zatargów: tak Karol V jak Paweł IV działali w imię tych samych zasad konserwatywnych, a jednak byli z sobą niezgodni. Papież chciał zgnieść rewolucyą, wytępić ją choćby najtwardszemi środkami, i cesarz do tego zmierzał; w końcu jednakże przekonał się, że walka niemożliwa. Siła faktów zwyciężyła. Trudno było w całéj pełni utrzymać wielką budowę średniowieczną.

Bronisław Dembiński.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Hermann Oesterley. Wegweiser durch die Literatur der Urkundensammlungen von Hermann Oesterley. Erster Theil. Berlin 1885; zweiter Theil, 1886.

Zbieranie i drukowanie dawnych dokumentów i przywilejów rozpoczyna się w historyografii Europejskiéj bardzo wcześnie, obecnie zaś przybiera zastraszające niemal rozmiary. Gdy się przegląda nowsze prace z dziedziny historyi politycznéj lub historyi prawa, podziwiać przychodzi skrzętnie zebrany materyał, ukazujący się czytelnikowi w postaci niezliczonych cytat, z których każda po kilka lub kilkanaście przytacza tytułów, opracowań historycznych lub zbiorów źródeł. Kto obecnie chce jako fachowy pracownik badać średniowieczne dzieje którego z europejskich narodów, musi najsamprzód przebyć kilkoletnie przygotowanie, polegające w większéj części na obznajmieniu się ze zbiorami dotyczącemi pewnéj epoki, na mozolném szukaniu po wielotomowych publikacyach za najdrobniejszą wskazówką, mającą mu być w danym razie potrzebną.

Główna przytém trudność polega na sposobie, w jaki się obecnie wydaje sporą część źródeł i na niedostateczności, jaką w niejednym kierunku przedstawiają największe nawet biblioteki. Liczba historyków czy to ściśle fachowych, czy też mniéj lub więcéj wprawnych dyletantów, jest w naszych czasach, zwłaszcza w Niemczech, niezmiernie wielką. Ztąd pochodzi i owa obfitość czasopism historycznych, z których przeważna ilość lokalnéj lub prowincyonalnéj poświęcona historyi, zawiera cały szereg informacyi o źródłach w tém lub owém znajdujących się archiwum, z przytoczeniem nieraz najważniejszych aktów. Pod względem czasopism przewyższy Niemcy niebawem Francya, w któréj rośnie obecnie i z niezwykłém natę-

żeniem się rozwija zapał do poszukiwań dziejowych, manifestując się bardzo licznemi publikacyami ogólnego znaczenia, jakoteż zakładaniem za wzorem Niemców towarzystw historycznych, stawiających sobie za zadanie uprawę dziejów miasta jakiego lub prowincyi. Kwestya zasilania owych czasopism artykułami naukowemi w żaden nie jest ujęta system. Zasadniczo wprawdzie winny czasopisma prowincyonalne umieszczać li tylko do pewnéj prowincyi odnoszące się poszukiwania, ale zaraz zachodzi trudność ścisłego odgraniczenia prac mających interes lokalny od prac szerszego zakroju, i niemożność odrzucenia przysłanéj rozprawy dla tego, że opiera się ona na gruntowniejszém i wszechstronniejszém wyzyskaniu źródeł, a więc jednem słowém, że jest za dobrą. Taką powściągliwością nie odznaczy się chyba żadna redakcya, ztąd też pochodzi, że i w lokalnych czasopismach historycznych znaleść można wiele bardzo rozpraw i publikacyi jaknajszerszy wzbudzających interes. Możnaby zarzucić, że autorom zależeć musi na ogłaszaniu swych prac w bardziéj czytanych, ogólniejszéj treści, historycznych czasopismach. Zapewne; ale pamiętać należy, że większość historyków rekrutuje się z ludzi na chleb zarabiających, w których budżecie poważne zajmuje miejsce i wynagrodzenie za ich literacką działalność. Otóż honorarya, jakie wypłacają redakcye pism niemieckich, bo te, jako bliżéj nam znane, mam przedewszystkiém na myśli, są bardzo rozmaite; a niektóre stowarzyszenia prowincyonalne licznych i szczodrych mające członków lepiéj za artykuły płacą, niż dawne i znakomite czasopisma. Z tych powodów musi historyk z konieczności liczyć się z tą literaturą czasopiśmienną, wytwarzaną w nieustającéj ciągle progresyi przez dawne i nowo zakładające się towarzystwa historyczne. Jak mało jednak bibliotek mających w jakimkolwiek komplecie choć część tych publikacyi. Niektóre z nich są już obecnie rzadkością, i nie znajdują się nawet w zbiorach wiedeńskich lub berlińskich.

Oprócz czasopism ogłaszają towarzystwa prowincyonalne i liczne nieraz tomy źródłowych wydawnictw. Przypominamy wydawnictwa towarzystwa histor. śląskiego, meklemburskiego i t. d. Materyału do tych publikacyi dostarczają przeważnie archiwa miejscowe, które w ten sposób wydają powoli zawierające się w nich skarby na użytek publiczny. Lecz i w tym rodzaju prac historycznych wielka różnorodność panuje. Gdy np. wzorowe wydawnictwa, jak kodeksy dyplomatyczne: meklemburski lub inflancki podają badaczom cały zasób dokumentów z pewnéj epoki ułożony w porządku chronologicznym, przedstawiają inne zbiory przywilejów wielką w wyborze ich i ułożeniu różnorodność. To otrzymujemy dyplomataryusz pewnego klasztoru lub rodziny, to wiązankę aktów objaśniają-

cych pewną kwestyą, to znowu spis tylko i streszczenie mniejszéj lub większéj liczby dokumentów. Zdarza się, że w napisie rozprawy uwidoczniona jest obecność w niéj nieznanych dokumentów, lecz częściéj o wiele ogłasza autor w dodatkach cenne bardzo akty, o których zamieszczeniu z tytułu książki dowiedziećby się wcale nie można. Łatwiéj jeszcze pracującemu w wielkim mieście, gdzie znajduje się uniwersytet lub choćby tylko historyczne jakie towarzystwo, będące z innemi w wymianie publikacyi. Lecz co zrobi badacz zmuszony przebywać stale w małém miasteczku, niemogący nieraz nie już miéć w rękach jakie dzieło, ale ani dowiedziéć się nawet o jego istnieniu. Niektóre czasopisma, jak np. „Mittheilungen des Instituts für oesterreichische Geschichtsforschung“ w Wiedniu, „Archivalische Zeitschrift“ w Monachium, „Neues Archiv für aeltere Deutsche Geschichte“ w Hannowerze, „Bibliothéque de l'Ecole des Chartes“ w Paryżu, podają wprawdzie bardzo regularnie sprawozdania z ogłaszanych obecnie zbiorów dokumentów, ale z natury rzeczy uwzględniają one tylko ważniejsze i mogą jedynie obznajamiać historyka z obecną na tém polu działalnością, nie dotykając, chyba wyjątkowo w jakiéj rozprawie, stosunków dawniejszych.

Historyografia średniowieczna została ujęta w bardzo dokładne repertorye, wymienimy tylko pracę Potthasta i przewyższające ją jeszcze dzieło uczonego francuskiego p. Ulysse Chevalier; o zbiorach dyplomatów można się było poinformować chyba w literaturze historycznéj wśród cytat i przypisków. Wielką pomocą stała się dla historyków, dzieje Austryi uprawiających, sumienna książka Kronesa „Grundriss der Oesterr. Geschichte“, podająca jak najdokładniejsze wykazy źródeł, a więc w pierwszéj linii i dyplomataryuszów. Dowiedzieć się z niéj można było o zbiorach ogólno niemieckich, ściśle austryackich, czeskich, węgierskich. Ale w dziele Kronesa jest materyał rozczłonkowany według zupełnie innéj myśli przewodniéj, niżby tego wymagała przejrzystość i jasność układu. To téż nie tak łatwo wyszukać na prędce wszystkich do jednego przedmiotu ściągających się publikacyi. Zresztą uwzględnia Krones tylko druki, a, z czego nie można mu robić zarzutu, nie wymienia gdzie się obecnie znajdują orginały przytaczanych przezeń dokumentów. Potrzeba spisania dzieł zawierających dokumenty średniowieczne dawała się już uczuć od dość dawna, równocześnie podnoszono niejednokrotnie konieczność zinwentaryzowania materyału rękopiśmiennego, to jest oryginałów i kopiaryuszów. Pierwsze kroki w tym kierunku uczynili Francuzi; p. Delisle ułożył Bibliografią dyplomataryuszów ogłoszonych we Francyi od roku 1840—1866, a p. Ulysse Robert wydrukował w r. 1878 nietylko Inwentarz ręko-

piśmiennych kartularzy przechowywanych w bibliotekach i archiwach paryskich, ale dał nadto drugą poprawną i do r. 1878 doprowadzoną edycyą Bibliografii Delisla.

Pan Herman Oesterley, którego 2 tomowe obszerne bo blisko 60 arkuszy ścisłego druku liczące dzieło mamy pod ręką, jest pierwszym, który zdobył się na tyle abnegacyi, aby poświęcić kilka lat życia wyszukiwaniu i spisywaniu wszystkich dzieł zawierających dokumenty średniowieczne. W króciutkim wstępie objaśnia nam autor, jakich się trzymał zasad, t. j. że uwzględniał wszystko cokolwiek miało choć jaknajdalszy interes dla historyków a opuszczał tylko luźnie rozrzucone, lokalną jedynie wagę mające akty. Nie mogąc zaprowadzić stałego systemu w grupowaniu swych notatek, trzyma się p. Oesterley raz granic politycznych, raz kieruje się względami językowemi. Nie ogranicza się na drukach tylko, ale o ile to mu z publikacyi wiadome, podaje archiwum lub bibliotekę, w której przechowują się odnośne materyały. Ubolewając nad brakiem w bibliotekach niemieckich wydawnictw obcych, uskarża się pan Oesterley na niedostateczność środków, jakiemi rozporządzał, a które nie dozwoliły mu dłużéj pracować w bibliotekach zagranicznych.

Samo dzieło przedstawia nam się w następujący sposób. Część pierwsza, obszerniéjsza (str. 574) poświęcona jest Niemcom, w drugiéj (str. 423) znalazły uwzględnienie Francya (1—186), Włochy (186—283), Hiszpania (283—295), Wielka Brytania (295—368), Skandynawia (368—384), narody Słowiańskie (384—397), Węgry 397—403), Grecya (403—406), Wschód (406—408); ostatnich stron 15 zawiera sprostowania i uzupełnienia do obudwu części.

Część pierwsza znowu rozpada się na dwa oddziały, w pierwszym wyliczone są zbiory ogólne, formularze, listy i publikacye dotyczące wojen krzyżowych, mających poniekąd charakter międzynarodowy; w drugim oddziale zawarty jest spis materyału dotyczącego Niemiec w 5 następujących kategoryach: 1) Zbiory ogólne, 2) Zbiory wyłącznie tylko dokumentów, 3) Dyplomy i listy cesarskie, 4) Ustawy państwowe, 5) Dzieje specyalne w porządku alfabetycznym. Ostatnia ta kategorya jest najważniéjszą, a zarazem i najliczniejszą, wypełnia bowiem w pierwszéj części pracy p. Oesterleya stron 500. W porządku alfabetycznym uwzględnione są nietylko pojedyńcze kraje, prowincye lub biskupstwa ale wszystkie miasta i miasteczka lub nawet wsie, do których dziejów wydrukowaną została pewna grupa dokumentów, lub o których przywiléjach wiadomo, że się w tém lub owém archiwum znajdują.

Przy każdéj pozycyi podaje autor najpierw wiadomość o rękopismach, następnie wylicza druki. Niewłaściwie wciągnął p. Oesterley Czechy do części pierwszéj, zamiast uwzględnić je pod rubryką narodów Słowiańskich. Ze stanowiska niemieckiego téż umieszcza zbiory dotyczące Szląska i innych prowincyi w skład Rzeczypospolitéj dawniéj wchodzących, z wyjątkiem Poznania, który umieszczony jest w należném mu miejscu. Drobnych usterek możnaby zarzucić wiele, ale wobec ogromu pracy i prawdziwego pożytku, jaki nauka historyczna odniesie z dzieła historyka wrocławskiego, zbytecznem i niewłaściwém by było wytykać niedokładności, których w podobném przedsięwzięciu niepodobna zgoła uniknąć. Część ta pierwsza „Przewodnika po zbiorach dokumentów" stanowi główną zasługę p. Oesterleya, jest ona początkiem do ogólnego zinwentaryzowania archiwów niemieckich, jest najwierniejszym drogoskazem wśród prowincyonalnych zbiorów i całkiém niezbędną pomocniczą książką dla zajmujących się fachowo dziejami średniowiecznemi.

Część druga zasługuje również na uznanie, zwłaszcza o ile dotyczy Francyi, Włoch, Anglii, Skandynawii. Gorzéj wypadły kraje wschodnio- i południowo-europejskie (Grecya). Pan Oesterley wyznaje wprost, że podane co do tych krajów wykazy uważa za dodatki, nie mające pretensyi do dokładności. Gdy się sam tak zastrzega, nie możemy go i my winić, że co do Polski np. najskromniejszych nie zaspokoił nawet wymagań. Prawdę mówiąc, nie jego to wina, bo nie sądzę, aby i który z polskich historyków zdołał tak łatwo sporządzić dokładny wykaz dyplomatycznych naszych skarbów. Przedsięwzięcie p. Oesterleya powinno by zachęcić u nas do wypełnienia luki, któréj co do naszéj literatury historycznéj, dzieło jego nie wypełniło. Nauczeni jednakże doświadczeniem obcem, mogli i powinnibyśmy uczynić nieco lepiéj. Mam tu przedewszystkiém na myśli kwestyą oryginałów i kopiaryuszów. Gdyby wszyscy przełożeni naszych archiwów i bibliotek, lub uczeni w nich pracujący, zechcieli podawać krótkie wiadomości, o zawartych w nich dokumentach, to w bardzo krótkim czasie możnaby ułożyć przegląd wszystkiego, co się u nas bądź w oryginałach, bądź w odpisach dochowało. Nie stoimy pod względem wydawnictw na tym samym stopniu co Niemcy lub Francya, dlatego téż ważniejszym byłby dla nas wykaz tego, co do zrobienia pozostaje, niż co dotychczas uskuteczniono. Dla jednego człowieka byłaby to praca za ciężka, zwłaszcza że ciągłych wymagałaby podróży; stosownie rozdzielona, nikogoby nie obarczyła. W każdym przypadku, gdzie rozchodzi się o porozumienie między w różnych stronach mieszkającymi historykami, przychodzi nam ubolewać nad brakiem organu ułatwiającego podawanie do pu-

blicznéj wiadomości drobnych notatek, luźnie zebranych informacyi o rękopismach lub dokumentach. Nie mamy nic podobnego jak „Archivalische Zeitschrift“ lub „Bibliothéque de l'Ecole des Chartes“, co uważam za bardzo szkodliwe dla prawidłowego rozwoju naszéj historyografii. Pracując nad jedną epoką, można przypadkiem znaleść materyał do innéj, a ten się zwykle pomija, bo nie będąc specyalistą, zużytkować go naukowo nie można, a krótkiéj informacyi pomieścić o nim nie ma gdzie. Wielkich dzieł odrazu pisać nie można, nie można też zajmować się naraz wszystkiém, ale łatwoby było każdą ważniejszą rzecz zanotować i krótką podać o niéj wiadomość, gdyby istniał nadający się do tego organ. Nigdyby p. Oesterley nie był tak wyczerpująco przedstawił bogactwo zbiorów dokumentów niemieckich, na żaden sposób nie byłby zdołał tyle cennych naprowadzić informacyi i wskazówek o oryginałach i odpisach dokumentów, gdyby pracy jego nie były poprzedziły owe historyczne czasopisma, wydawane przez Archiwa lub towarzystwa naukowe. O znaczeniu tych towarzystw dla nauki pomówimy jeszcze innym razem, omawiając wydawnictwa trzech nam najbliższych, t. j. pruskiego, poznańskiego i szląskiego, obecnie zwracamy tylko uwagę, że dopóki szersze warstwy naszego społeczeństwa nie zainteresują się ruchem historycznym i nie użyczą mu swego poparcia, jak to zachodzi w Niemczech i Francyi, dopóty prawdziwa historyografia nie rozwinie się u nas na większą skalę. Wyjdzie jedno lub drugie dzieło wydane kosztem Akademii lub jakiego mecenasa, pojawiać się będą wydawnictwa mało czytane, a nawet i niebardzo komu znane, ale literatury historycznéj, niezależnéj od zapomóg publicznych lub prywatnych nie będzie. Ta zaś rozwinie się nie prędzéj, aż za wzorem naszych zachodnich sąsiadów będzie mieszczanin krakowski z równą gorliwością, jeżeli już nie czytał w całości, to przynajmniéj prenumerował czasopismo przyszłego Towarzystwa historycznego krakowskiego, z jaką popierają usiłowania swych uczonych wrocławscy, niemiecko-poznańscy i królewieccy kupcy i kramarze.

B. U.

Emil Kałużniacki. Die polnische Recension der Magdeburger Urtheile und die einschlägigen deutschen, lateinischen u. czechischen Sammlungen. Wien 1885, str. 217.

Stosunek naszych „Ortylów magdeburskich“ do odpowiednich zbiorów niemieckich, jakotéż łacińskich od niedawna dopiero zajmuje nasz świat uczony. Po starszych bowiem badaczach, jak Wiszniewski i Maciejowski, którzy obracali się pod tym względem więcéj

w dziedzinie hipotez, dopiero profesorowie M. Bobrzyński i A. Brückner skierowali rzecz całą na drogę nauki ścisłéj. Pierwszy uczynił to w krótkim wstępie do przedruku homograficznego tekstu łacińskiego, znajdującego się w bibliotece kórnickiéj p. t. „Ortyle magdeburskie“ (Poznań 1876), drugi zaś w czasopiśmie berlińskiém „Archiv für slavische Philologie“ VI, 319—392; VII, 525—574 p. t. Die „Magdeburger Urtheile“, gdzie obok strony prawniczéj i historyczno literackiéj po raz pierwszy uwzględniona jest także dokładniéj strona językowa ortylów. Obecnie podjął się téj kwestyi jeszcze raz prof. Kałużniacki, i to głównie ze względu na jéj stronę historyczno-literacką.

Nader obszerna jego praca, któréj tytuł podajemy u góry, mieści się w tomie CXI sprawozdań (Sitzungsberichte) wydziału historyczno-filozoficznego wiedeńskiéj Akademii Um. W pierwszym rozdziale wylicza autor i opisuje siedem rękopisów, zawierających *tekst polski* ortylów, a mianowicie: rękopis Ossolińskich, przemyski, skalski, krakowski, stradomski, Muczkowskiego i wileński. W drugim zastanawia się nad stosunkiem wzajemnym tych tekstów i porównawszy szczegółowo pięć rękopisów, przychodzi do przekonania, że pomimo licznych, mniéj lub więcéj ważnych waryantów, wszystkie te teksty stanowią *jednę recenzyą*, pod względem treści i formy zupełnie jednolitą. Nadmienić jednak należy, że rękopis Muczkowskiego i wileński zna autor tylko z tego, co o nich podali Lelewel, Rzesiński i Wiszniewski. — Najstarszą formę recenzyi polskiéj, która musiała być dziełem jednéj osoby, reprezentuje rękopis Ossolińskich jakoteż przemyski, podczas gdy inne teksty wykazują większe lub mniejsze modyfikacye. O ile dotychczas wiadomo, polski tekst ortylów magdeburskich jest przekładem *z niemieckiego*, dokonanym na żądanie Mikołaja Gołogórskiego, podczaszego lwowskiego około połowy wieku XV. Dlatego zestawia p. K. w trzecim rozdziale swéj pracy nasze teksty z *niemieckiemi*, a zwłaszcza z pilźnieńskim, krakowskim, drezdeńskim, toruńskim, i dwoma nieznanemi dotyczas, z których jeden — tekst Torosiewicza — jest obecnie własnością biblioteki Ossolińskich, drugi zaś—sanocki — znajduje się w lwowskiém archiwum krajowém. Te dwa teksty niemieckie są zdaniem jego najbliższe recenzyi polskiéj, tak, że z nią razem reprezentują one drugą odmianę *pierwszéj* redakcyi niemieckiéj. Przedstawicielem drugiéj redakcyi niemieckiéj jest rękopis drezdeński, trzeciéj toruński, czwartéj berliński i gdański. Daléj zastanawia się p. K. nad stosunkiem polskich tekstów do *łacińskich*, a mianowicie do dwu opatowskich, lwowskiego, do tekstu Działyńskiego, i dwu dotąd nieznanych przemyskich. Teksty te są dwojakiego rodzaju: jeden jest tylko wycią-

giem, drugi zaś może obok czterech redakcyi niemieckich stanowić piątą redakcyą ortylów magdeburskich. Tutaj należy tekst Działyńskiego jakotéż przemyski II.

Następnie zwraca uwagę autor — czego nikt dotąd nie czynił— na teksty *czeskie* ortylów i porównawszy tekst polski podług rękopisu Ossolińskich z czeskim tekstem wiedeńskim, przychodzi do przekonania, że stosunek ich pokrewieństwa nie jest bezpośredni. W czeskim tekście jest niekiedy odmienny porządek artykułów, niektórych brak a inne są nowe, zresztą jednakże w wyrażeniach jest pewna zgoda z tekstem polskim. Tłómaczy to autor w ten sposób, że przekład czeski polega na jakimś tekście, który wyszedł po większéj części z tego samego materyału, co pierwowzór recenzyi polskiéj. A ponieważ tekst czeski najbardziéj się zgadza z niemieckim drezdeńskim, przypuszcza, że polega on na *drugiéj* redakcyi niemieckiéj.

Z tego wszystkiego wynika, że przy wydaniu krytyczném polskich „Ortylów magdeburskich" potrzeba uwzględnić prócz polskich przedewszystkiém teksty niemieckie pierwszéj i drugiéj redakcyi, to jest Torosiewicza, sanocki, pilźnieński, krakowski i drezdeński, jakotéż opracowanie czeskie, w dalszéj zaś linii, a zwłaszcza w miejscach wątpliwszych trzeba się radzić reszty tekstów niemieckich jakotéż łacińskich.

W zakończeniu streszcza p. K. rezultat swych badań i podaje nową klasyfikacyą wszystkich dotychczas znanych tekstów, odmienną od téj, jaką podał Bobrzyński. W klasyfikacyi téj znaczną grają rolę listy przysięgłych (Schöffenbriefe), które powstały na zapytania z Krakowa lub z Wrocławia. Wobec wybornéj pracy Brücknera zaniechał p. K. zająć się stroną językową ortylów i zrobił bardzo dobrze. Poprzestając więc na wzmiance niniejszéj, polecamy tę staranną i nader mozolną pracę uwadze naszych historyków literatury jakotéż prawników.

Wiedeń 5 kwietnia 1886. *Jan Hanusz.*

= Najobszerniejszy zabytek języka polskiego z wieku XIV-go, p. t. **Psałterz floryjański** w ostatnich czasach doczekał się i należytego wydania krytycznego i naukowego opracowania. Wzorowe wydanie całkowitego pomnika przygotował i ogłosił prof. *Wł. Nehring* w r. 1883 w Poznaniu, opatrzywszy tekst licznemi uwagami i pożądanym na końcu dzieła słownikiem wyrazów dawnych, w tekście użytych. Jednocześnie prawie pracę nad językiem Psałterza flor. wykonał dr. *Leciejewski*, obecnie docent językoznawstwa słowiańskiego w uniwersytecie wiedeńskim. Pod ogólnym tytułem

Die Sprache des polnischen Theils des Florianer Psalters drukował ją autor w czasopiśmie „Archiv für slavische Philologie“ *Jagića* w znacznych odstępach czasu. Część 1 sza (rozprawa na stopień doktora fil.), zawierająca opracowanie głosowni (I, Lautlehre), wyszła w roku 1882 w tomie VI Arch. (str. 495—548). W tym systematycznie przedstawionym obrazie spotykamy wszystkie niemal właściwości polszczyzny wieku XIV-go i wcześniejszéj. Roztrząsania i wywody autora są wogóle ściśle naukowe; niektórych wszakże jego mniemań za niewątpliwe przyjmować nie można. Tak np. mówi autor, że nasze *rz* (ř) w języku wieku XIV miało brzmienie *rż* (str. 541), gdy tymczasem sposób pisania *rsz* (otworszycze, w morszu...), na którym to mniemanie opiera, wobec znanéj niedokładności i niekonsekwencyi ówczesnéj pisowni, jest do podobnego wniosku zupełnie niewystarczającym. Wartość fonetyczna znaków *rsz* nie była odmienną od dzisiejszego i ówczesnego *rz* (=ř).—Część 2-ga pracy, przeznaczona wykładowi form języka psałterza (II, Formenlehre), ogłoszona była w r. 1884 w tomie VII Archivu str. 74—95) i 1885 (str. 256—274). W części téj zajmuje się autor tylko formami słów, znajdujących się w psałterzu (74—95) i ich konjugacyją (256—274); pominął zaś formy deklinacyjne, gdyż pracę taką poprzednio ogłosił dr. *Jan Hanusz* w dziele: „Materyjały do historyi form deklinacyjnych w języku staropolskim. Wiek XIV i XV),“ w Krakowie 1880 r. Pominął też dr. Leciejewski i naukę o tematach, ze względu, że odnośny materyał znajduje się zgromadzony i abecadłowo uporządkowany w poprzednich pracach Nehringa, a m. w słowniku, umieszczonym przy wydaniu Psałterza flor. z r. 1883, tudzież w dawniejszéj monografii „Iter florianense O psałterzu floryjańskim“ z r. 1871.—Całe studyum d-ra Leciejewskiego jest pracą pouczającą i przy badaniu dziejów polszczyzny wartości niepowszedniéj.

= **Wstąpienie na tron polski Kazimierza Jagiellończyka**, *przez D-ra Anatola Lewickiego. Kraków 1885.* Krótka ta, ale bogata co do treści rozprawka wyjaśnia na podstawie nowo odkrytych materyałów archiwalnych układy pomiędzy Polską a Litwą o Podole i Wołyń w chwili powołania Kazimierza Jagiellończyka na tron polski. Autor znalazł w Bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie nieznany dotąd dokument spisany prawdopodobnie na zjeździe panów litewskich i polskich w Brześciu i Parczowie z r. 1446, w którym ze strony Polski odstąpiono Litwie Wołyń i Podole. O fakcie tym zupełnie dotąd nie wiedzieliśmy, owszem, na podstawie opowiadania Długosza przypuszczaliśmy, że kwestya o sporne kraje nie została na tymże zjeździe stanowczo załatwiona, że Litwa, która przez dwa lata występowała z ciągłemi pretensyami o stanowczą inkorporacyą

obu tych krajów, na tymże zjeździe ostatecznie ustąpiła, zadowalniając się ogólnikowém, nic nie znaczącém przyrzeczeniem ze strony Kazimierza Jagiellończyka, że sprawę tę będzie się starał odpowiednio załatwić. Odkrycie d-ra Lewickiego, stawia kwestyą w zupełnie nowém świetle; gdy dawniéj dalszy spór Litwy z Polską o Wołyń i Podole trwający aż do unii lubelskiéj uważaliśmy tylko za kontynuacyą niezałatwionéj poprzednio sprawy, to obecnie przedstawić się on musi jako walka o spełnienie zawartego traktatu, który ze strony Polski nie został wykonany. Takie pojmowanie rzeczy tłómaczy wiele dotąd ciemnych i niewyjaśnionych wypadków z najbliższych lat po wstąpieniu Kazimierza Jagiellończyka na tron polski, zwłaszcza zaś opór króla w zatwierdzeniu przywilejów państwa, z któremi łączono także kwestyą Wołynia i Podola. Rozprawka d-ra Lewickiego prostuje i uzupełnia nadto jeszcze kilka innych szczegółów i to znowu na podstawie nowo odnalezionego materyału archiwalnego. Wykazuje mianowicie autor, że na wspomnianym zjeździe brzesko-parczowskim delegaci polscy mieli zupełne pełnomocnictwo do traktowania z Litwinami, nie zaś, jak dotąd na podstawie Długosza przypuszczaliśmy, że działali bez pełnomocnictwa. W końcu wyjaśnia on, że w chwili rokowań o powołanie Kazimierza na tron polski stosunek między Koroną a Litwą zaostrzył się bardzo znacznie, że mianowicie Litwa robiła wtedy starania o związek z Zakonem krzyżackim celem zapewnienia sobie skutecznéj pomocy na wypadek wojny z Polską.

= **Čelakovsky J. Codex iuris municipalis regni Bohemiae.** *Tomus I: Privilegia civitatum Pragensium. Sbírka pramenu práva městského království Českého. Díl I. Privilegie měst Pražských. Praga 1886. 8⁰. CLXVI. 811.* — Niniejszy tom rozpoczyna wydawnictwo na szerokie zakrojone rozmiary, mające objąć wszystkie zabytki prawa miejskiego obowiązującego niegdyś w Czechach (w ścisłém tego słowa znaczeniu, z wyłączeniem Morawii). Według programu, który wydawca przedkłada, objąć ma: tom 2 przywileje innych miast królewskich, tom 3 przywileje miast kameralnych, tom 4 przywileje miast poddańczych, tom 5 statuta i układy gmin praskich tom 6 takież statuta innych miast, tom 7 ortyle sądu wyższego Starego Miasta praskiego, tom 8 ortyle wyższego sądu magdeburskiego i litomierzyckiego, tom 9 ortyle innych sądów wyższych, tom 10 przywileje i ważniejsze dokumenta cechów praskich, tom 11 takież materyały odnoszące się do historyi cechów innych miast, tom 12 księgi prawne miejskie, które w Czechach miały zastosowanie, tom 13 ważniejsze ustawy i rozporządzenia panujących i wyższych władz, tudzież orzeczenia sądów w sprawach miejskich, tom 14 pomieścić ma wreszcie

rozmaite materyały, które poprzedniemi tomami objąć się nie dały.— Tom pierwszy, który mamy przed sobą, obejmuje przywileje wydane dla rozmaitych części dzisiejszéj Pragi, mianowicie zaś dla Starego i Nowego Miasta, dla t. z. Mala Strana (Kleinseite) i dla Hradczan. Wydawca uwzględnia tu nie tylko materyały średniowieczne, jak to się zwykło dziać w innych tego rodzaju publikacyach, ale prowadzi je aż do czasów najnowszych. Badania nad dziejami Pragi znajdą tu cenne źródła do zużytkowania. Nadto podaje wydawca jeszcze we wstępnym niejako oddziale pierwszego tomu przywileje, dotyczące *wszystkich* miast czeskich. Materyał do wydawnictwa tego tomu zaczerpnął on przeważnie z archiwów miejskich mianowicie zaś archiwum miejskiego w Pradze, gdzie jednak dokumenta w znacznéj części zachowały się tylko w kopiach lub późniéjszych zatwierdzeniach; pierwotne oryginały poginęły w znacznéj części już to zniszczone czasem już téż wśród rozmaitych ciężkich przejść, jakim Praga w ciągu dziejów podlegała. Restytucya tekstu pierwotnego sprawiała tedy niejednę trudność, z któréj wydawca wywiązał się szczęśliwie, jak wogóle całe wydawnictwo odznacza się znajomością najnowszych zasad metody i krytyki. Dokumenta pisane w języku łacińskim i niemieckim drukuje Čelakovsky całkiem wiernie według zachowanych źródeł; natomiast czeskie, pochodzące przeważnie z czasów późniejszych podane są częstokroć w transkrypcyi. We wstępie do wydawnictwa, obejmującym sto kilkadziesiąt stron, zasługuje na uwagę historya uprzywilejowania wspomnianych poprzednio części składowych Pragi, gruntownie i umiejętnie napisana, w której autor wypowiada zarazem nowe a nader ważne spostrzeżenia o czasie powstania najdawniejszych przywilejów praskich.

= **Eliza Orzeszkowa**. *Powieści wiejskie.* **Niziny** (*z ilustracyami E. M. Andriollego. Warsz. 1886 str. 220*). Głębokie odczucie nieszczęść i cierpień ludu w połączeniu z dokładną znajomością obyczajów, zwyczajów, wyobrażeń i nawyknień wiejskich na Białorusi, jak niemniéj z wielkim talentem pisarskim złożyły się na utworzenie książki pięknéj i głęboko wzruszającéj, którą nas obdarzyła znakomita autorka. Znaliśmy trochę Białoruś etnograficznie, znaliśmy ją w „fantastycznych obrazach“ Barszczewskiego, teraz mamy sposobność przypatrzenia się jéj zblizka w życiu codziennném, z realnéj strony pochwyconém i świetnie oddaném. Rzecz to znana, że p. Orzeszkowa umie dobrze patrzéć oraz silnie wrażenia swoje malować; w odwzorowaniu objawów życia zachowuje przedmiotowość o tyle, że własnemi uwagami i wskazówkami nie chce narzucać swego zdania o ludziach i wypadkach opisywanych, ale pragnie, żeby same te wy-

padki i sami ci ludzie przemawiali za siebie. Powtóre przedmiotowość ta polega na tém, iż autorka nie naciąga osnowy zdarzeń i charakterów ludzkich do zgóry powziętego założenia, ale artystycznėm odtworzeniem ich z całą wiernością wywołuje w czytelnikach zamierzone wrażenie. Oczywiście autorka nie może się pozbyć swego usposobienia i pozbyć się go nie potrzebuje; ono bowiem nadaje właściwą, oryginalną fizyonomią jéj utworom. Satyrycznie nastrojoną względem objawów życia ujemnych, głęboko uczuciową jest względem biednych i uciskanych. Stąd w przedstawieniu ludzi, których lekceważy lub którymi pogardza przebija się bardzo często ironia prowadząca niekiedy aż do przeciągnięcia pewnych rysów w karykaturę; w przedstawieniu zaś osób sympatycznych wielkie staranie o to, ażeby ich ani na chwilę nawet nie uczynić śmiesznemi. P. Orzeszkowa nie fałszuje jednak natury w skutek takiego usposobienia; nie podaje ani jednego rysu, któregoby w danym charakterze być nie mogło, owszem nie pomija takich, które uwydatniają np. brak rozgarnięcia, a nawet głupotę i zaślepienie osób przez nią spółczuciem otoczonych; ale posiadając w talencie swym doskonałą miarę tego, co bez szkody dla artyzmu powiedziéć a co zamilczeć wypada, takiemi okolicznościami i w takiém oświetleniu owe wady i usterki ukochanych maluje, iż one świadcząc o realistycznym sposobie odtwarzania objawów życia, równocześnie budzą w sercu czytelnika szeregi uczuć poważnych i głębokich, które nie dozwalają patrzéć z góry i lekceważąco na cierpienia biednych a ciemnych ludzi. Przejmując się sposobem wyrażania swych uczuć przez lud, autorka zachowuje go nie tylko w mowach i rozmowach samego ludu, ale i w tych ustępach, gdzie wprost opowiada tylko; wówczas opowiadanie, jako mowa uboczna, przemienia się w przeciągły lament, z wyobrażeń i uczuć w formie ludowéj wysnuty. Oto ta matka—dziewka, będąca główną w „Nizinach“ osobą, żyjąca tylko dla dwu synów swoich, dla téj miłości macierzyńskiéj znosząca wszystko z wytrwaniem niemal nadludzkiém, wyobraża sobie nieszczęście, jakie ma spotkać jednego z nich, Pilipka wziętego w rekruty. Wyobrażenia te są jéj poddane przez wysłużonego żołnierza, dobrego człowieka w gruncie, ale utrzymującego rodzinę głównie z wyzyskiwania włościan do spółki z pokątnym doradcą. Kobieta nie zna tego świata, w który ma pójść Pilip, lecz słowa przez żołnierza wyrzeczone wpadłszy do jéj wyobraźni, pod wpływem silnego uczucia przetwarzają się na szereg obrazów okropnych: „A on idzie szerokim światem, cudzym światem, idzie sołdacik młody, bladzieńki i jak topola smukły, z oczyma do kwiatów lnu podobnémi... Trąba go woła a on idzie... Ojca nie znał, ale na matkę ogląda się i mówi:

„Nie ratowaliście mnie, mamo, oj nie ratowaliście mnie sieroty, ojca nieznającego! A ot i wrony i kruki czarne chmurą zawiesiły się nad mogiłką daleką, nad mogiłką żółtą, bez krzyżyka i trawki. Zawiesiły się chmurą wielką wrony i kruki czarne nad mogiłką bladzieńkiego chłopca, sołdacika młodego, i kraczą, kraczą, kraczą. A trąba żołnierska gra i gra, gra i gra... do matczynego serca ona gra... „Oj przemień się ty, matko, w kruka albo wronę i leć na skraj świata, nad mogiłką syna swego zakrakać: Wieczne odpocznienie!..“ (str. 162, 163). Sytuacya jest w wysokim stopniu wzruszająca a słowa pełne poezyi; zrobiłbym tylko uwagę, że przez nadużycie takiéj formy może się wyrodzić nowy rodzaj sentymentalności. Wypadłoby chyba zachowywać ton i formę ludową w tém, co osoby z ludu mówią; w streszczeniu zaś ich opowiadania przez autora lepiéj podobno zachować więcéj właściwości autorskich. — O rysunku i plastyce charakterów nie potrzebuję się tu rozszerzać; czytelnicy *Ateneum* poznać mogli zalety twórcze Orzeszkowéj z niedawno drukowanéj powieści „Dziurdziowie“ wziętéj równie jak „Niziny“ z życia ludowego na Białorusi. Oprócz postaci ludowych, Krystyny, Mikołaja i innych wyborną osobą jest pokątny doradca, uchodzący wśród ludu ze sławnego i wpływowego „hadwokata“, Kaprowski, pasorzyt żyjący potem biednych wieśniaków, których zapośrednictwem ekszołnierza Mikołaja wyzyskuje pobudzając do procesów, obiecując uwolnienie od wojska itp. Dobry téż obrazek przedstawia rodzina ekonomska Bahrewiczów, z których sam ekonom uwiódł niegdyś Krystynę, a potém dostał się pod ciężkie i dotkliwe jarzmo żony, kobiety ordynarnéj ale wysoko o swoim rodzie trzymającéj. Pożycie małżonków, romans Kaprowskiego z córką ich Karolką, stosunki rodzinne nadzwyczaj prawdziwie i plastycznie odmalowane.

= **Objaśnienie działalności politycznych Adama Mickiewicza w r. 1848**, *skreślił Karol Rogawski* (*Lwów, nakł. wydawcy, 1886, str. 22*). Kiedy w listopadzie 1848 r. Ludwik Nabielak i Karol Rogawski wybierali się z Paryża do Galicyi, ażeby uczestniczyć w ówczesnych wypadkach, Mickiewicz myślą zjednoczenia Słowiańszczyzny zajęty dał im list do Wacława Hanki, wyrażając nadzieję, że oddawcy takież zbudzą w patryocie czeskim zaufanie, jakie posiadali u niego samego. „Służymy razem sprawie narodowéj—pisał do Hanki—która teraz większy zakres obejmując, staje się sprawą wszystkich współ-słowian, powołanych do jednego dzieła wolą bożą. O wypadkach, których już dożyliśmy i które nas jeszcze czekają, porozumiewajmy się i zasilajmy siebie bratnią radą.“ Gdy Nabielak i Rogawski przyjechali do Drezna, 19 listopada, było to już po wzięciu oblężanego poprzednio przez ks. Windischgrätza Wiednia, po ogłoszeniu

wszędzie stanu oblężenia, wśród ząciętéj reakcyi politycznéj i zupełnie zmienionego położenia rzeczy w całéj Austryi. Rozpatrzywszy się tedy dokładnie w stosunkach owoczesnych, zaniechali zamierzonéj podróży do Pragi w celu porozumienia się z Hanką, a list Mickiewicza pozostał w ręku Rogawskiego. List ten złożony przezeń w bibliotece Akademii umiejętniości w Krakowie, obecnie znajduje się już wydrukowany w 4-tym tomie korespondencyi Mickiewicza (Paryż, 1885, str. 134, 135). P. Rogawski objaśnia jego znaczenie przytoczeniem myśli Mickiewicza o legionach, powołaniem się na odczyty o literaturze w kolegium francuskiém, na zdania Cavoura. „Ku końcowi m. października 1848 — powiada—legion polski w Piemoncie, kołatany ludzkiemi niesnaskami zwolna marnieje, ale myśl epoki czynu w owych czasach tkwi, może i potężnieje w duszy i silnéj Mickiewicza woli. Ruchliwość i rzutkość myśli jego, w różnych kierunkach do jednego dążących celu, nie dają mu spoczynku. Ogólny ruch umysłów w zachodniéj Słowiańszczyźnie pod on czas, Jelaczyc stojący pod Wiedniem jako słowiański bohater dnia: oto prawdziwy klucz do zrozumienia chęci zawiązania ścisłych politycznych stosunków z Czechami i do napisania polecającego listu do Hanki z datą 7 listopada 1848 r.“ Przyszłość Austryi upatrywał Mickiewicz podobnie jak Cavour, zdaniem p. R., w jéj zesłowiańszczeniu; a dla swego narodu szukał oparcia na zachodniéj słowiańszczyźnie, szczególniéj zaś na zbrataniu się z Czechami. Wyprzedził on tylko, jak powiada p. Rogawski „chwilę swojego czasu, będącą dopiero teraz w początku politycznéj akcyi.“ Takie są główne myśli téj interesującéj broszury.

= **Projekt nowego opracowania „Pana Tadeusza“** *napisal Antoni Bądzkiewicz* (*Lwów 1886, str. 15, odbitka z „Muzeum“*).—Ze względu na nadzwyczajną ważność formy w utworach piękna, ze względu na znaczenie języka w sprawie odtworzenia sobie cywilizacyjnego obrazu narodu, autor proponuje wszechstronne opracowanie „Pana Tadeusza“ pod względem gramatycznym, stylistycznym, wierszopisarskim i leksykalnym. P. Bądzkiewicz w 11-stu punktach wymienia szczegółowo, jakieby kwestye w takiém opracowaniu podjęte i rozpatrywane być mogły. To rozdrobnienie kategoryi może być pożyteczném w praktyce, zwraca bowiem uwagę na pytania, które przy bardziéj ogólnikowém przedstawieniu zadania mogłyby być pominięte; w teoryi jednak potrzebny jest rozkład pracy ścisły. Pozwalamy więc sobie punkta przez autora podane zredukować do 4 głównych: 1° *Kwestye gramatyczne*. Jakie są w „Panu Tadeuszu“ formy przestarzałe lub wogóle odstępujące od ogólnie przyjętego literackiego języka czy to we fleksyi, czy w urabianiu wyrazów (etymolo-

gii), czy w składni. Układ zdań; budowa okresów i mowy ucinkowéj; układ mowy dyalogicznéj; określenie wad i zalet tych trzech sposobów powiązania myśli; uwagi o rządzie i szyku wyrazów w zdaniach. 2° *Kwestye stylistyczne.* Stosunek biegu myśli do toku mowy; akcentowanie logiczne i harmonia stylu wogólności; ozdobność mowy i jéj stosunek do zwykłego sposobu wyrażania się; wyszczególnienie wszystkich używanych w „Panu Tadeuszu“ postaci i przenośni, wraz z objaśnieniem porównawczém tychże ozdób w innych utworach Mickiewicza, a głównie z uwzględnieniem wpływu zarówno grecko-łacińskiéj jak i wschodniéj ornamentyki języka. Wykaz wydatniejszych, zwłaszcza oryginalnych zwrotów mowy czyli frazeologii. 3° *Kwestye wierszopisarskie.* Budowa wiersza i liczne odstąpienia od jej poprawności z wyjaśnieniem powodów, dla których były robione; budowa rymów; rytmika. 4° *Kwestye leksykalne* są przez p. Bądzkiewicza najszczegółowiéj przedstawione; widocznie pierwsza myśl opracowania „Pana Tadeusza“ ze strony formalnéj zrodziła się z rozmyślania nad zasobem wyrazów w nim użytych. Proponuje więc autor ułożenie dokładnego słownika wyrazów zawartych w „Panu Tadeuszu“ z uwzględnianiem pytań, ile Mickiewicz użył: *a*) wyrazów swojskich, a ile cudzoziemskich i z jakich mianowicie języków; *b)* jakiemi przeważnie wyrazami lubił się posiłkować, czy pierwotne, czy pochodne przeważają, jakie miejsce zajmują wyrazy zgrubiałe a zwłaszcza zdrobniałe; *c*) jakie prowincyonalizmy wprowadził; *d*) jakie wyrazy „nowotne“ utworzył, a jakie stare (archaiczne) wskrzesić się starał; *e*) jakie synonimy i homonimy u niego znajdujemy. — Wszystkie powyższe kwestye mają być roztrząsane i objaśnione jak można najwszechstronniéj; gdzie potrzeba zapytać się mitologii, etnografii, historyi, ma się w naukach tych szukać odpowiednich wskazówek. Uwagi p. Bądzkiewicza uważamy za trafne, a projekt jego za zasługujący na urzeczywistnienie i na gorące poparcie; sądzimy tylko, że ażeby wynik pracy był naprawdę owocny, potrzeba koniecznie zastosować metodę porównawczą. Wykaz czy to wyrazów, czy to zwrotów mowy znajdujących się w „Panu Tadeuszu“ będzie niewątpliwie ciekawy sam przez się, ale nauczającym wówczas się stanie naprawdę, gdy obok niego postawimy podobny wykaz ze wszystkich utworów Mickiewicza poprzedzających „Pana Tadeusza“, albo téż odpowiedni wykaz z pewnéj grupy utworów Słowackiego; w pierwszym razie poznamy stosunek dawniejszéj do późniejszéj twórczości naszego wieszcza, w drugim razie stosunek twórczości dwu poetów tak od siebie różnych. Wnioski z takiego zestawienia będą mogły być szersze aniżeli z prostego inwentarza. Praca jest większa, ale obiecuje żniwo obfitsze.

= **Konstancya Skirmuntt. Dzieje Litwy** *opowiedziane w zarysie, z 3-ma mapami. (Kraków, w księgarni G. Gebethnera i S-ki. 1886, str. VII, 151).* — Jest-to książka do nauki dla młodzieży; wymagania więc względem niéj powinny być natury pedagogicznéj. Autorka zna obecny stan badań nad przeszłością Litwy i umie z obrobionego już materyału dość dobrze korzystać, pisze jasno, daje rozkład rzeczy przejrzysty, prawie zawsze mówi przystępnie dla umysłów młodocianych. Przedstawiwszy położenie geograficzne, pochodzenie narodu, mowę, sposób życia, mitologią i wyliczywszy plemiona sąsiednie, rozpatruje dzieje Litwy w 4 okresach, z których pierwszy obejmuje „czasy najdawniejsze do wstąpienia na tron Mendoga“, drugi—czas „Litwy wzrastającéj“ od Mendoga do Gedymina, trzeci—czas „Litwy podbijającéj od Gedymina do przyjęcia wiary chrześciańskiéj przez Jagiełłę, czwarty wreszcie opowiada o Litwie w połączeniu z Polską od Jagiełły do śmierci Zygmunta Augusta. Przy końcu książki podane są: „Pytania z historyi litewskiéj“, „chronologia wielkich książąt litewskich“, „Geografia dawnéj Litwy.“ Trzy mapy, zastosowane do materyału zawartego w książce, bardzo dobrą stanowią pomoc przy nauce. Niektóre szczegóły, mianowicie z historyi wewnętrznéj powinnyby były zostać objaśnione; wzmianka o Zniczu, że go „późniéj“ tak nazwano nie jest wyraźna; potrzeba to było trochę dokładniéj przedstawić; w mitologii wogóle znajdą niewątpliwie usterki lingwiści; ale ogół podręcznika przedstawia się dobrze i na polecenie publiczności zasługuje.

= **Die italienischen Künstler der Renaissance in Krakau.** Pod tym tytułem p. Maryan Sokołowski, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, napisał w roku zeszłym bardzo zajmującą rozprawę, drukowaną w sztutgarckiém „Repertorium für Kunstwissenschaft“, w któréj skupił i umiejętnie ugrupował źródłowe wiadomości o pierwszych przejawach „odrodzenia“ w dziedzinie sztuki na ziemi naszéj i o dalszym tego ruchu rozwoju. Praca ta zwróciła na się uwagę specyalistów na zachodzie, a „Gazette des Beaux-Arts, Courrier Européen de l'Art et de la Curiosité“, w zeszycie grudniowym r. z. (T. XXXII, 342 livraison) podała ją w tłómaczoném streszczeniu. Takie uznanie ze strony głównego dziś organu sztuki francuskiéj jest najwymowniejszą dla naszego autora pochwałą, Francuzi bowiem położyli niemałe zasługi na polu dziejów sztuki i estetyki, a gust artystyczny rzadko ich kiedy zawodzi. Inaczéj jednak jest z geografią. Lubo słynny geograf E. Réclus pisze po francusku, ziemioznawstwo mało ma powodzenia nad Sekwaną; nie bardzo się téż dziwimy, że streszczenie pracy mówiącéj o Polsce, a w szczególności o Krakowie, nosi zabawny napis: „Le mouvement des arts en Allemagne.“ W ten

sposób „Gazette des Beaux-Arts“ usprawiedliwiła swój tytuł kuryera nietylko sztuki, ale i... kuryozów.

= P. Ad. Patera w jednym z rękopisów biblioteki kapitulnéj u św. Wita w Pradze znalazł **starodawną pieśń polską** „Przez twe świante zmartwychwstanie“, znaną z kancyonału Przeworszczyka, ale z pewnemi odmiankami. Obecnie p. K. Konràd podaje w „Slovanskym Sborniku“ (zeszyt z kwietnia r. b.) obszerniejszą o téj pieśni wiadomość, załączając nuty w transkrypcyi dzisiejszéj. Pismo pochodzi z wieku XV, ale ortografia pozwala przypuszczać, że jest to kopia z oryginału, który do XIV wieku odnieść można. Byłoby pożądanem, żeby „Echo muzyczne“, jako organ specyalny, któremu dzieje naszéj muzyki nie są obojętne, upowszechniło w przekładzie zajmujący artykuł pana Konràda.

= Wyszedł z druku zeszyt 76 **„Słownika geograficznego“** zawierający z większych artykułów: *Nowochwastów*, *Nowogród* (wołyński, siewierski, wielki), *Nowoserbia*, *Nowosiołki*, *Nowydwór*, *Nowy Targ*, *Nur*, *Obczyna*.

NEKROLOGIA.

† **Błotnicki Hipolit,** rodem z Litwy, guwerner Juliusza Słowackiego, znany około roku 1820 w Wilnie wierszopis pomieszczający utwory swoje w „Dzienniku“ i „Tygodniku Wileńskim“; późniéj występował jako tłómacz powieści (Goldsmitha, Klaurena); w r. 1831 wydalił się do Francyi; podobno przetłómaczył historyą Herodota. Umarł w początkach miesiąca marca r. b.

† **Kazimierz Stadnicki,** urodzony r. 1818, umarł w początkach kwietnia r. b. we Lwowie. Uniwersyteckie wykształcenie odebrał w Wiedniu, gdzie otrzymał stopień naukowy doktora obojga praw. Oddał się następnie studyom historycznym i ogłosił szereg nader cennych dzieł, a mianowicie: „Piasty“ (Paryż 1842), „Synowie Gedymina“ (Lwów, 1849—53, dwa tomy; drugie wydanie w Krakowie 1875—1881), „Bracia Władysława Jagiełły Olgierdowicza“ (Lwów, 1867); nadto kilka opracowań heraldycznych dotyczących swego rodu („Rodowody domu Stadnickich herbu Szreniawa“) i t. p.

† **Adam Rogalewicz,** nauczyciel gimnazyalny, zmarł w końcu kwietnia r. b. w Warszawie. Ułożył „Przewodnik dla garbarzy“ 1862, Warsz., stanowiący jeden z tomów „Biblioteki rzemieślnika polskiego“, wydawanéj przez ks. Tadeusza Lubomirskiego.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

CESARSKI WARSZAWSKI UNIWERSYTET.

WARUNKI
OGŁOSZENIA KONKURSU
I PRZYZNANIA NAGRODY
Imienia Adama Chojnackiego,
za dzieła z zakresu medycyny naukowéj i popularnej.

§ 1. Kapitał żelazny nagrody A. Chojnackiego, wynoszący 9,000 rs., zostaje w rozporządzeniu Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu.

§ 2. Nagroda A. Chojnackiego w ilości 900 rs., powstała z dwuletniego procentu od kapitału, przyznaje się co dwa lata: w pierwszém dwuleciu za najlepsze dzieło z zakresu medycyny lub chirurgii, ściśle naukowe. któreby się przyczyniało do rozwoju nauki, w następném zaś dwuleciu za najlepsze dzieło téjże treści, przystępne dla ogółu (popularne).

§ 3. Na konkurs przyjmują się tylko oryginalne dzieła, rękopiśmienne lub drukowane. Z dzieł drukowanych będą przyjęte tylko te, które zostały wydane w przeciągu każdego czteroletniego peryodu konkursowego. Dzieła powinny być pisane w języku rosyjskim. Dzieła, przedstawiane w rękopisie, powinny być pisane wyraźnie i czysto.

§ 4. O nagrodę mogą się ubiegać tylko rosyjscy poddani. Nagroda nie może być w żadnym razie podzieloną między autorów dwóch lub kilku dzieł.

§ 5. W razie, jeżeli żadne z dzieł, przedstawionych na konkurs, nie będzie uwieńczone nagrodą, takowa zostanie przelaną do funduszu stypendyalnego.

§ 6. Rzeczywiści członkowie fakultetu medycznego Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu nie mają prawa ubiegania się o nagrodę. Nagroda może być wypłacona tylko autorowi lub jego prawnym spadkobiercom, w żadnym zaś razie wydawcy nagrodzonego dzieła.

§ 7. Termin nadsyłania dzieł na konkurs zaczyna się 1 Kwietnia 1886 roku. Przysądzenie zaś nagrody odbywać się będzie w roku 1888 i następnie w 1890, 1892 i t. d. Pierwsza nagroda przyznaną będzie dziełu ściśle naukowemu, następnie zaś dziełu popularnemu i t. d. po kolei.

§ 8. Dzieła, ubiegające się o nagrodę, powinny być nadsyłane do fakultetu medycznego Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu nie później niż 1-go Kwietnia tego roku, w którym nagroda ma być przyznana.

§ 9. Nagrodę przyznaje fakultet medyczny Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu, wybierając w tym celu ze swego łona komisyą dla oceny dzieł nadesłanych na konkurs. Oprócz tego fakultet medyczny stosownie do woli testatora, zaprasza do udziału w komisyi trzech znanych z nauki wolnopraktykujących lekarzy.

§ 10. Komisya do oceny dzieł nadesłanych na konkurs nie jest stałą, lecz za każdym poszczególnym razem wybieraną będzie przez fakultet.

§ 11. Zaproszeni nadzwyczajni członkowie korzystając z praw zwyczajnych członków komisyi, jednakże prezydującym w komisyi może być tylko członek fakultetu medycznego. Prezydujący wybiera się w pełném posiedzeniu komisyi.

§ 12. Ponieważ jest jedna nagroda i takowa w żadnym razie nie może być podzieloną, przeto komisya przedstawia do nagrody tylko jedno dzieło. W razie równości głosów w komisyi na korzyść dwóch dzieł, za polecone do nagrody uważaném będzie to dzieło, za którém dał głos prezydujący komisyi.

§ 13. Raport komisyi i jéj wniosek będą czytane na posiedzeniu fakultetu i takowy na następném posiedzeniu ostatecznie decyduje o przyznaniu nagrody.

§ 14. Przyznanie nagrody na posiedzeniu fakultetu odbywa się przez balotowanie, przyczém wymaganą jest prosta większość głosów wszystkich członków fakultetu obecnych na posiedzeniu. Decyzya fakultetu przedstawia się do zatwierdzenia radzie uniwersyteckiéj.

§ 15. Wynik konkursu podaje się do wiadomości publicznéj przez ogłoszenie w gazetach.

§ 16. Nagroda wypłaca się autorowi lub jego prawnym sukcesorom w dniu 11 (23) grudnia.

§ 17. Wybór języka, w którym ma być ogłoszone dzieło, nagrodzone w rękopisie, pozostawia się uznaniu autora.

§ 18. Nagroda za drukowane dzieło wypłacona będzie autorowi lub jego prawnym spadkobiercom 11 (23) grudnia po uprzedniém nadesłaniu do uniwersytetu 150 egzemplarzy, dla rozdania takowych profesorom i wykładającym w Cesarskim Warszawskim Uniwersytecie, tudzież dla wymiany z innémi instytucyami naukowemi.

§ 19. Jeżeli nagrodą będzie odznaczone rękopiśmienne dzieło i jeżeli takowe będzie ogłoszone nie w rosyjskim języku, to nagroda będzie wypłaconą dopiero po zaświadczeniu fakultetu medycznego, że przekład dzieła jest dobrym i dokładnym. Rękopis tego zaświadczenia powinien być przedstawiony radzie uniwersyteckiéj, nie późniéj niż w ciągu trzech miesięcy po nadesłaniu wydrukowanego dzieła.

§ 20. Jeżeli dzieło w rękopisie uwieńczonego nagrodą w skutek jakichkolwiek przyczyn, nie będzie nadesłane do Uniwersytetu po wydrukowaniu, w 150 egzemplarzach do 11 (23) grudnia, to w dniu oznaczonym ogłasza się w miejscowych gazetach o przyznaniu nagrody, sama zaś nagroda wypłaconą będzie dopiero po nadesłaniu wspomnianéj liczby drukowanych egzemplarzy.



LARIK.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH, Z MOTYWÓW DZIEJOWYCH.

ODZNACZONA
NA KONKURSIE DRAMATYCZNYM WARSZAWSKIM
IMIENIA WOJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO.

OSOBY:

LEGAT RZYMSKI, przełożony miasta.
MARO, dowódca.
BRANIO, LARIK — ze starszyzny brytańskiéj.
KUNO, LETTA — dzieci Larika.
LIDYA, przyjaciółka Letty.
GALGAKUS, wódz brytański.
LANIWAL, TAMAR, STAFORD, DAY — naczelnicy wojska Galgakowego.
WILMAR, wysłaniec Galgaka.
KAWORT, SEN — towarzysze Wilmara.
WAR, PAN, SAK — spiskowcy.
MOL, RAK, PUK, BOB — młodzież brytańska.
RUFUS, dowódca straży.
PINA, bogaty rzymianin.
FILOZOF.
LATARNIK.

Posłowie Legata. Żołnierze rzymscy i brytańscy. Spiskowcy brytańscy. Lud. Oprawcy.

Rzecz dzieje się w Brytanii za panowania Rzymian.

„Namque ut homines dispersi ac rudes eoque in bella faciles quieti et otio per voluptates adsuescerent, hortari privatim, adjuvare publice, ut templa fora domos extruerent, laudando promptos et castigando segnes: ita honoris aemulatio pro necessitate erat. Jam vero principum filios liberalibus artibus erudire, et ingenia Britannorum studiis Gallorum anteferre, ut qui modo linguam Romanam abnuebant, eloquentiam concupiscerent. Inde etiam habitus nostri honor et frequens toga. Paulatimque descensum ad delenimenta vitiorum, porticus et balinea et conviviorum elegantiam. Idque apud imperitos humanitas vocabatur, cum pars servitutis esset."

(*Cor. Taciti Vit. Agric. XXI*).

AKT PIERWSZY.

Scena w ogrodzie, przed domem Larika, wpośród bujnéj zieleni drzew i krzaków. Na trójnogu pali się ogień święty.

SCENA I.

Larik, Kuno, Wilmar, Sen.

(Larik wchodzi, skradając się, za nim Sen i Wilmar, za nimi Kuno. Larik prowadzi za rękę Sena).

Larik. Chodźcie tu, chodźcie, tuście już bezpieczni. O tyle bezpieczni, o ile wszyscy jesteśmy bezpieczni pod okiem Rzymian. W każdym razie nie mniéj, jak orzech ukradziony przez wiewiórkę. Zgryzie ona łupinę i zajrzy do środka, tylko nie wiadomo kiedy. W każdym razie pewno nie w téj chwili.

Sen. Ale, panie, ukryjcie nas. Jeżeli nas pochwycą, będziemy zgubieni.

Larik. Zaraz, zaraz. Czy was ścigają?

Sen. Ścigają.

Larik. Powiedzcie mi tylko, jak to było, gdzie to było, jakim sposobem się stało?

Wilmar. Późniéj się dowiecie, panie...

Sen. Późniéj, późniéj!

Larik. Więc jednego z was pojmali?

Sen. Ale tak, tak...

Larik. A was dwóch nie?

Sen. Nie, nie...

Larik. Więc było was wszystkich trzech?

Wilmar. Panie!..

Larik. No, więc dobrze.

Kuno. Cicho!.. Słyszę szmer — ktoś nadchodzi... (*wszyscy nasłuchują*).

Larik (*po chwili*). Zdawało ci się.

Kuno. Może.

Larik. No, więc dobrze. Chodźcie. ukryję was. Kuno, zawiedziesz ich... gdzie ich zawiedziesz? Zawiedziesz ich tak: Wilmara zamkniesz w komorze Letty. Tego zaprowadzisz tymczasem do śpichlerza. Będziecie schowani osobno. Tym sposobem szpieg będzie miał podwójne prawdopodobieństwo, że znajdzie; ale też będzie miał tylko połowę prawdopodobieństwa, bo znajdzie zawsze jednego. Drugi mógłby się tymczasem ratować ucieczką.

Sen. Cicho... ktoś nadchodzi!

Kuno. Cicho... (*słuchają*).

Wilmar. Nie, to jakiś daleki odgłos.

Sen. Uchodźmy, uchodźmy.

Larik (*wskazując drogę*). Daléj. tędy. Kuno, zamknij ich dobrze. A prowadź tak, żeby was nikt nie spostrzegł.

Kuno. Bądź spokojny, ojcze (*wychodzą*).

Wilmar (*zatrzymując się*). Lariku, jeszcze słowo. Wszystko się stać może, a więc i to. że nas pochwycą. Na ten wypadek oddaję ci listy, które dla ciebie przyniosłem. Przeczytaj je i zniszcz (*oddaje mu zwój*).

Larik. Przezornie czynisz.

Wilmar. Teraz odchodzę spokojny.

Larik. Niech was bogowie prowadzą.

SCENA II.

LARIK, sam.

Larik. Byłoby może rozsądniéj, żebym ich u siebie nie przechowywał. Chociaż kto wié. Szczęście to jeszcze, że ich Kuno spotkał. Gdzieindziéj byliby im odebrali listy, a te listy wyśpiewałyby może co takiego, o czém nikt nie powinien wiedziéć. W takich burzliwych czasach listy nie przynoszą spokojnych nowin. Kiedy mi już listy oddał, najbezpieczniéj byłoby pozbyć się tych dwóch. Ale tamten trzeci? Rzymianie pewno ciekawi są nie mniéj odemnie, co on im powie. Jeżeli są posłami Galgaka, przyszli z zapowiedzią wojny. Jeżeli się to wyda, chciałbym wiedziéć, co ze mną zrobią. Mogą mnie powiesić. Mogą mnie dać na pożarcie bestyom. Mogą mnie żywcem spalić... Lettę mogą wydać na pogwałcenie żołdactwu. Kunona mogą ściąć. Szczęście to, że nie mam więcéj dzieci, i że się nad niemi nie będą mogli pastwić. Bodaj ich wygubiła zaraza! (*Rozwiązując zwój*): Wojna?.. A może nie wojna?.. Człowiek jest często jak ów robak, gnieżdżący się pod murami gmachu, który mu słońce zasłania. Przeklina budowę, ale boi się upadku jéj, aby sam w gruzach nie zginął. Oto się waham zajrzéć w oczy wieści, która powinna miéć dla mnie oblicze kochanki... Czemu? Dobrze przynajmniéj, że nie przez tchórzostwo. Kiedy na nich patrzę... haa!... Chciałbym tylko być pewnym, że będę ich mógł wygubić tak, jak pragnę — z pogodą na czole, z uśmiechem na ustach. Drodzy Rzymianie!.. niech was mór wytrzebi. Drodzy Rzymianie, drodzy przyjaciele!.. idźcie do piekła,

popłyńcie na falach własnéj krwi do swego wielkiego Rzymu. Drodzy dobroczyńcy Rzymianie (*spluwa*), tfu!.. Tu jest dwa pisma... Co to?... To jest... do Brania?.. A to?... „Larikowi“... To do mnie... A to do Brania!.. Schowam to pismo do Brania (*chowa w zanadrze*). A to odczytam. (*czyta*): „Synowi wyspy, słudze ojczyzny, Larikowi, śle pozdrowienie Galgakus, wódz Brytanów.“ (*mówi*): Galgakus! Wiedziałem, wiedziałem! Drogie imię, ono jest rękojmią powodzenia. (*Czyta daléj*): „Mężny Lariku. Zbyt długo już krwawe jarzmo Rzymian uciska karki nasze. Podległe władzy mojéj plemiona gotowe są do boju. Jesteśmy jednak na tyle słabi w porównaniu z wrogami, że pierwszy cios musimy zadać podstępnie. Zdobycie kilku warownych miejsc da znak ludowi naszemu od brzega wyspy do brzega, aby za broń porwał. Przeto wzywam ciebie, Lariku, abyś podburzył ludność i zawiadomił nas, kiedy będziecie gotowi. Na ten czas ja przybędę, i, z dwóch stron uderzywszy, weźmiemy Cezareum miasto. Albowiem to wasze miasto musi być pierwszém, jako ważna pozycya strategiczna. To drugie pismo oddasz Braniowi. Przygotuj go poprzednio, jeżeli prawda, co ludzie mówią, że serce jego odeszło od nas, którzy chcemy wolności. Gdyby był jawnym zdrajcą, zaniechaj. Inne rozkazy i życzenia nasze oznajmi ci ustnie poseł nasz, którego podług widzenia zatrzymasz lub odeślesz.“ — Jeżeli tamten pojmany wié o tém wszystkiém!.. Na torturach niechybnie wypowie, zkąd, po co i do kogo tu przyszedł. Życie moje z jutrzejszém słońcem rozwieje się jak mgła dzisiejsza, i cała sprawa upadnie. A Kuno! A Letta! A Galgakus, któremu fałszywych posłów poślą, aby go wprowadzić w zasadzkę!.. Jeżeli to prawda, to chciałbym być jutro jedynym sępem w Brytanii (*wchodzi Kuno*).

SCENA III.

Larik i Kuno.

Kuno. Już są schowani. Dałem im wskazówki na wypadek niebezpieczeństwa.

Larik. Kuno!..

Kuno. Co ci jest? Dlaczego zbladłeś?

Larik. Los nasz, a może i los ojczyzny naszéj waży się w téj chwili pomiędzy językiem a podniebieniem jednego człowieka. Czy rozmawiałeś z Wilmarem?

Kuno. Prawie nie, nie było kiedy. Ale dał mi do zrozumienia, po co tu przybyli i z czém spodziewają się odejść.

Larik. I co ci mówił?

Kuno. Co mówił?

Larik. Uważasz! Jeżeli tamten pojmany wié, do kogo i z czém przyszli, to lepiéj nam było na świat się nie rodzić. Rzymianie potrafią wydobyć z niego tajemnicę. Czy mówił ci Wilmar o tamtym... jak mu na imię?..

Kuno. Kawort.

Larik. Czy mówił ci o nim?

Kuno. Właśnie téż Wilmar kazał mi uprzedzić cię, żebyś się nie niepokoił aresztowaniem Kaworta; albowiem nie zna on imienia twego i wogóle o niczém nie wie, z wyjątkiem tego, skąd przybywa.

Larik. Taaak?.. Aaah! łajdaki Rzymianie!

Kuno. Wilmar sam trzyma poselstwo. Udając się w drogę, dla własnego bezpieczeństwa wziął dwóch towarzyszy. Powiedział im, że jedzie za handlem, że z pieniędzmi będzie wracał. Zapewnił mnie téż, że gdyby i jego schwytano, raczéj śmierć sobie zada, niżby miał wyznać prawdę.

Larik. Słuchaj-no, a nie byłoby lepiéj, żebyśmy sami śmierć mu zadali?... Może i temu drugiemu?

Kuno. Drugiemu może. Ale Wilmarowi nie godzi się, boć on poseł.

Larik. Prawda.

Kuno. Jednak i ten drugi nic nie powie, bo nic nie wie.

Larik. On by może nie umiał nic powiedziéć; ale oprawcy wyciągną z niego więcéj, niż on sam wie. „A skąd jesteś?“, „a co tam słychać?“, „a jak tam u was mówią o Lariku“, „a porządny to człowiek, co?“ — Niech im bydlę odpowie, że porządny i że taką ma sławę u plemion—to już dosyć! Tacy ludzie, którzy nic nie wiedzą, są najniebezpieczniejsi, bo nie wiedzą, co ukrywać.

Kuno. Jeżeli każesz, ojcze...

Larik. Toż samo będzie z Kawortem.... Wstrzymajmy się jeszcze. Dobre przynajmniéj, że tylko jednego pojmali.

Kuno. Byliby wszystkich pojmali, i Wilmara i Sena, gdyby ci nie zemknęli w porę. Spotkałem ich u północnéj bramy. Opowiem ci, jak to było. Smutnie się skończyło, ale było trochę śmieszne. Odzież ich zwróciła uwagę, i przechodzący ulicą żołnierz zaczął wołać: „patrzcie, małpy morskie idą.“

Larik. Małpy morskie!

Kuno. Małpy morskie.

Larik. Bodaj zmarniał! Czy nazywanoby nas małpami morskiemi, gdyby tu Rzymian na wyspie nie było?

Kuno. Myślę, że nie... Ale kiedy ten powiedział „małpy morskie“, Kawort wyciął go pięścią w kark. Jak ten go wyciął w kark, wszczęła się kłótnia, potem bójka, potém zbiegowisko... Wilmar, widząc niebezpieczeństwo, wmieszał się w tłum i zaczął uciekać. Sen za nim. Ale Kawort nie mógł się ukryć, gdyż na niego wszystkie oczy były zwrócone. Straże porwały go i powlokły do lochów.

Larik (*podnosząc rękę*). Pssst!

Kuno. Co to?

(*Za sceną rozlega się gwar coraz zbliżającego się tłumu*).

Głos za sceną. Tędy, tędy!

Głos inny. Między te drzewa weszli!

Głos trzeci. Za tym domem zniknęli mi z oczu!

(*Przeciągły gwar*).

Larik. Czy to ich gonią?!

Kuno. Tak, to tłum goni. Usuńmy się z drogi. (*Wchodzą ludzie*).

Larik. Już zapóźno!

SCENA IV.

LARIK, KUNO, TŁUM LUDZI, późniéj RUFUS ze strażą.

Pierwszy z tłumu (*wbiegając*). Rozlećcie się na wszystkie strony! Patrzcie w tych krzakach, tu, naokoło. Tu się musieli schować, albo niech mi grzyby na oczach wyrosną! (*spostrzegając Larika*). O! ci ich musieli widzieć!.. Tędy uciekało dwóch szpiegów, musieliście ich widzieć, dwóch zdrajców, łotrów, musiałeś ich widziéć, gdzie są, gadaj!.. Cóż to? Milczysz?.. Czy jesteście poddanymi Cezara?

Larik. Powiedziałeś.

Pierwszy z tłumu. Com powiedział?

Larik. Coś wiedział.

Pierwszy z tłumu. Powiedziałem, że jesteś fałszywym poddanym Cezara.

Larik. Wolno ci było powiedziéć, że jestem prawdziwym.

Pierwszy z tłumu. Tak, alebym zełgał.

Larik. Jeżeliś kłamca, niech cię powieszą.

Pierwszy z tłumu. Hola, chłopcy, szelma jestem, jeżeli to nie są zdrajcy. (*do Larika*): To ty ptaszku zęby sobie na mnie ostrzysz, kiedy ci pod nosem szpiegi przeleciały! Chłopcy, niech ręce nogi połamię, jeżeli ci hultaje ich nie schowali! Daléj, brać ich... (*Tłum rzuca się na obu z krzykiem, ci dobywają miecze. Za sceną nowy alarm, i w chwili, kiedy Larik z synem bronią się przed napaścią, wchodzi na czele straży i zgrai pospólstwa Rufus*).

Rufus (*wchodząc*). Czy już pojmani? (*spostrzegając Larika*) Co to?

Larik. Rufusie! Gwałt mi się dzieje przed moim własnym domem! Jeżeli takie jest bezpieczeństwo wiernych sług Cezara, bodajem był wprzód skonał, zanimeście tu panować zaczęli.

Rufus. Wybacz im, Lariku. Nie chcieli cię zapewne obrazić. A że szukali szpiegów....

Larik. Szpiegów w moim domu szukali? przed moim domem? koło mojego domu? Jakto! Albo ja nie jestem Larik, albo mój dom jest warownią Rzymu!

Rufus. Wybacz, ale w istocie zdaje się, że tędy biegli. (*do tłumu*): Wszak w téj stronie ich widziano?..

Głosy zmieszane. Tu byli!.. Między temi drzewami!.. Koło domu!... W krzakach!.. Na skręcie ich widziałem!.. Niech zginę, jeżeli tu nie byli!..

Rufus (*do Larika*). Aleś ty ich nie widział?

Larik. Gdybym ich widział, jużby byli w twoich rękach.

Rufus. Możeś tylko nie zwrócił uwagi? Możeś nie wiedział, że to są zdrajcy?..

Larik. Co?! Zdrada piętnuje się na czole. Gdyby tędy przechodzili zdrajcy, poznałbym ich. Bo kto zdradza kogoś, kogo nie powinien zdradzać, kogo mu nie wolno zdradzać, kogo natura sama nie pozwala zdradzać—przysięgam, że poznałbym ich odrazu! Przynajmniéj zwróciliby moją uwagę. Ale żeby te łotry (*wskazując na tłum*) lżyły mnie, godziły na moje życie, że bym ja na nich, na współobywateli, niech ich powietrze ogarnie, żebym ja na nich potrzebował dobywać miecza, tego miecza, bodaj im wnętrzności poszarpał....

Rufus. Uspokój się. Możesz wnieść skargę do sądu. W téj chwili nie czas na rozprawy. Tych zbiegów koniecznie trzeba znaleść. Wiesz, co się dzieje na wyspie—podobno bunt podnosi hardą głowę. To mogli być emisaryusze. Skoro mówisz, że ich tu niéma, wierzę ci. Larik ma wiarę u Rzymian, których jest przyjacielem. Poszukamy ich daléj. Za mną! Rozbiedz się na wszystkie drogi! Hola, za mną!

(*Rufus a za nim tłum w różnych kierunkach rozbiegają się*).

SCENA V.

LARIK i KUNO.

Kuno (*chowając miecz*). Niebezpieczeństwo minęło!

Larik. Łajdaki!.. Poszli łajdaki!

Kuno. Udało nam się.

Larik (*chowając miecz*). Widziałeś ten motłoch? To są parszywe owce, które same do wilków uciekają. Takie nie zubożą stada i będą najprzód zjedzone.

Kuno. I jeszcze wilki się niemi potrują.

Larik. Potrują się — dobrześ powiedział. Ale, uważasz... tego Sena trzeba na wszelki wypadek uprzątnąć. Jak tylko ztąd wyjdziesz, zajmiesz się tém.

Kuno. Jeżeli rozkazujesz...

Larik. Rozkazuję.

Kuno. Więc się tak stanie.

Larik. Słyszałeś, co ten mówił, że ja mam u nich wiarę. Cha, cha, cha, dobrze powiedział. Mam wiarę u Rzymian. Tak jest, mam ją u nich, to znaczy, żem ją wypożyczył. Należy mi się lichwa. Teraz odbiorę moją wiarę z lichwą. Słuchaj mnie dobrze! Bogowie chcą, aby krzywdy nasze były pomszczone. Bogowie wybrali mnie za narzędzie swéj woli, ty będziesz narzędziem mojéj. Stłumisz w sobie od dzisiaj myśl wszelką, która nie będzie ze mnie, wszelką żądzę, która nie będzie ze mnie. Będziesz głuchy i ślepy na wszystko, co nie jest rozkazem moim, będziesz moją ręką, moją nogą, moim językiem i niczém więcéj. Będziesz?

Kuno. Będę, ojcze.

Larik. Gdybym się na tobie zawiódł — ale nie, to niepodobna. Wiem, że nienawidzisz Rzymian.

Kuno. Przekonam ich o tém zczasem.

Larik. Tak, chodzi tylko o to, czy ich nienawidzisz z poczucia obowiązku jedynie, czy z samego już instynktu?

Kuno. Jak to rozumiesz?

Larik. Czy ci się naprzykład nie śni czasami w nocy, że morze Rzym zalało, albo że ognie podziemne wyniszczyły miasta tego narodu, wytępiły ludność? Czy w marzeniach na jawie błędna i mimowolna myśl nie stawiała ci przed oczyma zarazy strasznéj, która zaściela trupami doliny i grzbiety Apeninów, albo czy nie myślałeś kiedy o środkach zatrucia wszystkiéj wody w ich rzekach, wszystkiego zboża na ich polach, co, czy nie?

Kuno. Nie przypominam sobie.

Larik. Nie?

Kuno. Nie—to nie. Ale nieraz marzyłem i nieraz mi się śniło, że toczyliśmy wojnę z Rzymianami. Wtedy zawsze walczyłem tak mężnie, że kiedym się zbudził, prosiłem bogów, aby mi dali podobną odwagę, gdy przyjdzie do rzeczywistéj walki.

Larik. Znać, żeś młody. Ale to dobrze. Nam starym inaczéj się marzy, wam inaczéj. Słuchaj-że mnie pilnie. Wilmar przywiózł mi listy, zapowiadające wojnę z Rzymem... Odkrywasz głowę — dobrze czynisz. Wojna z Rzymem będzie modlitwą o naszą swobodę. Galgakus jest wodzem.

Kuno. O, ojcze, ojcze! Nie chciałem ci przerywać, chciałem cię słuchać spokojnie do końca. Ale tyle radości wlałeś mi w serce, że pękłoby, gdybym jéj nie wyrzucił z piersi. Ojcze, więc to Galkakus wodzem naszym! Więc to on powiedzie nas do boju!

Larik. Galgakus wodzem, ale nie on powiedzie nas do boju. Powiedziałem ci, że przedewszystkiém potrzeba nam rozumu. I dlatego nie unoś się radością. tylko słuchaj.

Kuno. Szczęśliwa godzina, w któréj to imię wymówiłeś! Galgakus! Słucham cię, rozkazuj!

Larik. Musimy tu w mieście przygotować wybuch. Gdy się to stanie, my uderzymy z wewnątrz na legiony, Galgakus z zewnątrz. Dzień, który będzie na to patrzał, będzie dniem upadku ich potęgi.

Kuno. O bogi!

Larik. Ale....

Kuno. Jestem pewny zwycięstwa.

Larik. Słuchaj!

Kuno. Słucham.

Larik. Mojém i twojém zadaniem nie jest walka.

Kuno. Jakto?

Larik. Zadaniem naszém jest poruszyć lud. Galgakus chce tego i ja chcę tego. Rzymianie nie przyszli tu po to, aby mnie i ciebie ujarzmiać, a jednak jesteśmy w niewoli. Choć ani ty, ani ja nie będę ich wypędzał, możemy się stać wolni. Rzymianie przyszli i uderzyli o lud nasz. jak fala o skałę. Skała pękła, fala brzeg zalała, utonęliśmy. Ja i ty jesteśmy źdźbłami piasku w skale. Ale mamy rozum. Rozumem powinniśmy rozproszone odłamki napowrót zbić do kupy i napowrót skałę postawić przeciwko fali. Niech jeszcze raz uderzy. Kiedy uderzy, nie skruszy nas, ale się na drobną pianę rozbije i zginie w odmętach, z których wyszła.

Kuno. O bogi, więc cóż mam czynić?

Larik. Najprzód słuchaj. Pójdziesz pomiędzy lud i będziesz mówił, że „zdaje się“, albo że „ludzie powiadają“, że zbliża się dzień odwetu. Będziesz mówił, że starzy mieli sny, pełne wróżb dobrych— i dodasz zawsze: „tak mówią.“ Nie będziesz wspominał imienia mojego — wcale. Ale będziesz wspominał imię Galgaka. Postąpisz tak. Gdy np. spotkasz na drodze kilku ludzi, zbliżysz się do nich i zapytasz: „czy to prawda, czy nie słyszeliście, co powiadają, że Rzymianie mają uciekać z wyspy?“ Odrzekną ci, że nic nie wiedzą. Wtedy im powiesz: „I ja nic nie wiem, ale powiadają, że Galgakus ze straszném wojskiem idzie, i że wróżbiarze wróżą Rzymianom klęskę.“ Potém każesz im, aby o to samo innych pytali. Możesz być pewny, że się zapytają. Tym sposobem wieść się rozejdzie, trwożliwi będą nabierali ducha, a odważni umocnią się w swém męstwie.

Kuno. Ale ojcze...

Larik. Słuchaj mnie jeszcze. Oprócz tchórzliwych i mężnych są nadto trzymający z Rzymem i skłonni do zdrady. Gdy więc zobaczysz w gronie ludzi człowieka, rozprawiającego o małych szansach zwycięstwa, o przeważnéj potędze Rzymian, pytaj się, niby mimochodem, czy to prawda, że Rzymianie przed odejściem mają wyrżnąć miasto; czy prawda, co powiadają, że są najbardziéj zawzięci na swoich stronników, którzy, choć się łasili, nie umieli zapobiedz klęsce, i że stronników tych najpierw podobno chcą wygubić? To odejmie serce zdrajcom. To sobie zapamiętaj dobrze.

Kuno. Będę pamiętał.

Larik. No więc dobrze. Więc powtórz-że mi, co masz robić?

Kuno. Zrobię wszystko, coś mi rozkazał.

Larik. Ale co, powiedz co?

Kuno. Będę się starał budzić obawę i nadzieję. Nadzieję, że Galgakus wytępi Rzymian, obawę, że Rzymianie wytępią tu nas wszystkich w osadzie.

Larik. Dobrze.

Kuno. W tym celu, będąc niby echem pogłosek, sam będę szerzył pogłoski.

Larik. Dobrze.

Kuno. Pogłoski, że...

Larik. Że co?...

Kuno. No, to, coś mi mówił; już ja będę wiedział. Będę mówił tak: „Powiadają, że trzeba się zbroić, i słyszę, że rozsądni ludzie myślą o ostrzeniu mieczy."

Larik. Dobrze. To dobrze. Pamiętaj, że to jest rzecz główna. Skoro się lud uzbroi, połowa zadania skończona. Lud uzbrojony i szepczący w tajemnicy o walce, jest jak łuk naciągnięty. Dość odjąć rękę, aby wypuścił strzałę. To rzecz główna.

Kuno. Tak.

Larik. Tak. Teraz zadanie drugie. Uważasz. Chcę, abyś mnie zrozumiał.... Ale — za pozwoleniem. Do pomocy w czynieniu tego, com ci rozkazał, wybierzesz sobie kilku młodzieńców. Na początek trzech, czterech, tylko pewnych....

Kuno. Mogę wziąć.... naprzykład... Saka, Pana, Wara....

Larik. Dobrze. Im także nie wspomnisz o mnie, ani o rozkazach moich. Owszem, będziesz do nich mówił zupełnie tak samo, jak do innych, aż póki nie uwierzą. Wieść o zmianach, o wojnie padnie na młode umysły, jak iskra na wysuszoną słomę. Wybuchną i zapłoną. Gdy im powiesz, że słyszałeś o zamiarach Galgaka i o niepokoju Rzymian, młode wyobraźnie, chciwe takich nowin, wydmą

i nadzieję i niebezpieczeństwo siłą własnego zapału do niebywałych rozmiarów. A skoro raz zaczną myśléć o tém, za chwilę uwierzą, że myśli ich i ich pragnienia są faktem lub będą faktem. Czyś to aby dobrze zrozumiał?

Kuno. Rozumiem. Powiem im toż samo, co innym. Ale oni przyjmą to tak gorąco, że wprzód, nim ja dokończę swą mowę, oni pobiegną szerzyć radosną nowinę.

Larik. Tak jest. Więc będziesz wiedział?

Kuno. Będę.

Larik. Teraz chodzi o to, aby uzbrojenia odbyły się w tajemnicy. Niech się Rzymianie o niczém nie dowiedzą. Następnie o to, aby wszyscy za danym znakiem za broń chwycili. W tym celu masz mówić, że starsi znak dadzą, gdyby groziło niebezpieczeństwo. Hasło obrony będzie zaś hasłem napadu.

Kuno. Dobrze, ale dlaczego mam zachowywać tajemnicę wobec przyjaciół?

Larik. Dlatego, że ja ci tak każę. Słyszałeś, co mówił Rufus „Larik jest przyjacielem Rzymian.“ Jeżeli nie chcę zginąć pierwszym, muszę być ostatnim z tych, którzy im nieprzyjaźń swoją okażą. A że nie ostatnim z tych, którzy słuchają podszeptów téj nienawiści, to dlatego, że zanadto pali mi ona wnętrzności.

Kuno. Rozumiem cię, ojcze. Bądź pewny, że zastosuję się ściśle do poleceń. Będę przebiegły, jak żmija. Rozdmucham płomienie, chociaż pozornie niby gasić je będę. Tak niechaj mi dopomogą bogowie! Na ten ogień święty przysięgam ci, że zatruję serca ludzi jadem obawy i nienawiści do tego stopnia, że tylko krwią będą z nich mogli oczyścić dusze. Na ten ogień święty przysięgam, że będę ci wiernie służył.

Larik. Oto jest pismo Galgaka. Musi spłonąć, aby ślad po niém nie został.

Kuno. Pozwól, niech dotknę do niego usta (*całuje*).

Larik. Błogosławię cię (*rzuca zwój na ogień; wchodzi Bramo, który stoi wtyle, niewidziany*). Niech się tak rozproszą legiony Rzymian, jak dym tych płomieni. Niech będzie błogosławiony miecz, który pierwszy uderzy Rzymianina. Niech będą błogosławione usta, które pierwsze okrzyk wojenny wydadzą. Niech wszystkie radości wiosny spłyną na serce rycerza, który pierwszy Brytannom zwycięstwo obwieści. Bogowie, jeżeli zginę, niech duch mój w dziobie kruka zamieszka, abym mógł szarpać trupy poległych ciemięzców—Bogowie!...

Kuno (*obejmując go za kolano*). Ojcze!

Larik (*ściska głowę syna*). Idź!

SCENA VI.

LARIK. BRANIO.

(Branio stoi na tylnym planie, nie widziany przez Larika).

Larik. Aaaah!.. lżéj mi na sercu. Złość, nienawiść, wzgarda gniły mi w duszy pod osłoną przymusowego milczenia. Teraz to zatrute bagno znajdzie upust. Larik, przyjaciel Rzymian, pomści się na Rzymianach. Larik, który ma wiarę u Rzymian, wycofa dług swój z lichwą... Larik milczący otworzy usta uczuciom swoim, rozpuści myśli swoje jak psy gończe, aby szukały zguby dla Rzymu. A myśli jego, jak psy wierne, tresowane ciężkim batogiem nieszczęścia, przyniosą mu tysiąc środków zagłady. (*Larik zamyśla się, potém wyjmuje pismo z zanadrza i czyta, podczas gdy Branio mówi*).

Branio. (*n. s.*) Zdaje się, że coś knuje. Musi wiedziéć o Galgaku, a jest jedynym człowiekiem, który mógłby mu dopomódz. Jeżeli stanie po stronie Rzymian, wzrośnie w potęgę—a jego wpływy już mnie kłują w oczy. Jeżeli się rzuci w spisek, skompromituje nas wszystkich, którym Rzymianie ufają, i ja będę zachwiany. Tak czy owak—zawsze lepiéj zrobię, jeźli go zgubię wprzód, zanim się zbuntem zwącha. To będzie pewniejsze... Wiem, że mi odmówi, ale ta odmowa będzie wstępem do jego upadku.

Larik. (*n. s.*) Braniowi tego listu dać nie mogę. Ale mam prawo schować go, więc schowam. To list nie do mnie, więc mnie nie potępi. A w jego rękach mógłby się stać zgubnym. (*p. ch.*) Lud się i tak uzbroi, to pewna. A i to pewna, że się będzie w tajemnicy zbroił. (*chowając pismo*) A chociażby się Rzymianie spostrzegli, możnaby im to wyłożyć korzystnie, że się lud zbroi jako sprzymierzeniec, w chęci walki z Galgakiem. Ale do tego trzeba nam jedności, trzeba, żeby starszyzna była z nami. A to zaś tylko od Brania zależy. Jeżeli się Branio zbudzi... hm! pytanie.

Branio, (*który podczas ostatnich słów zbliżał się powoli*). Branio nie zbudzi się, bo Branio nie śpi, lecz czuwa nad szczęściem przyjaciół. (*wyciąga ręce*).

Larik. Branio!.. Witaj mi, panie. Właśnie myślałem o tobie.

Branio. Witaj Lariku. Czy i wtedy myślałeś o mnie, kiedy składałeś ofiarę?

Larik. Ofiarę?

Branio. Tu, przed chwilą, kiedyś się modlił do Bogów przy ogniu świętym?

Larik. A... tak... rozumiem cię. To nie była ofiara. Albo raczéj,

była to ofiara... ale zarazem... Prawdę mówiąc... nic nie ofiarowałem. Modliłem się. Czy słyszałeś, com mówił?

Branio. Tak, trochę. Słyszałem coś o Rzymianach, o mieczach, o zwycięstwie. Domyślam się z tego, żeś się modlił za pomyślność rzymskiego oręża.

Larik. Taaak?

Branio. Tak.

Larik. Z czém przychodzisz?..

Branio. Przychodzę do ciebie z wieścią—taką... no, gdybyś ty do mnie z podobną przyszedł, obsypałbym cię złotem.

Larik. Z jaką wieścią?

Branio. Z jaką?

Larik. Tak, bo i ja mam dla ciebie wieść, taką wieść... no, nie wiem, jak ty ją przyjmiesz, ale gdybyś ty do mnie z podobną przyszedł, nie złoto, ale krew mą oddał-bym ci.

Branio. Zatém wieść twoja aż krwi potrzebuje?

Larik. A twoja?

Branio. Moja nie. Moja prowadzi co najwyżéj do pomieszania krwi.

Larik. Moja—do krwi rozlewu.

Branio. Czy czasem nie o Galgaku myślisz?

Larik. Tak jest.

Branio. A no, kiedy tak, to ci powiem otwarcie, że istotnie ze strony Galgaka grozi nam niebezpieczeństwo. Ale mam nadzieję, że krew twoja nie będzie przeciwko niemu potrzebną. Nie po krew też twoją przychodzę, lub jeżeli chcesz, to nawet po krew, tak jest, ale...

Larik. Przepraszam cię, Branio, jakie niebezpieczeństwo grozi nam ze strony Galgaka?

Branio. Wielkie. Dowiedziałem się przez listy, że szykuje on bunt na wyspie, chce lud podburzyć, chce nasze miasto zdobywać, chce Rzymian wypędzać. Jest to szaleństwo, które nas o zgubę przyprawi.

Larik. O zgubę!.. Czy jesteś tego pewny?

Branio. Może-ż być inaczéj?

Larik. A gdyby rzeczywiście zwyciężył?

Branio. Gdyby! gdyby! Nie może zwyciężyć! Z czém zwycięży? Legiony rzymskie wojować garstką niekarnéj hołoty?! Na taki zamiar trzeba być głupcem albo Galgakiem.

Larik. Lecz gdyby lud powstał?

Branio. Drwisz chyba! Lud coraz bardziéj oswaja się z panowaniem Rzymian; nakoniec coraz więcéj ciągnie z niego korzyści... Dobrodziejstwa cywilizacyi...

Larik. (*przerywając*) Lecz gdyby powstał?

Branio. (*n. str.*) O źle! Nie pomyliłem się w domyśle.

Larik. Co? Gdyby powstał?

Branio. Jakim sposobem! Gdzie! Co! Co ci się zdaje! Lud ma powstać, żeby był wymordowany, żeby utracił spokój, dobytek, życie! Gdzie jest taki głupi lud! Wyznam ci, że gdyby nasz był taki, wstydziłbym się do niego przyznać.

Larik. Dobrze—lecz gdyby go kto podburzył?

Branio. Podburzył?

Larik. Tak.

Branio. To się stać nie może. Galgakus nie podburzy, bo mam nadzieję, że wyślą przeciwko niemu legiony. Emisaryusze jego nie podburzą, bo ich schwytamy, tak jak dziś straże schwytały jakiegoś. Więc któż może podburzyć?

Larik. Gdyby tak ktoś z miejscowych, z naszych?

Branio. Z naszych?

Larik. Czy byłbyś temu przeciwny?

Branio. *Ty* mnie o to pytasz?

Larik. Dlaczego byłbyś przeciwny?

Branio. Niestety, widzę z twéj mowy, że ty-byś nie był przeciwny. Ale, Lariku, daj się przekonać, póki czas jeszcze. Obaj zarówno mamy ważne powody, aby się oprzéć buntowi. Tylko że ty jesteś stary marzyciel i nie rachujesz się z rzeczywistością. Jeżeli przyjdzie do wybuchu, będzie on niewątpliwie stłumiony.

Larik. Zapewne...

Branio. Trzeba być ślepym, aby tego nie widziéć. Jakie są nasze siły? Gdzie? Czy Galgakus? Jest to ambitny hultaj, i nic więcéj. Wreszcie przypuśćmy, chociaż to jest niepodobieństwo...

Larik. Tak, niepodobieństwo...

Branio. ...ale przypuśćmy, dajmy na to, że na chwilę odniesie on jakieś drobne korzyści. Czy sądzisz, że Rzymianom zabraknie legionów? Z Azyi je wezwą, ze wszystkich końców świata wezwą, a nas ujarzmią.

Larik. No, to nie koniecznie. W Azyi tak dobrze potrzebują legionów jak u nas. Ich państwo całe jest zlepkiem podbojów. A podboje nie są wieczne... Na samą wieść, że nasza wyspa wre wojną, inne narody...

Branio. Już wiem, co chcesz powiedziéć. Jest to dziecińśtwo. Ale dajmy na to, że Galgakus nawet wypędzi Rzymian, i że wrócimy do dawnego stanu. Uważał-że-byś to za pożądane?

Larik. Oh—co znowu...

Branio. Wrócilibyśmy do stanu barbarzyństwa, z którego wyprowadzili nas Rzymianie. Co prawda, to prawda. Trzeba im oddać sprawiedliwość. Dawniéj mieszkaliśmy w nędznych lepiankach, teraz mamy porządnie murowane domy. Komu to zawdzięczamy? Rzymianom. Co prawda, to prawda. Dawniéj obyczaje nasze były dzikie, teraz wypolerowały się. Dziś mamy obyczaje patrycyuszów. Co prawda, to prawda. Dziś mamy wspaniałe łaźnie, dziś badamy nauki rzymskie i greckie, czytamy poetów, dziś umiemy zrobić właściwy użytek z pracy niewolników naszych—a wszystko to zawdzięczamy Rzymianom. I trzebaż to tracić dla głupiéj ambicyi Galgaka? Zastanów się, czy warto!

Larik. Więc swoboda jest dla ciebie niczém?

Branio. Niczém?—nie! Lecz nie nazywam swobodą twardego jarzma barbarzyńskich królów. Przy nich stracilibyśmy wszystko. Pamiętaj także, że Galgakus nie dowierzałby nam, jako dziś przyjaciołom Rzymian.

Larik. Tak sądzisz?

Branio. Niewątpliwie. Ale to są marne przypuszczenia. Bo niepodobna, żeby się on utrzymał. A w takim razie na co się przyda porozumienie z buntem? Czy tak ci pilno na szubienicę? Zastanów się. Nawet ci z nas, którzy nie przyjmą udziału w spisku, byliby skompromitowani, gdyby choć kilku ze starszyzny brytańskiéj zdradziło Rzymian. Cień ich wiarołomstwa i na nas padnie. Rzymianie powiedzą, że krew już nasza tak podła jest, że ufać nam nie można. W co się wtedy obrócą nasze majątki, nasze stanowiska?..

Larik. (*n. str.*) Bogowie, uzbrójcie mnie w cierpliwość!

Branio. Zresztą, już o tém nie mówię. Ale tak jak teraz rzeczy stoją, możemy być pożyteczni.

Larik. Komu?

Branio. Ludowi! Możemy łagodzić ciężar jarzma i jednocześnie umacniać wpływ cywilizacyi... która...

Larik. Która nas gubi, która nas wyzuwa z wiary, z obyczaju, z męstwa, która nas zmienia w nędzne frygi rzymskie, w skoczków, łajdaków, aktorów, kłamców, pochlebców — czy to chciałeś powiedzićć? Jeżeli tak, to niechaj ta cywilizacya na tobie skończy dzieło zniszczenia. Sądziłem, że znajdę w tobie więcéj serca dla swoich. Zawiodłem się. Wepchnąłeś mi sztylet w piersi. Branio! Ty jesteś dowodem. jak straszne jest panowanie Rzymian, kiedy na takich jak ty przekształca ludzi. Branio!..

Branio. Ile nienawiści, ile nienawiści! Lariku, jesteś niepoprawny. Zręcznie się maskowałeś, aleś się nie przerobił. Szkoda. Spodziewam się pomimo to, że nie przyłożysz ręki do spisku; inaczéj mu-

siałbym zostać twoim nieprzyjacielem. Byłoby to największą boleścią mojego życia. Ale pamiętaj, że stawiałbyś na kartę nie tylko swoją lecz i moją przyszłość. Z drugiéj strony jednak widzę, że misya moja spełznie na niczém. Lariku, przyszedłem do ciebie, jako swat od Marona, który chciał córkę twoją pojąć za żonę. Zanadto wszakże nienawidzisz Rzymian, jak się przekonywam, abyś się mógł na to zgodzić. Odpowiedz mi w dwóch słowach, czy mam odejść?

Larik. Coo? po co przychodzisz?

Branio. Jasnom wyłożył. Maro...

Larik. Kajus Maro?

Branio. Tak, Kajus Maro...

Larik. Chce...

Branio. Chciał wziąć twoją córkę.

Larik. Czy to być może?.. Zkąd ta myśl?..

Branio. Pokochał.

Larik. (*spogląda podejrzliwie, po chw. mówi n. s.*) Zastawia na mnie smrodliwą pułapkę... Czyżbym się zdradził?.. Nie mogę odmówić... Grób się pode mną otwiera...

Branio (*n. s.*) Po tém, com mu powiedział, dobrze się namyśli, zanim poda rękę spiskowcom. Ale swatów nie przyjmie. Zgubiłby się w oczach gawiedzi. Ja tymczasem potrafię obrócić przeciwko niemu zemstę Marona i kark mu skręcę... (*głośno*) A więc, Lariku? Z czém odchodzę? Nie tłómacz się długo. Powiedz jedno słowo—nie! Maro nie będzie miał do ciebie urazy—to już ja biorę na siebie.

Larik. Poczekajno... Branio—po chwili namysłu przekonywam się, że to, co mówiłeś, było zupełnie słuszne.

Branio. Taaak?

Larik. Tak, zupełnie słuszne. Nie zważaj na chwilowe moje uniesienie. Byłem rozdrażniony, gniewałem się na syna, który rozpustne życie prowadzi. Modliłem się właśnie do Bogów o jego poprawę, gdyś nadszedł...

Branio. (*n. s.*) Patrzcie!..

Larik. Więc istotnie Kajus Maro chce pojąć Lettę za żonę?

Branio. Z tém mnie tu przysłał.

Larik. Tak, masz racyę. W naszém położeniu nie pozostaje nic, jak trzymać z Rzymianami. Galgakus jest rzeczywiście niebezpieczny. Branio, chcę ci dać dowód, żeś mnie przekonał. Jeżeli Maro pragnie pojąć moją córkę, i jeżeli się ona na to zgodzi—oddam mu ją. Lepsze jest pewne dzisiaj niż niepewne jutro.

Branio (*n. s.*) Własnym uszom nie wierzę.

Larik. A zatém?

Branio. (*n. s.*) Nie byłem na to przygotowany.

Larik. Dlaczego milczysz, Branio?

Branio. Ja? Nie. Owszem. Uradowałeś mnie nadzwyczajnie. Więc zgadzasz się oddać córkę Maronowi?

Larik. Tak.

Branio. Wbrew nienawiści swojéj zgadzasz się?

Larik. Kochany Branio, nie czuję nienawiści. Wierz mi. To, coś tu widział, to było poprostu rozdrażnienie. Zresztą, mój Branio, czyż śnieg w promieniach słońca nie topnieje? Czy można nienawidzieć tych, którzy nam dają szczęście? Kocham każdego, co mi dobre czyni. A krok Marona rozwiałby w méj duszy ostatni ślad niechęci, gdyby tam niechęć tkwiła. Tak, powiedz mu to i wręcz mu oznajmij, że gotów jestem przyjąć go za zięcia.

Branio. Czeka on tu niedaleko. Czy mogę go przyprowadzić?

Larik. Możesz (*ściskając go za ręce*). Z całego serca ci dziękuję. Bądź pewny mojéj wdzięczności. Jeżeli będziesz potrzebował usług moich przeciw Galgakowi, rachuj na mnie. Przywołaj Marona, ja tu przyprowadzę Lettę. Niech się zobaczą, niech pomówią. Jeszcze raz ci dziękuję (*wychodzi*).

SCENA VII.

BRANIO.

Branio. Postawił mnie w trudném położeniu. Rzeczywiście, tego się nie spodziewałem. Córka Larika wychodzi za Rzymianina? To jest łajdacki podstęp! Inaczéj zacząłbym wątpić, że się znam na ludziach... A może wabi go nadzieja wpływów, jakieby przez to u Rzymian posiadł... Larik, spowinowacony z Maronem, zaćmi mnie.. Odezwą się w nim wszystkie zadawnione urazy... Tacy ludzie długo pamiętają urazy... Gdyby się nawet skompromitował, będzie miał obrońcę w zięciu. Tak... oddając mu córkę, usuwa wszelkie podejrzenia, rozwiązuje sobie ręce i zyskuje bezpieczeństwo na wszelki wypadek... I ja tego nie przewidziałem!.. To fatalne!—W takim stanie rzeczy nie pozostaje mi nic lepszego, jak czemprędzéj go zadenuncyować. Jest to jedyny środek. Sumienie nakazuje mi chwycić się go w interesie dzieci. Mam podejrzenie, że ten szpieg, którego dziś schwytano, był posłem do Larika. To jest jedyny środek, inaczéj byłbym zarznięty własną brzytwą...

Larik (*za sceną*). Letta! Letta!

Branio. Idę do Marona.

Letta (*za sceną, śpiewa*):

„Za morze wietrze dmij,
Za morze łódko płyń!

Za morzem słońce świeci jasno,
U nas we mgle promienie gasną.
Za morzem szczęście, wiosna, raj,
Ach! nie to co mój kraj!“

Branio. Podobno to córka Larika... (*Letta za sceną znowu zaczyna śpiewać tę samą zwrotkę*). Trzeba się śpieszyć... Może mi się uda wpłynąć na Rzymianina (*wychodzi*).

SCENA VIII.

LETTA. Późniéj kolejno: LIDYA, LARIK, BRANIO i MARO.

Letta. (*wchodzi z pieśnią na ustach, którą urywa; w ręku trzyma niezapominajki, na głowie ma diadem, na piersiach pallę* [„*palla*“]). Zdawało mi się, że ktoś mnie wołał po imieniu. Może to Lidya, bo miała dziś przyjść do mnie. Zmartwię ją, oddając jéj podarunek, ale cóż robić. (*Upuszcza kwiaty*) Oh! (*zbiera*). Nic mi się dziś nie wiedzie. Kuno mnie w tym stroju zastał, teraz znów kwiaty gubię. Obrzydliwy dzień (*wbiega Lidya*).

Lidya (*wbiegając*). Nareszcie cię znajduję. Stukałam do wszystkich drzwi, ale pozamykane.

Letta. Jak się masz, droga!

Lidya. Jak się masz, jak się masz! W takiéj chwili przynajmniéj powinnabyś siedzieć w domu.

Letta. Czy się co stało?

Lidya Zaraz ci powiem. Ach! jak ci w tém ubraniu prześlicznie.

Letta. Cóż z tego, kiedy muszę ci je oddać!

Lidya. Jakto? Dlaczego?

Letta. Ojciec mi kazał.

Lidya. Dlaczego?

Letta. Dlatego, że się tak ubierają Rzymianki, a on nie chce, żebym się ubierała jak Rzymianki.

Lidya. Ależ to nieznośny dziad!

Letta. Żebyś ty wiedziała, co ja cierpię, to okropność. Ubrać mi się nie wolno, rozśmiać mi się nie wolno. Kiedy się wszyscy bawią, kiedy się wszyscy weselą, ja muszę butwiéć w zamknięciu. W tych dniach będą igrzyska. Prosiłam, żebyśmy poszli. To mi powiedział, że nie o igrzyskach mam myśléć, ale w komorze siedziéć i płakać. Płakać! Wyobraź sobie, kiedy się wszyscy bawią, ja mam płakać!

Lidya. Czy on oszalał? Czego płakać!

Letta. Dobra jesteś! Czego płakać! Płakać, że tu są Rzymianie, że się ludzie bawią, że—doprawdy, już sama nie wiem, wszystkiego płakać i płakać! (*płacze*).

Lidya. Ale to okropne, moja droga. On ma chyba źle w głowie. Płakać, że są Rzymianie! Ależ on cię zamorduje takiém postępowaniem!

Letta. Jestem nieszczęśliwa! Tęsknię do czegoś, czegoś pragnę. Kiedy patrzę na ten świat, na ludzi, którzy mają wesele w sercu, uśmiech na ustach, to mi się dusza do czegoś wyrywa, a tu nic, nic, tylko pokutuj! Za co? Żebym choć co była winna, żebym ja tu tych Rzymian sprowadziła! Doprawdy, nie wiem, jak ja to wytrzymam.

Lidya. To mnie oburza! To jest okropne! Ah, to okropne!.. Ale się to niedługo skończy. Jest ktoś taki, co cię wybawi z téj niewoli. Domyśl się kto. Z tém tu do ciebie przybiegłam. Wypadkiem podsłuchałam rozmowę jego z Braniem. Stało się, jak mówiłam. Chce się z tobą ożenić...

Letta. Maro?!

Lidya. Dziś jeszcze będzie prosił ojca o twoją rękę.

Letta uderza w dłonie.

Lidya. Czy się tego nie domyślałam? Czy ci nie mówiłam?

Letta. Ale co ojciec powie? Truchleję na samą myśl.

Lidya. Kpij sobie z ojca! Musi pozwolić choćby dlatego, że będzie się bał zemsty Marona. A gdyby się uparł, no, to już ja to biorę na swoją głowę. Nie pozwolę cię zamęczyć. Maro niedługo wraca do Rzymu—wiem to od mego męża. Będzie się tam starał o kwesturę. Jak tylko zechcesz, możesz z nim pojechać. Ojciec niech sobie gada, co chce, to nas nic nie obchodzi. To nie do wytrzymania siedziéć ciągle wpośród téj dziczy, jeszcze jak się ma takiego ojczulka, taką obrzydliwą mumię. W Rzymie dopierobyś odetchnęła. Dopierobyś zobaczyła, co to jest świat, towarzystwo, zabawy. Jak się stary będzie wzdragał, pojedziesz, i rzecz skończona!.. Maro tu pewno przyjdzie. Okazuj mu życzliwość! Nie zważaj na ojca! Co taki stary dziwak może wiedziéć! Niech gada, co chce! Młodzi muszą żyć, młodość ma swoje prawa. Niéma zacniejszego człowieka, jak Maro. Na twojém miejscu byłabym uszczęśliwiona!

Letta. Ale czy to tylko prawda?

Lidya. Zawiodłam cię kiedy? Zawiodłam? Cóż to? Nie wierzysz mi? Od jakiegoż to czasu? Jeżeli mnie nie wierzysz...

Larik (*za sceną*). Letta!

(*Lidya i Letta słuchają*)

Larik (*za sceną*). Letta, Letta!

Letta. To mój ojciec!

Lidya. To twój ojciec. Uciekam. Nie chcę się z nim widziéć.

Letta. Zostań!

Lidya. Nie, nie. Bądź zdrowa! Nie daj się zagadać! Stawiaj się hardo. Trzeba, żebyś się umiała cenić. Powodzenia! (*wybiega*).

Letta. Lidya ma racyę. Gdyby nie moja uległość...

Larik (*za sceną*). Letta! Letta!

Letta. Niech sobie woła.

Larik. (*za sceną*) Gdzie się podziała!.. Letta, odezwij się!

Letta. Nie odezwę się!

Larik. (*wchodząc*) Gdzie ty się chowasz?

Letta. Nie chowam się wcale.

Larik. Więc dlaczegóż cię nie mogę znaleźć?

Letta. Byłam w ogrodzie. Kuno mnie wypędził z domu—zbierałam kwiaty dla Lidyi.

Larik. I znowu widzę na twém czole tę wstrętną przepaskę, i znowu ten obrzydliwy rzymski łachman. Czym ci nie kazał pozbyć się tego! Czym ci nie kazał zwrócić tego Lidyi!

Letta. Jeszcze nie miałam kiedy.

Larik. Nie miałaś kiedy? A ustroić się w to miałaś kiedy?!

Letta. Ubrałam się, bo wszystkie dziewczęta się tak ubierają. Zresztą, w tém mi jest do twarzy.

Larik. Do twarzy ci jest?

Letta. Tak, jest mi ładnie.

Larik. Ładnie ci? A ty suko! To ty dlatego, że ci ładnie, ubierasz się jak ulicznica.

Letta. Każdy się ubiera jak chce... nie jestem suka.

Larik. Letta! Widzisz ty moje siwe włosy?! Czy ty wiesz, jak mi krwawisz serce?!... Letta!

Letta. Wybacz...

Larik. Niech cię krew zaleje, jeżeli ja ci mam wybaczać. Jeżeli ja ci mam wybaczać, to bodajeś była zgniła w żywocie matki. Nie po tom cię chował, abym ci musiał wybaczać. Suko! zrzuć to ze siebie, zrzuć to natychmiast, jeźli nie pragniesz doznać mojego gniewu!

Letta. (*Zdejmuje diadem i pallę, i rzuca mu pod nogi*) Masz!

Larik. (*załamując ręce, n. s.*) O, czemuż jéj nie mogę zabić w téj chwili! Powiedzianoby, żem to uczynił dla uniknięcia związków z Maronem. Żółć mnie udusi. Gotowaby mnie zdradzić!.. (*stoi przez chwilę zamyślony*) Pójdź no tutaj! (*po chwili*) Wybaczam ci!

Letta. (*wykrzywia pogardliwie usta*).

Larik. Uważasz... nie chcę się dziś gniewać. Uważasz. Przyjdzie tu zaraz pewien patrycyusz, niejaki Kajus Maro, który chce cię wziąć za żonę. Uważasz—za żonę. Jeżeli będzie do ciebie mówił, odpowiesz mu... odpowiesz mu, jak ci serce podyktuje. Ja nie mam nic przeciwko temu, a chcę, żeby on wiedział, jak ci serce dyktuje. Czy masz apetyt na tego patrycyusza? Co?..

Letta. Myślę, że jestem warta patrycyusza.

Larik. A te łajdaczki rzymskie, z któremi się oni żenią, te, co to po łaźniach chodzą, czy także są warte patrycyuszów?

Letta. Te nie są ich warte.

Larik. Nie są? Phsssi! Ty masz głowę! przekonywam się, że ty masz głowę. Niech się udławię, jeżeli ty nie masz głowy! Ha, więc to tak! A no dobrze. (*szmer za sceną*) Oto już pewno idą... Trzeba to schować tymczasem... (*Ukazują się Maro i Branio. Podczas gdy oni na stronie mówią, Larik zbiera rzucone przez córkę rzeczy, zwija je w tobołek i chowa za pazuchę*).

Branio. (*do Marona, n. s.*) Jeszcze raz ci mówię, jako przyjaciel, namyśl się, odłóż to na kiedy indziéj.

Maro. (*do Brania, n. s.*) Nie, to jest nieodwołalne.

Branio. (*do Mar., n. s.*) Żebyś późniéj nie żałował. Mówię ci... W tém jest podstęp...

Maro. (*do Br., n. s.*) Przestań, przestań!.. Oto Larik!

SCENA IX.

LARIK, LETTA, MARO, BRANIO.

Maro. (*do Larika.*) Panie. (*kłania się nizko*).

Larik. Witaj, Maronie. Zawsze mi byłeś pożądanym gościem, ale dzisiaj stokroć milszym jesteś niż kiedykolwiek.

Maro. Przychodzę, aby z ust twoich usłyszéć to, o czém mnie uprzedził Branio, że dobrze przyjąłeś mą prośbę. Chcę wierzyć, że...

Larik. O tak, możesz wierzyć!.. Branio dobrze ci zamiary moje wyłożył. Podaj mi rękę, Branio. Dziękuję ci. Maronie, być może, że słyszałeś kiedy od wrogów moich, jakobym nie kochał Rzymian. Niechże życzliwość moja dla ciebie kłam temu zada. Postanowienia moje wyczytasz z tego uścisku. (*Otwiera mu ramiona, potém, wskazując na Lettę*) Oto córka.

Maro. (*kłaniając się*) Pani.

Letta (*kłania się*).

Maro. Słyszałaś, jaka jest wola ojca. Należysz do mnie już z obowiązku posłuszeństwa. Pragnąłbym, aby ten obowiązek nie był ci przykrym. Pragnąłbym, aby chęci twoje mówiły za mną. Składam ci u stóp moją przyszłość. Odpowiedz mi, wolę ojca wesprzéj słowem własnego przyzwolenia.

Letta. Oto jest moja ręka. Panie, jak ty mnie chcesz poślubić, tak ja chcę pójść za tobą wszędzie, gdziekolwiek mnie powiedziesz.

Maro. (*Biorąc jéj dłoń w swoją*) Powiodę cię do chwały, do szczęścia.

Larik. Cieszę się, cieszę się, niech się podemną ziemia rozstąpi, jeżeli się nie cieszę. Oto jest córka! Maronie, godna ciebie dziewica, szlachetny Maronie! Niech cię uściskam! (*ściska Lettę*) Niech was uściskam! (*ściska Marona*). Ciebie Branio! (*ściska dłoń Brania*) Ty byłeś sprawcą naszego szczęścia. Podziękujcie Braniowi. (*Maro i Letta zbliżają się i dziękują*) Niech umrę, jeżli mnie to wszystko nie raduje. Tak, podziękujcie.

Branio. Niéma tu mojéj zasługi. Maro chciał; ty, Lariku, umiałeś ocenić zaszczyt, jaki ci Maro wyrządził...

Larik. Sprawiedliwe nieba!..

Maro. Zaszczyt jest tu na obie strony równy. Jestem obywatelem zwycięskiego narodu, ale tutaj przyszedłem jako zwyciężony. Serce moje uległo. Mam nadzieję, że jak ta moja porażka będzie dla mnie źródłem radości, tak i dla was po klęsce lepsza przyszłość zaświta.

Larik. Oby tak było, oby tak było!.. Letto, trzeba uczęstować miłych gości. Zaprowadź ich do izby. Proszę, raczcie, drodzy przyjaciele! Letta, prowadź!

Letta. Pozwólcie za mną.

(*zaczynają wychodzić Letta, Maro i Branio*)

Larik. Letto!

Letta. Co, ojcze?

Larik. Pójdź, przytul się do moich piersi.

(*Letta waha się przez chwilę, potém idzie i obejmuje ojca*).

Larik. Jesteś szczęśliwa?

Letta. Tak.

Larik. Idź! (*do Mar. i Br.*) Wybaczcie, żem ją zatrzymał. Chciałem się jéj dotknąć... chciałem się upewnić, że to ona.

Letta. (*zapraszając*) Maronie!.. (*wychodzą*)

SCENA X.

LARIK.

Larik. (*twarz wykrzywia mu się boleśnie, ręce załamane*) Suka! (*po chwili*) Suka... Suka!.. (*wyciąga rękę*) Nie położysz się w jego łóżku... Jego łóżko będzie wprzód zniszczone... On sam będzie zniszczony... Wszystko będzie zniszczone... Haaa! (*wychodzi szybko za poprzedzającymi*).

(*d. c. n.*) *Jan Gadomski.*



POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI.(1)

3. Albert Delpit.

Miłośnicy teatru zachowają długo w pamięci scenę z komedyi przedstawionéj kilka lat temu na deskach teatru *Gymnase*, w któréj syn byłéj nierządnicy „Koralii“ dowiaduje się o hańbie swojéj matki. Opuściwszy Paryż i prowadzone w nim rozpustne życie, zmieniwszy nazwisko, przywdziawszy strój bogatych owerniackich wieśniaczek, przedzierzgnęła się „Koralia“ w „Ciotkę Dubois“, poważną i cnotliwą matronę. Wychowany przez nią, jako jéj siostrzeniec, wypiastowany na dzielnego i szlachetnego młodzieńca, z wytwornêm wykształceniem, z pięknemi przymiotami duszy, ze świetną przyszłością w obranym wojskowym zawodzie, odkrywa nagle nieszczęsny „Daniel“, że ta kobieta, w któréj przywykł czcić, kochać, uwielbiać nietylko dobrodziejkę swoję, ale wzór, ideał wszystkich cnót niewieścich, że ta najczystsza, w jego pojęciu, najświętsza z kobiet, jest jego matką, i że téj matce na imię „Koralia.“ W jednéj chwili wszystko, co do niego należało lub należéć mogło, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość rozsypuje się w proch pod jego nogami. Szpadę, którą nosi przy boku, trzeba mu złamać, aby nie plamił swoją niesławą honoru armii; dostatki, które go otaczają, trzeba mu odrzucić ze wstrętem, serce nawet wydrzéć sobie z piersi, trzeba i wyrzec się od wczoraj pozyskanéj narzeczonéj. Toć nie może być ona narzeczoną syna „Koralii“!

Wśród tego opłakanego rozbicia, jak tonący majtek, chwyta się on ostatniéj deski zbawienia, ostatniéj nadziei.

— Mój ojciec? — pyta — kto jest moim ojcem? Może ta krew, która płynie w moich żyłach i bije w mojém sercu, jest jego krwią

(1) Ob. zeszyt styczniowy „Ateneum“ z r. b.

szlachetną i czystą! Może to, co czuję dobrego, uczciwego i do podniosłych czynów pochopnego w sobie, jest spadkiem po nim. Kto on?

„Koralia“ milczy i odwraca oczy.

— Nieszczęśliwa! nawet tego nie wie!

Wystarczałoby téj jednéj sceny, aby wydzielić panu Delpit miejsce między realistami. Niewiele równie realistycznych mieści w sobie spółczesny repertuar teatralny i sama spółczesna biblioteka powieściowa. Nie brakuje zaś i innych podobnych w literackim bagażu autora „Solanży de Croix St. Luc.“ U żadnego atoli z jego współzawodników proporcya przeciwnych, idealistycznych pierwiastków nie dosięga równie wysokiéj skali. U żadnego także stosunek wzajemny dwóch pierwiastków nie okazuje się zawisłym od równie kapryśnéj choć stale wpływ swój wywierającéj przyczyny. W tym względzie Delpit stanowi bardzo osobliwe i oryginalne zjawisko— choć bez osobliwego ani oryginalnego talentu. Z przekonania, wykształcenia i ogólnego artystycznego kierunku jest on realistą, realistą nie cofającym się pod niczém, albo mało przed czém. Ostrzeżona o nieprzyjaznych zamiarach byłego swego kochanka, pana „de Bruniquel“, który wybiera się zdradzić tajemnicę jéj przeszłości przed ojcem narzeczonéj „Daniela“, „Ciotka Dubois“ ucieka się bez wahania do wspomnień téj przeszłości dla zwalczenia groźnego przeciwnika; naznacza mu nocną schadzkę i próbuje, w obronie syna, zwycięskiéj niegdyś broni nieprzekwitłych jeszcze wdzięków. „Ciotka Dubois“ wdziewa napowrót maskę „Koralii.“ Kto nie wzdrygnął się przed taką metamorfozą, od tego realizm niema prawa wymagać nic więcéj. Ale rozlubowanego w brutalnéj prawdzie téj sceny, czy téż, podług gustu, obrażonego nią czytelnika czeka niezawodząca nigdy u Delpit'a niespodzianka. Niech odwróci kartkę, a będzie przez cały rozdział pływał, z dorastającym do wszystkich romantycznych bohaterów „Danielem“ i z prześcigającą najheroiczniejsze bohaterki „Edytą“, w najpowietrzniejszych lazurach najczystszego ideału.

Jest bowiem coś, co włazi ustawicznie w drogę realistycznéj oryentacyi Delpit'a i zastosowanym do niéj intencyom i założeniom jego powieści. Tém czémś zaś jest podobno jego temperament. Wszystko zdradza w nim człowieka obdarzonego wyjątkowo wrażliwą wyobraźnią a czułém sercem, wyjątkowo skłonnego do entuzyazmów i uniesień. Zdarza się tedy, że rozczula się on i entuzyazmuje do téj lub owéj z kreowanych przez się postaci i wówczas traci, patrząc na nią i mówiąc o niéj, grunt realistyczny pod nogami a zaczyna chodzić po obłokach. Samo z siebie idzie, iż kreacyami oddziaływającemi nań w ten sposób są kreacye sympatyczniejsze; zaczém idzie znowu, iż w każdéj prawie jego powieści widać dwie grupy

osób: jedną z istot naturalnych, żywcem pochwyconych z rzeczywistości i przedstawionych tak jak je Pan Bóg stworzył, bez sztucznych dodatków i opuszczeń, z przyłożeniem się nawet artysty do wiernego odwzorowania, za przykładem holenderskich lub niemieckich mistrzów, wszystkich rysów modelu, nie wyłączając zmarszczek, blizn i brodawek; drugą—istot nadprzyrodzonych, złożonych z mgły, napojonych eterem i odzianych tęczą.

Osnowę swych powieści i główne jéj figury czerpie pospolicie Delpit z życia spółczesnego; oprawia najczęściéj w ramy artystycznéj kompozycyi fakta i typy prawdziwe, zdarzone i spotkane w życiu; tylko w wykonaniu tak obmyślanego założenia ulega on nieszczęsnym owym wpływom przyrodzonego swego temperamentu i pisze powieść *à côté.* Historya to, między innemi, ostatniéj z jego powieści, drukowanéj w *Revue des deux Mondes*, w ciągu zeszłego roku: „Solanży de Croix St. Luc." „Solanża de croix St. Luc", to Zofia de Chaulnes, księżniczka Golicyn z domu. Trzy lata temu, kiedy skandaliczny proces, wytoczony przez matkę zmarłego księcia de Chaulnes, starą księżnę de Chevreuse, pięknéj synowéj, a zakończony publiczném zniesławieniem biednéj kobiety i odebraniem jéj opieki nad dziećmi, wlókł się przed kratkami tutejszych trybunałów i walał na tutejszym bruku najpiękniejsze francuskie imiona. Delpit odegrał czynną rolę w roznamiętniającym opinią publiczną familijnym zatargu. I rolę godną szlachetnego człowieka. Z pomiędzy głośniejszych pisarzy, on jeden ośmielil się wystąpić w obronie nieszczęsnéj ofiary arystokratycznego samolubstwa i religijnego fanatyzmu. I zapewne wtedy już przyrzekł sobie pomścić kiedyś, w przekazanym potomności utworze, zhańbioną pamięć niewinnéj żony i matki. Skutek nie odpowiedział w zupełności dobrym jego chęciom. Serce i wyobrażenia wypłatały mu znowu figla. Jak natchnieniom posłuszny, chciał on zrobić za dobrze, a zrobił nicpotém. Zapewne Zofia de Chaulnes i tragiczne jéj losy dają się poznać w jego powieści, ale, skoro podjął on już tę pośmiertną rehabilitacyą, skoro podejmując ją, nie cofnął się przed żadną bodaj najdelikatniejszą stroną poruszanych, niedalekich wspomnień, przed niczyją drażliwością i przed niczyim gniewem, toć godziło mu się przedstawić bohaterkę i klientkę swoję taką, jaką była, a jaką poznał, lub poznać ją był powinien, gdy jéj niedola a jego sympatya zbliżyły go do niéj. Sprawa jéj byłaby niezawodnie zyskała na tém, a i sprawa literatury także.

Prawdziwa „Solanża de Croix St. Luc", ta, któréj na imię: Zofia de Chaulnes i która ma swoje miejsce w historyi spółczesnéj tutejszego społeczeństwa, jest typem nie wiem czy koniecznie słowiańskiéj ale surowéj, prostaczéj natury niewieściéj, wchodzącéj w zetknię-

cie z tutejszym przealembikowanym światem. W odległym od stolicy, prowincyonalnym kącie, między ojcem ideologiem a matką nieco ekscentryczną, w swobodzie wiejskiego życia wyrósłszy, wpada ona nagle w świat całkiém odmienny, budzi się do nowego życia na bruku paryskim, śród obcych sobie, nieswojskich żywiołów. W dodatku chwyta ją brutalnym uściskiem dziwaczny, paradoksalny tych żywiołów antagonizm: z jednéj strony mąż, typ dzisiejszego, arystokratycznego sportsmena, który mężnie stawał na polach bitew przed Prusakami, ale stracił zdrowie na rozpustach, a zaczyna obznajmianie młodéj żony z uciechami małżeńskiego pożycia od włóczenia jéj po eleganckich knajpach w dobranném towarzystwie podobnych do siebie klubowców. Z drugiéj strony teścia, typ spółczesnéj arystokratycznéj matrony, która zrobiła heroicznie ofiarę z dwóch swoich synów ojczyźnie, a straciwszy jednego, trawi czas na dewocyi i dobrych uczynkach, ale tam gdzie obowiązek (uznany i pojęty przez nią) milczy, a odzywa się głos dumy rodowéj lub egoizmu familijnego, tam serce jéj staje się z kamienia, tam dochodzi ona z łatwością do wniosku, że synowa, która powiła dwoje dzieci i zapewniła przyszłość „domu“, zrobiła swoje i pozbyć się jéj wolno, jeśli można, a jeśli można, pozbywając się jéj, zachować we własnych ręku rząd tego „domu“ i wszystkiego, co do niego należy, nie wyłączając dostatków i rezydencyi we wspaniałych pałacach, w zamkach, i wychowania, podług własnego widzimisię, owych z radością powitanych niemowląt, tém lepiéj! I godzi się tedy, dla dopięcia tego celu, skorzystać z każdéj zręczności, z każdego przewinienia zawadzającéj synowéj, i uchwyciwszy tę zręczność, wyzyskać ją bezlitośnie; w imieniu moralności, religii i prawa, zgnieść biedną kobietę, zdeptać ją, zhańbić; wydrzéć jéj serce z łona razem z dziećmi, które nosiło to łono, zabić ją i odmówić nawet uczciwego pogrzebu, a przeto zostać szanowną matroną i starszą córką kościoła!

A ta biedna kobieta jest piękną jak bóstwo z ogniem w żyłach, z dziecinną lekkomyślnością w głowie, z wieśniaczą prostotą w sercu, z ustawiczną naokoło niéj napaścią pokus wszelkiego rodzaju, i tak łatwo złowić ją w nastawione sidła! Jednego dnia trafia się między mężowskimi towarzyszami, większy od innych łotr, który dla własnéj chluby kompromituje ją, dostarcza pozorów choć błahych przeciwko niéj i nieubłagana teścia dopełnia egzekucyi.

Obok téj *prawdziwéj* „Solanży“, obok téj rzeczywistéj tragedyi jéj losów przeszedł Delpit i poszedł tam, gdzie go wyobraźnia uniosła. Jego romansowa „Solanża“ jest powtórzonym poraz setny, a ckliwym jak zawsze wizerunkiem kobiety *niezrozumianéj*, żony, która nie znalazła swojego ideału w udzielonym sobie przez przypadek to-

warzyszu życia, szuka tedy ideału tego obok, znajduje go, ale pozostaje czystą, mimo oskarżających ją pozorów. Nie podobało się nawet autorowi doprowadzić téj swojéj fikcyjnéj bohaterki do historycznego kresu jéj bolesnych przeznaczeń. Pozwolił on jéj odzyskać syna wydartego jéj objęciom przez wyrok trybunałów, wróconego jéj macierzyńskiéj miłości przez szlachetną interwencyą wiejskiego proboszcza, który umie przebłagać starą dueryerkę, matkę hr. „de Croix St. Luc." Podobało mu się nawet, aby po śmierci męża nowe przez kościół pobłogosławione śluby połączyły jego „Solanżę" z tym, którego wybrało jéj serce. — Nie tak łaskawym był los *prawdziwéj* „Solanży." *Prawdziwa* „Solanża" umarła w 25 m roku życia na poddaszu ubogiego domku, w dzielnicy roboczéj *de la Villete*", w łóżku biednéj wyrobnicy, która jéj dała przytułek. Umarła, nie zobaczywszy zabranych sobie dzieci. Umarła z nędzy, boleści, wstydu, rozpaczy i gorączki, wywołanéj szaloném użyciem morfiny. I prócz owéj litościwéj kobiety z ludu, nikt się nie zlitował nad nią, nikt jéj nie przebaczył, nikt nie dał się przebłagać. Prawdziwa dueryerka (księżna de Chevreuse) nie pozwoliła żadnemu spowiednikowi nakłonić siebie do mniéj surowych uczuć, wytrwała do końca przy swéj nienawiści, przy swéj wzgardzie, przy wydartéj prawnie opiece dotąd pod jéj strażą rosnących dziatek i przy nieprawnie zagrabionym a dotąd w jéj rękach zostającym majątku.

Trzeba zresztą oddać Delpit'owi tę sprawiedliwość, że przynajmniéj w ogólnym zarysie charakteru srogiéj patrycyuszki potrafił utrzymać się przy prawdzie i nie cofnął się przed jéj oddaniem. Zwalczona cierpieniem, chora i bliską śmierć widząca przed sobą „Solanża" pisze do teści:

„Pani, jestem zwyciężoną. Niezadługo przestanę należeć do tego świata; błagam cię, pozwól, abym nie poszła bez zobaczenia mojego syna."

Stara hrabina zostawia tę odezwę bez odpowiedzi i daje szorstką odprawę ujmującemu się za biedną synową księdzu „Lenoir."

— Ależ ta nieszczęśliwa matka umrze!

— Cóż ztąd? Umrze źle, tak jak źle żyła.

I oburza się zawzięta w swém postanowieniu dewotka na poczciwego sługę bożego. Jakiém prawem ten syn jakiegoś chłopa, czy robotnika wtrąca się do domowych spraw rodziny „de Croix St. Luc"?—Ksiądz „Lenoir" jest zresztą kreacyą czysto fikcyjną, tak jak fikcyjném, w powieści Delpit'a, dokonane przezeń nawrócenie *in extremis* dumnéj i nieugiętéj penitentki. W historyi, obok prawdziwéj hr. de St. Luc, obok zamkniętéj w zdobytym na synowéj zamku jak

w fortecy i ze słynném benedyktyńskiém opactwem w *Solesmes* sąsiadującéj księżny de Chevreuse, widać tylko gromadę fanatyczniejszych od niéj saméj i twardość jéj serca hartujących mnichów.

Nie odważył się też Delpit odwzorować w kopiowanym przez się modelu jednego charakterystycznego rysu: chciwości, idącéj w parze z dumą rodową i religijnym fanatyzmem. Prawdziwa „hr. de St. Luc“ nie uznaje w swéj synowéj matki swoich wnuków, godnéj tego imienia i godnéj przywiązanych doń praw i obowiązków, ale przedewszystkiém uznaje siebie samę godniejszą do rezydowania w „Sablé“ i reprezentowania tam wielkiego rodu książąt de Chaulnes, de Luynes i de Chevreuse. P. Delpit cofnął się tym razem. I cofnął się raz jeszcze przed powtórzeniem, w całéj jéj grozie i hańbie, okropnéj procedury, która zapewniła tryumf teści nad synową, a która pozostanie plamą sądownictwa francuskiego w XIX wieku, tak prawie jak w XVIII procesu kawalera de la Barre czy Calas'a.

Bojaźliwa oględność podyktowała mu przeniesienie akcyi sądowéj na prowincyę, a i tam jeszcze kazała mu rzucić na jéj przebieg ostrożną zasłonę. Zaledwie zdobył się on na dwuznaczne tu i owdzie zanotowanie domyślnéj uległości panów sędziów wywieranym na nich z wysoka wpływom. *Prawdziwa* akcya sądowa rozegrała się przed 3-ą izbą cywilną paryską i była od początku do końca walką bezbronnéj kobiety z koalicyą wielmożnych, przeciwko jéj sławie i jéj prawom sprzymierzonych potęg. Całe przedmieście St. Germain stało za krzesłami panów sędziów i kierowało ich sumieniem. I przez trzy miesiące widziano i słyszano rzeczy ohydne, o pomstę wołające do tego Chrystusa rozkrzyżowanego tam na ścianie nad głowami sądzących, u którego stóp nawet jawno-grzeszna niewiasta znalazła miłosierdzie. Widziano i słyszano tych ludzi wydających w imieniu liberalnéj rzeczypltéj wyroki, zredagowane w stylu św. inkwizycyi. Widziano podrobione dokumenta i słyszano najętych świadków. Słyszano wielkiego adwokata, oskarżającego nieszczęsną matkę o hańbę ostatnią, o pijaństwo i o rozpijanie własnych dzieci i przedstawiającego tytułem dowodu rachunek restauracyjny z zamieszczoną na nim—butelką czerwonego wina, tak jedną butelką czerwonégo wina na pięć osób! I widziano prokuratora liberalnéj rzeczypltéj przyjmującego ten dowód, powołującego się nań i robiącego zeń broń morderczą! Na podstawie takich dowodów zamordowano legalnie *prawdziwą* „hr. de St. Luc.“ Trzema miesiącami późniéj ta rozpustna i w pijanych orgiach macierzyństwo swe poniewierająca kobieta umierała z nędzy, bo nie chciała przyjąć jednego solda z milionowego dożywocia na mężowskim spadku, od którego litera prawa nie pozwoliła jéj odsądzić!

Delpit nie jest człowiekiem, coby się był mógł podnieść w tym razie do téj roli wielkiego, w imieniu opinii publicznéj przemawiającego superarbitra, którą mu obrany przezeń przedmiot przeznaczał. Chciał może, ale mu odwagi zarówno i sił zabrakło. Biedna Zofia de Chaulnes czeka jeszcze drugiego Woltera.

„Syn Koralii“ pozostanie prawdopodobnie arcydziełem miłego redaktorom i czytelnikom „Revue des deux Mondes“, w pół-światłach najczęściéj, półcieniach i półsłówkach lubującego się pisarza. Jego ex-kokotka, prowadząca przykładne i poświęceń nawet pełne życie, wychowująca syna wzorem najlepszych matek, ale nie domyślająca się nawet, że oddane temu wychowankowi dostatki są hańbą w jego ręku, nie wzdrygająca się przed ofiarowaniem jego narzeczonéj zebranych z rynsztoka brylantów, odgrywająca przybraną na się rolę z werwą wytrawnéj aktorki, kłamiąca bez skrupułu o wszystkiém i przed wszystkiemi, jest typem doskonałym. Doskonałym także jest p. „de Bruniquel,“ o którym nie wiadomo i który sam nie wie, czy zdradza przed ojcem pięknéj „Edyty“ tajemnicę „Koralii“ dlatego, że mu tak honor i sumienie każą, czy dla tego, że ubiegał się sam o piękną i posażną „Edytę“ i odżywiła się w nim nadzieja osiągnięcia dawnych swych marzeń, po usunięciu niebezpiecznego rywala. Delpit posunął się tu do rzadkiéj w jego utworach subtelności analizy psychologicznéj.

I daléj nawet jeszcze sięgnął on w tym, wyjątkowe miejsce w dotychczasowéj jego literackiéj twórczości zajmującym utworze. Są tam ustępy o zakroju filozoficznéj tezy *à la Dumas*. Nie domyślający się swego pochodzenia a o fizyologiczne teorye Darwinistów otarty „Daniel“ odsłania, przed wyciągającym go na słówka panem „de Bruniquel“, oparte na owych teoryach poglądy. Wyciągnął on ze swoich czytań i rozmyślań konkluzye bolesne ale logiczne:

„Wielki naturalista angielski podzielił wszystkie istoty żyjące na dwie połowy: z jednéj strony zwycięzcy, z drugiéj zwyciężeni. Ten lub ów gatunek będzie zwyciężonym, dlatego że..., słaby od początku, przekazał on tę słabość potomstwu. Inny będzie zwycięzkim, dlatego że, tą samą drogą spadkową, jego przedstawiciele stali się silnymi. Czyż nie widzimy zresztą w zwierzętach stałego odziedziczania się wad i przymiotów? Potomstwo hieny jest z urodzenia fatalnie tchórzliwém; potomstwo lwa fatalnie odważném. Wierzę zaś osobiście że to, czego nauka stwierdziła dokładność w świecie fizycznym, jest prawdziwém także w świecie moralnym. Cnotliwe albo występne instynkta odziedziczają się tak samo, jak piękne albo szpetne kształty. Dziewięćdziesiąt razy na sto, syn uczciwego człowieka będzie uczciwym, syn łotra łotrem. Zasada dziedzicznego szlachec-

twa nie ma innéj podstawy, i nawet w naszéj spółczesnéj burżuazyi, śród któréj ideę szlachectwa zastąpiły pokrewne pojęcia tradycyjnéj zacności i prawości, nie zobaczysz pan prawie nigdy, aby familia bez zarzutu łączyła się z drugą, noszącą na sobie plamę. Niesprawiedliwe to, okropne, zgoda; nie zaprzeczysz pan jednak oczywistości...“

I p. „de Bruniquel“ odchodzi, rozmyślając nad temi nowemi naukowemi poglądami, trafiającemi tak dokładnie w sens dawnych *przesądów*. Stawia sobie pytanie, „czy *przesądy* nie są przypadkiem prawdami zaćmionemi, przechowywującemi się z tym niewyraźnym kształtem w duszy narodów?“ A jednak „Daniel,“ „Daniel“ szlachetny, wspaniałomyślny, serdecznie dobry, kochający i godzien kochania, „Daniel“ syn „Koralii“ nie zdajeż się być żyjącém zaprzeczeniem tych pojęć?

Ale p. „de Bruniquel“ nie jest zdolnym do przeciągania długo podobnéj wycieczki na zawrotnych wyżynach filozoficznéj spekulacyi. Ani sam Delpit także. O Darwina i jego teorye zawadził nawet podobno tutaj autor jedynie gwoli upatrzonemu przez się efektowi scenicznemu. Bo „syn Koralii“ napisany został pierwotnie dla teatru, w formie pięcioaktowéj komedyi, i, nawiasem mówiąc, obiegł napróżno w téj formie wszystkie teatralne dyrekcye stołeczne, dopóki nie trafił w panu Montigny, byłym dyrektorze teatru „Gymnase“ na lepszego znawcę. Rozmowa tedy, w któréj „Daniel“ potępia bezwiednie sam siebie, odsądzając się od prawa do ręki „Edyty“ przed swoim rywalem, musiała przedstawić się autorowi jako *la scène à faire*.

Na tym krótkim urywku filozoficznym poprzestaje Delpit w sztuce i w powieści saméj, do któréj sztuka dostarczyła materyału. Ale rzucone tu mimochodem ziarno nie miało być straconém. Jednego dnia a raczéj jednéj nocy, Sardou, przyprawiony o bezsenność przez Dumasowskie laury, miał przejść tędy, podnieść leżący w ziemi zarodek z wszystkiém do niego należącém, to jest z „Koralją,“ jéj synem i narzeczoną jéj syna, z całym dramatycznym pomysłem Delpita i z całym personalem wchodzącym do tego pomysłu, przechrzcić „Koralię“ na „Żorżettę,“ i napisać prawdziwą sztukę *à thèse*, którąśmy oglądali niedawno w teatrze *Vaudeville*.

Zaszczyt, wyrządzony w ten sposób drugorzędnemu bądź co bądź pisarzowi przez pierwszego z żyjących tu pisarzy dramatycznych, nie wywdzięczył się zbyt pomyślnym rezultatem. Wolno jednak Delpit'owi pocieszać się własnym podwójnym tryumfem, odniesionym przed publicznością słuchającą i czytającą, na scenie i w książce. w komedyi i w powieści. Sardou znudził wszystkich czteroaktową dysputą nad zapożyczonym od Delpit'a tematem. Delpit potrafił zabawić kolejno i wzruszyć wszystkich—co jest podobno najlepszą

jeszcze do powodzenia drogą—pokazując po prostu, jak się para kochanków kocha i jak walczy z narzuconą sobie sytuacyą. Jego „Daniel“. jego „Edyta“ są istotami wyidealizowanemi, podniesionemi do nadprzyrodzonéj wysokości moralnéj, działają jak aniołowie, mówią językiem serafów, ale działają i mówią ładnie, a sytuacya, w któréj umieścił ich autor, jest jedną z najpatetyczniejszych, z jakiemi spotkać się można w teatrze. „Daniel,“ dowiedziawszy się o niesławie swego pochodzenia, wyrzeka się bez chwili wahania wszystkiego, co jest owocem téj niesławy i wszystkiego, co się z nią pogodzić nie może, majątku i zawodu wojskowego, sławy obiecanéj sobie i obiecanego z narzeczoną szczęścia. Czyni to, cierpiąc jak męczennik, ale z męczeńską słodyczą i rezygnacyą, a kiedy nieszczęsna matka pyta go, czy jéj nie przeklina,... czy jéj przebacza, odpowiada jéj:

— Zapominam.

A kiedy prosi go, aby nie poświęcał dla niéj swego szczęścia, aby wyrzekł się raczéj jéj, która nie uznała go za syna przy urodzeniu, nie dała mu swego imienia, odpowiada jeszcze:

— Prawda, nie noszę twego imienia, a więc przyjmij moje. Nie uznałaś mnie, nie uprawniłaś mnie jako swego syna, ale kochałaś mnie, pozwól więc, abym ja uznał cię i uprawnił: uściskaj mnie...

Tylko przed tą, którą umiłował i obok któréj marzył o długich latach szczęścia, przed straconą narzeczoną w ostatniéj pożegnalnéj rozmowie, łzy cisną mu się do oczu. Napróżno stara się on ukryć je pod maską obojętności i chłodu, mówić suchym językiem adwokatów o majątkowych przeszkodach, ona wyciąga go na słowa, dobiera się z niewieścią przenikliwością do ukrywanéj przed nią tajemnicy, porusza wszystkie struny jego uczuć, i wreszcie patrząc mu w twarz mówi:

— Płacz-że pan! umierasz z ochoty do płaczu!

I wtedy pierwsza skarga dobywa mu się z piersi:

— Ach, jakże nielitościwie mnie pani dręczysz! Tak, kocham cię, moja na zawsze stracona towarzyszko życia, i nigdy miłość moja nie była głębszą jak w téj chwili, w któréj przychodzę cię żegnać. Myślałem, że mi sił starczy do odegrania roli do końca, ale nie mogę dłużéj... nie mogę! Tak, płaczę i żegnam cię i umrę z tego, żem cię stracił, ale przez litość zostaw mnie, nie zatrzymuj mnie, nie pytaj o nic... Kocham cię i wyrzekam się ciebie, kocham cię i przyprawiam cię o rozpacz... Teraz ty płaczesz... osądźże, jak straszną jest moja tajemnica, skoro nawet łzy twoje nie mogą mi jéj wydrzéć!... Nie szukaj!... Niezasłużona hańba ciąży na mnie; nie jestem odtąd godny być twoim mężem.

— Ty!—tu uśmiech wspaniałéj dumy opromienia jéj twarz. Powiedz mi, że prawda jest kłamstwem, że słońce jest ciemnością, uwierzę ci prędzéj!..

W kilka dni późniéj, zebrana w domu ojca „Edyty“ arystokracya Montaubańska—rzecz dzieje się na prowincyi—rozkoszuje się złośliwemi komentarzami nad ogłoszoném zerwaniem zapowiedzianego małżeństwa. Ostre języki znęcają się nad nieszczęśliwym „Danielem.“ „Edyta“ słucha dolatujących do jéj uszu jadowitych domysłów i uwag, w milczeniu, ale ze wzrastającą niecierpliwością. Od ciotki swojéj, staréj panny „Cezaryny“, dowiedziała się ona tymczasem o ukrytym dla niéj dotąd sensie napotkanych w niejednéj powieści, a związek z dzisiejszemi jéj zaprzątnieniami mających wyrazów.

— Droga, kochana ciociu, powiedz mi prawdę... chodzi o moje szczęście... wszak jest to zbrodnią dla kobiety miéć kochanka?

Przestraszona ciocia zamyka usta swéj wychowance, zabrania jéj powtarzać okropnego słowa, którego wypowiedzenie samo zniesławić może! Posłuszna „Edyta“ rzuca się cioci na szyję, nie pyta o więcéj, wié to, co wiedziéć chciała, i teraz, w zapełnionym rodzicielskim salonie, gdy z ust zazdrośnego malarza „Morisseau“ wychodzi ostatni przeciwko „Danielowi“ wymierzony pocisk, wstaje i głosem donośnym woła:

— Znieważasz pan mojego narzeczonego, panie Morisseau; to podłość! Nie śpiesz się pan zresztą z oznajmieniem zerwanego między nami związku. Związek ten stał się koniecznym... Daniel jest moim kochankiem woła.

W téj chwili wchodzi, naglącym listem przez heroiczną dziewczynę wezwany, Daniel. Zdumiewa się i protestuje. Edyta przerywa mu mowę.

— Milcz; powiedziałeś mi o hańbie plamiącéj twój honor, chciałam takiéj saméj plamy na moim honorze. To zbliża.

I naturalnie zasłona spada nad skojarzoną napowrót i uszczęśliwioną parą.

Przyczyniło się do zjednania utworowi pana Delpit powszechnego aplauzu kilka drugorzędnych komicznych postaci, specyalnie dla potrzeb optyki teatralnéj wprowadzonych do akcyi, i z tego specyalnego punktu widzenia obmyślanych, ale rysujących się i w powieści saméj dość humorystycznemi sylwetkami, i nieco zużyty, ale nie zawodzący nigdy komicznych intencyi autorskich, typ prowincyonalnego archeologa, zbierającego stare rondle pod nazwą rzymskich hełmów, i nierównie oryginalniejszy typ malarza impresyonisty, który pociesza się po swych niepowodzeniach paryskich, zdumiewa-

jąc Montaubańskich estetyków swojemi teoryami artystycznemi. Malarz ten jest zarazem muzykiem, marzy o nowym systemacie „kolorów harmonicznych,“ o nowych kombinacyach między dwoma „sympatycznemi wcieleniami natchnienia,“ i rozwija w następujący sposób metodę, którą wybiera się zastosować do opracowania zamierzonéj opery:

„Wezmę płótno pięć metrów długie, pięć metrów szerokie, nałożę czerwonego, fioletowego, brunatnego, czarnego, niebieskiego i zielonego; pośrodku wielką plamę żółtą: żółta plama to tenor!“

Bezwzględna krytyka nie dopatrzy i w tym utworze szczęśliwego autora nic wyjątkowo głębokiego, oryginalnego, wytwornego, a doszuka się wielu usterek, wynikających po części z tego antagonizmu ścierających się w nim kierunków artystycznych, który jest znamiennym rysem jego talentu. Myśl jego zatrzymuje się i tu najczęściéj na powierzchniach, nie sięgając do głębi przedmiotu, kiedy nie gubi się we mgłach, albo nie grzęznie znowu w konwenansowych kliszach. Językowi brakuje i tu siły, dosadności, obrazowości, indywidualnego piętna, wszystkiego jedném słowem, co stanowi styl— choć nie brakuje naturalności, poprawności, jasności i swobody. Jest to jednak zawsze *udatny* utwór i więcéj takich pragnąć nam godzi się a i spodziewać się wolno od pisarza, który w sile wieku i talentu będąc, nie wypowiedział zapewne ostatniego swego słowa.

Delpit drukuje w téj chwili w fejletonie „Figara“ nową powieść p. t. „M-lle de Bressier.“

4. **Claretie.**

Kilka miesięcy temu dzienniki paryskie powtarzały jeden za drugim następujące humorystyczno-żałobne ogłoszenie:

Dnia 14 października, o godzinie 3-éj bez opóźnienia, odbędzie się pogrzeb Juliusza Claretie, literata, zmarłego wskutek dekretu ministeryalnego, powierzającego mu urząd administratora „Komedyi Francuskiéj.“

O człowieku, który mógł dać powód do podobnego żartu, który nie pomyślał o żadnéj przeciwko niemu protestacyi i o którym przypuszczać wolno, że sprawdzi zawartą w żarcie przepowiednią, o człowieku tym powiedzieć wolno także, że chyba nie był literatem prawdziwym, pisarzem z powołania i urodzenia, z krwi i kości. To pisarz z rzemiosła i rzemieślnik pióra, ale nie artysta! Trafiło mu się dziś rzemiosło zyskowniejsze, więc rzucił pióro, i, dopóki pozostanie administratorem „Komedyi Francuskiéj,“ dopóty wydawcy i księgarze płakać po nim będą. Jeżeli zaś, tak jak jego poprzednik Emil Perrin,

(malarz z rzemiosła pierwéj), umrze na przeznaczoném sobie dziś stanowisku, tedy „Jan Mornas,“ noszący datę 1885 roku, pozostanie jego literackim testamentem.

Przegląd bogatéj powieściowéj puścizny „nieboszczyka“-pisarza usprawiedliwia w zupełności to założenie. W przedmowie do „Monsieur le Ministre,“ powieści z r. 1881, przypisanéj Alfonsowi Daudet, autor odzywa się:

„Co chciałem zrobić tym razem? To co chcemy wszyscy w téj saméj godzinie: uchwycić mimochodem tę zamieszania pełną chwilę, te obyczaje nowe, to społeczeństwo prowadzące daléj przedpotopowy hałas, ten świat rozgorączkowany i nie schodzący nigdy ze sceny, ten wszystkim pożądliwościom otwarty ustawicznie jarmark, ten kiermasz wszystkich uciech, który zasmuca nas trochę a bawi nas bardzo i pozwala nam, powieściopisarzom, prostym kandydatom do prawdy, roześmiać się czasem z wiecznych kandydatów do teki ministeryalnéj.“

Już w saméj téj ogólnéj charakterystyce powieściowego spółczesnego ruchu, Claretie odsłania się takim jakim jest, z właściwą swoją *manierą* i z właściwą także ciasnotą poglądu. Ta charakterystyka, w zastosowaniu do całości spółczesnéj powieściowéj produkcyi, to negacya dobréj co najmniéj połowy talentów i dzieł. Gdzież w niéj się podziewa taki Piotr Loti ze swoją „Rarahu“? gdzie sam Zola z takiém dziełem jak „Germinal“? gdzie Jerzy Ohnet i inni? Ci *wszyscy*, o których mówi Claretie, to gromadka pisarzy, których talent jest mu bliższym, bo odpowiada jego własnym instynktom; a jeszcze ci wszyscy, *chcąc* rzeczywiście tego, co on mówi, i tego, czego sam *chce*, *chcą* inaczéj niż on, widzą co innego w owéj „pełnéj zamieszania chwili,“ w owych „nowych obyczajach, w onym rozgorączkowanym świecie.“ Bracia Goncourt widzą tam materyał do mniéj lub więcéj trafnych psychologicznych analiz, Zola temat do mniéj lub więcéj głębokich tez filozoficznych, Daudet bogactwo farb, świateł, cieniów i kontrastów do pysznych swych stereoskopowych kompozycyi, on, Claretie, widzi jedno tylko: kilka kartek z kroniki życia paryskiego, kilka *faits-divers* zebranych z paryskiego bruku. Tę kronikę pisze on z dnia na dzień w fejletonie dziennika „Temps,“ te *faits-divers* zbiera z dnia na dzień ze skrzętnością reportera; skoro zaś nagromadzi się ich spora wiązanka w jego pamięci, oprawia on je w ramy jakiejkolwiek fabuły, i wydaje pod umiejętnie wybranym tytułem u *Dentu*. „Monsieur le Ministre“ jest jedną z takich kompilacyi. Nic więcéj. Dedykując tę powieść w r. 1881 staremu swojemu przyjacielowi i „towarzyszowi drogi“, Alfonsowi Daudet, ulega podobno autor innemu jeszcze natchnieniu niż to, którego dostarczyć

mu mógł popęd czułego serca. Chce podobno zastrzedz się przeciwko oskarżeniom o plagiat i nieszlachetną konkurencyą. „Są,—mówi na wstępie swéj przedmowy,—myśli, które unoszą się w powietrzu, jak pyłek kwiatów. Od lat już wielu zbierałem notatki do téj książki...“ Co znaczy, że pomysł do „Monsieur le Ministre“, powieści wydanéj u *Dentu* z podpisem pana Juliusza Claretie, znaleść się mógł tam, gdzie znalazł się pomysł do „Numa Roumestan,“ powieści wydanéj jednocześnie u *Charpentier* z podpisem Alfonsa Daudet'a,—zawieszony tak samo w powietrzu razem z zapładniającym pyłkiem kwiatów.

I bez téj ostrożności z jego strony, byliby chyba czytelnicy obu utworów uwolnili pana Claretie od wszelkiéj odpowiedzialności. „Monsieur le Ministre“ i „Numa Roumestan,“ to wprawdzie dwie kreacye tak zbliżone do siebie obranym w nich tematem, jak tylko można. „Monsieur le Ministre“ to typ prowincyonalnego adwokata, bez innego talentu prócz gładkiéj swady w gębie, który z tego jedynego daru pomocą dobija się wysokiego stanowiska, i korzysta zeń, nie dla wcielania w czyn wielkich myśli—bo tych brakuje zupełnie w jego głowie—lecz dla używania rozmaitych nastręczających mu się teraz uciech i rozkoszy, w szczególności zaś dla zdradzania z pól-światowemi i cało-światowemi syrenami młodéj, pięknéj i w gruncie serca kochanéj przez się żony. Zamiast „Monsieur le Ministre“ napiszmy teraz „Numa Roumestan,“ a ze zmianą nazwiska odnajdziemy ten sam typ i tę samę nawet fabułę powieści. Tylko na téj tożsamości punktu wyjścia, pomysłu, założenia kończy się analogia dwóch utworów. W wykonaniu, odskakują one natychmiast od siebie, i nic właśnie lepiéj wykazać nie może zasadniczéj różnicy dwóch pokrewnych z pozoru talentów, jak trafiające się tu spotkanie ich dróg u początkowéj mety i prędki ich rozdział.

Wpadłszy na pomysł swego adwokata-ministra, co robi Alfons Daudet? Wynajduje dla wcielenia tego pomysłu postać oryginalną, którą lepi misternemi palcami artysty z osobnéj upatrzonéj gdzieś gliny, w którą wlewa odrębny temperament, którą ożywia intensywném życiem. I pokazuje nam tego adwokata-ministra z przodu i z tyłu, z wierzchu i ze środka, prowadzi nas z nim razem po stopniach jego szybkiéj fortuny. Po kikudziesięciu kartkach, znamy go na wylot, jak gdybyśmy przez pięć lat siadali z nim na ławach szkoły prawa i pijali z nim *bock*' i w knajpach dzielnicy Łacińskiéj. Jakoż są tacy wśród nas, co odnajdują w nim dobrze znajome rysy. To Gambetta! wołają. To południowiec w każdym razie, i w każdym jego ruchu, geście i słowie odbija się piętno tego pochodzenia. Kiedy pośród rodziny lub dobranego koła znajomych puszcza on swobod-

nie cugle bujnéj swéj naturze, natychmiast fantazya strzela mu z czupryny jak szampan z butelki, charakterystyczne wykrzykniki, odnajdujące się w swadzie innego Daudet'owskiego bohatera, Tartarin'a Taraskończyka, *aïe*, *ouïe*, *avai*, *açavai*, *au moins*, *differemment*, *allons*!... tryskają mu z ust. Kiedy pojawia się na trybunie, to z miną marsylijskiego atlety cyrkowego, ze specyficzną w porywającéj wymowie mieszaniną zapalczywości, werwy i humoru. Kiedy spędza wieczór w towarzystwie panny Bachellery, to w rozpiętéj kamizelce, bez surduta, z rękawami koszuli zakasanemi po łokieć dla przygotowania przedziwnéj brandady prowansalskiéj, niezrównanego specyału, w którego kompozycyi stokfisz walczy o lepsze z czosnkiem!

Nie dość na tém. Aby lepiéj jeszcze nas z nim zapoznać, pokazuje nam go autor w jego właściwém otoczeniu, przenosi nas z nim razem na południe, do rojącego się barwnym tłumem starego, rzymskie czasy pamiętającego amfiteatru w Aps-en-Provence, w środek szalonéj, tysiące par nóg razem z wielkim człowiekiem w taniec rzucającéj *farandoli*. I to jeszcze mu nie wystarcza. Sprowadza on do Paryża w ślad za swoim bohaterem, rzuca na bruk stołeczny całe to ruchliwe, barwne i ekscentryczne południe, przedziwnego „Valmajour'a," króla prowansalskich trubadurów z jego malowniczą rodziną, „Bomparda," drugiego Taraskończyka, „Mèfre'a" z Beaucaire, utrzymającego skład południowych wiktuałów, dziesięciu innych. I wszystko to umiejętnie ugrupowane, ujęte w jedne ramy, składa się na całość artystyczną, na obraz niezrównanie świetny, z którego występuje, na którego tle rysuje się z mistrzowską wypukłością form, główna, główne miejsce zajmująca postać.

Nic podobnego u pana Claretie. Kto jest właściwie p. „Vaudrey," jego adwokat-minister, zkąd się on wziął, jak wygląda, dla czego jest ministrem, na żadne z tych pytań nie odpowiada autor. Pokazuje on nam go tak, jak go sam zobaczył, przechodząc bulwarem. Wyciął jego sylwetkę z ilustrowanego dziennika, doczepił do niéj kilka skandalicznych plotek, podniesionych z bruku, i zeszył jak się udało—nieszczególnie. Minister „Vaudrey" kocha się w „Maryannie Kayser," córce malarza, która kochała się kiedyś w panu de „Lissac" przyjacielu ministra i w kilku innych osobach, a teraz nie kocha się w nikim, ale flirtuje z księciem „de Rosas," którego przywodzi ostatecznie do małżeństwa. Pan „de Lissac" kocha się w pani „de Vaudrey," która zdradzona przez swego męża, oburza się tak gwałtownie na to przeniewierstwo, że chce uciekać z nastręczającym się w osobie pana „de Lissac" towarzyszem podróży. Kto jest właściwym bohaterem téj powieści, „Vaudrey," „Lissac" czy „Rosas"? Chyba „Rosas," bo jego enigmatycznie-ekscentryczna figura

występuje w końcu na pierwszy plan. A co jest właściwą powieści treścią? Czy małżeństwem zapieczętowana intryga „de Rosas'a" z „Maryanną Kayser, na której powieść się kończy, czy upadkiem gabinetu zamknięta ministeryalna karyera „Vaudrey'a", od której się powieść zaczyna? Gdzie zaś w dodatku odbywa się ten początek i ten koniec? W jakim świecie? Adwokat-minister „Vaudrey" spotyka „Maryannę Kayser" w salonie pani „Marsy", gdzie książe „de Rosas", grand hiszpański, milioner i wielki uczony, opowiada ostatnią swoję podróż w głębi Afryki, i która tedy pani „Marsy" przyjmuje razem książąt, ministrów, uczonych i — kokotki. Prawda, że „Maryanna Kayser" przybyła ze swoim byłym kochankiem, panem „de Lissac", który ją przedstawił, nie wspominając dyskretnie o przeszłości! Gdzie Claretie widział taki świat, takie salony i takie towarzystwa? Nawet reporterskiéj dokładności brakuje w tych obrazach— tak zresztą jak w Figarowych i Gil-Blasowych kronikach salonowych, których autorowie nie widzieli pospolicie w życiu swoim niczyjego salonu.

A już myśli jakiejkolwiek głębszéj, filozoficznéj czy artystycznéj, nie szukać tutaj. Kiedy Alfons Daudet wprowadza na scenę swojego „Roumestan'a, tedy ma na oku historyczny fakt tego prawdziwego najazdu południowych karyerowiczów, prowansalczyków i gaskończyków, którego w ostatnich czasach doświadczył Paryż i kreśli genezę tego faktu. Nic podobnego u Juliusza Claretie. Po za *materyalną* stroną spisywanych przezeń zdarzeń po za wizerunkiem *zewnętrznym* kreślonych przezeń postaci niemasz dla niego nic. Widnokrąg jego nie sięga daléj.

Jakim zaś jest on w téj powieści, takim pozostaje we wszystkich innych. Rodzaj ich nie zmienia się i nie zmienia się zastosowany doń proceder. Zawsze na początku kilka czy kilkanaście opisowych kartek, scena jakowaś z paryskiego życia, obraz kulis opery w „Monsieur le Ministre", obraz otwarcia „Salonu" w „Le Million", widok śniadania na pokładzie płynącego Sekwaną statku w „Le Prince Zilah" i t. d. Wszystko niby pochwycone z natury, niby oddane z drobiazgową dokładnością i bogactwem szczegółów, a przecież nie chwytające oczu nakształt opisów Zoli, nie udzielające złudzenia rzeczywistości i nie rzeczywiste istotnie najczęściéj, nie realne mimo pretensyi do realizmu, *nie widziane*. „Vaudrey", mianowany ministrem od kilku dni, wchodzi do „foyer" tancerek opery. Wszystkie oczy zwracają się ku niemu, „a na kanapach, na około luster, gromada młodych ludzi, poprawnie ubranych i łysych, otoczonych— może przypadkiem—przez gromadę tancerek, które się śmieją, schowała się nawpół za spódnicami sąsiadek, schylając głowy i pokazu-

jąc łysiny, jak kobieta, która nie chce widzieć kogoś, chowa się na-wpół, wtykając nosek w swój bukiet. Spostrzegając ten manewr, minister uśmiechnął się. Poznał swych podwładnych z prefektur i pod-prefektur bliskich Paryża, przybyłych z Wersalu albo z Chartres i administrujących Francyą z głębi kulis Opery." — Oto próbka stylu i maniery autora. Mniejsza już o styl, którego chropowatość, niejasność, ciężka i dziwaczna składnia niedostatecznie jeszcze odbijają się w moim przekładzie. Ale kogóż taki opis złudzić potrafi? Komu zdoła wyperswadować, że „foyer" operowe roi się od prefektów i pod-prefektów — zwłaszcza od podprefektów republikańskich, biedaków mających zaledwo z czego żyć w swych prowincyonalnych dziurach!

Za pierwszym rozdziałem wypełnionym regularnie przez jeden z takich obrazków, idzie regularnie drugi rozdział, w którym autor zapoznaje nas bliżéj z głównemi postaciami powieści. Ale jakże powierzchownie zawsze! O głębszą znowu psychologiczną analizę charakterów pytać go nie należy. Ani o wielką w ich kreśleniu logikę, ani o wielką prawdę Typy to fantastyczne jak „książe de Rosas", który dowiadując się przypadkiem, w godzinę po ślubie, o przeszłości swéj dość nieoględnie wybranéj małżonki, skazuje ją na wieczyste, „*hasta la muerte*" („aż do śmierci", podług rodowéj swéj dewizy) zamknięcie w Fuentacarralskim zamku pod Toledo, jak pokrewny mu fantastyczną charakterystyką i tragicznym losem, tylko z węgierska tym razem przebrany „książe Zilah"; albo typy konwenansowe znowu, przekopiowane żywcem z króla wszystkich konwenansowych portrecistów Balzac'a, jak odnajdujący się w kilku powieściach „bankier Molina", Molina *le tombeur*, kupujący sumienia ministrów i serca baletnic, trzęsący giełdą i kulisami opery, wesoły, rubaszny i hulaszczy, typ nie istniejący w dzisiejszym przynajmniéj świecie finansowym.

W trzecim rozdziale zawięzuje się intryga, a raczéj zawięzują się intrygi, bo jest ich pospolicie co najmniéj dwie, które plączą się i kleją się jak mogą. Źle najczęściéj i dziwacznie. Pełno tu nieprawdopodobieństw, sprzeczności i prostych nonsensów. „Marsa" narzeczona „księcia Zilah" dała się rokiem pierwéj uwieść „hr. Stenko", o którym nie wiedziała, że jest żonatym. „Stenko", zawsze zakochany, domaga się od dawnéj swéj kochanki jednorazowego przynajmniéj powrotu do łaski, przed ślubem, obiecując w zamian zwrot posiadanych przez się listów—co jest tém brzydszym z jego strony postępkiem, że „książe Zilah" uznaje w nim najlepszego ze swych przyjaciół. „Marsa" odmawia. „Stenko" wybiera się wtedy posiąść gwałtem to, czego nie może otrzymać dobrowolnie, a ponieważ posiada klucz otwierający boczną furtkę parku, pośród którego wznosi się

willa zamieszkana przez „Marsę“, przeto zapowiada nieczułéj eks-kochance rychłe odwiedziny. Ostrzeżona w ten sposób „Marsa“, wié o furtce i o kluczu; mogłaby zmienić zamek, albo dodać doń prostą zasówkę, albo postawić nocnego stróża, albo wreszcie zamknąć po prostu drzwi swojego pokoju, do których „Stenko“ nie posiada klucza. Ale nic podobnego nie przychodzi jéj do głowy. Dlaczego? Dlatego, że inaczéj nie było by powieści. „Marsa“ zostawia przeto rzeczy *in statu quo*, ale rozkazuje spuścić z łańcucha ogromne brytany, niezmiernie złośliwe, które rzucają się na przybywającego nocą Don-Juana i kaleczą go niemiłosiernie. Zaczém do żywego przez ich zęby i przez „Marsy“ niegodziwość dotknięty „Stenko“ mści się, posyłając swojemu przyjacielowi, „księciu Zilah“, miłosną wspomnianą już korespondencyą, którą powierza swemu służącemu, rozkazując, aby doręczył ją *przed ślubem*. Służący spóźnia się niewiadomo dlaczego i przybywa *po ślubie*. I ztąd katastrofa. Wszystko zaś to dzieje się w Paryżu, albo pod Paryżem i wszystkie mniéj więcéj pomysły autora odznaczają się tym samym stopniem prawdopodobieństwa i dorzeczności.

Nie stanowi w tym względzie wyjątku sam ostatni jego utwór, choć niby na głębszém filozoficzném założeniu oparty, poruszający moc fizyologicznych, psychologicznych, etycznych, prawnych i ogólno-społecznych zagadnień. Mimo tych wszystkich danych „Jan Mornas“ to jeszcze i zawsze pod piórem Juliusza Claretie prosty *fait-divers*, z szablonową reporterską biegłością obrobiony. Autor zawadził przypadkowo o przedmiot głęboki, ale swoim zwyczajem zatrzymał się na jego powierzchni. „Jan Mornas“, młody i ambitny doktór medycyny bez klienteli, spotyka młodą i piękną dziewczynę „Łucyą Lorin“ z sercem bez zajęcia; rozkochuje ją, a dostrzegłszy w niéj przypadkiem skłonność do łatwego poddawania się wpływom magnetycznym, obmyśla zużytkowanie tego odkrycia dla zapewnienia sobie szybkiéj fortuny; usypia snem letargicznym niewinną swoję ofiarę i rozkazuje jéj udać się nazajutrz do Wersalu, do znajomego sobie pana „de la Berthiere“, starego sknery, dobyć z upatrzonéj przez się kryjówki przechowywaną w niéj kwotę i przynieść ją sobie. Ulegając potędze magnetycznego zaklęcia, mimo walczących z niém w jéj szlachetnéj duszy oporów i wstrętów, nieszczęśliwa „Łucya“ spełnia rozkaz. Gdy zaś ślepy i sparaliżowany p. „de la Berthiere“ zrywa się, zbierając ostatek sił dla bronienia swego skarbu, odpycha go ona tak gwałtownie, że biedny starzec padając na wznak, rozbija sobie czoło o krawędź jakiegoś sprzętu i kona. „Łucya“ wraca do swojego kochanka z pieniędzmi, ale nazajutrz policya trafia na jéj ślad i aresztuje ją. „Jan Mornas“ ucieka ze swoją zdo-

byczą, ale uśpiona napowrót przez przywołanego do śledztwa specyalistę, niewinna wspólniczka zbrodni wyjawia prawdziwego jéj sprawcę. Telegraf ściga go i dogania na granicy włoskiéj, ale przegrawszy tymczasem zdobyte przez się banknoty w Monte-Carlo, „Jan Mornas“ wyrządza sam sobie sprawiedliwość—strzelając sobie w łeb z rewolweru, nakształt pierwszego lepszego z niefortunnych klientów nieboszczyka Blanc.

Co to takiego ta powieść? Czy *medyczno-sądowe* studyum w saméj rzeczy, jak chce autor, w przedmowie, przypisującéj dzieło doktorowi Horteloup? Gdzież tam! To proste *compte-rendu* z pierwszego lepszego z tych pseudo-naukowych doświadczeń, któremi od roku popisuje się codziennie po rozmaitych salach publicznych, kawiarniach i salonach cała gromada samozwańczych naśladowców doktora Charcot. Być może zresztą, iż autor zawadził o samego doktora Charcot i przypatrzył się własnym jego doświadczeniom, podejmowanym na niewieściéj, histerycznéj klienteli szpitalu *de la Salpêtrière*. Ale czy wniknął w naukowy sens tych doświadczeń? Czy zapytał znakomitego specyalistę o sekret jego poglądów i wniosków? Czy zajrzał przynajmniéj do jego dzieł, do protokółu jego sprawozdań naukowych i komunikatów udzielonych przezeń Akademii medycznéj? Czy zestawił je z teoryami jego współzawodników, doktorów Lhuys, Richet, Broca, Brémaud? Gdzież tam znowu! Ani pomyślał o czémś podobném. Powtórzył po prostu to, co widział i co widziały i powtarzają dziś w potocznéj rozmowie tysiące osób. A za przykładem tych tysięcy widział i powtórzył bardzo niedokładnie i powierzchownie. Nie uderzył go nawet jeden charakterystyczny przecież i doniosłości pełen szczegół. Łatwość trafiająca się u pewnéj—bardzo ograniczonéj, jak sądzę osobiście—liczby istot do przyjmowania pewnych poddawanych im natchnień jest faktem skonstatowanym. Istoty te chodzą, ruszają się, spełniają rozmaite czynności, podług udzielanych im, w czasie uśpienia magnetycznego rozkazów, i powtarzają te czynności *nawet po obudzeniu*, jeżeli otrzymały odpowiednią w tym względzie wskazówkę. Można tedy wymódz na poddanym takim doświadczeniom osobniku, aby uderzył w twarz swego sąsiada, aby wyciągnął mu zegarek z kieszeni, albo strzelił doń z rewolweru. I wędrujący po Paryżu *hypnotyści* powtarzają do uprzykrzenia te próby. Ale są pewne rzeczy, których *nie można*, pewne próby ze stałem spotykające się niepowodzeniem. Sam dr. Charcot w *la Salpêtrière* nie potrafił nigdy skłonić żadnéj ze swych pacyentek do popełnienia jakiegokolwiek czynu przeciwnego *wstydowi niewieściemu*. Zkąd tenże dr. Charcot i inni poważni hypnotyści wyprowadzają ten wniosek, że magnetyczną drogą udzielane pobudki bez-

silnemi pozostają wobec silnego oporu naturalnych instynktów i wywierać mogą swój wpływ jedynie *w granicy naturalnych skłonności osobnika*, — i ten drugi wniosek, że magnetyczne uśpienie nie usuwa nigdy w zupełności *samowiedzy*. Młoda dziewczyna, która przed chwilą, posłuszna otrzymanemu rozkazowi, wymierzyła bez wahania rewolwer przeciwko własnéj matce, wzdryga się teraz przed zaleconém jéj obnażeniem téj lub owéj części własnego ciała i odmawia stanowczo posłuszeństwa hypnotycznéj potędze. Dla czego? Dla tego wnoszą uczeni specyaliści, że domyśla się ona, w pierwszym przypadku, że rewolwer nie nabity, a wié w drugim, że oczy, których się wstydzi, na nią patrzą.

Ale co wobec tego faktu dzieje się z wymyśloną przez p. Claretie fabułą i z przywiązanemi do niéj przezeń naukowemi pretensyami? W niedawno ogłoszonéj i sympatycznie przez publiczność przyjętéj powieści innego, poczynającego i mniéj pretensyonalnego autora w „Le Garde du Corps“, pana Duruy, hypnotyzm odgrywa także wielką i tragiczności pełną rolę.—Trudno dziś o powieść, która by się obchodziła bez hypnotyzmu. — Podejrzywający nagle żonę swoję małżonek zagląda jéj w oczy, usypia ją natychmiast tém w płyn magnetyczny uzbrojoném spojrzeniem i wydziera jéj tajemnicę zbrodniczéj miłości wraz z nazwiskiem kochanka. Pod względem naukowym „Jan Mornas“ stoi na téj saméj prawie wysokości.

Nie chciałbym przeto odmawiać talentowi tak poczytnego bądź co bądź i wybitne do dnia wczorajszego stanowisko w powieściowym ruchu spółczesnym zajmującego autora wszelkich zalet i przymiotów. Posiada on niezaprzeczenie dużo zręczności, pomysłowości, werwy; wyrobiony smak i prawdziwy *zmysł aktualności*. Tylko przymioty te i zalety nie wystarczają do usprawiedliwienia ambicyi pisarza, który chce być malarzem swojéj epoki, jéj ludzi, obyczajów, namiętności, tendencyi, przekonań, przesądów.... Maluje on ją, ale, aby użyć technicznego wyrażenia, maluje ją *de chic*, to jest nie z natury a z pochwyconego, a własną fantazyą dopełnionego wrażenia. Realista niby, realista z instynktu i przekonania, ale zadawalniający się kopiowaniem nie modelów żywych lecz manekinów. Pierwszy, w ostatecznéj analizie, ze spółczesnych fejletonistów, pisarzy *à la ligne*, pierwszy przed Hektorem Malot, Adolfem Bélot, Karolem Mérouval.... Jest ich cały tuzin, kładących z roku na rok i prawie z miesiąca na miesiąc tom na tomie, figurujących ze swojemi trzystoma wierszami na parterze trzech naraz dzienników, a zarówno pozbawionych wszelkiego osobistego artystycznego kierunku i ideału, zarówno naśladujących rzucone w obieg publiczny wzory, czepiających się to Alfonsa Daudet, to znowu Jerzego Ohnet, nigdy własne-

go, oryginalnego, indywidualnego natchnienia. Taki Karol Mérouval, niegdyś adwokat, zapisany do literackiego cechu od lat pięciu zaledwo, znalazł już możność wyprodukowania coś dwudziestu powieści, z których jedna i druga w trzech tomach. Ten naśladuje głównie Oktawiusza Feuillet; czasem jednak, jak mi to sam tłómaczył, zapożycza się u Zoli, i tak czy siak znajduje debiut w fejletonie małéj „République Française“ i u *Dentu*, i zarabia z jakie 30,000 fr. rocznie. Zarabia niewiele stosunkowo. Takiemu Hektorowi Malot kontrakt zawarty z „Petit Journal“ w epoce, w któréj dziennik ten nie odbijał się jeszcze w 900,000 egzemplarzy, przynosi około 250,000 rocznego zarobku. Drugi to pisarz-eklektyk. Swojego czasu, kiedy pisał „Sans famille“, oglądał się na Dickensa. Późniéj w „Germaine“, gdzie wprowadził na scenę rodaka naszego „księcia Sobolewskiego“, w nie nadto sympatycznéj roli, (podobno dla wypłatania figla książęcemu koledze od pióra z polskiém nazwiskiem, ten sam, do którego dowcipny Aurelian Scholl odezwał się kiedyś: „*tu n'es ni prince, ni lu, ni beau et je ne suis pas même sur que tu sois Mirski*“) zachwycił coś z maniery Cherbulieza. Ale czasy zmieniły się. Zawiały nowe wiatry. Bracia Goncourt wytworzyli szkołę, która dobiła się wielkiego rozgłosu, Guy de Maupassant stał się poczytnym autorem; niech żyje tedy metoda eksperymentalna! „Le lieutenant Bonnet“, ostatni utwór pana Hektora Malot ma czém zadowolnić najwybredniejszych naturalistów. Niemasz tam cienia prawie intrygi powieściowéj, żadnego założenia, żadnego rozwiązania i żadnych epizodów; ale jest wierny, w stylu wojskowego raportu, spisany protokół życia garnizonowego, inwentarz półkowych remanentów, rejestr oficerskich powinności, budżet oficerskich dochodów i rozchodów, *menu* oficerskiéj kuchni i t. d. Niech przeczyta, kto potrafi. Potrafiłem sam, bo lubię robić rzeczy sumiennie. Ale nie radzę nikomu. Wolę już stanowczo pana Claretie. Co nie przeszkadza temu, że od trzech miesięcy „Le lieutenant Bonnet“ doczekał się dziesiątego czy któregoś wydania. Militarya są w modzie; mundury oficerskie „robią *flores*.“ Najdogodniejszy to sposób przygotowania sławnego „odwetu.“ Wiedział téż Malot co robił, obierając ten temat; i na umiejętném upatrywaniu takich tematów, na owym zaznaczonym u niezaprzeczonego szefa téj powieściopisarskiéj szkoły *zmyśle aktualności* polega w znacznéj części sekret jéj powodzenia i jéj artyzmu.

5. Paweł Bourget.

Z Pawłem Bourget wracamy w sferę poważnéj literatury. Pisarz to znany od wczoraj zaledwo, ale już głośny. Napisał jednę dotąd

powieść tylko (1), ale ta powieść—„Cruelle énigme"—jest we wszystkich rękach— zwłaszcza we wszystkich *rączkach.* Ten nie naśladuje nikogo; ten umie być samym sobą; sam czegoś chce i czegoś szuka. Czego? Odpowiedzi na jedno z tych drażniących pytań, rozwiązania jednéj z tych bolesnych w saméj rzeczy zagadek, rzuconych dziś w obieg publiczny przez nowy w otaczającém go społeczeństwie zwrot ku filozoficznym zaprzątnieniom, wśród których przeważa silnie zarysowana pesymistyczna tendencya. Skąd ten zwrot i skąd ten pesymizm? Z wstrząśnienia wywołanego w umysłach pamiętnemi katastrofami „strasznego roku"? Z przedłużającego się od owéj pory niepewnego, chaotycznego układu stosunków społecznych? Z bliższego zetknięcia się tutejszego świata umysłowego ze światem niemieckim? Z wszystkich tych źródeł zarówno, podług wszelkiego prawdopodobieństwa. Jedna to z form téj wielkiéj, uniwersalnéj „newrozy", która pozostanie w historyi tego społeczeństwa charakterystyczném znamieniem dzisiejszéj doby i dzisiejszego pokolenia.

Potężniéj oczywiście odbiły się te wpływy na temperamentach wrażliwszych, w duszach artystycznych i niewieścich. W niewieścich to nawet wyobraźniach znalazł podobno specyalny pesymizm niemieckiéj szkoły grunt dla siebie najprzyjaźniejszy. Ta lub owa *mondaine*, zdradzająca słabe pojęcie o własnych francuskich klasykach, a nawet o ortografii. zdumiewa swych słuchaczy cytatami z Schopenhauera, Hartmana i Moleschotta — co jéj nie przeszkadza zresztą, w pospolitym biegu rzeczy, ubierać się u Worth'a i kotylionować do piątéj rano. Schopenhauer, Hartman, pesymizm i rozstrój nerwów odnajdują się za powrotem do domu, w towarzystwie migreny. Ta sama także niewieścia publika przyczyniła się głównie do téj wziętości, jakiéj w ostatnich czasach doczekała się tutaj rosyjska literatura powieściowa, a zwłaszcza dwaj jéj reprezentanci, dwaj pesymiści i nerwo-pacyenci: Tołstoj i Dostojewski, wziętości, która należy także do charakterystycznych rysów chwili bieżącéj, i która nie pozostanie bez wpływu na rozwój i powieściowéj tutejszéj twórczości i umysłowego wogóle ruchu.

Paweł Bourget jest specyficznym produktem tych wszystkich pierwiastków. Jego pierwszą próbę na polu powieściopisarstwa popoprzedzające: „*Essais de Psychologie Contemporaine*", z portretami Baudelaire'a, Renana, Flauberta, Taine'a i Stendhala, wskazują

---

(1) Druga powieść Bourget'a p. t. „Crime d'amour" drukuje się obecnie w *Nouvelle revue.* — „Bolesną zagadkę" pomieściła *Gazeta polska* r. 1885 w tłómaczeniu p. W. Bogusławskiego.

w nim myśliciela, oswojonego z zawrotnemi ścieżkami, po których chodzi, z przepaścistemi głębiami, w które się zapuszcza... myśl zareńskich sąsiadów. Czytał on niezawodnie także we francuskich spopularyzowanych dziś przekładach „Prestuplienje i Nakazanje" Dostojewskiego, „Annę Karenin" Tołstoja. Zachował wszelako sporo z przyrodzonéj francuskiemu umysłowi lekkości. Ztąd dziwne nieraz w jego osobnéj manierze kontrasty, uderzający, częstokroć prawie śmieszny antagonizm między treścią a formą, między przedmiotem, na którym się wyobraźnia autora zatrzymuje a komentarzami, które doń pracująca jego myśl przyczepia. Oto próbka ze wstępu jego powieści zapożyczona. Chodzi mu o przedstawienie czytelnikowi dwóch kobiet, matki i córki, które mimo dzielącéj je różnicy wieku uderzają podobieństwem rysów. Zjawisko to dość powszednie, dość naturalne i nie odgrywające, nawet w założeniu autora, żadnéj nadzwyczajnéj roli. Oto jednak w jaki sposób on z niém się obchodzi:

„Ludzie przyzwyczajeni do odczuwania za pomocą swéj wyobraźni (?) znają dobrze ten rodzaj melancholii, bez analogicznego w świecie uczuć przykładu, którą narzuca nam podobieństwo nadto zupełne między matką a córką, kiedy matka ta ma lat pięćdziesiąt, córka lat dwadzieścia pięć i kiedy jedna staje się tym sposobem niby widmem przedwczesném téj starości, do któréj dąży druga. Jakże płodném w gorzkie ostrzeżenia jest dla zakochanego to widzenie nieuniknionego zwiędnienia czekającego piękność, w któréj się dziś lubuje! Bezinteresownemu widzowi takie podobieństwa dostarczają natomiast obfitego materyału do rozmyślań. Rzadko bowiem trafia się, iżby analogia rysów w dwóch twarzach sięgała aż do identyczności; rzadszą jest jeszcze zupełna tożsamość obustronnego wyrazu. Zazwyczaj z jednego pokolenia na drugie urzeczywistnił się niby pochód naprzód wspólnego temperamentu. Przeważający w fizyonomii przymiot stał się bardziéj wydatnym, wykazując za pomocą widomego symbolu rozwój charakteru, rezultat dziedziczności. Zanadto delikatna już pierwéj twarz wydelikatniła się jeszcze; zmysłowa zmateryalizowała się; twarda stwardniała i wyschła. Ale zwłaszcza w epoce, w któréj życie dokonało już swojego dzieła, w któréj matka przeszła sześćdziesiąty rok a córka czterdziesty, to stopniowanie w podobieństwach staje się jakby namacalném dla badacza, a z niém razem rozwija się przed nim historya moralnych okoliczności, pośród których żyła i walczyła ta dusza dziedziczna wspólnéj rasy, któréj dwie te istoty wskazują dwie etapy. Widzenie fatalnych wpływów krwi jest wtedy tak jasném, że czasem ściska serce. W takich to spotkaniach, nawet przed umysłami najwięcéj pozbawionemi zmy-

słu ogólnych pojęć, odsłania się nieubłagana, tragiczna działalność praw natury....“

Czy ta nieubłagana, zgodzić się można na to, a dla czego koniecznie tragiczna, tego wytłómaczyć się nie podejmuję, działalność praw natury wykazać nam ma swoję potęgę w dalszym ciągu powieści, czy doprowadzić nas ma do jakiéj aktualnéj tragedyi, czy ona to stanowi ową „bolesną zagadkę“, obraną za temat przez młodego autora? Nie. Nie spotkamy się już z tą potęgą i jéj tragicznemi fatalnościami po za tą pierwszą kartką książki. Zagadka, którą sobie i autor postawił, jest innéj natury. Na téj pierwszéj kartce chciał nas on tylko zapoznać z panią „Castel“ i z panią „Liauran“, babką i matką bohatera powieści, „Huberta Liauran“; ale przypomniał sobie mimochodem Schopenhauera, Moleschota, Darwina i niewiem kogo jeszcze i puścił wodze swéj żyłce filozoficznéj.

Właściwa zagadka, przedmiot powieści, przedstawia się jak następuje.

Dwudziestoletni „Hubert Liauran“ zakochał się, wzorem wielu dwudziestoletnich młodzieńców, w starszéj dziesiątkiem lat od siebie pani „de Sauve“, którą, wzorem zawsze swoich rówieśników, ubrał, przystroił, w swojéj wyobraźni, we wszystkie najwspanialsze przymioty ciała i duszy. Miłość ta, podzielana przez panią „de Sauve“— nadmieniam, jeżeli komu wiadomość ta potrzebna, że pani „de Sauve“ ma męża—i przez długi czas czysta, dzięki niewinnéj wstrzemięźliwości młodego „Huberta“ i powstrzymującemu panią „de Sauve“ sentymentalnemu usposobieniu, doczekuje się ostatecznie naturalnego, psychologiczno-fizyologicznego momentu, w pełnym angielskiego komfortu apartamencie „Star-Hotelu“, w Folkestone, dokąd udała się pani „de Sauve“, korzystając z nieobecności podróżującego po Algieryi pana „de Sauve“, i dokąd za nią podążył młody „Hubert.“ Dla dwudziestoletnich kochanków psychologiczno-fizyologiczne momenta trafiają się najczęściéj w podróży i w hotelowych apartamentach. Można tylko powinszować Bourget’owi trafności jego spostrzeżeń w tym względzie. Spotkanie zakochanéj pary w nadmorskiéj przystani opowiedzianém jest zresztą ładnie, w stylu świeżym i harmonijnym. Scena, w któréj pani de „Sauve“, bez narażenia swego wstydu niewieściego na zbyt upakarzającą kapitulacyą, przywodzi swego rumieniącego się adonisa do złożenia mniéj eterycznych niż dotąd darów na jéj ołtarzu, traktowana dyskretnie, mimo swego absolutnie realistycznego charakteru i ze smakiem.

Ale tu w chwili, w któréj idylla się kończy, zaczyna się dramat. Wśród nocy „Hubert Liauran“ budzi się, widzi swoję kochankę zalaną łzami. Przestraszony pyta o powód.

— Nic to. To łzy wdzięczności.... Ale czemuż nie zabrano mi ciebie zawczasu?.. (*sic*). Ach, jakżem niegodna ciebie!

Niegodna? Dlaczego? To właśnie zagadka, a raczéj początek zagadki, którego to początku rozwiązanie odkrywa się niebawem przed łatwowiernym młodzieńcem. Dla tego, że pani „de Sauve", obdarzona istotnie szlachetném sercem, ale także wrażliwym umysłem i gorącym temperamentem, miała już kilku kochanków, starszych od „Huberta" i mniéj od niego niewinnych. Teraz kocha go ona prawdziwie, przywiązała się całą duszą do téj miłości, która ją podnosi i rehabilituje niejako we własnych oczach, ale w kilka miesięcy późniéj, oddalona od niego skutkiem przedłużonego pobytu w Trouville, spotyka tam przystojnego i przedsiębiorczego hrabiego „de La Croix Firmin". Jednego dnia, „w jedną z tych upalnych godzin, w których wola nasza czuje się jakby słabą", hrabia odwiedza ją, okazuje się śmielszym niż kiedykolwiek, i kochając zawsze swego „Huberta" tą samą nienaruszoną miłością, pani „de Sauve" oddaje się hr. „de La Croix Firmin", „zrazu przez słabość, a potém namiętnie, z wściekłością."

Dlaczego? Dziesiękroć stawia sobie to pytanie biedny, przez usłużnych przyjaciół ostrzeżony „Hubert" i nie znajduje odpowiedzi. „Tak, ona kochała go, kocha go teraz jeszcze. Są łzy, są uściski, jest ciepło duszy, które nie kłamie. Kocha go i zdradziła go! Oddała się innemu, z jego własném imieniem w sercu, po sześciu zaledwo tygodniach rozstania! Ale dlaczego? dla czego? Popchnięta jaką siłą? Porwana jakim zawrotem głowy? ogarnięta jakim szałem fałszywym?"

I sam autor nie rozwiązuje téj zagadki, a rozwiązanie powieści, do którego nas doprowadza, pozostaje równie enigmatyczném. Naturalnie „Hubert Liauran" przeklął zdradziecką kochankę, chociaż zdrada jéj trwała trzy dni zaledwo, „po których obudziła się ona ze zmysłowego swego obłędu jak ze snu." Przypadek jednak zbliża ich niebawem w ustronném mieszkanku paryskiém, które dawało niegdyś dyskretną gościnę ich miłosnym schadzkom, a do którego przybywają teraz: ona—aby zobaczyć raz jeszcze swój raj utracony, on—aby oddać klucze tego raju odźwiernemu. On nie przebaczył, a ona nie śmie nawet prosić o przebaczenie. Ale w chwili ostatecznego rozstania się ręce ich zbliżają się przypadkiem, i obustronny poryw zmysłów rzuca ich „w jeden z tych uścisków obłędnych i milczących, w których roztapiają się wszystkie swary, słuszne i niesłuszne, ale także wszystkie pojęcia o godności." I wiedzą oboje: ona — że go odzyskała napowrót, on — że został napowrót pochwyconym, ale przez to, co jest w nim „ciemniejszego i mniéj szlachetnego." Niebawem rozwiane upojenie pozwala mu porównać to, co odczuł przed

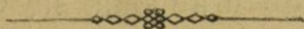
chwilą z tém, co odczuwał dawniéj. „Symbol dopełnionéj zmiany uwydatnia się przed jego oczami w kontraście między brutalną rozkoszą doświadczoną na téj oto kanapie, a boską wstydliwością minionych dni.“ Pozbywszy się pierwéj szacunku dla swéj kochanki, pozbywa on się go teraz dla siebie samego, „ale ponieważ jéj usta drżą od rozkoszy i pieszczot, więc oddaje on im ich pocałunki.“

I pani „Castel“ z panią „Liauran“ spostrzegają się wprędce, że ta nieszczęsna namiętność, z któréj mieniły go wyleczonym, odrodziła się w ich wnuku i synu tylko przeistoczona i przeistaczająca jego samego, „bo niestety głęboka-to prawda, że człowiek jest takim, jaką jest jego miłość.“ — „Ale ta miłość czemu i skąd się ona u nas bierze? Pytanie bez odpowiedzi, i, tak jak zdrada kobiety, jak słabość mężczyzny, jak życie samo, bolesna, bolesna zagadka!“

Na tych słowach zamyka Bourget swoję rzecz o losach „Huberta Liauran“ i pani „de Sauve,“ a ja zamykam moję rzecz o panu Bourget i o realistach wogólności. W stosunku do przyszłości młodego autora, jedyna ta jego, w ciągu roku zeszłego ogłoszona powieść zachowuje także charakter zagadkowy. Widać w niéj niezaprzeczone znamiona niepospolitego talentu, obok charakterystycznych cech wielkiego niewyrobienia. Posiada niewątpliwie Bourget rzadki dar obserwacyi, analizy psychologicznéj a nawet stylu, myśli i formy, ale nie posiada dotąd dostatecznego panowania ani nad myślą, ani nad formą. Pierwsza bywa często niejasna, druga rzadko poprawna—grzesząc często pretensyonalnością przez ubieganie się o oryginalność. Co się z tych wszystkich danych wyrobi, to zagadka.

I o całości zresztą realistycznéj szkoły wogólnym jéj składzie wyniesie zapewne czytelnik z kończącego się tu sprawozdania to pojęcie, że pozostaje ona na wyrobku i stanowi ze swojéj strony zagadkę—choć mniéj bolesną od tych, które porusza Bourget.

Kazimierz Waliszewski.





DUSZA JAKO POJĘCIE PRZYRODNIKA.

Dusza katechizmowa. — Zdyskretowanie duszy katechizmowéj i nowe pojęcie duszy, jako symbolu streszczającego wszystkie zjawiska psychiczne.— Niektóre zdobycze psychologii dzisiejszéj. — Samoświadomość z brakiem wyobrażenia duszy, jako stadyum poprzedzające powstanie wyobrażenia duszy.—Dusza homeryczna.—Uwaga, wola—jaźń.—Rehabilitacya duszy katechizmowéj, jako dalszego stadyum w rozwoju samoświadomości.—Paradoks wynikający ze stosunku idej do pojęć.

W obec tego, że każda wykształcona jednostka musiała przynajmniéj raz jeden zmienić swój pogląd na duszę, przejść chociażby od grubego wyobrażenia duszy, jako „ducha“ widzialnego, do wyobrażenia duszy niemateryalnéj i niewidzialnéj,—nie będzie zapewne pozbawionéni interesu przedstawienie zmian, przez jakie pod tym względem przeszedł przyrodnik. Wskazanie czynników, które te zmiany wywołały, i uzasadnienie poglądu ostatecznego, do jakiego obecny stan nauki doprowadza, więcéj niż kiedykolwiek potrzebném jest dziś, gdy w literaturze spotkać można tyle zdań niezgodnych, tyle twierdzeń wprost przeciwnych, a jednak równe mających pretensye.

Nie będę się rozwodził nad duszą-widmem, jaką sobie wyobrażałem w dzieciństwie, dzięki pomocy intelektualnéj ze strony piastunki, a wprost przejdę do urabiania się w moim umyśle pojęcia „duszy“ pod wpływem systematycznego kształcenia.

W pierwszych już kilku latach nauki metodycznéj, zdawało mi się, dobrze zrozumiałem, co to jest dusza, gdy katechizm wytłómaczył, że jest nią to, co w mojém ciele myśli i niém rządzi. Brakowało mi tylko jéj obrazu, czułem bowiem, że nie mogę już korzystać z dawniejszego wyobrażenia; z czasem jednak myśleć o tém przestałem, godząc się z orzeczeniem katechizmu, że dusza jest niewidzial-

ną, że zatém nie ma poważnéj racyi pracować nad określeniem jéj formy. Wystarczało mi, gdy czułem, że jest we mnie coś, co kieruje mojemi myślami i wolą, i że to coś na chwilę nawet istniéć nie przestaje. Budząc się po głębokim śnie, znajdowałem, iż ono bynajmniéj nie zostało osłabione, ani zmienione. Ta chwilowa przerwa świadomości tylko ułatwiła mi pojęcie nieśmiertelności duszy: rozumiałem, jak dusza może nie umrzéć, chociaż ciało stanie się łupem śmierci. Katechizm przemawiał wtedy do mnie słowami człowieka, który utrzymuje, że słońce nie przestało świecić, chociaż przed okiem mojém zakryły je chmury,—że skoro wiatry zasłonę rozwieją, blask jego znowu moją wesołość ożywiać będzie.

Wcześnie zacząłem zajmować się fizyką; przerobiłem wiele doświadczeń. Ilekroć przygotowałem wszystko, jak się należy, doświadczenie zawsze mi się udawało. Wyrobiłem sobie pojęcie o niezmienném, niewzruszalném następstwie pewnych zjawisk natury po innych zjawiskach przyrodzonych. Wiara moja w cudowność znikła, a zniknięcie rzuciło cień na moje pojmowanie duszy, albowiem ten sam katechizm, który tak przekonywająco nauczał o duszy, mówił i o cudach z równą powagą.

Zacząłem wówczas studyować „powstawanie praw moralnych.“ A były to dla mnie prawdziwe studya: pożerałem zadrukowane karty, prowadziłem gorące spory, przewróciłem do dna archiwum wypadków w pamięci méj złożonych—i powstawanie praw moralnych w umyśle moim odziało się w szatę prawa naturalnego, zrozumiałego, jak prawa fizyczne. Upadła moja wiara w istnienie moralności absolutnéj. Nowy i jeszcze grubszy cień pokrył czarnym całunem katechizmowe pojęcie o duszy: straciło ono dla mnie wszelką wartość.

Poznałem rozmaite maszyny fizyczne; wiele z tych mechanizmów odmodelowałem sam; pojmowałem kombinacye coraz bardziéj złożone, zawilsze, subtelniejsze, coraz dziwniejsze w działaniu swojém: granica wynalazczości zaczęła się przed wzrokiem moim odsuwać coraz daléj w nieskończoność, wreszcie przestałem ją widziéć. Poznałem początki anatomii i fizyologii z dzieł popularnych; przeżułem „Wykłady o duszy ludzkiéj i zwierzęcéj“ i zrozumiałem, co chciał powiedziéć Wundt, dowodząc, że logika to mechanizm. Od téj chwili za duszę począłem uważać to, czego objawem jest cała działalność świadoma: myślenie, wzruszenia i akty woli, rozumiejąc jednak, że „dusza“ jest tylko terminem, który pozwala jedném słowem wskazać na tysiączne objawy, niby znakiem algebraicznym, który daje się rozwinąć w obszerne wzory i używa się dla skrócenia. Nie uważałem więc téj duszy za byt jakiśkolwiek, a objawy jéj pojmo-

wałem jako grę energii („sił"), ujawnianéj przez materyę zorganizowaną w ciało ludzkie lub zwierzęce. Daleki byłem od tego, aby myśl lub uczucie zaliczać do rodzaju wydzielin, jak żółć lub ślinę; nieszczęśliwe to porównanie uważałem za oręż ludzi ciemnych, którzy nie znając mechaniki, nie zdobyli żadnéj analogii, co by pomogła im zrozumiéć nieograniczoną rozmaitość w funkcyach złożonych mechanizmów. Zdawało mi się czasami, iż niedaleką musi być chwila, kiedy fizyologowie potrafią z jasnością mechanicznego modelu wyłożyć najciemniejsze zjawiska duchowe.

Z zapałem rzuciłem się do nauk przyrodniczych; chciałem wiedziéć wszystko, co tylko było można—o tém, jak jest zbudowane ciało ludzkie i zwierzęce, jak powstał człowiek, jego mózg i narzędzia zmysłów. Poznałem wszystkie dowody, które zmuszają do przekonania, że człowiek rozwinął się z organizmów niższych i że te jakąbądź drogą powstały z materyi nieorganicznéj. Tu dopiéro stanąłem na rozdrożu, a raczéj nie ja sam stanąłem, lecz byłem postawiony przez spór, który dziś jeszcze wielu uważa za nierozstrzygnięty. Mam na myśli pytanie, czy „czucie" jest tylko następstwem pewnéj szczególnéj złożoności ustroju nerwowego, czy też ogólną zdolnością właściwą wszelkiéj materyi w ruchu będącéj. Z początku pierwsze wydawało mi się pewniejszém; późniéj jednak monizm Haeckl'a, szczególnie wobec teoryi o ciele wyższych zwierząt jako kolonii zupełnych organizmów niższego rzędu—komórek (1) zyskując na praw-

(1) Teorya ta, przy bliższém poznaniu budowy najwyższych pierwotniaków—wymoczków, bardzo traci na wiarogodności, która głównie się opierała na czysto formalném podobieństwie jajka zsegmentowanego do kolonii, pewnych od wymoczka znacznie niżéj stojących organizmów. A oto jaka jest budowa wymoczków niektórych np. Vorticelli. Drobne stożkowate ciałko, z nóżką na cieńszym końcu, pokryte jest sprężystą błonką; protoplazmatyczna, wypełniająca cały stożek masa ciała jest *rozdzielona zupełnie wyraźnie* (konturem) na dwie warstwy, zewnętrzną, obejmującą—stałą, i wewnętrzną, objętą—płynną, która peryodycznie lub ciągle jest wprawiana w ruch kęskami pokarmu, wtłaczanemi przez rurkę z błonki sprężystéj, sięgającą do brzegu podstawy stożka w głąb' ciała. Zewnętrzna stała warstwa posiada dwa układy włókien mięśniowych, z których jeden pozwala zwierzątku kurczyć swoje ciałko a drugi nóżkę. Zewnętrzna warstwa daje cieniuchne nagie wyrostki, wystające nazewnątrz po za błonkę i w formie spiralnéj okalające brzeg podstawy stożka a także wnętrze owéj pokarmowéj rurki. Rzęski te są najdrażliwszą częścią powierzchni ciała, są zatém jakby zwiastunem przyszłych organów zmysłów. Służą one także do zbierania i wtłaczania wewnątrz ciała pokarmu, a także do wypędzania niestrawionych resztek, które dostają się z ciała do rurki pokarmowéj przez specyalny otwór z boku. Nadmiar z pokarmem pochłoniętéj wody wydziela wewnętrzna trawiąca masa przez osobny pęcherzyk, otwierający się także do rurki pokarmowéj. Podział ciałka na dwie morfologicznie i fizyologicznie *odrębne* warstwy jest segmentacyą *in statu nascendi* na dwie komórki, z których jedna ma odpowiadać przyszłéj embryologicznéj egzodermie, druga—entodermie pierwotnéj. Są to główne

dopodobieństwie, zamącił moje jasne, jak mniemałem, rzeczy téj pojmowanie.

Słyszałem wiele o „Zasadach psychologii“ Spencer'a, zabrałem się do ich przeczytania i zostałem zdumiony potęgą umysłu tego filozofa. Podziwiałem przedewszystkiém metodyczność i wszechstronność w rozbiorze zagadnień. Szczególniéj uwielbienia godnym wydał mi się tom drugi, gdzie Spencer przedstawia życie i „ducha“ jako „utrzymanie ciągłéj odpowiedniości“ między organizmem a otoczeniem. Stopniowy rozwój ducha u zwierząt z człowiekiem włącznie jest tylko coraz wyższym rozwojem odpowiedniości między stosunkami w czynnościach organizmu a stosunkami zewnętrznemi. Stopniowemu rozwojowi ducha człowiek zawdzięcza to, że czyny swoje stosuje do wydarzeń, które mają miejsce na drugiéj półkuli, a nawet daléj, bo w dziedzinie ciał niebieskich,—do wydarzeń, które stały się, stają się, lub za lat wiele stać się mają.

Spencer pozostawił mię na owém rozdrożu między monizmem a poglądem, który ogranicza objawy świadomości warunkiem pewnéj złożoności w budowie masy nerwowéj.

Szukałem nie samoanalizy lecz nowych bezpośrednich badań, nowych dokładnych doświadczeń nad układem nerwowym; tych u Spencer'a nie znalazłem i Spencer mię nie zaspokoił.

Nareszcie obszerne i wszechstronne przygotowanie przyrodnicze dało mi klucz od podwoi, które wzbraniały mi przystępu do studyów nad fizyologią układu nerwowego, ponieważ przedtém nie byłem wtajemniczony dokładnie w rezultaty i metodę innych badań przyrodniczych. Zwróciłem się wówczas do obszerniejszych dzieł specyalnych i znalazłem to, czegom szukał w „Fizyologii“ Herman n'a, zbiorowemi siłami opracowanéj, w „Fizyologii“ Foster'a zaopatrzonéj w niezwykle cenne dopełnienia Tarchanow'a, w dziele Charlton'a Bastian'a „Mózg jako organ myśli,“ w Charcot'a „Prelekcyach o lokalizacyi w chorobach mózgu,“ w „Zasadach psychologii fizyologicznéj“ Wundt'a i innych. Pochłaniałem to obfite pożywienie z łapczywością człowieka, który odbył post czterdziesto-dniowy, rozkoszowałem się jak smakosz, którego podniebienie łechtały subtelne i bajecznie ściśle dochodzenia współczesnych fizyków, chemików, anatomów, embryologów, histologów itd.—i w końcu przypomnia-

---

rysy budowy, w szczegółach swoich jest ona tak złożoną, że na opisanie jéj trzeba by całego tomu. Komórki więc ciała zwierząt wyższych przedstawiają się, w obec takiéj budowy wymoczka i porównawczego jéj znaczenia, jako integralne cząstki organizmu, a nie organizmy samodzielne, któreby kiedybądź były zależne tylko od świata zewnętrznego, a nie od innych, z któremi tworzą i tworzyły całość bardzo „zcałkowaną.“

łem sobie... katechizmowe określenie duszy i, co więcéj, nauczyłem się je szanować. Szacunek ten należy mu się jako dobréj charakterystyce najwyższego stopnia rozwoju samoświadomości u osobników gatunku „Homo sapiens." Czwarty więc z kolei mój pogląd na duszę przyjmuje ścisły związek między jéj wyobrażeniem a samoświadomością, uważając zaś wyobrażenie duszy i odpowiadające mu pojęcie za zmienne, znajduje, że jedno i drugie w ciągu lat tysięcy przeszło w rozwoju swoim kilka stadyów wybitniejszych, nie licząc wielu mniéj wyraźnie dających się określić.

Ewolucyjny pogląd na duszę obrałem za główny przedmiot niniejszéj pracy. Sądzę, że on właśnie odpowiada dzisiejszemu stanowi wiedzy. Ponieważ zaś opiera się na wynikach psychologii fizyologicznéj, nauki nowéj, która zmężniała w ostatnich dopiero latach i skarby swoje w znacznéj jeszcze części kryje w mało przystępnych dziełach specyalnych: więc dla rozwinięcia i uzasadnienia jego będę musiał przedstawić najważniejsze zdobycze nowéj gałęzi wiedzy nieco obszerniéj, niżby z tytułu pracy wypadało. Zacznę od nich, zastrzegając sobie z góry cierpliwość czytelnika.

Każde dostatecznie silne podrażnienie zakończeń nerwowych, znajdujących się w organach zmysłów, w mięśniach, we wnętrznościach, wywołuje w nerwie impuls nerwowy. Gdy impuls nerwowy dobiegnie wielkich półkul mózgu, może („może," bo niezawsze zostaje) zostać odczutym, inaczéj—dojść do świadomości. Odczucie impulsu powszechnie nazywają wrażeniem. Pojedyńczy uświadomiony impuls jednego rodzaju ma przedstawiać wrażenie proste, jakoby naturalny element świadomości. Za taki zdaje się go uważać Spencer, takiego zdania trzyma się téż Haeckel, przyznając „czucie" („duszę"), każdemu nerwowi (1), każdéj komórce, ba—nawet każdemu atomowi! Do tejże grupy psychologów należy zaliczyć i Lewes'a, chociaż ten, ograniczając czucie do komórek nerwowych, w szafowaniu duszami jest mniéj hojny. Mielibyśmy więc, jako naturalne elementy świadomości, wrażenia: świetlne, słuchowe, dotykowe, natężenia mięśniowego itd.

Jednakże pogląd taki jest z gruntu błędnym, jako oparty na mylném pojmowaniu znaczenia analizy. O wrażeniach prostych wiemy tylko z badań analitycznych nad stanami naszéj świadomości. Rozpatrzmy wrażenie, które jest następstwém uświadomienia się dotknięcia igły końcem palca, i może wydawać się prostém. Odczuwamy wtedy:

---

(1) Podług Haeckla, nerwy nawet „rozumieją" („verstehen") podrażnienia, p. str. 130 i nast. w „Gesammelte populäre Vorträge," II zeszyt.

1⁰ samo *dotknięcie*,

2⁰ *poznajemy* dotknięcie jako słabsze lub silniejsze ukłucie,

3⁰ wyraźnie odczuwamy *miejsce* dotknięcia na skórze,

4⁰ odczuwamy *natężenie* mięśni, które utrzymują rękę w danėm położeniu.

5⁰ poznajemy *odległość* podrażnienia od środka naszego ciała i *kierunek* téj odległości.

Pierwsze odpowiada uświadomieniu się samego impulsu dotykowego. Drugie zawiera przypomniane wrażenia takiego samego rodzaju. Trzecie jest przypomnieniem wrażeń z okolicznych części skóry; stosunek w przypomnieniu tych ostatnich objaśnia nas o miejscu dotknięcia na skórze. Czwarte jest skutkiem uświadomienia się impulsów domózgowych z mięśni czynnych przy dotykaniu. Piąte zawiera przypomniane wrażenia natężenia mięśni; stosunek w przypomnieniu tych ostatnich daje nam właśnie miarę kierunku i odległości drażnienia.

Dodajmy jeszcze do tego przypomnienie dotykowo-wzrokowego obrazu ostrza, który, będąc jeszcze bardziéj złożonym od rozebranego produktem, zlewa się z nim w jednę nierozdzielną całość (1).

Odróżnienie zewnętrznego przedmiotu od „wrażeń“ jest dopiero następstwem obszernéj wiedzy i głębokiéj analizy; człowiek znajduje, że w danéj chwili treścią jego świadomości jest przedmiot jako byt zewnętrzny (2). Przypomniawszy w formie szeregu myśli ową analizę, dopiero on może pojąć różnicę między wrażeniami a przedmiotem; człowiek, co analizy takiéj nie robił, oczywiście tego nie pojmuje.

Zdaje się, że głównie dzięki przypomnianym wrażeniom mięśniowym i dotykowym, powodującym lokalizowanie „wrażeń“ w przestrzeni, obrazy, które przy halucynacyi mają żywość „wrażeń“ bezpośrednich, wydają się rzeczywistemi zewnętrznemi przedmiotami. Człowiek w podobnym stanie gotów jest walczyć na pięści z marą, która ma dla niego byt w przestrzeni nie mniéj realny od bytu jego własnéj osoby.

Na zakończenie téj analizy „wrażenia“ zaznaczmy, że jednak nie wszystkie składające je wrażenia są jednakowo wyraźne, najwyraźniejszém jest jedno lub grupa wrażeń najsilniejszych, przez bezpośrednie podrażnienie wywołanych; inne można odróżnić nieco wyraźniéj tylko przy pomocy uwagi—lecz ich nigdy nie brak. Od prze-

(1) Przytoczona tu analiza nie ma pretensyi do zupełności.

(2) „Zasady Pchychologii“ Spencer'a, § 438.

ważającego wrażenia nadajemy nazwę całemu „wrażeniu," np. wyżéj rozebrane nazywamy dotykowém.

Rozbiór prostego napozór dotykowego „wrażenia" przekonywa, że jest ono właściwie połączeniem wielu wrażeń nowych i przypomnianych, które bodaj czy w tysiącach zliczyć się dadzą. To łączenie się, zlewanie się wielu wrażeń w jednę całość nazywają *kojarzeniem współczesném*, samą zaś całość psychologia fizyologiczna oznacza mianem *wyobrażenia*. Najprostszym tedy naturalnym elementem świadomości jest *przynajmniéj* wyobrażenie. Wrażenia, „czucia" spencerowskie są jakby jednostkami, na które może rozkrajać wyobrażenie analiza umiejętna; lecz jak cegła nie nosi na sobie charakteru cząstki pokoju, tak samo impuls nerwowy, który mógłby się wydawać czémś odpowiadającém wrażeniu prostemu, nie posiada wcale subiektywnych cech wrażenia, czucia; wrażenia prostego, nie zlanego z innemi wrażeniami nie znamy wcale, w świadomości naszéj takich wrażeń brak zupełnie. Gdy więc będziemy mówili o wrażeniu, to zawsze tylko jako o sztucznym produkcie analizy, produkcie, który *zawsze zostaje w takim lub innym, lecz w każdym razie, ściśle określonym związku z innemi*. Twierdzenie Lewes'a, że każdy impuls nerwowy po dojściu do jakiejbądź komórki nerwowéj przybiera charakter czucia, wywołuje pewien stan świadomości niższego lub wyższego rzędu, nie tylko że nie okazuje się „pozytywném," lecz raczéj wygląda na doktrynę pozbawioną wszelkiéj podstawy sprawdzalnéj. Nawet kombinacye impulsów nerwowych w niższych częściach mózgu zwierząt i człowieka nie przedstawiają żadnych objawów ani obiektywnych (1) ani subiektywnych (u człowieka), któreby kazały uważać je za odczuwane, za wywołujące pewien stan świadomości. Z istnienia analitycznych jedności wnioskować, że każdy impuls w oderwaném włóknie nerwowém jest „czuciem" lub wrażeniem, jest to nakazać samotnemu Robinsonowi prowadzenie operacyi bankierskich, jest to wnosić, że wszystkie objawy złożonéj całości są objawami, które może przedstawiać w miniaturze każda część od téj całości oderwana, włókno bowiem nerwowe, pojedyncza komórka nerwowa, jakkolwiek sama złożona, jest właśnie taką częścią względem całego układu nerwowego.

Jak już wspomnieliśmy, dopiero dojście impulsów nerwowych do półkul może spowodować czucie, a dokładniéj—powstawanie wyobrażeń.

---

(1) Pozornie celowym ruchom zwierząt pozbawionych półkul można przeciwstawić wprost przeciwne: wąż bez głowy tak samo szybko obwija się naokoło przyłożonego kija jak i naokoło rozpalonéj sztaby.

W półkulach każdy organ zmysłu dla impulsów przez się wysyłanych ma osobną stacyę z komórek nerwowych, które są połączone ze sobą i z komórkami innych stacyi za pomocą licznych włókien nerwowych. Ze zniszczeniem takiéj stacyi zwierzę przestaje poznawać podrażnienie odpowiedniego organu: to ostatnie przestaje wywoływać wyobrażenia. Pies, któremu wycięto stacyę wzrokową, nie poznaje ani kija, ani mięsa, ani żadnéj innéj rzeczy, na którą oko jego jest zwrócone. Czuciowe te ośrodki mieszczą się u człowieka w tylnéj połowie półkul. W przedniéj, wyjąwszy część górną płatów czołowych, mieszczą się stacye, z których schodzą do niższych części mózgu impulsy nerwowe, zarządzające ruchami dowolnemi; zniszczenie tych stacyi powoduje niemożność wykonywania ruchów dowolnych.

Powstawanie wyobrażenia, jak łatwo widziéć, wymaga współczesnéj działalności wielu z tych ośrodków czuciowych: w szczegółowo rozebranym np. wyżéj przykładzie—przynajmniéj dwóch, dotykowego i czucia natężenia mięśni (a właściwie jeszcze i ośrodka wzrokowego). Anatomiczno-fizyologicznym warunkiem powstawania wyobrażeń przez kojarzenie wrażeń jest istnienie obfitych połączeń między określonéj budowy komórkami stacyj i wzajemna wymiana impulsów nerwowych.

Jak wiadomo, człowiek posiada zdolność „dopełniania“ obrazów (1): przerywany kontur twarzy wywołuje jednak wyobrażenie twarzy całéj; kontury drzew o zmroku kształtują się w naszéj wyobraźni w postacie wież, zamków, olbrzymów. Na tém działaniu „wyobraźni“ polega efekt utworów sztuki malarskiéj i rzeźbiarskiéj. Ani malowidło, ani rzeźba nie odtwarzają przedmiotów w zupełności, wyobrażenia zatém budzone przez widok obrazu, rzeźby, nie odpowiadały by prawdziwym przedmiotom, gdyby nie ta zdolność dopełniania. Objawy jéj są nie czém innéem jak przypominaniem wrażeń brakujących, które ze wszystkiemi wywołanemi w danéj chwili, lub z częścią ich kiedyś tworzyły jedno wyobrażenie: kontury i cienie obrazu przypominają formy w przestrzeni i zlewają się z niemi i z wrażeniami barw w jednę całość; przypomnienie barw i cieni widzianych na przedmiotach naturalnych dopełnia i zaciera niedokładności w cieniowaniu i kolorycie dekoracyi itp.

Każdy przedmiot obserwujemy w danéj chwili nie w całości lecz w części, z jednéj strony i w jedném tylko położeniu; zawsze je-

(1) Wundt nazywa to „asymilacyą wyobrażeń.“ Obrazy wzrokowe bierzemy tu dla przykładu, to samo bowiem stosuje i do wyobrażeń dźwiękowych (słuchowych) wszystkich innych (np. dotykowych, p. wyżéj przytoczoną analizę).

dnak w otrzymywane nowe wyobrażenie wchodzą wrażenia, które brały udział w poprzednich wyobrażeniach tego samego przedmiotu: wyobrażenie części dopełnia się w umyśle przypomnieniem pozostałych wrażeń do całości, która staje się coraz obszerniejszą, w miarę jak coraz wszechstronniéj przedmiot rozpatrujemy (1).

Fizyologiczno-anatomicznym warunkiem dopełniania się wyobrażeń, czyli przypominania jednych wrażeń przez drugie i zlewania się ich w jednę całość jest odpowiednie *wyrobienie* tych komórek i włókien je łączących, które były współcześnie czynnemi. Warunek ten można oznaczyć krótko zdaniem: *wyobrażenia pozostawiają skombinowane ślady w budowie mózgu.* Impuls nerwowy wszedłszy na drogę tych skombinowanych śladów, przekształca się odrazu i urabia na podobieństwo tego, który same ślady był urobił. Mechanizm pozostawiania śladów w obecnéj chwili daje się już wytłómaczyć na podstawie wzajemnego wpływu połączonych i współcześnie drażnionych komórek nerwowych. Zebranie jednak wielkiéj ilości faktów i należyte wyłożenie odpowiedniéj teoryi przechodziło by nasz zamiar w danéj chwili, ograniczamy się więc na prostéj wzmiance.

Powszechnie wiadomo, że nie tylko wrażenia kojarzą się ze sobą, tworząc pewne całości—wyobrażenia, lecz że i te ostatnie mogą się wiązać jedne z drugiemi bez zlewania się w jednę całość (skojarzenia następcze). Dwa wyobrażenia, które następowały zaraz jedno po drugiem, wiążą się ze sobą tak, iż jedno ożywione przypomina drugie. Tak np. wyobrażenie słuchowe francuskiego słowa, następujące po wyobrażeniu polskiego, kojarzy się z tém ostatniém. Późniéj usłyszane słowo polskie przypomni odpowiednie francuskie (chociaż nie naodwrót, jeżeli i odwrotny porządek miejsca nie miał). W podobny sposób wyobrażenia słuchowe nazw przypominają wyobrażenia przedmiotów, wyobrażenia słów wiążą się w zdania, tony w melodye itp. Dając „wolny bieg myślom“ możemy zau-

---

(1) Rozumie się, że w takiém dopełnioném wyobrażeniu przedmiotu najwyraźniejszemi wrażeniami są te, które otrzymujemy bezpośrednio. Gdy patrzę na kapelusz z góry, to najwyraźniejszą jest grupa wrażeń składająca się na obraz wierzchu kapelusza, lecz i reszta chociaż mniéj wyraźnie z pamięci się dopełnia: czuję, że mam przed sobą nie wierzch kapelusza lecz cały kapelusz i że niewidzialne jego części mają taką a nie inną formę. Gdy patrzę na kapelusz z boku, to najwyraźniejszą jest grupa wrażeń otrzymanych od boku kapelusza, lecz zarazem choć słabiéj przypominają się i wrażenia z pozostałych, niewidzialnych stron.

W pamięci, dzięki skojarzeniom, o których niżéj, można wywołać wyobrażenie kapelusza z przewagą tych lub innych grup wrażeń, chociaż najłatwiéj przypomina się ta kombinacya, co najczęściéj się zdarzała, np. obraz kapelusza z boku.

ważyć całe szeregi najrozmaitszych wyobrażeń, przypominanych na mocy skojarzenia następczego.

Fizyologiczno-anatomiczne warunki skojarzeń następczych są też same, co skojarzeń współczesnych między wrażeniami, a mianowicie: istnienie połączeń między odpowiedniéj budowy komórkami i wzajemna wymiana impulsów, czego skutkiem jest wyrobienie się odpowiednich śladów w budowie mózgu, dróg prowadzących od masy nerwowéj czynnéj przy jednèm wyobrażeniu do masy nerwowéj, która była czynną przy drugiém. Nic to nie znaczy że dwa wyobrażenia nie są współczesnemi, impulsy bowiem nerwowe, odpowiadające pierwszemu wyobrażeniu, jakkolwiek *osłabione* mogą trwać jeszcze chwilę, przy początku impulsów drugiego; zresztą w skojarzenie następcze mogą wchodzić dwa początkowo współczesne wyobrażenia.

Ponieważ w świadomości naszéj nie znajdujemy nic oprócz wyobrażeń (o aktach woli i wzruszeniach powiemy późniéj); ponieważ nie ma świadomości (czucia) bez wyobrażeń, a wyobrażeń bez świadomości: więc warunki powstawania wyobrażeń są zarazem *warunkami świadomości*. Tworzenie się skojarzeń współczesnych i następczych (słabszych), dopełnianie i przypominanie wyobrażeń na mocy skojarzeń już gotowych—oto są te warunki ze strony subiektywnéj rozpatrywane. Można je wyrazić króciéj dwoma słowami: *zapamiętywanie i przypominanie*. Anatomiczno-fizyologicznym, czyli obiektywnym warunkiem świadomości jest oczywiście, *wyrabianie się i istnienie już wyrobionych dróg nerwowych*, *skombinowanych śladów w budowie mózgu* (resp. półkul).

Analiza warunków świadomości przeprowadzona przez Wundt'a w „Zasadach psychologii fizyologicznéj," rozstrzyga wyżéj wzmiankowany spór na niekorzyść monizmu. Świadomość, czucie przedstawia się tu jako następstwo szczególniejszéj złożoności w budowie masy nerwowéj (resp. półkul), a bynajmniéj nie jest, ani własnością ogólną materyi w ruchu (Haeckel), ani własnością „histologiczną" (Lewes) każdéj komórki nerwowéj; nie mamy prawa przypisywać jéj zwierzętom niższym, nie posiadającym wcale włókien i zwojów nerwowych, jak np. wymoczkom. Ruchy wymoczków są zbyt proste, aby potrzeba było przypuszczać dla ich objaśnienia mechanizm koordynacyi z towarzyszącą mu świadomością, aby im przypisywać popędy choćby najprostsze; tam zaś, jak np. u jamochłonnych (coelenterata), gdzie ruchy są bardziéj złożone, znaleziono i układ nerwowy, a przynajmniéj jego początki; tu więc dopiero otwiera się pole do przypuszczeń psychologicznych, rozumie się jednak o tyle tylko, o ile mechanizm uporządkowania ruchów nie da się objaśnić inaczéj,—

o ile znajdzie się więcéj niż sama metafizyczna racya do podobnego rodzaju hypotez.

Stany świadomości zapewne dadzą się wytłómaczyć całkowicie przez prawa fizyologiczne, tj. przedstawić jako funkcye fizyologicznych czynności mózgu, przynajmniéj jest to postulatem psychologii dzisiejszéj, który coraz wyraźniéj zyskuje powagę prawa przyrodniczego; są jednak one objawami nowemi, właściwemi złożoności, które poczynając i rozwijając się wraz z tą ostatnią nie dałyby się nigdy przewidziéć na podstawie danych czysto fizyologicznych. Tak własności chemiczne ciał złożonych nie mogły być przewidziane na podstawie znajomości samych pierwiastków; trzeba było badać i jedne i drugie, określić wzajemny stosunek własności ciał prostych i złożonych; dopiero można było przedstawić ostatnie jako funkcye pierwszych i opierając się na tém, robić wnioski dedukcyjnéj natury.

Tworzenie się skojarzeń współczesnych i następczych oraz przypominanie nie wyczerpuje działalności duchowéj; z jéj objawów musimy w téj chwili poruszyć abstrahowanie (odrywanie) i wyodrębnianie wyobrażeń.

Abstrakcya jest następstwem wielu wyobrażeń jednego rodzaju. Wiele drzew, wiele domów, wiele zwierząt, wiele podobnych wydarzeń itd. przez nas zaobserwowanych dają nam idee domu, drzewa, zwierzęcia, zdarzenia jednego rodzaju itd. Powstawanie idei psychologia fizyologiczna może już objaśnić w sposób ogólnikowy od chwili, gdy umiejscowienie ośrodków czuciowych zostało odkrytém i dowiedzioném (ostatnie dziesięciolecie). Przedmioty jednego rodzaju, brzmienia jednakowego składu itp. drażnią te same elementy nerwowe (1) organów zmysłów, a zatém i w półkulach. Cechom wspólnym przedmiotów, brzmień itd. odpowiadają jednakowe wrażenia i czynne są przy tém też same komórki półkul; połączenia między niemi, dzięki wiele razy powtórzonéj czynności, wyrobią się stosunkowo mocniéj, niż połączenia tychże komórek z innemi, których czynność łącznie z czynnością tamtych odpowiada przypadkowym cechom przedmiotów. Następstwem tego będzie pewne wyodrębnienie grupy elementów nerwowych, których podrażnienie da nam w umyśle wyobrażenie złożone z wrażeń, między któremi przeważą

---

(1) Pozornie przeczy to, że np. kapelusz przy inném położeniu inną kombinacyą elementów siatkówki podnieca; lecz w mózgu za każdym razem przy *dopełnianiu* wyobrażenia są czynne i te elementy nerwowe, które poprzednim położeniom kapelusza odpowiadały. W ten sposób ilość masy nerwowéj przy daném wyobrażeniu konkretném czynnéj wprawdzie nieco się zwiększa, lecz przedstawia w każdym razie względnie stałą kombinacyę dla każdego przedmiotu.

siłą lub nawet same tylko wystąpią (dzięki wpływowi uwagi, o którym niżéj) te, co odpowiadają wspólnym cechom wszystkich przedmiotów obserwowanych jednego rodzaju. Otóż takie zwężone wyobrażenie będziemy nazywali oderwaném, lub króciéj—*ideą*, przeciwstawiając je wyobrażeniu konkretnemu, które odpowiada jednemu tylko ze spostrzeganych przedmiotów i o ile to być może w zupełności. Utworzenie się idei nie wyłącza jednak możności przypomnienia konkretnych wyobrażeń, tylko to ostatnie wymaga nieco większego i zarazem *dłuższego* natężenia uwagi i pomocy takiego skojarzenia (np. z imieniem własném), przy którém impulsy wyobrażenia przypominającego mają odrazu zapewniony dostęp do wszystkich elementów nerwowych, składających czynnością swoją dane wyobrażenie konkretne. W każdym jednak razie masa nerwowa, czynna w chwili uświadamiania się idei, jest oczywiście mniejsza, niż przy odpowiedniem wyobrażeniu konkretném. Ostatnie jest szerszém od idei i włącza w siebie przy uświadamianiu się jéj składniki.

Wyobrażenia konkretne coraz mniéj podobnych a coraz liczniejszych przedmiotów, w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, wywołują powstawanie idei coraz szczuplejszych, coraz ogólniejszych, jak np. idee: przedmiotu, formy, materyi, oporu, przestrzeni i t d. (1). O wpływie uwagi tak na abstrahowanie, jak na tworzenie wyobrażeń fantastycznych powiemy późniéj.

Jedne idee pozostają z drugiemi w związku określonym przez skojarzenia. Sama idea, oczywiście, nie odpowiada treści idei wraz z jéj skojarzeniami.

Każda idea, jak i wyobrażenie konkretne, może w swoje skojarzenia wprowadzić ściśle z nią skojarzone wyobrażenie znaku, wyrazu. Ograniczający zaś wpływ uwagi umożebnia na mocy tych skojarzeń przypomnienie zamiast idei z wyrazem, tylko samego wyrazu (2). W ten sposób skojarzonym ideom odpowiadają skojarzone wyrazy i, dzięki wpływowi uwagi, mogą przypominać jedne drugie bez przypominania idei odnośnych. Wyraz (lub znak) odpowiadający idei nazwijmy *symbolem pojęcia*, rozumiejąc przez pojęcie wyraz odpowiadający idei i skojarzenia jego odpowiadające skojarzeniom

---

(1) Nie mamy dosyć miejsca tutaj, aby rozwinąć znaczenie dopełniania się idei, zwracamy tylko na nie uwagę czytelnika, prosząc o przypomnienie wyłożonych wyżéj zasad jego, które wyjaśnią, jak obszar idei może względnie się rozszerzać.

(2) Im bardziéj jest natężona uwaga, im wyraźniejszém jest wskutek tego uświadomienie wyobrażenia, tém bardziéj się ogranicza jego obraz. Z początku idea i wyraz dzięki nader ściśłemu skojarzeniu mogą występować w świadomości jako jedno złożone wyobrażenie (Wundt).

idei. *Treść tedy pojęcia możemy rozwinąć na szereg myśli w skojarzonych następczo symbolach wyrazowych* (1).

Podkreślmy mocno, że symbole znakowe lub wyrazowe (jako wyobrażenia) nie zawierają ani źdźbła tych wrażeń, które wchodziły w skład odnośnéj idei: myśli zatém, które przedstawiają rozwinięcie w wyrazach treści pojęcia, zawierają tylko stosunki idej, ale nic nad to; *pojęcie jest zbiorem stosunków idej*, lecz nie zawiera nic z tego, co jest w idei każdéj, chociaż przy rozwijaniu gotowego pojęcia mogą się idee niektóre przypomniéć.

W symbolach wyrazowych rozmyślamy o swoich własnych ideach i wyobrażeniach konkretnych, nie potrzebując ich przypominać. Wszelkie wyobrażenia stają się wtedy dla nas równoważnemi z zewnętrznym przedmiotem badania, możemy je każdéj chwili przy pomocy uwagi powołać przed trybunał świadomości dla sprawdzenia lub nowéj analizy (także przy pomocy uwagi), albo myśléć jako o nieobecnych, lecz znanych nam ze swoich stosunków. Wreszcie możemy w podobny sposób myśléć o pojęciach. Powstanie usymbolizowanych znakami (np. wyrazowemi) pojęć zdaje się być koniecznym warunkiem analizowania własnych stanów świadomości. Ztąd mowa przedstawia się jako legendowa dźwignia Archimedesa, którą on mógłby świat wyruszyć z jego postaw, a która człowieka wywindowała po nad zwierzęta.

Powstanie jednak symbolów wyrazowych umożebnia i wielewiele złudzeń. Wskutek rozmowy, wskutek podobieństwa dźwięków lub przez takie działanie uwagi, jak przy fantazyowaniu, możemy skojarzyć ze sobą słowa i potworzyć pojęcia, które stosunkom idej wcale a wcale nie odpowiadają. Możemy np. myśléć, że $6 + 9 = 14$, że ogień ziębi, że przedmioty istnieją tylko w naszéj wyobraźni, że nawet sami nie istniejemy, albo że świat, którego jądrem jesteśmy, ma granicę na końcu naszego nosa, że prostak dojdzie do takich samych wniosków co mocarz myśli, bo obaj mają „zdrowy rozum“ itd. Spencer dowiódł („Zasady psychologii“, część siódma), że najwyższém kryteryum prawdy jest skojarzenie idej lub wyobrażeń konkretnych, że dla sprawdzenia myśli dość jest przypomniéć same idee i zobaczyć, czy one kojarzą się w sposób odpowiadający skojarzeniu symbolów wyrazowych czy nie, czy np. można sobie wyobrazić ogień ziębiący, granicę świata na końcu nosa i t. p. Wypadki złożeńsze wymagają téż i liczniejszych sprawdzeń, podług Spencer'a,

(1) Oczywiście taka droga kojarzenia się następczego wyrazów musi być ściśle odróżniana od kojarzenia się wyrazów li tylko dla tego, że jeden po drugim zostały usłyszane: wartość skojarzeń w obu razach bardzo jest różna.

często tak złożonych, że i wytrawny myśliciel zaplątać się może. Gdy skojarzeniu słów nie odpowiada skojarzenie idej w umyśle słuchacza, odpowiada on wtedy: „nie rozumiem.“ To jednak zdarza się pospolicie u ludzi, którzy w pojęcia mniéj zabrnęli. Ci zaś, co rozporządzają znacznym ich zapasem, często miewają sposobność powiedziéć „pojmuję“, gdy skojarzenia wyrazów usłyszanych odpowiadają przynajmniéj w części już poprzednio przez nich posiadanym, a w swojéj reszcie im nie przeczą.

Z tém wszystkiém nawet skojarzenie idei lub wyobrażeń konkretnych może wprowadzić w błąd. Wyobrażenie zjawiska *B* skojarzone następczo tylko z *A* przedstawi się jako jego bezwarunkowy skutek. Liczniejsze dopiero spostrzeżenia mogą wprowadzić *B* w skojarzenie następcze z innemi wyobrażeniami, i ono nie przedstawi się już jako bezwarunkowy skutek *A*; pierwotnie absolutna prawda staje się względną lub nawet całkiem prawdą być przestaje. Rola zatém wszelakiego doświadczenia jest wielką, lecz jak łatwo widziéć, powaga jego opiera się na tym samym sprawdzianie, na stałości i ograniczoności skojarzenia wyobrażeń. „Zdrowy rozum“ prostaków jest ten sam, co uczonego, umysły ich jednak różnią się zasobami, bo rozmaitością, liczbą i siłą skojarzeń, i wskutek tego jeden uważa za prawdę to, co dla drugiego jest już przesądem.

Oto parę przykładów (1).

„Król Kafrów, z plemienia Kussa, złamawszy pewnego razu kotwicę, umarł niedługo potém. Od owéj pory Kafrowie mniemają, że kotwica była żyjącą, pozdrawiają ją z uszanowaniem, skoro tylko zdarzy się im przechodzić koło niéj.“

„Australijscy krajowcy mają sobie za niezmienną regułę nigdy nie świstać przechodząc przez piaszczyste wybrzeże Sydney'u, ponieważ pewnego razu skała obłamawszy się, zgniotła kilku ich rodaków, którzy szli tamtędy świszcząc.“

Jeżeli brak pewnéj idei, to ma się rozumiéć brak i skojarzeń jéj z innemi ideami, a zatém i pojęcie odpowiednie nie zostanie zrozumianém, chociażbyśmy się postarali w danym umyśle wywołać skojarzenie odpowiednich wyrazów w odpowiednim porządku. Wyda się ono głupstwem, jeżeli tylko osobnik sprawdza je, t. j. przy pomocy uwagi przypomina odnośne idee (2). Oto przykład zastosowania sprawdzianu wykrytego przez Spencer'a.

---

(1) Lubbock. Początki cywilizacyi. Warszawa 1873, t. II, str. 131.

(2) U dzieci, których uwaga jest niewyrobiona, sprawdzanie to często nie odbywa się. Można im wpoić odpowiednie pojęcie, formułkę, lecz zaczynają ją „rozumiéć“ z czasem dopiero, gdy zjawią się odpowiednie idee. Takie zabijanie ćwieczków, wywra-

„Przyjaciel Langa próbował długi czas i z wielką wytrwałością wytłómaczyć pewnemu australijczykowi, bardzo zdolnemu i inteligentnemu, niezależne istnienie duszy, lecz dziki nie mógł zachować poważnéj miny i zwykle znajdował wymówkę ażeby odejść. Pewnego dnia szedł on za swym uczniem i spostrzegł, jak ten śmiał się na całe gardło z niedorzecznego pojęcia, że człowiek może żyć i poruszać się nie mając ani rąk, ani nóg, ani zębów do jedzenia. Przez długi czas nie mógł uwierzyć, żeby biały mówił poważnie, i gdy nakoniec przekonał się o tém, pojęcie o nieśmiertelności tém mu śmieszniejszém się wydawało, im bardziéj na seryo traktował je europejczyk“ (1).

Chociaż idea jest wynikiem wielu wyobrażeń konkretnych, odczuwamy ją jednak w chwili danéj jako przedstawiającą jeden przedmiot. Gdy wyobrażam sobie ogród, to jeden, a nie wszystkie sto ogrodów, które moją ideę ogrodu urobiły.

Jakkolwiek oderwaną byłaby idea (z materyału przez działalność organów zmysłów dostarczonego powstała), nie brak w niéj nigdy więcéj lub mniéj jasnych stosownych wrażeń napięcia mięśniowego i dotykowych, bo te wchodzą w skład wszystkich wyobrażeń bez wyjątku. Dzięki przypomnianym wrażeniom natężenia mięśniowego i dotykowym, ideę odnosimy do pewnego miejsca w przestrzeni. Gdy *wyobrażam* sobie ogród, ogród ten wówczas zdaje się rozpościerać przedemną. W rozwinięciu *pojęcia* ogrodu na szereg myśli w wyrazach, wrażenia wchodzące w skład idei ogrodu, udziału nie biorą: gdy więc z uwagą myślę słowami, gdy piszę, gdy wypowiadam myśli składające określenie ogrodu, nie czuję istnienia ogrodu; skoro jednak zjawi się napowrót w świadomości mojéj wyraźnie idea ogrodu, nie mogę nie umiejscawiać jéj w przestrzeni, nie mogę całkiém uwolnić się od *poczucia* realnego jéj bytu; zdaje mi się, że widzę przedmiot tylko mniéj obfity w szczegóły, niż który bądź z istniejących naprawdę.

Na jawie jednak bardzo łatwo jest przejść do myśli, przedstawiających wykład słowny odnośnego pojęcia; idea wtedy natychmiast niknie, a wraz z nią i poczucie realności jéj. Pojęcia rozwinięte na myśli poprawiają w ten sposób przekonanie o rzeczywistości wyobrażonego przedmiotu. Jeżeli wyobrażenie zniknie przy pierwszéj próbie rozwijania z uwagą odpowiedniego pojęcia, myślimy

---

cające naturalny porządek powstawania pojęć do góry nogami, Bain w swojéj „Nauce wychowania“ potępia, chociaż zarazem i zaleca „korzystać z téj chwili, gdy pamięć najdzielniéj wsysa pewne wiadomości (?)“ (str. 228).

(1) Pocz. cywil. t. III, str. 56.

w zdaniach o przedmiocie (oznaczonym w naszéj świadomości przez symbol wyrazowy lub znakowy), jako o nie istniejącym (1) w danéj chwili przed nami, lub nie istniejącym wcale; jeżeli zaś nie niknie, wtedy nie możemy żadną miarą uwolnić się zupełnie od poczucia rzeczywistości wyobrażenia przedmiotu. To ostatnie ma miejsce, gdy wyobrażenie jest skutkiem właściwego i normalnego podrażnienia organów zmysłów, lub chorobliwego podniecenia ośrodków, jak to bywa w halucynacyach. Wyobrażenia halucynacyjne mogą nabierać niezwykłéj siły, tak, że pod tym względem dorównywają wywołanym bezpośrednio. Pewna inteligentna kobieta (2) usłyszała z drugiego pokoju wołanie męża, który był od niéj wówczas oddalony o pół mili. Szukając, przebiegła całe mieszkanie, lecz go nie znalazła; gdy wrócił, pytała, dla czego jéj figle robi. Inną razą widziała kotkę kryjącą się pod krzesło męża i prosiła go, ażeby na nią nie nadeptał. Mąż nie widział kotki, ztąd powstała sprzeczka, a sprawdzenie dowiodło, że kotka cały czas leżała przy służącéj na drugim końcu mieszkania. Ta sama kobieta późniéj w gronie licznych gości spostrzegła na krześle swoję dawno zmarłą przyjaciółkę. Teraz już myślała, że to złudzenie, nie mogła się jednak uwolnić od pewnéj bojaźni; przyjaciółka znikła dopiero wtedy, gdy kobieta przezwyciężając obawę podeszła do krzesła jéj i na niém usiadła. Człowiek mniéj inteligentny byłby pewnym, że przyjaciółka istotnie przyszła z tamtego świata w odwiedziny.

Sprostować błędne przekonanie pozwala w podobnych wypadkach jedynie nabyte doświadczenie lub próba natychmiast wykonana. W ten sposób sprawdzian bytu, który w pewnych okolicznościach nie wystarcza człowiekowi do zdania sobie sprawy z rzeczywistych stosunków zewnętrznych, znajduje względne dopełnienie w kryteryum prawdy.

Gdy śpiemy, działalność półkul jest żadną lub bardzo ograniczoną. Im mocniejsze jest poprzednie znużenie (jeżeli tylko nie wprawia mózgu w stan chorobliwy), tém twardszy sen wywołuje, tém

---

(1) Tak zresztą będzie tylko wtedy, gdy *chodzi* o sprawdzenie rzeczywistości, gdy wskutek rozmowy, okoliczności, studyów obecnych lub dawniejszych powstała wątpliwość. W przeciwnym razie ponowne przypomnienie idei-przedmiotu, z towarzyszeniem właściwego poczucia realności jej, tylko potwierdza przekonanie o rzeczywistości. Tak się dzieje z ideą „duszy“, mającéj postać ciała, u wyżéj stojących dzikich i naszego pospólstwa. Trudno mi się oprzéć myśli, że zaznaczony tutaj moment założył podwalinę arystotelesowego pojęcia formy w stosunku do materyi i był dźwignią, która podnosiła Platona aż do przyznania bytu nadzmysłowym „ideom“ (pojęciom).

(2) Opis przytoczonych tu wypadków podaje Huxley w swojéj fizyologii (tłóm. niemieckie).

mniéj wyobrażeń wówczas się uświadamia. Idee i wyobrażenia konkretne, które wtenczas się budzą wskutek zewnętrznego lub wewnętrznego podrażnienia nie zostają rugowane ze świadomości przez odnośne pojęcia. Ulegamy wtedy zupełnemu złudzeniu co do rzeczywistości sennych widziadeł. Brak analizy własnych wyobrażeń (1) cofa umysłowe życie podczas snu na stopień, któryby można porównać z umysłowém życiem zwierząt, nie mogących krytykować własnych wyobrażeń.

Rozpatrzeniem kryteryów prawdy i bytu kończymy tę bardzo niezupełną analizę abstrahowania. Wypada nam jeszcze zaznaczyć stosunek między abstrahowaniem a krytyką. Krytyka, o któréj mówimy, przypuszcza istnienie pojęć, a więc wysoki rozwój zdolności abstrahowania. Abstrakcya zatém musi poprzedzić krytykę. Abstrahowanie przynajmniéj w początkach odbywa się w sposób względnie bierny, uwaga jest kierowaną przez zewnętrzne podrażnienia: przy krytyce zaś kierowanie uwagi ma swoje źródło względnie niezależne od zewnętrznych podrażnień. Im uboższym jest umysł w produkty abstrakcyi, tém słabszą i niedołężniejszą musi być krytyka, która w braku pojęć wydaje się całkiem niemożebną. Potwierdzenie zdania, że sceptycyzm idzie w parze z rozwojem umysłu, można znaleść tak dobrze w rozwoju całéj ludzkości, w porównaniu rozmaitych ras obecnie zamieszkujących ziemię, w porównaniu różnych klas tego samego społeczeństwa, jak i w rozwoju pojedyńczego osobnika.

Przejdźmy teraz do zapowiedzianego wyżéj wyodrębniania się wyobrażeń. Przez to wyrażenie rozumiem zjawisko, podobne do tworzenia się idei ze względu na fizyologiczno-anatomiczne objaśnienie, lecz wcześniejsze. Rezultatem jego jest wyłanianie pojedyńczych wyobrażeń konkretnych z chaosu, który tworzą zapewne wszystkie współczesne wrażenia dziecięcia. Jest to najpierwsze stadyum na drodze rozwoju abstrakcyi. Oto jak je charakteryzuje Wundt (2):

„Dla wyrobienia ciągłości świadomości istotnym warunkiem jest tworzenie się związku (3) między wyobrażeniami; związki te dzielą się na mocniejsze i luźniejsze, powstaje pewna rozkładająca działalność, która wiele pierwotnych połączeń znowu rozrywa. W nierozwiniętéj świadomości wszystko współcześnie wyobrażone zlewa się

---

(1) Przyczyną, dla któréj myśli w wyrazach nie mogą wyrugować wyobrażeń, wywołanych normalném lub chorobliwém podrażnieniem, jest zapewne siła odnośnych impulsów nerwowych w porównaniu z impulsem wyobrażeń przypomnianych; w czasie snu zaś — osłabienie uwagi.

(2) Wundt. Grundzüge der Physiol. Psych. wyd. II, t. II, str. 217.

(3) To jest skojarzeń, fizyol.-anatomicznie — wyrabianie się dróg nerwowych.

w jedno. W umyśle dziecka dom z placem, na którym stoi, rumak z jeźdźcem, łódź z rzeką zlewają się w jeden obraz. Dopiero stopniowo z tych pierwotnych całości wydzielają się *pojedyńcze wyobrażenia*, jako takie, które stanowią stalsze składniki zmiennego przebiegu połączeń. Wydzielenie to jest w części następstwem bezpośrednio zauważonych ruchów i zmian w przedmiotach, w części zaś skutkiem wyodrębnienia się stalszych związków z pomiędzy luźniejszych."

I oto przebiegliśmy już te ogólne dane, które są niezbędne dla skreślenia pierwszego stadyum, poprzedzającego powstanie wyobrażenia duszy. Przedstawimy je, trzymając się, z niektóremi zmianami, szkicu Wundta. Stadyum, do którego charakterystyki mamy właśnie przystąpić, Spencer nazwał zróżnicowaniem zasobów duchowych na podmiot i przedmiot (subiekt i obiekt).

W rozwoju pojedyńczych wyobrażeń konkretnych ważny udział bierze jedno wyobrażenie, nader obszerne, a w dalszém przekształceniu świadomości odgrywające główną rolę. Jest to wyobrażenie, które źródło ma w nas samych. Wrażeń z naszego ciała pochodzących, dopóki czuwamy, nigdy nie brak, szczególniéj stosuje się to do mięśniowych i dotykowych, albowiem nie te to inne mięśnie są wciąż natężone, czynne, nie tą to inną częścią skóry dotykamy siebie, ubrania, pościeli, podstawy, na któréj stoimy lub siedzimy; drobne zmiany temperatury, ruch powietrza, nieustannie wywołują wrażenia cieplne (słabe); usta nasze i język, mięśnie oddechowe i skóra przy oddychaniu naciągana, krtań, gardziel i kanały nosowe dostarczają ciągle wrażeń dotykowych i mięśniowych. Nakoniec wrażenia wzrokowe, szczególniéj z członków ciała, są dosyć częstemi.

Z powodu ciągłego a przynajmniéj bardzo częstego powtarzania się tych wszystkich wrażeń *razem*, skojarzenie między niemi coraz bardziéj się utrwala i podobnie jak z wyobrażeń konkretnych w późniejszym czasie wydzielają się idee, tak tu z chaosu dziecinnego umysłu, z jednego niewyraźnego wyobrażenia, obejmującego wszystkie otrzymywane wrażenia, wyłania się *wyobrażenie własnéj osoby*. Z pozostałéj masy wyodrębniają się także grupy wrażeń zwykle razem występujących, i w ten sposób powstają wyobrażenia przedmiotów, którym skojarzone wrażenia mięśniowo-dotykowe wyznaczają coraz dokładniéj położenie w zewnętrznéj przestrzeni. Stosunki przestrzenne w umyśle dziecięcia rozszerzają się bardzo stopniowo; małe dzieci wyciągają rączki tak samo do zabawki trzymanéj o stopę przed niemi, jak i do księżyca, który człowiek doroślejszy wyobraża sobie przynajmniéj tak odległym jak krańce horyzontu.

Wyobrażenie własnéj osoby nigdy nie ustępuje ze świadomości, jest tylko to słabszém, to silniejszém, stosownie do okoliczności, skierowujących uwagę na nie lub na przedmioty zewnętrzne. Rozumie się także, iż w wyobrażeniu własnéj osoby przeważają raz te, raz inne grupy wrażeń, odpowiednio do części ciała, która bezpośrednich wrażeń dostarcza, reszta zaś dopełnia się na mocy gotowych skojarzeń współczesnych; wyobrażenie tedy własnéj osoby cokolwiek się modyfikuje stosownie do zmiany wrażeń przy ruchach, zmiany, która nadaje przewagę to tym, to innym wrażeniom. Stosunkowo drobne lecz liczne modyfikacye mają ważne znaczenie, albowiem dzięki im, wyobrażenie własnéj osoby dopełnia się zawsze to słabszém, to cokolwiek żywszém przypomnieniem najróżnorodniejszych ruchów, co odczuwa się jako możliwość ruchów.

Przewaga tych lub innych wrażeń, z téj lub innéj części ciała pochodzących, wzrokowych, dotykowych lub mięśniowych, jest w ścisłym związku z grupą *szczególniejszych wrażeń napięcia*, one bowiem towarzyszą każdemu bardzo wyraźnemu uświadomieniu się wrażeń szczególniéj słuchowych i wzrokowych. Dorośléjsi nazywają je to *siłą uwagi*, to *siłą woli* (lub po prostu uwagą, wolą) stosownie do tego, czy za wyraźném uświadomieniem się pewnéj grupy wrażeń następuje ruch, czy nie. O źródle tych wrażeń napięcia pomówimy późniéj, tu tylko dodamy, że uświadamiają się one bez analizy ze strony osobnika i stanowią ważny element złożonego wyobrażenia własnéj osoby, element, który ze względu na niezliczoną moc swoich skojarzeń stanowi wyborny łącznik. Siła jego zdaje się wzmacniać (1) inne skojarzone z nim wrażenia, o tyle zapewniając im w świadomości przewagę, o ile one potrafią zdobywać go dla siebie (przypominać)—siłą, jeżeli są wywołane po raz pierwszy, mocą skojarzenia, jeżeli same są przypomnianemi.

Częstsze występowania przewagi jednych grup wrażeń niż drugich, występowanie wyraźne pewnych wrażeń w związku zawsze tylko z pewnemi i zawsze temi samemi wrażeniami, wywołuje dalsze wyodrębnianie wyobrażeń pojedyńczych ze złożonego i obszernego wyobrażenia własnéj osoby. Wszystkie jednak nowo-powstałe pojedyńcze wyobrażenia, a daléj zwężone idee, są bardzo mocno skojarzone jedne z drugiemi w zamknięty łańcuch, którego ogniwa są oprócz tego ściągnięte wspólnością wyżéj zaznaczonych wrażeń napięcia, jak punkty koła za pomocą średnic lub cięciw przez jeden punkt przechodzących. Wyodrębnienie wyobrażeń wyraża się tu

(1) Wzajemnemu wzmacnianiu wrażeń odpowiada ze strony fizyologicznéj wzajemne wzmacnianie się impulsów, niedawno dowiedzione przez fizyologów dla półkul.

w przewadze przy uświadamianiu, w mocniéj zarysowanym kontraście jasności między wyobrażeniem wywołaném a resztą, którą to ostatnie się dopełnia.

Otóż ten nigdy ze świadomości nie znikający splot wyobrażeń własnéj osoby Wundt nazywa *samoświadomością* (świadomością siebie—„Selbstbewusstsein"). „Samoświadomość mówi on, jest zatém w początkach swego rozwoju całkiem zmysłową. Składa się ona z szeregu zmysłowych wyobrażeń, które tylko przez swoję stałość i częściową zależność od woli wyróżniają się z pomiędzy innych, gdy jednocześnie żywe uczucia ogólne („Gemeingefühle" np. zmęczenie, boleści, głód, pragnienie, rześkość itp.) ich działanie potęgują. Już u zwierząt najniższych (?) są wszystkie warunki do wyrobienia się podobnéj prostéj samoświadomości potrzebne. Nawet u dzieci i dzikich stałość wyobrażeń odegrywa przeważającą rolę. Zewnętrznym przedmiotom, które przedstawiają odpowiednią stałość cech swoich, ten stopień psychicznego rozwoju przypisuje do swojéj podobną samoświadomość, uważając je za ożywione i uduchowione."

Wyraz „uduchowione" („beseelt") nie ma wcale oznaczać, że istota, na opisanym stopniu rozwoju zostająca, posiada dwa sploty wyobrażeń, jeden o swojém ciele, drugi o swojéj duszy, a zatém jeden o przedmiocie, drugi o jego istocie duchowéj—bynajmniéj! W taki właśnie błąd wprowadziłbym czytelnika, używając wyrażenia „obdarzone duszą." Przez wyrazy „ożywione i uduchowione" należy rozumiéć, że dany osobnik przedmiotom zewnętrznym przypisuje wzruszenia, uczucia ogólne, możliwość ruchów itd.

Samoświadomość, któréj powstanie jako obszerniejszego wyobrażenia, a następnie splotu wyobrażeń, dopiero co skreśliliśmy, obejmuje człowieka jeszcze jako jednę całość, jako jedno „ja", którego noga, ręka, włosy, paznogcie w jednakowym stopniu są częściami, a przy cokolwiek niższym rozwoju nawet odzież, sukienka, ślina etc.

Ślady niższych stadyów spotykają się obok wyższych; jest to tak powszechném, że nie masz zapewne przyrodnika, socyologa, etnologa, filologa, ekonomisty itd. któryby o tém nie wiedział doskonale. Otóż taki ślad podobnego splotu wyobrażeń, podobnéj prostéj samoświadomości znajdziemy w przykładzie następującym (1).

„Mówiąc o Nowéj Zelandyi, Tylor podaje: Osoba, która chce zaczarować drugą, stara się dostać jakąś rzecz należącą do téj ostatniéj: kosmyk włosów, kawałek ubrania lub nawet cząstkę pożywienia, odmawia nad niém pewne *karakias* (czyli zaklęcie), potém je za-

(1) Początki cywilizacyi. Johna Lubbock'a, w polskim przekł. 1873 r. str. 93.

kopuje. Przypuszcza się, że zaczarowana osoba niszczeje w tymże stosunku, w jakim przedmiot gnije. Prawie zawsze następuje skutek, gdy ofiara usłyszy o swém zaczarowaniu; obawa dopełnia bardzo szybko życzeń jéj nieprzyjaciela. Osoba, która chce drugą w ten sposób zaczarować, trzy dni nic nie je, czwartego dnia przyjmuje pokarm i wtedy dopiero ofiara umiera."

Widzimy z tego przykładu, jak silném jest w umyśle Nowo-Zelandczyków skojarzenie wyobrażenia np. włosów z resztą wyobrażeń (własnéj) osoby; wiadomość o gniciu przenosi się przez to mocne skojarzenie na całą osobę tak w umyśle oczarowanego, jak nawet i czarującego. Siła tego skojarzenia jest u tych dzikich mocniejszą niż w umyśle człowieka cywilizowanego i służy za świadectwo, że kiedyś związek mógł być jeszcze ściślejszym.

Następujący wyjątek z „Początków cywilizacyi" bardzo żywo charakteryzuje dzikich znajdujących się na stopniu rozwoju. który cechuje się samoświadomością, obejmującą całość człowieczéj osoby (t. III, str. 4).

Oj. Baegert, misyonarz jezuita, który żył siedemnaście lat z Indyanami kalifornijskimi, znakomicie opisał ich obyczaje i zwyczaje. „Nie mają oni, powiada, ani rządu, ani religii, ani urzędników, ani policyi, ani praw, bożyszcza, kościoły, kult, obrzędy religijne, są im zupełnie nieznane, nie tylko, że nie wierzą w prawdziwego Boga ale nawet nie oddają czci fałszywym bóstwom. Wszyscy są sobie równi, każdy robi to, co mu się podoba i nie troszczy się o zdanie sąsiada; to też wszystkie występki i zbrodnie pozostają bez kary, wyjąwszy w takim razie, gdy obrażone indywiduum lub jego krewni sami sobie wymierzają sprawiedliwość i zemszczą się na winowajcy. Oddzielne plemiona nie przedstawiają bynajmniéj zbioru istot rozsądnych, poddających się pod prawa i posłusznych swym zwierzchnikom; można je tylko porównać do trzody świń, wałęsających się według własnego upodobania, dziś razem, jutro oddzielnie, i spotykających się przypadkowo ze sobą. Jednem słowem, Kalifornijczykowie żyją, *salva venia*, niby „libertyni lub materyaliści." Wypytywałem się usilnie tych, z którymi żyłem, czy wierzą w Boga, w życie przyszłe, *w istnienie swych własnych dusz, lecz nie mogłem odkryć nawet śladu podobnych wierzeń.* Język ich nie zawiera wyrazu dla oddania pojęcia „Bóg" i „dusza" i dla tego też misyonarze zmuszeni są w swych kazaniach i naukach religijnych używać hiszpańskich wyrazów *Dios* i *alma*. Zresztą nic w tém dziwnego, że to ma miejsce u ludzi, myślących tylko o jedzeniu i bawieniu się, nie zastanawiających się nad rzeczami poważnemi i odpowiadających na zapytanie, przechodzące zakres ich ciasnych pojęć:—*aipekeriri*—kto to wie? Na często po-

wtarzane zapytywania, czy nigdy nie badali, kto mógł stworzyć słońce, księżyc, gwiazdy i inne przedmioty, zawsze mi odpowiadali *vera*, nie.“

Za brakiem rozpadnięcia się splotu wyobrażeń składających prostą samoświadomość na dwa: ciała i duszy, zdaje się świadczyć przekonanie o zupełnéj znikomości całéj osoby.

„Nie licząc na nic po upływie obecnego życia, nie mają dzicy (1) żadnéj nadziei po za grobem. Płaczą oni, jęczą, rozpaczają. „Amekwisza“—„wszystko stracone dla niego“ jest to ostatnie słowo wschodnich afrykanów, gdy mówią o zmarłym krewnym lub przyjacielu. „Wszystko stracone i nazawsze“, wołają afrykanie zachodni. Drżą na najmniejszą wzmiankę o śmierci. „Ach, powiadają, smutno jest umrzéć, smutno jest opuścić dom, żony i dzieci, nie nosić pięknych materyi, nie jeść mięsa i nie palić tytuniu!“

Gibbs opisując Indyan zamieszkujących na pobrzeżach rzeki Sacramento i San-Joaquin, powiada: „Pytaliśmy się jednego z najinteligentniejszych członków jednego z tych pokoleń, który już od trzech lub czterech lat ma stosunki z białemi, towarzyszył im w licznych wyprawach, o wiarę w Boga; przyznał się do głębokiéj niewiadomości w tym względzie. Nie słyszał on nigdy, żeby ktoś mówił o życiu przyszłém, co zaś do niego samego, nie wierzył w nie stanowczo. Powód dla którego jego rodacy nie zamieszkują po śmierci innych krain, jak to ma miejsce u białych (2), był według niego ten, że Indyanie palą swych zmarłych, *a zatem niszczą ich zupełnie* (3).

Jeszcze wyraźniejsze światło na to stadyum samoświadomości rzucają przykłady, wyjaśniające zapatrywanie się rozmaitych ras niższych na przedmioty. Właśnie tak zwany fetyszyzm dostarczy ilustracyi (4).

Każda rzecz (P. cyw. t. III, str. 12) może być fetyszem; może on przedstawiać postać ludzką lub czyjąbądź inną. Kłos kukurydzy jest zupełnie wystarczającym. Pewien inteligentny murzyn w taki sposób odezwał się do Bosmana: „Jeżeli który z nas zdecyduje się przed-

---

(1) Tamże, t. II str. 82.

(2) Jak widzimy europejczyk w rozmowie tłómaczył dzikiemu swoje pojęcie o duszy, choć dziki pojął je nieosobliwie.

(3) Tamże, t. III str. 5.

(4) Spencer uważa fetyszyzm (w szkicu o „początkach kultu zwierząt“) za zjawisko wtórne. Spencer jednak nie wyjaśnił psychologicznych podstaw upatrywania podobieństwa między zwierzęciem i martwym przedmiotem a człowiekiem, upatrywania— które występuje coraz wyraźniéj, im z niższym rozwojem umysłu mamy do czynienia (dzicy, dzieci); sądzimy, że w razie wyjaśnienia, cała krucha budowa hypotezy Spencer'a o początku fetyszyzmu byłaby przez niego samego przewrócona do góry nogami.

sięwziąć jakiś ważny zamiar, pierwsza rzecz, od jakiéj zaczyna, jest znalezienie sobie boga, który by mu dopomógł. W tym celu wychodzi i bierze za boga pierwszy lepszy przedmiot, kota, psa, lub jakiekolwiek stworzenie, chociażby najobrzydliwsze w świecie; nawet może to być przedmiot nieżyjący, znaleziony na drodze, jak naprzykład kamień, kawałek drzewa, lub zresztą cokolwiek innego, to zupełnie wszystko jedno. Natychmiast składa się ofiarę nowemu bogowi, przedstawia się mu swój zamiar i obiecuje się mu uroczyście, że będzie uważany i czczony za boga, jeżeli tylko przedsięwzięcie się uda. W tym ostatnim razie wyznaje się, że nowy bóg jest bardzo użyteczny i wtedy składa się mu codzień nowe ofiary; gdy zaś zamiar się nie spełni, wyrzuca się nowego boga, jako bezużyteczne narzędzie i staje się on znowu takim samym zwykłym przedmiotem jak poprzednio. Codziennie więc tworzymy nowych i niszczymy dawnych bogów i skutkiem tego jesteśmy wynalazcami i panami tych, którym oddajemy cześć."

Dzikim, którzy stoją na tym stopniu rozwoju umysłowego, trudno bardzo dać pojęcie o duszy. Widzieliśmy wyżéj, jak australijczyk „bardzo inteligentny" śmiał się z europejskiego pojęcia duszy: człowiek bez zębów, nóg i rąk był dlań niewyobrażalnym. Widzieliśmy, że Indyanin z nad Sacramento zrozumiał, wskutek tłómaczeń europejczyka, że dusza to ciało, które jeżeli nie zostało zniszczone po śmierci, może uchodzić do innych krain i tam żyć. Oto jeszcze jeden dowód, że słaby rozum niższych dzikich nie może pojąć bezcielesnego, a zatém niezabijalnego ducha.

Pewnego razu gdy Moffat próbował wytłómaczyć pewnemu naczelnikowi, co należy pojmować pod wyrazem bóg, dziki zawołał: „Ach, jakbym ja chciał złapać go i przebić lancą." A jednak ten naczelnik był bardzo inteligentny (Pocz. cywil. t. III str. 8).

Żywo odmalowany (P. cyw. t. III str. 16) stosunek ludu prostego w Chinach do jego bogów dotykalnie prawie wykazuje, że ciasne te głowy uważają bałwana za żywego boga, a nie za powłokę boskiego ducha, który może w nią wchodzić lub ją opuszczać.

W Chinach lud prosty, jeżeli „zasyłając długie prośby do swych bożyszcz, nie otrzymuje spełnienia swych życzeń,—co też często się zdarza,—wyrzuca je jako bezsilnych bogów. W innych razach traktują ich jeszcze gorzéj, lżą ich, a niekiedy i biją: „„Ty psi duchu jeden, powiadają mu, myśmy ciebie umieścili we wspaniałym kościele, pokryliśmy cię złoceniami, dobrześmy cię żywili i okadzali wonnościami; a po tém wszystkiém tyś jest tyle niewdzięczny, żeś nie wysłuchał naszych próśb!"" Po takiéj przemowie przyczepiają sznurki do posągu, zwalają go z piedestału, włóczą po ulicy śród błota i śnie-

ci, aby go ukarać za bezowocne koszta, jakie na niego wyłożyli. Jeżeli by w tym czasie życzenia ich spełniły się, odprowadzają go nazad do świątyni z wielkiemi ceremoniami, obmywają go, ustawiają w niszy, klękają przed nim i przepraszają za swe postępowanie. „„Co prawda, mówią, unieśliśmy się trochę za zbyt żywo, ależ ty ze swojéj strony byłeś nieco za powolny w spełnieniu naszych próśb i dla tego ściągnąłeś na siebie złe obejście. Ale co się stało, już się nie wróci; nie myślmy o tém więcéj. A jeżeli ty chcesz zapomniéć przeszłości, my cię na nowo ozłocimy.““

Uważanie przedmiotów martwych za ożywione, za czujące, można spotrzedz nie tylko u dzikich lecz i u dzieci, a to wskazuje, że takie zapatrywanie się na przedmioty nie może być zjawiskiem wtórném i ma podstawę nie w tradycyi, nie w historycznym lecz w psychologicznym rozwoju; źródło swoje czerpie nie z nauk przez dorosłych udzielanych, lecz znajduje je w samoistnéj od chwili urodzenia wciąż potężniejącéj pracy umysłowéj dziecka, dzikiego.

Pozostaje nam wyjaśnić to zjawisko w sposób zgodny z zasadami psychologii. Rzecz staje się zrozumiałą, gdy za punkt wyjścia obierzemy wyżéj skreśloną prostą samoświadomość.

Splot wyobrażeń składający się na nią zawiera wyobrażenia wzrokowo-dotykowe (1) własnego ciała. Przedmioty najrozmaitsze, jak inni ludzie, zwierzęta, drzewa, kamienie itd. wraz z dotykowo-wzrokowém wyobrażeniem własnego ciała urabiają dotykowo-wzrokową ideę przedmiotu. Łatwość, z jaką my sami odnajdujemy w cebuli—„głowę“, w podporze stołu—„nogę“, w zakończeniu szpilki „główkę“; w cieńszych końcach przedmiotów—„nóżkę“; w średniéj części—ciało, korpus, jest tylko dowodem, że konkretne wyobrażenie włącza w skład swój elementy ogólniejszéj idei. Jak w naszym umyśle za pośrednictwem skojarzeń tych ostatnich z wyrazem odnośnym („głowa“, „noga“, „ramię“) przypomina się wyraz: tak w umyśle dziecka, dzikiego, wyobrażenie konkretne, chociażby po raz pierwszy ujrzanego przedmiotu, włączając elementy idei, dopełnia się wyobrażeniami, które są z ostatniemi ściśle skojarzone. W skład idei wzrokowo-dotykowéj przedmiotu weszły u dzikiego i dziecka takież wrażenia z jego ciała, a zatém i udzieliły jéj swoich skojarzeń z wzruszeniami i ruchami. Oto dlaczego wyobrażenie konkretne pierwszego lepszego przedmiotu dopełnia się u dziecka i dzi-

(1) Gdy podajemy podobnego rodzaju nazwę wyobrażenia, to mamy na celu jedynie zaznaczenie przeważających w niém wrażeń (jesteśmy nawet przekonani, że wyliczenie wszystkich wrażeń, wchodzących w skład pierwszego lepszego wyobrażenia w tysiącznem stopniowaniu siły i nadających mu tysiące subtelnych odcieni w miarę zmiany téj siły, przechodziłoby możność największéj potęgi umysłowéj).

kiego przypomnieniem wzruszeń i ruchów, które, gdy jest bardzo słabém, odczuwa się przez dany osobnik jako możliwość; gdy staje się w skutek odpowiedniego skierowania uwagi silniejszém—przedstawia rzeczywistość. Tak dziecię, gdy siądzie na kij, wyobraża sobie, że on je unosi, jak prawdziwy koń, gdy bije stołek lub lalkę rózgą, jest pewném, że jeden i druga czują ból. Chińczyk z pospólstwa jest przekonany, że bożek czuje upokorzenie, gdy go walają w błocie, że lituje, się gdy go błagają. Murzyn rozumie, że fetysz słyszy, gdy on mu obiecuje cześć, że widzi, bo chowa go, lub zakrywa, gdy chce zrobić coś takiego, coby się nie podobało temu bożyszczu.

Zaznaczmy mimochodem, że dopiero co nakreślony proces umysłowy jest *wnioskowaniem*, które właśnie w zupełnie podobny sposób odbywa się i w naszym umyśle, jak to będę miał sposobność niżéj wykazać na przykładzie nie fikcyjnym. Cała różnica między dzieckiem a dorosłym, dzikim a wykształconym cywilizowanym człowiekiem jest w sile i rozmaitości skojarzeń. U nas samoświadomość jest całkiem inną, nie przedstawia ona silnego splotu wyobrażeń cielesnych, skojarzonych np. ze wzruszeniami w związek, zapewniający im występowanie w umyśle współczesne, lub chociażby następcze; skojarzenia te nawet w wielu razach nie istnieją już wcale: „główka“ cebuli nie przedstawia się nawet czującą; „mądry jak stołowe nogi“ u nas ma wprost przeciwne znaczenie, niż mogło by mieć u murzyna, który by obrał sobie nogę stołu za fetysza.

(*d. n.*) *Józef Siemaszko.*





DYPLOMACYA AUSTRYACKA
WZGLĘDEM POLSKI
POD KONIEC XVIII WIEKU.

II.

Jeżeli austryacka polityka wobec wybuchającéj w maju 1792 wojny między Polską a Rosyą jest niedołężną i słabą, nie należy zapominać o łagodzącéj jéj winę okoliczności, iż ją absorbował zatarg z rewolucyą francuską. Równocześnie z krokami wojennemi Rosyi przeciw Polsce rozpoczęła się nowa, po za plecami Kaunitza, gra polityki pruskiéj. Właściwym kierownikiem polityki austryackiéj był wtedy, podczas długich nieobecności i wypoczynków starego Kaunitza, znany nam tajny radca Spielmann. Do niego to, za pośrednictwem posła austryackiego w Berlinie hr. Reussa, odnosi się minister spraw zagranicznych pruski, hr. Schulenburg, w przedmiocie Polski z propozycyami noszącemi niedwuznaczną cechę intencyi, jakich Prusy nigdy względem Polski żywić nie przestały. Jeżeli Kaunitz w depeszy z 9 maja 1792 nalegał na dwór petersburski o wypowiedzenie wojny Francyi, o „powstrzymanie się z krokami wojennemi przeciw Polsce, nie rządził się sprzymierzony przecież nibyto z Polską gabinet berliński podobnemi skrupułami i starał się wyzyskać kłopoty polskie ku własnemu powiększeniu, wciągając, o ile można, w tę robotę i Austryą. Dnia 22 maja 1792, a więc prawie w chwili, kiedy wojska rosyjskie zabierały się przekraczać granicę, pisał Reuss do Spielmanna z polecenia Schulenburga, iż czas, aby Austrya i Prusy pomyślały teraz o swym interesie w Polsce, aby korzystając z inwazyi rosyjskiéj, Prusacy i Austryacy „pod pozorem obrony zagrożonych swych interesów“ wkroczyli w liczbie 10—12000 ludzi do Polski, poczém Rosya mogłaby sobie zabrać Ukrainę, Austrya wynagrodzić się „nad Renem“, Prusy powetować sobie szkody przy-

szłéj wojny z Francyą w Polsce. Spielmann, polityk i dyplomata téj saméj wartości i szkoły, co Lucchesini, rozczulił się istotnie projektem Schulenburga, nie znał miary wdzięczności za „otwartość i uczciwość“, z jaką minister pruski sprawę tę traktuje, i dał 29 maja 1792 odpowiedź przychylną projektowi pruskiemu, zgadzając się na powiększenie Prus i Rosyi kosztem Polski, żądając natomiast indemnizacyi dla Austryi kosztem Bawaryi. Jedyną niedogodność przedstawiało według Spielmanna niezadowolnienie, jakie objawiała Katarzyna z powodu mieszania się podobnego Prus w sprawy polskie. Nie potrzeba naturalnie powiadać, do jakiego stopnia gabinet berliński był zadowolniony z podobnéj uprzejmości. Co zaś najpocieszniejsza, poczęli obaj korespondenci, Schulenburg i Spielmann, chwalić nawzajem swą „uczciwość“ i „otwartość.“ I tak czytamy w depeszy Reussa do Spielmanna z 4 czerwca. „Z podobną szczerością i otwartością, mówił hr. Schulenburg, nie postępowali zapewnie jeszcze z sobą ministrowie dwojga dworów względem siebie, jak baron Spielmann i ja. Ale tak téż być powinno, jeżeli dobre rzeczy mają przyjść do skutku i tak téż pozostaniemy nadal względem siebie.“ Negocyacya podjęta w ten sposób wśród wojny r. 1792 ciągnęła się daléj. Austryacki mąż stanu zgadzał się w zasadzie na zabór przez Prusy części kraju polskiego, stanowiącego pomost między Szląskiem a Prusami, czyli Poznańskiego. Jak daleko ten zabór Prus miał sięgać, było pozostawioném ich porozumieniu z Katarzyną. Naturalnie wchodziła w program porozumienia między Spielmannem a Schulenburgiem (depesza 9 czerwca) zgoda na akcyą Rosyi przeciw Polsce, na rosyjski manifest, wydany w chwili rozpoczęcia wojny, na przekreślenie ustawy 3-go maja i powrót do stanu rzeczy z r. 1775. Również miała Austrya upomnieć się przy téj sposobności „o swe prawa“ w Polsce, a jéj rezydent w Warszawie de Caché dostał nawet polecenie czynić w tym względzie starania u konfederacyi Targowickiéj. Zgoda Spielmanna na podobne porozumienie trzech mocarstw w sprawie polskiéj, kończyła się takim ustępem: „Zdaje się, iż można sobie pochlebiać, że Polacy, wskutek tych jednobrzmiących deklaracyi, uznają konieczność i stosowność poddania się żądaniom trzech dworów sąsiednich, podobnie jak okolicznościom, a w razie potrzeby, j. c. mość Apostolska połączy swe usiłowania ze staraniami j. c. mości Rosyjskiéj, aby wprowadzić w wykonanie do współki z j. kr. mością Pruską wspólne zamiary trzech dworów.“

Otóż to robota zasnuta między Schulenburgiem a Spielmannem, która jednak, jak przekonywają dokumenta, nie zyskała zatwierdzenia ze strony Kaunitza. Już w depeszy z 21 czerwca 1792 do L. Cobenzla wyrażał Kaunitz przypuszczenie, że Rosya radaby

uwikłać Prusy i Austryą w wojnę z Francyą, aby tém swobodniéj zamiary swe w Polsce przeprowadzić. Całą myśl swoję co do sprawy polskiéj rozwinął przecież kanclerz austryacki w memoryale z 25 czerwca 1792, podanym młodemu cesarzowi, który to dokument rozpoczynał od oświadczenia, „iż w taki sposób ministerstwa swego kończyć nie może.“ W dalszym ciągu czytamy: „Najprzód opiera się pod tak wielu względami wątpliwy projekt hr. Schulenburga na czystém przypuszczeniu, którego egzystencya nie jest pewną, przeciwnie jest bardzo wątpliwą. Samo przez się jest tenże projekt obelżywym dla tutejszego dworu, wobec Polski zaś niegodny, a w swém wykonaniu chimerą. Dla tutejszego dworu obelżywym, ponieważ tenże dał tyle dowodów swojéj rozwagi i uczciwości, że według mego zdania, nie należało sobie pozwalać przedkładania mu podobnego projektu. Wobec Polski jest niegodnym, ponieważ nie zgadza się z uczciwością żądać od swobodnego i niezależnego państwa, aby nietylko wyrzekło się swojéj ustawy, ale aby nawet różne prowincye swego kraju czystéj wygodzie obcych państw poświęcało, rzeczą przeciwną *juri gentium* i wszystkim istniejącym tak dawniejszym, jak nowszym traktatom i zobowiązaniom; wreszcie zaś jest wykonanie całego projektu chimerą: 1) ponieważ tenże tak, jak jest przedłożonym, nie może być wcale przyjętym; 2) ponieważ przyzwolenie dworu bawarskiego i palatyńskiego, co najmniéj jest bardzo wątpliwe; 3) ponieważ prawa zamiany Niderlandów niedawno temu formalnie się zrzeczono, a potęgi morskie takiéj zamianie najprawdopodobniéj i słusznie by się opierały, tak dla tego samego, jak i z tego powodu, że nie może być dla nich rzeczą obojętną, czy posiadają w Niderlandach władcę zupełnie bezsilnego, czy też potężnego monarchę, któryby sam był w stanie rewolucyi tamże zapobiedz, a tém samém naśladowaniu jéj w siedmiu połączonych prowincyach przeszkodzić. Do tego dodać jeszcze należy, iż w wykonania środkach nie przedstawia się żadna wzajemność, ponieważ: 1) zamiana Bawaryi zależy od dobrowolnego przyzwolenia i wątpliwego rezultatu negocyacyi; Prusy natomiast w porozumieniu z Rosyą co chwila mogą wejść w posiadanie swych nowych nabytków w Polsce, bez możności przeszkody z naszéj strony; 2) ponieważ wobec naszego przyzwolenia na tak znaczne powiększenie pruskiego dworu, pozwolenia, któreby najzupełniéj starczyło do zabezpieczenia takiego nabytku, Prusy, które sobie nie robią skrupułu pozbawić Polskę jéj prowincyi, wahają się przecież elektora bawarskiego i księcia Zweibrückeńskiego doprowadzić do ich zobopólnego zezwolenia drogą takiéj namowy, jakaby w tym celu była konieczną. Przy tém całém postępowaniu tedy nie widzę nic więcéj, jak chciwość i polityczne

zasady, które na przyszłość bardzo mało ufność wzbudzać mogą, a tém samém mało dobrego zapowiadają. Tego rodzaju polityczna moralność nie odpowiada moim zasadom i nie powinnaby być dla tego praktykowaną przez wielkie mocarstwo, które siebie samo umie szanować i ceni wartość swego dobrego imienia. Według moich pojęć, należałoby tedy cały ten projekt starać się pogrzebać, ponieważ ze złéj rzeczy nigdy dobra wyniknąć nie może. W takiém położeniu rzeczy jest więc mojém jedyném życzeniem i jedyną moją nadzieją, że z tego wszystkiego nic nie będzie, a trzeba się mieć na baczności, aby się w tę sprawę daléj nie zapuszczać, a równie niepotrzebnie, jak drobiazgowo nie kompromitować."

W tym duchu zostały wyprawione instrukcye do Reussa w Berlinie, L. Cobenzla w Petersburgu, a cesarz Franciszek odpisał na memoryał Kaunitza w dniu 29 czerwca: „Jestem dalekim od chęci pośpiesznego działania w téj sprawie lub zapuszczania się w cokolwiekbądź, coby czci mojéj szkodzić lub złe następstwa za sobą pociągnąć mogło."

Wkrótce potém wyjechał cesarz na koronacyą do Frankfurtu, kiedy wobec gasnącego pożaru wojennego w Polsce, Schulenburg nie przestał pracować nad Reussem, obiecując Austryi ustąpić księstwa Ansbach i Baireuth, jeżeli ona zgodzi się na zajęcie przez Prusy województwa poznańskiego, kaliskiego i Kujaw. Dodajmy, że wtenczas właśnie, w początku sierpnia, sędziwy Kaunitz po 50-letniéj służbie prosił o uwolnienie, a zawiadujący wydziałem spraw zagranicznych wice-kanclerz Filip Cobenzl okazywał się przychylnym planom i propozycyom pruskim w zamian Ansbachu i Baireuthu. Tymczasem jednak powrócił cesarz z podróży koronacyjnéj, a odbyta pod jego przewodnictwem 3 września konferencya nie oddawała tak zupełnie interesu austryackiego na pastwę pożądliwości pruskiéj. Konferencya ta postawiła obu innym mocarstwom marsa i pogroziła, że w razie obsadzenia kraju polskiego przez Rosyą i Prusy odpowiedzią austryacką będzie również obsadzenie czasowe pewnego odpowiedniego obszaru Polski przez wojska austryackie.

Tutaj to może czas zauważyć, że Kaunitz ustąpił wówczas od kierownictwa spraw zagranicznych urzędowo, zachowując sobie na nie wpływ pośredni, doradczy, a że oficyalnie wziął je na siebie z tytułem wice-kanclerza F. Cobenzl, uchodzący za zwolennika Rosyi, przeciwnika Prus, bez należytéj jednak energii ani w jednym, ani w drugim kierunku. Była to smutna dla Polski chwila, owa jesień r. 1792, po złamaniu oporu na widowni wojennéj, po zajęciu Warszawy przez wojska rosyjskie pod dowództwem Kachowskiego, po wymuszonym akcesie Stanisława Aug. do konfederacyi Targowickiéj,

wśród gospodarowania owéj konfederacyi na Litwie i w Koronie. Co w téj chwili rzeczą zasługującą na uwagę a wynikającą z depesz petersburskich L. Cobenzla, to, że przewodniczący wydziałowi spraw zagranicznych w Petersburgu hr. Ostermann przyjmuje z widocznym kwasem mieszanie się obu mocarstw niemieckich do spraw polskich, a że zgadzając się na subsydya pieniężne w wojnie przeciw rewolucyi francuskiéj (400,000 rubli), nie dopuszcza na tymczasem rozmowy o jakimbądź nowym podziale Polski. W wymianie depesz między trzema dworami grozi naówczas Austrya ciągle obsadzeniem części kraju polskiego w razie, gdyby Prusy nie pozwoliły jéj szukać indemnizacyi w Bawaryi,—o nowym podziale Polski nie ma jednakże chwilowo mowy. Ten stan nie mógł jednak trwać długo, a inicyatywę jego przerwy miało dać, jak zwykle, nienasycone łakomstwa pruskie. Uprzytomnijmy sobie ówczesny stan rzeczy na wielkim teatrze wojny i polityki. Król pruski doznawszy samych niepowodzeń w wyprawie przeciw Francyi, chory, zgryziony, rozpoczął odwet z Szampanii ku Luxemburgowi, mając oczy zwrócone raczéj w stronę łatwych nabytków polskich, aniżeli ku Francyi, skąd prócz bezpłodnéj aureoli obrońcy zagrożonéj idei monarchicznéj, żadna nadzieja dotykalnéj korzyści nie przyświecała. Gabinet wiedeński spoglądał, jak zawsze, tak i wówczas na Prusaków i ich działania z widocznem niedowierzaniem. We współczesnych depeszach F. Cobenzla przebija nawet obawa, aby Prusacy nie weszli w porozumienie z Francyą i nie zabrali Belgii. W charakterze dyplomatycznego agenta, więcéj może jeszcze w roli obserwatora wszelkich ruchów i zamiarów pruskich, został wyprawiony z Wiednia (październik 1792) do obozu pruskiego baron Spielmann. Około połowy października znajduje się główna kwatera króla pruskiego w zamku Merl pod Luxemburgiem; w otoczeniu jego widzimy dwóch czynnych w dziedzinie zagranicznéj polityki mężów stanu, barona Haugwitza i hr. Schulenburga. Obaj zaczynają się zwierzać Spielmannowi i badać przezeń usposobienia dworu wiedeńskiego co do Polski. Po oświadczeniach ustnych 15 października, że król pruski poniósł, przez dotychczasowy swój udział w wojnie przeciw Francyi, wielkie straty i wydatki, przedstawili obaj ministrowie, że „wszelka słuszność wymaga, aby inne sprzymierzone mocarstwa, w pierwszym rzędzie naturalnie Austrya, zgodziły się na wynagrodzenie Prus za szkody poniesione w kampanii francuskiéj. Indemnizacyi téj mogą, według zdania ministrów, Prusy szukać sobie jedynie w Polsce. Dnia 25 października została ta pretensya bez zwrócenia uwagi na jaki bądź możliwy opór ze strony Polski, zakomunikowaną Spielmannowi w sposób formalny przez ministrów pruskich, przyczém również nie było mowy o in-

demnizacyi Austryi przez jakie bądź nabytki bawarskie i frankońskie. Nawiasowo powiedziawszy, nie trudno sobie wyobrazić, jak wśród podobnych targów, jak wśród podobnie na widowni polskiéj traktowanego interesu, wojna przeciw Francyi mogła być prowadzoną, jak nie była prowadzoną na seryo, jak legendową bajką jest owo ocalenie Francyi przez „Marsyliankę“ i „czternaście“ bajecznych armii, kiedy naprawdę ocala Francyą — Polska swą klęską! Wracając do naszego głównego przedmiotu, powiedzmy, że Spielmann zagadniony w ten sposób przez Prusaków, odniósł się z żądaniem instrukcyi do Wiednia. Odpowiedź F. Cobenzla z 26 października, zgodna zresztą z treścią jego późniejszych depesz, pozostanie znowu tylko dowodem owéj dobrodusznéj słabości austryackiéj, która nie chąc złego, która pragnąc oszczędzać Polskę, nie umiała jéj przecież skutecznie obronić, a kończyła zawsze tylko ustępowaniem, jeżeli nie w uczestnictwie krzywdy wyrządzanéj swojéj klientce. Depesza Cobenzla do Spielmanna z przeznaczeniem komunikacyi Schulenburgowi i Haugwitzowi, zawierała między innemi taki ustęp: „Zaręczam, że kredyt mój u mego najłaskawszego monarchy byłby wystawiony na najwyższe niebezpieczeństwo, gdybym się pokusił doradzać j. c. mości krok tak zabójczy, jakim byłoby dopomagać królowi pruskiemu do ponownych nabytków w Polsce, bez zajęcia z naszéj strony Bawaryi i Górnego Palatynatu. W takim razie uważałbym oziębienie stosunków między obu monarchami za daleko mniejsze złe, aniżeli jednostronne powiększenie się monarchii pruskiéj.“ Jeszcze d. 30 października pisze Cobenzl do Spielmanna, że przecież jeżeli chodzi o Polskę, to i Rosya głos mieć powinna, że Austrya powinna zyskać równoważny nabytek w Bawaryi i księstwach frankońskich, że w ostatecznym razie obsadzi tymczasowo do spółki z dwoma mocarstwami część Polski, a frazesy, jak „*Treulose Streiche der Preussen*“, jak energiczne wyrażenia przeciw ich zamiarowi fałszowania asygnat francuskich pojawiają się co chwila w korespondencyi między gabinetem wiedeńskim a dyplomatami jego Spielmannem, Mercym, Thugutem przebywającym w obozie pruskim. Ostatecznie jednak przedstawiają się owe prusko-austryackie negocyacye na zamku Merl w jesiennych miesiącach r. 1792 z najsmutniejszéj strony nie już dla Polski, ale dla Austryi saméj. Istotnie przechodzi niedołężność i bezradność jéj dyplomacyi wszelkie granice. Intencye jéj względem Polski są niewątpliwie dobre. Austrya chciałaby Polsce oszczędzić nowego podziału, a przedewszystkiém zasłonić ją od pożądliwości pruskiéj. Pod tym względem jest nawet najnieprzychylniejszy Polsce z dyplomatów austryackich, Spielmann, przekonań, jakby się zdawać mogło, bardzo wyrobionych. Prusacy

jednakże, Schulenburg, Haugwitz, Bischoffswerder, sam książę Brunświcki nie przestawali posługiwać się względem Austryi następną taktyką. Z jednéj strony, wśród nieustannych frazesów o „dobrém prawie“, „uczciwości“, „otwartości“, przedstawiali natarczywą potrzebę poszukania sobie indemnizacyi w Polsce za koszta wojny francuskiéj; z drugiéj strony dawali do zrozumienia, że jeżeli Austrya na to się nie zgodzi, Prusom nie zostanie nic innego nad smutną konieczność odstąpienia od akcyi wojennéj, porzucenia Austryi saméj w zapasach z Francyą. Co rzeczą znowu na smutną uwagę zasługującą, to, że w tych handlach i targach o Polskę na owym granicznym skrawku belgijskiéj widowni, nie pojawia się ani razu kombinacya jakiejbądź akcyi samejże Polski, przypuszczenie, że ta Polska w jakibądź przecież sposób przeciw stypulacyom takiego bez niéj a przeciw niéj ułożonego targu zaprotestować może. Dyplomaci austryaccy skarżą się w depeszach do Wiednia, „że im Prusacy przykładają nóż do gardła“, targują się o Bawaryą i księstwa frankońskie, występują raz poraz z groźbą obsadzenia równoważnego obszaru w Polsce, ale ostatecznie cofają się i dają rzecz za wygraną ze szkodą patronowanéj niby to przez siebie Polski, bez korzyści najmniejszéj własnéj. Dnia 5-go listopada nadeszła do Merl wiadomość, że dzięki wynagrodzonym przez króla pruskiego orderem orła czarnego . . staraniom posła pruskiego Goltza w Petersburgu, Katarzyna zgodziła się na współokupacyą pruską w Polsce. Odbyta dnia następnego między pruskimi a austryackimi mężami stanu konferencya wyprowadziła na jaw wspomniane pretensye pruskie wraz z repliką austryacką. Król pruski obiecywał Austryi złote góry w Bawaryi i Frankonii, Spielmann i Mercy domagali się dla niéj działu w Polsce.

Przebieg téj negocyacyi wraz z obustronnemi żądaniami został zakomunikowany do Wiednia. Odbyta tutaj 29 listopada konferencya ministeryalna stanęła zasadniczo na podstawie zajętéj przez dyplomatów austryackich w Merl, oświadczyła gotowość obsadzenia pewnych obszarów Polski, jeżeli Rosya i Prusy przystąpią do nowego podziału. Jakoby gotując się na podobny krok powiększono nieco siły swe w Galicyi i powierzono w Grudniu 1792 dowództwo feldmarszałkowi hr. d'Arnoncourt. Tymczasem powtarzała się ciągle w depeszach pruskich stara zwrotka o konieczności indemnizacyi, kiedy ze strony austryackiéj, nie zabierając się do jakiegobądź czynu, odpowiadano na nią pretensyami do Bawaryi i księstw frankońskich lub żądaniem równoważnego obszaru w Polsce saméj. Ostatni raz odezwała się ta pretensya austryacka w kapitulującéj na rzecz żądań prusko-rosyjskich depeszy wice-kanclerza Cobenzla do repre-

zentanta Austryi w Petersburgu z 23 grudnia t. r. Nie zdołała, rozumie się, taka chwiejna postawa gabinetu wiedeńskiego powstrzymać ani na chwilę ułożonego między Berlinem a Petersburgiem biegu wypadków. Dnia 3 stycznia 1793 nadeszła do Wiednia od L. Cobenzla w Petersburgu wiadomość, że Katarzyna zgodziła się na wkroczenie wojsk pruskich do Polski. Doniesienie to nie omieszkało wywołać pewnego alarmującego wrażenia w Wiedniu i stało się hasłem pewnych intencyi i dobrych chęci, które jednak nie poparte czynem, nie mając do dyspozycyi odpowiednich środków materyalnych, miały spełznąć na niczém. Tuż po nadejściu depeszy Ludwika Cobenzla, wyprawiono do posła austryackiego w Berlinie rozkaz żądania i dla Austryi równoważnego obszaru w Polsce. Nadto nastąpiła walna konferencya wszystkich konferencyjnych ministrów w celu narady, jakie zająć stanowisko w sprawie polskiéj. Brali w naradzie udział: ks. Starhemberg, feldmarszałek hr. Lacy, ks. Rosenberg, hr. Colloredo, hr. Filip Cobenzl, baron Thugut, baron Spielmann i baron Collenbach jako sekretarz. Trudno sobie było zataić, że żal przychodzi za późno, a że pozwoliwszy się wyprowadzić Prusakom w pole i ubiedz w Polsce bez żadnéj równoważnéj indemnizacyi, teraz wobec niemocy zwłaszcza materyalnéj i dywersyi francuskiéj, nie pozostaje Austryi wiele więcéj do roboty nad przyzwoitemi pozorami osłoniową rezygnacyą. Feldmarszałek Lacy tylko wpadł na pomysł, który pokutował przez niejaki czas w intencyach i depeszach gabinetu wiedeńskiego, aby, jak wszystkie inne jego spóźnione projekty, spełznąć na niczém. Pomysł ten zmierzał do zwiększenia sił austryackich w Galicyi kilku batalionami piechoty i kilku pułkami jazdy, aby następnie obsadzić Kraków i Kamieniec, a za pomocą jazdy utrzymywać ciągłą komunikacyą między obu załogami. Okupacya miała być tymczasową, a ustać natychmiast, skoroby Rosya i Prusy wojska swe z Polski wycofały. Bezzwłocznie zaś po téj konferencyi wyprawił gabinet wiedeński w najgłębszéj tajemnicy rotmistrza Ettinghausena na objazd nowego zaboru pruskiego w Polsce i pogranicza. Nie powstrzymało to ani na chwilę szybkiéj akcyi prusko-rosyjskiéj z pewném lekceważeniem Austryi. Tak np. zawarto 13-go stycznia 1793 między Rosyą a Prusami konwencyą, regulującą obustronne działanie wojsk ich bez zawiadomienia nawet Austryi, co, jak widzimy, gabinet wiedeński mocno dotknęło. Przesłany dopiero 27 stycznia memoryał ministra spraw zagr. Ostermanna do posła rosyjskiego w Wiedniu hr. Razumowskiego, oznajmiał, że gabinet petersburski zgodził się nareszcie na ustąpienie pożądliwościom pruskim w Polsce, by położyć koniec niepewności i zniewolić w ten sposób Prusaków do wytrwania w wojnie przeciw rewolucyi francuskiéj. Później-

sza depesza L. Cobenzla z 7 marca donosiła do Wiednia, że nowa, zawarta między Prusami a Rosyą w d. 1 marca konwencya omawia jeszcze szczegółowiéj akcyą obustronnych wojsk w Polsce. Wiadomo zkąd inąd, że tymczasem w ostatnich dniach stycznia 1793 wojska pruskie wkroczyły do Polski, że zajęły Poznań, Toruń, że blokowały opierający się Gdańsk a że Austrya, dzięki niedołężności swéj polityki, mianowicie Filipa Cobenzla, wyszła z téj sprawy z mocnym uszczerbkiem honoru a bez żadnéj materyalnéj korzyści. Wspomnieni przez nas wyżéj mężowie stanu austryaccy skarżyli się, że Prusy wyzyskując trudne położenie Austryi z powodu wojny z Francyą, nadużyły go do postarania się o nowe nabytki w Polsce. Baron Thugut zaś w proroczéj obawie o przyszłość Austryi w skutek nadmiernego wzrostu Prus, pisał: „Całe to położenie rzeczy zdaje się zasługiwać ze strony j. c. mości na uwagę jak najdojrzalszą, aby uniknąć, o ile na to nieszczęśliwe okoliczności pozwalają, wszelkiego rodzaju sideł, jakich odwieczny współzawodnik potęgi austryackiéj, nie przestanie jéj nigdy stawiać.“ Objaw ten przenikliwości ministra austryackiego nie wywołał żadnéj rzeczywistéj, czy to w interesie Polski, czy choćby w interesie własnym akcyi. Pokutuje wprawdzie jeszcze przez kilka tygodni zamiar opanowania Krakowa i Kamieńca, jako zastawu,—ale zamiar ten kończy się na niepokojach fałszywego apetytu, nie wchodząc w żaden nawet początek wykonania. Co najwięcéj, widzimy, że owa klęska interesu austryackiego w Polsce, staje się gabinetowi wiedeńskiemu powodem do postawy najbezpłodniejszéj i najniewdzięczniejszéj, jaką dzieje polityki znać mogą, do odgrywania roli dąsających się i zagniewanych. Rzecz naturalna, że ani gabinet berliński, ani gabinet petersburski owemi dąsami niewiele się kłopotały, że zawierały z sobą styczniowe i marcowe konwencye, w których Austrya najzupełniéj znalazła się pominięta. Dowód zaś owych dąsów austryackich mamy na korespondencyi zamienionéj między wicekanclerzem Cobenzlem a rezydentem austryackim w Warszawie, de Caché'm.

De Caché jest osobistością bardzo małych przedewszystkiém zdolności, nie mającą szczególnego zachowania wobec własnego rządu. Nadto jest tak stanowczym, tak wyraźnym zwolennikiem interesu rosyjskiego, że go poseł rosyjski Siewers wzywa z własnego ramienia, by się udał wraz z nim do Grodna, że mu tamże nawet ofiaruje u siebie mieszkanie. Ta okoliczność właśnie wywołuje, d. 16 marca 1793, depeszę, w któréj wicekanclerz zabrania de Caché'mu wyjeżdżać do Grodna a zarazem poleca, aby wobec wszelkich interpelacyi reprezentantów Prus i Rosyi pozostał na uboczu i zasłaniał swe milczenie brakiem instrukcyi.

Tak więc odsądziła się Austrya sama od odegrania jakiejbądź roli w drugim podziale Polski i w strasznym, mającym go przypieczętować dramacie grodzieńskim. Odtąd widzimy przez niejaki czas usiłowania jéj zwracające się w dwa kierunki, najprzód ku pozyskaniu ściślejszego przymierza z Anglią, aby zrównoważyć alians prusko-rosyjski, następnie ku wykołataniu na Prusach indemnizacyi bawarsko-frankońskiéj. Jeżeli zapytamy o przyczyny podobnego bankructwa polityki austryackiéj w Polsce, znajdujemy ich dwie przedewszystkiém. Pierwszą stanowiła nieszczęsna, tragicznie na losach Polski odbijająca się dywersya rewolucyi francuskiéj; drugą polityczna nieudolność wicekanclerza Cobenzla, niezdolnego żadną miarą sprostać bawiącemu teraz na uboczu, poprzednikowi swemu, Kaunitzowi. Filip Cobenzl, specyalista w wydziale ekonomiczno-finansowym, dawniéj zawiadowca departamentu finansowego w Bruksełli, późniéj na podobném stanowisku w Wiedniu, więcéj administracyjny rutynista, aniżeli polityk, pozbawiony łatwości słowa skutkiem jąkania, nie zdołał wśród trudnych okoliczności rozwinąć akcyi, która by mogla oszczędzić Austryi przykrego i szkodliwego upokorzenia. Co najwięcéj dolegało i rozdrażniało w Wiedniu, to oddanie Prusom ujść Wisły, to poświęcenie Gdańska. Uczuciu tego rozdrażnienia i niesmaku należy téż przypisać, że pod koniec marca 1793 własnoręczny bilet cesarza Franciszka zawiadomił pewnego pięknego poranku F. Cobenzla, że „odtąd powierza mu się wice-kanclerstwo w sprawach włoskich, kiedy kierownictwo spraw polityki zagranicznéj przechodzi w ręce barona Thuguta.“

Przypatrzmy się z kolei rzeczy akcyi w sprawach polskich tego słynnego w dziejach Austryi męża stanu i zobaczmy, czy i o ile potrafiła być lepszą od poprzedzającéj.

Od chwili objęcia steru polityki zagranicznéj przez Thuguta, co się faktycznie odbywa w pierwszych dniach kwietnia 1793, widzimy przedewszystkiém, również bez śladu jakiéj bądź politycznéj akcyi, cały szereg, rozsełanych za pośrednictwem Starhemberga, Reussa, Ludwika Cobenzla do dworów londyńskiego, berlińskiego, petersburskiego depesz z żalami na gabinety berliński i petersburski z powodu, iż dopiero pod dn. 22 marca zakomunikowały przez swych reprezentantów Cesara i hr. Razumowskiego w Wiedniu konwencyą prusko-rosyjską 13 stycznia 1793, która uważając Polskę bez ceremonii za przedmiot indemnizacyi mający Prusom wynagrodzić koszta wojny francuzkiéj, która pomijając zupełnie Austryą, zastrzegała obu mocarstwom zawierającym ją „prawo“ wyłącznego rozrządzania Polską. Depesze te Thuguta, noszą datę 14 kwietnia t. r., wyrażały z tego powodu marne niezadowolnienie Austryi wraz z natar-

czywém, pełném obawy naleganiem, aby jakąś przecież Polskę przy życiu pozostawić, mianowicie, aby pozostawić Częstochowę Polsce, aby nie dopuszczać obu mocarstw z ich nowemi posiadłościami zbyt blisko do granic galicyjskich. „Jako sąsiad Polski“, pisał Thugut w jednéj z pomienionych depesz, „ma cesarz interes, domagać się zachowania tego państwa w stanie pośredniéj potencyi (eines intermediären Staates), a z tego powodu żądać, aby rosyjskie i pruskie działy tak były wymierzone, aby między niemi a granicą Galicyi była zachowana odległość odpowiednia pojęciu pośredniego państwa“...

Tejże saméj treści komunikacyą przesłał Thugut pod tąż datą za pośrednictwem hr. Mercy do dworu londyńskiego, który wogóle, jako przychylny zachowaniu Polski, staje się odtąd przez niejaki czas celem poszukiwanego przez Austryą aliansu. „Podobnie“, pisał Thugut, „jak dwór Wielkiéj Brytanii łatwo poweźmie ztąd przekonanie, iż j. c. mość nie może się przychylić do przyzwolenia, jak tego żądają, na tęż konwencyą, tak uzna tenże dwór równie jako rzecz słuszną, iż nasz dwór ze swéj strony nie wywołał wcale myśli nowego rozkawałkowania Polski a daleki od tego, aby go pragnąć, znajduje je przeciwnie jako dla siebie bardzo szkodliwe. Z drugiéj jednakże strony nie znajdujemy się tutaj w położeniu, któreby nam pozwalało opierać się nowemu podziałowi Polski skutecznie, ponieważ stosunki, w jakich się z obu naszymi sprzymierzeńcami znajdujemy, pozbawiają nas nawet możności, wystąpienia przeciw temu z bezpośrednio z silnemi przedstawieniami. Tém więcéj pocieszającą rzeczą byłoby dla j. c. mości, gdyby dwór angielski podobnemi względami nie był powstrzymany wystąpić wobec dworów pruskiego i rosyjskiego z takiemi przedstawieniami, któreby je mogły spowodować do zupełnego zarzucenia ich planu podziałowego, albo też (ponieważ mała tego nadzieja), nadzwyczajne działy, jakie tu sobie sami wymierzyli, zmniejszyć i wprowadzenie całego planu w życie na teraz odroczyć. Podobnie, jak Polacy nie są w stanie wykonaniu podobnego planu się oprzéć, tak téż łatwo przewidziéć, iż będzie trudno wymusić przemocą ich przyzwolenie na to. Gdyby tedy przez jakibądź angielski krok, z któregoby w Warszawie wnosić można było, iż Anglia zamierzonego podziału nie pochwala, do tego zachęceni byli, odmawialiby przyzwolenia swego z tém większą energią, przez coby się rzecz ważną w takich razach zyskało, to jest na czasie. Taki krok będzie odpowiadał zarówno względowi, jaki tamtejsze (angielskie) ministerstwo winno miéć dla opinii publicznéj narodu, i dla wrzawy, jaką przy téj sposobności stronnictwo opozycyjne wzniesie, jak będzie mógł być wobec Prus i Rosyi wytłómaczony

tymże właśnie względem. Gdyby też i tutejszy (wiedeński) dwór do poparcia angielskich starań, aby oba mocarstwa dopiero co wspomniane skłonić do miarkowania swych polskich pretensyi i odroczenia chwili ich wykonania, w jakibądź sposób mógł się przyczynić bez nadaremnego się kompromitowania, można w Anglii na to liczyć, że się to (ze strony Austryi) z pewnością i z radością stanie." Tak to odnosiła się Austrya w swych kłopotach do pośredniéj interwencyi angielskiéj, zapowiadając równocześnie, że jeżeli jéj gabinet londyński w zatargu dyplomatycznym z obu mocarstwami nie poprze, znajdzie się skazana na smutną konieczność poszukania sobie również „indemnizacyi" w Polsce.

Kiedy w ten sposób z jednéj strony Austrya przedsiębierze akcyą dyplomatyczną ku ocaleniu resztek Polski na dalekiéj widowni angielskiéj, zobaczmy, co robi na bliższych, w Polsce saméj i w Petersburgu. Wiemy już, że odebrał de Caché od Thuguta instrukcyą, aby mimo wezwania posła rosyjskiego do Grodna nie wyjeżdżał a milczenie swe zasłaniał brakiem instrukcyi. W skutek tego bawił jeszcze de Caché pod koniec kwietnia w Warszawie, kiedy król, dygnitarze rzeczypospolitéj i dyplomacya zagraniczna byli już oddawna w Grodnie. Zdaje się, iż taki stan rzeczy nie odpowiadał ani życzeniom, ani potrzebom gabinetu wiedeńskiego, czego dowodem pozostaną dwie, krótko po sobie, 20 i 24 kwietnia 1793 od Thuguta do de Cachégo wyprawione instrukcye. Według ich brzmienia, miał się de Caché udać bezzwłocznie na stanowisko obserwatorskie do Grodna, nie wdawać się w nic czynnie, zasłaniać się, jak dotąd, brakiem instrukcyi, co najwięcéj, w razie jakich natarczywych nalegań ze strony Siewersa i posła pruskiego Buchholtza, mówić im o potrzebie zmodyfikowania prusko-rosyjskiéj konwencyi z 13 stycznia na rzecz Austryi. Późniejsza instrukcya zalecała w sposób wielce ostrożny, nie kompromitujący dworu wiedeńskiego, wpływać na Polaków, aby zwlekali, o ile można jak najdłużéj, decyzyą i nie poddawali się zbyt pochopnie i pośpiesznie naleganiom prusko-rosyjskim.

Depesz de Cachégo nie zawiera, czego żałować należy, wydawnictwo, z którego zdajemy sprawę. Nie wiemy więc, czy i w jaki sposób rezydent austryacki wywiązał się ze swego polecenia. Ciekawą zaś rzeczą byłoby dowiedzieć się, czy też owa oporność sejmu przeciw żądaniom obu dworów sąsiednich, czy owa opozycya Kimbara, Szydłowskiego, Skarżyńskiego, Mikorskiego, nie znalazła cichéj podpory i otuchy w upomnieniach i przyrzeczeniach austryackiego dyplomaty.

Podejmując podobną cichą i niedostrzegalną na zewnątrz akcyą w Grodnie, kołatał dwór austryacki przez L. Cobenzla nieco głoś-

niéj w swoim i polskim interesie w Petersburgu. Starania te, jeżeli bezowocne, miały przynajmniéj ten względny skutek, że rozjaśniły położenie rzeczy i odsłoniły do głębi tajniki poprzedniéj roboty pruskiéj. Depesze Cobenzla, mianowicie z 3 maja 1793, stwierdzała wprawdzie fakt, że mowy o odstąpieniu od zamiaru podziałowego być nie może, ale że Rosya poczynić może na rzecz Austryi pewne ustępstwa w przedmiocie konwencyi z 13 stycznia. Daléj donosił Cobenzl, jako mu ministrowie Ostermann i Markow zaręczyli, iż byli wręcz przeciwnymi podziałowi nowemu Polski. Ostermann mianowicie zaręczał, iż mu nie było nic przykrzejszego, jak kiedy z polecenia cesarzowéj był zmuszony oświadczyć pruskiemu posłowi Goltzowi, iż gabinet petersburski zgadza się na wkroczenie wojsk pruskich do Polski. Żądania Prus jednakże były zbyt kategoryczne, aby im się było można oprzeć, a co się tyczy Rosyi, jest jéj zamiarem odgraniczyć tylko przez nowy podział Polskę od posiadłości tureckich.

Wobec podobnych, bezpłodnych usiłowań w Petersburgu a tém samém i na widowni polskiéj, zwrócił się Thugut ponownie do gabinetu londyńskiego. Instrukcya jego dana hr. Starhembergowi, zalecała (5 maja) starać się albo o równy udział dla Austryi w Polsce, albo co lepsza, o zupełne zapobieżenie drugiemu jéj podziałowi. ponieważ fakt taki przeszkodzi tylko systemowi aliansów zasnuwanemu przez Anglią przeciw rewolucyi francuskiéj. Ciekawą jest na to datowana 24 maja odpowiedź Starhemberga, jako dająca wyobrażenie o ówczesnych usposobieniach Anglii względem Polski. Stojący na czele gabinetu lord Grenville wyrażał ubolewanie nad losem Polski, przyznawał Austryi zupełną słuszność, ale wypowiadał przekonanie, że moment powstrzymania zaboru prusko-rosyjskiego spóźniony. „Lord Grenville“, pisze Starhemberg, „prowadził rzecz daléj, mówiąc, że jedynie obawa, aby nie widzieć Prus i Rosyi rozdraźnionemi w chwili, kiedy jest rzeczą tyle ważną, aby niemi przynajmniéj nie były przeciw nam (Austryi, ze względu na wojnę przeciw rewolucyi francuskiéj), przeszkodziła w Anglii podniesienia głosu wyżéj z powodu niesłychanych nabytków tychże mocarstw w Polsce. Zapewniał, że chwila, by się temu oprzéć, przeminęła i że nie trzeba się starać o to, aby temu zapobiedz, ile raczéj, aby podobne użycie nie ponowiło się na przyszłość.“

Taka postawa Anglii stała się w czerwcu i lipcu (1793) Thugutowi powodem do zmiany frontu pod pewnym względem. Starhemberg, na swém stanowisku londyńskiém, odbiera na tymczasem polecenie, aby przed lordem Grenvillem nie występował w obronie sprawy polskiéj, kiedy Cobenzl w Petersburgu dostaje polecenie oświad-

czyć Ostermannowi, Bezborodce i Markowowi zgodę Austryi, nawet akces do konwencyi prusko-rosyjskiéj z 13 stycznia, jeżeli dwór wiedeński będzie przypuszczony do uczestnictwa nabytków w Polsce. Mianowicie poczyna odtąd przez kilka tygodni w instrukcyach Thuguta, w konferencyach petersburskich Cobenzla, pojawiać się ze strony austryackiéj apetyt na Kraków. Żądał Cobenzl z polecenia Thuguta ustąpienia wojsk rosyjskich z Krakowa i oddania miasta Austryakom jako pozycyi koniecznie potrzebnéj przeciw Prusakom zajmującym Częstochowę. Na ten raz jednakże uczynili się mianowicie Ostermann i Markow rzecznikami takiéj Polski, jaką miały jeszcze pozostawić przy krótkiém życiu traktaty pozawierane w Grodnie a zżymając się w swych rozmowach z Cobenzlem na pożądliwość pruską, oświadczyli ministrowie rosyjscy, iż nie mogą pozwolić na pozbawienie Polski tyle dla niéj ważnego pod każdym względem miasta, jakiém jest Kraków. Tymczasem poczęły z jednéj strony od de Cachégo nadchodzić z Grodna doniesienia o niespodzianie silnym oporze tamtejszego sejmu polskiego przeciw żądaniom Prus i Rosyi, z drugiéj strony z Anglii wiadomości o wzburzeniu, jakie tamże w dziennikarstwie i pośród opozycyi wywołuje postępowanie obu mocarstw w Polsce. Pod wpływem tych wiadomości pisze znów, chwiejny w swéj akcyi Thugut w depeszy do L. Cobenzla z 12 lipca, „aby się względu na okoliczność, iż mniemany ucisk Polski (la prétendue oppression de la Pologne) dostarcza tylko materyału złéj woli (à la malveillance), że prasa angielska opozycyjna podnosi z tego powodu głos a wszystko to razem wychodzi na widoczną szkodę, wspólnéj akcyi mocarstw przeciw rewolucyi francuskiéj,—starał przekonać ministrów rosyjskich o konieczności odroczenia planu podziałowego.“ Rozumie się, że ten krok Thuguta pozostał bezskutecznym, kiedy równocześnie z Londynu pisał dóń Starhemberg 12 lipca, co następuje. „Stopień otwartości i zupełnéj ufności, na jakim byłem dosyć szczęśliwy stanąć osobiście z lordem Grenville, sprawił, że mi wypowiada szczere swoje obawy i wątpliwości. Postępując sobie ze mną w ten sposób, wyznał mi wczoraj poufnie, że się obawia, wnosząc z wiadomości, jakie odebrał, aby polityka, jaką uważamy za rzecz stosowną utrzymywać względem Rosyi i Prus, nie doprowadziła nas do konieczności zabrania dla siebie znacznego obszaru w Polsce, choćby tylko tymczasowo, aby zrównoważyć w ten sposób nabytki dwóch innych mocarstw. Dodał, że to mógłby być jedyny punkt, któryby mógł się stać przeszkodą w przymierzu, jakie wam ofiarujemy, ponieważ podobne postępowanie obraziłoby naród angielski, rozdrażniony już z tego samego powodu przeciw Rosyi i Prusom, a ponieważ dwór londyński nie mogąc uznawać i nie mogąc się

nigdy zdecydować na uznanie nabytku tak niesprawiedliwego, nie mógłby go też zagwarantować.“

Odprawiony w ten sposób z niczém w Londynie, usiłuje Thugut przez następne miesiące, niemal aż do końca 1793, przez Cobenzla w Petersburgu, przez umyślnie posłanego do Berlina Lehrbacha, wykołatać dla Austryi posiadanie Krakowa, przekonać króla pruskiego mianowicie, jakby nie dobrze było, gdyby brał w Polsce lwią część bez uzwględnienia interesu austryackiego. Sam Franciszek II wystąpił nawet we własnoręcznym liście do króla pruskiego z podobném żądaniem, ciągle jednakże napróżno, wszędzie tylko, aby odbierać odpowiedź, mianowicie ze strony Markowa w Petersburgu, że zabór Gdańska i Torunia przez Prusy idzie bardzo w niesmak Rosyi, ponieważ Prusy wyjdą w ten sposób na potęgę morską i staną się dla Rosyi bardzo niewygodnym współzawodnikiem, ale że mimo to w obecnym stanie rzeczy stypulacye podziałowe zmianie uledz nie mogą.

W ostatnich dniach niemal tego smutnego nad wszelki wyraz roku 1793 błąkały się w wymianie depesz między Thugutem we Wiedniu a Cobenzlem na jego petersburskiém stanowisku rozmaite pomysły co do Polski. W projekt tak zwanego „wiecznego przymierza“ między Rosyą a Polską miała wchodzić stypulacya utwierdzenia Krakowa z prawem załogi austryackiéj, ile razy tego by była potrzeba, bez naruszenia politycznych praw Polski. Thugutowi pomysł ten się nie podoba jako niewynagradzający dostatecznie Austryi, ale mimo to nie każe go Cobenzlowi wręcz odrzucać. Inny raz pojawia się znów pomysł, aby wciągnąć okrojoną Polskę do przymierza przeciw Francyi i utrzymywać za subsydya rosyjskie korpus polski 10 do 12 tysięczny na teatrze wojny nadreńskiéj. Wszystko to jednakże pozostaje projektem a jedyną prawdą, jedyną smutną rzeczywistością, że Polska podzielona ponownie,—że Austrya upokorzona, zwyciężona bez walki, wychodzi z gołemi rękami, nie bez ujmy czci, wśród objawów lekceważenia i buty pruskiéj. List wyprawionego w nadzwyczajnéj misyi do Berlina radcy nadwornego Lehrbacha do Thuguta, z 30 grudnia 1793 skreśla podobnych usposobień pruskich w owéj chwili charakterystyczny obraz. „Polskie nabytki zmagnetyzowały tu jakoby wszystko, podniosły niesłychanie i ożywiły umysły. Piszę nie bez dowodów, ani przekonania... Prusy stały się dopiero przez te nabytki istotnie czemś wielkiém; za dwadzieścia lat powinniśmy się stać jeszcze większymi!“ Otóż zwrotka, która się politycznemu agentowi bez przestannie w Berlinie o uszy odbija a którą on nie bez melancholijnego nastroju gabinetowi wiedeńskiemu komunikuje.

W takich okolicznościach rozpoczynał się pamiętny r. 1794. Co może najciekawszą cechą owego przesilenia starego roku na nowy, to widoczniejsze coraz więcéj rozdrażnienie gabinetu petersburskiego przeciw Prusom, których pożądliwość i buta i nad Newą poczęła się coraz mniéj podobać. Usposobienie podobne mężów stanu rosyjskich uwydatniło się przedewszystkiém w konferencyi, jaką Cobenzl odbył w pierwszych dniach roku 1794 z Markowem a z jakiéj zdaje sprawę Thugutowi 24 stycznia. „Gdyby król pruski," oświadczył Markow, „chciał kiedykolwiek obrócić broń swą przeciw wam (Austryakom), gdyby się pokusił dyktować wam warunki pokoju i przeszkadzać waszym zamiarom indemnizacyjnym, byłby to przypadek, w którym byśmy się posłużyli naszą siłą, aby mu w téj robocie przeszkodzić a z tego téż cesarzowa robi wyraźnie swą własną sprawę." Katarzyna pragnęła, według kategorycznego oświadczenia Markowa na pomienionéj konferencyi, utrzymać Polskę przy życiu taką, jaką pozostawiały ostatnie stypulacye grodzieńskie a w téj mierze właśnie odzywał się minister rosyjski dosłownie, jak następuje. „Pod tym względem winienem powtórzyć z wyraźnego rozkazu mojéj monarchini, co już oświadczyłem na samym wstępie, że z wyjątkiem Polski, którą j. c. mość uważa za rzecz swego interesu utrzymać w takim stanie, w jakim pozostaje obecnie, nie ma żadnego projektu powiększenia, jakibyście mogli powziąść, któregobyśmy nie popierali wszelkiemi siłami."

Wśród takich to usposobień, wśród takiego rozdrażnienia panującego między gabinetami petersburskim a berlińskim, nastąpił znany wybuch Madalińskiego w okolicach Mławy, nastąpił tuż po nim wybuch powstania Kościuszki w Krakowie. Nie zawierając materyału zbyt ofitego i ciekawego do wewnętrznych dziejów i przebiegu samegoż tego powstania, zawiera czwarty tom obecnego wydawnictwa tém obfitszy i ciekawszy materyał do historyi stosunków, jakie się wyrobiły między gabinetem wiedeńskim i władzami austryackiemi w Galicyi a owém powstaniem, jakie nadto, powstanie owo wywołało między Austryą a obu innemi mocarstwami interesowanemi na ówczas w Polsce. Znając potroszę z powyższego opowiadania stan wzajemnych usposobień trzech mocarstw na wielkiéj widowni politycznéj, rozpatrzmy się w położeniu rzeczy, w jakiém krakowski wybuch z 24 marca 1794 zastał Galicyą. Co się tyczy siły zbrojnéj i władz austryackich tamże, znajdujemy w chwili wybuchu na stanowisku naczelnie dowodzącego wojskami austryackiemi tamże, nie przenoszącemi liczby 10,000 ludzi, feldmarszałka d'Harnoncourta we Lwowie, osobistość nieznaną w annalach w historyi wojennéj austryackiéj, doskonałéj mierności, usposobień dla społeczeństwa gali-

cyjskiego niechętnych. Gubernatorem cywilnym Galicyi jest naówczas hr. Brigido, którego przecież z niewiadomych powodów, w kilka tygodni po wybuchu powstania, zastąpił hr. Gallenberg, osobistość odpowiadająca aż do najdrobniejszych szczegółów na stanowisku cywilném wartości moralnéj i intelektualnéj d'Harnoncourta na stanowisku wojskowém. Podrzędne na pozór, ważne i wpływowe w rzeczywistości od samego początku stanowisko zajmował Myślenicki starosta, Antoni Baum, protoplasta dzisiaj spolszczonéj już zupełnie, zacnéj rodziny w zachodniéj Galicyi. Baum zajmuje, za pierwszą odebraną wiadomością o krakowskim wybuchu, stałe stanowisko na Podgórzu, wchodzi, o ile na to jego obowiązki urzędowe pozwalają, w stosunki z nowemi władzami w Krakowie, jest uważnym i bacznym obserwatorem wszystkiego, co się tutaj dzieje. Powoli zbiera się na Podgórzu kilka batalionów piechoty austryackiéj i kilka szwadronów jazdy. Dowództwo nad niemi ma kapitan inżynieryi Lanfrey, człowiek na skromném stosunkowo stanowisku wielkiéj technicznéj wiedzy, widocznéj zdolności, bystrego oka i niezaprzeczonéj energii. Gdyby akcya była powierzona ze strony gabinetu wiedeńskiego Baumowi i Lanfreyowi do dyskrecyi, można być przekonanym, żeby tu interesa Austryi były wzięły lepszy obrót. Zależne od konferencyi ministeryalnéj, od postanowień nadwornéj rady wojennéj w Wiedniu, powierzone w swoim kierownictwie na miejscu osobistościom, jak d'Harnoncourtowi i Gallenbergowi, mogły, jak się też późniéj stało, zwłaszcza przy ówczesném niedomaganiu środków komunikacyjnych, skończyć tylko znów jeżeli nie zupełném bankructwem, to ciężkiém upokorzeniem. Zwracając się od tego krótkiego poglądu na machinę rządową galicyjską do społeczeństwa galicyjskiego, znajdujemy w dokumentach niniejszego wydawnictwa potwierdzenie chyba tylko znanéj prawdy, jak dalece społeczność ta cała była ożywiona niepodzielnym zapałem dla sprawy podjętego przez Kościuszkę przedsięwzięcia, jaką czcią mianowicie otaczała osobę samego naczelnika. Najwymowniejszém pod tym względem jest świadectwo samegoż d'Harnoncourta. Feldmarszałek d'Harnoncourt, zimny, ograniczony, zamykający się w obrębie swych obowiązków, wojskowy austryacki owéj epoki, spogląda niechętném, niekiedy surowém okiem na usposobienia galicyjskie dla powstania. „Co się tyczy—pisze on 29 kwietnia do Kolowrata—pojawienia się emisaryuszów polskich w Galicyi, jest tutaj cała szlachta emisaryuszem Kościuszki; ale cóż z tém począć? Można im tu i owdzie imponować, brać się do téj i owéj osobistości, napędzać im strachu, ale do całéj szlachty wziąć się trudno. Zaczepiłem księcia Sapiehę, który zaciągał całą szlachtę dla Kościuszki, tak mieszanego

poddaństwa, jak galicyjską. W dobréj czy złéj wierze twierdził, że popisowi należą do cesarza, a szlachta do saméj siebie. Jakkolwiek mu odsłoniłem niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, znalazłem się w konieczności powtórnéj z nim rozmowy i poradzić mu, aby jeżeli nie jest już w jego usposobieniu zachowywać się spokojnie, uczyniłby najlepiéj, wyjeżdżając. Udał się do Krakowa; Kościuszko, któremu był także na zawadzie, pozbył go się również. Wrócił do Zamościa w Galicyi, skąd, jak przypuszczam, zamyśla udać się na Litwę. Zgromiłem słynną, starą a złą hrabinę Kossakowską. Byłem u niéj, kiedy się tamże znajdowało 30 osób; ponieważ mówi tylko po polsku, oświadczyłem jéj, że mam z nią do pomówienia i poprosiłem ją, aby się udała do pobocznego pokoju z zaufaną osobą, by się tamże wytłómaczyć. Powiedziałem, że przez uszanowanie, jakie wyznaję dla jéj wysokiego stanowiska, uznanie, jakie wszyscy mamy dla jéj zasług i dla wszystkiego dobrego, jakie ogółowi świadczy, chciałem ją ostrzedz, aby jéj oszczędzić wszelkich nieprzyjemności, że jest denuncyowaną o namawianie młodych ludzi dobrego rodu do brania służby pod Kościuszką i że im dostarcza pieniędzy. We dwa dni potém poszedłem do niéj na obiad; piliśmy nie źle w naszym kącie, a gdy po obiedzie podałem jéj rękę, aby przejść do drugiego pokoju, przechodząc obok portretu króla Poniatowskiego, pokazała mu pięść i wyszczerzyła nań zęby.... Sławny gruby adwokat tutejszy (prawdopodobnie Dzierzkowski), który niegdyś stał tutaj na czele konspiracyi podżeganéj przez Prusy, został zawezwany przezemnie. Powiedziałem mu, że między nami dość czterech słów, że na ten raz mam powód być zeń dość zadowolnionym, lecz znając zaufanie, jakie wszyscy mają do jego rozumu, jestem pewny, że się nim będzie posługiwał tylko dla kierowania tymi, którzy tego mają potrzebę w interesie własnego dobra i interesu. Odpowiedział mi: Na ten raz nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Zresztą najlepsze moje wiadomości są te, których mi dostarczają Polacy; trzeba jednakże wiele sztuki, aby wyróżnić prawdę z pomiędzy stu fałszów. Szczególny to naród. Jeżeli komu z nich powiedziało się przyjemną prawdę, uważa to za dowód przyjaźni i można mu potém powiedzieć dziesięć bardzo twardych prawd, które przyjmie z dobrém sercem, przynajmniéj w pierwszéj chwili, bo jeżeli tymczasem ktoś inaczéj myślący z nim mówił, staje się natychmiast innym człowiekiem. Na tymczasem sądzę, iż zaimponowałem dostatecznie Polakom i Rosyanom, rozbrajając wyżéj wspomniany oddział polski (część batalionu Wodzickiego na terytoryum galicyjskiém). De Caché pisał mi, że biedny Igelstroem objawił mu z tego powodu swoje zadowolnienie. Hrabia Brigido chciał do starostów okręgowych wydać rozkaz aresztowania (w razie przej-

ścia na terytoryum galicyjskie) Kościuszki i Madalińskiego. Zapobiegłem temu, bo do tego jeszcze dość czasu."

Prócz tego nie zbywa Kościuszce i podjętéj przezeń sprawie na gorących zwolennikach i rzecznikach w samym Wiedniu wobec całego gabinetu cesarskiego i ministra Thuguta. Jeżeli Sapieha, jeżeli pani Kossakowska, jeżeli marszałek Ignacy Potocki konferując w mieszkaniu Bauma na Podgórzu z gubernatorem cywilnym Galicyi, hr. Gallenbergiem, służą ruchowi Kościuszki na miejscu, podejmuje jego sprawę w Wiedniu stale Sołtyk, podejmuje ją wobec Thuguta z wyraźnego polecenia Kościuszki w sposób jeszcze poważniejszy, Józef Ossoliński. Memoryał podany 1 maja przezeń Thugutowi jest mimo swéj obszerności zbyt ciekawy, jako akt odsłaniający wzajemny stosunek Austryi do ruchu Kościuszkowego, abyśmy go tu zamieścić nie mieli.

„Żałuję bardzo—pisze Ossoliński do Thuguta—że nie znalazłem W. E. w Wiedniu. Proszę przynajmniéj W. E. chcieć przyjąć niniejszy list jako wyraz uczuć uszanowania dla siebie, które zachowam niewzruszenie przez całe swe życie, a pośpieszam zakomunikować W. E. kilka objaśnień co do Polski, które odbieram od samychże patryotów. Oni to, uważając, że jest najważniejszym interesem Austryi, aby Polska zachowała byt ani tymczasowy, ani równający się nicości, ceniąc godność jéj polityki w tym samym stopniu, w jakim są oburzeni na podstępy i zdrady ..... i Prus; przekonywając się, że się znajduje w położeniu wytaczania im tychże samych zarzutów, pokładając tém więcéj ufności w osobie W. E., że główni z pomiędzy nich reprezentanci zachowują pamięć dawnych swych związków z W. E. i że jest rzeczą znaną publicznie, że od W. E. wstąpienia do ministerstwa, j. c. mość odmawiała stanowczo brać udział w nabytkach na Polsce,—nie życzą sobie niczego goręcéj, aniżeli zbliżenia się do naszego dworu. Równocześnie jednakże nie zatajają sobie, że położenie jego wymaga obecnie, aby się doń zbliżali w sposób niekompromitujący go wobec dwóch innych, a obawiając się nadto, aby nie powziął względem nich zgubnych uprzedzeń, są w wielkim kłopocie co do dróg, na jakichby się z dworem austryackim porozumiéć można. Pan Kościuszko wyobrażając sobie, że długi pobyt mój w Wiedniu i dawny mój związek z W. E. mógłby mi dać sposobność znaleść w tym celu pewien środek i zakomunikowawszy mi jeszcze roku przeszłego w miesiącu wrześniu wiadomość co do ogólnego usposobienia narodu, aby otrząsnąć z siebie jarzmo ciemięzców, w którém to przedsięwzięciu chciano go miéć za naczelnika, doniósł mi w początku marca, że nie jest już w jego mocy odkładać dłużéj podjęcia się tego dzieła, a zaledwie podniósł sztandar

dnia 23 (marca), wyprawił do mnie natychmiast umyślnego posłańca. Ponieważ wtedy znajdowałem się we Lwowie, zajęty zupełnie spornemi sprawami moich przyjaciół, i ponieważ przedłużałem tamże mój pobyt na czas nieograniczony, tak, że dwa te listy jego, adresowane do Wiednia, tamże mnie nie zastały, przysłał do mnie człowieka zaufania, który mnie miał poszukać wszędzie, gdzieby mnie mógł tylko znaleść. Nie waham się zawiadomić W. E. o téj ostatniéj misyi. Sądziłem, że ponieważ mam własność ziemską w okolicy Krakowa, mogę się tamże udać bez zwrócenia uwagi i poddając się nibyto prądowi ogólnéj ciekawości. Po raz pierwszy wtedy zrobiłem znajomość generała Kościuszki w obozie jego pod Bosutowem, wsią o milę odległości od Krakowa. Jestto człowiek największéj prostoty i skromności w swych rozmowach, zwyczajach i ubiorze. Z największą determinacyą i zapałem dla sprawy, którą podjął, łączy wiele zimnnéj krwi i rozsądku. Zdaje się, że we wszystkiém, co czyni, jedynie ryzykownném jest tylko przedsięwzięcie samo. Co się tyczy szczegółów wykonania, nie powierza nic przypadkowi; wszystko jest obliczone i skombinowane. Nie jest może umysłu ani dość wybujałego, ani dość przebiegłego dla polityki. Jego zdrowy rozum wystarcza mu do sprawiedliwego sądu o rzeczach i do decyzyi o wyborze najlepszych środków. Jest ożywiony miłością ojczyzny; nie objawia żadnéj innéj namiętności, któraby nim zdolna była owładnąć, prawość jego jest niezaprzeczoną. Zdaje się, że wziął sobie za zasadę zachowywać milczenie o wszystkiém, o czém być zbyt otwartym nie było rzeczą rozsądną. Skoro jednakże mówi, jest szczerym i dobréj wiary. Przypadek zrządził, że go zastałem przy stole; skoro tylko skończył obiad, skorzystał z chwili, aby się ze mną w cztery oczy rozmówić. Nie ukrywa przed sobą samym trudności i śmiałości swego przedsięwzięcia; a tłómaczy się, że w dziele tak niebezpiecznéin nie naraził ani kraju, ani współobywateli, ale że wezwany przez ogromną większość, byłby chyba tylko oszczędzał własną osobę, gdyby się był dłużéj opierał ich naleganiom, a to w chwili, którą Rosyanie uczynili stanowczą, przyśpieszając rozbrojenie wojska polskiego; oskarża nawet swą powolność, przez którą popsuł plan dość dobrze skombinowany, oderwany i przyśpieszony ruch Madalińskiego i powstałą ztąd trudność w zebraniu rozrzuconych różnych oddziałów wojska. Liczy bardzo na niezadowolnienie wszystkich warstw ludności i energią rozpaczy. Otóż dane, na których biorąc kraj tak, jakim był przed drugim podziałem, oblicza siłę ruchu, na jaki naród może się jeszcze zdobyć. Obiecuje sobie, że nawet, gdyby ten wysiłek nie miał być stanowczym, byle tylko mógł zrównoważyć represyą nieprzyjacielską, przedłużyć i rozszerzyć rewolucyą, nastąpi prawdopodobnie,

że z pomiędzy tylu mocarstw interesowanych w utrzymaniu bytu Polski i zapobieżeniu wzrostowi zbytniemu dwóch dworów, znajdzie się przecież to i owo, które mu przyjdzie z pomocą. Czego się obawia najwięcéj, to aby dworom owym nie udało się oszukać opinii europejskiéj co do natury rewolucyi polskiéj, przypisując jéj podobieństwo z francuską a nie mógł się dosyć wydziwić, jak mogły rozpowszechnić opinią, że ustawa 3 maja, która ustanawiając monarchią podobną angielskiéj, a silniejszą niźli ją kiedykolwiek Polska miała, zapobiegała właśnie niebezpieczeństwu, aby demokracya wzięła górę kiedykolwiek, ponieważ wprowadzała w szeregi szlacheckie mieszczan w miarę wzrastającego ich znaczenia, że podobna ustawa była co do zasad i co do form tą samą, co ówczesna rewolucya francuska, i że w następstwie tego też same mocarstwa mogły wykonać swe zaborcze plany przeciw Polsce pod zasłoną wieści rozpowszechnionéj podstępnie przez siebie i płonnego przypuszczenia, że tamże panuje niebezpieczny jakobinizm, którego propagować nie było nic tak zdolném, jak ich własne postępowanie. Zauważył, że postępowanie podobne znajduje się w sprzeczności ze stanem nicości, stępienia i małym stopniem cywilizacyi polskiego ludu, aby wierzyć, że posunie swe widoki i swoje pretensye tak daleko, jak Francuzi, a że niema wcale powodu wyobrażać sobie, aby powstanie, które ma swą przyczynę w obcym ucisku, a którego szlachta jest pierwszą sprawczynią, zamierzało zaprowadzić porządek rzeczy, niszczący jéj własną egzystencyą. Ogromna to przewaga sił nieprzyjacielskich uczyniła koniecznem uzbrojenie całéj masy włościan i zrobiła już środek tak niezbędny, że nigdy nie byłoby można pomyśléć o pochwyceniu oręża, gdyby z góry nie było postanowienia środkiem takowym się posłużyć, który zresztą praktykowany przez cesarza w Niderlandach i doradzany książętom Rzeszy, może być chyba nie pochwalonym tylko przez króla pruskiego, który zastosowaniu go w krajach Rzeszy opierał się jedynie dla tego, aby przedłużyć wojnę, która niszcząca dla Austryi, przyczynia się tak mocno do zamiarów jego własnego powiększenia. Jest faktem, że Kościuszko, daleki od ogłoszenia jakiegobądź dekretu darzącego wolnością poddanych, żądał dla tych, którzy się odznaczyli w dniu 4 (kwietnia, pod Racławicami), oswobodzenia od ich panów, że to dwory ściągają i odstawiają rekruta, którego widziałem na własne oczy dostawianego do obozu, że nikt nie usiłuje podburzać ludu (Kościuszko prowadził chłopów do boju z krucyfiksem w ręku), że wreszcie nie ma w Krakowie ani tych form, ani tych wybryków rewolucyjnych, o których mówi tyle gazet, tłumaczących słowami nowemi, a zdyskretowanemi stare instytucye. Istnieje tamże tylko komisya dobrego porządku, złożona

do połowy ze szlachty i mieszczan, jak została ustanowiona przez dawny sejm, i trybunał kryminalny sejmowy taki, jak ten, który zasiada w Warszawie, przed który Rosyanie kazali wzywać patryotów. Kluby zostały z góry i wyraźnie zabronione. Kościuszko nie robił wobec mnie tajemnicy, że stara się uzyskać pewien zasiłek pieniężny z Francyi, dodając, że byłoby niesprawiedliwością, aby dom austryacki się gniewał, że ktobądź usiłuje skłaniać jego wyraźnych nieprzyjaciół do osłabiania jego nieprzyjaciół skrytych, którzy dla tego są tylko tém niebezpieczniejszymi, a przez położenie swe nawet naturalniejszymi; że pieniędzy, których szuka we Francyi, nie może się spodziewać znikąd; że ponieważ nikt nie oświadcza się za powstaniami, są zmuszeni kołatać do wszystkich drzwi, aby patrzéć, które im się otworzą; że wreszcie Francuzi nie śpieszą się tak bardzo z obsypywaniem ich swemi skarbami, zauważając, że cała korzyść, jaką im przedstawia powstanie polskie, ogranicza się na rodzaju dywersyi przeciw Rosyi i Prusom, z których pierwsza nie bierze żadnego bezpośredniego udziału w wojnie przeciw nim, a drugie nie prowadzą jéj wszystkiemi swemi zasobami. Czynił mi jak najżywsze przedstawienia, abym znalazł jakibądź sposób uspokojenia ministerstwa j. c. m. co do jego zamiarów, jakich wcale nie ma, wprowadzenia do swojéj ojczyzny anarchii francuskiéj, rozkiełznania prądów, któreby mogły zaalarmować rządy europejskie lub przedsięwzięcia czegobądź przeciw interesom j. c. mości. Czyniąc wszelkie usiłowania, aby mnie o tém przekonać, dał swoje słowo honoru z otwartością wojskowego niezdolnego podstępu a z samego postępowania jego widać, iż jest mocno przekonanym, że mu zależy na zapewnieniu sobie życzliwości naszego dworu. Od chwili, gdy objął dowództwo, wydał rozkazy, aby granice krajów j. c. mości, podobnie jak własność publiczna i prywatna poddanych j. c. mości były szanowane. Gdy zakazał wywozu towarów z Polski, uczynił wyjątek dla krajów monarchii austryackiéj. Świeżo co dopiero zdał jeszcze wyraźne oświadczenie, że ponieważ j. c. mość nie uszkodził w niczém ani obszaru, ani niepodległości, ani politycznych praw rzeczypospolitéj, należy koniecznie unikać dawania jéj powodu do skargi, a że nawet należy się powstrzymywać od brania i przyjmowania w służbę rzplitéj poddanych jéj różnych krajów. Co więcéj, nie omieszkuje nigdy zawiadamiać o najważniejszych swych przedsięwzięciach, nawet jeszcze przed ich wykonaniem, cesarskiéj komisyi urządzonéj na Podgórzu, a życzyłby sobie bardzo miéć jaką drogę pewną, aby powierzyć ministerstwu j. c. mości swe nieograniczone zaufanie i swoje postępowanie szczere i otwarte. Zdaje się być przykro dotkniętym, że wśród zamieszania pierwszego wybuchu, kiedy

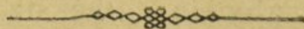
nie było sposobu urządzenia jakiejś komunikacyi między naczelnikami różnych powstań cząstkowych, o których naprzód nie można było wiedzieć, kilka oddziałów usiłowało przejść do Galicyi i jest z tego tém więcéj zadowolniony, że uznaje konieczność nie narażania sobie dobrych usposobień naszego dworu z obawy, aby stając się przez to podejrzanym obu innym, nie był przez nie zmuszonym do większéj ostrożności i do postępowania przeciwnego rodzaju. Pragnąłby tylko 1) być formalnie pewnym korzystnych usposobień j. c. m. względem Polski; 2) cieszyć się rodzajem cichego przyzwolenia na zakupywanie pod ręką, bądź to za gotówkę, bądź na kredyt, w krajach j. c. m. amunicyi wojennéj i żywności uważanych za artykuł handlu; 3) miéć pewną przeprawę przez Galicyą dla swych listów i kuryerów do innych części Polski; 4) módz sobie pochlebiać, że j. c. mość przez wpływy i insynuacye tajemne, zechce wspierać słuszną sprawę rzplitéj u innych dworów. Gdy rozmowa nasza przeszła następnie na szczegóły dnia 4 kwietnia, opowiadał mi je z taką skromnością, jak gdyby tylko był ich świadkiem i jak gdyby honor dnia należał się komu innemu, aniżeli jemu. Co dowodzi, że jest wielka zapalczywość przeciw Rosyanom, to fakt, że wzięto tylko dwudziestu ludzi niewolnika na 2000 poległych, a że mianowicie wieśniacy nie pozwolili się skłonić do dawania pardonu. Ponieważ kawalerya narodowa się zachwiała, podzielił ją Kościuszko na dwa oddziały, rozłączając towarzyszów i luzaków, aby pobudzić honor jednych przez drugich. Od tego dnia nosi na wierzchu sukmanę chłopską, oświadczywszy, że kolejno będzie nosił mundur tego oddziału, który się najwięcéj odznaczy. Pozostawił zdobycz żołnierzowi i polecił wieśniakom odwieźć ją swym żonom, co spowodowało, że powrócili w większéj jeszcze liczbie. Drobne te szczegóły pokazują, że posiada tak niezbędną dla naczelnika wszelkiéj rewolucyi sztukę rozgrzewania i ożywiania swych ludzi. Zapał dla jego osoby w obozie i pośród narodu jest prawie nie do wiary. Co dowodzi jeszcze, że ma głowę równie zimną, lecz serce gorące, to że nie opiera się na rachubie czynionéj zwykle, jakoby, że wszystko zależy od pierwszego powodzenia, a że było rzeczą konieczną ożywić własnym swoim przykładem ludzi, których poraz pierwszy prowadził do boju. Ponieważ znajduje się w konieczności unikania, aby artylerya rozstrzygała o losie bitwy, a liczna kawalerya stawała się użyteczną, jest wogóle za używaniem broni siecznéj i chwali nadzwyczaj uderzający skutek, jaki sprawiły kosy postawione prosto na drzewie 7 łokci długie, przypisując go raczéj wartości, aniżeli nowości broni. Obóz jego nie jest podobny w niczém do żadnych obozów polskich. Nie praktykują się tam ani parady, ani fanfaronady, ani zbytek; pa-

nuje tamże ponure milczenie, wiele porządku, dyscypliny i subordynacyi. Wojsko, jakie wówczas zawierał, to jest między 19 a 23-cim kwietnia, mogło wynosić do 10,000 ludzi zaciągnionych w pułki, starego i nowego zaciągu. Jego artylerya wynosiła 30 dział. Kazał zwinąć namioty, jak się zdaje, aby nie można jednym rzutem oka zdaleka obliczyć jego sił. Nakazał już zebrać się wszystkim mieszkańcom okolicznym będącym w stanie broń nosić, a nie mówię już o wzmocnieniu, które powstanie zyskało przez wypadki późniejsze. Zdaje się tylko, że wyższe duchowieństwo okazuje się zimném. Wszyscy inni są zdeterminowani, jak tego więcéj żądać nie można. Wojska obce nie czyniąc różnicy między tymi, którzy są neutralnymi, a tymi, którzy chwycili za broń, lecz łupiąc jednych równie jak i drugich, łączą z sobą a popychają przeciw sobie wszystkich. Co przeszkadza, że powstanie nie stało się dotąd ogólném, to, że jest więcéj ludzi gotowych iść za jéj prądem, aniżeli ludzi przedsiębiorczych zdolnych stanąć na czele. Generał Kościuszko przedsięwziąwszy sobie utworzyć znaczny korpus, aby zeń uczynić centralne ognisko rewolucyi, ściąga do siebie wszystkie korpusy armii, wskutek czego dotąd nie ma punktu zbornego w każdym województwie z osobna. Obecnie rozszerzyło się podobno powstanie więcéj, aniżeli o tém mówią listy, których się zresztą nie odbiera wcale lub jakie się odbiera późno od strony Litwy. Nazwa *insurekcyi* została przyjęta ze względu, że konstytucya 3 maja znosi nazawsze konfederacye, że armia dała początek, a że teraz odbywa się ruch ogólny wszystkich mieszkańców kraju. Ponieważ byłem mocno zdziwiony, że w akcie powstania jest tylko mimochodem mowa o 3 maja, podobnie jak o patryotycznym sejmie, odpowiedziano mi, że nie uważano za rzecz stosowną kłaść przycisk na przedmiot, który byłby mógł wywołać różnicę zdań, a zdaje mi się téż jeszcze, że trzymano się polityki, aby nie zabezpieczać interesów elektora saskiego tak, iżby tenże pozostając w bezczynności nie mógł liczyć na to, iż mimo to zbierze owoce szczęśliwego wypadku. Marszałek Potocki trzyma się silnie téj konstytucyi, a nie ma powodu obawy, aby kiedybądź przestał być wyraźnym zwolennikiem umiarkowanéj monarchii. Kościuszko powiedział mi o Polakach zdanie podobne Tacyta o Rzymianach, że nie są zdolni znosić ani ostatecznéj niewoli, ani zupełnéj wolności. Ministerstwo powstania zdaje się być złożone z marszałka Potockiego, z podkanclerzego Kołłątaja, z posła Weissenhofa. Generał Kościuszko ma wiadomość o wszystkiém, a nic nie dzieje się bez jego przyzwolenia. Czerpiąc odwagę w nieograniczoném zaufaniu narodu, obawiając się ducha partyi, czując jak ważną jest dlań rzeczą, aby plany jego wojskowe nie były rozgło-

szone. lub nie doznały przeszkody w wykonaniu, będzie dokładał wszelkich usiłowań, aby wykonywać we własnéj osobie ową pełnią władzy, jaką go akt powstania przyodział. Generał Zajączek, o którym tak często mówiłem waszéj ekscelencyi, człowiek rzadkiéj zasługi przez swoje talenta wojskowe i wiadomości polityczne, zajmuje po nim drugie miejsce w obozie. Marszałek Potocki szukał zanadto spotkania ze mną, abym się z nim nie był zobaczył. W długich rozmowach o naturalnym związku interesów Austryi i Polski, dawałem właściwie tylko początek własnym jego spostrzeżeniom, według których jest rzeczą niemożliwą, aby Austrya nie miała chcieć dobra Polski, że jednakże być może, iż wskutek właśnie tego samego interesu, nie jest zadowolniona z wyboru chwili, a że ze względu na okoliczności czasowe, podejrzywa środki, jakiemi się powstańcy posługują. To co mi przedstawiał w formie odpowiedzi, zgadzało się zupełnie z tém, co mi poprzednio mówił Kościuszko. Ma dla waszéj ekscelencyi najwyższy szacunek i zachowuje dla niéj uczucia dawnéj i najszczerszéj przyjaźni, będąc przekonanym, że w waszéj ekscelencyi uczucia prywatnego człowieka nie mogą być rozróżnione od postępowania człowieka publicznego, a że w. ekscelencya możesz u niego liczyć na wzajemność. Pragnąłby bardzo rozmówić się z w. ekscelencyą gdziekolwiekbądź w jak największéj o ile możności tajemnicy. Podjąłby w tym celu najdłuższą podróż, a przybył by na miejsce i w sposób, jakibyś w. ekscelencya wskazała. Powiedziałem mu, że razu pewnego stosownie do prośby jego, podsunąłem w. ekscelencyi myśl podobnego spotkania, a że przypuszczałem, iż gdyby z Rosyanami był pogodzony choćby tylko pozornie, w. ekscelencya mogłaby go widzieć bez zwrócenia na siebie podejrzenia i że go zawsze będzie widziała z zadowolnieniem. Oświadczył mi, że obecnie ma powody ważniejsze niż kiedykolwiek, aby się starać o podobne spotkanie. Jeżeli zapatrując się na rzeczy ze stanowiska, które tylko może uderzać ogromną przewagą sił obu dworów, przeciw którym powstańcy ośmielili się broń podnieść, nie można sobie zataić, że ich usiłowanie jest zbyt śmiałe, że może być tylko bezowocném i nad-remném; zważywszy jednakże zdolność i determinacyą dowódców, zapał ludu, rozdraźnienie ogólne przeciw dwom mocarstwom... kłopot, w jakim się znajdą, aby się mieć na baczności przeciw swym własnym żołnierzom, poddanym polskim a niezadowolnionym, konieczność, w jakiéj się znajdą, rozpraszania swych sił, aby utrzymać w posłuszeństwie okolice, w których im się uda uciszyć lub powstrzymać powstanie, interes nakoniec, jaki z czasem obudzi się na rzecz Polski ze strony mocarstw, które mają powód do obawy, aby nie być wystawionemi na jéj los, a które przedsiębiorcza... i mało

powściągliwa chciwość Prus utrzymują zawsze w potrzebie czujności, należy przypuszczać, że pożar, który wybuchnął, nie będzie ogniem słomianym. Już wzięcie Warszawy, zwycięstwo odniesione przez oddział nowego zaciągu nad wojskiem silniejszém dwa razy, pogoń za nieprzyjacielem po całym kraju, podniosły znaczenie przedsięwzięcia, które z początku robiło wrażenie wybuchu rozpaczy. Oba dwory posługiwały się zbyt często podstępstwem i zwodnictwem wobec Polaków, aby można przypuszczać, że te środki odkryte, znane a znienawidzone powstrzymają zaciętą walkę między niemi a narodem, któremu długie nieszczęścia a szybkie powodzenia zalecają energią. Być może, że byłoby dobrze, aby nasz dwór zastrzegł sobie zawczasu wpływ w téj sprawie. Usposobienia tak naczelników, jak ducha publicznego są tak odpowiadające temu celowi, że nie będzie miał do zwalczania ani jakiejbądź rywalizacyi, ani trudności do przezwyciężania. Może zachowywać pewne stopniowanie w swém postępowaniu, podobnie jak w rozciągłości swojego wpływu. Jest moim obowiązkiem uprzedzić w. eksc., że małoduszność niektórych urzędników galicyjskich nakazuje im patrzéć okiem zbyt pośpieszném i zbyt zaniepokojoném na te pierwsze usiłowania Polaków, jako mogące być hasłem wybuchu dla Galicyan. Ich obawa nie ma żadnéj podstawy, czyli raczéj jest zdolną wywołać na dwie strony, jak najzgubniejsze wrażenia. Spostrzeżenie to może nie być bez pewnéj użyteczności dla w. eksc., aby ocenić rozmaite sprawozdania. Wpływ, jaki dom austryacki mógłby łatwo a skrycie zyskać na Polaków, wywołałby dwa następstwa: pierwszy, żeby go uwolnił od jego obaw, dając jemu samemu możność kierowania i powodowania ich energią, drugi, żeby zasłaniał najważniejsze jego interesa, czyniąc prawdopodobném przez przywrócenie Polski, wzniesienie zapory między jego a dwóch współzawodników krajami."

Kazimierz Jarochowski.





ERNEST RENAN.

III.

Filozoficzne swe zapatrywania się na naturę świata i człowieka, na przeznaczenie i obowiązki ludzkiego życia, Renan wypowiedział w wielu miejscach krytycznych i historycznych dzieł swoich, lecz wyłącznie i najobszerniéj w książce, mającéj nazwę: Rozmowy i fragmenty filozoficzne (*Discours et fragments philosophiques*) i w trzech swych dramatach filozoficznych: „Burza“, „Kaliban“ i „Kapłan z Nemi“, które, według własnego jego orzeczenia, stanowią dalszy ciąg, dopełnienie niby albo zobrazowanie w akcyi dramatycznéj, dzieła poprzedzającego.

Rozmowy filozoficzne, toczone są przéz kilku uczonych przyjaciół i podzielone na trzy części, z których pierwsza zawiera filozoficzne pewniki, (*certitudes*) druga, możliwości. (*probabilités*), trzecia, marzenia, (*rêves*). „Dwie rzeczy—pisze—wydają mi się pewnemi a jeżeli pewności téj nie zdołam przelać w innych, będzie to tylko dowodem, że nie potrafiłem ich należycie przedstawić.“ Pierwszym z tych pewników jest niezłomność praw naturalnych, światem rządzących i których przyczynowego biegu nie przerywa i nie łamie nigdy żadna zewnętrzna wola. Świat raz otrzymał prawodawstwo stałe, w którém każde zjawisko przedstawia sumę działań i wpływów innych zjawisk, każdy fakt jest następstwem poprzedzających go faktów. Ta logika działań i oddziaływań, ten łańcuch przyczynowości, nie ulegają nigdy zboczeniom, przeistoczeniom, przerwom, wskutek wdawania się nadprzyrodzoności w sprawy natury i ludzi. Nigdy takie zboczenia i przerwy nie zostały naukowo dowiedzionemi; nigdy działania nadziemskie nie spełniały się w obec jakiegoś zgromadzenia uczonych; wszyscy, którzy bywali ich świadkami, nie posiadali umysłowych narzędzi dla zgłębiania i rozbiorów zjawisk.

Daleka od świadczenia o bezpośredniém i co-chwilowém kierownictwie idealnéj dobroci i sprawiedliwości, natura jest przeciwnie niemoralną i okrutną: dobro nie budzi w niéj łaskawości, zło nie ściąga jéj gromów. Nigdy kamień żaden nie zatrzymał się w swéj drodze, aby nie spaść na głowę człowieka uczciwego; nigdy słońce nie zgasło, aby oślepić zbrodniarza; ziemia pije chciwie krew i łzy sprawiedliwego, zarówno jak grzesznika. Historya ludów, jak i dzieje jednostek, pełną jest niesłuszności. Narody najpobożniejsze zwyciężanemi bywają przez narody daleko mniéj religijne. Rasy wyższe i doskonalsze ulegają brutalnéj sile ras pierwotnych i krwiożerczych. Najkrwawsza z rozpaczy nie dźwignie z łoża śmierci rozkładającego się na atomy ciała. Najżarliwsza z modlitw nie sprowadzi deszczu z nieba wyiskrzonego pogodą. Najświętobliwsze ręce nie przywrócą swém dotknięciem, ciągłości i zdrowia myśli głowie waryata. Tak dzieje się w oczach i czasach naszych. Zapytuję: jakie mamy dowody, że po za wzrokiem i czasem naszym nie działo się inaczéj? Odpowiadamy: nie do nas należy dowodzić niemożliwości nadnaturalnych działań. Nadnaturalne działania dowodzić muszą same siebie przez objawienie się ludziom. Jakież mamy dowody, że syreny i centaury nie istniały nigdy? Jeden tylko, ten, że przez nikogo widzianemi nie były. Dla czego świat współczesny utracił wiarę w demonologią? Dla tego, że dowiedział się o przyczynach faktów i zjawisk, przypisywanych niegdyś działaniu szatanów.

Z tego jednak, że naprzyrodzoność nie wywiera na naturę i ludzkość działań oderwanych i łamiących łańcuch naturalnych konieczności. nie wypływa wniosek, że wszech świat jest niczém innéni, tylko ślepą i bezcelową mieszaniną i grą materyi. Wszechświat posiada przed sobą cel, do którego dąży, przez niezmierzone przestrzenie czasu i niezliczone przemiany form. Jest w nim coś, co rozwija się mocą konieczności wewnętrznéj i bezwiednego instynktu, instynkt który porównanym być może do ruchów rośliny zwracającéj się ku wodzie lub światłu, do ślepych usiłowań płodu ku wyjściu z macicy, do potrzeby wewnętrznéj, która gąsiennicę wypycha z jéj powłoczki. Każda możliwość usiłuje stać się urzeczywistnioną, każda rzeczywistość dąży do samopoznania, każde niejasne samopoznanie pożąda uwyraźnić się i wyjaśnić. Wszelkie zorganizowane ciało wzrasta i przez działanie czegoś, co nazwać można ślepą siłą, zdobywa sobie potrzebne narzędzia. Wszelki typ czerpie z samego siebie wszystko, co potrzebném jest do jego indywidualnéj doskonałości. To samo co o organizmie zwierzęcym, powiedziéć można o ciałach zbiorowych, jakiemi są narody, państwa, kościoły. We wszystkiém daje się uczuwać dążenie, ku spełnieniu jednego ze szczegółów

jakiegoś powszechnego planu, do zapełnienia jakiejś formy. Mnóstwo czynności istot żyjących nie jest wynikiem indywidualnych obrachowań i nie zmierza ku indywidualnym celom. Tysiące faktów w ich życiu nie znajdują wytłómaczenia w interesie lub przyjemności. Natura zdaje się dopuszczać względem człowieka niezliczonych oszustw, którym jednak poddaje się on od początku wieków i od krańca do krańca ziemi. Człowieka porównać można do robotnika wyrabiającego gobeliny; tkał on je ze złéj strony, nie widząc wzorów, które okrywały dobrą. Robotnik ów pracował dla otrzymania pieniężnéj nagrody; my pracujemy dla nieznanego celu, ku któremu zmierza nietylko nasz glob rodzinny ale cały wszechświat. Jest to teorya celowości, lecz nie téj ciasnéj i samolubnéj, którą wytworzyły ciasnota i pycha człowieka i która wszechświat oddawała w poddaństwo ludzkich potrzeb i upodobań. Tu przeciwnie, człowiek ukazuje się sługą i robotnikiem niezmierzonego ogromu wszechistnienia i jednéin z niezliczonych narzędzi, z których pomocą to wszechistnienie wypracowuje ostateczną i w nieobrachowanéj przyszłości urzeczywistnić się mającą formę swego bytu. Narzędzie to, czujące i myślące, nie jest jednak zdolném przeniknąć i ogarnąć planu roboty, w któréj przyjmuje udział i ostatecznéj formy, ku któréj ona zmierza. Żyje ono, pracuje, walczy, zawodzi się, cierpi, w mniemaniu że wszystko to czyni w interesach własnych. Olbrzymia omyłka! Nieprzeliczone zastępy ofiar, potém swym, krwią i łzami, popychających wóz wszechświata ku nieznanemu im kresowi, po drodze, któréj drobniutka tylko cząstka dostępną jest ich oku i pojmowaniu! To istnienie jakiegoś najwyższego, ostatecznego celu wszechświata i ten musowy udział, który przyjmuje człowiek w tém dążeniu, stanowi drugi z filozoficznych pewników Renana. Dotąd, nic w téj teoryi niema oryginalnego. Są to te same poglądy na ludzkość i jéj zadania, które Szopenhauera i jego szkołę przywiodły do najczarniejszego pesymizmu. Jesteśmy oszukani i wyzyskiwani, twierdzi Szopenhauer, pracujemy i cierpimy w skutek niepojętych rozporządzeń jakiejś woli na zewnątrz nas działającéj. Wyrzeczmy się z góry wszelkiéj radości i nadziei. Uczniowie ponurego filozofa niemieckiego zachodzą daléj jeszcze. Zbuntujmy się — wołają — przeciw téj woli despotycznéj i tajemniczéj! Usiłujmy niszczyć to życie, które nie daje nam żadnego źródła czystego i trwałego szczęścia, a zalewa nas morzem trudów, bólów i goryczy, niewiedzieć dla czego znoszonych!

Ku innym wcale wnioskom ta sama teorya przywodzi francuskiego myśliciela. Zarówno plemiennéj jak indywidualnéj jego naturze pesymizm wstrętnym jest i prawie niemożliwym. Szopenhauer, pozytywista, nie chcący znać nic innego nad to, co ukazują i czego

dowodzą spostrzeżenia i doświadczenia, wyznaje względem całokształtu i ostatecznego celu téj roboty, któréj człowiek jest ślepym i cierpiącym wyrobnikiem, nieświadomość całkowitą. Renan, idealista, stawia hypotezę, oderwanego i niejako osobnikowego istnienia idei, któréj materya służy za środek niezbędny urzeczywistniania się i działania. Idea czysta jest tylko możliwością ruchu; materya czysta jest nieruchomą. Ideą czysta urzeczywistnia się tylko przez związki materyi, lecz ona to ożywia materyą i dążąc do urzeczywistnienia się, popycha ją ku różnym formom bytowania. Nie ma gmachu bez kamieni; niema muzyki bez strun i metalu; niema myśli bez masy nerwowéj. Ale w zamian, kamienie nie są gmachem, skrzypce nie są muzyką, mózg nie jest myślą. Wszystkie te związki materyi są warunkami, przez które ujawnia się idea. Bez pojęć dobra, prawdy i piękna, z kamieni nie powstałby gmach, skrzypce nie wygrałyby melodyi, mózg nie dokonałby odkryć i nie wytworzył by zasad, które stanowią sztukę i moralność, pojęcia dobra, prawdy, piękna, sprawiają wszystko, co góruje nad niezorganizowaną i nieruchomą materyą, materyą dźwigają ku coraz wyższym formom bytowania, w połączeniu swém tworzą ideał ku którego doskonałemu spełnieniu dąży wszechświat. Oto jest ów cel tajemniczy, dla którego pracujemy, cierpimy i walczymy i zarazem oto jest Bóg. Boskość czyli idea, popycha atomy materyi, ku formowaniu się w związki, przez które ujawnia się życie i w zorganizowanych już związkach pracuje wtedy, gdy niewiedząc dla czego i za co, ponoszą one trudy źle wynagradzane, pełnią cnoty, których częstokroć same stają się ofiarami, dokonywają czynności, nie dogadzających żadnemu z własnych ich interesów. Tym sposobem, zwiększa się coraz istniejąca we wszechświecie suma życia, samopoznania, rozumu i dobroci. Nieobliczone mnóstwo usiłowań i prób w tym kierunku, przepada marnie, lecz ilość ich tak jest niezmierną i dokonywują się one na tak niepojętym dla nas ogromie czasu i przestrzeni, że suma osiągniętych rezultatów musi istniéć i coraz się zwiększać. Polem bowiem prób tych i usiłowań jest nie tylko nasza ziemia, lecz wszystkie tak zwane ciała niebieskie, które stanowią spójną i zorganizowaną całość, ożywioną jednym ruchem i zmierzającą ku jednemu celowi. Być może, iż na ziemi, w skutek właściwości jéj materyi, zabraknie sposobów i czasu, do urzeczywistnienia ostatecznego wyniku téj powszechnéj pracy. Glob nasz jest także jednym z nieprzeliczonych pracowników i tak jak zamieszkujący go osobnik ludzki, zginąć może bez nagrody i ujrzenia całości wzorów, w których wytkaniu przyjmuje udział. Ale kiedyś i kędyś, może na globach, których urodziny odbywają się teraz w srebrném łonie mgławic, może przez istoty, których my, lu-

dzie, jesteśmy słabemi zaledwie zaczątkami, dosięgniętym zostanie ten cel wszystkich ruchów i wszelkiego życia, wszelkich trudów, cierpień, dochodzeń i ofiar; cel, którym jest powszechne i jak najwyższe urzeczywistnienie się idei, inaczéj jeszcze ideału samowiedzy, dobroci i rozumu, inaczéj jeszcze: boskości. Niema jednak dostatecznych przyczyn do stanowczego twierdzenia, że stać się to nie może na ziemi. Idea wiele już uczyniła w ludzkości. Nie tylko przewidziéć, ale nawet przypuścić nam niepodobna, w jakim stanie znajdować się będzie ludzkość za kilka milionów lat, przez które ziemi nic dobrze obrachowanego zniszczeniem nie grozi. Nie możemy tego przewidziéć teraz szczególniéj, gdy dzięki popędowi wywieranemu przez ideę prawdy, ludzkość posiadła oręż nauki, jako téż sposoby ciągłego i nieobliczonego jéj potęgowania. Idea prawdy, wzrastając dopomaga niezmiernie wzrostowi idei dobra. Działanie nauki sięga bardzo niedawnych czasów. Jakże oślepiające perspektywy gotuje ono dla przyszłości! Ileż wpływów na milionowéj przestrzeni czasu wywrzéć może takich, któreby dziś, dla nas, były niepodobnemi nawet do zrozumienia niespodziankami!

Z dojrzenia choćby możliwości takiego celu wszechistnienia, wynika pogląd na przeznaczenie i obowiązki człowieka wcale inny niż Szopenhauera i jego uczniów, czyli, wcale inne pojęcie moralności. Rozpacz zamienia się tu w nadzieję, upokorzenie oślepionego niewolnika w dumę dobrowolnego współdziałacza, gniewny bunt w rozumne poddanie się siły pojedyńczéj i drobnéj, planowi dokonywanemu przez siłę zbiorową i potężną. Jesteśmy w położeniu żołnierzy, którymby rozkazano walczyć i ginąć za sprawę nie swoję wprawdzie lecz wielką i piękną. W zależnych tych istotach zrodzićby się musiały usposobienia dwojakie: jedni, doświadczaliby uczuć buntu i nienawiści, drudzy, miłości, zapału i wdzięczności dla tego, kto ich pod sztandar swój zawezwał. Jedyną rzeczą niemoralną, któréj człowiek dokonać może, jest buntować się przeciw przeznaczeniu swemu; najwyższą jego cnotą, przyjąć je chętnie i z całéj siły dopomagać pracy powszechnéj. Tylko pigmeje buntować się mogą. Człowiek dobry, rozumny, wielki, nie może lepiéj użyć genjuszu serca, czy umysłu swego, jak współpracując z Bogiem, dopomagając mu w oszukiwaniu jednostek dla dobra powszechności, stając się giętkiem i chętném jego narzędziem, szerzącém dobro i prawdę śród ludzi, z których nie każdy otrzyma za nie osobistą nagrodę, tak jak wódz szerzy odwagę i zapał pośród żołnierzy, z których niejeden zginie, bez zobaczenia zwycięztwa. Ludzie dobrzy i czyści, genialni i poświęceni, znajdźcie pociechę i uspokojenie w wierze i myśli, że wy to jesteście racyą bytu waszéj planety; że stanowicie dla niéj

okup Sodomski; że z waszych trudów niewynagrodzonych, serc poranionych i łez wypłakanych, powstaje Bóg! Wy to przybliżacie owo „królestwo Boże“ tak długo przez biedną ludzkość widziane w mgle przeczuć i bajek, a które będzie królestwem ideału, powszechném panowaniem dobroci, zgody, rozumu i sprawiedliwości!

W uszeregowaniu trzech ideałów dobra, prawdy i piękna, Renan naczelne miejsce wyznacza pierwszemu. W wielkim korowodzie świętych ludzkości, szereg pierwszy zajmują dobrzy, czyści, łagodni, przebaczający bez warunków i kochający bez granic; w szeregu drugim, postępują bohaterowie prawdy: uczeni, wynalazcy, reformatorzy; trzeci, napełniają przedstawiciele piękna: artystyczne i poetyczne geniusze. Im więcéj człowiek zawrze w sobie tych idealnych pierwiastków, tém więcéj boskości posiada w samym sobie. Kochać i czcić dobro, prawdę i piękno jest to kochać Boga; służyć im jest to służyć Bogu. Dla tego, pisze on w swych wspomnieniach, że na różny sposób można być kapłanem. Dla tego w jednéj z dzieł swoich, nazywa Jezusa *człowiekiem boskim*. Orzeczenie to, ściągnęło nań ze strony nauki niemniejsze przygany, niż te, które go spotkały ze strony kościoła. Bez znajomości jego deistycznych poglądów jest ono niezrozumiałem i prawie deklamatorskiém. Lecz w ogólnym systemie jego myślenia, rozumiemy je wybornie. Wcielenie najwyższéj dobroci, miłości, słodyczy i czystości, jest dla niego wcieleniem bóstwa, a człowiek będący tém wcieleniem, człowiekiem boskim. Franciszek z Asyżu, dobrowolny nędzarz, poeta kochający i opiewający wszystko co istnieje, posiadał według niego ducha najwyższéj religijności. O miejscu, w którém żył Spinoza, o tyle łagodny i cichy o ile głęboki i szczery myśliciel, utrzymuje, że jest to miejsce, z którego może najbliżéj oko ludzkie widziało Boga.

Przedmowę do ostatniego dramatu swego *Kapłan z Nemi*, Renan zaczyna od wyznania, że myślą jego nie było stworzenie dzieła sztuki, ale przedstawienie filozoficznych i społecznych teoryi, za pomocą dyalogu. Dla wlania w ten dyalog akcyi, któraby drogą wyobraźni do przekonania czytelników łacniéj trafiała, użył on jednego z tych historycznych faktów, które „materyalnie nie spełniały się nigdy, ale idealnie działy się po tysiąc razy.“ Osoby i wypadki są tu zmyśleniem, ale idea jest prawdą przenikającą wszystkie czasy i zarządzającą życiem ludzi i społeczeństw w taki sam sposób, w jaki to czyni z ludźmi i społeczeństwem przedstawionemi w dramacie. „Pragnąłem w tém dziele mojém rozwinąć myśl, podobną do hebrajskiego mesyanizmu, to jest wiarę w ostateczny tryumf postępu religijnego i moralnego, który dokonywać się musi, pomimo licznych tryumfów

głupoty i złości. Spróbowałem tu przedstawić, jak sprawa dobra toruje sobie drogę śród spływających na nią goryczy i niepowodzeń, pomimo nawet upadków i błędów własnych swych męczenników i krzewicieli. Chciałem nakoniec uwydatnić tę sieć prawd ludzkich, której punktem środkowym jest to żelazne prawo, iż w dziedzinie polityki, zbrodnia bywa pospolicie wynagradzaną a cnota karaną. Wynika z tego obraz pełen smutku, bo na plan pierwszy występuje tu samolubstwo możnych, głupota ludu, niemoc ludzi rozumnych, podłość kłamliwego a słabość wolnomyślnego duchowieństwa, upadki patryotyzmu, złudzenia wolnomyślności, nieuleczalna nikczemność łotrów. Pomimo to, mniemam, że dzieło moje jest zdrowém, bo rozpacz uczuwaną na widok chwiejnych ruchów ludzkości, usuwa przez nadzieję zwycięstwa prawdy i dobra, które ostatecznie wzbić się muszą nad to okropne bagnisko, gdzie wylęgają się i skrzeczą wszystkie głupoty, brutalstwa i brudy.“

Nie należy przecież tracić z pamięci, że to idealistyczne określenie ostatecznego przeznaczenia ludzkości należy w filozofii Renana nie do rzędu pewników ale do rzędu możliwości. Do hipotezy téj przywiązuje się on całą siłą ducha, spragnionego idealnych czci i nadziei, wynikającą z niéj moralną doktrynę stosuje we własném życiu i znać, że pragnie uczynić z niéj pociechę i wparcie ludzkości. Jednak wykład pocieszającéj i wzmacniającéj téj możliwości, kończy słowami: „Zresztą wszystko to może nie jest prawdziwem!“

Z wielką siłą i po wiele razy Renan odpierał w dziełach swoich, przypisywane mu nazwy ateusza i materyalisty. Istotnie, zła wola tylko, któréj wiele przeciw sobie obudził, mogła te nazwy do niego stosować. Ateizm i materyalizm mają stanowcze przeczenia i twierdzenia; z nieistnienia Boga i jedynego istnienia materyi, czynią nieodwołalne i ostatecznie rozstrzygające pewniki. Ateizm i materyalizm tak jak zorganizowane religie tworzą dogmaty i ofiarowują ludzkości wziętą na odwrót wiarę. Umysł Renana cofa się przed dogmatami materyalizmu zarówno jak i spirytualizmu. Mniema on, że natura przemawia do człowieka tylko symbolami, zarówno jak wiara; że siły naturalne nie są poznane same w sobie, tak jak poznanemi być nie mogą nadnaturalne. Nie przenikamy źródła i istoty siły ciążenia, wiążącéj wszechświat w spoistą całość; nie znamy postaci i przymiotów rzeczy, po za granicami naszych zmysłowych wrażeń. Wszystko jest dla człowieka tajemnicą i symbolem. Symbole wiążące w sobie ducha nieskończoności, opierają się wiecznie rozumowi ludzkiemu, który pragnie zgłębić je i przeniknąć; nawzajem rozum ludzki walczy wiecznie z symbolami, aby otrzymać od nich więcéj światła i powietrza. Powątpiewanie jest smokiem, po-

żerającym owoc ludzkiéj myśli; jest ono także niepozbytym towarzyszem mędrca. Jak według słów Pisma św. najcnotliwszy grzeszyć musi siedm razy na dzień, tak wobec krytycyzmu umysłowego, najmędrszy po wiele razy codziennie, wątpi. O, otchłani byłoż kiedy oko, które dosięgło twych głębi! Nieskończoności, czy mózg jakikolwiek zdoła kiedy rozwiązać twoje zagadki i zmieścić w sobie twój ogrom!

Renan nie jest ani ateuszem, ani materyalistą. Jest on sceptykiem. Sceptycyzm znajduje w nim ostatni swój wyraz. Sam o sobie opowiada, że wiecznie wątpi o tém, co kocha; że pożera go niespokojność ducha, która, gdy prawda wydaje się już znalezioną, każe mu ją ścigać coraz daléj i daléj; że jest łupem fantazyi, która pomimo twierdzeń rozumu nie daje mu jednéj chwili uspokojenia. Te to niezmordowane ściganie prawdy, ta lotność fantazyi, głusząca głos rozumu i przenosząca go co chwilę z krainy wiedzy w krainę marzeń, stanowią główne piętno jego indywidualności i wyróżniają go z pomiędzy licznéj grupy współczesnych sceptyków. Nie zamyka się on w swém wątpieniu, niby w bezpiecznéj przystani. Wątpienie jego nie jest martwem jeziorem, ukazującém odmętowi wszechrzeczy obojętne i wiecznie błękitne oblicze, ale wzburzonym potokiem, który naprzemian z płaczem i śmiechem rzuca się w otchłanie i tryska ku niebu, szukając, pragnąc, wzywając prawdy. Szuka on i pragnie ideału. Potrzeba idealnych miłości, czci i nadziei jest najgłębszą i najgwałtowniejszą z potrzeb jego ducha. Dla tego stroną umysłowego widnokręgu, ku któréj najbardziéj przechyla się ten sceptyk— jest idealizm; dla tego ze wszystkich rzeczy ludzkich brzydzi się on najbardziéj życiem oddanem na posługi saméj materyi i w materyi czerpiącém jedyne swe uciechy; dla tego pociągają go nadewszystko postaci historyczne, najbardziéj oddalone od ziemskich zachodów i kłótni. Pokorny i poetyczny Franciszek z Assyżu jest mu sympatyczniejszym od genialnego ale zmuszonego do prowadzenia walk i sporów, dumnego w swéj indywidualnéj odrębności Pawła; kochająca i w cierpieniach serca więdnąca Krystyna Stomel pociąga go więcéj niż niejedna z wysokości tronu świecąca gwiazda świętości. Czystych męczenników i cichych kapłanów dobra wynosi on nad burzliwych i burzących bohaterów prawdy, nad dumne i najczęściéj oklaskiwane geniusze artyzmu.

Jak każdy sceptyk, Renan po wiele razy w dziełach swych zaprzeczył samemu sobie i po wiele razy pługiem swym krzyżował wyorywane przez siebie samego bruzdy. Bywa on czasem nieskończenie smutnym i cierpienie wydaje mu się jedyną dotykalną i niewątpliwą realnością życia. „Łzy wszystkich ludów są prawdziwe-

mi łzami; w myślach wszystkich mędrców mieści się cząstka prawdy.“ „Niezmierna rzeka zapomnienia unosi nas w otchłań bez nazwy. Wszystko jest tutaj symbolem tylko i snem. Bogowie tak jak i ludzie mijają!...“ Ale najczęściéj przybywają mu w pomoc ideały, dla których ma on więcéj miłości niż wiary, które odczuwa więcéj, niźli ich źródła i cel rozumie. „W piersiach własnych stwarzajmy królestwo Boże!... Słodycz, życzliwość, poszanowanie dla wszelkiéj istoty ludzkiéj, dobroć dla wszystkiego co żyje, przebaczenie własnych krzywd, niepamiętanie o własnych cierpieniach, oto są prawa pewne i niezawodzące nigdy.“ „Prawdy odkrywane przez naukę, wyższemi są zawsze nad marzenia, które nauka unicestwia.“ „Cel ludzkiego życia pozostanie nazawsze świętym. Jeżeli temu zaprzeczyć niepodobna, że wykształcenie umysłowe, nawet na niższych swych stopniach, coraz bardziéj odtąd wykluczać będzie wiarę w nadprzyrodzoność; niemniéj téż jest to prawdą, że najwyższa nawet nauka nie zniszczy nigdy religijności, w najwznioślejszém znaczeniu tego wyrazu....“

„...Modlimy się zawsze, ilekroć nie jesteśmy samolubami, a człowiek przecież nie zawsze bywa samolubem. Młodość ma swe modlitwy, które są jako strzały z dyamentowemi ostrzami, podobne do tej, którą Serafin przebił serce św. Teresy. Lecz nawet i w wieku, w którym osobną barwę podkreślać trzeba dnie wolne od cierpień, jest jeszcze marzenie, są resztki zapału, niewygasłe żary, świadczące że nawet noc głęboka, zalegająca dno oceanu, jak przekonali się o tém nowi odkrywcy, nie jest zupełnie bez ciepła i życia....“

„...Wszystko zważywszy, na rozległém polu istnienia, na powierzchni téj wielkiéj kuli żelaznéj, którą zowiemy planetą ziemską, nie wiele jest takich położeń, w którychby szale, ważące *Ma* i *Winien*, nie dawały pewnéj malutkiéj nadwyżki szczęścia. A tak się dzieje w okresie historyi świata, w którym Bóg, gdyby był autokratą, musiałby być uważanym za niedoskonale mądrego i niesprawiedliwego mocarza. Cóż będzie wtedy, gdy pierwiastek rozumu szerzéj rozleje się po wszechświecie, gdy zło stanie się słabszém a potężniejszém dobro; gdy liczba istot, którym życie jest ciężkiém brzemieniem i podarunkiem złowrogim, zmniejszy się prawie do zera. Natenczas każdy z głębin swojego serca głos swój połączy z samotnym dziś głosem księdza, śpiewającego pieśń mszalną: *Vere dignum et justum est, aequum et salutare nos tibi semper et ubique gratias agere* (1). Jak ptakom św. Franciszka, życie opłaci się każdemu, niezmierną

(1) Zaiste, godna i sprawiedliwa (rzecz jest) prawa i zbawienna, składać Ci dzięki zawsze i wszędzie.

nadwyżką miłości i wdzięczności. W zasmucające dogmaty nikt wierzyć nie zechce. Radość życia, zewsząd dziś przez cierpienie gaszona, wybuchnie wszędzie.... Nihilizm, płód téj niezmiernéj sumy zasmucenia, którą wieki gwałtów i okrucieństwa zgromadziły na starym naszym lądzie, zniknie, a raczéj przestanie mieć swoję racyą bytu. Gdy świat stanie się lepszym, kiedy wesele zapanuje w krajach dzisiaj najbardziéj przeniknionych mękami ucisku i bólu, niepotrzebnemi staną się także bohaterskie opory i śmierci; nikt już nie będzie ateuszem przez religijność, niszczycielem przez ducha sprawiedliwości, zbrodniarzem przez miłość dobra; najfanatyczniejsi zwolennicy nicości staną się najlepszymi żołnierzami ideału. Obyśmy przed śmiercią naszą ujrzéć mogli choćby jutrzenkę tych pięknych dni!“

Kochając prostotę życia i obyczajów, kocha on lud i w przyszłości jego pokłada wielkie nadzieje; z innéj jednak strony, jest przeciwnikiem przymusowéj edukacyi ludu. W zbawienność pierwiastkowéj nauki nie wierzy. Ideał prawdy, ma dla niego tę cenę, że dopomaga do wzrostu i zwycięstwa ideałowi dobra. Ale, skoro nauczanie, posunięte do najdalszych granic dzisiejszéj wiedzy, ukazuje tylko ułamki i mgliste migotanie prawdy, jakże udzielić jéj może ten zaczątek nauczania, który mieści się w szkołach pierwiastkowych? „Jeżeli możecie każdemu z obywateli Francyi udzielać nauki przez lat 15-cie albo 20-cia, urządźcie taką edukacyą powszechną. Lecz nauczanie tłumu sztuki czytania i pisania, danie mu drobniutkiego ułamku nauki, nadweręży w nim tylko zalety pochodzące z prostoty i naiwności, nie dając mu przez to cnót właściwych prawdziwéj mądrości.“ W twierdzeniu tém, myśliciel duński, Brandes, spostrzega ślady tego wstrętu, jakiego zawsze doświadczał kościół katolicki, względem rozpowszechniania wiadomości naukowych, pośród ludowych mas. Być może. Nie byłby to wypadek jedyny, w którym Renan zdradził niepozbyte piętna swéj edukacyi kościelnéj. Ale, mniemać też można, iż jest to niepraktyczność bardzo zwyczajna śród idealistów, którzy, zapatrzeni w wysokie sfery pojęć i myśli, tracą z oka najkonieczniejsze warunki ziemskiego życia. W ścianach pracowni swéj, zajęty nieustannie wpatrywaniem się w rzeczy oddalone i wysokie, utracił on może zdolność spostrzegania tak blizkich i nizkich, jakiemi są względy ekonomii społecznéj i moralności codziennéj. Zapomniał, że edukacya powszechna, w pierwiastkowéj nawet swéj formie, stawia największą możliwie ilość ludzi, na drodze, po któréj idzie się ku prawdzie i umożliwia minimalne prace w jéj poszukiwaniu. Nie spostrzegł, że ta edukacya ułatwia warunki bytu materyalnego i zachowywanie prawideł moralności codziennéj tym właśnie, dla których uczuwa on najwyższy pociąg, za których cierpieli

i ginęli najmilsi mu bohaterowie historyi. Kochać maluczkich i zamykać przed nimi źródła oświaty, jest to jedna z tych licznych sprzeczności, które spotykać się muszą w myślach i dziełach sceptyków, takich szczególnéj, którzy jak Renan, są zarazem idealistami.

Sceptycyzmowi przypisać można i to także, iż w naukowych dziełach jego spotykają się nieustannie wyrażenia takie, jak: „być może; przypuśćmy; jeżeli to jest prawdą; wszystko to zresztą może być nieprawdą itp.“ Niektórzy, w téj chwiejności twierdzeń, w ostrożności i łagodności jego historycznych sądów, dostrzegali niedostatek pisarskiéj szczerości i odwagi. Było to niesprawiedliwością. Nikt nadeń nie posiada w wyższym stopniu tego, co nazwać można sumieniem pisarza. W zgromadzaniu materyałów dla prac swoich jest on niezmordowanym i najgorliwszym szperaczem; dla spadających nań przygan i potępień doświadcza obojętności zupełnéj. Kiedy go zapytano, czy nie czuje się znękanym walką, którą mu wytoczono za historyą początków Chrześcianizmu, odpowiedział poprostu: że na kazania, w których go wyklinają, nie uczęszcza i broszur, które okrywają go błotem, nie czytuje. Nie brak odwagi i szczerości, ale wiecznie prześladujący go brak zupełnéj pewności i wiary, czyni go często chwiejnym i ostrożnym w twierdzeniach i sądach. Z innéj jednak strony, łono sceptycyzmu pełném jest zawsze ironii. „Jestem dwoisty, pisze o sobie Renan, gdy jedna połowa duszy mojéj placze, druga śmieje się.“ To też częstokroć, tam gdzie fantazya poety okrywa przedmiot książki splotami najpiękniejszych kwiatów, jeden ironiczny uśmiech, krótki lecz wyostrzony jak sztylet, rozdziera kwieciste zasłony i ukazuje czytelnikowi, w całéj jego nagości, subtelnie i pracowicie dokonane anatomiczne studyum. Uśmiech ten mieści się w kilku słowach, w jedném niekiedy określeniu rzeczy i tam gdzieśmy mniemali widzieć tylko poetę i idealistę—ukazuje biegłego anatoma i nieubłaganego sceptyka.

Najmniéj może ze wszystkich myślicieli współczesnych, Renan przyrównanym być może do monolitowego kolosu. Jest to niewątpliwie kolos, ale złożony z wielu odłamów, których olśniewające migotanie utrudnia dokładne ogarnięcie okiem całości. Niedarmo słynny krytyk, studyum swe o nim zamknął w tomie, noszącym nazwę: *Duchy nawożytne* (*Moderne Geister*, *Brandes*). Jest to duch doskonale przedstawiający rodzinne swe stulecie,—stulecie niespokojne, szukające prawdy i wątpiące czy kiedykolwiek posiąść ją w pełni zdoła; przez miłość dla prawdy kruszące to, co kochały wieki, i przez wstręt do próżni, uciekające w krainy utopii i marzeń. Lecz taki ja-

kim jest: uczony i poeta, krytyk i wychowaniec kościoła, sceptyk i idealista, Ernest Renan przedstawia jedną z najoryginalniejszych i najciekawszych fizyognomii naszego czasu. Tak ze względu na szerokość jego wiedzy i myśli, jak na wspaniałość pisarskiego talentu i niepospolitą czystość życia i charakteru, poczytać gò można za jednego z największych mężów, jakimi Francya obdarzyła cywilizacyą świata. Pismami swemi wywarł on na umysłowość współczesną wpływ bardzo rozległy; nie znać go, znaczy to nie znać jednego z potężnych czynników dzisiejszéj Europejskiéj oświaty.

Eliza Orzeszkowa.





KOTLINA PRYPECI I BŁOTA PIŃSKIE

POD WZGLĘDEM PRZYRODNICZYM.

II.

Jeżeli za zachodnią granicę Polesia przyjmiemy źródła Prypeci, która wypływa z grupy jezior Włodawskich, na wschodnim brzegu rzeki Bugu położonych, to długość całéj zapadłości poleskiéj wyniesie 55 mil geograficznych, czyli 408 kilometrów. Największa jéj szerokość przypada na linię Mińsk-Zwiahel i wynosi w tym kierunku 45 mil geogr., czyli 333 kilometry. Ponieważ zapadłość ta nie jest ograniczona liniami prostemi, przeto po odliczeniu nierówności, powierzchnię jéj, a przedewszystkiém obszar zajmowany przez błota, można przyjąć na 1200 mil kwadratowych, czyli 66000 kwadratowych kilometrów (1), co się równa przeszło dwa razy powierzchni Belgii (29455 kil.), jest tylko o 12500 kilometrów mniejszém od Galicyi (78508 kilom.), a równa się prawie połowie Polski kongresowéj (127310 kil.).

Mówiliśmy już, że cała ta płaszczyzna pochyla się bardzo łagodnie i jednostajnie ku Dnieprowi; niemniéj łagodnym jest i jéj spadek od północy i od południa ku Prypeci. W ogólności jednakże Polesie litewskie jest od wołyńskiego nieco wyżéj położone i silniéj nachylone, co się w upostaciowaniu tutejszych rzek przebija. Północne dopływy Prypeci (Jasiołda, Bobryk, Cna, Łań i Słucz) mają koryta więcéj ustalone i zmierzają prosto do celu, gdy przeciwnie południowe (Turia, Stochód, Styr, Horyń, Słucz, Stwiga, Uborć, Sławeczna i Usz) (2) różnią się od nich krętym biegiem, zmieniając czę-

---

(1) To wszystko według przybliżonego pomiaru planimetrycznego.

(2) Do pobieżnego obeznania się z topografią Polesia może posłużyć mapka téj okolicy, dołączona do pracy Choroszewskiego „Poszukiwania geologiczne, dokonane w ostat-

sto swój kierunek, dzielą się na ramiona, a niektóre z ich dopływów giną nawet na błotach i dopiero w bliskości Prypeci ponownie na jaw wychodzą. Nie ma wogóle w Europie drugiéj okolicy, w któréjby sieć wodna była tak mało ustaloną, jak na południowém Polesiu. Płaskość gruntu jest tu powodem, że woda w rzekach wzbiera z łatwością, występuje z łożyska i toruje sobie nowe drogi. Zdarza się nieraz, że rzeka nie wraca już do starego koryta, które zamienia się w martwe ramie, nie obojętne nieraz dla miejscowéj komunikacyi. Wielką ilością takich ramion odznacza się przedewszystkiem okolica Pińska, gdzie Jasiołda, Prypeć, Stochód i Styr są połączone siatką kanałów, a podróż latem przeważnie wodą się odbywa. Jeżeli jeden albo drugi kanał ulegnie zamuleniu i związek między nim a właściwą rzeką zostanie przerwany, to zamienia się w jezioro, z utratą zaś wody, w moczar, a liczba takich jezior z moczarów, ciągnących się wzdłuż brzegów rzek poleskich nie da się prawie policzyć.

Powierzchnia ziemi na Polesiu jest prawie zupełnie równą; jest to nietylko nizina ale i płaszczyzna. Wzniesienia, na nazwę pagórków zasługujące, nikną tak na północy jak na południu nagle, na linii dającéj się dość ściśle wyznaczyć. Południowy teren pagórkowaty wrzyna się najdaléj — od strony Dniepru w obszar błot wzniesieniami Owrucza, których istnienie jest ściśle związane z geologiczną budową gleby. Daléj na zachodzie, na północ od Równego znalazłem granicę tego terenu we wsi Kustyniu. Jeszcze wyraźniéj występuje ona po stronie północnéj, np. po nad Jachlowiczami, gdzie krawędź litewskiego grzbietu wznosi się po nad poziom płaszczyzny na kilka metrów i robi wrażenie brzegów starego jeziora. Zresztą pagórki, tworzące wzniesienia samodzielne, znajdują się na obszarze Polesia tylko około Mozyrza, nad samą Prypecią, gdzie przedstawiają grupę zupełnie odosobnioną, jakby wyspę sterczącą z pośród morza błot, a znaczenie ich tém donioślejsze, że i budową geologiczną różnią się od reszty Polesia. Wspomniemy jeszcze o nich późniéj.

Zresztą gleba Polesia jest albo pokryta piaskiem, albo zajęta przez błota. Piasek rzadko przedstawia powierzchnię równą; tworzy on zazwyczaj pagórki dochodzące nieraz do kilku i kilkunastu me-

---

nich latach na Polesiu“ w Pam. fizyogr. tom I, str. 115. Dokładniejszy pogląd na rzecz dają mapy austryackiego sztabu głównego „Uebersichtskarte v. Mittel-Europa“ w rozmiarze $\frac{1}{75000}$ i „Generalkarte von Mittel-Europa“ w rozmiarze $\frac{1}{300000}$. Z map rosyjskich zasługuje na szczególne polecenie mapa sztabu głównego wydana w rozmiarze $\frac{1}{125000}$.

trów wysokości. Występują one niekiedy gromadnie, a zmieniając pod wpływem wiatrów swą postać, tworzą to, co nazywamy wydmami. Wydmy rozwinęły się na wielkie rozmiary w wielu miejscach, szczególniéj nad Słuczą i Horyniem, w okolicy Dąbrowicy, u połączenia się tych rzek. Cały kąt pomiędzy niemi, na północ od Luchczy i Treskini, jest zajęty przez wydmy, które pokrywają tutaj co najmniéj 40 kilometrów kwadratowych i spiętrzyły się wysoko nad poziomem Słuczy i Horynia. Znaczna ich część nie nadaje się zupełnie do uprawy, a ogołocone z wszelkiéj roślinności robią najposępniejsze wrażenie i przez okolicznych mieszkańców polską Saharą nazywane bywają. Pagórki te nie tylko zmieniają pod wpływem wiatrów swą postać, lecz posuwają się ku południowemu wschodowi, ten ruch ich jest jednakże bardzo powolny. Miałem sposobność badania go w blizkości wsi Kołki, gdzie wydmy spadają nagle ku płaszczyznie moczarowatéj nad Słuczą położonéj i zasypują zarost drzewiasty, ten moczar okalający. Ze stoku piaszczystego pagórka sterczą tu zielone wierzchołki wierzb, które mieszkańcy sąsiedniéj wioski obserwują od lat kilku, nie mogąc doczekać się zupełnego ich zniknięcia. Pomimo to sąsiedztwo tych wydm jest dla ziemian bardzo niemiłe, bo piasek unoszony z nich wczasie silniejszych wiatrów zasypuje glebę uprawną i obniża jéj wartość, a niekiedy czyni ją nawet dla uprawy nieprzydatną.

Wydmy istnieją tylko tam, gdzie pagórki piaszczyste z powodu swéj wyniosłości łatwiéj obsychają, a piasek traci swą spoistość. Gdzie gleba jest wilgotniejsza, tam pokrywa się roślinnością i ustala. Pagórki występujące nieraz gromadnie w pośród lasów wypada uważać za wydmy ustalone. W okolicach moczarowatych tworzą one niekiedy długie a wąskie wały, różnéj wysokości i oddzielają zazwyczaj zagłębienia, obfitujące w mniejsze albo większe zasoby wody. Takie wały bywają tutaj nazwą grzęd oznaczone. Można uważać za rzecz pewną, że wszystkie te zagłębienia posiadały niegdyś większy zasób wody, że były jeziorami, a grzędy zawdzięczają swoją szczególną postać działaniu wody. Woda poruszana wiatrem, uderzając bezustannie o piaszczysty brzeg, niszczyła go, a piasek z niego pochodzący, roznoszony falą, zasypywał dno jeziorka. W ten sposób pagórek, rozdzielający dwa sąsiednie jeziorka, tracił bezustannie na szerokości, a boki jego stawały się coraz stromsze; równocześnie podnosiło się dno jeziorka a zmniejszał się zasób jego wody, wskutek czego zamieniało się ono z czasem w moczar, następnie w torfowisko. Zdarza się nieraz, że poziom dwóch zagłębień, grzędą, zaledwie na kilkanaście metrów szeroką, od siebie oddzielonych, jest bardzo różnym. Powierzchnia takich zagłębień, nawet zupełnie osuszonych,

bywa równa, jak gdyby zniwelowana. Ale czasami sterczy po nad tym poziomem jeden albo drugi odosobniony pagórek piaszczysty, który był wyspą, gdy zagłębienie posiadało wodę.

Gleba sucha na Polesiu jest przeważnie pokryta lasami, a mała jéj część znajduje się w stanie uprawy. Ale obszary suche zajmują zaledwie mniejszą połowę powierzchni Polesia; jest ona przeważnie pokryta moczarami i bagniskami, w tamtych stronach wogólności nazwą błot oznaczanemi. Na obszarach leśnych są błota bardzo pospolitém zjawiskiem i wypełniają wszystkie miejsca niskie; ale że gleba leśna rzadko tylko jest równą, a miejsca niskie są prawie zawsze zamknięte pagórkami i grzędami, przeto i rozmiary błot leśnych bywają mniejsze. Postać błot leśnych zależy od roślinności, jaka się na nich rozwinęła, a ta od zasobu i stanu wody. W każdym razie błota te są torfowiskami, a zasób torfu wzmaga się na nich bezustannie, powodując z biegiem czasu podnoszenie się dna moczaru i jego częściowe osuszenie. Te przeobrażenia zostają w najściślejszym związku z przeobrażeniami roślinności tych błot i dlatego wspomnimy o nich w jednym z dalszych ustępów, gdzie będzie mowa o roślinności Polesia.

Im bardziéj zbliżamy się do środka zapadłości poleskiéj, tém gleba staje się równiejszą, pagórki i grzędy nikną, a rozmiary błot rosną. Mniejsze błota łączą się z razu z sobą, tworząc torfowiska, które pokryte skarłowaciałym zarostem leśnym, nie różnią się niczém od torfowisk, występujących nie mniéj obficie po nizinach innych krajów środkowéj i północnéj Europy. Ale bliżéj Prypeci powierzchowność tych błot zmienia się nagle wskutek zupełnego i nagłego zniknięcia drzew leśnych, a właściwie błota pińskie robią wrażenie nieprzejrzanych łąk moczarowatych, porosłych zrzadka i to nie wszędzie, łozami i rokitami. Takie błota bywają na Polesiu hałami czyli gołemi nazywane. Hała zaczynają się już w niewielkiéj odległości od Bugu, za Brześciem i Kamieńcem litewskim, w nizinach nad Piną i Jasiołdą; ale ku wschodowi i ilość i obszary ich coraz się bardziéj wzmagają tak, że daléj na wschodzie tworzą po obu stronach Prypeci system moczarów, zaledwie skromnemi obszarami gleby leśnéj od siebie pooddzielanych. Najpotężniéj rozwinęły się hała na południowym brzegu Prypeci, pomiędzy Słuczą a Uborciem i bezwątpienia od wsi Rokitno, na samym ich brzegu położonéj, w literaturze niemieckiéj nazwę moczarów Rokitniańskich (Rokitno-Sümpfe) otrzymały. Francuzi nazywają je błotami pińskiemi (les marais de Pinsk) (1).

(1) Porównaj: E. Reclus, Nouvelle Geographie universelle, tom V, str. 449.

Powierzchnia hał jest równa, lecz kierunek jéj nie jest poziomy; przeciwnie, dawniejsze przypuszczenia, rozpowszechnione na Polesiu, jakoby osuszenie niektórych błot dla braku spadku było niemożebném, jakoby poziom ich był w kilku miejscach nawet niższym od poziomu wody w Prypeci, zostało przy pomocy prac niwelacyjnych (1), dokonanych przez jenerała Józefa Żylińskiego i towarzyszy, obaloném, bo przekonano się, że wszystkie błota Polesia nietylko leżą wyżéj od poziomu Prypeci, lecz że i silnie ku niéj się nachylają. Tak np. błota na północ od Petrykowa w powiecie Mozyrskim, tylko na 100 kilometrów od Prypeci oddalone, leżą o 42 metry wyżéj od poziomu tejże rzeki, a spadek ten wyda nam się bardzo znacznym, jeśli przypomnimy sobie, że spadek saméj Prypeci między Pińskiem i jéj ujściem do Dniepru, na linii 400 kilometrów długiéj, zaledwie 37 metrów wynosi. Tak samo i jezioro Kniaź, o którém przypuszczano, że leży niżéj od Prypeci, jest na 17 metrów nad jéj poziom wzniesione.

Wszystkie osady, na obszarze hał się znajdujące, leżą na wyspach, tutaj ostrowami nazywanych, a ostrowy te są z wyjątkiem okolicy Mozyrskiéj, piaszczystemi nasypami. Ilość, rozmiary i wysokość tych ostrowów są różne. Na wielkich hałach wschodniego i południowego Polesia zdarzają się one bardzo rzadko; na wyższém Polesiu, w stronie zachodniéj, jest ich bardzo wiele. Ostrowy większe, zamieszkałe, są płaskiemi, słabo tylko nad poziom hał wzniesionemi wyspami; mniejsze tworzą pagórki na kilka i kilkanaście metrów wysokie. Niektóre z nich odpowiadają swym kształtem najzupełniéj grzędom wśródleśnym. Rozmiary wszystkich uległy bez wątpienia, gdy obszar błot jeszcze był wodą pokryty, znacznemu przez fale zmiejszeniu. Niektóre z nich są tak ze wszech stron głębokiemi zamknięte hałami, że mieszkańcy ich tylko w zimie, po śniegu, oddalić się z nich mogą. Inne, chociaż nie zamieszkane stale, bywają uprawiane. Ich właściciele przeprowadzają z wiosną konie, objuczone pługiem i broną, dobrze znanemi szlakami przez błota, w celu obrobienia ziemi; plon zebrany zostawiają na ostrowie i zimą sprowadzają go do domu. Największą liczbę ostrowów znalazłem na dziale wodnym między Szczarą i Jasiołdą; hała na północ od jeziora Bobrowieckiego położone, są niemi zarzucone, a widok tak licznych małych i wielkich grzęd i pagórków, pokrytych ciemnym borem sosnowym, sterczących po nad zieloną płaszczyzną błot, jest najoryginalniejszym rysem téj okolicy.

---

(2) Cenne szczegóły o tych pracach znajdzie czytelnik w I-m tomie Pam. fizyogr. na str. 75 i nast.

Cała powierzchnia hał jest pokryta zielonym trawnikiem roślin moczarowatych. Rzadko tylko wiją się wpośród téj zieleni wody leśnéj strugi, która walczy z glebą i roślinnością i prędzéj lub późniéj traci swój żywot, czasem bezpowrotnie, w pośród chaosu błot. Miejsca, nie zajęte przez roślinność, są na obszarze błot bardzo rzadkie i tworzą zazwyczaj zagłębienia, otoczone wieńcem wysokich szuwarów, w pośród którego prześwieca zwierciadło czystéj wody, ulubiona siedziba ptastwa wodnego. Zagłębienia owe lud poleski nazywa oknami, a mają znajdować się między niemi i takie, które w zimie nigdy nie zamarzają i z których wydobywa się żywa źródlana woda. Większe jeziora Polesia ani nie są wyłącznie do błot przywiązane, ani nie odpowiadają największéj ich głębokości. Przeciwnie, na niższém, wołyńskiém Polesiu i liczba ich i ich rozmiary są bardzo ograniczone i największe, jak Kniaź, Wygonosz, Bobrowieckie, Czarne, Sporowskie i Białe leżą na Polesiu litewskiem, na północ od Prypeci, w znacznie wyższym od niéj poziomie, a najsilniejsze ich nagromadzenie znajduje się na dziale wodnym między Bugiem i Prypecią.

Rozpowszechnioném jest na Polesiu mniemanie jakoby błota tutejsze były bardzo głębokie, prawie niezgruntowane; lud poleski wierzy, że zostają one w podziemném połączeniu z morzem a nawet wykształceńsi mieszkańcy tych stron uważają za rzecz pewną, że roślinność pokrywająca hała tworzy darnistą tkaninę, pływającą albo unoszącą się na powierzchni wód głębokich. Wszystko to wypada uważać za przesadę nie trudną do usprawiedliwienia, jeśli zważymy, że im bardziéj zjawisko jakieś jest niedostępném i zagadkowém, tém też silniéj na fantazyą człowieka oddziaływa. Błota pińskie pokrywają się corocznie z wiosną, w skutek topnienia śniegów i wezbrania rzek, wodą, która stoi na ich powierzchni do kilku tygodni. Gdyby darń roślinna pływała na powierzchni wody, to z jéj przybytkiem podnosiłaby się w górę, a zalanie jéj zupełne byłoby niemożebném; tymczasem i podczas powodzi zostaje ona w tymże samym poziomie, z téj prostéj przyczyny, że rośliny są korzeniami do ziemi przyczepione. Nie ma tu pomiędzy niemi ani jednéj, któraby się obchodziła bez części ziemnych. Nie można tego przedewszystkiém powiedziéć o rokitach i łozach. Gdzie te nikną zupełnie, tam moczar jest bezwątpienia głębszym, ale i tam rośliny tworzące darń należą, jak to późniéj zobaczymy, do najpospolitszych form, które trzymają się zawsze brzegów moczarów, właśnie dla tego, że bez przyczepienia do ziemi obejść się nie zdołają. Zdarza się czasem, że strugi przecinające moczary urwą w czasie powodzi kawał darniny i unioszą go w znaczną odległość; to udaje im się jednakże tylko wtenczas,

gdy wskutek silniejszego prądu wody, skierowanego w jedną stronę, jéj brzeg z tejże strony podmulonym zostanie. Gdy człowiek albo bydło kroczy po moczarze, to darń się chwieje i zagłębia a zagłębienie napełnia się wodą, co jednakże tylko do pewnego odbywa się stopnia, a o stracie w ludziach albo bydle przy takiéj sposobności nie wiele słyszałem. Okna tutejsze, według wiary ludu niezgruntowane, są niekiedy całe jeziornym szuwarem (1) pokryte; rzadziéj szuwar okala wieńcem ich brzegi, zostawiając w środku wolne miejsca, ale i wtenczas pływają po powierzchni wody rośliny, których korzenie grzęzną głęboko w mule (2). Płynąc rzeką Lwą, która za Sechami wpada na błota a ginie w nich za Tuchowskim ostrowem, mierzyłem jéj głębokość na przestrzeni 20 kilometrów; żerdź długa na 4 metry dotykała w kilku miejscach dna; a chociaż gdzieindziéj głębokość rzeki była znacznie większa, to ma ona koryto wszędzie jak najściśléj darnistym brzegiem ograniczone a głębokość jéj jest wszędzie większa od głębokości okalających ją moczarów.

Że ogólnie w tych stronach rozpowszechnione wyobrażenie o nadzwyczajnéj głębokości hał nie zgadza się z rzeczywistością, tego najwymowniéj dowodzą owe okna i jeziora w sąsiedztwie błot napotykane i z niemi się łączące. Gdyby darń błotna mogła się rozwinąć na głębszéj wodzie i unosiła się rzeczywiście na jéj powierzchni, to wszystkie okna byłyby już dawno z obszarów hał znikły; tymczasem istnieją one tu od wieków a rozmiary ich bynajmniéj się nie zmieniają. Gdzie jezioro łączy się z błotami, tam bez względu na to, że dno jego bardzo łagodnie się podnosi granica roślinności błotnéj bywa bardzo wyraźnie naznaczoną, ginie ona nagle, jedynie dlatego, iż dalszy jéj rozwój staje się wskutek wielkiéj głębokości wody niemożebnym. Rośliny zajmujące pas graniczny między błotem a jeziorem pozwalają nawet wnosić na pewne o głębokości wody. Najprzód ginie roślinność moczarowa, złożona z pospolitych traw i turzyc i kilku ziół moczarowatych (3) tworząca jednostajną darń błotną, a jéj miejsce zajmują rozrzucone kępy szuwarów przybrzeżnych (4); po tych dopiero idą trzciny i pałki wodne (5), zamykając wieniec roślin sterczących łodygami nad powierzchnią wody. Wię-

(1) Phragnites communis, Scirpus lacustris, Typha latifolia i T. angustifolia.

(2) Nymphaea alba, Nuphar luteum, Potamogeton natans, Myriophyllium spicatum.

(3) Aspidium Thelypteris, Eynisetum limosum, Phalaris arundinacea, Glyceria aquatica, Carex vulgaris, Scirpus palustris, Stachys palustris, Ranunculus Lingua etc.

(4) Glyceria spectabilis, Scirpus lacustris, Carex riparia, Rumex Hydrolapathum i inne.

(5) Phragnites communis, Typha latifolia i angustifolia.

ksze głębie zajmują rośliny o liściu pływającym (1), ale i te trzymają się brzegów jeziora; z rosnącą głębokością ustępują one miejsca ramienicom (Chara) pokrywającym dno jeziora, a gdzie głębokość jego jest bardzo znaczna, tam i dno i powierzchnia wody są zupełnie czyste. Ale wymienione formacye ukazują się nie raz i z dala od brzegów, w postaci wysp zielonych, gdy głębokość jeziora się zmniejszy i pozwoli roślinom zapuścić korzenie w muł denny, bez którego obejść się nie mogą.

III.

Geologiczne stosunki miejscowości tak ze wszech miar zajmującéj, jak Polesie, budziły od dawna ciekawość uczonych i to tém więcéj, że ich zbadanie miało właśnie tutaj niepospolite trudności do zwalczenia. Jakoż przezwyciężenie tych trudności powiodło się dopiero w ostatnim dziesiątku lat, a największa zasługa pod tym względem należy się owéj komisyi, któréj zadanie polegało w zbadaniu terenu dla właściwych prac, mających na celu odwodnienie Polesia i osuszenie bezpożytecznych i odłogiem leżących jego obszarów. Zadanie to zostało spełnioném przy pomocy wiercenia, które pozwoliło zapuścić się na kilkadziesiąt metrów wgłąb ziemi. Obszerniejszą wiadomość o tych pracach znajdzie czytelnik w sprawozdaniu W. Choroszewskiego, wydrukowaném w 1-szym tomie Pamiętnika fizyograficznego (2). Tutaj podajemy tylko krótki pogląd na budowę gleby Polesia, o ile on jest potrzebny do zrozumienia historyi rozwoju całéj téj krainy.

Gleba Polesia jest, jakeśmy to już widzieli, przeważnie pokryta piaskami, których falista, albo pagórkowata powierzchnia zawdzięcza swą postać działaniu wiatrów, a jéj rozwój wypada odnieść do epoki, w któréj Polesie nie było jeszcze porosłe lasami. Lasy nie pokryły tu tylko tych miejscowości, po których piasek, wskutek większego nagromadzenia, przybrał postać wysokich, łatwo obsypujących pagórków i gdzie i teraz podlega działaniu wiatrów, które, chociaż powoli, zmieniają jeszcze bezustannie jego powierzchnię. Te

---

(1) Nymphaea, Nuphar, Potamogeton, Ranunculus aquaticus.

(2) Poszukiwania geologiczne dokonane w ostatnich latach na Polesiu, str. 115—132 z mapką. Praca ta zawiera, pomimo nieco przestarzałych poglądów na rozwój loessu i na przebieg epoki lodowéj, wiele cennych szczegółów geologicznych i bylibyśmy wielce autorowi obowiązani, gdyby znalazł się w krótce w możności spełnienia uczynionego w niéj przyrzeczenia i ogłosił drukiem spostrzeżenia zrobione w okolicy Owrucza.

powierzchowne piaski są prawie zupełnie czyste, wskutek przewiania wolne od domieszki skał obcych. Ale czasami znajduje się na ich powierzchni wielka ilość krzemienia, jak np. na Tuchowskim ostrowie, sterczącym z błót, które przepływa rzeka Lwa (1), w Karpiłowie nad Słuczą i w kilku miejscowościach pomiędzy rzekami Słuczą i Stubłem, na linii Dąbrowica-Serniki położonych. To nagromadzenie krzemieni każe się domyślać, że w miejscach takich znaczna ilość piasku powierzchnego przez wiatry uniesioną została. Grubość pokładów piasku może być różna. Po brzegach błot między Rokitnem i Owruczem bywa go tak mało, że starsze skały miejscowe, jak granity i kwarcyty powychodziły na powierzchnię ziemi; gdzie indziéj pokłady jego dochodzą do niepospolitéj grubości, bo według świadectwa Choroszewskiego, wiercono na Wołyńskiém Polesiu do 60 stóp głębokości w piasku, nie przebiwszy jeszcze całéj jego miąższości.

Piasek w głębi ziemi zmienia swoje własności. Przedewszystkiém zabarwienie jego bywa ciemniejsze, szare, żółtawe, zielone, lub czerwonawe, za ziarno grubsze i niejednakowych rozmiarów; następnie ukazują się w nim ślady skał dyluwialnych, już to w postaci drobnego zwiru, już jako grubsze okruchy, im głębiéj, tém obficiéj. Ziarna jego są niekiedy spojone gliniastém zlepiszczem, wskutek czego piasek przechodzi w miękki piaskowiec. Gdzie indziéj występuje w nim glina w postaci warstw, jednéj albo kilku, różnéj grubości, na przemian z pokładami piasku. Po miejscach niskich, wilgotnych, pokrytych roślinnością, leżą na piaskach pod ziemią rodzajną, rudy żelazne, odróżniane jako rudy błotne, w pokładach nie dochodzących do pół metra grubości. Chociaż żelazo, jakie wydają, jest kruche i pośledniejszego gatunku, były one niegdyś pilnie wyzyskiwane a niezliczone miejsca wśród lasów, po dziśdzień nazwą „Rudni“ oznaczane, obecnie opuszczone, świadczą o ważności, jaką miała swojego czasu ta gałąź przemysłu dla Polesia. Z olbrzymich stosów zuzli, nagromadzonych dokoła rudni można wnosić o ilości wydobytego z tutejszéj ziemi metalu. Wydobywaniem jego trudnili się przeważnie robotnicy sprowadzeni z nad Wisły, obdarzeni osobnemi przywilejami. Przemysł ten podupadł wskutek współzawodnictwa z fabrykami zagranicznemi, ale utrzymuje się podobno jeszcze i teraz w kilku miejscowościach południowo-wschodniego Polesia.

O pokładach torfu, pokrywających znaczną część gleby Polesia, wspomnimy, jako o przedmiocie roślinnym, w jednym z dalszych

---

(1) Na tychże samych błotach znajduje się i inny nie zwiedzany przezemnie ostrów, z powodu wielkiéj mnogości krzemieni „Krzemiennym Ostrowem“ nazywany.

ustępów. Tu zasługują jeszcze na wzmiankę odłamki skamieniałych drzew, ślady węgla brunatnego i bursztynu, napotykane miejscami w piasku. Bryły bursztynu zdarzają się dość często w okolicy Dąbrowicy nad Słuczą; piękny zbiór tego minerału widzieliśmy w posiadaniu hr. Wiktora Platera. Minerały te, tak samo jak i głazy narzutowe, nie należą do formacyi miejscowych, lecz zostały razem z piaskiem, przez wodę z południa przyniesione.

Ułożenie głębszych pokładów piasku na południowém Polesiu, gdzie formacya ta jest o wiele silniéj rozwiniętą a przedewszystkiém stosunek jego do glin, jak najściśléj z nim złączonych, każe się domyślać, że tak piaski jak i gliny, zostały przyniesione w te strony z dali i osadziły się z wody, która pokrywała niegdyś tutejszą zapadłość, że są utworem, słodkowodnym, jeziornym. Na pólnocném, litewskiém Polesiu pokłady piasku są o wiele słabsze i z wyjątkiem wydm, czyto ruchomych, czy ustalonych, prawie wszędzie zmieszane ze skałami dyluwialnemi, a leżą przeważnie na glinach, obfitujących również w odłamy skał północnych, co wszystko odpowiada więcéj materyałowi morenowemu, robi wrażenie takie, jak gdyby te utwory bezpośrednio po stopnieniu lodów północnych na miejscu osiadły.

W pośród obszarów pokrytych piaskami ukazują się tu i owdzie niezależnie od nich gliny, których pochodzenie może być rozmaite. Na Polesiu litewskiém można widziéć w kilku miejscach na powierzchni ziemi zbite, plastyczne iły z głazami narzutowemi; są one utworem morenowym, spodniém ogniwem dyluwialném, które wyszło na jaw w ten sposób, że piasek dyluwialny z ich powierzchni przez wiatry lub wodę usuniętym został. Na wołyńskiém Polesiu odpowiadają im lekkie, przeważnie z silnie rozmielonéj krzemionki złożone gliny (np. na zachodnim brzegu Słuczy w sąsiedztwie Dąbrowicy) a zwracają tu na siebie uwagę z powodu spoczywających na nich olbrzymich głazów narzutowych, które w tych stronach zazwyczaj w głębi piasków są ukryte. Młodszym od tych glin utworem jest loess z okolicy Mozyrza i Owrucza. Występują nakoniec obficie lekkie, warstwowe, zazwyczaj silnie z piaskiem zmieszane lub na przemian z nim ułożone gliny w sąsiedztwie rzek tutejszych, nadając gruntom nadbrzeżnym z powodu większéj urodzajności niezwykłą wartość; te gliny osadziły się z wód podczas powodzi i sięgają tak daleko, jak daleko zachodzi woda opuszczająca koryto rzeki; są one utworem najmłodszym, aluwialnym a rozwój ich odbywa się jeszcze obecnie bezustannie, ile razy rzeki tutujsze wyleją.

Opisane powyżéj piaski muszą być uważane razem z glinami, jakie je przegradzają, za jeden utwór, poczęści współczesny epoce lo-

dowéj, a zatém dyluwialny, po części młodszy od niéj, czyli aluwialny a sięga on w głąb ziemi tak głęboko, jak głęboko jeszcze głazy północne bywają napotykane. Cały ten utwór spoczywa we wschodniéj części Polesia na glinach starszych a w części zachodniéj na kredzie. Istnienie takich glin (starszych) zostało we wschodniéj części Polesia dopiero przy pomocy wiercenia wykazane. Znaleziono je wszędzie pod piaskiem, gdzie jego przebicie dokonanem zostało. Grubość pokładów gliny jest znaczna, bo wiercono w niéj, według Choroszewskiego, do 30 stóp, nie przebiwszy całéj jéj grubości. Odznaczają się one przedewszystkiem rozmaitością barw, bo bywają pomiędzy niemi bardzo jasne, prawie białe, daléj żółtawe, niebieskawe, brunatne a nawet czarne, następnie wysokim stopniem spoistości a niekiedy układem warstwowym. Mechaniczny rozbiór wykazał, że gliny te są mieszaniną nader drobnego piasku z gliną, w różnym stosunku, że ilość piasku dochodzi do 83 a gliny do 23 na 100. W skutek tego nie są to czyste gliny, lecz piaszczyste, a wysoki stopień swéj spoistości zawdzięczają nadzwyczajnemu rozdrobnieniu ziarnek piasku. Ich zabarwienie zależy po części od stosunku tych składników a po części od domieszki ciał obcych; wapno nadaje im jasną, prawie białą, a części organiczne ciemną barwę. Ilość części organicznych dochodzi w nich niekiedy do 27 na 100. Skamieniałości, któreby pozwoliły oznaczyć wiek tych glin, dotąd w nich nieznaleziono.

Gliny te rozwinęły się we wschodniéj części Polesia, po obu stronach Prypeci. Na Polesiu zachodniém, jak nie mniéj na północnym i południowym jego obwodzie leży dyluwium na utworach formacyi kredowéj. Czysta kreda, jako opoka albo margle kredowe, jest tu ukryta w większéj głębokości a oddziela ją zazwyczaj od glin i piasków dyluwialnych pokład, przedstawiający mieszaninę utworów kredowych i dyluwialnych. Ślady opoki lub marglów kredowych można widziéć niekiedy w postaci drobnych odłamków już w piaskach na powierzchni ziemi, gdzie jednakże ilość ich nie jest zbyt wielką; o wiele wyraźniéj występują one w pośród gliny dyluwialnéj pomieszane z odłamkami skał północnych, niekiedy z połupanemi krzemieniami, a znaleziono nawet w kilku miejscach skamieniałości formacyi kredowéj. Bezładny stan, w jakim się wszystkie te utwory znajdują, każe się domyślać że pomieszanie ich jest bezpośredniém następstwem ciśnienia, jakie lodowiec północny wywierał na powierzchnię ziemi, i jego bezustannego sunięcia się; w skutek tego ruchu zniszczył on znaczną część pokładów kredowych a roztarte ich resztki pomieszane z gliną i głazami dyluwialnemi, jakiemi sam był przepełniony, przeniósł nieraz na znaczną odległość. Nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że takiemu samemu zniszczeniu uległy i miękkie skały formacyi trzeciorzędnych, jakie tu

bezwątpienia na kredzie leżały i że znaczna część piasków zalegających Polesie ze zniszczenia tych skał powstała.

Starsze gliny, na których leżą utwory dyluwialne wschodniego Polesia spoczywają na kwarcytach trzeciorzędnych i granitach. Pokład glin starych jest jednakże na południowéj granicy błot poleskich czasami bardzo cienki, a niekiedy brakuje go zupełnie; granit albo sterczy na powierzchni ziemi, albo jest zlekka piaskiem przysypany, co mogło dać dawniejszym badaczom powód do przypuszczenia, że błota pińskie leżą bezpośrednio na formacyi granitowéj (1). Samo występowanie skał formacyi granitowéj jest w tych stronach, z powodu zupełnego braku głębszych przekrojów, tak niewyraźnem, że w wielu razach może zostawić wątpliwość, czy mamy do czynienia ze skałą rodzimą, czy z głazem narzutowym. Nie udało mi się tutaj nigdzie odkryć litego pokładu granitowego, leży on zazwyczaj (Borowe, Bobrowa Rudnia, Karpatówka, Kisyrycze, Rokitno, Staryki, Kręta Słobódka) na powierzchni ziemi w postaci olbrzymich odłamów, które tylko swą postacią od głazów narzutowych się odróżniają; gdy bowiem te ostatnie występują jako bryły wieloboczne o powierzchni gładkiéj a bokach zaokrąglonych, to granit rodzimy przedstawia większą rozmaitość form, między któremi wpadają w oko szczególniéj odłamy płytowe, bryły zaś jego mają zawsze powierzchnią chropowatą a kanty ostre. Oprócz tego leżą głazy narzutowe większych rozmiarów zazwyczaj pojedyńczo, w odosobnieniu, gdy przeciwnie odłamy granitu swojskiego występują gromadnie i stykają się z sobą małe i wielkie tak, jak gdyby powstały przez popękanie większéj płyty granitowéj. Nader pouczający przykład znalazłem w Rudni pod Rokitnem. Na uroczysku nazywanem „Na glinkach“ znajduje się wśród lasu pagórkowate wzniesienie, zlekka pogięte, z którego sterczą skałki granitowe, dochodzące do 10 metrów średnicy; postać ich rozmaita: płaskie leżą na ziemi, a inne, prawie wieloboczne, sterczą nad nią, od spodu zwirem przysypane, a kilka innych brył podłużnych, stoi na sztorc. Jest tu kilka głazów odosobnionych, lecz inne kupią się w cztery wyraźne grupy. Gleba na całym wzniesieniu gliniasta, ale w pośród skałek tworzy ją drobny zwir z rozkładu granitów powstały. Według twierdzenia rządcy tutejszego majątku, wiercenie, dokonane na tém wziesieniu przez p. Stawroskiego wykazało, że pod gliną znajduje się wszędzie lita skała granitowa.

W podobny sposób występują tutaj i kwarcyty, chociaż odróżnienie swojskich od narzutowych jest o tyle łatwiejsze, że pierwsze

(1) Porównaj rozprawę Choroszewskiego str. 130.

należą do nader drobnoziarnistéj odmiany, białéj barwy, gdy przeciwnie narzutowe odznaczają się barwą czerwoną, niekiedy prążkowaną, a bryły ich, wogóle drobniejsze są silnie zaokrąglone i zbliżają się więcéj do otoczków, jakie w dolinach górskich wypełniają koryta rzek i potoków. Około Kisyrycz, Rokitna, Klesowa i Tomaszgroda (v. Sechy) leżą po polach odłamy swojskiego kwarcytu wielkich rozmiarów, o bokach ostrych, jak gdyby porzucone; ale między Ośnikiem a Tomaszgrodem znajduje się przy drodze pagórek porosły lasem, którego gleba jest pokryta mnóstwem drobnych skałek kwarcytowych, jak gdyby wrosłych w ziemię, z czego wnoszę, że tutaj lita skała kwarcytowa musi znajdować się w niewielkiéj głębokości. Gneiss na południowéj granicy hał tutejszych o wiele rzadszy, znajdowałem tylko po polach (Bobrowa Rudnia, Kisyrycze) w stanie silnego rozdrobnienia.

Skała wybuchowa młodszego wieku ukazała się na Polesiu tylko w jedném miejscu, po prawym brzegu Horynia, a budzi tém większe zajęcie, że jest to jedyny przypadek tego rodzaju na całym niżu wschodniéj Europy. Należy ona do grupy bazaltów, odmiany zbitéj i drobnoziarnistéj, nazywanéj anamesitem. Ten anamesit pokrywa tu kilka kilometrów kwadratowych ziemi, pomiędzy Karczynem, Hołowinem i Maszczą. Gleba jest w tém miejscu tak równą, że trudnoby się było po jéj postaci domyśléć istnienia w jéj wnętrzu tak ciekawego zjawiska, a to tém więcéj, że cała ta płyta anamesitowa jest pokryta piaskami, porosłemi bujnym lasem sosnowym. Ale w piaskach tych znajdują się bryłki kredy, a nawet skamieniałości krédowe, z czego wyprowadzono wniosek, że ta skała wydobyła się z ziemi w epoce krédowéj, bezwątpienia w stanie tak płynnym, iż rozlawszy się po powierzchni ziemi, zamieniła się po zastygnięciu w płytę o powierzchni zupełnie równéj. Płaszczyznę tę odwadnia rzeczka Kropiwnica, nad którą leży wioska Berestowiec, gdzie skała bywa wydobywaną. Anamesit posiada układ filarowy, właściwy wszystkim bazaltom. Gdzie we wnętrzu téj skały porobiono głębsze otwory, tam można się przekonać, że składa się nawskróś z sześciobocznych filarów, grubych na $^2/_3$ metra, pionowo tak poustawianych, że płaskie ich ściany stykają się ściśle z sobą nie pozostawiając miejsc wolnych. Ale filary te są pod powierzchnią ziemi poprzerywane szeregami olbrzymich buł, kulistéj postaci, jednakowych rozmiarów. Ten układ anamesitu, jak wogóle wszystkich bazaltów, ułatwia nadzwyczaj wydobywanie skały. Bazalty nad Renem, w górach Siebengebirge, niosą właścicielom znaczny dochód, bo ładowane na płaskie łodzie idą Renem do Holandyi, gdzie służą do wzmocnienia brzegów morskich i chronią niskie okolice nadmorskie

przed zalewem i zniszczeniem. Anamesit z Berestowca bywa rozwożonym po południowém Polesiu i po Wołyniu, gdzie służy do budowy i poprawiania dróg.

Gdybyśmy na podstawie tych danych chcieli rozwinąć dzieje fizycznego rozwoju zapadłości poleskiéj, to początek jéj wypadałoby odnieść do epoki trzeciorzędnéj. O tém wszystkiém, co tę epokę poprzedziło można tylko tyle powiedziéć, że granitowa formacya musiała tu przez dłuższy przeciąg czasu tworzyć ląd stały, wskutek czego rozwój formacyi osadowych starszych albo nie przyszedł wcale do skutku, albo utwory tych formacyi uległy zupełnemu zniszczeniu. Sama kotlina Prypeci odpowiada lokalnemu, nieco silniejszemu zagłębieniu dna trzeciorzędnego morza. Gdy wskutek stopniowego obniżania się poziomu wód tegoż morza ląd téj części Europy począł osychać, wystąpiły na jaw nabrzmienia, okalające to zagłębienie, ale sama kotlina pozostała przez dłuższy przeciąg czasu zalana wodą, tworząc jezioro, którego wody, zasilane opadami powietrznemi, torowały sobie drogę ku południowi, w kierunku dzisiejszego Dniepru. Równocześnie wody atmosferyczne rozpoczęły dzieło erozyi na obnażonéj powierzchni ziemi, a to tém silniéj, że nie była ona jeszcze pokryta roślinnością. Woda ściekająca po pochyłościach zabierała z łatwością cząstki ziemne, a potoki poczęły żłobić jary i zagłębienia. Wskutek téj pracy zmieniała się bezustannie postać nadbrzeżnych wyniosłości i zmniejszała się ich wysokość, a wody rzek pierwotnych, spływające do tego jeziora niosły do niego materyał z roztartych i przepłukanych skał pochodzący, osadzając go, stosownie do jego cieżkości i prądu wody, bliżéj albo daléj od brzegu. Zwiry i grubsze piaski osiadały przy brzegu, tworząc nasypy, posuwające się coraz bardziéj ku środkowi; nasypy te powodowały zarazem bezustanną zmianę kierunku rzek przy ich ujściu, wskutek czego i materyał przez nie niesiony uległ jednostajnemu rozpostarciu dokoła jeziora i utrzymał się w jednakowym poziomie, zupełnie tak, jak to się i teraz jeszcze dzieje przy ujściu rzek, wytwarzających delty. W ten sposób skały twardsze, które stawiały silniejszy opór zniszczeniu, a zatém zwiry, krzemienie, odłamki skamieniałego drzewa, bursztyn, a nawet i muszle trzeciorzędne przybywały bezustannie i osiadały przy brzegach owego jeziora. Materyał silniéj rozdrobniony zachodził z wodami rzek daléj, osiadał na środku, w wodzie spokojnéj i utworzył owe gliny i iły starsze, o których wyżéj była mowa. Z tego powodu gliny te pomimo swego podobieństwa do iłów trzeciorzędnych, na równi z niemi stawiane być nie mogą. Wskutek bezustannego przybywania części ziemnych, podnosiło się powoli dno jeziora a zmniejszała głębokość pierwotnéj zapadłości. Równocześnie

i wody spływające ku morzu Czarnemu wrzynały się coraz to głębiéj w ziemię, pracując nad wytworzeniem koryta dzisiejszego Dniepru, wskutek czego i poziom wód w naszém jeziorze stopniowo się obniżał i rozmiary jego coraz to bardziéj się zmniejszały, a pierwotne nabrzmienia dna poczęły wychodzić z wody w postaci wysp odosobnionych. Takie wyspy tworzyły niezawodnie okolice Mozyrza i Owrucza, a może i kilka innych miejscowości, które późniéj znacznemu mogły uledz obniżeniu.

W toku tych przeobrażeń nastała epoka lodowa. Cały półwysep skandynawski wraz z Laponią i Finlandyą pokrył się lodami, które według przypuszczenia najznakomitszych badaczy, musiały dochodzić do grubości 2000 metrów. Lody te obsuwając się ku południowi przebyły morza, zamykające niż sarmacki od północy i pokryły północno-zachodnią część Europy kontynentalnéj, jak niemniéj wyspy Wielkiéj Brytanii, a obszar ziemi i mórz zajętych przez nie musiał wynosić z górą 40 tysięcy mil kwadratowych. Rozcierając wskutek swego ciężaru i ruchu pokłady ziemi, zabierały te lody powstałą z roztarcia glinę, piasek, muszle skamieniałe i odłamy skał i niosły je bezustannie na południe. W ten sposób zostały zniszczone pokłady trzeciorzędne na grzbiecie baltyckim, a zniszczenie to sięgło miejscami aż do skał formacyi krédowéj. Pierwotne wyniosłości ziemi zostały wyrównane, a ślady tarcia można i dziś jeszcze widziéć w szramach, jakie się na twardszych skałach prowincyi nadbaltyckich przechowały, a nawet i na uniesionych w dal odłamach krédy północnéj, które i u nas się zdarzają. Również i głazy znajdujące się pod spodem lodów musiały wskutek bezustannego toczenia się, uledz obtarciu i ogładzeniu, co nadało im ich charakterystyczną postać.

Nie trudno wyobrazić sobie i zrozumiéć niszczące działanie lodów w czasie ich pochodu ku południowi, jeśli się ma na względzie ciśnienie, jakie wywierały na powierzchnię ziemi i ich bezustanny ruch; ale wytłómaczenie działania wręcz przeciwnego, to jest osadzenia materyału z roztarcia gleby pochodzącego, wydaje się w pierwszéj chwili nieco zagadkowém. Nagromadzenie takiego materyału pod spodem lodowców alpejskich, dające początek morenom, nazywanym spodniemi, czyli gruntowemi, nie zmniejsza trudności, bo te powstają w dolinach alpejskich tylko tam, gdzie grunt jest nierówny, za zaporami, które ciśnienie lodowca na podstawę lokalnie zmniejszają. Takich nierówności lodowiec północny na swéj drodze nie napotykał, a pomimo to cały obszar ziem, przezeń niegdyś zajmowanych jest materyałem morenowym pokryty nawet tam, gdzie starsze pokłady największemu uległy zniszczeniu, a zatém gdzie i ciśnie-

nie i tarcie było najsilniejsze. Wypadałoby przypuścić, że większa część tego materyału osiadła na powierzchni ziemi dopiero po rozpuszczeniu się i zniknięciu samego lodowca. Przemawia za tém postać pagórków piaszczystych na grzbiecie baltyckim, odpowiadająca morenom końcowym, to jest nasypom, jakie wytwarzają się na końcu lodowców, gdy te wskutek silniejszego topnienia cofać się poczynają. Geolog Keilhack zwiedzał nie dawniéj, jak w przeszłym roku Islandyą i przekonał się, że utwory morenowe, powstające pod wpływem tamtejszych lodowców, są bardzo podobne do naszego dyluwium północnego. Po zagłębieniach, w których gromadzi się woda ściekająca z lodowców, osadzają się tam gliny, przepełnione odłamami skał miejscowych, zaś po wzniesieniach, po których woda lodowa snadniéj ścieka, powstają nasypy piaszczyste, obfitujące w zwiry i okruchy takichże skał; pierwsze odpowiadają zupełnie naszym spodnim glinom dyluwialnym, zajmującym w zasadzie niższy poziom, drugie piaskom i szutrom, leżącym na tych glinach. W nieco odmienny sposób musiał rozwinąć się materyał lodowy na średnim obszarze poleskiéj zapadłości, na ówczesném jeziorze poleskiém, bo lodowiec północny musiał się głęboko w jego wodzie zanurzyć, a ziemie i skały przez niego niesione dostawały się do wody i osiadały na dnie jeziora. Wskutek tego głazy i zwiry zajęły, jako cięższe, poziom najniższy, kiedy piaski i gliny, jako lżejsze, dłużéj unosiły się w wodzie, wolniéj opadały, osiadły w wyższym poziomie i przybrały układ warstwowy.

Trwanie epoki lodowéj zostało przerwane zmianą klimatu północnéj półkuli ziemi. Zwiększenie się ciepłoty powietrza nietylko położyło kres dalszemu rozwojowi lodów, lecz poczęło zmniejszać ich rozmiary, a ubytek ten spowodował ich cofanie się ku północy. Ale że to ocieplenie powietrza odbywało się bardzo powoli, przeto i powrót lodowców ku północy musiał trwać bardzo długo. Do tego peryodu cofania się lodów wypada odnieść jeszcze dwa inne zjawiska, mianowicie powstanie jezior, nie tylko na grzbiecie baltyckim, lecz i wogóle na całym obszarze ziem, zajmowanym pierwotnie przez lody, a zatém w Finlandyi, Laponii i na wyżynie Skandynawskiéj i wytworzeniu się pokładów loessu.

Co do jezior, to materyał morenowy, osiadający na krawędzi topniejącego lodowca, musiał przybierać postać wału, który tamował odpływ wód z topnienia lodowca pochodzących. Wody te spływając obficie, zapewne w postaci potoków i strumieni, po całéj lodów powierzchni, dążyły ku miejscom niższym, a uderzając o powierzchnię ziemi, tworzyły w niéj zagłębienia, tém łatwiéj, że gleba była pokryta rozmokłemi glinami i piaskami. W ten sposób musiały

powstawać na całéj krawędzi cofającego się lodowca liczne zagłębienia, które wypełnione wodą zamieniły się w jeziora i jako jeziora do dni naszych się przechowały (1). Berendt przypuszcza, że i owe poprzeczne przełomy na grzbiecie baltyckim, za pośrednictwem których Niemen, Wisła i Odra uchodzą do morza, powstały dopiero w czasie epoki lodowéj i zostały również przez wody ze stopnienia lodowca północnego pochodzące wyżłobione (2).

Co do loessu, to wypada przedewszystkiém zaznaczyć, że klimat północnéj Europy musiał być w porze, gdy powierzchnia jéj lodami była pokryta, nadzwyczaj suchy. Lód chłonie z niezwykłą chciwością wilgoć z powietrza, a woda w niém zawarta skrapla się bezustannie na lodu powierzchni. Z tego powodu i powietrze w sąsiedztwie płaszczyzn lodowych bywa suche. Francuscy fizycy Dufour i Forel przekonali się, że gdy nad lodowcem Rodanu, w jednym metrze sześciennym powietrza, znajdowało się 5 i ½ grama pary wodnéj, to około hotelu tylko na 900 metrów od lodowca oddalonego, było jéj 3 gramy. Bryła lodu, któréj powierzchnia wynosiła jeden metr kwadratowy, skropliła w ciągu godziny 410 gramów wody, co na milę kwadratową dałoby 22550 metrów kubicznych w jednéj godzinie. Tak dzieje się, gdy ciepłota powietrza jest wysoka a zasób zawieszonéj w niém wody znaczny. Ale wzmiankowani badacze robili doświadczenie na brzegu lodowca Rodanu i przekonali się, że nawet przy ciepłocie powietrza 4 do 11 stopni Celsiusza (3) bryła lodu o powierzchni jednego metra kwadratowego skraplała w godzinie 50 do 360 gramów wody; gdybyśmy przyjęli na godzinę tylko 150 gramów, to lodowiec, którego powierzchnia wynosi jedną milę kwadratową, odebrałby powietrzu w jednéj godzinie 8250 gramów wody, a że powierzchnia lodów u źródeł Rodanu zajmuje 18 mil kwadratowych, przeto mogą one odbierać powietrzu w ciągu godziny 150000 metrów kubicznych wody, czyli przeszło 3 i pół miliona takichże metrów na dobę. Nie trudno byłoby obliczyć, ile wody musiała odbierać powietrzu płaszczyzna lodowca, któréj powierzchnia około 40 tysięcy mil kwadratowych wynosiła. Wobec tego wszystkiego byłoby rzeczą zupełnie zbyteczną dowodzić, że klimat okolic, sąsiadujących z lodowcem, musiał być nadzwyczaj suchy i że rozwój loessu, który, jakeśmy widzieli, leży na utworach dyluwialnych i jest od nich młodszym, tylko do téj epoki odnieść wypada. Powierzchnia ziemi, wyłaniająca się stopniowo z pod pokrywy lodowéj, musiała bardzo szybko osychać, a rozsypujące się dla

(1) Porównaj Loewla: Ueber Thalbildung, str. 130 i następne.

(2) Berendt, jak wyżéj, str. 13, 14, 17.

(3) Woda zawarta w powietrzu ulegała skropleniu przy ciepłocie 0·6 do 3·5°C.

braku wilgoci, piaski i gliny stały się igraszką wiatrów. Grubsze zwiry pozostały na miejscu, piasek przerzucany na mniejszą odległość utworzył wydmy, a pył gliniasty zachodził, jako najlżejszy, najdaléj ku południowi i osiadł po stokach wzniesień w postaci loessu. Rozwój jego trwał dopóty, dopóki nie zwiększyła się wilgotność powietrza, a z nią i ilość opadów wodnych, wskutek czego i gleba, pokrywszy się roślinnością, utraciła charakter pustyni.

Dalszy rozwój powierzchni tego kraju odbywał się już spokojnie, postępując stale w wytkniętym kierunku. Po ustąpieniu lodów zapadłość poleska przybrała napowrót postać jeziora. Opady wodne poczęły znosić osady dyluwialne w doliny i zmieniły wielokrotnie tak ich pierwotną postać, jak i rozmieszczenie. Stare rzeki sarmackie wróciły w swe dawne koryta, a prowadząc daléj przerwane dzieło erozyi, oczyściły je z nasypów dyluwialnych, a płaszczyzny poleskie i dno tutejszego jeziora pokryły świeżym pokładem zwirów i piasków. Wskutek bezustannego pogłębiania się koryta Dniepru, poziom wód w jeziorze począł się obniżać, a wypukłości dna jego wyszły na jaw w postaci licznych wysp; następnie podzieliło się i jednolite dotąd zwierciadło wody na liczne drobne jeziorka, których fale, gnane wiatrami przekształcały brzegi, przyczém wysokość pagórków się zmniejszała, a dno jeziorek się podnosiło. Ponieważ gleba tak przepuszczalna, jak piaski i zwiry, ułatwiała podziemny odpływ wodom, przeto i jeziorka te traciły ją coraz bardziéj i jedynie opady atmosferyczne i powodzie wiosenne chroniły je przed zupełném wyschnięciem. Po brzegach tych jezior i po mieliznach poczęła się rozwijać roślinność moczarowata i zajęła w wielu razach całą ich powierzchnię, wskutek czego zamieniły się one z czasem w obecne błota poleskie. Woda przechowała się tylko tam, gdzie głębokość jéj była znaczna, albo gdzie gleba nieprzepuszczalna (gliny, iły) zupełny jéj odpływ uniemożebniała, co zapewniło byt dzisiejszym jeziorom Polesia.

Tak tedy położenie i rozmiary poleskiéj zapadłości były z góry budową dna trzeciorzędnego morza wyznaczone, ale właściwą sobie postać zawdzięcza ona działaniu wód atmosferycznych, które i powierzchowność zamykających ją do koła wyniosłości zmieniły i pierwotną jéj głębokość zmniejszyły. Dzieło erozyi zostało tu tylko chwilowo przez epokę lodową przerwane, lody północne zmieniły lokalnie postać gleby, ale główne jéj zarysy pozostały te same. Dyluwium północne osiadło tutaj w różnéj wysokości, zkąd można wnosić, że postać okolicy przed jego wytworzeniem się, a tém samém i przed przybyciem lodów z północy, była w głównych zarysach wykończoną i nie wiele różniła się od obecnéj. *Dr. Antoni Rehman.*



Z DZIEDZINY HYGIENY.

JAK ZAPOBIEGAĆ CHOROBOM NERWOWYM?

Lekarze i hygieniści, badający stan sanitarny społeczeństw, konstatują zwiększającą się z każdym rokiem liczbę chorób nerwowych. Są to przedewszystkiém zaburzenia „funkcyonalne" tj. cierpienia systemu nerwowego, w których anatomia patologiczna nie zdołała dotąd wykryć odpowiednich zmian w budowie i utkaniu cząstek. Występują w téj grupie chorób na plan pierwszy rozdraźnienie nerwowe, czyli tak zwana obecnie „*neurasthenia*"; fałszywe tłómaczenie i potęgowanie chorobliwe wrażeń otrzymywanych z własnego ciała, czyli „*hypochondrya*"; u kobiet znowu najczęściéj zdarza się anormalne zwichnięcie siły woli, zupełna utrata panowania nad popędami, co sprowadza szereg najrozmaitszych zaburzeń nerwowych, znanych od dawna w nauce pod imieniem „*histeryi*." Tę słabość systemu nerwowego możemy już u najmłodszego obserwować pokolenia. Żyjemy prędko, pochłaniani przez tysiące różnorodnych wrażeń, w ciągłém ubieganiu się za wstrząsającemi wzruszeniami, bez których życie wydaje się nam nudném i pustém. Z jednéj strony wytężamy wszystkie siły umysłowe i fizyczne, by w „walce o byt" nie dać się uprzedzić lepiéj uzbrojonemu współzawodnikowi, z drugiéj—wszelka przyjemność życiowa, nie pobudzająca nerwów i nie wzburzająca krwi, przestaje być przyjemnością. Tak więc nasz system nerwowy, jak i organ inteligencyi t. j. mózg rzadko kiedy mają chwilę spokoju, wytchnienia, tak koniecznego dla ich normalnego funkcyonowania.

Żyjemy więc prędko, ale starzejemy się téż jeszcze prędzéj. U młodzieży naszéj wyblakłéj, zdenerwowanéj, już w 20-tym roku życia szukającéj pomocy na osłabienie nerwowe w różnych zakładach wodoleczniczych, przesyt, znudzenie i apatya występują na

plan pierwszy. Przy osłabioném ciele, przy widokach krótkiego tylko życia, epikurejskie skłonności, żądza używania za jaką bądź cenę stanowią zwykły program doczesnéj pielgrzymki. Nauka dla nauki mało u nas znajduje kapłanów i praca ogranicza się jedynie do pracy dla chleba, do zdobycia dyplomu otwierającego drogę do karjery i praktycznego stanowiska. Po za pracą fachową, ogólno-cywilizacyjne zdobycze ludzkości interesują małą tylko garstkę wyborowych umysłów; nie może więc dziwić i mały stopień zainteresowania się ogółu publikacyami naukowemi i wyższe cenienie materyalnego powodzenia, zewnętrznego blasku, nad cichą, gruntowną i wytrwałą pracę dla pożytku i prawdziwego postępu społeczeństwa.

Wszyscy głębiéj myślący lekarze zgadzają się też na to, iż żądza prędkiego rozgłosu, sławy i bogactwa, ogarniająca coraz bardziéj wszystkich, żądza używania i, co za tém idzie, nadmierne wytężanie mózgu we współczesnéj „walce o byt“ jest w znacznéj części źródłem nerwowéj słabości naszego pokolenia. Nic też dziwnego, że każdy sięga po to, co najwyżéj jest cenioném, tj. po zaszczyty i bogactwo, bez którego coraz mniejsza ilość ludzi umie oceniać i moralną wartość człowieka.

„Smutnym objawem naszego wieku nerwowego, mówi prof. Krafft Ebing, jest fakt coraz rzadszego ukazywania się wielkich dzieł na polu filozofii i nauki, a prace współczesnych autorów zdradzają tęż samą nerwowość naszych czasów.“ Tak np. w medycynie panują wszechwładnie tak zwane „doniesienia tymczasowe“ (Vorläufige Mittheilungen), które jednego dnia podane, już za dni kilka tracą wszelką wartość, gdyż okazują się płodem prędkiéj, a niedostatecznéj obserwacyi, przedwczesnych wniosków i mylnie ugrupowanych faktów. Tak np. przypomną sobie czytelnicy, jakiéj wrzawy przed laty paru narobiła wiadomość prof. dra Rokitańskiego z Grazu o nowym środku bendźwinianie sodu przeciwko suchotom; niestety, radość suchotników była przedwczesną! Dokładniejsze obserwacye bowiem i doświadczenia ścisłe wielu innych lekarzy wykazały, że sławny bendźwinian sodu wcale nie znosi głównych objawów suchot płucnych, że więc specyfik dra Rokitańskiego jest czystém złudzeniem. I tak się dzieje z wielu innemi obserwacyami. Istnieje przytém wyraźna skłonność w obecnym kierunku naukowym do podawania hypotez za *fakty* i wyciągania przedwczesnych wniosków.

Równolegle do zwiększającéj się liczby chorób nerwowych i umysłowych, wzrasta też potężnie i liczba samobójstw. Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, iż zdenerwowanie, rozstrój fizyczny i brak wszelkich podstaw etycznych są główną tego faktu przyczyną; słusznie też twierdzi w swych publicznych wykładach prof. Rudolf Vir-

chow, jeden z najgenialniejszych myślicieli i uczonych naszego wieku, że współczesny pozytywizm, który jako metoda ścisłego doświadczalnego badania jedynie w nauce prowadzi do celu, w obec którego wszelkie wnioskowanie *à priori* staje się bezpożyteczném, bo nie wiodącém do celu, w praktyczném życiu, szczególniéj w mało wykształconych filozoficznie i humanitarnie umysłach, prowadzi do pesymizmu, rodzi ów beznadziejny pogląd na świat, którego wynikiem jest samobójstwo.

Nie należałoby również popularyzować hypotez, mających znaczenie tylko dla uczonych i podawać je za naukowe fakty; hypotezy Haeckla są dotąd hypotezami, jak się dowcipnie wyraził prof. Dubois-Reymond „wcale nie zabawnym romansem," a kto je przedwcześnie popularyzuje i przedstawia za fakty, przynosi ogromną szkodę społeczeństwu.

Rozwijające się u nas życie umysłowe pochłonięte jest dotąd prawie zupełnie przez teatr, dziennikarstwo i beletrystykę; one téż noszą na sobie w zupełności ów nerwowy charakter chwili obecnéj.

Pismo, nie schlebiające gustowi czytelników, nie pobudzające ich nerwów opisami skandalów, plotek, wstrząsających wiadomości itd. na małą tylko liczbę abonentów rachować może, a teatrowi ta sztuka robi „pełną kasę," w któréj jaskrawemi barwami odmalowana niewiara małżeńska, lub skandaliczny proces rozwodowy grają na nerwach słuchaczy, (Krafft-Ebing). A przecież teatr winien być świątynią moralności; a pisma przeznaczone dla każdego wieku i stanu nie powinny szerzyć moralnego rozkładu i zgnilizny.

Nadto, współczesne społeczeństwo grzeszy niepomiernie tém, iż tak mało dba o własne zdrowie. Wszak wtedy, gdy choroba przyjdzie, dość jest wezwać lekarza a ten jedną receptą powinien zniszczyć wpływ kilkunastu lat nie hygienicznego życia! W zabiegach życiowych hygiena duszy i ciała na ostatnim stoi planie, dopiero gdy przyjdzie nieuleczalna choroba, każdy widzi, jak wiele zbłądził.

Ten brak pojmowania najprostszych zasad hygieny w codziennych objawia się faktach. Dla tego téż uważamy za konieczne streścić nowsze wymagania hygieny pod tym względem i podać wszélkie, choćby najbardziéj idealne jéj postulaty.

Po całodziennych trudach fachowéj pracy, która mało nawet czasu zostawia na spokojne zjedzenie obiadu, na konieczny po nim odpoczynek, zamiast wieczór poświęcić innéj dziedzinie nauki lub sztuce pięknéj, wznoszącéj nas w krainę ideału i odrywającéj od trosk i kłopotów życia codziennego, cały wieczór poświęcamy grze w karty w zadymionym pokoju lub denerwującéj lekturze jednego ze współczesnych apostołów naturalizmu! Wskutek wadliwego ustosunko-

wania pracy do odpoczynku, wskutek braku ruchu, świeżego powietrza i ciągłych wstrząsających wzruszeń, system nerwowy nawet u zdrowych z natury indywiduów cierpieć musi; nadto, gwałtowne wytężenie mózgu już od najwcześniejszego zaczyna się dzieciństwa. Wogóle cały kierunek współczesnego wychowania robi wrażenie na hygieniście, jakby gwałtem usiłowano zniszczyć wszelki fizyczny rozwój organizmu. Ogół dba przedewszystkiém o umysłowy rozwój dziecka; to téż już przed skończonymi laty siedmiu zaczynamy go obarczać uciążliwą dla jego wieku pracą, nie pomni na to, że organ inteligencyi tj. mózg w tym czasie jeszcze nie doszedł stopnia zupełnego rozwoju, że wskutek jednostronnych ćwiczeń umysłowych rozwój ciała nie postępuje należycie. Nadmierny umysłowy wysiłek ze szkodą normalego rozwoju ciała ciągnie się przez cały czas kursu gimnazyalnego: te kilka godzin odpoczynku biednego ucznia kradniemy jeszcze na naukę obcych języków, muzyki z zupełném zaniedbaniem ćwiczeń cielesnych, jak pływania, szermierki, gimnastyki. I cóż ztąd za rezultat? Oto suchoty płucne, wycieńczenie organizmu w 7-méj lub 8-méj klasie, kończące się śmiercią, lub w najlepszym razie tj. przy silnym organizmie słabowitość na całe życie. O tych smutnych skutkach współczesnego nauczania szkolnego wiedzą dobrze lekarze gimnazyalni, którzy zbiorowém działaniem i uzasadnionymi protestami raz powinni położyć koniec naigrawaniu się z wszelkich prawideł hygieny.

Pozwolimy sobie również zrobić tutaj uwagę, iż nauka gimnazyalna, składająca się prawie wyłącznie ze studyowania suchych form gramatycznych starożytnych pisarzy, nader zniechęcająco do studyów klasycznych oddziaływa na młodzież. To téż i rezultaty w tym kierunku są nader słabe, zaledwie po złożeniu egzaminu *maturitatis* młodzież zapomina całą grekę i łacinę. Wszak nawet w klasycznych Niemczech prof. Dubois-Reymond skarży się, iż studenci przy egzaminach wykazują nadzwyczaj małą znajomość słów greckich i łacińskich zdarzających się w terminologii lekarskiéj i robi słuszną uwagę, iż główny cel klasycznych studyów tj. przyswojenie sobie starożytnych form piękna, greckich i rzymskich ideałów, osiągniętym być może bez uciążliwéj pracy nad zapamiętaniem form i reguł gramatycznych."

Hołdowanie na każdym kroku pozorowi i stawianie go wyżéj nad istotę rzeczy stawia istotne przeszkody zachowywaniu prawideł hygieny. Rodzina skromne zaledwie posiadająca dochody musi mieć duży salon na przyjmowanie gości, ale dziecinny i sypialny pokój mogą być małe i ciemne, bo tam się gościa nie prowadzi, ale jakże cierpi na tém zdrowie dzieci! Wszak nieczyste, kwasem węglo-

wym nasycone powietrze jest trucizną dla płuc, a w wieku dziecięcym stanowi istotną przyczynę kaszlu i upartych katarów oskrzeli, wymagających długiéj i racyonalnéj pomocy lekarskiéj.

Również i przy zawieraniu małżeństw liczymy się tylko z materjalnymi warunkami ludzkiéj egzystencyi, uważając je za pierwszą podstawę szczęścia. Miłość, ów główny motor małżeńskich związków, na ostatnim niestety stoi planie! W życiu umysłowém kobiety miłość gra bardzo ważną rolę, często zawiedzione uczucie prowadzi do ciężkich chorób somatycznych, jak rozdrażnienia nerwowego, blednicy itd. a nieharmonijne pożycie małżeńskie daje często przyczynę do rozwinięcia się u kobiet jednéj z najcięższych chorób nerwowych tj. histeryi. Możemy również często obserwować, iż szczęśliwe pożycie małżeńskie jest najskuteczniejszém lekarstwem dla kobiet na wiele dolegliwości nerwowych, lekarstwem, sprawiającém korzystną zmianę konstytucyi, całego ustroju. Trzeba również dodać, iż ciągłe przymuszanie się do niesympatycznéj istoty denerwująco oddziaływać musi: przecież nie rzadko zdarza się, iż młoda 18-letnia dziewczyna poślubia 60-letniego schorowanego, zniedołężniałego, byle bogatego starca! I cóż dziwnego, że ten płodzi osłabione, nerwowe i skrofuliczne potomstwo; a że takie nie równe wiekiem małżeństwo nie przynosi zobopólnie szczęścia a rujnuje zdrowie, stając się u kobiety źródłem licznych dolegliwości nerwowych, rzecz to jasna i nie wymagająca dowodzenia.

Czyż zresztą w obec dzisiejszych warunków życiowych, rodzice mają czas poświęcić się wychowaniu dzieci? Słuszną uwagę robi w téj kwestyi znakomity psychjatra prof. Krafft-Ebing, iż ojciec natęża wszystkie fizyczne i umysłowe siły by zadość uczynić ciągle wzrastającym potrzebom domu, matka zaś myśli jedynie o postawieniu go na odpowiedniéj stopie zewnętrznego blasku i komfortu, bez którego nie pojmuje szczęścia i egzystencyi.

Najpierwszą przyczyną wszystkich chorób nerwowych jest *dziedziczność*, obok niéj wpływy czysto *psychiczne* w powstawaniu chorób nerwowych również ważną grają rolę.

U kobiet oprócz wpływów czysto psychicznych i odziedziczonéj skłonności, cierpienia *sfery płciowéj* przyczyniają się do powstawania chorób nerwowych.

U kobiet sfer niższych zbyt częste porody, nadmierna i przeciwna zdrowiu praca w fabrykach, dająca najczęściéj powód do moralnego zepsucia i przedwczesnych stosunków płciowych, jak również nieoszczędzanie się należyte w czasie ciąży i połogu są niewyczerpaném źródłem cierpień nerwowych.

Jak już wyżéj zaznaczyliśmy, cierpienia nerwowe i umysłowe są w większéj liczbie wypadków *odziedziczone*, rozdrażnienie nerwowe u ojca potęguje się u syna i może stanowić istotną przyczynę ciężkich chorób nerwowych, jak padaczki (epilepsyi) i chorób mózgu. Prowadzi to nas do ważnego wniosku, iż z powodu stwierdzonéj dziedziczności chorób nerwowych, osoby obarczone chociażby najlżejszém cierpieniem nerwowém nie powinny zawierać związków małżeńskich.

Wprawdzie zdanie powyżéj wyrażone zostanie zawsze tylko pobożném życzeniem, gdyż stawianie przeszkód pod tym względem byłoby uważane jako ograniczenie ludzkiéj wolności, sądzimy jednak, iż byłoby to tylko położeniem granicy egoizmowi ludzkiemu, nie dbającemu o zdrowie, a ztąd i szczęście potomstwa.

Uważalibyśmy również za pożyteczne dla ogółu, by rada domowego lekarza, o ile stan zdrowia pozwala na zawarcie małżeństwa, częściéj uwzględnianą była; bez niéj jakże często udziela się choroby najbliższym osobom, a następnie i dzieci pokutują za okrutny egoizm i błędy rodziców. Zawieranie małżeństw między osobami połączonemi węzłem familijnym również nie jest właściwém; małżeństwa takie są albo bezpotomne, albo téż potomstwo przychodzi na świat ze skłonnością do rozmaitych chorób nerwowych i umysłowych. Jest np. faktem stwierdzonym przez wszystkich poważnych badaczy, że padaczka (epilepsya) rozwija się bardzo często u dzieci, pochodzących z małżeństw, zawieranych w bliskiém pokrewieństwie.

Przy wybieraniu zawodu u osób pochodzących z rodziny nerwowéj, lekarz domowy ma głos decydujący; jedyném odpowiedniém zajęciem dla takich osób będą ogrodnictwo, gospodarstwo rolne, leśnictwo i rybołówstwo, jako połączone z ruchem, z akcyą mięśni na świeżem powietrzu. *Wyczerpujące zajęcia umysłowe w dużem mieście są dla osób nerwowych najczęściéj szkodliwe.*

Z przyczyn somatycznych chorób nerwowych zasługują na podniesienie ciężkie choroby ogólne jak tyfus, przymiot (*syphilis*), powodujące bezkrwistość i osłabienie organizmu; również obowiązkowy *celibat* prowadzi często do niepokoju i rozdrażnienia psychicznego.

Oprócz dziedziczności i wyszczególnionych przyczyn somatycznych, nadmierny fizyczny i umysłowy wysiłek, wszelkiego rodzaju nadużycia i wzruszenia moralne mogą dać powód do rozwinięcia się chorób nerwowych. Często nerwowość rozwija się w gwałtowny sposób po stracie drogiéj osoby, nie ziszczeniu się gorących nadziei, stracie materyalnéj i t. d. u osób nieobciążonych dziedzicznie i zresztą zupełnie zdrowych.

O ile nadmierny umysłowy wysiłek może stać się nawet przyczyną utraty sił psychicznych, tego dowodzą następujące fakta. Louyer-Villermay (1) cytuje jednego sławnego prawnika, który stracił zupełnie pamięć wskutek długiéj umysłowéj pracy. Moreau de le Sarthe przytacza taki sam przykład co do jednego z niemieckich uczonych. „Któż w rzeczy saméj nie wié — mówi w cytowaném dziele J. Luys — jak wielką jest liczba ludzi, którzy nabyli zarodek chorób umysłowych przez wyłamywanie się od tak prostych hygienicznych prawideł, i którzy w swoich zbyt często powtarzanych pracach, w *przesadzonych umysłowych czynnościach* przeszli po za fizyologiczne granice swych zasobów i więcéj trwonili niż nabywali.“ Wzruszenia moralne są również wtedy najzgubniejszemi, kiedy łączą się z nadmiernym umysłowym wysiłkiem; niektóre jednak powołania są nieodzownie z nimi połączone. W ciągłém naprężeniu znajduje się system nerwowy u spekulanta, który cały majątek w jednéj chwili stawia na kartę, lub u uczonego, myślącego dzień i noc nad swém dziełem.

Ten szkodliwy wpływ wzruszeń moralnych i wysiłków umysłowych łatwo zrozumiemy, przywoławszy na pomoc nowsze prace z dziedziny fizyologii mózgu. Psychologia cały swój postęp zawdzięcza metodzie eksperymentalnéj; obecnie wiemy już doskonale, że najpierwszym warunkiem świadomości jest dopływ krwi tętniczéj, t. j. bogatéj w tlen do mózgu. Z ustaniem téj czynności kończą się wszelkie akty psychiczne. Nadto podczas pracy umysłowéj odbywa się w mózgu szybka przemiana materyi, kiedy myślimy, mówi znakomity fizyolog francuski Gavarret (2), wówczas komórki mózgowe odbierają krwi tętniczéj tlen, t. j. przy procesie myślenia krew tętnicza staje się żylną. Myśl nasza jest niemożliwą bez pracy komórek mózgowych, a do normalnéj działalności wszelkich komórek organicznych potrzebnym jest dopływ krwi tętniczéj; nie ma zaś organu draźliwszego na brak krwi, jak mózg. Dziś nawet na zasadzie prawa o jedności sił (współczesna nauka redukuje wszystkie zjawiska do jednego, t. j. do ruchu) i przechodzeniu jednéj siły w drugą, możemy iść w naszych wnioskach o krok daléj; gdyż jeżeli w mózgu podczas myślenia następuje szybki dopływ krwi tętniczéj i bystra przemiana materyi, musi się oswobadzać przytém towarzysz wszelkich związków i rozkładów chemicznych, to jest *ciepło*. Niewątpliwie więc myślenie podnosi temperaturę mózgu. Na poparcie tego rozumo-

(1) Cytowane w dziele J. Luys'a: Mózg i jego czynności, w tłóm. Dunina str. 80.

(2) Gavarret: Les phénomenes physiques de la vie. Annales medico-physiol. 1870, rozdział 347.

mowania mamy już i eksperymentalne dane, zyskane dla nauki przez dra Lombard'a z Bostonu, a rozwinięte przez znakomitego fizyologa Schiff'a. Otóż według Lombard'a (1) podwyżka temperatury przy czynném zajęciu się mózgu wynosi 0,05° C. Doświadczenia te jednak odnosiły się tylko do wpływu myślenia na temperaturę zewnętrznéj powierzchni głowy, t. j. jéj skóry; samego mózgu Lombard pod tym względem jeszcze nie zbadał. Dopiero genialny Schiff oznaczył wpływ procesów duchowych na temperaturę samego mózgu. Za pomocą bardzo dokładnych termometrycznych przyrządów przeniknął on do wnętrza mózgu w chwili, kiedy dochodzą do niego wrażenia ze świata zewnętrznego. Otóż drogą podobnych doświadczeń Schiff się przekonał, że kiedy wrażenie odczutém zostaje w mózgu, wtedy tu rozwija się ciepłota. Wyższy jednak stopień ciepłoty tworzy się mianowicie wtedy, kiedy wrażenia zmysłowe przerabiają się w komórkach mózgowych na pojęcia.

Byassonowi znowu, znakomitemu lekarzowi francuskiemu i fizyologowi, udało się dowieść, że komórki mózgowe zużywają podczas swéj czynności fosforany. Organizm więc na potrzeby mózgu musi dostarczać znacznéj ilości fosforu i w tém to znaczeniu a nie w innéni należy rozumiéć znany aforyzm znakomitego badacza Moleschott'a, tak ośmieszany przez niekompetentnych: „Bez fosforu nie ma myśli.“

Z tych fizyologicznych danych następujący dla naszéj kwestyi wyciągamy wniosek.

Ponieważ silne wzruszenia moralne i praca umysłowa dużo krwi zużywają, wywołując gwałtowny dopływ jéj do mózgu, czyli przekrwienie jego, należy więc dla zachowania równowagi i przywrócenia normalnego krążenia krwi w mózgu, pracować z odpoczynkami, pamiętając o tém, że zbytnia praca umysłowa pociąga za sobą zboczenia w odżywianiu mózgu. Słusznie téż mówi w téj kwestyi Calmeil: wszystkie wpływy tak zwane moralne, czy to będzie długi smutek, boleść, czy przybiera formę zazdrości, nienawiści, zawodów, mogą sprowadzić chorobliwe przepełnienie naczyń mózgowych krwią.

Wogóle osobom nerwowym nie radzilibyśmy dłużéj pracować umysłowo nad *dwie godziny zrzędu;* każda dłuższa praca umysłowa pociągnie u nich za sobą ból i ociężałość głowy, osłabienie i rozstrój nerwowy. Według badań wspomnianego już fizyologa Schiffa, trzygodzinna praca umysłowa tyle krwi używa, ile dwunastogodzinna praca fizyczna.

---

(3) Dr. J. S. Lombard. Doświadczenia nad wpływem pracy umysłowéj na temperaturę głowy. Archives de physiologie normale et pathologique. 1869, rozdział 670.

Z afektów psychicznych, *gwałtowny przestrach*, *gniew i smutek* najbardziéj przyczyniają się do powstawania chorób nerwowych; skonstatowanym przez wszystkich badaczy faktem jest powstawanie padaczki (epilepsyi) pod wpływem przestrachu. Według dokładnych obliczeń Monneret'a, na 381 wypadków padaczki, 191 razy napady jéj trzeba przypisać gwałtownemu przestrachowi. Widzimy więc z tego, jak nierozsądnie postępują rodzice, którzy straszą dzieci dziadami, strachami, wędrującemi duszami zmarłych i t. d. nie tylko bowiem uczą je tchórzliwości, ale mogą jeszcze je przyprawić o gwałtowną chorobę. Rodzicom wiedziéć należy, iż nawet mleko mamek gwałtownie rozdrażnionych lub rozgniewanych jest dla niemowląt bardzo szkodliwém; znakomity lekarz Boerhave opisuje wypadek, w którym dziecko zaraz po nakarmieniu dostało napadu epileptycznego i miewało je przez całe życie. Z przyczyn czysto fizycznych zaznaczyć należy, iż ciężkie choroby nerwowe rozwijają się po obrażeniu nerwów czuciowych skóry, a szczególniéj nerwu kulszowego i trójdzielnego. Również przedwczesne stosunki płciowe, nadużycie lub anormalne zaspokajanie popędu płciowego są często przyczyną ciężkich chorób nerwowych. Szczególniéj *padaczka*, *wiąd* (schnięcie) mlecza pacierzowego są częstym rezultatem samogwałtu (onanizmu), o smutnych skutkach którego nigdy dosyć przestrzegać nie można.

O ile nadużywanie tytoniu nawet najzdrowszym osobom jest szkodliwém, *o tyle osoby nerwowe powinny zupełnie wstrzymać się od palenia*. Szczególniéj zabójczo działa palenie w dziecinnym wieku; słusznie téż powiada prof. Szokalski, iż palenie do 18-go roku życia surowo potępione być winno. Niestety, ogół uważa palenie za niewinną jakoby rozrywkę, nie wiedząc o tém, iż palenie tytoniów mocnych i szczególniéj *naczczo* prowadzi do poważnych zboczeń nerwowych. Nikotyna pobudza mózg i mlecz pacierzowy, jak inne alkaloidy, działając wprost na substancyę nerwową; po dawkach większych zjawia się wkrótce porażenie mózgu i utrata przytomności (1). Nieregularne bicie serca, podniesienie wrażliwości psychicznéj i hypochondryczny nastrój umysłu, oto skutki nadużywania tytoniu. Również musimy stanowczo potępić używanie w dużych ilościach i mocnéj kawy i herbaty; obie są napojami towarzyskimi *par-excellence* i dla tego tak łatwo użycie ich przechodzi w nadużycie. Dawane od najwcześniejszego dzieciństwa, jak się to często u nas dzieje, mogą się również przyczynić do rozwinięcia neuropatycznego usposobienia. „Zupełnie tak samo uważamy — mówi w cytowaném dziele Nothnagel, znakomity profesor wszechnicy wiedeńskiéj — iż

---

(1) Nothnagel i Rossbach: Farmakologia str. 712.

nie można pozwolić na używanie kawy osobom dorosłym, mającym usposobienie neuropatyczne, *nerwowość*, albo jakieś wyraźne cierpienie nerwowe, szczególniéj tak zwane funkcyonalne. Epileptycy, histeryczki, cierpiący na ciężkie przewlekłe nerwobóle powinni zupełnie wstrzymać się od kawy.“ Stanowczo nie należy dawać kawy ani mocnéj herbaty dzieciom, t. j. w epoce największéj wrażliwości mózgu, kiedy kongestye do głowy, a nawet zapalenia mózgu i błon mózgowych są na porządku dziennym. Większość poważnych uczonych jest zdania, że *żadne dziecko przed dojściem do 10 lat życia nie powinno znać kawy ani herbaty.* Mleko, kleiste zupy, bawarka, na wieczerzę talerz kaszki — oto najodpowiedniejsze pożywienie dla wieku dziecinnego.

Osoby nerwowe, u których nałóg stał się drugą naturą i nie znajdują w sobie dostatecznéj siły woli dla odzwyczajenia się od kawy i herbaty, powinny je przynajmniéj używać pół napół z mlekiem.

Co do napojów alkoholicznych, to te u nerwowych działają chwilowo bardzo pomyślnie, ale powtarzamy, tylko chwilowo. „Alkohol i morfina — mówi Gerhardt, znakomity następca Frerichsa na uniwersytecie berlińskim — są dla osób nerwowych nie środkami lekarskimi, ale raczéj trucizną“ (1).

Nadużywanie napojów alkoholicznych prowadzi wprost do chorób umysłowych. Nie tylko nadużywanie wódki, ale i wina prowadzi do obłędu pijackiego (*delirium tremens*), manii i padaczki. Według prof. Westphal'a z Berlina, chroniczny alkoholizm jest jedną z najczęstszych przyczyn padaczki (epilepsyi); również i potomstwo pijaka przychodzi na świat ze skłonnością do chorób nerwowych i umysłowych i rzadko kiedy odznacza się normalném umysłowem rozwinięciem (2). W większéj ilości alkohol stanowczo uważany być winien za truciznę; straszliwy nałóg mści się nie tylko na pijaku, ale i dzieci jego piętnuje znamieniem fizycznéj i umysłowéj karłowatości i idyotyzmem.

Musimy tu również zaznaczyć, że wchodzi u nas w modę, nie w tym wprawdzie stopniu co we Francyi, dosyć jednak groźnie, nadużywanie morfiny. Nadużywanie tego najważniejszego z arsenału środków lekarskich rozpoczęło się od chwili rozpowszechnienia *podskórnych wstrzykiwań*, szczególniéj używanych przy newralgiach. Trafnie użyta morfina, to środek najpewniejszy i iście cudowny: uspokaja ból, sprowadza upragniony sen, nieszczęśliwemu przynosi nadzieję, i chociaż chwilowe szczęście i zapomnienie ziemskiego czyść-

(1) Gerhardt: „Ueber einige Angioneurosen.“ Sammlung klinis. Vortraege str. 17.
(2) Dr. W. Chodecki: „O pijaństwie“. Studyum hygieniczne. 1885 r.

ca... Ale biada temu, kto się zbyt często do tego cudownego ucieka środka; upadek sił, newralgie, drżenie rąk i nóg, bicie serca, zupełny brak apetytu, bezsenność i przywidzenia są dostateczną karą za nadużycie. U nas bardzo często się tak dzieje, iż raz przez lekarza zapisana morfina używaną bywa bez jego wiedzy za najmniejszą przyczyną, za lada bólikiem, nie wymagającym wcale tak energicznego środka. U niektórych pań zastrzykiwanie morfiny stało się istnym nałogiem, tak, iż same sobie ją zastrzykują. Przy odzwyczajaniu się najlepiéj od razu środek ten zarzucić, a w razie potrzeby gwałtownéj uciec się do innego środka uspokajającego lub nasennego, np. belladonny albo chloralu.

Z przyczyn wywołujących choroby nerwowe *zaziębieniu* ważną należy przypisać rolę. Zaziębienie przy spoconém ciele wywołuje newralgie, zapalenie błon mlecza pacierzowego, a nawet i saméj jego substancyi. Lekarz kowieński dr. Fejnberg swemi doświadczeniami na zwierzętach wykazał, iż przez silne ochłodzenie mlecza pacierzowego można wywołać jego zapalenie (1).

Błędy w wychowaniu, zbyteczne rozwinięcie czułostkowości i fantazyi, zaniedbanie wyrobienia siły woli są również potężnymi czynnikami neuropatycznego usposobienia. „Szczególniéj— jak mówi znakomity neuropatolog prof. Erb (2)— należy się obawiać fałszywego wychowania w pojęciach religijnych, każdego przygnębienia ducha przez skierowanie fantazyi na nienaturalne drogi, lub téż przez przymusowe zajęcie umysłu nadprzyrodzonemi rzeczami w celu zagłuszenia i przytłumienia naturalnych popędów zdrowego ciała. Najczęstszym tego skutkiem bywa chorobliwa drażliwość i słabość systemu nerwowego, prowadzące przy sposobności do ciężkich chorób nerwowych.“

Rozwijanie siły woli, nauczanie poprzestawania na małém, poskramianie zbytniéj pychy i próżności; wskazywanie na każdym kroku wyższych celów i ideałów w życiu obok objaśnienia, że człowiek wiele znieść musi i powinien, są najkardynalniejszymi warunkami dobrego wychowania. Tak wychowany młodzieniec zachowa pogodę i spokój ducha wobec możliwych burz i kataklizmów życiowych, zniesie bez skargi i nie upadnie pod ciężkimi razami losu.

Dla zdrowia i dostatecznéj energii systemu nerwowego długi sen jest koniecznym. Powinno się sypiać 8—9 godzin dziennie. Anstie, znakomity lekarz amerykański, nawet 10 godzin snu dziennie

---

(1) Cyt. w dziele prof. M. Rosenthal'a: „Klinik der Nervenkrankheiten“ str. 304.

(2) Choroby układu nerwowego. Tom drugi prof. Erb'a str. 22.

szczególniéj dla osób nerwowych nie uważa za zbytek. Starzec potrzebuje tylko 5 godzin snu. Po obiedzie można nerwowym osobom pozwolić przespać się z pół godziny. Dłuższy poobiedni sen zanadto narusza funkcye trawienia.

Bezsenne nocy, nieregularne udawanie się na spoczynek, są dla osób nerwowych zabójcze; prawdziwym specyfikiem dla nich jest regularne, pod każdym względem systematyczne życie.

W hygienie duszy, w szczęściu i zadowoleniu ważną gra rolę zamiłowanie wykonywanéj pracy. Kto tylko z musu, kto z konieczności wykonywa pracę swoją, komu ona nie przynosi prawdziwego zadowolenia, kto nie umiłował wyższych celów i ideałów w życiu, ten prędko stanie się pastwą przesytu, nudów i rozstroju nerwowego. Kto nie wybrał sobie odpowiedniego dla swego usposobienia i zdolności zawodu, dla tego życie traci cały urok, stając się w końcu bezcelowém.

Słusznie zwraca uwagę prof. Krafft-Ebing w najnowszéj broszurze (1) uwagę na to, iż dla zdrowia naszego umysłu niezbędną jest *rozmaitość pracy*. Na nasze życie umysłowe składają się rozmaite wrażenia zmysłowe i rozmaite urobione z nich pojęcia, umysł nasz musimy więc karmić różnorodnemi zajęciami już i z tego powodu, by kolejno wprawiać w czynność wszystkie części mózgowia. Poświęcając się tylko jednemu rodzajowi zajęć umysłowych, działamy jedynie ograniczoną częścią mózgu. To samo mówi w tym przedmiocie i Luys, znakomity badacz fizyologii mózgu.

Wogóle osoby nerwowe, chociażby wyglądające zdrowo i czerstwo, winny unikać nadmiernych, fizycznych i umysłowych wysiłków; właściwemi są dla nich tylko lekkie zajęcia: zajmująca lektura podnioślejszych utworów beletrystycznych, zajęcie na powietrzu połączone z ruchem i akcyą mięśni.

Dla mieszkańców większych miast koniecznym jest wyjazd w porze letniéj i to na czas dłuższy na świeże powietrze; taki umysłowy odpoczynek jest *conditio sine qua non* zdrowia i wytrwałych sił do pracy. Wyznajmy prawdę, iż już samo życie w wielkiém mieście denerwuje i osłabia nawet obdarzonego najzdrowszą konstytucyą. Dwa miesiące obcowania z naturą, świeże powietrze, kąpiele rzeczne, jazda konna, oderwanie się od pracy, materyalnych trosk i burzliwych wstrząśnień życiowych, nadadzą nerwom nową siłę i energię. Wydane pieniądze zwrócą sowicie zwiększona energia pracy i odzyskana siła i zdrowie.

---

(1) Prof. Krafft Ebing: „Nasz wiek nerwowy" str. 68.

Czas więc wakacyjny należy spędzić istotnie hygienicznie, t. j. w spokoju ducha i ciała, by odnieść korzyść dla zdrowia. Kto nie rozumie tego najprostszego prawidła hygienicznego, kto czas letni poświęca męczącym podróżom, zwiedzaniu wielkich stolic, gdzie zwykle powietrze w lecie jest okropném, uczęszczaniu na kongresy naukowe, zwiedzaniu muzeów, teatrów i wszystkim innym gwarnym uciechom wielkich miast, ten nie wzmocni swego systemu nerwowego, nie odzyska sił i czerstwości. Nic tak nie przywraca do równowagi naszego fizycznego i umysłowego ustroju, jak obcowanie z naturą. Piękny widok sielski, malownicza miejscowość, szeroki horyzont i cudny lazur nieba każą zapominać o troskach i kłopotach życia codziennego, wlewają w nas nowe chęci i nadzieje i są balsamem na wszelkie przejścia i rany życiowe, a już sama zmiana trybu życia jest najskuteczniejszém lekarstwem na wiele chorób nerwowych.

Musimy w tém miejscu zrobić pewną uwagę co do prawideł hygienicznych codziennego życia, nie zważając na to, iż może ściągniemy na siebie gniew zwolenników gry w karty. Kto po całodziennéj siedzącéj pracy, wieczorem zasiada do kart, szachów i do innych zabaw połączonych z umysłowym wysiłkiem, ten ciężki uszczerbek przynosi swemu zdrowiu.... Wszak to ciągłe siedzenie jest przyczyną hemoroidów, kongestyi krwi do głowy, zaburzeń krążenia krwi w jamie brzusznéj i tym podobnych cierpień ciągnących się nieraz przez całe życie. Kto cały dzień ciężko pracuje, temu wieczorem potrzeba rozrywki, ale połączonéj z ruchem i ze swobodą umysłową. Po parogodzinnéj przechadzce gra w bilard, swobodna rozmowa z przyjaciołmi, podnosząca wesoły nastrój ducha, są odpowiedniejszemi dla spracowanego umysłu, niż wszelkie gry natężające umysł i wzburzające krew.

Ponieważ osoby nerwowe odznaczają się zwykle słabém trawieniem, należy więc zachować ogromną ostrożność w wyborze pokarmów. Wogóle sposób żywienia się powinien być posilny, łatwo strawny a nie wyszukany; mięso, chléb, mleko i owoce stanowią najodpowiedniejsze pożywienie. Za regułę przyjąć należy, iż osoby nerwowe winny jadać mało na raz a często, w odstępach 3-godzinnych; kolacyę zaś bardzo lekką przyjmować należy przynajmniéj na 2 godziny przed udaniem się na spoczynek. Obiad najzdrowiéj jest spożywać w środku dnia: zupa, kawałek pieczonego mięsa z kompotem i kieliszek francuskiego wina, oto najwłaściwsze menu obiadowe.

Zbawiennym dla osób nerwowych jest ruch na świeżem powietrzu; ciągłe przebywanie na świeżem powietrzu — mówi dr. Rhein-

staedter (1), jest najnaturalniejszém i najlepszém *nervinum* (środkiem uspakajającym nerwy). Gimnastyka, szermierka, pływanie niezmiernie przyczyniają się do wzmocnienia systemu nerwowego. Często paromiesięczny pobyt w górach, albo nad brzegiem morza lub nareście dla osób, dla których wyjazd za granicę jest niemożliwym, pobyt na wsi, gdzie cierpiący może cały dzień przepędzać na powietrzu, często cudów dokazuje.

Obchodzenie się z nerwowo chorym powinno być trafném, systematyczném i pełném taktu; zapewnienie go, że choroba mimo pozornie groźnych symptomów, jest mało znaczącą, że wkrótce przejdzie bez śladu, dodanie mu jedném słowem otuchy i nadziei, działa często skuteczniéj niż całe flaszki lekarstw. Żarty i lekkie traktowanie cierpiącego jest w wysokim stopniu niewłaściwe.

Nie potrzebujemy szczegółowo rozwodzić się nad tém, iż odpowiednia do stanu chorego rozrywka, wesołe sympatyczne towarzystwo, są dla niego prawdziwymi specyfikami.

Zwyczajną skargą osób nerwowych jest *bezsenność*; i tutaj właściwe hygieniczne zachowanie się może wiele dobrego zdziałać. Najprzód nie należy udawać się na spoczynek z pełnym żołądkiem i pić dużo mocnéj herbaty, jedna szklanka lekkiéj herbaty jest dla osoby nerwowéj zupełnie wystarczającą. Wszelkie gorące dysputy, czytanie pobudzających wyobraźnię książek, palenie tytoniu winno być zaniechaném; przeciwnie jakaś zabawa połączona z akcyą mięśni, wesoła pogadanka działają bardzo pomyślnie. Jako domowy środek nasenny gorąco polecamy dobre a lekkie piwo w ilości jednéj butelki na noc; prawie wszyscy psychiatrzy zachwalają lekkie piwo nawet u osób z maniakalném pobudzeniem jako doskonały środek uspokajający. Środki narkotyczne nie zawsze są nawet skuteczne a wywierają zgubny wpływ na cały organizm. Doskonale działa również ½ godzinna kąpiel temperatury 27°—28°R. lub opaska Priessnitz'a na brzuch i na łydki. Dr. Gellhorn (2) poleca następujący bardzo praktyczny sposób: bierze się kawałek płótna długi na 2½ metrów, szerokości chustki od nosa, ⅓ długości jego macza się w zimnéj wodzie, wyżyma, obwija się następnie goleń najprzód wilgotną częścią na którą kładzie się ceratkę i następnie pokrywa kilkoma warstwami suchego kawałka płótna. Na to można nałożyć jeszcze bandaż flanelowy lub pończochy. Opaska taka nakłada się wieczorem na noc.

---

(1) Dr. August Rheinstaedter: „Ueber weibliche Nervosität.“ Sammlung klinischer Vortraege von Richard Volkmann str. 14.

(2) Medycyna Nr. 4 str. 54.

Przy skłonności do przypływów krwi do głowy i bezsenności opaska taka działa doskonale.

Ze środków aptecznych stosunkowo najniewinniejszym jest jeszcze *bromek potasu*, który szczególniéj u ludzi osłabionych i mało krwistych z powodu nadmiernéj pracy umysłowéj i pobudzeń psychicznych sprowadza upragniony sen. Najlepiéj jest przyjmować na noc skrupuł bromku potasu. rozpuszczonego w wodzie; zbyt długie jednak używanie tego środka sprowadza różne przykre następstwa: jak wyrzuty, rozwolnienie itd.

Zbawiennemi dla osób nerwowych są nacierania rano na czczo zimną wodą; zimą należy je robić w ogrzanym pokoju. Zawsze jednak należy zaczynać od temperatury 24° 23° by uniknąć możliwego zaziębienia i wynikającego ztąd kataru oskrzeli, zapalenia gardła i t. d. Po obmyciu ciała gąbką, następuje wytarcie do sucha flanelą lub grubym ręcznikiem, a następnie ruch z godzinę na świeżem powietrzu. Pobudzony apetyt, towarzyszy śniadaniu, które powinno się składać ze szklanki lekkiéj herbaty, 2-ch jajek na miękko lub téż szklanki mleka z 2-ma 3-ma sucharkami. Przy wszystkich manipulacyach hydropatycznych należy w ogóle wystrzegać się zbyt zimnéj wody, bo ta zamiast uspokajać, rozdraźnia jeszcze bardziéj.

Często jedno zbyt zimne natarcie psuje skutek długiéj kuracyi. Również wielce pomocnemi dla osób nerwowych są połowiczne kąpiele od 26°R, trwające 3—5 minut z oblewaniami na głowę i krzyż chłodniejszemi o 1°. Codzień trzeba zniżać temperaturę kąpieli jak i oblewania o 1°, można jednak dojść tylko do 16°. Niższe temperatury nie są w ogóle dla nerwowych właściwe, zamiast uspokoić bowiem rozdraźniają do wysokiego stopnia system nerwowy, wywołując bezsenność, niepokój, drgania mięśni itd. Również ostrożnym należy być w używaniu prysznica. Na niestrawność, osłabienie żołądka itd. znakomite usługi oddaje opaska Priessnitzowska na żołądek, którą 2 razy dziennie, tj. rano i wieczór zmieniać trzeba.

Jakeśmy już wyżéj nadmienili, powietrze górskie nie zbyt pobudzające lub morskie jest dla osób nerwowych najwłaściwszym środkiem; leczenie powietrzem można w lecie połączyć z kuracyą wodną w jakim zakładzie wodoleczniczym. Należy tylko na tego rodzaju kuracye poświęcić co najmniéj 2 miesiące; krótsza kuracya nie przyniesie żadnego pożytku. Kto więc nie może poświęcić tyle czasu, ani nie ma odpowiednich na to funduszów, to lecząc się krótko straci czas i pieniądze a nie odzyska zdrowia. Również i wybór zakładu wodoleczniczego nie jest bez wielkiéj wagi dla chorego; na czele zakładu dla chorych nerwowych musi stać lekarz posiadający nie tyl-

ko znajomość swojego fachu ale będący i bystrym psychologiem. Wpływ bowiem psychiczny na chorego nerwowo, jak to już wyżéj zaznaczyliśmy, jest najważniejszy. Lekarz swojém postępowaniem winien nie straszyć chorego ale dodawać mu otuchy i nadziei. U nas kuracya hydropatyczna jest niestety zbyt drogą a przeto przystępną tylko dla zamożniejszych warstw społeczeństwa.

Zasłużoną sławą przy nerwowości cieszą się *kąpiele morskie*; tylko używanie ich musi zostawać pod ścisłą kontrolą lekarza. W przeciwnym bowiem razie kąpiele morskie nawet zaszkodzić mogą. Zawartość soli jest mniéj więcéj ta sama w oceanie Atlantyckim, w morzu Niemieckiém, w morzu Śródziemném (około 2—3%), znacznie mniejsza (niżéj 1%) w morzu Baltyckiém. Południowe kąpiele morskie są przecięciowo o 3°C. cieplejsze, aniżeli północne. Co do wpływu leczniczego, to wielkie znaczenie ma siła bałwanów morskich, która naturalnie zmienną jest stosownie do położenia miejsca kąpielowego i kierunku wiatru, panującego w porze kąpielowéj. W ogóle przy wyborze miejsca kąpielowego morskiego, należy wybierać położone na wyspie.

Dla nerwowych bezkrwistych, anemicznych najlepszemi są źródła żelaziste jak u nas Krynica, w Niemczech Pyrmont, Elster, Kudowa itd. W zimie zaś należy brać żelazo w przetworach aptecznych; jest to środek, który w odpowiednich przypadkach użyty najlepsze oddaje usługi.

Bicie serca, tak częste u nerwowych, ustępuje przy użyciu zimnych okładów na lewą stronę klatki piersiowéj; ze środków aptecznych można polecić wodę wawrzyno-śliwową, walerianę, castoreum itd. Dobrze również działają środki odwodzące jak np. synapizma na okolicę serca.

Przeciwko newralgiom, kurczom i spazmom są pożytecznemi: niedawno weszły w użycie dzięki inicyatywie dra Zabłudowskiego z Berlina *massaż* (mięsienie), który często nawet w zastarzałych wypadkach przynosi polepszenie. Nie należy tylko powierzać go niewykształconym felczerom lub posługaczom szpitalnym, dokładna bowiem znajomość przebiegu nerwów i mięśni jest dla dokładnego wykonywania mięsienia niezbędną. Musimy tu jednak zaraz dodać, iż massażu nie można znowu uważać jako specyfiku na wszelkie dolegliwości nerwowe, iż tylko przy ściśle określonych wskazaniach do jego użycia, może być skutecznym. Wszak nie posiadamy środków uniwersalnych na wszelkiego rodzaju choroby, ścisłe indywidualizowanie jest konieczném.

Elektryczność a szczególniéj *prąd galwaniczny* pomagają zazwyczaj przy nerwobólach; w najnowszych czasach tak zwana „metalo-

terapia" wchodzi w użycie, jako środek mający czasem pomagać w pewnych formach zaburzeń nerwowych szczególniéj u *histeryczek*. Doświadczenia prof. Nothnagel'a wykazały, że w pewnych wypadkach *znieczulenia* (*anestezyi*) u histeryczek, po zastosowaniu na nieczułe miejsce krążka metalicznego, czucie na pewien czas powraca, chociaż znowu w wielu wypadkach doświadczenie to się nie udaje.

Dla wytłómaczenia tych ciekawych w każdym razie, a tak tajemniczo wyglądających objawów, przypuszczano powstawanie minimalnych prądów elektrycznych. Objaśnienie to jednak upada w obec wielokrotnie stwierdzonego faktu, iż takie same objawy jakie występują po przyłożeniu krążków metalicznych, można wywołać stosując krążki drewniane lub kościane, jako też gorczyczniki. I tu więc głównie działa wpływ psychiczny.

Na bóle głowy, migreny tak częste i dokuczliwe szczególniéj u nerwowych kobiet, zalecamy alkaloid *koffeinę*, zawarty w kawie, można go używać w ilości 3—4 granów dziennie. Paniom cierpiącym na migrenę zalecamy gorąco ten środek.

W ogóle wszystkich środków lekarskich używać należy w małych ilościach i pewnych odstępach czasu. Przeładowanie lekarstwami jest dla osób nerwowych zgubném; ze środków aptecznych skutecznemi są w małych dawkach: chinina, arszenik, bromek potasu, waleriana.

Ciągła pogoń za specyfikami, szpéranie w popularnych książkach lekarskich i ustawiczna zmiana lekarzy do najgorszych doprowadzić może rezultatów. Ścisłe wypełnianie przepisów lekarza i bezgraniczne doń zaufanie jest warunkiem *sine qua non* pomyślnego wyniku kuracyi. Z lekarzem, ale też tylko z nim, należy rozmawiać o swych dolegliwościach. Opowiadanie bowiem własnéj choroby ludziom niekompetentnym wywołuje z ich strony uwagi i rady niewłaściwe, często nawet szkodliwe. Również unikać należy nerwowemu obcowania z podobnie cierpiącymi i ciągłego zastanawiania się nad swymi symptomami, wszystko to bowiem jeszcze bardziéj rozdrażnia ducha i niepokoi fantazyę.

Nerwowym kobietom, byleby nie zbyt osłabionym, można poradzić za-mąż-pójście; często bowiem ciąża i macierzyństwo sprawia korzystną przemianę w całéj konstytucyi i widoczny zwrot ku lepszemu.

Oprócz tego kobiety oddane same sobie często stają się pastwą nerwowego rozstroju; stare panny, nie znajdując zadowolenia i celu w życiu, stają się często nerwowemi.

Przy wyborze małżonka pierwszeństwo oddać należy charakterowi spokojnemu, silnemu, umiejącemu zapanować nad możliwemi burzami i wstrząśnieniami życiowemi. Zbyt wczesne zawieranie małżeństw, tj. przed 19 rokiem dla kobiety a przed 25 dla mężczyzny, nie jest pod wieloma fizyologicznemi względami właściwém.

Temperatura dla osób nerwowych odpowiedniejszą jest chłodna niż ciepła; zbyteczne bowiem ciepło zwiększa nerwowość, osłabia; dowiedzioną zresztą jest rzeczą, iż osoby nerwowe w chłodnéj temperaturze czują się najlepiéj.

Dr. Władysław Chodecki.





O ZNACZENIU PRZENOŚNI W KRAKOWIAKACH.

Odpowiedź na pytanie, czém jest *literatura ludowa*, jako też zebranie jéj tworów, stało się kwestyą bieżącą naszego romantyzmu. To téż chcąc przedstawić cały zasób poglądów i zastosowań w téj mierze dokonanych, musielibyśmy skreślić prawie-że cały obraz tego ruchu umysłowego, w którym przerwany na innych polach rozwój społeczeństwa wyraził się i skrystalizował. Szczuplejszym jest zakres niniejszéj pogawędki. Nie chodzi nam o krytyczne przedstawienie tego, co do téj pory zrobiono lub chciano zrobić, lecz właściwie pragnęlibyśmy skreślić chociażby najogólniejszy kontur tego, co poezya i proza ludu naszego, zebrana przez Oskara Kolberga, Wacława z Oleska, Żegotę Paulego, W. K. Wójcickiego, Glogera, Konopkę, Rogera i wielu, wielu innych, zawiéra w sobie. Mianowicie chcielibyśmy okazać różnorodną a bogatą treść téj literatury ludowéj, ułożoną według pewnego schematu, i przez jego klasyfikacyą wyjaśnioną.

Schemat ów, o ile nam się zdaje, wynika z saméj istoty rzeczy, gdyż nie jest łożem Prokrusta, do którego nieodpowiednia wielkość się przypasuje, a któreby przygotował pogląd apryorystyczny, ale właściwie jestto rezultat sumiennego zestawienia materyałów: literackiego, to jest słownego, i obrzędowego, ludowi naszemu właściwych. Właśnie to zestawienie jest pierwszym kluczem do zbadania tajemnic naszéj literatury ludowéj. Ten zaś klucz nie był umyślnie wykuty w żadnéj pracowni teoretycznéj. Każdy go może podjąć, każdy go może użyć i sprawdzić jego właściwości, bo on tkwi w powszechnie znanéj trójpostaciowości naszego krakowiaka, który przedewszystkiém dla tego nadaje się na punkt wyjścia do badań, że jest niewątpliwie bardzo starożytny.

Słowo, melodya i taniec, oto trzy składowe części zjawiska, które nad brzegami Wisły do dziś dnia odtwarza związek najdawniejszy tychże samych sztuk w świecie starożytnym. Przypomnijmy sobie owe uroczystości greckie na cześć Dyonizosa-Bachusa odbywane, a jako zawiązek całéj w przyszłości dramaturgii, będące kombinacyą słów, muzyki i umówionych ruchów ciała. Pieśń rzymskich „braci rolnych“, sięgająca niepamiętnych czasów, przedstawia się także jako rzecz chóralna, przepleciona solem, a w treści zawiera jasne wskazówki skoków obrzędowych (1). Nie mnożąc więcéj cytat, możemy krakowiaka obok tamtych przykładów narówni postawić, i z tożsamości składu wyciągnąć wniosek na korzyść bardzo dawnego istnienia tego naszego tańco-śpiewu.

Tak zaznaczywszy starożytność krakowiaka, widną w trzech stronach jego pojawu, zwracamy uwagę na formy wiersza, język i przedmioty, jakiemi krakowiak posługuje się i zajmuje, a w których nowa mu cecha starodawności przybywa. Dwuwiersz (mniejsza, że 12-zgłoskowy), znamionujący naszego krakowiaka, cechuje też grecki *dystych elegiczny*, który jest połączeniem heksametru z pentametrem, odnajduje się w *slokach* indyjskiéj poezyi bohaterskiéj, w *bejtach* epopei Zendów.... Jak widzimy, parentelą rozległą i daleko w przeszłość sięgającą cieszy się nasz krakowiak, i za świeżego parweniusza nie można go uważać. Z kolei dotykając kwestyi języka, czyli przenośni i przedmiotów właściwych krakowiakom, chętnie przyjmujemy wyrażenie się J. I. Kraszewskiego w téj materyi: „Prawie zawsze pierwszy wiersz daleko odbiega od drugiego w lasy i góry, jakby żartował ze słuchacza; drugi zato tém żywiéj pada na serce, bo już téż z serca jest wzięty.... To splątanie, jakby dwu gałęzi różnych w śpiewie krakowiaka, ta wiązanka nieustanna dwu różnobarwnych wstążek stanowi jego oryginalność i piękność...; wszystko przemawia zatém, że jest to forma bardzo dawna“ (2). Dodamy tylko do tych słów nestora, popierających naszą uwagę o dawności krakowiaka, bardzo cenne, a dotąd niespożytkowane spostrzeżenie Kornela Kozłowskiego (3), komentujące dawniejszy sąd Adama Czarnockiego, pierwszego teoretyka naszego w zakresie badań nad literaturą ludową. Czarnocki widział w języku ludowym „nałóg wyrażania czci dla bóstw wielorakich i obfitość tych przenośni, przysłów i wzorów przyrodzonych, które stanowiły śpiewy obrzędowe, igrzyska, potoczną mowę ludu, i zawsze tchnęły wiarą tego

(1) Tu téż należy kretyjski *Pirrych*, może semickiego początku.

(2) *Odczyty o cywilizacyi w Polsce*; 1861, str. 22—23.

(3) *Lud z Czerskiego* str. 17; *O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiéj*, str. 3.

ludu.“ Kozłowski objaśniając to, powiedział nader słusznie, że pieśniami najdawniejszémi są te, które używają metamorfoz takich, o jakich lud (tém bardziéj zaś klasa wykształcona, a w jéj liczbie sami badacze) dziś zapomnieli, a do odgadnięcia których znajdujemy klucz w religijnych pojęciach dawnych Słowian.

Myśl tak prosta jest niezmiernie ważną przy klasyfikacyi pieśni, pod względem ich wartości i użyteczności w dalszych studyach. Dotąd bardzo często zbieracze tworzyli osobne grupy „dziwów, igraszek“, do których zaliczali utwory niezrozumiałe. A wielekroć konstatując dziwactwa wyrażeń, szczególność przenośni i porównań, bądź na tém poprzestają, bądź też źródła dziwactwa szukają w skażeniu języka lub płochéj igraszce śpiewaków. Kozłowski słusznie daje do zrozumienia, że to myśmy tylko zapomnieli klucza do ludowych symbolik, i że jeżeli właśnie ciemność téj symboliki jest gwarancyą jéj starożytności, to rozjaśnić ją tylko można równie starożytnym materyałem. Z jednéj strony tym materyałem jest sama literatura ludowa, z drugiéj zaś kronikarskie, krytycznie stwierdzone podania o najdawniejszéj wierze Słowian, a w szczególności Lachów, to jest bezpośrednich naszych przodków.

To założywszy, wracamy do krakowiaka, którego starożytność probowaliśmy wywieść najprzód z jego trójjedni składowéj (słowo, melodya, taniec) i dwuwierszowości, którą-to starożytność obecnie chcemy poprzéć dowodem poczerpniętym z dziwacznego stosunku treści dwu jego wierszy. Przyznajemy, że związek pierwszego wiersza krakowiaka, malującego jakiś obraz z przyrody, gdy drugi jakąś kwestyą psychologiczną rozwija, niekiedy się przedstawia niezrozumiale, urągać się zdaje loice, nawet zdrowéj fantazyi. Atoli pomnąc na to, że jestto utwór bardzo dawny, i że my nań się patrzymy dzisiejszémi oczyma, że sądzimy go dzisiejszémi pojęciami i uczuciami; to już sobie utorujemy drogę do zrozumienia rzeczy, bo pokusimy się o zestawienie krakowiaka o danym związku obrazów i uczuć z krakowiakami i utworami treści analogicznéj. W takiéj klasyfikacyi dystychów naszych, przedewszystkiém wedle przedmiotów, treść pierwszego wiersza stanowiących, nic subiektywnego niéma. Jestto metoda czysto aposteryoryczna, od szczegółów idąca przez porównanie do ogółu. Zastosowaliśmy ją na kilku przykładach.

I oto mamy następne klasy krakowiaków, które nazwiemy od podstawy pierwszego wiersza krakowiakami typu konia, pasienia, cembrzyny (studni), wody, topienia i tonięcia, deszczu i kamienia. Geneza tych typów czysto obiektywna. Po licznych próbach i doświadczeniu przekonywamy się, które szczegóły na to miano „typu“ zasługują, jako stałe, stanowiące niby jądro stylowych przekształceń, wyrażające symbolicznie rzecz ważną.

I.

Rozpatrzmy się w typie „konia“, najprędzéj swoją tajemnicę wykrywającym.

W liczbie krakowiaków, które w pierwszym wierszu koniem się zajmują, jedne zdają się miéć sens tak realny, że poszukiwanie w nich głębszéj, starożytnéj myśli, prawie naraża badacza na śmieszność. Któż naprzykład uwierzy, by mogła cośkolwiek wiedza poważna zdobyć z takich dwuwierszy: *Na koniczka siadam, już nóżka w strzemieniu— Pamiętaj dziewczyno o mojém imieniu*, — albo: *Powiadają ludzie, że ja konie wodzę — A ja do dziewczyny na umizgi chodzę*,— albo: *Ach widać z daleka siwego konika—Kochanek mój jedzie, serce me przenika* (1). Myśl pieśniarza tak zdaje się chodzić po ziemi, tak wyraźnie się wypowiada, że rzeczywiście z takiémi tylko dowodami literatury ludowéj w ręku, trzebaby się zgodzić na sąd d-ra Chmielowskiego, na zjeździe Kochanowskiego w Krakowie, przeszłego roku wypowiedziany, że ta literatura ma tylko o tyle znaczenie i miejsce usprawiedliwione w ogólnym obrazie naszego życia umysłowego, o ile stanowi przedmiot zajęcia autorów okresu romantycznego. Związek konia z miłością (jeżeli wogóle wyraz ostatni może być zawsze zastosowany), prawie że koniecznie nastręcza wykłady w tym rodzaju: jak prośba o pamięć, rysy z życia wiejskich pastuchów, przeczucie kochanki i t. d.

Tak w swych klasyfikacyach poczynali zbieracze; tak i z katedry prelegenta rzecz wyjaśniała pani Stefania Jurkowska.

Przy innych krakowiakach tegoż samego (jak i innych typów), spotykamy się z realizmem, którego by się może nie zaparł Zola francuski. Już w Wacławie z Oleska wzbudził on myśl motywowania, czemu chociaż „nieskromne“, a nawet „sprośne“ w swym zbiorze pomieścił, potrzebą poznania wszystkiego, co lud nasz śpiewa (2). Majorkiewicz znowu w swéj *Literaturze polskiéj* (3) zaznaczywszy różnicę między konwenansem, przystojnością i gustem sfer wyższych a bezpośrednią szczerotą uczuć i czynów ludu wiejskiego; bądź w téj różnicy szuka wyjaśnienia rażącéj nas jaskrawości moralnéj i realistycznéj pieśni ludowych, bądź też w następném przypuszczeniu. Mniema on, że utwory „sprośne“ (jakoteż zbrodnicze i in.), jako wyznanie grzechów życia potocznego przez lud prosty w jego pieśniach,

---

(1) Wacław z Oleska: *Pieśni ludu galicyjskiego* str. 127, N. 192; str. 131, N. 229; str. 112, N. 45. Do N. 229 por. str. 173, N. 645: Hajże ino po nasemu,—dałaś gęby koniuszemu etc — (2) *Pieśni ludu galic.* str. XXXIX i LI; Zajszner: *Pieśni ludu Podhalan* wiele „nieprzystojnych“ opuścił (str. 37). — (3) Tom I, str. 52—54, 56, 64—65.

stanowią jego oczyszczenie, są wylaniem na zewnątrz, obcych mu zasadowo, wyrzutów, wrzodów, szpetot wewnętrznych. Wziąwszy z téj kategoryi taki dwuśpiew: *Siwy koń, siwy jabkowity — Dała gęby Kaśka, dajże Maryś i ty*,— uzupełniany także w ten sposób: *Byłbym dawno mnichem, gdyby nie kobiéty* (1),—moglibyśmy go śmiało zaliczyć do kategoryi *Fraszek* Kochanowskiego lub *Figlików* Reja, folgujących przy winie wesołéj myśli o „podwice."

Jeżeli jednak tego rodzaju tłómaczenia nie zaspakajają naszéj ciekawości, czemu koń tak stale łączy się z miłością lub nawet z jéj zboczeniami w powyższych przykładach, to jeszcze mniéj do tego celu służyć mogą w następnych: *Siwy koń, siwy, zielone popręgi—Kochajcie mnie panny, bo ja chłopiec tęgi* (2), — albo: *Siwy koń, siwy koń, siodełeczko szare — Jakże cię mam pocałować, kiedyś babsko stare?* (3),— albo: *U méj siwéj klaczy podkowa kołacze — Nie chciała mnie Maryś, teraz za mną płacze* (4). W pierwszéj chwili zastanowienia, już nastręczają się do wykładu różnic w treści drugiego wiersza, pewne modyfikacye w osnowie pierwszego, który, prócz konia, wprowadza jakieś dodatkowe szczegóły, wzięte z uprzęży. Ważność modyfikująca tych dodatków wzmaga się przy następnych krakowiakach, już coraz większy nacisk kładących na nie, jak gdyby na rzecz główną: *Uderzył mój konik podkową we wrota — Każ otworzyć, pani, bo mnie bije słota* (5),— skąd wysnuł się nowy krakowiak przez asocyacyą pojęć: *Podkówki u butów, trzy grosze w kieszeni — Tento najszczęśliwszy, który się ożeni* (N. 237),— już tylko wzmianką podkowy połączony z typem konia.

Kojarzenie pojęć jest tu tak ważnym momentem, że najdziwaczniejsze krakowiaki tą drogą można odnieść do pierwotnego typu i wraz z nim wyjaśnić (6). Nie dając się nią przecie omamić, w komen-

---

(1) *Pieśni ludu galic.* str. 173, N. 646; por. str. 159, N. 513. — (2) Tamże str. 161, N. 530. — (3) Tamże str. 169, N. 612. — (4) Tamże str. 118, N. 101; por. str. 132, N. 241 z waryantami: „niechciała mnie jedna, dziesięć za mną płacze", także kołomyjka ruska str. 184, N. 21 i wielkopolska. *Lud* XIII, str. 100, N. 193. — (5) Tamże str. 143, N. 349.

(6) Za przykład może służyć powyższy o podkówkach u butów (*Pieśni ludu gal.* str. 132, N. 237), który przez podkówkę zahacza się jeszcze o konia, ale łączy się także i z obuwiem. Skoro mowa jest o obuwiu, czyli o stroju nogi, już w krakowiaku następnym występuje tylko sam strój korpusu, tułowia (str. 131, N. 226): *Granatowy surdut, kieszenia u boku*, (albo: *z boku zapinany*)—*powiedz mi, czy będziesz moją tego roku* (albo: *p. m. dziewczyno, czy będę kochany*) Z krakowiaka (N. 349) o uderzaniu podkową we wrota powstał nowy, chwytający się faktu uderzenia: *Uderzył koniczek nóżką o cembrzynę—Pamiętaj dziewczyno, że ja cię nie minę* (str. 127, N. 191),—albo: *Uderzył koniczek nóżką o podłogę—Tyś mnie zapomniała, ja ciebie nie mogę* (N. 554). Z wyobrażeniem konia łączące się pojęcie ruchu wytwarza cały szereg nowych dystychów: *Bieży konik, bieży—trawka pod nim leży* (albo: *grzywa mu się jeży*)—*Biedny ten chłopczyna co dziewczynie wierzy* (albo: *Szczęśliwy ten chł.*

tarzu najpierwotniejszego zestawienia konia i miłości, będziemy się w tym komentarzu powodowali inną zasadą. Mianowicie, dobrze wyraził się Wacław z Oleska, że krakowiak w swym układzie nosi piętno pośpiechu. Nie sięgamy tak daleko, jak on, po przyczyny tego pośpiechu, po przyczyny historyczno-społeczne, ale zgadzamy się na to, że „gdy się w naszym wieśniaku czucia przebrało, gdy pomysł poetycki duszę jego rozpierał; czucie to, ten pomysł wydał na prędce, jak gdyby bojąc się przerwy, w kilku tylko słowach, ażeby choć jedném głębokiém westchnieniem piersiom swoim ulżyć, i tak pierwszy pojawił się krakowiak“ (1). Dodajmy jednak, że bez względu na pomysły i uczucia, jakie wyda wieśniak, a raczéj każdy śpiewak dawny naszéj ziemi, to zawsze w ich zobrazowaniu użył stałych, znanych już sobie zwrotów, przenośni, obrazów; użył tych, jakiémi ciągle się w życiu posługiwał, jakie miały dla niego jasne bardzo i odpowiednie znaczenie.

Dla tego téż: zestawiał konia z miłością w krakowiaku, w sposób dziś dla nas nawet w zasadzie zagadkowy, bo ta bliskość zwierzęcia i uczucia była mu rzeczą pospolitą, naoczną, codzienną, czém dziś dla nas nie jest. I tak: mamy zwrot następny, z pod Kobylina, w Poznańskiém, podchwycony (2):

Dziewucho moja trzymaj mi konia.
Nie będę trzymała, nie twojam żona.
Chociaż nie żona, ale kochanka,
Potrzymaj mi dziewczę mego kasztanka.

Na razie możnaby sądzić, że pieśniarz chciał posługę przypadkową wyjaśnić zażyłością, i że postać konna mężczyzny jest tak przypadkową w obrazach słowiańskiéj miłości, jak to napozór wskazują już dotąd cytowane i jeszcze, bardzo niby wymowny, krakowiak następny: *Hulajcie dziewczęta, cudze a nie moje, — Ja osiodłam konie,*

---

co dz. wierzy, lub: *Niechaj żaden chłopiec panienkom nie wierzy*, str. 158, N. 498; str. 164, N. 504; str. 119, N. 100). — *Biegnie konik, biegnie, bo ma tęgie nogi — Nie żeń się chłopczyno, bo będziesz miał rogi* (str. 162, N. 546). — *Biegnie konik, biegnie, na nim czarna łatka—Pod pretekstem córki umizga się matka* (N. 548). Czasem wracają motywa dawne o uprzęży: *Biegnie konik, biegnie, o jednèm puślisku—Pamiętaj panienko o mojém nazwisku* (N. 552). — *Biegnie konik, biegnie, o jednèm strzemieniu — Pam. panienko o mojém imieniu* (N. 553). Krakowiak wspominający o koniu i cembrzynie jest łącznikiem typu „koń“ z typem „studnia“, czego tylko modyfikacyą jest kategorya krakowiaków, mówiąca o podłodze i t. p. Nad typem „studnia“ tu się bliżéj nie zastanawiamy dla tego, że łączy się, (i dla téj łączności razem go rozważemy) z typem „woda“, który stanowi grupę bardzo wybitnie różniącą się od typu „deszcz“ i zawierającą w sobie wiele cech starożytnych, potwierdzonych w zupełności przez źródła historyczne, pierwszorzędne, niepodejrzanéj wiarogodności w rzeczach słowiańskich.

(1) *Pieśni ludu gal.* str. XXXVIII. — (2) Kolberg: *Lud* XII, str. 62, N. 128.

zawiera w jednym waryancie, od pruskiego Grudziądza, taki zwrot ważny: *Niekażdy to je(st) kawaler, co na konia siada* (1). Inna pieśń czerska, opisująca spotkanie chłopca z dziewczyną miłosne, zakończone odebraniem jéj wianka, zawiera takie samo ważne określenie: Dziewczyna prosi, by jéj nie zdradził, to jest ożenił się, a on jéj odpowiada: *„Nie zdradzę, nie zdradzę, jak się Boga boję,— Widzisz-że dziewczyno, na koniku stoję“* (2). Tu się jasno łączy kawalerstwo, to jest prawo mężczyzny do zalotów, do miłości i do ożenienia się, z jazdą konną, z dosiadaniem wierzchowca. W jednéj pieśni z Czerskiego (Kozłowski str. 110 N. 26) chłopiec, przez usta śpiewaka, odzywa się do dziewczyny: *„Dziewczyno moja, bądźże mi rada,—Puść że mi konia do twego sada“* (3). Dalsza osnowa, bardzo niedwuznacznie wykazuje, że propozycya tego jeźdźca jest oświadczeniem miłosném bardzo realistycznéj natury; forma zaś tych oświadczyn (koń-sad) doskonale wyjaśnia właściwy sens tak cytowanych dawniéj zwrotów: *Dziewko moja, trzymaj mi konia*, (dających powód do kolejnych odpowiedzi dziewczyny, że nie jest żoną, i mężczyzny, że jest kochanką), jako téż w zupełności godzi się z definicyą dopiero co podaną, że mężczyzna *tylko* „konny“ ma prawo do miłości dziewczyny.

Z tego stanowiska zapatrując się na wzmiankę jeźdźca w pieśniach, zgodnie z tém założeniem spostrzeżemy, że wszędzie taki jeździec jest zalotnikiem, starającym się o doraźne zyskanie miłości lub téż karcącym jéj oddawanie się. Tak np. cykle pieśni, które Wójcicki ponazywał „Szatan,“ „Kara,“ „Wesele wodne,“ itp. (4) przy różnéj dalszéj treści, jeden mają początek. W „Szatanie“ pojawia się jeździec na koniku wronym, na siodełku czerwoném, i po tych znakach poznany, który zbrodniczą (niby) dziewczynę unosi konno do swego dworu (czyli piekła), i tam ją karze smołą za jéj miłość (5). W tak zwanéj „Karze“ (6), utopienie dziecka lub matki opowiadającéj, powieść zaczyna się prawie stale od obrazka:

Tam za (pod) { Krakowem / Toruniem / Warszawą itd. } na błoniu.

Wywija { Jasio / Stasio itd. } na koniu.

---

(1) Kolberg *Lud* I str. 11 N. 1, l, strofa 4.—(2) Kozłowski *Lud z Czerskiego* str. 93 N. 20.—(3) Por. Kozłowski str. 170 N. 33: *A ty Jasiu balamucie—Nie pas koni w mojéj rucie.*—(4) Używamy tych nazw by się zoryentować, nie by uznawać ich słuszność. (5) Wójcicki I str. 99, 292, II 302; *Pieśń ludu galic.* str. 411 N. 278; por. Erben *Prostonarodne česke Pisne* str. 505 N. 60 D'ablova nevesta.—(6) Wójcicki I 92—95, II 293, Kozłowski str. 44 N. 9, Kolberg I, N. 12, Żegota Pauli *Pieśni ludu ruskiego* I', str. 8—9 N. 6.

Anusia
Kasiunia } za nim chodziła.
Marysia itd.

Dziecię { na ręku / w fartuchu itd. } nosiła.

„Wesele wodne“ rozpoczyna się obrazem wianka lub dziewczyny tonących, którym ratunek daje jeździec, przyczém tonie, a wesele odbywa się pod wodą (1). „Wykradziona,“ „Uwiedziona“ itp. (2) snując rzecz o uprowadzeniu dziewczyny z domu rodzicielskiego, porywcę na koniu przedstawia. Dobitnie też tę rzecz objaśnia pieśń, bardzo rozpowszechniona, w różnych waryantach, wystawiająca drzewo płonące (dodajemy dla zrozumiałości: sobótkowe), z którego skry sypią się na dziewczynę, a do niéj *konno* zjeżdżają się zalotnicy—możny pan, wdowiec, stary, młody... Użycie jéj przy pojawieniu się oblubieńca, przy rozplecinach itp. na Mazowsza (3) i gdzieindziéj dostatecznie charakteryzuje jéj znaczenie i związek z małżeństwem, pomijając już cały nastrój sobótkowy treści. Pieśń weselna w Wielkopolsce nuci (4): *Idzieć ona do kościoła—jako lilija—A Jasinek na koniku—przed nią wywija*. A drugi urywek (5) niedwuznacznie wyraża się jakby w „Wykradzionéj.“

Dacie mi jąm dacie, czy nie dacie?
Tę dziewczynę w { czerwonym / zielonym } kabacie

Na konika wpadnę
I wam ją ukradnę. albo: Na konika wsadzę,
Córeczkę ukradnę.

W inném miejscu (6) przytoczyliśmy pieśni, których treścią jest rzekome zdobywanie Krakowa, Lwowa, Mira, a w gruncie rzeczy, zwyczajny to bohater miłosny Jasio na koniu wywija, i pannę w końcu za okup dostaje. Przytoczyliśmy też i podobną weselną, w któréj pan młody konno dobywa się na górę, kędy panna przebywa. Nareszcie zacytowaliśmy i klechdę Wóycickiego, p. t. *Szklanna góra*, w któréj młodzi zalotnicy konno po pannę młodę drą się na ową górę.

Przejrzane dopiero co pieśni i wiele im podobnych nie mogły bohatera inaczéj przedstawić jak konno, gdyż drobiazgowy rozbiór wszystkich szczegółów, w każdéj poruszonych, każe uważać je za

---

(1) Kolberg *Lud* I, N. 16. — (2) Wóyc. I, str. 78, Kolberg *Lud* I, N. 5.—(3) Por. zbiór p. t. t. Kolberga str. 231, N. 109; str. 294, N. 198. *Bibl. Warszawska* 1847 IV, str. 632, N. 99, 636, N. 105; II, 649, N. 46, str. 630, N. 144.—(4) *Lud* XII, N. 139.—(5) *Lud* XII, str. 35, N. 77, 78.—(6) *Epopeja ludowa o Chrobrym i Szczerbcu jego* 1882 r. str. 50 nast. por. str. 47.

beletrystyczną (że tak powiem) przeróbkę pojedynczych motywów obrządku weselnego, na drodze zwykłego kojarzenia pojęć lub systematycznych przenośni dokonaną (1). Pan młody zaś na weselu bez konia się nie obchodzi, jak to już Szymonowicz (1553—1624) w swéj sielance „Kołacze,“ wesele opisującéj, wyraźnie odtworzył z życia, językiem w téż same obfitującym przenośnie, co dzisiejsze, tylko ludowe pieśni. Ustęp ten tak brzmi:

Sroczka krzekce na płocie, pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.
Jedzie z swoją drużyną, panicz urodziwy,
Panicz z dalekiéj strony, pod nim koń chodziwy
Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota,
Panno gotuj się witać, już wjeżdża we wrota,
Już z koni pozsiadali, wszystko się podworze
Rozśmiało, jako niebo od wesołéj zorze!

To jedno XVI-go, jeszcze, wieku sięgające świadectwo, starczyć może za liczny, z dzisiejszych wesel wiejskich zdobyty, poczet dowodów, że pan młody konno z drużbami występuje. Fakt zbliżony powtarza się w obrzędzie sobótek, które należy uważać za rodzaj prologu weselnego, jeżeli nie za część samego aktu ślubnego. Przy takiém znaczeniu sobótek, tém godniejszy jest uwagi związek koni lub wogóle wierzchowców parobczych z uczuciami dziewczyn dla ich jeźdźców, w pieśniach sobótkowych ujawniający się.

Z pieśni rusko-litewskich kupalnocnych widać, jak chłopcy przedrwiwają z dziewczyn w ten sposób, że wystawiają je niewyspanemi w noc tę świętojańską, wymieniając to Hanulę, to Parasię, to Petrywoczkę. Następnie stosownie do osoby nucono, że z płaczu łzy ocierając, moczą dziewczyny: to chustkę, to ogon koni; pędzą na paszę to konie, to woły; szukają sznurów to jedwabnych, to grubych, pętają niémi to konie wrone, to szczury polne (2). Podobną szykaną w wilią św. Jana, to jest przy ogniu sobótkowym, odpłacają się dziewczęta chłopcom, śpiewając że: *parobecek* (imię) *konie pętywa—jego koń kary* (*kasztan*, *wrony*),—a nielubianemu śpiewają: *parobecek* (np. *Felek*) *woły* (*byki*) *pętywa—jego wół gniady*, i nietylko gatunkiem stworzeń pętanych, ale maścią i gatunkiem wierzchowca stopień swéj przychylności dla kawalera znaczą (3). Podobnież wyraża się pieśń wielkopolska (4): *A urodnyć on urodny, jak koniczek jego—Jeszczem*

(1) Kolberg raz się wyraził, że lud przerabia dawniejsze na obrzędowe, niesłusznie, bo trzeba rzecz odwrócić (*Bibl. Warsz.* 1858 II 321). I Dulski (*l. c.*) źle sądzi.—(2) Gołębiowski, *Gry i Zabawy*, str. 300; *Powieści podolsko-ukraińskie* Grozy, 1842, II, str. 143.—(3). Kolberg: *Lud* II, str. 110, N. 139; (por. sobótkowe, w czerskiem: Kozłowski, str. 20, N. 3).—(4) XII, str. 17, N. 33.

ja téż nie widziała chłopczyka takiego. Tu już niedwuznacznie urodę jeźdźca i konia zestawiono, poczém następują drwiny z samego jeźdźca: *Głowusinka okrąglúśka, gdyby u śledzia—Gębusinka drobniusinka, gdyby u niedźwiedzia,—Czoło ładnie uczesane, gdyby u prosięcia.—A jeszczem ci niewidziała takiego panięcia.* Pieśń nucona w Łukowskiém na weselu przy obiorze drużby, (1) uzupełnia tę pieśń wielkopolską co do wierzchowców. Mianowicie, wystawiwszy panny, jako idące rwać len, daléj wprowadza na ich spotkanie różnych jeźdźców. Ci zaś jadą kolejno na myszy, szczurze, psie, kocie, suce, świni, wieprzu, pliszce, wole, ośle, słoniu, smoku. Jedyny *Walek* (to jest pan młody) *jedzie na koniku, w granatowym żupaniku.*

Niepotrzeba wielkiego natężenia fantazyi, by zobaczyć widoczne pokrewieństwo myśli i obrazu w tych porównaniach jeźdźców z ich wierzchowcami, w tych określeniach wad lub zalet jednych przywarami lub przymiotami drugich, w pieśniach sobótkowych i weselnych. A to pokrewieństwo, jak jednocześnie widziemy, łączy się z użyciem konia w symbolice miłośnéj za synonim kochanka, za konieczne przynajmniéj akcesoryum stosunków serdecznych, między dwiema płciami.

Ponieważ gdzieindziéj zwróciliśmy uwagę na fakt, że u Słowian niemal wszystkie bogi występują konno (2), nie potrzebujemy tego punktu szerzéj tu rozwijać. Wskazujemy tylko na istnienie dwu szeregów powieści, z których jeden mówi o bogach, zazwyczaj do walki z swymi nieprzyjaciołmi, używających koni pod wierzch, a drugi mówi o mężczyznach, konno występujących w zabiegach swych o kobiety. Tym sposobem ujawnia się dziwna równoległość, którą jeszcze powiększa starodawna przenośnia, uważająca broń—jakoto miecz, włocznia, a w ludowych pieśniach większych i w krakowiakach topór lub siekiera,—za bardzo rubaszny dwuznacznik (3) znany już Gallusowi, kronikarzowi z XII wieku, *sicut porta ab ense percutitur, sic soror regis corrumpetur,*—oraz drugi *femoris ejus ensem in ipsum exercuit,*—gdzie miecz lędźwi oznacza syna (metonimia; tu: przyczyna za skutek).

Dwa te szeregi łatwo zleją się w jeden, jeżeli przypuścimy, że w dzisiejszéj literaturze ludowéj mężczyzna-kochanek zastępuje boga-wojownika, a kobieta zastępuje nieprzyjaciela tego boga. Co do tego pojęcia rzeczy, już tak zwana *Völkerpsychologie* zgodziła się na

---

(1) *Bibliot. Warsz.* 1849 I, str. 605—606, N. 150. Podobne wyliczenie szydercze wierzchowców koło Piątku i Kutna, przy zmówinach (*Bibl. Warsz.* 1847, II, str. 649, N. 30):—na myszy, szczurze, wole, koniku.—(2) *Epopeja ludowa*, str. 30—38.—(3) Tamże str. 56—59. Z zwrócono mi téż uwagę na związek wyrazów: rąbać i porubca.

równania: kobieta to jest smok, woda, i dziś za odmiany jednego obrazu uważa walkę Apolina z Pytonem, Krakusa ze smokiem, Traetony z Çruvarą, oraz Samsona z Dalilą, Herkulesa z Omfalą, księcia Alemańskiego (Rytogara) z naszą Wandą.

My (ośmielamy się sądzić) — przez nasze badanie krakowiaków, zestawiających konia z miłością, wprowadziliśmy do owego równania mytycznego dodatek: akcesoryum z konia, rzadko wprawdzie spotykane w podaniach innych ludów, ale może charakterystyczne dla rozwoju tegoż samego mytu u Słowian.

Zdarza się jednak czasem i bohaterom greckim walczyć konno; tak naprzykład Belerofont dosiada skrzydlatego konia (1), Pegaza, i z niego zabija Chimerę. W powieści o walce Perseusza z Gorgonami, koń ów skrzydlaty jest dopiero skutkiem walki; po ucięciu głowy Gorgony, powstaje wraz z Chryzaorem, ojcem Geryona (co godne pamięci jak się okaże niżéj), ale w każdym razie, czy to Chimera czy Gorgony, są *zawsze kobietami*.

To stanowi, zdaje się, dość poważną paralelę dla naszéj hipotezy, o głębszém znaczeniu przenośni krakowiakowych: łączących konia z miłością, a następnie obrazów pieśni: nierozłączających męża lub kochanka od postaci konia.

II.

Wzmianka o podaniach innych ludów, łączących pojęcie walki mężczyzny z kobietą (potworem) z obrazem posiłkowego konia, pozwala nam odwrócić porządek rozważań drugiego typu krakowiaków. Zamiast mówić o takiéj np. przenośni, jak: *Z tamtéj strony wody płynie kaczor siwy—Chociaż niepozorny lecz jestem poczciwy* (W. z Oleska str. 118 N. 108),—albo: *Płynie kaczor, płynie, koło mego domu—Kogo kocham szczerze, niepowiem nikomu* (str. 161 N. 528),—albo: *Leciały żórawie, płynęły łabędzie—Pono już z kochania mego nic nie będzie* (str. 174 N. 653)—i zamiast drogą kolejnych rozważań i zestawień dochodzić do „pasienia koni,“ my rozpoczynamy od punktu wyjścia całéj téj przenośni. Jest nim mianowicie powieść Herodota o przygodzie Herkulesa w Scytyi (2). Przygoda zaś ta ma na celu

(1) Pod Wieluniem u nas jest Wideradz, koń „skrzydlaty“ (*Bibl. Warsz.* 1852 III, str. 376).—(2) Nie miejsce po temu wykazywać ślady Słowian w tym historyku greckim. Rzecz to osobnéj rozprawy. Tu cytujemy tylko na dowód, że przygoda Herkulesowa nie jest szczegółem jedynym z zakresu Słowiańszczyzny Herodotowéj, następne fakta: imiona trzech synów Targitaosa (ojca Scytów, wedle terminologii greckiéj): Lejpo-, ksais, Harpo-ksais, Kolak-ksais przypominają imiona patryarchów Słowian u Nestora Kozmasa, Konstantyna Porfirogensty itd. Libusza (Lobetos) Chrobat, Klukas.

pojadę po swoję (1). Z jednéj bowiem strony podróż konna dla wiejskich parobczaków na zaloty tak zdaje się łatwą i konieczną, przy miejscowych stosunkach, że domyślanie się w tém symboliki, mogłoby uchodzić za proste złudzenie. Z drugiéj znowu strony, postać żołnierza konnego, czy to po staropolsku husarzem, sołtysem, czy po nowożytnemu ułanem (2) zwanego, tak często występuje w pieśniach ludowych; tak zresztą znana jest pieśń „*stoi ułan na widecie*:" że każden skłonny jest nie wierzyć ani symbolice ani starożytności tych postaci konnych, i jedynie widzi w nich odbłysk literacki tego uroku, jaki w życiu dziewczyn wywiera żołnierz wogóle. W Poznańskiém wyraźnie śpiewają:

Oj i gdzie żołnierz trzy dni zabawi,
Nie jednę pannę panią zostawi.
Honor jéj weźmie, cnotę jéj straci.
Żołnierz odjedzie, któż jéj zapłaci?
Ni z nim do księdza, ni do starszego,
Nigdzie nie dojdzie prawa do niego.

Skarga ta jednak łączy się z uwagą:

O i skornoć ja żołnierza zoczę,
Dusza mi zadrży, serce mi skocze,
Boć to żołnierze nie jednéj matki,
Jak się ubiorą, są gdyby kwiatki.

W Czerskiém zaś wyrażono zdanie, że:

Wojskowy, wojskowy, przyjaciel domowy
A gdy mąż na stronie, wojskowy przy żonie (3).

Tego rodzaju atoli pogląd jest *nec plus ultra* sceptycyzmu, jest kresem, do którego wykład na zasadzie tak zwanego zdrowego rozsądku może w rzeczach badań naukowych nad literaturą ludową podjętych, doprowadzić. I formułowaliśmy go też poto tylko, by żadnéj, znanéj nam wątpliwości i zarzutu nie pominąć.

Tak jednak bezstronnie podając wszelkie zarzuty przeciw swéj teoryi, mamy prawo jéj bronić. i w celu owéj obrony, przytaczamy charakterystyczne wyrażenia pieśni ludowych, podobno decydujące w kwestyi, co oznacza dla ludu koń w jego poezyi i życiu. Śliczny powszechnie znany polonez, zaczynający się od słów:

Wezmę ja kontusz, wezmę ja żupan, szablę przypaszę,
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynéj, tam się uciesze—

---

(1) *Pieśni ludu galic.* str. 158 N. 501.—(2) Kolberg *Lud* (*Pieśni*) I, N. 16; Wóycicki: *Pieśni Białochrobatów* I str. 103—105; Ż. Pauli. *Pieśni ludu polskiego* str. 108 N. 14; Kozłowski: str. 87 N. 16, str. 88 — (3) Por. Kolberg *Lud* XII str. 262 N. 504; XII str. 26 N. 58—61, N. 119; Kozłowski, str. 117 N. 42.

wyjaśnić pochodzenie trzech plemion: Agatyrsów, Gelonów i Scytów, a dopina swego celu, w charakterystyczny sposób przekształcając powieść o Herkulesie, który z wyspy Erytryi miał ukraść krowy słoneczne Geryonowi. Herkules przybywa do Scytyi, i sam ległszy na spoczynek, wyprzęga klacze z wozu i puszcza je na pastwisko. Za obudzeniem się, nie znalazł już klaczy, a gdy ich szuka, znajduje je w posiadaniu dziwnego potworu, Echidną zwanego. Jest-to pół kobiety u góry, pół węża z dołu. Zobowiązuje się ta dziewa-wąż zwrócić klacze Herkulesowi, pod warunkiem, że się z nią ożeni, i właśnie z tego małżeństwa pochodzi trzech ojców owych plemion (1).

Co do kradzieży krów słonecznych przez Heraklesa, to znaleziono odpowiednie temu faktowi powieści u Indów (2), że Vritri (grecka Erytrya „ukrywacz") kryje wody niebieskie w łonie czarnéj chmury. Ahi (wąż) porywa szumiące rzeki czyli (wedle pojęć indyjskich) mlekodajne krowy i zamyka w głębi gór. Czarną chmurę i górę rozbija Indra pociskiem ukutym dlań przez Tvashtrego, albo wedle innéj metafory, musi krowy niebieskie tj. chmury wydoić. U Greków np. Apollo pasie bydło u króla Admeta, a Merkury-Hermes go okrada z niego, czego pierwowzór znaleziono w trzodzie obłoków w niebie przez słońce pasionych, a przez Saramejasa zganianych. I w Rzymie znano porwanie krów słonecznych przez Herkulesa, i umiejscowiono całą przygodę przez opowieść, jakoby Kakus, syn Mulcybra, mieszkaniec Awentynu, odkradł je Herkulesowi (3).

Na pierwszy rzut oka już, nasza poezya ludowa dostarcza wyrażenia, które, stojąc w genetycznym związku z powyższą metaforą, świadczy: o możebności bezpośredniego zestawiania zasobów tejże naszéj poezyi z zabytkami literackiémi najdawniejszéj, najrealniejszéj w fantazyi, cywilizacyi indyjskiéj; o przechowaniu się w pierwszéj zasad i sposobów myślenia i mówienia drugiéj. Stwierdzenie takie głębszéj zasadowości w pomysłach poezyi ludowéj może tylko poprzéć słuszność naszego sposobu jéj badania i otrzymanych w niém rezultatów.

Znaném jest ludowo-meteorologiczne przysłowie: *Kiedy deszcz pada a słońce świeci,—Czarownica masło kleci* (4),—albo: *Dyabeł żonę*

---

(1) Herodot IV 8, 9.—(2) Por. Rigveda ed. Rosen I, str. 32 nast. „Na górze zabił (Indra) Ahi, wypuścił wody i rzeki z gór, jak cielęta do krów tak biegą wody do morza"... „Dobyłeś z obłoków wodę, złamałeś pęta zródeł i potoków; kiedyś Indro rozłupał wielką górę, wytrysł potok." — (3) Mommsen *Römische Geschichte*, 1865, I, str. 27, 18.—(4) Inna przenośnia brzmi: „królowa perska (panna, M. Boska) płacze." Czy *perska = Pairanyas* (*Indra pluvius*)? Zdają się należeć te metafory do innego szeregu pojęć,

bije.—Uprzedzeni przez obrazy metafor indyjskich, wystawiamy sobie blask słońca w postaci Indry, który przebija chmury dżdżyste (t. j. dyabeł żonę, np. smoka bije), i dobywa z tych krów niebieskich mleko niebieskie, czyli deszcz. Nasz lud nie zapomniał o ostatniém równaniu, skoro mówił, że z wody dżdżów można masło (jako z nabiału) robić (1).

Jeżeli tak szczęśliwie jedna przenośnia indyjska odnalazła się u naszego ludu, to jest wielka pokusa szukać, czy i druga, z zakresu tych samych faktów meteorologicznych, a już u Herodota sprowadzona na grunt „scytyjski", w formie powieści o klaczach Herkulesowych, z pastwiska przez dziwowęża zabranych, a tylko za cenę małżeństwa zwróconych — jeszcze się dzisiaj w poezyi ludowéj nie używa?

Odpowiedź niezmiernie łatwo nastręcza się. Najprzód zanotujemy pieśń hailkową (na Wielkanoc): „*proso sijali*" (W. z Ol. str. 53, N. 5), w któréj len depczą konie; po zajęciu koni „jedwabnym niewodem", wykupują zajęte z razu ceną 100, późniéj 1000 rubli. Gdy tego okupu nieznany zaborca koni nie przyjmuje, dają mu „*diwyciu*" (2). Jestto niby podanie Herodota na opak. Ważna téż jest pieśń weselna przy wiciu rózgi (Kolberg II, 50), wedle któréj dziewczyna wije 3 wianki, *pasie* 4 *woły*, starosta (weselny) *zajmuje* je, a ją sadzą za stół; „*główka*" boli, „*dziewka*" mi się spodobała."

W liczbie pieśni weselnych (co warto pamiętać) z Żółkiewskiego i śpiewanych już po ślubie kościelnym, cytuje Wacław z Oleska następną:

Po za dunajom koni sywy i woronyji
Żuryw sia starostońko (weselny),
Komuby popłynuty, stadeńko powernuty?
Uczuła toje swaneńka, ne żurysia starosteńku
Położu ti mosty z biłoji ryby kosty,
Tudyi ty pejidesz, worone stado wernesz (3).

Widoczném tu jest, że w pamięci weselników kołacze się jakieś pasienie stada koni, ich zaguba, zabiegi o jego odzyskanie, a trud ten powierzony kierownikom obrzędowym wesela (zamiast państwu młodym). Toż samo wspomnienie (4) powtarza się w pieśni, którą

---

co jednak nie może obalać, naszém zdaniem, zasadności wykładu tamtéj metafory w ten sposób, jak mówiemy w tekście: jeden bowiem i ten sam fakt zmysłowy może być różnie w porównaniach wyrażony.

(1) Gołębiowski (*Lud* str. 163) mówi o analogicznem zbieraniu *rosy* przez czarownice w *skopek* (naczynie dla mleka przeznaczone). — (2) O wydaniu panny téż mówi lubo w innéj formie pieśń hailkowa (Woycicki, *Pieśni Białochrob.* II, str. 324): „*diwka na wydaniu*"; Gołębiowski: *Gry* str. 65. — (3) *Pieśni ludu galic.* str. 14, N. 36. — (4) Tamże str. 9, N. 21.

nucą przy rozplataniu warkocza do ślubnego stroju panny młodéj także w Żółkiewskiém, tylko że pasienie (bez zguby, co zgodne z czasem kiedy pieśń nucą) dotyka już bezpośrednio Maruneńkę, to jest oblubienicę:

Krasnaja Maruneńka zahaniała stadońka w horod na ziłonka,
Stado moje woronoje, wydopczy ty ziła moje, nechaj sia nie zistaje.

Pieśń, przez Woycickiego i innych zatytułowana *Nowina*, przedstawia całą przenośnię równie dokładnie. Tak np. na Kujawach, po oczepinach śpiewają, że Jasiowi konie zajęto do Torunia, tam „*dziewucha wrone konie pasła*", pasła je nad wodą, chełpiła się urodą,—„*Oj cóż to tam za uroda była, kiedy konie potopiła*". A po tém pasieniu koni zaraz następuje motyw weselny, że dziewczyna stoi na moście (po którym zwykle „cnota panieńska" ucieka i pan młody przyjeżdża), kłania się staroście (weselnemu, w pieśni z Żółkiewskiego zagania-jącemu zgubione za rzeką stado koni), a ten jéj zwiastuje nowinę, to jest urodzenie dziecka (1). W innych pieśniach Jaś jedzie od Torunia i pędzi nie konie ale gąsiory, wygląda za nim maleńka (mileńka?) z komory, wywichnięcie nogi przez Jasia sprowadza go na łoże, rzecz się kończy urodzeniem syna (2). Z Czerskiego pieśń tak brzmi, ze zmianą roli osób: *Kąpała się Kasia w morzu, pasła koniki w zbożu— Wysed* (!) *Jasieńko z zabora, pognał koniki do dwora.* (Zamiast więc coby, jak u Herodota smok-dziewica porywał konie, czyni to Jaś symboliczny): *Jak się Kasia wykąpała, za Jasieńkiem pobieżała....* Następuje potém opis schadzki, w kolorach niewierności małżeńskiéj (3).

Dzisiejszy sceptyk mógłby i w téj kwestyi walczyć z nami dowodem „dzisiejszości." Materyał, z którego korzystamy, i jemu może broni dostarczyć w téj mierze. Szczerość wyrażeń w pieśniach zdaje się nawet pozornie przeciw nam jemu dawać wygranę. Jednakże badacz—obyty z frazeologią literatury ludowéj—nigdy się na téj szczerości nie omyli. Jest pewna *myszka*, tkwiąca w akcesoryach, pewna woń archaiczna, która odrazu wykrywa rzecz autentyczną, utworzoną w duchu i z materyału starożytnego, odróżnia ją od późniejszych naleciałości, dla których nieraz czas można wskazać.

Tak oto krakowiak jeden (Wac. z Oleska str. 162, N. 543, 546) nuci: *Pod góreczkę jadę, ustali mi konie—Chodźcie chłopcy do mnie, mój mąż na kordonie.*" Drugi wyraża się: *Biegnie konik, biegnie, bo ma tęgie nogi.* Porównajmy z nim także ten (str. 153, N. 450): *Żona męża*

(1) Kolberg: *Lud.* Serya IV (Kujawy, część druga), str. 17, N. 133; str. 92, N. 180 i 181; str. 57, N. 17; Serya II, str. 131, N. 104.— (2) IV cz. 15, N. 129.— (3) Kozłowski: *Lud z Czerskiego* str. 49, N. 12.

swego pięknie oszukuje—Męża gdzie wyprawi, a z innym nocuje. — Otóż to miłości małżeńskiego stanu — Nie trzeba się żenić ni słudze, ni panu.

Obrazy w dwu pierwszych są dla nas zagadkowe, w trzecim nic tajnego niema. Tożsamość we wszystkich faktu jest widoczną. A jednak znawca nie weźmie ostatniego krakowiaka za autentyk archaiczny. Wprawdzie i wyraz „kordon" określi pierwszy krakowiak za niezbyt dawny (1), po 1773—1795 r. Mimo to, włączenie do obrazu wzmianki koni przenosi nas w czasy... pogańskie, czego trzeci krakowiak nie zrobi; zbyt jest realistyczny w przedstawieniu, by był tamtym współczesny.

Weźmy drugi przykład. Oto jeden wieści: *Ja pijany byłem, a tyś wołki gnała — Ja o tém nie wiedział, coś ty wianek miała* (2). Drugi podobnie się wyraża (3): *W dębinie ja wołki pasła, onę nocka zasła— Ach mój Boże, co się dzieje, opadli mi skarb złodzieje — Trudno bronić skarbu tego, co każdy ma klucz do niego.* Trzeci mówi przenośnie (4): *Gnała pastereczka doliną, myśliweczek za nią z nowiną — Nowinę jéj powiedział, wianeczek jéj odebrał.* Niepodając w wątpliwość najmniejszą, że tu i tam jeden i ten sam fakt został opisany, w każdym razie zyskamy od każdego przeciwnika dobréj woli przyznanie drugiego faktu, to jest uznanie różnicy stylowéj w opisie jednego i tego samego wydarzenia. Ta właśnie różnica niewątpliwa w frazeologii, świadczy dostatecznie za słusznością naszéj hipotezy, że choć fakt fizycznéj miłości, opiewany w naszych piéśniach ludowych, jest zarazem i odwiecznym i spółczesnym, to przecie warunki, w jakich się dopełnia (pasienie koni, wołów....), nietylko są wynikiem dzisiejszego dopiero sposobu życia, ale téż istniały przedtém, miały racyą bytu już za Herodota.....

Użycie podobnych pieśni w obrzędzie małżeńskim wskazuje, że lud przywiązuje do nich znaczenie symboliczne, gdyż nowoczesny ślub kościelny i wesele nie mają nic wspólnego w akcesoryach ze scenami nocnych pasionek koni i bydła na wsi, a jeśli poezya zachowuje wspomnienie spółczesności podobnych wypadków, to chyba sięga czasów, kiedy fakt dokonany w podobnych warunkach był ślubem prawnym, to jest czasów pogańskich. O to téż tylko nam chodzi.

Widzieliśmy już w pieśniach weselnych spółrzędność pasienia koni, wołów, ze stratą wianka przez dziewczynę; znaleźliśmy w pieśni oczepinowéj wzmiankę o pędzeniu gąsiorów z częstemi (dziś) skutkami pasienia koni i wołów. Zupełnie w sferze tych samych przeno-

(1) Por. W. z Oleska N. 374, str. 145: *Nie będę się żenił w cesarskim kordonie— W bankocetlach posag i cóż mi po żonie?* — (2) Kozłowski, *Lud* str. 91, N. 19; Wacław z Oleska, *Pieśni ludu galic.* str. 456, N. 348. — (3) Kolberg. *Lud* IV. str. 46, N. 205.— (4) Tamże I, str. 224, N. 21.

śni obraca się pieśń sandomierska „Gąsior“ (1), którą w całym kraju znajdujemy:

Z tamtéj strony jeziora
Jechunder mach cumber
Jaworowy Wojtek, zaborowy jeziora,
Pasła Kasia gąsiora, pasła Kasia jechunder etc.

Pasienie ma smutny dla Kasi koniec, bo ją gąsior, jak starożytny Zeus przemieniony w łabędzia, o tęż samą dolę, co Ledę przyprawia „ukąszeniem w brzuszek.“ Zato zgodny z rezultatem pasienia koni i wołów. Inna pieśń ma pawia w roli gąsiora, a przygodę całą snuje językiem nie dzisiejszéj epoki, a w swéj symbolice bardzo znanym i jasnym (2): *Tam na morzu Czerwoném rybacy siatki rzucają — Coś dobrego ułowiono? złoty pierścień ułowiono — Przez ten pierścień woda bieży, pod tą wodą trawa leży.* (Cały ten ustęp, dla nieobeznanego z frazeologią ludową, okaże się bardzo ciemnym. To gwarantuje jego autentyczność i starożytne pochodzenie. Wszystkie zaś przenośnie pojawiają się w utworach treści erotycznéj, co tylko stwierdza znaczenie części następnéj): *Po téj trawie chodzą pawie, a te pawie panna pasie — Panna pasie, piórka zbiéra, piórka zbiéra, wianki wije — Wianki wije, złotem szyje, dary słała komu chciała — Otóż tobie panny dary, fartuszek wyszywany — Fartuszek, koszuleczkę, otóż tobie i chusteczkę.*

Pieśń szląska (3) opowiada toż samo w innym porządku rzeczy:

Przy tym rudzkim dworze zieleni się trawka,
Pasła tam dzieweczka maleńkiego pawka;
Ten maleńki pawek bardzo rozpuszczony.
Potargał dzieweczce fartuszek czerwony (4).

Co niżéj ona sama objaśnia:

Utraciłam wianek z samego złota,
Pójdę ja ci pójdę drobnych rybek pytać,
Jeśli nie widziały mego wianka pływać.

Pieśń weselna sandomierska wspomina o dziewczętach, co pasą gołębie i wołają je do siebie, gdy się rozbiegały (5), co niewątpliwie daje równanie paw = gołąb’ (6), jak już poprzednio otrzymaliśmy równoważne symbole: koń = wół = gąsior = paw’.

---

(1) Kolberg, *Lud.* II, N. 180, str. 148; Woycicki, *Pieśni l. Białochrobatów* I, str. 167; Żegota Pauli, *Pieśni l. polsk.* str. 120, N. 25; Konopka, *Pieśni l. krak.* str. 112, N. 13.— (2) Woycicki I, str. 170; por. Kolendy podolskie Dulskiego (Bibl. Warsz. 1858, III, 313. (3) Roger, *Pieśni l. szląsk.* str. 49, N. 88; por. Kozłowski str. 107, N. 32.— (4) Co do znaczenia fartuszka por. pieśń oczepinowa (Kolberg II, str. 90, N. 123). — (5) Kolberg, *Lud* II, str. 47, N. 43; por. I, *Pieśni* N. 10. — (6) Pieśń kujawska weselna (Kolb. III, str. 270, N 32) istotnie toż samo mówi o pawiu.

Te równania tłómaczą nam znaczenie takich zestawień w krakowiakach: *Siwy gołąbeczek śród dębu siedział—Dałabym ci gęby, alebyś powiedział* (Woycicki II, str. 105, 375). — *Z tamtéj strony wody lata gołąbeczek— Nie widać, nie słychać, gdzie mój kochaneczek* (Wac. z Oleska str. 161, N. 529).

Ponieważ pieśń weselna kujawska (1) podstawiła za konie pasione „kaczyce", ze wszystkiémi skutkami pasienia; zjawiły się więc krakowiaki: *Po głębokiéj wodzie płynie kaczor siwy — Jaki taki wesół, a ja nieszczęśliwy* (W. z Oleska str. 105, N. 8). — *Na wodzie, na Wiśle płynie cyraneczka — Niewidać, niesłychać mego kochaneczka* (str. 174, N. 654) (2).

Zamiast kaczora, pojawia się gęś i inne ptastwo: *Płyną gąski po Dunaju — Ach mój Boże złączże nas ju* (Kolberg I, N. 332, str. 408).— *W zielonym gaiku dziobała kokoszka — Tę panienkę kocham, co dziobała troszka* (W. z Ol. str. 163, N. 555).

Tu téż należy sławna pieśń i przy weselu i w mazurze śpiewana: *Uciekła mi przepióreczka w proso*,—z któréj powstał krakowiak (Wac. z Ol. str. 151, N. 433): *Przepióreczka w proso, a kos na drzewinę—Dopierom ja poznał filutkę dziewczynę.*

Z drugiéj strony, kombinacya ptaków wodnych i powietrznych stworzyła krakowiak: *Leciały żórawie, płynęły łabędzie — Ponoć już z kochania mego nic nie będzie* (W. z Ol. str. 143, N. 350; por. str. 174, N. 655) — i drugi: *Latali gołębie, pływali karasie — Kiedy jeden kocha, to drugiemu zasie.*

Że pamięć tych podstawień do dziś dnia trwa i nie jest czczą hipotezą ich zasada, dowodzą następne pieśni szląskie. Jedna brzmi: *Po tych pszyńskich stawach biały łabęt pływał — Ten mój kochaneczek już o mnie zapomniał* (Roger str. 99, N. 180). Druga uzupełnia przenośnią wyraźném twierdzeniem tożsamości (Roger str. 104, N. 194):

Siałem *proso* na zawrocie, nie będę go żąć;
Piękne dziewczę miłowałem, nie będę go mieć.
....tylko jako łabęt byłem,
wieczorem jéj grawał....
W nocy nie spałem, przecię to dziewczę nie wziąłem.

W cyklu „Jaś i Kasia" (Kolb. *Pieśni* I, N. 5, str. 62, strofa 26) równie wyraźnie powiedziano: *Kasiuleczka pływa, jako ceraneczka— Nie wróci jéj ojciec, ani mateczka.* A tożsamość tak wyraźnie zaznaczona tłómaczy pieśni, które są przekształceniem *wesela wodnego*,

---

(1) Kolberg, *Lud* IV, str. 42, N. 188 i 189.— (2) Na Wołyniu w wilią Now. roku dziewki na wydaniu śpiewają o zgubie pasionych *kaczek*, szukająca trafia do Wasila orzącego w czystém polu (Bibl. Warszaw. III, 294, r. 1858).

a w których rolę młodzieńców, ratujących konno płynącą pannę lub wianek (1), grają „łabęty.“

W Wodném weselu jest: wicie wianka z ruty lub z czegoś podobnego, puszczanie go na wodę: z drugiéj strony wody jadą konni, śpieszy jeden ratować, tonie. W przeróbce jest:

Miałam ci ja złoty wianek, wpadł mi do wody.
Nie płacz (*bis*), nie lamentuj, bo mamci dwu łabętów,
Popłyną ci poń itd. (Roger str. 31, N. 5)

Téż same siwe łabędzie charakterystycznie występują w pieśni niby o rekrutach (Kozłowski str. 136, N. 5), w któréj z kolei następujące wzywanie przez topielca o pomoc różnych członków rodziny, wskazuje na przeróbkę z weselnéj, opiewającéj tonięcie państwa młodych (2). To skojarzenie obrazów, bynajmniéj nie będąc objawem nonsensu, owszem, przeciwnie stwierdza pierwotny związek symboliczny i rzeczowy tychże obrazów w praktyce pogańskiéj.

Jakby na potwierdzenie téj myśli, jedna pieśń (3) wyraża się dosadnie, jak to jest zwykła przenośnia: *Na téj lipie, na téj zielonéj, trzéj ptaszkowie śpiewali—Nie byli to ptaszkowie, ale kawalerowie.*

Najbardziéj nauczającą w kwestyi tych podstawień, jest pieśń zwana przez Woycickiego „*Przemiany*“, a dająca jakby klucz do powyżéj przedstawionego systematu podstawiania się metafor (4). W téj pieśni dziewczę, unikając chłopca, zapowiada: *A ja się stanę drobną ptaszyną, będę latała gęstą krzewiną.* Chłopiec oświadcza: *Mają tu cieśle takie topory— Co wycinają lasy i bory.*—Dziewczę: *A ja się stanę małą rybeczką—Będę pływała bystrą wódeczką,*—potém: *A ja się stanę dzikim kaczorem,*—wreszcie: *gwiazdką na niebie.* Jéj waryant podaje inne przeobrażenia dziewczyny: rybka, gołąb' (chłopiec w jastrzębia) kaczor i gwiazdka (5).

III.

Osobną grupę stanowią krakowiaki, w pierwszym wierszu wspominające studnię albo cembrzynę, i, jak to już poprzednio nadmieniliśmy, dość ściśle wiążące się z typem „koń“. I w téj grupie będą wielką pomocą pieśni większe, a nawet opowiadania prozaiczne,

---

(1) Kozłowski 43; Kolberg: *Pieśni* I, N. 16; W. z Oleska str. 507, N. 27. — (2) W. z Ol. str. 1—2, N. 1, str 9, N. 24, str. 226, N. 25, str. 163, N. 887, Konopka str. 54, str. 16, N. 97, por. Kolberg I. (Pieśni) N. 12 s.—(3) Kozłowski *Lud* str. 60, Kolberg *Lud* II, str. 175, Wacław z Oleska str. 504, N. 24.—(4) Wacł. z Oleska str. 417, N. 287. (5) Kolberg Lud IV, str. 19. N. 137.

które (wedle naszego przynajmniéj doświadczenia) powstawszy z formy rymowéj, nic dziwnego że z jéj treścią się zgadzają. Takie rozszerzenie zakresu porównywanych materyałów bynajmniéj nieszkodzi wartości rezultatów. Owszem; wyprowadza to na jaw, jak i dotąd to już mogliśmy zauważyć, pewną *powszechność* jednych i tych samych motywów, różnorodnie skombinowanych. Jesteśmy przez to świadkami ciągłéj, jakby, reperkusyi tych samych pojęć, myśli, obrazów w nowym a racyonalnym związku; tenże sam temat, mocą kunsztownéj stylistyki, mnoży się bez końca; mnóstwo zaś tych odmian tylko podnosi wrażenie, czy to ilości nigdy niewyczerpujących się podstawień, porównań, antytez itd. czy też stałości niewielu zasadniczych motywów. Na mniejszą skalę, to maestrya tegoż rodzaju, która z 3 nut w pewném tempie wydała *Sinphonia eroica* Bethowena. Grupa „cembrzyna" albo „studnia" jest może z tego względu najciekawsza, że, choć samodzielna, blizkie ma pokrewieństwo z grupą „woda", i z niéj wiele otrzymuje objaśnienia.

Typowy krakowiak z niniejszéj grupy brzmi: *Dudni woda, dudni, w cembrowanéj studni—Zakochać się łatwo, lecz odkochać trudniéj.* (Kozłowski *Lud* str. 286, N. 124, Wóycicki II, 208, N, 69).

Najogólniejszy sens tego krakowiaka leży w połączeniu myśli o miłości z wodą, zawartą w studni. Łatwo spostrzedz, że to zestawienie nie jest oderwane, nie stoi samotnie w literaturze naszéj. Tak np. powiastka kujawska o *wężu zaklętym* (1) niesie podanie o studzience, w któréj mięszka wąż zaklęty tj. młodzian w niego zaklęty; tylko temu zaś da wody zaczerpnąć wąż utrapiony, kto zechce być żoną jego. Podobny dziw-psisko mięszka w źródle i poślubia dziewczynę, która zgubiła grzechotkę i dzbanuszek w źródle, a to wedle tradycyi Czerskiéj (2). Pieśń weselna kujawska, nucona przy zdejmowaniu wianka pannie młodéj (tj. przy oczepinach) zawiéra taki obraz:

Zapłakana Maryś nad studnią chodziła,
Zielony wianyszek we wodzie zgubiła.
. . . .
Sięgajże go Maryś, sięgaj go aż do dna,
Jeszcze go dostaniesz, jeżeliś go godna (3)

Pieśń kolędowa krakowska (Konopka str. 94, 95) nuci: *W tym rajskim sadeczku lipka zielona—Oj pod tą lipką zieloną studzienka cembrowa*—i daléj opowiada, jak „Marya (M. Boska) umyła się," co jest zwykłém preludium miłosném, rodzi syna, i chce ryby (także symbol

---

(1) Kolberg III, str. 122, N. 4.—(2) Kozłowski *Lud* str. 296, por. Kolberg I, str. 296, Baliński *Powieści ludu* str. 130.—(3) Kolberg IV. str. 272, N. 36, str. 302, N. 76.

miłosny) jeść. U Podhalan (Zejszner str. 44 N. 25, str. 56, N. 58) śpiewają:

W lesie kochaneczka, w lesie studzieneczka,
Przy niéj frajereczka (kochanka) stoi, piórko (wianek) me wije ze zielonéj lelije.
Studzienna wodziczka pójdźmy chłopcy na nie,
Dyć se napijemy damy nic za nie.

Do tego można dodać okoliczność, że w Lubelskiém i na Mazowszu rano we wróżebny dzień ś. Jędrzeja, dziewczęta zaglądają do studni, by w niéj ujrzéć przyszłego męża (1).

Jeśli porównamy z sobą te szczegóły, zobaczymy w powieść ze studnią wplątane to małżeństwo wyraźnie i niewątpliwie, to przenośnie symboliczną utratę wianka, to wreszcie równoznaczne z tamtémi porodziny dziecka. Najpowierzchowniejsza znajomość nietylko podhalskiego, ale tyrolskiego i innych okolic, frajerowania, zmusza i wicie wianka przy studni, przez frajerkę, dla kochanka, wziąć za nowy synonim wyrazowy tego samego faktu, co i poprzednie.

W takim razie, taki waryant w rozbieranéj już przez nas pieśni (Kolberg I, *Pieśni* N. 5, mm, str. 59):

I przywędrowali na *stare studniska* (2)
Zdymaj że Kasiulu te srebrne sukniska.

straci barwę nonsensowego tylko rymu. Oprócz konia, wędrówki na nim dokonywanéj przez dziewczę z lubym, będzie to nowy dowód, że pieśń „*Jasio konie poił, Kasia wodę brała*“ zawiéra w sobie cały szereg faktów z cyklu weselno-miłosnego, że żaden najmniéj niby znaczący motyw nie jest użyty bez pewnéj zasady loicznéj.

Roli studni w innych obrzędach nie rozważamy (3). O ile studnia z żórawiem ma symboliczne, zmysłowe, znaczenie w stosunku do małżeństwa, również nie wchodzi to w nasz rachunek. Nie zaprzeczamy go bynajmniéj, ale sądzimy, że wyobraźnia pogańskiego Słowianina nie łączyła studni w ten sposób powszechny z małżeństwem, jak dajmy na to u Indyan i Greków łączył się moździerz i tłuczek, lub żarna (4).

---

(1) Wóycicki *Archiwum dom.* str. 574.—(2) Ciekawe etymologia daje zestawienia: *studnia* jest w związku z *w-stydem* i *studz-eniem*, w lot wyobraźnia stąd snuje obraz: w studni wstyd ginie.—(3) W Łużycach np. na górze Morani (koło Eilau) i Lerberg myją się w studni na Zielone świątki (*N. Lausitz. Magas.* 1829, 3 str.) Na nowy rok w Wogezach na studni w lesie stroją gaik (*Illustrirte Welt* 1857 str. 17—18), u nas z lasu „po moście“ idzie gaik.—(4) Godna uwagi, że najdawniejsze podanie o Ludgardzie, żonie Przemysława II, zabitéj z jego rozkazu, opisuje jéj śmierć w ten sposób, że została między dwoma kamieniami młyńskiemi roztarta (1283. *Mon. Bielow.* II, str. 849). Może te kamienie młyńskie zastępują pierwotniejszą wzmiankę o żarnach, także prokreacyjnego

Zdaje nam się, że grupa „studnia“ (cembrzyna) powstała na zasadzie synegdochy, biorącéj formę ogarniającą za treść (wodę) ogarnioną, i przyznając jéj samodzielność pewną, będziemy jednak tę grupę, ze względu na treść, za waryant „wody“ uważać. Co do studni, to byśmy chętnie widzieli w niéj dowód, jak pod wpływem cywilizacyi, stosunki życiowe dopełniają się w coraz ulepszonych warunkach. To się znaczy, że studnia (cembrzyna) dla nas jest fazą postępową, objawem skupiania się ludności we wsie, osady, z sztucznie tworzonémi zbiornikami wody, będącémi teraz tak miejscami poświęconémi scenom miłosnym (1), jak niegdyś woda, w jeziorach, strugach swobodnie cieknąca.

Wszelkie bowiem powody mamy mniemania, że podanie greckie, wywodzące Wenerę, boginią miłości, z wody (piany morskiéj), jest jakby kluczem wielu naszych przenośni i to tém łacniéj do słowiańskich stosunków się nadającym, że warunki topograficzne starożytnéj Słowiańszczyzny były odpowiednie, aby stworzyć takie metafory: wodno-miłosne.

Pomijając już imiona ludów słowiańskich jak Ligiowie (łęg, ług) i Wendowie (woda), bliskie z wodą mających stosunki, przypominamy Jordanesa wyrażenie, podające lasy i bagna za miejsce pobytu Słowian. Nestor w XII wieku jeszcze silniéj, niż Jordanes a nawet cesarz Maurycy, związał byt Słowian z wodą, w naszych pojęciach, zapisując w swéj kronice (*Mon.* Biel. I, str. 559), że śluby u Drewlan nie istnieją, lecz dziewczęta porywają sobie mężczyźni „u wody.“

Ta jedna wiadomość dziejowa, związek małżeński z wodą topograficznie łącząca, wystarcza (naszém przynajmniéj zdaniem) do nadania studni, w naszych krakowiakach lub pieśniach wspominanéj, roli jedynie: odmianki tekstowéj, waryantu zwyczajnego. Ów bowiem fakt dziejowy, u Nestora zapisany, na równi ze studnią poetyczną, stawia cały rój jednoznaczników (synonimów) i zjawisk mających wspólne źródło w fakcie małżeństwa u wody.

W samych utworach ludowych mamy wskazówki, że studnię brano za ekwiwalent wody, np. rzecznéj. Tak np. na Wołyniu druga

---

w mitologii znaczenia. Długosz z roczników lub z życia zaczerpnął wieść, o opiewaniu téj zbrodni książęcéj, przez lud, a głównie o powtarzaniu jakoby skarg zabijanéj, proszącéj o odesłanie do rodziców, choćby w koszulce jednéj (Długosz IV, str. 469—470, 481, 533) Są to istotnie, jak by skargi dziewczyny z „Jasia i Kasi,“ także rozbieranéj przez kochanka-męża, a trzeba zauważyć, że młyn (*totum pro parte*) gra w utopieniu téj Kasi niemałą rolę. Wszakże główną tu rzeczą jest woda (patrz niżéj)

(1) Porównać jeszcze biblijną scenę—Elezara i Rebeki, i z dzisiejszego Wschodu, lub Ukrainy schadzki u studni.

strofa pieśni w Nowy rok przez dziewki na wydaniu śpiewana (1) opiéwa, jako dniestrowę wodę piją, na kamieniu nogi myją, fartuch moczą, a wiatr go suszy (por. fartuszek w „Gąsiorze"). W pieśni ruskiéj weselnéj, nuconéj przy powrocie ze ślubu (2), występuje dyalog identyczny sokoła (pana młodego) z kumą: *gdzieś kumo była, żeś nogi zbrudziła, wianek* (pironka) *zrosiła?— Wodę studzienną* (zam. Dniestrową) *piła, i tam nóżki zbrudziła i wianek zmoczyła.*

A kiedy na Mazowszu i w Lubelskiém, jak wspomniano, dziewczęta w studni dopatrują wizerunku swego przyszłego, to w Sandomierskiém, miejscem podobnych wróżb jest rzeka, strumień, lub staw (3).

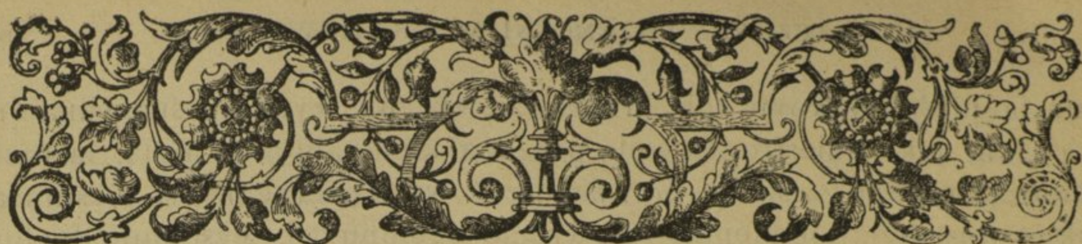
Kiedy znowu w już znanéj nam pieśni oczepinowéj kujawskiéj dziewczę, stając się panną młodą, gubi wianek w studni i próżno sili się go dobyć (4), to pieśń szląska podaje waryant o tymże wianku, wpadającym do wody wogóle (5), a pieśń Podhalan, górali karpackich (6) głosi: *Topi się, topi się, mój wianeczek topi—Poniżéj „majerza" łapają go chłopi.* Ten majerz, albo minior (Zejszner str. 74, N. 219), jak go inaczéj zowią Podhalanie, wyjaśnia nam nazwę studzienki, gdzie smok v. robak, a przyszły mąż siedzi i czerpiącéj wodę mówi (w kujawskiém podaniu): *Jeśli będziesz ślubowała,* z *tego m o r z a będziesz brała.*

W pieśni zaś *„Jasio konie poił, Kasia wodę brała"* (Kolberg: *Pieśni* I, N. 5) — z zastąpieniem tylko wianka przez kobietę (o czém niżéj)— mamy waryanty: stawik, dunaj, zimny zdrój, morze (str. 37, litera *l*), zwane téż stawiczkiem, czerwone morze (litera *gg*, str. 55), czyli dunaj, studniska, a spotkanie odbywa się u zdroju zimnego, u bieżącéj wody (lit. *qq*, str. 63), lub studzieneczki (lit. *oo*, str. 59), co daje toż samo co wyżéj równanie.

---

(1) Bibl. Warsz. 1858, III, str. 299 pierwsza o pasieniu kaczek. — (2) W. z Oleska str. 11, N. 29. — (3) Gloger: *Obchody weselne* I, str. 51—52. — (4) Kolberg III, str. 272, N. 36; str 302, N 76; str. 318, N. 104. — (5) Roger str. 31, N. 37. — (6) Zejszner str. 75, N. 221. Pieśń z pod Piątku i Kutna (Łęczycko-gostyńska) weselna, wyraża się jak poprzednie: *Już to po sprawie* (bis)— *Utopiłaś swój wianeczek w tutejszym stawie* (Bibl. Warsz. 1847, IV, str. 657, N. 44). W wieluńskiém po oczepinach (str. 593, N. 78) wianki spadają do wody: *Łabędź płynie, wianek tonie do samego dna — Juści, juści ty, bladuniu* (? blada) *wianka niegodna.*

Ernest Sulimczyk Swieżawski.



Czyż to nie wiersze Reja?

(Nieznane polskie i łacińskie wiersze politycznéj treści 1548—1551, wydał Józef Korzeniowski. Kraków. 1886, str. 36).

Wiadomo, jak wiele utworów Mikołaja Reja, zwłaszcza drobniejszych, zaginęło. Z wyliczonych przez jego biografa, Jędrzeja Trzycieskiego, dwudziestu kilku pism i pisemek, mało co więcéj nad połowę znamy dzisiaj. O odszukaniu reszty prawie zwątpiliśmy. Dlatego téż, gdy nam błyśnie nadzieja, że przecież ona nie nawieki stracona, doznajemy radości niemałéj. Zdaje mi się, że obecnie znajdujemy się w tym wypadku. Rzecz tak się ma.

P. Józef Korzeniowski, młody badacz literatury polskiéj, wnuk znakomitego autora, w rękopiśmie należącym do archiwum ks. Czartoryskich odkrył kilka utworów dotychczas nieznanych i ogłosił je w wypisanéj pod nagłówkiem książeczce. Jest ich pięć: dwa w języku łacińskim, trzy w polskim. Łacińskie nie posiadają donioślejszego znaczenia; jeden jest miękką satyrą, ułożoną ze słów Pisma ś. na króla i dwu senatorów, Maciejowskiego i Tarnowskiego; drugi pochwałą Mikołaja Radziwiłła Rudego; ironii, przypuszczanéj w tym wierszu przez wydawcę, dopatrzyć się trudno. Co do wierszy polskich, mamy tu najprzód nagrobek dla Barbary Radziwiłłówny, w dwu miejscach niezbyt szczęśliwie wspomnieniami mitologicznemi upstrzony: (Szczęście) „potym mój stan tak wyniosło, iżbych wyższego nie dostała, Bych Jowisza ojca miała"; — „Straciłam powagę onę, któréj i Dido nie miała, Gdy na świecie królowała." Najpiękniejszy jest cztérowiersz końcowy: „A karz się moją przygodą, A nie ciesz się stanem, urodą, Wszystko to śmierć zmieni snadnie; Przed tą się nikt nie ukradnie." Najważniejszemi atoli i najciekawszemi są tu dwa następne wiersze: 1) „Rzecz pospolita polska chramiąc tuła sie po świątu szukając pomocy a narzeka na swe Pany, iż o nię nie dbają. Anno 1549" i 2) „Kot ze lwem rosprawia o swobodzie a o niewoli." Pierwszy z nich ma najwidoczniéj charakter polityczny; jest satyrą

na rozwielmożniającą się w kraju prywatę wogóle, a na „jad niewieści“ i duchowne rządy w szczególności; przyczém dotkniętą została sprawa małżeństwa Zygmunta Augusta z Barbarą, a ci senatorowie, co tę sprawę popierali, wystawieni na ostre przymówki. Autorem musiał być, jak słusznie zauważył wydawca, zwolennik dążności reformacyjnych, niechętny małżeństwu królewskiemu i całemu stronnictwu, co je pochwalało. Ale dlaczego wydawca uważa go za „człowieka humanistycznie wykształconego“, dociec niepodobna, gdyż dwie wzmianki, wspominające o walkach „wnętrznych“ pomiędzy Grekami i o „Trojéj“, jako w niéj „Ilium skażono, przez niewiastę z gruntu wywrócono“, nie mogą być przecież dowodem specyalnie humanistycznego wykształcenia, bo znać w nich tyle tylko humanizmu, ile go znajdujemy w pismach Reja, którego przecież nie tylko za humanistę nie uważamy, ale go owszem jako pisarza rodzimego przeciwstawimy prądowi, który z każdym rokiem w połowie XVI stulecia zyskiwał zwolenników. Jeżeli odłożymy na bok te cząstki utworu, gdzie jest mowa o królu i senatorach mu sprzyjających, a więc o okolicznościach ściśle z datą pisemka 1549 związanych, to w pozostałéj jego części, znacznie obszerniejszéj, znajdziemy poglądy te same, jakie w pismach Reja napotykamy. Najbliżéj zaś spokrewnione z tym wierszem będą chyba „Krótka rozprawa między panem, wójtem i plebanem“, oraz „Przemowa krótka do poćciwego Polaka stanu rycerskiego.“ Trzy te utwory są-to satyry polityczne w duchu czysto-rodzimym przeprowadzone, z tą różnicą, że „Przemowa krótka“ jest więcéj dydaktyczną, a „Rozprawa“ i wiersz obecnie drukiem ogłoszony więcéj satyryczne. To też sądzę, że autora téj właśnie przez p. Korzeniowskiego wydrukowanéj satyry szukać należy nie w kim innym tylko w Reju. Wszak Trzycieski świadczy, iż Rej „napisał też *narzekanie na nierząd polski*“, a wspomina to w tém miejscu biografii, gdzie mówi o „przemowie do poćciwego Polaka“, o „zbroi rycerza chrześciańskiego.“ Czyż to niedość wyraźna wskazówka, zwłaszcza gdy ją połączymy z dowodami, które w wierszu, języku i poszczególnych wyrażeniach znaleść można. Co do wiersza, jest w tém Narzekaniu Rzeczypospolitéj takaż sama rozmaitość form wierszowych jak w Żywocie Józefa, a wprowadzony przez Reja wiersz 13-zgłoskowy ze średniówką po 7 zgłosce, który w Żywocie Józefa dość często napotykamy, widzimy i tutaj w przemowaah „Statutu“ i „Sejmu.“ Tok wiersza, porównania i przenośnie są zupełnie takież jak w pismach Reja. To co mówi „Statut“ jest wybornym zarysem tego, co naprzód w „Krótkiéj Rozprawie“ a późniéj w „Przemówie krótkiéj“ w rozdziałku „Sprawiedliwość“ szerzéj rozwinął Rej. Przemowa „Żony“ jest tak znamienna, że trudno ko-

mu innemu ją przypisać jak naszemu Rejowi. Mówi ona do Rzeczypospolitéj:

Czemu na nas, *pokuso*, powstajesz,
Srogo mówisz, wszystkim grożąc łajesz,
Ukazujesz nam na przyszłe czasy,
Ganisz nasze srebrne, złote pasy...
Powiedasz być wszystko to utraty
Iż ty sama *odrapano* chodzisz
Idź precz rychléj, *nędzo pospolita!*...

Dodam jeszcze jeden drobiazg charakterystyczny; wyraz *niestotes* (niestetyż), który mamy w „Narzekaniu“, znajdujemy w téj saméj formie bardzo często w Żywocie Józefa.

I drugi też wiersz, ogłoszony przez p. Korzeniowskiego, to jest rozprawę kota ze lwem, ośmielam się przypisać również Rejowi. I znowuż powołać się mogę na świadectwo Trzycieskiego, który w życiorysie Reja wyliczając jego utwory, powiada: „Pisał też *dla dobrych towarzyszów* dyalogi rozliczne: Kosterę z Pijanicą, Warwasa z Dikasem, *lwa z kotem*.“ Do tego świadectwa dodam uwagę, iż język, wiersz i styl dyalogu ogłoszonego przez p. K. w niczém nie są odmienne od języka, wiersza i stylu Rejowego. Wiersz w tym dyalogu 8-zgłoskowy takiż sam jak w „Krótkiéj rozprawie między panem, wojtem i plebanem“, a wyrażenia: „kto zna, niechaj każdy powie“, „liczy się nam być w rodzie“, „bo sie czasem więcéj wlewa tam, gdzie sie kto nie nadziewa“, „aleć to snać pańska roskosz siedzieć jako w gniaździe kokosz“ i t. p. są czysto Rejowskie. Pomiędzy rosprawą kota ze lwem a Narzekaniem Rzeczypospolitéj jest ścisłe powinowactwo nie co do tendencyi politycznéj, bo téj w rozprawie kota ze lwem wcale nie widzę,—ale w stylu. Wydawca uznając tę rosprawę za polityczną, trudził się bezskutecznie odgadywaniem jéj znaczenia i skarży się na niezrozumiałość. Jeżeli ją będzie uważał za dyalog moralny pisany dla „dobrych towarzyszów“, jak go nam Trzycieski zarekomendował, nie znajdzie, jak sądzę, zawiłości żadnych, gdyż myśl, że lepiéj biednemu i niepokaźnemu kotowi na swobodzie niż lwu w klatce bardzo jasno w całości została rozwinięta, a we wzajemnych lwa i kota zarzutach żartem okraszona.

Rozwój myśli głównych w tym dyalogu tak się przedstawia. Kot widzi lwa w klatce i dostrzega, że to ktoś z jego rodu, bo „ogon, twarz i postawa, poirzenie i każda sprawa podobno ku kotowi.“ I lew ujrzawszy kota nie przeczy podobieństwu, ale go lekceważy, gdyż widzi w jego łbie „płochą sprawę.“ Kot w odpowiedzi swojéj lwu uwydatnia swoję wolność a lwią niewolę i dodaje, że „u nas każdego *zufalca*, by nad cię był na dwa palca, który jedno z płochą głową, to każdem kotem zową“, że „zacny to dziś dom na świecie, pełno go w każdym powiecie“, i że lewkowie by skakali, gdyby napadli ich „ci stryjowie.“ Lew wyzyskuje tę odpowiedź i przedrzeźnia wy-

rażenie, iż *zufalca* zowią kotem. Kot znowuż zaznacza czyny swego rodu powiadając, jak kot jeden u Jacimierza zbódł był czystego rycerza, acz się przed nim bardzo często pławił. Wtedy lew wyśmiewając ten czyn opisuje często w XVI wieku wspominane *ciągnienie kota*: „Przeciągną powróz przez wodę, A pewnie komu na szkodę, Przywiążą kota u końca, Zdrugą stronę drugi gońca; Dawaj, dawaj zawołają, Za powróz wszyscy chwytają, To sie pan ani obaczy, Gdy sie ajwo przemknąć raczy, Nie wie co rzec szalony trup, Łapa brzegu a woła hup, Wywlecze chwastu na sobie, Więc się tu stojąc w łeb skrobie.... Otrząsa sie, by właźni był, Ano sie tak nachyłkiem zmył.“ Kot odgryzając się za to szyderstwo przypomina starą gadkę, iż lew boi się kura; lew zaś odpowiada, że to wymysł tych co „czytają herbarze“ (zielniki) i opisuje strach koguta, którego schrupał. Rzecz cała kończy się przemową kota, który wraca do swéj pierwszéj myśli, że nędzne to królowanie w klatce i że już lepsze chyba jego swobodne „kotostwo.“ „Ja przy swobodzie zostawam—powiada—a ty już tak, panie bracie, racz królować tu w téj kracie.“

Nie mogę się też zgodzić na potępiające zdanie wydawcy, jakoby utwór ten nie zalecał się ani formą, ani treścią, gdy przeciwnie w Narzekaniu rzeczypospolitéj widzi p. K. „język silny i energiczny, myśl częstokroć głęboką, plastyczność wyrażenia i zjadliwy dowcip satyry.“ Zdaje mi się, że pokonana trudność w odgadnięciu aluzyi politycznych zawartych w Narzekaniu Rzeczypospolitéj ozłociła wydawcy ten utwór, gdy przeciwnie mozół bezowocnie w tymże celu przy rozprawie kota ze lwem poniesiony zbyt obniżył w jego oczach jéj wartość. Dla mnie przynajmniéj oba utwory pod względem stylu i kompozycyi stoją zupełnie narówni i wykazują jednego autora. Nie cenię ich tak wysoko jak p. K. „Narzekanie Rzpltéj“, ani tak nisko jak dyalog kota ze lwem. Gdyby przypuszczenie moje okazało się słusznéin, mielibyśmy utwory Reja uważane dotąd za zaginione.

Ale jakiegoż można oczekiwać na to dowodu? Gdyby się wynalazły druki pierwotne tych dwu wierszy („Narzekania“ i rozprawy kota ze lwem), które istniéć musiały, toby wówczas chyba nikt nie wątpił, iż są utwory, o których mówi Trzycieski jako o pismach Reja. Na nich niewątpliwie nie byłoby wyrażonego nazwiska autora, bo Rej, jak wiadomo, nie podpisywał dzieł swoich; cóżby tedy w tych drukach było bardziéj przemawiającego za jego autorstwem. czego by obecnie, gdy posiadamy tylko rękopisma, przywieść na potwierdzenie nie można. Zdaje mi się, że świadectwo Trzycieskiego oraz świadectwo wiersza i stylu powinny nam wystarczyć, ażeby ogłoszone obecnie Narzekanie Rzpltéj i rozprawę kota ze lwem uznać za pisma Reja.

P. Chmielowski.



PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Osaczony, komedya w 5-ciu aktach przez Edwarda Lubowskiego, przedstawiona w teatrze Rozmaitości w maju r. b.

Konkurs dramatyczny imienia Wojciecha Bogusławskiego nie tylko wywołał nadzwyczajną, dotąd na żadnym innym nieujawnioną w tak rozległéj mierze produkcyą, ale nadto wykazał istnienie talentów młodych, które w literaturze jeszcze poznać się poprzednio nie dały. Z 70 sztuk nadesłanych na konkurs, trzem przyznano nagrodę a kilka zaszczytną z pomiędzy innych wyróżniono pochwałą. Otóż i w jednéj i w drugiéj kategoryi utworów przeważają nazwiska nieznane; dwu bowiem tylko autorów głośnych (pp. Lubowski i Bałucki) odznaczono albo nagrodą albo pochwałą; reszta zaś sztuk nagrodzonych i pochwalonych to dzieła ludzi, którzy odtąd dopiero mogą być zaliczeni do naszych sił literackich.

Z utworów, przez konkurs nagrodzonych, jeden tylko dotychczas dostał się na scenę i w zupełności usprawiedliwił wobec ogółu tę przynajmniéj stronę sądu konkursowego, że i téj sztuce wśród innych przysądzono nagrodę. Autorem tak zaszczytnie z dwu stron wyróżnionego dzieła jest znany komedyo-i powieściopisarz, p. Edward Lubowski, a dzieło samo nosi napis „Osaczony“.

Miejscem akcyi jest Galicya, a tłem, na którém się ona rozwija, wybory do rady państwa. Na tém atoli tle polityczném nie uwydatnia autor politycznych pobudek działania; co więcéj, w motywach postępowania kierownika głównego nigdzie nie spotykamy jakichś interesów majątkowych, lub daleko sięgających planów ambicyi, któreby pod pokrywką uczuć obywatelskich chciał przemycić; ale tylko same czysto indywidualne i to chwilowe powody, których inaczéj jak zachciankami nazwać nie podobna. Z tego względu komedya nie przybiera i przybrać nie może szerszego charateru satyry po-

lityczno-społecznéj, lecz się obraca ciągle, jak wszystkie prawie nasze utwory tego rodzaju, w sferze stosunków towarzyskich i studyów charakterowych, pożyczając jedynie specyalnego zabarwienia od tych czynników, które tkwią w życiu parlamentarném. Nie myślę bynajmniéj robić stąd zarzutu autorowi; artysta bowiem ma i powinien miéć wszelką swobodę zarówno w wyborze tematu jak w sposobie jego oświetlenia, a krytyk nie ma prawa narzucać mu swoich poglądów; to téż powyższemi uwagami chciałem tylko zaznaczyć charakter komedyi pana Lubowskiego, ażeby zgodnie z tym charakterem przedstawiła się czytelnikom analiza całości.

Pierwszym kierownikiem akcyi dramatycznéj jest książę August. Potomek-to osławionych w byłéj Rzeczypospolitéj oligarchów, którzy zawsze chcieli prowadzić politykę na własną rękę, najczęściéj wprost przeciwną téj, jaka dla istotnego dobra kraju była pożądaną. Książę August nie może już na tak wielką jak jego przodkowie skalę ciągnąć korzyści z dobra publicznego na rzecz kastowego czy indywidualnego samolubstwa; bo się zmieniło ogólne położenie narodu; ale we wszystkich możliwych kierunkach zdolny on jest do lekceważenia tego dobra i spożytkowywania go dla siebie. Obdarzony umysłem bystrym, wykształcony encyklopedycznie, władający słowem dowcipu i sarkazmu biegle, nie mając skrupułów moralnych żadnych, ani téż wrzących namiętności, przy zdarzonéj porze, mógłby wyzyskiwać ludzi i rzeczy jaknajswobodniéj i jaknajkorzystniéj. Ze wszystkich zawikłań potrafi się wyplątać bardzo zręcznie, tak że na niego samego cień niekorzystnego podejrzenia nie pada nigdy, bo to, czego on chce dokonać, dokonywa za pośrednictwem ludzi, którzy za niego pracują i za niego cierpią karę śmieszności czy niepowodzenia. P. Lubowski ukazał go nam w drobnéj ostatecznie sprawie, ale okazał w taki sposób, że możemy sobie odtworzyć całość jego fizyonomii moralnéj.

Książę August jak i ród jego popierał kandydaturę Władysława Wrzeckiego, ktory był uważany za konkurenta Jadwigi, siostry hrabiego Stefana, skoligaconego z księciem. Naraz przychodzi mu myśl zastąpienia Wrzeckiego samym hrabią Stefanem, niedołęgą umysłowym i fizycznym, nie posiadającym prócz powierzchownéj ogłady zalet żadnych. Skąd myśl ta zjawiła się w głowie księcia? Oto dostrzegł on, że żona hrabiego Stefana, Iza, kobieta namiętna, pełna życia i dowcipu, kocha się we Wrzeckim; chce ją tedy ratować pomimo jéj woli, nie w tym naturalnie celu, ażeby ją od upadku moralnego powstrzymać,—bo taka myśl apostolska daleka jest od przewrotnéj i cynicznéj natury księcia,—ale dlatego, ażeby wyprawiwszy męża do Wiednia, módz z jego żoną swobodnie czas przepędzać.

Rozumie się, że takie postanowienie nie wynika u księcia z pobudek namiętności, ale jest tylko chwilowym kaprysem człowieka, który ma umysł potrzebujący zatrudnienia i dużo czasu wolnego. Urzeczywistnieniu téj zachcianki oddaje się z całym uporem samoluba i z całą bezwzględnością cynika. Sprzymierza się, oczywiście chwilowo tylko, z ludźmi, których lekceważy lub którymi pogardza, używa podstępów, plotek i oszczerstw, ale tak zręcznie, żeby późniéj módz pozostać czystym od posądzenia, iż od niego cała intryga wychodziła.

Najczynniejszym sprzymierzeńcem i najskuteczniejszém narzędziem księcia jest redaktor Koszyrski, człowiek nikczemny i wstrętny. Istotnym rysem jego charakteru jest, tak samo jak u księcia, olbrzymio rozrośnięte samolubstwo; przejawia się ono jednak u niego, z powodu odmiennego położenia towarzyskiego i majątkowego, całkiem inaczéj. Nie imponuje on jak książę, bo nie ma czém; czołga się natomiast na podobieństwo płazu. Jak wąż ale częściéj niż wąż zmienia skórę to jest przekonania i poglądy, których w swéj gazecie ma być przedstawicielem i rzecznikiem. Gdy mu zabłyśnie nadzieja wejścia na salony arystokratyczne, a co większa, znalezienia tam posagu i protekcyi, będzie twierdził, że zawsze w głębi duszy wyznawał idee zachowawcze i że natura jego zawsze dążyła do sfer odznaczających się dobrém wychowaniem i smakiem wykwintnym. Gdy mu gwiazda téj nadziei ściemnieje, powie, że było to chwilowe obłąkanie, które mu łatwo przebaczą bracia demokraci, gdyż on nigdy nie był zdolny do stałego wytrwania w arystokratycznym świecie udawania, fałszu i zepsucia, gdyż on zawsze w piersi swéj miał gorące ukochanie dla mas biednych i uciśnionych.

Książę August zna doskonale wartość moralną Koszyrskiego i we właściwy sobie sposób z nim postępuje. Dopóki pomoc jego publicystyczna jest mu potrzebna, pochlebia mu półgębkiem, potakuje jego pretensyom arystokratycznym, udaje że wierzy w bajkę o księżniczce Koszyrskiéj,—ale do poufałości nie przypuszcza go nigdy, ręki nie podaje mu ani razu. Gdy mu już zbytecznym się okazuje, wtedy z grzeczną wprawdzie zawsze, ale do żywego docinającą ironią trawestuje swoje poprzednie zachowanie się, wykrywa w sposób dotkliwy właściwości natury Koszyrskiego, który za jedyną swą posiadłość ma frazes, a w końcu bez ceremonii, z zimną pogardą wielkiego pana, wskazuje drzwi byłemu sprzymierzeńcowi. Zewnętrznie czy raczéj powierzchownie rzecz biorąc, Koszyrski tylko w komedyi przedstawia się jako łotr; ale w gruncie rzeczy jest nim i książę August, gdyż we wszystkich nikczemnościach przewrotnego redaktora bierze udział. On dopuszcza, żeby Wrzecki został zniesławiony naj-

przód zarzutem o wątpliwéj czystości majątku, który po ojcu odebrał, a potém zarzutem przywłaszczenia sobie pewnéj sumy, gdy był plenipotentem hrabiego Stefana; sumienie jego nie wzdryga się na użycie tych nikczemnych środków; dla niego bowiem wszystko i wszyscy są drobnostką, są igraszką istniejącą na to, aby go w nudach rozerwać. Koszyrski został ukarany, bo się sromotnie skompromitował; książę August nie doznaje żadnéj kary, bo że jego planik na hrabinę Izę nie udał mu się, gdyż Iza wraz z mężem do Wiednia wyjeżdża, to dla niego nawet wielką przykrością nazwać się nie może, ponieważ namiętność w tym planie roli nie grała. Wolno oczywiście uważać takie ustosunkowanie odpowiedzialności za winy jako niesprawiedliwe, ale trzeba zaraz dodać, że komedyopisarz miał najzupełniejszą słuszność, w ten sposób je przedstawiając, gdyż w świecie pozorów pozory muszą mieć najdonioślejsze znaczenie. Koszyrski odsłonił się całkowicie, jako twórca oszczerstw i potwarzy na Wrzeckiego; książę August zaś umiał tak się zachować, iż nań posądzenia ciążyć nie mogły, a końcowém znalezieniem się wobec Wrzeckiego, nasuwał nawet myśl ludziom, iż zawsze był po stronie prawości i uczciwości. Prócz tego Koszyrski był biedny i wpływów wielkich nie posiadał, książę August zaś miał do rozporządzenia i majątek i stosunki. Nic więc dziwnego, że w tym świecie, w którym żyli, nie jedną wagą odważono ich postępki i nic dziwnego, że Koszyrski wyśmiany został i zniesławiony, a książę August dawną swą opinią bez zmiany wśród społeczeństwa utrzymał.

Te dwie postaci są w komedyi p. Lubowskiego najznakomitsze i najwszechstronniéj przedstawione; ale ponieważ w ich istocie wiele jest rysów subtelnych, ponieważ dla należytego ich zrozumienia i ocenienia potrzebny jest rozmysł głębszy, nie one robią na scenie efekt największy. Jeszcze Koszyrski, rozporządzający jaskrawemi frazesami, uwydatnia się lepiéj i zapisuje się w pamięci na dłużéj. ale książę August (po części z winy aktora) nie występuje na plan pierwszy, jak być powinno, gdyż i ze stanowiska swego w dramacie i z częstego znajdowania się na widowni najzupełniejsze ma do tego prawo.

Natomiast natury płytsze, a więc łatwiejsze do ogarnięcia myślą i osądzenia, takie jak hrabia Stefan i redaktor Bicki, lubo mniéj doniosłe odgrywają role, wystąpiły na scenie bardzo wyraziście, do czego się naturalnie przyczyniła w wysokim stopniu dobra gra artystów (pp. Rapackiego i Wolskiego).

Hrabia Stefan nic nigdy z własnéj inicyatywy nie robi i robić nie może, gdyż brak mu nie tylko sprytu i energii, ale prostego rozsądku i woli; brak mu i fizycznie i moralnie warunków do działania

samoistnego. Ażeby coś przedsięwziął, potrzebuje koniecznie popchnięcia z zewnątrz. Kieruje nim książę August lub żona. I dopóki trwa ta ich elektryzacya, dopóty hrabia Stefan wydaje się osobistością działającą, a przynajmniéj wyobrażającą sobie, że działa; gdy impulsu zbraknie, czuje się on jak pływak nieumiejętny na niewielkiéj wodzie; nie tonie, bo niéma gdzie, ale okazuje wszystkie objawy niezaradności. Że jest panem domu, trzeba mu to przypominać, bo nigdyby nie wpadł na myśl podobną; że i on może starać się o zostanie posłem, nigdy mu nie przeszło przez głowę i dopiero słowa księcia Augusta budzą w nim złudzenie świadomości o swoich ku temu kwalifikacyach. Środków ku osiągnięciu roznieconego w duszy jego zamiaru sam nie przedsięwziąłby żadnych, na spotwarzenie przeciwnika nie zdobyłby się nigdy; bo jako lalka salonowa nie ma wyobrażenia o czémś inném jak o formach znalezienia się powierzchownego w salonie; ale na wszystko zezwoli, na wszystko się zgodzi, nie czując ani odrobiny niechęci do faktu zohydzenia nazwiska swojego znajomego, konkurenta swéj siostry, we własnym swym domu. Nic nie odczuwa samoistnie, więc téż i popełnionych w jego interesie niegodziwości nie czuje ani tak jak wyniosły i lekceważący wszystkich książę August, dla którego są-to drobiazgi niewarte długiego zastanowienia, ani tak jak Koszyrski, który w nich widzi środki swego wyniesienia, a więc poczytuje za konieczność nieuniknioną dla własnego samolubstwa. Gdy ma miéć mówkę przed wyborcami, żona jego obiecuje mu dać znak za pośrednictwem dzwonka elektrycznego, kiedy zabrnie a więc kiedy powinien przestać; i rzeczywiście dzwonek ten odzywa się dwukrotnie i przymusza biednego Stefana do przerwania oracyi w chwili, gdy zasady swe polityczne miał wygłosić, a więc w samę porę. Podobnież, gdy po wyjaśnieniu sprawy Wrzeckiego tak sponiewieranego w domu hrabiego Stefana, wypada temuż obrać jakieś określone stanowisko, gdy siostra jego Jadwiga oświadczyła chęć dzielenia losów „osaczonego", nie byłby biedak umiał sobie dać rady, gdyby mu książę August giestami i mową nie przyszedł z pomocą i nie pokierował całą sceną w ten sposób, że wszystko co zaszło musiało być uważane za niebyłe.

Redaktor Bicki to wyborna postać warchoła demokratycznego. Złym i przedajnym jak Koszyrski on nie jest; do progów pańskich się nie pnie, owszem z pewną Dyogenesowską ostentacyą popisuje się zaniedbanym ubiorem swoim i niedbałością o zachowaniu form towarzyskich; ale ma jednę nieposkromioną pasyą, która go prowadzi nieraz w błoto, lubi do wszystkiego się mieszać i miéć o wszystkiém jaknajświeższą wiadomość. Znieważać i spotwarzać umyślnie ludzi on nie pragnie, lecz kocha się namiętnie w wykrywaniu zdroż-

ności ludzkich i piętnowaniu ich w swoim dzienniku; a ponieważ stara się z umieszczeniem wszelkich wieści w piśmie swém uprzedzać innych, więc nie ma czasu na sprawdzanie, a wskutek tego drukuje bardzo często fałsze i staje się narzędziem w ręku przebieglejszych, bo chłodniejszych podszczuwaczy. On gotów za wprowadzenie siebie w błąd i obić tego, co mu wieści udzielił, i odwołać potwarz, ale ze słabości swéj do chwytania nowinek w lot nie wyleczy się, bo bez téj słabości nie rozumiałby istnienia swego jako dziennikarza. I tu w „Obsaczonym“ jest on narzędziem, za pośrednictwem którego rozpowszechnia Koszyrski potwarze na Wrzeckiego, najmocniéj w danéj chwili przekonany, że Wrzecki to wrzód społeczny, który rozpaloném żelazem z organizmu wydalić należy. Głosuje wraz ze swoimi mieszczanami, których trzyma w despotycznym rygorze, za hrabią Stefanem, gdyż swego kandydata przeprowadzić nie mógł, a wszystko mu jedno, kto z większych posiadaczów zostanie posłem. Głosuje bezinteresownie, gdyż propozycye hr. Stefana odrzuca z pogardą, głosuje dlatego tylko, ażeby żadna czynność bez jego spółudziału się nie obeszła.

Zupełném przeciwieństwem Bickiego jest Korbaczewski. Temperament jego flegmatyczny nie dozwala mu silnie odczuwać ani złego, ani dobrego, a więc też nie powoduje w nim wystąpień stanowczych. Ma on uczucie poczciwe i szlachetne; gotów się rąbać z oszczercami, ale gdy mu wielu ludzi powie, że broniony przezeń jest nikczemnikiem, gotów w to uwierzyć w końcu nie tyle przekonany, ile znudzony gadaniną. Mało zresztą myśli i chętnie grą w karty chwile wolne od pracy zabija. Żona mówi za niego, a że jest najczęściéj przeciwnego niż mąż zdania, ztąd w Korbaczewskim wyrabia się skłonność do milczenia, gdyż prowadzić ciągłéj walki na słowa z niewielką nadzieją powodzenia nie chce. Gdy znajduje się w otoczeniu uczciwych jednostek, mówić i działać będzie jak człowiek rozumny i uczciwy. Figura ta doskonałą być mogła, szkoda, że ją autor zbyt w cieniu zostawił.

Do takich uczciwych i rozumnych należy redaktor Strzembosz, przyjaciel „Osaczonego“ wierny jego sprawie od początku do końca. Na skreślenie jego sylwetki komedyopisarz mało dostarczył rysów. Wiadomo ogólnie, że dodatnie postaci w komedyi od dawiendawna zarówno w innych literaturach jak i u nas są poprostu szablonowe. Nie ustaliło się jeszcze przekonanie a w każdym razie nie weszło jeszcze w kreacye sztuki, iż dodatnie osobistości nie potrzebują być wcale wzorami doskonałości bez drobnych wad, usterek i śmiesznostek, innemi słowy bez cech wyraźnéj indywidualności. Wogóle postaci te złożone są z pierwiastków ogólnikowych: rozumu

w mierze, uczciwości nieposzlakowanéj, skłonności do mówienia tyrad dosyć długich i dosyć nudnych. Strzemborz w komedyi pełni dwojaką funkcyą: protestującego przeciwko wyborowi hr. Stefana i zwiastuna oszczerstw miotanych na Wrzeckiego: rola-to bądź-co-bądź nie zbyt dramatyczna.

Równie bezbarwną jest druga dodatnia postać, tj. sam tytułowy bohater, Władysław Wrzecki. Działa on bardzo mało i na scenie ukazuje się rzadko; co robi, tego dokonywa za kulisami. Wobec widzów odgrywa scenę Józefa biblijnego względem hrabiny Izy i czułego kochanka względem hrabianki Jadwigi. Mówi dobrze i bez patosu; to stanowi jego wielką zaletę.

Z postaci kobiecych jedna tylko hrabina Iza ma silnie zarysowaną indywidualność. Wyszedłszy ze względów towarzyskich za hr. Stefana, znanego już nam niedołęgę, żywa i namiętna, spragniona uczucia, pokochała Wrzeckiego, magnetyzowała go wzrokiem, pociągała rozmową i półwyznaniami; zdawało się jéj że w jego sercu obudziła również miłość dla siebie. Łudziła się: Wrzecki miał dla niéj tylko uczucie litości i przyjaźni, kochał bowiem Jadwigę. Gdy zrobiła to smutne dla siebie odkrycie, a zwłaszcza gdy je wskazał obserwujący ją dobrze książę August, zawrzała uczuciem zemsty, weszła w przymierze z księciem Augustem i Koszyrskim, a więc przyjęła też na siebie część odpowiedzialności za spotwarzenie Wrzeckiego. Nie doznała jednak zadowolenia, gdy ujrzała ukochanego niegdyś pod brzemieniem niesławy, témbardziéj że tenże na oświadczenie, iż ona była motorem całéj intrygi, nie odpowiedział jéj przekleństwem, ale znów oświadczył, że może nań liczyć jako na przyjaciela. W kobiecie nerwowéj zachodzi przemiana, zapewne nietrwała, ale na chwilę przynajmniéj uspakajają się jéj namiętności; *wyjeżdża z mężem* do Wiednia, nie dlatego prawdopodobnie, ażeby stać się wzorową małżonką, ale by w wirze zabaw wielkomiejskich zapomniéć o doznanych zawodach a szukać nowych upojeń.

Pani Sabatier, ciotka hr. Stefana, *reprezentuje typ t. z. matron* dawniejszego pokroju, nie wiedzących, co to *zdenerwowanie i* co to szukanie wrażeń poza ogniskiem domowém. Arystokratyczne nawyknienia i przesądy nie zaćmiewają jéj umysłu, widzi rzeczy jasno i trzeźwo, posądzenia rzucone na Wrzeckiego odrzuca odrazu i stałą jest w przyjaznych względem niego uczuciach; ona też (jak to na starą matronę z komedyi przystało) wydobywa w końcu sztuki papiery ze szkatułki, wyjaśniające pochodzenie majątku Wrzeckiego i usuwające potwarz. Bez szkatułki téj można się było obejść, to nie ulega chyba wątpliwości; na scenie jednak wobec widzów, dla któ-

rych ten środek nie wydaje się jeszcze zużytym, robi ona dość silne wrażenie, silniejsze prawdopodobnie, niżby wywarło np. samo opowiadanie, bo rzecz widziana naocznie mocniéj się w umysł nasz wraja aniżeli słyszana tylko.

Jadwiga wreszcie to również typ stałych kochanek niewątpiących ani na chwilę o uczuciach i uczciwości swoich narzeczonych; od tłumu swoich podobizn w komedyach wyróżnia się tem, że należy do grupy śmiałych i energicznych, że gotowa podeptać względy towarzyskie, poróżnić się z członkami rodziny i pójść za Wrzeckiego wbrew zdaniu najbliższych krewnych; szczęściem, że robić tego nie potrzebuje, gdyż wszystko układa się pomyślnie.

Jak wszystkie dotychczasowe komedye p. Lubowskiego, tak i „Osaczony“ celuje przedewszystkiém wyborną charakterystyką postaci zarówno głównych jak podrzędnych, a następnie znamiennêm dyalogowaniem, któremu w razie potrzeby dowcip przychodzi w pomoc skuteczną. Ludzie jego są ludźmi żywymi; mają swoję sferę uczuć i myśli, swój własny język, swoje giesta. Wątek jest i w téj komedyi dość słaby, a raczéj traktowany bez szczególnéj staranności; zawikłań prawie że niéma; i dlatego rzecz wydaje się rozwleczoną jedynie dla okazania charakterów w całéj pełni. Konstrukcya utworu jest prawie bez zarzutu; wszystkie wejścia i wyjścia są należycie upowodowane; dziwi tylko obecność Strzemborza i Wrzeckiego w domu hr. Stefana już po znieważeniu bohatera w tymże właśnie domu; tłómaczy się a raczéj objaśnia się to têm tylko, że autor przez całe pięć aktów jedność miejsca chciał zachować; gdyż zmiana dekoracyi w akcie V-ym ma już na celu jedynie rozerwanie widzów, przez 4 akta w téż same przedmioty wpatrujących się.

Wykonanie sceniczne „Osaczonego“ było wogóle wyborne; była w nim artystycznie obmyślana „całość“; bo nawet najpodrzędniejsze figury bardzo dobrze się wywiązywały ze swego szczupłego zadania.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Stanisława Skrodzkiego Porządek prawa bartnego dla starostwa łomżyńskiego z roku 1616, opracował Ad. Ant. Kryński. Kraków 1885, str. 44.— Słownik wyrazów godnych uwagi, użytych w „Porządku prawa bartnego", ułożył Ad. Ant. Kryński. Kraków 1885, str. 40.

Obie te prace znanego i wielce zasłużonego filologa warszawskiego pojawiły się w wydawnictwach krakowskiéj Akademii umiejętności, a mianowicie pierwsza w „Archiwum komisyi historycznéj" (tom IV), druga zaś w „Sprawozdaniach komisyi językowéj" (t. IV). Stanowią one właściwie jednę całość, ciekawą tak dla prawników jak i filologów polskich. W pierwszéj mamy dosłowy tekst 117 artykułów „prawa bartnego zwyczajowego, jakim się bartnicy do starostwa łomżyńskiego należący rządzili według zwyczaju przodków aż do czasów jeszcze książąt mazowieckich." Artykuły te zebrał Stan. Skrodzki z miasta Kolna w r. 1616, a zachowały się nam one w rękopisie, który jest własnością p. Ant. Troczewskiego w Warszawie. Jestto książka z r. 1616 o 48 kartach w czwórce zwyczajnéj. Aż do str. 82 pismo jest jednostajne i bardzo staranne, dopiero kilka ostatnich kart końcowych ma pismo dość niedbałe, pochodzące widocznie z innéj ręki, która się nie siliła na kréski i kropki. Z tego to rękopisu wydał tekst niniejszy prof. Kryński „dosłownie i wiernie z zachowaniem wszystkich własności pisowni pierwowzoru." Treść tego tekstu „przypomina w wielu miejscach znany dotychczas jedyny układ „Prawa bartnego" Krzysztofa Niszczyckiego, drukowanego już w r. 1559, jakotéż późniéj w r. 1730 i 1854. Z bliższego obu dziełek porównania okazuje się, że pisarz Skrodzki znał dziełko Niszczyckiego, miał je podczas swéj pracy pod ręką i niejeden stamtąd artykuł przeniósł do swojego układu prawa w odmiennéj tylko redakcyi; w znacznéj nawet liczbie artykułów (około 50) pozostawił

też same co u Niszczyckiego nagłówki".—Wyjąwszy tych słów kilka z dokładnéj i wyczerpującéj przedmowy wydawcy, odsyłamy ciekawych do samego tekstu, ważnego tak dla historyi prawa polskiego jak i dla dziejów naszego języka.

„Słownik" jest wybornym i nader użytecznym uzupełnieniem wydanego tekstu. Zawiera on wyrazy i wyrażenia „godne uwagi bądź pod względem prawnym bądź językowym". Ułożone są one alfabetycznie i opatrzone licznemi cytatami. Z terminów prawniczych są np. ciekawe: *aktor* (powód), *chądziebnie* (tajemnie), *gajony* sąd, *przewiedzienie* prawa, *postępek* prawny, *pozew* i *przypozew*, *prza*, *pierca*, *rozparcie* prawa, *wzdać*, *wzdawać* i *wzdawne*, *wywieść się*, *wynalazek* sądu, *zacząć* prawo, *zajście* prawa, *zamiankowy* zapis, *zapisny* dług, *zysk* i *przezysk* prawa, *żałować* na kogo, itp. wyrazy, mniéj lub więcéj już znane prawie od wieku XIV. W znacznéj mierze używano ich jeszcze i w wieku XVIII. Mamy właśnie pod reką tekst ormiański z r. 1751, w którym zostawiono wszystkie „les mots techniques" w ich polskiém brzmieniu; zaczyna on się od słów: *Meskhi sługan* bidi *wojthic pozown* danê *pozwanin* mod, or phałan sahthenъ ganni i tadastanadanъ dżujeab dału *akhthorin*, itd.

Niemało jest tu także wyrazów, ważnych pod względem *językowym* np. kajać się, kniejnik, kradziestwo, kupia, łącze (sidło), nielatny, obyść się, podmietać, obiesić i obiniony obok obwarować i obwieścić, obroczny (czynszowy), przenagabywać, wystatczać, zufalec, daléj liczne słowa pochodzące od słow. rdzenia *dě-* (indoeurop. *dhē*-), jak: dziać, dziany, dzianie, dziatwa obok dzietwa, dzień, jakotéż złożone: dodziać, zadziać, zadziatek, przydziatek itp. Ciekawe są téż nazwy różnych narzędzi „bartnych," jak *ciosnka*, *serka*, *pieśnia* lub *pieszmia*, itd. Pierwszy z tych wyrazów jest jasny, w drugim domyślalibyśmy się niem. *Scheere* w zdrobnieniu, a trzeci jest może w związku z lit. *peszù* (pèszti), skubać, wyrywać. Z *litewskiego* pochodzi tu niewątpliwie wyraz *jegla* (jodła), por. lit. egle, łot. egle; forma prasłow. tego wyrazu była **jedla* (por. czes. jedla, stołow. jela), por. téż stprus. addle. Wyrazów zaś *niemieckich* mamy—jak wiadomo—dość w swym języku już od najdawniejszéj jego doby piśmiennéj; do takich należą tutaj np. *rug*, *rugować* (stgn. ruogen, śrgn. ruege, goc. wrôhs, skarga), *lożny* (stgn. lôs, goc. lauss, próżny, wolny), *żak* (rodzaj sieci) z niem. Sack (stgn. sac z łać. saccus, gr. σάκκος) i inne. Pisownia *smiat* w Art. 110. jest zdaje się błędna, czeskie bowiem *sněť* (pień drzewa) przemawiałoby tylko za wyrazem *śniat*. Oprócz *szwiepioty* mamy l. poj. *świepiot*, rus. *svepet*, w znaczeniu: dziupło pszczół leśnych. Wyraz *ucierzchlenie* zestawia p. K. ze stsłow. *črъt-ati*; znaczenie wprawdzie odpowiada, lecz brzmienie nie bardzo.

W polskim bowiem odpowiadałoby mu nie *cierzchlić* lecz **czertać*, por. stsł. *črъpati*, pols. *czerpać*. Jednym z rzadszych wyrazów a zarazem trudniejszych do objaśnienia jest tu słowo *kleczyć* (obsadzać pszczoły młode w górnéj części barci) z pochodnemi: *kleczba*, *kleczenie*; *okleczyć*, *odkleczyć*, itp. Gdyby nie wyraz *oklek* (plastry w górnéj części barci) możnaby przypuszczać, że słowo to brzmiało raczéj *klecić*, por. *kleć* (stsłow. klětь, lit. klětis), *klatka*, itp. W wywody etymologiczne jednak rzadko się wdaje p. K., i całkiem słusznie. Niekiedy tylko zwraca uwagę na podobne wyrazy i zwroty czeskie, jakotéż na ślady dyalektyczne w pisowni naszego zabytku, jak *póžar* (požar), *mięnić*, *mięniać*, *sosnia*, itp. Nie chcąc się dłużéj zatrzymywać nad tą piękną pracą polecamy ją tylko usilnie tym wszystkim, których nieco zajmuje prawo polskie albo téż przeszłość języka ojczystego.

Dr. Jan Hanusz.

= **Katalog biblioteki Raczyńskich w Poznaniu**. *Opracowali M. E. Sosnowski, bibliotekarz i L. Kurtzmann (obok tytuł niemiecki). 4 tomy. Tom I-szy str. X+58+CDXLI+485; tom II-gi str. XV+953; tom 3-ci str. XI+667; tom 4-ty str. 277. Poznań 1885.* — Parokrotnie już podejmowano zmudną i kosztowną pracę spisania umiejętnego rękopismów i książek znajdujących się w bibliotece Raczyńskich; ale próby te nie były szczęśliwe. Obecnie wydany katalog w części przez bibliotekarza p. Sosnowskiego, przeważnie zaś przez p. L. Kurtzmana, który od lat wielu zaznajamia Niemców z naszą literaturą, jest przedewszystkiém najzupełniejszy, a powtóre ułożony starannie i dla badaczów dogodnie. Sam katalog poprzedzony został życiorysem Edwarda hr. Raczyńskiego założyciela biblioteki, skreślonym zwięźle przez p. Sosnowskiego, oraz historyą biblioteki ułożoną na podstawie dokumentów przez p. Kurtzmana. Portret Raczyńskiego i widok biblioteki przyozdabiają tę część wstępną. Następnie znajdujemy spis 359 tomów rękopiśmiennych, ze szczegółowém, gdzie tego zachodziła potrzeba, wymienieniem ich zawartości. Daléj mamy 230 registrów dokumentowych i spis 191 inkunabułów. To stanowi połowę tomu pierwszego. W drugiéj połowie mieści się katalog druków z działu teologii, prawa, filozofii, pedagogiki, matematyki, nauk przyrodniczych, gospodarstwa rolnego, przemysłu, handlu, sztuki, wojskowości i medycyny. Każdy z tych działów obrobiony został według systematycznie przeprowadzonego planu, rozpoczynając się od ogólnego zarysu danych umiejętności a kończącego się specyalnemi jéj rozgałęzieniami. Tak np. dział filozofii ujęty został w na-

stępne szczegółowe rubryki: *a*) encyklopedya filozofii i pisma ogólnéj treści, *b*) dzieje filoz., *c*) logika, dyalektyka, metafizyka, *d*) filozofia natury, psychologia, *e*) estetyka, *f*) filozofia religii, *g*) etyka, *h*) filozofia grecka, *i*) scholastyka, *k*) filozofia nowsza. Tom drugi obejmuje mniéj więcéj według takiegoż planu druki odnoszące się do działu literatury i historyi powszechnéj. W dziale literatury mamy najprzód dzieła do historyi literatury wogóle, a następnie do filologii klasycznéj, nowołacińskiéj, wschodniéj, giermańskiéj, romańskiéj. W dziale historyi, podobnież uporządkowanym, mieszczą się także dzieła geograficzne i podróżnicze. Tom trzeci wyłącznie poświęcony został rzeczom polskim, przyczém na wstępie podano dzieła należące do działu slawistyki wogóle. Po tym wstępie mamy spis dzieł ogólnéj treści dotyczących Polski, następnie spis dzieł do ogółu dziejów krajowych, a daléj do poszczególnych panowań. Literatura podzielona została na naukową i nadobną. Czwarty tom obejmuje starannie przez p. Kurtzmanna ułożone wskazówki alfabetyczne. Ogółem katalog ten obejmuje tytułów 23610, z których 8367 spisał p. Sosnowski, a 15243 p. Kurtzmann. Dla badaczów wydawnictwo to może niewątpliwie oddać wielkie usługi, zastępując mozolne i kosztowne nieraz informacye, gdyż albo listownie ściągać je było potrzeba, albo osobiście jechać po nie do Poznania.

= **Dr. W. Kętrzyński. O dwóch nieznanych historykach Polskich.** (*Przewodn. Nauk. i Liter. r. 1886, zesz. kwiet.*). — Jednym z najbardziéj pracowitych i zasłużonych historyków naszych jest p. Kętrzyński. Obdarowawszy nas kilkoma cennemi pracami z zakresu dziejów pruskich, oddał się obecnie sz. dyrektor zakładu Ossolińskich z zapałem zbieraniu i wydawaniu naszych dawnych zabytków historycznych. Dzieło rozpoczęte przez Bielowskiego, obecnie w jego prawie wyłącznie znajduje się rękach. Rozporządzając bardzo skromnemi środkami, bo zasiłek Akademi na druk ledwo wystarcza, nie waha się jednak p. Kętrzyński corocznie kosztowne odbywać podróże po Galicyi i Królestwie Polskiém, by tylko jak najwięcéj wyszukać materyału do „Monumentów.“ Nie poprzestając na pracy wydawniczéj, ogłasza nadto szereg przyczynków do średniowiecznéj historyografii polskiéj, które zwykle uzupełnia wstępami. Najnowszym artykułem tego rodzaju jest krótka wymieniona na czele rozprawka. Dzieli się ona na dwie części: w pierwszéj traktuje p. Kętrzyński o kompilatorze Trzemeszeńskim, będącym źródłem kroniki Trzemeszeńskiéj z XVII w., w drugiéj zaś stara się oznaczyć autora kroniki Oliwskiéj. Późniejsze z XVI lub XVII wieku pochodzące dzieła historyczne zawierają niejednokrotnie wiadomości zaczerpnięte z dawniejszych kronik i roczników lokalnych. Obowiązkiem badacza jest o ile moż-

ności docierać zawsze do tych pierwotnych źródeł, gdy jednakże zabytki rękopiśmienne na to nie pozwalają, ograniczyć się on musi na wyśledzeniu części składowych późniejszych opracowań, na ocenieniu ich wieku i wartości. Zadanie to będzie nieraz bardzo trudném, przedsięwzięte badania nie przyniosą niejednokrotnie nic nad domysły i przypuszczenia. Kętrzyński był tyle szczęśliwym, że wcale przekonywująco zdołał udowodnić czynność dziejopisarską księdza Andrzeja Drzężyńskiego, opata Trzemeszeńskiego w latach 1504—1522. Nieznany ten dotychczas historyk należałby, jeżeli nie działalnością literacką, to większą połową życia jeszcze do średnich wieków a znaczenie jego pracy, przechowanéj nam pośrednio w kronice Trzemeszeńskiéj, tém wiekszéj nabiera wagi, że jak udowodnia p. Kętrzyński, czerpał ks. Drzężyński z tak cennych źródeł, jakiemi musiały być: 1) dawny katalog przełożonych Trzemeszeńskich, 2) rocznik, 3) i „liber mortuorum" tego klasztoru. Kroniką Oliwską zajmowano się zwłaszcza w Prusach nie mało; Hirsch, Perlbach i Fuchs (w Altpreuss. Monatschrift) poświęcali jéj bądź obszerne wstępy przy wydaniu, bądź osobne rozprawy; żaden z nich jednak nie zdołał oznaczyć autora cennego tego pomnika. P. Kętrzyński sądzi, że był nim opat Stanisław sprawujący rządy w Oliwskim Cystersów klasztorze, w 1330—1356. Główny na to argument upatruje autor w okoliczności, że ów Stanisław nigdy w saméj kronice z imienia nie jest nazwany, lecz występuje tylko jako „abbas"; samo zaś imię zastąpione jest 2 kropkami. Mimo najlepszéj chęci zgodzenia się na te wywody, nie możemy uważać argumentu, za właściwy. Owszem sądzilibyśmy, że przytoczona okoliczność wprost wyklucza możność przypisania Stanisławowi autorstwa kroniki. Według etykiety średniowiecznéj oznaczało opuszczenie imienia czyjego i zastąpienia go 2 kropkami chęć okazania przez piszącego tej osobie szacunku, i była powszechnie, zwłaszcza przez kancelaryą papieskę używana w korespondencyi do znakomitszych duchownych, których zawsze tylko według godności oznaczano. Nie znam przykładu, aby jaki autor średniowieczny, mówiąc w którém ze swych dzieł o własnéj osobie, użył dwóch kropek zamiast swego nazwiska; zazwyczaj mówił w takim razie o sobie jak gdyby o kimś trzecim, a więc w danym przypadku powiedziałby „abbas" lub „Abbas Stanislaus". Obecność dwóch kropek zamiast imienia opata Stanisława w kronice Oliwskiéj do dwóch następnych tylko upoważnia wniosków: 1) pisarz kroniki wykończył swą pracę za życia Stanisława; 2) był członkiem konwentu Oliwskiego, a więc jako taki do szczególnego poszanowania dla Stanisława obowiązany. Nic oczywiście nie stoi i w tym razie na zawadzie zaliczeniu autora kroniki do narodowości Polskiéj.

B.

= **Hugo Loersch. Der Ingelheimer Oberhof.** *Bonn 1885.* W ostatnich czasach znowu zaczynają w Niemczech bardziéj się zajmować licznie niegdyś rozsianemi sądami wyższemi. Mamy dawniejsze prace Thomasa o sądzie wyższym Lubeckim, Michelsena o sądzie Frankfurckim, Tomaschka o sądzie w Igławie. Nowa praca prof. Loerscha bardzo jest pożądaną i dla nas, którzy także wykazać się możemy licznemi sądami wyższemi, mającemi co prawda inne nieco od niemieckich atrybucye. W pierwszéj obszernéj części podaje p. Loersch część systematyczną czyli obrobienie zamieszczonych w części drugiéj wyroków, które oczywiście wydawane były wszystkie po Niemiecku. Dokładny indeks rzeczowy, jako téż przejrzysta mapa ułatwiają bardzo korzystanie z téj nader pożytecznéj publikacyi. *B.*

= **Dr. Heinrich Siegel. Deutsche Rechtsgeschichte.** *Berlin 1886.* Dziełu temu głośnego professora prawa Niemieckiego na uniwersytecie Wiedeńskim uczynić słusznie można zarzut zbytniéj krótkości. Obejmuje ono wprawdzie stron blisko 500, ale po odtrąceniu przypisków a zwłaszcza po użyciu trochę ciaśniejszego druku, książka ta stopniałaby do jakich 200 stronnic. Jest to więc raczéj „Grundriss" niż właściwa historya prawa. Może ona być pomocą dla uczniów słuchających wykładów pana Siegla, dla dokładnie zwłaszcza podanéj literatury, ale nikomu nie da wyobrażenia o historycznym rozwoju prawa Niemieckiego. Tak więc możemy wnosić, że nowy ten podręcznik, jak na teraz, nie zdoła wyprzéć podobne przeznaczenie mającéj książki słynnego kanonisty Schultego, którą spotkał w ostatnich czasach zaszczyt, dostania się w tłumaczeniu p. Fournier do naukowéj literatury francuskiéj. Jak donoszą ogłoszenia księgarskie, ma się niebawem pojawić Historya prawa Niemieckiego z pod pióra professora Ryszarda Schrödera, znanego ze wspólnie z panem Loerschem wydanych „Urkunden zur Geschichte des Deutschen Privatrechts."



KRONIKA MIESIĘCZNA

Posępna wiosna. — Niedotrzymane przyrzeczenia prasy. — Pomoc ogółu w walce z prawami kolonizacyjnemi. — Co nas dotąd broniło od zagłady. Potrzeba świadomości planu pracy. — Drobny środek. — Materyalne i moralne korzyści ze skarbónki. — Czy pojedziemy w tym roku do Niemiec? — Nasi prawnicy. — Dotychczasowy brak ładu i życia w palestrze. — Tolerancya opieszałości. — Pocieszające oznaki. — Gazeta sądowa.

Majowe słońce i balsamiczna woń wiosennego powietrza wskrzesza bardzo nawet nadwątlone siły, dodaje otuchy, budzi nadzieje, pozwala weseléj patrzéć na świat. Nam w tym roku sama nawet natura, zdaje się, odmawia łagodnych uśmiechów, a w życiu coraz to nowe klęski bardziéj i bardziéj ponurym cieniem oblekają teraźniejszość i każą się trwożyć o przyszłość. Na posępném tle wewnętrznych stosunków galicyjskich, nie gasnąc prawie, płoną łuny pożarów, a przy tém oświetleniu poruszenia gromad chłopskich wywołują straszne widmo mordów z 46 roku. Zmęczone oko i przerażona wyobraźnia nie mają punktu dla spoczynku; gdzieindziéj nie dzieje się w téj chwili lepiéj, a może nawet gorzéj znacznie; niepodobna nie widziéć, że wszystkim potrzebom życia grożą niebezpieczeństwa, zamachy. Poznańskie, Prusy i Szląsk także pociechy do serc wlać nie mogą. Przeciwnie tam jutro groźniejsze niż gdzie indziéj. Pożary zagasną i miasta się odbudują, poczucie obywatelskie przeniknie w końcu do gromad tarnowskich, inne niebezpieczeństwa miną, pozostawiając drobne tylko szczerby w życiu i niemiłe wspomnienie w pamięci, ale czy wróci do rąk naszych ojcowizna, wydarta przez Niemców? Kiedy ks. Bismarck wskazywał nam na miejsce przytułku Monaco, prasa odpowiedziała mu chórem „nie pójdziemy tam.“ Przyrzekano sobie i światu, że oszczędność, zapobiegliwość, pomoc własna uratują ziemię polską od chciwości obcéj. Panowie galicyjscy mieli nie pożałować pieniędzy na ten cel. Tymczasem w tak krótkim czasie,

kiedy jeszcze świeże wrażenie nie mogło, nie powinno było ostygnąć i natarczywiej pchać do czynu niż kiedyindziéj, 12000-morgowy majątek Komorowo, w pow. gnieźnieńskim staje się pierwszą ofiarą praw kolonizacyjnych. Co będzie, gdy się oswoimy z niebezpieczeństwem i groza onego przestanie już tak żywo oddziaływać? Może zresztą czas pomiędzy błyskawicami prawodawczemi i uderzeniem pierwszego gromu był zbyt krótki, ażeby można było zdążyć zapobiedz katastrofie, ale czy oddawna nie należało zdobyć się na zorganizowaną obronę ziemi, która bez głośnych praw systematycznie osuwała się na zachodnich krańcach w otchłanie coraz bliższego germanizmu. Nie chodzi tu o wytaczanie procesu przeszłości, ale o to, aby się jéj błędy nie powtórzyły. Napaści olbrzymiego narodu niemieckiego, zorganizowanego w potężne cesarstwo, usiłowania kilkuset obywateli mniejszych i kilku właścicieli fortun pańskich w jednéj prowincyi odeprzeć nie zdołają, potrzebny jest wysiłek i to wielki wysiłek całego ogółu. Niebezpieczeństwo bliższe niż Hanibal bram rzymskich, a tymczasem, żaden plan ogólniejszéj pracy ani wskazany, a wykonywany nie jest.

Często słyszeć się daje przechwałka, że pomimo tylu ciosów istniejemy i coraz to jakaś świeża gałązka wyrasta na polu życia narodowego. Zapewne, twierdzenie takie nie jest pozbawione racyi. Taką samą jednak racyją do szczycenia się ze swéj energii, umiejętności i talentu miałby lekkomyślny spadkobierca, który, pozostawiwszy zarząd majątku łasce boskiéj i chwilowéj fantazyi własnéj, otrzymuje jednak jakieś dochody wskutek wysokiéj wartości fortuny. Pomimo całego rozprzężenia i upadku półtorawiecznego ostatnich czasów Rzeczypospolitéj, otrzymaliśmy od przeszłości bogatą spuściznę uczuć, cnót i zdolności, a nawet bogactwa materyalnego. Spuścizną tą żyliśmy i żyjemy, daje nam ona jakieś odsetki nieraz znaczne, ale niesystematyczna gospodarka zmiejszyła mocno sam kapitał. Od wypierania z ojcowizny realnéj i idealnéj broniła nas nie praca świadoma, lez jakaś siła bezwładności, siła rozpędowa. Chyba niepotrzeba dowodzić, że w końcu zaciekły nacisk, wywierany konsekwentnie, z planem, wytrwale, zwycięży bierny odpór, chociażby bardzo nawet w początkach wielki. Pod grozą zaniknięcia musimy pracę naszą uczynić świadomie systematyczną i ciągłą.

Niemożemy tu naturalnie ani kreślić planu, ani brać inicyatywy w sprawie najwyższéj doniosłości, aleśmy chcieli zwrócić uwagę na jeden drobny szczegół. Ileż to razy zdarza się i zdarzać będzie co raz częściéj potrzeba pieniędzy na jakieś cele ogólniejsze, czy to na poparcie oświaty ludowéj na Szląsku, czy na budowę teatru w Poznaniu, czy na ufundowanie Macierzy i t. p. Potrzeba się uciekać do składek, które szerszy ogół uważa za rodzaj klęski,

i zasłania się przed niemi, jak może: ciężkiemi czasami, brakiem funduszów i t. d. Należy wpoić we wszystkich przeświadczenie, że oddawanie jakiéjś części środków osobistych na rzecz zbiorowéj całości jest potrzebą i obowiązkiem i że jednorazowy, wypadkowy datek nie wystarcza. W każdym domu powinna być zaprowadzoną skarbónka, do któréj by codzień wrzucano jakąś kwotę. W Czechach niegdyś, a może i dzisiaj skarbónki takie były rozpowszechnione i powiększono ich zawartość przy każdéj sposobności. Przyjmowano gości, nawet cudzoziemców, bardzo skromnie, rzucając natomiast przy nich zaoszczędzone pieniądze do puszki. Gminy żydowskie posługują się również tym środkiem dla różnych celów. W chwilach żywszego odczucia obowiązków w Warszawie saméj, przy ludności o połowę mniejszéj niż dzisiaj, zbierano miedziakami po parę tysięcy rubli dziennie. Gdyby więc myśl ta znalazła poparcie i rozpowszechniła się w całym kraju, to w każdéj chwili w razie potrzeby można by z łatwością rozporządzać znacznemi środkami.

Dobre skutki podobnego zwyczaju nie kończą się jednak na materyalnych korzyściach. Ciągły stosunek ze skarbónką wpajał by w rodzinach przeświadczenie o potrzebie ofiarności na rzeczy publiczne, ze skarbónki można zrobić *memento*, przywodzące starszym na pamięć, potrzeby różne i oznajamiające z takowemi dzieci. Nieustanne przestrzeganie czystości języka jest bardzo ważnym zadaniem rodzin; dla tem żywszego upamiętnienia, można, jak to się w wielu miejscach praktykuje, ściągać kary i rzucać do puszki. Prócz tego, ciągłe odkładanie pieniędzy zmuszało by do niejakiego ograniczania się, do oszczędności, co już samo przez się jest dobre, ale także dobroczynnie oddziaływać by mogło na wzrastające pokolenie, które wychowując się w przeświadczeniu, iż ciągle poświęca coś dla kraju, wyniosło by stąd niejako moralne zobowiązanie na całe życie.

Zresztą z najbardziéj ogólnego stanowiska, przyzwyczajanie dzieci do ograniczania swych potrzeb, do wyrzekania się przyjemnostek, wywiera bardzo dobry wpływ na ukształtowanie charakteru. Ten to wzgląd głównie kierował wychowawcami przy urządzaniu kas oszczędności w szkołach, (we Francyi np.). U nas podnoszono niegdyś myśl zakładania popobnych kas i wtedy parokrotnie protestował przeciwko temu wymówny głos ówczesnego kronikarza „Tygodnika Illustrowanego", wychodząc z punktu obawy, ażeby zajmowanie dzieci myślą o gromadzeniu grosza nie zmateryalizowało ich ducha. Czy zarzut ten jest słuszny, lub nie, to w każdym razie wobec proponowanych przez nas skarbónek upada, gdyż one właśnie mogą nieustannie wprowadzać umysł i uczucia dziecka w sfery idealnych uczuć i poświęceń.

Brak energii i niejaka bezwładność, okazana wobec praw ks. Bismarka, skierowanych wprost przeciwko naszemu istnieniu, nie bardzo pozwala wierzyć, ażeby projekt niejechania na kuracyą do Niemiec został ściśle wykonany. W roku zeszłym zawzinano się mocno w niektórych miejscach leczniczych, że noga polska nie postanie w żadnym zakładzie kąpielowym, położonym w obrębie władzy żelaznego kanclerza; ale przez 10-ć miesięcy głos pseudo-rozsądku miał czas nabrać siły dostatecznéj do upozorowania zamiarów, podyktowanych przez przewagę uczuć samolubnych nad obywatelskiemi. Przecie codzień na każdym kroku spotykamy uchylanie się od obowiązków oporu lub protestu oraz ustępstwa na rzecz dogodnej bierności i korzystnego poddawania się prądowi nacisku, czemu panujący płytki utylitaryzm daje zawsze dyspensę w formę wykrzykników: „cóż się przez to dokaże!", albo: „jestto dziecinne kiwanie palcem w bucie" i t. d. Zdaje się, że taksamo stało się z zamiarami niesprowadzania towarów z Niemiec; różne firmy głosiły donioślе swe piękne postanowienia, a tymczasem podobno ilość pak, przychodzących z Lipska i Berlina do tych mianowicie firm wcale się nie zmniejszyła. Nam to się wydaje rzeczą tak łatwą do zrozumienia, że kiedy państwo niemieckie wypowiedziało wojnę żywiołowi polskiemu, grożąc mu zagładą zupełną, to dbałość o istnienie zmuszać nas powinna do odpornego zachowywania się. Wymaga tego i godność narodowa i taktyka. Inaczéj znosić będziemy wszystkie złe strony walki, nieosłabiając wroga nawet tyle, ile to możemy zrobić bez żadnego wysiłku. Włosi niegdyś wyrzekli się palenia tytoniu, aby nie dawać rakuskiemu mocarstwu dochodów; jak by się na podobny projekt oburzył nasz utylitaryzm! To też Włochy święciły już jubileusz spełnienia swych marzeń! W danym zresztą wypadku względy czysto osobistéj natury powinny powstrzymać naszych kuracyuszów i wojażerów od wybierania sobie na miejsce letniéj rezydencyi kąpieli niemieckich. Jeżeli nawet policyja pruska okaże im tyle łaski, że nie wyrzuci podczas sezonu, to w każdym razie możność takiego wypadku wisieć będzie po nad głowami, jak miecz nad Damoklesem. Wypadki rozkazów wyjazdu, które stosowano do ludzi, udających się po najzwyklejsze sprawunki, a które codziennie niemal podają gazety, mogą aż nadto przekonać, iż władze pruskie żadnéj ceremonii z nikim robić sobie nie będą. Co więcéj, panu K. Woźniakowskiemu z wieluńskiego nie pozwolono na pobyt we Wrocławiu, gdzie powiózł chorą żonę jedynie dla dokonania operacyi. Sądzimy, że na większe względy nasi kuracyusze letni u wód niemieckich liczyć nie mogą. Jakiś czas zarządy kąpielowe i nawet rady miejskie starały się w opinii tutejszéj wyrobić przekonanie, że

żadne niebezpieczeństwo nie grozi gościom, przyjeżdżającym na kuracyą ale władze same odebrały wszelką wartość podobnym zapewnieniom, gdyż *Ostpreussische Zeitung*, organ naczelnego prezesa Prus wschodnich, świeżo oświadczył, iż rząd żadnych wyjątków ani uwzględnień robić nie myśli.

Ruchem wycieczek letnich kierują w znacznéj części lekarze, na nich téż głównie spadłaby odpowiedzialność, gdyby w kuracyjnych znakładach niemieckich zależli się w tym roku polacy. *Medycyna* w 20 numerze podnosi tę kwestyą i tak mówi: „Z przyczyny zbliżającéj się pory wyjazdu do wód i kąpieli mineralnych nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę kolegów na to, iż przy ordynowaniu takiéj kuracyi, należy o ile możności unikać wysyłania pacyentów do zdrojowisk pruskich (1). Ważny powód skłaniać nas do tego powinien; mianowicie, że tam pacyenci nasi narażeni być mogą na przerwę kuracyi, gdyż zatrzymanie w danéj miejscowości Polaków lub ich wydalenie zależy od fantazyi miejscowéj władzy"... „Wody mineralne w obrębie Prus położone nie są takie, iżby się innemi zastąpić nie dały. Wszak mamy liczne zdrojowiska, kąpiele i stacye klimatyczne w Galicyi, Austryi, w Belgii, we Francyi etc., w których wszystkie postacie chorób chronicznych leczyć możemy, że nie wspominamy już o naszym Ciechocinku, Nałęczowie, Busku, Sławinku, Solcu, Sławucie, Szepietówce, Ojcowie, Druskienikach etc. Tam należy zwracać kroki naszych pacyentów, a nie do kraju, w którym nienawiść i zaciekłość ku nam zaślepienie do ostateczności doprowadza i nakłania do sposobu postępowania z nami, który w krajach grubą pomroką barbarzyństwa okrytych byłby tylko możliwym."

Było by bardzo smutnym objawem, gdyby medycy nasi nie okazali w tym wypadku dostatecznéj energii i dobrych chęci. Wtedy niewiadomo byłoby doprawdy, na kogo liczyć można. Ze wszystkich grup miejskiéj inteligencyi lekarze dawali zawsze najwięcéj może dowodów uczuć obywatelskich, wewnętrznéj spójności i taktu. Prawnicy ustępują im pod tym względem znacznie. Weźmy naprzykład literaturę lekarską, ma ona kilka wydawnictw peryodycznych, od czasu do czasu zjawiają się książki poważne treścią i znaczne rozmiarami, a wszystko utrzymuje się, rozwija siłami i środkami samych medyków. Tymczasem *Biblioteka umiejętności prawnych* posiada zaledwie 110 prenumeratorów i wydawaną jest kosztem protektora, który kończył wprawdzie wydział prawny, lecz z fachu jurystą nie jest. Prócz tego z prac, zamieszczanych w tém piśmie, widać, jak

(1) Nam się wydaje, że przestrogę Medycyny zastosować należy do wszystkich miejsc leczniczych, w obrębie całego cesarstwa niemieckiego położonych.

mały biorą miejscowi urzędnicy sądowi i palestra udział w naukowym ruchu swéj specyalności. Pisują głównie profesorzy uniwersytetu i prawnicy galicyjscy, dopiero w roku zeszłym zjawiły się dwie prace adwokatów tutejszych z prawa administracyjnego i ekonomii politycznéj. W piśmie jest dział Miscelaneów, który powinni by zasilać obficie praktykujący prawnicy; tymczasem tak się wcale nie dzieje. Nawet stosunkowo nieliczni i teoretycznie mniéj wykwalifikowani farmaceuci mają swoje *Wiadomości Farmaceutyczne*, które wydają sami, nie uciekając się do nikogo o pomoc. *Gazeta sądowa* tymczasem brała w roku zeszłym tysiącorublowy zasiłek z kasy Mianowskiego. Czy nie jest to wstydem dla prawników, że, licząc w swym ciele tylu ludzi zamożnych, że należąc do czoła inteligencyi, dopuścili, iż pismo, poświęcone wyłącznie ich potrzebom, zwracać się musiało do biednego ogółu o jałmużnę. Gazeta Sądowa posiada zaledwie 500 abonentów. W jednym z miast gubernialnych praktykuje 18 adwokatów i niema tam ani jednego prenumeratora.

Widocznie zainteresowanie się rzeczami prawnemi jest żadne. W początkach roku 1877 Akademia Umiejętności ogłosiła za pośrednictwem Gazety Sądowéj kwestyonaryusz do zbierania danych o prawie zwyczajowém w Polsce. W roku 1883 *Gazeta* zamieściła znowu korespondencyą p. Henryka Konitza, w któréj ten zachęca do zbierania pewnéj kategoryi materyałów, wskazanych przez kwestyonaryusz. Redakcya pomieściła od siebie dopisek, iż sama zwracała się niejednokrotnie do osób kompetentych z prośbą o odpowiednie dane. Jednakże Gazeta Sądowa dotychczas materyałów takich albo nie drukowała wcale, albo bardzo mało. Kilka razy rzucane były myśli podjęcia zbiorowemi siłami innych także prac, wymagających wspólnych starań a jakoś nie widzimy, aby coś z tego doszło do skutku.

W najświeższych czasach czterech adwokatów warszawskich ułożyło kwestyonaryusz, zawierający pytania co do stosunku obrońców między sobą i z publicznością, co do obowiązków fachowych i ogólno-ludzkich itd. Kwestyonaryusz ten nie został dobrze przyjęty przez kolegów. A jednak była to myśl bądź co bądź i poważna i obywatelska. Jeżeli jakaś klasa ludzi, posiadająca swe odrębne interesy, związana wspólnością pracy, pragnie mieć jakąś siłę wewnętrzną, chce wytworzyć opinią, która by podnosiła i utrzymywała jéj członków na pewnym poziomie moralnym, to koniecznie potrzebuje wyrobić sobie zasady postępowania, omówione dokładnie, zrozumiane i przyjęte przez ogół. Roztrząsanie pytań, zawartych w kwestyonaryuszu, bez najmniejszéj kwestyi rozjaśnić może wiele wątpliwości, poruszyć wiele ważnych punktów i przyczynić się do ugruntowania w opinii podstaw etyki adwokackiéj. Chociażby więc można

było zarzucić coś wykonaniu dobréj téj myśli, to należało jednak poprzeć życzliwie pierwszą próbę.

Niejednokrotnie już podnosiły się głosy, zarzucające prawnikom pewną bezwładność, zasklepianie się w sferze zajęć osobistych niejako. Jeden z adwokatów przysięgłych w 1881 czy 1882 r. zbijał takie oskarżenie w „Wieku“, dowodząc, iż adwokaci tak są obarczeni pracą zawodową, tyle muszą okazywać pomocy wdowom i sierotom, że czasu niemają na jakąś literacką działalność. P. F. Flamm znowu w dziele *O wekslach i czekach* tłómaczy, iż różnorodność ustaw obowiązujących u nas, a układanych w różnych językach, wymaga wielkiéj pracy od prawników, jako to: studyów lingwistycznych, i nie pozwala im robić nic innego. Podobne racye wskazywał również p. Niemirowski w Jednodniówce na pogorzelców. Naturalnie takie tolerowanie i uprawnianie opieszałości, przez kolegów samych nie mogło przynieść dobrych owoców.

Tak było dotąd, zdaje się jednak, że nastąpił jakiś szczęśliwy zwrot w usposobieniach i chęciach prawników. Zakrzątnęli się energicznie około uorganizowania *kasy pomocy dla adwokatów*, powierzając jéj zarząd w ręce, zasługujące na najzupełniejsze zaufanie. Z drugiéj znowu strony znaczna ilość prawników postanowiła wziąć w swoje ręce Gazetę Sądową, podnieść jéj wartość i zapewnić byt. Są to bardzo pocieszające objawy, które niewątpliwie przyniosą niemałe korzyści ogółowi.

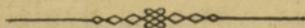
Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Łucya z Giedrojciów Rautenstrauchowa**, rówieśniczka Klementyny Tańskiéj, urodzona r. 1798, wychowana wśród wrzawy wojennéj w Paryżu, mając umysł bystry i wyobraźnię ruchliwą, wcześnie zabrała się do pióra, gdy widziała, że i ks. Wirtemberska i Tańska z takiém powodzeniem na widownię literacką wystąpiły. Zawiodła się jednakże w początku; siły jéj były za słabe, ażeby zdobyć się na dzieło, któreby uwagę powszechną zwróciło. Pierwsze jéj powieści od r. 1821—1831 („Emmelina i Arnolf“, „Ragana“, „Przeznaczenie“) zaliczono i słusznie do prób bardzo słabych, nieodpowiadających wymaganiom, jakie już wówczas względem tego rodzaju utworów stawiano. Zrozumiała to autorka, która w tym czasie, roku 1822 wyszła za jen. Rautenstraucha, że zdolności jéj nie nadają się do po-

wieściopisarstwa i dlatego w drugiéj fazie działalności swojéj po roku 1831 zwróciła się ku opisywaniu przedmiotów, które widziała, i przedstawianiu poglądów i tendencyi, które poznała. W tym nowym kierunku pierwszą jéj pracą były „Wspomnienia moje o Francyi“ wydane w Krakowie 1839, z których wyjątki poprzednio już drukowała Tańska w nowéj seryi „Rozrywek dla młodzieży“ wydawanéj w Paryżu. Potém nastąpiła „Druga podróż do Francyi“ (Lipsk 1841), a następnie zbiór szkiców podróżniczych p. n. „Miasta, góry i doliny“ (5 tomów, Poznań, 1844 r.), wreszcie „W Alpach i za Alpami“ (3 tomy, Warszawa, 1847). Od tego czasu zamilkła Rautenstrauchowa, gdyż tylko w r. 1853 dała część przekładu Korynny, a 1883 opowiadanie o siostrze swojéj Białopiotrowiczowéj. Żyła w zaciszu, wiele dobrego świadcząc ubogim. Umarła 2-go maja r. b. w Puławach w ustroniu nazwanym przez nią Cienistą. Był-to jeden z dzielniejszych umysłów niewieścich, który jednakże zabłysnął jak meteor i do pracy ciągłéj zdolnym nie był.

† **Teofil Matecki** urodzony w Wielkopolsce w r. 1810, odbywwszy kampanię w 1831 i ukończywszy wydział lekarski w Berlinie, osiadł w Poznaniu i należał do tego szlachetnego i rozumnego grona obywateli, jak Marcinkowski i Libelt, które starało się podtrzymać i rozwijać siły życia narodowego w w. ks. Poznańskiém. Kiedy w jesieni r. 1841 rozpoczął się w Poznaniu szereg odczytów, mających zastąpić brak wykładów uniwersyteckich, Matecki wystąpił z prelekcyami „o fizyce i chemii.“ W r. 1848 ogłosił „Poradnik dla młodych matek“; w r. 1855 wydał rzecz o „Słownictwie chemiczném polskiém.“ Gdy zawiązane zostało w Poznaniu Towarzystwo Przyjaciół Nauk, był Matecki jednym z najgorliwszych jego członków, a potém jego wiceprezesem. Wtedy wydał następne pisma: w roku 1860: „Domowa apteczka“, w r. 1865: „Operacya fistuł pochwo-pęcherzowych“; w 1867: „Rady i nauki starego lekarza dla nielekarzy“; w r. 1872 próbę „Słownika lekarskiego“ (od A do Aedoea). Oprócz czynnego udziału we wszystkich ważnych instytucyach miejscowych, wspomnieć należy jego zasługi obywatelskie jako założyciela i organizatora wielu szpitali, oraz danie inicyatywy do wzniesienia Mickiewiczowi pomnika obok kościoła św. Marcina w Poznaniu. Przed dwoma laty utracił żonę i usunął się od życia gwarnego. Umarł w Poznaniu 11 maja r. b. Cześć jego pamięci!



KORESPONDENCYA DO REDAKCYI.

W „Bibliotece Warszawskiéj“ (w zeszytach z Lipca, Września, Października i Listopada r. 1885) wyszła moja rozprawa pod tytułem: „Pojęcie przyczynowości w Systemie Logiki dedukcyjnéj i indukcyjnéj J. St. Milla.“ Rozprawa ta uległa ze strony Redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“ najrozmaitszym przeróbkom, które zmieniły ją zupełnie tak pod względem treści, przez podsuwanie mi myśli obcych i przez wypaczenie moich własnych, jak też i pod względem formy, przez dodawanie słów zbyteczych, opuszczanie potrzebnych, albo wreszcie przez używanie słów zupełnie innych. Wskutek tego muszę zastrzedz się przed odpowiedzialnością w obec krytyki za tę mieszaninę moich własnych myśli i przeróbek Redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“ (dokonanych w liczbie około 250-ciu, np. w zesz. Lipcowym na str. 13 dwukrotnie, 15 dwukrotnie, 16, 18, 19; w zesz. Listopadowym na str. 225, 229, 231, 278, 279, 280 i t. d.).

Dr. Aleksander Raciborski,
docent filozofii uniwersytetu Lwowskiego.

Paryż 12 Maja 1886.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

